X. W. KRUSZKA

SIEDM SIEDMIOLECI

TOM 1.

SIEDM SIEDMIOLECI

CZYLI

PÓŁ WIEKU ŻYCIA

TOM I.

SIEDM SIEDMIOLECI

CZYLI

PÓŁ WIEKU ŻYCIA

PAMIĘTNIK I PRZYCZYNEK
DO HISTORJI POLSKIEJ W AMERYCE

NAPISAŁ

X. WACŁAW KRUSZKA
PROBOSZCZ PARAFJI ŚW. WOJCIECHA W MILWAUKEE, WIS
AUTOR „HISTORJI POLSKIEJ W AMERYCE"

TOM I.

LIBRARY
ST. HYACINTH COLLEGE AND SEMINARY
GRANBY, MASSACHUSETTS

POZNAŃ — MILWAUKEE
NAKŁADEM AUTORA.
CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
1924

325.2
K9A
v.1

PREAMBUŁY.

„Nie skromności, lecz niewdzięczności znakiem jest zamilczeć dobrodziejstwa Boże.“ — „Non verecundial, sed ingratue mentis indicium est, beneficia tacere divina.“
(S. Leo Magnus, sermo I.)

I.

Prohibicja i drożyzna.

Teraźniejszość jest dręcząca. Przyszłość niepewna i trwożliwa. Samą tylko przyszłość lubimy: jako wiernego towarzysza w czynionej podróży, jako świadka naszych uczuć i cierpień.

Teraźniejszość jest rzeczywiście dręczącą z powodu prohibicji i w ślad za nią idącej drożyzny. Profesorzy uniwersytetów zauważyli byli „genjalnie“, że człowiek rzekomo pochodzi od małpy. I z wysokości swych katedr uniwersyteckich jako nową zdobycz wiedzy i nową ewangelję zaczęli głosić ludziom, że człowiek jest tylko dwunożnem zwierzęciem, nic więcej.

Ta nauka nie poszła w las. Nasi mądrzy prawodawcy po kapitolach w te pędy również genjalnie zauważyli, że jeżeli człowiek jest tylko zwierzęciem, nic więcej: to też jako zwierzę powinien pić tylko wodę, nic więcej. Dalej, zwierzęta w dzikich małżeństwach promiscue żyją. Więc też człowiekowi jako zwierzęciu mądre prawo amerykańskie zabrania tylko wódki, a nie rozwódki.

W ślad za prohibicją całkiem naturalnie idzie drożyzna. Grosernicy, rzeźnicy, krawcy i szewcy, również nie w ciemię bici, genjalnie zauważyli i to, że ludzie, nie wydając nic na trunki, nie będą wiedzieli co z pieniędzmi robić. Więc śmiało im można podwyższyć ceny za żywność, odzież, obuwie, meble i t. d. I podwyższyli. I teraz ludzie wydają na samą żywność dwa razy tyle

co dawniej wydawali i na żywność i na trunki. Dawniej, kiedy było co pić, było i za co pić i za co jeść. Teraz, kiedy nie ma co pić, nie ma i za co nawet jeść. A zatem teraźniejszość jest dręcząca.

II.

Koniec języka polskiego i koniec świata.

Ale i przyszłość jest niepewna i trwożliwa. Bo jak miecz Damoklesa wisi nad głowami naszymi jeszcze gorsza prohibicja, mianowicie groźny zakaz mówienia i pisania po polsku. Prędzej nam języki do podniebienia przylgną, zanim przestaniem mówić po polsku.

Przepowiadają nam bliski koniec języka polskiego w Ameryce. Albowiem nasi mądrzy prawodawcy w kapitolach, skutkiem postępu wiedzy, genjalnie zauważyli, że człowiek ma tylko jeden język w gębie, a nie dwa. (Czego przedtem nie wiedzieli, zacofani). A więc człowiek powinien też tylko jednym językiem mówić, a nie dwoma. To jest wniosek jasny jak słońce, a tylko zacofani go nie widzą. Zresztą oni, mądrzy prawodawcy, tylko jednym językiem mówią, a innych nie rozumieją. Czyżby więc zwyczajni ludzie po domach i po szkołach więcej języków rozumieć mieli niż mądrzy prawodawcy po kapitolach? Do tego w żaden sposób dopuścić nie można. Bo gdzieby wtedy równość się podziała? Każdy równie mądrym ma być. A już broń Boże, żeby zwyczajne robotniki, a nawet dzieci w naszych szkołach więcej języków rozumiały, niż prawodawcy w kapitolach. Więc precz — wołają prawodawcy — ze wszystkimi innymi językami, zapomnieć je, utopić je w Styksie zapomnienia! A jednym tylko językiem mówić, mianowicie tym, którym my mądrzy prawodawcy mówimy w kapitolach.

Przyszłość jest niepewna i trwożliwa także dlatego, że mając obecnie tylko „zawieszenie broni", narody są w zawieszeniu między nadzieją pokoju a obawą wojny. Taka niepewność ciągła jest gorszą od pewnej wojny. Nadto zapowiadają nam wielkie strajki, które znowu mają zrodzić rewolucję w kraju. Na domiar złego jakiś profesor uniwersytetu na serjo i naukowo (scientifically) przepowiada nam bliski koniec świata. A no, jak się niebo obali, to nas wszystkich przywali. Lecz jeśli to się stanie, to prędzej nastąpi koniec świata, niż koniec języka polskiego w Ameryce. Bądźcobądź przyszłość niepewna i trwożliwa: w oczy jej patrzeć nie lubimy.

III.

Przeszłość lubimy i autobiografje.

Samą tylko przeszłość lubimy. Bo w niej — nie zgadujemy tylko faktów, ale — jak w zwierciadle widzimy jaśniejszą i pewniejszą przyszłość. Słusznie bowiem mówił Salomon: „Cóż jest, co było? to samo co potem będzie. Cóż jest, co się stało? to samo co się stanie. Nic nie masz nowego pod słońcem“ (w księdze Ekklezyastyka II., 10). To znaczy, że w przeszłości widzimy naukę dla przyszłości. Czyli jak się wyraził Cicero: historja jest mistrzynią życia. Więc też człowiek lubi przeszłość.

Starożytny Cycero powiedział; „Przyjemną jest pamięć rzeczy przeszłych“ — jucunda est memoria rerum praeteritarum. A nowożytny Edward Fitzgerald zauważył: I wished we had more biographies of obscure persons — people whose careers we can emulate. The journal of a country doctor, the authobiography of a western lawyer, the diary of a rural priest, are book titles more attractive to the average man than the Life of Napoleon or the Memoirs of General Grant.“

Czemu powinniśmy mieć więcej biografji zwyczajnych ludzi, „obskurnych“ i pokątnych osób? Czemu takie właśnie życiorysy są bardziej ciekawe „more attractive“?

Bo najpierw, ludzie najciekawsi są właśnie ci, o których szeroki świat nic jeszcze nie słyszał, którzy gdzieś w kącie siedzą. Bo jak mówi poeta:

„W każdym świata horyzoncie
Najciekawsi ci, co w kącie.“

Powtóre, naród, to zbiorowy człowiek. Naród z pojedyńczych ludzi się składa. Nie z samych genjalnych — nie. Lecz przeważnie ze zwyczajnych ludzi. Więc historja pojedyńczego zwyczajnego człowieka jest kluczem do lepszego zrozumienia historji narodu i historji świata.

Bo człowiek, to mały świat, to mikrokosmos, jak mawiali Grecy. W człowieku mieści się cały świat w zmniejszeniu: świat materjalny, roślinny, zwierzęcy i duchowy. W człowieku iszczą się prawa całej przyrody. Prawa fizyczne, chemiczne i mechaniczne, czyli prawa materji nieżywotnej, jakiemi kierują się wielkie ciała niebieskie. W człowieku są prawa materji żywotnej, jakiemi się kierują królestwa roślin i zwierząt. Są wreszcie prawa myślenia i chcenia, jakiemi się kierują duchy nieśmiertelne.

Poznawszy więc siebie na wskróś, człowiek temsamem poznałby prawa wszechświata.

IV.

Dlaczego autobiografje są pożądane?

Dlatego najmędrszy mąż starożytny, Sokrates, wołał: Człowiecze, poznaj sam siebie!

Żebyś jednak poznał sam siebie, nie wystarczy ci poznać chemję, fizjologję i psychologję ogólną. Te nauki mówią o ciele i duszy ludzkiej wogóle, a nie o tobie w szczególe. Mówią in abstracto, czyli w oderwaniu od ciebie. Żebyś siebie konkretnie poznał, nie wystarczy ci poznać powszechną historję świata, musisz uświadomić sobie dzieje i koleje własnego życia.

Historję mają narody, ma i każdy pojedyńczy człowiek swoją własną. Dla poznania własnej ojczyzny trzeba znać historję ojczystą. Dla poznania siebie samego trzeba znać dzieje życia własnego. A historję narodu pisaną każdy przekłada nad ustnie podaną. Żaden wreszcie naród cywilizowany nie zadowoli się historją pisaną o nim przez drugich. Każdy pisze swoją własną historję, czyli autobiografję.

Takie to są pobudki naturalne, dla których lubimy myśleć, opowiadać i pisać o naszej przeszłości. Wszelako do tych pobudek naturalnych przyłączają się także motywa nadnaturalne. Tak dobre jak i złe uczynki swe powinien człowiek nietylko znać i uznać, ale i wyznać: prywatne prywatnie, publiczne publicznie wyznać powinien dla naprawy złego. Tak Bóg każe i sumienie. Ten jest najmędrszy, kto zna najwięcej głupstw a najmniej ich popełnia. Ale i dobrych uczynków nie mamy chować pod korzec. Owszem, wyraźny to rozkaz Boży, że światłość dobrych uczynków ma świecić wobec ludzi. Bo dobre uczynki to są dzieła łaski Bożej, to są dobrodziejstwa Boże. Garbata to pokora, która dobrodziejstwo Boże nie chce wyjawić. Pisze papież, św. Leon Wielki: „Nie skromności, lecz niewdzięczności znakiem jest zamilczenie dobrodziejstwa Bożego!“ — non verecundiae, sed ingratae mentis indicium est, beneficia tacere divina (Sermo I.) A św. Tomasz z Akwinu tak rozumuje: „Ponieważ prawdziwą drogą dojścia do miłości Boga jest rozpamiętywanie dobrodziejstw Jego; przeto, im więcej rozważać je będziemy, tem więcej Boga pokochamy.“ Znowu św. Franciszek Salezy oświadcza: „Jak szczegółowo rozważamy grzechy nasze, tak

również szczegółowo rozważajmy łaski Boże". Bo „żywe rozważanie otrzymanych łask czyni nas pokornymi; gdyż kto uzna dobrodziejstwo, ten korzy się przed dobrodziejem."

Oto pobudki naturalne i nadturalne, dla których autobiografje są pożądane.

V.

Preegzystencja.

Oto dlaczego mój człowiek postanowił napisać własny życiorys, czyli autobiografję. Nie jest to życiorys cały i kompletny, lecz tylko opis siedmiu siedmioleci czyli wieku życia. Siedm siedmioleci to wprawdzie tylko 49 lat, a więc niespełna pół wieku. Atoli człowiek przecież już żył zanim jeszcze się narodził.

Ale czy człowiek też żył i istniał już, zanim się począł w łonie matki swojej? Czy dusza jego istniała już przedtem, zanim w łonie matki połączyła się z ciałem? Czy nauka o tak zwanej Preegzystencji, czyli o poprzedniem egzystowaniu, jest prawdziwą? Czy dusza człowieka, przed połączeniem się z ciałem, nie mieszkała na Marsie, Jowiszu lub innym planecie? Czy nie przebywała na gwiazdach? a dopiero wskutek jakiegoś przewinienia za karę skazaną została do więzienia, do ziemskiego mieszkania w ciele ludzkiem? Albo czy w ciele zwierzęcem nie mieszkała najpierw, zanim się przeprowadziła do ciała ludzkiego? Czy podług metempsychozy czyli wiary we wędrówkę dusz, dusza człowieka poprzednio nie była w żabie, koniu lub słoniu, zanim połączyła się z ciałem człowieka?

Te pytania są zupełne na miejscu. Bo gdyby taka preegzystencja miała być prawdziwą, to mój człowiek, pisząc życiorys, musiałby konsekwentnie opisać także swoje wrażenia z życia poprzedzającego, ze swojego pobytu albo na gwiazdach, albo w żabie, koniu lub słoniu; jak mu się tam powodziło, czy źle czy dobrze, czy więcej wesela tam doznał czy smutku. Musiałby mój człowiek przynajmniej coś z dawnego życia, coś z owej uroczej nadobłocznej krainy sobie przypomnieć, choćby tylko ten goły fakt, że tam był, żył i bujał. Chociaż bowiem nieraz się zdarza, że zapominamy o czem w nocy nam się śniło, jednak przynajmniej wiemy to, żeśmy śnili.

Już zaś mój człowiek o takim poprzednim pobycie na gwiazdach lub zwierzętach zgoła nic nie wie, nic nie pamięta. Zatem wszelka taka mowa o preegzystencji jest bajką.

Ale nawet mędrcy, jak Plato, wierzyli w preegzystencję? Niechby sobie wierzyli! Jak niema głupca, któryby nie miał swej mądrości, tak niema też i mędrca, któryby nie miał swego głupstwa. I mędrzec Plato miał swoje głupstwo, jeśli wierzył w preegzystencję, o jakiej powyżej była mowa. Taka wyjątkowa wiara niektórych mędrców nie ma nic wspólnego z wiarą powszechną czyli katolicką. Mój człowiek musiałby być nie wiernym, lecz łatwowiernym, gdyby na gołe słowo Platona wyznawał wiarę w preegzystencję. Bogu dzięki, człowiek nie należy do łatwowiernych, ale do wiernych, czyli rozumnie wierzących, to jest do tych, którzy wyrażają tę wiarę świętą, że Bóg stworzył duszę przy poczęciu się jej ciała i że przedtem ona wcale nie istniała. Niedowiarkom śmiesznem się to wydaje, gdy mówimy, że Bóg stwarza duszę człowieka. Oni twierdzą, że człowiek rodzi się jak zwierzę i umiera jak zwierzę, czyli zdycha. Nam znowu to śmiesznem się wydaje, żeby człowiek miał jak zwierzę rodzić się zwierzęciem, a nie człowiekiem. I zdychać jak zwierzę zamiast umierać jak człowiek. Jak dla mądrego śmiesznem jest głupstwo, tak dla głupiego mądrość.

Atoli choć ta nauka o preegzystencji jest bajką, to jednak, jak każda bajka, pół prawdy w sobie zawiera. Dimidium veri fabula semper habet. A mianowicie, choć dusza moja przed połączeniem się z ciałem nie istniała, to jednak dawno już przed tem, bo od wieków, istniał wyrok Boży o stworzeniu mej duszy, że z nicości będzie powołaną do bytu w tym a tym czasie, na tem a tem miejscu i z tem a tem ciałem połączona będzie. I dalej, że to jej ciało będzie wzięte z łona tej a nie innej matki rodzicielki i z łona tej a nie innej matki żywicielki ziemi. Taki wyrok istniał od wieków. W takiem też rozumieniu można śmiało mówić nietylko o preegzystencji duszy i ciała w łonie tej matki ziemi, której pierwiastki weszły w skład ciała człowieka.

Tą ziemią, która weszła w skład ciała mego, jest Polska, a względnie Wielkopolska!

VI.

Wielkopolska.

Mój człowiek jest Wielkopolaninem albo Poznańczykiem, ponieważ pochodzi z Wielkopolski albo, jak to mówią, z Poznańskiego. Wielkopolska to staropolska nazwa: Poznańskie zaś jest nowoczesną nazwą zachodniej części Polski. Z Wielkopolski

utworzono tak zwane Wielkie Księstwo Poznańskie, dopiero sto lat temu, względnie w roku 1815 na kongresie wiedeńskim.

Wielkopolska, najstarsza dzielnica Polski, jest kolebką całej Polski. Tu nad Wartą i Notecią, w Kruszwicy nad brzegami jeziora Gopła, powstał pierwszy związek potężnej później i sławnej Rzeczypospolitej Polski. Tu w Gnieźnie była pierwsza stolica Polski, skąd władali krajem i bronili go od Niemców dzielni Bolesławowie. Gdzie św. Wojciech głosił słowo Boże a potem spoczął w katedrze gnieźnieńskiej. Wielkopolska z czasów dawnej Polski obejmowała województwa: poznańskie, gnieźnieńskie, część kaliskiego, brzesko-kujawskiego i inowrocławskiego. Czyli cały prawie kraj w dorzeczu Odry, a to głównie nad tymi jej dopływami: Odrą, Wartą i Notecią. Kraj niski, napływowy, na wielkich obszarach wzdłuż rzek podmokły; ziemia czarna, pszeniczna, skarbów atoli mineralnych nie posiada. Głównem zajęciem jest rolnictwo, hodowla owiec i bydła, jako też ogrodnictwo.

Po drugim podziale Polski roku 1793. Prusacy Wielkopolskę przezwali Prusami Południowymi jako że położoną na południe od Prus Zachodnich. Od kongresu wiedeńskiego r. 1815 Wielkopolska przybrała już przyzwoitszą nazwę Wielkiego Księstwa Poznańskiego, którego namiestnikiem został książę Antoni Radziwiłł, Manifest króla pruskiego, wydany 15 maja roku 1815 na kongresie wiedeńskim, zaręczał W. Księstwu Poznańskiemu całość narodowości, uczestnictwo w konstytucji, język polski w urzędzie, urzędy Polakom i namiestnika krajowca. Pod tymi warunkami kongres wiedeński oddał Wielkopolskę Prusom. Sejm poznański, czyli tak zwane Stany prowincjonalne, złożone z 26 posłów szlacheckich, 16 miejskich i 8 włościańskich, otrzymały głos doradczy i prawo petycji. Księstwo podzielono na dwie regencje, poznańską i bydgoską, na których czele postawiono prezesów wybieranych. W r. 1817 została zniesioną pańszczyzna, a w r. 1823 uwłaszczono chłopów. W r. 1821 ustanowiono arcybiskupstwo poznańsko-gnieźnieńskie,

Ale już wkrótce zaczęto łamać dane przyrzeczenia. Założono Towarzystwo Kredytowe celem wydziedziczenia Polaków z ziemi. Język polski ograniczono w urzędach, które obsadzano Niemcami. W szkołach wyższych zaprowadzono naukę po niemiecku. Korzystając z powstania w r. 1831 w Królestwie, skonfiskowano broń i zwinięto r. 1832 namiestnictwo, którego miejsce zajęła prezydentura (naczelnym prezydentem został Flotwell), mia-

nowano landratów i komisarzy. Stany dopominały się daremnie o uszanowanie przyrzeczonych przez króla swobód. Nastąpiło samowolne zamknięcie klasztorów w Księstwie i utworzenie szkół rządowych dla duchownych.

Ale twardy chłop wielkopolski wnet Prusakowi stanął kością w gardle, nie dając się połknąć. Mimo ucisku rządu, rozwijało się w owym czasie Poznańskie pod względem narodowym. Hrabia Edward Raczyński darował krajowi bogatą bibljotekę swoją w Poznaniu roku 1829. Od roku 1834 wychodziło w Lesznie bardzo dobre pismo „Przyjaciel Ludu". W Poznaniu powstały: „Tygodnik Literacki", „Orędownik", „Gazeta Kościelna" i „Przegląd Poznański". W r. 1847 zawiązało się Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Gorący patrjota i mąż znakomity Tytus hr. Działyński i hr. Raczyński, dziejopisarz Moraczewski, filozof Libelt, ksiądz Koźmian, Łukaszewicz, Popliński i inni rozbudzali życie umysłowe i prace nad oświatą ludu, który najpierw w Poznańskiem poczuł się Polakiem, broniącym każdej piędzi ziemi, swego języka i zwyczajów wobec wrogiego żywiołu niemieckiego. Lud polski stanął tam na straży narodowości. A to jest straż najsilniejsza, której żaden wróg nie przełamie.

Zwiększający się ucisk wywołał r. 1846 zamach powstańczy a r. 1848 powstanie, na którego czele stanął Ludwik Mierosławski. Niezgodne szeregi powstańców zostały pobite 26 kwietnia pod Książem, 2 maja pod Wrześnią. Mierosławski odniósł wprawdzie zwycięstwo 30 kwietnia pod Miłosławiem, ale 3 maja został pod Wrześnią rozbity i schwytany. Wielkie Księstwo Poznańskie zostało wcielone do Rzeszy niemieckiej, Sejmy poznańskie zniesiono. Wielkie Księstwo zostało prowincją Prus. Rozpoczęło się prześladowanie Polaków, które w roku 1862, od kiedy Bismarck stanął na czele, zwiększało się z każdym rokiem. Wszystkie szkoły uległy zniemczeniu. Nazwy miejscowości polskich zmieniał rząd na niemieckie. Kulturkampf i majowe prawa uderzyły w Kościół, Na wniosek Bismarcka uchwalił Sejm roku 1886 olbrzymie sumy pieniędzy na wykupienie ziemi polskiej i obsadzenie jej kolonistami niemieckiemi, wydalając Polaków niepoddanych pruskich. W roku 1898 uchwalił Sejm pruski sto miljonów marek na fundusz kolonizacyjny. Prawo wywłaszczenia i wóz Drzymały to rzeczy zbyt nowe, żeby je czytelnikowi tu przypominać. Przeszło połowa większej własności czyli dworskich obszarów przeszła w ten sposób już w ręce Niemców. Mniejsza zaś własność czyli ziemia gospo-

darska pozostała jeszcze w trzech piątych częściach polską. Posłowie polscy w Sejmie pruskiem, jako też w parlamencie niemieckim, bronili dzielnie praw narodu polskiego. W roku 1901 zawiązano ku skutecznej obronie towarzystwo zwane „Strażą", które objęło całe Poznańskie i działało bardzo skutecznie.

Słowem do Wielkopolski, tego serca Polski, zastosować można ten wiersz biskupa Krasińskiego:

„Póki serce narodu ożywia Duch Boży,
Dopóki żadna siła w grobie go nie złoży".

Na zegarze dziejowym wybiła dla Polski godzina wolności, i oto Wielkopolska wchodzi znowu w skład jednej, niepodzielnej i niepodległej Polski.

VII.

Pałuki.

Mój człowiek jest Pałuczaninem, bo pochodzi z północnej części Wielkopolski, Pałukami zwanej.

Pałuki, ziemio pałucka! ty jesteś jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił. Dziś tęskniąc po tobie, myślą się człowiek przenosi do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad Notecią i Wełną rozciągnionych; do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem.

Pałuki! słynne Pałuki! kto by o was nie słyszał? Myślałem dobrodusznie, że chyba niema na świecie człowieka, któryby o Pałukach coś nie słyszał. Że chyba niema na świecie książki, któraby o Pałukach coś nie wspominała. Przeglądam więc ciekawie różne książki w mojej bibljoteczce domowej. Aż tu się dopiero przekonuję, że ani warszawska „Encyklopedja Staropolska" ani lwowska „Encyklopedja Macierzy Polskiej" ani stary „Słownik Lindego" ani nowy warszawski „Słownik Języka Polskiego" — nic wspominają zgoła nic o Pałukach. Nie znają nawet tego wyrazu „Pałuki" lub „Pałuczanie". O zgrozo! A przecie Pałuki znane są nie od dzisiaj; one znane od dawien dawna, od wieków całych. Lecz chwała Bogu, mam w swej bibljoteczce także „Jana Długosza kanonika krakowskiego Dzieła Wszystkie" w 14 tomach. Otóż ten Długosz, to stary średniowieczny historyk. A wszystko co średniowieczne — mówią nam dzisiejsi postępowcy — to ciemne i zacofane. Aż tu się przekonuję, że ten ciemny, zacofany i średniowieczny Długosz już bardzo wiele wiedział i pisał o Pałukach,

gdy tymczasem nasi nowi postępowi historycy nic nie wiedzą, nic nie piszą.

Otóż nasz sławny historyk Jan Długosz (urodzony r. 1415 zmarł roku 1480) już prawie 500 lat temu, jeszcze przed odkryciem Ameryki, w swojej wiekopomnej „Historji Polskiej Ksiąg Dwanaście" na wielu miejscach wspomina o „Pałuckiej ziemi" o „okolicy zwanej Pałuki". Zaraz w I. Księdze na stronicy 18 dokładnie opisuje granice ziemi Pałuckiej. Długosz powiada, że „Pałuki to północna część Wielkopolski między rzekami Wełną i Notecią". Obydwie te rzeki graniczne Pałuk Długosz tak opisuje: „Wełna poczyna się od strugi wsi Jankowa, wpływa potem do kilka jezior: Rogowskiego, Skarskiego, Tonowskiego i Łowickiego, z których wydobywszy się płynie środkiem miasteczka i klasztoru Wągrowca, tudzież koło Janowego młyna (dzisiejszego „Janówca"), i oddziela resztę Wielkopolski od Pałuk, ujście do Warty ma poniżej miasta i zamku Obornik". Tak Długosz opisuje rzekę Wełnę, która jest południową granicą Pałuk. A o Noteci, czyli północnej i wschodniej granicy Pałuk, Długosz tak pisze: „Potem Noteć (Nothesz) źródło ma blisko miasteczka Noteci, wlewa się w obszerne jezioro Gopło, skąd wynurzywszy się znowu płynie podle miasteczka Pakości i Łabiszyna, ujście (do Warty) ma pod starym zamkiem Santokiem". (Długosz str. 17-18.)

Zatem południową granicą ziemi Pałuckiej jest rzeka Wełna, północną Noteć. Od wschodu zaś Pałuki graniczą z Kujawami. Granicą od wschodu, przedzielającą Pałuki od Kujaw, jest znowu rzeka Noteć aż po Łabiszyn i Pakość. Od Pakości granicą między Pałukami a Kujawami jest rzeczka Kwieciszówka, o której Długosz tak pisze; „Rzeczka Kwieciszówka, rozgraniczająca ziemie wielkopolską (Pałucką) i Kujawską, wypływa z góry blisko wsi Niewszastowa, a uchodzi do Noteci podle miasteczka Pakości." (Ks. I., str. 17). Do Pałuk należą następujące miasta i miasteczka, Na wschodniej i północnej granicy Pałuk nad Notecią leżą miasta: Pakość, Barcin, Łabiszyn, Rynarzewo, Nakło, Ujście, Czarnków. Na południowej granicy Pałuk nad Wełną leżą: Rogowo, Żerniki, Janówiec, Mieścisko, Wągrówiec, Rogoźno, Oborniki. W głębi Pałuk są liczne i sławne miasta, jak Żnin, Szubin, Kcyń, Gąsawa, Żuń, Gołańcz, Łekno, Margonin, Szamocin, Budzyń i inne.

Na wschód od Pakości z Pałukami graniczą tak zwane Kujawy z miastami Inowrocław, Brześć Kujawski, Włocławek, Kruszwica nad Gopłem i Bydgoszcz na północnej granicy Kujaw.

Kujawiacy i Pałuczanie to są bliscy sąsiedzi i znają się dobrze. Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Pałuczanie z Kujawiakami się lubili i — czubili według przysłowia: kto się lubi, ten się czubi. Dlatego staropolskie prawo tak przepisywało: „Chłopi do karczmy nie mają chodzić z maczugami, z kłonicami" (Haur. Sk. 228). Pałuczanie pono mieli największe kłonice czyli pale, które półkoszki lub drabiny ich wozów podtrzymywały.

Pałuczanie i Kujawiacy, zamieszkujący północną część Wielkopolski, był to naród bitny i zahartowany w boju z Krzyżakami, którzy ich z północy ciągle napadali. W Księdze XII. pisze Długosz: „Krzyżacy okolicę zwaną Pałuki ogniem pustoszą. Krzyżacy wybiegłszy z Chojnic, r. 1462 zapuścili się aż w okolicę zwaną Pałukami, i spaliwszy część wiosek, Macieja Słupskiego a wraz z nim kilku szlachty pojmali" (str. 324). A nie tylko bitny ale i płodny był naród pałucki. Pisze bowiem Długosz w Księdze IX.: „Biskup Maciej Gołańczewski (biskup z Włocławka) przezwiskiem Pałuka, był szlachcicem herbu Topór, rodem ze wsi Rozniatawy. Ojca miał Sławnika kasztelana Nakielskiego. Matka jego, jak mówią, niesłychanem zdarzeniem dwunastu synów razem na świat wydała; a gdy wszyscy tego samego dnia zrodzeni i ochrzceni pomarli, jeden z nich tylko Maciej pozostać miał przy życiu". (Str. 106.) Pałuki więc słynęły z płodności matek.

Ale Pałuki również słynęły z nadzwyczajnej urodzajności ziemi, jak to zaraz z historji Długosza poniżej wykażemy. Nic dziwnego, że łapczywi Krzyżacy sięgali po ziemię Pałucką. Znane nam są pruskie „zapędy na wschód", znany nam niemiecki tak zwany „Drang nach Osten". Lecz nie wszystkim znana jest właściwa przyczyna, dla której Prusacy tak chciwie swe łapy wyciągali po ziemię Wielkopolską, a szczególnie pałucką. Otóż bo Prusacy wczytywali się pilnie w „Historję Polską" Długosza, tak jak za dni naszych wczytywali się pilnie w „Chłopów" Reymonta. Prusacy lepiej od Polaków znali Historję Długosza. Z historji Długosza dowiedzieli się Prusacy o takich skarbach ziemi Wielkopolskiej, o jakich Polacy sami nie wiedzieli i dziś nie wiedzą, jeśli Dłogosza pilnie nie czytali. Historyk Długosz posiadał wiedzę olbrzymią, ale był niedyskretny, że pisał zaraz o wszystkiem, co wiedział. Wyjawiając ukryte skarby ziemi Wielkopolskiej, Długosz przez to tylko zaostrzył apetyt Prusaków na ziemię Wielkopolską.

Oto naprzykład, jak historyk Długosz niedyskretnie pisze o ukrytych skarbach ziemi Pałuckiej i Wielkopolskiej w swojej Księdze I na stronicy 47: „Rzeczy ma Polska cudowne i podziwienia godne, które że są prawdziwe, zasługują na wzmiankę jako dzieła twórczej potęgi przyrodzenia. Na polach wsi Nochowa, blisko miasteczka Szremu, w dyecezyi Poznańskiej, tudzież we wsi Kozielsku, w obwodzie Pałuk, niedaleko miasteczka Łekna, rosną garnki wszelakiego rodzaju, same przez się, sztuką wyłączną przyrody i bez wszelkiej pomocy ludzkiej, kształtów rozmaitych, podobne do tych, jakie ludziom służą do domowego użycia; słabe wprawdzie i miękkie, dopóki spoczywają w ziemi i w swoich jamach rodzinnych, ale gdy z nich wydobyte na wietrze albo słońcu stwardnieją, dosyć mocne. Są one rozmaitej postaci i objętości, niemal jakby sztuką garncarską wyrabiane; a co jeszcze dziwniejszem się wydaje, że płodność ich przyrodzona, jak uważano, nigdy się nie zmniejsza, chociaż ziemia nie bywa uprawianą". (Historja Polska, ks. I str. 47.)

Tyle Długosz. Niebaczny ten historyk Długosz! Poco mu było wogóle pisać o takiej osobliwości w Polsce? Po co zdradzać tajemnice ziemi Wielkopolskiej? Toć Prusak, czytając to, chcąc nie chcąc musiał poczuć w sobie potężny „Drang nach Osten".

VIII.

Powiat Żniński.

Jak w północnej Wielkopolsce są Pałuki, tak w południowowschodnich Pałukach jest powiat żniński, od wschodu graniczący z Kujawami.

W powiecie żnińskim są miasta i miasteczka: Żnin, Gąsawa, Rogowo, Janówiec. Są wsie i wioski jak Wiewiórczyn, Niedźwiady, Skórki, Wenecja, Rzym, Paryż, Nadborowo, Nowa Wieś, Bielawki, Chomiąża, Czewojewo, Wola, Dobryłewo, Dziewierzewo, Gądecz, Jadowniki, Izdebno, Kaczkówko, Kierzkowo, Kołdrąb, Laskowo, Miastowice, Obiecanowo, Chrzanowo, Recz, Redczyce, Rusiec, Tonowo, Uścikowo, Świątkowo, Włoszanowo, Żarczyn, Żerniki, Żórawieniec, Ustaszewo, Słębowo, Podobowice, Brzyskorzystew i — Sławomierz, gdzie mój człowiek się urodził. Są jeszcze inne liczne sioła, przysiółki, osady i huby w powiecie żnińskim.

Niemcy, jako że niemi, nie umieli wymawiać powyższych nazw. Więc nie mogąc wsi i miast po imieniu nazywać, wyzy-

wali je szkaradnymi przezwiskami. Na Żnin wołali Cnyn, na Kaczkowo Sommerfeld, na Miastowice Eckartsfelde, na Brzyskorzystew Birkenfelde. A na Sławomierz, moje gniazdo rodzinne, Niemcy wołali Rosenfelde. Same „feldy". Czyżby wiedzieli, że Polska od „pola" się wywodzi? Inne znowu nazwy polskie Niemcy obrócili w żart, we „Witz". I tak Janówiec obrócili w Janowitz, Wągrowiec w Wongrowitz. Alles Witz. Zażartowali sobie z naszych nazw. Dobrylewo zaś wyzywali od Gutenwerder, a Nadborowo od Birkholz.

Czy te wyzwiska już ustały? Gdy pociąg staje w Domasławku, czy jeszcze tam wołają Elsenau fünf Minuten? Czy na dworcach kolejowych, na stacjach pocztowych, na rogach ulic widnieją tam napisy polskie? A po wsiach na rozstajnych drogach czy drogowskazy są polskie? A może tam za wsią na tym drogowskazie pod lasem zapomnieli wymazać „nach Birkefelde". Gdy człowiek to pomyśli, zadrgnie cały i duchem przeleci tam, by czemprędzej usunąć ów niemiecki napis. I tak, od czasu jak nowa Polska powstała, człowiek ciągle myślą przebiega swoje ojczyste strony. Duchem błąka się po miastach i wsiach, po ulicach i drogach, jakby chciał naocznie się przekonać, czy to prawda, że już wszystko tam wygląda po polsku i brzmi po polsku. Czasem człowiek wcale nie chce wierzyć, że Poznańskie już należy do Polski. Czasem człowiek jak ten niewierny Tomasz nie chce wierzyć, że wogóle Polska zmartwychwstała. Choć codziennie czyta się telegramy o zmartwychwstałej Polsce; choć od naocznych świadków, jak od profesora Zwierzchowskiego i innych, którzy nową zmartwychwstałą Polskę już na własne oczy widzieli, słyszy się, że Polska prawdziwie zmartwychwstała; choć mój własny brat młodszy Stanisław z samego Poznania przysłał radosną wiadomość, że Polska już zmartwychwstała i że dwóch jego synów służy we wojsku polskiem; choć Kurjera Warszawskiego się zamówiło i czytało w nim codziennie o sejmie polskim: — to jednak jeszcze z głębi duszy wydobywał się wciąż ten głos, muszę tam pojechać i własną stopą dotknąć się odrodzonej ziemi ojczystej i na własne oczy oglądać zmartwychwstałą Polskę, inaczej nie uwierzę... A czy stacja kolejowa Pniewy nie nosi już więcej szyldu „Pinne"; a poczta Nojewo czy nie nazywa się już więcej „Neuthal". Oho! tam blisko w Psarskiem jest proboszczem ksiądz Józef Pieniążkiewicz, mój kolega gimnazjalny. Dusza to człowiek i Polak czysty jak kryształ.

Skoro Polska powstała, on zapewne już zdarł wszelkie szyldy niemieckie a zawiesił polskie. On to mnie r. 1903 zapoznał z książką p. t. „Powiat Żniński", wydaną roku 1893 nakładem drukarni „Dziennika Poznańskiego". Bierz i czytaj tę książkę — powiedział mi, — z niej się dowiesz, ile ziemi polskiej, dzięki miljonom jakie uchwalił sejm pruski, przeszło już w ręce Niemców w samym powiecie żnińskim. Wielka strata. Ale żal sam straty nie wróci. Trzeba czynu. Miljonom pruskim trzeba przeciwstawić miljony polskie. Pomoc dajcie nam rodacy z Ameryki!

Wziąłem tę książkę i zaraz na tytułowej stronicy wyczytałem to krótkie, ale wiele mówiące motto: „Tyle Ojczyzny — ile ziemi". Boć zaiste, tyle jest Ojczyzny wolnej ile jest ziemi wolnej, odkupionej z rąk nimieckich! Nie dość pozbyć się niewoli politycznej, trzeba nam koniecznie pozbyć się także niewoli ekonomicznej. Dla odzyskania ekonomicznej wolności Polski niezbędną jest spółka akcyjna. Trzeba ją koniecznie założyć i tu w Ameryce. Jednostki bogate wiele ziemi wykupić mogą. Ale dokonać dzieła wykupu może tylko spółka. Bo ta ekonomiczna niewola, to ciężki i ogromny kamień, jaki jeszcze przygniata Ojczyznę naszą. Wspólnemi ramionami łatwo odwalimy kamień. Pojedyńczemi siłami byłoby bardzo trudno. Bo proszę sobie wyobrazić, ile to ziemi polskiej w samym powiecie żnińskim znajduje się w ręku Niemców. Według statystyki rządu polskiego w roku 1888 Niemcy posiadali następujące ziemie dziedziczne czyli obszary dworskie, dobra pańskie: Bielawki, Brzyskorzystew, Chomiążę szlachecką, Czewojewo, Dobrylewo, Dziewierzewo, Gądecz, Jadowniki, Janówiec, Izdebno, Kaczkówko, Kieszkowo, Kołdrąb, Laskowo, Miastowice, Nadborowo, Nową Wieś, Obiecanowo, Podobowice, Redczyce, Redecz, Rogowo, Rusiec, Skórki z Niedźwiadami, Sławomierz, Świątkowo, Tonowo, Uścikowo, Ustaszewo, Wenecją, Wiewiórczyn, Włoszanowo, Wolę Czewojewską, Żarczyn, Żerniki z Zrazimem, Żórawiniec, Górę, Ryszczewskie lasy i Szczepankowskie lasy. Razem 30,656 hektarów (około 75,000 akrów) w ręku Niemców. Polacy zaś posiadali: Bielawy, Bożejewice, Bożejewiczki, Brzyskorzystewkę, Brudzyń, Cerkiewicę, Grochowiska szlacheckie, Marcinkowo dolne, Marcinkowo górne, Obódno, Paryż, Piotrkowice, Sarbinowo z Rzymem, Sielec, Słębowo, Srebrną Górę i Złotniki. Razem 10,018 hektarów (około 25,000 akrów) w ręku Polaków. Wszystkiej ziemi dziedzicznej czyli pańskiej powiat żniński obejmuje 40,674 hektarów (około 100,000 akrów). Zatem Polacy r. 1888

posiadali tylko jedną czwartą część ziemi dziedzicznej w powiecie żnińskiem, a trzy czwarte były w ręku Niemców. Od roku 1888 czy wiele się zmieniło? na gorsze czy na lepsze? Wiem tylko, że Sławomierz przeszedł na powrót w ręce polskie. O chłopskiej czyli gospodarskiej ziemi statystyki niema. Wiadomo jednak, że na ogół chłop wielkopolski dzielnie bronił każdej piędzi ziemi polskiej.

Nie ulega wątpliwości, że niewola polityczna sprowadziła i niewolę ekonomiczną na Wielkopolskę. A przeto odzyskana teraz wolność polityczna przyczyni się także do odzyskania wolności ekonomicznej. Za złotych czasów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej w całym powiecie żnińskim nie było Niemca ani na lekarstwo. Dopiero po pierwszym rozbiorze Polski przybyli Niemcy, razem z Żydami, najpierw do Żnina, stolicy powiatu, jak to poniżej wykażemy.

Żnin, „zniżony" czyli nisko leży nad rzeką Gąsawką, w nizinie między dwoma jeziorami, Mniejszem i Większem zwanemi. Żnin istniał już za czasów Chrystusa Pana. Ptolemeusz, najznakomitszy geograf starożytny (żył w II. wieku po Chrystusie), umieszcza na swej mapie w miejscu Żnina, u przesmyku Gąsawki, starożytną Setydawę. Tędy szła droga handlowa z Etrurgi (z Włoch) do Bałtyku kaszubskiego. Kupcy etruscy, przeprawiwszy się przez Odrę pod Brzegiem dolnośląskim, zdążali na Wąsosz, Gostyń, Śrem, Żnin, Osielsk i Świecie do Bałtyku po bursztyn, sprzedając po drodze wyroby swoje. Z wnętrza ziemi żnińskiej wydobyto dzbany i misy zupełnie rzymskiego kroju. Nigdzie droga handlu bursztynowego nie jest tak jasno zaznaczoną jak w Żninie. W wykopaliskach tutejszych znajdują się kręgi bursztynu, nawiercone w środku, wyraźnie do przeciągania przez nie sznura i do noszenia ich na ramieniu w ciągu długiej podróży urządzone. Zresztą nie tylko w Bałtyku, ale i w jeziorach żnińskich dawniej znajdował się bursztyn i to w takiej obfitości, że wydzierżawiono połów jego.

W II. stuleciu po Chrystusie już spotykamy w historji nazwę „Polanie". Polanie zamieszkiwali krainę, nazwaną później Kujawami, na lewem brzegu Wisły, wprost Mazowsza. Z Polanami sąsiadowali na zachodzie Bukowianie, później Pałuczanie.

Pierwszy raz o Żninie wspomina Długosz, kiedy pisze o siódmym z rzędu arcybiskupie gnieźnieńskim Jakóbie. Jakób z Żnina, będąc arcybiskupem gnieźnieńskim od roku 1119 do 1148, urodził

się w Żninie roku 1080. Ojciec Jakóba piastował w Żninie urząd radcy miejskiego. Żnin r. 1136 przeszedł na własność dziedziczną arcybiskupów gnieźnieńskich, którym płacił podatki. W r. 1519 arcybiskup Jan Łaski wcielił z zezwoleniem papieża Leona X. probostwo żnińskie do suffraganji gnieźnieńskiej. Odtąd każdorazowy sufragan jest proboszczem żnińskim. W skład parafji żnińskiej r. 1880 wchodziły osady: Bożejewice, Bożejewiczki, Gogółkowo, Jaroszewo, Rydlewo, Sarbinowo, Skarbienice i Żnin. Probostwo żnińskie posiadało trzy wsie: Skarbienice, Rydlewo i Chomiążę Duchowną, folwark pod Żninem, grunta w mieście dla wikarjuszów i rektora szkoły, tudzież dwie zagrody dla dwóch rybaków, którym wolno było ryby łowić na jeziorach żnińskich dla stołu plebańskiego. Kmiecie płacili rocznego czynszu po grzywnie z każdego łanu i składali proboszczom po 30 jaj i 2 kury każdy; pańszczyzny odrabiali 5 dni do roku. Klasztor OO. Dominikanów pobierał dziesiątą rybę niewodową z jeziora w porze zimowej i obroki tygodniowe. Przeorowi służyło prawo rybołóstwa na dwóch czółnach. Do dworu arcybiskupiego w Gnieźnie piwowarowie obowiązani byli oddawać słodu pszenicznego wiertel wierzchowaty i tyleż owsa dla koni, nadto pół beczki piwa. Od słodu gorzałczanego wiertel wierzchowaty słodu żytniego i tyleż owsa. Rybacy oddawali każdą czwartą rybę. Rzeźnicy od każdego zabitego zwierzęcia oddawali olec albo łopatkę. Garncarze każdego targu dostawiali do dworu arcybiskupiego 4 polewane garnki i 4 proste. Szewcy obowiązani byli dostarczać wszelkie obuwie do dworu arcybiskupiego, który im płacił za każdą parę butów chłopskich po 2 złote, za parę ciżmów męskich 24 grosze, za parę trzewików kobiecych po 15 groszy. Kupcy dawali arcybiskupowi z każdego jarmarku po 4 funty pieprzu.

Krzyżacy r. 1331 najechawszy ziemie polskie, spustoszyli następujące wsie arcybiskupie: Górę, Mierczyn, Białożewin, Wilczkowo, Dobrylew, Czaple, Dochonowo, Gorzyce, Jańczewo, Biskupin, Lubczę, Cotoń, oraz posiadłość kapituły gnieźnieńskiej Sławomierz w okolicy Żnina. I Żnin stał się pastwą wściekłości krzyżackiej. Przy zburzeniu miasta uległy też zniszczeniu mury miejskie, a ze starego zamku pozostała tylko istniejąca dotąd wieża ratuszowa.

Żydzi zagnieździwszy się w Żninie za króla Kazimierza, wzbudzili postępowaniem swojem powszechną ku sobie nienawiść. Mieszczanie przeto żnińscy zanieśli na nich skargę do kapituły

gnieźnieńskiej, która pod dniem 24 kwietnia 1449 roku zawyrokowała, że ponieważ Żydzi wiele niedogodności sprawiają współmieszkańcom, wypędzić ich trzeba z Żnina, narażonego ich bytnością na różne straty i kradzieże. Ten wyrok miał moc prawodawczą aż do roku 1773, kiedy Żnin przeszedł pod panowanie Prus. Wtedy Fryc, król pruski, zniósł edykt arcybiskupi i pozwolił Żydom osiedlać się w Żninie. Z Żydami, jak pisze kronika miejscowa, zakwitło w Żninie przemytnictwo. Wraz z Żydami zaczęli się sprowadzać i Niemcy. Przedtem Niemców nie było w Żninie. Niemcy okupywali się wcześnie w okolicy Żnina, gdzie już około r. 1806 posiadali Dobrylewo.

Niedaleko od Żnina jest miasto Gąsawa nad jeziorem Gąsawskiem, obfitującem w dzikie „gąski". Tu do zamku obronnego król Leszek Biały r. 1227 zwołał zjazd, na którym okrutny Świętopełko, książę pomorski, zabił króla Leszka Białego.

Między Gąsawą a Żninem rozsiadła się wśród jezior wspaniałych Wenecja, siedziba niegdyś sędziego kaliskiego Mikołaja, Krwawym Djabłem zwanego. Lud okoliczny opowiada dotychczas o tym Krwawym Djable niestworzone rzeczy, a gdy przechodzi około ruin zamczyska, żegna się. A gdy kto wspomni dziedzica, żegna się, mówiąc, że „po świecie jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie".

Miasto Janówiec nad rzeką Wełną, jest gniazdem rodzinnem księdza Szczepana Studer z Milwaukee, Wis. Janówiec powstał z osady młyńskiej, własność Jana, Janowym młynem przez kilka wieków, a po roku 1458 Janówcem zwanej.

Żerniki leżą na południowych kresach Pałuk, tam gdzie Wełna wypływa z jeziora Tonowskiego. Tam na prawym brzegu Wełny osadził panujący książę przed wielu wiekami swoich „żerników", zajmujących się tuczą świń lub zbieraniem w tym celu żołędzi. Stąd ta odwieczna osada nazwała się i nazywa dotąd Żernikami.

Blisko Żernik jest Obiecanowo, bo pierwszym dziedzicem był tu Obiecan. Tuż przytyka Chrzanowo tak nazwane w roku 1869 przez ostatniego dziedzica Polaka, który tę majętność posiadał a którym był Jan Chrzanowski.

Z Obiecanowem graniczy Świątkowo, odwieczna siedziba szlachty osiadłej na Pałukach, rodziny Świątkowskich.

Dalej leżą Niedźwiady, Wiewiórczyn i Skórki, bogate w skórki wiewiórcze i niedźwiedzie. Za dawnej Polski te wioski wchodziły

w skład powiatu kcyńskiego, zwykle Pałukami zwanego. Powiat więc kcyński był dawniej ogromnym. Rzeka Wełna od wyjścia swego z jeziora Rogowskiego aż pod Rogoźno, gdzie z prawego brzegu przyjmuje w siebie Rudkę z Tymienicą, stanowiła znaczną część granicy południowej powiatu kcyńskiego i odgraniczała Pałuki od reszty Wielkopolski. Z Kcyni, stolicy Pałuk, pochodzi ksiądz Bronisław Celichowski, proboszcz w Milwaukee.

Gdzie struga, wpływająca do żnińskiej Gąsawki, zabiera płynący ze Sławomierza strumyk tam rozłożyła się Brzyskorzystew, w której się urodził ks. Józef Kruszka z Chicago. Nazwa Brzyskorzystew składa się z dwóch wyrazów, z których jeden przypomina brześcinę, drugi rżysko; te dwie właściwości miejscowe oddziaływały na utworzenie i ustalenie takiej nazwy.

IX.

Sławomierz.

Moje rodzinne gniazdo Sławomierz tak opisuje „Dziennik Poznański“:

„Z Podobowic przybywszy do Sławomierza, osady, która zupełnie inaczej rozwinęła się i ukształtowała, aniżeli te, cośmy poznali dotąd. Sławomierz rozłożył się na krzyżujących się drogach z Gorzyc do Sulinowa i z Dochanowa do Podobowic. Tuż pod Sławomierzem powstaje strumyk, uchodzący na obszarze Brzyskorzystwy do strugi, która wpada do Gąsawki. Wschodnią część pól sławomierskich przecina droga wiodąca z Brzyskorzystwy do Słębowa; na zachodzie, o kilka set kroków od osady znajduje się cmentarz; na północy rozpościera się las wzgórzysty, należący w pewnych częściach do Sławomierza, Gorzyc i Dochanowa; powierzchnia tego lasu na obszarze sławomierskim wznosi się od 124 do 128 metrów (około 400 stóp) nad poziom morza; powierzchnia ziemi ornej pochyla się na zachodzie i południu do 106, a na wschodzie do 111 metrów.

„Sławomierz był odwieczną własnością kapituły gnieźnieńskiej; nazwę zawdzięcza właścicielowi swemu w równobrzmiącem imieniu. Pisownia dzisiejsza „Słabomierz“ jest zabytkiem XVI. stulecia. Imię Sławomierza składa się z dwóch wyrazów: sława i mir; stosownie do tych pierwiastków pisano Slavomierze w roku 1331, Slavomirz w roku 1357 i 1390; późniejsza pisownia Sławomyerz roku 1523 targnęła się wprzód na końcówkę, potem Szlabomierz

roku 1577, na rdzeń imienia i odnośnej nazwy. Stąd powstał i przechował się dotąd dzisiejszy Słabomierz, wyrażający zupełnie co innego, aniżeli to, co wyrażać powinien.

„Na widownię dziejową wyprowadza osadę naszą dokonany w roku 1331 na ziemie polskie najazd Krzyżaków, owego zakonu kościelnego, który z predylekcją łupił i burzył kościoły i posiadłości kościelne. Skutków tego najazdu doznał także Sławomierz, własność kapituły gnieźnieńskiej, zatwierdzona roku 1357 przez króla Kazimierza.

„W r. 1390 zaprowadza tu kapituła prawo średzkie czyli niemieckie, którego treści wcale nie znała. W tym celu nadała sołtystwo miejscowe z dwoma łanami ziemi, tudzież z trzecią częścią dochodów z karczm, zagród i spraw sądzonych, szlachcicowi Wacławowi, dziedzicowi Godaw, mieszczaninowi żnińskiemu, i potomstwu jego, wynagradzając tym sposobem zasługi położone około kapituły i kościoła gnieźnieńskiego. Ażeby zaś przyspieszyć osadzenie wsi, zwalnia kapituła osadników na cztery lata od opłaty czynszu i dziesięcin, które po upływie tego czasu ustanawia na 20 szkojców groszy pragskich z każdego łanu ziemi, płatnych rocznie w dzień św. Marcina. Sołtys i potomstwo jego płacić będzie plebanowi swojemu 3 szkojce dziesięciny z nadanych łanów; prócz tego obowiązywać ich będzie zwykła sołtysów służebność (to jest rozwożenie listów, towarzyszenie dziedzicom w podróży, podejmowanie ich w czasie objazdów sądowych itp.). A ponieważ, mówi odnośny dokument, prawa średzkie nam są całkiem nieznane, zastrzegamy sobie wszystkie prawa, odnoszące się do korzyści i pożytku panów dziedzicznych.

„Z biegiem czasów przybyło tu więcej podobnych sołtysów. Pleban gorzycki pobierał 6 groszy dziesięciny z każdego łanu sołtysiego odnośnie kmiecego.

„Lustracja z roku 1534 wykazuje na 12 włókach czynszowych 9 kmieci osiadłych, którzy z włóki oddawali czynszu kapitule po grzywnie bez ośmiu fertonów, a rejentowi czyli czasowemu posiedzicielowi po 2 kapłony i 30 jaj, nie wspominając atoli nic o folwarku kapitulnym, lecz tylko nadmieniając, że regent obsiewał dla siebie dwie puste włóki, niegdyś do wójtostwa należące. Wieś ta nie miała ani lasów, ani stawów, łąki zaś były niewystarczające. (Ks. Ks. J. Korytkowski, „Arcybiskupi Gnieźnieńscy“ I., 211.)

„Między r. 1577 i 1620 było tu 7 sołtysów osiadłych i jeden karczmarz z kwartą roli.

„W roku 1749 dwór (kapitulny) obsiewał, jak dawniej, role wójtostwa i nieco ról kmiecych, zasiawszy żyta 50 i pszenicy 10 wierteli miary gnieźnieńskiej. Latowy zasiew tegoż roku wynosił: owsa 11, grochu 4, jęczmienia 33 wierteli. Siana sprzątnął dwór około 20 wozów. Na reszcie ról kmiecych było osiadłych 7 kmieci, którzy razem mieli 31 wołów i 20 koni, i odrabiali co tydzień przez cały rok jeden dzień bydłem, dwa dni ręcznie, kądzieli przędli po sztuce, tłuk odbywali 6, trzy bydłem, a trzy ręcznie. Za pierwsze tłuki odbierali beczkę piwa, warzonego w browarze pańskim, za drugi dostawali jeść i pić. Oprócz kmieci było we wsi 4 komorników, mających po 10 składów roli, chałupy i ogrody, którzy od św. Wojciecha do św. Marcina odrabiali tygodniowo po dwa dni ręcznie i wspólnie z kmieciami czynili służebność w dworze i w browarze. Pogłównego płaciła wieś cała wraz z dworem rocznie 98 złotych polskich, hyberny 25 złotych polskich. Przy końcu wieku XVIII przyłączono do folwarku pańskiego znaczną część ról kmiecych, ponieważ poddani dla niedostatku łąk utrzymać się nie mogli. Po zaborze dóbr kapitulnych rząd pruski płacił za Sławomierz 125 talarów, 14 drobnych groszy i 9—10 denarów rocznej kompetencji.

„Rząd pruski sprzedał folwark sławomierski; posiadali go Parczewscy około 1870 roku, potem Maneccy, którzy go surzedali Niemcom po r. 1884; obecny właściciel Fritz Rose przezwał go Rosenfelde. (W kilka lat potem folwark przeszedł znowu w ręce polskie.)

„Obszar całego Sławomierza obejmuje 232 hektary ziemi. Folwark ma 155 hektarów, t. j. 131 roli, 13 łąk, 5 pastwisk, 5 nieużytków; czysty dochód z ziemi obliczony jest na 1871 marek.

„W r. 1885 żyło w Sławomierzu 90 mieszkańców, samych katolików, w jedenastu dymach". (Powiat Żniński, str. 23—26.)

X.

Antenaci.

Dotąd o ziemi. A teraz o nasieniu. Bo oprócz preegzystencji w ziemi miał człowiek także swoją preegzystencję w nasieniu czyli w przodkach swoich. Są to wprzód urodzeni czyli antenaci.

Przodkowie moi widać trzymali się tej zasady; siedź gdzie ci dobrze — zasady upamiętnionej w tym dwuwierzsu hexametrowym:

Si qua sede sedes, et erit tibi commoda sedes,
Illa sede sede, nec ab illa sede recede.

Siedzieli bowiem w Sławomierzu przez wiele wieków. Od roku 1540 podług ksiąg kościelnych Sławomierz był ich stałą siedzibą. Nie znaczy to jednak, że nie siedzieli tam już dawno przedtem.

Ojciec, dziad, pradziad, prapradziad byli jedynakami. Bywały siostry; ale nie było braci, a jeśli byli to za młodu pomarli. Pradziad jedynak, pod koniec XVIII wieku, wstąpił do seminarjum duchownego w Gnieźnie, gdzie otrzymał już mniejsze święcenia kapłańskie. Tymczasem ojciec jego umarł. Matka wyszła za drugiego męża, ale ten, oddawając się pijaństwu, marnotrawił majątek. Matka, chcąc uratować gospodarstwo od niechybnej ruiny, a nie widząc innego ratunku, posłała po swego syna jedynaka do Gniezna z prośbą, by powrócił do domu i ratował upadające gospodarstwo. Syn, posłuszny matce, chociaż już miał mniejsze święcenia, powrócił do domu i zajął się odtąd gospodarstwem, które byliby Niemcy kupili, bo właśnie wtedy Sławomierz przeszedł pod zabór pruski. I ten ex-kleryk uratował dla rodziny nietylko ziemię, ale i nasienie i ród. Bo inaczej mój człowiek nie byłby na świecie. Zwłoki tego pradziada spoczywają nie na cmentarzu, jak innych przodków, lecz w kościele i to pod samym wielkim ołtarzem.

O dziadku moim wiem tylko tyle, że imię mu było Marcin, a babce Małgorzata. Nie znałem ich. Oto sto lat już upływa, jak ojciec mój się rodził, roku 1820. Ojciec miał brata, starszego od siebie, Feliksa, ale ten umarł kawalerem przy wojsku w Luxemburgu. Sióstr miał ojciec sześć: Konwińska w Wolwarku; Zdawczyk na Cerkwickich hubach; Jadwiga Napierała i Salomea Lewandowska w Gorzycach; Apolonja Dudek, której wnuki mieszkają w Chicago, 1479 Superior ulica; Nadolna na Stębowskich hubach. Nadolni z Toledo, O., 1511 Belmont ave., są krewni pierwszej żony ojca, Anny Kluczyńskiej. W Chicago Franciszek Koprowski 4746 Linder ave., i Katarzyna Imbierowicz 1352 Hoyne ave., Marcin Rochowiak 4739 Hoyne ave., Kubiak w Stevens Point, Wis. itd. itd.

O ojcu moim Janie ksiądz Osiński w „Wspomnieniu pośmiertnem“, drukowanem w Poznaniu roku 1887, pisze co następuje:

„Jan Kruszka na skromnem stanowisku, jakie z woli Opatrzności Boskiej w społeczeństwie naszem zajmował, i przy wcale nie wielkich zasobach umysłowych i materjalnych, jakimi rozporządzał, tak doskonałym stał się wzorem i naśladowania godnym przy-

kładem dla wszystkich, szczególnie zaś dla włościan naszych, że nietylko godziwą, ale wręcz konieczną zda mi się być rzeczą tem, czegom się o nim dowiedział, z szerszą podzielić się publicznością.

„Jan Kruszka był to sobie chłop prosty od kosy i pługa; mówię wyraźnie „chłop", gdyż Jan nie tylko się nie gniewał, gdy go kto chłopem nazwał, ale i sam się tak nazywał i dumnym był z tego, że nim był; i za wielką krzywdę i obrazę byłby to sobie poczytał, gdyby go kto, jak to teraz coraz bardziej w modę wchodzi, „panem" był nazwał.

„Pochodził Jan Kruszka ze starożytnej rodziny kmieciów polskich tegoż nazwiska, przed bardzo już dawnymi laty w Sławomierzu pod Żninem, gdy wieś ta jeszcze do dóbr stołowych arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego należała, tamże osiadłej.

„Zacna to i szanowna już zdawna musiała być rodzina, skoro zwłoki dziadka Jana swego czasu nie na cmentarzu przy kościele, tylko w kościele samym i to pod samym wielkim ołtarzem do grobu złożone zostały.

„Jan Kruszka urodził się w roku 1820, a więc 67 lat temu, na tymże samym gruncie włościańskim, który już jego pradziadom przez księży Prymasów i interrejów polskich nadanym został.

„Prócz szkółki wiejskiej w Gorzycach żadnych innych wyższych szkół nie odwiedzał, ani żadnych domowych nauczycieli nie miał. Za młodych lat swoich, jak każdy syn włościański, bydło pasał, później do kosy się wprawił i pługiem ojczyste łany uprawiał, pomagając rodzicom w ciężkiej i mozolnej pracy około roli, aż wreszcie po ojcu sam na siebie gospodarstwo objął. Gospodarstwo to składało się z roli, koło 60 do 70 mórg magdeburskich obszaru mającej, z jednego konia, jednej czy dwóch krów i sześciu bodaj owiec. Ożenił się po pierwszy raz z córką włościańską (Anną Kluczyńską), która za całe wiano wniosła mu w dom jednego konia, jedną krowę i 100 talarów pieniędzy. Po śmierci pierwszej żony (r. 1866) ożenił się po drugi raz z wdową po gospodarzu (Józefą z Okońskich Domagałą, ur. 27 marca 1838, zm. 26 kwetnia 1916), z którą nie wiem jakie wziął wiano, ale pewnie mało co, lub wcale nie większe od tego, jakie mu była wniosła pierwsza jego żona.

„Z takimi to zasobami umysłowymi i materjalnymi rozpocząwszy skromny zawód swój gospodarza-rolnika, Jan cudów prawie dokazał. Wychował bowiem **trzynaścioro dzieci,** jakiemi Bóg oba jego związki małżeńskie pobłogosławić raczył, — wychował nie na samych tylko prostych chło-

pów, jakim sam był, ale wychował w ten sposób, że jeden Szymon (urodz. 4 października 1844, umarł 22 sierpnia 1910) jest księdzem, obecnie proboszczem w Barcinie, drugi Tomasz (urodz. 14 grudnia 1847, um. 24 maja 1891) lekarzem, obecnie w Żninie praktykującym, trzeci Antoni (ur. 11 maja 1849, um. 17 lut. 1913) zręcznym i biegłym w swoim rzemiośle kołodziejem a przytem urzędowo ustanowionym rewizorem mięsa i agentem pewnej fabryki maszyn i narzędzi rolniczych, — czwarty Michał (urodz. 28 września 1860, um. 2 grudnia 1918) właścicielem drukarni i redaktorem jednego z pism polskich w Ameryce wychodzących, piąty Józef (ur. 25 list. 1862, um. 28 grud. 1914) urzędnikiem pocztowym obecnie w Inowrocławiu, szósty Stanisław (urodzony 1870), uczęszcza jeszcze do gimnazjum wągrowieckiego, siódmy Wacław, kształci się w jednem z kilku przez OO. Jezuitów w Galicji utrzymywanych kolegjów, ósmy Szczepan (ur. 1851, um. 1918), jest właścicielem gruntu włościańskiego w sąsiedniej wsi Dochanowie, dziewiątemu Wincentemu (ur. 16 stycznia 1856), wreszcie przekazał przed niedawnym czasem na własność grunt po ojcu swym odziedziczony, a mimo tylu wydatków na wyższe wykształcenie innych dzieci łożonych, nietylko że ani piędzi ziemi mniej nie obejmujący, ale przeciwnie, w czwórnasób powiększony, gdyż przeszło dwieście kilkadziesiąt morgów obejmujący. Z czterech zaś córek jednę wydał, Agnieszkę (ur. 16 kwiet. r. 1854, um. 20 list. 1915), stosownie ją wyposażywszy, za zamożnego właściciela znacznego gruntu w okolicy Wielenia, trzy zaś, Helena (ur. 1873), Anna (ur. 1875), Jadwiga (ur. 1881), niedorosłe jeszcze, dotąd w domu pozostają.

„Oto, czego dokazał Jan Kruszka w przeciągu niespełna pół wieku przy tak skromnych zasobach umysłowych i materjalnych, jakiemi rozporządzał. Trudną to do uwierzenia rzeczą, a jednak najistotniejszą to prawdą.

„Jakże się to stało? Przecież Jan Kruszka ze złym, jak to mówią, nie trzymał, ani czarować nie umiał, ani skarbów czy to w postaci brzęczącej monety czy to bryl złota lub srebra, z roli swej nigdy nie wyorał ani nie wykopał, ani też nikt nawet i największy nieprzyjaciel, jeżeli ich miał, zarzucić mu nie może, aby krętemi drogami chodził, aby lichwą, oszukaństwem lub w jakikolwiekbądź inny zły i niegodziwy sposób mienia się dorabiał i granice swych posiadłości rozszerzał. Owszem, był to człowiek

na wskroś poczciwy, rzetelny, sumienny i pełen bojaźni Bożej, a zarazem uczynny i usłużny dla drugich.

„To co Jan Kruszka zdziałał, czego dokazał, a co słusznie podziw i zdumienie w nas wywołuje, stało się w sposób bardzo prosty i naturalny. Dokazał on tego pracą, oszczędnością, rządnością i gospodarnością w połączeniu z błogosławieństwem Bożem, które każdej uczciwej i w myśl Bożą podejmowanej pracy zawsze towarzyszyć zwykło; dokonał tego prostym, ale zdrowym tak zwanym „chłopskim“ rozumem oraz tem wrodzonem każdemu chłopu polskiemu zamiłowaniem w pracy około roli, tej matki żywicielki nas wszystkich, jako też wrodzonem do tejże pracy szykiem i potrzebną do niej siłą i zręcznością.

„Być może, a nawet zdaje się, że tak jest, iż tego prostego chłopskiego rozumu nieco więcej Pan Bóg Janowi użyczył, niż go posiada każdy przeciętny chłop polski, ale że tego najcenniejszego daru Bożego Jan dobrze użyć i w całej pełni wyzyskać umiał, to więcej niż pewna. — Obdarzony hojnie tem najcenniejszym darem Bożym na ziemi, nie przytłumiał i nie wyniszczał go w sobie nadmiernem używaniem rozpalających trunków, jak to niestety zbyt wielu innych tegoż zawodu ludzi czynić zwykło; owszem, wielką się przez całe życie odznaczając trzeźwością, czystym i nieskażonym go zachował do samej śmierci.

„Mając rozum większy jak się zdaje i lepszy od drugich równych sobie stanem i powołaniem, nie miał się wcale za tak mądrego, jakim był rzeczywiście i dlatego nietylko nie gardził radą i pouczeniem ze strony drugich, ale owszem sam szukał rady u innych, mądrzejszych od siebie, czytywał nadto książki i pisma pożyteczne, sam je sobie kupując; a czytając w tychże o Kółkach rolniczych i o błogim wpływie, jakie one na włościan doń należących wywierają, na kilka lat przed śmiercią ubolewając nad tem, że w najbliższej jego okolicy Kółka niema, tak długo starał się i zabiegał u prezesa sąsiedniego Kółka rolniczego, aż i w jego siedzibie Kółko takie założono, na który to cel miejsca stosownego w domu swoim aż do śmierci bezinteresownie użyczał.

„Wzmagający się coraz bardziej dobrobyt i niezwykłe powodzenie, którem widział uwieńczone wszystkie prace, trudy, starania i zabiegi swoje, nie były zdolne wbić go w pychę i wysokie o sobie rozumienie, tak, że będąc jednym z najmądrzejszych ludzi, miał się zawsze za prostaka nic nie umiejącego.

„Dorobiwszy się prawie że pańskiej fortuny i synów na światłych i rozumnych ludzi wykształciwszy, nigdy na pana nie chorował, ale zawsze, aż do śmierci, jak prawdziwy kmieć polski się nosił, jako taki pracował, jako taki żył i umierał. — Słowem, że użyję słów ewangelji św., „mądry i przezorny jak wąż, prostym pozostał zawsze jak gołębica". A że przytem wiernym był synem Kościoła św., dobrym co się nazywa chrześcijaninem katolikiem, przeto też Bóg pracy, trudom i poczciwym zabiegom jego hojną ręką udzielał błogosławieństwa swego; a gdy uznał, że „nad małem będąc wiernym" zasłużył już sobie na to, aby go „nad wielem postanowił i wpuścił do wesela swego", — dał mu też wkońcu śmierć dziwnie piękną, jaka oby każdemu z nas w udziale się dostała. Albowiem gdy po dwutygodniowej ciężkiej chorobie na zapalenie płuc bliskim był już końca doczesnej pielgrzymki swojej, na kilkanaście minut przed samym zgonem sam oświadczył przytomnym, że chwila zejścia jego z tego świata jest bliską, wezwał żonę, by coprędzej pobiegła przywołać rodzinę i sąsiadów.

„A gdy się zebrali, sam sobie kazał podać gromnicę i wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa Pana, sam wezwał obecnych do odmówienia Litanji nad konającymi i wśród odmawiania tejże przez obecnych, krzyż św. do ust i do serca po kilkakroć przycisnąwszy, z palącą się gromnicą w ręku poczciwą i piękną swą duszę Bogu oddał (23 sierpnia r. 1887).

„Gdy takim był i gdy tyle w życiu swem zdziałał i dokazał Jan Kruszka, któż nie przyzna, że był on sługą Bożym i sługą Ojczyzny wielce dobrym i pożytecznym, że zdziałał i dokazał bodaj czy nie więcej, niż się tego ktokolwiek spodziewać po nim miał prawo?

„To też w uznaniu tego wszystkiego co zdziałał i czego dokazał Jan Kruszka, wszystkie stany stosunkowo dość licznie pospieszyły cześć pośmiertną mu oddać. Widzieliśmy mianowicie na eksportacji z domu do kościoła aż sześciu księży okolicznych, oraz kilku większych posiedzicieli ziemskich; nazajutrz zaś, w dzień samego pogrzebu (27 sierpnia 1887) zastęp duchownych, przybyłych celem oddania ostatniej przysługi Janowi, urósł do liczby dziesięciu, zastęp zaś większych posiedzicieli ziemskich przynajmniej o drugie tyle był większym niż dnia poprzedniego.

„Cześć im za to, że człowieka tak dobrze nie samej tylko rodzinie ale i Ojczyźnie całej zasłużonego, uczcić jak się należy nie omieszkali. Ale cześć stokroć większa Janowi, który tak się

rodzinie i krajowi zasłużywszy, przykładem swoim jak najlepiej nauczył nas wszystkich, co to za bogactwa, co to za skarby ta poczciwa, kochana, polska ziemia nasza kryje w swem łonie i jak bardzo ubogacić i pod każdym względem uszczęśliwić jest zdolna tych wszystkich, którzy w niej i około niej poczciwie i umiejętnie pracują.

„To też kończąc to moje niniejsze wspomnienie pośmiertne, sądzę, że najstosowniej je zakończę, gdy przytoczę tutaj prawie dosłownie ustęp z mowy żałobnej nad zwłokami Jana Kruszki wygłoszonej, w której szanowny mówca pogrzebowy bardziej podniesionym i więcej uroczystym głosem w te mniej więcej odezwał się słowa:

„Cześć Ci, Janie! Cześć Ci, poczciwy i zacny kmieciu polski... Obyśmy takich jaknajwięcej mieli! Oby się nam tacy na kamieniu rodzili! Oby każde sioło polskie przynajmiej jednym takim kmieciem poszczycić się mogło, a wtenczas jasno i pogodnie w przyszłość naszą spoglądać byśmy mogli, wtenczas śmiać się tylko i natrząsać byśmy się mogli z tych, którzy na coraz to nowe pomysły wpadają, by nas ziemi ojczystej pozbawić i w żebraków lub sługi żydowskie zamienić, — wtenczas śmiało byśmy mogli mówić: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ (Ksiądz Osiński w broszurze „Jan Kruszka, Wspomnienie pośmiertne“ w Poznaniu r. 1887).

Tyle o preegzystencji w nasieniu i w ziemi. A teraz już o egzystencji na ziemi.

XI.

Podział życia człowieka na siedmiolecia.

W Green Lake, Wis., blisko Ripon, żyła przed laty staruszka zgarbiona, bo blisko stuletnia, którą zaopatrzyłem na śmierć i pogrzebałem. Córka jej, Lisette Eaton, podarowała mi książkę po swej matce. Książka ta była pisana po niemiecku, a córka już nie umiała czytać po niemiecku. Ciekawa ta książka, przeszło dwieście lat stara i w oślą skórę oprawiona, drukowana r. 1715 w Bawarji, nosi tytuł: „Grosse Wunder der Welt“. Autor Feliks Mauer, fizyk i medyk. W tej książce na stronie 51 znajdują się takie wywody: „Astronomowie zwracają uwagę na Klimakteryczne Lata (Anni Climacterici) tak, że co każde siedem lat człowiek ma przechodzić pewne stanowcze zmiany, podobnie jak w chorobach zwykł się obawiać dni krytycznych (dies critici). Takie lata przełomowe, odznaczające się jakimś ważnym wypadkiem, nieszczęś-

ciem, nazywają się także lata stopniowe (Anni Scalares), ponieważ w życiu ludzkiem są tem czem są stopnie w schodach lub szczeble w drabinie. A następują w tym porządku: lata 7, 14, 21, 28, 35, (rok 35 życia jest „szczytem jego łuku", colmo dell' arco, powiada Dante), 42, 49, 56, 63, 70, 77, 84, 91. A pomiędzy tymi wszystkimi, rok 49 i rok 63 są najniebezpieczniejsze, bo z pomnożenia dwóch siódemek i dziewiątki powstają, i jak najuczeńsi pisarze zauważyli, najwięcej ludzi umiera w 63 roku. Z tych powodów starzy ogromnie się tych lat obawiali, jak i po dziś dzień obawiać się zwykli. I jak u Gelliusa w jego 15 księdze czytamy, to rzymski cesarz Augustus tak pisał do swego Cajusa: „Sądzę, żeś 64 rok mego życia a szczególnie dzień urodzin moich tegoż roku z radością celebrował i obchodził, który, jak wiesz, następuje po najniebezpieczniejszym Klimakteryku (63 roku), jaki ja szczęśliwie przeżyłem". Takie są raczej astrologiczne wywody. Fizjologja zaś uczy, że ciało człowieka co siedem lat całkowitej ulega zmianie i odnowie. Czy lub jaki to wpływ wywiera na człowieka?

Nie wchodząc w to, czy i o ile takie klimakteryczne lata mają jakieś znaczenie, z praktycznych względów więcej niż naukowych, podzielę ten mój pamiętnik na siedmioletnie okresy czyli siedmiolecia i nazwię lata:

Poranek życia (wiosna życia):

0— 7 wiek dzieciństwa,
7—14 wiek chłopięctwa,
14—21 wiek młodzieństwa,
21—28 wiek dorosłości.

Południe życia (lato życia):

28—35 wiek dojrzałości,
35—42 wiek męstwa,
42—49 wiek pełni sił,
49—56 wiek przełomu.

Wieczór życia, (jesień życia):

56—63 wiek podeszłości,
63—70 wiek podstarzałości,
70—77 wiek starości,
77—84 wiek zgrzybiałości,
84—91 wiek uwiędu,
po 91 wiek zaniku.

PIERWSZE SIEDMIOLECIE.

(Wiek dziecięctwa od 1868—1875.)

1. Niepamiętne lata.

Z pierwszych trzech lat życia pamiętam tylko ten goły fakt, że byłem na świecie. Ponadto niczego sobie nie przypominam z tej mglistej epoki. Byłem jak gdyby w głębokim śnie pogrążony. I pamiętam, że śniłem; ale nie pamiętam o czem śniłem; Żyłem, rosłem, czułem. I władza rozumu była już wtedy we mnie, ale była tak, jak ziarno dopiero co w wilgotną ziemię wrzucone. Już w pierwszym roku życia zapewne to ziarno rozumu nabrzmiewało i pęczniało, ale jeszcze nie zaczęło kiełkować. Kiedy zaś rozum kiełkować zaczął, czy w drugim czy w trzecim dopiero roku? Nie pamiętam. Zapewne rozum kiełkować zaczął wtedy, kiedy wyszedłem z niemowlęctwa, kiedy przestałem być niemową i mówić zacząłem. Kiedy atoli mówić zacząłem, tego wcale nie pamiętam, jak i innych wypadków z pierwszych trzech lat przypomnieć sobie nie mogę. A stał się wtedy wypadek głośny na cały świat. Gdy miałem dwa lata, wybuchła wojna francusko-niemiecka, na którą poszli i dwaj bracia moi, Antoni i Tomasz. Mnie ten wypadek nic nie obchodził. A choć ta głośna wojna z pewnością często obijała się o moje uszy, to obijała się jednak jak groch o ścianę. Cokolwiek wiem z owych pierwszych trzech lat, to o tem dowiedziałem się później od innych.

I tak wiem z metryki kościelnej i skądinąd, że jako pierworodny z drugiego małżeństwa Jana Kruszki z Józefą Okońską przyszedłem na świat w Sławomierzu w poniedziałek o godzinie 8-mej rano dnia 2 marca roku Pańskiego 1868 i tegoż dnia ochrzcony zostałem w kościele parafjalnym w Gorzycach ręką proboszcza ks. Józefa Westfała. Chrzestnymi byli Jan Stefański i Katarzyna Grajek. Imię Wacław nadano mi za poradą najstarszego brata, księdza Szymona, wówczas jeszcze kleryka bawią-

cego właśnie na plebanji w Gorzycach. Wiem od pani Kłysz z Mill Creek, Wis., podówczas służącej proboszcza w Gorzycach, że proboszcz posłał ją matce do pomocy, i że ona mi pierwszą kąpiel sprawiła. Co dobrzy ludzie, co ojciec, co zwłaszcza matka uczyniła dla biednego człowieka w pierwszych latach, to przechodzi ludzkie pojęcie: za to człowiek nigdy się nie wywdzięczył i wywdzięczyć nie może. Po Bogu rodzice zaiste największymi są dobrodziejami. A już matka przedewszystkiem. Mistrzowie kształcą uczniów, matki tworzą ludzi!... Wiem dalej od matki, że mając półtora roku igrałem przy trumnie jej ojca, i rąk i twarzy zmarłego się dotykając, próbowałem go obudzić ze snu. Wiem jeszcze skądinąd, że ssałem piersi matki niemal dwa lata i że trudno mię było od nich oderwać. Dopiero gdy piołunem potarto piersi, chcąc niechcąc ssać przestałem. Zbyt obfite karmienie sprawiło, że byłem potem ociężały jak niedźwiedź; a lubo już od piersi odsadzony, utyłem, tłuściałem, grubiałem i zaokrąglałem się tak, że chodząc toczyłem się jak baryłka.

To wiem od innych. Sam bowiem, z własnej pamięci, z pierwszych trzech lat mojego życia nic sobie nie przypominam. Chociaż miałem już wówczas wrażenia rozmaite, bo widziałem przecie różne osoby i rzeczy, słyszałem, smakowałem, wąchałem, a zwłaszcza wrażenie zmysłu dotykania doskonale czułem: to jednak przez pierwsze trzy lata żadne z wrażeń nie zapisało się na tablicy pamięci niezatartymi głoskami. Dusza moja przez pierwsze trzy lata była, że użyję wyrazu Arystotelesa, tabula rasa, była tablicą niczem nie zapisaną. Były przelotne wrażenia zmysłowe, ale umysłowych pojęć rozwiniętych, stałych i trwałych, jeszcze nie było. A chociaż po wyjściu z niemowlęctwa kiełkowały już pojęcia umysłowe, to jednak nie zapisały się w pamięci.

Z tych trzech władz duszy: rozumu, woli i pamięci — pamięć najpóźniej kiełkować zaczęła.

2. Pierwsze zapamiętane wrażenia były wojownicze i duchowne.

Pierwsze wrażenia, jakie się wyryły w pamięci mojej tak, że do dziś dnia je pamiętam, datują się dopiero od czasu, kiedy już skończyłem trzy lata życia, to jest od roku 1871. Wówczas to mój brat Antoni (urodz. 11 maja 1849, ojciec Jana z Chicago) powrócił był jako Bartek Zwycięzca z wojny francusko-pruskiej, w której całej od początku do końca brał czynny udział. Gdzie on był, za kogo on walczył i skąd powracał, o tem oczywiście jeszcze wów-

czas pojęcia nie miałem. Ale to sobie przypominam jak dziś, że wrócił do domu w uniformie z błyszczącymi guzikami, z śpiczastą pikelhaubą na głowie, z karabinem w ręku i pałaszem przy boku. I to mi utkwiło w pamięci, jak przypasał mi swój pałasz a ja z tym jego pałaszem dłuższym odemnie i wlokącym się po podłodze, z wielką paradą chodziłem wzdłuż i wszerz pokoju. Sięgałem i po karabin jego, ale że to był za ciężki dla mnie, nie dano mi go. Natomiast kupiono mi kapiszonkowy pistolecik i małą armatkę. Kapiszony, po spuszczeniu kurka, trzaskały głośno i sypały iskry. To mię niezmiernie bawiło. Pamiętam, jak raz strzeliłem, przyłożywszy pistolecik tuż do łba naszego psa, który się nazywał nie inaczej jeno Bismarck. Iskrami ze strzału zasypałem psu Bismarkowi ślepie tak, że aż zaskomlał i przez długi czas patrzeć nie mógł. „Wacek postrzelił Bismarcka!“ — rozległ się triumfalny okrzyk w izbie, z widoczną aluzją do księcia Bismarcka. Lecz ja nie wiedziałem wówczas, że nazwa Bismarcka może oznaczać kogo innego jak psa.

Druga postać, jaka utkwiła mi w pamięci, to postać księdza w sutannie, postać mego brata księdza Szymona, który wówczas już ustawicznie wojował z rządem pruskim. Te dwie postaci odtąd miały największy urok dla mnie. Na pytanie: „Czem będziesz?“ — stale odpowiadałem: „żołnierzem i księdzem“. Śmiano się z takiej odpowiedzi mojej. Lecz mój człowiek myślał, wówczas instynktownie, a dziś świadomie myśli, że można być i jednym i drugim zarazem. Bo można i trzeba być żołnierzem Chrystusowym, można i trzeba zawsze walczyć w obronie prawdy i życia, w obronie wiary i ojczyzny.

Bo życie jest walką — life is strife — od kolebki do grobu jest walką ustawiczną, walką z potęgami materjalnemi i duchowemi. Takiem też było życie moje. Nasamprzód, w dziecięcych latach, na życie moje uwzięły się potęgi materjalne. Wewnętrznych wrogów, czyli chorób, życie moje w dziecięcych latach dzięki Bogu nie miało. A to była bardzo wielka łaska Boża. Bo ileż to dzieci ginie w tej walce z wewnętrznymi wrogami swego organizmu. Więcej dzieci ginie w tej walce niż żołnierzy na wojnie kiedykolwiek zginęło. Mnie Pan Bóg dał zdrowy i silny organizm, byłem korpulentny, tłusty i gruby. Za to grubasem mię nazywano, a raczej przezywano, gdyż nazwę grubas uważałem zawsze za śmiertelną obrazę mojej „wielkiej“ osoby, tak dalece, że gotów

byłem bić każdego, kto na mnie grubas wołał. Przezwisko to, o ile wiem, pierwsze jakie mi w życiu dano, utkwiło mi głęboko w pamięci.

Będąc silnym wewnątrz, za to zewnętrznych wrogów życia miałem wielu. Wszystkie żywioły, rzekłbyś, ziemia, ogień, woda i powietrze, spiknęły się na moje życie w tych latach dziecięcych. Raz wybiegłem na środek drogi i bawiłem się w piasku. Automobilów, chwała Bogu, jeszcze nie było. Ale parobek z pola wracał z próżnym wozem. Koń stanął przedemną siedzącym na środku drogi, lecz parobek, nie widząc mnie, podciął konia. Koń grzecznie przekroczył przezemnie, nie dotknąwszy mnie kopytem; ale za to koło próżnego wozu przejechało przez głowę moją. Każdy myślał, że koło już zgniotło głowę moją. Gdzie tam. Głowa twardą była i nie dała się zgnieść.

3. W ogniu i we wodzie.

Od ognia groziło mi niebezpieczeństwo, gdym liczył prawie cztery lata. W zimie r. 1872 straszliwy pożar wybuchł u sąsiada Rochowiaka. Późno już wieczorem poszedł on z latarnią do obory. Latarnia się przewróciła, grochowina się zapaliła, Rochowiak gasił jak mógł, poparzył się tak, że miał potem bąbole na rękach i twarzy, ale ognia w zarodku stłumić nie zdołał. Zajął się dach słomiany i płomienie wybuchły na wierzch. Szalony wicher dął tej nocy i w okamgnieniu płomienie ogarnęły najpierw oborę, stajnię, chlew, stodołę i dom nasz, a potem niemal całą wieś. Dom nasz stał już w płomieniach, kiedy rodzice się obudzili ze snu. Ojciec co tchu pobiegł do stajni obudzić parobków. Powypuszczali konie ze stajni i bydło z obory. Świnie się spaliły. Owczarnia ojca była na szczęście na drugiem gospodarstwie, na wschodniej stronie wsi, gdzie ogień nie sięgnął. Tak zwana pańska owczarnia z 500 owcami spłonęła do szczętu, gdyż owce zbiły się w kupę i wyjść nie chciały. Koń jeden z naszej stajni też wyjść nie chciał i dopiero go parobcy gwałtem wyciągnęli drągami. Inne konie jak i krowy i woły, aż rwały się do ucieczki przed ogniem spadającym ze słomianych dachów. Pospuszczane z łańcuchów, to rżąc, to rycząc, z płonących budynków wybiegały pędem szalonym het za wieś aż do lasu.

Matka, obudzona kiedy już płomienie były w oknach, wybiegła z palącego się domu niosąc na ręku młodego mojego brata

Stanisława (urodzonego roku 1870). O mnie myślała, że obudzony rykiem, krzykiem i trzaskiem sam wstałem z łóżka i uciekłem. Mój człowiek tymczasem leżał jeszcze w łóżku, śpiąc snem twardym, chociaż już dym i płomienie weszły do wnętrza izby. Pod mojem łóżkiem leżał pies, widać także twardo spał, bo się spalił. Gdzie Wacek? — wołała stroskana matka do dziewki. Oglądano się za mną na około, lecz nigdzie nie było widać. Może jeszcze śpi — krzyknęła dziewka i, wbiegłszy do wnętrza domu, zniknęła w kłębach dymu. Po chwlii ukazała się na progu płonącegoo domu, trzymając mię na rękach swoich. Suknie i warkocze jej się opaliły, ale mnie wyratowała. Obudzony nagle i wyrwany z ciepłego łóżka na mroźne powietrze, krzyczałem w niebogłosy, co ona robi, czemu mi nie da spać, ja chcę iść napowrót do łóżka. Na drogę wyprowadzony, dopiero przetarłem oczy. Owe fale ognia i wiatrem gnane płomienie wśród ciemnej nocy wywarły na mojej dziecięcej wyobraźni tak silne wrażenie, że je dziś jeszcze żywo pamiętam i zapamiętam póki żyć będę. Okiem duszy jeszcze dziś widzę wystraszone bydło i konie z rozwianemi grzywami uciekające przed ogniem. Naprzeciw domu mieliśmy obszerny sad. Tam zaniesiono mię jako w bezpieczne miejsce i przykryto pierzyną. Pamiętam, jak schowawszy głowę pod pierzynę, czułem się zupełnie bezpiecznym i nie bałem się niczego. Ale skoro tylko odsłonięto mi głowę, widok ognia znowu przerażał mnie. Gdy mię napowrót przykryto, zaraz przestałem się bać, po dziecinnemu sądząc, że kiedy nie widzę ognia, ogień mi nie grozi.

Oprócz pożaru jeszcze jedno widowisko z czwartego roku życia przypominam sobie żywo i wyraźnie, mianowicie, jak stado wzdętych krów przypędzono z świeżej koniczyny i na podwórzu nożami je żgano, żeby nie popękały.

W następnym roku 1873 znowu inny żywioł, żywioł wody zagrażał mojemu życiu. W naszym sadzie, ogrodzonym sztachetami, znajdował się staw kilka stóp głęboki. Mój rówieśnik, Michał Okoński, syn sąsiada, bawił się ze mną zawsze i towarzyszył mi wszędzie. Przeprawialiśmy się przez sztachety do sadu. Stojąc już na sztachetach i mając zeskoczyć do sadu, mój towarzysz nagle zaproponował taki zakład: kto z nas dalej skoczy, ja czy on. Przy sztachetach była murawa, a za murawą jakie dziesięć stóp był staw. Mój towarzysz pierwszy zeskoczył. Ja chcąc go prześcignąć, skoczyłem o wiele dalej od niego, ale zarazem wywróciłem koziołka i, będąc grubym a okrągłym jak baryłka, potoczyłem się do stawu

i z pluskiem wpadłem do wody. Chcąc wołać o ratunek, otworzyłem usta; ale zamiast głos wydawać, wodę połykałem. A im bardziej rozdzierałem usta, by wołać o pomoc, tem obficiej woda wpływała przez gardło do brzucha. Chwytałem się brzegu, chcąc się wygramolić; ale trawa się urywała i wpadłem w głębię. Mój towarzysz, zamiast mię ratować, przelękniony uciekł. Byłem już bez nadziei wyjścia z tej toni. Brzuch mi tak napęczniał od wody, że jedna minuta dłuższego topienia się byłaby mię niechybnie przyprawiła o śmierć. Ale tam w księgach niebieskich śmierć nie była mi jeszcze zapisaną. Trzeba było, że dziewka nasza na przeciwnym brzegu stawu prała właśnie bieliznę, nadbiegła w sam czas i wyratowała mię. Moja starsza siostra Agnieszka (urodz. 16 kwietnia 1854), słysząc co się stało i widząc, jak mię dziewka niesie przemokłego z głową do góry, zawołała: „Nieś go głową na dół i gnieć mu brzuch!“ to gdy dziewka uczyniła, struga wody popłynęła z ust moich. Siostra Agnieszka, zdjąwszy ze mnie mokrą odzież, położyła mię do łóżka; a ja ze łzami tylko o to ją błagałem, żeby o tem całem mojem zajściu nic nie mówiła ojcu. I przespawszy się, byłem zdrów.

Ojciec miał dwa zabudowania gospodarskie. Jedno na wschodniej stronie wsi, odziedziczone po przodkach, a drugie dokupione (nie pamiętam kiedy) na zachodniej stronie. Tę odwieczną siedzibę rodziny Kruszków na wschodniej stronie wsi, tę starą struchę, bo słomianym dachem pokrytą chałupę, w której mój człowiek i moi przodkowie od niepamiętnych lat się rodzili, ojciec chciał rozwalić, by na jej miejscu postawić nowy z cegły, murowany dom, pokryty czerwoną dachówką. W tym celu przeprowadziliśmy się do chałupy na zachodniej stronie wsi. A kiedy rozwalono stary dom na wschodniej stronie i położono fundamenta pod nowy, wtedy i zabudowania na zachodniej stronie wraz z tymczasowem mieszkaniem spłonęły doszczętnie w owym pożarze, który powyżej opisałem. W jakie dwa lata po tym pożarze, gdy już sprowadziliśmy się do nowozbudowanego domu na wschodniej stronie, powstał w Sławomierzu drugi pożar, w którym i na wschodniej stronie spłonęły zabudowania, z wyjątkiem nowego domu, który ocalał dzięki temu, że był murowany i dachówką pokryty.

Ten drugi pożar wszczął się na folwarku „u pana“. Noc, której ten pożar powstał, była zupełnie cicha, spokojna, najmniejszego wiatru nie było. Sam „pan“ przyszedł do gospodarzy i uspokajał ich, że ich zabudowaniom nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Ogień

powstał w „pańskiej“ stodole, ogromnej, kilkaset stóp długiej, a całej napełnionej zbożem z pola przywiezionem. Gdy już cała stodoła pańska spłonęła w płomieniach, ponieważ najmniejszego wiatru nie było, olbrzymi słup ognia wznosił się prosto ku niebu, a tak wysoki, że zdawał się dotykać sklepienia niebios. Niczem nowoyorskie drapacze nieba (sky-scrapers) wobec tej kolumny ognia w Sławomierzu. Tak wielką była łuna, czyli odbicie się na niebie płomieni tego nocnego pożaru, że nietylko w Żninie (5 mil amerykańskich oddalonego od Sławomierza), ale i w Gnieźnie (25 mil) myślano, że pożar musi być gdzieś blisko. I z Gniezna wybrały się sikawki na ratunek, ale niestety przekonały się, że ta „bliskość“ była fata morganą czyli złudzeniem. Pomiędzy ojca zabudowaniami a folwarkiem pana były zabudowania Napierały. Płonąca stodoła pańska była o jakie dwieście stóp oddalona od stodoły Napierały. Ponieważ nie było najmniejszego wiatru i płomienie szły prosto w górę, sądzono z początku, że niema najmniejszego niebezpieczeństwa, by płomienie się przeniosły na stodołę Napierały. Aliści, choć nie płomienie, to żar i gorąco się przeniosło. Chłopi wprawdzie weszli z wiadrami na dach stodoły Napierały i wodą obficie zlewali i ścianę i dach. Nic to nie pomogło. Takie gorąco było od płonącej stodoły pańskiej, że nagle stodoła Napierały stanęła w płomieniach. A wtedy już nie było mowy o ratowaniu ojca zabudowań, które tuż przytykały do zabudowań Napierały. Tak jak na zachodniej stronie, dwa lata temu, tak teraz tu na wschodniej stronie spłonęły ojcu i stodoła pełna niewymłóconego zboża (a to nie było zabezpieczone) i stajnia i owczarnia i obora i chlewy. Dom tylko nowy ocalał. Ale ja teraz, choć dom nie był w niebezpieczeństwie, uciekałem z domu jak najprędzej. Pamiętając pierwszy pożar, byłbym uciekał w nocy niewiedząc jak daleko poza wieś, gdyby karczmarka przy końcu wsi nie była mię zatrzymała i do siebie na noc nie wzięła.

Nazajutrz widziałem ojca siedzącego przy stole z głową wspartą na ręce. Siedział, dumał, patrzał, a nic nie mówił, ani słówka. Matka płakała. Jemu ani łezka z oczu nie spadła. Matka narzekała. On ani słówka nie wyrzekł. Matka go pytała, on jej nic nie odpowiadał. Siedział tak, pamiętam, milczący i nieruchomy przez jakie pięć godzin. A potem, jak gdyby nic, zażywszy tabaki, wstał i poszedł na podwórze, wydawając czeladzi rozkazy jak zwykle. Potem kazał konie zaprząc i pojechał po cieśli i mularzy, by nowe budynki stawiali. I stanęły niebawem: nowa stodoła,

stajnie, owczarnia, obora i chlew. A wszystkie te budynki masywne i dachówką pokryte, a nie słomą, jak dawniej bywało.

4. Pierwsze nauki w domu i szkole.

Te nieszczęśliwe wypadki i straty zniewoliły ojca do odwołania Michała ze szkół wyższych. Studjował on do roku 1873 w odległym Wieluniu, a potem rok w pobliskim Wągrówcu. Gdy Michał i Józef z Wielunia jeszcze powracali na wakacje do domu, ojciec wyjechał po nich do najbliższej stacji kolejowej i mnie także zabrał ze sobą. Najbliższa stacja kolejowa podówczas była w Nakle, mieście nad Notecią, jakie 25 mil amer. na północ od Sławomierza. Pierwszy raz w życiu tak daleką podróż odbyłem, i pierwszy raz w życiu tam w Nakle zobaczyłem pociąg kolejowy. Gdy pociąg się zbliżał do stacji, ja w nogi. Bałem się, że mię przejedzie; chciałem mu z drogi ustąpić. W niedzielę szliśmy trzy mile do Gorzyc, do kościoła pieszo. Ojciec i koniom w niedzielę dawał odpoczynek. Michał brał mię wtedy za jedną rękę, a Józef za drugą, i tak mię prowadzili za ręce do kościoła, choć Michał i Józef nie byli moimi rodzonymi braćmi.

Miałem ośmiu przyrodnich braci a jednego tylko rodzonego; miałem trzy siostry rodzone a jedną przyrodnią. Najstarszym był Szymon, urodzony 4 paźdz. 1844; potem Tomasz, ur. 14 grud. 1847; Antoni ur. 11 maja 1849; Szczepan ur. 8 grudnia 1851; Agnieszka ur. 16 kwietnia 1854; Wincenty ur. 16 stycznia 1856; Michał ur. 28 września 1860; Józef ur. 25 listopada 1862. Ich matka, Anna Kluczyńska, umarła roku 1866 na cholerę, która w tym roku wojny austrjackiej grasowała po całym kraju. Miałem jeszcze półbrata, Marcina Domagałę, syna mojej matki z jej pierwszego małżeństwa. Mój jedyny rodzony brat, Stanisław, przyszedł na świat r. 1870, a moje siostry rodzone: Helena ur. 21 lutego 1873; Anna 23 sierpnia 1875 i najmłodsza Jadwiga ur. 23 sierpnia 1881. Między najstarszym a najmłodszym z nas była więc różnica 37 lat. Wszyscy jednak żyli ze sobą jak rodzeni bracia i rodzone siostry. W stosunkach wzajemnych nie było różnicy między rodzonymi a przyrodniemi dziećmi. Gdzie liczna rodzina, tam liczne stosunki. A liczne stosunki rozwijają umysł wszechstronnie. Czego jeden nie wiedział, to drugi mu powiedział. Czego jeden nie mógł, drugi mu pomógł. Młodsi starszym pomagali, a starsi młodszych powiadamiali. Bo gdyby młodość wiedziała, a starość mogła, byłoby dobrze na tym świecie. Lecz niestety, młodzi nie wiedzą lepiej,

a starzy nie mogą więcej. Stąd źle na świecie. Skarżymy się dziś powszechnie na upadek moralny w społeczeństwie. Fundamentem społeczeństwa są rodziny i domy pojedyńcze. Gdy one się odrodzą, lepsze czasy i dla społeczeństwa nastąpią. Dom rodzinny to grunt, to podstawa, to fundament społeczeństwa. Dom, to instytucja zasadnicza. Wszystkie inne instytucje na świecie, jak szkoła, państwo, Kościół, to są instytucje pomocnicze, które pomogą domowi, jeśli dom sam sobie pomaga, ale domu nigdy nie zastąpią. Pierwsza szkoła, pierwszy kapitol i pierwsza świątynia, to dom rodzicielski. Czyli jak się wyraża biskup Krasicki:

Rodzina — to kolebka i cnót wszystkich zaród,
Z niej wyrasta co tylko ma świętego naród.

Prócz pacierza nauczono mię w domu czytać już dość wcześnie. Gdy miałem lat pięć, umiałem czytać ogłoszenia drukowane dużemi literami w gazetach. Uczył mię najczęściej Wincenty, który w gospodarstwie był prawą ręką ojca. Za dnia nie mając czasu, uczył mię wieczorami. I pamiętam, nieraz oczy mi się kleiły do snu, płakałem; lecz płacz mi nic nie pomógł, swoją godzinkę musiałem na czytaniu spędzić.

Z przyrodzenia miałem język zbytnio przyrosły, i to sprawiało mi pewną trudność w mówieniu. Może tę trudność odziedziczyłem po ojcu, który przez całe życie swoje miał tę językową wadę, że litery **r** nie mógł wymawiać i w mowie (a był wogóle małomównym) unikał o ile możności wszelkich wyrazów, w których litera **r** zachodziła. Dlatego wszystkie jego dzieci: Szymek, Tomek, Antek, Szczepan, Jagusia, Wicek, Michał, Józia, Wacek, Stachu, Helena, Anna i Jadwiga — miały imiona bez litery **r**. Ażeby usunąć moją wadę językową już za młodu, mój brat doktor Tomasz razu pewnego użył następnego podstępu. Pokazał mi karmelek, kazał usta szeroko otworzyć i język podnieść do góry. Uczyniłem tak, bo myślałem, że mi włoży karmelek do ust. Tymczasem ukryty w jego dłoni nożyk czy nożyczki w okamgnieniu przecięły moją błonę językową. Poczułem ból i krzyczałem, lecz odtąd język mój był wolny od więzów przyrodzonych.

Mając lat sześć, z wiosną roku 1874, zacząłem chodzić do szkoły w Gorzycach, wsi do trzech mil amer. odległej od Sławomierza. Piaszczyste, na szczytach wrzosem porosłe pagórki, które w drodze do szkoły przechodziłem, wydawały mi się w dziecięcej wyobraźni największemi górami na świecie. Górami też sławo-

mierskiemi je nazywano i od tych gór początek wzięła nazwa przyległej wsi Gorzyce, które pierwotnie Górzyce wymawiano i pisano. Przyległy las sosnowy, koło którego idąc do szkoły, przechodzić musiałem, napełniał mię zabobonnym strachem, żywa dziecięca wyobraźnia w nieznanych tajemniczych głębiach tego boru widziała zawsze ukrytych zbójców, cyganów, upiorów i tym podobne straszydła. Ukazał się na brzegu lasu dziad z torbą, a my dzieci szkolne w popłochu uciekaliśmy przez piaszczyste górki, że aż się kurzyło za nami. W zimie, nie tyle dla zahartowania się, ile dla brawury, nieraz zdejmowaliśmy buty i boso po śniegu biegaliśmy na wyścigi. A kto najdłużej w śniegu boso wytrzymał, był bohaterem dnia. W żołnierzy się bawiliśmy i na górach sławomierskich formalne staczaliśmy bitwy. To okopy, to fortece lub obozy, to pochody wojenne urządzaliśmy według wzoru manewr pruskich, jakieśmy rok przedtem w owych okolicach widzieli.

Szkołę gorzycką miał pod swojem kierownictwem stary i jak gołąb siwy nauczyciel Krzewiński, z nieodstępną trzciną pod pachą, a z tabakierką i czerwoną chustką w ręku. Pierwszy dzień w szkole pamiętam doskonale, a to z następującego powodu: Nauczyciel wypisawszy kredą na tablicy pięknie zaokrąglone zero, czyli jajowate kółko, kazał nam takie samo zero na tabliczkach naszych pisać tak długo, aż zapiszemy całą tabliczkę. Wziąłem więc rysik do ręki i wpatrzywszy się w piękny wzór na tablicy podany, zacząłem powoli kreślić pierwsze zero. Z góry na dół kreśliłem je dość okrągło, ale z dołu do góry poszło krzywo i kanciasto. Drugie zero, trzecie i czwarte nie lepiej wypadły. Niezrażony, próbowałem dalej, oczy co chwila podnosząc ku tablicy na wzór, jaki nam nauczyciel podał. Dalsze zera wypadły nieznacznie lepiej. Ale przy samem zakończeniu czyli zaokrągleniu zera, zawsze jeszcze ręka mi nie dopisywała. Wyglądały moje zera jakby jaja z wgniecionym u góry czubkiem. Zapisawszy całą moją tabliczkę, zacząłem teraz bliżej zastanawiać się i porównywać moje nieforemne zera z owym pięknym wzorem, skreślonym przez nauczyciela na tej dużej tablicy. A im więcej porównywałem, tem bardziej zacząłem się wstydzić, że nie potrafię napisać tak doskonałego zera jak nauczyciel. Wreszcie ze wstydu zacząłem płakać, potem głośno szlochać. Nauczyciel: Czego płaczesz? Bo nie umiem tak pisać jak pan nauczyciel. Nauczyciel nic nie mówiąc, wziął moją tabliczkę i przejrzał moją pisaninę. Potem przejrzał po kolei tabliczki innych uczniów. Nareszcie zwrócił się do mnie

i rzekł: „Nie płacz, Wacław, tyś najlepiej ze wszystkich napisał!“ To mnie upadłego na duchu odrazu podniosło i do dalszej nauki zachęciło. Umiał poczciwy nauczyciel człeka pocieszyć w smutku i dodać otuchy.

5. Szkoła przeciwności.

Najbieglejszy mistrz tyle nauczyć nie zdoła, ile nauczy twarda przeciwności szkoła. Ani nauczyciel w Gorzycach, ani uczący mię bracia inni w domu tyle mię nie nauczyli, ile nauczył mię najstarszy mój brat ksiądz Szymon. Nie słowem, lecz przykładem. A jakim przykładem? Oto, że ciągle był prześladowany, a prześladowania te mężnie a nawet radośnie znosił. Widziałem go poniewieranego, wyrzucanego, więzionego; a jednak zawsze uśmiechniętego i wesołego. To mię nauczyło tej wielkiej prawdy, że można być prześladowanym a jednak być szczęśliwym. I kto go poniewiera, wyrzuca i więzi? — pytałem z dziecięcą ciekawością. Odpowiedziano mi: Niemcy albo Prusacy. A ja sobie w duszy dopowiadałem: To muszą być źli ludzie ci Niemcy albo Prusacy, kiedy oni dobrego brata mego poniewierają, wyrzucają a nawet w więzieniu osadzają.

Oto nauka, jaką na całe życie moje wpoił we mnie ksiądz Szymon. A wpoił w dziecięcy mój umysł w najprostszy i najdoskonalszy sposób, mianowicie przez przykład. Mój człowiek wówczas jako dziecię pięcio- i sześcioletnie, jeszcze pojęcia nie miał o prawach majowych i kulturkampfie. Alem te trzy nauki już wtedy pojął: po pierwsze, że można być we więzieniu a jednak śmiać się i czuć się szczęśliwym. powtóre, że Niemcy albo Prusacy muszą być złymi ludźmi, po trzecie, że mego brata poniewierają i wyrzucają dlatego, że jest Polakiem; i do więzienia wsadzają go za to, że jest księdzem. Najbieglejsi mistrzowie po katedrach we Wieleniu, Wągrówcu, Starejwsi, Tarnopolu, Rzymie i Krakowie tyle mię nie nauczyli, ile ta jedna „twarda przeciwności szkoła“ księdza Szymona.

Ksiądz Szymon studjował w gimnazjach najpierw w Trzemesznie od 1855—63, potem w Inowrocławiu, skąd r. 1866 po złożeniu abiturjenckiego egzaminu wstąpił do seminarjum w Poznaniu i w Gnieźnie, gdzie 12 marca 1870 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Zaraz po prymicjach został wysłany jako wikarjusz do Wielunia nad Notecią na wstrzymanie germanizacji, jaką tam na kresach uprawiał proboszcz ks. Schroeder. Za ks. Schroedera nauczyciele znieśli język polski w szkole miejskiej we Wieluniu, chociaż istniało

rozporządzenie, że nauka języka polskiego ma być udzielana dwa razy na tydzień. Ksiądz Szymon, choć był wikarym tylko, o to prawo się upomniał i je też wkońcu przeprowadził. Założył także bibljotekę polską, sprowadził patrjotyczne książki i śpiewniki, za co później był procesowany. Po roku ks. Schroeder został usunięty z probostwa, a ks. Szymon został administratorem parafji. Wikarymi jego byli: ks. Wenzel, ks. Scholz i ks. Jan Radziejewski, późniejszy proboszcz parafji św. Wojciecha w Chicago. Jako administrator ks. Szymon założył także niemiecką bibljotekę dla niemieckich katolików, między innemi sprowadzając powieści Bolandena, za które również później był procesowany. Dotychczas inspektorem szkoły bywał ksiądz. Lecz roku 1872 sejm pruski uchwalił prawo, że w miejsce księdza może być świecki inspektor. I pierwszą ofiarą nowego prawa padł ks. Szymon. Odebrano mu inspekcję szkolną. Nadto tegoż r. 1872 dwa razy zrobili Prusacy u ks. Szymona rewizję, zabrali jemu i ks. wikaremu polskie patrjotyczne śpiewniki i pisma Bolandena. Na podstawie tych książek wytoczyli ks. Szymonowi proces. W marcu r. 1873 Prusacy skazali ks. Szymona na dwa miesiące więzienia za „obrazę majestatu" i na 6 tygodni więzienia za „naruszanie spokoju publicznego". Za przekroczenie „kanzelparagrafów" procesowano go także, na owych sławnych terminach w Trzciance (Schoenlanke), ale ks. Szymon tym razem wydobył się z matni.

Tymczasem na wakujące we Wieluniu probostwo (ks. Szymon był tu tylko administratorem) patron Niemiec, hrabia von Schulenburg, dał prezentę ks. Arendtowi. Więc ks. Szymona władza duchowna przeniosła na inne miejsce. Atoli właśnie wtenczas parlament niemiecki ukuł tak zwane „prawa majowe", mocą których władza duchowna bez pozwolenia rządu nie mogła obsadzać probostw. Zaczął się wtedy właśnie ów słynny „kulturkampf". Ofiarą tego kulturkampfu pierwszy padł ks. Szymon. Arcybiskup Ledóchowski, ignorując nowe prawo majowe, dał 16-go czerwca 1873 księdzu Szymonowi nową posadę w Krobi, którą ks. Szymon miał objąć 1 lipca. Gdyby ks. Szymon był przeniesiony do Krobi o miesiąc wcześniej, przed ogłoszeniem praw majowych, nie byłby go rząd napastował. Ale tak — najpierw z Krobi zaraz we wrześniu 1873 wzięto go do więzienia we Wieleniu, gdzie przez wrzesień, październik i listopad odsiadywał za rozdawanie książek i śpiewników polskich i innych katolickich. Potem w Krobi zakazano mu odprawiać nabożeństwa, dlatego, że bez pozwolenia

rządu objął tę posadę. Za każde odprawione w Krobi nabożeństwo wytaczali mu procesa co miesiąc i zasądzili na 14 miesięcy więzienia, za cały czas odprawiania nabożeństw w Krobi od września 1873 aż do maja 1874. Wtedy to, w maju 1874, uwięzili go znowu i zawieźli do Koźmina, gdzie z księdzem Kinowskim siedział półtora miesiąca.

Nawiasem mówiąc, ks. Szymon we więzieniu zwykł był piłką wyrabiać prześliczne krzyże, które potem jako cenne pamiątki przechowywały się w domu rodziców i w domach innych krewnych i przyjaciół. Z więzienia w Koźminie musieli go po 6 tygodniach wypuścić, gdyż inne wyroki (a było ich prawie tuzin) nie były jeszcze — wskutek apelacji — prawomocne. Ale wypuszczony z więzienia, ksiądz Szymon zaraz skazany został na banicję, to jest na wygnanie nie tylko z Poznańskiego, lecz i z Śląska, Prus Wschodnich i Zachodnich i części Brandenburgji, tak, że miał większą banicję niż sam arcybiskup Ledóchowski. Uważano go bowiem za „bardzo niebezpiecznego“ dla państwa pruskiego!

Niebawem, w ciągu lata 1874, te drugie wyroki stały się prawomocnemi. Ale ks. Szymon ukrywał się w ubiorze świeckim, z zapuszczoną brodą, pracując jako kapelan i guwerner u państwa Radońskich w Słupowie pod Kcynią od jesieni 1874 do Nowego Roku 1875. Kiedy go tu policja pruska wytropiła i najeżdżała, musiał stąd się wynosić i szukać innych kryjówek.

Tułał się owej zimy z kąta w kąt. Żandarmi go szukali wszędzie. Podczas tej swojej tułaczki po Poznańskiem, w styczniu czy w lutym roku 1875, raz ks. Szymon zawitał do domu ojca w Sławomierzu. Po rozmowie z ojcem siadł, wziął gazetę i czytał. Była to już godzina 9 wieczorem. Na dworze ciemno i zawierucha śnieżna. Nagle ks. Szymon zrywa się, wstaje z krzesła, rzuca gazetę, chwyta za czapkę i futro. „Dokąd chcesz iść?“ pyta go ojciec. „Do Gorzyc!“ (do proboszcza ks. Westfala.) „Czy nie możesz zaczekać do jutra? Teraz noc, śnieg i zimno.“ „Muszę zaraz, mam pilny interes.“ „To zaczekaj, każę ci zaprząc konie, bo przez zaspy śnieżne pieszo nie przejdziesz.“ „Nie mogę tak długo czekać“ — odpowiedział ks. Szymon, trzasnął drzwiami i wyszedł. Nie upłynęło pięć minut po jego wyjściu, aż tu do domu wali się czterech żandarmów pruskich. Pytają o księdza Szymona. Niema go tu. Nie wierzą. Więc przeszukują cały dom, zaglądają do każdego kąta. Młodszego brata Wincentego, wyglądem nieco podobnego do ks. Szymona, już chcieli aresztować. Wreszcie nie zna-

lazłszy ks. Szymona nigdzie, poszli sobie jak przyszli. Później ks. Szymon nam opowiadał, że spotkał tych żandarmów, jadących na koniach, w drodze; ale że było ciemno, więc albo go nie spostrzegli, albo nie przypuszczali, żeby on, ksiądz, w nocy gdzieś pieszo szedł w śniegu. Prawie cudownem było to przeczucie, które kazało ks. Szymonowi tak nagle wyjść z domu. Gdyby był czekał, aż ojciec każe mu zaprząc konie, byliby go żandarmi złapali.

W czasie tej tułaczki ks. Szymon sprawował jeszcze ciekawy swojego rodzaju urząd kościelny, mianowicie doręczał klątwy kościelne księżom „rządowcom", tak zwanym, którzy od rządu probostwa przyjmowali, a raczej renegatom, którzy za tłuste probostwa zaprzedali się Niemcom. (Ks. Kubeczak, ks. Lizak, ks. Czerwiński i inni renegaci.) Ścigany przez żandarmów świeckich, ks. Szymon sam był coś w rodzaju żandarma kościelnego. Władza kościelna (arcybiskup Ledóchowski i inni biskupi Polacy) wyklęła tych księży rządowców. Ale żeby klątwa kościelna była prawomocną, podług prawa kanonicznego, trzeba ją doręczyć winowajcy. Ten niemiły i niebezpieczny urząd doręczania klątew włożyła władza kościelna na ks. Szymona. Przygód miał przytem wiele i rozmaitych. Raz stanąwszy na noc u pewnej zaufanej rodziny, by nazajutrz doręczyć klątwę miejscowemu proboszczowi, spotkał się niespodzianie z żandarmem pruskim. Gospodarz domu, który ks. Szymona gościł, nie chcąc, by żandarm podejrzywał ks. Szymona, co on zacz i skąd i poco tu przyjechał, nie tracąc fantazji, przedstawił żandarmowi ks. Szymona (ubranego zresztą po świecku) jako narzeczonego swojej córki. Żandarmowi ani na myśl nie przyszło, że to był przebrany ksiądz.

Na Wielkanoc roku 1875 ksiądz prałat Koźmian, będący w czasie nieobecności arcybiskupa Ledóchowskiego (który podówczas siedział zamknięty w pruskiem więzieniu w Ostrowie) tajnym rządcą diecezji w sprawach kościelnych, wysłał księdza Szymona do Kamiennej (Kaehme) pod Międzychodem, gdzie ks. Szymon miał w samą Wielkanoc rzucić (a raczej doręczyć) klątwę na księdza Kicka, Niemca, rządowca; ale ponieważ policja przeszkodziła temu, żeby ks. Szymon mógł się porozumieć z ks. Koźmianem względem rzucenia tej klątwy w dzień wielkanocny, więc zaraz po Wielkanocy r. 1875 ks. Szymon wyjechał do Galicji.

Ten wyjazd jego do Galicji, połączony z wielkiemi trudnościami, pamiętam doskonale: albowiem żegnając się, dał mi ksiądz Szymon nową świecącą monetę (wówczas nowe pieniądze w Pru-

sach nastały), która, o ile że nowa była i błyszczała, podobała mi się bardzo. Pamiętam, jak do rodziców mówił: „Bylebym się dostał do Poznania, stamtąd już łatwo umknę...“

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie te wszystkie awantury z księdzem bratem moim wywarły na młodocianym moim umyśle, mianowicie to wrażenie: że stan kapłański to stan bezgranicznego poświęcenia się i ofiar, a nadto, że księdza Polaka to prześladują i nienawidzą Niemcy!... I za co jednego z naszych braci tak prześladują? Przecie jeden z naszych braci, Antoni, jako żołnierz bił się za nich, Niemców, w całej wojnie francusko-pruskiej; drugi, Tomasz, jako doktor służył w tej wojnie z narażeniem życia, a oni, Niemcy, jak się za to rodzinie naszej wywdzięczyli? Oto najstarszego brata, ks. Szymona, prześladują, do więzienia wtrącają, na wygnanie skazują. I za co? Za to, że wiernym pozostaje mowie i wierze swoich ojców. Więc chłopięcym rozumem moim doszedłem wtenczas do takiego wniosku, że muszą to być psiawiary, ci Prusacy. Widząc braci moich, jednego żołnierzem, drugiego księdzem, od najmłodszych lat na pytanie: czem będziesz? odpowiadałem zawsze: żołnierzem i księdzem! Żołnierzem? by służyć tym psiawiarom Prusakom? Nigdy! Wolę księdzem, czyli żołnierzem Chrystusowym zostać, choćby mię te Niemcy tak miały prześladować, jak ks. Szymona! Tyle wówczas mój chłopięcy rozum pojmował. Bo zresztą o świecie ani o polityce wielkiego świata pojęcia jeszcze nie miałem...

DRUGIE SIEDMIOLECIE.

(Wiek chłopięctwa od 1875—1882.)

1. Na łożu boleści i na łonie matki natury.

Skończywszy lat siedm, wstąpiłem istotnie w rok krytyczny dla życia mego. Od palącej mię gorączki czyli febry, tyfusem zwanej, życie moje wisiało na włosku.

Pewnego dnia wróciłem ze szkoły gorzyckiej ociężały, znużony, ospały. Rzuciłem tabliczkę i elementarz, siadłem na stołek i, oparłszy mą głowę jak ołów ciężką o poręcz stołka, zasnąłem snem głębokim. Co się potem ze mną działo, nie pamiętam; wiem tylko z opowiadania matki. Śpiącego i w gorączce majaczącego położyli mię do łóżka i zawołali doktora. Doktor orzekł, że mam tyfus. A na drugi czy trzeci dzień zawyrokował, że niema dla mnie nadziei dłuższego życia. Trawiąca bowiem gorączka zbyt groźne przybrała rozmiary. Przez siedm dni leżąc nieprzytomny, prócz mleka, żadnego innego pokarmu nie przyjmowałem. Majaczyłem. Więc dzień i noc musiano mię pilnować. Śniąc i bredząc, że naprzykład jestem z ojcem na polowaniu albo że owce pasę, wołałem na psa, szczułem, zrywałem się z łóżka i chciałem uciekać z domu. Przy jednej sprawie, opowiadają, byłem wyjątkowo spokojny i jakby przytomny. Mianowicie wieczorem, gdy zapalono lampę w pokoju, ja regularnie w ciągu tej gorączki, jakby odzyskując chwilową przytomność, podnosiłem się nieco z łóżka, przeżegnałem się i odmówiłem pacierz. Potem znów zapadałem w głęboki niespokojny sen, pełen gorączkowych marzeń i majaczeń. Po siedmiu dniach gorączka ustąpiła, przytomność wróciła i wrócił apetyt.

Ale dwa tygodnie jeszcze minęło, zanim o własnych siłach chodzić mogłem. Ta śmiertelna choroba wycieńczyła mię cieleśnie i — zdaniem gorzyckiego nauczyciela — przytępiła znacznie mój

umysł. Już potem nie byłem tym tłustym, pucołowatym i bystro pojmującym chłopakiem, co przedtem.

Chodziłem do gorzyckiej szkoły jeszcze dwa lata. Do próżnowania w Sławomierzu czasu nie było. Przyszedłszy ze szkoły, mój człowiek musiał pasać raz gęsi, drugi raz owce, to znowu świnie, a inny raz krowy. Kiedy zaś nadeszło lato i wakacje, człowiek spędził w polu na pastwisku cały boży dzień od wschodu słońca aż do zachodu. A słońce tam świeci w lecie dłużej niż tu we Wisconsinie. Bo Sławomierz leży na 53. stopniu szerokości geograficznej, a Milwaukee na 43. Różnica więc 10 stopni czyli 700 mil. Pasterzem być, to rzecz niełatwa, bo trzeba ciągle mieć baczne oko na trzodę. Trzeba chodzić koło niej, oganiać, nawracać, wypędzać, psem szczuć, żeby bydło z pastwiska nie zeszło i szkody w polu nie robiło. Trzeba więc ciągle czuwać.

A czuwać trzeba nieraz wśród słoty, o głodzie i chłodzie. Dla ochrony przed wiatrem i deszczem stawiałem sobie namiot, nie z płótna, lecz z bron, które na polu leżały. Brony dwie zestawiłem ukośnie ze sobą, pokryłem je darnią i miałem z nich świetny dach nad głową. A gdy się zbliżyło południe, o! z jakiem wtedy oczekiwaniem wyglądałem Stacha, przynoszącego mi obiad w dwojakach! A jak mi ten obiad z dwojaków smakował pod dachem z darni? Lepiej niż w najlepszej restauracji! Zegarka człek nie miał, mimo to wiedział dokładnie, kiedy południe a kiedy podwieczorek. Zegarkiem kieszonkowym był mój żołądek. A zegarem dużym na niebie było słońce, którego wskazówką był mój cień. Po wysokości słońca i długości cienia mego nauczyłem się poznawać czas co do godziny.

Pasterzowanie jest robotą uciążliwą, wymagającą ciągłego czuwania, ale jest przytem i zabawną i ucieszną i pouczającą. Wprawdzie jako pastuch chodziłem boso po ostrem ściernisku, stałem nie na podłodze, ale na gołej ziemi, siedziałem nie na ławie szkolnej, ale na miedzy lub kopcu. Słowem, cały dzień spoczywałem na łonie matki natury. Z żadnej jednak książki, ręką ludzką skreślonej, człowiek tyle się nie nauczył, ile z tej wielkiej księgi przyrody, ręką Stwórcy napisanej. Wszystkie bibljoteki razem wzięte tyle mądrości nie zawierają, co ta jedna księga przyrody. A tu człowiek jako pasterz ciągle w polu na pastwisku od rana do wieczora w tej wielkiej księdze czytał. Ziemię, rośliny i zwierzęta rozmaite poznawał zbliska, przypatrywał się zbliska. Nie

malowanym jak w szkole, ale żywym i rzeczywistym roślinom i zwierzętom przypatrywał się zbliska.

A ile naokoło było widoków, scen i obrazów! Na wschód było widać Sulinowo, Sarbinowo i Cerekwicę. Na południe Słębowo, Ustaszewo i Podobowice. Na zachód Sielec, Paryż i Gorzyce. Na północ białe piaski gór i czarny bór, do którego przytulał się Sławomierz. A te wiatraki, śmigami, jakby żywemi ramionami wywijające w powietrzu, jakże ożywiały całą okolicę! A krzyże i Boże męki przy drogach ile wzniosłych myśli wzbudzały. A te skowronki wysoko nad polami śpiewające. A te bociany po błotach kroczące albo na szczycie stodoły lub topoli na jednej nodze stojące. A to błękitne niebo polskie, te białe obłoki, te czarne chmury. To nie była galerja malowanych obrazów, to były żywe krajobrazy, którym się mój człowiek ciągle przypatrywał, a w których zawsze coś nowego odkrywał.

A ile zabawy było z wiatrakiem własnej roboty. Z paleniem perza i pieczeniem perek (ziemniaków). Z gniazdem szerszeni, które się ogniem wypalało. Z gniazdem myszy polnych, które pies wydrapywał. Z kuropatwami i ich kurczątkami, które się ochraniało. Z gniazdem ós, którym się słomką miód wypijało. Z gniazdem skowronków, które się opieką otaczało, by go snać bydło nie podeptało. Bo skowronek ściele swe gniazdko w polu na ziemi. Słowik znowu w sadzie koło domu ma swoje gniazdko w niskich krzakach. I choć mu z tego powodu kot niecnota młode zjada, on jednakowoż nigdy na wysokiem drzewie gniazda nie zakłada.

Na północnem polu, bliżej wsi, stała nasza cegielnia. Ciekawie się człowiek przyglądał wyrabianiu surówek i ich formom. Jeszcze ciekawszem okiem patrzał na wypalanie cegły w ogromnych piecach ognistych. Niedaleko cegielni był staw, kaczyńcem zwany, pełen samych karasi, które łowiono siecią tak długą jak kaczyniec był szeroki. Tu nauczyłem się pływać w bardzo prosty sposób. Witek wziął mię na głębię, puścił mię i zostawił samemu sobie. Trzepotałem się, nie chcąc utonąć, biłem wodę rękami i nogami; i tak samozachowawczym instynktem zmuszony byłem odkryć ten sekret, jaki utrzymuje człowieka na powierzchni wody. Nie było innej rady. Tej sztuki nie nauczyłbym się w szkole nawet od profesora na katedrze siedzącego. Kto chce się nauczyć pływać, musi wejść do wody.

Olejarnia, jaką ojciec postawił w tym czasie, miała wielki urok dla chłopięcej fantazji. Ogromny kamień, gdzieś z pod Szu-

bina przywieziony sześcioma końmi, służył do wybijania oleju z nasion lnianych, konopnych lub rzepakowych. Do tarcia tych nasion było wielkie zębate koło, które obracał koń z łbem zawiązanym. Olej z tej fabryki był u nas, był i u sąsiadów, jedyną okrasą przez cały Wielki Post. A wytłoczyny z tych olejnych nasion tworzyły tak zwany kuch, stanowiący wyborną paszę dla bydła.

Miodu na post mieliśmy także pod dostatkiem. Pasieka była duża. Ale dopóki byłem w Sławomierzu, ulów nie znałem i o ulach nie słyszałem. Znałem tylko kószki, plecione ze słomy i czapką słomianą nakryte. W długie wieczory zimowe ojciec, powróciwszy z polowania na zające lub kuropatwy, z zamiłowaniem zajmował się plecieniem kószek dla pszczół.

Rok dwóch siódemek, rok 1877 był ostatnim rokiem mojego pobytu w Sławomierzu, tem ustroniu mojem rodzinnem. Odtąd już tylko raz kiedyś z wizytą przyjeżdżałem do Sławomierza.

2. We Wieleniu pośród Niemców.

Na święty Michał roku 1877 oddano mię do „szkół wyższych", do gimnazjum zwanego Pedagogjum Schwarzbacha „in Ostrau bei Filehne", w Ostrowie pod Wieleniem, gdzie — mając dopiero lat dziewięć — już zaraz łaciny i niemieckiego równocześnie uczyć się zacząłem. Kiedy opuszczałem dom rodzicielski, pamiętam, czyniłem to bez tęsknoty. Parło mię coś w świat daleki. Ojciec jechał ze mną aż do Wielenia; jechałem pierwszy raz w życiu koleją przez nowe i nieznane okolice i miasta: Nakło, Piłę, Trzebiankę. Aliści kiedy ojciec, odwiózłszy mię do Wielenia, do domu miał wracać i zostawić mnie samego, wtedy ja w płacz i koniecznie do domu z ojcem chciałem wracać. Ale ojciec twardo odrzekł: Siedź tu i ucz się! Musiałem się pogodzić z losem.

Tęsknota mię brała do domu, ponieważ we Wieleniu znalazłem się nagle w całkowicie obcem bo niemieckiem otoczeniu, a ja po niemiecku ani słówka nie umiałem. U państwa Blochów, u których „na stancji" przebywałem, tylko pani Bloch mówiła po polsku. Zresztą jej mąż Frydrych Bloch i jego sześć córek, podówczas w domu będących, wszystko to mówiło po niemiecku. Te sześć córek, żeby to mi tęsknotę za domem z głowy wybić, zaraz mię obskoczyły, grzecznie się mną zajęły i różnemi zabawkami na wszystkie strony rozrywały. Ale cóż z tego, kiedy szwargotały do mnie ciągle po niemiecku. Chyba z układu ust ich zgadywałem co mówią, a często źle zgadywałem. Kiedy mnie chwaliły, często

myślałem, że mnie ganią, łają i szkalują. I na odwrót. Skutkiem tych nieporozumień było to, żem nieraz całkiem niepotrzebnie uniesiony gniewem bił pięścią, okładał kułakami moje towarzyszki i przyjaciółki. Mowa bowiem niemiecka, dopóki jej nie rozumiałem, zawsze wydawała mi się łajaniem, szkalowaniem, przeklinaniem. Więc z Niemcami z początku rozmawiałem tylko na pięści. Każdego, którego nie rozumiałem co mówi, w odpowiedzi częstowałem kułakami; bo myślałem, że mię wyzywa albo się śmieje ze mnie, że nie umiem po niemiecku. To miało ten zabawny skutek, że moi towarzysze i towarzyszki, Niemcy i Niemki, zanim o jakiejś rzeczy do mnie przemówili, najpierw pouczali mnie, jak się ta rzecz po niemiecku nazywa. W ten sposób w ciągu paru tygodni nabyłem już spory zasób wyrazów niemieckich.

Dlaczego mnie ojciec aż tu do Wielenia nad Notecią do szkół dał? Przecież były gimnazja bliższe. A ze Sławomierza do Wielenia było jakich sto mil amerykańskich i w dodatku gimnazjum we Wieleniu było czysto niemieckie i czysto protestanckie. W całym zakładzie Schwarzbacha na 350 uczniów zaledwie 5 było katolików. A Polaków? prócz mnie był tylko mój brat Józef. Zresztą ani jednego Polaka. Ojcu zapewne chodziło o to, bym już za młodu nauczył się języka niemieckiego. A kto chce nauczyć się mowy niemieckiej, ten musi wejść w niemieckie otoczenie: tak jak kto chce nauczyć się pływać, ten musi wejść do wody. Jakoż istotnie, więcej się tam w otoczeniu czysto niemieckiem nauczyłem po niemiecku w przeciągu jednego roku aniżeli bym mógł przez całe lata nauczyć się w innych na pół lub przeważnie polskich gimnazjach. Główna wszakże przyczyna, dla której mnie ojciec aż do Wielenia posłał, była ta, że już tam był Józef od dawnego czasu, to jest, jeszcze od czasu jak ksiądz Szymon był katechetą i administratorem pół polskiej i pół niemieckiej parafji we Wieleniu. Miał więc i ojciec licznych znajomych tam na tych zachodnich kresach dawnej Polski. Tam opodal Wielenia, w Gulczu, wydał był córkę za mąż. Znał dobrze państwo Blochów, pod których opiekę mnie dał. Bloch bowiem, u którego byłem na stancji, był organistą i mieszkał tuż przy kościele, którego ksiądz Szymon był dawniej administratorem.

Pedagogjum Schwarzbacha w Ostrowie, osadzie tuż przy mieście, było prywatnem a nie rządowem. Beheim Schwarzbach, i jego syn Hugo, właściciele tego pedagogjum czyli naukowo-wychowawczego zakładu, byli krewnymi cesarza Wilhelma. Stąd ich peda-

gogjum słynęło na całe Niemcy i z całych też Niemiec ściągało studentów, a najwięcej z Berlina. Słynęło ze surowej, iście spartańskiej karności i ścisłego rządu pedagogicznego. Studentów była tam pstra zbieranina nietylko z całych Niemiec, ale nawet z końca świata, ba aż ze Sydney, stolicy Australji, przybłąkało się tam dwóch synów ministra australskiego, nazwiskiem Lee. Z jednym Lee zaraz od początku szczególniejsza łączyła mnie przyjaźń, a to dlatego, że Lee znał tylko angielski, a ja tylko polski język: obydwaj zaś nie umieliśmy po niemiecku. Aczkolwiek ani ja jego ani on mojego języka nie znał, i obydwaj tylko na migi się porozumiewaliśmy, to jednakowoż łączyła i zbliżała nas do siebie ta wspólna cecha, że ani on ani ja z Niemcami rozmawiać nie umieliśmy. Szczególna swego rodzaju przyjaźń. Siedzieliśmy obok siebie na jednej ławce szkolnej. Profesor Schindler wykładał gramatykę łacińską po niemiecku: my obaj, nie rozumiejąc w pierwszych tygodniach zgoła nic z jego wykładu, stroiliśmy mu figle i głupstwa. Więc nas rozsadził.

Pamiętam, jak ten Lee, który w Australji nigdy w swojem życiu śniegu nie widział, pierwszy raz tej zimy r. 1877 ujrzał w powietrzu spadające płatki śniegu. Myślałem, że zwarjował. Wyleciał na dwór, jak szalony, wrzeszcząc niezrozumiałym mi językiem, rękami chwytał owe płatki śniegu, usta rozdziawił, język wysunął; a kiedy mu śnieg na język spadł, oblizywał się z widocznem zadowoleniem.

Reszta moich kolegów szkolnych we Wieleniu była to zbieranina z całych Niemiec. Byli tam uczniowie z Hamburga, z Duesseldorfu nad Renem, z Halli, dużo z Drezna, z Lipska i z Wrocławia, a najwięcej ze stolicy Niemiec, z Berlina. Berlińczyków była przeszło połowa w mojej klasie zarówno jak i w innych. Śmiali się inni z berlińskiej miękkiej wymowy litery **g**, wołając: eine jut jebratene Janz.

W takiem otoczeniu język niemiecki wnet sobie przyswoiłem i wielu kolegów moich szkolnych, choć Niemców, pokochałem osobiście. Lecz ich ducha, ich psią wiarę, która tak prześladowała mego brata księdza Szymona (znali go tu starsi studenci), nienawidziłem całą duszą. Ilekroć ks. Szymon mi się przypomniał, albo inni mi go przypomnieli, tylekroć zawrzałem gniewem na tę psią wiarę Niemców. Czułem potrzebę pokazania Niemcom tej mojej nienawiści. Ale jak ją pokazać, kiedy w szermierce na języki Niemcy mieli górę nademną. Nie mogąc tedy Niemcom wyrazić swej nienawiści

językiem, wyrażałem ją — pięścią, rozdawając często kułaki na wszystkie strony każdemu, kto mi się tylko nawinął. Całkiem niepotrzebnie rozsierdzony nawet najserdeczniejszych zresztą przyjaciół moich tłukłem; tak, że się dziwili, za co ja ich biję. Biłem ich, bo byli Niemcami. Mnie pięść ciągle świerzbiała. I gdzie drzewo rąbią, tam wiory lecą. Więc zęby wybijałem, nosy krwawiłem, zwłaszcza takim, którzy niezrozumiałym dla mnie żargonem niemieckim zdawali się szydzić z mojej polskości lub wyraźnie na mnie wołali: Da kommt der Polenkönig! Słabsi odemnie i równi ze mną zaczynali mieć respekt przed moją pięścią. A od kiedy pobiłem najzręczniejszego między nimi pięściarza, bokserem zwanego, Niemcy przezywali mię szyderczo „Polenkönig".

Tak to mój człowiek uczył się rozmawiać po niemiecku!

Ta walka na gołe pięści, w pedagogjum Schwarzbacha bardzo podówczas rozpowszechniona, odbywała się podług pewnych prawideł. Zaczepiony przezemnie albo mi się odrazu poddał, albo, jeśli nie, musiał mię wyzwać na regularny pojedynek, na gołe pięści bez rękawiczek. Rękawic do boksowania nie znaliśmy wcale. Jedyną bronią w takim pojedynku była goła pięść prawej ręki. Lewa ręka służyła za tarczę, siła prawej i zwinność lewej ręki rozstrzygały o walce. Walka trwała nieraz długo. Lewa ręka, zasłaniająca to głowę, to piersi, biegała ustawicznie to w górę, to na dół, odpierając ataki przeciwnika. Podniosła się lewa ręka za wysoko, to przeciwnik podbijał szczękę; za nisko, to uderzał w nos albo zęby. Natarłeś wreszcie całą siłą na przeciwnika i silnem uderzeniem powaliłeś go o ziemię, to stojący obok świadkowie orzekli, żeś wygrał, zakazując ci pastwienia się nad przeciwnikiem.

Wygrywałem, bywało, ale i guzów obrywałem ile sińców z takich walk odnosiłem, ile zębów traciłem, kto to policzy? Wśród gorącej walki wcale nie czułem bólu ani nie wiedziałem, kiedy mi przeciwnik wybił zęby. Raz, pamiętam, podczas boksowania poczułem w gębie coś twardego na języku i myślałem, że kamyczki mi wpadły do ust. A oto wyplułem dwa zęby. Z przednich zębów niemal wszystkie w tych walkach mi wybito. Wyrastały nowe. A dziś, licząc lat 51, mam wszystkie zęby, zdrówe i silne i jak się wyraził dentysta, który je czyścił: you have the nicest set of teeth I evers saw. Do dziś dnia nie wiem, co to ból zębów. Żaden ząb mi nie wypadł, żadnego wyrywać nie dawałem ani sam nie wyrywałem. Z Ostrowa do Wielenia do domu Blochów, gdzie na stancji byłem, wracałem z twarzą opuchniętą, poranioną,

sińcami pokrytą. Blochowie krzyczeli, lamentowali — nic to nie pomogło. Do walki na pięści stawałem nawet ze starszymi i o cały łokieć wyższymi ode mnie Niemcami, tak, że podskakiwać musiałem, żeby pięścią dosięgnąć szczęki przeciwnika. Doznawałem wtedy porażki. Ale żadnemu Niemcowi, małemu czy dużemu, daremnie nie dałem się wyzywać od „Polenkönig".

3. Łacina. — Trzcina. — Pierwsze wakacje.

Jedynym Polakiem roku 1877 w całem pedagogjum Szwarzbacha był, oprócz mnie, mój brat Józef. Ale on był już we wyższej tercji, podczas gdy ja przyszedłem do najniższej klasy, do tak zwanej septymy. Rodakom nieobeznanym z pruskiemi szkołami zwracam tu uwagę, że u Niemców stopień pierwszy czy klasa pierwsza, „pryma", to nie jest stopień najniższy, lecz przeciwnie najwyższy. U Niemców nauka idzie z góry na dół, a nie z dołu do góry. Więc gdy wstępujesz do gimnazjum niemieckiego na schody, względnie stopnie nauk, to odrazu cię wsadzają na siódmy stopień swoich schodów czyli skali naukowej, do „siódmej" klasy, czyli „septymy" z łacińska zwanej. Potem idziesz na dół. Z siódmej klasy, ze septymy, idziesz do szóstej, sekstą zwanej; potem do piątej, kwinty, do czwartej, kwarty. Ale potem do niższej tercji, a z tej do wyższej tercji; następnie do niższej sekundy, a z tej do wyższej sekundy; wreszcie do niższej prymy, a z tej do wyższej prymy, która kończy i wieńczy całe gimnazjum.

W septymie, czyli najniższej klasie, uczono już początkowo łaciny. Profesor Schindler, dobry Niemiec protestant, uczył mnie odrazu dwóch całkiem mi nieznanych języków: niemieckiego i łacińskiego. Po polsku nie umiał naturalnie. Więc z początku nie wiedziałem, co i jak wykłada, czy wykłada mi niemiecki język po łacinie, czy łaciński po niemiecku. Zadał nam pierwszych dziesięć wokabułów do nauczenia się na pamięć. Uczyłem się tych wokabułów czyli słówek łacińskich i niemieckich, począwszy od „alanda—Lerche", dosłownie jak papuga. Co alanda znaczy, nie wiedziałem. Ale co Lerche znaczy, też nie wiedziałem. Jedno i drugie wykułem na pamięć bezmyślnie, zupełnie jak papuga. A związku między jednem a drugiem wyuczyłem się tak doskonale na pamięć, że ile razy profesor wywołał Lerche, odpowiadałem: alanda. I na odwrót. Wszelako, co oznaczały te wyrazy, o tem nie miałem pojęcia.

Deklinacji łacińskiej prędzej się nauczyłem niż niemieckiej. O ile w ustnych odpowiedziach, nie umiejąc się wysłowić po niemiecku, byłem bardzo słaby, o tyle w piśmiennych zadaniach byłem dokładny i poprawny, jak rzadko który z moich kolegów niemieckich. Nigdy nie zapomnę pierwszej pochwały, jaką mi dano już w septymie za najlepsze piśmienne wypracowanie łacińsko-niemieckie. Profesor Schindler, zawoławszy mię do katedry, chwalił mię przed całą klasą, że ja jeden bez błędu zadanie napisałem, i za to wpisał imię moje i nazwisko do wielkiej księgi w rubryce pochwał (Lob). Tem mnie jakby na sto koni wsadził! Jaką tam triumfującą minę wobec kolegów Niemców miałem, nie pamiętam.

Edward Bloch, syn Fryderyka, u którego się stołowałem, był także profesorem i uczył mnie czytać po niemiecku, pokazując mi scyzorykiem każdą rozkraczoną literę niemiecką. Dawniej katechetą w zakładzie Szwarzbacha był ks. Szymon. Teraz Edward Bloch uczył nas katechizmu po niemiecku, kiedy godzina religji była w planie nauk. Żydów uczył rabin z Wielenia, a protestantów luterski pastor z miasta.

W owym czasie, kiedy byłem w septymie, postrzelono cesarza Wilhelma I. Że w naszej klasie była połowa Berlińczyków, więc podczas pauzy o niczem innem nie rozmawiano, jak tylko o tym zamachu na życie cesarza. Nagle smutną tę rozmowę przerywa żydek, nazwiskiem Jaffe z Wielenia, wypowiadając takie sobie lekkomyślne zdanie: „Ny, was heisst Attentat! Moechte der Kaiser krepieren, dann würden wir drei Tage frei haben“. (Ny, co tam znaczy ten zamach! Gdyby tak cesarz zdechł, to byśmy trzy dni wolne mieli.) Doniosło się to bezzwłocznie do profesora Schindlera, ordynarjusza naszej klasy. Dopiero żydek poczuł, skąd mu nogi wyrastają! Chwyciwszy żydka za czuprynę, profesor Schindler w oczach całej klasy tak długo żydka bił, aż się trzcina w kawałki rozleciała. Aj waj mir, ich werde den Kaiser respectieren, będę kajzera respektować — tak przyrzekał żydek głośno wśród jęków boleści. Ale co po cichu sobie w duszy myślał, to ja odczuwałem.

Przybywszy do Wielenia na św. Michał, pierwsze wakacje czyli ferje, jak w Prusach nazywali, pierwsze wakacje Bożego Narodzenia roku 1877 miałem spędzić we Wieleniu. Do domu nie miałem przyjeżdżać, gdyż droga była daleka, a wśród ostrej zimy uciążliwa i niebezpieczna. Z Wielenia do Sławomierza trzeba było jechać najpierw koleją przez Trzciankę (Schoenlanke) i Piłę

(Schneidemühl) do Nakła około 75 mil amerykańskich. Z Nakła zaś ku Sławomierzowi żadnej jeszcze kolei nie było, trzeba było wozem lub sankami jechać jeszcze 25 mil amerykańskich, co w razie zasp śnieżnych było uciążliwem a w razie srogiego mrozu niebezpiecznem dla młodego chłopaka. Ojciec więc na wakacje Bożego Narodzenia kazał mnie i Józefowi pozostać we Wieleniu.

Zaczęły się wakacje. Wolni od nauki, po ślizgawce w pokoju siedząc, wyrzynaliśmy piłeczką ozdobne pudełka z cienkich deseczek. Wtem przypomniało nam się, że za dwa dni wigilja Bożego Narodzenia. Józef zaczął opowiadać o wigilijnej wieczerzy w Sławomierzu, o opłatku, o snopku siana pod stołem, o świętach i nabożeństwie w kościele gorzyckim.

Dom rodzinny stanął mi żywo przed oczami duszy i zatęskniłem za nim tak mocno, że rzuciwszy piłeczkę, zawołałem: „Józiu, jedźmy do Sławomierza! Na święta tu nie zostaniemy!“ Józef zgodził się, ale co zrobimy, kiedy pieniędzy na podróż nie mamy. Atoli wnet pieniędzy na kolej pożyczyli nam państwo Blochowie, u których się stołowaliśmy. Ale jak od kolei z Nakła do Sławomierza się dostaniemy, kiedy nikt po nas nie przyjedzie? bo nikt w Sławomierzu nie wie, że my do domu się wybieramy.

Wszelako raz postanowiwszy jechać, na takie trudności nie zważaliśmy. Zajechawszy koleją do Nakła, stamtąd ruszyliśmy pocztą do Kcyni. Dalej ku Sławomierzowi pocztą jechać nie mogliśmy, a tu jeszcze z Kcyni do Sławomierza mieliśmy blisko 20 mil drogi. Spodziewaliśmy się w Kcyni spotkać jaką furmankę z Gorzyc, z Brzozowa, Dochanowa lub innej wsi bliskiej Sławomierza. Ta wszakże nadzieja nas zawiodła. Szukaliśmy po całym rynku i głównych ulicach Kcyni — nikogo z naszych stron nie znaleźliśmy.

Wizc nogi za pas i marsz pieszo do Sławomierza! Miałem wtedy dziewięć lat, i była to pierwsza dłuższa podróż piesza w życiu mojem, do tego w zimie. Na szczęście Józef drogę znał. Szliśmy przez sławny Gołańcz, gdzie Niemcy lutrzy na froncie kościoła obraz Matki Boskiej grubym tynkiem zasmarowali, a mimo to przez tynk widać Matkę Boską. Szliśmy dalej, nie zważając na zimno i śnieg. Noc już zapadała, gdyśmy zjawili się w domu rodzicielskim, całkiem niespodzianie. Szczególnie matka nie mogła wyjść z podziwu, że ja malec tak daleko pieszo szedłem. A ojciec, choć wbrew jego zakazowi na wakacje przyjechaliśmy, darował

nam to również ze względu na tę długą podróż pieszą, na jaką się odważyliśmy.

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. W święta z Witkiem, jak zawsze, na chórze w kościele śpiewałem kolendy. W inne dni na podwórzu w śniegu zastawiałem sidła na ptaki. Tylko pętelka z włosienia wystawała z śniegu, a w niej wróbel, trznadel lub inny ptak skacząc za nogę się usidlił. Wróble niecnoty dużo szkody w niewymłóconem zbożu po stodołach robiły. Był na nie sposób. Na boisku, gdzie się zboże cepami młóciło, zastawialiśmy wieczorem w ciemności sieć z przysłoniętą latarnią w kącie. Parobcy z kijami po zbożu chodząc, płoszyli wróble, które gromadami zlatywały ku światłu latarni i łapały się w sieci zastawionej.

Z Nowym Rokiem powróciliśmy do Wielenia.

4. Wakacje w Gulczu. Ślizgawka i kąpiel w Noteci. Gimnastyka.

Na wakacje wielkanocne w roku 1878 i w następnych latach zwykłem był jeździć do Gulcza, nad tąż rzeką Notecią co Wieleń, tylko 10 mil amerykańskich na wschód od Wielenia. W Gulczu mieszkała moja siostra Agnieszka (urodzona w roku 1854), zamężna Kośmider. Bardzo miłe z Gulcza wspomnienie wyniosłem. Szwagier Roman Kośmider (urodzony w roku 1836) i jego brat Józef, bardzo dobrymi byli dla mnie. A co za cudowne położenie tej wsi! Spadziste pagórki, wąwozy i urwiska w Gulczu. Dalej malownicze krajobrazy nad szerokiem korytem rzeki Noteci. Płynące Notecią szkuty z żaglami rozpiętemi. Wody tej rzeki na wiosnę szeroko rozlane, wśród wód sterczące stogi siana. Na wybrzeżach szerokiej doliny noteckiej starożytne okopy i szańce, datujące się z czasów wojny szwedzkiej. Ciekawe a pouczające opowiadania szwagra Romana o dziejach polskich. To wszystko czyniło mój pobyt wakacyjny w Gulczu zawsze miłym i przyjemnym.

Siostrzeniec mój, Bronisław Kośmider (urodzony 28 kwietnia 1874 roku), o sześć lat młodszy ode mnie, chłopak wówczas nadzwyczaj żywy i ruchliwy a dziś poważny i zamożny obywatel w Wągrówcu, bawił mnie niezmiernie swojemi dziecinnemi lecz oryginalnemi pomysłami i nieraz wybrykami. W dzień wielkanocny, bardzo rychło, już o godzinie 3-ej z rana wyjeżdżaliśmy z Gulcza na rezurekcję do Lubasza, choć bardzo odległego. Był kościół bliżej we wsi Rosko, ale do tego należeli sami Mazurzy, wymawiający „Ojce nas“. Więc Gulcz należał do Lubasza, choć bardzo odległego. Mimo to ksiądz przyjeżdżał nam poświęcić po-

trawy wielkanocne we Wielką Sobotę. Lubasz jest miejscem rodzinnem Ignacego Czerwińskiego, zamożnego i wpływowego obywatela w Milwaukee, Wis.

Tej pierwszej zimy we Wieleniu nauczyłem się ślizgać na łyżwach. Nogi, pierwszy raz łyżwami uzbrojone, odmawiały mi zrazu posłuszeństwa. Lecz po godzinie ćwiczenia już własnemi siłami utrzymywałem się jako tako w równowadze. Rzeka Noteć, stara i nowa, oblewała miasto Wieleń na około; a nadto w jesieni wylawszy z brzegów na kilka mil rozległe łąki, dostarczała nam w zimie wybornej ślizgawki, szerokiej na jakie 5 mil amerykańskich, a długiej jak sama Noteć długa. Na łyżwach lubiałem szybko biegać i roztrącać co mi w drogę wlazło, zwłaszcza tych niemiaszków, którzy widząc mię w szalonym pędzie wołali szyderczo: Da kommt der Polenkönig hergefahren! Często rozpiąwszy palto nakształt żagla, pędziłem z wiatrem w niezmierną dal, po to, by znowu przeciw wiatrowi z trudem i sapaniem wracać do miasta. Tyle nam uciech dawała Noteć w zimie. A w lecie?

O Noteci, piękna rzeko, ileś ty znowu rozrywek dostarczała nam w porze letniej! Pierwszy raz w życiu ujrzałem łodzie, szkuty, okręty żaglowe, a nawet parowce na twoich wodach! A zwodzony most drewniany nad Notecią, ile, że większego jeszcze nie widziałem, w chłopięcej mej wyobraźni przybrał rozmiary sławnego mostu brooklyńskiego. Nie wierzyłem, by mógł być większy most na świecie nad most wieleński.

W trudnej a tak pożytecznej sztuce pływania wydoskonaliłem się tu w Noteci. Wyćwiczono nas wszechstronnie w pływaniu: na piersiach, nawznak, na bok, z ruchem rąk i nóg i bez ruchu rąk i nóg, nawznak leżąc nieruchomie, a pomimo to pływając. Do wody rzadko wchodziliśmy jak raki. Zwykle głową naprzód wskakiwaliśmy z wysokiego brzegu do rzeki (Kopfsprung) albo głową w tył, koziołka wywróciwszy, wpadaliśmy do wody (Todtensprung). Kto sześć razy, bez odpoczynku, przepłynął rzekę Noteć wszerz, ogłoszony został wolnym pływakiem, tak zwanym (Freischwimmer). To znaczy, wolno mu było odtąd pływać po rzece gdzie chciał, podczas gdy inni, którzy tego egzaminu nie złożyli, mieli pewne granice wytknięte w rzece.

Sto pociech było z flisakami, którzy drzewo wodą spławiali. Ciągnące się po Noteci długim ogonem flisy były dla nas pływaków tem, czem są pływające drewna dla żab: wskakiwaliśmy na nie swawolnie i zeskakiwaliśmy. Nie podobało się to stojącym

u steru flisakom. Brał drąg lub wiosło i biegł ku nam po flisie nieraz pół mili długim. A my naumyślnie staliśmy na drugim końcu flisa i czekaliśmy, aż on nadbiegł blisko i już drągiem zamierzał się na nas: — wtedy to jak żaby powskakiwaliśmy do wody, dając głębokiego i dalekiego nurka. A wypłynąwszy o jakie 30 stóp dalej na wierzch i z wody wynurzywszy głowy, z rozszczepionymi przy nosie palcami śmialiśmy się z flisaka, że drągiem bił wodę a nas nie sięgnął. Pływanie pod wodą jak najdłuższe, wydobywanie kamieni z dna rzeki, należało do ulubionych ćwiczeń.

Zakład Schwarzbacha miał bardzo obszerny plac do zabawy, wysypany piaskiem, opasany na około wysokim a grubym murem, którego wierzch okryty był szkłem potłuczonem, żeby nikt z internistów z zakładu nie uciekł do miasta. Co za ruch, co za gwar i hałas był podczas pauzy na tym obszernym placu. Ze szkoły jak z ula pszczoły wysypawszy się na plac jedni gonili się i ścigali; drudzy do pojedynku na pięści stawali; inni w zimie kulami śnieżnymi formalne bitwy staczali. Kiedyindziej grali w piłkę nożną. Grali i w palanta, to jest pałką podbijali piłkę do góry.

Na placu tym stały także tak zwane „reki“ do gimnastykowania się. Rek to jest poziomy, dobrze wygładzony drążek, oparty na dwóch słupach, na którym bądź na rękach bądź na nogach wywracaliśmy młynka. Ale największą atrakcją na tym placu był, jak to Niemcy nazywali, „Turngerüst“ to jest wielkich rozmiarów rusztowanie gimnastyczne, złożone z licznych wygładzonych słupów, drągów i drążków, to poziomych to ukośnych to prostopadłych. Tu największy ruch panował. Wspinanie się, skakanie i ześlizgiwanie się po drążkach odbywało się szalonym pędem.

Szczyt tego turngerüstu, jakie 30 stóp wysoki, stanowiła poprzeczna belka, skośnie ścięta i tylko pół stopy szeroka. Widziałem drugich wspinających się na ten szczyt. Ale co który się wspiął, to nadaremnie próbował tam stanąć lub chodzić po tej ukośnie ściętej a wąskiej belce, na takiej wysokości dostając zawrotu głowy. Lecz ta właśnie okoliczność, że nikt z Niemców tam na tym wysokim szczycie nie potrafił stanąć i chodzić, była dla mnie dostatecznym bodźcem, żebym ja to uczynił, czego inni nie potrafili. Wspiąłem się i stanąłem najpierw. A potem i chodziłem jak gdyby nigdy nic na owej zawrotnej wyżynie. Studenci z całego zakładu zgromadzili się i z podziwem patrzeli na

mnie śmiałka. Spostrzegł mnie i dyrektor Schwarzbach, nadbiegł i grożąc laską, kazał mi natychmiast zejść na dół, dając mi raz na zawsze do spamiętania sobie taką nauczkę: Jeśli jeszcze raz — mówił, odważysz się wejść na taką wysokość narażając się na złamanie karku, to dostaniesz dwie godziny aresztu.

Pomimo tego zakazu, na usilne prośby moich kolegów jeszcze nieraz chodziłem po owym szczycie turngerüstu; ale w godzinach poobiednich kiedy dyrektor spał. Wielu próbowało mnie naśladować. Ale wszedłszy tak wysoko, biedne Niemiaszki natychmiast zawrotu głowy dostawali. Pytali mnie, jak ja się nie boję. Odpowiedziałem: To rzecz bardzo prosta. Gdyby ta belka, która tworzy szczyt turngerüstu, leżała tu na ziemi, to każdy z was umiałby po niej chodzić. Otóż chodząc po niej tam wysoko, wyobrażam sobie, że ona leży na ziemi. I dzięki tej wyobraźni mojej ani zawrotu głowy nie doznaję, ani się nie boję, ani równowagi ciała nie tracę. Ale na to trzeba mocnej wyobraźni. Bo wyobraźnia słaba jest i lękliwą zarazem.

5. W sekście pół roku. Wytupanie profesora. Ulubieniec profesora francuskiego. Wyjazd Michała do Ameryki.

Na święty Michał roku 1878 przesadzono mnie z septymy do seksty. Postęp w niemieckim języku uczyniłem taki, że tu w sekście byłem drugi najlepszy w całej klasie. Pierwszym był niejaki Wolfsdorf, syn pastora z Wrocławia. To też w sekście trzymano mnie tylko pół roku. Na Wielkanoc roku 1879 przeszedłem już do kwinty.

Chociaż w sekście byłem tylko pół roku, w tej klasie jednak zdarzył się wypadek, którego nie zapomnę póki żyć będę. Mieliśmy profesora, nazywał się Hentschel, który nam się niepodobał. Razu pewnego, gdy nam już bardzo dokuczył, prawie wszyscy w klasie zaczęliśmy na znak niezadowolenia tupać nogami. Tupaliśmy tak głośno, że dalsze wykłady mu uniemożliwiliśmy; i tupaliśmy tak długo, aż się wyniósł z klasy jak niepyszny. Bunt w państwie pruskim! i tak blisko Berlina!

Wyniósł się profesor z klasy, lecz niebawem wrócił z dyrektorem zakładu, panem Beheim-Schwarzbachem, i z pedelem, niosącym pod pachą trzy pręty trzcinowe na uśmierzenie buntu. Dyrektor wywołał najpierw mnie, potem wyż wspomnianego Wolfsdorfa i nareszcie pewnego Berlińczyka, jako głównych sprawców buntu. Innym kazał siadać, nam trzem kazał stać. Po przemowie

ognistej, pełnej gromów i piorunów, pan dyrektor kazał najpierw Berlińczyka (studenta rodem z Berlina) przełożyć na stołku i bić co się zmieści. Pedel bił wołającego w niebogłosy Berlińczyka, że aż trzcina w drzazgi się rozprysła. I biedny Berlińczyk tak opuchł, że trzy dni potem w łóżku leżał.

Po Berlińczyku miała przyjść na mnie kolej i na Wolfsdorfa. Włosy mi na głowie dębem stawały ze strachu. Widząc grożące mi niebezpieczeństwo, spoglądałem ku oknu, jakby wyskoczyć i uciec. Lecz niestety okna w szkole Schwarzbacha miały żelazne kraty. Wtem na szczęście zjawił się poczciwy profesor Edward Bloch, syn Fryderyka, u którego byłem na stancji. Szeptał długo panu dyrektorowi coś do ucha. Nareszcie pan dyrektor dał się udobruchać. Ze względu, że Wolfsdorf i ja, jako najlepsi w klasie uczniowie, pierwsze miejsca zajmowaliśmy, uwolnił nas od poniżającej kary cielesnej. Skończyło się na obiciu berlińczyka i rozbiciu jednej tylko trzciny. Drugie dwie wyniósł pedel ocalone.

Mimo tej a nie dla tej awantury w sekście siedziałem tylko pół roku i już na Wielkanoc roku 1879 dostawszy promocję do kwinty, spędziłem wesołe wakacje dwutygodniowe u szwagra w Gulczu. Wakacje czyli ferje w pedagogjum Schwarzbacha mieliśmy cztery razy do roku. Na Wielkanoc dwa tygodnie. Na lato, począwszy od 1-go lipca, pięć tygodni. Na św. Michał dwa tygodnie. I na Boże Narodzenie dwa do trzech tygodni. Do domu rodzinnego, do Sławomierza z powodu odległości wielkiej tylko raz na rok, zazwyczaj na letnie wakacje, przyjeżdżałem. Na Wielkanoc w Gulczu bawiłem. Na Boże Narodzenie i na św. Michał zostawałem we Wieleniu.

Na jesienne wakacje, kiedy pola koło Wielenia były puste, moją ulubioną zabawką było puszczanie latawców w powietrze. Robiliśmy czasem latawce olbrzymie jak wrota, z ogonem na setki stóp długim. Puszczanie a zwłaszcza spuszczanie takiego olbrzyma smoka było trudne i z niebezpieczeństwem połączone.

Na wakacje świąt wielkanocnych r. 1879 zabawiłem w Gulczu za długo. Spóźniłem się do szkoły o trzy dni. A tu w kwincie, do której teraz wstąpiłem, oprócz języka łacińskiego i niemieckiego (o polskim ani mowy nie było), zaczęli nas uczyć także po francusku. Więc profesor francuskiego języka, pan Krenz, natarł mi uszu i rzekł: „Już czwartą lekcję bierzemy, spóźniłeś się i w nauce nie dogonisz drugich“. To napomnienie dodało mi takiego bodźca,

że nietylko dogoniłem, ale i prześcignąłem drugich we francuskiem i byłem pierwszym nietylko tu we Wieleniu, ale i później we Wągrówcu. Sam pan Krenz, zamiast za uszy targać, głaskał mnie później ciągle, bo bez błędu mu robiłem francuskie extemporale, tak nazywały się zadania dyktowane po niemiecku i zaraz tłumaczone na francuskie. Nie dosyć, że mnie głaskał. Brał mię do domu swego i tam mi kazał poprawiać, podkreślać błędy wszystkich innych uczniów zeszyty, z wyjątkiem mojego, który on sam przejrzał i z uśmiechem zadowolenia podpisał mi pod zadanie słowa: „Sehr gut“ albo „Très bien“. Z ucznia tedy stałem się poniekąd odrazu profesorem francusczyzny.

Z kwinty na Wielkanoc r. 1880 przeszedłem do kwarty. Tu na samym wstępie profesor ordynarjusz nam oświadczył, że: kto chce być księdzem, doktorem albo adwokatem, ten od niższej tercji zacznie się uczyć po grecku; a kto chce zostać kupcem, ten już teraz w kwarcie ma się uczyć języka angielskiego. Ja kupcem być nie chciałem, więc też nie uczyłem się angielskiego. A o tem, żebym kiedyś miał do Ameryki jechać, ani na myśl mi nie przyszło. Chociaż właśnie wtedy Michał przyjechał był do Wielenia, żeby się ze mną pożegnać przed odjazdem swoim do Ameryki. Dnia 4 kwietnia 1880 r. żegnałem go. Chciałem go odprowadzić na dworzec kolejowy, ale że to już było późno wieczorem, a dworzec był bardzo daleko od miasta, więc Michał na ulicy uściskał mnie i pożegnał słowami: „Pewnie się już nie zobaczymy“.

Chodziłem do kwarty, nie ucząc się angielskiego; bo ani teraz, ani przez następnych lat trzynaście nigdy nie marzyłem o wyjeździe do Ameryki.

Tymczasem na Wielkanoc następną roku 1881 skończyłem kwartę i dostałem promocję do niższej tercji. Wszelako choć we francuskim, łacińskim i niemieckim języku i w innych przedmiotach postępy niemałe czyniłem, to jednak mój ojciec nie był zadowolony z mojej nauki dlatego, że po polsku nic się nie uczyłem. Mało, że nic się nie uczyłem; ale jeszcze zapomniałem to, co umiałem po polsku. We Wieleniu przez te trzy i pół lata w otoczeniu czysto niemieckiem takem już zniemczał, że przyjechawszy do domu, mówić po polsku nie umiałem. Na ławkę mówiłem banka i tym podobnie. Dlatego na Wielkanoc r. 1881 po ukończeniu kwarty, ojciec kazał mi zabrać manatki, pożegnać się z Wieleniem i wracać do domu. Józef już przede mną opuścił był Wieleń i przeniósł się do gimnazjum w Inowrocławiu.

6. Wśród rodaków we Wągrówcu.

Nie wiedziałem, co ojciec chce ze mną zrobić. Czy pójdę jeszcze do gimnazjum, czy pozostanę w domu przy gospodarstwie? Dopiero gdy ferje wielkanocne r. 1881 miały się ku końcowi, ojciec rzekł: „Szykuj się, zawiozę cię do szkół“ I zawiózł mnie do Wągrówca nad rzeką Wełną, 4 mile starokrajskie czyli 20 mil amerykańskich odległego od Sławomierza. Było to więc blisko, bo nawet Sławomierz należał wtedy do powiatu wągrowieckiego.

We Wągrówcu, miejscu rodzinnem księdza Wujka, znanego tłumacza Pisma św., znalazłem inny świat, całkiem odrębny od wieleńskiego.

Zamiast pięściarstwa, zapaśnictwo było tu w modzie między studentami. We Wieleniu otaczała mnie atmosfera nawskroś pruska i luterska. Tu w Wągrówcu owiał mnie przynajmniej duch polski i katolicki, chociaż zawsze niemczyzną przesiąknięty. Tu i tam wykłady były niemieckie. Tu i tam śpiewy były niemieckie w gimnazjum. Tu i tam na urodziny cesarza, 22 marca, zebrani w sali gimnazjalnej, musieliśmy śpiewać na całe gardło: „Heil Kaiser dir“ i „Die Wacht am Rhein“. Tu i tam wciągnęli mnie do chóru śpiewaków, a jako sopranista, stojący najbliżej pałeczki kapelmistrza, musiałem cześć kajzera na najwyższą nutę wyśpiewywać.

Ale w Wągrówcu zastałem także profesorów polskich, a jeśli Niemców, to katolików przynajmniej. Gimnazjastów zaś była przeszło połowa Polaków i katolików. Śmiali się z mojej lichej polszczyzny, a ja litowałem się nad ich słabą niemczyzną.

Ponieważ pedagogjum Schwarzbacha we Wieleniu, skąd przyszedłem, było zakładem prywatnym, a wągrowieckie gimnazjum było rządowem, przeto promocja, dana mi we Wieleniu do niższej tercji, była w Wągrówcu bez znaczenia. Musiałem zdawać egzamin. Zdałem już z innych przedmiotów, gdy wtem pytają mnie o język grecki. We Wieleniu atoli nie uczyli greki w kwarcie, lecz dopiero w niższej tercji. Więc dla greki musiałem kwartę we Wągrówcu powtórzyć, tracąc w ten sposób cały jeden rok studjów. Ale ojciec nie dbał o to, bo zato uczyłem się tu więcej po polsku. Dwa razy w tydzień profesor Zwolski wykładał nam gramatykę polską. Religji, choć gimnazjum wągrowieckie było katolickiem, nie wykładano wcale. Parę miesięcy przed pierwszą Komunją św. chodziliśmy na katechizm do domu wikarego ks. Cie-

sielskiego. Z rąk proboszcza ks. Bukowieckiego we farze przyjąłem pierwszą Komunję św. na Zielone Świątki roku 1882, mając zatem lat przeszło 14. Czyli o całe siedm lat później niż Kościół przepisuje.

O religji wówczas jeszcze mniej pojęcia miałem niż o gramatyce polskiej. Historji biblijnej ani kościelnej nie znałem. A katechizm? Tylko z małego katechizmu niektóre grzechy na pamięć umiałem. Pierwszy właściwy wykład o religji i Kościele, który mnie żywo zainteresował, usłyszałem dopiero w niższej tercji, gdy profesor Hockenbeck, katolik Westfalczyk, wykładał nam historję o Lutrze i jego reformacji. Hockenbeck mówił wiele o nadużyciach w Kościele, choć Lutra nie chwalił. Ale słysząc tak wiele o nadużyciach, jakie rzeczywiście zakradły się do Kościoła katolickiego, a nie znając gruntownie ani historji kościelnej, ani nauki kościelnej, nie mogłem podówczas bo nie umiałem od siebie odegnać natrętnego pytania: czy Luter przypadkiem nie miał racji? przynajmniej w Niemczech?

Profesor Beste, pobożny katolik Westfalczyk, uczył nas greki. Po nim dzielnym profesorem greki był Dolega, późniejszy dyrektor gimnazjalny w Rogoźnie. Łaciny uczył mnie ordynarjusz profesor dr. Boehme, przykładny Niemiec katolik ze Śląska. Matematyki uczył nas z początku Giese, świetny profesor, który atoli zmarł przedwcześnie, dawszy sobie amputować najpierw nogę a potem ramię. Był tu też osobny profesor do gimnastyki, i osobny gmach gimnastyczny, czego we Wieleniu nie było.

Botaniki i francuskiego uczył mały, krępy a zabawny starowina siwobrody, profesor Nowicki, który niesfornych uczniów tak zwanym „fusstrittem“ (kopnięciem) wyrzucał z klasy jak piłki nożne. Sto pociech mieliśmy z niego codzień. Wszedłszy do klasy, zanim wykłady rozpoczął, miał stały zwyczaj najpierw brodę swą głaskać i gładko uczesać. Na wykład botaniki uczniowie przynosić mu mieli rzadkie okazy roślin. W tym celu, szczególnie w maju, nieraz z Józefem Pieniążkiewiczem i Bolesławem Wienkiem (dziś księżmi) wstawaliśmy rychło rano o 3 godzinie i chodziliśmy do lasu po owe rzadkie rośliny. Zdarzało się, że jakiś filut pomiędzy rzadkie okazy roślin włożył mu na katedrę pokrzywę; a wtedy pan profesor Nowicki wpadał w istny szał złości.

W pierwszych tygodniach mego pobytu we Wągrówcu, kiedym jeszcze tam był nowym i nieznanym, mieliśmy pod profesorem Nowickim extemporale francuskie. To znaczy, profesor w kla-

sie wygłaszał zdanie niemieckie, które trzeba było „odrazu“ tłumaczyć i pisać w zeszycie po francusku. Profesor brał potem zeszyty do domu, poprawiał i na drugi lub trzeci dzień z katedry każdemu obwieszczał, jak jego extemporale wypadło: bardzo dobrze, dobrze, zadowalniająco, dostatecznie, miernie czy niedostatecznie. Mając do francuskiego języka szczególne zamiłowanie i siedząc już drugi rok w kwarcie, ma się rozumieć byłem we francuskiem, jak to mówią, kuty na cztery nogi.

Wchodzi tedy pan Nowicki do klasy, przynosząc ze sobą poprawione już zeszyty francuskie pod pachą. Kładzie zeszyty na katedrę, poczem według zwyczaju przechadzając się po klasie, czesze i głaszcze sobie brodę. Nagle przystanął i rzuca całej klasie takie pytanie: „Was denkt ihr, wer hat das beste Extemporale gemacht?“ (Co myślicie, kto najlepsze extemporale zrobił?) A był w naszej klasie pewien żydek, nazywał się Domke, który dotychczas zawsze najlepsze wypracowania francuskie robił. Podniosły się więc zaraz ręce i głosy uczniów: Domke najlepsze zrobił! Na to jednak pan profesor Nowicki wrzasnął: „Nein, nicht Domke!“ Zatem wołały głosy: Pieniążkiewicz, Monsi i tak dalej. Lecz pan Nowicki, kiwając przecząco głową, odpowiedział: „Nein, keiner von denen (nie, żaden z tamtych).

A kiedy uczniowie przestali zgadywać, pan Nowicki nagłym rzutem ręki, skierowawszy swój palec wskazujący ku mnie, zawołał: „Dieser neue da, der hat das beste Extemporale gemacht!“ (Ten nowy, co tam siedzi, zrobił najlepsze extemporale.) I po krótkiej pauzie, zwracając się do żydka Domkego, który snać nie dowierzał, powtórzył mu jeszcze raz dobitnie: „Ja, ja, Domke; dieser neue, nicht du!“ (Tak, tak, Domke; ten nowy, a nie ty!) Następnie zapytał mnie, jak się nazywam i gdzie poprzednio studjowałem. Naturalnie czułem się jakby do siódmego nieba przeniesiony i odtąd w łasce i chwale chodziłem jak w słońcu. Polscy koledzy winszowali mi, że raz przecie żydek pierwsze miejsce Polakowi ustąpić musiał. Winszował mi przed innymi Józef Pieniążkiewicz, który, będąc zresztą najlepszym uczniem w klasie, we francuskiem wszakże nie mógł przewyższyć Domkego.

7. Na polu, w sadzie i w lesie. — Michała listy z Ameryki. — Fuksy.

Z Wągrówca do Sławomierza nie było daleko, więc na każde wakacje przyjeżdżałem do domu, wozem oczywiście, bo drogę kolejową podówczas dopiero geometrowie wytykali po polach tycz-

kami. Witek zazwyczaj przywoził mnie i odwoził „Siwym". Siwy ten, jako stary i doświadczony koń, na 20 mil w okolicy znał napamięć wszystkie drogi, wiodące do Sławomierza. W zimie o 4-ej po południu było już ciemno i śnieg sypał gęsty tak, że drogi przed nami nie było widać. Siwy zawsze sam wiedział, gdzie skręcić, żeby trafić do domu.

Letnie wakacje we Wągrówcu były dłuższe niż we Wieleniu. Trwały całe dwa miesiące: lipiec i sierpień. Całe więc żniwa czyli czas żęcia zboża człowiek przepędzał na sławomierskiem polu. Dziś tam parową maszyną wymłócą zboże na polu, samo zboże zabierają do gumna, a słomę zostawiają w stogach na ściernisku. Wówczas niewymłócone zboże kładziono na żniwiarskie wozy o wysokich drabinach i jeszcze wyższych kłonicach. Jechały z pola ogromne fury pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa i wjeżdżały dużą bramą do stodoły, gdzie zrzucone zboże leżało aż do zimy, kiedy to młócono je cepami. Stodoły więc miał ojciec dwie, przy każdem gospodarstwie jedną. Na jednej było bocianie gniazdo.

Dwa także były sady, w których rosły grusze najrozmaitszego gatunku. Cukrówki były największe. Nie brakło jabłoni, śliw, wiśni, agrestu i świętojanek (porzeczek). W krzewie agrestu kolczastego miewał gniazdko swoje słowik popielaty, polskim zwany, ptak wielkości wróbla i najskromniejszy co do upierzenia, ale najpiękniej śpiewający. Najpiękniej śpiewają słowiki, kiedy się parzą, to jest na wiosnę aż do św. Wita, 15 czerwca. Potem śpiewają także, ale już nie tak pięknie. „Na święty Wit, słowik cyt!" mówi polskie przysłowie.

Przytykający do wsi las, a raczej bór, bo nie z liściastych ale z iglastych, żywicznych drzew sosnowych złożony, należał częścią do ojca, częścią do innych gospodarzy. Bór ten wycinano co rok, ale go nie niszczono. Owszem powiększano go, zalesiając piaszczyste pagórki dotąd odłogiem leżące. Bór systematycznie wycinano. Sosny czyli chojny, jak je nazywaliśmy, w jednej części boru były już wyrosłe, grube, wysokie a proste jak świece. W drugiej części stały mniejsze, jeszcze niedorosłe. Gdzieindziej wreszcie małe choinki. Bór dostarczał nam nietylko budulcu i opału, ale i zwierzyny i bedłek rozmaitych. Nazwa bedłka, bedłki, była u nas ogólna i powszechna. Bedłki były rozmaitego gatunku. Pomiędzy wysokiemi sosnami rósł najpierw grzyb prawdziwy (agaricus nobilis). Potem pod pniami opieńki;

pod niższemi sosnami we mchu i wrzosie rosły maślacze, pieczarki, gąski i rydz, najsmaczniejszy ze wszystkich bedłek.

Od Michała z Ameryki nadszedł list, gdym bawił w domu na wakacjach. Listy jego były zawsze piękną ręką pisane. Pięknie pisał i o polityce amerykańskiej. W jednym liście do ojca pisał, że z Newark wybiera się w dalszą podróż na zachód do Chicago, a to dalej niż ze Sławomierza do Hiszpanji. Ojciec posłał mu też pieniądze na tę podróż. Aliści w drugim liście Michał ojcu pisze, że: nie wyjechał na zachód, tylko się ożenił. Ojciec uśmiał się serdecznie i chwalił Michała, że się ożenił z Polką z naszych stron, z Jadwigą Linkiewicz ze Żnina.

Michał poniekąd podzielał losy ks. Szymona. Dopóki ksiądz Szymon był we Wieleniu, Michał był z nim i uczęszczał tam do pedagogjum Schwarzbacha. Ks. Szymon opuścił Wieleń; i Michał opuścił Wieleń. Ks. Szymon tułał się z kąta w kąt; i Michał tułał się, pracując jako subjekt (klerk) w różnych składach i miastach w Poznańskiem. Ks. Szymon naraził się rządowi pruskiemu; i Michał naraził się najpierw władzy szkolnej, że nie chciał napisać hymnu „Die Wacht am Rhein", a potem i urzędnikom pruskim „swoją niebezpieczną dla całości państwa niemieckiego agitacją". Ks. Szymon był uważany przez Prusaków za „rebelizanta", a Michał za jego „fascimile" czyli podobiznę. Ks. Szymon poszedł do więzienia, a Michał nie poszedł jedynie dlatego, że nie miał jeszcze ośmnastu lat. Ks. Szymon uciekł do Galicji; i Michał skończywszy ośmnaście lat, wyjechał naipierw r. 1879 do Galicji, a nie znalazłszy tam pola do pracy, wyjechał potem r. 1880 do Ameryki. Michała nie rozumiał ten, kto się w jego młodocianą duszę nie wżył. A nie wżył się w jego młodocianą duszę ten, kto jego przejść z lat 1870 do 1880 nie poznał. Młodość jest życia rzeźbiarką.

Z Wągrówca wybrałem się na wakacje także do rodzinnych stron Libelta, koło Kcyni, z moim kolegą gimnazjalnym Libeltem, wnukiem naszego filozofa Karola Libelta. I z drugim moim kolegą gimnazjalnym Radońskim, synem państwa Radońskich, u których w Słupcach blisko Kcyni niegdyś ks. Szymon był kapelanem, gdy się ukrywał przed ścigającą go żandarmerją pruską. Odwiedziłem także Wolwark koło Szubina, siedzibę Pieniążkiewiczów.

Dwa lata starszy odemnie Józef Pieniążkiewicz, późniejszy proboszcz w Psarskiem pod Pniewami, i równy mi wiekiem Bolesław Wienke, późniejszy proboszcz w Śmieszkowie pod Wijewem — byli to moi koledzy nietylko szkolni, lecz i mieszkalni.

Wszyscy trzej mieszkaliśmy „na stancji" u bezdzietnych państwa Malderów w górnym pokoiku o jednem oknie, patrzącem na pobliską farę, gimnazjum i klasztor, i na przyległe łąki i pola. Pamięciowe zadania szkolne zwykliśmy wykonywać rychło rano, idąc drogą polną, okrążającą błonia naokoło klasztoru. Piśmienne zaś zadania wykonywaliśmy zazwyczaj wieczorem przy jednym stoliku i jednej lampie naftowej.

Profesorzy we Wągrówcu zwykli byli od czasu do czasu zaglądać ukradkiem do stancyj gimnazjastów, żeby się przekonać, czy się uczą, czy nie palą papierosów i tak dalej. Takich szpiegujących profesorów nazywaliśmy „fuchsami", lisami. Szczęściem nasza gospodyni domu, pani Malderowa, miała na dolnem piętrze pieska, który hałaśliwie szczekał, skoro ktoś obcy wchodził do domu. My wtedy na głos zaczęli jeden konjugować „paideuo", drugi deklamować Owidjusza, trzeci Schillera tak, że już na schodach przez drzwi „fuchs" nas słyszał, że się uczymy. Była w tem z naszej strony obłuda i nie obłuda. Nie chcieliśmy się dać złapać. A przecie niepodobna było w długie wieczory zimowe wciąż ślęczeć nad książką, więc dla rozrywki zabawialiśmy się niewinnie w karty. Pieniędzy nikt z nas nie przegrywał, bo ich nie miał. Lecz na wypadek, że „fuchs" nadejdzie, pod kartami leżała zawsze otwarta gramatyka grecka czy łacińska. A jeśli czasem który papierosa zakurzył, to zaraz otwierał szeroko drzwi i okno, drzwiami machając tak długo, aż ostatni dymek wyleciał z pokoju. Bo „fuchsy" mieli dobry węch.

TRZECIE SIEDMIOLECIE.

(Wiek młodzieństwa od 1882—1889.)

1. Jezuita jako ideał żołnierza-księdza. — Most Cezara. — Tajne Towarzystwo. — Wyrzucony z klasy.

Rok 1882 był trzeciem „latem klimakterycznem“ w życiu mojem. W tym roku pierwszy raz przystąpiłem do komunji świętej i w tym roku pierwszy raz w życiu usłyszałem o Jezuitach. Kiedy w niższej tercji profesor Hockenbeck wykładał nam historję reformacji, opowiadał nam także o św. Ignacym Lojoli i Towarzystwie Jezusowem, jakie założył, i że charakterystyczną cechą Jezuity jest posłuch żołnierski. Żołnierski rys w charakterze świętego Ignacego Lojoli spodobał mi się ogromnie. Wszak ja od zarania życia mego marzyłem tylko o żołnierzu-księdzu. Mówiono mi, że takiego ideału na świecie nie ma. Aż tu nagle z ust profesora mego słyszę, że taki ideał istnieje i iści się w Jezuicie.

Chociaż więc nigdy w życiu okiem ciała nie oglądałem Jezuity, okiem ducha teraz ujrzawszy raz tę postać żołnierza i kapłana w jednej osobie Jezuity, od razu całą duszą pokochałem ten ideał Jezuity i przylgnąłem do niego. Ale jeśli są Jezuici na świecie, to gdzie oni są? Słyszałem, że w Księstwie Poznańskiem ich nie ma. Ani w całych Niemczech ich nie ma. Rząd niemiecki wypędził ich z całego państwa — mówiono mi. To tem bardziej muszę ja pójść do nich! Gdzie oni są? Na to pytanie odpowiedź spadła mi jakby z nieba. Oto właśnie ksiądz Szymon, będący podówczas wikarym w Dynowie w Galicji, nadesłał mi list, w którym mi pisał o Jezuitach w Starejwsi, niedaleko Dynowa, i namawiał mnie, bym do nich wstąpił. W Prusach seminarja są zamknięte, więc księdzem tam zostać nie możesz. Wstąp do Jezuitów w Starejwsi.

Lecz ojciec mój ani słyszeć nie chciał o tem, żebym szedł do Jezuitów. Chłopak czternaście lat dopiero ma, jest za młody. Niech

czeka, aż wyrośnie, i wtedy wybiera stan życia. Ojciec tak powiedział, rzecz skończona.

Uczęszczałem więc dalej do gimnazjum we Wągrówcu.

W niższej tercji ordynarjuszem był głaskający swą bujną brodę profesor Mueller (1882—1883). Czytaliśmy i tłumaczyliśmy na niemiecki język księgi Cezara „de bello gallico". Mówię najpierw, że czytaliśmy. Bo kto nie umiał dobrze po łacinie czytać, względnie poprawnie akcentować każdego słowa łacińskiego, temu profesor Mueller nie pozwalał także tłumaczyć, tylko rzekł sucho: Siadaj! I dał mu szóstkę (najniższy stopień). Gdy czytając jednę księgę po drugiej, w 4 księdze, 17 numerze tłumaczyliśmy opis mostu, jaki poprzez rzekę Ren zbudował Cezar dla przeprowadzenia swego wojska z Gallji do Germanji, profesor Mueller wyraził życzenie, by jeden z nas zrobił taki most w zmniejszeniu zgodnie z opisem księgi 4, nr. 17.

Ponieważ pasąc na polach sławomierskich owce lub bydło, lubiałem stawiać wiatraki, domy i kościoły w zmniejszeniu, więc i do wystrugania mostu Cezarowego zabrałem się ochoczo, trzymając się wiernie opisu w księdze de bello gallico. Pomagał mi w tem Józef Pieniążkiewicz. Most był gotowy, lecz nie śmiałem go pokazać profesorowi. Więc profesor Mueller w pewnej godzinie rozkazał mi iść do domu i przynieść ten most do szkoły. Przyniosłem. Prof. Mueller, obejrzawszy dokładnie most i wszystkie jego części składowe, stwierdził jego zgodność z opisem Cezara i wydał taki wyrok: „Ten most pozostanie w tej klasie niższej tercji na zawsze, mając służyć rok rocznie jako objaśnienie rozdziału 17, księgi 4 de bello gallico". I niższa tercja na rozkaz Muellera sprawiła pudło z srebrnym napisem do przechowania tego mostu dla następnych pokoleń.

Było to roku 1882. Po 21 latach, w październiku roku 1903, kiedym odwiedzał brata Szczepana i szwagra Romana we Wągrówcu, jeden z licznych bratanków, chodzących do gimnazjum wągrowieckiego, przypomniał mi ten most. Poszedłem do klasy niższej tercji naumyślnie, żeby się naocznie przekonać, czy rzeczywiście jest tam jeszcze to dzieło rąk moich z przed 21 lat. Z wielkiem zdumieniem, połączonem z miłą niespodzianką, przekonałem się naocznie, że mój most Cezara wraz z moim własnoręcznym napisem przechowuje się jeszcze w klasie niższej tercji. Ktoby się był tego spodziewał?

Dwa wielkie jeziora przytykały do miasta Wągrówca: Durowskie od północy i Łęgowskie od południa. Od węgorzy w tych jeziorach miasto wzięło nazwę Wągrówca. Lecz kąpieli używaliśmy najczęściej w rzece Wełnie. W jeziorach woda była zaraz od brzegów bardzo głęboka i, co za tem idzie, zimną nawet w lecie. Wypadki kurczów były częste u pływaków w jeziorze. Za to w zimie całe miasto ślizgało się na zamarzniętem jeziorze Durowskiem, aż lód złowrogo pękał przerażającym, podobnym do grzmotu, hukiem. Po Łęgowskiem jeziorze nie zapędzaliśmy się zbyt daleko, bo tam smoki zbóje kradli gimnazjastom łyżwy. W chwilach wolnych od nauki wychodziliśmy na przechadzki w pola lub do lasu. Odwiedzaliśmy często wspaniały pomnik żołnierza polskiego. Robiliśmy pieszo i dalsze wycieczki raz do Mieściska, a raz do Łekna.

Ponieważ w gimnazjum uczono nas wprawdzie dwa razy tygodniowo języka polskiego, lecz nie uczono nas wcale historji polskiej; przeto między polskimi gimnazjastami zawiązało się Towarzystwo Literackie, ale zupełnie tajne, gdyż w oczach rządu pruskiego zbrodnią było uczyć się historji polskiej. Tylko studenci zaufania godni, umiejący dotrzymać tajemnicy, byli do tego Towarzystwa dopuszczeni. Władze bowiem szkolne, dowiedziawszy się o tem, że należy do tego towarzystwa, natychmiast wydalały go z gimnazjum. Dlatego ustanowiliśmy takie prawo: Skoro tylko jednego z członków wykryją, w tej chwili całe towarzystwo się rozwiąże i przestanie istnieć. A to w tym celu, żeby wyłapany członek mógł śmiało przysięgać, że do towarzystwa nie należy. Starsi z towarzystwa uczyli młodszych historji polskiej zazwyczaj gdzieś daleko za miastem w polu lub w lesie. Wyszliśmy sobie w trzech niby to na przechadzkę, naprzykład drogą ku Skałom, a w drodze starszy uczył nas historji polskiej.

Na Wielkanoc r. 1883 dostałem promocję do wyższej tercji. Tu nowy profesor matematyki, pan Rychlicki, stoi mi dziś żywo w pamięci. Przyniósłszy raz poprawione zeszyty do klasy, zwyczajem swoim wywoływał najpierw nazwiska uczniów i ogłaszał każdemu: dobrze, źle, bardzo dobrze, lub bardzo źle, stosując do tego, jak jego piśmienne extemporale z geometrji wypadło. A potem kazał każdemu przyjść do katedry po swój zeszyt. Otóż wywołał i mnie a wrzasnął gniewnie: „ganz ungenuegend" (bardzo źle), rzucając mój zeszyt z pogardą na podłogę. — Podjąłem zeszyt z podłogi, otworzyłem go czemprędzej, by zobaczyć, co za błędy po-

robiłem, że zadanie moje „bardzo źle“ wypadło? Aż tu ze zdziwieniem widzę pod zadaniem napisane czerwonym atramentem słowa: „Sehr gut“ bardzo dobrze. Wejrzałem wtedy pytająco na pana profesora Rychlickiego. On zaś rozpromienił twarz swoją takim niewinnie figlarnym uśmiechem, że go nigdy nie zapomnę. Kilka lat przed wojną wszechświatową pisał mi, że go Niemcy z Wągrówca przesadzili aż do Duesseldorffu nad Renem.

Nowy ordynarjusz wyższej tercji, profesor dr. Rehbronn, przybyły z Prus Zachodnich, był to surowy Kato. Każdy musiał siedzieć wyprostowany, z palcami na krawędzi ławki i z oczami wpatrzonemi w niego, jak w tęczę. Biada temu, kto patrzał gdzie indziej a nie w niego; lub kto choć jedną rękę pod ławkę spuścił lub po łokieć na ławkę położył. Tylko końce rąk czyli palce miały spoczywać na krawędzi ławki. Ma się rozumieć, nikt całą godzinę w takiej sztywnej postawie nie mógł wysiedzieć. Więc też ciągłe gromy i pioruny wylatywały z ust profesora doktora. Szemranie i niezadowolenie w klasie było ogólne. W dodatku dr. Rehbronn jako ordynarjusz był tak ordynarny, że nie dawał nam przynależnego tytułu „Sie“. Ale ja od czasu, jak dr. Rehbronn nastał, nie miałem dotąd najmniejszego zatargu z nim.

Mnie proste siedzenie i trzymanie rąk na ławce nie męczyło tyle, co ciągłe wpatrywanie się w zmarszczone brwi i rozczochraną brodę profesora doktora. Więc choć głowę według rozkazu miałem stale skierowaną ku profesorowi, to jednak mimowoli oczy od czasu do czasu zwracałem to ku ścianie, to ku oknu.

Spostrzegł to razu pewnego profesor doktor. „Kruszka, wstań!“ — krzyknął głośno po niemiecku. Wstałem, ale przytem mimowoli głowę odwróciłem od niego. „Głowę ku mnie!“ — zakomenderował. Skierowałem głowę ku niemu, ale znowu oczy moje zwróciły się w bok. Więc zawołał: „Oczy we mnie!“ Na rozkaz wlepiłem oczy w niego. Długo to jednak nie trwało, a oczy moje, zmęczone i znudzone widokiem brodatej twarzy, znowu zeszły na inny przedmiot, chociaż głowa pozostawała zawsze nieruchomie skierowaną wprost ku profesorowi doktorowi. Tem mimowolnem zboczeniem ócz moich widocznie rozgniewany profesor, zakomenderował nareszcie: „Geh in die Eselsbank!“ Idź do oślej ławki. Posłuszny poszedłem. Ale że to pierwszy raz w życiu taka hańba mnie spotkała, więc teraz już mimowoli nietylko oczy, ale i głowa moja ze wstrętem się odwracała od profesora doktora. To

ostatecznie doprowadziło go do wściekłości. I skończyło się na tem, że kazał mi wynosić się z klasy.

Wyszedłem, i zatrzasnąwszy drzwi za sobą, szedłem szukać dyrektora gimnazjum. Nie mogąc go znaleźć, poszedłem do domu pp. Malderów, u których się stołowałem. Tu uprzytomniwszy sobie całe to zajście, jakiego podobnego nigdy w życiu nie miałem, postanowiłem nie powracać do gimnazjum, lecz iść do domu rodziców, do Sławomierza.

Bez dalszej zwłoki wziąłem kapelusz na głowę i laskę do ręki i szedłem pieszo do Sławomierza. Ojcu powiedziałem zaraz wszystko, co i jak zaszło. Ojciec bezzwłocznie pojechał ze mną do Wągrówca i wniósł skargę do dyrektora Runge. Dyrektor słyszał już o całej sprawie i żałował, że nie zastałem go w domu; bo byłby odrazu tę sprawę pomyślnie dla mnie załatwił. Potem dyrektor sam osobiście wprowadził mnie do klasy i, nie pytając się wcale ordynarjusza, kazał mi ostentacyjnie wobec uczniów usiąść na swojem miejscu dawnem, a nie w oślej ławce. Ordynarjusz zaś od tego czasu tak dla mnie jak i dla całej klasy stał się lepszym i grzeczniejszym. A współuczniowie moi byli mi niezmiernie wdzięczni za to, że moją stanowczością i nieugiętością wygładziłem im zbyt szorstkie i ostre kanty władzy szkolnej.

Nie ostatni to raz w życiu, ni stąd ni z owąd, wyrzucono mię, a potem znowu napowrót przyjęto. Ta „historja powtarza się“ perjodycznie w życiu mojego człowieka. Powyższe zajście było typem i figurą przyszłych.

Atoli takie zajścia, jak to powyższe w wyższej tercji, wywierały zawsze wielki wpływ na dalszy bieg życia mego.

2. Podróż do Galicji. — W Krakowie i Dynowie. — Ciekawe spotkanie z księdzem Szymonem i księdzem Jackowskim.

Zajście to we wyższej tercji w dzień św. Wita, 15 czerwca 1883 r., miało ten skutek, że odtąd ojciec już się nie opierał ciągłej mojej i księdza Szymona prośbie, żebym poszedł do Jezuitów. „Chce, to niech idzie.“ We wągrowieckiem gimnazjum pozostawałem aż do feryj letnich, do 7-go lipca 1883. We Wągrówcu pożegnałem się i z profesorem Rychlickim, który mnie brał za ramiona i błagał, żebym nie opuszczał gimnazjum. W Sławomierzu niebawem przygotowałem się do tej „wielkiej i dalekiej“ podróży — do Galicji. Była to dla mnie podróż na koniec świata.

Dnia 20 lipca r. 1883 rano rychło opuściłem dom rodzicielski. Ojciec mój i najmłodszy brat, Stanisław, odwieźli mnie kolumi na kolej do Gniezna. Znajomi mówili do ojca: „Co? Tak mały chłopiec w tak daleki sam pojedzie świat?" A ojciec im odpowiadał: „Adyć cięgiem u matki siedzieć nie będzie. Choć mały, da on sobie pomoc i w dalekim świecie." Takie ojca umiemanie o mnie bardzo mi się podobało i pogłaskało wrodzoną dumę moją, tak że party jakby jakąś siłą niepowstrzymaną w świat daleki, bez najmniejszego żalu żegnałem ojca, matkę, braci i siostry i strony rodzinne.

Na dworcu kolejowym w Gnieźnie wsiadłem do pociągu tegoż dnia 20 lipca 1883. Pamiętna i rzewna to była chwila. Poki pociąg stał, z wagonu przez okno rozmawiałem jeszcze z ojcem i bratem Stanisławem. Gdy pociąg ruszył, ojciec zdejmując kapelusz z głowy, powiedział: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" — a ja: „Na wieki wieków. Amen!" I to były ostatnie słowa, jakie ojciec do mnie i ja do ojca przemówił. Pociąg wyruszył, ojciec znikł mi z oczu „na wieki wieków". Bo nigdy go już więcej zobaczyć nie miałem.

Podług wskazówek ojca, tego dnia koleją jechałem tylko do Jarocina, gdzie u pewnej znanej ojcu a mnie całkiem nieznanej familji przenocowałem. Stąd na drugi dzień rano wsiadłem na pociąg do Krakowa. Pierwszy raz w życiu wyjechałem poza granice Księstwa Poznańskiego i zobaczyłem Śląsk, o którym z geografji i map szkolnych miałem ii tylko wyobrażenie.

Oczy moje nie mogły się nasycić widokiem nowych krain i krajobrazów. Co za urok! Ile wrażeń! Jak w kalejdoskopie przesuwały się mnie jadącemu pociągiem te liczne widoki miast i wsi śląskich. Wszystko w drodze mnie zajmowało. Wszystko chciałem widzieć, poznać, **wchłonąć w siebie, lecz nie dla siebie** tylko, ale żeby się podzielić temi wiadomościami z moimi kolegami szkolnymi, do których listy posyłałem z szczegółowym opisem moich wrażeń z podróży. Chcąc nowe okolice lepiej poznać i obejrzeć, wychylałem głowę z okna wagonu i — wiatr mi kapelusz porwał. Szczęściem miałem w kuferku kaszkiecik (czapkę z daszkiem), bo inaczej byłbym z gołą głową zajechał do Galicji.

Wieczorem tegoż dnia 21 lipca 1883 stanąłem w Krakowie. Być pierwszy raz w prastarej stolicy Polski, poza granicą Niemiec, w nowym kraju, w Austrji, widzieć nowych urzędników w odmiennych uniformach i słyszeć od nich mowę polską — wszystkie te wrażenia w głowie mi się pomieścić nie chciały.

Po mnie miał z Dynowa wyjechać mój brat, ksiądz Szymon, i oczekiwać mnie na dworcu kolejowym w Krakowie. Pociąg stanął, konduktor zawołał: „Kraków!“ Wysiadłem i oglądam się za księdzem Szymonem. On tu miał być po mnie. Widzę jakiegoś jegomościa w kanonach (w butach z cholewami po kolana). Może to on, a może nie on. A czy ja go znał? Kiedy ostatni raz księdza Szymona widziałem, miałem niespełna lat siedm. A więc prawie dziewięć lat mój człowiek go nie widział. Jak on wygląda? Ale spostrzegłem zaraz, że ów jegomość w kanonach ogląda się za kimś i patrzy, to tu, to tam, na wychodzących z wagonu, jakby szukał kogoś. Podszedłem więc blisko niego. On wejrzał na mnie; ale wnet obrócił się w inną stronę i znowu za innymi patrzał.

Pomyślałem sobie, to chyba nie on. Bo gdyby to on był, to przecie patrząc na mnie, byłby mię poznał! Myśląc tak, zapomniałem jednak o tem, że on mnie widział ostatni raz jako sześcioletniego chłopca; i że ja przez te dziewięć lat musiałem się zmienić nie do poznania. Więc jeżeli mnie jego trudno było poznać, to jemu jeszcze trudniej było mnie poznać. Ale — szedłem krok w krok za nim. Obrócił się drugi raz ku mnie i wejrzał na mnie. Niebawem atoli znowu się odwrócił i w inną stronę szedł widocznie szukać kogoś.

Nareszcie zastanowiło go to, że ja ciągle kręcę się koło niego. Więc zwracając się do mnie, rzucił mi takie lakoniczne pytanie: „Czyś to ty?“ A ja mu również lakonicznie odpowiedziałem: „Tak, to ja!“ Poczem przywitawszy mnie, kazał mi iść siadać do powozu. Ale siadając z nim do powozu, jeszcze nie dowierzałem i powątpiewałem, czy to on czy nie on. Bo cóż z tego, że on mnie się spytał: czyś to ty, a ja mu odpowiedziałem, że to ja? To taki akurat mądry jestem teraz, jak przedtem byłem. Kto ten ja, to ja wiem: ale co on zacz? Czy on jest księdzem Szymonem, bratem moim? Tak rozum mój jeszcze ciągle powątpiewał. Natomiast instynkt mój zapewniał mię, że to on, ksiądz Szymon, a nie kto inny. A kiedy w drodze do hotelu zaczął mię nazywać po imieniu i wypytywać o Sławomierz, o ojca, braci i tak dalej, natenczas znikła już wszelka wątpliwość.

Chociaż bardzo ciekawy byłem widzieć Kraków, to jednak jeszcze bardziej ciekawy byłem widzieć Jezuitę. I zaraz też nazajutrz zobaczyłem po pierwszy raz w życiu Jezuitę. Był nim prowincjał Ojciec Henryk Jackowski. Szczupły, chudy, wysoki,

jak żołnierz prosty i sztywny, zaimponował mi swoją powagą i stanowczością. Miałem się udać do Starejwsi na egzamin i probację.

Potem zwiedziwszy osobliwości Krakowa, ks. Szymon dał się odfotografować ze mną razem na jednym obrazku. Bo „ja nie doczekam twoich święceń" — mówił mi ks. Szymon, wspominając mi o swojem skołatanem we więzieniach pruskich zdrowiu.

Z Krakowa jechaliśmy koleją przez Tarnów do Rzeszowa, a stąd do Dynowa (25 mil amer.) wozem przez górzyste okolice. Nie były to góry Karpat właściwych; były to raczej pagórki na Podkarpaciu, przez które przejeżdżaliśmy. Bądźcobądź mój człowiek, do równin poznańskich przyzwyczajony, po pierwszy raz w życiu jechał teraz po tak wysokich górach i tak głębokich dolinach. Jechał stromemi drogami, wijącemi się ponad urwiskami i przepaściami, w których głębię oko zaglądało ze strachem i lękiem. Drogi bywały tak spadziste, że nasz wóz z góry idący hamować trzeba było łańcuchem do tylnego koła przywiązanym. Takiego przyrządu u wozów w Poznańskiem nigdy nie widziałem.

Dalej malownicze krajobrazy podkarpackich okolic działały żywo na młodzieńczą moją wyobraźnię. Skrzętnie notowałem sobie w pamięci wszystkie te niezwykłe wrażenia, by je potem przelać na papier i opisać w listach do dawnych moich kolegów gimnazjalnych. Nie poprzestając na opisach, rysowałem im w tych listach góry i drogi nad przepaścią; wozy z hamulcem łańcuchowym; i chłopów z koszulą na spodniach. Pomimo zmęczenia w podróży nie mogłem się oprzeć tej wewnętrznej tajemniczej jakiejś sile, która mię parła do przelania moich wrażeń na papier i przesyłania ich w listach do znajomych. Po drodze z Rzeszowa do Dynowa odpoczęliśmy u jakiegoś proboszcza, u kogo i gdzie, już nie pamiętam. Ale pamiętam, że tam tą długą podróżą czułem się znużony do tego stopnia, że krew mi się nosem rzuciła. Nareszcie przybyliśmy do Dynowa, ówczesnej siedziby ks. Szymona. Dynów, to miasto nad sławną rzeką Sanem położone i łańcuchem pięknych gór opasane, dostarczyło mi obfitego materjału do opisów w listach. W Sanie się kąpałem i przepłynąłem go od brzegu do brzegu. Lecz więcej niż sama kąpiel bawiła mnie i krzepiła ta myśl, że ja Poznańczyk kąpałem się w tak sławnej rzece, jak San, który w Sandomierzu do Wisły „domierza".

W Dynowie, w sielankowem położeniu wśród ogrodu stała wikarówka ks. Szymona. Tu odpoczywałem dwa tygodnie. Po

długiem niewidzeniu się, ks. Szymon mnie a ja jego wypytywałem o to, co zaszło od czasu, jak on Poznańskie opuścił.

Przybywszy do Galicji z listem polecającym od ks. prałata Koźmiana, ks. Szymon bawił najpierw przez 4 miesiące w Strzyżowie, diecezji przemyskiej, jako guwerner u pp. Skrzyńskich. Następnie objął posadę wikarego w Sieklówce pod Jasłem, gdzie przebywał aż do 1-go maja r. 1876. Zabawiwszy jeden miesiąc w Krakowie, dnia 31 maja 1876 r. otrzymał znowu od biskupa Łobosa, ówczesnego kanclerza, wokację na wikarego w Dynowie. Tu w Dynowie pełnił obowiązki wikarego de nomine, a de facto administratora, przez siedm i pół lat. Tu w tym czasie założył szkołę niedzielną dla starszych; dalej Stowarzyszenie Czeladników, zwane potem Stowarzyszeniem św. Józefa, do którego nietylko czeladnicy, ale i majstrowie i obywatele wogóle należeli. Celem stowarzyszenia tego było wzajemne pouczanie się i kasa pożyczkowa. W roku 1883 kasa ta liczyła przeszło tysiąc guldenów żelaznego funduszu. Staraniem ks. Szymona wnętrze kościoła odnowiono i upiększono, naokoło kościoła bruk kamienny położono, dwie kruchty dobudowano, dzwon sprowadzono, na cmentarzu dynowskim piękną kaplicę postawiono. Następnie ksiądz Szymon zajął się energicznie szkołą parafjalną, zreformował ją, ulepszył. To samo Stowarzyszenie św. Józefa, o którem wspomniałem, urządzało wspólne wycieczki, majówki, wspólne zabawy i gry — ks. Szymon przy swojej wikarówce w ogrodzie miał i kręgielnię dla członków Stowarzyszenia — a co najważniejsza, Stowarzyszenie to miało w swojej konstytucji paragraf, bardzo zbawienny dla czeladników i obywateli wogóle, ale bardzo drażliwy dla miejscowego dziedzica: był to paragraf o nieuczęszczaniu do knajp. Żadnemu członkowi Stowarzyszenia nie wolno było upijać się lub pić po knajpach. A knajpy w Dynowie były w rękach żydowskich, lecz prawo propinacji, czyli wyszynku napojów spirytusowych, należało częściowo do miejscowego dziedzica, p. Trzecieckiego, a częściowo do miejscowego proboszcza ks. kanonika Palcha. Żydzi byli dzierżawcami tych knajp. Przed założeniem Stowarzyszenia p. Trzeciecki brał z propinacji przeszło 4000 guldenów, a potem Żydzi nie chcieli dać mu ani 3000; a kanonik za propinację we wsi Ulanicy brał 650 guldenów, początkowo, a później miał Żyd płacić mu tylko 300 dzierżawy, ale zbankrutował i uciekł. Z tego powodu tak dziedzic, jak i proboszcz stali się przeciwnikami ks. Szymona, wraz z Żydami starali się wysadzić go z Dynowa.

W takiem to położeniu zastałem ks. Szymona w Dynowie na początku sierpnia r. 1883. Przeciwnicy jeszcze tego samego roku 1883-go w grudniu rzeczywiście go wysadzili z Dynowa. O czem, nie chcąc uprzedzać wypadków, później wzmiankę uczynimy.

3. W Starejwsi, w swoim żywiole.

Po dwutygodniowym wypoczynku na wikarówce w Dynowie, wybrałem się z ks. Szymonem nareszcie do celu mojej podróży, do Starejwsi. Wieś ta, blisko miasteczka powiatowego Brzozowa położona, o 15 mil amer. od Dynowa. Jechaliśmy wozem przez góry i doliny. Zostawiając po lewej ręce Brzozów, a skręcając na prawo, wjechaliśmy na pagórek, z którego odsłonił nam się widok całej długiej Starejwsi, położonej nad rzeczką w dolinie między dwoma pasmami wzgórz.

Zaraz przy wjeździe do wsi wznosiła się, jakby głowa Starejwsi — wspaniała świątynia o dwu masywnych wieżach i trzypiętrowem kolegjum, przymurowanem do świątyni, w zieleń drzew utulonej. Dalej w środku wsi widniał dom Sióstr Służebniczek, jakby serce Starejwsi. Zresztą chałupy, słomą lub gontami pokryte, często bez kominów, ciągnęły się wzdłuż bitej drogi, „gościńcem“ nazywanej w Galicji.

W pamiętny dzień 8 sierpnia r. 1883, pierwszy raz w życiu przestąpiłem próg kolegjum jezuickiego. Rektor kolegjum, uczuciowy ks. Klemens Baudiss, biorąc mnie w swe ramiona, zawołał: „Całe serce oddaj Bogu, bo jeśli tylko połowę serca oddasz, to ci drugą połowę wykroim“. I do boku mi dał tak zwanego Anioła, któryby kierował pierwszemi krokami mojemi w tem nowem życiu wspólnem, czyli kolegjalnem. Aniołem takim bywa zazwyczaj jeden z nowicjuszów. Dla mnie był nim Romuald Koppens, zacny, szczery i roztropny młodzieniec, później ksiądz i profesor uczony.

Po przejrzeniu moich świadectw gimnazjalnych, wzięto mnie do pokoju rektora na ścisły i surowy egzamin, examen rigorosum. Uderzono zwłaszcza w moje słabe struny. To jest egzaminowano mnie najściślej przedewszystkiem z tych przedmiotów, w których według świadectwa byłem słabym. Egzamin jednak poszedł mi dobrze. Lecz gdy kazali mi Cezara „de bello gallico“ na język polski tłumaczyć, wtedy nagle wybuchłem w płacz na myśl, że już teraz w egzaminie z kretesem przepadnę i nie zostanę przyjęty do Jezuitów. Nigdy bowiem Cezara nie tłumaczyłem na język polski,

tylko zawsze na niemiecki. Jak ja się teraz wysłowię po polsku? Atoli rozsądni egzaminatorzy wiedzieli o tem z góry i tylko, żeby mię nastraszyć, kazali mi tłumaczyć na polskie.

Po tym egzaminie, z tak zwanej aspirantury, przeszedłem do kandydatury, w której już było trzech, mianowicie: Serafin, zmarły dwa lata później, Dąbrowski, zmarły siedm lat później, i Skałuba, który później jako ksiądz wystąpił z Towarzystwa i został proboszczem w archidiecezji lwowskiej. Tu w kandydaturze odrazu musiałem wejść w żywioł jezuicki, tak jak początkujący pływak musi odrazu wejść do wody. Co to jest ten żywioł jezuicki? To jest ćwiczenie, ćwiczenie i jeszcze raz ćwiczenie. Ciągłe ćwiczenie. Jezuici uczą przez ćwiczenie. Przez ćwiczenie nabywasz cnoty, przez ćwiczenie nabywasz u nich nauki i sztuki. Przez ćwiczenie nabywasz u nich wprawy i biegłości w poprawnem myśleniu, mówieniu, pisaniu i działaniu. Ćwiczenie bowiem wyrabia mistrzów.

Jak niegdyś Witek rzucił mnie odrazu do głębokiej wody, żebym przez ćwiczenie nabył wprawy w pływaniu, tak teraz mój anioł, Romuald Koppens odrazu wyprowadził mnie na głębię ascetyzmu, czyli ćwiczenia się w medytacji, refleksji, fleksorji. Odrazu musiałem odprawiać najpierw rano medytację, to jest rozmyślać przez ćwiczenie pamięci, rozumu i woli. Potem refleksję, czyli zastanawianie się nad medytacją, czy mi dobrze poszła i w czem ją ulepszyć.

Następnie fleksorja, czyli wieczorną medytację, mniej głęboką od porannej. Dalej rachunek sumienia, południowy i wieczorny; odmawianie koronki i nawiedzanie Najśw. Sakramentu. Nareszcie ćwiczyliśmy się i w polszczyźnie i w łacinie, ucząc się tych języków praktycznie, rozmawiając ze sobą to po polsku, to po łacinie. Ćwiczyliśmy się w punktualności i posłuszeństwie, ucząc się wstawać rano rychło, o godzinie punkt pół do piątej, a wieczorem o kwadrans po dziewiątej iść spać, w pewnym czasie uczyć się, w innym czasie modlić się, w pewnym czasie iść na przechadzkę. Wszystko odbywało się regularnie i punktualnie.

Nowy ten sposób życia, acz o całe niebo inny i odmienny od dotychczasowego życia mego w domu i w gimnazjum, odrazu przypadł mi do smaku. Czułem się w swoim żywiole, jak ryba we wodzie.

Dnia 22 sierpnia 1883 roku zostałem przyjęty do nowicjatu, a w cztery dni potem przywdziałem sukienkę duchowną, to jest

zwyczajną sutannę czarną, tylko bez guzików, przepasaną kitajką; a około szyi wystawał twardy, wysoki, jakby żołnierski kołnierz. Tak z kandydatury przeszedłem do nowicjatu, w którym podówczas bawili następujący: Piszczek, Szklarczyk, Kohlsdorfer, Jaworski, Gliwa, Koppens, Gawlikowski, Pykosz, Furko, Burgiel, Brząkalski, Żelazowski, Piotrowski, Kuczek, Długi, Sagadyn, Ślusarczyk, M. Gruszczyński, Siarkowski, Kosellek, Zakrzewski, Mróz, Sądel, Eminowicz, Malina i Wereszczyński. Każdy z tych, witając mnie, dał mi tak zwany aplexus czyli uścisk, polegający na wzajemnem obłapianiu się i całowaniu ramion. Manuduktor, czyli bezpośredni przełożony nowicjuszów, naonczas Burgiel, pochwaleniem Pana Boga dał znak, że rozpoczyna się półgodzinna rekreacja na cześć nowoprzyjętych.

Rekreacja to znaczy czas rozmowy i zabawy, trwający godzinę po obiedzie i godzinę po kolacji. Gdy pogoda, zabawa w ogrodzie w kręgle lub w piłkę; a gdy słota, w asceterjum lub na kurytarzach gra w szachy, warcaby, bilard. Ale i w prowadzeniu rozmowy nie obyło się bez ćwiczenia. Bo prowadzenie dobrej a rozumnej rozmowy jest sztuką bardzo wielką, w której ćwiczyć się trzeba. Należałem do tak zwanego Paktum św. Stanisława Kostki, które miało na celu pomaganie sobie wzajemne w prowadzeniu rozmów duchowych czyli rozumnych. Należący do Paktum dzielili się na kółka po sześciu. Każde takie kółko obierało sobie prefekta z pomiędzy należących do kółka.

Dlatego że uczono nas przez ćwiczenie, wielka sala, w której się zgromadziliśmy, nosiła nazwę asceterjum, który to grecki wyraz znaczy tyle co sala ćwiczeń czyli miejsce gimnastyki duchowej. W tem asceterjum ćwiczyliśmy się w tej największej sztuce poznania samego siebie. Poznaj samego siebie, poznaj swoje błędy, bo to jest pierwszy krok do ich poprawy. W tym celu każdemu z nas, jak to mówią, „wyrżnięto kapitulum". Co to znaczyło? Otóż klęczałeś w pośrodku sali, otoczony gronem konfratrów, z których każdy po kolei wytykał ci twoje błędy, albo na kartce wypisał i Ojcu Magistrowi podał. Magistrem czyli mistrzem naszym był ks. Michał Mycielski, poznańczyk, który nam co dzień wykładał reguły i ustawy Towarzystwa Jezusowego. Socjuszem magistra był ks. Michał Maćkowski, także poznańczyk, który nas tu w nowicjacie uczył łaciny teoretycznie i praktycznie przez rozmowy.

Również pilnie ćwiczyliśmy się w śpiewie pieśni tak nabożnych jak i patrjotycznych. Kilkadziesiąt pieśni patrjotycznych umiał mój człowiek na pamięć. Bo śpiewaliśmy je nietylko w domu, ale i na przechadzkach. A przechadzki do sąsiednich gór i lasów odbywały się co wtorek i czwartek regularnie nietylko latem, ale i zimą choćby w siarczysty mróz. W ten sposób ćwiczyliśmy nietylko ducha, ale i ciało.

W Poznańskiem mało miałem sposobności do nauki polskiej, a już najmniej do śpiewu polskiego. Tu w Galicji dopiero nauczyłem się polskiej mowy i polskiej pieśni, nie żałując wcale, że całkiem zapomniałem śpiewać „Ich bin ein Preusse". W kolegjach jezuickich otaczała mnie atmosfera nawskroś patrjotyczna, w której pełną piersią oddychałem. Za domem, za rodzeństwem, za Poznańskiem, wogóle za światem nie tęskniłem wcale. Wśród konfratrów, pod opiekuńczemi skrzydłami Ojców było mi zawsze tak miło i wesoło, że gdyby mi kto był życzył powrotu do świata, byłby mi mógł życzyć śmierci tak samo. Człowiek wstawał codzień, zimą i latem, o 4 i pół rano, a kładł się do łóżka o 9 i kwadrans wieczorem. Więc siedm godzin tylko spał, reszta czasu była zapełniona to modlitwą, to nauką, to robotą ręczną, to przechadzką lub zabawą. A w tem wszystkiem, od rana do wieczora, nie miał własnej woli, lecz musiał wypełnić wolę przełożonego. Człowiek stał zawsze, rzekłbyś, z jedną nogą podniesioną, by iść gdzie każe przełożony. Żołnierski posłuch był duszą życia naszego. Wieczorami często tak czułem się znużony i śpiący, że chcąc wysłuchać nauki wieczornej a nie spać, stawałem bądź na jednej nodze bądź na piętach, by sen odpędzić.

Pomimo to, tak się przywiązałem do tego życia regularnego i karnego, że stu wołami nie wyciągnąłbyś mnie do samowolnego życia na świecie. A przecie miałem liczne przykłady takich, co występowali z Towarzystwa. Mnie jednak nigdy ani na myśl nie przyszło, żeby iść w ich ślady. Owszem ubolewałem i smuciłem się bardzo, ile razy któryś z kolegów wystąpił lub został wydalony z Towarzystwa. A bardzo wielu ich opuszczało Towarzystwo. Z tych, co przede mną wstąpili, których powyżej wymieniłem, wystąpiło za moich czasów 10. Tak samo bardzo wielu wystąpiło z tych, co po mnie wstąpili. A po mnie wstąpili i nowicjat ze mną odprawili jeszcze następujący: Jendralski, Urbański, Kosubek, Nuckowski, I. Gruszczyński, Nawrocki, Schafflik, Ratyński, Pinscher, Deszczułka, Czekała, Podgórski, Rosenbeiger, Pawelski,

Starker, Broeer (ojciec księdza), Nagaj, Gdula, Dydek, Grużewski, Kwos, Skrzyński, Firla, Dobrzański, Sopuch, Sas, Suchodolski, Stafiej, Dumana, Kumor, Wiecki (mój kolega gimnazjalny z Wągrówca), Świetlikowski, Jachimiak (późniejszy proboszcz w Mill Creek, Wis.), Jarończyk, Lipski, Czarliński, Nowak, Kobyłecki, Piasecki, Brajewski, Tomkiewicz, Śledziowski, I. Mieloch, Grzypczyk, Czarnota, Kotwicz, Konstanty, Pierzchała, Klus, Tobiński, Szpila.

Z tych powyższych Wiktor Wiecki z Wągrówca przywiózł mi garść wiadomości o moim bracie ks. Szymonie, o którym już poprzednio słyszałem od mego mistrza ks. Mycielskiego, że przeciwnicy ks. Szymona oskarżyli go przed starostą jako „socjalistę, podszczuwającego lud", przekupili starostę i ten kazał ks. Szymona natychmiast z Dynowa wywieźć. Działo się to w pierwszą niedzielę adwentu r. 1883 wśród ogromnego żalu i płaczu parafjan. Starosta za ten postępek (usunął ks. Szymona bez wiedzy i upoważnienia biskupa) odpokutował później utratą posady w Brzozowie. W Krakowie chciał ks. Szymona zarzymać kardynał Dunajewski, ofiarując mu dwa miejsca. Lecz ks. Szymon postanowił powrócić do Księstwa Poznańskiego.

Jakoż powrócił tam na samo Boże Narodzenie r. 1883. Przez święta bawił u księcia Edmunda Radziwiłła w Ostrowie, po świętach przez dwa tygodnie u ks. Jastrzembskiego w Jankowie, potem w rodzinnem gnieździe Sławomierzu przebywał aż do Wielkanocy 1884. Na Wielkanoc władza kościelna posłała go do Kołdrąbia pod Janówcem, gdzie w tydzień potem, wydany przez szlachcica Zawadzkiego w ręce komisarza pruskiego, za „dawne przestępstwa" został aresztowany i do więzienia we Wągrówcu odwieziony. Mój kolega z Wągrówca, Wiktor Wiecki, późniejszy redaktor krakowskiego „Przeglądu Powszechnego", opowiadał mi, że widział na własne oczy, jak ks. Szymona wieźli do więzienia: Ksiądz siedział na wozie pomiędzy dwoma uzbrojonymi żandarmami. Do więzienia we Wągrówcu miejscowy dziekan posyłał ks. Szymonowi jedzenie, lecz trzeciego dnia dozorca zakazał jedzenie nosić od dziekana, ks. Szymon miał z kotła jeść ze zwyczajnymi złodziejami, z dwoma żydami, z których jeden był parchaty, a drugi za pożganie nożem 14 miesięcy odsiadywał. Ks. Szymon tym razem miał siedzieć przeszło 11 miesięcy we więzieniu. Atoli ś. p. ojciec, dowiedziawszy się o jego uwięzieniu, już piątego dnia

przybył osobiście do Wągrówca i wykupił ks. Szymona za 2,025 marek. Było to po św. Wojciechu r. 1884.

Wrócił ks. Szymon do Kołdrąbia jako proboszcz, lecz już w maju udał się stąd na kurację do Karlsbadu (w Czechach). Potem od 1 lipca 1884 do 15 lutego 1885 był proboszczem w Pakości; następnie w Gościeszynie aż do 1 października r. 1886; w Barcinie do r. 1892; a przez ostatnie lata był proboszczem w Ostrowitem Prymasowskiem, pod Trzemesznem...

* * *

Pomimo podeszłego wieku, ks. Szymon jest nadzwyczaj energicznym i czynnym, a niechęć jego do rządu pruskiego bynajmniej nie zmniejszyła się. Jeszcze w zeszłym roku miał znów zatarg z rządem pruskim, za to, że na kazalnicy w ostry, jak zwykle, sposób potępił przymuszanie dzieci polskich do uczenia się katechizmu po niemiecku. Denuncjowało go za to dwóch nauczycieli-renegatów — i sąd pruski skazał go kilka miesięcy temu na karę pieniężną.

Ks. Szymon Kruszka jest gorącym patrjotą polskim i gorliwym katolikiem; w obronie swej narodowości i Kościoła i w potępianiu wrogiego rządu pruskiego nie przebiera w słowach. Za to naodwrót rząd pruski prześladuje go, gdzie tylko może. Innego tak długa i zacięta walka z brutalną przemocą znużyłaby; ks. Szymona zaś walka ta podnieca do tem większego oporu i gorliwszej obrony przyrodzonych praw ludu polskiego i katolickiego.

4. Studja klasyczne i krasomówcze — katechizacja.

Z każdym dniem im bardziej poznawałem Towarzystwo Jezusowe, jego reguły, ustawy i urządzenia, tem bardziej je pokochałem. Próby i upokorzenia rozmaite — a było ich wiele — przyczyniały się tylko do wzrostu i spotęgowania tej miłości. To też trzy pojedyńcze śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, wraz z obietnicą wstąpienia do Towarzystwa, złożyłem 26 sierpnia 1885 r. Po dwóch więc latach nowicjatu, w którym zaznajomiłem się z bogatą literaturą ascetyczną, polską i łacińską, przeszedłem teraz na tak zwany „scholastykat", to jest do właściwej „szkoły" jezuickiej, razem ze Skałubą, Dąbrowskim, Nuckowskim, Ignacym Gruszczyńskim, Schafflikiem i Pawelskim. Było nas w tej klasie tylko siedmiu, gdyż reszta opuściła już Towarzystwo. Ale im mniej w klasie, tem lepiej przypilnować uczniów można.

Studja klasyczne, tak zwane humaniora, trwały dla nas rok (1885-86); a za to retoryki czyli sztuki wymowy uczyliśmy się przez dwa lata (1886-88). Na humaniorach uczyliśmy się gramatyki, poetyki, stylistyki i literatury polskiej, łacińskiej i greckiej, a także niemieckiej. Polskiego i łaciny uczył ks. Jakubiński, greki ksiądz Wilczkiewicz i ks. Antoni Lenz, przybyły z New Orleans, Louisiana, gdzie w jezuickiem kolegjum był długie lata profesorem. Przełożeni galicyjscy zapomnieli o nim i wiele lat upłynęło, zanim go na kapłana wyświęcono. Był bardzo małej i drobnej postawy, ale wielki uczony profesor greckiego języka. W pokoju jego na stole leżał zawsze otwarty ogromny grecki słownik, który ksiądz Lenz z lubością, niby romans, ciągle czytał i odczytywał, nie nudząc się nigdy.

Ćwiczenia piśmienne, jak opisy, robienie wierszy i tym podobne, były ustawiczne. Również częste były ćwiczenia ustne, jak deklamacje, wygłaszanie mów bez przygotowania i z przygotowaniem.

Ćwiczenie pamięci odbywało się rano codzień przez jeden kwadrans, ani minuty mniej, ani minuty więcej. Z początku w przeciągu 15 minut nauczyłem się napamięć tylko ośm wierszy heksametrowych. Przez codzienne wszakże ćwiczenie pamięci doszedłem do tego, że w przeciągu jednego kwadransu nauczyłem się na pamięć sześćdziesiąt wierszy, a czasem więcej. Memoria est thesaurus rerum — powiedział już starożytny filozof Cycero. Pamięć jest skarbnicą rzeczy. Tyle człowiek wie, ile pamięta. Wiedza u człowieka jest tak rozległą jak jego pamięć. Zwłaszcza dla nas przyszłych mówców i kaznodziei ćwiczona pamięć była konieczną i niezbędną. Bo można wprawdzie być „uczonym z książki", jak to mówią „ex libro doctus"; ale nie można być mówcą z książki. Śmiesznym jest mówca, który przy wygłaszaniu mowy trzyma się oburącz książki jak pijany płotu. Stąd to codzienne kwadransowe ćwiczenie pamięci było obowiązkowem już w nowicjacie i na całym scholastykacie.

W robieniu wierszy zwłaszcza łacińskich doszedłem z czasem do tej biegłości, że w przeciągu półtory godziny ułożyłem 120 hexametrów bez pomocy słownika, tak zwanego Gradus ad Parnassum. Tej wprawy w wierszowaniu nabyłem głównie przez owe regularne i codzienne ćwiczenie, nauczywszy się na pamięć całej Metamorfozy Owidjusza, niemal wszystkich ksiąg Bukoliny i Aneidy Wirgiljusza i od Horacego. W ten sposób też nabyłem

wprawy płynnego mówienia po łacinie, co mi się bardzo przydało, gdyż wykłady nie tylko retoryki i estetyki, ale i gramatyki odbywały się po łacinie. Retoryki i estetyki uczył nas dzielny profesor ks. Alojzy Peters, a po nim także ks. Romuald Kudasiewicz. Na rekreacjach, trzy lub cztery razy w tygodniu, między sobą rozmawialiśmy wyłącznie po łacinie. W ten sposób nabyliśmy obfitość słów łacińskich do potocznej rozmowy potrzebnych. Mnie z powodu biegłości w wierszowaniu koledzy nazywali żartobliwie małym Owidjuszem.

Teorja z praktyką zawsze i wszędzie szła ręka w rękę. W nowicjacie przez częste wykłady i czytania duchowne zaznajomiono nas teoretycznie z całą olbrzymią literaturą ascetyczną, tak iż poznaliśmy i ascetów i ascetykę, czyli naukę, jak żyć cnotliwie i dążyć do doskonałości chrześcijańskiej. Ale na samej nauce nie poprzestano. Lecz po każdej godzinie wykładu o cnotach, dwie lub trzy godziny zaraz ćwiczono nas w tych cnotach. Tak samo tu na scholastykacie znowu ćwiczono nas bezustannie w biegłem a poprawnem mówieniu i pisaniu. Ćwiczenie bowiem wyrabia mistrzów. Jeszcze w nowicjacie, mając dopiero lat 16, wysłany byłem do sąsiedniej wioski uczyć dzieci katechizmu. Sam nie byłem wiele większy od dzieci. Gdy więc pierwszy raz jako katecheta wchodziłem pomiędzy dzieci, doznawałem uczucia podobnego temu, gdy mię pierwszy raz wrzucono do głębokiej wody, bym się nauczył pływać. Ale trudno — kto nie wejdzie do wody, ten nie nauczy się pływać.

Będąc scholastykiem już regularnie zimą i latem chodziłem do trzy mile odległej wioski uczyć w niedzielę po południu katechizmu dzieci, które się zbierały w pewnej chałupie. Nie było właściwej drogi do tej wioski, trzeba było iść przez pola i brnąć w śniegu lub błocie po kolana. Jeden z moich kolegów, nazwiskiem Kruczek, który wróciwszy z takiej wyprawy katechetycznej nie zmienił butów i skarpetek, od zamoczonych nóg zaziębił się, dostał zapalenia płuc, galopujących suchot i w trzech dniach umarł; życie każdego człowieka jest pełne niebezpieczeństw, nie wyjmując katechety. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Mimo, a raczej dla tych złych dróg, wyprawa do tego zapadłego kąta miała dla mnie wielki urok. Wyobrażałem sobie, że idę jako misjonarz do dzikiego kraju. Dzieci, ubrane często tylko w koszulę, zebrane w niskiej, ciasnej i dusznej chacie, czytać nie umiały. Z książki ich uczyć nie było można. A jednak katechizm cały umieć powinny. Potrzeba jest

matką wynalazku. Co im książkę zastąpi? Pamięć! Pamięć, to żywa książka. Człowieka z dużą pamięcią nazywamy przecie chodzącą bibljoteką. Trzeba więc tym dzieciom wypisać katechizm na tabliczce ich własnej pamięci. Ale jak spamiętają te wszystkie prawdy, jak ich się nauczą, nie umiejąc czytać? Oto zauważyłem, że cały katechizm zawarty jest w tak zwanych Sześciu Prawdach. Tych nauczyłem ich napamięć, a potem z pierwszej, trzeciej, czwartej i szóstej prawdy wykładałem im to, co w I. części katechizmu o wierze się zawiera; z drugiej prawdy wyłożyłem im to, co jest w II. części o przykazaniach; a z piątej prawdy wysnułem to, co jest w III. części o łasce i sakramentach. W ten sposób bez książki wpoiłem w ich pamięć cały katechizm. A bodaj czy nie największa satysfakcja była w tem, że co profesor retoryki wykładał nam teoretycznie o sposobie katechizowania, to ja zaraz w praktyce zastosować mogłem.

Nawet czytać uczono praktycznie. Po kolei każdy w refektarzu podczas obiadu i wieczerzy czytać musiał po polsku i po łacinie wobec wszystkich księży, scholastyków i nowicjuszów. Biada temu, kto zamiast czytać głośno, mruczał cicho i niewyraźnie; albo kto zbyt prędko lub za powoli czytał; albo kto w wygłoszeniu, w wymowie lub akcencie albo w interpunkcji błąd zrobił! Zaraz zagrzmiało gromkie „repete“, powtórz! I czytający jak niepyszny musiał powstać, zdjąć biret i powtórzyć błędny wyraz poprawnie.

5. Tonus — Mistrz wymowy i estetyki — nowa pieśń polska.

W wygłaszaniu deklamacyj ćwiczono ustawicznie. Pomijam tu częste deklamacje poskich wierszy, djalogów i tak dalej. Wspomnę tylko o wygłaszaniu jednej króciutkiej formułki kaznodziejskiej tak zwanej „Tonus“, którą należycie oddać i wygłosić po mistrzowsku nie tak łatwo, jakby się to na pozór wydawać mogło. Każdy niemal wyraz domaga się zmiany i modulacyi w głosie lub geście. W tej króciutkiej a treściwej formułce mieści się cała skala uczuć, nieraz najsprzeczniejszych. I dlatego rzadko kto potrafi ją wygłosić należycie. „Tonus“ ten brzmi jak następuje:

„Scitote, Christiani, quonam pacta fragilis imbecillisque homo misere sit peccatum lapsus nec mediocri inde ignominia affectus. Sed consideranda prius est vobis illa piissima sapientissimi Dei bonitas, qua adeo semetipsum exinanivit, ut forman seroi accipiens ingnominiosissimam mortem pro peccatis nostris oppetere non dubitaverit.

„O duri torpescentesque mortales, somno peccatorum sopiti! Nonne cor vestrum ferius illa prophetae Joelis verba? Canite, inquit, tuba in Sion, sanctificate jejunium, vocate coetum, congregete populum, sanctificate ecclesiam, coadunate senes et parvulos. Non attenditis; non, inquam, attenditis, quot quantique vestrum tam misere pereunt!?

„Deflete ergo, deflete infelicem sortem vestram, ne praecipites eo ruatis, ubi horrendum Vae exclamaturi nunquam desistetis!“

Oto niedługie ale całe kazanie, które już dla krótkości swej niejednemu by dziś w niedzielę się spodobało. Kazanie to krótkie, ale treściwe i wzorowe. To miniaturowe kazanko, które każdy z nas musiał umieć na pamięć jak pacierz, nosiło nazwę „tonusu“ dlatego, że na tej formułce mieliśmy ćwiczyć swój t o n kaznodziejski. Każdemu bowiem uczuciu odpowiada stosowny ton. Co tydzień ktoś z nas wygłaszał ten tonus, ale prawie nigdy w odpowiednim uczuciu tonie wygłosić nie potrafił. Jak skala uczuć ludzkich, tak i skala tonów jest wieloraka. Kaznodzieja, jakoby z wysokiej kazalnicy w duchu patrząc na chrześcijan świata całego, jak oni mało dbając o swoją duszę gonią za interesami światowymi, mocno tym widokiem przerażony, chce ich głównemi prawdami wzruszyć. Zaczyna tedy: „Wiedzcie, chrześcijanie, jakim to sposobem ułomny i słaby człowiek nędznie upadł w grzech i niemałą stąd okrył się hańbą“. Zaczyna od „Wiedzcie“ (Scitote), co się zwykle mówi do tych, którzy tak postępują, jakby o tem co się powie nie wiedzieli. Najprzód kaznodzieja stawia im przed oczy to, co im bliżej i niżej jest, to jest c z ł o w i e k a, jak ten zaraz od czasu swego stworzenia okropnie zasłabł w dobrem i nędznie zgrzeszył i straszliwie shańbił się. Potem, by człowiek nie upadł na duchu, w górę serca ku B o g u podnieść każe temi słowy: „Lecz rozważać jeszcze pierwej macie ową najprzychylniejszą najmędrszego Boga dobroć, którą tak dalece Siebie samego wyniszczył, że postać sługi przyjmując najhaniebniejszej śmierci za grzechy nasze ponieść się nie wahał“.

Widząc zaś, że te słowa prawdy nie przenikają serc słuchaczy, kaznodzieja bolesnym wykrzykiem stan ich w trafnem podobieństwie przedstawia, wołając: „O twardzi i zakamieniali śmiertelnicy, snem grzechów umorzeni!“ I ponieważ jego słów nie słuchają, więc już słowami prorockiemi, najuroczystszym sposobem i wyliczaniem rzeczy i osób, poprostu nakazuje im pokutę: Jeśli już nie moje słowa, to czy „nie skruszą (uderzą) serc waszych te pro-

roka Joela (II. 15) słowa: Trąbcie, mówi, trąbą na Syonie, poświęćcie post, zwołajcie gromadę, zgromadźcie lud, poświęćcie kościół, zbierzcie starce i dzieci".

Nakoniec wyobrażając sobie, jak chrześcijanie pomimo tego, co sami o sobie czują, co Bóg dla nich uczynił, co Kościół każe, jeszcze tak samo dalej gonią za marnością światową, wyraża z d z i w i e n i e, że ani na to nie zważają, iż tak nędznie sami giną: „Nie uważacie — jakże? — nie uważacie, mówię, ilu was i jak wielkich tak nędznie ginie?" Sądząc tedy, że przynajmniej tą własną swoją zgubą do żalu i płaczu się wzruszą, napomina tylko jeszcze, ażeby ten płacz ich stał się skutecznym do wyratowania ich od płaczu wiecznego: „Opłakujcie nieszczęśliwy los wasz, abyście nagle nie runęli tam, gdzie straszliwe Biada nam! wołać nigdy nie przestaniecie".

Oto formułka, na której ćwiczono ton kaznodziejski. Lecz grubo myliłby się ten, ktoby sądził, że te i tym podobne ćwiczenia były li tylko bezmyślnem trenowaniem czy tresowaniem. Bynajmniej. Sztuki wymowy czyli krasomówstwa tak kościelnego jak i świeckiego uczono wszechstronnie i gruntownie. Zarówno w dowodzeniach jak i o uczeniach, tych niezbędnych dwóch czynnikach wymowy, podawano obszerną i głęboką znajomość. Dobry mówca musi być i filozofem i poetą w jednej osobie. W dowodzeniach musi być jasnym, ścisłym i logicznym (rozumnym) jak filozof, a w wyrażaniu uczuć musi być obrazowym jak poeta. Za wzór stawiano nam Pismo św., proroków a zwłaszcza Chrystusa Pana. Pismo św. i jego znaczenie już tu na retoryce obszernie nam wykładał nasz świetny profesor ks. Alojzy Peters.

Wykłady ks. Alojzego Petersa, naszego profesora retoryki i estetyki, były gruntowne i zajmujące, wprost zachwycające. Gdy raz wykładał estetykę (naukę o pięknie), bidel zapomniał dzwonić na koniec godziny. Wykład więc trwał całą następną godzinę. A gdy po dwóch godzinach dzwonek dopiero się odezwał, nikt z nas nie chciał wierzyć, że dwie godziny słuchał wykładu. Każdemu się zdawało, że wykład trwał tylko godzinkę. Ks. Peters przybył z niemieckiej prowincji jezuickiej na profesora do galicyjskiej prowincji. Był synem dyrektora gimnazjalnego — Niemca, lecz matka jego była Polką: stąd łączył też w sobie rozum niemiecki ze sercem prawdziwie polskiem. Gruntownie a wszechstronnie wykształcony literat, filolog, filozof, teolog, mówca znakomity, estetyk i muzyk, był on idealnym profesorem. Jemu równego ani przed

nim ani po nim w całem życiu nie miałem ani tu w Galicji, ani w Poznańskiem, ani w Rzymie ani w Ameryce. Jego wykłady retoryki (nauki o kaznodziejstwie) i estetyki (nauki o pięknie), jego wykłady Pana Tadeusza Mickiewicza i łacińskich od Horacjusza były zawsze gruntowne i głębokie, a przecie nigdy suche, nigdy nudne. Wraz z nauką wymowy podawał nam naukę wykładu Pisma św. Zwracał naszą uwagę na wzory wymowy w ewangelji i prorokach, a równocześnie na piękny i w opisach barwny styl Mickiewicza i Sienkiewicza, którego powieść nam często odczytywał z odpowiedniemi komentarzami. Teorję wymowy czyli retorykę ks. Peters sam opracowywał, a spisywał mu mój człowiek po łacinie.

Ks. Alojzy Peters był w oczach nas wszystkich genjalnym profesorem. Uczył on nas nietylko kiedy siedział na katedrze, ale i kiedy szedł z nami na przechadzkę lub kiedy rozmawiał z nami podczas rekreacji pełen humoru i dowcipu. Wyćwiczył z nas dobry chór śpiewaków, złożony z dwóch tenorów i dwóch basów. W chórach zawsze śpiewałem poprzednio w obu gimnazjach najpierw soprano, potem alto. Tu zaś najpierw pierwszy tenor, potem drugi i nareszcie bas. Mieliśmy i umieliśmy na pamięć bez nut cały zapas pieśni kościelnych i patrjotycznych. Niektóre sam ks. Peters komponował a wiersze polskie do nowych kompozycyj dorabiał Włodzimierz Piątkiewicz, późniejszy prowincjał. Z najpopularniejszych pieśni, jakie nasz starszy kolega Piątkiewicz ułożył była następująca:

Jak długo w sercu naszem
Choć kropla polskiej krwi,
Jak długo w ręku Laszym
Ognista szabla lśni;

Jak długo święta wiara
Ożywia polską krew:
Stać będzie Polska stara,
Bo każdy Polak lew.

Stał będzie kraj nasz cały,
Stał będzie Piastów gród;
Zwycięży Orzeł Biały,
Zwycięży wolny lud!

Kiedyśmy powyższą pieśń pod sprężystą dyrekcją ks. Petersa raz na wycieczce w Rymanowie czterogłosowym chórem odśpiewali wobec licznych rodaków i rodaczek, powstał taki entuzjazm wśród słuchaczy, że oklaskom nie było końca i zwrotki powyższe musieliśmy kilka razy powtarzać.

Żal, smutek i tęsknota opanowała nas niezmierna, gdy r. 1888 ks. Peters nas opuścił. A już rozczarowanie ogromne nastąpiło, gdy w rok potem nawet z Towarzystwa Jezusowego wystąpił. Podobno jako prywatny nauczyciel żyje jeszcze w Austrji.

6. Próbne kazania. — Bezdrutowy telegraf. — Pożar Starejwsi. — Mniejsze święcenia w Chyrowie.

Piątkiewicz, autor powyższej pieśni ulubionej, był nadzwyczajnym i najlepszym uczniem ks. Petersa. Był to wyśmienity deklamator i złotousty kaznodzieja. Próbne kazania wygłaszać musieliśmy często podczas obiadów i kolacyj w ogromnym refektarzu wobec wszystkich księży, scholastyków i nowicjuszów. Zazwyczaj słuchacze byli to raczej jadacze, gdyż jedzeniem bardziej niż słuchaniem byli zajęci. A jeśli słuchali, to na to, aby krytykować. Lecz gdy Piątkiewicz 8 maja wygłosił panegiryk na cześć św. Stanisława, Biskupa i Męczennika, i przedstawił jakby w żywym obrazie św. Stanisława, gromiącego występki króla: wszyscy jadacze w refektarzu, a było ich około stu, naraz stali się wyłącznie słuchaczami, jakby na dany znak przerywając jedzenie i noże i widelce na stół składając. Tak wszystkich zelektryzował swą wymową Piątkiewicz.

W ten sposób sztuki wymowy uczyły nas i żywe przykłady. Jak w językach tak i we wymowie praktyka szła ręka w rękę z teorją. Prócz przygotowanych, także improwizowane kazania, tak zwane „ex abrupto", naprędce obmyślane, wygłaszał jeden z nas co niedzielę w godzinę po obiedzie. Podczas obiadu dostał tekst kazania, a w godzinę potem musiał już mówić na dany mu temat.

Wszystkie te próbne kazania wygłaszane były zwykle po polsku. Lecz bywały także kazania po łacinie i po grecku. I tak na żądanie profesorów mój człowiek wygłosił panegiryk po grecku 27 stycznia 1887 na cześć św. Jana Złotoustego, patrona mówców; a 25 listopada 1888 na cześć św. Katarzyny, patronki filozofów, wygłosiłem panegiryk po łacinie. — Historji polskiej i powszechnej uczył nas ks. Święcicki.

Po egzaminach, przy końcu czerwca, wszyscy scholastycy wyprowadziliśmy się z kolegjum na willę pod lasem, ażeby tam dwutygodniowe „wielkie wakacje“ spędzić, od 1 do 16 lipca. Blisko willi w lesie tryska obfite zródło św. Wawrzyńca, przy którem często profesor odczytywał nam Sienkiewicza powieści, jeszcze z gazet.

Willa ta, odległa od kolegjum jakie trzy mile amer., lecz dość wysoko na pagórku położona, była na widoku dla patrzących z kolegjum. I nawzajem, z willi było widoczne kolegjum. Ponieważ codzień potrzebowaliśmy czegoś z kolegjum, a telefonów jeszcze nie było, przeto ustanowiliśmy stacje telegrafu bezdrutowego. Ten telegraf bezdrutowy polegał na tem, że codzień w pewnych, oznaczonych godzinach stawał jeden z nas w oknie willi i dwoma deseczkami dawał z góry umówione znaki, obejmujące cały alfabet, które równocześnie stojący w oknie kolegjum obserwator przez teleskop odczytywał i na pytania odpowiedzi dawał.

Kiedy rano dnia 3 lipca r. 1886 nasz obserwator z willi wpatrywał się w kolegjum starowiejskie, zamiast umówionych znaków — o dziwo! ujrzał płomienie buchające i kłęby dymu nad kolegjum. Starawieś się pali! — rozległ się złowrogi okrzyk. Istotnie, pożar wszczęty we folwarku, przeniósł się na kolegjum, a stąd na kościół. I spłonęły tego dnia i folwark i kolegjum i kościół z dwoma wysokiemi wieżami. Na szczęście grube sklepienia kolegjum nie zawaliły się. Nie runęło też sklepienie kościoła. Więc odbudowa szła łatwiej. Przy ratowaniu rzeczy z ognia w tem zamieszaniu zachodziły sceny arcyśmieszne. Kosellek naprzykład, ratując rzeczy z pokoju swego na trzeciem piętrze, wyrzucił przez okno także lampę wraz z kloszem i cylindrem, żeby ją napewno uratować z ognia i ocalić. Szczęściem nikogo nią nie trafił.

Wielkie więc wakacje tego roku nam się urwały. Nowicjuszów umieszczono na naszem miejscu we willi; a my scholastycy rozproszyliśmy się jako pogorzelcy po okolicznych probostwach. Burgiel, Nuckowski i ja tego samego wieczora schroniliśmy się w plebanji ks. proboszcza Wolskiego w Przysietnicy, gdzie prawie dwa tygodnie zabawiliśmy, śpiąc na grochowinach.

Dnia 15 lipca 1886 ściągnięto nas z rozproszenia do Chyrowa, gdzie dopiero jedna czwarta część zakładu naukowo-wychowawczego była ukończona. Pokoje były gołe i puste. Sienniki na podłodze i igła z nitką wisząca przy oknie — oto jedyne meble i ozdoby pokoju, w którym rozkwaterowaliśmy się. Tu w Chyrowie

spędziliśmy małe wakacje (sześć tygodni po wielkich), w czasie których zwiedziliśmy i ruiny zamczyska i monastyr opodal Dobromila, gdzie zapoznaliśmy się z pierwszymi młodymi Bazyljanami, między innymi ze Szeptyckim, późniejszym biskupem. Dnia 1 września w Chyrowie rozpoczął się ciąg dalszy naszych retorycznych studjów. Tu też w Chyrowie dnia 7 października 1886 odebraliśmy mniejsze święcenia z rąk ks. Soleckiego, biskupa przemyskiego. A dnia 19 października 1886 wróciliśmy już do odbudowanej jako tako Starejwsi.

W grudniu roku 1886 obudził się we mnie popęd płciowy i zaczęła się wojna z ciałem zacięta, uporczywa i ustawiczna, w której, jak zwykle we wojnie, mój człowiek wiele bitew wygrywał ale i przegrywał niektóre. Lecz kto we wojnie z ciałem żadnej jeszcze nie przegrał bitwy, ten pierwszy niech rzuci kamień na mnie! Popęd płciowy do grudnia 1886 widać drzemał we mnie jak uśpiony wulkan. Do tego czasu nie wiedziałem właściwie co to są pokusy cielesne. Bywały wprawdzie pokusy pochodzące z zewnątrz od nieskromnych mów lub żartów dawniej w gimnazjum, ale te mnie nie porywały, ani mnie nawet nie dotykały, gdyż do wszelkiej nieskromnej mowy czy sprawy czułem naturalny wstręt. Z wewnątrz atoli, z głębi jestestwa mego ciała, wybuch pokus gwałtownych nastąpił dopiero w grudniu 1886 i to bez żadnej zewnętrznej podniety. Odtąd już stale przez całe moje życie trwał ten wybuch pokus, silny, potężny, gwałtowny niby wulkan ciągle ogniem ziejący. Do grudnia 1886, znałem tylko popęd samozachowawczy. Odtąd poznałem, że władają człowiekiem dwa silne instynkty, samozachowawczy i płciowy, niby dwa prądy elektryczne, dodatni i ujemny.

Popęd ten, raz się obudziwszy, stał się odrazu tak silnym i gwałtownym, że jak z jednej strony powstało we mnie pytanie, czy nie popełniłem błędu przez ślub czystości wyrzekając się stanu małżeńskiego; tak z drugiej strony odpowiedź na to pytanie była zaraz gotowa, mianowicie ta: coby mi pomogła żona, kiedy i sto żon nie ugasiłoby takiego ognia. Ogień bowiem nigdy nie mówi dosyć!

We wnętrzu wielkiego okrętu jest wielki piec ognisty, pełen żaru i gorąca. Otóż obudzone namiętności dla człowieka są tem, czem takie rozżarzone węgle są dla okrętu: pędzą go naprzód, wpędzają go nieraz na skały i rozbicie, ale bez nich on płynąć nie może. Człowiek bez rozbudzonych namiętności jest jak paro-

wiec bez rozżarzonych węgli albo jak żaglowiec bez rozwiniętych żagli. Dotychczas okręt życia mego stał spokojnie w porcie, dla ładunku. Odtąd, naładowany rozmaitą sztuką i nauką, począł ruszać się i z portu powoli wypływać na pełne morze, które często burzliwem być miało.

7. Telepatja i śmierć ojca.

We wtorek dnia 23 sierpnia 1887 roku o godzinie 9 wieczorem, właśnie kiedy w kolegjum naszem dzwonili na de profundis czyli na modlitwy za dusze zmarłych — co wieczór przed spaniem to czyniono; nagle ni stąd, ni zowąd błysnęła w głowie mojej myśl, żeby uczynić akt heroiczny za dusze w czyścu. Co też zaraz uczyniłem i, doznając niezwykłego wzruszenia duszy, z wielką gorącością modliłem za dusze w czyścu. Tak wielkiem i nadzwyczajnem było tego wieczora to wzruszenie duszy mojej, że nie mogąc go sobie wytłumaczyć, nazajutrz przed południem poszedłem do swego spowiednika, aby go o tem nadzwyczajnym stanie duszy mojej uwiadomić. „Nikt ci przecie nie umarł?“ — zapytał. „Nikt“ — odpowiedziałem. Ani żeby kto był chorym, nie słyszałem.

Aliści, jeszcze tego samego dnia po południu otrzymuję telegram i czytam, że — ojciec mój umarł. Ten „telegram“ (pisanie na odległość) dopieroż mi wyjaśnił moją wczorajszą „telepatję“ czyli moje odczuwanie na odległość. Od matki dowiedziałem się potem, że ojciec mój umarł o tej samej godzinie 9 wieczorem i że przed samą śmiercią jeszcze wspominał mnie temi słowy: „Wacława tu nie ma, ale on się modli za mnie“.

Ta wiadomość telegraficzna o śmierci ojca była dla mnie zupełną niespodzianką. Aczkolwiek bowiem od czasu do czasu otrzymywałem listy z domu, to jednak nikt nigdy mi nie pisał, żeby ojciec był chory. Wprawdzie mój brat doktor Tomasz wysłał był do mnie pocztówkę ze Sławomierza już 13 sierpnia. Ale pocztówka ta, mylnie zaadresowana „Starawieś poczta Kraków“ zamiast „Starawieś poczta Brzozów“, nadeszła do mnie dopiero po telegramie. W niej mi Tomasz pisał: „Ojciec od kilku dni mocno chory na zapalenie płuc. Spodziewam się wkrótce polepszenia, bo inaczej nie wiem co będzie“.

Choroba ojca trwała tylko 16 dni. Dnia 31 lipca 1887 ojciec był jeszcze na instalacji czyli ceremonji wprowadzenia na posadę proboszcza ks. Szymona w Barcinie. Cieszył się ojciec, że syn

jego najstarszy po 17 latach tułaczki, wygnania i więzienia, nareszcie osiadł stale na probostwie. Z listu matki, pisanego 24-go sierpnia, a więc zaraz na drugi dzień po śmierci ojca, przytoczę co następuje:

„Kochany Synu! Bo już wiesz z telegramu o ojcowej śmierci. Bardzo nam ciężko, ojca pewnie nigdy nie zapomnę. Umarł w dzień świętego Zacheusza o godzinie dziewiątej wieczór. Rozum miał, wołał Pana Jezusa (krzyż) w rękę i cięgiem całował, i świecy wołał i święconej wody i kazał zwołać ludzi i się modlić. On nie mógł nic, ale mądrze na nas patrzył. Naraz krew wybuchła gębą, oczy w górę, i skonał. Może ty żeś uprosił mu taką szczęśliwą śmierć. Bardzo nam ciężko. Nie wiemy, jak się odtęskniem, żeby aby mnie Pan Bóg jeszcze dał pożyć i dziewczęta odchować. Ach smutne mam rozłączenie. Ojciec też jeszcze chciał żyć, mówił, że nam tak miło w kupie żyć. Polecam cię Bogu, niech cię tam Pan Bóg błogosławi a mnie zwycięstwo da. Ach ciężko mi bardzo, proszę cię przyślij mi różaniec, to się będę z nim cieszyć tak jak z tobą. Wszyscy się na pogrzeb pojeżdżają, aby ty i Michał... Odpisz mi, o bo mi od głowy oddalisz tę tęsknotę ciężką".

A 2 września 1887 matka mi pisała: „Najdroższy synu! Ojciec zachorował w niedzielę, przyszedł z Brzyskorzystwy z kościoła, Przemienienia Pańskiego to było 7 sierpnia jak zachorował. W poniedziałek Tomek przyjechał, ojciec kazał po niego jechać. Zaraz się Tomasz zasmucił, że niebezpieczna choroba. Ojca nie smucił, jeno pocieszał. każdy dzień był u ojca. Ojciec przez całą chorobę nic nie jadł jeno wodę pił tyle co chciał. Tak bardzo ciężko cierpiał, zaraz zaczął krótko oddychać aż się piersi podnosiły i kaszel wielki. Ksiądz Szymon we wtorek zaraz przyjechał i kazał w ten sam dzień ojcu po księdza jechać. Ja w ten dzień do ciebie liścik posłałam (którego nie odebrałem). Na drugi dzień ksiądz przyjechał z Panem Jezusem i opatrzył ojca świętym olejem, księża się nad ojcem modlili i inni z nimi. Zaś potem było ojcu lepiej, tak się cieszył, że wyzdrowieje, a tu zaś nagle było gorzej. Ojciec leżał w tych cierpieniach do 23 sierpnia. Cięgiem byłam przy nim w nocy i we dnie, w nocy się nie rozebrałam jeno ojcu usługę czyniłam. Tak jeszcze chciał żyć, bo tak mnie i dzieci żałował".

„23 sierpnia w Jadwisine urodziny po szóstej na wieczór woła na mnie: Zmów litanję! Ja chcę klękać, a ojciec: Wołaj

kogo też! — Wejrzał na Pana Jezusa na ścianie i woła na mnie: Pana Jezusa mi podaj i świecę zapal i święconej wody naszykuj! I zeszli się przyjaciele i modliliśmy się nad nim. Ojciec patrzał na nas rozumnie i Pana Jezusa w ręku trzymał, co chwila całował. Naraz oczy w górę i dychnął pewnie trzy razy, i już koniec. W ręku krzyż jeszcze został i świeca. Ach, co za wielki ciężar nam się stał. Szymon przyjechał na drugi dzień, był do soboty i Mszę za ojca odprawił. W piątek do kościoła był wprowadzony. Na drugi dzień taki był pogrzeb jaki jeszcze tu nie był, było ośmiu panów, ludzi było więcej jak na odpuście, żeby Pan Bóg tak był miły jak ludzie mu usługę oddali. Ach uspokoić się nie mogę z tymi trzema dziewczętami. Sama oglądam się po tych kątach próżnych, nie mam nad sobą jeno tego kochanego Boga i tę Matkę Boską. Jestem słabowita teraz w tem zmartwieniu ciężkiem. Pozdrawiam cię najdroższy Synu, pociecho moja, modlę się za ciebie, żeby Pan Bóg na cię zlewał wszystkie łaskawości Swoje — Matka twoja, najdroższy mój Synu, żebyś był w Krakowie, to bym do ciebie jechała z Jadwisią".

Ale ja byłem daleko za Krakowem. W tem ciężkiem strapieniu choć ciałem byłem daleki od matki, dusza jednak i serce moje było z matką. Głęboko współczułem jej boleść. Jeszcze głębiej odczuwałem stratę ojca. Matka w tym smutku pisała, żebym jej różaniec przysłał. Ale nie kupiony różaniec odemnie chciała. Wiedziała bowiem że ja sam różańce szczypcami wyrabiać potrafię. O taki więc, moją własną ręką robiony, różaniec matka prosiła, gdy pisała mi te słowa: „Proszę cię, przyślij mi różaniec, to się będę z nim cieszyć tak jak z tobą".

Prócz modlitw, przesłania różańca i listów pocieszających, nic więcej matce uczynić nie mogłem. Ale i ona też nic więcej odemnie nie żądała. Na pogrzebie ojca nie byłem. Na telepatji — na odczuwaniu na odległość poprzestać musiałem. Spokojnie a z wielkiem zamiłowaniem oddawałem się nadal tak duchownym jak i naukowym ćwiczeniom, moim studjom retorycznym czyli krasomówczym, aby się jak najlepiej przygotować do przyszłego mego zawodu kapłańskiego i kaznodziejskiego. Liczne a szczegółowe przepisy wymowy świeckiej, politycznej, jak i gruntowne zasady wymowy świeckiej, kościelnej, kaznodziejskiej, były ulubionym przedmiotem moich nauk ówczesnych. Zwłaszcza hermeneutyki czyli sztuki wykładania i objaśniania tekstu Pisma św. uczyłem się obszernie a pilnie.

Świetne wykłady profesorów retoryki, ks. Petersa a przy końcu ks. Kudasiewicza, nie wystarczyły mi. Czytywałem wiele a zawsze z piórem w ręku robiąc liczne notatki, sporządzając sobie tak zwaną „Silva rerum". Czytywałem mowy Demostenesa, Cycerona, Chryzostoma, Skargi, Bourdalone, Massiliona, Bossueta i tam dalej. Czytywałem i odczytywałem wyborne dzieła niemieckie Jungmanna o wymowie, i jego Estetykę (naukę o Pięknie), i inne liczne księgi, jakich mieliśmy poddostatkiem w bibljotece starowiejskiej.

W rozmaitych też rozmaici z nas ćwiczyli się językach. Mnie ks. Peters uczył prywatnie języka angielskiego, chociaż wówczas wcale nie przypuszczałem, żebym kiedykolwiek tego języka potrzebował. Chyba na misjach w Południowej Afryce? Za to pilniej się uczyłem języka rumuńskiego, z polecenia przełożonych, gdyż Rumunja, względnie miasto Jassy i okolice miała być przyszłem mojem polem misyjnem. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

8. Na filozofję do Tarnopola. — Zapalenie oczu.

W roku 1888 mając właśnie lat 20, ukończywszy retorykę przeszedłem na filozofję, której uczono w Tarnopolu na wschodnim krańcu Galicji. Trzeba więc było pożegnać się ze Starąwsią i jechać przez Przemyśl i Lwów aż na tak zwane galicyjskie Podole. Dla nas młodzieży taka podróż miała wielki urok, szczególnie dla mnie Poznańczyka, dla którego wschodnia Galicja była dotychczas krainą całkiem nieznaną. Moi koledzy, między innymi Nuckowski, Pawelski, Ign. Gruszczyński, Sopuch, Stafiej, byli to Galicjanie. Mnie ks. Rektor Rothenburger uczynił kasjerem całej tej kompanji podróżującej, składając w moje ręce pieniądze na bilety kolejowe i na żywność dla wszystkich przyszłych filozofów.

Najpierw długimi drabiniastymi wozami jechaliśmy do najbliższej stacji kolejowej, odległej dobre 15 mil amer. od Starejwsi. Zakupiwszy bilety, uzyskałem od konduktora pociągu kojejowego osobne wygodne przedziały dla naszej kompanji. Tegoż dnia we Lwowie wieczorem w restauracji na dworcu kolejowym spożyliśmy sutą kolację. Po kolacji tymże pociągiem dalej jechaliśmy na wschód, niemal całą noc gwarząc wesoło i śpiewając pieśni patrjotyczne i religijne. Rychło rano dnia 20 lipca 1888 stanęliśmy w Tarnopolu.

Nowy to był świat dla mnie, nowe strony, nowe okolice. Starawieś była otoczona górami, odnogami Karpat; Tarnopol to pole równe, na około jak okiem sięgnąć równina falista. Starawieś, to wieś; Tarnopol to miasto. A kolegjum, w którem zamieszkaliśmy, znajdowało się w samym środku miasta, w miejscu dawnego konwiktu, który właśnie parę lat temu przeniesiono do Chyrowa. Ziemia tu czarna. Rzeka Seret, płynąca przez Tarnopol, mulista i błotnista. Powietrze atoli jest tu suchsze niż w Starejwsi.

Wielki urok dla mnie miał nowy świat fizyczny Podola. Ale daleko bardziej mnie zainteresował nowy świat naukowy. A tym światem była dla mnie filozofja. Tej nauki przecie pragnąłem od zarania życia mego. O niej marzyłem jeszcze na pastwiskach ojca mego, czuwając nad trzodą owiec, obserwując obłoki i nieskończoną dal błękitu! Do tej nauki tęskniłem już wtedy, zanim jeszcze wiedziałem, że jej na imię Filozofja! Pragnąłem i łaknąłem zawsze tej nauki, która bada zasady bytu, poznania i działania; która zgłębia istotę wszechrzeczy i dąży do wytworzenia jednolitego poglądu na świat. Pragnąłem i łaknąłem zawsze tej mądrości w życiu, tego trzymania się pewnych zasad, i tej konsekwencji w postępowaniu mojem

A oto teraz podwoje tej świątyni mądrości stały otworem dla mnie. Byłem na filozofji.

Z wrześniem roku 1888, zaczynając studjować filozofję, względnie djalektykę, logikę i ontologję, wszedłem do wnętrza tej świątyni. I zaraz na jej progu nie doznałem bynajmniej rozczarowania; owszem zachwycony byłem jej blaskiem i pięknością. Profesor, ks. Mastaj, uczeń ks. Marjana Morawskiego, był tym doskonałym przewodnikiem, który mnie nietylko oprowadził po tej świątyni mądrości zwanej filozofją. Niestety duch skory, ale ciało mdłe. Moje oczy, jakby olśnione tym rażącym blaskiem świątyni filozofji, niebawem zaczęły niedomagać i słabnąć, aż wreszcie na serjo się rozchorowały.

Czy wskutek zmian klimatu, czy z powodu suchego pyłu ziemi podolskiej, kto to wie? Dość, że zaraz drugiego miesiąca mojego pobytu w Tarnopolu pojawiła się u mnie pewna słabość w oczach, a raczej w ich powiekach. Miejscowy lekarz nazwał to egipskiem zapaleniem oczu. Światło słoneczne stawało się rażące dla moich oczu, więc musiałem nosić ciemno-niebieskie okulary, „ochraniające“ wzrok, stąd tak zwane „konserwy“. Już dnia 21 września 1888 zmuszony byłem jechać do Lwowa do

specjalisty Dr. Machek, sławnego okulisty. Wnętrze oka codzień wycierano mi niebieskiem kamieniem.

Ale ten kamień, choć był niebieski, nazywano jednak piekielnym, bo też sprawiał mi iście piekielny ból przez parę godzin i strumienie łez wyciskał. Choć chciałem, to nie mogłem wtedy czytać ulubionych moich filozofów.

Ale — niech boli, byleby pomogło — powiedziałem sobie. Miałem zawsze nadzieję, że choroba ta długo nie potrwa, że ów piekielny kamień wnet ją wypali. Tymczasem stało się inaczej.

Atoli im mniej czytałem dla słabych ócz, tem pilniej słuchałem wykładów i dysput, tem żywiej omawiałem z kolegami kwestje filozoficzne. Profesor filozofji trzy kwadranse wykładał w języku łacińskim. my go pilnie słuchali z piórem w ręku, notując skrzętnie wszelką głębszą myśl lub trafną uwagę. Potem przez kwadrans dyktował nam streszczony swój wykład, a my go dosłownie spisywali do zeszytów, które do dziś dnia przechowuję.

Jak w retoryce, tak i tu w filozofji zawsze teorja szła ręka w rękę z praktyką. Główny nacisk kładziono na ćwiczenie. Ćwiczyć trzeba było się w logicznem myśleniu; ćwiczyć w argumentowaniu; ćwiczyć we wnioskowaniu; ćwiczyć w zbijaniu zarzutów. Były więc dysputy miesięczne wobec większego grona scholastyków i księży. Były nadto trzy razy na tydzień tak zwane cyrkuły czyli dysputy mniejsze wobec profesora. To były formalne dysputy, czyli rozprawy filozoficzne. A nieformalne bywały między nami na każdej rekreacji po obiedzie i po kolacji i na każdej przechadzce.

Tymczasem stan oczu moich wcale się nie polepszał. Z nowem siedmioleciem, z nowym rokiem krytycznym, z okazji tej choroby zbliżał się istotnie kryzys dla dalszego ciągu życia mego. Zbliżało się jakby przesilenie, przełom, czyli stan rzeczy poprzedzający zwrot albo ku dobremu, albo ku złemu. Ta uporczywa choroba ócz, z dniem każdym się powiększająca, groziła mi następstwami daleko sięgającemi. I to właśnie wtedy, kiedy zacząłem z takim zapałem studjować najulubieńszą moją naukę, filozofję, musiałem zachorować na oczy! Choroba żadna nie przerywała moich nauk gimnazjalnych ani nauk realnych w Starejwsi. A tu teraz filozofję, tę naukę najbardziej umiłowaną, musiała przerwać, ba przerywać ustawicznie i uporczywie, choroba ócz!... Dziwne to zaiste, a jednak z pewnością mądre to było dopuszczenie Opatrzności Boskiej.

CZWARTE SIEDMIOLECIE.

(Wiek dorosłości od 1889—1896.)

1. Bidelem i Subministrem. — Wakacje w Grzymałowie i nad Zbruczem.

Dnia 10 marca 1889 ksiądz Christian, ślązak, rektor kolegjum tarnopolskiego, włożył na ramiona moje urząd bidela generalnego, a 14 lipca 1889 wyniósł mię do godności subministra. Najwyższy to urząd, jaki scholastyk mógł piastować. Jednym z obowiązków subministra było pisanie diarjusza domowego. Notowałem skwapliwie wypadki, jakie się z dnia na dzień zdarzały w naszym domu czyli kolegjum, albo i w mieście i kraju.

Życie nasze kolegjalne określał szczegółowo tak zwany konswetudynarjusz, czyli regulamin domowy. Kiedy szkoła a kiedy wakacje; kiedy większe wakacje, a kiedy mniejsze; w które dni ma być obiad pierwszej klasy i tak dalej — wszystko to było przepisane w owym regulaminie. Kiedy wszystko szło podług regulaminu, wtedy życie płynęło zwyczajnym trybem i nie było co notować w diarjuszu czyli historji domu. Wszystko podług regulaminu — tyle i nic więcej się nie notowało. Lecz gdy wakacyj większych nie było, choć je regulamin przepisywał; albo gdy ks. rektor nie dał nam obiadu pierwszej klasy, choć go regulamin przepisywał; albo gdy dysputy przepisanej nie było i tak dalej — natenczas takie rzeczy nadzwyczajne trzeba było notować w diarjuszu. I notowałem je też zwykle z tym krótkim dodatkiem: porównaj konswetudynarjusz paragraf ten i ten. Żeby wiedziano, że to co się stało, to rzecz nie zwyczajna, nie regularna. Scholastycy, gdy im ksiądz rektor nie dał przechadzki lub wycieczki regulaminem przepisanej, sądzili, że im się dzieje krzywda. Ale skarg swych nie zanosili do ks. rektora, tylko kładli do uszu subministra. Ten mój diarjusz,

prowadzony urzędownie, wytoczono później jako wielką armatę przeciwko mnie, jak to w dalszych rozdziałach zobaczymy.

Przy końcu roku szkolnego, pod koniec czerwca, bywały egzamina bardzo ścisłe, „rigorosa“ zwane, ściślejsze aniżeli na humanjorach i retoryce. Mój egzamin z pierwszego roku filozofji, pomimo choroby ócz, zdałem pomyślnie dnia 27 czerwca 1889 roku, pamiętam w sam dzień imienin mojego najlepszego przyjaciela, Władysława Wojtonia, późniejszego rektora kolegjum tarnopolskiego. Bogu dziękowałem, że zdałem ten egzamin; bo niejeden, nawet zdrowy, już na pierwszym roku filozofji przepadł.

Po egzaminach nastąpiły wakacje. Wakacje z roku 1889 są pamiętne. Najpierw dnia 10 lipca 1889 roku była wycieczka do Grzymałowa, gdzie nas tamtejszy proboszcz podejmował nader gościnnie. Z Grzymałowa nazajutrz 11 lipca udaliśmy się nad granicę moskiewską, do rzeki Zbrucz, skąd w dali widzieliśmy miasto Satanów w obrębie Rosji. Wzdłuż rzeki Zbrucz, która stanowiła granicę między państwem austrjackiem a rosyjskiem, maszerowaliśmy kilka mil. Na drugim brzegu Zbrucza, w granicach Rosji, zauważyliśmy od czasu do czasu zwinnych kozaków, cwałem pędzących na swoich konikach z rozwianymi grzywami. Jeźdźcy rosyjscy popisywali się w naszych oczach wybornie. Pomimo że konie ich pędziły cwałem, zwinni jeźdźcy byli raz na wierzchu konia a drugi raz w okamgnieniu znowu pod brzuchem konia, wywijając czapkami ku nam. A nasza gromada chórem zaśpiewała im gromkim głosem pieśń: Jeszcze Polska nie zginęła!...

Idąc dalej wzdłuż Zbrucza, doszliśmy nareszcie do miejsca, gdzie się znajdowały komory celne: z jednej strony austrjacka, a na drugim brzegu Zbrucza rosyjska komora. W jednej było pełno urzędników austrjackich a w drugiej rosyjskich. Tu przystanęliśmy. Z Grzymałowa wzięliśmy ze sobą chłopaka, który posiadał głos śliczny, prawdziwie piękny sopran. Tego chłopaka ubraliśmy w strój polski, czerwono-biały, z rogatką na głowie; a do ręki daliśmy mu chorągiew polską. Na drugim brzegu Zbrucza obok swej komory gromada rosyjskich urzędników śpiewała swoje pieśni. A kiedy oni skończyli, wtedy z tej tu strony rzeki nad brzegiem stanął ów chłopak z rozwiniętą chorągwią polską i zaintonował swoim słowiczym głosem: „Jeszcze Polska nie zginęła“; a cały nasz chór wtórował mu altem i basem. Stojący na drugim brzegu urzędnicy wysłuchali tej pieśni w skupieniu ducha. Zaśpiewaliśmy im drugą pieśń; a potem i tę, którą ułożył nasz Piątkiewicz:

Jak długo święta wiara
Ożywia polską krew,
Stać będzie Polska stara,
Bo każdy Polak lew!

I tych pieśni wysłuchali urzędnicy rosyjscy na pozór w skupieniu ducha. Owszem zaczęli nam klaskać i zaprosili nas do siebie na drugą stronę rzeki, częstując nas swoim wybornym rosyjskim tytoniem.

To była wycieczka na wschód od Tarnopola.

2. W Kołtowie, Podhorcach, Podkamieniu i u źródeł Bugu. — Drugi rok filozofji.

Drugą wycieczkę podczas wakacyj roku 1889 odbyliśmy na zachód od Tarnopola. Mianowicie 16 lipca 1889 z Tarnopola szliśmy pieszo, pomimo skwaru i gorąca, aż do Kołtowa, dokąd nas był zaprosił tamtejszy hrabia, pan Wacław Baworowski, brat czy bratanek byłego prowincjała jezuickiego księdza Baworowskiego.

Ten hrabia przyjął nas scholastyków, profesorów i rektora ks. Christiana bardzo gościnnie, prawdziwie po książęcemu. Obok wspaniałego dworu był obszerny park, a w nim pod rozłożystemi lipami ustawione już były stoły nakryte i gotowe dla nas do obiadu. W Kołtowie przenocowaliśmy. A nazajutrz 17 lipca 1889 rano w kaplicy dworskiej nasz rektor ks. Christian odprawił solenną Mszę żałobną za duszę żony hrabiego, która niedawno była umarła. Nasz czterogłosowy chór śpiewał podczas tego nabożeństwa.

Potem ruszyliśmy w dalszą drogę ku Podhorcom. Starożytny zamek w Podhorcach, na muzeum zamieniony, był niegdyś ulubionem miejscem pobytu naszego króla Jana III Sobieskiego. Zwiedziliśmy cały ten zamek od dołu do góry, przyglądając się ciekawie różnym zabytkom historycznym. Są tam rozmaite staropolskie tarcze, oszczepy, skrzydła husarskie, zbroje, szyszaki, namioty tureckie, sztandary zdobyte pod Wiedniem, łoże polowe Sobieskiego z przykryciem ze lwiej skóry i tak dalej i tak dalej. Z zamku wystaje balkon kamienny, z którego na całą okolicę prześliczny roztacza się widok. Na tym balkonie wyczytałem na płycie kamiennej wyryty następujący wiersz z ody Horacego:

Iste terrarum mihi praeter omnes
Angulus ridet.

To znaczy: „Ten zakątek świata ze wszystkich najbardziej mi się uśmiecha“. Wiersz ten kazał wyryć sam król Sobieski. Widocznie tedy Podhorce były dlań najulubieńszem miejscem pobytu.

Następnego dnia 18 lipca 1889 byliśmy już w Podkamieńcu u Ojców Dominikanów w jedwabnych habitach. Cudne tam okolice. Tego dnia tamże blisko widziałem źródło rzeki Bugu i piłem zeń. Silne to źródło. Z głębi piasczystego gruntu źródło to trzema wodotryskami bucha tak silnie, że aż piasek do góry podnosi.

Po wakacjach odświeżywszy siły umysłowe, zabraliśmy się tem ochotniej do głębokich studjów filozoficznych. Psychologję, to jest naukę o duszy i wogóle naukę o życiu, czyli biologję, na drugim roku filozofji wykładał nam ksiądz Teodor Sozański, głęboki a oryginalny myśliciel. W duszę roślinną jako pierwiastek odrębny od materji, nie wierzył. O duszy zwierzęcej i ludzkiej uczył mniej więcej to samo, co inni nasi filozofowie, nie wierzył tylko w realne wyodrębnienie władz duszy ludzkiej. Wogóle wykłady profesorów jezuickich były samodzielne i wszechstronne. Były samodzielne, ile że żadna powaga ludzka we filozofji nie miała głosu stanowczego; miała tylko głos doradczy.

Ale były także wszechstronne. Albowiem nietylko różnorodne opinje obozu katolickiego, lecz i cały obóz filozofów niekatolickich był nam wiernie w najdrobniejszych szczegółach przedstawiony. Znaliśmy nawylot nietylko starożytnych pogańskich filozofów Arystotelesa, Platona i tam dalej; ale i nowożytnych, jak Kanta, Spinozę, Lockego, Bakona, Fichtego, Hegla i tak dalej, zarówno we filozofji ścisłej i w estetyce i etyce. Tych niekatolickich filozofów poznaliśmy nie pobieżnie tylko i w ogólnych zarysach, lecz szczegółowo i gruntownie. Znaliśmy nietylko główne zasady rozmaitych niekatolickich filozofów, ale także każdy odcień ich myśli. Znaliśmy nietylko najsławniejszych filozofów niekatolickich, ale także mniej sławnych i pokątnych, i to z ich własnych pism. Nasza filozofja nie bała się żadnych przeciwników, ani małych ani wielkich. Każdemu śmiało w oczy spoglądała, każdego zarzuty podejmowała i zbijała.

Tak też być powinno. I myślałem podówczas, że tak we wszystkich szkołach, nawet niekatolickich, postępują. Nietylko w późniejszem życiu przekonałem się, że tak zwany „uczony“ świat niekatolicki nietylko że nie zna mniejszych filozofów katolickich, ale nie ma nawet pojęcia o największych; naprzykład o na-

uce św. Tomasza z Akwinu najmniejszego wyobrażenia nie ma. Przekonałem się, że ten niekatolicki świat we filozofji niezaszczytnie odznacza się jednostronnością, czyli ciasnotą umysłową. Ilekroć spotkałem się z uczonymi uniwersytetów niekatolickich, to przekonałem się, że takiego św. Tomasza albo Augustyna albo Anzelma, nie wspominając o innych sławnych filozofach, nigdy nie czytali, nigdy w ręku nie mieli, nigdy powierzchownie z okładek ich ksiąg nie znali. Nie dziwota, że zboczyli z drogi prawdy i w bagnie materjalizmu ugrzęźli.

3. Uporczywa choroba — wyjazdy do Lwowa.

Prócz psychologji na drugim roku filozofji wykładano nam kosmologję, czyli naukę o świecie; kosmogonję, czyli naukę o powstaniu świata; fizykę ze swoją mechaniką, akustyką, optyką i tam dalej; astronomję, nauki przyrodnicze, botanikę Rostafińskiego i tam dalej. Wszystkie te nauki były dla mnie 21-letniego młodzieńca tem, czem są karmelki dla dwuletniego dziecka. Chciwość wiedzy, zwana ciekawością, była wielką.

Niestety, choć oko mej duszy było jasne, oko wszakże cielesne było zamglone — zapaleniem egipskiem. Jechałem drugi raz do Lwowa, jechałem trzeci raz 2 września 1889 roku. Minął już rok leczenia; ale zapalenie oczu, zwłaszcza oka lewego, nie zmniejszyło się, ale raczej się zwiększyło. Powieka oka zwłaszcza lewego czerwieniała, puchła i opadała coraz niżej.

Pierwszy rok niewiele sobie robiłem, gdyż miałem ciągle nadzieję, że kamieniem piekielnym wnet ją się wypali. Ale widząc, że ta choroba staje się uporczywą, patrząc już rok drugi przez czarne okulary na świat: zacząłem doznawać pewnego przygnębienia ducha. Dlaczego ta przeszkoda? i to właśnie w nauce filozofji, którą pokochałem najbardziej?... Ale na to pytanie nawet filozofja odpowiedzi dać nie mogła, tylko wiara święta:

Nie upadnie na duchu, kto wierzy głęboko,
Że nad nim czuwa Boskiej Opatrzności oko!

Do miejscowego lekarza w Tarnopolu chodziłem codziennie, dając sobie oczy wycierać owym jasnym niebieskim a przecie piekielnym kamieniem. Ale to mi niewiele pomagało. A przeszkadzało wiele w studjach, bo po każdem nacieraniu musiałem kilka godzin „płakać".

Żeby raz tej chorobie koniec położyć, rektor ks. Christian, w porozumieniu z prowincjałem ks. Mycielskim, postanowił mnie

posłać na dłuższą kurację do Lwowa, do specjalisty doktora Machek. Prowincjał ks. Mycielski, dawny mój mistrz w nowicjacie, napisał mi z Krakowa 26 stycznia r. 1890 taki list:

„Carissime! P. Chr. Chciałbym Ci najszczerzej dopomóc do odzyskania zdrowych oczu i mówiłem o tem z ks. Rektorem. Na tem stanęło: aby Cię posłać na kurację do dr. Machek a później zobaczyć co zrobić innego. Jabym bardzo pragnął, mój Carissime, abyś i ty nabrał do tego lekarza zaufania, które ma powszechnie jako okulista. Jest on nadto dla naszych bardzo dobrze usposobionym — właśnie przeciwnie jak tutejszy pierwszy lekarz okulista, któremu w Galicji po Machem dają drugie miejsce. Jedź więc z zaufaniem do Lwowa, i ofiaruj Panu Bogu nudy, które Cię tam czekają. Napisz mi też, proszę, jak imię było Twemu Ojcu, bo choć Msze za niego odprawiane bez tego są ważne — to lepiej, że i imię będzie wiadome. Bardzo będę rad, jeśli odbiorę lepszą wiadomość o Twoich oczach. Daj to Panie Boże! Polecam się Twoim modlitwom. Charitatis Tuae sługa w Chrystusie Michał Mycielski S. J.“

Odprawiane za ojca mego Msze, o jakich powyższy list wspomina, były zamówione przeze mnie pół roku przedtem. Mianowicie, kiedy prowincjał ks. Mycielski dnia 6 lipca 1889 taki list mi był napisał:

„Carissime! P. Chr. Twój brat ksiądz przysłał dla Ciebie 2.200 marek a jeszcze 500 marek wkrótce przysłać obiecuje. Podziękowałem mu za to. Ale teraz trzeba z temi pieniędzmi coś zrobić. Może my mówili o tem, i zdaje mi się, że tak nawet. Ale że Twych życzeń jasno nie pamiętam, proszę Cię, napisz mi o nich. Polecam się Twym modłom i życzę Ci dobrych wakacyj a i wszelkiego Bożego błogosławieństwa. Charitatis Tuae sługa w Chrystusie Michał Mycielski S. J.“

Wtedy to wyraziłem moje życzenie, żeby Msze były odprawiane za duszę ojca mego. Ale widocznie zapomniałem dodać, że ojcu memu było imię Jan.

4. Kuracja i pobyt we Lwowie.

Powyższy list prowincjała ks. Mycielskiego z dnia 26 stycznia 1890 r. zastał mnie już we Lwowie. Z rozkazu bowiem rektora ks. Christiana wyjechałem z Tarnopola do Lwowa już 27-go stycznia.

We Lwowie zacny i serdeczny rodak ksiądz Bapst, superior wąskiego domu lwowskiego na placu Trybunalskim 2, przyjął mnie z otwartemi ramionami i ofiarował mi najlepszy pokój. Udałem się zaraz do okulisty dr. Machek. Po zbadaniu oczu dr. Machek oświadczył mi, że kuracja weźmie dłuższy czas, że potrwa nie parę tygodni, ale kilka miesięcy albo i dłużej. Ładna mi perspektywa!

Taka zapowiedź wprawiła mnie w głęboką zadumę. Inni moi koledzy w Tarnopolu postępują szybko naprzód w naukach filozoficznych, a ja tu we Lwowie stanąłem jak pociąg, na boczne tory zepchnięty. Pozostanę wtyle za innymi, egzaminów nie zdam. Czemu właśnie w tej nauce, we filozofji, którą najbardziej polubiłem, doznaję tyle przeszkód? Na to pytanie odpowiedź miałem gotową i to taką: Tyle masz mądrości, ile masz cierpliwości. Najbieglejszy mistrz tyle nauczyć nie zdoła, ile nauczy twarda przeciwności szkoła.

I te uczucia wynurzyłem w liście do prowincjała, który mi już 2 lutego 1890 z Krakowa taką odesłał odpowiedź: „Carissime! P. Chr. Cieszę się z Twego listu: iż masz widzę i ochotę do examinu i ufność lepszą do dr. Machek. Co do pierwszego i ja najzupełniej myślę, że możesz i powinieneś examin ex universa (z całej filozofji) zdać z dobrym skutkiem. Tylko Cię proszę, dobrze się zawsze pytaj doktora, ile godzin czytać i pisać możesz — kiedy — i czy nie trzeba przerwy, i ściśle się zastosuj do jego poleceń. Jeśli będze potrzeba, to raczej Ci dodamy czasu do przygotowania się, jak żebyś miał oczy chore męczyć. Że kuracya taka, jak Twoja, wymaga dłuższego czasu, wiedziałem z góry. O P. dr. Machek jako okuliście świeżo słyszałem bardzo pochlebne rzeczy — a co wiele znaczy w długiej a nudnej kuracyi, pewna rzecz: iż on nam szczerze sprzyja i nasz zakon ceni i starań dla Ciebie szczędzić nie będzie. Ale módl się, Carissime, aby P. Bóg jego dobrym chęciom pomógł. Polecam się modlitwom Charitatis Tuae sługa w Chrystusie Michał Mycielski S. J.“

Do tego więc sławnego okulisty dr. Machek we Lwowie teraz chodziłem codziennie. Jako sławny okulista dr. Machek pacjentów miał wiele. Trzeba mi było nieraz długie godziny w przedpokoju siedzieć i czekać, zanim kolej na mnie przyszła. Aleć czasu miałem dosyć, gdyż czytać i pisać doktor wcale mi nie pozwalał. Czasu więc do medytacji było co niemiara.

Doktor Machek do leczenia moich oczu używał, podobnie jak doktor w Tarnopolu, tego niebieskiego a piekielnego kamienia.

Tylko że zręczniej i głębiej w jamę oczną tym kamieniem mi zajeżdżał. Wywracał mi powieki i najgłębsze zakątki jamy ocznej nielitościwie tarł, wycierał, wypiekał. Czułem ogień, ba istny żar w oczach. Zdawało mi się, że nie zimnym kamieniem, lecz gorącem żelazkiem oczy mi wypala.

Po każdej takiej operacji musiałem jeszcze długą godzinę w przedpokoju siedzieć, zanim się wypłakałem. Oczy, pełne łez i bólu, przez dobrą godzinę nie mogły nic widzieć. Kiedy nareszcie zaczynałem cośkolwiek widzieć, wtedy wsadzałem na nos moje konserwy, czyli tak zwane czarne okulary, i ze żarem w oczach szedłem do domu. Idąc ulicami Lwowa, przechodzących ludzi widziałem jakby ruchome drzewa.

W pokoju swoim rzuciwszy się na łóżko, wiłem się w boleściach przez parę godzin. Zagryzłszy wargi, mówiłem sobie: niech boli, byleby mi pomogło! O studjach nie było mowy. Doktor absolutnie zakazał mi czytać i pisać. Co robić? Chyba pluć i łapać. I tak dzień następny spychał dzień poprzedni w otchłań przeszłości. A mój człowiek pchał taczkę życia jakby pod stromą górę. Ciężko szło. Nudy były straszne.

Prawdziwą rozrywką, skoro przestąpiłem próg domu, był dla mnie odźwierny braciszek Zięba i wesoły student Rokosz ze Lwowa. Prawdziwą rozrywką dla mnie były rozmowy z księżmi podczas rekreacji godzinę po obiedzie i godzinę po kolacji. W domie lwowskim byli wtedy następujący księża: ks. Bapst, ks. Mrowiński, ks. Bratkowski, ks. Adamski i ks. Markefka. Rozmowy z nimi bywały nietylko zajmujące, ale i nadzwyczaj pouczające dla mnie. Pamiętam, podówczas 19 marca 1890. Bismarck dostał „laufpas" od kajzera, jakie rozmowy na ten temat się toczyły!

Abym się nie nudził, księża brali mię ze sobą na przechadzki. Lwów, będąc największem miastem w Galicji, ma wiele osobliwości widzenia godnych. Nietylko stolicą Galicji i siedzibą cesarsko-królewskiego namiestnika, zawsze Polaka, był i stolicą aż trzech arcybiskupów katolickich: obrzędu łacińskiego, greckiego i ormiańskiego. Abym się nie nudził, księża oprowadzali mnie po trzech katedrach i po innych kościołach lwowskich. W Wielki Piątek zwiedzili ze mną prześlicznie ustrojone Boże Groby.

Abym się nie nudził, oprowadzali mnie po muzeach, galerjach i bibljotekach lwowskich, po gmachu sądowym. Wzięli mnie ze sobą na obiad do pałacu arcybiskupa Morawskiego. Abym się nie nudził, brali mnie na liczne pochody pogrzebowe, z pompą i prze-

pychem ciągnące się po ulicach Lwowa aż na cmentarz Łyczakowski. Abym się nie nudził, pokazywali mi wielki kopiec za miastem, pola słynne z bitew tatarskich i inne pamiątki historyczne w okolicach Lwowa. Słowem, księża lwowscy mnie strapionego pocieszali jak mogli.

Księża jezuiccy słyną nietylko z wymowy kaznodziejskiej na ambonie, ale i z daru mowy potocznej, z pożytecznej a zajmującej rozmowy towarzyskiej. Jak wielomówstwo bezcelowe, czyli gadulstwo tak zwane, jest wadą szkaradną, tak że św. Jakób Apostół nazwał je powszechnością nieprawości: tak umiejętne pokierowanie rozmową towarzyską jest wielką sztuką, jedną z najcenniejszych w życiu ludzkiem.

Prowadzić pouczające i budujące rozmowy, a przytem jednak nie nudzić, lecz zabawiać i rozweselać towarzystwo, oto sztuka, jaką się odznaczał szczególnie superior domu lwowskiego, ksiądz Bapst, ten prawdziwie uniwersalny genjusz w rozmowie towarzyskiej. Na wszelkie sprawy polskie i katolickie miał zawsze świetne a trafne poglądy. Wtórował mu sędziwy ks. Mrowiński, autor wielu książek pobożnych.

Cięty i przenikliwy ks. Markefka, ślązak, któremu często towarzyszyłem na przechadzkach, opowiadał mi swoje przygody misjonarskie na Białej Rusi. Białorusinom rząd moskiewski nie pozwalał mieć księży katolickich. Więc księża jezuiccy z Galicji dojeżdżali pokryjomu do białoruskich wsi i miasteczek, by Białorusinów pokrzepiać słowem Bożem i sakramentami świętemi. Takie wycieczki misyjne były nadzwyczaj niebezpieczne. Niejeden ksiądz przypłacił je zdrowiem lub życiem. Księża musieli się przebierać, brody zapuszczać i jeździć jako kupcy lub podróżujący agenci, jako handlarze koni lub świń. Trzeba było mieć dużo sprytu, żeby się władzom rosyjskim nie dać złapać.

Jeden, ks. Henryk Jackowski, dojeżdżał do Białorusinów w postaci handlarza koni. Raz za wiele za konia zapłacił i tem ściągnął podejrzenie na siebie. Moskale wsadzili go do więzienia, z którego wydostał się dopiero, gdy sam cesarz Franciszek Józef wstawił się za nim u cara. Lepsze szczęście miał ks. Markefka, który jako handlarz świń jeździł do wiosek białoruskich ze słowem Bożem. Dotarł do Białorusinów, spowiadał ich, Msze im odprawiał, chrztów i ślubów udzielał; a z tem wszystkiem nietylko Moskalom nie dał się złapać, ale i na świniach dobry interes zrobił.

5. Powrót do Tarnopola. — Biskup Puzyna. — Filozof a poeta. — Niespodziany egzamin.

Nareszcie w dwa tygodnie po Wielkanocy r. 1890 dr. Machek oświadczył mi, że mogę powrócić do Tarnopola na dalsze studja. Lecz na wakacje miałem znowu do niego przyjechać celem uzupełnienia kuracji. Albowiem oczy moje jeszcze niezupełnie były wyleczone. Wróciwszy dnia 18 kwietnia 1890 do Tarnopola, musiałem jeszcze ciągle chodzić do miejscowego lekarza, aby mi oczy wycierał owym niebiesko-piekielnym kamieniem.

Do Tarnopola przyjeżdżał naonczas biskup Puzyna, ówczesny sufragan lwowski a późniejszy kardynał krakowski. Nie do nas właściwie on przyjeżdżał, lecz z wizytą kanoniczną do proboszcza tarnopolskiego, którym był ksiądz świecki. Atoli nie miał stanąć kwaterą u proboszcza, lecz u nas. Więc jako subminister domu musiałem dopilnować, żeby braciszkowie przygotowali jak najlepiej i jak najlepsze pokoje dla biskupa.

Biskup Puzyna był grzeczny, uprzejmy i bardzo przystępny dla nas scholastyków. Mnie i Stafieja obłapił ramionami swemi i tak chodząc po ogrodzie żartował i dowcipkował z nami. Lecz dla starego proboszcza okazał się wobec nas i ludu bardzo szorstkim i gburowatym. Publicznie w kościele przy ołtarzu, gdy roztargniony proboszcz podawał mu kropidło w stojącej postawie, biskup Puzyna głośno krzyknął na starowinę proboszcza:

— Klęknij!

A gdy proboszcz uklęknął, ale w tem zamieszaniu zapomniał zdjąć biret z głowy, biskup Puzyna wrzasnął, tak że w całym kościele było słychać:

— Zrzuć biret z głowy!

Nie chciałem wówczas być w skórze proboszcza.

Przybywszy ze Lwowa, prawie gdy już zbliżał się czas egzaminów, zapytałem rektora ks. Christiana, czy i ja będę musiał stawać do egzaminu z drugiego roku filozofji. Na to mi odrzekł rektor:

— Myślę, że od ciebie Towarzystwo egzaminu w tak trudnych okolicznościach nie będzie wymagało.

Nie troszczyłem się więc o egzamin, nie dlatego, iżbym przypuszczał, że na trzeci rok filozofji przejdę bez egzaminu, bo to rzecz niebywała; ale dlatego, że, jak prowincjał w liście do mnie się wyraził, „raczej dodadzą mi czasu do przygotowania się“ na

egzamina z filozofji. Myślałem, że każą mi drugi rok powtórzyć, czego też z duszy pragnąłem.

Główny nasz profesor filozofji, ks. Teodor Sozański, człowiek już starszy, był także ministrem domu, ojcem duchownym, spowiednikiem naszym i prefektem studjów. Choć obarczony tylu urzędami, był on zawsze swobodny i krotochwilny. Poczciwy z duszą i ciałem. Każdy z nas każdej chwili miał do niego łatwy przystęp. Na każdego z nas, czy kto był wysoki czy niski, wołał:

— Mały, mały, czego ty chcesz?

Kiedy mu mówiłeś o filozofach i wychwalałeś filozofję, to cię ładnie pogłaskał i rzekł:

— Mały, ty mówisz jak mądry człowiek!

Ale uchowaj cię Boże, jeśli mu wspomniałeś o poetach i wychwalałeś poezję. Wtedy ks. Sozański zaraz okładał cię kułakiem, z oburzeniem wołając:

— Mały, ty głupi jesteś, ty głupstwa pleciesz. Każda poezja to kłamstwo i każdy poeta to narwany człowiek.

I wtedy nie dosyć, że sam cię bił, ale i drugich namawiał, żeby cię bili:

— Mały, bij go, bo to poeta! Bij go mocniej, bo poetę bić to nie grzech!

Takie wzajemne okładanie się kułakiem, od czasu jak przyjechaliśmy do Tarnopola, miało często miejsce ilekroć obcowaliśmy z ks. Sozańskim. Prawda, że to były żarty. Ale reguła nie pozwalała ani żartem dotykać się drugiego. Reguła wszakże, sama z siebie, nie obowiązywała nikogo pod grzechem. To też kiedy przełożony nasz duchowny, minister domu, profesor i prefekt studjów kazał nam bić drugich, myśmy naturalnie uważali się za zwolnionych od reguły. I z czasem weszło to w zwyczaj, że często jeden drugiego uderzał żartem, niekiedy nawet grubym żartem, ale jednak nigdy suadente diabolo czyli z umyślną złością.

Atoli ks. Sozański, o ile był zabawnym i pociesznym człowiekiem na rekreacji, o tyle był poważnym i głębokim filozofem na katedrze. W nauce nie było żartów z nim. Był bardzo ścisłym i wymagającym. On to właśnie filozofom zwykł był zadawać największe trudności do rozwiązywania czyli najtwardsze orzechy do zgryzienia na egzaminach.

Na wiosnę roku 1890 nie było prowincjała ks. Mycielskiego w Galicji. Wyjechał był jako wizytator prowincji niderlandzkiej

gdzieś do Holandji. W nieobecności prowincjała sprawował rządy tak zwany socjusz prowincjał ks. Wilhelm Merkel, ślązak.

I nagle jakby wiatr przeciwny zawiał. W szesnaście dni przed egzaminami rektor ks. Christian woła mnie i powiada:

— Musisz zdać egzamina.

— Dobrze — odpowiedziałem. — Ksiądz rektor pamięta co mi powiedział siedm tygodni temu, że Towarzystwo tego roku nie będzie wymagało egzaminów ode mnie.

— Pamiętam. Ale musisz zdawać jeśli nie teraz razem z innymi to później przy końcu wakacji. Jeśli ani teraz ani przy końcu wakacji nie zdasz egzaminu, nie przejdziesz już nigdy na trzeci rok filozofji.

— Nie jestem przygotowany teraz, a tem mniej będę przygotowany przy końcu wakacji. Mam przecie podczas wakacji kontynuować kurację we Lwowie.

— Wszystko jedno. Musisz zdawać egzamin, jeśli chcesz kontynuować filozofję.

Ano, kiedy mus to mus. Zakasałem rękawy i zabrałem się do roboty. Gdyby filozofja była tylko pamięciową robotą, to jeszcze pół biedy. Ale filozofja to robota przedewszystkiem rozumowa. Trzeba myśleć, wnikać zgłębiać każdą rzecz, by o niej mieć jasne a wszechstronne pojęcie, by przy egzaminie na każdą trudność mieć gotową odpowiedź. A na to trzeba więcej niż 16 dni. Siadłem jednak do egzaminu dnia 30 czerwca 1890, który nie tak źle mi poszedł jak sobie myślałem. Ale czy go zdałem „z dobrym skutkiem", jak to prowincjał sobie życzył? Na razie nie wiedziałem. O wyniku egzaminów dowiaduje się człowiek dopiero pod koniec wielkich wakacji zwykle około 15 lipca z tak zwanej dyspozycji czyli rozporządzenia prowincjała.

6. Na zamku w Zbarażu. — Wysłany do Chyrowa na magistra.

Kolegjum tarnopolskie miało także swoją willę czyli domek letni, letnisko, miejsce rozrywki dla filozofów. Nazywała się willą Gryczyńskiego, jakie 6 mil amer. na północ od miasta, po drodze do Zbaraża. Tu w tej willi podczas wakacji dnia 3 lipca 1890, właśnie w rocznicę pożaru Starejwsi, mieliśmy taką straszliwą ulewę z piorunami, że nie deszcz, ale rzekłbyś całe chmury oberwane z nieba padały na ziemię. Potok, nad którym willa leżała, wezbrał i wylał z brzegów tak, że tego dnia o powrocie do miasta nie było mowy. Komunikacja z miastem i dowóz żywności był przerwany.

W dniach 7, 8 i 9 lipca 1890 zrobiliśmy dalszą wycieczkę, pieszo jak zawsze. Mianowicie do słynnego z powieści Sienkiewicza Zbaraża, a potem dalej nad granicę moskiewską. Zbaraż najbardziej nas interesował. Zwiedziliśmy starodawny zamek i dziedziniec otoczony wysokim wałem obronnym, na którym to podczas procesji Zagłoba za drążek baldachimu się chwytał przed kulami tatarskiemi. Widzieliśmy i staw i bagna, przez które się przekradał Skrzetuski; i pola, na których legł bohaterską śmiercią pan Podbipięta.

Po tej wycieczce dowiedziałem się, że mam się pożegnać z filozofją raz na zawsze i iść na magistra do Chyrowa. Rozporządzenie to wyszło nie od prowincjała, bo ten jeszcze nie był wrócił z Holandji, lecz od wiceprowincjała ks. Merkla. Napisałem tedy do wiceprowincjała list z prośbą, by mnie nie pozbawiał tych studjów, których ukończenie prowincjał mi był przyobiecał; by mnie teraz nie posyłał do Chyrowa pomiędzy dzieci, gdyż moje egipskie zapalenie oczu jeszcze nie wyleczone i mam podczas wakacji kontynuować kurację we Lwowie.

Na to wiceprowincjał ks. Wilhelm Merkel z Krakowa 15 lipca 1890 taką kapitalną dał mi odpowiedź:

„Najdroższy w Chrystusie! P. Chr. Co N. O. Prowincjał Tobie przyobiecał, tego ja nie chcę Ci odmawiać. A więc pozwalam Ci jeszcze trzeci rok filozofji, ale pod tymi dwoma warunkami całkiem słusznemi, mianowicie: 1) nie zaraz lecz na przyszły rok szkolny 1891. Rozporządzenie bowiem tegoroczne w żaden sposób zmienione być nie może. Pójdziesz więc z innymi podług wiadomego już rozporządzenia do Chyrowa. 2) Pozostawiam Ci wolny wybór zdawania egzaminu z drugiego roku albo po skończonych tych wakacjach, co mi się zdaje łatwiejszem, albo po wakacjach roku 1891. Wybieraj co łatwiejszem i pewniejszem Ci się zdaje, gdyż od powodzenia egzaminu zależeć musi przyznanie Ci trzeciego roku filozofji. Stokrotne pozdrowienie zasyła Ci sługa w Chrystusie Wilhelm Merkel S. J.“

Oto rozkaz oficerski! Posłuch żołnierski wówczas nie pozwalał mi ani na chwilę rozbierać tego rozkazu. Dziś powiem tu nawiasowo, że powyższy rozkaz tchnął ducha tej osławionej zasady: Sic volo, sic jubeo, stat pro ratione voluntas. Tak ja chcę, tak ja rozkazuję; nie pytaj mnie o rację, gdyż racją jedyną jest moja wola. Kto tobie rozkazy wydaje, nazywany jest autokratą czyli samowładcą. Samowładcą nie dlatego że sam włada; bo może ktoś

sam władać czyli być jedynowładcą, a jednak nie być samowładcą. Samowładca to taki piastun władzy, który sobie upatrzył w głowie, że on i „władza" to „to samo"; który więc siebie uważa nie za piastuna władzy lecz za „władzę samą", utożsamiając, identyfikując siebie z władzą, którą mu dano. Gdy taki samowładca się skompromituje przez wydanie nierozsądnego rozkazu lub mylnego wyroku: on, choć widzi błąd swój, nie zmieni jednak rozkazu ani nie cofnie swego wyroku raz wydanego. A dlaczego? Bo, mówi, władza by była skompromitowaną. Samowładca tego nie widzi, że on sam osobiście się skompromitował, a nie władza, którą on piastuje; bo on utożsamia władzę ze swoją osobą. Ta jedna zła zasada utożsamienia siebie z władzą, jest gorszą niż sto zbrodni, gdyż jest źródłem nieobliczalnych zbrodni, wybryków i złych następstw. Piastuna władzy obowiązują przykazania Boskie tak samo jak każdego człowieka. Jeśli piastun władzy swoim mylnym wyrokiem kogoś skrzywdził, to jest obowiązany jak każdy inny naprawić wyrządzoną krzywdę. Przez co bynajmniej nie kompromituje władzy, którą piastuje. A jeśli uparcie obstaje przy swoim mylnym wyroku, wtedy dopiero naraża siebie i władzę na pośmiewisko.

Otóż z rozkazu wiceprowincjała ks. Merkla (Niemca) dnia 19 lipca 1890 r. wyjechałem wraz z innymi z Tarnopola wprost do Chyrowa na magistra, na nauczyciela dzieci. W czarnych okularach z niewyleczonem jeszcze egipskiem zapaleniem oczu z rozkazu wiceprowincjała miałem wejść do aprobowanego przez cesarsko-królewski rząd austrjacki zakładu wychowawczo-naukowego, żeby tam dzień i noc obracać się pomiędzy dziatwą, uczyć ą w klasie, bawić ją na placu i sypiać z nią w jednej sypialni. Nie było obawy, żebym kogo zaraził, jedynie dlatego, że skrupulatnie zachowywałem wszelkie środki ostrożności.

7. Konwikt w Chyrowie. — Praca nauczycielska.

Nowy zakład wychowawczo-naukowy św. Józefa czyli konwikt w Chyrowie był to obszerny gmach, zbudowany w kształcie czworoboku ze skrzydłami u frontu. Każdy bok tego kwadratu gmachowego był jakie 800 stóp długi; a front miał jakie półtora tysiąca stóp długości. Wewnątrz na korytarzach jak ulice długich uczniowie podczas niepogody na bicyklach swobodnie bujali. Osobno stało boisko gimnastyczne i konna ujeżdżalnia. Stawy i łazienki. Był i wielki folwark. Zakład miał własne wodociągi, kanalizację,

własną elektrownię i gazownię, własne lasy i pola obszerne, własne parki i ogrody w stylu angielskim urządzone. Był to zakład na olbrzymią skalę, niedawno co powstały.

Przybywszy do tego zakładu 19 lipca 1890, a więc w czasie wakacji, nie mieliśmy tu takich wakacji jak za złotych czasów na scholastykacie. Ciągle niemal byliśmy zajęci to nauką rektora, to instrukcjami prefekta studjów, to wreszcie inną pracą przygotowawczą do przyszłego naszego zawodu nauczycielskiego. I gdzie tu było można myśleć o przygotowaniu się do egzaminu z drugiego roku filozofji? Fizycznem niepodobieństwem!! Nawet czasu zabrakło do kuracji oczu, która poszła teraz z pieca na łeb.

Konwikt chyrowski, za moich czasów liczący 357 uczniów, pod względem naukowym podzielony był na osiem klas a raczej stopni gimnazjalnych; bo klas było więcej niż osiem. Klas było dwadzieścia cztery. Na czele klas stali profesorzy księża, scholastycy a także świeccy, których było kilku. A na czele profesorów stał prefekt studjów ksiądz Waszyca, teraźniejszy profesor seminarjum w Orchard Lake, Mich.

Pod względem zaś wychowawczym zakład był podzielony na sześć dywizyj. Na czele dywizji stali prefekci dywizyjni, przeważnie scholastycy; a na czele tych prefektów stał generalny prefekt dywizyj, wówczas ks. Maćkowski.

Na czele zaś całego zakładu stał rektor ks. Henryk Jackowski, były prowincjał, którego sprężysta energja głównie cały ten zakład z fundamentów dźwignęła.

Uczniowie byli nie tylko z Galicji, ale i z Poznańskiego i z Kongresówki; a już wielu było z Warszawy samej. W trzeciej klasie między innymi był Karol Haller.

Z dniem 2 września 1890 r. rozpocząłem swój zawód nauczycielski. Uczniami moimi byli: Jaworzyński, Kalinka, Koehler, Mosiewicz A., Mosiewicz Z., Moteczyński, Niedźwiedzki, Podlodowski, Porębski, Potocki, Pytkowski, Raciborski, Wierzbicki i Herman z Warszawy, Żardecki, Radziminski z Poznańskiego, Węgliński. Tych uczyłem religji, historji, geografji, rachunków, gramatyki polskiej i niemieckiej. Języka zaś francuskiego uczyłem ich razem z dwoma innemi klasami, w których byli następujący: Brauliński, Dzwonkowski, Grzywiński, Kalusiński, Kałłaur, Kryński, Kowalewski, Listopadzki, Marcinkowski, Mohl, Morawski Marjan, Narkiewicz, Prokopowicz, Rzuchowski, Skalski, Smoczyński, Stecki, Stopa, Strzelecki, Szyrajew, Tazbir, Tchórzyński, Zmorowski, Andler,

Brandt, Branecki, Chłodnicki, Dienstl, Doliński, Faleński, Hoffman, Kessel, Kowats, Lombardo, Malina, Marynowski, Muehlard, Rudnicki, Rybiński, Szujski Wacław, wnuk sławnego historyka, Szymański, Telakowski, Trojanowski, Zakrzewski, Zwilling, Czarnowski i Rościszewski.

Nauki w klasie miałem po sześć godzin dziennie. A pozatem dozorowałem z prefektem całą dywizję na placu zabawy, na przechadzkach i w sypialni. Prefekt i ja sypialiśmy razem z całą dywizją w jednym ogromnym dormitarzu. Bywałem więc razem z uczniami moimi dzień i noc. To też znałem się z nimi, zżyłem się z nimi, pokochałem ich i polubiłem także mój zawód nauczycielski.

Chociaż harować trzeba było jak koń. Pracy było po uszy. Około trzysta zadań piśmiennych tygodniowo trzeba było przeglądać, podkreślać i poprawiać. Języków niemieckiego i francuskiego uczyłem nietylko w klasie, ale i na placu zabawy przez tak zwane „rozmówki", które umyślnie sporządzałem dla uczniów moich. Chodziło mi właśnie o wyćwiczenie uczniów w potocznej rozmowie francuskiej i niemieckiej. W tym celu spisywałem owe rozmówki, składające się zwykle z dwunastu frazesów francuskich lub niemieckich, a omawiając raz przechadzkę, drugi raz zabawę, trzeci raz ślizgawkę i tak dalej.

Ale nie mogłem przecie ja sam ich ćwiczyć. Bo stu ust nie miałem, tylko jedne. Więc co lepszych z dywizji wybrałem na dekurjonów czyli dziesiętników, nad którymi najlepszego z nich postawiłem jako centurjona czyli setnika. Nowo napisaną rozmówkę wręczyłem najpierw setnikowi i wyćwiczyłem go dobrze we wymawianiu danych frazesów. Potem setnik w mojej obecności ćwiczył dziesiętników. Ci nareszcie ćwiczyli całą dywizję, każdy dziesiętnik swoje dziesięcioro. Było w tem pożytku, zabawy i ambicji niemało. Była to nowość, która korciła pewnego prefekta dywizji, niejakiego Jaworskiego, który później już jako ksiądz wystąpił z Towarzystwa, ożenił się i został luterskim pastorem, ostatniemi laty przebywającym w Waco, Texas. Ale zresztą ta nowość ogólnie się podobała każdemu.

Tymczasem z oczami jeszcze ciągły miałem kłopot. Od czasu do czasu wprost zmuszony byłem jechać do dr. Machek we Lwowie. Ostatni raz byłem u niego 18 stycznia 1891 r. Nie zastałem go wtedy w domu i musiałem parę dni na niego czekać, z czego mój rektor ks. Jackowski był niezadowolony bardzo a ja

jeszcze bardziej, gdyż mi ta kuracja i połączone z nią kłopoty z przełożonymi doprawdy miłymi nie były. Ale uzbrajałem się w cierpliwość od stóp do głowy, powtarzając sobie ciągle to moje ulubione przysłowie: Tyle masz mądrości, ile masz cierpliwości. I: przez cierpliwość waszą zdobędziecie zbawienie dusz waszych.

8. Fałszywy donos 27 stycznia 1891 i dymisja 20 lutego 1891.

Pewnego razu po sześciogodzinnej pracy w klasie, magister Antoni i ja weszliśmy do pokoju inspektora Handka, scholastyka, na zwykłą pogadankę. Magister Antoni uczył w sąsiedniej klasie, tuż przy mojej, i był od dawien dawna moim serdecznym przyjacielem. A kto się lubi, ten się czubi. Więc ja z nim a on zemną lubiał się często przekomarzać, czyli dokuczać jak komar. W ten podwieczorek rozmawialiśmy o naszych uczniach, jakie który postępy czyni w naukach. Wspomniałem pochlebnie o Wacławie Szujskim jako jednym z najlepszych moich uczniów. A że magister Antoni nigdy nie lubiał tego, że tak bardzo wychwalam Wacława Szujskiego, przeto z pewnym oburzeniem odezwał się do mnie w te słowa:

— Magister też ciągle tylko tego swego Wacławka wychwala pod niebiosa.

To mówiąc uderzył mnie niby sztubaka trzciną, którą właśnie miał w ręku. Ja, nie mając trzciny, w odruchowej samoobronie uderzyłem go ręką w twarz także niby sztubaka. I na tem się całe zajście skończyło.

Ani on mnie ani ja jego przez to śmiertelnie nie obraziłem na duszy, a tem mniej na ciele. Ani on mnie potłukł ani ja jego. Ani on mnie sponiewierał ani ja jego. Ani on na mnie się gniewał ani ja na niego. Zgorszenia maluczkich także nie mogło być, bo działo się to w pokoju, w którym prócz nas i Handka był tylko pewien prefekt dywizji. Ale ten ostatni właśnie, podówczas ulubieniec przełożonych a później pastor luterski, odniósł stąd wielkie zgorszenie faryzejskie, jak to się okazało nazajutrz.

Rozeszliśmy się jak zawsze każdy do swojej pracy, i wcale nie myślałem o tem potem. Ale czego się człowiek nie spodziewał przez lata całe, to w jednej chwili się stało. Accidit in puncto quod non speratur in anno. A stało się przez fałszywy donos.

Oto na drugi dzień wołają mnie do rektora. Nie przeczuwając nic złego, stawiłem się natychmiast w pokoju rektora. Rektor

ks. Jackowski pisał właśnie list. Gdy wszedłem, rzekł sucho i krótko do mnie:

— Magister uderzył magistra Antoniego.

— Tak jest, uderzyłem go — odrzekłem również sucho i krótko.

— Dobrze. Dziś wieczór będziesz miał czytaną pokutę w refektarzu z rozciągniętymi ramionami i będziesz odosobniony od innych aż do dalszego rozporządzenia prowincjała.

To rzekłszy, pisał dalej swój list. Ja stałem jeszcze chwilkę, bo chciałem jeszcze rektorowi coś powiedzieć, że pokuta jest zbyt ostrą, bo przecie nie było złości i zresztą magister Antoni mnie pierwszy zaczepił. To w pierwszej chwili chciałem powiedzieć rektorowi. Ale wnet zastanowiła mnie taka myśl:

— Po co mam mieszać w to drugiego? Sam odprawię pokutę zadaną i basta. Gdyby mnie magister Antoni był oskarżył, ah, to co innego. Ale ja wiem, że on mnie nie oskarżał. Zresztą rektor mnie nie obwiniał, żem pierwszy uderzył albo żem w złości uderzył. On mnie tylko obwiniał, żem uderzył. I do tego też się przyznałem, że to prawda. Do niczego więcej. A to, że rektor mi groził „dalszem rozporządzeniem prowincjała", to w owej chwili uważałem za strachy na Lachy. Bo prowincjał ks. Mycielski znał mnie przecie od nowicjatu, znał mnie więc lepiej niż rektor ks. Jackowski. Już ks. Mycielski nie da mi krzywdy zrobić, myślałem sobie na pewno.

Wyszedłem więc z pokoju rektora, nie powiedziawszy ani słówka w swojej obronie. Czułem się niewinnym. W czem się poczuwałem do winy, w tem się i przyznałem do winy, to jest, że uderzyłem kleryka. Po co miałem się uniewinniać z tego, o co mnie rektor jeszcze nie obwiniał wcale, to jest, że ja w złości uderzyłem kleryka, albo że ja pierwszy gwałtowniem go napadł? Prawda, że rektor zadał mi pokutę bardzo ostrą, Ale to tylko dowodzi, że ks. Jackowski daleko surowiej na regułę taktusu się zapatruje aniżeli ks. Sozański w Tarnopolu.

I tak absolutnie nie przypuszczałem wtedy, żeby to drobne zajście, tak zwykłe i poprzednie u innych, dla mnie mogło mieć jakieś dalsze i poważne następstwa. Myśl o dymisji w głowie mi na serjo nie powstawała, bo w głowie mi się pomieścić nie mogła. Ktoś to drobne zajście nasze rozdymał może do niebywałych rozmiarów, zrobił z igły widły, z muchy słonia. Może to być. Ale i wtedy prawda jak oliwa na wierz wypłynie.

Ponieważ rektor wspomniał mi o prowincjale, więc i ja napisałem do prowincjała list jeden, a potem drugi, gdy na pierwszy nie odebrałem zaraz odpowiedzi. Sądząc, że pokorą najdalej zajdę, w listach tych przyznawałem się li-tylko do własnej winy, to jest, że ja uderzyłem kleryka; i że gotów jestem teraz przyjąć za to wszelką pokutę.

Na te dwa listy prowincjał ks. Mycielski z Krakowa 6 lutego 1891 tak mi odpowiedział:

„Carissime Magister! P. Chr.! Odebrałem dwa Twoje listy. Cieszy mnie to wprawdzie, że winę Twą uznajesz i na każdą zań pokutę się ofiarujesz i pewno to Twoje dobre uczucie P. Bogu miłem będzie. Co do kwestji jednak pozostawienia Cię w Towarzystwie rzecz rozważywszy w P. Bogu, sam na to zdecydować się nie mogłem, bojąc się: aby takie gwałtowne usposobienie w przyszłości nie wywołało większych albo przynajmniej równie szkodliwych zajść. Rzecz teraz przedłożona jest decyzji W. O. Generała. Polecam się Twym dobrym modlitwom Charitatis Tuae sługa w Chrystusie Michał Mycielski S. J.“

Wybierałem się właśnie na przechadzkę, kiedy powyższy list odebrałem i przeczytałem. Jest rozumna reguła, żeby na przechadzkę iść zawsze z towarzyszem. Moim towarzyszem był wtedy magister Mróz, który zimnego i lodowatego serca nie był lecz przeciwnie gorąco współczuł ze mną. Otóż magister Mróz przeczytawszy powyższy list prowincjała, zagadnął mię po swojemu tak:

— Co sobie teraz myślisz? Czy ten list nie pachnie dymisją? Co zrobisz, gdy nadejdzie dymisja od generała?

— Pojadę choćby do Generała. Ale dymisji nie może być. Bo za co?

Wtedy magister Mróz jął mi opowiadać, że słyszał, iż konsultorzy prowincji, którzy mnie nie znali, ani o okoliczności faktu nic nie słyszeli, tak podobno rozumowali: Casus excommunicationis est casus dimissionis; atqui percussio clerici est casus excommunicationis; ergo. To znaczy: Każda klątwa pociąga za sobą dymisję; już zaś każde uderzenie kleryka pociąga za sobą klątwę; więc każde uderzenie kleryka pociąga za sobą dymisję. Na to odpowiedziałem: Zgadzam się całkowicie na pierwsze zdanie. Lecz na drugie zdanie po części się zgadzam a po części nie. Kto z umyślną złością uderza kleryka, ten popada w klątwę, na

to się zgadzam. Lecz żeby ten, kto po przyjacielsku albo w swej obronie uderzył kleryka, także popadał w klątwę, to nie prawda

Nie chciałem poprostu wierzyć, żeby ktoś z tak drobnego faktu mógł wyciągnąć taką straszną konsekwencję, jaką jest dymisja. Przecież dymisja to dla mnie najstraszniejsza kara, jaka być może na świecie. Jest to dla mnie kara śmierci społecznej i moralnej. Czyż aż na taką karę zasłużyłem przez przyjacielskie uderzenie kolegi? A jeśli mnie przed prowincjałem oskarżono o złośliwe uderzenie kleryka, to czemu mi zaraz nie powiedziano o tem, żebym mógł się bronić? Czy zaocznym sądem chciano mnie skazać na największą karę? czyż wydaniem zaocznego wyroku chciano mnie shańbić na całe życie? Nie mnie, lecz siebie na zawsze shańbili ci, którzy zaoczny wyrok na mnie wydali.

I miałem zawsze jeszcze nadzieję, że prowincjał ks. Mycielski nie pozwoli nikomu wyrządzić mi krzywdy o pomstę do nieba wołającej. Albo że mi przynajmniej powie: chodź i broń się, zanim wyrok zapadnie!...

Niestety, dnia 20 lutego 1891, rzeczywiście nadeszła dla mnie dymisja od samego generała Anderledy'ego. Do magistrów i księży, którzy ze łzami w oczach stali około mnie, powiedziałem wtedy te słowa:

— Jak drzewo w ziemi tak ja w Towarzystwie głębokie zapuściłem korzenie. Kto mnie wyrzuca z Towarzystwa, ten jakby silne drzewo z korzeniami wyrywał. Zegnie, złamie lub zetnie on drzewo, ale jego korzeni z ziemi nie wyciągnie.

9. Prawdą najdalej się zajdzie, a nie pokorą. — Podróż do Krakowa. — U prowincjała we Wiedniu.

To wydalenie mnie z Towarzystwa nietylko było niegodziwem ale i nieważnem, bo urągało wszelkim prawom Boskim i ludzkim, kościelnym i świeckim. Chyba ślepy tego nie widzi.

Najbieglejszy mistrz tyle nauczyć nie zdoła, ile nauczy twarda przeciwności szkoła. Ta szkoła mnie nauczyła, że pokorą najdalej się zajdzie tylko u Boga, a nie u ludzi. Ani nawet u przełożonych czyli piastunów władzy, bo i oni są tylko ludźmi i jeszcze jakimi czasem. Władza jest zawsze świętą. Ale ludzie, którzy ją piastują, nie są świętymi. Owszem, są często gorszymi od zwyczajnych ludzi; są nawet złodziejami i zbrodniarzami jak ci chicagoscy piastunowie władzy policyjnej i kościelnej.

Pokora przebija niebiosa — tak, ale nie ludzi; a zwłaszcza nie tych ludzi, którzy piastują władzę. Powiedział nasz filozof Karol Libelt: W życiu prywatnem na grzeczności nikt nie traci; ale w życiu publicznem na grzeczności każdy traci. I nie bez słuszności mówił poeta Goethe: Bescheidenheit ist eine Zier, aber man kommt weiter ohne ihr. Skromność jest ozdobą, ale bez niej dalej zajdziesz. A nasze polskie przysłowie powiada: Na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Pochylaj głowę twoją przed Bogiem, ale nie przed ludźmi, zwłaszcza tymi, co władzę w garści mają. Bo ci na pochyłej głowie kołki ciosać będą. Bogu samemu się kłaniaj; a wobec ludzi, choćby dygnitarzy, trzymaj głowę prosto. Nie głaszcz ich nigdy pokorą, ale za przykładem Chrystusa wal, rąb i uderzaj ich obuchem prawdy i tylko prawdy i całej prawdy. Prawdą najdalej zajedziesz. Prawda was wolnymi uczyni, powiedział Chrystus.

Wraz z dymisją doręczyli mi na podróż moje pieniądze, które — mówili— pozostały mi jeszcze po ojcu moim. Ale co najdroższego, to mi zabrali. Mianowicie, zabrali mi moją sukienkę duchowną. W zamian za nią dawali mi cywilne ubranie, którego przyjąć nie chciałem. Dali mi więc świecką sutannę czyli rewerendę. I tę przyjąłem i w niej też podróżowałem w Austrji i we Włoszech.

W podróż wybrałem się bez zwłoki. Jeszcze tego samego wieczora pierwszym pociągiem opuściłem Chyrów. O pożegnaniu moich ukochanych uczniów nie było mowy. Oni wtedy nawet nie wiedzieli, co się ze mną działo albo gdzie się podziałem. Choć smutek mój był ogromny i boleść moja była niezmierna, wielka i gorzka jak morze: to jednak żegnając Chyrów nie upadałem na duchu lecz wierzyłem głęboko, że nade mną czuwa Boskiej Opatrzności oko.

Wsiadłem na pierwszy pociąg, jaki odchodził z Chyrowa; i jechałem przez Zagórz, Sanok, Krosno, Jasło, Nowy Sącz wprost do Krakowa. Jechałem niemal całą noc nic nie śpiąc. Na drugi dzień rano w Krakowie zadzwoniłem do domu prowincjała i zapytałem braciszka:

— Czy mogę widzieć księdza prowincjała?

— Niema go w domu.

— A gdzie jest?

— Wyjechał z Krakowa.

— Dokąd?

— Nie wiemy.

— Na złodzieju czapka gore — tego nie powiedziałem wtedy głośno, ale pomyślałem sobie tylko po cichu. I udałem się do domu św. Barbary, by widzieć się z księdzem Załęskim i dowiedzieć się, gdzie prowincjał się podział. Ks. Stanisław Załęski, autor wielu dzieł zwłaszcza historycznych, człek uczony ale prosty, szczery i otwarty. Był konsultorem prowincji, więc znał już moją sprawę i rzekł mi po prostu z mostu:

— Co ja ci poradzę. Jabym nie umiał sam sobie poradzić, gdyby mi generał dymisję nadesłał. Takie uderzenie kleryka, to każdemu z nas się przytrafi. Ale jeśli się przytrafi dymisja od generała, to niema na nią rady. Toć prawie co tydzień któryś z naszych dymisję dostaje, a nie szczeka ani hałasuje, tylko schowa ogon między nogi i idzie do siebie. Gdzie prowincjał? Prowincjał zaraz po twojej dymisji wyjechał do Wiednia. Nie wyrzucaj pieniędzy na podróż do prowincjała. Schowaj je, bo ci się przydadzą.

Na to mu odpowiedziałem:

— Pismo święte powiada: Ne sitis canes muti nan valentes latrare. Nie bądźcie psami niemymi, nie umiejącymi szczekać.

O pieniądze tyle nie dbam, ile o sprawiedliwość. Przecież ojcowie sami zawsze uczyliście mnie, żeby na pierwszem miejscu dbać o królestwo Boże i sprawiedliwość Jego, a nie o pieniądze. Skąd nagle ta zmiana w nauce, żebym nie szukał sprawiedliwości, tylko pieniądze chował?...

Jeszcze tego samego dnia 21 lutego 1891 roku z Krakowa wyjechałem do Wiednia, gdzie późno wieczorem stanąłem w hotelu „Zur Golden Ente“ i przenocowałem, ale ani oka zmrużyć nie mogłem. Była to już druga moja noc bezsenna. Na drugi dzień 22 lutego 1891 odszukałem prowincjała ks. Mycielskiego. Zdziwił się, że go znalazłem i że tak daleko za nim przyjechałem.

Ponieważ ks. Załęski mi napomknął, że takie uderzenie kleryka w twarz każdemu z nas się przytrafi“, więc tu we Wiedniu zaraz na wstępie prowincjałowi jasno i wyraźnie takie postawiłem pytania:

— Czy mnie wydalono z Towarzystwa li tylko za to uderzenie kleryka, czy też dla innej jeszcze przyczyny?

Na to mi prowincjał odpowiedział:

— Żadnej innej przyczyny nie było. Była tylko ta jedna przyczyna, żeś przez to uderzenie kleryka okazał niepohamowaną gwałtowność charakteru.

— Czy za takie uderzenie karaliście mnie lub napominaliście już kiedy przedtem?

— Nie. To było pierwszy raz. Ale „bałem się, aby takie gwałtowne usposobienie w przyszłości nie wywołało większych albo przynajmniej równie szkodliwych zajść" (tu mi ks. Mycielski powtórzył to samo, co mi był w liście pisał).

— Więc przypuśćmy, (dato sed no concesso), że to było umyślne, złośliwe i gwałtowne uderzenie, to było ono jednak tylko jednorazowe. A czy jednorazowy czyn może świadczyć o charakterze człowieka? Czy jednorazowy taki czyn zasługuje od razu na najwyższą karę? Czy kara dymisji jest proporcjonalną nawet do tej rzekomej winy, o jaką mię niesłusznie oskarżono? A skoro kara jest nieproporcjonalną, to jest i niesprawiedliwą, bo przesadną. Niesprawiedliwa zaś kara jest krzywdą, która naprawioną być musi. Więc Towarzystwo, karząc mnie odrazu dymisją, wyrządziłoby mi ogromną krzywdę nawet w tym wypadku, gdybym był umyślnie, złośliwie i gwałtownie uderzył kleryka. Ale tak nie było. (I tu opowiedziałem całe zajście, jak powyżej.) A zatem Towarzystwo przez tę niczem niezasłużoną dymisję wyrządziło mi krzywdę, wołającą o pomstę do nieba. To piętno hańby, które przez tę dymisję chciano wycisnąć na całem mojem życiu, nie przylgnie do mnie, lecz do Towarzystwa tak długo, dopóki Towarzystwo tej krzywdy mi nie naprawi.

Gdym to mówił, prowincjał poczerwieniał na twarzy. A gdy usłyszał o okolicznościach mego zajścia i o tem, że magister Antoni mnie pierwszy zaczepił i uderzył, natenczas w gniewnem oburzeniu wstał i zawołał:

— Czemuś mi tego odrazu nie powiedział. To zmienia całą rzecz.

— A skąd ja miałem wiedzieć, że oskarżyliście mnie o złośliwe uderzenie i gwałtowną napaść kleryka? Od rektora? Kiedy rektor mnie obwiniał tylko o uderzenie. Powiecie mi, że mogłem przypuszczać, że mnie obwiniliście o coś więcej niż o proste uderzenie? Ale w takim razie mogłem przypuszczać i to, żeście mnie obwinili o zabójstwo kleryka, i uniewinnić się z tego, żem nie zabił kleryka! Czyżbym się był nie ośmieszył uniewinniając się z tego, o co mnie wcale nie obwinialiście?

Prowincjał słuchał, zadarł głowę do góry i rzekł:

— Okoliczności wprawdzie zmieniają całe to zajście, o jakie cię oskarżono. Ale nie zmieniają i nie zmienią decyzji, która od

generała już raz wyszła. Ja tej decyzji zmienić nie mogę, bo to nie moja, tylko generała decyzja. A generał też ci nic nie pomoże. Generał raz wydanej decyzji nigdy nie zmienia, bo by przez to kompromitował swą władzę. A kompromitować swej władzy chyba i dla ciebie nie zechce.

Na to odrzekłem:

— Towarzystwo nie tylko może, ale i powinno odwołać i cofnąć ten swój mylny wyrok dymisji. Towarzystwo to zbiorowy człowiek. A zbiorowego człowieka tak samo ósme przykazanie Boskie obowiązuje co i pojedyńczego człowieka. Towarzystwo dopiero wtedy naprawdę by się skompromitowało, gdyby mylnego swego wyroku cofnąć i krzywdy wyrządzonej bliźniemu naprawić nie chciało. Jadę teraz do generała po sprawiedliwość. Proszę mi dać błogosławieństwo na drogę.

Przyklęknąłem, a prowincjał zrobił znak krzyża nade mną. Potem wstałem, pochwaliłem Pana Boga i wyszedłem z pokoju prowincjała, udałem się wprost na dworzec kolejowy w dalszą podróż do generała Jezuitów.

10. Długi sen w Trjeście. — Na placu św. Marka w Wenecji.

Jadąc fiakrem ulicami Wiednia patrzałem na katedrę św. Stefana, w której przez parę minut pomodliłem się; patrzałem na pałac cesarski i inne gmachy wspaniałe w tej stolicy Austrji. Ale podówczas mnie to wszystko nic zgoła nie interesowało. Moje myśli były wtedy zajęte rzeczą daleko większą niż cały Wiedeń.

W mojej duszy odbywała się straszna walka. Głębokie poczucie krzywdy walczyło z również głębokiem uczuciem miłości i przywiązania do Towarzystwa. Ta walka jeszcze dziś trwa i pozostaje wciąż nierozstrzygniętą w duszy mojej.

Pierwszy pociąg, jaki odchodził z Wiednia na południe, szedł do Trjestu. Na ten wsiadłem. Jechałem zawsze w sutannie, więc traktowano mnie wszędzie jako księdza. Jechałem przez Styrję. Karyntję i Karniolę. W pociągu trzecią już noc spędziłem bezsenną. W Karnioli jak okiem sięgnąć skaliste okolice z młynami, w których kamienie piłowano i obrabiano.

Do Trjestu przyjechałem w południe 23 lutego 1891 r. Stanąłem w hotelu Delorme, gdzie od czasu jak opuściłem Chyrów zjadłem pierwszy porządny obiad; a potem położyłem się spać i spałem całe popołudnie, całą noc i całe przedpołudnie następnego dnia. Nigdy w życiu, chyba podczas tyfusu, tak długo nie spałem

jak tu w Trjeście. Ale bo też nigdy w życiu tak zmęczonym fizycznie i duchowo nie byłem jak w tych dniach od Chyrowa do Trjestu.

Wyspawszy się do syta, po obiedzie łódką przejechałem się po zatoce Trjestu. Morze Adrjatyckie to było pierwsze morze, jakie w życiu widziałem. Wieczorem wsiadłem na parowiec Trieste zwany i pierwszy raz w życiu na morzu płynąłem okrętem. Na drugi dzień 25 lutego 1891 rychło rano przypłynąłem do portu w sławnej Wenecji, nie tej na Pałukach, ale do Wenecji we Włoszech.

Pilno mi było do celu mej podróży, do generała; więc z portu płynąłem przez ulice Wenecji czemprędzej do dworca kolejowego. Ale tu się przekonałem, że mam jeszcze pięćdziesiąt minut czasu do odjazdu pociągu. Chcąc wykorzystać ten czas na zwiedzenie sławnego placu i kościoła św. Marka w Wenecji, wyszedłem przed dworzec, gdzie zamiast konnych dorożek stały rzędem tak zwane gondole, to jest, płaskie, długie a wązkie łodzie do przejażdżki po kanałach Wenecji. Kiwnąłem na Włocha i pokazując mu czas odjazdu pociągu na swoim zegarku, mówiłem mu pół po łacinie pół po francusku:

— Mam pięćdziesiąt minut czasu. Czy zawieziesz mnie swoją gondolą na plac św. Marka? Czy z powrotem zdążysz na czas do mego pociągu?

— Tak, panie.

— Więc jazda. Wiosłuj jak najprędzej.

I wnet gondola mknęła szybciej, niż zwykła dorożka po ulicach Wenecji. Przed każdą krzyżówką ulic, względnie kanałów, Włoch tubalnym głosem wołał: Ho! Oho! aby się nie zderzyć z drugą gondolą, jemu w poprzek płynącą. I przypłynęliśmy do placu św. Marka, jakby na jakąś wyspę. Na obszernym tym placu, jak w sali, stały krzesła i stoliki porozstawiane. W kącie placu wznosiła się pięknie rzeźbiona i wysoka wieża św. Marka. Tuż przy niej wspaniała fasada kościoła św. Marka, w którego wnętrzu dobre pięć minut bawiłem. Z powrotem na pociąg się nie spóźniłem.

11. U drzwi czarnego papieża we Fiesole.

Jeszcze tego samego dnia pod wieczór przybyłem do Florencji, gdzie to Trentannove później odlewał pomnik Kościuszki, stojący w Milwaukee, Wis. We Florencji przenocowałem w hotelu

Monaci, a nazajutrz rano, dnia 26-go lutego 1891, wybrałem się tramwajem elektrycznym do celu mej podróży, do miasteczka Fiesole, które podówczas było siedzibą „czarnego papieża", jak Włosi nazywają generała Jezuitów, księdza Anderledy'ego, Szwajcara. Miasteczko Fiesole leży na szczycie góry. Tuż pod miasteczkiem, na stoku góry, wśród winnic i zieleni drzew oliwkowych i cyprysowych, widniał długi biały dom, w którym mieszkał generał Anderledy. Targnąłem za dzwonek przy bramie i wnet zjawił się brat odźwierny.

— Chcę widzieć ojca generała.

— Proszę zaczekać — odrzekł odźwierny i zniknął w długim korytarzu. Za chwilę znowu wrócił do mnie stojącego u drzwi i powiada:

— Ojciec generał chce wiedzieć imię i nazwisko.

Nie mając drukowanych kartek wizytowych, wypisałem na zwyczajnej kartce papieru swoje nazwisko tak: Wencelaus Kruszka i nic więcej. Myślałem sobie przytem: gdzieby tam on pamiętał, co ja zacz? Odźwierny wziął tę ćwiartkę papieru z moim podpisem i zaniósł do generała. Tymczasem powstawały w głowie mojej takie zagadki:

— Czy generał da mi posłuchanie, czy nie? Czy zechce mnie wysłuchać? Czy zechce mnie przyjąć, nie już jako towarzysza, bo o tem na razie nie było mowy; ale czy zechce mnie przyjąć jako gościa? Jako gościa, który z tak daleka przez ląd i morze do niego przyjechał? Byłem wówczas optymistą i jak najlepiej o generale myślałem. Dlaczegożby nie miał mnie wysłuchać przynajmniej? Wysłuchał przecie fagasa, który mnie fałszywie oskarżył. Dlaczegożby nie miał wysłuchać drugiej strony o s k a r ż o n e j? Przyjechałem przecie z tak daleka, bo z dalekiej zimnej i lodowatej północy, aż tu do ciepłej i słonecznej Italji. I miałbym tu znaleźć serce zimne jak lód? Nie! Generał da mi przynajmniej posłuchanie. Generał mnie jak psa nie odpędzi...

Gdym to ostatnie zdanie w duszy sobie odmawiał, wtem nadszedł odźwierny i tę samą ćwiartkę papieru, którą mu dałem, oddał mi z następującym własnoręcznym dopiskiem generała Anderledy'ego:

„Dimissum semel e Societate nunquam recipimus. Neque tibi ulla spes est iterum ingrediendi Societatem Jesu". To znaczy: Raz wydalonego z Towarzystwa nigdy nie przyjmujemy. I nie ma dla

ciebie żadnej nadziei wstąpienia po raz drugi do Towarzystwa Jezusowego.

Przeczytawszy ten cierpki werdykt, odrazu przypomniałem sobie te dwa przysłowia kościelne. Pierwsze: Nolenti non fit injuria. Generałowi nie chcącemu się dowiedzieć prawdy nie działa się krzywda, że go okłamał pierwszy lepszy fagas (który później został pastorem luterskim). A drugie: Ne afficto addatur affictio. Mnie utrapionemu nie oddawaj utrapienia, bo przez to dopuszczasz się krzywdy wołającej o pomstę do nieba.

Na ten dzień mam w dzienniczku moim taką notatkę: „Dnia 26 lutego 1891 we Fiesole stoję u drzwi Jowisza i nadaremno pukam".

Bo w owej chwili generał jezuicki w swej siedzibie na górze fiesolejskiej przedstawiał mi się jako piorunowładny bożek Jowisz na górze olimpijskiej, siedzący gdzieś w niedostępnych obłokach.

Nigdy przez moje dymne okulary tak czarno na świat nie patrzałem jak kiedym zjeżdżał tramwajem z owego jezuickiego Olimpu z powrotem do Florencji. Piękne widoki i malownicze krajobrazy w okolicy Florencji odbijały się w duszy mojej bez wrażenia, zupełnie tak jak się odbijały w tem zwierciedle na ścianie tramwaju. Słońce tak jasno świeciło na lazurowem niebie włoskiem a pomimo to w duszy mej było ciemno.

Nie było złości w mem sercu; był tylko smutek głęboki. Że kto słuszną dymisją był raz wydalony z Towarzystwa, ten nigdy napowrót przyjętym być nie może: o tem bardzo dobrze wiedziałem już z instytutu Towarzystwa Jezusowego. Nie przyjechałem też tak daleko po to, żeby się dopiero tu dowiedzieć, że nikt po raz drugi wstępować do Towarzystwa nie może. Ja nie po taką wiadomość, ale już z gotową taką wiadomością i świadomością do generała przyjechałem. Jeżeli generał sądził, że ja przyjechałem do niego po taką wiadomość: to widocznie przyjął on do swej wiadomości to co mu wcale jeszcze nie było dowiedzionem. Inaczej mówiąc, obracał się w błędnem kole, dopuszczając się sofizmatu tak zwanego petitio principii.

Nie teorja żadna ani mrzonka idealna zagnała mnie do Włoch. W tę daleką podróż pchnął mnie jedynie ten wielki po dziś dzień niezbity fakt: że dymisja moja od samego początku była niesłuszną, niegodziwą i nieważną, bo była wydana wbrew wszelkiemu prawu kościelnemu i świeckiemu. Przyjechałem do generała nie żeby mnie przyjął po raz drugi do Towarzystwa, lecz żeby poznał, uznał

i ogłosił nieważność mojej dymisji, a temsamem przywrócił mi dawne moje prawa w Towarzystwie. Żeby mię generał po raz drugi przyjmował do Towarzystwa, tego żądać nie mogłem, gdyż tego zabrania instytut czyli konstytucja Towarzystwa. Mogłem tylko żądać i żądałem też istotnie rekonsyderacji mego kazusu czyli ponownego rozpatrzenia mojej dymisji.

Lecz tego generał nie chciał na razie uczynić. Murem mi stanął. A muru głową przebić nie mogłem. Sprawy atoli popuścić nie chciałem. Postanowiłem więc zaczekać cierpliwie, udając się tymczasem na studja do pobliskiego Rzymu. To sobie zawsze pamiętałem, że o tyle jestem mądrym o ile jestem cierpliwym. Cierpliwość ma dzieło doskonałe. Im kto cierpliwszy, tem mędrszy. Bo nawet genjusz czem jest? Amerykanin mówi, że genius is the capacity to take infinite pains.

Jeszcze tego samego dnia 26 lutego pojechałem do Rzymu.

12. W Rzymie na via Sacra. U czerwonego i białego papieża. — U rektora Kolegjum polskiego.

Odmowa generała taką napełniła mię goryczą i boleścią, że głowa by mi była pękła, gdyby nie ta myśl, że zbliżam się do Rzymu! Do tego Rzymu, o którym tyle słyszałem od czasu jak mnie łaciny zaczęto uczyć. Do tego Rzymu, stolicy chrześcijaństwa, gdzie papieże mieszkają od dziewiętnastu prawie wieków. Do tego Rzymu, odwiecznego miasta, niegdyś siedziby światowładnych cezarów i stolicy państwa rzymskiego. Ta myśl jak balsam kojąco działała na mój umysł.

Do tego siedmiopagórkowatego grodu wjechałem późno wieczorem 26 lutego 1891 r. i stanąłem w hotelu Hasslera. Nazajutrz, skoro świt, pierwsza rzecz, którą chciałem zobaczyć, to bazylika św. Piotra. Imponujące na mnie wywołała wrażenie. Opisałem to wrażenie i drukiem ogłosiłem już roku 1895 w osobnej książce pod tytułem „Rzym“; nie myślę więc tu powtarzać. A druga rzecz, którą na łeb na szyję leciałem oglądać, to Forum Romanum czyli dawny starożytny rynek rzymski. Jedna z ulic, prowadzących do tego rynku, nazywała się za starożytnych czasów „via sacra“, drogą świętą. Wiedziałem to z ód starożytnego poety rzymskiego Horacjusza, którego poezje w Starejwsi umiałem wszystkie na pamięć. Polubiłem jego ody i jego księgę de arte poetica, z którego właśnie wśród tego smutku mojego przypomniał mi się ten wiersz:

Ibam forte via sacra sicut mens est mos. —

To znaczy: „Szedłem właśnie drogą świętą, jak to bywa mój zwyczaj“. Otóż z „Baedekera podręcznika dla podróżnych“, który sobie kupiłem we Florencji, dowiedziałem się, że ta „via sacra“, ta „droga święta“, jeszcze do dziś dnia istnieje. Czemprędzej więc do bazyliki św. Piotra do tej „drogi świętej“ zawieść się kazałem. I oto ujrzałem tę ulicę. A oto jak wyglądała: bruk z kamieni ogromnych, nieforemnych i nie okrzesanych. Lecz nie tyle mi wygląd tej ulicy satysfakcję sprawił, ile raczej ta myśl, że oto teraz własnemi stopami dotykam się tej ulicy, którą sławny poeta rzymski Horacjusz niegdyś kroczył, i dosłownie powtarzać mogę za nim te słowa:

Ibam forte via sacra sicut meus est mos.

Ale głębszą przyczyną, dla której mi się wówczas ten wiersz Horacjusza przypomniał, była ta:

I ja idę drogą świętą, bo **drogą prawa i prawdy po sprawiedliwość!**

Osobiście wówczas nie znałem nikogo w Rzymie. Ale wiedziałem, że jest w Rzymie Kardynał Ledóchowski, dawny arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, w którego archidiecezji się urodziłem. Do niego więc poszedłem. Było to dnia 1 marca 1891. Kardynał niedomagał; do przedpokoju wyszedł jego sekretarz ksiądz monsignore Meszczyński, który wysłuchał całej mojej sprawy i zakomunikował ją kardynałowi. Sądził kardynał, że sprawa moja jest słuszna; ale że w tem sęk a w sęku dziura, iż generał jezuicki nigdy swego zdania nie zmienia!

Na to odpowiedziałem:

— Chyba Boga na niebie niema! Ja tu w Rzymie zatrzymam się tak długo, aż sprawę u generała wygram. Proszę mi doradzić, gdzie tymczasem mam zamieszkać.

I odesłał mnie kardynał do Kolegjum polskiego na via Marroniti 22.

— Ale — dodał monsignor — z pewnością chciałbyś zobaczyć także papieża białego. Oto bilet wstępu.

Opatrzony tym biletem wstępu do watykanu, miałem zaszczyt dnia 3 marca 1891 po pierwszy raz w życiu widzieć papieża — Leona XIII — siedzącego wysoko na tronie przenośnym (sedia gestatoria), przez sedjarjuszów dźwiganego pośród dwóch olbrzymich wachlarzy z piór strusich. (Zobacz opis w mej książce „Rzym“ r. 1895 drukiem wydany.)

Włosi znają trzech papieży: białego, czerwonego i czarnego. Papieża właściwego nazywają papieżem białym „il papa bianco", ponieważ jest cały biało ubrany. Prefekta propagandy, którym wówczas był kardynał Ledóchowski, Włosi nazywają papieżem czerwonym „il papa rosso", ponieważ kardynalskie jego szaty są czerwone. Wreszcie generała Jezuitów Włosi nazywają czarnym papieżem „il papa nero", ponieważ cały jest czarną suknią przyodziany. Otóż byłem już 26 lutego u papieża czarnego; byłem 1-go marca u papieża czerwonego; ale ani jednego ani drugiego nie widziałem przed nimbem, jakim byli otoczeni. Pierwszym, którego na własne oczy widziałem, był papież biały. Dobra wróżba!

W dzień św. Kazimierza 4 marca 1891 r., akurat dwanaście dni po moim wyjeździe z Chyrowa, wstąpiłem do Kolegjum polskiego, do którego kardynał Ledóchowski radził mi się udać. Tu chciałem zamieszkać i stąd razem z innymi polskimi studentami uczęszczać do uniwersytetu gregorjańskiego na filozofję, nie spuszczając z oka sprawy mojej z papieżem czarnym. Na razie tej sprawy jeszcze poruszać nie chciałem, gdyż generał jezuicki był widocznie uprzedzony przeciwko mnie, skoro mnie z tak daleka przybyłego ani widzieć ani słyszeć nie chciał. Umysł uprzedzony to jak mur. Muru głową nie przebijesz. Należało mi czekać, aż ten mur się obali.

W Kolegjum polskiem na samym wstępie poznałem się z rektorem tegoż, księdzem Antonim Lechertem, zmartwychwstańcem. Ten, zbadawszy dotychczasowy przebieg mojego życia, orzekł, że jestem powołany do założenia nowego zakonu. Takiem orzeczeniem niemałego ćwieka wbił mi do głowy. Atoli sam go potem też wybił mi z głowy, gdy mnie porównał do Józefa egipskiego, a jezuitów do braci Józefa. Bo wtedy powiedziałem sobie tak:

— Poco mi myśleć o założeniu nowego zgromadzenia braci. Skoro bowiem ja jestem Józefem egipskim a jezuici są moimi braćmi, choć na razie bardzo niegodziwymi, ale zawsze braćmi: to prędzej czy później jezuici do mnie przyjść muszą. A wtedy po długiem niewidzeniu się z nimi połączę się z nimi pocałunkami pokoju i będę w ich towarzystwie żył i w ich gronie umierał.

I tak myśl zakładania nowego zakonu ostatecznie porzuciłem jako niezgodną z głównym celem mojego do Rzymu przybycia. A głównym celem moim było poruszyć niebo i ziemię, ażeby odzyskać prawa w dawnem Towarzystwie mi przynależne.

Żebym tego celu dopiął, ani kardynał ani rektor Kolegjum polskiego nie wierzyli w to. Rektor ks. Lechert radził mi później, żebym się zapisał do jakiejś diecezji amerykańskiej. Biskupi amerykańscy, mówił mi, potrzebują księży polskich. Mogę ci się wystarać o biskupa w tej chwili. A skoro się zapiszesz, biskup za ciebie będzie płacił; nie potrzebujesz sam z własnej kieszeni tyle pieniędzy wydawać na utrzymanie swoje w Kolegjum.

Ale i o tej propozycji rektora wcale słyszeć nie chciałem. Wolałem płacić sam, byle nie mieć rąk związanych. Z toru zbić się nie dałem. Z raz obranej drogi zboczyć nie myślałem. Cel mój był jasno wytknięty, choć droga do celu była daleka i trudna.

13. Na uniwersytecie gregorjańskim. — Wybuch prochowni.

Rok przedtem, kiedy to bawiłem we Lwowie na kuracji oczu, gdyby mi był ktoś powiedział, że na drugi rok moją ukochaną filozofję będę kontynuował w Rzymie na uniwersytecie gregorjańskim, byłbym mu w oczy się roześmiał i uważał go za niespełna zmysłów. A jednak — the unexpected happened. Mojej filozofji ciąg dalszy nastąpił w Rzymie.

Pamiętam, jak w tej wielkiej sali uniwersyteckiej rozlegał się ów silny, potężny, iście tubalny głos księdza De Maria, profesora psychologji. Głos jego z wysokiej katedry rozbrzmiewał niby trąba z Syonu. Jeszcze dziś brzmi mi w uszach. Wykłady naturalnie odbywały się w języku łacińskim. Bo zresztą jakimże innym zrozumiałym językiem mógł profesor przemawiać do całej tej różnojęzycznej gromady studentów uniwersyteckich? Siedzieli tam w osobnych ławach studenci z Polski; za nimi studenci z Belgji; przed nimi studenci z Irlandji; dalej studenci ze Szkocji i z Anglji; potem studenci z Francji; następnie z Hiszpanji i Portugalji; z Danji, Szwecji, Norwegji i Holandji; tam z Niemiec i Austrji; tu z Rumunji, Bułgarji i Grecji; ówdzie z Azji i Afryki. nareszcie z Australji i z Północnej, Środkowej i Południowej Ameryki, nie wspominając o studentach z Włoch.

A te różnobarwne stroje studentów! Każda narodowość miała swoją osobną barwę. Wszyscy nosiliśmy sutannę z fałdzistą togą, na wzór starożytnych Rzymian, narzuconą na lewe ramię i z biretem albo też kapeluszem rzymskim o szerokim skrzydle i płaskiem denku na głowie. Ale te sutanny, pasy, togi, birety, kapelusze i ich frendzle, kitki i kutasy były jak najrozmaitszych barw. Były w nich wszystkie barwy i odcienia barw tęczowych. My

studenci polscy odznaczali się pasem zielonym. — Niemcy mieli i sutanny i togi i kapelusze czerwone jakby w krwi umaczane. Wyglądali jak kardynałowie i nazywani byli przez lud rzymski małymi kardynałami.

A nietylko różnobarwność szat, ale i różnobarwność skóry białej, czarnej, żółtej i czerwonej odznaczała tę uniwersytecką rzeszę studentów. Językiem wykładowym, jak już powiedziałem, był jeden język łaciński. Ale i ten jeden język łaciński nie był wcale monotonną jednością. Owszem, i on był jednością w rozmaitości. Był jednością języka w rozmaitości brzmienia i wymowy. Nosowe brzmienia u Francuzów; gardłowe połykanie sylab u Anglików; pieszczenie spółgłosek przez Włochów; te i u każdego narodu inne wymowy nadawały temu jednemu językowi łacińskiemu najrozmaitsze postaci i najcudaczniejsze dźwięki! Przy dysputach nam Polakom trudno było rozumieć łacinę Anglika; Anglik znowu naszej nie rozumiał; a Francuz ani naszej ani Anglika.

Etykę wykładał nam ksiądz Ferretti, który też te swoje wykłady jeszcze tego samego roku wydał drukiem w trzech tomach. Z zamiłowaniem słuchałem jego gruntownych wykładów zwłaszcza o władzy i piastunach władzy, o rządach i formach rządowych.

Owocem tych studjów były później moje artykuły pod tytułem: „Które rządy najlepsze?“, ogłoszone w chicagoskiej „Gazecie Katolickiej“; tudzież moja broszura „Anarchizm i jego stosunek do socjalizmu“, i ostatnie moje dziełko pod tytułem „Dar rządzenia ludźmi“. Profesorami na uniwersytecie gregorjańskim byli jezuici. Ksiądz Wernz, późniejszy generał jezuicki, wykładał prawo kościelne.

Czas poobiednich wykładów nie był stały. Podobnie i czas dzwonienia na Anioł Pański wieczorem nie był stały. Stosował się do zachodu słońca. Im później słońce zachodziło, tem później wykłady poobiednie się odbywały. Po obiedzie mieliśmy zawsze osobną godzinę do spania, którą Włosi nazywali „ora santa“, czyli godziną świętą, dlatego że człowiek kiedy śpi, wtedy nie grzeszy. Im później słońce zachodziło, tem później kolację spożywaliśmy. Ale rano zawsze regularnie o piątej wstawaliśmy.

Czas wolny od studjów poświęcałem na przechadzki zawsze podług planu już naprzód ułożonego. A do układania takiego planu pomagał mi niezmiernie Baedekera podręcznik dla podróżnych, opatrzony w liczne, dokładne i drobiazgowe mapy wiecznego mia-

sta Rzymu. Niema chyba w Rzymie ani jednego miejsca świętego, ani jednej historycznej pamiątki starożytnej, którejbym z Baedekerem w ręku nie odwiedził. Człek by całe księgi o tem, co widział, mógł pisać, a jeszczeby wszystkiego nie spisał. Bo cały Rzym, to miasto wieczne, wraz z okolicą, to jakby jedna wielka księga pamiątkowa, w której wyczytać można całą historję pogańską i chrześcijańską.

A nie brak tam i polskich pamiątek. Właśnie w dzień św. Wojciecha 23 kwietnia 1891, wybrałem się z kapelanem Sióstr Nazaretanek z via Machiavelli do kościoła św. Bartłomieja Apostoła, stojącego na wysepce, in isola, jaką rzeka Tyber wytworzyła opodal Watykanu. Tam w tym kościele, na tej wysepce, złożona jest relikwja, dla uczczenia patrona Polski św. Wojciecha, ksiądz kapelan odprawił Mszę św., a ja mu do niej służyłem, przystępując zarazem do komunji św.

Była to godzina siódma rano. Msza się już miała ku końcowi, gdy wtem nagle straszliwy przeciągły huk, jakby z pod ziemi wychodzący, wstrząsnął w posadach cały nasz kościół tak, że tynk oderwany od sklepienia niby deszcz padał nam na głowy. Rozległ się krzyk niewiast w kościele, powstał popłoch. Mój ksiądz kapelan, nie dokończywszy ostatniej oracji, zabrał co tchu kielich z ołtarza i uciekał, a ja jako ministrant przed nim. Wszyscy sądzili, że to trzęsienie ziemi; że lada chwila uderzy drugie wstrząśnienie i kościół się zawali. A nietylko my, ale i wszyscy inni w całym Rzymie tak myśleli. Gdyśmy uciekli na plac przed kościół, ujrzeliśmy wszędzie ludzi z domów wybiegających na środek ulicy. Niektórzy widocznie spali jeszcze, bo wybiegli półnadzy na środek ulicy, nie śmiąc zbliżać się do domu, gdyż bali się powtórnego trzęsienia ziemi. I mój ksiądz z kielichem i ministrantem stał w ornacie na środku placu, bo bał się wejść do kościoła.

Tymczasem zdala na widnokręgu ukazała się jakby czarna chmura, kłębiąca się i wzbijająca szybko ku niebu.

— Nowy wulkan wybuchł blisko Rzymu — krzyczeli niektórzy.

Atoli był to tylko wybuch prochowni jakie półtora mili poza bramą Portesse. Była to wszakże eksplozja tak straszna, że całem miastem wiecznem wstrząsnęła; w całym Rzymie i okolicy nietylko szyby wytłukła, ale i masę domów zawaliła. W bazylice nawet św. Pawła za murami miasta wybiła wszystkie kolorowe

okna, wykonane artystycznie w Monachjum. Chmura dymu i prochu spalonego rozeszła się później ponad całem miastem, przez cały ten dzień posypując drobniutkim popiołem nasze głowy.

14. Znamienne listy od dawnych kolegów jezuickich.

Modliłem się także często u grobu naszego rodaka św. Stanisława Kostki. Pokój, w którym ten Święty umarł, przemieniono na kaplicę. Modliłem się w kościele, wznoszącym się na tem samem miejscu, gdzie śmierć męczeńską poniosła św. Cecylja. I tam, gdzie trzy źródła cudowne wytrysły przy ścięciu głowy świętego Pawła, apostoła narodów. I tam, w głęboko w skale wykutem więzieniu mamertyńskiem, gdzie św. Ignacy Lojola umarł. I tam, gdzie św. Jana Ewangelistę w oleju wrzącym smażono. I tam, gdzie młodziutka św. Anieszka za wiarę mężnie swą głowę pod topór kładła. I tam, gdzie św. Wawrzyńca na rozpalonej kracie powoli pieczono. I tam za murami miasta w owych głębokich o całe mile długich korytarzach podziemnych, katakumbami zwanych, w których chrześcijanie pierwszych wieków na nabożeństwa się gromadzali. I tam na tej arenie olbrzyiemgo amfiteatru, koloseum zwanego, gdzie pierwszych chrześcijan lwom i tygrysom na pożarcie rzucano. I tam nad Tybrem, gdzie cesarz Konstantyn Wielki ujrzał na niebie jaśniejący krzyż z napisem: w tym znaku zwyciężysz! I na tysiącznych innych miejscach świętych i pamiątkowych, jakich w Rzymie jest wszędzie pełno.

A gdy byłem pełen nowych wrażeń, zawsze szalenie lubiałem pisać listy, ażeby z tymi, których obecnością już więcej się cieszyć nie mogłem, przynajmniej na odległość listownie się rozmówić i podzielić świeżemi wiadomościami. Więc jak niegdyś wrażenia z podróży do Galicji opisywałem w listach do dawnych kolegów gimnazjalnych: tak teraz z Rzymu wysyłałem listy do dawnych moich kolegów jezuickich. I na te listy eksa, wyrzutka i wyklętego z Towarzystwa, nadchodziły przecie od Jezuitów nadspodziewanie liczne odpowiedzi, pełne najszlachetniejszych uczuć, to pociechy, to zachęty, to nadziei mego powrotu, to podziwu nawet dla mojej wytrwałości w powołaniu. Po dymisji wyjazd do generała był bądźcobądź czemś niezwykłem i fenomenalnem. Prawie co tydzień ktoś dostawał dymisję; ale „schował ogon między nogi“ i cicho poszedł, skąd przyszedł. A tu ten śmiałek u samegoż generała chce postawić na swojem! Mogło to niejednemu zakrawać na niepotrzebną a ryzykowną awanturniczość. Ale ktoby wówczas siedział w mo-

jej duszy, tenby nie śmiał posądzać mię o wyprawianie awantury. Tenby jasno widział, że nie z pyszałkowatej awanturniczości, ale jedynie z głębokiego poczucia **krzywdy** przedsięwziąłem tę ryzykowną wyprawę do generała. Chciałem postawić na swojem. Tak, to prawda. Chciałem i jeszcze dziś chcę postawić na swojem. Ale nie z pychy i zarozumiałości, bo toby mi szczęścia nie przysporzyło. Chciałem i chcę postawić na swojem jedynie dlatego, że całą duszą swoją łaknąłem i łaknę, pragnąłem i pragnę **sprawiedliwości.**

Gdybym nie był mocno przekonany, że moja dymisja była niesprawiedliwą, to zaiste cała moja wyprawa do generała byłaby poprostu awanturniczą. I byłbym był ani kroku nie postawił w tym kierunku, ażeby po raz drugi do Towarzystwa wstąpić. Bo z samego instytutu Towarzystwa wiedziałem to już bardzo dobrze, zanim jeszcze sam generał na to mi uwagę zwrócił, że raz słusznie wydalonego nigdy się nie przyjmuje napowrót i że nikt po raz drugi nie może wstępować do Towarzystwa.

To też koledzy, którzy mię bardzo dobrze znali, nie uważali tej mojej wyprawy do generała za awanturniczą i dlatego uwielbienia i podziwu godną. Przytoczę tylko kilka ustępów z ich listów, do mnie pisanych. Nie będę przytaczał tych, którzy później sami wystąpili z Towarzystwa. Przytoczę tylko tych, którzy do dziś dnia są w Towarzystwie, z których jeden nawet został prowincjałem.

Dnia 30 maja 1891 r. pisał pewien teolog z Krakowa do mnie w Rzymie, jak następuje:

„Najdroższy w Chrystusie Bracie! P. Chti. Chciałem zacząć: „Najdroższy Wacusiu“ po dawnemu; ale nie odważyłem się, a czy wiesz dlaczego? Bo nie godzi się karłowi mówić zdrobniale do olbrzyma.

„Mój najdroższy, najmilszy, najukochańszy Bracie! gdybyś tu był, tobym Cię tak chyba uścisnął, żebym Cię udusił, a to z miłości. Tyś mi teraz wyrósł na ideał wytrwałości: gdy robię medytację i spoglądam na ukrzyżowanego P. Jezusa, przychodzi mi na myśl: i ludzie niektórzy byli także podobnie wytrwałymi w dobrem, a z tych mój jeden dawny miły, kochany brat. Boże, czemużem Go tak mało kochał, szanował? czemuż Jego oddzieliłeś od tego grona świętych zakonników, a mnie, com wobec niego prawdziwem pachołęciem, czemuż mnie zatrzymałeś?

„I przychodzi mi odpowiedź: bo choćby to było sprawiedliwem, ale już byłoby po mnie, nie byłoby chwały miłosierdzia Bożego z tego, ale nie tak się rzecz ma z prośbą mego drogiego Wacława — on teraz rośnie, coraz jaśniejszym blaskiem moralnym bije i oświeca i nas maleńkich, jak mamy miłować powołanie, jak mamy drżeć o nie i uważać, by nas za niegodnych nie uznano.

„On sam nic nie traci, bo się czyści coraz bardziej, a potem znów się zjawi pośród nas, byśmy Go mieli blisko siebie, ten drogi wzór, byśmy Go miłowali bardziej za to, by Jemu było dobrze, a Tobie, Boże, dzięka i chwała.

„Nie dziw się, mój najdroższy Wacławie, że tak piszę, bo Tyś ogromnie wyrósł, tak że nie pamiętam, czym czyje czyny z pośród mi znajomych tak uwielbiał, jak Twoje... Wierzaj, że ci, co wiedzą nieco więcej o Tobie, wspominają z uwielbieniem i miłością ku Tobie, a i ja także...“

Do tego listu mój dawny znajomy ze Starejwsi, W. P., późniejszy prowincjał, takie dopisał słowa:

„Przed paru dniami wysłałem krótki list do Ciebie, nie wiem, czy go otrzymałeś — za parę dni napiszę obszerniej, tymczasem Bożej opiece Cię polecam.“

Ten „krótki“ list od W. P. otrzymałem. A brzmiał on tak:

„Mój drogi Bracie! Bądź przekonany o najlepszych naszych uczuciach, równie jak o naszej na razie przynajmniej bezsilności. Więcej nie piszę dzisiaj — nie mogę pisać — bom strasznie zajęty, nie mam kiedy nawet wolniej odetchnąć. Dlatego tylko wysyłam tę bezecną bazgraninę, żeby Cię przekonać, żem list otrzymał i że pamiętam o Tobie. Pozwól mi na parę dni przerwy — a wyślę do ciebie obszerniejszy i trochę cieplejszy list.“

Ale tego „cieplejszego listu“ nigdy nie otrzymałem, choć wiem napewne z innych listów, że W. P. do mnie go wysłał. Wszelkie listy u jezuitów muszą przejść przez ręce przełożonych. Jeśli jaki list przełożonemu się nie spodoba, to go nie wyśle, tylko wrzuci do kosza, spali lub podrze.

Raz otrzymałem list następujący: „Ty drogi Wacławie, pisujesz do nas często, a my zaledwie odpowiemy Ci coś od czasu do czasu. To tedy Cię zniechęca, nie wiesz, jak sobie to wytłumaczyć i masz jednem słowem urazę do nas. Ależ, mój drogi Bracie, zlituj się, a nie przypisuj nam, że to pochodzi z braku miłości ku Tobie.

ani też temu, żebyśmy stracili nadzieję, że Cię kiedyś zobaczymy tu pośród nas, albo żebyśmy Cię nie chcieli tu przyciągnąć przy pomocy Bożej. A więc dlaczego? spytasz.

„W. P. się wytłumaczył, prócz tego zniechęcił się nie mało tem na razie, że jego list jeden do Ciebie zaginął i to najważniejszy.

„Ot i dziś nie byłbym jeszcze pisał do Ciebie, ale poszliśmy z rana na przechadzkę z B. i zaczęliśmy o Tobie gwarzyć; mnie wtedy tak się żal zrobiło Ciebie, bo Cię mój drogi znam, żem zakończył epifonematem: dziś jeszcze napiszę list do niego!

„Co się tyczy twej sprawy, to napiszę, co wiem. List ten coś do W. P. pisał, drugi i długi, W. P. posłał do W. O. Prowincjała. Poczciwy tatuś wzruszył się nim i zdaje mi się, zaraz mu na to odpisał, a z pewnością później rozmawiał o tem i miał to powiedzieć:

„Jemu wprawdzie przyjąć Cię trudno, sam zrozumiesz, dlaczego; ale wnet mogą zmienić prowincjała i od niego (tego) będzie zależało przyjęcie. Kończ studja w Rzymie i jak przynajmniej będziesz księdzem, podaj się. Następnie radził Ci W. P., nie wiem, czy z woli O. Prowincjała, byś skończył jak najwięcej studjów w Rzymie: przyczyna Ci wiadoma, gdyż wiesz, jak Ci się mogą w Towarzystwie przysłużyć. Myślisz, mój drogi, bardzo powoli, ale dobrze, logicznie: mógłbyś tedy zrobić dobrze i matematykę i fizykę, ale w dłuższym czasie, niż inni zwykle potrzebują: a że do tego trzebaby Ci czasu wiele, więc Ci i nie warto. Ale do filozofji i teologji zabierz się dobrze, a zrobisz je lepiej, jak ci co prędko myślą, ale płytko; ale pamiętaj, musisz czasem i pracę nadłożyć.

„Gdym powiedział I. Titzowi o Tobie, zaraz zaczął dopytywać o Ciebie; a skoro wspomniałem mu, że Cię czasem opanowuje zwątpienie, czy Cię przyjmą, zaraz zawołał: ależ przyjmą Go, przyjmą, niechaj tylko nadal tak postępuje i stara się. Twoim przyjacielem jest także, że tak powiem i ks. Długołęcki, poznańczyk.“

Kiedyindziej z Krakowa 11 sierpnia 1891 inny teolog tak mi pisał: „Sposób obecny postępowania Twojego mi się bardzo podoba. Podziwiam w nim rządy i kierownictwo Opatrzności Bożej. Nie wątpij, że to nieszczęście, które Bóg raczył na Cię dopuścić, wyjdzie Ci na dobre, a może nawet na lepsze. Nie mogę przypuścić, aby Bóg, dając Ci to nieoderwalne przywiązanie do dawnego powołania mimo dymisji i tę żądzę wszelkimi możebnymi środkami odzyskania go napowrót, nie miał ci dać dojść wreszcie do celu

twych pragnień. Jest to osobna łaska Boska, wierzaj mi, to pragnienie, tęsknota za dawnem powołaniem. Staraj się nie utracić jej. Jest to znak, że Bóg pragnie Cię mieć w Towarzystwie Jezusowem i da ci się cieszyć kiedyś tem szczęściem, jakie przedtem miałeś, jeśli nie większem.

„Zastanawiając się nad Twoim losem i nad tem rwaniem się napowrót do Towarzystwa Jezusowego, upatruję dziwną jakąś tajemnicę Bożą, dla mnie ukrytą, ale od wieków już przewidzianą przez Boga i na Cię w czasie przypadłą. Tajemnica ta teraz dla mnie i dla Ciebie jest zakrytą, ale przyjdzie chwila, w której się okaże...

„To nieszczęście wyjdzie Ci na dobre, a powrót Twój do Tow. Jez. stanie się świetniejszym niż pierwsze przyjęcie i chwała Boża większym i dobitniejszym zajaśnieje blaskiem. Nie daj się sprowadzić z dobrej drogi, bo by Ci to mogło pogorszyć Twą sprawę i Twe święte zamiary".

A w sierpniu 1891, podczas wakacyj, kiedym z alumnami Kolegjum polskiego bawił w naszej willi, czyli mieszkaniu letniem, w Albano Laziale, opodal Rzymu, pewien magister z Chyrowa tak mi pisał: „Nigdym się nie spodziewał listu z pod włoskiego nieba, które tak pięknie waszmość opisał, śliczna musi być ta wasza willa, te wasze przejażdżki gondolą po modrych falach morza, te wasze okolice, któreś prawdziwie po mistrzowsku opisał. Nadewszystko jednakże podobał mi się, owszem zdziwił mię koniec listu kochanego księdza: ta silna niezachwiana wiara, intrepida fides, która się żadnemi przeszkodami nie da odwieść od raz powziętego celu. Rzeczywiście taka wiara góry przenosi. Daj Boże, żeby się jak najprędzej stało, czego tak gorąco pragniesz. Wszyscy Magistrowie tutejsi serdecznie pozdrawiają Ciebie".

Z Tarnopola 1 kwietnia 1891 pisał filozof. „Jak grom z pogodnego nieba spadła na mnie wiadomość o opuszczeniu Towarzystwa przez Ciebie i wierz mi, smutek mój z utraty drogiego mi konfratra był niezmierny. O! gdybym był wiedział, że na coś podobnego się zanosi, tobym niebo i ziemię poruszył, żebyś przecie skarbu powołania nie utracił; ale dowiedziałem się o wszystkiem, gdyś już był gdzieś w drodze do Rzymu. Przestałeś do mnie pisać, owszem nawet adresu mi jakby umyślnie nie podałeś i gdybym się o niego nie wypytał u O. Socjusza, podobno darmo czekałbym nowej od Ciebie wiadomości. A może przez Twoje rozmaite zajścia

straciłeś poniekąd wiarę do ludzi. Ale na wiadomość o Twojem nieszczęściu zapanował między dawnymi Twoimi kolegami szczery smutek; a teraz jeśli Cię wspomną to z pewnością dobrze o Tobie mówią i zawsze Cię żałują. Niedawno temu otrzymałem list od D. z Krakowa. Między innymi wyrzuca mi, żem się za Ciebie nie modlił, a przynajmniej nie tęgo, bo inaczej do tej dymisji Twojej by nie przyszło".

Pomijając liczne inne listy, przytoczę tylko jeszcze mojego profesora filozofji ks. Sozańskiego jędrne życzenia, jakie mi przesłał zaraz krótko po mojem do Rzymu przybyciu dnia 15 marca 1891: „Czy Opatrzność Boska Ciebie do Towarzystwa naszego sprowadzi, czy też temu Twojemu świętemu pragnieniu jakaś przeszkoda zajdzie i Opatrzność Boska Ciebie inną drogą poprowadzi do przeznaczonego celu: — ja Tobie ze serca składam najlepsze życzenia".

15. Książę-biskup krakowski Dunajewski przyjmuje z rąk Leona XIII kapelusz kardynalski.

Owego czasu przyjechał był książę-biskup krakowski Dunajewski po kapelusz kardynalski do Rzymu. Jego kapelanem i kandatarjuszem (tak się nazywa ten, który nosi ogon sutanny kardynalskiej) był młody wówczas ksiądz Antoni Nowak, późniejszy biskup. Między innymi księżmi towarzyszył kardynałowi także jeden stary a poczciwy Polus, a nazywał się ksiądz Polowiec, proboszcz z Krzeszowic, Nowej Góry czy z Czerny, już nie pamiętam skąd, ale wiem, że z pod Krakowa. Pokazywałem mu osobliwości Rzymu. Ale on sam był największą osobliwością dla Rzymu i jego mieszkańców, zwłaszcza chłopców rzymskich. Ci ostatni co chwila przystawali i gapili się na księdza Polowca ogromne kanony, wołając jeden na drugiego: uciekaj bo cię zastrzeli! Takie buty z wysokimi ponad kolana cholewami, jakie ks. Polowiec nosił, były niezwykłą osobliwością dla Rzymian. Ks. Polowiec był dystraktem. Ciałem chodził po ulicach Rzymu a duszą był pod Krakowem. Stanęliśmy przed bazyliką św. Piotra, największym kościołem na świecie. Ks. Polowiec rozdziawił usta i patrzał długo zamyślony. Sądziłem, że on się tak zachwyca pięknością i wielkością tej bazyliki. A tu nagle z ust jego wychodzą takie słowa zachwytu:

— Ciekawy jestem czy też tam mój kościelny dziś na Anioł Pański dzwonił.

Pokazywałem mu olbrzymie Koloseum, największą ruinę w Rzymie; a on mi tu przypominał swoją oborę i rzekł:

— Czy też aby moja Magda krowy mi wydoiła.

Dnia 2 czerwca 1891 w ambasadzie austrjackiej, w pałacu weneckim, pomiędzy kardynałami, biskupami, monsignorami, prałatami, generałami zakonnymi, ministrami rządowymi, ambasadorami francuskimi, hiszpańskimi, amerykańskimi i t. d. miałem i ja młokos kleryczek ten wielki zaszczyt złożyć czołobitność Jego Eminencji Księciu Kardynałowi Dunajewskiemu. A w dwa dni potem, 4 czerwca 1891, we Watykanie, w sali książęcej, miałem to szczęście być obecnym właśnie, kiedy papież Leon XIII wkładał kapelusz kardynalski J. E. X. Dunajewskiemu. Byłem wtedy w świcie czyli bliskiem otoczeniu kardynała i stałem tuż blisko tronu papieskiego i mogłem się dobrze przypatrzeć Leonowi XIII. Miał postać smukłą, czoło wysokie, nos orli; a lubo twarz jego była szczupła, chuda i bruzdami zmarszczek poorana, to przecie oczy jego błyszczały jak dwoje gwiazd promienistych, pełne ognia, siły, energji i mądrości. Głos, mimo podeszłego wieku, miał silny i potężny, męsko gruby, grobowy.

Po odebraniu od papieża kardynalskich insygnji, kardynał Dunajewski zaczął lekkim uściskiem witać swoich kolegów w godności i urzędzie. Ściskał więc kolejno jednego kardynała po drugim, pamiętam między innymi karynałów Mazelli, Zigliara, Vannutelli, aż nareszcie stanął przed swoim rodakiem kardynałem Ledóchowskim. Pocieszającym widokiem było na konsystorzu publicznym to spotkanie się oko w oko obu tych kardynałów Polaków. Przemówili coś do siebie p o p o l s k u — aż serce podskoczyło z radości nam Polakom, słysząc w gronie kardynałów dźwięk mowy ojczystej. Uśmiech triumfu i radości rozpromienił ich twarze, rzucili się wzajemnie w objęcia, ściskali się długo, a silnie, a serdecznie. Rozrzewniający był to widok.

Pozatem regularnie uczęszczałem na uniwersytet gregorjański, ucząc się pilnie zwłaszcza psychologji, o duszy, o władzy i piastunach władzy. Czas szkolny trwał tu prawie do połowy lipca, potem nastąpiły egzamina. Wakacje zaczynały się dopiero 31 lipca w dzień św. Ignacego Lojoli i trwały do połowy października.

16. Poczucie krzywdy staje się coraz głębszem.

Od czasu, jak 26 lutego 1891 generał odmówił mi posłuchania aż do końca roku szkolnego nie myślałem mojej sprawy poruszać

w jezuickich kołach rządowych. Myślałem sobie: generał nie chciał mnie ani widzieć ani słyszeć, więc też listu mego nie przyjmie ani nie przeczyta. Na upór niema lekarstwa. Ówczesny piastun władzy naczelnej w Towarzystwie, ów Szwajcar, ksiądz Anderledy, nie okazał się dla mnie ojcem; ale ani nawet sędzią sprawiedliwym się nie okazał.

Był on w oczach moich złodziejem i rabusiem, który gwałtem zdarł ze mnie sukienkę duchowną i przemocą swej władzy pozbawił mię tego skarbu, którego mi nie dał, to jest tego stanu życia, do jakiego mnie Bóg powołał. Nie miałem więc zaufania do generała.

A prowincjał? O nim przecie mój kolega pisał: „jemu przyjąć Ciebie trudno, sam zrozumiesz, dlaczego, ale wnet mogą zmienić prowincjała i od tego będzie zależało twoje przyjęcie".

Czekaj tatka latka aż ci rosa oczy wyźre. Zrozumiałem, dlaczego prowincjałowi tak trudno mnie przyjąć. Imaginacyjna kompromitacja władzy czy osoby była i jest do dziś dnia jedyną przyczyną, dla której tak trudno mnie przyjąć do dawnego stanu życia, z jakiego mnie przemocą „niebacznie" wytrącono.

A moi koledzy? Oni mi pisali: „Bądź przekonany o najlepszych naszych uczuciach, równie jak o naszej na razie przynajmniej bezsilności". A więc oni dla mnie są dobrze usposobieni, są bez uprzedzenia, ale — bezsilni i bezwładni.

Forma rządu w Towarzystwie nie jest demokratyczna ale monarchiczna. I niema nic złego w jedynowładztwie jako takiem. Całe zło wówczas tkwiło w samowładztwie czyli w autokratycznem pojmowaniu władzy.

Cała władza skupiała się w ręku prowincjała i generała, względnie generała samego. Tych dwóch zaś fałszywym donosem uprzedzono przeciwko mnie, to jest, wpojono w nich uprzedzenie czyli mylne zdanie o mnie.

Czułem się często upadającym na siłach, jakby tonącym. Ale właśnie jak tonący byle jakiej deski się chwyta, tak i w tych miesiącach od lutego do lipca chwytałem się moich kolegów choć wiedziałem, że oni są bezwładni. Oni bądźcobądź pokrzepili moje serce i nie dali mi upaść na duchu. Na przykład przytoczę tu jeszcze ten ustęp z jednego listu z Chyrowa:

„Przyrównywałeś się do tonącego, przechodziłeś za życia przez czyściec: ja widziałem zaś zawsze w Tobie człowieka wal-

czącego mężnie, opierającego się burzy, garnącego się całą siłą ducha tam, skąd niebacznie wyrzucony zostałeś".

Tak bardzo głębokie poczucie krzywdy pogłębiało się z dniem każdym coraz bardziej w zbolałej duszy mojej. Dlaczego? Bo coraz bardziej poznawałem, jaki to wielki skarb mi zabrano: Czem bowiem dla zbiorowego człowieka czyli narodu jest stan polityczny, tem dla pojedyńczego człowieka jest ten jego stan życia, do którego od Boga ma powołanie. Pozbawić człowieka tego stanu jest taką samą zbrodnią, jak pozbawić naród jego bytu politycznego. Są wprawdzie narody, jak Zulusy i Kafrowie, którzy nic albo mało co sobie robią z własnego bytu politycznego. I podobnie są pojedyńczy ludzie, którzy nic albo nie wiele sobie robią z własnego powołania swego. Tacy też albo mało albo wcale nie czują się pokrzywdzeni, gdy stracą swoje powołanie. Dostawszy dymisję, schowają ogon między nogi i idą sobie w świat.

Lecz całkiem inaczej się rzecz ma z tymi pojedyńczymi czy zbiorowymi ludźmi, którzy swój byt polityczny a względnie stan życia i łaskę powołania do niego cenią sobie bardzo wysoko, ba, cenią sobie wyżej niż wszystkie inne skarby na ziemi. Tacy, gdy im kto wydrze ten skarb powołania, mają poczucie krzywdy tem głębsze, im wyżej sobie cenili ten stan życia, do którego byli powołani.

Ci, co wytrącili mię z Towarzystwa, to tak jakby wytrącili kość ze stawu. Wywichnęli mi całe życie. Odbierając mi przynależność do Towarzystwa, z którem spojony byłem ściślej niż kość ze stawem swoim, wyrządzili mi bolesną krzywdę, której naprawić nie można inaczej jak tylko wstawieniem mnie w stan życia dawnego w Towarzystwie. Odbierając mi przynależność do Towarzystwa, zabrali mi skarb tak drogi jak życie samo.

Ale jednej rzeczy nikt mi wykraść nie mógł i nie może po dziś dzień. Nie można mi wykraść ze serca tego przywiązania do Towarzystwa do jego ducha ustaw. Bojąc się, by mi tego skarbu ze serca ktoś nie wykradł, kryłem się z nim zawsze i wszędzie: jak ten, kto ma sakiewkę pełną złota, chowa ją głęboko w kieszeni. Nikt ze studentów Kolegjum polskiego nie wiedział o moich myślach i zamiarach. Nawet kapelan Sióstr Nazaretanek, ksiądz Antoni Rudzki, obecnie proboszcz w diecezji sandomierskiej, z którym mnie serdeczna łączyła przyjaźń, nie wiedział o innym celu pobytu mego w Rzymie jak tylko, że przyjechałem tu na studja. Oprócz kardynała i jego sekretarza, w Rzymie wiedział o mojej sprawie

tylko rektor; a ten dlatego ciągle mi z głowy wybijał wszelką myśl o Towarzystwie, do czego innego mię namawiał i kazał mi zapomnieć o Towarzystwie. Z obawy, by inni mi tak samo nie doradzali, nie zdradzałem mojego zamiaru nikomu.

Nawet rodzina moja w Poznańskiem o niczem nic nie wiedziała. Dopiero w pół roku po mojej dymisji ksiądz Szymon dowiedział się przypadkowo i tak mi pisał z Barcina 17 sierpnia 1991:

„Wróciłem z wód; w powrocie wstąpiłem w Krakowie do OO. Jezuitów i tam się dowiedziałem, że do nich nie należysz! Bądź tak dobry detalicznie mnie w tej sprawie objaśnić i to jak najprędzej. Rodzina o tem nie wie. Takie rzeczy powinieneś był mnie oznajmić; w każdym przecież razie i radą co do dalszego mógłbym służyć. Dlatego wstrzymaj się w dalszych decyzjach aż ja sprawę rozwiążę. Kończ tylko studja teologiczne".

Otóż to ja wiedziałem z góry, że ksiądz Szymon byłby mi tylko pokrzyżował moje plany. Więc go nie uwiadomiłem. O radę jego pytać się nie widziałem potrzeby. Bo sam bardzo dobrze wiedziałem o przedsięwzięciu mojem i miałem zawsze cel jasno wytknięty. A tylko się obawiałem tego, żeby mnie ktoś radą swoją z toru nie zbił. Jednej woli jednemu trzeba przedsięwzięciu.

17. Sążnisty list do generała. — Szalona żegluga na morzu tyrreńskiem. — Willa w Albano. — Port w Antium. — Pierwsza kąpiel morska.

Nareszcie dnia 10 lipca 1891 siadłem i napisałem na dwóch arkuszach rzymskiego formatu sążnisty list do generała, opisując mu całe moje zajście od początku do końca. Przyjmie, to przyjmie; a nie, to nie. Spełniłem przynajmniej swój obowiązek. Nie wierzyłem jednak, żeby zaraz ten pierwszy list przełamał upór generała. Byłem pewien, że za miesiąc będę musiał drugi raz szturm przypuścić, żeby przebić mur uprzedzeń, żeby zbić mylne zdanie bez należytego zastanowienia powzięte o mnie i o mojej sprawie.

O wysłaniu tego listu nie wiedział ani rektor Kolegjum polskiego.

Tymczasem nadeszły wakacje, na które z duszącego powietrza Rzymu wyjechałem koleją w górzyste okolice do Albano Laziale, starożytnego Alba Longa, znanego jeszcze z przed czasów Romulusa i Remusa. Tam Kolegjum polskie miało swoją willę czyli swoje letnie mieszkanie wakacyjne. Willa nasza leżała na

stoku góry tak wysoko ponad poziom widnego z daleka morza, że gdy dzień był pochmurny, obłoki ocierały się o dach naszego domu letniego. Powietrze więc w tych obłocznych sferach było czyste i orzeźwiające. Nie było duszne ani skwarne jak w Rzymie, położonem nisko na równinie „kampanią“ czyli polem zwanej. W południe regularnie zawiał od morza tyrreńskiego chłodny i przyjemny zefir; tak się nazywał łagodny wietrzyk z zachodu wiejący.

Rozległy a przecudny był widok z willi naszej. Z jednej strony u stóp naszych na opadającym stoku góry rozciągały się winnice i ogrody oliwne a wśród nich miasteczka: tu Albano, tam Ariccia, ówdzie Genrano, sławne z wybornego wina czerwonego. Dalej obszerna kampanja rzymska, to jest pole puste i jak stół równe, za którym w dali szkliła się powierzchnia morza tyrreńskiego. Z drugiej strony wzrokiem biegłeś pod wznoszącą się nad obłoki górę. Cała ta góra była gęstym lasem obrosła; tylko jej szczyt niebotyczny bielał nad ciemnym borem nagi jak łysina nad brodatą twarzą. Stąd tę górę Włosi nazywają Monte Cavo czyli Łysą Górą; a starożytni Rzymianie nazywali ją Mons Albanus czyli Białą Górą. Na jej stoku, tuż przy głębokiem jeziorze Albany, wypełniającem wulkaniczny krater już od wieków wygasły, znajdują się jeszcze ruiny owego starożytnego miasta Alba Longa, zbudowanego przez Askaniusza, syna Aeneasza, na trzysta lat przed założeniem Rzymu.

Z Albano co tydzień robiliśmy pod przewodnictwem wicerektora naszego księdza Andrzeja Spetza wycieczki do wybrzeża morza tyrreńskiego, by oczyścić i orzeźwić się kąpielą morską. Jechaliśmy koleją zazwyczaj do Porto d'Anzio, miasta portowego przez starożytnych Rzymian zwanego Antium. Tu dnia 3 sierpnia 1891 w mojem życiu pierwszy raz zażyłem kąpieli morskiej. Woda morska do kąpieli jest znakomita; lecz gdy do ust się dostanie, jest obrzydliwa. A gdy człowiek z wody morskiej wyjdzie i obeschnie, na ciele a na głowie zwłaszcza ma dużo soli.

Po kąpieli w restauracji na palach we wodzie stojącej zjedliśmy smaczny obiad. Przy końcu obiadu tego dnia podałem myśl wicerektorowi ks. Spetzowi, czyby nie było dobrze zrobić wycieczki gondolą na morze. Propozycja moja była niespodzianką dla wszystkich alumnów, gdyż tego dnia wiatr dął silnie i morze było burzliwe. Ale ja właśnie taką przejażdżkę po rozhukanych i spienionych bałwanach najbardziej lubiłem. Odrzekł ks. Spetz:

— Wątpię czyby komu się chciało wyjechać na takie burzliwe morze.

— Ja pojadę z nim — zawołał gromkim głosem wesoły i śmiały Tomasz Stabenau z Ameryki, ówczesny student filozofji a dziś ksiądz doktor i proboszcz w buffaloskiej diecezji, w której się urodził.

— I ja także — rzekł ks. Antoni Rudzki ze Sandomierskiego.

Znalazło się tedy nas trzech, którzy pomimo burzy oświadczyli się z ochotą do wycieczki morskiej. Ale ostrożny ks. Spetz kręcił głową i mówił, że to niebezpiecznie. Na to odpowiedziałem ks. Spetzowi:

— I ja nie chcę niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwo. Ale czy rzeczywiście istnieje niebezpieczeństwo? Na to pytanie nie my możemy odpowiadać. Na to niech odpowie nam ten oto Włoch, który z dużą łodzią żaglową tu przy brzegu stoi.

Poszedł więc ks. Spetz spytać się Włocha. Włoch oczywiście, mając swoje widoki zarobku, z całą stanowczością odrzekł:

— C'e no pericolo. Niemasz żadnego niebezpieczeństwa.

Zatem ks. Spetz pozwolił nam wyjechać. Ugodziliśmy się z Włochem na pięć godzin przejażdżki na pełnem morzu. Włoch rozpiął żagiel, posadził swego osiemletniego chłopaka przy żaglu a sam usiadł przy sterze. Łódź miała jakie dwadzieścia stóp długości i była dosyć szeroka. Weszło do łodzi nas trzech tylko, gdyż więcej ochotników między alumnami się nie znalazło. Wiatr dmuchał silnie w rozpięty żagiel, więc od razu sunęła szybko naprzód.

W porcie Neptun kołysał nas w łodzi jak dobra matka kołysze dziecko w kolebce; lecz poza portem rozkołysał nas jak rozzłoszczona niańka. Neptun rozzłościł się na dobre, że aż pienił się ze złości: wysokim bałwanem jakby pięścią olbrzymią w naszą łódź uderzył.

Gdyśmy z portu wypłynęli na pełne morze, ogromna spieniona fala napadła i oblała nas od stóp do głów.

— Jezus Marja! — krzyknął ks. Rudzki, trzymając się obornącz masztu.

A Włoch siedzący na tylnym końcu łodzi, jedną ręką trzymając silnie ster a drugą obcierając sobie twarz oblaną, mówił głosem uspokajającym:

— Pacato, pacato! C'e no pericole! Spokojnie, spokojnie! Niema żadnego niebezpieczeństwa!

Spienione bałwany stawały się teraz tak wysokie jak góry o śnieżnych szczytach. Łódź nasza raz spadała po boku bałwana na dół jakby w głęboką i ciemną przepaść, aby potem znowu wbić się w górę na grzbiet nadchodzącego bałwana. W najniebezpieczniejszem położeniu znajdowała się łódź właśnie na samym szczycie bałwana: wtedy trzeba było wprawnej ręki sternika i żeglarza, żeby się łódz nie przewróciła. Ale to ciągłe kołysanie i huśtanie się do cna rozebrało ks. Rudzkiego tak, iż zaczął wołać rozpaczliwym głosem:

— Dla Boga! Mdleję! Zawracajcie czemprędzej do brzegu, bo zginę!

I przechyliwszy głowę poza brzeg łodzi, pojechał istotnie do Rygi. Jęczał i lamentował, więc zawróciliśmy i jak ryba Jonasza wyrzuciliśmy go na brzeg. Koledzy z daleka to widząc, pospieszyli mu na pomoc; a Stabenau i ja puściliśmy się znowu na pełne morze. Przecie na pięć godzin wynajęliśmy łódz. W przeciągu jednej godziny, zdaniem sternika, byliśmy już jakie 15 kilometrów (3 mile) od brzegu, tak nas szybko wiatr pędził. Jechaliśmy w kierunku wyspy Korsyki. Chcieliśmy tam zapłynąć, szkoda tylko, że pozwolenia od księdza Spetza nie było. Wśród rozszalałych dzikich bałwanów, huczących w około nas, czuliśmy się w swoim żywiole. Stabenau wyciągnął nawet swoje amerykańskie cukierki z torebki i, zajadając je, częstował i mnie. Dziękowałem mu i rzekłem:

— Podobasz mi się, Amerykaninie, żeś taki śmiały! Czy wszyscy Amerykanie tacy jak ty?

A on na to, pięknem za nadobne się odpłacając, tak mi powiedział:

— A mnie również twoja odwaga się podoba. Tyś jest stworzony dla Ameryki. Ty musisz do Ameryki jechać!

— Nigdy, przenigdy. Ja już przeznaczony dokąd inąd.

I nie chcąc, by mnie się dopytywał, dokąd, skierowałem rozmowę czemprędzej na co innego. Wskazywałem mu na te dzikie bałwany na czubku rozczochrane, spienione, rozprysłe a w szalonym pędzie jeden za drugim goniące! Wyglądały jak stado dzikich rumaków z rozwianą grzywą po stepie pędzących. Po pięciu godzinach tej szalonej jazdy wróciliśmy do brzegu, a po-

tem do willi naszej, gdzie nasze sutanny, togi i kapelusze oczyszczaliśmy ze soli morskiej.

18. General przyjmuje mnie na powrót. — Soliloquia.

W trzy dni potem 6 sierpnia 1891 o godzinie 4-tej po południu na willi w Albano grałem właśnie w bilard z moimi kolegami, kiedy nadszedł rektor ks. Antoni Lechert, wziął mię do drugiego pokoju i rzekł:

— Prokurator generalny Jezuitów dopytywał się w Rzymie o ciebie, czy ty tu u nas jesteś.

Te słowa odrazu zadźwięczały jak słodka muzyka w moich uszach. Rektor nie wiedział, że ja pisałem do generała. Ale ja zrozumiałem zaraz, dlaczego prokurator ów dopytywał się o mnie. Zagadnąłem rektora.

— A czy prokurator chciał mnie widzieć?

— Nie. Tylko chciał się dowiedzieć, czy ty rzeczywiście jeszcze jesteś u nas. Powiedziałem mu, że jesteś teraz z innymi alumnami na wakacjach w Albano Laziale.

Tyle wiadomości przyniósł mi rektor. Ale z tą skąpą wiadomością zabłysła dla mnie jutrzenka rozpraszająca ciemną noc sześciomiesięcznego wygnania mego z Towarzystwa, a zwiastująca dzień nadziei szczęśliwego powrotu do grona dawnych moich konfratrów. A więc mur uprzedzenia upadł już za pierwszym szturmem listownym. Generał widocznie przyjął i przeczytał mój list z dnia 10 lipca b. r. Generał nareszcie wysłuchał i mojej strony, co jako sędzia sprawiedliwy powinien był uczynić już dawno, zanim jeszcze swój wyrok śmierci społecznej na mnie wydał.

W dalszym ciągu wakacyj z naszej willi w Albano Laziale robiliśmy pod przewodnictwem ks. Spetza następujące wycieczki: 13 sierpnia gondolą do Astury na wybrzeżu tyrreńskiem; 24 sierpnia do Castel Gandolfo i San Marino; 25 sierpnia do Frascat, starożytnego Tusculum, gdzie spożyliśmy obiad u Teatynów i zwiedziliśmy ruiny willi Cycerona, sławnego w starożytności mówcy i filozofa, klasztor Kamedułów i Mondragone; 27 sierpnia gondolą do groty Nerona i źródeł siarkowych nad brzegiem morza tyrreńskiego; i 17 września ostatnią z alumnami Kolegjum polskiego wycieczkę na oślątkach do szczytu Łysej Góry zwanej Monte Cavo, skąd w mglistej dali widać było siedmiopagórkowaty Rzym.

Następnego dnia 18 września 1891, o godzinie 9¼ rano we willi w Albano Lazalie wywołał mnie z pokoju rektor ks. Lechert i rzekł:

— Pójdź do kaplicy, pomódl się; a potem oznajmię ci nowinę.

Na te jego słowa w pierwszej chwili byłem jakby piorunem rażony, bo pomyślałem:

— Ta nowina musi być albo bardzo wesołą, albo też bardzo smutną, skoro mi rektor każe się przygotować modlitwą do jej przyjęcia.

Poszliśmy razem z rektorem do kaplicy. Po modlitwie wyszedłszy z kaplicy, rektor przemówił do mnie uroczystym tonem:

— Masz powracać do Towarzystwa Jezusowego! Oto tu masz list od twojego prowincjała ks. Mycielskiego.

Na tę radosną wieść wyśpiewywała dusza moja tak wesołe Alleluja, jakiego jeszcze nigdy na żadną Wielkanoc nie śpiewała.

Potem siadłem w swoim pokoju i przystąpiłem do odczytania doręczonego mi listu, który pisany w Krakowie dnia 14 września 1891, brzmiał jak następuje:

„Miły Księże! P. O. Generał, do którego się udałeś, pozostawił decyzji mojej przyjęcie Cię napowrót do Societatem, t. j. do nowicjatu. Namyślałem się nietylko dla tych rapt gwałtowności jakie miały miejsce w Chyrowie, ale i dlatego, że będąc w Tarnopolu i pisząc tam historję domu z wielką zarozumiałością poważyłeś się krytykować swego przełożonego na piśmie, jakobyś był powołany na jakiego sędziego Swoich starszych. Ale ostatecznie widząc Twe wielkie do Towarzystwa przywiązanie i spodziewając się, że odbycie nowicjatu poprawi co jeszcze niedostatecznego, przyjmuję Cię jako nowicjusza i pozwalam udać się do Starejwsi. Oddając Cię P. Bogu i pozostaję szczerze życzliwym Michał Mycielski, S. J.“

Po przeczytaniu tego listu pierwsza wielka myśl, jaka swoją drogą i powagą przygniotła na razie wszelkie inne mniej ważne i poważne myśli, była ta:

— Przyjmuje mnie napowrót do Towarzystwa. A przecie na piśmie 26 lutego mi był oświadczył, że „raz wydalonego z Towarzystwa, nigdy nie przyjmujemy“. Więc widocznie nie było wydalenia; a jeżeli było, to nie ważne, to żadne. Inaczej generał byłby w krzyczącej sprzeczności sam ze sobą.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, a przyglądając się bliżej temu listowi, takie zacząłem prowadzić soliloquia czyli rozmowy sam ze sobą:

— Przyjmuje mnie napowrót. Ale nie jak ów ewangeliczny ojciec straconego syna przyjmował ucztą i muzyką wprost do pokojów domu swego. Lecz przyjmuje mnie z niepotrzebnymi gorzkimi wyrzutami, całkiem niedorzecznymi, każąc mi stać przed domem na podwórku. Jak ów ewangeliczny bogacz Łazarza zostawiając na podwórzu przyjmuje mnie jako żebraka do — nowicjatu. Przyjmuje mnie jak każdy autokrata czyli samowładca, który zawsze mylnie sądzi, że ubliżyłby sobie i swojej godności, gdyby biednego człowieka po ojcowsku przyjmował. Przyjmuje mnie jak okrutnik, który mogąc kość wywichniętą wstawić odrazu w to samo miejsce, z którego ją niebacznie był wytrącił, chce ją wpierw wypróbować, czy aby pasuje do dawnego swojego stawu, w którym od ośmiu lat tkwiła i z którym się jak najściślej zrosła. Nowym nowicjatem nowych boleści i upokorzeń chce mi przysporzyć, żebym snać nie triumfował, żem na swojem postawił; albo żeby snać inni nie myśleli, że piastun najwyższej władzy dał się przez podłego denuncjanta w błąd wprowadzić. Jeśli już chciał się mścić, to powinien był się mścić na owym denuncjancie, a nie na mnie. Przyjął mnie i tem przyjęciem przywrócił mi niby dawny mój stan życia; ale tak, jak kongres wiedeński roku 1815 przywrócił Polsce jej dawny byt polityczny, połowicznie i nieszczerze. Całkiem na wzór kongresówki daje mi tę nowicjatówkę. Na czem się taka połowiczność skończy? Czy nie na powstaniu listopadowem? Nie daj Boże, by do takiej ostateczności ze mną kiedykolwiek przyjść miało. Ale choćby i przyszło, to i wtedy jeszcze nie przestanę wierzyć w całkowity triumf mojej sprawy, tak jak mocno wierzę w ostateczny triumf Polski całej i niepodległej. — Przyjmuje mnie z gorzkiemi wyrzutami jakichś „rapt gwałtowności“ i „niepowołanej krytyki przełożonego“. Otóż w obydwu tych zarzutach jest tyle prawdy, co w tym pochlebnym tytule „Miły Księże“ na czele tego listu wypisanym. Ani księdzem ani niepowołanym krytykiem nigdy nie byłem. Powołano mnie na historyka, a nie na panegirystę przełożonego. Powołano mnie, choć nikogo o to nie prosiłem, do pisania historji domu. A któż nie wie — powiada starożytny Cycero, a za nim papież Leon XIII, — że pierwszem historji prawem jest, żeby żadnego fałszu pisać nie śmiała, a drugiem, żeby znowu żadnej

prawdy nie poważyła się zataić. Poważyłem się napisać prawdę nawet przełożonemu niemiłą, jedynie dlatego, że jako historyk miałem do tego nietylko zupełne prawo ale i ścisły obowiązek, którego nie wypełniając jako historyk, sprzeniewierzyłbym się powołaniu swemu.

Ale mniejsza o to wszystko. Fakt górujący ponad to wszystko jest ten, że przyjął mnie na powrót, choć do nowicjatu tylko. Na razie lepszy ten rydz niż nic. Widocznie tym niesłychanym w dziejach Towarzystwa „nowym nowicjatem" on chce tylko tę moją rzekomą „gwałtowność charakteru" na nową i ostateczną próbę wystawić. Przyjmę tę próbę. Niech się namacalnie i dokumentnie przekona, że ta moja „rapt gwałtowność" wylęgła się li tylko w chorobliwej wyobraźni podłego donosiciela, którego za to prędzej czy później zasłużona kara Boska nie ominie. Wezmę na barki swoje i ten drugi nowicjat i przy pomocy Bożej udźwigam także ten ciężar nigdy niebywały w Towarzystwie. Prawda, że przez to znowu na nieograniczony czas przerwią mi się moje ulubione studja filzoficzne. Ale jeśli o mądrość chodzi, to tyle nabędę mądrości ile nabędę cierpliwości. Najbieglejszy mistrz tyle nauczyć się zdoła, ile nauczy twarda przeciwności szkoła. Tą najtwardszą przeciwności szkołą, do jakiej żaden nawet jezuita jeszcze nie chodził, będzie właśnie ten drugi mój nowicjat. Pójdę do tej najwyższej szkoły, skoro mię wola najwyższego przełożonego do niej powołuje. I choćbym ziemię gryzł, wytrzymam wszelkie próby i upokorzenia. Pójdę przecie, nie jako nowicjusz, ale jako weteran, który więcej od innych już wytrzymał i jeszcze wytrzymać zdoła. I po prawdzie i sprawiedliwości inaczej mnie tam traktować nie mogą tylko jako weterana, który już dowodów aż za dość dostarczył, że ma istotne powołanie do Towarzystwa. Drugi też istotny nowicjat pleno sitalo, z drugimi ślubami po nim, wcale nie może być, bo taki sprzeciwiałby się instytutowi Towarzystwa. „Po raz drugi wstępować do Towarzystwa nikt nie może" — napisał mi wyraźnie sam generał. Może drugi nowicjat być tylko pro forma; w moim wypadku, aby pod tą zasłoną ukryć kompromitację władzy. W tym celu mogą mnie skazać na wszystkie próby nowicjackie. Ja chętnie je dla miłości Towarzystwa przyjmę. Ale nie mogą mnie traktować jako obcego i nieznanego, świeżego i nowego przybysza, słowem jako nowicjusza, który by nowe śluby składać musiał. Bo takie postępowanie nie zgadzałoby się ani z prawdą ani z prawem i sprawiedliwością. I gdybym na takie postępowanie się zgodził, to już

tem samem uznałbym moją dymisję za ważną a przez to automatycznie sam zamknąłbym sobie wrota do Towarzystwa, do którego „nikt drugi raz wstępować nie może". Lub w najlepszym razie ustanowiłbym niebezpieczny precedens na przyszłość, mianowicie ten, że za lada jakie takie drobne zajście, jak to w Chyrowie, mogliby mnie znowu bez ceremonji wyrzucić z Towarzystwa. Nie; w żaden sposób nie mogą ze mnie robić drugiego nowego Jezuitę, po raz drugi wstępującego do Towarzystwa. Drugim nowym Jezuitą nie będę, bo choćbym chciał, nim być nie mogę podług instytutu. A jeśli wbrew prawu i sprawiedliwości gwałtem będą chcieli ze mnie zrobić drugiego nowego Jezuitę, to powiem im wkońcu podobnie, jak generał jezuicki Ricci powiedział papieżowi:

— Sim ut sum, aut non sim. Niech będę Jezuitą jakim jestem, albo niech nim wcale nie będę.

Na tem skończywszy swój monolog czyli rozmowę z sobą, wstałem i zacząłem się przygotowywać do odjazdu z Albano Laziale.

19. Pożegnanie i wyjazd z Rzymu. — Kampania Rzymska. — Akwino. Monte Cassino. — Widok Neapolu i Wezuwiusza wieczorem.

Jeszcze tego samego dnia pożegnałem się z rektorem, kolegami i z księdzem Rejem, który właśnie do Abissynji wyjeżdżał, a który pono miał być potomkiem sławnego poety, Mikołaja Reja z Nagłowic, ze 16 wieku. Alumni Kolegjum polskiego w Rzymie, pochodzący ze wszystkich trzech zaborów, a jeden tylko z Ameryki, byli zamaskowani pseudonimami. Prawie wszyscy mieli przybrane nazwiska, a to z obawy, żeby rządy zaborcze nie prześladowały ich za to, że studja pobierali w Rzymie. Zdziwił ich mocno mój nagły wyjazd, który dla nich był tak samo tajemniczym, jak mój przyjazd do Rzymu. Jak przedtem nie wiedzieli, skąd i po co przybyłem do Rzymu, tak teraz nie wiedzieli, dlaczego tak nagle i dokąd wyjeżdżam. Wesoły, żywy i pełen młodzieńczej fantazji Amerykanin, Tomasz Stabenau, rzucił mi na pożegnanie swoje stereotypowe słowa:

— Przyjedź do Ameryki! Tam cię potrzeba! Tyś stworzony dla Ameryki!

Odpowiadając mu: — Nigdy! Przenigdy! — opuściłem willę w Albano Laziale. Dnia 20-go września zwiedziłem jeszcze willę Horacego, starożytnego poety rzymskiego i willę cesarza Hadrjana

w Tivoli, starożytnem Tibur. Horacy to powiedział: Omne tulit punctum, qui miscuit utile duici — szczyt doskonałości dopiął ten, kto pożytek ze słodyczą połączył.

Być we Włoszech, a nie widzieć Neapolu znaczyłoby tyle, co być w Rzymie, a nie widzieć papieża. W Neapolu w owych właśnie dniach, od dnia 19 września, przez całe ośm dni, można było oglądać cud św. Januarego. Nadto w owym czasie ów ogniem ziejący wulkan Wezuwjusz był bardziej czynnym, niż kiedykolwiek. Wreszcie okolice Neapolu są najcudniejsze w świecie.

Wprawdzie Italja cała, jak długa i szeroka, słynie z pięknych i malowniczych krajobrazów, a to dla największej rozmaitości tak w kształtach jej powierzchni, jak w barwach i kolorach. Mile spogląda oko na doliny wyścielane zielonym łąk kobiercem, na którym wije się srebrna wstęga rwącego potoku. Dalej na pochyłości wzgórza widzi się bujne krzewy winnic, wśród których rzędem stanęły szare drzewa oliwkowe. Zaczem idą sady i ogrody, „gdzie cytryn i pomarańcz blask majowe złoci drzewa“, wśród których wznoszą się pyszne wille i pałace, w zieleń lauru (wawrzynu) i bukszpanu otulone, szeregiem smukłych wyprostowanych cyprysów jakby strażą przyboczną obstawione. Dalej ruiny wieńcem bluszczu oplecione. Potem coraz wyżej na stokach gór czernią się gęste bory. Aż nad nimi wreszcie sterczą niebotyczne szczyty skał nagich, stromych, urwistych, o dziwnie fantastycznych kształtach: to jakby olbrzyma czołem niebo bodzącego, a ziemi pięści grożącego; to znowu jakby kłębiących się chmur i obłoków. A ponad tem wszystkiem, ponad wdziękiem doliny, wspaniałością wzgórza, zgrozą przepaści i urwisk skalnych, wisi rozpięty śliczny namiot nieba włoskiego, to jest, lazurowego, którego błękit czysty, jak źrenica w oku jest tak uroczy, tak ponętny, że wpatrzywszy się weń trudno już oczy oderwać.

Wszelako o ile Włochy pięknością przyrody przewyższają inne kraje, o tyle Neapol ze swoją okolicą przewyższa sameż kraje włoskie. Rzym zwie się „święty“, Padwa „uczona“, Bolonja „tłusta“, Wenecja „bogata“, Genua „pyszna“, Medjolan „wielki“, Florencja „piękna“, Werona „wdzięczna“ — Neapol zaś nazwano „śliczny“ albo „wspaniały“. Tu szczyt piękności przyrody, tu jej punkt kulminacyjny, tu przyroda się wysiliła i zebrawszy piękności innych okolic w Neapolu je skoncentrowała. W Neapolu, jako promienie w ognisku, schodzą się piękne widoki nie tylko Włoch, ale

rzec można świata całego. To szmat ziemi z raju chyba wykrojony i wykradziony.

Dnia 21 września 1891 drogę do Neapolu z Rzymu przebyłem w niespełna sześciu godzinach. Zostawiwszy za sobą mury „wiecznego miasta", jechałem nudną, jednostajną, płaską, jak stół i równą „kampanją rzymską" — włoskie słowo campagna znaczy pole. Pusto i smutno na tem polu: ni zboża, ni drzewa, ni zwierza, ni ludzi, nie ujrzysz na niem. Nasz Krasiński smutnego człowieka zwykł był przyrównywać do kampanji rzymskiej: „smutny, jak kampanja rzymska". Żółkłe chwasty, osty od słońca spiekłe, są jedyną na tem polu roślinnością; a jego mieszkańcami są pełzające jaszczurki i węże. Stąd i pociąg kolejowy, wjechawszy na tę dzicz bezludną, daleko patrzącemu wydaje się raczej podobnym do długiego węża lub smoka wielkiego kalibru, co wypełznąwszy z jakiejś jaskini na postrach mniejszych wężów i jaszczurek, czołga się olbrzymiem cielskiem po kampanji, sycząc, dysząc, rycząc, i świszcząc. Kampanja rzymska, około 30 mil amerykańskich szeroka, ciągnie się na południe od Rzymu jakie 50 mil i kończy się onemi słynnemi bagnami pontyjskiemi — paludi pontini — od wieków suszonemi a dotąd mokremi, na których krańcu, niby słup graniczny, sterczy ku niebu jak palec samotna góra Circeo.

Koło Velletri, dawnej stolicy Wolsków, zboczył pociąg z kampanji na lewo, pomiędzy góry. Mając po lewej ręce czarne wulkaniczne Góry Albańskie, następnie szare Góry Sabińskie, a po prawej urwiste i skaliste Monti Lepini, jechaliśmy pośrodku cudnej zielonej doliny, nad dorzeczem Sacco, wpadającem do rzeki Liris, która tworzy granicę dawnego państwa kościelnego. Krajobrazy teraz najrozmaitsze, pięknością wzajem się prześcigające, pomykały i przesuwały się przed oczami, jak w kalejdoskopie.

Olbrzymie skaliste góry, tak zwane Apeniny, coraz bardziej grubiące ku własnemu środkowi, tworzą jakby kość pacierzową całego półwyspu włoskiego. Ku wybrzeżu zniżają się Apeniny coraz bardziej i przechodzą stopniowo w pagórki niby żebra z kości pacierzowej wyrastające. Na jednym z takich pagórków, mniejwięcej w połowie drogi między Rzymem i Neapolem, usadowiło się miasteczko Akwino, które z daleka wydaje się jako gniazdo orle na stoku skał zawieszone. Było ono gniazdem rodzinnem św. Tomasza z Akwinu, prawdziwego orła w sferze myśli i ideału, po której bujał śmiałym lotem tak wysoko, że nie każde, tylko wprawne oko dosięgnąć go zdoła. Tu się urodził r. 1224 jako syn

hrabiego Landulfa na pobliskim zamku Rocca Secca. Tu w tej uroczej okolicy młodość swą przepędził późniejszy twórca „Summy“ olbrzymiej księgi o takiej sile logiki, że naprzykład Luter, nie mogąc zbić jej dowodów, zgrzytał i wściekał się ze złości, że rady nie może sobie dać z Tomaszem i wołał: Usuń mi, wymaż Tomasza, a ja zburzę Kościół rzymski!

Tolle, dilue Thomam,
Et ergo diruam Roman!

O jakie siedm mil na południe za Akwinem zarysowała się na błękitnem tle nieba szarawa i naga bez lasu góra Kasyno — Monte Cassino. Na jej niebotycznym szczycie widniał czworoboczny, kilkopiętrowy gmach, wieńcem drzew ogrodzony. Był to klasztor założony roku 529 przez św. Benedykta, pierwszego zakonodawcę w zachodniej Europie. Góra jest tak wysoką, że klasztor na niej bliżej nieba niż ziemi być się zdaje, a przytem tak stromą i spadzistą, że łatwiej przypuścić, iż anieli z nieba spuścili ów olbrzymi klasztor, aniżeli dać wiarę temu, że go ludzie z doliny ziemskiej wznieśli na jej szczycie.

Pociąg pędził wśród malowniczych krajobrazów dalej ku południowi, coraz bardziej zbliżając się do Neapolu. Góry zdawały się rozstępować, maleć stopniowo i niknąć z widnokręgu. Wjechaliśmy na równinę rozległą, zwaną tu znowu „campagna“, czyli pole. Ale inna to zupełnie kampanja od tej, którąśmy koło Rzymu zostawili. Kampanja koło Neapolu jest żyzną, bujnie zarosłą, pełną ożywczych woni, pokrytą winnicami, ogrodami i zbożem rozmaitem. Jadąc tą równiną, minęliśmy kapuę najpierw nowożytną a potem i zwaliska starożytnej kapuy, sławnej w historji z dawnych bitew rzymskich, a zburzonej ostatecznie przez Wandalów w piątem stuleciu.

Nareszcie hen w dali, na krańcu widnokręgu ukazał się dymiący stożek Wezuwjusza. Ciemno było, gdy stanąłem w Neapolu. Z balkonu hotelu Hasslera, tuż nad portem położonego, przedziwny oczom moim przedstawił się widok. U stóp szumiały ciemne fale zatoki neapolitańskiej, otoczonej świetlnym półkręgiem latarni; a obok na pochyłem, amfiteatralnie się wznoszącem wzgórzu rozciągało się obszerne miasto, zalane istnem morzem świateł jarzących wśród pomroki wieczornej. A za miastem w mrocznej dali czerniła się, niby stóg jakiś góra, z której szczytu tryskały od czasu do czasu smugi świetlne, nakształt rakiet i zabarwiały na

czerwono ów czarny słup dymu z jej wierzchołka wyrastający. Rzekłbyś, tam stoi ogromna kuźnia, w której olbrzymy pracują, a z której komina snopy iskier się sypią. To sławny wulkan Wezuwjusz.

20. Cud przyrody i cud nadprzyrodzony w Neapolu — cud św. Januarego.

Nazajutrz, 22 września 1891 r., rano, skoro słońce po lazurowem (ciemno-błękitnem) niebie rozpuściło swych złotych promieni warkocze, dopieroż „Śliczny“ i „Wspaniały“ Neapol ukazał się w pełnym i całym swego piękna blasku! Za punkt widzenia miasta i okolicy obrałem sobie położony na górze kartuzki klasztor św. Marcina przy zamku S. Elmo. Tu z narożnego balkonu, nazywanego „Belvedere“, czyli miejscem pięknych widoków, miałem przecudny widok na Neapol i zatokę morską, na Wezuwjusz i całą wokoło piękną krainę, aż po miasto Nola i szarzejące w mglistej dali pasmo gór Apenińskich.

Najpierw widok na Neapol. Około modrej, w objęcia lądu wpadającej zatoki morskiej, piętrzy się pstry nawał różnobarwnych domostw, wież, baszt i połyskujących w słońcu kopuł, ugrupowanych w kształcie napiętego łuku, co zatokę długiem obejmuje ramieniem. Łuk ten, przypierając do zatoki, coraz to szersze ku środkowi zatacza kręgi, centkowane błyszczącemi kopułami, to wznoszące się, to opadające się na falistem wzgórzu. Rzekłbyś, że do gładkiej morza zatoki jakby do gładkiej szyi dziewicy przypięto rzędy paciorków różnobarwnych i korali, coraz to szerszym kręgiem na falującej piersi się zwieszających. Neapol śliczny!

A gdy wzrokiem sięgniesz poza krańce miasta, gdy na szarem tle dalekich Apeninów ujrzysz żywych barw ogrody i winnice, wieńcem miasto opasujące; gdy ujrzysz owe sady pomarańczowe i tuż obok owe szorstkie ruiny zieloną bluszczu wstęgą owite; gdy ujrzysz owe gaje, gdzie buja laur a cyprys cicho stoi i rosochate pinje (sosny) w kształt baldachimu swe konary ku niebu wznoszą: — natenczas Neapol, w tę bujną zieleń otulony, tą barwną i kwiecistą okolicą obramowany, a przysłonięty lekkim rannej mgły welonem od morza powiewającym, wydaje ci się być czemś tak uroczem, cudownem i czarującem, że w raju chyba piękniej być nie mogło.

A tuż obok tego obrazu życia sterczy obraz śmierci: obok Neapolu — Wezuwjusz! Koło Neapolu przyroda pełna wdzięku

i krasy uśmiecha się niby dziewica w kwiecie wieku w świąteczne przystrojona szaty: a tuż obok czarny murzyn Wezuwjusz, puszczający kłęby dymu z gardzieli, istne straszydło przyrody! Co za krzyczący kontrast w tym krajobrazie!

Obejrzawszy ten cud przyrody zaraz po wschodzie słońca, poszedłem oglądać cud nadprzyrodzony w Neapolu. Z góry św. Marcina udałem się w towarzystwie trzech bawarskich seminarzystów do tumu neapolitańskiego, gdzie już o godzinie ósmej rano zastaliśmy mnóstwo ludzi, pielgrzymów i turystów. A wszyscy skupiali się w prawem skrzydle tej olbrzymiej katedry, tam właśnie, gdzie się znajduje kaplica św. Januarego. Kaplica ta, także kaplicą skarbu nazywana, zbudowana została w latach 1608—1637, kosztem półtora miljona dolarów. Nie jest to zatem zwyczajna kaplica, ale raczej istny kościół w kościele. Bo w tej kaplicy mieści się ośm ołtarzy i 42 kolumn, mnóstwo wielkich ściennych obrazów i skarb kościelny. A największy ze wszystkich skarbów ukrywa się w skrzyni, umieszczonej we wielkim ołtarzu tej kaplicy. Co to za skarb? Oto dwie flaszeczki, jedna mniejsza, druga większa, napełnione krwią męczeńską św. Januarego. Kiedy żył ten męczennik?

Głowa św. Januarego padła pod toporem kata, krwią zraszając arenę amfiteatru, za Djoklecjana, prześladowcy, roku 305 po Chrystusie. Pierwsi chrześcijanie mieli taki zwyczaj, że zbierali krew męczenników we flaszeczki, które kładli im do grobu wraz z napisem: „Pro Christo“ (dla Chrystusa umęczony). Otóż zebrali i krew św. Januarego i wraz z ciałem umieścili te flaszeczki z krwią w grobie jego w Benewencie, gdzie św. January był biskupem. W 20 lat później, za cesarza Konstantyna Wielkiego już chrześcijanina, przeniesiono zwłoki św. Januarego z Benewentu do Neapolu, na usilne prośby ludności neapolitańskiej. Wraz z ciałem niesiono i owe flaszeczki z krwią Świętego. Nagle w tej uroczystej procesji nastąpiła przerwa, pieśni ustały, ludzie występowali z szeregów i zbiegali się do jednego punktu — do tych, co nieśli flaszeczki z krwią męczennika. Przyczyną zbiegu było to, że ci, co nieśli flaszeczki z krwią świętą, zauważyli, jak ta krew, przedtem zeschła, skrzepła i stwardniała, nagle stała się płynną i przelewającą się, jak gdyby świeżą była i co dopiero z żył męczennika wypłynęła. Okrzyk podziwu i radości wydobył się z piersi widzów.

Tento cud, od tego już czasu powtarzał się co roku w pewnych odstępach czasu, mianowicie: wieczorem pierwszej soboty w maju, potem 19 września w dzień św. Januarego i 16 grudnia, pomiędzy 9 a 10 godziną z rana. W te dni i zwyczajnie przez oktawę tych dni, powtarzał się ten cud przez 15 z górą wieków i powtarza się jeszcze za dni dzisiejszych.

Tego to właśnie świadkiem naocznym byłem dnia 22 września 1891 r., co za wielkie szczęście i za szczególniejszą łaskę Bożą sobie poczytuję.

Wybiła na wieży tumu ranna godzina dziewiąta. A wtedy już nietylko kaplica, lecz cała świątynia była po brzegi nabita tłumem nie samych pobożnych, ale także wielu ciekawych. Myśmy wcześnie przybyli, więc dopchaliśmy się do samych stopni ołtarza, na którym owe flaszeczki z krwią męczennika stały. Przy boku ołtarza, jeszcze bliżej, niż my, stało także dwóch niemieckich turystów, profesorów chemji. Ci panowie wzięli z ołtarza owe flaszeczki do rąk i poczęli najspokojniej, tak jak w swoim gabinecie chemicznym, badać zawartość flaszeczek, przewracając je dowolnie, a wzrok aplikując pilnie. Ale zawartość w tych flaszeczkach wyglądała jak masa twarda i skrzepła. Przewracali i wstrząsali; ale choć flaszeczki tylko przez pół były pełne, to masa wewnątrz nie ruszała się i nie pływała z jednego końca do drugiego. Widzieliśmy to wszyscy; widzieli to i oni profesorzy, więc postawili napowrót flaszeczki na ołtarz.

Tymczasem szmer i ciche szeptanie modlitw rozległo się wśród tłumu ludu, zalegającego świątynię. Upłynęło wśród oczekiwania ogólnego kilkanaście minut. Kapłan zaintonował pieśń, której słowa lud pochwycił wlot; i zabrzmiała pieśń potężna, odbijając się o sklepienie świątyni, pieśń wrąca od gorąca uczuć, a rwąca jak potok, hucząca jak grzmot przeciągły.

Nagle krótko przed trzema kwadransami do dziesiątej owa masa we flaszeczkach — nie chciało się oczom wierzyć — zaczęła się ruszać, kotłować, burzyć, szumieć i wznosić się do góry nakształt wrzącej wody lub musującego szampana. Dreszcz przejął wszystkich widzów. Krótki okrzyk podziwu, ah! wydobył się z naszych piersi. A potem z zatamowanym w piersi oddechem i w niemem osłupieniu staliśmy przez pewną chwilę jak wryci. Dziwne uczucie owładnęło duszę, przesiliło wszystkie członki aż do szpiku kości, uczucia, które się nie da wypowiedzieć ani opisać. Owym

profesorom chemji, którzy jeszcze krótko przedtem dumne okazywali czoło i jakby szyderczem okiem spoglądali na owe flaszeczki, teraz, gdy widzieli, czego się nie spodziewali, duże krople łez stanęły w oczach. Spuścili głowy i ocierając łzy chusteczkami, płakali jak dzieci. Nie śmieli już dotknąć tych cennych flaszeczek. Ale wyręczył ich w tem kapłan, który teraz wziął te flaszeczki do ręki, podniósł i przewracał, aby każdy mógł widzieć, jak ta masa krwi świętej, przedtem twarda i zeskrzepiała, teraz nagle stała się płynną i ciekłą, jak gdyby świeżo wytoczoną z ciała męczennika. Niktby nie uwierzył, że to krew przed blisko tysiąc sześćset laty wylana.

W kościele całym nastała cisza, jakby makiem posiał; ale tylko na chwilę. Wnet bowiem powstał cichy szmer, potem gwar, a następnie z tysiącznych piersi zabrzmiała pieśń dziękczynna, pieśń nowa — wzniosła i wspaniała. Ja tej pieśni, nie znając jej tekstu włoskiego, wtórowałem tylko w duchu słowami Psalmisty: „Śpiewajcie Panu pieśń nową, bo uczynił dziwy“ (Psalm 97, 1).

21. Bezludne miasto Pompeji. — Nad kraterem Wezuwjusza.

Z tumu poszedłem do muzeum narodowego. Tu bliską i osobistą znajomość zawarłem z trzema bawarskimi seminarzystami, którzy mi już poprzednio z daleka towarzyszyli. Po zwiedzeniu muzeum wyruszyliśmy do Pompeji. Mimo to, że miasto to puste i bezludne, urzędnik włoski zażądał od nas szlabannego i wołał: „Panowie, każdy dwa franki“. Zapłaciliśmy. Za to dostaliśmy przewodnika. Ten nas teraz prowadził w głąb tego miasta bez mieszkańców! Szczególne to miasto, w którem nikt nie mieszka, a które chyba tylko bujna fantazja duchami i upiorami zaludnić może. Ma to miasto brukowane ulice, ale bez ruchu i turkotu wozów. Ma domy, ale bez życia. Ma sklepy, ale bez towarów i kupców. Ma place i rynki, ale bez gwaru jarmarcznego. Ma cyrki i amfiteatry, ale bez widzów i aktorów. Ma świątynie, ale bez kapłanów i wiernych. Cisza grobowa zalega w jego domach, po jego ulicach i rynkach, wśród której to ciszy każdy twój krok głośnem odbija się echem. Gdzie okiem rzucisz, masz widok ponury, smutny i posępny, widok cmentarny. Bo też całe to miasto, wydobyte na jaw z pod mogiły, jaką mu Wezuwjusz usypał, przedstawia obraz istnego cmentarzyska, na którem każdy niemal dom był dla mieszkańca swego i trumną i grobem zarazem. Tu mieszkańcy śmierć

i pogrzeb odrazu mieli. Bezpłatnym przedsiębiorcą pogrzebowym był Wezuwjusz, afiszujący do dziś dnia dymiącym stożkiem w niedalekiem sąsiedztwie.

Gdzie spojrzysz, wszędzie tu zobaczysz coś osobliwego i niezwyczajnego. Takich ulic, takich bruków, takich domów, choć bywałeś po szerokim świecie, nigdzie nie widziałeś. To miasto zamierzchłej przeszłości z żadnem innem miastem teraźniejszości w porównanie iść nie może, bo do żadnego nie podobne, jak śmierć życiu nie podobna.

Istotnie, wszedłszy w mury Pompeji, jesteś przeniesiony duszą i ciałem w świat dalekiej przeszłości. Wieki, o których w szkole studjując historję starożytną, zeledwie z daleka marzyć mogłeś; wieki owe starożytne, przestrzenią czasu tak bardzo odległe od naszego wieku, stoją ci przed oczami tak blisko, w tak dotykalnej rzeczywistości, iż opanowuje cię złudzenie, jakobyś żył w owym pierwszym wieku po Chrystusie, kiedy Wezuwjusz to miasto zasypał (roku 79 po Chr.). Złudzenie to wzrasta jeszcze, gdy chodząc po bruku pompejańskim, widzisz na ulicy ślady kół wozowych, widzisz w kamiennym bruku wyżłobione od częstego jeżdżenia koleje jakby bruzdy jakie. Co widząc zdaje ci się, jak gdyby wczoraj jeszcze toczyły się tędy owe ciężkie u starożytnych koliska z cięższemi jeszcze wozami. Te wieki minione bezpowrotnie, uciekłe nieodwołalnie, stają wtedy przed tobą jakby różdżką czarodziejską wywołane, z głębokiej toni przeszłości wyrwane i wydobyte na jaw.

Przeszedłszy bezludne miasto Pompeji wzdłuż i wszerz, pospieszyliśmy jeszcze tego samego dnia na Wezuwjusz, na sam szczyt tej ogniem ziejącej góry. Konie wynajęliśmy, po ośm franków za jednego. Nasz „Guido del Vesuvio“, przewodnik drogi na Wezuwjusz, nie miał konia, jeno z biczem w ręku jako poganiacz drepcił za nami pieszo i boso. Jechaliśmy z początku drogą wśród winnic. Tu na tych gruntach wulkanicznych rośnie owo sławne wino, Łzą Chrystusową zwane, Lacrima Christi. Grunt stawał się w dalszym ciągu coraz ciemniejszy, aż stał się zupełnie czarnym. Droga teraz się kończyła, bo i ogrody i winnice kończyły się. Wjechaliśmy na pustkowie bezdrożne. Góra stawała się coraz bardziej stromą, grunt coraz bardziej grzęzki, pokłady świeżej lawy, wyrzuconej niedawno, spotykaliśmy coraz częściej. Na stokach góry Wezuwjusza wszędzie, jak okiem sięgnąć, tylko czarne pola,

jakby kirem żałobnym pokryte. Nigdzie ani krzaka ani ptaka. Coraz bliżej stawał nam przed oczami ów czarny, dymiący wierzchołek góry.

Nareszcie stanęliśmy u podnóża samegoż lejkowatego stożka wulkanu, który stąd jeszcze jakie 500 stóp wysoko się wznosił. Końmi, choćbyś chciał, dalej jechać nie mogłeś, gdyż odtąd ściany wulkanu idą tak stromo i spadzisto, że prawie pionowo do góry. Podpierając się kijem i podkasawszy rewerendę, wspinałem się na stożkowaty wierzchołek. Była to najuciążliwsza droga, jaką w życiu odbyłem. Spadzisty stożek Wezuwjusza był pokryty sypkim żwirem i popiołem wulkanicznym, który się z pod nóg usuwał. Wprost pod górę iść nie było można: musieliśmy obrać ścieżkę zygzakowatą.

Na domiar złego wiatr zadął tak silnie, że aż wył i huczał. A na skrzydłach rozszalałego wichru nadleciały wnet chmury, zrazu lekkie i białe, ale potem czarne i ciężkie. Te czarne opadając niżej, dotykały wierzchołka góry i skłębiwszy się z dymem wulkanu, uczyniły widok Wezuwjusza jeszcze straszniejszym.

Położenie nasze było straszne. Nad nami huczała straszliwa burza z deszczem, a pod nami słychać było głuche dudnienie podziemne wulkanu. Nareszcie znaleźliśmy się na ściętym wierzchołku stożka. Dolatujący nas silny zapach siarki zwiastował bliskość krateru. Deszcz z silnym wiatrem bił niemiłosiernie w twarz i oczy. A grunt pod nogami wcale nie był bezpieczny. Tu dziura niewiadomej głębokości, tam rozpadlina ogniem ziejąca; słowem wszędzie grunt był rozłupany i popękany nakształt łupiny kasztanu dojrzałego. A piekielny żar gorącej siarki buchał z wnętrza tych dziur i rozpadlin. Pomimo ulewnego deszczu, jaki padał, ogień ów siarczysty nie gasł, lecz palił się wciąż, płomykiem niebieskawym jakby językiem liżąc siarkę.

Zdradliwsze od szeroko rozwartych były dziury, doły i dołki, tak zwane piecyki, popiołem przyprószone z wierzchu, a wewnątrz gorejące ogniem siarczanym. Przy niektórych takich dołkach leżały porozrzucane skorupy jaj. Podróżnicy, zwłaszcza Anglicy, zwykli tu jaja piec, które z apetytem zajadają. Stąd nazwa piecyków Wezuwjuszowych.

Wymijając ostrożnie te piecyki i rozpadliny, kroczyliśmy wężykowatemi ścieżkami ku brzegom krateru w tę stronę, od której wiatr wiał, ażeby uniknąć dymu Wezuwjuszowego, który jest tak

nieznośnie śmierdzącym, że gotów człowieka albo udusić, albo w omdlenie wprawić.

Stanęliśmy u brzegu krateru.

— Ostrożnie! Tak daleko iść, a nie dalej! — zawołał Włoch, kreśląc kijem granicę nad brzegiem przepaści.

Oczom naszym przedstawiła się straszliwa otchłań krateru. Wiatr odgarniał dym na przeciwległy brzeg i pozwalał nam dokładnie się przypatrywać tej okropnej bezdennej czeluści.

Wnętrze czeluści przy pierwszem wejrzeniu było zapełnione gęstym a białawym gazem, jakby mgłą lub parą, która kłębiąc się i kotłując, coraz wyżej się wzbijała. W następnym momencie silny powiew wiatru wpadł ukośnym prądem w krater i spędzając dym na przeciwległą stronę, odsłonił nam samąż głębię tej straszliwej czeluści. W te głębiny zapuściłem wzrok: i strach siarczysty ogarnął mojego człowieka. Od poszarpanych urwistych krawędzi, tlejących nigdy nie zgasłym ogniem siarczystym, zdumiony mój wzrok ześlizgiwał się po stromych ognistych ścianach coraz niżej i głębiej w przepaść, a nigdzie dna nie znajdywał. Ciemno-czerwona bezdeń tylko zamigotała mi w oczach. A potem znowu wirujące kłęby dymu zapełniły krater po brzegi, nie pozwalając śmiertelnikowi dłużej patrzeć w tę tajemniczą głębię.

Któż zbada aż do dna tajemnice tej niezmierzonej głębokości?

Kilka tygodni przed nami pewien Anglik zaglądał do wnętrza Wezuwjusza zanadto ciekawie. A że ciekawość pierwszy stopień do piekła, więc wystająca przy brzegu bryła, na której stanął, zarwała się i on wraz z nią runął w bezdenną przepaść wulkanu. Ten zbadał Wezuwjusz do dna!

Lecz my, nie zazdroszcząc Anglikowi sławy „głębokiego“ badacza przyrody, ani nie mając pretensji do tak „gruntownych“ studjów, raczej skromnie poprzestaliśmy na tem powierzchownem zwiedzeniu Wezuwjusza i bezzwłocznie zatrąbiliśmy do odwrotu.

Te i inne wrażenia z podróży opisałem później obszernie w osobnej książce pod tytułem „Neapol, Wezuwjusz i Pompeja“, drukowanej roku 1898 czcionkami F. Raniszewskiego w Milwaukee, Wis.

22. Zobacz Neapol a potem umieraj. — Podróż do Loreto. — Spotkanie z poetą. — Prohibicja faryzejska a Chrystusowa.

Następnego dnia, 23 września 1891, już żegnałem Neapol. Rzucając pożegnalny wzrok na kraj i raj Neapolu, na zatokę do

jego łona się tulącą, na Wezuwjusz zdala dymiący, przypomniałem sobie to właśnie przysłowie: Vedi Napole e poi muori! Zobacz Neapol a potem umieraj!

Zobaczyłem Neapol, i tego nie żałuję. Warto go widzieć. Ale potem umierać? Nie! Na to się zgodzić nie mogłem. Albowiem jest jeszcze na ziemi kraj jeden, który sercu mojemu daleko milszy, który w oczach moich daleko więcej ma wdzięku i uroku, który umysł mój daleko więcej zajmuje, aniżeli Neapol. Tym krajem jest Polska, ojczyzna moja. Miałżebym chcieć umrzeć z zachwytu twego, o piękny Neapolu, i dla ciebie wyrzec się widzenia jeszcze raz tych pagórków leśnych, tych łąk zielonych, tych pól malowniczych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem? Nie widzieć już nigdy polskiej ziemi i mojej wioski rodzinnej? O Neapolu, choć podziwiam twą piękność, nigdy przecie na taką ofiarę dla ciebie zdobyć się nie mogę. Nie daj Boże, bym kiedykolwiek olśniony pięknością obcego kraju, miał zapomnieć o mojem ojczystem Jeruzalem. A jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, ojczyzno moja, to wołam z Psalmistą: niech zapomniana będzie prawica moja; niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego (Psalm 136, 5).

Chcąc wykonać ślub, czyli przyrzeczenie, uczynione Bogu, zdążałem teraz do Loreto. Przejeżdżałem przez Benewent, oglądając po drodze owe sławne pola „zwycięstwa Pyrrhusowego", i przez Campobasso. Na szczytach gór Apeninów było doskonałe zimno. Staczając się z gór ku Adrjatykowi, pociąg biegł nadzwyczaj szybko. Przyjechałem do miasteczka Termoli, nad brzegiem morza Adrjatyckiego, gdzie na dworcu wypadało mi jakie pięć godzin czekać na następny pociąg. Zwiedziwszy nad wybrzeżem morskiem sterczące ruiny starożytnych zamków jeszcze z czasów najazdu Saracenów, wróciłem na dworzec i wszedłem do sali poczekalnej, gdzie spotkałem jakiegoś kleryka. On w rewerendzie i ja w rewerendzie, więc odrazu przypadliśmy do siebie. Przedstawił mi się jako Fiore Umberto, student seminarjum neapolitańskiego.

Rozmawiał on właśnie żywo z jakimś mężczyzną wykształconym, który atoli nogi miał krzywe, plecy szerokie jak wrota, ręce jak łopaty, czuprynę rozczochraną jak stóg siana, nos jak ogórek, wzrok błędny i jakby mgłą przesłonięty, ubranie całe w nieładzie. Kleryk Umberto przedstawił mi tego inteligenta jako:

— Antonio Manes, poeta.

— Bardzo mi przyjemnie spotkać poetę włoskiego. Come sta? Jak się panu powodzi?

— Ha, pcham taczkę życia pod górę — odparł poetyckim językiem. — Ciężko mi idzie.

— Więc trzeba odpocząć. Siadajmy.

Siadłszy, na jego zapytanie skąd jestem i co zacz, odpowiedziałem, że jadę właśnie z Rzymu a urodzeniem pochodzę z Polski.

— Ach, Polonia — wykrzyknął — che nobile gente. Polska, co za naród sławny. Znam Polskę.

Niestety, wnet się przekonałem jak zna Polskę. Polska w jego rozmarzonej poetyckiej wyobraźni to kraj pod biegunem północnym położony, gdzie wieczne panują śniegi a domy z lodowatych brył są zbudowane.

— Fundamenta i kominy tylko z lodu są — przerwałem mu — ściany zaś są z marcypanu, sufity z galarety a dachy z płaskich cegieł i kamieni.

W dalszym toku rozmowy mój poeta na skrzydłach bujnej wyobraźni obleciał dwa razy ziemię na około, wzniósł się do gwiazd, stamtąd spadł na Wezuwjusz i kraterem zstąpił do piekła, gdzie Wirgiljusza z Dantem spotkał i ich wiersze na pamięć recytował. Wreszcie Horacy, Wirgiljusz i Dante to są jego protoplaści. Syt tych jego przechwałek, cytacyj i fantazji, zapytałem:

— Czyby mi pan nie mógł w tej chwili ułożyć wiersza? Zabrałbym go sobie do Polski na pamiątkę.

— Teraz nie mogę, bo nie mam natchnienia.

— A kiedy przyjdzie natchnienie?

— Jak niewiadomo, kiedy i skąd wiatr zawieje, tak my poeci nie wiemy, kiedy natchnienie na nas przypadnie.

— Nie wiecie? A ja wiem.

I uchyliwszy drzwi do restauracji zawołałem:

— Kelner, daj butelkę wina!

A kiedy butelka stanęła na stole, mój poeta zadrgnął na całem ciele, jakby wpadł w zachwycenie. Oczy mu się zaiskrzyły, czoło się rozpromieniło, słowem duch nowy, duch natchnienia wstąpił w niego. Wyciągnął pospiesznie ołówek i papier z zanadrza i nakreślił długą „odę do butelki", której końcowy ustęp tak brzmiał:

Viva il vino!
Viva Bacchio amico mio
La mia vita e nel bottiglia.

Z tego widać, że natura poetów bywa zawsze ta sama dziś co przed wieki. Poeta „bez boskiego nektaru“ schnie i marnieje jak trawa bez rosy, albo jak ptak bez powietrza traci fantazję i skrzydła wyobraźni mu opadają. Jak dzisiejszy poeta we Włoszech, tak Horacy w starożytnej Romie lubiał i uwielbiał wino. A w Polsce nasz Jan Kochanowski, książę poetów XVI wieku, śmiało postawił światu takie pytanie (księga II. 23):

Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczynił taki nic dobrego,

to jest, poeta po trzeźwemu wiersza dobrego nie napisze. To też na innem miejscu (księga III. 15) odzywa się do starosty Muszyńskiego, żeby go też poczęstował tem starem winem, co w sklepie pleśnieje:

Okaż swój smak starodawny,
Starosto muszyński sławny!
A niech go ja też skosztuję,
Boć i ja smak w beczce czuję.
A nie żal mi, żem poetą,
Jest coś umieć albę z betą.
Nie szafirem, nie rubinem,
Ale nas czcij dobrem winem!

A w nagrodę za to obiecuje go wsławić rymami i pochwałami wynieść pod same niebiosa:

A stąd to będziesz miał w zysku,
Że coś dziś obłoków blisko,
To cię pijanymi rymy
Aż do nieba wprowadzimy.

Gdy to prohibicjoniści przeczytają, zawołają, że herezje piszę. Niech sobie wołają. Przecież i na samego Chrystusa wołali: „Oto żarłok i winopilca“ (zobacz u Mateusza rozdz. XII, wiersz 19). Oto zgorszenie iście faryzejskie! Jest podwójna prohibicja: Chrystusowa i faryzejska. Faryzejska prohibicja zakazuje używania wina a Chrystusowa zakazuje nadużywania wina. Używanie zaś wina Chrystus uświęcił nietylko własnym przykładem, ale nawet cudem w Kanie Galilejskiej. Wobec tej Chrystusowej powagi niech się ze wstydem w kąt schowają wszelkie inne powagi prohibicji faryzejskiej. My z faryzejskimi prohibicjonistami nigdy wołać nie będziemy: precz z winem, My wraz z Matką Najświętszą wołamy

raczej: Panie, zlituj się nad ludźmi w Ameryce bo „wina nie mają“ (czytaj u św. Jana rozdział 2, wiersz 3). A o zgorszenie faryzejskie wcale nie dbamy.

23. Domek święty w Loreto. — Porcjunkula w Asyżu. — Powtórna wizyta u generała jezuitów we Fiesole.

Pociąg, który mię wiózł z Termoli do Loreto, przez całą tę długą drogę szedł brzegiem morza Adrjatyckiego, tak blisko wody, że nieraz rozszalałe fale Adrjatyku uderzały nie już o tor, ale o sam pociąg. Mijałem nadbrzeżne miasta i miasteczka: Vasto, Ortona, Pescara, Giulianova, S. Benedetto.

Dnia 24 września 1891 przybyłem do Loreto, sławnego miejsca pielgrzymkowego w prowincji Ankonie w środkowych Włoszech. Tu znajduje się domek Najświętszej Panny Marji według pobożnej tradycji przeniesiony przez aniołów z Nazaretu roku 1291 do Tersato blisko Fiume w Dalmacji, a stamtąd w trzy lata później do gaiku wawrzynowego o kilka mil na południe od Ankony, gdzie go po raz pierwszy spostrzegła pobożna niewiasta Loretta. Po sprawdzeniu tożsamości domku przez komisję, wysłaną do Loreto i Nazaretu, nadali papieże liczne odpusty odwiedzającym to miejsce święte; a papież Paweł II rozpoczął budowę wielkiego kościoła, w środku którego znajduje się ów domek Matki Boskiej. Domek, w którym odbyło się Zwiastowanie, 31 stóp długi, 13 stóp szeroki, a 20 stóp wysoki, na zewnątrz jest teraz cały pokryty prześlicznemi i kosztownemi rzeźbami marmurowymi. Stoi bez fundamentów. Cudowne przeniesienie tego domku świętego z Nazaretu do Loreta nie jest ani artykułem wiary, ani nawet pewnością historyczną; jest li tylko tradycją pobożną, stwierdzoną przez setki tysięcy pielgrzymów, którzy od 600 lat rok rocznie to miejsce zwiedzali. Jako tradycję też a nie jako pewność historyczną stwierdzają je liczne bulle papieskie, począwszy od papieża Juljusza II, który roku 1507 wyraźnie w swej bulli zaznacza: ut pie creditur et fama est“.

W moim dzienniczku pod dniem 25 września, 1891, znajduję tę notatkę: „W Lorecie w domku świętym zawiesiłem wotum srebrne ze złotą koroną z podziękowaniem za odzyskaną sukienkę jezuicką“. W domku tym służyłem także do Mszy i przystąpiłem do Komunji św.

Tu w Loreto miałem tę przyjemność spotkać się po raz pierwszy i ostatni z pewnym ziomkiem moim z Księstwa Poznań-

skiego, studentem jeśli się nie mylę Juljanem Burzyńskim, który właśnie jechał był do Rzymu na studja.

Jadąc z Ankony do Asyżu spotkałem się z bardzo liczną pielgrzymką z Polski prowadzoną przez księdza Smolińskiego. Pielgrzymi polscy, jadący do Rzymu, zajmowali cały długi pociąg. Na stacji w Asyżu miałem to złudzenie, że jestem w miejscu odpustowem gdzieś w Galicji; tak rozbrzmiewały dźwięki mowy polskiej.

Do Asyżu przybywszy rano, na czczo, z dworca udałem się wprost do polskiego a pięknego kościoła Najświętszej Panny Marji Anielskiej, w którego środku pod samą kopułą stoi owa prawdziwa P o r c j u n k u l a, to znaczy, mała porcyjka czyli cząsteczka w podarunku odebrana. Tak bowiem św. Franciszek z Asyżu nazwał swą maleńką kapliczkę, jaką w podarunku dostał od Benedyktynów. W tej kapliczce czyli porcjunkuli często się modlił za życia; i dla tej kapliczki czyli porcjunkuli uzyskał później od papieża ów sławny odpust zupełny tyle razy, ile razy kto nawiedzi tę kapliczkę, stąd porcjunkulą nazwany. We wnętrzu tej porcjunkuli czyli kapliczki mój człowiek 26 września 1891 miał to szczęście służyć do Mszy i przystąpić do Komunji św. Prócz ołtarza, kapłana i ministranta w tej porcjunkuli mało kto więcej się zmieści.

Po Mszy i śniadaniu udałem się do samegoż miasta Asyżu, jakie trzy kwadranse drogi stąd oddalonego i na górze położonego. Asyż co do ludności nie jest większy od Ripon, Wis. Asyż całą swoją wielką sławę zawdzięcza jedynie temu, że w nim roku 1182 św. Franciszek jako syn kupca się urodził; w nim roku 1208 zakon franciszkański założył; i w nim 4-go października roku 1226 umarł. Przy wejściu do miasta po lewej ręce nad krawędzią skały wznosi się wielki klasztor Franciszkanów na ogromnem podmurowaniu zbudowany krótko po śmierci św. Franciszka. Do klasztoru przytyka wspaniały dwupiętrowy kościół św. Franciszka, dolny i górny. W dolnym spoczywają zwłoki świętego. Całokształt kościoła jest gotycki.

Na drugim końcu miasteczka, również w gotyckim stylu, jest kościół św. Klary, założycielki zakonu Franciszkanek. Krypta, czyli sklepiona kaplica pod wielkim ołtarzem, gdzie w szklanej trumnie spoczywa ciało św. Klary, jest bogato przyozdobiona marmurami i malowidłami. Zabrałem z Asyżu wiele pamiątek, które później rozdawałem znajomym, krewnym i przyjaciołom.

Przy wyjeździe z Asyżu nie miałem nic drobnych pieniędzy. Na dworcu kolejowym kupując bilet podałem agentowi stulirówkę

(stufrankówkę), gdyż to był najdrobniejszy pieniądz, jaki wówczas przy sobie miałem. Aliści szelma Włoch za to, że mi stulirówkę musiał zmienić na drobne, ładnie sobie odciągnął pięć lirów. Protestowałem i groziłem mu procesem sądowym. Ale że pociąg w tej chwili nadchodził, więc na wyjezdnem jeszcze piekłem mu zagroziłem i wsiadłszy do pociągu opuszczałem Asyż w niezłotym humorze.

Nazajutrz 27 września 1891 byłem znowu we Fiesole pod Florencją u generała Jezuitów. Generał Anderledy tym razem przyjął mnie natychmiast i bardzo serdecznie. Dał mi po jezuicku tak zwany aplexus, to znaczy, obłapił mnie i pocałował w obydwa ramiona.

Generał był ubrany jak każdy inny ksiądz jezuicki. Żadnej odznaki swej wysokiej godności nie nosił. Jako Szwajcar mówił po niemiecku do mnie. Podziękowałem mu za przyjęcie, a on mi dał błogosławieństwo na dalszą życia pielgrzymkę.

Ja też przyjmując to błogosławieństwo, powiedziałem i sobie i generałowi tak: Muszę iść drugi raz do nowicjatu, to wiadomo; ale czy drugi raz do Włoch przyjadę, to niewiadomo; więc skoro raz mimowoli we Włoszech jestem, muszę je wzdłuż i wszerz zwiedzić.

Co zwiedzę, tem wiedzę swą wzbogacę. A wzbogacę ją jak najtańszym kosztem, jeśli po pierwsze jak najmniej pieniędzy i po drugie jak najmniej czasu stracę. A najmniej czasu i pieniędzy stracę, jeśli już naprzód plan sobie ułożę, co jest widzenia godne w danej okolicy lub miejscowości i w jakim porządku te osobliwości po kolei zwiedzić.

To też naprzykład wracając teraz z Fiesole do Florencji, miałem przed sobą otwartego Baedekera, a w nim i opis i mapę miasta Florencji. I skoro wjechałem do Florencji, powiedziałem odrazu fiakrowi: zawieź mię tam do tej katedry, stamtąd do tego muzeum, potem do placu i pomnika Sawonaroli, i tak dalej. W ten sposób w jednej godzinie więcej widziałem, niżbym przez cały dzień mógł widzieć, błąkając się bez wytkniętego z góry planu.

Wielu ludzi podróżuje po świecie, mało jednak z korzyścią podróżuje. Czemu? Bo nie mają wytkniętego rozumnego celu w swej podróży. Dlatego sami nie wiedzą po co jadą, nie wiedzą nieraz dokąd jadą i co tam widzenia godnego jest w tem mieście, do którego jadą. Jedynym ich celem zdaje się być to: obiec jak najwięcej świata, aby móc potem powiedzieć i pochwalić się: by-

łem tam — i na tem koniec. Dla takiego „obieżyświata“ wszystko jedno, czy to Rzym czy Neapol, czy Nowy York, czy jakaś mieścina na prowincji. Wpadnie do wielkiego miasta bez ułożonego z góry planu, przebiegnie kilka dzielnic, wstąpi do kawiarni, zajrzy do teatru i przejedzie się po niektórych ulicach. A spostrzegłszy z niezwykłą bystrością, że tutaj jedne kamienice są wysokie a drugie niskie, że po ulicy chodzą ludzie na dwóch nogach a sztuki piękne z parasolką w ręku, że na ulicy zbierają i wywożą śmiecie — powiada niby rozczarowany: Ach! to tak samo jak u nas w naszem mieście; tak, to ja już wszystko znam. I jedzie dalej.

Generał jezuicki Antoni Marja Anderledy, którego widziałem, był to siedmdziesięciodwuletni staruszek, który w kilka miesięcy po tej mojej wizycie przeniósł się do wieczności 18 stycznia 1892. Miał on jeszcze ciągle ten przesąd o mnie, jakobym swoją „rapt gwałtownością“ jezuitom w Galicji łby rozbijał. Więc przy pożegnaniu napomniał mię, żebym „się hamował! a wtedy Bóg mi da łaskę wytrwałości“. Ze staruszkiem nie wdawałem się w żadne już więcej dysputy ani wyjaśnienia.

24. Piza — Genua — Medjolan — Bolonja — Padwa — Werona — Brennerpass — Innsbruck — Monachjum — Berlin.

Z Florencji jechałem do Pizy, gdzie oglądałem wspaniały tum cały z białego marmuru i przy nim stojącą krzywą wieżę czyli dzwonnicę także całą z białego marmuru. W dalszej podróży z Pizy do Genui widziałem najśliczniejsze wybrzeże morskie tak zwane Wschodnie Wybrzeże, po włosku Riviera di Levante. Tak zwane Zachodnie Wybrzeże czyli Riviera di Ponente ciągnie się na zachód od Genui ku Marsylji. Obydwa te wybrzeża morskie słyną z przecudnych widoków i krajobrazów, i ze zdrowego a miłego klimatu. Pomimo, że w drodze z Pizy do Genui pociąg przejeżdżał przez przeszło ośmdziesiąt krótszych i dłuższych tuneli, to jednak piękne widoki na ląd i morze często przesuwały się przed oczami jak w kalejdoskopie, tu żyzne doliny, tam lesiste wzgórza, ówdzie dzikie urwiska skalne. Czasem, gdy pociąg z jednego tunelu w drugi wpadał, miałem tylko chwilowy widok jakby przez okno na morze Tyrreńskie. Mijając Massę i Carrarę widziałem z daleka białe góry marmurowe zwane kararyjskie.

Minąwszy fortecę Spezia, z największym we Włoszech portem wojennym, zajechałem w ten sam dzień mojego patrona 28 września 1891 do Genui, wielkiego miasta portowego, które dla

wyniosłego i dominującego swego położenia nad morzem nosi przydomek la Superba czyli Genua. Tak się nazywa także dla owych licznych a pysznych pałaców marmurowych, jakie jeden nad drugim się piętrzą na stokach wybrzeża. Przed głównym dworcem kolejowym jest obszerny plac, na którym wznosi się wspaniały pomnik Kolumba, odkrywcy Ameryki, który roku 1451 urodził się w Cogoleto niedaleko na zachód od Genui.

Port genueński jest jednym z największych w świecie. Kazałem się łódką obwozić po porcie, gdyż z portu jest najlepszy widok na całe amfiteatralnie piętrzące się miasto. Zgodziwszy się z Włochem na pewną cenę, powiedziałem mu wyraźnie, że ma mię obwieść po całym porcie nietylko starym ale i nowym, nietylko wewnętrznym ale i zewnętrznym. Ale sprytny Włoch widocznie sądził, że wiezie ze sobą albo głupiego „forestiera" cudzoziemca, który nie wie gdzie się port stary kończy a zaczyna nowy, albo też bogatego prałata, bo widział mnie w sutannie, todze i frędzlowatym kapeluszu rzymskim. Gdy się kończył port stary, pytał mnie, czy ma jechać dalej. Odpowiedziałem mu, że tak. Jechał, ale gdy mię wkońcu odwoził do brzegu, zanim mię na ląd wysadził, zażądał ode mnie podwójnej ceny, czyli jeszcze raz tyle na ile się zgodził. Powiedziałem mu, że nie dam tyle. Wtedy on, zamiast do brzegu, zaczął wiosłować w przeciwnym kierunku na pełne morze. Myślałem, albo mię chce tylko nastraszyć albo też obrabować i utopić, gdy wypłyniem daleko na morze. Wiosłował prędko i coraz bardziej oddalaliśmy się od wybrzeża. Zacząłem z niego kpić i mówiłem:

— Wiosłuj i płyń coraz dalej ze mną, ja lubię taką przejażdżkę. Wiosłuj! Zobaczymy, kto z nas prędzej się zmęczy, czy ja siedząc czy ty wiosłując.

Wtedy Włoch wstał, podniósł wiosło i chciał mię nim uderzyć. Ale ja w tej chwili przyskoczyłem tuż do niego, raz, że z bliska nie mógł mi wiosłem nic zrobić, a powtóre żeby odrazu zająć stanowisko zaczepne i odważne.

— Spróbuj — wołałem mu w twarz — kto z nas prędzej stanie na sądzie Bożym! Dokąd ty pójdziesz za twoje zdzierstwo? Nie do nieba!

Lecz Włoch nie chciał spróbować bójki. Opuścił wiosło. A ja stałem ciągle tuż przy nim. Włoch tymczasem zawrócił ku brzegowi i za pół godziny wysadził mnie spokojnie na ląd. Zapłaciłem mu umówioną cenę, bez zwyczajnego dodatku, a to dlatego — po-

wiedziałem mu — żebyś na drugi raz forestiera cudzoziemca traktował uczciwie a nie po bandycku.

Tak obchodziłem dzień moich imienin w Genui. Na drugi dzień rano 29 września 1891 klęczałem już u grobu św. Karola Boromeusza w Medjolane. Długa broda zdobi zczerniałą twarz św. Karola w szklanej trumnie spoczywającego. Tum medjolański, w którym ciało tego świętego się znajduje, jest jednym z największych kościołów Europy i może pomieścić około 40,000 ludzi. Jest 450 stóp długi, 270 stóp szeroki. Wieża na kopule dosięga wysokości 330 stóp. Cały ten okazały i olbrzymi gmach na zewnątrz jest z pięknego białego marmuru. A na dachu jego sterczy istny las wież i wieżyczek gotyckich w liczbie 98 również z białego marmuru. Około dwa tysiące marmurowych pilastrów przylega do ścian na zewnętrznej stronie tumu. Wnętrze zaś tumu ma 52 potężne filary, tak grube, że każdy ma blisko 50 stóp obwodu. Posadzka cała marmurową mozaiką wyłożona. Sklepienie imponujące. Przecudny ten kościół, jak wskazuje napis na froncie, jest poświęcony Marji Rodzicielce „Mariae Nascenti". Na dachu tej katedry wśród wież i wieżyczek chodziłem jak wśród lasku lub gaiku. Szum wiatru i lekkie drganie wieżyczek potęgowało jeszcze bardziej to złudzenie moje. Potem z wysokiej wieży nad kopułą górującej miałem zachwycający widok na miasto i całą okolicę Medjolanu. Na około w dal jak okiem sięgałem rozpościerała się jedna żyzna a rozległa równina lombardzka.

Medjolan bowiem, najludniejsze po Neapolu miasto, jest stolicą tak zwanej Lombardji, kraju bardzo urodzajnego w północnych Włoszech między Alpami i rzeką Padem położonego. Nazwa „Lombardja" pochodzi od ludu niemieckiego Longobardów czyli Długobrodych, którzy tutaj założyli państwo w szóstym wieku po Chrystusie.

Longobardowie przyjęli rychło oświatę rzymską i zlali się w jeden naród z dawnymi mieszkańcami Włoch.

Kościół św. Ambrożego na drugim końcu Medjolanu zawdzięcza swój początek samemu św. Ambrożemu, który w czwartym stulecu postawił ten kościół na ruinach starej pogańskiej świątyni Bacchusa. Tu przed tym kościołem biskup Ambroży zastąpił drogę cesarzowi Teodozjuszowi i nie pozwolił mu wejść, aż pokutę wpierw uczynił.

Jeszcze tego samego dnia wyjechałem z Medjolanu do Bolonij. Cała Lombardja to jeden olbrzymi sad albo ogród. Istny raj.

Kolej szła ciągle wśród ogrodów i winnic, wśród sadów, pełnych drzew owocowych, a wszędzie płaszczyzną jak stół równą.

W Bolonji zwiedziłem przedewszystkiem kościół św. Dominika, w którym spoczywa ciało tego wielkiego zakonodawcy w prześlicznie rzeźbionym sarkofagu. Potem oglądałem najstarszy w świecie uniwersytet, do którego w dawnych wiekach Polacy także licznie uczęszczali.

Między innymi osobliwościami najciekawsze były dla mnie stojące na placu w samym środku miasta Bolonji dwie pochyłe wieże, jedna obok drugiej, które od ośmiuset lat niby chylą się ku upadkowi a jednak nie upadają. Gdy przechodziłem pod nimi chylącymi się i wiszącymi swymi szczytami nade mną, strach mię zdejmował niemały, żeby się nie zwaliły mi na głowę. Obydwie te krzywe wieże noszą do dziś nazwiska swoich budowniczych. Jednę mniej pochyłą ale za to wyższą, bo aż 300 stóp wysoką, zbudował roku 1109 jakiś Gherardo degli Asinelli. Temu Asinellemu pozazdrościł sławy jakiś Garisenda, który się założył, że wybuduje wieżę równie wysoką ale jeszcze bardziej krzywą. Jakoż następnego roku 1110 wybudował wprawdzie drugą wieżę o wiele bardziej pochyłą od pierwszej ale tylko o połowę tak wysoką, gdyż prawa ciężkości i równowagi nie pozwalały mu wyżej budować. Szczyt wyższej wieży pochylał się o 5 stóp; szczyt zaś niższej o 10 stóp zwieszał mi nad głową.

Z Bolonji przybywszy do Padwy dnia 30 września 1891 rano już byłem w owej sławnej starożytnej bazylice św. Antoniego z Padwy. Po obu stronach bazyliki tej ciągną się szeregi bocznych kaplic pięknemi malowidłami ozdobionych. Między innymi jest tam i kaplica polska, bo przez Polaków wyposażona. Bazylika ta św. Antoniego w Padwie, 1231 r. rozpoczęta a r. 1475 ukończona, jest wspaniała i cudowna, acz trochę w cudacznym stylu zbudowana.

Pożegnawszy Padwę po południu tegoż dnia siedziałem we Weronie na kamiennych stopniach sławnego a ogromnego starożytnego amfiteatru, zbudowanego r. 290 za cesarza Dioklecjana. Czekałem na następny pociąg. Przez Alę i Alpy przesmykiem Brennerpass przez Insbruck, Monachjum i Berlin wjechałem w półtora dnia potem do Księstwa Poznańskiego. Byłbym tam nie jechał, gdyby mój brat ksiądz Szymon nie był się dowiedział od jezuitów o całem mojem zajściu. Ale że się dowiedział i wielce niepokoił o mnie, więc chciałem mu opowiedzieć cały przebieg i obrót mojej sprawy.

Ani on ani nikt inny z rodziny nie wiedział nic zgoła o tem, że przyjeżdżałem teraz do Poznańskiego z wizytą. Nikogo listownie nie uwiadomiałem o swoim przyjeździe. Do każdego z rodziny i znajomych w Poznańskiem wpadłem tam niespodzianie jak bomba. Od przeszło ośmiu lat, bo od lipca roku 1883 nikt z nich mnie na oczy nie widział. Nawet na pogrzebie ojca nie byłem. Nikt mnie się teraz nie spodziewał. O mojej też sprawie z Jezuitami nie wiedział nikt, tylko ksiądz Szymon.

25. Po dziesięciu latach do Poznania wracałem nie do poznania.

Nie do Poznania wprost jechałem, lecz po drodze zahaczyłem najpierw o Wieleń, który leży na granicy Wielkopolski, a w którym to studjowałem od 1877—1881. Wielenia nie widziałem już od lat dziesięciu i pół.

O! jak całkiem inaczej przedstawiało mi się teraz to miasto krêsowe Wieleń! Oczom moim, przyzwyczajonym do wielkich miast i wielkiego świata, teraz Wieleń przedstawiał się mały jak miasteczko betlejemskie przy szopie w kościele. Wieleński most na Noteci, w mojej chłopięcej wyobraźni niegdyś tak olbrzymi, teraz wyglądał mi jak zwyczajna kładka, po której się przez strumień przechodzi. Wieleński kościół, w którego ścianach kule szwedzkie tkwiły, a który dawniej był dla mnie największym kościołem na świecie, teraz wydawał mi się tak maleńkim jak ta Porcjunkula w Asyżu, że mógłby stanąć śmiało jako kapliczka we środku bazyliki św. Piotra w Rzymie. Domy i kamienice we Wieleniu, kiedyś tak duże w chłopięcych oczach moich, teraz wyglądały mi jak figurki w jasełkach.

Nie do poznania byłem dla państwa Blochów, u których ongi stołowałem się przez lat trzy i pół. Nie do poznania byłem dla dawnych moich profesorów pedagogjum Schwarzbacha we Wieleniu. Nie do poznania byłem, gdziekolwiek w Poznańskiem moim znajomym się pokazałem. Przez lat przeszło dziesięć, zwłaszcza w tym dorastającym wieku od lat 13 do lat 23, mój człowiek zmienił się całkiem nie do poznania. Ubiór mnie także zmienił. Albowiem podróżowałem w rewerendzie, todze i rzymskim kapeluszu. Takiego ubioru ani mnie w takim ubiorze w Poznańskiem nigdy jeszcze nie widzieli. To też wszędzie patrzeli na mnie jak na raroga.

Stary pan Bloch, gdym stanął przed nim, wsadził sobie najpierw okulary na nos, by mnie się lepiej przypatrzeć; ale i wtedy

jeszcze długo spoglądał na mnie niedowierzająco. A stara Bloszka, gdy jej mnie przedstawiono, całkiem oniemiała i stała jak słup soli nieruchoma. W pedagogjum Schwarzbach profesorzy lutrzy, których ja się dawniej bałem, teraz ze strachem zabobonnym spozierali na mnie czarnego djabła jezuickiego.

Jeszcze tego samego dnia 2 października 1891 z Wielenia wpadłem również niespodzianie do Gulcza, gdzie mój stary szwagier Kośmider żegnał się przede mną jak przed duchem; a siostra moja Agnieszka na mój widok składała ręce mówiąc: Czyś to ty Wacław? Prędzejm się śmierci spodziewała.

W Pile mój młodszy brat Stanisław był asystentem pocztowym i zarazem telegrafistą, bo poczta i telegraf tam w starym kraju złączone są w jednem biurze. Stanisław właśnie wytłukiwał coś na przyrządzie telegraficznym, gdym nagle się zjawił przed nim. Wytrzeszczył na mnie oczy z zadziwienia czy z ciekawości, ale odrazu nie mógł mnie poznać. Z Piły ze Stanisławem skoczyłem do Chojnic w Prusach Zachodnich, gdzie starszy mój brat Józef był asystentem pocztowym i naczelnikiem stacji kolejowej. Stał na peronie w uniformie jak zwykle przy nadchodzącym i odchodzącym pociągu. Przechodziłem tuż blisko niego, przypatrywał mi się ciekawie; ale mu ani na myśl nie przyszło widzieć we mnie swego brata.

Następnie przez Bydgoszcz jechałem do Barcina, gdzie mój brat ks. Szymon był proboszczem. W starym kraju na kamiennym ulicznym bruku wozy turkocą tak głośno, że gdy kto nadjeżdża, zaraz słychać to wewnątrz domu. To też gdy powóz wiozący mię z dworca zaturkotał przed plebanją, ks. Szymon już głowę z okna wytykał, żeby widzieć, kto zajeżdża. A skoro tylko wyszedłem z powozu, on jeden ze wszystkich odrazu mnie poznał bo zakrzyknął: Wacław jedzie! Chociaż nie był wcale uwiadomiony o mojem przybyciu. Wówczas nie mieli jeszcze telefonów.

Ksiądz Szymon ucieszył się ogromnie. I tą radością zaraz chciał się podzielić z innymi w Barcinie i okolicy. Zaczął mi wyliczać domy i dwory okoliczne, do których z wizytą pojedziemy.

— A matka ciebie jeszcze nie widziała?

— Nie.

— Czyś nie pisał do niej, że przyjedziesz?

— Nie.

— Napiszę do niej zaraz do Sławomierza. Oj, to się matczysko ucieszy! Ale poczekaj. Nie napiszę jej, że ty przyjedziesz. Tylko

napiszę jej tak: Pojutrze przed południem przyjadę do was z gościem. Przygotujcie dobry obiad. Tyle tylko jej napiszę. Matka nie będzie się niczego domyślała, bo ja często z jakimś księdzem do Sławomierza zajeżdżam. Oj, będzie to dla niej miła niespodzianka!

I jak mówił tak napisał. Tymczasem byliśmy z wizytą między innymi u państwa Brzeskich w Krotoszynie, a później u państwa Malczewskich w Młodocinie. W jednem i drugiem miejscu przyjmowali mnie z gościnnością iście staropolską. Gdym oglądał kościół w Barcinie, ks. Szymon rzekł: Takiego w Rzymie nie widziałeś! Bo ks. Szymon nie miał wtedy kościoła w Barcinie. Stary rozebrano, a nowego jeszcze nie postawiono. Za tymczasowy kościół służyła szopa z desek zbita.

Dnia 6-go października 1891 przed południem byliśmy u matki w mojem rodzinnem gnieździe Sławomierzu. Gdyśmy weszli do domu, w przednim pokoju nie było nikogo. Ks. Szymon wywołał matkę z kuchni i wskazując na mnie rzekł:

— Czy matka nie zna tego księdza?

Matka wpatrywała się przez chwilę we mnie, a potem powiedziała krótko:

— Nie znam.

Mówił dalej ks. Szymon:

— Ale przecież matka go już widziała!

Matka więc jeszcze lepiej mi się przypatrywała, ale znowu po raz wtóry odpowiedziała:

— Nie znam. A skądbym go miała znać? gdziebym go miała widzieć?

Wtedy ja matce na to:

— Tu w Sławomierzu. I matka mię nie zna?

Gdy matka mój głos usłyszała, wtedy zawołała natychmiast:

— Ach, to przecie Wacław. Po głosie go poznaję, bo wygląd jego zmienił się do nie poznania.

Potem zwiedziłem grób ojca i wstąpiłem do Gorzyc, Dochanowa i do Rogowa, gdzie u brata mego Antoniego widziałem w kołysce Janka, który dziś jest elektrykiem w Chicago. Byłem i u proboszcza ks. Śmigielskiego. W Inowrocławiu pożegnałem się z księdzem Szymonem. W Gnieźnie widziałem się z ks. Gieburowskim; w Poznaniu w seminarjum duchownem odwiedziłem moich dawnych kolegów gimnazjalnych z Wągrówca, Pieniążkiewicza i Wienkego.

W trzy tygodnie po wyjeździe z Rzymu, dnia 12-go października 1891 byłem już w Krakowie, a dwa dni potem w Starejwsi, gdzie mi prowincjał drugi nowicjat odbyć kazał.

W tym jednym roku 1891 mój człowiek przeżył lat wiele. Miał lat 23.

26. Mój drugi nowicjat w Starejwsi od roku 1891 do 1893. — Przyczyny sprawcze i celowe tego pokracznego nowicjatu.

Stanąwszy w Starejwsi 14 października 1891, miałem przed sobą tę najcięższą w życiu próbę, to jest, drugi nowicjat. Próba to niebywała i niesłychana. Żaden jezuita, począwszy od generała a skończywszy na ostatnim braciszku, takiej próby nie przechodził. Czemu ode mnie tej ciężkiej próby wymagano i za co? czy za moją mężną wytrwałość w powołaniu?

Byli żartownisie nieco złośliwi, którzy z góry oświadczali, że przełożeni nie chcą mię mieć jezuitą w Towarzystwie, lecz chcą mię widzieć jezuitą poza Towarzystwem. Ażeby być jezuitą w Towarzystwie, wystarcza jeden nowicjat; ażeby nim być poza Towarzystwem, na to potrzeba dwóch nowicjatów. Wtedy przypomniało mi się co w bajce Dzieci i żaby, biskup Ignacy Krasicki, który tu kilka mil od Starejwsi w miasteczku Dubiecku się urodził 3-go lutego 1735 napisał, mianowicie:

> Przełożeni „przestańcie, bo się źle bawicie,
> Dla was to jest igraszką, mnie idzie o życie".

Na samym też wstępie do Starejwsi klęknąłem przed cudownym obrazem Matki Boskiej Starowiejskiej.

Jest to starożytny obraz, przedstawiający śmierć i wniebowzięcie Marji. Podług tradycji już w czternastym wieku ten obraz w cudowny sposób przeniósł się z Węgier tu do Starejwsi, gdzie biskup z Przemyśla r. 1399 kaplicę mu wybudował, a drugi biskup przemyski Aleksander Fredro r. 1726 wystawił mu wspaniały marmurowy kościół, do dziś dnia stojący, wyposażył go i oddał Ojcom Paulinom z Częstochowy. Cesarz Józef II r. 1784 Paulinów wypędził. Roku 1821 kościół ten z cudownym obrazem dostał się w ręce Jezuitów z Białorusi wygnanych. Co rok na 15 sierpnia i 8 września schodzą się tu niezliczone tłumy pielgrzymów, zwłaszcza Słowaków z pobliskich Węgier, gdzie ten obraz pierwotnie był czczony jako cudowny.

Modląc się przed tym starożytnym a cudownym obrazem, błagałem Pocieszycielkę utrapionych, by mi swojem u Boga wstawiennictwem uprosiła pomoc i moc mężnego zniesienia tych nowych cierpień, udręczeń i upokorzeń. I co bez pomocy Boskiej byłoby mi istotnie trudnem, ba, wprost niemożliwem do zniesienia, to za łaską Bożą stało mi się łatwem, lekkiem i znośnem. Nietylko z cierpliwością, ale i z ochotą i weselem ducha przechodziłem ten drugi a długi nowicjat. Chociaż pokracznym był ten drugi nowicjat od samego początku.

Zaraz na samym wstępie różne poczwary i pokraki ze mną wyprawiano. List prowincjała z dnia 14 września 1891 wspominał wyraźnie o „odbyciu nowicjatu", nic więcej. A tu kazano mi odbyć jeszcze i aspiranturę i kandydaturę, dodając mi do boku anioła Wolszlegiera. Ze mną więc widocznie trzymano się tej zasady przewrotnej: odia sunt amplianda, favores sunt restringendi, ażeby jak najmniej względów a jak najwięcej nienawiści mi okazać.

Nienawiść złem cudzem się chłodzi,
Choć jej to samej równo szkodzi.

Nienawidzieć, od łacińskiego invidere, znaczy nie widzieć kogoś, nie chcieć go na oczy widzieć, czyli nie patrzeć na niego łaskawem okiem. Tak czynili teraz i prowincjał Mycielski i exprowincjał Jackowski, który z rektora w Chyrowie nagle stał się moim magistrem nowicjuszów w Starejwsi. Podczas gdy dawni koledzy widzieli we mnie starego znajomego, który w obronie swego powołania walczył do upadłego, bo aż do samego generała pojechał, to przełożeni tymczasem nie chcieli we mnie nic z tego widzieć, owszem traktowali mnie, jakby mnie wcale nie znali ani z nazwiska, jako zupełnie „nowego", jako „nowicjusza" w całem tego słowa znaczeniu. „Nienawidzenie" to oczywiście musiało się wikłać w sprzecznościach. Bo przełożeni dobrze znali mnie jako tego, który, by nie utracić swego powołania, pojechał aż do samego generała. Ale właśnie dlatego, że znali mnie jako takiego, nie chcieli mnie teraz wcale znać, ale że śmiałem postawić na swojem a przez to „ich i władzę" skompromitowałem. Do nienawiści więc przyłączyła się mściwość.

Wszystko to całkiem naturalnie i logicznie wypływało z tej jednej złej zasady, mianowicie z autokratycznego pojmowania władzy. Przełożeni myśleli, że gdyby przyznali się do fałszywego kroku lub mylnego wyroku, to już temsamem skompromitowaliby władzę. Takie przekonanie było powszechne u władców w Europie.

Tu mi staje żywo przed oczami postać starego misjonarza jezuity ks. Kamińskiego, którego niestety nie zastałem już żywego w Starejwsi. Przed pięciu laty był on naszym ojcem duchownym na scholastykacie. Dawniej jako misjonarz bywał po różnych krajach i znał zwłaszcza rządowe koła naszych zaborców. A znał te rządowe koła jako mocno zardzewiałe autokratyzmem czyli pogańskiem a nie chrześcijańskiem pojmowaniem władzy. Piastunowie władzy w Europie uważają się za półbożków. A i ludzie temu winni, bo im cześć bałwochwalczą oddają jako bożkom, jako bałwanom, niskiemi pokłonami i podłą uległością. Cała Europa przepełniona jest takimi bałwanami, na wysokich piedestałach stojącymi. Kto te bałwany obali i pokruszy? — pytał ks. Kamiński w swojej przemowie do nas scholastyków, gdy nam pewnego wieczoru punkta do medytacji dawał. I wtedy nagle uniósł się na katedrze, wstał z krzesła, podniósł do góry ręce, twarz miał rozpłomienioną a oczy iskrzące i jakby jasnowidzące przyszłość. I w takiej postawie powiedział do nas te pamiętne słowa:

— Ja stary wnet do grobu zstąpię. Ale wy młodzi doczekacie się tych czasów, kiedy to z Ameryki do Europy całemi okrętami przysyłać będą misjonarzy dla obalenia tych bałwanów pogańskich i nawrócenia rządów europejskich na wiarę chrześcijańską!...

Tych prawdziwie proroczych słów ks. Kamińskiego nigdy w życiu nie zapomnę. Albowiem tkwiła w nich wielka prawda. Taki autokrata czyli samowładca europejski, skrzywdziwszy jaką osobę czy zbiorową (naród) czy pojedyńczą, nie myślał o naprawieniu krzywdy, bo to uważał za ubliżenie i sobie i władzy, jaką piastował. Owszem myślał, że starą krzywdę pokryje nową krzywdą, czyli że złe złem naprawi, nie pamiętając o tem, że na moc złego jest moc dobrego, jak Mickiewicz powiedział. A pokrzywdzony, który śmiał upominać się o swoje prawa, był w oczach autokraty człowiekiem pysznym, zarozumiałym i buntowniczym! Autokrata bowiem uważał się za Boga samego, za „władzę samą", za „samowładzę"! Jako taki oczywiście musiał myśleć, że nigdy się nie mylił. A w takiem myśleniu utwierdzali go liczni pochlebcy, którymi każdy autokrata zwykł się otaczać i którym zwykle przyjacielski posłuch dawał. Autokratów na świecie Pan Bóg nie stworzył; autokratów, podobnie jak bałwanów, ludzie sami sobie potworzyli.

Człowiek nie jest materją, rośliną i zwierzęciem tylko, ale jest także istotą myślącą. I o tyle jedynie jest ktoś człowiekiem, o ile myśli, a nie o ile egzystuje, wegetuje i czuje. Otóż ten niesłychany w dziejach Towarzystwa fakt drugiego formalnego nowicjatu, fakt głośny na całą prowincję galicyjską, dawał wielom wiele do myślenia, mianowicie:

Albo moja dymisja była ważną, albo nieważną. Gdyby była ważną, to pewna rzecz, że mnie napowrót by nie przyjmowali, bo nikt nie może do Towarzystwa wstępować po raz drugi. Tę prawdę sam generał poświadczył mi na piśmie. Jeśli zaś moja dymisja była nieważną, to dlaczego dają mi drugi nowicjat? Żeby wypróbować moje powołanie? Ależ to byłoby śmiesznem. Żeby wypróbować moją rzekomą „rapt gwałtowność" charakteru? Ależ z tego już także każdy się śmiał.

Jednak nic bez racji się nie dzieje. Jedyną więc racją drugiego nowicjatu mogła być nienawiść i mściwość za to, że śmiałem udać się aż do generała po sprawiedliwość, a przez to skompromitować władze prowincjonalne. To było przyczyną sprawczą. A przyczyną celową tego drugiego pokracznego nowicjatu było według jednych, żeby za tym parawanem ukryć kompromitację władzy; według drugich zaś, żeby zmusić mnie do opuszczenia Towarzystwa.

— Nie mogli go wyrzucić, chcą go teraz **wykurzyć.** Chcieli go przez dymisję wyrzucić z Towarzystwa, ale im się nie dał. Więc go teraz próbują drugim nowicjatem **wykurzyć** z Towarzystwa. Poco on jeszcze siedzi w Towarzystwie, kiedy rzecz jest aż nadto widoczna, że przełożeni nie chcą go mieć w Towarzystwie?

Poco ja wogóle wracałem jeszcze do Starejwsi i siedziałem tak długo w Towarzystwie? Na takie pytanie miałem gotową odpowiedź starożytnego filozofa Arystotelesa. Arystoteles, zapytany razu pewnego, dlaczego w towarzystwie pięknych ludzi długo przesiadywać lubi? odpowiedział:

— Typhlou to erotema, ślepego to pytanie. Bo chyba ślepy tego nie widzi, że w towarzystwie pięknych ludzi siedzi się długo dlatego, że takie towarzystwo miłem jest i miłości godnem.

A takiem było dla mnie Towarzystwo Jezusowe. Prawda, że autokratów, czyli półbogów, jak ich nazwaliśmy, w niem nie brakło; ale gdzież ich nie było w Europie? Towarzystwo Jezusowe było bądźcobądź towarzystwem ludzi pięknych, bo czystych

a światłych. Dziesięć lat siedziałem u jezuitów, a nie widziałem ani nie słyszałem u nich nic nieskromnego, nic dwuznacznego nawet w żartach. A przytem byli to ludzie światli. O, jak pięknem jest towarzystwo ludzi czystych a światłych! O quam pulchra est casta generatio cum claritate! (Księga Mądrości, rozdział 4, 1.) Moje przywiązanie do tego Towarzystwo było mocnem, potężnem i niekłamanem. Żeby tego Towarzystwa nie utracić, gotów byłem stanąć do walki ze wszystkimi piastunami władzy, ba, nawet z światem całym.

Z jedną tylko potęgą nie walczyłem, bo walczyć nie mogłem, a to z potęgą własnego sumienia. Gdyż walka z własnem sumieniem byłaby i daremną i niegodziwą. Walczyłem tedy długo aż do upadłego z wszelkiemi innemi potęgami; ale skoro przyszło nareszcie do walki ze sumieniem, przed tą potęgą bez namysłu odrazu skapitulowałem.

Jak nawet do tego przyjść musiało, zobaczymy to w dalszym ciągu.

27. Nowi nowicjusze. — Sześć wielkich prób. — Peregrynacja czyli piesza wędrówka po świecie.

Nie zbiegiem okoliczności, lecz zrządzeniem Bożem w moim nowym nowicjacie w Starejwsi spotkałem się oko w oko z tym, który mnie pierwszy porywczo i dorywczo osądził za owo uderzenie kleryka w Chyrowie. Mianowicie ten sam ks. Henryk Jackowski, który ośm miesięcy temu był moim rektorem w Chyrowie, był teraz tu w Starejwsi moim magistrem nowicjuszów. Tak więc był on teraz znowu moim bezpośrednim przełożonym.

A właściwie nie on.

Bo bezpośrednim przełożonym był manuduktor, czternastoletni Cebula, wobec mnie mały jak palec a dokuczliwy jak padalec. Myślę, że nie z własnego popędu takim był. Tylko, że wobec mnie musiał takim być. Rozkazywał mi z miną generała; ale mnie weterana nigdy z równowagi wyprowadzić nie zdołał. Wszelako jeśli gdzie, to tu właśnie, gdyby istotnie była we mnie owa niepohamowana „rapt gwałtowność", jaką mi zarzucano, to pewnikiem musiałbym wybuchnąć. Ten młodziutki Cebula, którego ks. Jackowski raczył zrobić moim przełożonym, wystąpił potem z Towarzystwa, ożenił się z Polką (pisał do mnie) i zmarł przedwcześnie tu w Ameryce. W każdym razie nie tak źle postąpił, jak ten drugi faworyt ks. Jackowskiego, który mię w Chyrowie fałszywie denuncjował.

a któremu ks. Jackowski dał prędki przyjacielski posłuch: ten bowiem wystąpił z Towarzystwa już jako ksiądz, ożenił się z Niemką i jest dziś pastorem luterskim w Texas, a dzieci jego szwargocą tylko po niemiecku.

Zresztą manuduktor Cebula, trzeba mu to przyznać, nie rozkazywał nic przeciwnego przykazaniom Boskim lub kościelnym. Więc mu byłem we wszystkiem ślepo posłusznym.

O ślepem posłuszeństwie jezuickiem trzeba mieć dobre pojęcie. Być ślepo posłusznym to nie znaczy słuchać nawet w tem, co jest grzechem. To znaczy tylko zamykać oczy i nie patrzeć na to, czy piastun władzy jest młody czy stary, uczony czy prostak, bogaty czy ubogi. Pod temi tylko względami posłuszeństwo ma być ślepem, ale nigdy przenigdy ze względu na grzech. Generał jezuicki ślubuje Papieżowi ślepe posłuszeństwo. A jednak, gdy papież Klemens XIV kazał generałowi Ricci roku 1773 zmienić konstytucję Towarzystwa, generał śmiało odparł Papieżowi: Sint ut sunt, aut non sint! Jezuici niech będą takimi, jakimi są, albo niech wcale nie będą!

W nowym nowicjacie spotkałem się z nowymi nowicjuszami. Byli nimi: Haendel, Dobrzyński, Wolszlegier, Józef Mieloch, Schmitz, Szmyd, Chęć, Rutowski, Haniewski, Szczudło, Dąbrowski, Kartte, Mosz, Rudzki, Kłopocki, Tarnawski, Nikiel, Kowalski i Mollo, znany w Ameryce misjonarz; Bielecki także znany w Ameryce misjonarz; Cebula, Rejowicz Jarosław i Władysław; Szczepański, sławny pisarz i tłumacz sharmonizowanych ewangelji pod tytułem „Bóg Człowiek"; Kuryłło, Golla, Kohl, F. Nowak, Klein, Skórka, Gajewski, Mrozek, Rudnicki, Kargol, ksiądz Wilhelm, ślązak, którego uczyłem gramatyki polskiej; Chodziewicz, Last but not least Włodzimierz Ledóchowski, dzisiejszy generał jezuicki, był podówczas także jeszcze nowicjuszem. Włodzimierz Ledóchowski był między nami poważany nie tyle jako krewny kardynała ile jako uosobienie cnót kardynalnych roztropności, sprawiedliwości, umiarkowania i męstwa, bez których żadna inna cnota ostać się nie może. U Boga niema przypadków. Było to opatrznościowem, że mój człowiek w nowym nowicjacie z takimi nowymi nowicjuszami się spotkał. Znaleźli się wkońcu i tacy co byli uczniami w Chyrowie, kiedy ja tam byłem magistrem. Niebywały mój drugi nowicjat kazał im się domyślać niebywałej zbrodni, jakiej się dopuściłem. Ale i to największe upokorzenie przy pomocy Boskiej było łatwem do zniesienia dla mnie weterana.

Przyszło do tak zwanych sześć prób wielkich. Pierwszą były wielkie rekolekcje, trwające od 28 grudnia 1891 do 28 stycznia 1892. Rekolekcje te przez ks. Jackowskiego dawane, dla mnie były prawdziwą biesiadą duchową. Ks. Jackowski był mistrzem w dawaniu nauk rekolekcyjnych. Ks. Jackowski o ile jako przełożony był porywczy, o tyle jako mówca był porywający. Jego nauk z przyjemnością się słuchało.

Inne próby to były posługi w infirmerji, zakrystji, refektarzu i kuchni. Każde trwały miesiąc. Szóstą i ostatnią próbą także przez miesiąc trwającą była peregrynacja.

Co to jest peregrynacja?

Otóż wysłano nas po trzech — tres facient collegium — każdą trójkę w inną stronę świata. Jednych do Nowego Sącza blisko Tatr, drugich aż pod Sandomierz, trzecich pod Lwów, innych pod Stanisławów i tam dalej. Peregrynacja była to wędrówka piesza, ma się rozumieć, per pedes apostolorum, na wzór apostołów wysłanych przez Chrystusa. Nie dano nam na drogę żadnych pieniędzy ani żadnej żywności, dano nam torbę, zawieszoną przez ramię; a w torbie była tylko co najpotrzebniejsza bielizna, igła i nitki. Z torbami puszczono nas w świat. Taka piesza wędrówka w długich plątających się u nóg sutannach, z torbą i togą czyli paltem na ramieniu, była trudna i uciążliwa.

Jaki był cel tej pieszej pielgrzymki, zwanej peregrynacją? Cel był ten, żeby człeka wyćwiczyć. Bo jak już mówiłem, Jezuici uczą przez ćwiczenie. A w czem miała nas wyćwiczyć peregrynacja taka? Otóż przedewszytkiem w ufności w Opatrzność Boską; byśmy się namacalnie przekonali, że P. Bóg nad człowiekiem czuwa zawsze i wszędzie. W murach kolegjum siedząc, mieliśmy nad sobą opiekę przełożonych, którzy nas opatrywali we wszystko co potrzeba. Ale na peregrynacji nie mieliśmy tej opieki, lecz byliśmy pozostawieni Opatrzności Boskiej.

Drugim celem peregrynacji było ćwiczenie w pokorze. Bez pieniędzy, z torbą dziadowską iść w świat, to wcale nie schlebiało naturalnej dumie człowieka. Usposobienie kleru i schlachty było dla nas dobre, bo oni to rozumieli, że tylko dla próby z torbami nas wysłano. Ale najbardziej nam dokuczali lokaje i fornale, gdy widzieli nas z torbami. Ci szyderczem okiem spoglądali na nas jak na dziadów wędrownych. A i niejeden ksiądz żartował sobie z nas: To Jezuici z torbami na żebry idą! Drwił nieraz i dojadał nam do żywego. Trza było nam się uzbroić w cierpliwość od stóp do

głowy. Czasem proboszcz, zamiast pieniędzy, dał prosiaka w podarunku. I prosiak to dar Boży; a nam żadnym darem Bożym nie wolno było gardzić. Dona Dei non suat spernenda. Trzeba było pędzić prosiaka środkiem drogi przed sobą ku wielkiej uciesze fornali przejeżdżających i dzieci przechodzących a kobiet z okien wyglądających: i tak przez całą drogę powrotu aż do kolegjum.

Trzecim celem peregrynacji było wyćwiczyć nas w posłuszeństwie, miłości bliźniego i w ogole zahartować człowieka w cnotach rozmaitych. — Trójki bowiem wysyłane na peregrynacje, były z umysłu niedobranem towarzystwem. To znaczy, naumyślnie dobierano takich, którzy nie sympatyzowali ze sobą lecz przeciwnie czuli antypatje do siebie. I każdej trójce dawano takiego przełożonego, któremu trudno było być posłusznym. Jednem słowem, cnoty posłuszeństwa i miłości bliźniego były na peregrynacji wystawiane jak na największą próbę. I moja „niepohamowana gwałtowność", o jaką mnie oskarżono, byłaby wybuchła niechybnie, — gdyby jeno była we mnie. Ale nie wybuchała; bo jej nie było we mnie; była ona tylko w źle poinformowanej wyobraźni przełożonych.

Trójka peregrynacyjna, w skład w której ja wchodziłem, składała się ze ślązaka nazwiskiem Polke, z galicjanina nazwiskiem Szczudło i ze mnie poznańczyka. Polke był prefektem, Szczudło skarbnikiem, a ja duchownym z urzędu. Polke jako przełożony dzierżył klucze władzy nad nami; Szczudło nosił worek z pieniędzmi, a ja obrok duchowny. Obaj ci towarzysze moi byli jeszcze chłopakami wiekiem o dziesięć lat młodszymi odemnie; ale że byli mojemi przełożonymi, więc patrzałem na nich jako na swoich starszych. Rozumne posłuszeństwo jest ślepe, ile że nie ogląda się na wiek przełożonego. A iluż to starych parochów musi słuchać młodziutkiego biskupa!

Dokąd i jak daleko iść mamy, nikt z nas na razie nie wiedział. Polke, jako przełożony, otrzymał tylko paczkę listów zapieczętowanych i ponumerowanych liczbami porządkowymi. Dopiero gdy przestąpiliśmy próg kolegjum, wolno mu było otworzyć list numer pierwszy, który wskazywał nam pierwszą stację naszą. List numer drugi, który wskazywał drugą stację, wolno mu było otworzyć dopiero gdyśmy już z pierwszej stacji wyszli. I tak dalej.

28. Peregrynacja ze Starej Wsi wzdłuż Karpat do Nowego Sącza.

Otóż więc w drugiej połowie wiosny dnia 17 maja roku 1892 przed południem opuściliśmy kolegjum starowiejskie. Polke. Szczudło i ja, wybierając się na peregrynację czyli pieszą wędrówkę po świecie. Wyszło tych trójek nie pamiętam już ile i rozeszło się w rozmaitych kierunkach. Każda trójka, odpieczętowawszy list numer pierwszy, poszła w inną stronę świata. Nasza trójka z prefektem Polke na czele, wyszedłszy poza próg kolegjum, otworzyła kopertę numer 1 i wyczytała: Kombornia probostwo. To znaczyło, że mamy iść do Kombornii jako do pierwszej naszej stacji, i tam się zatrzymać u proboszcza — jak długo — to już zależało od gościnności danego proboszcza.

Ale która droga najprostsza do Kombornii? Moi towarzysze jej nie znali, a ja także jej nie pamiętałem. Trzeba było wypytywać się po drodze. Szliśmy najpierw do willi naszej. Stamtąd ruszyliśmy przez las dalej ku otwartym polom. Okolica górzysta. Deszcz wiosenny zaczął lać jak z wiadra. A my nie mieli parasoli ze sobą. Bo jakżeby to dziady z torbami wyglądały z parasolami? — Więc zaraz pierwszego dnia peregrynacji zmokliśmy do suchej nitki. Ale to nic. To nie ostatni raz, to się częściej miało zdarzyć. Ku wieczorowi doszliśmy głodni i chłodni, zmoczeni i zbłoceni do Kombornii, wsi prastarej, w której kościół z drzewa modrzewiowego zbudowany został bodaj za czasów Kazimierza Wielkiego. Cmentarz był także modrzewiami obsadzony. Przenocowaliśmy na plebanji u proboszcza jeśli się nie mylę ks. dziekana Jastrzębskiego.

Nazajutrz 18 maja po majowem nabożeństwie, wyszedłszy z plebanji, otworzyliśmy kopertę numer 2 i wyczytaliśmy Korczynę jako następną stację, do której pieszo zdążać mieliśmy. A gdzie ta Korczyna? Szukaj znowu drogowskazu albo raczej pytaj ludzi, bo drogowskazy wówczas były rzadkie. Korczyna to miasteczko w miejscu bagnistem położone. Gniazdo rodzinne ks. Pelczara, biskupa przemyskiego. W Korczynie u kanonika ks. Jana Szałaja były nudy.

Otworzyliśmy kopertę numer 3. Stało: Odrzykoń. W Odrzykoniu ks. kanonika Gliwy nie zastaliśmy w domu, ale za to ks. wikary pokazywał nam kościół śliczny w stylu gotyckim i stare zamczyska Kamienic wyższy i niższy. Następną naszą stacją po otwarciu koperty nr. 4 okazała się Bratkówka, gdzie u pana hrabiego Starowiejskiego zagrzaliśmy się kwaśnem mlekiem. Bawiła

tam właśnie komisja nafciarzy. Idąc do Ustrobni, już w dekanacie Jasielskim, gdzie był syn hrabiego, widzieliśmy liczne i śliczne figury święte przy drodze.

Tegoż dnia wieczorem stanęliśmy w Krośnie u OO. Franciszkanów na nocleg. Gwardjan ojciec Serwin — przyjmował nas gościnnie. Z klasztoru był widok piękny; tuż u stóp klasztoru płynęła rzeka Wisłok, a dalej w okolicy widniały liczne wieże naftowe. Dotychczas mieliśmy ciągłe deszcze. Dnia 19 maja 1892 rano wypogodziło się. Po sutem śniadaniu, jakiem OO. Franciszkanie nas uraczyli, obejrzeliśmy piękny ich kościół w stylu gotyckim i kaplicę Oświęcimów. Potem zwiedziliśmy OO. Kapucynów kościół z facjatą wspaniałą i wielkim ołtarzem, którego kolor był kolorem habitu kapucyńskiego.

Po drugiem śniadaniu zasiadłem tu do pisania listów do Starejwsi, mianowicie do rektora ks. Rothenburgera. Takie listy z peregrynacyi trzeba było pisać przynajmniej co drugi dzień. Mój człowiek pisał tych listów dużo, opisując szczegółowo wszelkie wrażenia i przygody z peregrynacyi. Listy moje, jak się później dowiedziałem, czytano na głos ku wielkiej uciesze wszystkich. Szkoda, że ich nie mam pod ręką, a tylko suche fakta w dzienniczku.

Pamiętam w mieście Krośnie był wtedy ośmdziesięcioletni starzec ks. kanonik Wodziński. Gdyśmy weszli do plebanii, zastaliśmy go piszącego i tak w tem pisaniu zatopionego, że nas do jego pokoju wchodzących długo nie zauważył, dopiero gdy mu nad uchem wrzasnęliśmy „Pochwalony Jezus Chrystus,“ wtedy dopiero obejrzał się, skoczył z krzesła i przywitał nas serdecznie wołając:

— Mospanie, witam peregrinantes, mospanie!

Ale nie nudził nas, jeno zaraz do swej kasy szedł i mówił:

— Pro posse restauramus dominum nostram. Na dom starowiejski, na kościół trza dać, bo się niedawno spalił.

Już sześć lat upłynęło jak się kościół w Starejwsi spalił. Ale u długowiecznego staruszka było to „niedawno“, gdyż u starych lata płyną jak miesiące.

Z Krosna szliśmy przez Blankę, Dobieszyn i Borek do Jedlicz, gdzie nas ksiądz kanonik Janicki poczęstował kawą i przeprawił furą przez rzekę Jasiółkę. Dalej idąc przez Mencinkę i Moderówkę zaszliśmy do Tarnowca. Tu w okolicy po drodze widać same figury św. Florjana. — Tarnowiec był siedzibą pań-

stwa Kamieńskich. Ich Mundzio utkwił mi w pamięci. Tarnowski kościół z galerjami miał cudowną statuę.

Były reguły dla pielgrzymujących, które jako duchowny codzień czytałem i tłumaczyłem. Szliśmy stale ale powoli, pamiętając na włoskie przysłowie:

Chi vá piano,
Va sano
E lontano.

To znaczy: kto idzie powoli, ten idzie zdrowo i zajdzie daleko. Zwłaszcza, gdy było gorąco, wtedy szliśmy bardzo powoli i najwięcej drogi robiliśmy rano i nad wieczorem. W południe wolno było odpoczywać. Wymierzyliśmy sobie drogę według najsłabszego z nas, albo według najkrótszych nóg. Szczudło miał długie nogi i szedł jak na szczudłach, trza go było powstrzymywać. Kto był spragniony w drodze, musiał zaczekać kwadrans, zanim mógł pić, poczem szedł zaraz dalej. Zgrzani nie wchodziliśmy do miejsca cienistego i chłodnego. Zostaliśmy najprzód na słońcu. Usiedliśmy, jeśli sucho było, najlepiej na pniaku. A nigdy na gołej wilgotnej ziemi. Podług reguły, peregrynujący mieli iść pieszo. Nie wolno było prosić o konie, ani dawać znać, że chciałoby się jechać. Lecz jeśli proboszcz sam z własnej woli dał konie, to jazda! Mieliśmy jeść i pić co nam kto dał. Ale wina nie więcej jak dwa kieliszki, a piwa nie więcej jak dwie szklanki na jeden raz. Wódki wcale nie przyjmowaliśmy, choć nam ofiarowano. W drodze często w rzekach kąpiel braliśmy, jeśli nie całą, to nożną. Czasem milami szliśmy boso we wodzie, gdy jaka rzeka górska po drodze nam biegła. Góry karpackie piętrzyły się coraz wyżej. Szliśmy stale ku zachodowi. Stąd miarkowaliśmy, że ostateczną metą peregrynacji będzie Nowy Sącz. Ale na pewno jeszcze nie wiedzieliśmy. Bo co tam za stacje w dalszych kopertach naznaczone były? Naprzód otwierać, broń Boże! Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Przenocowawszy u ks. kanonika w Tarnowie, nazajutrz po obiedzie jechaliśmy furą do Dembowca, gdzie proboszczem był ks. prałat Jan Kopystyński, jubilat, krewny naszego scholastyka Pykosza. Krajobrazy tu śliczne i rozległe. Jechaliśmy znowu dalej do Cieklina, gdzie kanonik z lirą w ręku siedział. Z tego Cieklina uciekliśmy też czemprędzej przez Cieklinkę nogi a pas ku Bednarce. Tu już weszliśmy w okolice przez Rusinów za-

mieszkałe. Bednarka, to rusińska wieś. Mówię rusińska, a nie ruska, gdyż „ruska“ u Rusinów znaczy rosyjska wieś.

Uciekłszy z Cieklina, z otworzonej koperty dowiedzieliśmy się, że następną stacją naszą jest Kobylanka. Ale gdzie ta Kobylanka? Na razie trudno było się wywiedzieć. Kroczyliśmy przez Bednarkę, Rozdziele i Krug pośród Rusinów. Rusini z chałup patrzeli na nas z podełba jak na rarogów. Spragnieni zboczyliśmy raz do chałupy po kwaśne mleko. Dzieci co tchu uciekały przed nami, jakby dzikie. A gdyśmy weszli do chałupy, już były pod łóżkiem, skąd głowy swe wytykały na nas. Mleka nie było dla nas.

Po drodze pytaliśmy:

— A daleko stąd do Kobylanki?

— O, tak dobrą godzinkę.

Szliśmy dalej z godzinę i pytaliśmy drugiego chłopa:

— A daleko stąd do Kobylanki?

— Będzie tak dobrą milę.

Uszliśmy milę i znowu pytaliśmy przejezdnego:

— A daleko stąd do Kobylanki?

— Będzie tak z godzinę drogi.

Postąpiliśmy naprzód znowu milę, ale tej Kobylanki jak nie widać, tak nie widać. Zaczęliśmy już wątpić, czy jesteśmy na dobrej drodze do Kobylanki. Spotkawszy znowu chłopa, jadącego wozem, zapytaliśmy:

— Czy ta droga prowadzi do Kobylanki?

— Rycht prosto.

— A daleko jeszcze do Kobylanki?

— Milka, może trochę mniej, może trochę więcej.

Idziemy dalej. Słońce już było zaszło i na dobre ciemno się robiło. Jeszcześmy nigdy po ciemku nie zachodzili do stacji. Po półgodzinnym marszu jeszcze ciemno wszędzie i głucho wszędzie, a wsi nie widać. Nareszcie w dali ujrzeliśmy światło w chałupie przy drodze. Ano, to pewno Kobylanka. Zbliżaliśmy się do tej chałupy. Atoli dziwno nam było, że poza tą chałupą żadnego innego światła widać nie było. Więc wstąpiliśmy do niej dla wywiadu. Przez sień wszedłszy do izby, gdzie światło widziałem, zaraz na progu wdepnąłem w coś miękkiego, ano w krowie łajno. W tej izbie bowiem po lewej stronie leżały krowy z cielętami, a po prawej na barłogu matka z dziećmi, w jednej i tej samej „izbie“ a raczej pół izbie i pół oborze.

— Czy tu już wieś Kobylanka?

— Nie, do wsi jeszcze kawał drogi.

Marsz naprzód wśród ciemności. Niebo było pochmurne, ani gwiazdki widać nie było. Ciemno, że z nas ledwie jeden drugiego widział. Ale pocieszała nas ta pewność, że przynajmniej na dobrej drodze jesteśmy. Jeszcze pół godziny minęło, zanim gdzieś w głębi zabłysło światło, najpierw jedno, potem drugie, trzecie i coraz więcej. To już pewnikiem Kobylanka przed nami! Jakoż nie omyliliśmy się. Wchodziliśmy rzeczywiście do Kobylanki. Na około w chałupach światła były widne. Podług listu naszą stacją miało być probostwo. Więc rzekłem:

— Uważajcie, gdzie kościół stoi.

Każdy z nas się rozglądał, aż nareszcie Szczudło zawołał:

— Tam wieżę widać.

Rzeczywiście było tam widać wieżę, więc zeszliśmy z drogi i wprost przez łąkę szliśmy do tej wieży, myśląc że to kościół a przy kościele plebanja, w której mamy stanąć. Łąka była grzęska i bagnista, ale to nic, byleśmy czemprędzej doszli do kościoła i plebanji. Zbliżyliśmy się już do tej wieży na jakie dwieście kroków, gdy wtem Polke zauważył:

— To nie kościelna wieża, to wieża naftowa!

I w rzeczy samej tak było. Dopiero u tych nafciarzy dowiedzieliśmy się, gdzie kościół i plebanja. Późno w nocy stanęliśmy na plebanji. Ale poczciwy proboszcz nie pomnę już jego nazwiska, przyjął nas nader gościnnie. Miał właśnie gości w plebanji, więc dla nas łóżek nie starczyło. Lecz bardzo wygodną pościel z grochowin nam sprawił. Po długiej pieszej podróży spaliśmy na tych grochowinach tak smacznie jak jeszcze nigdy w życiu. A nazajutrz nie pozwolił nam iść dalej pieszo, lecz kazał dla nas zaprządz dwie kobyły do woza. I tak z Kobylanki wyjechaliśmy kobyłami do następnej stacji, — którą były Gorlice.

W Gorlicach oglądaliśmy śliczny kościół w stylu gotyckim. Niestety ten nowy kościół zburzony został podczas tej wojny wszechświatowej, jak to czytaliśmy w telegramach. W Gorlicach przypomina mi się tylko wikary ks. Kraus. Z Gorlic jechaliśmy także furą do następnej stacji, którą był Szymbark. Tu obejrzeliśmy zamek warowny i znowu furą jechaliśmy do następnej stacji. Była nią Ropa. A w tej Ropie była rzeczywiście ropa czyli nafta, kerosyna, gazolina. Proboszczem był tu ks. Łuszeski. Do szkółki w Ropie uczęszczał jezuita, ks. Załęski, najpopular-

niejszy ze wszystkich pisarzy jezuickich. Do dworu szliśmy pieszo, tam Hełmn pośrodku dwóch chmur.

Doszliśmy do Grzybowa, gdzie ks. kanonik Jaworski był proboszczem. Ten odwiózł nas na dworzec kolejowy i wśród ślicznych krajobrazów przez Ptaszówkę i Kamionkę dojechaliśmy koleją do Nowego Sącza w sobotę 21 maja 1892. Nowy Sącz był ostateczną metą naszej peregrynacji. Stąd mieliśmy zawrócić do Starejwsi, tylko inną drogą. Jaką? To było tajemnicą dalszych kopert, których nie mieliśmy i nie śmieliśmy naprzód otwierać. Czytelnik dowie się w dalszym ciągu, jaką drogą wracaliśmy napowrót do Starejwsi, tej kolebki jezuickiej, w której noworodkom a nie weteranom przystało spoczywać.

29. Powrotna peregrynacja z Nowego Sącza przez Cieszkowice, Tuchów, Tarnów i Pilzno do Starejwsi.

Przełożony domu jezuickiego w Nowym Sączu przetrzymał nas przez niedzielę, dni krzyżowe, Wniebowstąpienie Pańskie i przez następną niedzielę. Byliśmy teraz pod jego juryzdykcją. Bez jego rozkazu nie mogliśmy się dalej ruszyć. Pozwolił nam dobrze wypocząć, bo — mówił — macie jeszcze bardzo długą powrotną drogę przed sobą, daleko dłuższą od tej, którą dotychczas przebyliście. Pozwolił nam obejrzeć Nowy Sącz, zwiedzić Stary Sącz i rozglądnąć się w całej tej prześlicznej okolicy pod Tatrami. Już z Grzybowa do Nowego Sącza jadąc koleją wężykowato się pnącą pod góry, zauważyliśmy piękne i malownicze krajobrazy, że niczem włoskie wobec nich. A tu koło Nowego Sącza okolica jeszcze bardziej urozmaicona. Tu faliste pagórki, tam równina; tu niebotyczne góry, tam dolina, którą bystry Dunajec płynie. Z mostu na Dunajcu mieliśmy cudny widok na śnieżne szczyty Tatrów w dniu słonecznym i pogodnym. Poszliśmy do Starego Sącza pomodlić się u grobu św. Kingi, której zgonu sześćsetną rocznicę właśnie obchodzono. Przełożona Marja Żmigrodzka, rodem z Krosna, pokazywała nam pamiątki historyczne. Do państwa Szyrajewów wstąpiliśmy. Zwiedziliśmy Dąbrówkę polską, Bogucice i cmentarz, Piekło, Chełmice, Paściogórę, Biczyce, Załubieniec. Dni były pogodne i skwarne. Byliśmy w Zabełczu u Dumany; z księdzem Fr. Piwernetzem w Piątkowej Chruślicy, gdzie nas maślanką i kawą uraczono.

W Nowym Sączu oglądaliśmy kościół farny, w którym niegdyś proboszczem miał być czeski ksiądz Mahaczek, słynny

z komicznych kazań i gryzących dowcipów. Raz wszedł na ambonę i opowiadał, jako mu się śniło, że stanął na sądzie Bożym i nikogo z parafjan swoich w niebie nie widział. Pan Bóg, żądając sprawozdania z duszpasterstwa jego, zapytał go: Mahaczku, Mahaczku, a gdzie są twoje owieczki? Mahaczek milczał. Ale gdy go Pan Bóg po raz drugi i trzeci zapytał, nareszcie odpowiedział: Panie, ja nie byłem pasterzem owieczek, ja byłem pasterzem świń. Taki komplement oczywiście wywołał wielkie oburzenie wśród parafjan.

Drugi kościół należy do Jezuitów, a należał kiedyś do Norbertanów. Jest to kościół św. Ducha, fundowany jeszcze przez króla Władysława Jagiełłę roku 1409. W wielkim ołtarzu stary obraz Matki Boskiej Pocieszenia z 16 wieku. Ołtarz i prezbyterjum w stylu gotyckim a nawa w romańskim. W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego asystowałem tu jako subdjakon na sumie. Koło domu mają Jezuici obszerny ogród i młyn. W mieście żyła pani Załęska, matka wielkiego mówcy i dziejopisarza księdza Załęskiego. Ta nas zaprosiła na kawę do siebie. Nikt tak dobrej kawy nie umiał przygotować jak pani Załęska. Była to prawdziwie polska matrona, poważna i gościnna a rozmowna i dowcipna. W toku rozmowy z nią potrąciłem o higjenę i doktorów. Mówiła, że do doktorów nabożeństwa nie ma; że są niepotrzebni do zachowania zdrowia i słuchać ich nie trzeba. Zwróciłem jej uwagę, że przecież sam św. Ignacy Lojola, założyciel Jezuitów, osobną regułą nas zobowiązał, byśmy byli posłuszni doktorom. Na to pani Załęska odpowiedziała mi dowcipnie:

— Św. Ignacy nie był jeszcze świętym, kiedy tę regułę o słuchaniu doktorów napisał.

Nareszcie 30 maja 1892, w poniedziałek przed Zielonymi Świątkami, przełożony kazał nam wyruszyć z Nowego Sącza w dalszą drogę peregrynacyjną. Mijaliśmy Mszakicę, Ciśniawę, Strzeżewieś, Strzylawkę. Pierwszą stacją naszą miała być Krużlowa. Ale tu proboszcza nie zastaliśmy, więc bez obiadu ruszyliśmy do następnej stacji, do Korzenny, gdzie ks. proboszcz Markiewicz w nowej plebanji dał nam podwieczorek suty. Następną stacją były Siedlce, gdzie trafiliśmy na majowe nabożeństwo a ksiądz Jan de Nowina Sroczyński dał nam nocleg na kanapie.

Nazajutrz po śniadaniu ze Siedlec szliśmy pieszo do Łąki. Tu wójt poczęstował nas słodkiem mlekiem i był nam przewodnikiem w dalszej drodze. W Mogilnie u księdza Macieja Kom-

perdy zjedliśmy jajecznicę na obiad. Szliśmy prawie ciągle z góry na dół, z Karpat na dół ku północnym równinom. Raz natrafiliśmy bystry a płytki strumyk z góry płynący kilka mil. Zezuliśmy buty i, zamiast drogą, szliśmy tym strumykiem, bo gorąco było i skwarno. Ochłodziło to nasze nogi tak, że czuliśmy się potem jakby nam przyrosły nowe a świeże stopy, albo jakby do podartych butów nowe podeszwy przyszył. W Krużelowie ksiądz Wincenty Łada Grodzicki, Sybirak z powstania r. 1863, podał nam dobre winko.

Już wyszliśmy z gór karpackich na równinę, jaka cechuje północną część Galicji. Przez Bobowę doszliśmy wśród kurzu i skwaru ciężkiego do Ciężkowic, gdzie restaurowano wieżę kościelną. Tu ks. Watulewicz przyjął nas gościnnie i na noc zatrzymał. Wikary ks. Ręgorowicz.

Na drugi dzień 1 czerwca rano maszerowaliśmy brzegiem ślicznej rzeki Białej dalej na północ. Gromnik był następnym przystankiem. Tu proboszczem był ks. Wąsowicz, wuj jednego z naszej trójki, Szczudły. Spotkaliśmy też Witkowskich. W dalszej drodze suchy skwar się wzmagał i kurz był taki, że pyłem pokryci niby mąką wyglądaliśmy nie jako czarni jezuici, ale jako biali dominikanie. Upał stawał się nieznośny. W dali widać było czarną chmurę, brzemienną deszczem i grzmotem dudniącą; i prawie na klęczkach błagaliśmy, by do nas przyszła. Ale nie chciała. Poszła gdzieś bokiem, omijając nas zupełnie. Przez Siedliska i Dąbrówkę dowlekliśmy się do Tuchowa, miasta nad rzeką Białą położonego. Opylonych, spoconych i spragnionych peregrynantów ks. infułat Rybarski i wikary ks. Kozak przyjęli otwartemi ramionami. Wnet także postawili przed nami kufle wyborne piwa żywieckiego, które wsiąkało w nas jak w gąbki. Wieczorem, jak zwykle, ciągnęła się długa pogadanka. Tak tu w Tuchowie jak i gdzie indziej po dworach i plebanjach mnie zawsze pociągano za język. Widząc we mnie jezuitę niby nowego, a już przecie starego z tonsurą na głowie, gdzie przedtem bywałem i jakie szkoły przechodziłem. A że nie wypadało mi wspominać o moich zatargach z władzami jezuickiemi, więc zmuszony dawać wymijającą odpowiedź, opowiadałem różności o Rzymie, watykanie, katakumbach; o uniwersytecie gregorjańskim; o Neapolu, Wezuwjuszu i Pompeji; o Wenecji, Genui, krzywych wieżach w Bolonji, o gimnazjach w Poznańskiem i tak dalej. Im więcej opowiadałem, tem więcej chciano słyszeć i coraz to więcej pytań mi stawiano,

widząc, żem bywalec i z niejednego pieca chleb jadłem. Tak bywało w ciągu niemal całej tej peregrynacji. Czasami ciekawym pytaniom dopiero późna noc koniec położyła, co i tu w Tuchowie miejsce miało.

Następnego dnia z Tuchowa przyszliśmy do Poręby radlnej, gdzie z panem rządcą Puch konwersację prowadziliśmy a na plebanji do gry w szachy mnie zaproszono. Proboszczem był tu ksiądz Bednarz a ksiądz Halak wikarym. Powietrze było wciąż gorące i suche a pełne kurzu. W dalszym ciągu ujrzeliśmy Nowodworze, gdzie u Sióstr Służebniczek widzieliśmy siostrę Dumany, jednego z naszych kolegów.

Dnia 3 czerwca wieczorem stanęliśmy w Tarnowie u Ojców Filipinów, których przełożonym był ks. Bernard Preibisz. Byli tu: ks. prałat Łakowski, Huebner, Sydów, Brzeziński Antoni komisarz biskupi, Królikowski, Wiatr, Muchhowicz, Okulicki. Przed prześladowaniem Bismarcka z Poznańskiego tu się schronili w Tarnowie zacni ci ojcowie Filipini. Nazajutrz we wigilję Zielonych Świąt — przyjął nas łaskawie i obdarzył hojnie ks. biskup Łobos. Rozmawiał długo z nami. Po tej wizycie u biskupa tarnowskiego spożyliśmy drugie śniadanie u Sióstr Urszulanek, których przełożoną była Karolina Pągowska. Było sióstr 31, między innemi Święcicka, Dewechy, Wolszlegier, Jackowska, siostry naszych kolegów dawnych.

Przez Ładnę, Skrzyszów, Pogórską Wolę, gdzie w stawie była wyborna kąpiel, przez Machowę, gdzie ks. proboszcz Miętus kwaśnem mlekiem nas poczęstował, przez Łęki Dolne i Dulczówkę piechotą dotarliśmy do Pilzna wśród skwaru i gorąca w sobotę wieczorem przed Zielonemi Świątkami. Tu od Jasła płynie Wisłoka. Wisłoka to nie Wisłok, który przy Krośnie widzieliśmy. To są dwie odrębne rzeki, choć pod Jasłem i Krosnem zbliżają się do siebie. Wisłoka płynie koło Jasła i Pilzna ku północy i wpada wprost do Wisły; a Wisłok płynie koło Krosna i Rzeszowa, wpada do Sanu.

Przez niedzielę Zielonych Świąt i Poniedziałek Świąteczny staliśmy w Pilźnie kwaterą najpierw u ks. kanonika Fąferko, gościnnie przyjęci. Tu dzielnych wikarych poznaliśmy — księdza Czerneckiego i ks. Piotrowskiego. Na rynku w Pilźnie stoi pomnik (statua Matki Boskiej), przypominający chłopską rzeź galicyjską w roku 1846. Zamordowano tu wówczas i księdza. Od tego czasu przez długie lata nie było żadnego księdza rodem z Pilzna. Pierw-

szy od czasu tej rzezi ksiądz rodem z Pilzna to ks. dr. Szczeklik, profesor seminarjum w Tarnowie i autor etyki i innych dzieł. Bawił on właśnie na święta w swojem rodzinnem mieście Pilźnie, i tu miałem to szczęście poznać się osobiśce z tym zacnym i światłym kapłanem. Po długiem gorącu i suszy nastała nareszcie w same Zielone Świątki gwałtowna burza z piorunami i deszczem ulewnym. Powietrze znacznie się ochłodziło i oczyściło z pyłu. W dalszym ciągu peregrynacji mieliśmy dni chłodne i to nieraz bardzo chłodne i wilgotne, mgliste i dżdżyste. W Poniedziałek Świąteczny podejmowali nas serdecznie po staropolsku Ojcowie Karmelici starodawnej obserwacji, w Pilźnie mieszkający, pod prowincjałem księdzem Kaczkowskim. Złożyliśmy tu także wizytę państwu Gruszczyńskim, którzy dwóch synów mieli w naszem Towarzystwie.

We wtorek 7 czerwca 1892 rano opuściliśmy gościnne Pilzno i piechotando wśród gęstych mgieł i dżdżu mijaliśmy Mokrzec; potem Kamieniec, gdzie dla zaspokojenia głodu kupiliśmy kiełbasę (jedyny raz w całej peregrynacji); następnie Brzostek, już w diecezji przemyskiej, gdzie u ks. administratora Wachlarowicza mieliśmy świeżą rzodkiewkę na obiad; dalej Januszkowice, gdzie ładny dwór ze stawami dał nam miły przytułek; aż nareszcie na noc stanęliśmy w Gogolewie u ks. proboszcza Zgrzebnego i ks. dyrygensa Grodeckiego.

Następnego rana — w Suchedni we środę było mokro, mglisto i chłodno — pożegnawszy Gogolów, dalej na piechotę ruszyliśmy przez Glinik górny, średni i dolny wśród okolic coraz bardziej górzystych. Naszą stacją następną był Frysztak, a w nim ks. Prusak. Z Frysztaku nogę za nogą wlokąc, szło się to górą, to dołem przez Cieszynę i Wiśniowę, wyglądając co chwila, czy nie widać Dobrzechowa, do którego zdążaliśmy i w którym chcieliśmy przenocować. Tam bowiem w Dobrzechowie był znany nam ks. kanonik Fischer, późniejszy biskup w Przemyślu, autor czterotomowych Kazań Ludowych, którego kazania często w Starejwsi słyszeliśmy. Jakoż pod wieczór ukazał nam się Dobrzechów, rozległa wieś, a w niej nowy z czerwonej cegły murowany kościół i opodal nowa obszerna plebanja, w której prócz proboszcza i wikarzy ks. Glatzel i ks. Stachyrak mieszkali. Ówczesny kanonik a dzisiejszy biskup ks. Karol Fischer przywitał nas jezuickim pocałunkiem w ramiona i kazał nam się rozgościć w plebanji jak we własnym domu. Rozmowom i pytaniom nie było końca. Ks. kanonik Fischer chciał nas jak najdłużej zatrzymać, bo to towarzyski i sympatyczny człowiek, ogól-

nie lubiany kaznodzieja. Nam jednak pilno było do domu. Nam było bardzo dobrze w Dobrzechowie, ale że stąd Starawieś już była niedaleko, więc mocno tęskniliśmy już za domem. Choć wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu.

Dlatego już nazajutrz rano wybraliśmy się pieszo do Strzyżowa. Stamtąd promem przez Wisłok się przeprawiliśmy i zdobyliśmy Żyznów.

Ostatnią tej peregrynacji stacją była Lutcza, gdzie ks. proboszcz Drzewicki trzy dukaty dał nam na drogę. Przybywszy drogą przez willę naszą do kolegjum w Starejwsi, tu wśród grona towarzyszy witaniom, pytaniom i opowiadaniom wprost nie było końca, bo każdy z innej strony świata powracał pełen nowych wrażeń z długiej peregrynacji.

30. Pokora a podłość. — U prowincjała we Lwowie. — Wyjazd do Tarnopola na ukończenie filozofji.

Z peregrynacją pomyślnie ukończyłem ostatnią z wielkich prób nowego mojego nowicjatu. Ale samegoż nowicjatu ani połowy jeszcze nie ukończyłem. Końca tej największej próby, jaką był sam ten „nowy“ nowicjat, jeszcze ani widać nie było. Miałem jeszcze przed sobą długie, ciężkie i nudne czasy nowicjackie, które byłyby zgoła niemożliwe do wytrzymania, gdyby mnie szczególniejsza łaska Boska nie wspomagała. Nikt z ludzi, ani nawet żaden jezuita, nie ma najmniejszego wyobrażenia o tem, co to znaczy przechodzić „nowy“ nowicjat. Jest to taka anomalja czyli nieprawidłowość, jakiej nikt pojąć nie zdoła, jeśli sam jej nie doświadczył. Jest to coś niemoralnego, bo nienaturalnego i nieodpowiedniego dla człowieka.

Dla nowonarodzonego jezuity kolebka nowicjacka jest bardzo miłą i wygodną, bo naturalną i odpowiednią. Taką też istotnie była dla mnie w roku 1883. Lecz w roku 1892 ta sama kolebka nowicjacka była mi bardzo niemiłą i niewygodną, bo nienaturalną i nieodpowiednią. Któżby się mógł dziwić temu?

A jednak było dwóch ludzi, którzy się nie dziwili temu. Nie mieli dla mnie ani słowa współczucia i pociechy, ani słowa łaski. Owszem, wynajdywali dla mnie nowe gorzkie wyrzuty i posądzali mnie o brak pokory. Dawniej zarzucali mi gwałtowność. Ale ten zarzut zczasem sam z siebie upadł. Więc teraz zarzucali mi pychę, żeby przecież czemś upozorować ten „nowy“ nowicjat, na jaki mnie skazali.

Tymi dwoma ludźmi byli prowincjał ks. Mycielski i mistrz nowicjuszów ks. Jackowski, znany nam już jako rektor w Chyrowie.

Ci dwaj zarzucali mi teraz już nie gwałtowność, ale pychę. Kiedy w nowym katalogu wydrukowano, że ja wstąpiłem do Towarzystwa dopiero w roku 1891, a nie w r. 1883; kiedy ja grzecznie zwróciłem uwagę, że taka statystyka nie zgadza się z prawdą, prawem i sprawiedliwością: wtedy prowincjał, ks. Mycielski, odpowiedział mi: „zaniechaj tego prawowania się z przełożonymi i chęci postawienia na swojem twierdzeniem, że cię osądzono za surowo“ (w liście z dnia 29 lipca 1892). Kiedy prosiłem grzecznie, by teraz, po odbyciu już sześciu prób nowicjackich, pozwolił mi uczyć się matematyki i filozofji, odpowiedział mi prowincjał w tymże liście: „Teraz nie myśl o filozofji, ale jedynie o nabyciu cnót, a szczególnie pokory“.

Żądali więc pokory ode mnie. Czy im mało było mojej pokory? czy mój „nowy“ nowicjat nie był dość wymownym aktem heroickiej pokory? Czego więc chcieli ode mnie?

Otóż chcieli, bym się płaszczył przed nimi, bym im pochlebiał, jak ten Jaworski, co mię denuncjował. Oni chcieli, bym im powiedział: Wyście sprawiedliwie mnie osądzili! A ja im tego powiedzieć nie chciałem, bo nie mogłem, bo bym kłam zadał własnemu sumieniu, bo bym się przyznawał do zbrodni, jakiej nigdy nie popełniłem. Pokora bez tej kardynalnej cnoty sprawiedliwości byłaby garbatą pokorą, czyli podłością. Pokora jest zamiłowaniem prawdy, prawa i sprawiedliwości. Pokora nie zależy na tem, aby się przed przełożonymi płaszczyć, im pochlebiać. Kto się płaszczy i pochlebia, by coś zyskać, ten jest podłym a nie pokornym.

Upokorzyłem się, przyjmując dobrowolnie i wspaniałomyślnie ten „nowy“ nowicjat. Jeśli słowom moim nie wierzycie, to uczynkom moim uwierzycie. Upokorzyłem się tak nisko, jak żaden nawet jezuita jeszcze się nie upokorzył. I upokorzę się jeszcze bardziej i wypiję ten kielich „nowego“ nowicjatu, aż do ostatniej kropli.

Upokorzę się, ale nigdy się nie upodlę.

Żądajcie ode mnie upokorzenia jakiegokolwiek, ja chętnie je przyjmę, by nie utracić Towarzystwa Jezusowego. Ale nadaremno żądacie upodlenia, to jest, nadaremno żądacie, abym czy słowem, czy czynem, przyznał się do zbrodni, godnej dymisji. Nigdy się do takiej zbrodni nie przyznam, bo jej nie popełniłem, a kto mnie denuncjował, ten was okłamał. Zresztą gdybym był popełnił zbrod-

nię takiej kary godną, wybyście mnie nigdy napowrót nie przyjmowali. To przyjęcie napowrót albo jest odzyskaniem napowrót moich dawnych praw do Towarzystwa, albo niczem nie jest. Składanie drugich nowych ślubów byłoby taką anomalją, czyli niesprawiedliwością w Towarzystwie, jak drugi nowy kościelny chrzest. Wstąpiłem tylko raz do Towarzystwa i to roku 1883, a drugi raz wstępować nie mogłem. Po co więc drukować w katalogu, że wstąpiłem w roku 1891? Drugim nowym jezuitą być nie mogę. Mogę tylko być tym jednym i tym samym jezuitą, co to wstąpił do Towarzystwa już roku 1883-go, a nie innym. Albo tym niech będę, albo niech żadnym nie będę. Sim ut sum aut non sim! Toć i Papież zniósł Towarzystwo. A jednak, gdy Papież znowu powrócił Towarzystwo roku 1814, istnienie Towarzystwa nie datuje się dopiero od roku 1814, lecz od pierwszego założenia roku 1540.

Nie pozwolono mi na naukę matematyki i filozofji, o którą prosiłem, ale pozwolono mi uczyć się języka rumuńskiego, choć o to nie prosiłem. Pisał mi prowincjał, ks. Mycielski: „Poproś ks. Magistra (Jackowskiego), aby Ci z czasu przeznaczonego na studjum wyznaczył nieco na język rumuński". Z radością wypełniłem to polecenie prowincjała. Polecono mi także Historję i Instytut Towarzystwa Jezusowego przełożyć na język polski, gdyż takiej historji nie było jeszcze w języku polskim. Z daleko większą radością i pilnością spełniałem to zlecenie, ile że Historja i Instytut Towarzystwa były zawsze bardzo miłymi przedmiotami moich studjów. To też wypracowanie w języku polskim Historji i Instytutu Towarzystwa zajęło prawie całą drugą połowę mojego nowego nowicjatu. O ile czas wolny mi pozwalał, ciągle siedziałem z piórem w ręku, a pisałem i pisałem. Manuskrypta te oddawałem ks. Jackowskiemu. Przeglądał je i czytał, bo nawet raz rzekł mi sucho i krótko: „Nadają się do druku". Ale co się potem z nimi stało, nie wiem. Historja Towarzystwa Jezusowego jest wspaniała, a jego Instytut jest wprost mistrzowskim pomysłem życia towarzyskiego i wspólnego. Dlatego te piśmienne wypracowania Historji i Instytutu Towarzystwa z dniem każdym coraz bardziej potęgowały we mnie miłość, przywiązanie i powołanie do Towarzystwa. Do tej miłości wszakże przymieszała się boleść niezmierna. Albowiem z dniem każdym rosła we mnie i ta świadomość, że zanosi się na zupełną i bezlitośną kasatę mego powołania. Ks. Mycielski i ks. Jackowski byli twardzi i nieustępliwi, a ja również innym być nie mogłem, jak tylko twardym i nieustępliwym na stanowisku mojej reintegracji. Durus contra

durum facient murum. Nadzieja, żeby ten mur przesądów i uprzedzeń pękł, słabła z dniem każdym.

Prócz Historji Towarzystwa pisywałem artykuły do księgi Marjańskiej; tłumaczyłem dziełko hiszpańskie; układałem sceniczne rozmowy dla nowicjuszów. Jedna z takich rozmów scenicznych była o Powołaniu. Ta najbardziej się podobała Włodzimierzowi Ledóchowskiemu, późniejszemu generałowi. W tym także czasie z brewjarza na polski język przetłumaczyłem Hymny Wielkopostne, które w r. 1896 w Milwaukee drukiem ogłosiłem. Hymny te były jędynym rękopisem, jaki ze sobą zabrałem. Inne moje rękopisy pozostały w Starejwsi. W tymże czasie księdza Wilhelma, Ślązaka, uczyłem gramatyki polskiej. Czytałem wiele, zwłaszcza historji kościelnej i prawa kościelnego.

Nareszcie dnia 13 marca 1893, wysłano mnie znowu do Tarnopola, dla ukończenia filozofji, tylu i tak różnemi przygodami przerywanej. Po drodze miałem wstąpić do Lwowa, żeby widzieć się z prowincjałem ks. Mycielskim i z doktorem Machek, moim okulistą. Bo oczy moje ciągle jeszcze niebieskim kamieniem wycierano i w Rzymie i w Starejwsi. Nasz infirmarz Boroń w Starejwsi wycierał je lepiej, aniżeli okulista, dr. Machek we Lwowie. Boroniowi mają moje oczy najwięcej do zawdzięczenia.

Tu we Lwowie dnia 15 marca, 1893 spotkałem się oko w oko z prowincjałem, ks. Mycielskim. Nie miał on żadnego słowa łaski dla mnie. Miał natomiast słowo zarzutu, ale już nie gwałtowności. Czuł się jakby mocno rozczarowanym, że jego oczekiwania mojej „niepohamowanej rapt gwałtowności" w nowym nowicjacie wcale się nie ziściły. Srodze zaperzony zarzucał mi po raz wtóry moją historję domu tarnopolskiego. A gdym mu jasno jak na dłoni wykazał bezpodstawność tego zarzutu, czuł się znowu rozczarowanym. Widocznem było, że chciał koniecznie we mnie znaleźć coś takiego, czemby można usprawiedliwić ową karę dymisji, jaką mi wymierzono.

W Tarnopolu zastałem nowego rektora, ks. Miszkiewicza.

31. Bójka w Tarnopolu a przyczyna mojej dymisji. — Wysłany do Krakowa na teologję. — Kasata mego powołania.

W Tarnopolu zastałem nowych profesorów. Filozofowie byli także inni. Nie było tu już ani jednego z tych, którzy filozofję studjowali, kiedym Tarnopol opuścił w lipcu r. 1890. Na drugim roku filozofji wykładano właśnie kosmologję, której się jeszcze nie

uczyłem. Miałem teraz w trzech miesiącach nauczyć się tyle, co inni przez cały rok szkolny.

Ale był jeszcze w Tarnopolu nasz pocieszny „ksiądz Fizyk", to jest ksiądz Sozański, który, jak dawniej, tak i teraz wołał: Mały, bij! Mimowoli więc stawałem się naocznym świadkiem dziwnych doprawdy zajść i faktów. Za to, że klerykowi się odciąłem, ukarany zostałem najsroższą karą dymisji, przechodziłem i przechodzę jeszcze czyścową próbę „nowego" nowicjatu: a tu w Tarnopolu filozofowie pod dowództwem księdza Fizyka często formalne bójki staczają, bijąc się, kułakując, tłukąc, waląc się po pysku i nie po pysku. A co najlepsze, że na majówce lub na willi po dobrym napitku przyszło od żartu nieraz do bitki na serjo i to wobec służby i świeckich. Patrząc na to, cieszyłem się i smuciłem naprzemian. Cieszyłem się z cieszącymi, ale od tych bójek zdala się trzymałem na uboczu. Widząc mnie tak na uboczu stojącego, odzywali się niektórzy:

— Czemu się z nami nie bijesz?

— Bo mnie nikt z was nie zaczepia. A ja nikogo jeszcze nie zaczepiłem i zaczepiać nie lubię. Ale gdyby mnie kto z was pierwszy uderzył, bądźcie pewni, że oddałbym mu z procentem, bo nikomu dłużnym być nie lubię. Niechby on i kardynałem był, tobym mu się odciął, servanto moderamine tutetae, bo człowiek ma prawo do obrony nie tylko życia, ale i zdrowia.

— My wiemy, dlaczego nie chcesz się z nami bić!

— A dlaczego?

— Bo raz sparzyłeś się na gorącem, więc teraz i na zimne dmuchasz. Ale grubo się mylisz, jeśli sądzisz, że za uderzenie kleryka tobie dano dymisję. Toćby nam wszystkim dano.

— A za co tedy dano mi dymisję?

— Ano, z powodu twojej choroby oczu byłeś wogóle niezdatnym do Towarzystwa, generatim ineptas, jak się wyraził ksiądz Załęski, konsultor prowincji. Dla zaraźliwych oczu musieli się ciebie pozbyć z Chyrowa, a na dalsze studja z oczyma zamglonymi nie można cię było posyłać.

— To poco mię wzięli zpowrotem?

— A boś za wiele narobił hałasu i tu i w całej Galicji i tam w Rzymie; więc musieli cię wziąć napowrót.

Ta rewelacja miała dla mnie ten skutek, żem się teraz jeszcze bardziej utwierdził w mojem postanowieniu żądania od przełożonych zupełnej rehabilitacji, czyli oczyszczenia z tego niesłusznego

zarzutu, jakobym się dopuścił był czynu godnego kary dymisji. Utwierdziłem się w mojem postanowieniu żądania reintegracji od roku 1883, a nie od 1891 i reinstalacji, reinstatement, to jest przywrócenia mi dawnego stanowiska scholastyka w Towarzystwie bez formalności składania nowych ślubów. Przez tę bowiem formalność uznałbym ważność mojej dymisji, a tem samem przyznawałbym się do winy, zasługującej na tak wielką, bo największą karę. Toby było niezgodne z prawdą i na to mi moje sumienie nigdy nie pozwalało i nie pozwala. Prawda, że przez tę formalność, tak łatwą i lekką odzyskałbym dawne moje stanowisko scholastyka, ale odzyskałbym je przez płaszczenie się i pochlebstwo, przez podłość. A podłym być nie mogę. Na upokorzenie się, na odbycie „nowego" nowicjatu, mogłem się zgodzić, ale na upodlenie nigdy. W danych warunkach zgodzić się na składanie nowych ślubów, a przez to uznać ważność mojej dymisji, znaczyłoby zgodzić się na tę ewentualność, że jaki kleryk uderzy mnie znowu, a ja mu oddam, już dopuszczę się czynu, godnego kary dymisji. W danych więc warunkach składania nowych ślubów byłoby braniem imienia Pana Boga nadaremno.

Jeśli moje pierwsze śluby dla takiej błahej rzeczy, jak to drobne zajście w Chyrowie, zostały rzeczywiście unieważnione, to i drugie śluby mogą być tak samo lekko unieważnione. W danych więc warunkach składać nowe śluby czy nie zakrawałoby to na żarty z Panem Bogiem? Boć przecie mój człowiek, nie jest aniołem, i jeśli go kto zaczepi, to mu się odetnie i ma zupełne prawo do tego. A tu z tego zrobiono ważny kazus dymisji. Nie! to być nie może. A jeśli moi przełożeni jeszcze moją dymisję uważają za ważną i żądają ode mnie, żebym i ja uznał ją za ważną, to temsamem kasują całe moje powołanie. Towarzystwo, w którem ma się składać śluby wieczne, koniecznie musi dać gwarancję, że człowieka za byle co wydalać nie będzie. Inaczej człowiek sumienny do takiego Towarzystwa powołania mieć nie może.

Wiem, że przez uznanie mojej dymisji za ważną byłbym odrazu skaptował sobie swoich przełożonych. Ale też przez to byłbym wszedł w zatarg z mojem sumieniem. Rzecz tak ciężka, jak odbycie nowego nowicjatu, była możebną dla mnie. Ale rzecz na pozór tak łatwa, jak akt uznania ważności mojej dymisji, była całkiem niemożebną, bo mnie prowadziła do walki z własnem sumieniem.

Tu w Tarnopolu jeszcze zawsze miałem nadzieję, choć coraz bardziej słabszą, że do ostatecznej kasaty mojego powołania nigdy nie przyjdzie, że przełożeni zmiękną i okażą się sprawiedliwymi dla mnie już dosyć strapionego. I do ostatniego dnia mojego nowego nowicjatu, to jest, do 24-go października 1893 czekałem i żywiłem w sobie tę nadzieję. Lecz daremno. Prowincjał ks. Mycielski, dawny pan hrabia, który przed wstąpieniem do Towarzystwa miał żonę i dzieci, widać nie umiał się wstawić w położenie takiego, który w rychłej młodości już wstąpił do Towarzystwa, i nie umiał należycie ocenić młodzieńczego powołania. Na moje mocne przywiązanie do Towarzystwa on tak bardzo liczył, że zdawało mu się, iż może mną pomiatać jak mu się żywnie podoba. I istotnie nie pomyliłby się. Gdybym ja był miał iść li tylko za popędem swego serca, to byłbym był gotów nawet upodlić się, byle tylko pozostać w Towarzystwie Jezusowym. Ale mój człowiek miał także sumienie, którego musiał słuchać bardziej niż serca.

Na wielkie wakacje z Tarnopola wybraliśmy się do Chrobaczkowa na Podolu, gdzie w opustoszałym dworku pana Szeliskiego spędziliśmy wesoło cały czas od 30-go czerwca aż do 20-go lipca 1893. W obszernym parku, okalającym dworek, był staw z łódkami. Wieczorami ognie sztuczne puszczaliśmy. Dnia 15-go lipca 1893 z naszej kwatery w Chodaczkowie zrobiliśmy wycieczkę do Żabojek do państwa Leszczyńsko-Kamińskich, którzy nas bardzo gościnnie przyjmowali.

Filozofji uczyłem się z przerwami przez przeciąg pięciu lat, od roku 1888 aż do roku 1893. Trzy piąte tego pięciolecia spędziłem w zwyczajnej szkole filozofji w Tarnopolu i w Rzymie, a dwie piąte we wyższej szkole filozofji czyli w twardej przeciwności szkole we Lwowie i Starejwsi.

Dnia 25 lipca 1893 z Tarnopola wysłano nas do Krakowa na teologję. W drodze na kolej bardzo ożywione rozmowy toczyły się z panem Zielińskim o Sokołach i z konduktorem o byłym jezuicie, ks. Stojałowskim. Pobyt w Krakowie, prastarej stolicy Polski, był dla mnie równie miłym, jak interesującym. Właśnie dziesięć lat upłynęło, jak po pierwszy raz przybyłem do Krakowa celem wstąpienia do Towarzystwa. Kiedy wtedy roku 1883 szedłem ulicami Krakowa wraz z moim bratem, ks. Szymonem, zauważyłem bardzo wiele osób w długich sutannach, kroczących po bruku krakowskim. Myślałem, że to sami duchowni i wykrzyknąłem całkiem naiwnie:

— Laboga, co tu księży w Krakowie!

Na to mój brat, ks. Szymon, z oburzeniem odparł:

— Ty głupi! Toć to nie są księża, to są Żydzi w chałatach.

To było dziesięć lat temu. Teraz w roku 1893 widowisko Żydów w Krakowie, zwłaszcza na Kaźmierzu, było dla mnie czemś zwyczajnem. Atoli pozatem Kraków jest tem dla Polski czem Rzym dla chrześcijaństwa. Jest tak pełnym pamiątek historycznych, jak żadne inne miasto w Polsce. Wawel, kościół P. Marji, Sukiennice, liczne gmachy, kaplice i kościoły starożytne zwiedzałem z większą ciekawością i przyjemnością, aniżeli osobliwości w Rzymie. I w okolice Krakowa często robiliśmy wycieczki. I tak 29 sierpnia 1893, wybraliśmy się z Krakowa do Krzeszowic, Nowej Góry i Czerny, gdzie bosego karmelitę, O. Rybkę, i księdza Polowca, z Rzymu mi znanego, poznaliśmy.

Moralną teologję w Krakowie wykładał nam ksiądz Wacław Titz, bardzo światły a zacny Ślązak. Innych przedmiotów, jak teologji dogmatycznej, Pisma św., języka hebrajskiego, i t. d., uczyli inni profesorzy, których nazwisk już nie pamiętam. Mnie i tu traktowano jeszcze zawsze jako nowicjusza i uczyniono nawet zakrystjanem, choć takiego urzędu przede mną teolog nie piastował. Wspominam o tem, ponieważ niektórzy uważali to za nowy policzek dla mnie. Ja wszakże wcale tak się nie zapatrywałem na to. Być zakrystjanem, poczytywałem sobie za wielki zaszczyt. Żadne wogóle upokorzenie nie hańbi człowieka. Jedynie upodlenie jest hańbą; upokorzenie zaś jest zawsze zaszczytnem. Sprawowałem też ten urząd zakrystjana z radością aż do końca ostatniego mojego pobytu w Krakowie, a ks. Wacławowi Titzowi, mojemu poczciwemu profesorowi, na imieniny przystroiłem ołtarz tak pięknie, że stary nie posiadał się z radości.

Dnia 12 października roku 1893 urządziliśmy z Krakowa wycieczkę wspólną przez Zabierzów do Kobylan nad granicę moskiewską. Była to ostatnia moja wycieczka w Towarzystwie. Na willi naszej pod Krakowem grałem w domino z ks. Michałem Mycielskim, który ustąpił był urząd prowincjała księdzu Szczepkowskiemu.

Nareszcie dnia 24 października roku 1893, skończył się mój dwuletni „nowy“ nowicjat, jaki mi narzucono. W ten dzień miałem przez złożenie nowych ślubów po raz drugi wstępować do Towarzystwa. Ale Bogiem i prawdą tego uczynić nie mogłem. Oczekiwałem rehabilitacji przez reintegrację i reinstalację. Czekałem je-

szcze trzy dni. Niestety dnia 27-go października 1893 nadeszła odmowna odpowiedź. Była to formalna kasata, czyli zupełne zniesienie mojego powołania do Towarzystwa. Zaraz więc tego samego dnia z głębokim smutkiem, ale i z głębokim spokojem, wyjechałem z Krakowa bez żadnych papierów od władzy i bez żadnych planów na przyszłość. W dzienniczku moim na ten dzień zanotowałem sobie te słowa Dawida, odzywającego się do Saula prześladowcy swego:

„I rzekł Dawid: Dlaczego Pan mój prześladuje sługę swego? Com uczynił? albo co za złość jest w ręce mojej? A tak teraz proszę, królu, panie mój, posłuchaj słów sługi twego: Jeśli cię Pan pobudza przeciwko mnie, niechaj powącha ofiary (t. j. jeśli z Boskiej woli i rozkazu, a nie z nienawiści powstajesz na mnie, to gotów jestem śmierci ulec jako ofiara Bogu poświęcona); ale jeśli synowie człowieczy, to przeklęci są przed oczyma Pańskiemi, którzy mnie dzisiaj wyrzucili, żebym nie mieszkał w dziedzictwie Pańskiem, mówiąc: Idź, służ cudzym bogom". (Księga I. Królewska, rozdział 26, 18, 19.)

Nie mając zgoła żadnego planu na przyszłość, jechałem wprost do brata mego, ks. Szymona, po radę. Nazajutrz 28 pazdziernika 1893 byłem już u niego w Barcinie w Ks. Poznańskiem. O kapłaństwie ani w Galicji, ani w Poznańskiem nie było mowy. Austrjacki rząd bez pozwolenia rządu pruskiego nie da mi praw obywatelskich w Galicji. A jak się rząd pruski dowie, że powróciłem do Poznańskiego, to mnie zabierze do wojska, a może i do fortecy, bo już oddawna mnie poszukuje. Rząd pruski poszukiwał mnie już w Galicji, ale że wyszedłem właśnie na przechadzkę, przełożeni jezuiccy powiedzieli, że mnie tam nie było. I na tem się skończyło poszukiwanie. O Ameryce nie chciałem słyszeć. Dostawałem Kurjera Polskiego i czytywałem wiadomości z Ameryki, ale jakoś nie miałem ochoty tam jechać.

Ale mus to wielki pan. Musisz tam jechać. Bo tu cała Polska jest zamknięta przed tobą, jedynie Polonja w Ameryce stoi otworem dla ciebie, jako kapłana. Innej rady dla mnie nie widział ani ksiądz Szymon. Przypomniały mi się wtedy owe słowa księdza Stabenau, wypowiedziane do mnie w Rzymie: Tyś stworzony dla Ameryki, ty musisz tam jechać. Ano prawda, że m u s z ę.

W taki to sposób całą pierwszą ćwierć wieku mój człowiek przeżył w starej Europie!

32. Wyjazd do Ameryki przez Hamburg, Vlissingen i Londyn.

Po wyjeździe moim z Krakowa pisał mi jeden z kolegów jezuickich te słowa:

„Wystąpienie Twe z Towarzystwa Jezusowego wszystkich nas mocno zasmuciło — zwłaszcza O. Michała Mycielskiego, który dopiero po kilku dniach się dowiedział o tem. Oby nadzieje Twoje powrotu do Towarzystwa Jezusowego nie były zwodnicze".

To ostatnie zdanie napisał mój kolega dlatego, że na wyjezdnem powiedziałem tak:

— Bądźcie pewni, że jak raz wstąpiłem do Towarzystwa tak raz w niem umrę. Drugi raz do Towarzystwa wstępować nie można, jak drugi raz w niem umierać nie można.

Tą nadzieją żyłem zawsze i żyję po dziś dzień, choć sam tego nie rozumiem, jak ona się ziścić może. Nadzieja, płynąca z wiary w ludzi, jest oczywiście zwodniczą i, jak to mówią, matką głupich. Lecz nadzieja, płynąca z wiary w dziejową sprawiedliwość Boską, nigdy nie zawiedzie ani pojedyńczego, ani zbiorowego człowieka, czyli narodu. A taką była i jest ta nadzieja moja.

Pozostawszy jeszcze na weselu mojej pięć lat młodszej siostry Heleny (jedyne to wesele familijne, na jakiem byłem obecny), pożegnałem rodzinę 11 listopada 1893 i wybrałem się w podróż do Hamburga, gdzie zamówiłem sobie miejsce na okręcie Columbia. Po drodze wstąpiłem do Wielenia, bo tam mój dawny kolega gimnazjalny, Józef Pieniążkiewicz, był już księdzem wikarym. Zdziwił się on bardzo, że jadę do Ameryki i rzekł:

— Po co jedziesz do Ameryki, kiedy tu ciebie potrzeba!

— A gdzie tu mnie przyjmą do seminarjum?

— To po coś opuszczał gimnazjum. Czy nie radził ci dobrze profesor Rychlicki i inni, żebyś siedział w Wągrówcu? Byłbyś już dziś księdzem, tak jak ja.

— Nie żałuję wcale, że idąc za głosem powołania Bożego, wstąpiłem do Jezuitów. Nie żałuję raz dlatego, że choćbym miał czego żałować, to żal straty by mi nie wrócił. Ale nie mam czego żałować. Bo w szkole jezuickiej przygotowałem się lepiej do przyszłego zawodu kapłańskiego, niż bym to mógł uczynić w jakiejkolwiek szkole tutejszej.

— A może kupisz ode mnie to rosyjskie futro niedźwiedzie, które właśnie mi nadesłano, a które dla mnie jest za ciężkie.

— I owszem. Mnie potrzeba takiego. Ile kosztuje?

— Sto dwadzieścia marek.

— Masz gotówkę.

I nie żałowałem później, że kupiłem to futro, bo przydało mi się bardzo i w podróży przez ocean i tu w Ameryce, gdzie z Ripon dojeżdżać musiałem do odległych stacyj misyjnych. Dopiero roku 1909, gdy mię do Milwaukee przesadzono, podarowałem je pewnemu parafjaninowi w Ripon.

W Hamburgu pan Theodor Meynberg, Vertrauensmann des St. Raphaelvereins, Reichenstrasse 52, powiedział mi, że nie mogę wyjechać stąd do Ameryki. Władze bowiem w Hamburgu mogą zażądać ode mnie paszportu, którego ja nie posiadałem. Od kilku lat już byłem ogłaszany w gazetach urzędowych i poszukiwany jako „militärpflichtig“ do służby wojskowej. Pozatem obowiązywałaby mnie w Hamburgu trzydniowa kwarantanna z powodu grasującej cholery, a tu okręt Columbia już za dwa dni odchodzi. Więc jedyna rada dla mnie była wsieść na ten sam okręt, dopiero gdy dopłynie do Sonthampton, w Anglji.

I tak też zrobiłem. Z Hamburga jechałem koleją przez Bremenę, Osnabrük i przez rzekę Ren, gdzie na miejscu zachciało mi się kupić dwie flaszki prawdziwego wina reńskiego, które potem w kuferku schowane przywiozłem ze sobą aż do samego seminarjum w St. Francis, Wis., gdzie nie wolno było wina przywozić, a o tem mój człowiek nie wiedział. Przejechawszy Ren i Holandję, przybyłem wieczorem do portu Vlissingen, skąd parowcem całą noc płynąc, rychło rano dnia 16 listopada 1893 stanąłem w Londynie i kazałem się zawieźć na plac sławny Trafalgar Square, do hotelu Morley na śniadanie.

Słyszałem i czytałem wiele o tak zwanem angielskiem śniadaniu. Gdzie indziej w Europie na śniadanie prócz kawy i bułki nic więcej zwyczajnie nie spożywają. Ale w Anglji, słyszałem, śniadanie ma być sute i obfite. Przybywszy tedy do stołecznego miasta Anglji, rano na samo śniadanie, chciałem z autentycznego źródła dowiedzieć się, z ilu i jakich dań składa się to przysłowiowe angielskie śniadanie. Otóż zostawiwszy kuferek w przeznaczonym mi pokoju w hotelu Morley, umyłem się, poszedłem do restauracji i siadłem do stołu. Nadbiegł służący i zapytał mnie:

— Czego pan chcesz?

— Śniadania.

— Jakiego?

— Angielskiego, w Anglji jestem.

— A z czego ma się składać?

— Tego ja właśnie chcę się od pana dowiedzieć. A bo ja wiem, co Anglicy na śniadanie jedzą! Ja Anglikiem nie jestem; ale będąc w Anglji, chciałem też angielskie śniadanie zjeść.

Wtedy służący zaczął mi wyliczać: jaja, kaszę ze śmietanką, słoninę z jajecznicą, bifsztyk, ryż, kiełbaski, ciastka, bułki, masło, mleko, kawę itd. itd. Ja, chwytając się za głowę, zawołałem:

— Dla Boga, toć ten okręt, którym mam jechać do Ameryki, zatonąłby ze mną, gdybym ja to wszystko zjadł na śniadanie. Daj mi pan proste polskie śniadanie! bo już muszę nawet w Anglji po polsku jeść.

— A co mam dać?

— Kawy ze śmietanką i bułek z masłem.

Po śniadaniu z Baedekerem w ręku zwiedzałem osobliwości olbrzymiego Londynu cały dzień 16 listopada i całe przedpołudnie następnego dnia. Wieczorem opisywałem wrażenia z podróży w listach do kolegów w Galicji i Poznańskiem.

33. Najburzliwsza podróż do Nowego Yorku.

Dnia 17 listopada 1893 r. po południu w porcie Southampton wsiadłem na okręt „Columbia", który przystanął tu w drodze z Hamburga do Nowego Yorku. Gdy okręt z portu wypłynął na pełne morze, stanąłem na pokładzie i długo w zadumaniu spoglądałem na oddalające się wybrzeża europejskie. Nareszcie rzuciłem słowo pożegnalne: Bądź zdrowa, stara Europo! I zstąpiłem po schodkach na dół, by się rozglądnąć we wnętrzu parowca, którym płynąłem. Potem wstąpiwszy znowu do góry na pokład, zauważyłem, że majtkowie z wielkim pośpiechem zwijają wszelkie płótna i rozstawiają spluwaczki przed pasażerami, siedzącymi na pokładzie. Był to znak, że burza się zbliża.

Wiatr dął silny; po upływie dwóch godzin od wyjazdu z portu wicher powstał tak gwałtowny, że spienione bałwany morza dosięgały pokładu. Pasażerzy, siedzący na pokładzie, raz po raz pochylali się nad spluwaczkami i jechali do Rygi! Wicher nie jeden, ale rzekłbyś dwa i trzy wichry chwyciły się za ręce i zaczęły coraz gwałtowniej kołysać naszym okrętem. A kiedy spieniony bałwan morski chlusnął przez pokład, wszyscy uciekali na dół i skryli się pod pokładem; a majtkowie biegali i sprzątali wszystkie ruchomości z pokładu. Okręt kolebał się coraz bardziej i słychać było wszędy coraz więcej jęków womitujących. Noc nastała, a burza

rozszalała się na dobre. Kto chodził po korytarzach, taczał się to w prawo to w lewo i chwytał się poręczy jak pijany płotu. W jadalni podczas kolacji szklanki i flaszki przewracały się z brzękiem i kulały się po stole, przy którym mało kto siedział, bo większość pasażerów leżała na wznak w łóżkach, żeby w ten sposób uniknąć choroby morskiej.

Nazajutrz dnia 18 listopada 1893, burza nietylko nie ustawała, ale i wzmagała się coraz bardziej. Fale morskie biły w nasz okręt jak szalone. Na pokład wyjść już nikomu nie pozwolono, bo woda szła z szumem i hukiem poprzez cały pokład. Ba, nawet takie wysokie stanowisko na okręcie, jak pomost, na którym stał kapitan i oficerowie, kierujący okrętem, było niebezpieczne, bo rozwścieczone fale morskie biły i tak wysoko. Dlatego kapitan i oficerzy przywiązali się grubemi powrozami do pomostu, żeby ich burza nie zmiotła z okrętu. Kapitan był we wielkim strachu, dopóki okręt płynął po kanale La Manche. Bo wtedy burza szalona łatwo mogła zagnać okręt na skały wybrzeżne. Świst, syk, huk i szum był taki, że mówiącego zaledwie słyszeć można było. Okręt miotał się i trzeszczał, jak gdyby olbrzymy jakie ściskały go kleszczami i przewracały.

— Trzeszczy to stare pudło, że aż strach, oby się nie rozleciało w kawałki — szemrał mój towarzysz Szwajcar, leżący w kajucie, a trzymający się mocno za wieszadła, aby z łóżka nie wypaść.

Mnie to ciągłe leżenie w łóżku się sprzykrzyło. Wyszedłem na korytarz. Ale w tych ciasnych gankach na spodzie okrętu powietrze było gęste. Robiło mi się duszno i zawrotu głowy dostawałem. Ruchem okrętu rzucany to w prawo to w lewo, jak kula bilardowa, odbijałem się o ściany korytarza. Poprosiłem majtka, by mię wyprowadził na pokład dla zaczerpnięcia powietrza świeżego.

Pokład raz po raz zalewały bałwany, więc nie można tam było długo stać. Ale na małą chwilę majtek wypuścił mię na pokład. Co za straszny widok morza wzburzonego! Kiedy swój wzrok zapuszczałem w głębię krateru Wezuwjusza, myślałem, że ten widok już chyba najstraszniejszy w całej przyrodzie. Ale tu strach daleko większy mnie ogarnął, gdym pośród wysokich fal ujrzał tę głęboką czeluść morską, w którą jakby w przepaść leciał nasz okręt. A te spienione bałwany morskie, jakby ruchome góry

o śnieżnych szczytach, to goniły się, to znowu biły się z przerażającym hukiem.

Odetchnęliśmy swobodniej gdy ze zdradzieckiego kanału La Manche wypłynęliśmy na pełen ocean Atlantycki, chociaż tu burza stała się jeszcze wścieklejszą. Okręt raz podnosił się przodem i jak rozhukany koń dęba stawał; to znowu zadem wierzgał tak wysoko, że dwie jego śruby popędowe wierciły w powietrzu, zamiast w wodzie. A kiedy znowu opadający zad śrubami zawiercił we wodzie, wtedy odczuwaliśmy wyraźnie, jakby nagłe gwałtowne szturchnięcie okrętu. Skutkiem tego w nocy z 18 na 19 listopada przy jednej ze śrub popędowych coś się zepsuło. Maszyny zatrzymano i okręt stał przez sześć godzin, aż śrubę naprawiono. Ale wśród szumu i ryku bałwanów, kołyszących okrętem, nikt z nas pasażerów wcale nie zauważył, że okręt przystanął. Powiedziano nam o tem dopiero po burzy.

A burza trzeciego dnia na pełnem morzu srożyła się jeszcze bardziej. Atlantyk poprostu się wściekał. Sami majtkowie mówili, że dopóki żyją, takiej burzy nie pamiętają. Na okręcie jechało ze mną dwóch studentów. Burzliwa ta żegluga przypomniała nam Odysseję. I na językach stanął nam staropolski Posejdom (starorzymski Neptun), w wierzeniach starodawnych bóg otchłani morskich, przedstawiany z trójzębem w ręku. I rozpoczęły się takie rozmowy:

— Gniewny Posejdun nas ściga.

— Właśnie Posejdun z drugiego końca świata, zobaczywszy ciebie na morzu, zagniewał się srodze, gdyż się domyślił, że bogowie w jego nieobecności jaką nową rzecz postanowili.

„Rzekł i bałwany wzruszył; chmur zgromadził nawał,
Trójzębem rozkaz wiatrom gwałtownym wydawał,
Aby dęły zaciekle.
Zerwał się i dął Eurus, Not, toż i Zefir wściekły,
Toż mrożący Boreasz — i przestwór siekły.“

— A ja wam powiem, z czego morze się tak rozkołysało. Otóż, gdyśmy Irlandję mijali, widzałem, jak olbrzymi Cyklop, syn Posejdona, urwał czub góry i rzucił w naszą stronę. Głaz olbrzymi padł wprawdzie daleko poza okręt nasz, ale wstrząsnął morze tak, iż się rozbałwaniło.

— Nie Cyklop jest sprawcą tej burzy. Ale Eol, bożek wiatru, dał mi na drogę miech ogromny z nakazem, by go nie otwierać,

bo w nim leżały spętane wichry. Wtem mój towarzysz mniemając, że w tym miechu jakiś skarb się ukrywa, płonął z ciekawości, i kiedym spał, otworzył ten tajemniczy miech Eola. Wtedy naraz wszystkie wiatry, w miechu zamknięte, wyleciały, zawyły i zatrzęsły morze.

Na to majtek, z boku przysłuchujący się tym klasycznym a bajecznym wywodom, rzekł:

— A ja wam powiem tak po chrześcijańsku, dlaczego ta szalona burza powstała. Musi tu być na okręcie jakiś Jonasz, który wbrew rozkazom Boga ucieka za morze.

Drugi majtek go poprawił, mówiąc:

— Chyba wszyscy djabli dmuchają na Atlantyk. Widać piekłu dużo zależy na tem, żebyśmy nie dostali się do Ameryki.

Mnie jednak, wśród tych rozmów, przygłuszanych szumem nawałności morskiej, żywo przed oczami stanęli moi koledzy, jakich na lądzie Europy zostawiłem. Byli myślą tak blisko mnie, że zdawało mi się, iż słyszę ich głosy. I przypomniały mi się z „Żeglarza“ Mickiewicza te zwrotki:

„Któż krzyknął z lądu? jakie słychać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dokąd stoicie na nadbrzeżnej skale,
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?...

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga!
Bo wam nie widne te czarne chmurzyska,
Nie słychać zdala wichru, co tu liny targa,
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska!

I razem ze mną, pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie —
— Ja płynę dalej, wy idźcie do domu.“

Ta nadzwyczajna i szalona burza morska, pomimo albo raczej dla swej majestatycznej grozy, odpowiadała najzupełniej nastrojowi duszy mojej i sprawiała mi zadowolenie i przyjemność. Bo

w takiej wściekłej burzy, jak ten okręt Columbia, płynęła przecie łódź życia mego przez ostatnie trzy lata. Czułem się więc w swoim żywiole.

Ani czwartego dnia, 20 listopada 1893, nie ustawał jeszcze dziki ryk wichrów. Wzburzone fale zalewały nietylko pokład Columbji, ale i maszty jej białą obryzgiwały pianą. Oficerzy, kierujący okrętem, stali jeszcze, powrozami przywiązani do pomostu, żeby ich bałwany nie zmiotły.

Dopiero piątego dnia, 21 listopada, było trochę spokojniej. Szóstego dnia przepływaliśmy prąd polarny; i wtedy przydał mi się kożuch, kupiony od ks. Pieniążkiewicza. Siódmego dnia, 23-go listopada, po pierwszy raz w życiu ujrzałem w dali ląd amerykański, mianowicie wybrzeże Nowej Funlandji. Wreszcie ósmego dnia już zbliska przypatrując się brzegom wyspy Long Island, wpłynęliśmy do portu nowojorskiego. Cały tydzień patrzeliśmy na same tylko bałwany spienione i straszliwe chmurzyska; cały tydzień huśtaliśmy się na rozkołysanym okręcie. A oto teraz leży przed nami spokojnie i nieruchomie stały ląd, oto Ameryka! Gdy okręt zawinął do portu, słyszałem, jak nasz kapitan krzyczał z pomostu:

— Dwadzieścia lat jeździłem po morzu, ale takiej burzy, jak ta, nigdy w życiu nie miałem!

O tej burzy naszej mam pod ręką następujący wycinek z gazet:

„Podczas burzy, panującej w listopadzie roku 1893 na morzu Północnem i w kanale La Manche, wiatr posiadał szybkość, jakiej do tej pory nie obserwowano jeszcze nigdy w meteorologicznych stacjach Europy. Członek londyńskiego Towarzystwa meteorologicznego, Herding, wywnioskował na podstawie dostarczonych sobie danych, że w ciągu dwóch dni wiatr bez ustanku dął z szybkością 154 wiorst na godzinę czyli 43 metrów na sekundę. W niektórych miejscowościach szybkość wiatru dosięgała 193 wiorst na godzinę, czyli 54 metrów na sekundę. W ciągu trzech tygodni po burzy fale wyrzuciły przeszło 140 rozbitych statków i 335 zwłok ludzkich.“

Dnia 24 listopada roku 1893 mój człowiek pierwszy raz dotknął swoją stopą ziemi amerykańskiej. Ostatniego dolara, jakiego miałem przy sobie, dałem zaraz w Leo House na Mszę świętą z podziękowaniem za szczęśliwie odbytą podróż morską. Potem wysłałem telegram do mego brata Michała w Milwaukee po pieniądze. Michał nic nie wiedział o moim przyjeździe, ani mu wierzyć się

nie chciało, żebym ja przyjechał do Ameryki. Więc odtelegrafował mi, że mam mu special delivery list nadesłać. Dopiero widząc moje pismo, czarne na białem, przekonał się, że rzeczywiście jestem w Nowym Yorku. To spowodowało, że mój pobyt w New Yorku przedłużył się na kilka dni.

34. Pierwsze wrażenia w Ameryce. — Seminarjum w St. Francis, Wis.

Tak pierwszą ćwierć wieku życia (od 1868 do 1893) mój człowiek przepędził w starym świecie czyli w starym kraju. Druga ćwierć wieku należy do naszego świata i tworzy nowy rozdział w życiu człowieka. Wraz z przybyciem do Ameryki pozbyłem się resztek pieniędzy europejskich i w Ameryce za amerykańskie pieniądze już żyłem i podróżowałem. Pozbyłem się także resztek zapalenia oczu, tak że moje dymne okulary mogłem już śmiało wrzucić do morza. Czy powietrze morskie czy burza morska oczyściła moje oczy, nie wiem. Wiem tylko, że w Nowym Yorku stanąwszy na lądzie nowego świata, poczułem w głowie jakby nowe i świeże oczy, które odtąd już nigdy ani okularów ani leczenia nie potrzebowały. Podczas przejazdu przez ocean pozbyłem się również, sam nie wiem jak i którego dnia, potężnego guza, który mi się wytworzył w węzłach mięśniowych prawego ramienia. Lekarze w Krakowie orzekli, że trzeba mi koniecznie ten guz wykroić, bo inaczej rozrośnie się i zepsuje mi muszkuły w ramieniu. I byliby mi go wycinali, gdybym nie był nagle wyjechał z Krakowa. Kiedym w Anglji siadał na okręt, czułem jeszcze doskonale ów twardy guz wielkości włoskiego orzecha. Podczas szalonej burzy na morzu zapomniałem całkiem o tym guzie. Dopiero mi się przypomniał, gdy wjeżdżałem do portu nowojorskiego. Więc macam prawe ramię: aliści niema guza! Macam lewe ramię, czy aby nie przeskoczył: też go niema! Ani śladu po guzie. Gdzieś znikł i nigdy już nie wrócił.

Mieszkając w nowojorskiem Leo House i czekając na pieniądze z Milwaukee w dniach od 24 do 29 listopada 1893, zwiedziłem różne osobliwości Nowego Yorku: to park centralny, to statuę wolności, w której głowie zatknąłem swój bilet wizytowy, to most brooklyński, to katedrę św. Patrycjusza. Wszedłszy do episkopalnego kościoła Trinity Church, a widząc przy ołtarzu księdza w ornacie i ministrantów w komżach, byłem święcie przekonany, że to kościół katolicki, i wysłuchałem „mszy“ do końca. Tylko kro-

pielnic przy drzwiach nie zauważyłem, ale te mogły być ukryte gdzieś w kącie. Zresztą wszystko wyglądało jak w naszych kościołach. Tak to pozory mylą człowieka. Odwiedziłem także kolegjum jezuickie, potem księdza Strzeleckiego; dalej dawnego mego kolegę ks. Chlebowskiego w Sout Orange, oraz Dom Polski w New Jersey. O ks. Dworzaku, moim koledze z Rzymu, nie słyszałem.

Dostawszy nareszcie pieniądze dnia 29 listopada wyjechałem z Nowego Yorku w głąb Ameryki. Przyjechawszy do Ameryki wprost z Anglji, pierwszem mojem pobieżnem wrażeniem było to, że Ameryka jest nowem wydaniem Anglji. Język, szyldy i ogromne reklamy w porcie, w mieście i po polach, farmy i odgrodzenia farm jednych od drugich, nazywanie powiatów hrabstwami, obfite śniadania, policjanci z pałkami: wszystko to przypominało mi Anglję. Atoli to nowe, poprawione i pomnożone wydanie Anglji w Ameryce przybrało olbrzymie rozmiary. Po miastach domy wyższe, ulice szersze i prostsze, ruch komunikacyjny większy i szybszy. W Londynie widziałem same tylko konne omnibusy i dorożki, tu wszędzie elektryczne tramwaje, dolne i górne koleje. W Ameryce tory kolejowe szersze, wagony i lokomotywy daleko większe; farmy i „hrabstwa“ obszerniejsze; rzeki i przestrzenie ogromne, jeziora olbrzymie. Charakterystyczną cechą budowli amerykańskich, nawet drapaczy nieba, była ich tymczasowość. Nic mi nie przypominało owej masywności i wiecznotrwałości budowli europejskich. Prócz nielicznych kamienic w Buffalo, Cleveland, Chicago, Milwaukee widziałem wówczas przeważnie drewniane domy i domki; bruk ulic miejskich, jeśli był jaki, to tymczasowy; chodniki drewniane dudniały pod stopami przechodzących; mosty drewniane, stan dróg farmerskich był tymczasowy i prymitywny. Podobnie w urządzeniach politycznych i społecznych owa przysłowiowa wolność i swoboda amerykańska, owa łatwość nabywania papierów obywatelskich, dyplomów doktorskich i ślubów cywilnych, wybieralność i głosowanie przy wyborach, łatwość zakładania salunów i aptek — wszystko to nosiło wyraźną cechę tymczasową i przemijającą. Bywało, że Ajrysza, będącego dopiero w drodze do Ameryki, stawiano już jako kandydata na urząd. Nie potrzeba było mieć wiele zmysłu spostrzegawczego, żeby wiedzieć, że ta wolność amerykańska wkrótce będzie ograniczoną i obostrzoną; że Ameryka z jednego extremum w drugie wpadnie.

Takie i tym podobne pierwsze wrażenia moje z Ameryki opisywałem w listach do brata księdza Szymona i dawnych moich kolegów w Europie.

Po drodze z Nowego Yorku do Chicago zatrzymałem się na kilka godzin w Buffalo, gdzie odwiedziłem jezuickie kolegjum bł. Kanizjusza. Wypytywałem się o ks. Stabenau i ks. Piotra Pittassa, których znałem z kolegjum polskiego w Rzymie. Lecz nie znalazłem ich w Buffalo. Za to od Jezuitów dowiedziałem się o pobycie ks. Jana Pitassa w Buffalo, którego też odwiedziłem i z którym pierwszą przelotną znajomość zawarłem 30 lipca 1893 r.

Nazajutrz 1 grudnia 1893 stanąłem w Milwaukee, Wis. Na dworcu spotkałem się z moim bratem Józefem, z którym ostatni raz roku 1891 w Chojnicach rozmawiałem; a potem na Mitchell ulicy przywitałem się z moim bratem Michałem, którego od czternastu blisko lat nie widziałem. Jeszcze tego samego dnia poznałem się z księżmi Gulskim i Prądzyńskim. Następnego dnia 2 grudnia 1893 z ks. Gulskim byłem u arcybiskupa Katzera.

— Masz papiery?

— Nie mam.

— To cię nie mogę przyjąć do diecezji. Ale skoro nadejdą piśmienne świadectwa, dobrze o tobie świadczące, to cię przyjmę. Tymczasem możesz udać się do seminarjum.

Zdarzyło się, że ówczesny teolog Jan Andrzejewski bawił właśnie w mieście. I ten dnia 3 grudnia 1893 zawiózł mnie sankami do St. Francis. W jego też stancji w seminarjum tymczasowo mieszkałem. Nie przywiózłszy ze sobą żadnych świadectw, musiałem egzamina składać, zanim mnie przyjęto na kurs teologji. Na pytanie, co umiem odpowiedziałem Kościuszkowskiem: Try me. I egzaminowali mnie ściśle: rektor ks. Rainer, dyscyplinarjusz ks. La Boule, profesor teologji dogmatycznej ks. Selinger, profesor teologji moralnej ks. Schulze, profesor homiletyki i Pismą św. ks. Loebl, profesor prawa kościelnego ks. Reilly. Dopiero później, nie pamiętam już kiedy, nadeszły moje papiery od wiceprowincjała ks. Bapsta z Krakowa ze świadectwem „najlepszych obyczajów", optimi mores. I wtedy formalnie przyjęty zostałem do archidiecezji milwauckiej.

Poza teologją, wziąłem się zaraz pilnie do gruntownej nauki języka angielskiego i historji Stanów Zjednoczonych. Jedno i drugie znałem już, ale dotychczas tylko powierzchownie. Obydwu tych przedmiotów, jak i śpiewu kościelnego, uczył nas profesor ks.

Karol Becker. Dla wyćwiczenia się w mowie angielskiej i poznania literatury angielskiej przyłączyłem się do angielskiego Towarzystwa Literackiego St. Thomas Society. Musiałem tu wygłaszać mowy angielskie, czasem bez przygotowania na zawołanie. Ale pożal się Boże, jaka to łamana angielszczyzna była. Trudno. Kto nie wejdzie do wody, nie nauczy się pływać. Jak mówiłem, tak mówiłem; ale mówiłem. A gdy mi zabrakło słowa angielskiego, naprędce z łacińskiego ukułem nowy wyraz angielski, byle myśl wyrazić. Atoli słownika Webstera nie zbogaciłem.

Do polskiego Towarzystwa Literackiego św. Stanisława Kostki wstąpiłem natychmiast skoro tylko do seminarjum przybyłem. W styczniu czy lutym r. 1894 Towarzystwo to obrało mnie swoim prezesem, który to urząd piastowałem aż do lutego 1895. W listopadzie 1894 r. Towarzystwo św. Stanisława K. po pierwszy raz odważyło się na przedstawienie sztuki polskiej na scenie. Od tego czasu już rok rocznie przedstawienia dawało. Profesorem języka polskiego dla studentów polskich w seminarjum ustanowił mnie ks. rektor Rainer w styczniu 1894 r.

35. Kiedy pierwszy raz ujrzałem się w druku.

Onego czasu gazety amerykańskie rozmaicie komentowały ten dziwny fakt, że socjaliści w parlamencie niemieckim głosują za powrotem Jezuitów do Niemiec. Pokazano mi artykuł, w którym jakiś redaktor twierdził, że Jezuici i socjaliści są sobie pokrewni duchem i taktyką. To mnie wielce ubawiło i oburzyło zarazem. Napisałem odpowiedź i posłałem ją do Kurjera Polskiego. I oto dnia 14 grudnia 1893 pierwszy raz w życiu ujrzałem pismo swoje drukowane w gazecie. Pierwszy ten artykuł nosił tytuł: „Dlaczego socjaliści głosują za Jezuitami?“ Ten jak i następne artykuły wówczas podpisywałem literami W. S.

Podczas wakacyj Bożego Narodzenia r. 1893-go rodacy zwłaszcza z Mitchell ulicy ciekawie, jak zwykle, wypytywali się mnie o Polskę i czy jest jaka nadzieja, że Polska powstanie. W odpowiedziach na te pytania nie bawiłem się w proroka, lecz jako świeżo z Polski przybyły świadek opowiadałem im to, co słyszałem z ust tak Polaków jak i Prusaków. A jednym ze znaków rychłego powstania Polski — mówiłem — jest budzący się duch narodowy na Górnym Śląsku. To wyraziłem w artykule p. t. „Ślązacy — ongi a dziś“. I w innym artykule, który wycięty

z gazety mam do dziś pod ręką, pod tytułem „Co mówią w starym kraju?“ tak pisałem:

„Co mówią Prusacy? Bo nawet Prusacy uważają za rzecz niemożliwą, żeby Polska powstała i to w najbliższym czasie. Słyszałem i w Księstwie i na Śląsku i w Brandenburgji od różnych inteligentnych Prusaków, zajmujących się żywo sprawami publicznymi — a wszyscy, prawie jednomyślnie, szczerze i bez ogródki swe sądy i poglądy na tę sprawę wyrażali w ten sposob: „Do wojny między Niemcami a Rosją przyjść musi, i to w najbliższej przyszłości, że my Niemcy, przy pomocy Austrji, Moskala pobijemy, to nie ulega wątpliwości: bo chociaż wojsko moskiewskie ma liczebną przewagę nad nami, to jednak sprężystością organizacji i szybkością obrotów wojennych my ich przewyższamy. Więc wygrana nasza. Ale — dalej jak 10—15 mil za Warszawę się nie zapuścimy; w głąb Rosji, aż do Moskwy — jak Napoleon — nie głupiśmy iść. Odebrawszy zaś Moskalowi to co się nazywa »Królestwo Polskie«, nie oddamy mu go pod żadnym warunkiem“. Co więc panowie zrobicie z tym fantym?“ — zapytałem. „Utworzymy udzielne księstwo, które oddamy pod samorząd Polaków“. — „Ej, chyba panowie żartujecie. Skąd wam się wzięła nagle taka łaskawość i wspaniałomyślność względem Polaków“. — „Panie, nie tylko łaskawość, ile raczej własny interes każe nam tak postępować; troska o bezpieczeństwo i spokój własnego państwa skłania i popycha nas do utworzenia w takim razie osobnego Księstwa Polskiego. Bo 1) gdybyśmy i Królestwo Polskie do Niemiec przyłączyli, za wiele Polaków, zatem za wiele żywiołu buntowniczego mielibyśmy w państwie — już tak z tą garstką Polaków w Poznańskiem nie mały mamy kłopot. 2) Nie utworzywszy odrębnego księstwa dla Polaków, nie moglibyśmy, rzecz jasna, „polskim“ żołnierzem obsadzić granicy od Rosji, ale własnym „niemieckim“ (co by dla nas było wielką niedogodnością), i to licznym bo Rosja srogim odwetem by groziła; nadto — 3) w razie tego odwetu mielibyśmy i Moskali i Polaków przeciwko sobie. A przeciwnie, jeśli oddamy ten zdobyty kawał ziemi Polakom, to 1) Polaków sobie zjednamy, 2) od napaści Rosji będziemy mieli przedmurze, wał obronny (ein Bollwerk). Polacy w takiem położeniu nietylko nie będą mogli przeciw nam powstawać, ale jeszcze naszej pomocy żebrać będą zmuszeni przeciwko Rosji, której potędze sami się oprzeć nie zdołają“. Tak racjonują Prusacy. W dalszym toku rozmowy zapytałem jeszcze: — „A Po-

znańskie, czy myślicie także wsunąć w skład tego nowego „Księstwa Polskiego?“ — „O nie, broń Boże, co to, to nie. Granice naszego państwa muszą nietknięte pozostać tak, jak są. My przecie nie chcemy własnej prowincji tracić!“ —

Teraz co mówią Polacy? — Polak nie dowierza ani Austrjakowi ani Niemcowi, a najmniej oczywiście Moskalowi. Polacy na niczyją z tych państw pomoc nie rachują. Więc cóż, czy na własne siły liczą, pokryjomu kują broń, organizują się, zbroją się? Bynajmniej. Więc rozpaczają? Także nie. Więc z założonemi rękoma stoją, nie pracując nad odbudowaniem Polski, czekając rychło im Pan Bóg ojczyznę z nieba spuści? Ani to nie; owszem pracują nad odbudowaniem Polski, i rzetelnie pracują. W jaki sposób? Oto w ten sposób, że wszyscy razem (są i wyrodki, ale gdzie ich niema) i każdy z osobna wszelkiemi siłami stara się podwyższyć poziom oświaty i moralności w narodzie — oświaty szczególnie w niższych warstwach społeczeństwa, a moralności w wszystkich. W tym kierunku, trzeba im to przyznać, pracują usilnie, energicznie, wytrwale. I na tej pracy cały swój patrjotyzm pokładają, z niej się chełpią, bo — mawiają: —

„Kto jest matki — Ojczyzny nieodrodnym synem,
Niechaj tego nie słowem, lecz dowiedzie czynem.“

A w miarę jak oświata i moralność się wzmaga, wzrasta w nich i wiara w zmartwychwstanie Polski. Przez „moralność“ nie rozumiem tu tylko dobrych obyczajów w codziennem pożyciu, ale miłość Boga i jego Kościoła i publiczne przyznawanie się do tej szczytnej miłości. Naród, takim duchem przejęty, zginąć nie może; takiego narodu żadna przemoc, żaden ucisk, żadna siła materjalna nie przemoże, bo on moralnie potężny, on wyższy nad swych wrogów.

„Póki serce narodu ożywia duch Boży,
Dopóty żadna siła w grobie go nie złoży“.

Nasi rodacy w starym kraju nie kłaniają się ani fałszywym bogom potęgi materjalnej i władzy przez obcych wyobrażanej, ani szatanom pychy, zemsty i gwałtu. Fałszywemu patrjotyzmowi, który w swej zapalczywości woła: „Zemsta, zemsta na wroga. Z Bogiem i choćby mimo Boga“, przeciwstawiają owe wieczne prawdy, zawarte w słowach nieśmiertelnego naszego wieszcza Krasińskiego:

„Kto chce iskry z czarta kuźni
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą wpycha noc,
Ten mądrości wiecznej bluźni...
Niczem Sybir, niczem knuty,
I cielesnych tortur król! (car)
Lecz narodu duch zatruty
To dopiero bólów ból!“

I wołają do tych fałszywych patrjotów: Chcecie gmach ojczysty odbudować? to nie opuszczajcie waszego pola obowiązków narodowych i godności narodowej, a trzymajcie się środków uczciwych, bo „Nikt nie stawia gmachu z błota — A największy rozum — cnota“, — nią, nie zaś bronią „z kuźni czarta“, zwalczycie mocy szatańskie.

Ale — pielęgnując „zdrowego ducha“, bynajmniej nie zapominają prawdziwi patrjoci o „zdrowem ciele“. Dowodem tego są liczne, nader liczne stowarzyszenia gimnastyczne Sokołów. Sokoli za główny cel sobie wytknęli: rozwinięcie sił fizycznych w narodzie, zahartowanie ciała, wyrobienie zwinnych, giętkich i obrotnych członków społeczeństwa, ażeby w danej chwili szczęśliwego zbiegu okoliczności być w ręku Opatrzności B. zdatnem narzędziem do urzeczywistnienia Jej odwiecznych z Polską wyroków i zamiarów. Zbytecznem chyba dodawać, że potęgując siły fizyczne, oddziaływują i na ducha narodu.

Otóż tak pracujący nad sobą naród nie bezpodstawną żywi nadzieję, że w najbliższej przyszłości samodzielny byt odzyska. Nadzieja ta jest też w nich niewzruszoną i powszechną. Nietylko bowiem młodzież, pełna bujnej fantazji i skora do różowych nadziei, śpiewa tam wesoło:

„Bracia cieszmy się nadzieją,
Że powrócą dawne czasy;
Że nam znowu zajaśnieją
Karabele, wąsy, pasy:
Kontusze, kołpaki rysie
I one zwyczaje dawne,
A najbardziej ono sławne
Staropolskie kochajmy się“.

Nietylko, powiadam, młodzi spodziewają się rychłego zmartwychwstania Polski, ale starzy, zgrzybiali ludzie, którzy z natury

przecie są niepohopni do różowych nadziei w przyszłość, z powodu doznanych licznych w życiu zawodów i rozczarowań, — tak silnie wierzą w powstanie Polski i tak pewni są tego, że... jutro słońce wzejdzie. Siwy jeden jak gołąb weteran, były dowódzca plutonu żuałów z r. 1863, przysięgał się, że za łaską Bożą nie prędzej złoży do grobu swe kości, aż Polskę na nogach ujrzy. A pewien ksiądz misjonarz, Kl. B., uczony i czczony, poważany i poważny, nie zarozumiały, bo za rozumny, znający się doskonale na tamtejszych stosunkach społecznych i politycznych, oraz usposobieniu ludu (bo i w Poznańskiem i w Prusach i na Śląsku i w Galicji od lat dwudziestu zgórą misje odprawiał), otóż ten ksiądz, skąd inąd nieprzesadny w słowach, twierdził stanowczo, że w niedalekiej przyszłości Polska będzie niepodległa. W. S.“

Tak mówiłem i pisałem podczas wakacyj Bożego Narodzenia roku 1893. Tym, którzy mi mówili, że za różowo się zapatruję na przyszłość Polski, odpowiadałem: „Nie ja sam, tylko naród się tak zapatruje. Ja tylko wiernie opowiadam to, co w starym kraju mówią o zmartwychwstaniu Polski. A bywałem po różnych kątach Polski i przysłuchiwałem się, zwłaszcza podczas peregrynacji, co o Polsce mówili i we dworach i w plebanjach i w chałupach. Świadectwo wam podaję a nie proroctwo“.

To świadectwo niejednego na duchu podniosło.

36. Obchód Kościuszkowski w St. Francis. — Prymicje ks. Kubackiego w Manistee. — Arcybiskup Ireland był za umiarkowaniem a nie za prohibicją.

Na wiosnę r. 1894, w setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego, my polscy studenci w seminarjum w St. Francis, urządziliśmy obchód Kościuszkowski, na którym był obecny i rektor seminarjum ks. Józef Raisner, mówiący i rozumiejący po polsku. Jako prezes na tym obchodzie, wypowiedziałem dłuższą mowę, którą wydrukowano później. I w tej mowie uzasadniałem wiarę w zmartwychwstanie Polski następującemi słowy:

„Polska padła, ale padła po bohatersku. Polska umarła, ale umarła śmiercią męczeńską. A jak Kościół, obchodząc rocznice śmierci swoich męczenników, nie smuci się, nie przywdziewa szat żałobnych — dlaczego? bo wierzy, że taka śmierć jest zadatkiem i zwiastunem przyszłego zmartwychwstania w chwale i triumfie: podobnie i my nie tyle płakać i narzekać, ile raczej z szlachetną dumą szczycić się mamy z bohaterskiego i iście męczeńskiego

zgonu Ojczyzny. Polska upadła, ale nie w otchłań nicości; upadła, ale nie przepadła; upadła, ale nie zniszczała. Upadła, by powstać, umarła, by się odrodzić i zmartwychwstać — nastąpił dla niej Wielki Piątek, więc nastąpi i Wielkanoc...

„Chcąc chłopów rzetelnie wynagrodzić, Kościuszko w obozie pod Połańcem 7 maja 1794 wydaje uniwersał, że włościanie i kmiecie są wolni...

„Baczność, szanowni panowie! Ojczyzna nasza, nim skonała, zmazała dzięki temu bohaterowi naszemu grzech największy może, jaki jej ciążył na sumieniu, t. j. grzech ucisku i ciemiężenia ludu wiejskiego. Nie mówcie, że za późno. Póki tchu, póty życia; a póki życia, póty pokutować za grzechy można. Ojczyzna wtedy jeszcze dyszała, więc żyła, więc odpokutować mogła. Gdyby z tym ciężkim grzechem Ojczyzna nasza legła była w grobie, nie wiem, jakby się przed sądem Bożym sprawiła i nie śmiałbym dziś twierdzić, że dla niej nastąpi dzień zmartwychwstania w chwale i triumfie. Ale skoro z tego grzechu jeszcze przed skonem się oczyściła, panowie! nie bezpodstawną żywić możem nadzieję i ufać, że Polska poto umarła, by z tem większym triumfem zmartwychwstać — kiedy? o godzinie na zegarze dziejowym przez Opatrzność dokładnie oznaczonej!...“

Obchód ten Kościuszkowski w seminarjum urządzało nasze literackie Towarzystwo św. Stanisława Kostki. W owych latach członkami tego Towarzystwa byli następujący: Jan Kubacki, Jan Andrzejewski, Bolesław Nowakowski, Mar. L. Krause, Józef Lewandowski, Józef W. Kempa, Konstanty J. Grutza, Franciszek Pitass, Jan Blechacz, Franciszek Pruss, Józef Kamiński, Wacław Kruszka prezes, Piotr Kurzejka sekretarz, Józef Bolka, Władysław Krakowski, Leon Ważny, Piotr Rybak, Jan Płaczek, Aleksander Buechler, Józef Dudek, Aleksander Pitass, Roman Antoszak, Leopold Ogórek, Maksymiljan Dorszyński, Jakób Gara, Kazimierz Gronkowski, Jakób Korczyk, Dukat, Bronisław Celichowski, Józef Cerański, Ślański, Marski. Byli jeszcze inni studenci polscy, jak Władysław Przybylski, Paweł Rhode, Aleksander Siwiec i inni, którzy wtedy do Towarzystwa nie należeli. Paweł Rhode, przyszły biskup, lubiał ciszę, samotność, która jest mistrzynią mędrców. Lubiał krokiet, czyli ogrodową grę w kule drewniane. Lubiał moją kulę wytrącać z pola. Mieliśmy w lesie Salezjańskim osobny plac zabawy, zwany Warszawą.

Jan Kubacki, przyszły prohibicjonista, zaprosił nas wszystkich członków Towarzystwa, na swoje prymicje, które odprawił 24 czerwca 1894 w Ministee, Mich. Już 22 czerwca opuściliśmy Milwaukee i przeprawiliśmy się parowcem przez jezioro Michigan. Towarzyszył nam znany w Milwaukee obywatel Andrzejewski, który pilnie baczył, aby nam niczego nie brakowało w tej jeziornej podróży. Nazajutrz poznałem ks. Edwarda Kozłowskiego, przyszłego biskupa a ówczesnego proboszcza w Manistee. Wesoły i uśmiechnięty zawsze, przyjmował nas z gościnnością iście staropolską. U niego prymicje ks. Jana Kubackiego się odbywały. Pod jego przewodnictwem zwiedziliśmy we Filertown i okolicy owe słynne naówczas solarnie i tartaki czyli młyny do tarcia drzewa na tarcice. W Manistee poznałem także Stanisława Kubiszewskiego. Dopiero 26 czerwca powróciliśmy do Milwaukee. Była to uroczystość wielka i wspaniała a wesoła. Nie tak to illo tempore bywało jak dzisiaj. Ówczesny ksiądz Kubacki wcale nie podobny do dzisiejszego. Wówczas był jeszcze mokrym i świeżym jak bujny jawor wedle wody pełen humoru i wilgotnej świeżości. Z biegiem lat dopiero zestarzał się i usechł. Odstąpił od swej pierwszej gorliwości i stał się prohibicjonistą suchym jak kaktus na pustyni.

Wówczas prohibicjonistów w dzisiejszem znaczeniu tego słowa było jeszcze bardzo mało. Z owych czasów mam pod ręką wycinek, który świadczy, że nawet Arcybiskup Ireland z St. Paul nie był wówczas jeszcze fanatycznym prohibicjonistą, lecz był tylko apostołem powściągliwości czyli umiarkowania w piciu, na co każdy rozumny człowiek, każdy katolik się zgadza. Artykuł arcybiskupa Irelanda o umiarkowaniu czyli „temperance“ tak mi się wówczas roku 1894 spodobał, że wyciąłem go i wkleiłem do swojej teki. Artykuł ten pojawił się w „North American Review“ z następującej okazji.

Biskup Watterson w swojej diecezji Columbus, Ohio, zakazał był salunistom piastować urzędy parafjalne. Apelowano do delegata apostolskiego w Washingtonie. Lecz delegat Mgr. Satolli zatwierdził ten zakaz biskupa Wattersona. Otóż z tego powodu arcybiskup Ireland do „North American Review“ napisał był artykuł, który zatytułował „The Catholic and the Saloon“, a w którym występuje nie przeciw salunowi lecz wyraźnie i jedynie przeciw **amerykańskiemu** salunowi, a nie innemu. Arcybiskup Ireland między innymi tak pisze:

„Przy tem wszystkiem, co tu mówię, mam jedynie **amerykański** salun na oku. Nie mówię tu o gospodach i wyszynkach w innych krajach...“

„Amerykański salun jest odpowiedzialny za to straszne nieumiarkowanie, jakie pustoszy ten kraj nasz i jest fizyczną i moralną zarazą naszych czasów. Napoje, które upajają, są w tych salunach wyprzedawane i pokusy wszelkiego rodzaju do nieumiarkowanego picia są umyślnie planowane i dostarczane. Nie mówimy tu nic o wyszynku jako takim ani o idealnym salunie. Kiedy ten idealny salun nastanie lub stanie się czemś więcej niż rzadkim wyjątkiem, wtedy dosyć czasu będzie o nim rozprawiać. Nasz dzisiejszy salun żyje z nieumiarkowania; i wszelkie te straszne zła, jakie temu nieumiarkowaniu towarzyszą lub z niego wynikają, trzeba kłaść na karb tego salunu“.

„Kościołowi katolickiemu, który nie chce się sprzeniewierzyć swoim zasadom, cóż innego wypada uczynić, jak tylko wystąpić przeciw amerykańskiemu salunowi i ogłosić się jego stanowczym wrogiem?

„Kościół katolicki bynajmniej nie twierdzi, że mierne i prawowite używanie upajających trunków jest złem moralnem czyli grzechem. Nie twierdzi też wcale, że wyrób i sprzedaż upajających trunków są moralnymi złemi czyli grzechami. Wszystko to jest jasnem i niewątpliwem“.

„Wszelako Kościół katolicki nie życzy sobie i życzyć nie może, byśmy przeoczyli inne ważne punkta jego nauki i praktyki. Mianowicie, w oczach Kościoła nieumiarkowanie jest strasznym i śmiertelnym grzechem tak iż ci, którzy się go dopuszczają, królestwa niebieskiego nie posiądą. Przeciw nieumiarkowaniu Kościół żywi szczególną nienawiść i uważa je za jeden z siedmiu grzechów głównych, z którego wypływają niezliczone inne grzechy“.

„Kościół katolicki musiałby wyrzec się swoich własnych żywotnych zasad, gdyby zaprzestał zwalczać nieumiarkowanie i wszystko to, co się przyczynia do nieumiarkowania lub z niem się łączy. Amerykański salun, jak obecnie jest prowadzony, jest tedy wrogiem Kościoła. Między Kościołem a salunem takim nie może nigdy przyjść do zawieszenia broni“.

Tak pisał wówczas Arcybiskup Ireland jako zwolennik umiarkowania a nie prohibicji. I takie jego stanowisko było pochwały godne. In medio stat virtus. W pośrodku stoi cnota.

Umiarkowanie zatem jest cnotą.

Ale co za cnota jest prohibicja? Czy słyszał kto o takiej cnocie? Temperance, a nawet total abstinence może być cnotą o ile jest dobrowolną. Ale czy przymusowa prohibicja może być cnotą? Chyba dla tych nielicznych, którzy nawet z konieczności umieją cnotę robić. Ale prohibicja sama w sobie nigdy przenigdy cnotą być nie może. Czemże więc jest? Jest biegunem przeciwległym pijaństwu. Co mi za różnica między tymi biegunami? Prohibicja jest prawym rowem a pijaństwo lewym rowem drogi, której środkiem kroczy cnota umiarkowania. Prohibicja i pijaństwo są to skrajne ostateczności po obu stronach cnoty umiarkowania i są jak dwa rowy obok drogi, jeden rów suchy, a drugi mokry.

Skrajny i przesadny ruch w dziedzinie moralnej działa podobnie jak gwałtowny ruch we fizyce. Automobilista, który zbyt gorliwie unika lewego rowu, niechybnie wpadnie w drugi rów prawy. Podobnie czyni przesadny moralista. Drogą umiarkowania nie idzie ani pijak ani prohibicjonista: idzie nią ten tylko, kto idzie środkiem między prohibicją a pijaństwem.

Że nadużywano napojów, to chyba prawem kaduka zakazuje się teraz ich używanie. Jeśli nadużycie ma znosić użycie, to znieśmy także używanie prochu, druku, a nawet czytania i pisania. Bo jużcić alkoholu tyle nie nadużywają ludzie, ile nadużywają prochu, druku, czytania i pisania. Tu mi się przypomina pewien stary farmer z Ripon, który słyszał, że jakiś student uniwersytetu dostał się do więzienia za fałszowanie dokumentów.

— Aha! zawołał stary farmer z miną mądrali — widzicie na co mu nauka się przydała. Fałszował i podrabiał pisma i do więzienia się dostał. Dokąd go to nauka zaprowadziła! Ja mam ośm synów ale — Bogu niech będą dzięki — żaden z nich nie nauczył się ani pisać ani czytać.

I myślał ów farmer, że coś mądrego uczynił, zakazując swoim synom uczyć się pisać i czytać.

Ależ sposób myślenia tego farmera wcale się nie różni od sposobu myślenia każdego prohibicjonisty.

O tej moralnej zasadzie, że abusus non tollit usum, nadużywanie nie usuwa używania, nasi naiwni prohibicjoniści nie mają wyobrażenia. W kwestji napojów jedyne prawdziwe bo Chrystusowe stanowisko, zgodne ze stanowiskiem umiarkowania, jest to stanowisko katolickie przez Arcybiskupa Trelane'a powyżej określone. Stanowisko prohibicyjne to stanowisko muzułmańskie i purytańskie, nierozumne i śmieszne. Uwagi godnem jest ta okolicz-

ność, że skrajna prohibicja przyjmuje się właśnie tam, gdzie wielożeństwo kwitnie: w Turcji i w Stanach Zjednoczonych. Wielożeństwo sukcesywne, rozpowszechnione w Ameryce, jest formą wielożeństwa daleko gorsze od równoczesnego wielożeństwa w Turcji.

37. W Mill Creek. — W Chicago. — Amerykańska hierarchja kościelna zaprzęgła się do rydwanu Apaistów.

Wycieczka do Manistee, gościnności ks. Kubackiego i jego zacnych rodziców, mój człowiek póki żyć będzie nie zapomni. Była to pierwsza wycieczka na ziemi amerykańskiej. Drugą wycieczką podczas letnich wakacyj roku 1894-go była wycieczka z Józefem Kempą do Mill Creek, opodal Stevens Point, Wis., gdzie u swego dawnego kolegi ks. Franciszka Jachimiaka bawiłem od 2-go do 10-go lipca. Przypatrywałem się z bliska farmom amerykańskim, wśród osmolonych pniaków. Mało wówczas było uprawnej roli a p e ł n o skoczących kłód opalonych. Kościół na zewnątrz a i wewnątrz, nie wiele się różnił od zwykłej szkoły, i to krzywej i n i e prostej. Domy wyglądały jak budy leśne. A ówczesne drogi farmerskie pożal się Boże, pełne wybojów i wystających korzeni, były karkołomną jazdą ale nie drogami. Mój człowiek pilnie policzył wszystkie kości, gdy ze Stevens Point zajechał do Mill Creek. Tu znalazłem Annę Sobczak, z domu Kłyszową, która, gdym przyszedł na świat w roku 1868 pierwszą kąpiel mi sprawiła.

Trzecia wycieczka od 26 do 31 lipca 1894 roku była z Janem Blechaczem do Chicago parowcem Christopher Columbus. Pierwszego dnia w Chicago odwiedziliśmy ks. Matuszewskiego na Kantowie, ks. Nawrockiego na Bridgeporcie i ks. Byrgiera w Sobieskim; oraz kolegów Nowakowskiego i Krausego. Drugiego dnia byliśmy na Wojciechowie u księży Radziejowskiego i Rhodego. Tu na plebanję przyszedł i chciał mnie zobaczyć niejaki Jan Rochowiak, który opowiadał, że u mojego ojca służył w Sławomierzu i znał mnie jako małego chłopczyka. Tegoż dnia bawiliśmy się na Stanisławowie u ks. Wincentego Barzyńskiego i na Józefatowie u Langego, u którego przenocowaliśmy.

Dnia 29-go lipca 1894 roku z księdzem Lange i kolegą Gronkowskim odwiedziliśmy Jadwigowo, gdzie proboszczem był ks. Józef Barzyński a wikarym ks. Kozłowski, późniejszy niezależny biskup. Ówczesny kościół tu wyglądał jak wielka szopa. A ulice chicagowskie podówczas były gorsze od dróg farmerskich. Wogóle Chicago, ogromne co do przestrzeni, robiło wrażenie wsi i małego

miasta. Bo wielkomiejskich kamienic było stosunkowo mało, i tylko w śródmieściu, które wyglądało jakby otoczone było wsią. Odwiedziliśmy także pana Szudzińskiego, z którym przypadkowo spotkałem się na Oceanie, jadąc z Europy do Ameryki.

W drugiej połowie wakacyj 1894 r., mieszkając u brata Michała w sąsiedztwie pp. Czerwińskich i Sawickich, opisywałem to Rzym to Neapol, które to opisy we formie książek później się ukazały. Długimi wieczorami letnimi, siedząc w ogródku z panem Ignacym Czerwińskim i bratem Michałem, prowadziliśmy ożywione dysputy o wszelkich możliwych kwestjach religijnych, narodowych i społecznych.

Wówczas tworzyła się Liga, nie Liga Narodów, lecz liga organizacyj polskich w Ameryce. Opisałem ją w mojej Historji Polskiej w Ameryce. O tej lidze roku 1894 było więcej hałasu w prasie polskiej aniżeli o dzisiejszej Lidze Narodów. Czy los Ligi Narodów nie będzie podobny do losu naszej ligi z roku 1894?

Kiedy jeszcze byłem „grynhornem" to znaczy, świeżo przybyłym z Europy, często obijał się o moje uszy ten dźwięk: „Epijej". Dla Boga — myślałem — co to znowu za zwierzę? albo może jaki szczep indjański? dziki jeszcze i nie ujarzmiony?

Aliści wnet przekonałem się, że to nie Indjanie ale Yankesi już tu urodzeni czyli natywiści amerykańscy, zorganizowani w tak zwane „American Protective Association", które w skróceniu przezwano A. P. A. Było to do roku 1894 towarzystwo **tajne,** które występowało przeciw Kościołowi, szkołom parafjalnym i wszelkim organizacjom nie angielskim. Dopiero roku 1894 na konwencji APA-istów w Des Moines, Iowa, postanowiono po pierwszy raz od istnienia tego A. P. A. platformę publikować. Takowa brzmi (przytaczam tu tylko charakterystyczne poragrafy):

„3. Tolerując wszelki rodzaj wyznania, oświadczamy, że poddanie się lub popieranie jakiejbądź władzy kościelnej, nie utworzonej ani nie kontrolowanej przez amerykańskich obywateli nie zgadza się z ideą amerykańskiego obywatelstwa. APA jest przeciwną zajmowaniu jakiegobądź urzędu państwowego, stanowego lub miejskiego przez poddanego takiej władzy i popierającego takową".

Tak brzmiał kardynalny paragraf APA. To znaczy, że władza kościelna, utworzona przez Chrystusa Pana, nie amerykańskiego obywatela, nie zgadza się z ideą amerykańskiego obywatelstwa. Ano, rozumiemy. Dalszy paragraf A. P. A. tak brzmi:

„4. Popieramy jak najusilniej tę część konstytucji Stanów Zjednoczonych, która gwarantuje wolność wyznania (co za wspaniałomyślność!), oświadczamy jednakowoż, że ta wolność wyznania jest zagwarantowana tylko obywatelom a nie nieamerykańskiej władzy kościelnej (ustanowionej przez Chrystusa), żądającej pod osłoną tych osób absolutnej kontroli nad wychowaniem dzieci wzrosłych pod gwiaździstym sztandarem".

„5. Wolną publiczną szkołę, nie należącą do żadnej sekty, (ani do religji Chrystusowej) uważamy za podporę amerykańskich instytucji i najlepsze miejsce wychowania dzieci amerykańskich. Aby je w takim stanie utrzymać, protestujemy przeciw ustanowieniu obywateli, podlegających jakiej nieamerykańskiej władzy kościelnej (a więc katolikom!), na urzędników lub nauczycieli naszych szkół publicznych."

Oto platforma Apaistów. Istnieli oni w Ameryce już 40 lat przedtem, tylko pod inną nazwą „Know-Nothing" to znaczy, „nie znać nic innego" tylko język angielski i tylko religję w angielskim języku. Obcy język i obca religja — miały być z Ameryki wykluczonymi. A o tę obcą religję Apaiści nie tyle dbali ile o te obce języki. Jeżeli występowali przeciw Kościołowi katolickiemu jako „obcej władzy kościelnej", to o tyle tylko o ile widzieli, że ta obca władza kościelna pozwala na kazanie polskie, czeskie i t. d. w kościołach i nauczanie religji w polskim, czeskim i innych obcych językach w szkołach parafjalnych. O to Apaistom głównie chodziło. Jak to zobaczymy niebawem, ta „obca władza kościelna" będzie im zupełnie na rękę skoro się zabierze do „amerykanizowania" czyli angielszczenia kościołów i szkół parafjalnych. Wtedy ci sami Apaiści, występujący już tylko pod inną nazwą, mianowicie pod nazwą „Amerykanizatorów", będą w zupełnej zgodzie z ajryską hierarchją kościelną, „nie znającą nic innego" tylko angielski język.

Czego naocznymi świadkami dzisiaj jesteśmy!

38. Dwie sztuki życia są: umieć obfitować i umieć biedować. — Pierwsze kazania w kościele. — Święcenia kapłańskie.

Pod względem porządku dziennego i regulaminu seminarjum amerykańskie nie wiele się różniło od europejskiego kolegjum. Atoli w jadalni zauważyłem porządek inny niż w Europie. Mianowicie wszystkie potrawy odrazu na stół stawiano. Potem, ani wina ani piwa nie dawano. W europejskich kolegjach w Galicji stawiano

na stół piwo i ćwierć litra wina węgierskiego każdemu alumnowi; w Rzymie karafkę wina. Mógł pić, kto chciał, albo mógł się wstrzymać od picia, jeśli tak chciał. Biada temu, kto przekroczył miarę. Dawano więc sposobność każdemu do ćwiczenia się i w umiarkowaniu i we wstrzemięźliwości. Mógł więc każdy ze św. Pawłem powiedzieć: „Wszędy i we wszystkiem jestem wyćwiczony: umiem i nasyconym być i łaknąć, obfitować i niedostatek cierpieć“ (w liście do Filippensów 4, 12). Umiem wśród obfitości miarę zachować albo całkiem się wstrzymać. Oto sztuka czyli cnota. Umieć być wstrzemięźliwym, kiedy nic do picia niema, to nie sztuka. Mój człowiek tak był wyćwiczonym, że braku wina albo piwa w St. Francis nie odczuwał, chyba tyle, ile braku leguminy europejskiej.

Studentom w St. Francis było ostro zakazane trzymać jakikolwiek napój wyskokowy w pokoju. Ja o tem nie wiedziałem i przywiozłem ze sobą dwie flaszki wina reńskiego, kupione jeszcze w Kolonji nad Renem. Te flaszki postawiłem w pokoju, który mi dano tymczasowo. Był to pokój pewnego studenta, który właśnie miał urlop na kilka dni. Otóż później tego studenta wydalono ze seminarjum, jak się dowiedziałem, dlatego, że w jego pokoju znaleziono flaszki z napojem wyskokowym. Natychmiast poszedłem do rektora i powiedziałem, że te flaszki przywiozłem ja a nie on, któregoście wydalili. Rektor powiadomił o tem Arcybiskupa. Koledzy moi byli w strachu o mnie. Ale co mnie mogli zrobić? A bo ja wiedział, że w St. Francis Seminary piją tylko wodę? Pewnego tedy dnia zjechał sam Arcybiskup Katzer do seminarjum i zawołał mnie do siebie. Postawiwszy cztery flaszki przede mną na stole, zagadnął mnie uroczyście w te słowa:

— Które sądzisz flaszki były twoje?

Nie pamiętając już dobrze wyglądu moich flaszek, a chcąc kolegę ratować, odpowiedziałem Arcybiskupowi, że trudno mi napewno powiedzieć, które z tych flaszek były moje. Napewno powiedzieć mogę tylko to, że dwie flaszki zostawiłem w pokoju tego kolegi, któregoście wydalili. Arcybiskup to moje zeznanie przyjął do wiadomości i nic więcej.

Przechowały mi się dotychczas świadectwa z St. Francis z roku 1894 i 1895, które brzmią: obyczaje najlepsze a pilność bardzo wielka. W dogmie profesor Selinger, w moratce Schubze, w homiletyce i Piśmie św. profesor Lebi, w prawie kościelnem profesor Reilly, w śpiewie i języku angielskim profesor Becker — podpisali

mi omnino laudabilis, a w języku francuskiem profesor La Boule napisał mnie optimus.

Kiedy tu przyjechałem ze starego kraju, w mieście Milwaukee właśnie szóstą parafję polską rozpoczynano organizować i kościół ŚŚ. Cyryla i Metodego ukończono i poświęcono. Na południowej stronie było pięć parafij polskich: św. Stanisława, św. Jacka, św. Wincentego, św. Józafata i śś. Cyryla i Metodego, a z tych Wincentowo i Józafatowo nie miało jeszcze osobnych kościołów. Na północnej stronie była tylko parafja św. Jadwigi z księdzem Rogozińskim proboszczem i ks. Tarasiewiczem wikarym. Na Stanisławowie proboszczem był ks. Górski a wikarym ks. Drążkowski, który podczas czarnej ospy idąc do chorego zaraził się i umarł młodo. Na Jackowie proboszczem był ks. Gulski a wikarym ks. Prądzyński. Na Józafatowie księdzu Grutzy dopomagał ks. Szulerecki przybyły z Chicago. Założyciel Wincentowa ks. Lewandowski był sam, i założyciel Cyrylowa ks. Szukalski nie miał asystenta. Otoczenie kościoła śś. Cyryla i Metodego było wówczas puste i nazywano je „koziemi prerami". Z Jackowa na Wincentowo można było iść prosto wydeptaną ścieżką. Gdzie dziś Wojciechowo, tam rosły warzywa w nizinie u stóp Rose Hill Parku, a ulica Becher obsadzona wierzbami była prostą drogą farmerską. Z Rose Hill Parku dziś ani śladu nie ma; pozostała tylko nazwa uliczki Rose Hill. Ulica Mitchell otrzymała była właśnie kolej elektryczną, istny cud postępu. Największą kamienicą na Mitchel ulicy była apteka Tomkiewicza.

Z dawnymi kolegami jezuickimi w Galicji byłem w ciągłej listownej komunikacji. Z jednym nawet w szachy grałem przez listy, robiąc co miesiąc jeden ciąg na szachownicy; ale umarł mi, zanim gra się skończyła.

Zbliżały się wyższe święcenia. Subdjakonat dnia 30 marca a na drugi dzień 31 marca 1895 djakonat odebrałem z rąk biskupa Schwebacha w seminarjum w St. Francis. Arcybiskup Katzer wyjechał był z wizytą do Rzymu i Austrji. Jako djakon wygłosiłem trzy kazania w kościołach polskich w Milwaukee. Pierwsze w mojem życiu kazanie w kościele miałem na Wielkanoc 14 kwietnia 1895 w kościele św. Józafata. Drugie 8-go maja w kościele św. Stanisława. A trzecie na Zielone Świątki w kościele św. Józafata. Gdy ks. Górski zapraszał mnie z kazaniem na dzień św. Stanisława, patrona parafji, zapytałem go, czy kazanie ma być długie czy krótkie. Odpowiedział mi, że na odpust kazanie musi być długie.

Mówiłem więc półtorej godziny, podczas gdy ks. Gulski celebrował z asystą. Za to moje długie gadanie ks. Gulski w plebanji wypalił mi krótkie ale siarczyste kazanie, a ks. Górski z figlarnym uśmiechem wręczył mi złotą monetę, z widocznem zadowoleniem z mego kazania. Człowiek w pierwszych początkach prawiąc kazanie tracił łatwo poczucie czasu.

Ostatnie w życiu mojem egzamina szkolne odbyły się 10-go czerwca 1895 w St. Francis seminarjum.

Największy i najuroczystszy dzień w całem życiu mojem był dzień 16 czerwca roku Pańskiego 1895, kiedy wyświęcony zostałem na kapłana przez słowiańskiego biskupa J. Vertin w kaplicy seminarjum w St. Francis, Wis.

Na wakacje nie było czasu. Albowiem zaraz po święceniach i spożytym obiedzie w St. Francis posłano mię na asystenta ks. Grutzy do Józafatowa, gdzie tego samego dnia święceń ochrzciłem pierwsze dziecko na imię Ewa. To było w niedzielę. Następne dni słuchałem spowiedzi. A w następną środę, 19 czerwca 1895 r. odprawiłem pierwszą Mszę św. w ówczesnym tymczasowym kościele św. Józafata. Ks. Franciszek Jachimiak miał kazanie.

Przewodnie idee, jakie mi przyświecały w owych najuroczystszych chwilach, wyraziłem na obrazku „Pamiątka Pierwszej Mszy św." następującymi cytatami:

„Nie wyście mnie obrali, alem ja was obrał" (Św. Jan 15, 16).

„I usłyszałem głos Pana mówiącego: Kogo poślę? a kto nam pójdzie? I rzekłem: Owo ja, poślij mię". (Izajasz 6, 8).

„Tyś jest kapłanem na wieki" (Psalm 109, 4).

„Ta prawda krwią męczeńską z wieków zapisana:
Że kapłan jest dla ludu, nie lud dla kapłana".

Oto gwiazda przewodnia życia kapłańskiego! „Nie sobie skarbić", ale ludowi, i „być ku Bogu bogatym" (Łukasz 12, 21). Da mihi animas, cetera toble! Dobre jest posłuszeństwo, potrzebna jest czystość, ale najdoskonalszą cnotą kapłana jest dobrowolne ubóstwo, które jest największą ozdobą kapłanów. A nie tylko ozdobą ale jest i potęgą największą. Kapłan, który tylko sobie skarbi, choćby był czystym, traci jednak wszelki urok kapłański i wszelki wpływ zbawienny.

Tego samego dnia prymicyj moich wieczorem poszedłem na Stanisławowo odwiedzić chorego ks. Górskiego. On bowiem życzył był sobie, żebym prymicje odprawił w jego kościele. Ale z powodu jego ciężkiej, bo śmiertelnej choroby stało się to zupełnie

niemożliwem. Gdym wszedł do parloru plebanji, z pewnem zdziwieniem patrzałem na to, że ks. Górski nie leży w łóżku lecz siedzi na kanapie. Miał dopiero coś 45 lat życia, był więc jak to mówią w sile wieku. Wstał na przywitanie moje, uścisnął mi dłoń i rzekł do mnie te pamiętne słowa:

— Sto lat kapłaństwa!

Poczem zaraz siadł i zaczęła się rozmowa, ale krótka. Bo widziałem, że ks. Górski jest nadzwyczaj słabym. Niebawem tedy opuściłem Stanisławowo i wróciłem na Józafatowo. Jeszcze tej samej nocy po dniu moich prymicji mój proboszcz ks. Grutza budzi mnie i powiada:

— Ks. Górski już nie żyje.

W roku 1894 jeszcze ajryska hierarchja kościelna zaciętą wojnę prowadziła z Apeistami, bo nie wiedziała o co im chodzi. Myślała, że chodzi im o wytrącenie władzy kościelnej z ich rąk. Atoli gdy się przekonała, że tu chodzi właśnie o zatrzymanie władzy kościelnej w rękach hierarchji li tylko po angielsku mówiącej, wtedy ta ajryska władza kościelna odrazu podała rękę Apaistom czyli Amerykanizatorom i bodaj czy nie gorliwiej od nich pracuje nad wynarodowieniem Polaków.

39. Wikarym i profesorem wyższej szkoły na Józafatowie. — Polemika z redaktorem „Zgody". — Nagły wyjazd do Beaver Dam.

Razem ze mną wyświęconych było 37 kapłanów; większa liczba niż kiedykolwiek przedtem. Niestety, nas Polaków było tylko trzech: ks. Bolesław Nowakowski dla archidiecezji chicagoskiej, ks. J. Dudek dla diecezji St. Cloud, i ja. Jeden Słowieniec ks. Hodnik dla diecezji Marquette. Ale oto kompletna lista. Dla archidiecezji Milwaukee: Aylward, Fr. Berg, G. Dunin, Feld, Freimann, W. Mc Carthy, Petit, Pischery, Ruhmann, K. Schmid, M. Schmitz, Walf, Kruszka. Dla archidiecezji Chicago: B. Nowakowski, Rosch, Saile, Thiele, Zimmermann. Dla diecezji La Crosse: Campbelll, Muchlenkamp, Schmit. Dla Green Bay: Fiss. Dla St. Louis: Bahr. Dla Kansas City: Scheele. Dla Dubaque. Wienhold. Dla St. Cloud: Dudek i Altendorf; Tasche. Dla Sioux Falls: Dahlmans i O'Hara. Dla Belleville. Henken, Peters i Bruns. Dla Grand Rapids: Brogger i Maus.

Z tych 37 do roku srebrnego jubileuszu żyło 25. Dwunastu umarło, a z tych pierwszy Słowieniec ks. Hodnik utonął na okręcie La Bourgogne.

Ks. Pieniążkiewicz z Wielenia radził mi wracać do Poznańskiego. W liście z dnia 22 maja 1895 pisał mi tak: „Tobie chodzi o pracę i poświęcenie się — no, tego Ci u nas nie zabraknie, więc ściągaj! Żebyś był persona ingrata, o tem nic nie słyszałem... Mógłbyś nawet listownie porozumieć się z naszym Arcybiskupem".

Ale te życzenia z wielu względów spełnić się nie mogły w owych czasach.

Z święceniami kapłańskiemi rozpoczął się dla mnie publiczny zawód życia. Zaczęło się życie publiczne w kościele i społeczeństwie. Zaczęła się działalność publiczna na polu religijnem i narodowem: praca kaznodziejska i duszpasterska w parafji, praca naukowa w szkole, praca pisarska w gazetach i książkach, praca narodowa i społeczna na obchodach, wiecach i kongresach, praca misyjna w delegacji do Rzymu.

Zaraz w dniu święceń moich dałem się zaprząc do pługa ewangelicznego, bo wiedziałem, że ks. Grutza sam go ciągnie z wielkiem sapaniem i na gwałt potrzebuje pomocy. Parafja św. Józefata, której ks. Wilhelm Grutza był założycielem i proboszczem, rosła jak na drożdżach. Pracy było dużo w kościele i w szkole i w hali na mityngach. A parafja św. Józefata przewyższała inne nie tylko ilością członków ale i wyższością szkoły. Bo oprócz zwyczajnej, szkoła posiadała jeszcze tak zwaną wyższą szkołę. Głównie dla tej wyższej szkoły przysłano mnie tu na Józefatowo, a nie na Stanisławowo, gdzie chorowity proboszcz ks. Górski po śmierci ks. Drążkowskiego był bez pomocnika. Krótko przed mojem wyświęceniem dopiero na Stanisławowo posłano ks. Szulereckiego, którego ks. Grutza chciał mną zastąpić. W ten sposób, gdy ks. Górski niespodziewanie prędko umarł, ks. Szulerecki został jego następcą faktycznym, choć nie prawnym. Prawo bowiem niezaprzeczone miał ks. Prądzyński, wikary ks. Gulskiego, kapłan wyświęcony już coś siedm lat temu dla diecezji milwauckiej A ks. Szulerecki był świeżym przybyszem z Chicago i nie należał był do diecezji milwauckiej.

Ks. Prądzyński tę swoją krzywdę bardzo głęboko odczuwał. Sympatyzowali z nim wszyscy miejscowi proboszczowie prócz ks. Grutzy, który trzymał stronę „Faterka", jak nazywano ks. Szulereckiego dlatego, że on sam do drugich księży wołał „Faterku!" Ks. Grutza znowu odstrychnął się od reszty głównie dlatego, że inni proboszczowie nie popierali jego wyższej szkoły jak się na-

leżało. We winońskim „Wiarusie“ ukazywały się zjadliwe artykuły, wyszydzające tę wyższą szkołę.

Przez lipiec i sierpień, w czasie wolnym od pracy w szkole, przygotowywałem do druku „Rzym“, który 15 listopada 1895 wyszedł na świat. Z proboszczem ks. Grutzą i panem Kukiem układaliśmy plan nauk dla wyższej szkoły.

Z wrześniem 1895 rozpocząłem naukę we wyższej szkole św. Józafata, w której były trzy klasy. Profesorów więc było nas trzech: pan Kuk, pan Morris i ja. Mój człowiek w każdej z tych trzech klas codzień wykładał religję jedną godzinę i jedną godzinę język polski, ogółem sześć godzin dziennie. W czasie nieobecności proboszcza i długiej jego choroby na nogi byłem często z klasy wywoływany do chorego.

W wyższej szkole św. Józafata miałem następujących uczniów:

Na pierwszym kursie: Antoni Rozmarynowski, Władysław Jasiński, Wincenty Starszak, Stanisław Goździak, Klemens Zych, Marcin Pietrusiński, Leon Trojanowski, Franciszek Kempa, Lucjan Kufel, Michał Szołowicz, Roman Modrakowski, Michał Różewski, Florjan Lindner, Ignacy Młynarek, Zygfryd Kuczyński, Józef Szyszka, Jan Radka, Jan Filut, Marek Forecki, Roman Małecki, Piotr Kłos, Walenty Hoerenbruck, Jan Leszczyński, Szymon Piotrowski.

Na drugim kursie: Maksymiljan Drożewski, Wojciech Litzaw, Edward Szubert, Jan Bzdawka, Jan Torzewski, Leon Heller, Stanisław Kania, Jan Czaplewski, Marcin Madaj, Leon Kozak, Feliks Banach, Józef Platta, Wawrzyniec Kotecki, Jan Gawrych, Franciszek Łukaszewski, Michał Skrzypczyński, Jan Lorbiecki.

Na trzecim kursie byli: Teodor Małecki, Antoni Kempa, Piotr Szymczak, Marcin Przybył, Ignacy Przybyła, Jan Liński, Teodor Jankowski, Andrzej Mazurek, Władysław Rybacki, Jan Kaczmarowski, Franciszek Gutkowski, Antoni Leda, Paweł Ruciński, Jan Kobeliński, Stanisław Stachowski, Jan Markiewicz.

Cały ten blok między kościołem a wyższą szkołą był wówczas jeszcze pusty, tak że zazwyczaj z plebanji szło się prosto do wyższej szkoły po przez próżne loty. Najbliższy tramwaj był na Mitchell ulicy.

Z nowo wyświęconych diecezjalnych księży polskich byłem sam jeden. Rówieśników albo bliskich wiekiem lub święceniem nie miałem. Najbliższy był sześć lat przede mną wyświęcony. Pierw-

szy po mnie wyświęcony, był także dalekim ode mnie. Prośba moja o stałego profesora polskiego w seminarjum w St. Francis znalazła łaskawe ucho u proboszczów polskich. Atoli gdym na prośbę ks. Grutzy ogłosił w „Kurjerze Polskim“ odezwę wzywającą rodziców do posyłania swych dzieci do wyższej szkoły polskiej, zaraz w winońskim „Wiarusie“ wytoczono wielką armatę przeciwko mnie i naszej wyższej szkole. „U wielu proboszczów — mówił mi ksiądz Grutza — popadłeś w niełaskę dlatego, że pracujesz dla wyższej szkoły św. Józafata“.

Nie odpowiadałem na te napaści winońskiego „Wiarusa“ i milwauckiego „Słowa“, raz dlatego, że miałem zbyt wiele pracy w szkole i kościele, a potem dlatego, że wolny czas, jaki mi zbywał wówczas, obracałem na wykończenie „Rzymu“ i na pisanie artykułów w kwestjach zasadniczych o stosunku religji do narodowości.

W jesieni r. 1895 przy „Zgodzie“, organie Związku Narodowego Polskiego, redaktorem był pewien rodak zdolny, ale jednostronny i wojowniczy. W „Zgodzie“ na pierwszej stronicy ukazywały się co tydzień artykuły atakujące nas księży, pod tytułami „Czarne duchy“, „Faryzeusze“, „Pobielane groby“ i tym podobne. Wyzwiska te mnie nic nie obchodziły. Mnie w najwyższym stopniu oburzała fałszywa zasada, jaką ówczesny redaktor „Zgody“ chciał zatruć ducha narodu. A tą fałszywą zasadą, głoszoną na rozmaite nuty w ówczesnej „Zgodzie“, był tak zwany czysty patrjotyzm, to znaczy, bezreligijny i bezbożny.

Patrjotyzm i religijność są tem w sferze politycznej, czem są praca i kapitał w dziedzinie ekonomicznej. Jedno drugiego potrzebuje, jedno bez drugiego obyć się nie może. Łączyć je trzeba, a nie dzielić. I ta jedna zła zasada jest gorszą niż sto zbrodni.

Przeciwko tej złej zasadzie napisałem krótki a jasny artykuł, przytaczając te wiersze Mickiewicza:

„Mówisz: niech sobie kto nie miłuje Boga,
Byle mu cnota i Ojczyzna była droga.
Głupiec mówi: niech sobie źródła wyschną w górach,
Byle mi woda płynęła w miejskich rurach.“

I artykuł ten posłałem do „Kurjera Polskiego“. Aliści „Kurjer“ odrzucił go. Więc posłałem go do chicagoskiej „Gazety Katolickiej“. Ta przyjęła mój artykuł, ogłosiła go i prosiła mnie o więcej. Po-

słałem jej niebawem drugi obszerniejszy pod tytułem „Religja a polityka — ich wzajemny stosunek".

Redaktor „Zgody" gniewał się zrazu niemało i dziwił się zarazem, że — tak pisał — „młodziutki ksiądz Wacuś wyrywa się do walki, gdy starzy milwauccy księża siedzą cicho".

Na to mu odpowiedziałem:

„Czy nie wiecie, panie redaktorze, jak to bywa we wojnie? że właśnie młodzi muszą się bić, podczas gdy starzy radzą tylko!"

Nastąpił cały szereg dalszych artykułów, ogłoszonych w „Gazecie Katolickiej", jak — „Ruch narodowy rzeczywisty i pozorny", tudzież „Utopje Związkowców", dalej „Litości błaga" i t. d.

Tytuł artykułu „Utopje Związkowców" jedni naiwnie a drudzy naumyślnie tak czytali, jakoby chciał „utopić" Związkowców. Tymczasem nie było to „utopią", tylko „utopje" czyli mrzonki, przywidzenia, o których między innemi tak pisałem:

„Wy marzycie i w gorączkowej malignie przedstawiacie sobie, że jedynie wy reprezentujecie Polskę... I co jeszcze za przywidzenie w tej malignie macie, to to, że „Zjednoczenie", „Unją" i t. p. bierzecie za reprezentantów Kościoła katolickiego, i błędy popełnione przez te czysto ludzkie instytucje, kładziecie na karb całego Kościoła! Tak jak wasz Związek nie jest reprezentantem całej Polski, tak też ani „Zjednoczenie" ani „Unja" ani żadna inna organizacja, ludzki li to początek mająca, nie może sobie rościć pretensji reprezentować Kościoła..."

Na niezgodzie polityki z religją publiczność najwięcej traci, podobnie jak na niezgodzie pracy z kapitałem.

Po pierwszem półroczu mojej profesury we wyższej szkole św. Józafata, w połowie lutego 1896, wyjechałem na parę dni wakacyj do Madison, gdzie wówczas mój brat Michał zasiadał w senacie i gdzie z wielką ciekawością przysłuchiwałem się obradom senatorów i posłów do legislatury.

W niedzielę po sumie w hali parafjalnej św. Józafata odbywały się mityngi towarzystw panien i niewiast różańcowych. Z polecenia proboszcza ks. Grutzy przewodniczyłem tym gromadom, dając rady i wypowiadając mowy. Tak panny jak i niewiasty na tych zebraniach zbierały pieniądze i we worku oddawały je proboszczowi. Nareszcie raz niewiasty różańcowe zaczęły mi się użalać, że nie wiedzą, ile w kasie mają pieniędzy.

— A to się spytajcie proboszcza — odpowiedziałem.

— Pytałyśmy się, ale proboszcz odpowiedział nam, że nie ma czasu rachować naszych dochodów i rozchodów.

— Słusznie, bo proboszcz bardzo zajęty.

— A czyby ksiądz nie zechciał zająć się rachunkami naszej kasy, jeśli proboszcz pozwoli?

— Jeśli proboszcz pozwoli, to i owszem.

To wszystko co było mówione o kasie i finansach na mityngu niewiast różańcowych.

Tymczasem dnia 25 lutego 1896 woła mnie arcybiskup Katzer do siebie i powiada:

— Jest skarga na ciebie, że na mityngu niewiast różańcowych miałeś na proboszcza swego powiedzieć, że nie prowadzi finansów parafjalnych w porządku.

— Ekscelencjo, tego nie powiedziałem. Proszę mi choć jedną niewiastę wymienić, któraby to z ust moich usłyszała. Ale to teraz Waszej Ekscelencji otwarcie mówię, że gdybym to był powiedział, w każdym razie nie byłbym kłamstwa powiedział.

— Czy być może?

— Well, ja ci dam inne miejsce.

I rzeczywiście dnia 27 lutego 1896, kiedym właśnie pisał Dopowiedzenie do „Hymnów Wielkopostnych", które drukiem ogłosiłem, przyjechał pośpiesznie na Józafatowo ks. konsultor Gulski i zdyszany oznajmił mi, że mam natychmiast siadać na buggy, jechać na dworzec St. Paul i koleją jechać do Beaver Dam, do chorego. Taki jest rozkaz arcybiskupi. Opatrzywszy chorego, mam w Beaver Dam pozostać tak długo, aż tamtejszy proboszcz ksiądz Wiktor Zaręczny wyzdrowieje.

Wziąłem czemprędzej brewjarz, czapkę i futro, kupione jeszcze we Wieleniu od ks. Pieniążkiewicza, wsiadłem na buggy i — wyjechałem z Józafatowa. Tak skończyła się moja asystentura, czyli mój wikarjat.

W Beaver Dam jako administrator czyli zastępca proboszcza ks. Zaręcznego bawiłem aż do 9 marca 1896 r. Atoli już w sobotę w dzień św. Tomasza z Akwinu 7 marca otrzymałem był od arcybiskupa nominację na pleno titulo proboszcza w Ripon, Wis., na proboszcza parafji, która jeszcze nie istniała, ale która dopiero miała powstać.

Tak więc skończyło się czwarte siedmiolecie życia mego (1889—1896). Zaczęło się w Tarnopolu a skończyło się aż w Ripon. Istotnie, złotą prawdę mówi nasze staropolskie przysłowie, że czło-

wiek strzela a Pan Bóg kule nosi. W roku 1889, ktoby się był spodziewał, że na końcu czwartego czy na początku piątego siedmiolecia wyląduje w Ripon, Wisconsin?

Taki los wypadł nam,
Dzisiaj tu, jutro tam.

Czwarte siedmiolecie stanowi chyba najburzliwszy okres życia mego, tak zwany z niemiecka „Sturm- und Drang-Periode". Przez następne dwa siedmiolecia, przez piąty i szósty, natomiast miałem jedyny w życiu mojem ciągły, długotrwały i stały punkt oparcia w Ripon, tak iż niemal z Archimedesem wołać mogłem: Dic ubi consistam, coelum terramque movebo! Nigdzie w jednem miejscu tak długo nie siedziałem jak w Ripon, ani nawet w Sławomierzu, rodzinnem mojem miejscu.

PIĄTE SIEDMIOLECIE.

(Wiek dojrzałości od 1896—1903.)

1. Na stanowisku proboszcza w Ripon. — Równoczesny początek probostwa i parafji. — Granice parafji są narodowe a nie terytorjalne.

Z dniem 2 marca 1896 rozpocząłem piąte siedmiolecie życia mego. A w trzy dni potem, 5 marca, rozpoczął mój człowiek urząd proboszcza. Dokładniej mówiąc, był to urząd rektora, czyli rządcy parafji, gdyż kościół w Stanach Zjednoczonych znajdował się wówczas jeszcze na stopie misyjnej.

Dla mnie był to urząd rektora i organizatora zarazem. Dla spełnienia takiego urzędu był potrzebny nietylko dar rządzenia, ale i dar urządzenia parafji nowej, dar powołania do bytu i postawienia na nogi parafji, która jeszcze nie istniała. Trzeba było zakładać fundamenta, czyli być założycielem parafji, inaczej byłoby się proboszczem bez teki.

Taką pracę organizatorską zacząłem najpierw w Ripon, a potem z Ripon, jako stałego punktu oparcia, w innych osadach.

Arcybiskupi list, mianujący mnie proboszczem, nosi datę 5-go marca. Na kalendarzu polskim jest to dzień Przeniesienia św. Wacława, patrona mego. W liście nominacyjnym 5 marca 1896 pisał mi arcybiskup Katzer tak:

„Jesteś ustanowiony rektorem nowej powstać mającej polskiej parafji w Ripon. Masz tam zczasem wybudować kościół, szkołę i plebanję... W razie nieporozumień przy odłączeniu się od ojczystej parafji trzymaj się następujących zasad:

1. Jestem tu dla Polaków i dla Polaków czynię co mogę.
2. Wszystko inne mnie nic nie obchodzi.
3. W razie zatargu jakiegoś między Polakami a innymi pisz poprostu do biskupa i mów: Jestem kapłanem Polaków lecz przyjacielem wszystkich; sporne punkta pozostawiam biskupowi.

Przy budowie radź się biskupa.

Po odebraniu tego listu daj zaraz znać Polakom w Ripon, kiedy przyjedziesz z Beaver Ram przez Fond du Lac do Ripon. Pisz do pana Kazimierza Wagnera w Ripon.

Oddany Twój F. X. Katzer. Arcybiskup Milwaucki."

W poniedziałek 9 marca 1896 pierwszy raz stanąłem w Ripon, gdzie na dworcu kolei St. Paul przyjmowała mnie delegacja jako swego proboszcza i zawiozła mnie powozem do improwizowanej plebanji na ulicy Washington.

Jadąc z dworca ku miastu, zaraz po lewej ręce zauważyłem obszerny plac i zawołałem do delegacji:

— Oto tu miejsce dla kościoła polskiego.

Ale delegacja mnie objaśniła, że ten plac należy do ripońskiego kolegjum i nie jest na sprzedaż. Szukaliśmy więc innych miejsc, w śniegu brodząc nieraz po kolana.

Byłem u księdza Goebla, od którego parafji Polacy odłączyć się mieli. Przyjął mnie grzecznie, ale nie wierzył, żeby polski kościół w Ripon stanął. Kpił z rozporządzenia biskupiego i rzekł:

— Biskup tak samo mógłby ci kazać na księżycu kościół wybudować.

— A choćby i na księżycu kościół stawiać kazał, zawsze biskupa trzeba słuchać.

— A cobyś zrobił, gdyby ci biskup kazał zakładać parafję na księżycu?

— Cobym zrobił? Próbowałbym wszelkiemi sposobami najpierw dostać się na księżyc, by zobaczyć, czy tam są Polacy. Ogłosiłbym w gazetach, że mam taki rozkaz arcybiskupi. Niech się tedy zgłoszą inżynierzy, którzyby most na księżyc wybudowali. Jeślibym nie mógł wypełnić rozkazu arcybiskupiego, to przynajmniej próbowałbym go wypełnić. I tak samo tu w Ripon.

Dnia 31 marca 1896 arcybiskup Katzer aprobował wybór urzędników parafjalnych i pisał:

„Czy pomyślano już o mieszkaniu dla Sióstr? w bezmencie przecież mieszkać nie będą. Radziłbym Ci o budowie z panem Brielmeir się rozmówić, może tu u mnie, i jemu plany dać robić.

„Co do sumy (odczepnego), jaką Polacy mają dostać od parafji św. Patryka, nie mają Polacy za wiele żądać; ja im przyznam co słuszne, skoro tylko się dowiem, ile Polacy wpłacili do parafji św. Patryka."

Co do architekta, odpowiedziałem arcybiskupowi, że już obraliśmy p. Bernarda Kołpackiego z Milwaukee.

Pierwotny plac, zakupiony pod kościół, znajdował się w środku miasta, niedaleko dworca kolei Northwestern. Tam już kamienie zwieźliśmy. Atoli mieszkający tam niejaki T. D. Stone wszedł nam w drogę. Nie chciał on, żeby mu dzwony kościelne nad uchem dzwoniły. Uprzedził nas w kupnie dalszych lotów, które potrzebne nam później były na szkołę i dom Sióstr. Właścicielka tych lotów mieszkała aż w Minneapolis, Minn. Myśmy, nie przeczuwając niczego, sprawę z nią załatwiali przesyłką pocztową, podczas gdy T. D. Stone telegraficznie kontrakt zakupna z nią uskutecznił. Myśmy jednak prawo mieli za sobą, więc wnieśliśmy sprawę do sądu. T. D. Stone atoli na terminy się nie stawiał, tylko kary płacił.

Wiedząc, że sprawa by się w nieskończoność przewlekła, kiedy nam pilno było z budową, za radą Arcybiskupa wycofaliśmy skargę, zwłaszcza że T. D. Stone wynagrodził nam straty. Wycofaliśmy tę skargę głównie dlatego, że właśnie wtedy się dowiedziałem, iż plac blisko dworca St. Paul, który upatrzyłem sobie zaraz przy samym wjeździe moim do Ripon, jest istotnie do sprzedania. O tem dowiedziałem się w następujący sposób:

Żył w Ripon sprzedawacz gruntów Jeleff, który w gazetach dowcipnie zwykł był się ogłaszać jako „Jeleff is still on earth to sell it". Ten pewnego dnia mnie spotkał i powiedział, że we śnie widział kościół na placu blisko dworca kolei St. Paul. Może to był sen a może też tylko marzenie na jawie; ale Jeleff miał spryt nielada. Wiedział on, że upatrzyłem sobie ten plac od samego początku; ale wiedział też, że tego placu nie można było kupić od Ripońskiego Kolegjum. Więc rzekłem mu:

— Pański sen, to mara.

— Ale próbować nie zaszkodzi. Ripon College całego placu nie sprzeda, to pewna. Ale wam też tyle gruntu nie potrzeba. Może jednak odprzeda wam tyle ile potrzeba pod kościół, plebanję, szkołę i dom sióstr. Pojadę i zapytam się.

Poszedł i dowiedział się, że Ripońskie Kolegjum jest gotowe nam sprzedać jeden akier i jedną trzecią.

— Tyle nam wystarczy. A za ile?

— Za jedenaście set pięćdziesiąt dolarów.

— To mniejwięcej tyle co jeden lot kosztował na poprzednim placu.

I tak stanął kościół tam gdzie dziś stoi. Kościół ten sto stóp długi, szeroki 40 stóp z frontu a 54 w krzyżu, z wieżą 130 stóp wysoką, z sygnaturką i 10 pomniejszymi wieżyczkami i ozdobami kosztował wtedy niespełna sześć tysięcy dolarów. Dzisiaj sama wieża by tyle kosztowała. (Opis w Historji.)

Ale o pieniądze było trudno, bo to był rok prezydencjalny, kiedy Mc Kinley bił się o złoto a Bryan o srebro.

2. Na pierwszy Kongres polski w Buffalo jechałem rzemiennym dyszlem. — Fałszywie oskarżony o kradzież mowy ks. Pitassa.

Na kościół w Ripon musiałem kolektować. I kolektowałem w Berlinie, w Princeton i w Milwaukee na Stanisławowie. W innych parafjach kolektować pozwalał mi biskup ale nie pozwalali proboszczowie; a biskup pozwalał tylko pod warunkiem, że proboszczowie pozwolą. A tu pieniędzy na gwałt było potrzeba. Pieniędzy wprawdzie zawsze dosyć było ale nie są one zawsze tam gdzie powinny być. Trzeba ich szukać. Ażeby je znaleźć, trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać, do których kieszeni pukać. Nie mogąc w Milwaukee we więcej parafjach kolektować, tylko w jednej, wybrałem się dalej w świat i pojechałem najpierw do Chicago, gdzie na Trójcowie i na Michałowie w So. Chicago uzyskałem pomoc.

Zwiedziwszy plebanje w Chicago od 1 do 8 września, dnia 9 września pojechałem do Lemont, Ill. do ks. Kandyda Kozłowskiego; stamtąd do Joliet, La Salle i Peru do ks. Truszyńskiego. Dnia 10 września 1896 r. byłem w St. Louis, Mo., u ks. Urbana Stanowskiego. Stamtąd, ponieważ jechałem na kongres do Buffalo, zboczyłem do South Bend, Ind., skąd na krzyżackim bicyklu puściłem się do pobliskiego Notre Dame zakładu. Potem w dniach 12, 13 i 14 września odwiedzałem proboszczów w Detroit, Mich., dnia 15 września byłem w Toledo, O., u starego ks. Wieczorka, o którym później w Historji miałem dużo do pisania. Następnego dnia 16 września 1896 widziałem proboszczów w Cleveland i Berea; 17 września ks. Ignasiaka w Erie, Pa. i ks. Antoniego Lexa w Dunkirku. Nareszcie 18 września 1896 stanąłem u ks. Jana Pitassa w Buffalo, N. Y., gdzie właśnie pierwszy kongres polsko-katolicki miał się odbyć.

W całej tej mojej kwestarskiej podróży przedkongresowej dostałem kolektę na kościół w Ripon tylko tam gdzie trafiłem na niedzielę, więc w South Chicago, potem w Detroit w parafji św.

Franciszka i w Buffalo w parafji Wniebowzięcia. Tam kazanie mówiłem i kolektowałem. Gdzieindziej musiałem się zadowolić hojnymi obietnicami.

Na kongresie w Buffalo poznałem bardzo wielu księży i świeckich delegatów. Przemawiał także ks. prałat Wawrzyniak, przybyły z Poznańskiego, patron banku spółek zarobkowych. Kongres odbył się poważnie i opis jego umieściłem w Historji. Atoli nie odbyło się bez małej komedji. Ks. Jan Pitass jako gospodarz, u którego kongres się odbywał, miał mieć mowę wstępną. Oczywiście mowa ta była głęboko obmyślana i gruntownie przygotowana już jaki tydzień naprzód. Przezorny redaktor buffalowskiego „Polaka w Ameryce", pan Stanisław Ślisz, miał zawczasu tę mowę ustawioną w czcionkach tak, żeby natychmiast w prasie ukazać się mogła skoro tylko wypowiedzianą zostanie. Istotnie jednak ukazała się zawcześnie i to aż w milwauckim „Kurjerze Polskim". I kiedy mowa była wygłaszaną na kongresie, już każdy ksiądz trzymał „Kurjera" w kapeluszu i, porównując drukowany tekst z wygłoszoną mową, chwalił mówcę, że jej na pamięć się wyuczył.

Każdy był rad ze spłatanego figla, tylko nie mówca. Ciekawość była ogólna, kto takiego figla spłatał. Niektórzy wiedzieli ale nie chcieli powiedzieć. Pomału w dalszym ciągu obrad kongresowych zapomniano już o tym figlu.

Po skończonym kongresie dnia 26 września powróciłem do Ripon, gdzie po pierwszy raz odbył się odpust św. Wacława w kościele św. Patryka. Nadeszły gazety z Buffalo. Biorę „Polaka w Ameryce" i na pierwszej stronie czytam, że ks. Wacław Kruszka skradł mowę ks. Pitassa i posłał ją Kurjerowi; że więc ks. Kruszka to podły charakter; wyglądał na kongresie jak istny anarchista o ogromnej czuprynie, pod długimi połami czarnego fraku ukryte miał bomby i rewolwery; że widziano go jak zamaskowany z rewolwerem w ręku kręcił się po drukarni, zecerni i biurze redakcyjnem i papiery pod pachy chował; że rzemiennym dyszlem przyjechał do Buffalo z Ripon przez St. Louis i Detroit. W następnych numerach „Polak w Ameryce" malował mnie, już nie jako anarchistę, ale wprost jako djabła czarnego z rogami i ogonem.

Tego mi za wiele było. Już mnie poprzednio smarowano we winońskiem „Wiarusie" i w milwauckim „Słowie" a teraz i w buffalowskim „Polaku". Było za wiele tej niesławy! Napisałem list do arcybiskupa Katzera, żeby mi pozwolił skarżyć ks.

Pitassa, odpowiedzialnego wydawcę „Polaka w Ameryce". Na to arcybiskup Katzer mi odpowiedział:

— Już dosyć zgorszeń ma lud z tego włóczenia księży po sądach. Upokórz się. Humiliate capita vestra Deo".

— Deo! — odpowiedziałem — sed non hominibus. Uniżajcie głowy wasze Bogu! a nie ludziom. Bo ludzie wam na uniżonych głowach kołki ciosać będą. Uniżać się Bogu, to prawdziwa cnota, która się nazywa pokorą. Lecz uniżać się ludziom, to podłota czyli tak zwana garbata pokora. Mnie napadniętemu władza zakazuje bronić się, a napastnikom moim nie zakazuje broić! Właśnie w tem największe zgorszenie ludu, że władza napadniętym księżom zakazuje się bronić; bo wtedy ludzie myślą, że napadnięci księża są rzeczywiście tak czarni jak ich oszczercze pisma malują. Żeby zgorszeniom zapobiec, trzeba przedewszystkiem usta zamknąć oczerniającym a nie oczernionym. Lecz jeśli władza na drodze prawnej obronić mnie nie chce, czy nie może, to wiedz, arcybiskupie, że przysługuje mi wtedy prawo bronienia się własną ręką, względnie własnem piórem.

Dziwna rzecz, jak historja się powtarza. Jak niegdyś Anderledy i Mycielski fałszywym donosem dali się okpić i pewnie do samej śmierci wierzyli święcie, że ja kolegom łby rozbijał: tak teraz Pitass i Ślisz byli pewni, że ja im tę mowę ukradł. I zdaje się, że w tej pewności trwali aż do samej śmierci. Bo oto prawie w dwanaście lat później, dnia 18 lutego 1908, pan A. Surdel, redaktor „Kurjera Katolickiego" pisał mi z Toledo co następuje:

„Wielebny Księże Proboszczu, Dobrodzieju! Ponieważ p. St. Ślisz w oszczerczych artykułach skierowanych przeciwko mnie pomiędzy innymi robi mi publicznie zarzut, iż podczas pierwszego polsko-katolickiego kongresu pracując wówczas przy „Polaku w Ameryce" wykradłem z drukarni odbitkę mowy, jaką Przew. ks. dziekan Pitass miał wygłosić na tym kongresie i takową wręczyłem Waszej Wielebności, przeto upraszam w imię sprawiedliwości i słuszności o zaprzeczenie listowne temu oszczerstwu, gdyż jak Wieleb. ks. Dobrodziej zapewne pamięta, nietylko że nie wręczyłem Mu żadnej odbitki, ale nawet nie znałem Go wcale. Wiem kto tę mowę wykradł i komu ją doręczył, ale to mi jest zupełnie obojętnem, proszę tylko Waszą Wielebność o krótką listowną wzmiankę, że z wyż wspomnianą odbitką nic nie miałem do czynienia".

Z tego listu p. Surdla wynika, że przynajmniej p. Ślisz (nie wiem, czy ks. Pitass także), wówczas bliskim śmierci był jeszcze przekonanym, że ja w tę sprawę kradzieży byłem wmieszany, podczas gdy nic zgoła o tej sprawie nie wiedziałem aż dopiero po fakcie. Dobrze więc sławny Lincoln powiedział: Yon cannot fool all the people all the time but only some time; but yon can fool some peoplo all the time. Chociaż wszystkich ludzi zawsze nie okpisz, tylko raz kiedyś ich okpisz, to jednak niektórzy ludzie raz na zawsze okpić się dadzą.

3. Publiczna prośba o ofiary na kościół. — Jakiem prawem przyłączyli się ajrysze do polskiej parafji w Ripon?

Ku jesieni roku prezydencjalnego 1896 w rozesłanej do gazet „Publicznej prośbie o ofiary na kościół w Ripon" pomiędzy innemi tak pisałem:

„W dawniejszych czasach, kto chciał budować, mógł przynajmniej pożyczkę zaciągnąć — dziś banki i kieszenie dla ubogich zamknięte. Żyjemy w nadzwyczajnych czasach. Są one „ciężkie", jak je nazywamy... Rodacy! jeśli chcemy przyspieszyć chwilę nadejścia „lepszych" czasów, okażmy sami serca miłosierne tym, którym brzemię „ciężkich" czasów najbardziej daje się we znaki..."

„A miłosierdzia potrzebują tu w Ameryce zwłaszcza ci, którzy nie mają kościoła, ani szkoły polskiej w swojej osadzie, u których zatem wiara i język ojczysty ginie i marnieje — więc ci, których już nietylko brzemię nędzy materjalnej, ale i brzemię nędzy duchowej gniecie. Tacy zaiste w podwójnie „ciężkich" żyją czasach.

„Takimi zaś są wasi rodacy w Ripon i okolicy. Żyję wśród nich od pół roku jako ich pasterz duchowy. Podnoszą się, wysilają i dźwigają jak mogą. Ale widząc z jednej strony te dobre chęci i wysiłki, z drugiej strony nie mogę nie widzieć ich biedy i niedostatku, który im nie pozwala dokonać, czego chcą. Jest ich zaledwie kilkudziesięciu. To też już z boku mi szeptano: „Nadaremno się trudzisz, familij za mało, dochodów nie masz, puść ich i jedź na żyźniejsze pole!" Ale odegnały mi taką pokusę te słowa Chrystusa Pana: „najemnik tylko ucieka...", „dobry pasterz duszę swą (życie swe) daje za owce swe" (św. Jan 10, 11) i postanowiłem wytrwać na swem stanowisku. Prawda, że ich tylko garstka, ale miałżebym „uciekać jako najemnik" i tę garstkę owieczek Chrystusowych wydać na łup wilkom, t. j. żywiołom wrogim wierze i narodowi? Nigdy, przenigdy na świecie!"

Powiedziałem sobie: „Bieda bo bieda tutaj. Ale są jeszcze serca ludzkie na świecie, serca prawdziwie braterską gorejące miłością, i jest Bóg w niebie, który temi sercami włada i kieruje. Otóż zapukam do tych serc, a jakoż mi nie otworzą?...“

Tak brzmią wyjątki z ówczesnej mojej „Publicznej prośby“.

Razu pewnego ks. Adolf Nowicki z South Chicago zjawił się u mnie w Ripon i wręcz mi oświadczył, że jego parafja, którą wkrótce opuści, stoi otworem dla mnie, że rozmawiał już o tem z arcybiskupem Feehem, który zgodził się na jego propozycję. Odpowiedziałem na to ks. Nowickiemu, że do obcej diecezji nie pójdę, choćbym w swojej miał ziemię gryźć. Taka jest moja zasada, i basta.

Dnia 15 grudnia arcybiskup Katzer poświęcił kościół św. Wacława, wzniesiony na rogu ulicy E. Fond de Lac i St. Wenceslaus (o tę urzędową nazwę ulicy postarał się Jeleff u władz miejskich). Opis w Historji.

Z rozporządzenia arcybiskupa Polacy mogli przynależeć do parafji św. Wacława; z Niemców ci co chcieli; a z ajryszów nikt. Tymczasem jeden Polak o niemieckiem nazwisku przyłączył się do kościoła św. Patryka. Ks. Goebel, rodowity Amerykanin niemieckiego pochodzenia, proboszcz parafji św. Patryka, był moim osobistym przyjacielem, ale urzędowym wrogiem. Odwiedzaliśmy się nawzajem prawie codzień i osobiście żyliśmy z sobą w przyjaznych stosunkach. Ale na stopie urzędowej byliśmy sobie zaciętymi wrogami. Kiedy więc usłyszałem, że jeden Polak należy do św. Patryka (ubytek jednej owieczki w tak małej owczarni znaczył bardzo wiele!), wszczałem z ks. Goeblem taką dysputę:

— Słyszałem, że ten Polak o niemieckiem nazwisku należy do św. Patryka. Czy to prawda?

— Tak, to prawda.

— I ksiądz go przyjął.

— Tak jest, przyjąłem go.

— Na jakiej zasadzie?

— Na tej zasadzie, że on sam chciał należeć do mojej parafji.

— Czy tej samej zasady mam ja także się trzymać i przyjąć każdego ajrysza, który chce do mnie należeć?

— Owszem, trzymaj się tej zasady. To jest jedyna rozumna zasada. Poco ludzi przymuszać i na pasku trzymać przy kościele? Niech każdy idzie do kościoła, do którego chce. Jak mu nie pozwolisz, to do żadnego nie pójdzie.

— A arcybiskup co na to powie?

— Arcybiskup zgadza się na to, skoro my się na to zgadzamy. Więc zróbmy taką ugodę: ja ogłoszę w kościele św. Patryka, że każdy Polak, jeśli chce, może się przyłączyć do mojej parafji, a nawet nie potrzebuje płacić, jeśli nie chce. Ksiądz zaś w swoim kościele św. Wacława ogłosi, że każdy ajrysz, jeśli chce, może należeć do polskiej parafji.

— Z dodatkiem, że musi płacić, bo za darmo mu siedzenia nie damy.

— Zgoda?

— Zgoda!

Na znak zgody podaliśmy sobie ręce i, pamiętam, w sam Nowy Rok 1897 każdy z nas powyższą ugodę ogłosił w swoim kościele podczas sumy.

Skutek tego ogłoszenia był ten, że jeszcze tego samego dnia do naszej parafji zgłosiło się coś tuzin familij ajryskich, podczas gdy do ajryskiej parafji, prócz tego jednego Polaka o niemieckiem nazwisku, nikt więcej się nie zgłosił. Więc po trzech czy czterech dniach ks. Goebel z kwaśną miną przyszedł do mnie i rzekł:

— Ta ugoda nasza jest nieważną. Wątpię, czy arcybiskup na nią się zgodzi. Zapytam go listownie. Jestem pewien, że się nie zgodzi.

— To poco było ogłaszać taką ugodę w kościele? Czy to nie za późno pytać się dopiero teraz arcybiskupa o pozwolenie, kiedy już w kościele ogłosiło się ludziom, że mogą iść dokąd im się podoba?

— Mniejsza z tem. Ja tę ugodę zrywam i zakazuję księdzu przyjmować ajryszów do swojej parafji.

— Księże Goebel, słowo się rzekło, kobyłka u płotu!

Ale ks. Goebel jak mówił, tak uczynił. Napisał do arcybiskupa list, w którym mnie oskarżył, że bez jego i arcybiskupa pozwolenia przyjmuję ajryszów do swojej parafji. Arcybiskup Katzer niebawem zawezwał listownie nas obydwóch do swojej rezydencji arcybiskupiej w Milwaukee, gdzie w pewnym oznaczonym dniu ja i ks. Goebel mieliśmy się stawić przed sąd arcybiskupi. Ks. Goebel, oskarżając mnie u arcybiskupa, zapomniał był o jednej małej rzeczy, mianowicie o tem, że do niektórych ajryszów, których nie lubiał, napisał był w myśl ugody naszej własnoręczne listy, w których im dawał piśmienne pozwolenie przyłączenia się do mojej parafji. Byli to ajrysze, którzy do jego kościoła tak czy tak nie cho-

dzili i nie płacili. Tym napisał listy w ironicznym tonie, że mogą się wynosić do innej parafji, bo w kościele św. Patryka nie są pożądani. O tem, że takie listy do swoich parafjan pisał, ks. Goebel albo nie pamiętał, albo nie przypuszczał, że taki jego list dostał się w moje ręce.

W oznaczonym tedy dniu wyjechałem razem z ks. Goeblem z Ripon do Milwaukee na sąd arcybiskupi. Całą drogę siedzieliśmy we wagonie obok siebie, wesoło gawędząc o tem i o owem, gdyż osobiście byliśmy zawsze przyjaciółmi a tylko urzędownie byliśmy zawsze wrogami. Arcybiskup Katzer w swoim pałacu na ulicy Chestnut przywitał nas razem i kazał nam siadać, jednemu po prawicy, a drugiemu po lewicy swojej. Poczem ściągnął swoje duże brwi i rzekł, surowo patrząc na mnie:

— Skarga opiewa, że parafja św. Wacława w Ripon przyjęła ajryszów do swego kościoła. Czy to prawda?

— Tak, to prawda.

— Jakiem prawem przyłączyli się ajrysze do polskiej parafji?

— Naturalnem prawem kościelnem.

— Jakie to prawo?

— Proboszcz ajryskiej parafji wyrzucił ajryszów ze swego kościoła i kazał im się wynosić do polskiego kościoła.

— To nieprawda! — zawołał z oburzeniem ks. Goebel.

Wtedy ja wyciągnąłem z zanadrza jeden z owych listów, jakie ks. Goebel napisał był do niemiłych mu ajryszów, każąc im się wynosić z kościoła swego. Wręczyłem ten list arcybiskupowi, mówiąc:

— Arcybiskupie, proszę przeczytać ten list.

Arcybiskup wziął list i przeczytał go. Potem przeczytawszy list rzucił ks. Goeblowi na łono, wstał z krzesła i przechadzając się pospiesznym krokiem, powtarzał te słowa:

— Father Goebel what can I do? what can I do? Jeśli ty takie listy piszesz do ajryszów, to czy ja im mogę kazać należeć do twego kościoła? Rzecz skończona. Nie chcę już nic więcej mieć do czynienia z tą sprawą. Możecie iść!

Wyszedłszy tedy z pałacu arcybiskupiego, ks. Goebel po przyjacielsku ale z gorzkim wyrzutem powiedział do mnie:

— Księże Kruszka, czemu mi przed tem nie powiedziałeś o tem, że masz ze sobą takie listy ode mnie?

— Ach! zapomniałem. Czemu mi ksiądz nie przypomniał?

4. Po co ks. Czarnowski przyjechał do Polaków w Ripon. — Umierać było surowo zakazanem. — Ubogą parafję w Ripon nie stać było na takie zbytki, jak pogrzeby.

Mój sąsiad proboszcz irlandzkiej parafji w Ripon, w swojem urzędowem postępowaniu ze mną, działał bądźcobądź zawsze w tej dobrej wierze, że dla dwóch parafji niema miejsca w Ripon. Głaskał więc Polaków, gdzie i jak tylko mógł. W Palmową niedzielę roku 1897, ks. Goebel ogłosił w swoim kościele, że do słuchania Polaków spowiedzi wielkanocnej przyjedzie jutro do niego ksiądz polski, mianowicie ks. Czarnowski z Berlina, konsultor diecezji greenbayskiej.

Ta wiadomość poruszyła Polaków w Ripon do żywego. Do mnie ta wiadomość doszła dopiero na drugi dzień w poniedziałek po południu, krótko przed nadejściem pociągu, jakim ks. Czarnowski miał przyjechać z Berlina. Przyszedł wtedy do mojej improwizowanej plebanji komitet parafjalny, uzbrojony kijami. Widząc kije, zapytałem:

— Dokąd tak wędrujecie?

— Na dworzec kolejowy idziemy przywitać ks. Czarnowskiego.

— Czy przyjedzie tu?

— Ks. Goebel wczoraj od ołtarza ogłosił, że ks. Czarnowski przyjedzie do kościoła św. Patryka słuchać Polaków spowiedzi wielkanocnej.

— Dlaczego tedy z kijami wychodzicie mu naprzeciw?

— Bo my chcemy go się zapytać, na co on tu do Ripon przyjeżdża. My tu przecie mamy teraz swego proboszcza i swój kościół polski. Na co on jedzie do ajryskiego kościoła słuchać Polaków spowiedzi? Kiedyśmy jeszcze nie mieli swego kościoła i swego proboszcza, to nieraz prosiliśmy ks. Czarnowskiego, żeby do nas przyjechał. Ale wtedy on do nas nie przyjechał. A dzisiaj on tu przyjedzie? po co? żeby naszą młodą parafję burzyć i rozbijać? O to my idziemy go zapytać.

— Nie pytajcie go ani awantur nie róbcie. Możecie iść na dworzec i zobaczyć, czy przyjedzie. Bo nie wierzę, żeby ks. Czarnowski był tak nietaktownym, iżby na zaproszenie ajryskiego proboszcza przyjeżdżał tu do Polaków. Ale jeśli przyjedzie, to nic mu nie mówcie, tylko mnie to donieście, a ja to już jego biskupowi

doniosę. Oto droga prawna, którą postępować mamy. Cięgi od biskupa bardziej go zabolą, aniżeli od was. Bądźcie pewni!

Usłuchali mojej rady i na dworcu odgrywali tylko rolę niemych świadków. Ks. Czarnowski istotnie przyjechał i w kościele św. Patryka wysłuchał dwie osoby polskie. To mi dało powód do pisania pierwszego w życiu listu do biskupa Messmera w Green Bay. Ks. Czarnowski w tej sprawie może tyle nie zawinił, co ks. Goebel; ale należało go przestrzec, by na drugi raz do Polaków w Ripon nie przyjeżdżał do kościoła św. Patryka tylko do kościoła św. Wacława. Inaczej narazi się na nieprzyjemności.

Gdy biskup Messmer zakomunikował swemu konsultorowi tę przestrogę, ks. Czarnowski napisał mi list, w którym usprawiedliwiał swój krok w ten sposób:

„Jadąc z Manitowoc wstąpiłem do ks. Goebla i wysłuchałem 2 osoby polskie. Zrobiłem to dlatego, że ks. Goebel powiedział, że 2 rodziny od samego początku z wiedzą arcybiskupa do jego kościoła się przyłączyły. Ks. Goeblowi powiedziałem wyraźnie, że wszyscy inni w swoim kościele spowiadać się powinni. Świadkiem pani Kleineider. Gdyby ksiądz był do mnie napisał, cała rzecz byłaby w spokoju i miłości załatwioną.“

Mój człowiek mimo woli i mimo wiedzy naraził się był ks. Czarnowskiemu przez to, że dojeżdżał ciągle do jego sąsiada ks. Grutzy w Berlinie. W kościele św. Michała miałem częste kazania, wszystkie kazania wielkopostne, a nawet trzydniową misję dawałem, mówiąc pięć kazań dziennie. Ludzie na kazania obcego, nowego i młodego księdza schodzą się zewsząd, jak muchy na miód. Przychodzili więc i z parafji ks. Czarnowskiego. A wówczas toczył się spór o granicę obu tych parafij. Więc łatwo można mnie było posądzać, że dojeżdżając ciągle do jednego kościoła, trzymam tylko z jedną stroną, a nie z drugą. Ja zaś dojeżdżałem do jednego kościoła z tej jedynie racji, że tam mnie proszono. Co mnie tam obchodził spór graniczny.

Mówią, a nawet czyta się to nieraz w uczonych książkach, że terytorjalne granice parafji czy diecezji to jedyne i najlepsze w świecie; że są wyraźniejsze i pewniejsze od narodowych granic, że lepiej zabezpieczają ład i porządek w ciele społecznem. Otóż w Berlinie między dwoma parafjami polskimi pociągniętą była granica terytorjalna tak wyraźna i oczywista i szeroka i dotykalna jak sama ta rzeka Lisia czyli Fox River; a jednak taka nawet granica nie zabezpieczała ładu i porządku, owszem stawała

się przyczyną ciągłych sporów i zamieszań w obydwóch parafjach. Narody są tem w ciele społecznem, czem są narządy w ciele ludzkiem. Jak w ciele ludzkiem naturalnymi podziałami są granice narządowe, tak w ciele społecznem, jakiem jest Kościół, naturalnymi podziałami są granice narodowe. Łatwiej przeskoczyć lub zatrzeć granicę terytorjalną aniżeli narodowościową.

Obydwie parafje, św. Wacława i św. Patryka, w Ripon były tak małe, że proboszczowie ich mogli wyjechać na cały dzień bez obawy, że go do chorego zawołają. Zresztą umierać było surowo zakazane. W małej liczebnie parafji, jak w Ripon, nie stać nas było na takie zbytki, jak pogrzeby. Jeden lub dwa pogrzeby na rok, to dosyć było. Inaczej parafja wnet by wymarła.

To też z Ripon łatwiej było wyjechać gdzieś z pomocą drugiemu konfratrowi. Często wyjeżdżałem do ks. Sulereckiego w Milwaukee, gdzie w pierwszym i drugim roku asystenta nie było. Dalej w Menaska ks. Wiercińskiemu pomagałem stale przez lata całe. Często wyjeżdżało się na 40-godzinne nabożeństwa i odpusty to do Stevens Point i dalej, to do Chicago i dalej. W poniedziałek rano opuszczało się Ripon a w sobotę się wracało. Kolej ripońska dawniej była pobożniejsza i w niedziele nie kursowała. To też w niedzielę proboszcz ripoński, jeden i drugi, siedział w Ripon. O moim sąsiedzie raz gazeta „Ripon Free Press“ czy „Ripon Commonwealth“ podała taką ciekawą wiadomość: „Last Sunday Father Goebel was visiting Ripon“.

5. Oazy polskie w Ameryce. — Kilka wspomnień z wycieczek misyjnych.

Z wiosną roku 1899 nadchodziły zaproszenia nietylko od polskich, ale i od tych ajryskich księży, którzy mieli Polaków w swojej parafji. To mi dało sposobność poznania Polaków na tak zwanej z grecka „djasporze“ czyli na rozproszeniu żyjących w rozmaitych zapadłych kątach świata. Ciekawość oglądania tych rozproszonych Polaków była we mnie ogromna. Czy jest jeszcze w nich życie polskie? A jeśli jest, czy słabe, czy silne? Bo jeśli nawet w nich, w tych jednostkach luzem idących, życie polskie silnie się trzyma, to najlepszy znak, że polska narodowość w Ameryce nie wyginie bez śladu, jak to pessymiści prorokują.

Jedynie napewne wyginie tam, gdzie Polak z Niemką czy Ajryszką się ożenił. Taki Polak może jeszcze pozostać Polakiem sam, ale nie jego potomstwo. Przykłady takiego wynarodo-

wienia miałem w Ripon. Niejaki Suwalski przybył do Ripon, kiedy jeszcze Polaków ani Polek w Ripon nie było, więc ożenił się chcąc nie chcąc z Niemką luterką. Został on aldermanem miasta Ripon. Nazwiska polskiego nie zmienił ani on ani dzieci jego. Nazywali się i pisali poprawnie: Suwalski. Ale to też wszystko. Prócz nazwiska polskiego nie było w dzieciach ani śladu polskości. Nie mówiły po polsku; wraz z matką do kościoła luterskiego chodziły. A on, stary Suwalski, także do kościoła polskiego nie chodził. Dopiero w ostatnich tych czasach, kiedy mu i żona i dzieci pomarły, obudziła się w nim polska wiara i przyłączył się do kościoła polskiego. W nim więc polskość się utrzymała, ale tylko w nim. Na nim linja polska pewnie wygaśnie.

Drugi podobny przykład wzięty z okolicy Ripon. Daleko od Ripon, poza miasteczkiem Fairwater, już jakie trzydzieści lat wstecz, osiadł Polak niejaki Kubeja, na farmie i ożenił się z Niemką luterką, gdyż Polek wówczas nie było w całej okolicy. Na wiosnę r. 1897 przyjeżdża do mnie tęgi młody mężczyzna z wyglądu farmer o nazwisku polskiem, ale już przekręconem. Woła mnie „do chorego". Mówi do mnie to po angielsku, to po niemiecku.

— A po polsku nie mówisz? Masz przecie polskie nazwisko.

— O po ojcu mam, bo mój ojciec po polsku mówi, ale ja nie mówię.

— A do jakiego kościoła chodzicie?

— Do luterskiego.

— I mnie wołacie do chorego?

— Bo mój ojciec, kiedy ciężko zachorował, nie chciał pastora niemieckiego, tylko kazał mi prędko jechać do Ripon, bo słyszał, że tu teraz jest polski pastor.

Pojechałem więc i zaopatrzyłem tego rodaka na śmierć. Gdym wszedł do jego domu, żona luterka nie przemówiła do mnie ani słówka, odwróciła się i co tchu w kąt izby poszła. Za sześć tygodni syn jego drugi raz przyjechał po mnie i to w nocy, bo ojciec był konający. Pojechałem więc drugi raz, całą niemal noc bez snu będąc. Upłynęło potem parę tygodni, myślałem, że mój chory jeszcze żyje. Dopytuję się o jego zdrowie, aż tu mi powiadają, że umarł już parę tygodni temu. A kto go pochował? Miejscowy pastor luterski!...

A ja proboszcz w Ripon byłem tak naiwny, że myślałem, iż tego roku 1897 przynajmniej jeden pogrzeb będę miał, żebym już do cna nie zapomniał, jak się pogrzeb odprawia! Ale mniejsza

o pogrzeb ciała tego rodaka, kiedy jego duszę zaopatrzyłem na drogę do wieczności.

Otóż i w tym Polaku, przez tak długie lata w całkiem obcem otoczeniu żyjącym, odezwała się jednak jeszcze dusza polska! Jak twardą więc musi być natura polska! Choćbyś ją widłami wypędzał, ona ciągle powraca, według przysłowia: Naturam expellas furca, tamca usque redibit!

Nieborak ten nie umiał ani czytać ani pisać; bo gdyby był umiał, mówił mi, byłby i dzieci uczył po polsku i katolicku.

Z wielką ciekawością odwiedzałem zawsze Polaków w rozproszeniu żyjących. Polacy w skupieniu, tworzący gromadę i osadę, tyle mię nie interesowali, ile właśnie te zbłądzone owieczki.

W każdym świata horyzoncie
Najciekawsi ci, co w kącie.

W którym świata zakątku nie znajdziesz dzisiaj Polaków? Wszędzie ich znajdziesz. Nietylko na żyznym gruncie, rodzą się nawet na piasku i kamieniu. Jak z jednej strony trudnoby było odpowiedzieć na pytanie: gdzie ich niema? tak z drugiej strony wyliczyć wszystkie miasta, miasteczka, miejsca i zakątki (choćby Wisconsinu), w których Polacy przebywają, byłoby rzeczą nader trudną, jeżeli nie wręcz niemożliwą. Liczenie ziarnek piasku na brzegu morza, lub liczenie gwiazd na niebios sklepieniu, nie byłoby rzeczą zbyt wiele trudniejszą. To co kiedyś niemiecki poeta Goethe powiedział o życiu: Das Leben packt wo es nur kann", tj. życie czepia się wszystkiego i nawet na nagiej skale drzewo wyrośnie; toż samo nieomal powiedziećby się dało o życiu istot polskich, że nie masz tak opoczystego pustkowia, któregoby się życie polskie nie czepiło.

Nigdy mi przedtem przez głowę myśl nie przeszła, żeby w powiecie Waushara Polacy mieszkali. Aż dopiero w kwietniu 1897 irlandzki proboszcz z Neshboro, imieniem F. Fiss, były sekretarz biskupi z Green Bayskiej diecezji i niegdyś mój kolega z Seminarjum, pisze do mnie list z zaproszeniem, bym przybył w tamte strony i zaopatrzył potrzeby duchowe Polaków w jego odległych misjach zamieszkałych; a ponieważ ja należę do diecezji milwauckiej, a on do green-bayskiej, więc dodaje zarazem w tym liście, iż wystarał się już u swojego biskupa o potrzebne pozwolenie dla mnie. Takiej prośbie trudno było odmówić — zwłaszcza, że prócz nadnaturalnego uczuciu gorliwości o chwałę Bożą i zbawienie bliź-

nich, odezwała się we mnie (przyznam otwarcie) także zupełnie naturalna chęć zwiedzenia owych okolic i przekonania się namacalnie, czy i w jakiej liczbie i w jakich warunkach żyją Polacy i w tamtejszym horyzoncie.

Dnia 10 maja 1897, wybrałem się tedy w podróż. Z Ripon, miejsca mojego „stałego" pobytu rozchodzą się koleje na wsze strony, nie tylko na cztery, ale na pięć stron świata: do Oshkosh, do Fond du Lac, do Milwaukee, do Princeton i do Berlina. Niech mówi kto chce na Ripon — jest to w każdym razie dogodny punkt wyjazdu w jakąkolwiek świata stronę zwłaszcza, że od kościoła do dworca kolejowego mam tylko 400 kroków. Jest to, jak Niemcy mówią, kolejowy „knotenpunkt". Mając więc tyle kolei do wyboru, mogłem bez trudności wybrać kierunek zmierzający wprost do powiatu Waushara, do którego podążyłem, mianowicie północnozachodni kierunek do Berlina. Ale niedługo cieszyłem się jazdą kolejową. W 20 minutach stanąłem w Berlinie, a stąd ani rusz koleją dalej. Dojechawszy do Berlina, ujrzysz kończące się szyny kolejowe, a u ich końca grube pale wbite, na znak, że kolej dalej nie powiezie. Rzekłbyś, że tu jest już świat deskami zabity.

Na dworcu, wysiadając z pociągu ujrzałem mnóstwo ludu otaczającego powóz, w którym siedział jakiś jegomość. Był to ks. Jan Gratza, proboszcz parafji św. Michała w Berlinie. Jego właśnie biskup Messmer przesadził był na inną parafję. Ale parafjanie berlińscy nie chcieli go puścić, prosząc biskupa, by cofnął swój wyrok. Pomimo to ks. Gratza, posłuszny biskupowi, udał się na dworzec, by opuścić Berlin. Tu parafjanie przemocą wsadzili go do powozu i odwieźli napowrót do plebanji.

Z dworca wyszedłem na ulicę. Wtem, widzę, pędzi jak szalony, ulicą powóz jakiś, zwraca nagle i staje tuż przede mną. „Czy to po mnie?" — „Tak jest; ks. Gratza prosi do siebie". Poznałem wkrótce, że to ten sam powóz, którym przed chwilą ks. Gratzę tak niespodzianie odwieziono z dworca.

W mgnieniu oka zajechałem przed plebanję. Tu dziedziniec kościelny aż roił się od ludzi. Albowiem na wieść, że proboszcz wyjeżdża, uderzono na alarm w dzwony kościelne, a na ten znak zbiegło się parafjan i parafjanek co nie miara. Tak jak kiedy pszczoła-matka wyleci z ula, cały rój pszczół za nią leci — tak w owych dniach rój parafjan ciągnął za swoim proboszczem, gdziekolwiek on się udał. Teraz, po nieudanej próbie ucieczki, mając go znowu w ulu, parafjanie cieszyli się i winszowali sobie wzajemnie i we-

sołe rozhowory brzmiały na około ula, czy plebanji. Gdym zeszedł z powozu, przednia straż honorowa utworzyła szpaler i wpuściła bez przeszkód do wnętrza plebanji.

W półtorej godzinej poźniej, po smacznym obiedzie w „ulu" ks. Gratzy, znajdowałem się już w dalszej drodze do celu mojej wycieczki. Siedziałem na lekkim powoziku, nazwanym powszechnie „buggy", który ciągnęły dwa tęgie kasztanowatej maści konie, rżąc i parskając szerokimi chrapami. Po prawym moim boku, dzierżąc lejce w swem ręku, siedział woźnica, Polak w sile wieku, syn jednego z najzamożniejszych i najstarszych farmerów w powiecie Waushara, nazwiskiem, jeśli mię pamięć nie zawodzi, Sandowski. Rodzony na polskiej ziemi (w W. Ks. Poznańskiem), nie zna jej jak chyba z opowiadania, gdyż w pierwszem zaraniu życia, niemowlęciem jeszcze będąc, wraz z rodzicami przybył już do Ameryki. Wychowanie więc odebrał tu w Ameryce. To też niemało mię to zrazu zadziwiło, iż pomimo to swoim ojczystym polskim językiem dość płynnie i poprawnie władał, zwłaszcza że w całym powiecie Waushara nie ma nigdzie kościoła ani szkoły polskiej. Ale zdziwienie to moje ustało, gdy mi powiedział, że za młodu, mieszkając gdzieindziej, chodził do polskiej szkoły parafjalnej, jeśli się nie mylę, w Northeim, Wis., czy nawet w Manitawoc. Nauczycielem jego był między innymi śp. Małłek, niekiedy zastępował p. Słupecki, a wtedy — mówił — drżeliśmy ze strachu, bo ten miał żelazną rękę. Opowiadał również z pewną dumą, że ks. Szukalski z Milwaukee jest jego kolegą szkolnym i jako z nim na jednej ławie siedział.

Tak gawędząc, jechaliśmy raźno naprzód, pomimo iż szło ciągle przez piaski, a piaski kamieniste, nie wspominając o wzgórzach, pod które już stępem, ciężko dysząc, konie iść musiały. Nadzwyczaj wąziutkie szyny kół, jakie przy każdym „buggy" zazwyczaj bywają, nieraz na stopę głęboko wrzynały się w sypki jak mąka piasek. Szerszymi kołami po piasku zapewne lżej by się jechało. Powietrze było suche, pogodne, deszcz już od dłuższego czasu nie padał, więc łatwo sobie wyobrazić czytelnikowi, jak gęste kłęby kurzu, wszczęte uderzeniem kopyt końskich, wznosiły się podczas naszej jazdy po tych piasczystych drogach Waushary. Pomimo, że miałem na sobie czarne ubranie, właściwe stanowi kapłańskiemu, przy końcu jednak podróży pokryty grubą warstwą prochu, wyglądałem biały, jak młynarz, któryby dopiero co z młyna wyszedł. A jeszcze na szczęście wielki wiatr dął przeciwko nam i wskutek tego kurzawę całą spędzał z oczu w tył poza nas — tak

że więc cała owa chmura kurzawy wlokła się długim ogonem poza wozem.

Stanęliśmy wreszcie w Wautomie, stolicy powiatu Waushara. W całem tem miasteczku był jeden jedyny Polak, p. Młyński. Jego dzieci mówiły ładnie po polsku. Zrazu dziwiłem się temu, ale wnet przestałem się dziwić. Bo oto gdy nadszedł czas kolacji, dzieci, zanim siadły do stołu, poklękały i na głos odmawiały „Anioł Pański" nie tylko pobożnie ale i poprawną polszczyzną.

W takim tedy domu, gdzie dzieci tak wyuczone i wychowane, nie ginie ani narodowość, ani wiara św., choćby ten dom polski stał samotny i odosobniony, jak wyspa, wśród morza anglo-amerykanizmu.

Na nocleg poszedłem do ajrysza, mieszkającego blisko kościoła, bo tak rozporządził ks. Fiss, który mię tu zaprosił.

Kościoła nie było co oglądać. Jest to sobie skromny drewniany kościołek „misyjny" (bez obecności Najśw. Sakramentu), do którego ksiądz co trzecią niedzielę dojeżdżał. We wnętrzu kościoła nie znalazłem żadnej większej ozdoby — prócz tej jednej, że wszędzie było widać schludność i ochędóstwo. To jest też pierwsza i najważniejsza ozdoba, jak każdego domu, tak w szczególności Domu Bożego. Tej ozdoby, jaka jest w czystości i schludności, nie zastąpią żadne inne ornamentyki i dekoracje.

Nazajutrz rychło rano dobrze z jaką godzinę przechadzałem się po murawie dziedzińca kościelnego, gdy wtem widzę, zajeżdża ktoś jednokonką przed kościół. To on — pomyślałem. Istotnie był to ksiądz Fiss, proboszcz tego kościoła. Zeskoczywszy z buggy, przywitał się uściskiem ręki, zaczynając równocześnie się usprawiedliwiać, dlaczego nie mógł już wczoraj przyjechać. „Wiem o wszystkiem. Ale musiałeś wcześnie z domu wyjechać. Przecie dopiero 7-ma godzina". — „Wyjechałem o 5½ rano" odrzekł. „Drogi liche, piasek wszędzie — dodał, strzepując proch z odzieży — wczoraj miałem tę przyjemność jechać 40 mil do chorego. Teraz zresztą taki czas, że dzień w dzień po kilkadziesiąt mil jechać muszę. Już od dwu tygodni moje biedne szkapisko ani dnia spokojnie nie stało". To mówiąc, poklepał swego konia na znak politowania, koń na to jeszcze dziarsko grzywą wzruszył, jak gdyby chciał odpowiedzieć, że on również niestrudzony jak jego pan.

Po przywitaniu się i wymianie kilku słów i dorywczych pytań co do nabożeństwa, w jakim porządku ma się odprawić, ks.

Fiss wyjął z buggy i złożył na progu kościoła swoją podróżną torebkę, w której oprócz sutanny wozi ze sobą różne przybory do Mszy św., wszelkie utensylja do udzielenia chrztu i ostatnich Sakramentów. Poczem zajechał na podwórze owego ajrysza, u którego nocowałem — jest to niejako dom zajezdny, w którym gospodą staje ks. Fiss, ile razy tu przyjeżdża. Tam odprzągł konia i rozkiezłnawszy go dał mu obroku.

Przyszedłszy do kościoła odprawił Mszę św. W braku ministrantów, do Mszy św. ja mu służyłem, a za to później on mnie służył, gdy dla Polaków Mszę odprawiałem. Z końcem tej jego Mszy św. zauważyłem, że farmerzy polscy zaczynają się zjeżdżać. Więc zaraz po skończeniu Mszy św. około 8½ godz. — zasiadłem do konfesjonału, w którym, bez przerwy słuchając spowiedzi, przesiedziałem do 10¼ g. Wysłuchawszy wszystkich (około 50 osób), wyszedłem ze Mszą św. — cichą. Byłbym ją chętnie śpiewał, bo był to jakby dzień odpustowy dla tamtejszych Polaków, ale brakło zgoła organisty, który by mi odpowiadał. Wśród Mszy, po Ewangelji św,. od ołtarza wypowiedziałem kazanie (ambony tam nie znają). Udzieliwszy Komunji św. dałem im nakoniec błogosławieństwo, ażeby ich Bóg zachował od wszelkiego złego a pomnażał w dobrem.

Po tem wszystkiem wyszedłszy z kościoła, zastałem na dziedzińcu czekających na mnie. Zwierzyli mi się z zamiarem — budowania osobnego kościoła polskiego. Na tak zwanych „preprjach" (10 mil poza Wautomą) ma ich mieszkać coś około 12 rodzin blisko siebie, miałem tam jechać z nimi, obejrzeć ich farmy, oraz grunt pod kościół. Na obejrzenie ich farm chętnie byłbym się zgodził, gdyby nie ta okoliczność, że jeszcze tego samego dnia wyjazd do Neshkory był z ks. Fissem ukartowany. Da Bóg doczekać, obiecałem, może kiedyś w lecie do nich przyjechać. Co do budowy kościoła zaś — pochwaliłem ich dobre chęci i zamiary, lecz im oświadczyłem, że te ich zamiary stanowczo zawczesne. Niech czekają jeszcze, aż ich liczba się podwoi i potroi.

Uporawszy się w ten sposób z projektem budowy kościoła, a raczej ubiwszy go na krótkiem toporzysku, udałem się do ajrysza na obiad, który był zarazem i śniadaniem dla mnie.

Po obiedzie, razem z ks. Fiss'em, złożyliśmy jeszcze wizytę wyżej wspomnianemu rodakowi, p. Młyńskiemu.

W półtorej godziny potem znajdowaliśmy się na połowie drogi do Neshkoro, mieściny daleko jeszcze mniejszej od Wautomy, po-

łożonej 12 mil na południe od Wautomy w powiecie Marquette. Drogi i tu tak nierówne były i piasczyste, jak z Berlina do Wautomy. „Jak długo też w tych kątach zamyślasz się potłukiwać?“ — zapytałem w drodze ks. Fissa, przerywając nudę monotonnej jazdy. „Jak długo — odparł — nie wiem. W każdym razie cicho będę siedział, o nic się nie upominając“. — „Masz słuszność — dodałem — siedź, a przecież raz ci powiedzą: amice, ascende superius!“ (przyjacielu, siądź wyżej!) I mimowoli przyszło mi tu na myśl nasze polskie przysłowie, krótkie a trafne:

„Siedź w kącie
Ujrzę cię!“

„Ale zanim mię ujrzą — powiedział — i wyżej siąść każą, to jeszcze porządnie się wytrzęsę. Ale i dobre to na zbytnią otyłość, na jaką proboszczowie na wielkich parafjach czasem chorują, ja chyba nigdy tu nie zachoruję. Zauważyć trzeba — ciągnął po krótkim namyśle dalej — że wcale a wcale niektórzy nie umieją sobie radzić ze swoją otyłością. Żeby schudnąć, zasięgają rady lekarzy, ci im każą jechać do wód, podejmować różne kuracje wodne, Kneipp'a i nie Kneipp'a, różne uciążliwe „Entfettungskury“ — dużo czasu na tych „kuracjach schudnienia“ tracą, od obowiązków kapłańskich i od pracy nad zbawieniem bliźnich się uchylają — a to wszystko zda się psu na budę. Najlepszy środek przeciw otyłości jest ten: poprosić biskupa o taką parafję jak moja, a ręczę, że już po pierwszej 60 milowej przejażdżce do chorego straci się 50 funtów tłuszczu. Tu się więc w krótkim czasie z takiej otyłości chorobliwej wykurować można, nie zaniedbując obowiązków kapłańskich, gdyż równocześnie nad zbawieniem bliźnich pracując“.

Na tych i innych pogadankach czas spędzając, dojechaliśmy do Neshkory. Młyn nad stawem, opodal kilka domów, na górze zaś aż trzy kościoły — oto całe Neshkoro. Wyraźnie, powtarzam, aż **trzy kościoły** na tę garstkę mieszkańców, jeden tuż obok drugiego, przyjaźnie blisko siebie stoją: katolicki, metodyski i unijny. Unijny, wskutek kłótni jakiejś, w ostatnim czasie rozpadł się na dwie sekty: na sektę poranną i sektę wieczorną, tak nazwane dlatego, że jedni z nich nabożeństwo rano odprawiają, a drudzy wieczorem. A choć w jednym i tym samym kościele, to jednak taki rozdział panuje w tym „unijnym“ kościele, że nawet organów wspólnych nie chcą używać, i każda sekta ma swojego pryczera: jest więc i „mornik-preacher“ i „evening preacher“, tak nazwany.

Kościół katolicki jest tu jeszcze mniejszy niż w Wautomie, ale za to ma przy sobie równą sobie co do rozmiarów plebanję dla księdza. Do chóru wchodzi się po schodach z dworu, zewnątrz przymocowanych. Od chóru do wielkiego ołtarza odległość jest tak małą, że organista wychyliwszy głowę z chóru, mógłby księdzu przy ołtarzu do ucha szeptać.

Pomiędzy mieszkańcami Neshkora, których można śmiało na różańcu policzyć, znajdowało się także kilka familij polskich.

Z Neshkoro jecałem wozem pocztowym do Princeton, gdzie chcąc nie chcąc przenocować musiałem, gdyż spóźniłem się na pociąg. Wstąpiłem więc do proboszcza ks. Kwiryna Zielińskiego, z którym po pierwszy raz dobrze się zapoznałem. Był hojnym w częstowaniu, był uprzejmym aż do usłużności i nadzwyczaj rozmownym. Nazajutrz, po obiedzie dopiero, pożegnaliśmy się z tem przyrzeczeniem, że jako sąsiedzi często będziemy się odwiedzali. Bywałem tu w Princeton już za jego poprzednika ks. Starościka.

Przyjechawszy do Ripon, dowiedziałem się, że ks. Gratza w Berlinie jeszcze ciągle siedzi w oblężeniu. Biskup rozkazał mu opuścić Berlin i obstaje przy tym rozkazie, a ks. Gratza mimo najlepszych chęci nie może wyjechać, bo go ludzie trzymają dzień i noc plebanji pilnując. Jako sąsiadowi, nie podobała mi się taka sytuacja. Wówczas bowiem powstawali Kołaszewscy, Kozłowscy, Hodury itd. i zaraza niezależności szerzyła się po Ameryce. Pojechałem więc do Berlina i ludziom otaczającym plebanję powiedziałem:

— Co tak księdza trzymacie, jakby we więzieniu? Siedzi i siedzi, aż zachoruje wam od ciągłego siedzenia. Nie możecie go to puścić na przechadzkę?

— A i owszem, puścimy go na przechadzkę, byle nie ku dworcowi kolejowemu.

— No, to ja go wyprowadzę w przeciwną stronę, bo za miasto i na farmy, żeby przecie raz odetchnął świeżem powietrzem. Czy zgoda na to?

— Zgoda! — odpowiedzieli wszyscy.

Wziąłem więc ks. Gratzę na przechadzkę. Kiedyśmy byli już za miastem, wynajęliśmy od obcego farmera powozik i kazaliśmy się zawieść czemprędzej do następnej stacji kolejowej Rush Lake. Tam wskoczyliśmy na nadchodzący właśnie pociąg. I w ten sposób ks. Gratza wydostał się z oblężonej plebanji i objął inną parafję, przez biskupa mu wyznaczoną. Parafjanie w Berlinie nie

mogli mi tego długo zapomnieć, że im tak podstępnie „wykradłem proboszcza". Poszli na dworzec, szukali go wszędzie — nadaremnie. Ks. Gratza wyjechał bezpowrotnie z Berlina, zostawiając miejsce wolne dla następcy.

6. Kazanie do sześciu. — Wycieczki misyjne do Eden, Eaton, Bayley's Harbor i Caledonii. — Biskup Messmer poruczа mi zorganizowanie parafji w Oshkosh.

Pod datą 26 maja 1897 w dzienniczku mam zanotowane: „Wycieczka misyjna do Eden, Wis.; kazanie do 6". Nie było ich więcej jak sześciu, proboszcz irlandzki zaprosił mnie, bym wysłuchał ich spowiedzi wielkanocnej. Jakże mogłem odmówić im słowa Bożego w ojczystym języku? Kazania polskiego już przecie dawno nie słyszeli. Była to pono najmniejsza gromadka, do jakiej w życiu mojem kazanie prawiłem.

Wróciwszy z tej wycieczki do Ripon, zastałem w domu list biskupa Messmera z Green Bay z zaproszeniem do Polaków w Eaton, Wis. Po Eden więc nastąpiła wycieczka do Eaton. Ale tu do gromady wielkiej kazanię miewałem. List biskupa Messmera z dnia 26 maja 1897 brzmi:

„Jest polska parafja jakie 12 mil stąd (z Green Bay) w Eaton, która obecnie jest bez księdza. Nie mieli oni jeszcze sposobności wypełnić swój obowiązek wielkanocny. Jest tam około 400 ludzi do spowiedzi i trustysi mówią, że ksiądz musi tam pozostać z nimi przez jakie dwa lub trzy dni. Otóż ja myślałem, że ty może mógłbyś się oddalić z twej parafji na taki przeciąg czasu. Obiecali zapłacić ci twoje wydatki. Mógłbyś się wybrać w następnym tygodniu? Jeśli tak, to daj znać panu Tarkowskiemu, skarbnikowi, poczta Poland, Brown Co., Wis., i oznajmij mu, kiedy mają przyjechać po ciebie do Green Bay, gdzie ja będę rad gościł ciebie w swoim domu. Gdybyś nie mógł przybyć, uwiadom mię telegraficznie, gdyż czas nagli. Spodziewając się zobaczyć ciebie tutaj, pozostaję twój szczery S. G. Messmer, biskup".

W Eaton bawiłem 31 maja, 1 i 2 czerwca 1897 słuchając spowiedzi i odprawiając sumy z kazaniami w starym drewnianym kościółku podobnym do szopki betleemskiej.

Wtedy to przy tej sposobności biskup Messmer poruczył mi zorganizowanie nowej polskiej parafji w Oshkos, Wis., której opis w Historji. Pierwszy mityng organizacyjny w Oshkosh odbył się 6 czerwca 1897. A drugie walne zgromadzenie Polaków, na którem

już uchwalono założyć polską parafję pod wezwaniem św. Wacława i wystawić kościół, odbyło się 13 czerwca 1897. Dopiero w trzy miesiące potem, 13 sierpnia 1897, biskup Messmer nadsyłając papiery inkorporacyjne nadał parafji urzędową nazwę św. Józafata, pisząc mi tak:

„Ja daję parafji nazwę św. Józafata, gdyż pragnę polskim parafjanom dawać polskich świętych i ponieważ mam już cztery parafje w mojej diecezji pod wezwaniem św. Wacława. Mam nadzieję, że nie będziesz się czuł obrażonym, iż twojego świętego patrona w ten sposób zastąpiłem innym nazwiskiem".

Odpowiedziałem na to biskupowi, że jeżeli św. Wacław za to nie rozgniewa się na niego, to ja z pewnością nie.

Jak to czasy, a z nimi i ceny się zmieniają! Wówczas roku 1897 ten polski kościół ze wspaniałą wieżycą dominujący nad całą północną stroną miasta Oshkosh, ten wspaniały dom Boży kosztował 4.500 dolarów czyli tyle co dzisiaj kosztuje zwyczajny skromny dom! A biskupowi Messmerowi wtedy jeszcze ta cena wydawała się za wysoką ze względu na niewielką liczbę parafjan, bo pisał mi:

„Widzę, że kościół ma kosztować 4,500 dolarów. Obawiam się, że to za wiele i że ani połowy tego nie zbierzesz przed rozpoczęciem budowy. To też muszę cię ponownie prosić, miej wzgląd na siebie i nową parafję w Oshkosh, i strzeż się długów".

Obok tej parafji organizacyjnej jeszcze inne oazy polskie, jakie wtedy zwiedzałem, były Bayley's Harbor i Caledonia. Do Bayley's Harbor zaprosił mię ksiądz Van Ree. Dnia 7-go czerwca 1897 jechałem koleją do Sturgeon Bay, Wis.; a stamtąd na drugi dzień rano wyjechałem pocztą, prostym wozem, istną landarą, gdyż na całej tej wyspie Door County zwanej nie było kolei. Wyspa ta słynie z ogromnych sadów, pełnych drzew owocowych. Rozproszeni na tej wyspie Polacy zgromadzili się 9 czerwca do kościoła w Bayley's Harbor na polskie nabożeństwo i kazanie i przystąpili do sakramentów świętych. Plebanja w Bayley's Harbor, zbudowana niegdyś przez sławnego ks. Króla, znajduje się w pięknem położeniu tuż nad jeziorem.

Z Bayley's Harbor pojechałem wprost przez Milwaukee do Caledonii, Racine Co., gdzie mnie czeski ksiądz Miller zaprosił do swoich Polaków.

Tymczasem, budując już drugi kościół, nie wybudowałem jeszcze sobie plebanji w Ripon. Mieszkałem opodal nowego kościoła

na East Fond du Lac ulicy w wynajętym domku bardzo nisko położonym tuż przy strumyku. W sam dzień św. Józefa roku 1897 strumyk wezbrał i wylał z brzegów. Mój domek był cały na około oblany wodą, która stała narówni z werandą czyli „porczem", zalewając sklep cały. Miało być w ten dzień nabożeństwo wielkopostne w kościele. Ludzie szli do kościoła a ja stałem na porczu, otoczonym głęboką wodą, i wołałem do parafjan o czółno. Nikt mi czołna dostarczyć nie mógł, więc powiedziałem, żeby szli do domu, bo nabożeństwa nie będzie.

Parafjanie stąd poznali, że proboszczowi na gwałt potrzebna jest plebanja tuż przy kościele. Zresztą prosty obrachunek wykazał nam, że na budowie plebanji taniej wyjdziemy. Bo za najem domku płaciliśmy 96 dolaró na rok czyli 8 dolarów miesięcznie. A za tysiąc dolarów można wystawić plebanję. To choćbyśmy te tysiąc dolarów pożyczyli na szósty procent, to mamy własny dom i tylko 60 dolarów rocznego wydatku. W jesieni więc roku 1897, równocześnie z budową kościoła w Oshkosh, budowaliśmy plebanję w Ripon. Kontraktorem był alderman Suwalski. Suma kontraktowa plebanji wynosiła 890 dolarów, i dziesięć dolarów extra za powiększenie porczu, razem 900 dolarów.

Dnia 15 stycznia 1898 wprowadziłem się do tej plebanji w Ripon. A w dwa tygodnie potem, dnia 30 stycznia 1898 odbyło się poświęcenie nowego kościoła św. Józafata w Oshkosh przez biskupa Messmera. Do Oshkosh, z Ripon 25 mil, w ciągu tygodnia kilka razy koleją dojeżdżałem, żeby przypilnować budowy kościoła. W niedzielę zaś, po odprawionem w Ripon o pół do dziewiątej nabożeństwie, wozem jechać musiałem do Oshkosh, gdyż koleje wówczas były pobożniejsze i świętowały. W Oshkosh rzadko kiedy prędzej jak o dwunastej sumę z kazaniem rozpoczynałem. Tu, osłabiony głodem i podróżą, raz podczas kazania nabawiłem się ruptury, z której atoli po wielu latach przez cierpliwe noszenie pasa pewnie całkiem wyleczyłem się bez operacji, choć doktorzy radzili operację.

Będąc założycielem i proboszczem dwóch parafij w dwóch diecezjach, byłem równocześnie pod juryzdykcją dwóch biskupów: w Ripon pod arcybiskupem Katzerem a w Oshkosh pod biskupem Messmerem. W niedzielę podczas jednej Mszy wspomniałem w kanonie Fryderyka, podczas drugiej Sebastjana. W Oshkosh nie mogłem rozgrzeszać tych, co w sobotę wieczór na tańce uczeszczali; w Ripon tego rezerwatu nie miałem. Na tablicy w zakrystji, wy-

wieszczonej 20 lat temu, widnieje do dziś dnia oratio imperata pro peregrinantibus, nakazana modlitwa za podróżujących.

Pan Bóg dał mi głos silny i potężny, więc go używałem często do kazań w rozmaitych kościołach. Omnis facultas propter actum. „Wołaj, nie przestawaj, jako trąba wynoś głos swój“ (Izaj. 58, 1). Na początku mego kapłaństwa ludzie mi mówili, że głos mój długo nie wytrzyma, że go sobie zerwę za kilka lat. Atoli głos nigdy się nie zerwie, jeśli się głośno mówi pełną, naturalną siłą piersi, bez wysilenia się i natężenia. Owszem, przez takie naturalne głośne mówienie głos tylko coraz bardziej potężnieje. Pan Bóg też nie powiedział do Izajasza „wysilaj głos swój“, tylko „wynoś głos swój“. Nigdy dosyć wdzięcznym nie mogę być tym, którzy mnie za młodu i we Wieluniu i we Wągrówcu i w Galicji zawsze zaprzągali do córu śpiewaczego, w którym głos mój siły i dźwięku nabrał. Ćwiczenie wyrabia głos. Był on u mnie już z natury głośnym. Pamiętam, jak w ogrodzie starowiejskim przy grze w piłkę ks. rektor Baudiss nieraz mię gromił: „Twój głos rozlega się po całej wsi“.

Kiedym w kościele św. Michała w Berlinie, Wis., przez trzy dni 10, 11 i 12 marca 1897 codzień pięć kazań wygłaszał, a każde trwało dobrą godzinę; po pierwszym dniu zebrała się przed kościołem gromadka ludzi, którzy zakładali się (tak słyszałem), że sam jeden przez następne dwa dni nie potrafię wygłosić po pięć kazań dziennie. Przegrali zakład.

7. Jak chór i organista polski powstał w Ripon. — W jaki sposób biskup Puzyna dostał się na stolicę krakowską. — Zapoczątkowanie parafji polskiej w Kenosha.

Zostać proboszczem dopiero powstać mającej parafji, to tak jak na nieuprawionej roli zostać farmerem niezabudowanej farmy. Liczba akrów odpowiada mniejwięcej liczbie familij. Akry są urodzajne, są i piasczyste i bagniste. Tak samo familje. Każdy początek jest trudny czy to na farmie czy w parafji.

Wejść do gotowej i zabudowanej parafji, to tak samo jak wejść do gotowej i zabudowanej farmy. Nie sztuka zostać proboszczem w gotowej i zabudowanej parafji. Mój człowiek gotowej i zabudowanej parafji nigdy w życiu nie dostał.

Nietylko o wszelkie drobiazgi, sprzęty, naczynia i szaty kościelne proboszcz w początkującej parafji starać się musi, ale i mi-

nistrantów i śpiewaków i organistów wyćwiczyć musi. Skoro przyjechałem do Ripon, zaraz zebrałem chłopaków i dziewczyny, żeby ich nauczyć niezbędnych polskich pieśni kościelnych. Nikt z nich nie umiał grać, a, co gorsze, prawie nikt z nich nie umiał czytać po polsku. Na szczęście, będąc dawniej na stancji u kapelmistrza Blocha we Wieluniu i należąc zawsze i wszędzie do chórów śpiewackich, znałem doskonale nuty i umiałem grać na organach. Udało mi się więc zorganizować jaki taki chór polski w Ripon. Na organistkę z początku musiałem wziąć Niemkę.

Tymczasem skarżyli mi się ojcowie i matki, że ich córki nie siedzą w domu. Na to jest rada, odpowiedziałem; kupcie im harmonjum, organ lub fortepian, a zobaczycie, że będą wam siedziały w domu. Usłuchali mojej rady; i wnet miałem organistek więcej niż potrzebowałem, a Niemka musiała iść z kwitkiem.

Dawni moi koledzy z Galicji usłyszawszy, że zostałem proboszczem, pisywali do mnie listy jak do Krezusa. Widocznie wyobrażali sobie, że każdy proboszcz amerykański to bogacz. Co do mnie, to omylili się grubo.

Przeglądając cały stos listów galicyjskich, natrafiłem na jeden ciekawy list historycznej wartości, bo opisujący, w jaki sposób biskup Puzyna dostał się na stolicę krakowską. List ten, datowany 23 września 1894, brzmi między innemi:

„Zapewne chętnie chcesz wiedzieć, Drogi Księże, kto będzie biskupem krakowskim na miejsce ś. p. kardynała Dunajewskiego. Otóż cała inteligencja, to znaczy magnaterja wraz z namiestnikiem Badenim, wręczyła kandydaturę O. Jackowskiemu, lecz ponieważ nasz Instytut, jak wiesz, sprzeciwia się temu, O. Jackowski podziękował. Badeni jednak i magnaterja nie przystała na podziękowanie O. Jackowskiego i całą sprawę o zatwierdzenie go posłali do Wiednia. Cesarz bez żadnych trudności posłał go do Ojca św. do zatwierdzenia.

„Tymczasem Ojciec Jackowski wraz z Generałem wszelkich używali starań, aby temu przeszkodzić. O. Jackowski kilka razy był na audjencji u Cesarza, ale nic nie wskórał. Modlitwy i Msze święte nakazano w całem Towarzystwie. Wreszcie Ojciec św., zmuszony naleganiami Ojca Generała, napisał do Cesarza, aby nadal zaprzestał nalegać. Cesarz napisał długi list w języku niemieckim własnoręcznie do Ojca Generała, w którym bardzo żałuje, że nie mógł zrobić O. Jackowskiego biskupem krakowskim. List ten

Cesarza wraz z swoim posłał O. Generał O. Jackowskiemu, który nas zupełnie uspokoił i napełnił niemałą radością.

„Tak więc Ojciec Jackowski został uratowanym. Kiedy cesarz przyjechał na wystawę do Lwowa, długo rozmawiał z Ojcem Jackowskim; potem udał się do ks. biskupa Puzyny i wręczył mu kandydaturę z temi słowami: „Sądzę, że nie pogardzisz tą łaską, jak to zrobił ksiądz Jackowski". Puzyna najmniejszej nie miał chęci na stolicę krakowską, bo miał zapewnione arcybiskupstwo lwowskie po śmierci ks. Morawskiego; ale po takich słowach nie miał odwagi odmówić, więc przyjął."

Na początku roku 1898 opuściło prasę moje dziełko p. t. „Neapol, Pompeja i Wezuwjusz" (czcionkami Raniszewskiego), o którem to dziełku między innymi pan Karol Miarka, wydawca dzieł ludowych na Śląsku, pisał mi z Mikołowa 16 lutego r. 1898:

„Dziełko to, napisane zajmująco, zabarwione ustępami humoru naturalnego, wzbudza zaciekawienie. Każdy ustęp nader pouczający, stanowi dla siebie pewną całość. Wielka to zaleta książki, że poucza, a nie nudzi; napisana jest jędrnie."

Na wiosnę r. 1898 Polacy w Kenosha, Wis., zgłosili się do mnie. Pierwszy list pisał do mnie Leon Rochnowski z Kenosha, 5 kwietnia r. 1898:

„Jest nas tu kilku Polaków w Kenosha, a niema polskiego księdza. A teraz w czasie wielkanocnym potrzeba się z grzechów wyspowiadać, a niema przed kim. Więc zasyłam prośbę do Wiel. Ojca, czyby nie zechciał do nas tu przyjechać, coby nas spowiedzi wysłuchał. Może Wiel. Ojciec pomyśli sobie, dlaczego aż do Ripna się udajemy, kiedy Milwaukee jest bliższe. To jest tak. Tu do nas poprzednio przyjeżdżał ks. Szukalski, ale on w swej parafji ma za dużo roboty, bo jak tu do nas przyjedzie o 8 wieczorem, tak zaraz o 12 w nocy odjeżdża; a to nie jest wystarczające dla nas. Gdyż my księdza polskiego cały rok nie widzimy, więc bym radzi chcieli z nim cośkolwiek pomówić. Ja więc często słyszę o Wiel. Ojcu, że jest prawie ojcem opuszczonych swych rodaków, więc mojem życzeniem by było, żeby i nas tu opuszczonych zechciał odwiedzić. Nie jest myśl o tem, byśmy mogli tu kościół budować, bo nas jest za mało, ale jak się patrzy, może da Pan Bóg, że i wzrośniemy tak dalece, bo tu prawie co tydzień jaki Polak przyjeżdża, bo u nas robota dobrze idzie i z każdym rokiem więcej fabryk budują. Tylko jednego nam potrzeba, to jest łączności; bo

ja tu prawie najdłużej przebywam, a wszystkich Polaków nie znam. A choć nas tak mało, to już się dwa obozy pokazują, to jest jakby zależni i niezależni. A więc i nam potrzebny jest gorliwy kapłan, żeby do nas choć kilka słów przemówił, żebyśmy pomiędzy sobą cośkolwiek mogli wypracować, bo jedno słowo księdza więcej skutkuje, aniżeli naszych sto."

Pojechałem, wysłuchałem spowiedzi, Mszę św. odśpiewałem, kazanie wygłosiłem, a mityng zwołał sam proboszcz stary a poczciwy, ks. Dreis. Na tym mityngu uchwalono zorganizować własną parafję polską pod wezwaniem św. Józefa. Wybrano zarząd parafjalny, w skład którego weszli: Karol Gedo, sekretarz, Józef Kończak, skarbnik, Leon Rochowski i Jan Neubauer, radni. Było obecnych 34 familjantów: Rochnowski, Mich. Kwiatkowski, Wielgat, Marcin Kwiatkowski, J. Szpakowicz, Kostrzewa, Rabowicz, Kulik, Kisielewski, Brzeziński, Zapędzki, Szytarzewski, M. Nowak, J. Nowak, J. Lama, Mencfeldowski, Jarząb, Mazur, Mockiewicz, Szafrański, Skoczek, Schaefer, Pelecki, Nowacki, Bartkowski, Matulewicz, Kalinowski, Kieliszek, Uzdrakiewicz. Nadto było 31 samotnych: Kazimierz Nowacki, Lenkiewicz, L. Szpakowicz, M. Szpakowicz, Śmigielski, Kołowski, Świtarzewski, Jachin, Morzejko, Mróz, Kapustka, Maciejewski, Juljan Śmigielski, Turowski, Grajewski, J. Wielgat, Kleszczewski, Dąbrowski, Kolęda, Kisieński, Surma, Malinowski, Koperszmit, Małecki, Szleks, Szulc, Gedo, Grabowski, Sadowski, Halczyk. To zwołanie gromady wsadziło tamtejszą polonję na siodło, tak, że odtąd ciągle naprzód jechała, choć i nieraz się potykała.

Dojeżdżałem od czasu do czasu do Kensha, mieliśmy już grunt pod kościół i plany do budowy gotowe, aż dopiero dnia 23 września 1898 r. arcybiskup Katzer tak mi napisał: „Ripon jest za daleko od Kenoshy. Polaków w Kenosha najlepiej z So. Milwaukee będzie zaopatrywać."

Bo zresztą już w lipcu 1898 arcybiskup dał mi dwie czysto ajryskie misje w Springvale i Eldorado do zaopatrywania. Może dlatego, że nietylko ajrysze z Ripon, ale i ajrysze z Springvale zaczęli przyłączać się do nowej polskiej parafji. Od Nowego Roku 1897 w kościele św. Wacława w Ripon prawiłem kazania co niedzielę w trzech językach, polskim i niemieckim na mszy o 8-mej, a w polskim i angielskim na sumie o 10-tej. O drugiej po południu przed nieszporami uczyłem dzieci katechizmu w trzech językach.

8. Spór o granice parafjalne. — Tak zwany dekret kardynała Ledóchowskiego, wypróbowany w Ripon. — Kto na tym dekrecie lepiej wyszedł, ajryski czy polski kościół? — Odebrali Oshkosh a dali mi ajryskie misje.

Arcybiskup Katzer mądrze wyznaczył granice narodowe obydwom parafjom św. Wacława i św. Patryka w Ripon. Nie chciał słyszeć o żadnym wyjątku. Wszyscy Polacy mieli należeć do polskiej i wszyscy ajrysze do ajryskiej parafji. Jedynie Niemcy mogli się przyłączyć, gdzie chcą; ale raz się przyłączywszy, nie mieli już potem zmieniać parafji.

Granica taka między dwoma parafjami to jakby płot między dwoma pastwiskami. Naturalnie, nie brakło drzwiczek w tym płocie. Drzwiczki te otworzył najpierw pasterz owczarni św. Patryka, aby wpuścić jedną polskę owieczkę na swoje pastwisko. A gdy jedna weszła, drzwiczki pozostawił i nadal otwarte w nadziei, że więcej polskich owieczek przejdzie na jego pastwisko. Tymczasem przez te otwarte drzwiczki, zamiast polskich, zaczęły ajryskie owieczki przechodzić na polskie pastwisko, najpierw te, które sam pasterz ajryski powypędzał, a potem za temi owczym pędem i inne same pouciekały, nie chcąc czekać, aż je pasterz napędzi. Pasterz polskiej parafji św. Wacława opędzał się przed temi ajryskiemi owieczkami, jak mógł; ale one, raz wypędzone, za nic w świecie nie chciały iść napowrót do pasterza, który je wypędził. Uparły się, i stanęły jak wryte na polskiem pastwisku parafji św. Wacława. Pasterz ajryski wtedy za pomocą swej laski pasterskiej chciał je gwałtem pospędzać napowrót do swojej owczarni. Ale one, widząc laskę pasterską, jeszcze bardziej od niego uciekały. A nietylko owieczki z pastwiska św. Patryka w Ripon, ale i z dalszego pastwiska w Springvale zaczęły spłoszone uciekać i chronić się w polskiej owczarni św. Wacława.

Pasterz ajryski byłby mógł zapobiec tej ucieczce swoich owieczek odrazu przez zamknięcie owych drzwiczek, jakie był nieopatrznie sam otworzył. Ale on te drzwiczki pozostawiał ciągle otwarte, w daremnem oczekiwaniu, że zwabi polskie owieczki. On te drzwiczki naumyślnie pozostawił naoścież otwarte, powołując się wyraźnie na jakiś tam dekret ówczesnego prefekta propagandy kardynała Ledóchowskiego, że Polakom, mówiącym już po angielsku, wolno jest wejść do owczarni ajryskiej, i polski pasterz nie może im tego wzbronić.

Mnie więc, jako pasterzowi polskiemu, tych drzwiczek zamykać nie było wolno. Bo polskie owieczki miały mieć wolny wstęp i wolne przejście na pastwisko ajryskie.

— All right — odpowiedziałem. — Niech będą te drzwiczki otwarte. Przecież istotnie są otwarte. I ja jestem z tego całkiem zadowolony. Ja nie chcę wcale zamykać tych drzwiczek, jakie ksiądz otworzył. Ale o cóż więc ci się rozchodzi, księże Goebel?

— Mnie chodzi o to, że przez te otwarte drzwiczki wolno tylko polskim owieczkom do mnie przychodzić a nie ajryskim do ciebie!! Takie prawo ustanowił kardynał Ledóchowski.

— Jeśli jest takie prawo, to nie może ono odnosić się do mego kościoła, w którym wygłaszane są także angielskie kazania.

— Tobie nie wolno w polskim kościele głosić angielskich kazań.

— Ciekawym, kto mi tego zabronić może?

— Arcybiskup.

I rzeczywiście proboszcz św. Patryka zaczął czynić usilne starania, żeby arcybiskup Katzer zabronił mi mówić po angielsku w kościele św. Wacława. Ale arcybiskup roześmiał się tylko i rzekł mu:

— Umiesz po polsku? to mów po polsku w kościele św. Patryka! Nie umiesz? to naucz się!

Proboszcz ajryski zapowiedział wtedy arcybiskupowi, że jeśli porozpędzanych owieczek pastorałem nie pospędza mu do jego owczarni, to nie zapłaci katedratykum, bo nie ma z czego. Ani pensji ajrysze nie mają z czego mu wypłacić. Dnia 19 kwietnia pisał mi arcybiskup: „Ks. Goebel pisze mi, że sekretarz ze Springvale mu powiedział, że nie może ani pensji ani diecezjalnego podatku skolektować, jak długo Polacy do mego rozporządzenia się nie zastosują. W jego słowach tkwi oskarżenie, że Polacy jeszcze zawsze ludzi ze Springvale przyjmują. Pisze nadto, że pan Schaefer, sekretarz od św. Patryka, wytacza tę samą skargę — dopóki w Ripon nie będzie porządek zaprowadzony, nie może ani wypłacić ani kolektować".

Odpowiedziałem arcybiskupowi: Jak długo ks. Goebel powołuje się na to rzekome prawo Propagandy, że jego „angielska" parafja może przyjmować każdego po angielsku mówiącego, a moja „polska" parafja nie może przyjmować nikogo po angielsku mó-

wiącego, to on sam, a nie ja, wszelkie granice parafjalne przez to całkiem znosi. Bo niema tutaj ani jednego Polaka, któryby nie mówił po angielsku. Gdzie wtedy byłaby moja parafja, jeśli jemu tylko wolno przyjmować wszystkich, a mnie nikogo? Jeśli to prawo propagandy ma być prawem, a nie bezprawiem, to musi być obustronnem, a nie jednostronnem. Jeśli jemu wolno każdego po angielsku mówiącego przyjmować, to i mnie musi być wolno. What is canse for the goose is sance for the gander. Arcybiskup ustanowił między św. Patrykiem a św. Wacławem granicę **narodową,** a nie językową tylko. Ks. Goebel atoli pierwszy uczynił wyłom w tej granicy, wpuszczając Polaka do swej parafji. Przez ten wyłom spodziewał się wejścia innych Polaków. Ale grubo się zawiódł. Bo przez ten wyłom nie weszli mu Polacy, ale wyszli mu ajrysze i porozłaziły mu się owieczki nietylko tu w Ripon, ale i w Springvale. Co do tych owieczek ajryskich, które ks. Goebel sam porozpędzał, to tych ani pastorałem nie pospędza napowrót do św. Patryka. Nie pójdą one tam, skąd je raz wypędzono. Mają i owieczki swoje prawo, owczym pędem zwane.

Arcybiskup tedy dnia 25 kwietnia 1898 r. nadesłał nam obydwom nowe rozporządzenie do ogłoszenia w kościołach, by się trzymano ściśle granic **narodowych,** by każdy ajrysz ajryskiego i każdy Polak polskiego kościoła się trzymał. Bez piśmiennego pozwolenia proboszcza polskiego nie wolno żadnemu Polakowi należeć do ajryskiej parafji i naodwrót. A ajrysze napędzeni, mieli takie pozwolenie. Ks. Goebel niebawem przesadzony został do Janesville, Wis. W spadku po nim z rozporządzenia arcybiskupiego, objąłem obydwie misje Springvale i Eldorado, czysto ajryskie gromady, należące przedtem zawsze do św. Patryka w Ripon. Arcybiskup przez oddanie mi tych misyj zmusił mnie do zrezygnowania z parafji w Oshkosh. Wyrzucał mi bowiem to nieraz, że pracuję w greenbayskiej diecezji więcej niż w jego archidiecezji.

Dnia 10 września 1898 r. biskup Messmer z Green Bay przesłał mi następującą listowną wiadomość:

„Dziś naznaczyłem ks. L. Garusa proboszczem kościoła św. Józafata w Oshkosh. Z chwilą gdy ks. Garus obejmie tę parafję, twoje facultates ustają tam. Przyjmij moje serdeczne podziękowanie za wszystko, coś uczynił dla katolików Polaków w Oshkosh i za tę wielką gorliwość, jakąś okazał względem nich. Niech ci Bóg zapłaci za to (Our Dear Lord may reward you for it).“

9. Wycieczki do Menashy. — Prezydent Mc Kinley kumotrem. — Rozprawa o Piękności.

Jako proboszcz w Oshkosh byłem sąsiadem ks. Walentego Wiercińskiego, proboszcza w Menasha, Wis. Ks. Wierciński regularnie co miesiąc zapraszał mię do słuchania spowiedzi i wygłaszania kazań. Dojeżdżałem koleją. Ale raz, żeby mu pomóc w sobotę wieczór, jechałem swoim koniem do Fond du Lac. Tu zostawiłem konia i jechałem koleją do Menashy. Skończywszy słuchanie spowiedzi około północy, w niedzielę rannym pociągiem wracałem do Fond du Lac, skąd wsiadłszy na swój powozik, jechałem do misyjnego kościoła w Eldorado. Tu o pół do ósmej rano odprawiłem Mszę z kazaniem. Następnie powróciłem do Ripon, gdzie o pół do jedenastej miałem sumę z kazaniem.

Na prośbę ks. Wiercińskiego w Menashy także wygłosiłem cykl siedmnastu kazań misyjnych: pierwsze kazanie wieczorem 25 czerwca 1898, w następne trzy dni 26, 27 i 28 czerwca po pięć kazań dziennie, a ostatnie 29 czerwca rano. Siła kazań misyjnych polega głównie na ich wzajemnym związku logicznym i psychologicznym. Kiedy po tej misji wracałem z Menashy koleją do Ripon, w drodze dowiedziałem się o rozbiciu floty hiszpańskiej przez Amerykanów.

Krótko po wybuchu wojny hiszpańsko-amerykańskiej jednemu parafjaninowi, J. Garczyńskiemu, urodził się szósty czy siódmy z rzędu syn. Na prośbę uszczęśliwionego ojca napisałem do samego prezydenta Mc Kinley'a list, który zacząłem od słów: „Mr. President, the United States army is growing" i zaprosiłem prezydenta na chrzestnego czyli kumotra. W odpowiedzi na to prezydent Mc. Kinley zgodził się na kumotrostwo, pod warunkiem, że prócz kumotrostwa nie będzie miał żadnych innych zobowiązań. List ten Mc Kinley'a, oprawiony w ramy, wisi w domu Garczyńskich na wieczną rzeczy pamiątkę. W imieniu prezydenta Mc. Kinley'a stawał jako kumotr ówczesny major miasta Ripon dr. Bruno Schallern. Chłopakowi nadano imiona prezydenta i patrona parafjalnego: William Wacław.

W owym czasie raz na plebanji św. Stanisława w Chicago z ks. Wincentym Barzyńskim i malarzem artystą Żukotyńskim miałem gorącą dysputę o piękności i sztukach pięknych wogóle. Ojciec Wincenty i Żukotyński określali piękność jako rzecz zmysłową a nie duchową, jako rzecz zewnętrzną raczej aniżeli we-

wnętrzną. Ja zaś utrzymywałem, że piękność jest to przedewszystkiem wewnętrzna dobroć rzeczy. Ta dysputa sprawiła, że w jesieni 1898 r. zacząłem pisać obszerną rozprawę „O Piękności“ i ogłaszać ją w gazecie. Ponieważ tego rodzaju rozprawy bywają suche i nudne, więc dla zainteresowania czytelnika nadałem mojej rozprawie formę djalogu czyli rozmowy. Żeby jeszcze bardziej zaciekawić czytelnika, dałem tej rozprawie następujący tytuł:

„Tuskulańskich Kwestyj Księga Szósta o Piękności, niedawno znaleziona i drukiem po raz pierwszy ogłoszona przez X. Wacława Kruszkę“.

Rozprawa ta we formie djalogu miała osoby o różnych charakterach. Osoby te i charaktery oczywiście wziąłem z życia współczesnego. Lecz nazwy tym osobom nadałem całkiem starożytne bądź greckie bądź łacińskie. Zauważyłem bowiem, że niemal każde nowoczesne polskie nazwisko, nawspak czytane, brzmi jakby greckie i starożytne. Więc w djalogu o Piękności figurowały nazwiska takie jak Kiluks, Azurg, Ikslakus, Ciois, Arat, które nawspak czytane, były znanemi polskiemi nazwiskami osób żywych i współczesnych. Z czytelników atoli nikt się nie połapał i nie zauważył, że to są polskie nowoczesne nazwiska, w odwrotnym porządku pisane. Przez dwa miesiące w codziennej gazecie ciągnął się druk tej naukowej rozprawy „O Piękności“, a nikt nie zwrócił uwagi na to, że nazwiska mężów mówiących i rozprawiających poważnie, są to nazwy osób współczesnych i ogólnie znanych. Dopiero przemyślny ks. Mścisz razu pewnego odkrył całą tajemnicę i zwracając uwagę osób interesowanych, zawołał triumfująco:

— Heureka! Znalazłem klucz do odczytania prawdziwych nazwisk w tym djalogu występujących. Wy myśleliście, że to są starożytni Grecy i Rzymianie rozprawiający tak poważnie o naukowych rzeczach. A to wy jesteście! Patrzcie tylko i czytajcie dobrze, tam w tej rozprawie znajdują się wasze nazwiska.

— Nie może być. A gdzie?

— Czytajcie te nazwiska na wspak!

Gwałtu, co się działo w Milwaukee!? Błyskawice, grzmoty i pioruny! Aż z wysokości pałacu arcybiskupiego spadł grom na biedną plebanję w Ripon; nie zabił jednak proboszcza, lecz ześliznął się po piorunochronie. Rozprawa „O Piękności“, dzięki formie djalogu, stała się rzeczywiście ożywioną i interesującą. Arcybiskup listem z dnia 21 grudnia 1898 r. zagroził mi „poena suspensionis ipso facto incurrendae“.

Miała więc i ta rozprawa „O Piękności“ swoje przygody. Habent sua fata libelli. Chodziło mi o wykazanie, że prawdziwa piękność jest wewnętrzną i duchową a nie zewnętrzną i zmysłową. Że prawdziwie piękny człowiek jest ten, który ma duszę piękną, a nie ten, którego tylko ciało jest kształtne i piękne. Złodziej, samolub lub skąpiec mogą mieć piękny wygląd, ładną twarz, kształtną postać i przyzwoitą powierzchowność — cóż z tego, kiedy dusza ich brzydka jak siedm grzechów śmiertelnych. Rozprawa „o piękności“ była niejako ciągiem dalszym rozprawy mojej w „Hymnach Wielkopostnych“, gdzie w Chrystusie ukrzyżowanym, skrwawionym, zeszpeconym, przedstawiłem ideał męża sprawiedliwego i pięknego. Nie tylko chrześcijanin tak się na piękność zapatruje; ale i rozumny poganin Plato (O Rzeczypospolitej księga II, str. 361.) nakreślił taki ideał męża sprawiedliwego i pięknego. Pisze bowiem tak:

„Obok niesprawiedliwego wystawmy sobie teraz męża sprawiedliwego, człowieka rzetelnego i szlachetnego usposobienia, który nie **udawać** dobrego, ale dobrym **być** usiłuje. Przedewszystkiem powinien być pozbawiony dobrej opinji u ludzi, bo gdyby w opinji ludzi za sprawiedliwego uchodził, składanoby mu jako sprawiedliwemu honory i podarunki; a wtenczas niewiadomą by było rzeczą, czy on dla sprawiedliwości jako takiej czy też tylko dla honorów i podarunków takim (sprawiedliwym) jest. Dalej powinien być pozbawiony wszelkich dóbr, okrom sprawiedliwości, i powinien być przyprowadzony do zatargu ze swoją zwierzchnością, tak, że nic niesprawiedliwego nigdy nie uczyniwszy, jednak za niesprawiedliwego byłby uważany; ażeby nam był całkiem wypróbowany w sprawiedliwości, ile że ani oszczerstwa ani żadne zło, coby się o nim mówiło, nie zdołałyby go zbić z toru sprawiedliwości: a tak przez całe swe życie za niesprawiedliwego uważany, żeby jednak sprawiedliwym był i pozostał... Lecz powiadają (prorocy, których Plato zapewne czytał), że sprawiedliwy wśród powyższych okoliczności jeszcze ma być biczowanym, wiązanym, poniewieranym i po wycierpieniu wszelkich katuszy do pala przybitym, ażeby snać nie udawał tylko sprawiedliwego ale w istocie nim być pragnął...“

Oto jak poganin Plato już pojmuje ideał sprawiedliwego i pięknego męża. Przeczuwa on i niejako odgaduje swym bystrym umysłem, że właśnie w tej cicho-cierpiącej sprawiedliwości jest coś wielkiego, coś wzniosłego, coś idealnego, coś iście boskiego; że ta cicho cierpiąca sprawiedliwość jest cnotą tak piękną i szczytną, że

jej daremno po świecie szukać. Jakim sprawiedliwy ma być — powiada za Platonem drugi starożytny mędrzec Cycero — to wiemy z określeń filozofów, ale gdzie na świecie takiego szukać, tego nie wiemy; dotychczas jeszcze nie ujrzeliśmy męża takiego", to jest, któryby urzeczywistnił ów ideał Platona (Kwestyj Tuskulańskich księga 2, numery 22—51.)

Przyszedł Chrystus i urzeczywistnił ów ideał piękny i wzniosły. A w przybliżeniu urzeczywistnili go także wszyscy naśladowcy Chrystusa. W takim świętym Wawrzyńcu, spotwarzonym i zeszpeconym, na kratach rozpiętym, oko prawdziwego estetyka (znawcy piękna) widzi rzeczywistą piękność; podczas gdy w rozciągniętej nagiej osobie, pięknie malowanej, ale lubieżnej, widzi tylko pozorną piękność a rzeczywistą brzydotę. Jak jest pozorna świetność i prawdziwa świetność; pozorna wielkość i prawdziwa wielkość; pozorny fałszywy blask, czyli blichtr i prawdziwy blask: — tak jest pozorna, fałszywa piękność i prawdziwa rzeczywista piękność. Pozory łudzą. I stąd ludzie często fałszywe złoto czyli szych biorą za złoto; lada błyskotkę uważają za blask piękności; proste świecidełko podziwiają, jako świetną piękność. Ale jak nie wszystko, co się świeci, jest złotem: tak nie wszystko, co wygląda pięknie jest pięknem. Piękna okładka może okazywać szkaradną treść książki. Natomiast, poemat Pana Tadeusza pozostanie pięknym, choćby w lichej oprawie. Co za wartość estetyczną posiada piękne ciało człowieka bez pięknej duszy? Taką samą jak piękna oprawa książki bez pięknej treści.

Arcybiskup Katzer, przekonawszy się, że celem tej mojej rozprawy „O Piękności" jest nie ośmieszanie lecz oświecanie ludzi, pozwolił mi ją dalej pisać i ogłaszać w gazecie. Role występujących w tej rozprawie osób były poważne, choć ich opinje i poglądy na piękność były rozmaite, a nieraz i śmieszne. Najpoważniejszą rolę, obok Augusta, odgrywał Ikslakus, czyli Ponury Mąż, tak zwany. On też dumnym był ze swej roli i wcale nie myślał się skarżyć u Arcybiskupa.

10. Jedna parszywa owca w małej parafji. — Dlaczego Bóg kazał dziesięciny płacić kościołowi? Bo pieniądz jest nerwem ciała społecznego. — Jak tynk się oderwał od sufitu kościoła i uderzył w głowę p. Skąpskiego.

Mała parafja, mały kłopot. Duża parafja, duży kłopot. Czy to zawsze jest prawdą?

Na to pytanie niech odpowie drugie takie pytanie:

Mały chłopak, mały kłopot; duży chłopak, duży kłopot — czy to zawsze jest prawdą? Nie zawsze. Bo czasem mały jak palec jest zły jak padalec, a duży jest spokojny i poczciwy. Podobnie bywa z małą i dużą parafją. W małej parafji jeden może więcej kłopotu narobić, aniżeli stu parafjan we wielkiej gromadzie. A jednego malkontenta nigdzie i nigdy nie brak; bo jeszcze się nikt nie narodził, ktoby wszystkim dogodził. W Ripon znalazł się jeden parafjanin, zamożny i wpływowy, który nie chciał zapłacić osobnego podatku, uchwalonego przez parafjan na rocznym mityngu zebranych. Rozumował on tak: Niech płacą ten podatek ci, którzy go uchwalili; ja go nie uchwalił, więc nie potrzebuję go płacić. Innemi słowy, staropolskie liberum veto odezwało się w nim.

Nadszedł czas spowiedzi wielkanocnej roku 1899. Kwitki były i tu w zwyczaju jak w innych parafjach polskich w Ameryce. Komitet parafjalny nie chciał temu parafjaninowi dać kwitka do spowiedzi wielkanocnej. Parafjanin więc zwrócił się do mnie osobiście z zapytaniem, czemu nie może iść do spowiedzi wielkanocnej. Odpowiedziałem mu:

— Czemubyś nie miał iść?

— A bo komitet mi kwitka dać nie chce.

— I bez kwitka można iść do spowiedzi.

— Ale czy dostanę rozgrzeszenie?

— A to inna rzecz. Tego ja ci teraz nie mogę powiedzieć. To dopiero po twojej spowiedzi mogę ci powiedzieć. Atoli to ci już z góry mówię, że jeśliś co komu winien, a nie chcesz mu oddać, co się należy, to jeśli się z tego spowiadać będziesz, nie dam ci rozgrzeszenia.

— Czy to znaczy, że mam zapłacić ów podatek, nałożony przez parafjan?

— Jeśli możesz go zapłacić, to z pewnością obowiązany jesteś go zapłacić.

— Ja mogę go zapłacić, ale nie chcę.

— To w takim razie rozgrzeszenia dać ci nie mogę.

— Bo nie chcesz być sprawiedliwym. Rozgrzeszać, to znaczy usprawiedliwiać. Po co ja mam cię usprawiedliwiać, kiedy ty sam nie chcesz być sprawiedliwym?

— Ja chcę być sprawiedliwym.

— Być sprawiedliwym, to znaczy oddać każdemu co się należy. Jeśli chcesz być sprawiedliwym, to oddaj i parafji co się parafji należy, jeśli chcesz być parafjaninem. Kto chce mieć prawa parafjalne, ten musi spełniać obowiązki parafjanina. Ja cię od tych obowiązków uwolnić nie mogę. Gdybyś mnie osobiście był coś winien, mógłbym ci to darować. Ale tyś winien parafji, a nie mnie osobiście! A jako proboszcz w sumieniu obowiązany jestem dopilnować, ażeby każdy parafjanin swoje obowiązki wypełniał. Ty chcesz korzystać z kościoła tak jak i inni, więc i płacić na kościół powinieneś tak jak i inni. Inaczej innym płacącym parafjanom krzywda się dzieje.

Były to przekonywujące argumenty. Ale czy tego parafjanina przekonały? Bynajmniej!

Bo mówić przekonywująco a przekonać drugiego, to są dwie całkiem odrębne rzeczy. Nikt nie zdoła przekonać drugiego, jeśli ten drugi nie chce się sam przekonać. Na upór niema lekarstwa. Ani Chrystus nie przekonał faryzeuszów. Gromić ich słowem: Biada wam! to jedyny sposób. Prawdziwie ubodzy lub czasowo ubodzy powinni mieć w kościele te same prawa co bogaci. Ale skąpcy nie powinni mieć miejsca w kościele. Bo każdy skąpiec to bałwochwalca.

Każdego proboszcza świętym obowiązkiem jest starać się nietylko o słowo Boże, ale i o pieniądz dla kościoła. Faryzeusze tylko mogą się gorszyć z tego. Bo przecie „pieniądz jest nerwem rzeczy", powiedział już starożytny filozof Cycero.

Pieniądz wprawdzie nie jest duszą, ale jest **nerwem** naszych kościołów. Czem jest system nerwowy dla ciała ludzkiego, tem jest system finansowy dla ciała społecznego, jakiem jest kościół. Duszą naszych kościołów jest słowo Boże, i ta dusza jest zdrowa, dobra i poczciwa; ale nerwy naszych kościołów bywają słabe, rozstrojone lub nawet potargane. Opłakany to stan takiego człowieka, u którego dusza wprawdzie poczciwa, ale nerwy nie są w porządku. Opłakany to stan parafji, w której choćby słowo Boże było dobre, ale finanse nie są w porządku.

Czem jest najlepsza dusza wobec rozstrojonych nerwów, tem jest najlepsza wiara religijna lub idea narodowa wobec słabych i podupadłych finansów. Najlepsza dusza wobec rozstrojonych nerwów jest bezwładną. My Polacy jesteśmy owiani najlepszym duchem narodowym i religijnym. Ale czego nam niedostaje? Otóż skarbu publicznego! Gdy przyjdzie do podatku, mało kto płaci dzie-

sięciny. I duch nasz narodowy i religijny, zamiast się wcielić w ziemię polską i przybrać realną postać kościoła, ulatuje w sfery górne, nadobłoczne — i tam się błąka. Kiedy zstąpi i przyoblecze konkretne ciało państwa i Kościoła potężnego? Wtedy, kiedy nagromadzony grosz publiczny stworzy mu nerwy silne i mocne. Nerw jest łącznikiem duszy z ciałem. A tym nerwem w życiu społecznem jest pieniądz. Jeśli chcemy wzróść w potęgę kościelną i państwową, to bądźmy oszczędni w życiu powszedniem, ale hojną dłonią składajmy ofiary pieniężne na ołtarzu ojczyzny i kościoła. Bez ofiar i poświęceń nie stworzymy żadnego dzieła wielkiego. Przodkowie nasi nieśli w ofierze życie swoje i krew przelewali w obronie wiary i ojczyzny. Od nas Kościół i Ojczyzna domagają się tylko pieniężnej ofiary; — składajmy ją hojnie i ochoczo.

P. Bóg przykazuje dziesięciny płacić kościołowi. Obok płacących ilu jest płaczących, to jest, wiecznie narzekających? A ilu jest panów Ociągalskich, Niedbalskich i Skąpskich? Tacy prędzej nie zapłacą, aż jakie nieszczęście spadnie na ich głowy. Przypomina mi się tu mój „Amtsbruder", pewien pastor metodyski. Kościół jego na farmach potrzebował na gwałt nowego dachu, bo zaciekał i tynk ze ścian opadał. Pastor więc zwołał swoich parafjan do kościoła na naradę. Byli to nieliczni ale zamożni farmerzy, którzy gdyby dziesięciny płacili, jak się należy, daliby 500 dolarów każdy. Uradzono nowy dach. W tym celu uchwalono też, żeby każdy dał tyle ile może. Pastor spodziewał się od każdego dość pokaźnej sumy, bo byli nieliczni ale zamożni. Więc nasamprzód zagadnął najbogatszego, siedzącego w pierwszej ławce:

— Mr. Anderson, ile dasz?

— Dam pięć dolarów.

Lecz właśnie gdy Mr. Anderson wymawiał „pięć dolarów", w tej chwili kawał tynku, oderwawszy się od sklepienia, spadł i uderzył go w głowę. Powstał śmiech ogólny. A Mr. Anderson, strzepując tynk z głowy, czemprędzej poprawił się i zawołał:

— Dam pięćdziesiąt dolarów.

Wtedy pastor wzniósł pobożnie oczy i ręce do góry i tonem modlitwy rzekł błagalnym głosem:

— O Lord, hit him again! Panie, uderz go jeszcze raz!

— Nie, nie potrzeba, by mię uderzył drugi raz; dam sto dolarów — zakrzyknął przestraszony farmer. Inni poszli za jego przykładem.

11. Dojeżdżanie do misyj ajryskich. — Pomnik Buczyńskiego i pierwsza myśl napisania Historji Polaków w Ameryce.

Dwie czysto irlandzkie farmerskie misje, jakie objąłem po moim poprzedniku ks. Goeblu, płaciły mi wszystkie pieniądze jakiekolwiek zebrano w kościele. Oprócz tego dostarczały mi owsa i siana dla mojego konia. Bo dojeżdżać musiałem co drugą niedzielę do jednej misji 10 mil, a do drugiej 16 mil. W lecie, pomimo głodu i pragnienia, jazda była przyjemna; ale w zimie wśród trzaskających mrozów i zawiei śnieżnych sanna była nieraz przykra i nieznośna, o głodzie i chłodzie. Śniadanie jadłem, gdy powróciłem do Ripon, o drugiej godzinie po południu. Potem katechizm i nieszpory. Kościołek misyjny w Springvale stoi odosobniony w lesie; najbliższy farmer mieszka pół mili od kościoła. Ajrysze zapraszali mię na śniadanie; ale nie przyjmowałem zaproszenia, żeby zdążyć do Ripon na katechizm i nieszpory. Usłużny ajrysz zawsze mi konia wyprzągł i zaprzągł, żebym nie tracił czasu. Mój koń młody, trzyletni, był chybki i dziki. Raz ajrysza przygniótł do ściany tak, że aż wołał w niebogłosy: help, help! I długo potem ajrysz czuł ból w kościach.

Gdy bywało 10 do 20 stopni poniżej zera, siedziałem w sankach otulony niedźwiedziem futrem, kupionem od ks. Pieniążkiewicza, nogi mając we worku wełnianym a ręce w rękawach. Lejce zarzuciłem na ramiona, gdyż mój koń znał drogę na pamięć i nie potrzebował kierownictwa. Bata też nie potrzebował: wystarczyło nań syknąć a zaraz biegł kłusem przyspieszonym. Kto go batem dotknął, ten jego szalonego galopu długo powstrzymać nie zdołał. Do galopowania był bardzo skłonny. Popuściło mu się cugli, zaraz pędził cwałem. Raz pozwoliłem mu galopować, kiedy powracałem z drugiej misji Eldorado, 16 mil oddalonej od Ripon. Miałem tam o pół do ósmej rano mszę i kazanie i dużo spowiedzi. Było już kwadrans do dziesiątej, kiedy skończyłem nabożeństwo, a o pół do jedenastej zaczynała się suma z kazaniem w Ripon. Było lato, drogi były suche a powozik lekki. Puściłem tedy konia cwałem. Przegalopował te 16 mil w trzech kwadransach. Stanąłem przed kościołem w Ripon na czas. Koń był cały okryty pianą; ale nic mu się nie stało.

Do kościołów misyjnych trzeba było ze sobą brać wino mszalne i hostje. Ornaty były na miejscu w zakrystji; ale że rzadko bywały używane, więc raz otworzywszy szufladę, znalazłem pomię-

dzy ornatami gniazdo pełne młodych myszy. Razu pewnego w pospiechu zapomniałem wziąć ze sobą hostję i komunikanty. Na domiar złego, braku hostyj nie zauważyłem, aż dopiero po Ewangelji i kazaniu. Musiałem więc od ołtarza poprosić kogoś, by mi upiekł hostję. Na szczęście była w kościele siostra księdza Pettit, która umiała piec hostje na żelazkach do prasowania. Pojechała czemprędzej do domu i upiekła grube wprawdzie i nieforemne placki, ale dostateczne do odprawienia Mszy św.

Wspomniany ksiądz Pettit, rodem z mojej misji w Springvale, miał także wuja księdza, który na stare lata schorzały przebywał u jego ojca na farmie w Springvale. Dojeżdżałem do niego i wreszcie na śmierć go dysponowałem. Nigdy nie zapomnę tego budującego przykładu, jaki stary ksiądz Pettit mi dał, przyjmując z rąk moich ostatnie sakramenta święte. Gdym wszedł z P. Jezusem do pokoju, stary ksiądz Pettit wstał z łóżka i uklęknął przy łóżku. I tak klęcząc spowiedź odprawił i w klęczącej postawie przyjął wiatyk. Pogrzebany został na cmentarzu w Springvale.

Tu na tym samym cmentarzu przy kościółku misyjnym w Springvale, obok irlandzkich księży, spoczywa także sławny polski kapłan i misjonarz ks. Bonawentura Buczyński. — Gdym objął misję w Springvale, ajrysze pokazywali mi grób zielskiem porosły, bez pomnika, bez krzyża, bez jakiegokolwiek napisu. Powiadali mi, że tu leży jakiś „Polish priest"; ale nazwiska jego nie znali. Opowiadali mi, że umarł już przeszło ćwierć wieku temu w Berlinie, Wis. Ale że w Berlinie podówczas nie było katolickiego cmentarza, więc przewieziono zwłoki jego najpierw do Ripon i pochowano je tam na cmentarzu św. Patryka. Atoli stamtąd znowu po niejakimś czasie ajrysze przewieźli jego ciało tu do Springvale, ponieważ w Springvale już inni księża spoczywali. — Więc ajrysze, wychodząc z tej zasady, że ksiądz i po śmierci powinien się znajdować w towarzystwie innych księży, przetransportowali pewnej nocy zwłoki polskiego misjonarza na cmentarz w Springvale. Istniał jakiś fundusik na pomnik dla zmarłego, ale — powiadali mi — transportacja kosztowała i po transportacji musieliśmy przy grobie obrzędu dopełnić, zagrzać się i pokrzepić. Na pomnik więc nic nie pozostało.

Ciekawości mojej, ktoby tym kapłanem polskim mógł być, nikt na razie nie mógł zaspokoić. Aż się spotkałem z ks. Gulskim, od którego się dowiedziałem, że to ks. Bonawentura Buczyński, który był misjonarzem w Chinach i Południowej Ameryce, a po-

tem od r. 1863-66 opatrywał Polaków w Polonii, Wis. i Milwaukee, dalej w Northeim r. 1868, następnie w Princeton i Berlinie, gdzie też umarł na wiosnę r. 1872. Dowiedziawszy się o tem, natychmiast przystąpiłem do postawienia pomnika na grobie tak sławnego kapłana, pioniera i misjonarza polskiego, ks. Buczyńskiego ze zakonu Franciszkanów. Od księży polskich w Milwaukee, Berlinie i Princeton, skolektowałem pieniądze na ten pomnik. Na kwadratowym postumencie wznosi się marmurowy obelisk, na którego szczycie spoczywa geograficznie opisana kula z zatkniętym u góry krzyżem. Na obelisku obok kielicha, baranka i innych ozdób symbolicznych, wyryto słowa: „Ks. Bonawentura Buczyński, O. S. F., umarł w Berlinie, Wis., r. 1872. Requiescat in pace". Naokoło owej kuli marmurowej wyryto dłutem mapę kuli ziemskiej, przedstawiającą geograficznie różne części świata, które nieboszczyk misjonarz przewędrował. A więc widnieje tam napis: „Polska", w której się urodził i wykształcił na księdza w Prusach Zachodnich w Łąkach pod Nowem Miastem. Dalej naokoło tej kuli czytać możesz: „Misjonarz w Chinach", „Misjonarz w Południowej Ameryce (w Chili); wreszcie: „Założyciel kościołów w Milwaukee, Polonia, Northeim, Berlin, Princeton we Wisconsinie". Tak opisana kula charakteryzuje dosadnio wszechświatową działalność tego misjonarza polskiego. Ajrysze też dumni są z tego, że na ich cmentarzu spoczywa tak sławny „an all around the world Polish missionary". Pomnik ten postawiłem i poświęciłem dnia 10 listopada 1899 r.

Wtedy to także zrodziła się we mnie myśl napisania historji osad polskich w Ameryce i wtedy to pomału zacząłem gromadzić materjały do mojej „Historji polskiej w Ameryce", ażeby o pierwszych początkach osad polskich w Ameryce snać tak nie zapomniano, jak zapomniano o tym pierwszym polskim kapłanie, księdzu Buczyńskim, którego grób zielskiem porósł bez najmniejszej pamiątki po nim, bez wspomnienia jego nazwiska, bez napisu, bez krzyża i pomnika. Była to wielka myśl. Tak wielka, że mię często swoim ogromem przerażała, nigdy jednak nie zrażała. Dużo jeszcze czasu i dużo wytrwałej pracy potrzeba było do urzeczywistnienia tej wielkiej myśli. Bo jak mówi biskup Krasicki:

„Wielka myśl, to nasienie dębu, siane w wiośnie,
Z którego, choć nie prędko, wielki dąb wyrośnie."

Do urzeczywistnienia tej wielkiej myśli dodała mi niemałego bodźca następująca okoliczność. Z powodu rezygnacji ks. Lewan-

dowskiego zawakowało probostwo na Wincentowie w Milwaukee. Natychmiast posłałem arcybiskupowi swoją aplikację na tę posadę. Lecz arcybiskup dał to miejsce ks. Dorszyńskiemu, dwa lata później ode mnie wyświęconemu. Ten swój krok arcybiskup w liście z Fond du Lac dnia 11 lipca 1899 r. tak mi wytłumaczył:

„Wielebny Księże! Twoja aplikacja nadeszła, kiedy już moje plany byłem powziął; gdyż okoliczności wymagały prędkiego działania i zamianowania męża, który mi się zdawał najodpowiedniejszym do zażegnania grożącego zła. Ufam, że mu to się uda. Ergemenst Thr. F. X. Katzer, Abp. Milw."

Powiedziałem sobie wtedy: Nie nadarmo, ani przypadkiem, ale ze zrządzenia Boskiego zostałeś pominięty.

„Siedź w kącie,
Ujrzą cię!"

Moje dwie misyjki składały się z samych ajryszów, z wyjątkiem jednego Niemca. Springvale liczyło coś 35 farmerów a Eldorado tylko szesnastu. Te misyjki nie płaciły stałej i oznaczonej pensji, lecz płaciły mi wszelkie dochody, jakie wpłynęły z wynajmu ławek, po ośm dolarów od siedzenia. Czasem było tych dochodów mniej, czasem więcej. Ze mną kłopotu o to nie mieli. Ale mieli kłopot z poprzednikiem, nietylko oni, ale i ja. Bo na mnie arcybiskup wciąż nalegał, żebym się starał o spłacenie zaległości winnych poprzednikowi. Nie wszyscy ławkowe zapłacili poprzednikowi. Zwołałem Ajryszów na mityng, starałem się jak mogłem, chociaż to do przyjemności duszpasterskich nie należało. Arcybiskup też czynił swoje, pisywał do mnie długie listy, kazał mi inkorporować misję w Springvale, ale na inkorporację ajrysze przystać nie chcieli z obawy, żeby im jako prawnej osobie zbiorowej poprzednik nie wytoczył procesu.

12. Piękne zwyczaje u ajryszów. — Modlitwy kościelne w języku narodowym.

Ajrysze mają ten piękny zwyczaj, że dwa razy do roku, to jest w dzień Bożego Narodzenia i w Niedzielę Wielkanocną wszyscy gromadnie przystępują do Komunji św. Wtedy ich spowiedzi słuchałem we wigilję a przed Wielkanocą we Wielki Piątek, gdyż we Wielką Sobotę objeżdżałem domy wszystkich Polaków w Ripon i poświęcałem potrawy wielkanocne. Na gwiazdkę i na Wielkanoc każdy ajrysz daje proboszczowi najmniej dolara na kolektę

zazwyczaj w kopercie z napisem ofiarodawcy. U ajryszów przy każdym pogrzebie musi być mowa pogrzebowa, często Msza św. z asystą; ale „Libera“ księża ajryscy zazwyczaj nie śpiewają, tylko czytają i to po angielsku, żeby lud rozumiał wzniosłe myśli Kościoła przy obrzędzie pogrzebowym. Tak samo przy udzielaniu Ostatniego Olejem św. Namaszczenia odmawiają modlitwy kościelne po angielsku. Mają do tego zachętę i aprobatę samegoż kardynała Gibbonsa.

Albowiem w „The Priest's New Ritual“, aprobowanym przez kardynała Gibbonsa, czytamy wyraźnie w przedmowie co następuje:

„Kiedy uroczyste obrzędy Kościoła bywają wykonywane, wtedy wierni są wielce zbudowani, jeśli rozumieją znaczenie modlitw; a to szczególnie się sprawdza we wypadku chorej lub umierającej osoby. Prawda, że kapłan często własnemi słowy daje zachętę; lecz żadne słowa, niewiedzieć jak piękne, nie mogą zastąpić słów Kościoła, umieszczonych w rytuale i wyjętych po największej części z Pisma świętego. Ta głównie myśl natchnęła nakładcę do wydania niniejszego „Priest's New Ritual“ w języku angielskim obok łacińskiego tekstu... Na tem miejscu pragnę podziękować Wielebnemu Księdzu William E. Starr za pozwolenie używania jego tłumaczenia „Obrzędu Pogrzebowego“; a Jego Eminencji Kardynałowi Gibbons za jego łaskawą zachętę i aprobatę.“ Wydawca Paul Griffith w Washington, D. C.

Ten chwalebny przykład ajryszów zachęcił mnie do odmawiania modlitw kościelnych także w języku polskim, zwłaszcza przy obrzędach pogrzebowych, ślubnych i Ostatniego Namaszczenia. I przekonałem, że „wierni są wielce zbudowani, jeśli rozumieją znaczenie modlitw“.

We wołaniu księdza do chorego ajrysz może jest najskrupulatniejszy, najgorliwszy i najpilniejszy. Niech go kosztuje co chce, niech odległość będzie największa: ajrysz, jeśli nagle zachoruje, musi mieć księdza czemprędzej. Jeśli jego farmerskie konie były za powolne, wynajmował szybkie konie z Livery Stable i pędził — góry z drogi, lasy z drogi — co tchu po księdza. O automobilu wówczas jeszcze zaledwie zdaleka słyszano. Wołania do chorego rzadkie były w Ripon; ale kiedy były, to były na wielką odległość.

Pewnej Palmowej Niedzieli o północy wali ktoś do drzwi, że aż minjaturowa plebanja w Ripon cała się zatrzęsła. Obudzony

z pierwszego snu, wyszedłem i zobaczyłem przed plebanją dwóch młodych mężczyzn i sanie w dwa konie.

— Co takiego?

— Father, a sick call. Come quick, come at once!

Słysząc ich wystraszone i natarczywe wołanie, nie namyślałem się nic ani nie pytałem, kto i gdzie chory, tylko ubrałem się prędko i wziąwszy N. Sakrament, wskoczyłem na ich sanie. Tu dopiero przyszło mi na myśl, czy to nie są jacy zbóje, którzy mnie chcą wywieść w pole i obrabować. Bo obydwaj mężczyźni, którzy mię wieźli, byli mi całkiem nieznani. Wnet jednak uspokoiła mnie ta druga myśl: ktoby tam biednego proboszcza w Ripon chciał obrabować i z czego?... Sanie wśród ciemnej nocy mknęły szybko naprzód po śniegu zwilżonym i miejscami już roztopionym w dwie kacery. Konie, choć brnęły w śniegu i wodzie, pędziły jednak jak wicher, bo popędzane ciągle batem. Przejeżdżaliśmy przez miasteczko Brandon i tu nagle przystanęliśmy. Co się działo? Z Livery Stable (wypożyczalni koni) wyskoczyło z latarnią dwóch chłopów, którzy prędko wyprzęgali nam zmęczone podróżą konie i drugie dwa nowe czemprędzej zaprzęgli. Potem nastąpiła dalsza szybka karkołomna jazda w dwa świeże konie!

Ośmnaście mil z Ripon jechaliśmy do owej farmy, gdzie mię do chorego wołano. Na łóżku leżał dziewiętnastoletni młodzieniec, syn farmera, całkiem nieprzytomny. Gdy wołałem na niego po imieniu, zerwał się z łóżka, rzucał się, miotał i rękami wywijał, jakby się chciał ze mną bić. Oczy miał wciąż zamknięte i usta zupełnie nieme; ani słówka z niego wydobyć nie mogłem. Dałem mu więc spokój i chciałem go już namaścić olejem św., ale postanowiłem najpierw wypytać się, co się z nim stało. Chłopak pojechał był sankami do Ripon na nabożeństwo; wrócił z palmą w kieszeni, ale nieprzytomny. To usłyszawszy, nie dałem mu namaszczenia, tylko odłożywszy N. Sakrament na osobny stół ze świecami, położyłem się na kanapie spać. Poco mi było nocą wracać do domu? Lepiej tu odpocząć, a może chory tymczasem oprzytomnieje. Spałem smacznie, bo zawsze w życiu, a szczególnie wtedy, miałem donum dormiendi, dar spania. Przyśnił mi się ów chory, któremu na imię było Frank. Widziałem go we śnie, jak na zawołanie moje otworzył oczy, zaczął ze mną spokojnie rozmawiać, jak wyspowiadał się i przyjął komunję św. Właśnie, kiedym tak śnił, obudziła mnie ajryszka, jego matka, gdyż już było dobrze nad ranem. Zapytałem zaraz:

— How is Frank?

— Father, he is just the same.

— Śniło mi się właśnie, że oprzytomniał, spowiadał się i przyjął Komunję św.

— Nie, ojcze; on ma ciągle oczy zamknięte i leży nieprzytomny tak samo jak przedtem.

— Muszę go zobaczyć.

Wstałem, poszedłem do łóżka chorego i zawołałem:

— Frank!

Mój Frank otworzył szeroko swe oczy i tak, jak mi się śniło, najspokojniej zaczął ze mną rozmawiać. Po krótkiej rozmowie odprawił spowiedź i przyjął Komunję św. Poczem znowu zasnął snem sprawiedliwego. Nie dawałem mu już olejów świętych, gdyż widziałem, że przychodzi do siebie i wyzdrowieje.

Chłopaka tego na sankach w drodze z Ripon do Brandon wieczorem napadł jakiś łotr i zażądał od niego zegarka i pieniędzy. Chłopak przestraszony, podciął batem konia, by łotrowi uciec. Łotr nie zdołał go przyłapać, ale uderzył go silnie gdzieś koło bioder. Chłopak od tego uderzenia zemdlał, stał się nieprzytomny i leżał jak nieżywy na sankach, z któremi wystraszony koń przybiegł do Brandon. Tu w tem miasteczku koń stanął przed znaną mu gospodą przy słupie, przy którym już był przyzwyczajony często stawać. Ludzie wnet spostrzegli leżącego na sankach chłopaka, rozpoznali go i zawieźli do domu rodziców. Zawołany doktor nie mógł zbadać stanu pacjenta, gdyż chłopak nie pozwolił się rozebrać ani dotknąć, lecz rzucał się i wywijał rękami, jakby chciał się bić z każdym, który doń się zbliżył. Jak nędza, to do księdza. Tak i pojechali po mnie do Ripon, ośmnaście mil.

Chłopak ten żyje jeszcze do dziś dnia.

O wojnie Burów z Anglikami dużo się z ajryszami mówiło, i Burowie zawsze w ajryszach mieli silnych popleczników.

13. Rozprawy z pastorami w Ripon. — Mój artykuł o wielkości Bismarcka.

W Ripon początkowo mieszkałem w sąsiedztwie pastora metodyjskiego, Niemca, który mi się przedstawił jako „Amtsbruder", jako mój „brat w urzędzie". W niedzielę był pastorem a w powszednie dni grosernikiem. Pastorzy wogóle często mówili ze mną o „Church union", o jedności Kościoła jako o raju na ziemi. To gorące pragnienie Chrystusowe, „aby wszyscy jedno byli" jest

każdemu, nawet pastorowi wrodzone i przyrodzone. Ale cóż, kiedy „radaby dusza do raju, ale jej grzechy nie dają“, mianowicie grzech pychy. Pycha „odpycha“ ludzi od siebie, zamiast ich jednoczyć. Chrystus ustanowił jeden Kościół powszechny dla wszystkich ludzi. Ludzie zaś odpadali od tego Kościoła i tworzyli sobie odrębne rodowe i narodowe kościoły. Teraz ci ludzie chcą znowu jedności. I owszem. Kościół Chrystusowy ich przyjmie napowrót, niech tylko wrócą do tego Kościoła, do którego pierwotnie należeli, a od którego niebacznie odeszli. My katolicy nie odeszli od was, tylko wy odstąpiliście od nas. A zatem my nie możemy nawracać się do was, tylko wy możecie nawrócić się do nas. Przypuśćmy, panie pastorze, że od twojego kościoła oderwie się dwudziestu ludzi. A potem ci ludzie znowu przyjdą do ciebie i powiedzą, że chcą jedności. Co ty im powiesz? Powiesz im: przyjdźcie napowrót do naszego kościoła, z któregoście wyszli; my was przyjmiemy. Tak samo Kościół katolicki mówi do was, którzyście go opuścili. Kościół katolicki jako instytucja, jako owczarnia Chrystusowa, nie może przyjść do zbłąkanych owieczek, tylko owieczki muszą powrócić do tej owczarni. My pasterze szukamy i nawracamy was do tej owczarni Chrystusowej, ale wy nie chcecie do niej przyjść; wy chcecie natomiast, żeby ona do was przyszła, tak jak Mahomet chciał, żeby góra do niego przyszła.

Razu pewnego wszyscy pastorzy z Ripon i okolicy urządzili w hotelu wspólny bankiet, na który i mnie zaprosili. W jakim celu ten bankiet urządzacie? zapytałem. Odpowiedzieli: żeby ludziom pokazać, że wszyscy pastorzy są złączeni jedną wiarą w Boga.

— A czy wszyscy jesteście jednej wiary?

— Nie.

— To na co ta obłuda? Najpierw nawróćcie się do jednej wiary, a potem urządźcie bankiet, to przyjdę. Inaczej nie.

Na cztery tysiące mieszkańców w Ripon były dwa kościoły katolickie, a protestanckich było dziewięć, z których każdy był innej wiary. Byli adwentyści, baptyści, christian science, episkopalni czyli anglikanie, kongregacjonaliści, lutrzy ceglani, lutrzy kamienni, metodyści i prezbiterjanie. Nie dziw, że tej niejedności swojej zaczęli się już wstydzić. Wszyscy to Niemcy i Anglicy. U nich to powstała i istnieje manja tworzenia wiar rozmaitych. Najpierw ta manja powstała u Niemców, za Lutra; a za Niemcami Anglicy jak za panią matką pacierz powtarzają. Teraz chcieliby znowu jedności, wiedząc, że bez jedności chrystjanizm jest po pro-

stu dziwolągiem; gdyż jedność jest istotną cechą chrystjanizmu. Ale jakżeż może ta jedność być bez tego ośrodka jedności, jakiem jest papiestwo? Sądzili nowatorowie 16 wieku, że Kościół obędzie się bez Papieża i sami nowym kościołom dali początek; ale nie może być nazwane kościołem społeczeństwo, którego nie łączy węzeł jedności wiary. Gdzie tej jedności niema, tam też nie masz kościoła, choć mogą istnieć różne zgromadzenia religijne czyli zbory. Nawet między Niemcami lutrami w Ripon nie było jedności. Jedni wierzyli w sakrament ołtarza, i ci zbudowali sobie kościół z cegły; a drudzy, co nie wierzyli w ten sakrament, postawili sobie kościół z kamienia. Stąd znani byli w Ripon ceglani lutrzy i lutrzy kamienni.

Episkopalni znowu czyli anglikanie w Ripon lubili się podszywać pod nazwę katolicką. Albowiem wygląd ich kościoła był katolickim; były w nim ołtarze, obrazy, figury i statuy Matki Boskiej i świętych, była wieczna lampa, był konfesjonał, była msza i komunja. A rezydencja pastora anglikańskiego wyglądała pobożniej od mojej plebanji, bo miała na froncie statuę Dobrego Pasterza z owieczką na ramionach. Pastor chodził nawet po ulicy w rewerendzie, w rzymskim kołnierzyku i rzymskim kapeluszu na głowie. Kościół jego był pod wezwaniem św. Piotra. We wydawanym przez siebie miesięczniku pastor nazywa swój kościół nie inaczej jeno katolickim. I udowadniał, że chociaż nie uznaje papieża w Rzymie, to jednak jest katolickim. W odpowiedzi na te jego wywody napisałem do „Ripon Free Fress", w którym mu jasno jak na dłoni wykazałem, że jak stan Wisconsin, gdyby nie uznawał prezydenta w Washingtonie, nie mógłby być i nazywać się stanem Stanów Zjednoczonych, tak jego kościół, nie uznając papieża w Rzymie, nie może być i nazywać się kościołem katolickim. Argumentów moich zbić nie mogąc, pastor w całym następnym numerze swego miesięcznika długie gorzkie żale śpiewał na bardzo żałosną nutę, że niepotrzebnie jego kościół napadam i odmawiam mu należytego tytułu. Trudno. Musiałem to uczynić, żeby ludzie się nie bałamucili jego nazwą „katolicką".

Podszywaniem się pod nazwę katolicką mógłby w błąd wprowadzić nawet wybranych. Przecie nawet księdza Bernarda Skulika chwilowo w błąd wprowadził. Ten sam ks. Skulik, podówczas znany szeroko jako założyciel stolicy mądrości, do której należeli kardynałowie, patrjarchowie, arcybiskupi i biskupi całego świata, ten sam ks. Skulik przyjechał raz do mnie do Ripon w od-

wiedziny. A że mnie nie zastał w domu, więc chciał wstąpić do ajryskiego księdza. Aliści po drodze do ajryskiego kościoła stoi właśnie ów anglikański, całkiem podobny do katolickiego. Ks. Skulik, obejrzawszy wnętrze kościoła, przyklęknął i pomodlił się, a potem wszedł do plebanji, gdzie zobaczył księdza w rewerendzie i birecie i, będąc święcie przekonanym, że to ajryski ksiądz katolicki, rozmawiał z nim jak z konfratrem najswobodniej przez całą godzinę, zanim nareszcie się spostrzegł, że to pastor anglikański. Nawet chodząca stolica mądrości dała się w błąd wprowadzić, a co mówić o innych wybranych.

Roku 1898 umarł był kanclerz żelazny Bismarck. Gazety aż do znudzenia rozpisywały się o „wielkości" Bismarcka. To mnie spowodowało do napisania następującego artykułu, który gazety ogłosiły:

„Wielki" — „największy" mąż tego wieku zmarł we Friedrichsruhe". — Tak aż do przesytu szafują tym wyrazem „wielki" gazety niemieckie i angielskie, obwieszczając śmierć Bismarcka. O ironjo!... że w oczach szowinistów niemieckich postać Bismarcka do wielkich wzrosła rozmiarów — to fakt. Ale też tylko w oczach „szowinistów" — bo nawet Niemiec, byle rozsądny patrjota, nie zachwyca się mniemaną „wielkością" Bismarcka, tem mniej będzie jej się kłaniał.

„Jeżeli Bismarck był prawdziwie „wielkim" człowiekiem, to bez wątpienia zasługuje na cześć i pokłon, tak u przyjaciół jak i nieprzyjaciół. Lecz czyż był „wielkim?" Prusacy wołają w niebogłosy, że był wielkim, gazety ich trąbią na świat cały, że ich Bismarck był wielkim — a więc: ludy! padajcie na kolana przed trumną Bismarcka i kłaniajcie się jego wielkości! I rzeczywiście, wobec tego ryku i krzyku „wielki!" rozbrzmiewającego przeciągłym tonem po świecie całym, niejeden już z samego strachu za czapkę chwyta, skłania głowę i pada na kolana. Jak kiedy wiatr silny się zerwie i uderzy w las, wierzchołki drzew pomimowoli się uginają: tak pod silnym powiewem opinji publicznej gną się głowy tłumu bezmyślnego.

„Lecz ludzie myślący nie poddają się prądowi opinji publicznej, bo ta jest tak zmienną, jak zmiennym jest wiatr; lecz zanim skłonią głowę, — wchodzą w głąb rzeczy, zastanowią się, komu się kłaniać? czy ten człowiek był prawdziwie wielkim i zasługuje na to miano, żeby snać nie kłaniać się fałszywej wielkości.

„Człowiek myślący zastanowi się: co stanowi prawdziwą wielkość człowieka? Czy jego naturalne przymioty, jako to: siła pięści, siła miecza, lub wreszcie siła rozumu i energja woli? Bynajmniej! To są dary przez Stwórcę darmo dane, bez żadnej poprzedniej zasługi człowieka. Spryt umysłu i dzielne ramię są darem li tylko Tego, który włada niebem i ziemią. Jeśli tedy sądzić chcemy o prawdziwej człowieka wielkości; to co człowiek wielkiego uczynił, to koniecznie pytać się nam trzeba, czy ów człowiek darów tych wedle woli i celów Tego, który mu je dał, używał a nie inaczej. Czyli innemi słowy, pytać nam się trzeba o przymioty moralne tego człowieka. Bo jeśli on nie używał darów sobie udzielonych wedle woli Dawcy, — to cóż wielkiego sam o sobie pokazał? Nic — prócz mocy i siły Dawcy swego. Sam o sobie chyba to tylko pokazał, że umie i wbrew woli Pańskiej działać, czyli że umie być niewiernym, **podłym** i **nikczemnym** sługą Pana i Dawcy swego.

„A to Bismarck o sobie w całej pełni pokazał. Wypowiadając tę zbójecką zasadę „siła przed prawem!“ („krwią i mieczem“ — „Ausrotten“) i trzymając się tej zasady przez całe życie, urągał wszelkiemu prawu ludzkiemu i Boskiemu, a temsamem okazał się bardzo małym, podłym i nikczemnym, wobec Boga i ludzi cywilizowanych, u których siła pięści nie uchodzi za najwyższe prawo. Za wielkiego będzie on uznawany tylko przez tych, którzy bezwzględnie hołdują brutalnej sile i przemocy, nie uznając nad nią wyższych praw. Prawdą a Bogiem, wobec Boga i ludzi po Bożemu myślących, Bismarck, tak jak w publicznem swojem życiu się ukazał, był małą, podłą i nikczemną kreaturą, która przeciw Stwórcy i odwiecznym prawom Jego powstawała — tem nikczemniejszą od innych, im większymi od innych była obdarzoną przymiotami. Była jako ten garnek (u Izajasza, 45, 9), który powstawał przeciw twórcy swemu i spierał się z garncarzem.

„W buncie przeciw Bogu i prawom Jego nie okazuje się wielkość człowieka, lecz przeciwnie jego małość i nicość. Człowiek każdy maleje i ośmiesza się do najwyższego stopnia, ilekroć bezpośrednio czy pośrednio na Boga i Jego prawa uderza, tak jak ośmiesza się ten, kto z motyką idzie na słońce. A życie publiczne Bismarcka (bo o prywatnem niech go tam P. Bóg sądzi) było jednem pasmem wystąpień przeciw prawu Bożemu, nietylko że występował wprost przeciw Kościołowi, ale że nie szanował praw żadnego narodu.

„Niestety znalazła się zgraja uczonych niemieckich, którzy nietylko tak zwaną „Staatsomnipotenzlehre“ uprawiali, według której Państwu, jako wszechmocnemu, wszelkie bezprawia czynić było wolno, ale nadto uczyli oni wyraźnie, że właśnie w buncie przeciw Bogu i Stwórcy okazuje się największa wielkość człowieka.

„Nie, nigdy, przenigdy Bismarck nie zasługuje na miano Wielkiego. Wielkim go mianować i jako takiemu pokłony bić będą tylko ci, którzy jego szatańskiej mości, Lucyperowi, się kłaniają i Lucypera za wielkiego uważają, ponieważ śmiał Bogu posłuszeństwo wypowiedzieć: Non serviam! A że takich czcicieli szatana i jego mniemanej wielkości dzisiaj dużo jest na świecie, więc nic dziwnego, że tylu jest wielbicieli fałszywej wielkości światowej. Bismarck był wielkim (jedyna jego wielkość) potworem moralnym, który to potwór, dopóki żył, wzbudzał respekt u każdego, tak jak wzbudza rozjuszony lew, tygrys lub smok, ale kiedy nie żyje, nikt nie będzie go respektował. — Całkiem inną jest postać takiego Windhorsta lub Washingtona.

„O zasługach Bismarcka dla swojej ojczyzny niemieckiej nie uprzedzajmy historji. Kto wie czy to nie były niedźwiedzie przysługi. Niech jeno Nemezys dziejowa nadejdzie, a wtedy nam historycy o zasługach Bismarcka powiedzą“.

X. Wacław Kruszka.

14. Bluźnierczy artykuł „Kurjera“ o spowiedzi i odpowiedź nań.

Ustanowiony przez Chrystusa Kościół nazywa się powszechnym czyli katolickim głównie dlatego, że koniecznie wymaga od swych członków, by naukę Chrystusową pojmowali wszechstronnie i przyjmowali ją w całości. Kto zaś nie całą lecz tylko część nauki Chrystusowej przyjmuje a przez to jednostronnie ją pojmuje, ten z grecka nazywa się „heretykiem“ czyli „cząstkowo wierzącym“.

Weźmy naprzykład sprawiedliwość chrześcijańską, która każe oddawać **każdemu** to, co mu się należy — suum **cuique.** Nie tylko więc Kościołowi, ale i każdemu bliźniemu masz oddać co mu się należy. Ktoby Kościołowi należytości wiernie oddawał, a tymczasem grosernikowi, rzeźnikow,i aptekarzowi, redaktorowi i t. p. nie chciał oddać co winien, taki pojmowałby sprawiedliwość nie po katolicku lecz po heretycku.

Tak samo, ktoby Kościół i księży wprawdzie szanował, ale innych ludzi bezcześciłby i oczerniał, ten również pojmowałby sprawiedliwość nie po katolicku lecz po heretycku. Na tę zaszczytną nazwę katolicką nie zasługuje nietylko ten, który dogmata Kościoła zaczepia, ale i ten, który bliźniego swego zaczepia i krzywdzi go na mieniu lub imieniu. Co z ciebie za katolik, jeśli ty wprawdzie biskupów i księży pod niebiosa wynosisz, a przynajmniej chwalisz się z tego; ale innych ludzi z błotem mieszasz? Albo imię zmień, albo obyczaje! Bo dopóki choćby najniższego człowieka na mieniu lub imieniu krzywdzisz, ty katolikiem nie jesteś. Bo Chrystus powiedział, że cokolwiek uczyniliście najmniejszemu z ludzi, toście **Mnie** uczynili.

W roku Pańskim 1899, jak i przedtem, bywały różne gazety, tygodniki i dzienniki. Jedne oczerniały Kościół a wielbiły ludzi; drugie znowu wychwalały Kościół a bezcześciły ludzi. Jedne i drugie uważały się za sprawiedliwe. I jedne drugim wyrzucały niesprawiedliwość. Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smolił. Sam po heretycku pojmował sprawiedliwość.

Za mojej pamięci w Milwaukee przeciw „Kurjerowi" jako heretyckiemu pismu powstawały tygodniki, jak „Słowo" a potem „Katolik", i dzienniki, jak „Dziennik Milwaucki" a następnie „Nowiny".

Było to w pierwszym kwartale roku 1899, kiedy to „Katolik", wydawany przez księdza Grutzę, nawracał „Kurjera" na swój sposób. Bawiłem właśnie na czterdziestce w okolicy Stevens Point, gdy wtem nadchodzi ks. Peściński i pokazuje mi artykuł w „Kurjerze" pod tytułem: „Trochę z historji o spowiedzi", w którym autor twierdził, że spowiedź wielkanocną ustanowił Kościół dopiero roku 1215, na Koncyljum Lateraneńskiem. Artykuł ten rzeczywiście ubliżał Kościołowi i przekręcał jego naukę. Był atoli napisany w polemice z „Katolikiem" nie tyle przez złość do Kościoła, ile przez złość do tego „Katolika". Na prośbę księży natychmiast posłałem do redakcji „Kurjera" odpowiedź na ten bluźnierczy artykuł. „Kurjer" jednak tej mojej odpowiedzi nie umieścił, jak wiele innych moich artykułów, przedtem i potem, nie umieszczał. W tym wypadku „Kurjer" wytłumaczył mi się tem, że co pisał o spowiedzi, tego nie wyssał z palca, lecz wyjął z warszawskiej Encyklopedji Orgelbranda, i że wobec nowych osobistych napaści ze strony „Katolika" nie może mojego sprostowania umieszczać.

Tymczasem, jak było do przewidzenia, ów artykulik o spowiedzi ogromną wrzawę wywołał wśród księży i w gazetach. Między innymi ks. Teobald Kałamaja, O. F. M., z Omaha, Neb., pisał mi 11 kwietnia 1899 r. co następuje:

„Wielebny Księże Wacławie! Wiadomo zapewne Wielebnemu Księdzu o artykule w „Kurjerze Polskim", w którym oczywiście heretyckie zdania o spowiedzi św. wypowiedziano. Ów artykuł, jako też inne następne uwagi o szkołach parafjalnych, spowodowały mię, iżem poprzestał abonować „Kurjera".

„Dziwiło mnie bardzo, że drogi Ksiądz słówka nie napisał w odpowiedzi na ów gorszący artykuł, zwłaszcza że poprzednio często ukazywały się w „Kurjerze" artykuły od drogiego Księdza w odpowiedzi na artykuły niewłaściwe, wierze katolickiej lub Kościołowi ubliżające. Tak np. niedawno sprostował Ksiądz drogi niedorzeczne twierdzenia Estego z Chicago o etyce chrześcijańskiej. W podobnym zamiarze podane były artykuły Księdza drogiego o stosunku Kościoła do państw zaborczych. Lecz na owe brednie o spowiedzi Ksiądz Wielebny nie pisał nic. A z pewnością kilka słów od Księdza Dobrodzieja więcejby zaważyły w tej sprawie, lepszy by skutek wywarły, aniżeli sążniste pewnych zbyt ognistych konfratrów artykuły, któreśmy czytać mieli sposobność. Zapewne miałeś, drogi Księże, swoje powody do milczenia. Człowiek nie może zawsze wypowiedzieć tego, coby chciał, i w pewnych okolicznościach lepiej milczeć jak mówić.

„Jednakże proszę się nie gniewać, jeżeli tak prywatnie zapytam, co też Ksiądz drogi o owym artykule i o „Kurjerze" wogóle sądzi?..."

(Na jednej odkrytce był taki adres: „To the samrkaczysko Polish priest in Ripon, Wis."

W odpowiedzi na ten i inne listy, jakie zasypywały plebanję, posłałem do „Kurjera" drugie oświadczenie, które tym razem „Kurjer" umieścił w całości. Brzmiało ono tak:

OŚWIADCZENIE.

Ripon, Wis., 13-go kwietnia, 99. — Ponieważ z różnych stron nie przestają nadchodzić do rąk moich listy z zapytaniem, 1. czy ja byłem autorem owego w „Kurjerze" ogłoszonego artykuliku p. t. „Trochę z Historji o Spowiedzi", 2. co ja sądzę o tym artykuliku:

więc niniejszem oświadczam, że ani nie pisałem owego artykuliku, ani nie zgadzam się na treść jego, jako niezgodną tak z nauką Kościoła jak z nauką historji bezstronnej. Amicus Plato amicus Cicero, sed magis amica veritas. Moje artykuły mam zwyczaj podpisywać imieniem własnem.

Wyż wspomniany artykuł uważam poprostu za lapsus calami, za poślizgnięcie się pióra, nie trudne do wytłumaczenia przy redakcji codziennego pisma. Faktem jest niezaprzeczonym, że artykulik ten był w szpaltach „Kurjera“ czemś rażącem. Dowód wrzawa, jaką wywołał w różnych pismach. Lecz czegóż taki fakt dowodzi? Czy heretyckiego kierunku pisma? Bardzo nielogicznym i niesprawiedliwym byłby taki ryczałtowy wniosek. Bo myślę, że jeśli „Kurjer“ byłby pismem o kierunku rzeczywiście heretyckiem, to podobny artykulik nie byłby dla nikogo „rażącym“, owszem byłby poszedł w zapomnienie. Sam tedy fakt, że artykulik ów nie przeszedł w „Kurjerze“ niepostrzeżenie, dowodzi niezbicie, że był tylko chwilowem zboczeniem od stałego kierunku, że był wyjątkiem z reguły, podług której „Kurjer“ postępuje, a którą jest powszechna (katolicka) nauka chrześcijańska. Wyjątek nie znosi, lecz owszem potwierdza regułę.

Bądźmy logiczni i sprawiedliwi. Chwiejność w kierunku, a nawet zboczenie od niego, nie udowadniają jeszcze bynajmniej zmiany kierunku. Nikt ze śmiertelników nie jest tak dalece stałym w przekonaniach, żeby od czasu do czasu, pod wpływem zewnętrznego otoczenia, nie okazał chwiejności i zboczenia. Jeden tylko Stwórca wszechmocny i nieodmienny, nie zna żadnej chwiejności w sądach Swoich. Lecz ze stworzeń — cóż naprzykład okazuje bardziej stały kierunek nad igłę magnesową? Gdziekolwiek z nią się obrócisz, zawsze i stale będzie wskazywała ku północy. A przecie i ona, w pobliżu żelaziwa, pod wpływem zewnętrznego otoczenia, kiedy naprzykład zbliżysz się nią do masywnego kowadła, zaraz zachwieje się i ulegnie zboczeniu, od północy ku kowadłu. A czyż to zboczenie udowadnia, że igła magnesowa przestała dążyć ku północy? Owszem dąży, a jeśli chwilowo zboczyła, to nie jej wina, lecz wina kowadła. I kierunek „Kurjera“ jest stałym; ale nie można od niego żądać większej stałości nad stałość kierunku igły magnesowej, żeby naprzykład w sąsiedztwie ciężkiego kowadła nie uległ chwiejności, zboczeniu.

X. Wacław Kruszka.

15. Dlaczego mój artykuł p. t. „Lud kolatorem“ został odrzucony przez „Kurjer Polski“.

Ponieważ w owych czasach, pod sam koniec dziewiętnastego stulecia, krążyły jakoby w powietrzu różne niezależne ideje Hodurów, Kozłowskich, Kamińskich, Jakimowiczów i t. p. o rzekomem wszechwładztwie ludu, przeto dnia 23 marca 1899 r. napisałem był artykuł do milwauckiego „Kurjera Polskiego“ pod tytułem: „Lud kolatorem“. Artykuł ten nigdy nie ujrzał światła dziennego. „Kurjer“ go nie umieścił. Ale go też do kosza nie wrzucił, tylko trzymał go w biurku. Bo kiedy i innych moich artykułów nie ogłoszono, zażądałem nareszcie zwrotu moich rękopisów wraz z podaniem przyczyny, dlaczego moich artykułów nie przyjmowano do druku. Na to natrętne pytanie redakcja „Kurjera“ dała mi urzędową odpowiedź dnia 3 lipca 1900 r. i zwróciła mi żądane rękopisy.

Ciekawy zwłaszcza ten artykuł pod tytułem „Lud kolatorem“, którego „Kurjer“ nie chciał umieścić, opiewał tak:

„Lud Kolatorem.

„Ripon, Wis., 23 marca 1899.

„Ktoś niedawno podniósł tę kwestję w „Kurjerze“, czyby lud, będący fundatorem tutejszych kościołów, nie powinien posiadać tych samych przywilejów, jakie posiadają tak zwani kolatorzy w starym kraju. Mnie się zdaje, że lud tutejszy, chociaż nie z imienia (lud wogóle jest „bezimienną“ osobą), to jednak faktycznie jest kolatorem i posiada te same, jeśli nie większe przywileje, co taki kolator w starym kraju.

„Lud to gromada, a gromada to wielki człowiek, większy niż jeden „pan kolator“ starokrajski. Dlatego, jako prawdziwa wielkość, gardzi małemi honorami i zaszczytami. Ławka kolatorska przy wielkim ołtarzu, jaką ma pan kolator w starym kraju, byłaby za **małym** zaszczytem dla tak „wielkiego człowieka“, jakim jest lud. Również patyna, jaką pan kolator w starym kraju zwykł całować, okazałaby się za małą wobec tutejszego kolatora. Honoru zaś pokropienia i kazania dostępuje tutejszy lud-kolator także, tylko w sposób godniejszy jego majestatowi: nie kadzą mu pod nosem, jak panu kolatorowi w starym kraju, lecz z daleka, w przyzwoitej odległości, bo nie przystoi zbliżać się zanadto do tak wielkiej zbiorowej osoby, jaką jest lud.

„Zbyt też wielkim jest lud-kolator, żeby takiemi cackami, jak herby, się zabawiał. Nie żąda też, by kapłan w modlitwie po imieniu go wymawiał. A imię zbiorowe, jakie ma, wymienia kapłan przy każdej modlitwie i jest ono nawet wydrukowane w mszale, którego to zaszczytu pan kolator w starym kraju nigdy nie dostępuje.

„Nadto pan kolator w starym kraju ma prawo pobierania pewnej sumy od kościoła, który własnym kosztem był wystawił; ma prawo do utrzymania się z dochodów kościelnych w razie gdyby on i jego familja znalazła się w biedzie. I w tem znowu nasz lud-kolator jest większy i wyższy ponad pana kolatora w starym kraju i gardzi takiemi drobnemi przywilejami. Nasz kolator za wielki człowiek, żeby go kościół mógł używić.

„Ale przywileje kolatora — pisze Esto w „Kurjerze — są daleko obszerniejsze. A między innemi jest i ten, że kolator jeżeli wystawi kościół polski, ma prawo żądać, żeby takim pozostał, by można w nim zawsze w polskim języku chwalić Stwórcę. Lecz czy nasz lud-kolator nie ma tego samego prawa? Czyż lud polski w polskim, czeski w czeskim, niemiecki w niemieckim języku nie chwalą Pana Boga? Któż im tego prawa odmawia? Owszem, to prawo, spoczywając w ręku ludu-kolatora, jest pewniejszem, pełniejszem i skuteczniejszem aniżeli gdyby spoczywało w ręku jednostki-kolatora.

„Wszelako jeśli ten lud-kolator miałby iść w ślady niektórych „wielkich“ patrjotów i nie uczyłby dzieci po polsku, nie dbałby o szkoły polskie, to czyż w następnych pokoleniach nie zangielszczeje? A jeśli zangielszczeje, czyż jako kolator nie będzie miał prawa zażądać angielskich kazań? I kto mu śmie odmówić? Wszak ten lud i w potomkach jest kolatorem. I choćby Kościół wtedy posłał polskiego kapłana, do kogo on będzie po polsku mówił? Wszak „nie lud dla kapłana, lecz kapłan dla ludu“. Jeśli ten lud nie będzie umiał jak tylko po angielsku, po angielsku też kapłan ewangelję mu głosić musi. I istotnie, gdyby nasz lud-kolator za przykładem niektórych patrjotów posyłał dzieci do szkół publicznych, toby już w drugiem pokoleniu nietylko mógł, ale musiał zażądać kazań angielskich.

„Bo przecie lud-kolator buduje kościół polski nie dlatego jedynie, żeby utrzymać polskość, ale głównie i przedewszystkiem dlatego, żeby zbawić duszę swoją. Ojczyzna niebieska jest ludowi bliższa niż ziemska: tej nie myśli już oglądać, a do tamtej ma w Bo-

gu nadzieję się dostać. Kto tego nie rozumie, ten nie rozumie duszy ludu-kolatora. Przekładać ziemską i doczesną ojczyznę nad ojczyznę niebieską i wieczną — tak jak to przesadni patrjoci czynią — lud wcale nie myśli; on woli doczesnej nie oglądać aniżeli wieczną stracić. Bo co pomoże człowiekowi, choćby cały świat zdobył, jeśli duszę swą straci? I w tem wyrachowaniu, przyznać trzeba, nasz lud-kolator okazuje więcej zdrowego rozumu od tuzinkowego patrjoty, marzącego wyłącznie o ziemskiej ojczyźnie. Bo tylko „szukającym najpierw królestwa Bożego wszystko inne będzie przydane".

„Najważniejszy jednak z przywilejów starokrajskiego kolatora był i jest ten, że ma „prawo przedstawiania" biskupowi osoby duchownej na urząd proboszcza w parafji tej, w której ów kolator wystawił kościół lub też wystawiony wspiera materjalnie. „Gdyby ten przywilej — zauważa pan Esto — rozciągniono i do kolatora naszych kościołów, którym jest niezaprzeczenie **lud polski,** uniknąćby się dało tysiące nieporozumień i zaburzeń parafjalnych". — Otóż to „prawo przedstawiania" i w starym kraju oznacza tylko, że biskup **może** przychylić się do życzeń kolatora, a nie, że **koniecznie musi** zastosować się do woli kolatora, bo w tym ostatnim wypadku kolator posiadałby nietylko prawo przedstawienia, lecz i prawo przeznaczenia czyli instytucji, a to prawo i w starym kraju przysługuje wyłącznie tylko biskupowi. Takie zaś „prawo przedstawiania" także tutejszy lud-kolator faktycznie posiada. Mieliśmy tego niedawno przykład przy obsadzeniu jednego z największych probostw (Stanisławowa) w Milwaukee. **Faktycznie,** powiadam; gdyż **według prawa** Koncyljum Baltimorskiego II (zobacz nr. 184) takie prawo ani żadnej pojedyńczej osobie ani ludowi całemu nie przysługuje tu w Ameryce.

„Przyczyna, dla której Koncyljum Baltimorskie odmówiło tutejszemu kolatorowi takiego prawa, jakie przysługuje kolatorowi w starym kraju, jest jasna i bardzo słuszna. Bo kolator w starym kraju jest jednogłowym; a tutejszy kolator jest stugłowym, a czasem tysiącgłowym. Otóż Kościół, jeśli daje komuś prawo przedstawiania, temsamem niejako obiecuje zadowolić jego życzenia. Już zaś jedną głowę zadowolić łatwo; ale nie tak łatwo zadowolić sto albo tysiąc głów, bo co głowa to rozum. Więc Kościół woli nie obiecywać, nie dawać nawet prawa przedstawiania stugłowemu kolatorowi, aniżeli przyznawać mu to prawo, a potem nigdy go nie zadowolić. Zwłaszcza, że taki stugłowy kolator trudniej da się

poinformować o kompetencji osoby przedstawianej, aniżeli jednogłowy. Wiemy z doświadczenia, jakich to ludzi ten stugłowy kolator np. w Buffalo i Chicago na księży i biskupów sobie obiera: nie umie nawet rozróżnić między prawdziwym księdzem a szarlatanem. Jakżeż takiemu kolatorowi można przyznawać prawo przedstawienia kompetentnej osoby na urzędy kościelne?

„Zresztą stugłowy kolator, uzyskawszy prawo przedstawienia, nie zadowoliłby się niem bynajmniej, lecz żądałby nadto prawa przeznaczenia i instytucji. A tego prawa, jak w starym kraju pojedyńczemu kolatorowi nie odstępuje Kościół, tak w tym kraju i zbiorowemu kolatorowi odstąpić nie może. Albowiem Jezus Chrystus nie założył Swego Kościoła na zasadzie wszechwładztwa ludu, lecz Bożego wszechwładztwa, Bożego królestwa na ziemi. *X. Wacław Kruszka.*

Powyższego artykułu „Kurjer“ nie ogłosił. Dlaczego? Po roku i ćwierć pan Stanisław Osada w imieniu redakcji „Kurjera“ 3 lipca 1900 przesłał mi taką odpowiedź:

„W-ny Ks. Wacław Kruszka w Ripon, Wis. Szan. Księże Dobrodzieju! Zgóry uprzedzam, że piszę nie w imieniu własnem, ale redakcji, a więc ciała zbiorowego. Niech więc tego, co napiszę Szan. Ks. Dobrodziej mnie osobiście za złe nie bierze.

„Ponieważ odnośne artykuły nie zaginęły, więc je przesyłam równocześnie.

„Dlaczego nie zostały umieszczone? Na to odpowiedź musiałaby być dłuższą. Postaram się ją streścić, chociaż znowu się boję, że będę źle zrozumiany.

„Przedewszystkiem redakcja obawiała się, że to zaszkodzić może „Kurjerowi“. Tak n. p. artykuł „Lud kolatorem“ byłby się u nas musiał pojawić po całym szeregu napaści takich gazet jak „Katolik“, „Dziennik Chicagoski“ i innych, które ostro ganiły stanowisko „Kurjera“ w tej sprawie. Artykuł ten byłby nas dobił, bo w potępieniu naszego stanowiska sięgał głębiej jeszcze niż ostrzejsze może ale w gruncie rzeczy płytkie napaści innych. Miał iść do druku — dowodem poprawki. Ale po pojawieniu się innych głosów nie poszedł.

„Co do mnie osobiście, przyznam się, że lubię bardzo artykuły Szan. Ks. Dobr.; pobudzają one bowiem do myślenia i mogą się przyczynić do wyświetlenia niejednego punktu. Tylko, że Ksiądz czasem nawet dalej idzie, jak n. p. „Dziennik Chicagoski“.

Ja osobiście wolałbym, żeby Szan. Ks. Dobrodziej biorąc pióro, zapomniał o obowiązkach księdza jako księdza, a pamiętał o obowiązkach tegoż jako Polaka, jako obywatela. Wszystko, co Ks. Dobrodziej z tego punktu widzenia pisał, było bardzo dobre. Ja nie sądzę, aby charakter kapłański wpływać mógł do tego stopnia na indywidualizm, by aż odbijał się w jakimś jednolitym a u wszystkich księży ogólnym poglądem na sprawy społeczne. Ja myślę, że księdzu **wolno** pracować nawet więcej dla **ojczyzny ziemskiej** niż niebieskiej, jeżeli tego tylko chce, pragnie i potrzebę takiej pracy czuje.

„Załączam wyrazy prawdziwego szacunku.

Stanisław Osada.

Pewno, że i „księdzu wolno". Bo i ksiądz, jak każdy inny człowiek, ma wolną wolę. Wolno, ale nie zdrowo. Bo nie wszystko, co wolno, to i zdrowo. Ksiądz, tak samo, jak każdy inny człowiek, jeśli chce być mądrym, słucha rozumu jak musi. Mądry ksiądz, zarówno jak każdy inny mądry człowiek, słuchać więc musi tego rozumnego rozkazu Chrystusa: „Szukajcie **najpierw** królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne przydane wam będzie". To nieomylny, bo Chrystusowy rozum. Szukać zaś ziemskiej ojczyzny nadewszystko, to znaczy śpiewać „Deutschland über Alles"; to pruski rozum, który nic nie wart.

Poprawki, o których list pana Osady wspomina, były czynione ręką brata mego Michała.

16. Biskup Messmer poruczył mi trudną misję u ks. Zielińskiego w Princeton, Wis.

Znowu biskup Messmer z Green Bay o mnie nie zapomniał. Tym razem powierzył mi jednak pracę daleko trudniejszą niż organizowanie parafji. Pisał bowiem do mnie 9 maja 1899 w taki sposób:

„Wiel. drogi Księże! Zapewne wiesz o kłopotach parafji ks. Zielińskiego w Princeton. Otóż piszą mi, że tam jest jakie 90 do 100 familij, które nie wypełniły swego obowiązku wielkanocnego, a do spowiedzi nie chcą iść do ks. Zielińskiego. Nie można ich winić za to, gdyż ks. Zieliński powinien okazać przynajmniej tyle pasterskiej roztropności i miłości, iżby zaprosił drugiego księdza dla tych ludzi. Dlatego, ponieważ jesteś na przyjaznej stopie z nim, proszę cię, byś był tak dobry i poszedł tam w jakiś dzień

przed niedzielą św. Trójcy wysłuchać ich spowiedzi. Nie robi to różnicy, czy oni swoje ławkowe zapłacili panu Maćkowskiemu, czy panu Nowakowi, — jeśli zresztą dobrze są usposobieni, to muszą być przypuszczeni do sakramentów.

„Ja napiszę do ks. Zielińskiego o niniejszym liście do ciebie, tak żeby był przygotowany, jeślibyś chciał do niego kilka słów o tem napisać. Twój szczery S. G. Messmer, biskup."

Trudno mi było odmówić tej słusznej prośbie biskupa green-bayskiego. Ale jeszcze trudniej było spełnić to życzenie biskupie bez narażenia się jednej lub drugiej stronie. Odrazu przypomniała mi się owa cieśnina morska między Sycylją a Włochami: jeśli uniknę Scylli, to wpadnę w Charybdę. Jeśli uniknę gniewu parafjan w Princetonie, to nie uniknę gniewu ks. Zielińskiego, który z pewnością zawoła: To ty mi takich łotrów rozgrzeszasz?!

To nie pierwszy raz mi biskup Messmer taką przyjemną misję powierzył. Pamiętam, już przedtem na prośbę tego biskupa udałem się do opuszczonej i osieroconej parafji i wysłuchałem kilka set osób spowiedzi wielkanocnej. Wtem nadjechał na koniu dawny proboszcz tej parafji i z furją wsiadł na mnie, wołając gniewnie:

— Coś ty mi za kapłan? To ty rozgrzeszyłeś tych zbójów, którzy tego konia mi powiesić chcieli i siodło na kawałki mi pokrajali?...

Musiałem wówczas tę gorzką pigułkę połknąć w milczeniu. Bo cóż ja wogóle miałem wiedzieć albo powiedzieć, czy jaki penitent przyznał mi się do zamachu na życie konia księżego lub do pokrajania siodła kapłańskiego?

Lecz tu w Princeton czekała mię sytuacja podobna, tylko o wiele groźniejsza. Albowiem o księdzu Kwirynie Zielińskim, proboszczu parafji św. Jana Chrzciciela w Princeton, opowiadano mi niestworzone rzeczy. Zwłaszcza księża milwauccy ostrzegali mnie przed nim, żebym się z nim nie wdawał, bo to wyrwidąb i choleryk, który każdego, kto mu w drogę wejdzie, księdza czy nie księdza, gotów bez ceremonji za drzwi wyrzucić. Dla dobrych był dobrym, że go do rany przyłóż. Ale biada temu, kto zrobił coś jemu na przekór lub hardo mu się stawił!

Ten ksiądz Jan Kwiryn Zieliński, silny i wysoki jak dąb, wyświęcony roku 1868 w Ajaccio na wyspie Korsyce, nie z niejednego pieca chleb jadł. Pracował jako duszpasterz w Paryżu we Francji przez dziesięć lat i mówił płynnie po włosku i francusku. Roku 1871, po przegranej wojnie z Prusami, komuna francuska mściła

się na księżach i biskupach, wtrącała ich do więzienia i zabijała. Nasz ksiądz Zieliński siedział właśnie w kawiarni w Paryżu, kawkę popijał i papierosika palił, jak to miał zawsze w zwyczaju. Nigdy cygara nie palił, ale papierosika, rychło rano budząc się ze snu, o czwartej już w łóżku zapalał. Otóż do tej kawiarni, w której siedział ks. Zieliński, wstąpiło dwóch urzędników francuskich i oświadczyło, że „w imię komuny" aresztują księdza Zielińskiego. Ks. Zieliński wstał, wyprostował się, chwycił owych Francuzów za czupryny i bił ich głowy jedną o drugą, jak dwa orzechy włoskie. Przyczem wołał, aż się na ulicy rozlegało:

— A wy kanalje, to wy księdza polskiego chcecie aresztować? Ja jestem Polak, rozumiecie, a nie żaden karzeł francuski!

I tłukł ich głowy jedną o drugą, że mało im czaszek nie rozłupał. Urzędnicy komuny przepraszali go, mówiąc, że nie wiedzieli, że on jest Polakiem.

W Princeton ks. Zieliński był proboszczem już drugi raz. Pierwszy raz od r. 1887—1891, wybudował wspaniały murowany kościół, który do dziś dnia jest ozdobą całej okolicy. Osada polska w Princeton od samego początku dzieliła się na dwa stronnictwa, z których jedno wybudowało sobie drewniany kościółek po lewym brzegu rzeki Fox, a drugie na prawym brzegu postawiło murowaną kapliczkę, która, obrócona na stajnię, do dziś dnia tam stoi niedaleko dworca kolejowego. Tę kapliczkę sprzedano na aukcji za pierwszego pobytu ks. Zielińskiego w Princeton. Pani Jadwiga Goderska, obecnie moja parafjanka w Milwaukee, na tej aukcji kupiła była wielki krucyfiks, z korpusem ślicznie z drzewa rzeźbionym. Krucyfiks ten do owej kapliczki polskiej darowała jakaś stara ajryszka, która go przywiozła podobno z Irlandji. Obecnie ten krucyfiks pamiątkowy stoi na kredensie przy wielkim ołtarzu w kościele św. Wojciecha w Milwaukee.

Ponieważ były w Princeton dwie partje od samego początku, nic tedy dziwnego, że i za drugiego swego pobytu w Princeton od 1897—1899 roku ks. Zieliński miał zaciętych przeciwników. Z tych niektórzy głośno się z tem chwalili, że dopóki ks. Zieliński będzie ich proboszczem, oni nawet do kościoła na Mszę św. nie pójdą. Czy tacy do mnie przyjdą do spowiedzi, tego nie mogłem wiedzieć. Ale jeśliby z takiem usposobieniem do spowiedzi przyszli i w takiem usposobieniu dalej trwać chcieli, rzecz jasna, że mimo najlepszych moich chęci rozgrzeszenia im dawać nie mogłem. Bo dopóki ksiądz przez bsikupa posłany odprawia Mszę św., każdy katolik obowią-

zany jest pod grzechem śmiertelnym wysłuchać w niedzielę Mszy świętej, czy mu ten ksiądz się podoba czy nie.

Ks. Zieliński, posłuszny biskupowi, ogłosił w niedzielę z ambony, że na wyraźne życzenie biskupa przyjadę w ten a ten dzień wysłuchać spowiedzi wszystkich bez wyjątku. Kiedym przyjechał, ks. Zieliński przyjął mnie grzecznie ale bardzo chłodno i z widocznem niezadowoleniem, żem się takiej misji podjął. Na to mu śmiało w oczy spojrzałem i dałem mu do poznania, że nie on ze mnie, ale ja z niego powinienem być niezadowolony. Ks. Zieliński jakby z bólu syknął i przez zęby wycedził te wyrazy:

— Księże Kruszka, nie spodziewałem się po tobie, że z takimi łotrami trzymasz.

— Księże Zieliński, ja trzymam z jeszcze większym łotrem niż ci ludzie.

Tą niespodzianą odpowiedzią jakby obuchem w łeb uderzony i odurzony, zawołał:

— Ależ tych ludzi rozgrzeszać i błogosławić nie możesz, jeśli jesteś kapłanem Bożym.

— Czemu nie? Byle pokutę czynili! Nie zdrowym potrzeba lekarza, ale chorym.

— Od innego tych słów bym nie przyjął, ale tobie, księże Kruszko, sprzeciwić się nie mogę. Ciebie nikt nie przekona i nie pokona.

Ks. Zieliński lubiał ludzi otwartych i odważnych. Tchórzów za drzwi wyrzucał. Pomimo to jednak byłbym u niego stracił wszelką łaskę, gdyby każdy penitent, rozgrzeszony czy nie rozgrzeszony, był nic nie mówiąc w milczeniu odszedł spokojnie do domu. Wtedy bowiem byłby ks. Zieliński myślał, że ja każdemu nawet niepoprawnemu grzesznikowi dałem rozgrzeszenie. Atoli z tych stu kilkudziesięciu, których wyspowiadałem, dwóch czy trzech wyszło i przed kościołem zaczęli na mnie wygadywać tak głośno, że ks. Zieliński przez otwarte okno w plebanji słyszał te ich słowa:

— Na co on tu z Ripon przyjechał, jeśli nam rozgrzeszenia nie chce dać? Biskup przecie obiecał nam przysłać takiego księdza, który rozgrzeszy nas wszystkich bez wyjątku.

Te ich słowa jak słodka muzyka dźwięczały w uszach ks. Zielińskiego. Gdym powrócił z konfesjonału do plebanji, zdziwiłem się niemało, że ks. Zieliński otwartymi ramionami mnie przyjmuje i mówi:

— Ho, przecie nie wszystkich łotrów mi rozgrzeszyłeś. Słyszałem dwóch, jak ci się odgrażali przed kościołem. Widzę, żeś sprawiedliwy kapłan. Chodź, niech cię uściskam!

I tak w tej trudnej misji w Princeton był i wilk syty i koza cała.

17. „Dziennik Milwaucki" jako heresy hunter. — System episkopalny a system papieżny. — Kazanie na progu XX stulecia.

W ostatnim roku dziewiętnastego stulecia czytało się dużo o tak zwanych „heresy hunters", o ludziach, którzy jak psy myśliwskie wszędzie węszyły herezje i polowały na heretyków. Nie wiem, jakby po polsku nazwać takich „heresy hunters", ale najlepiej pewno nazwać ich „hyclami duchownymi". Milwaucki „Catholic Citizen" ostrzegał publiczność przed takimi duchownymi i w artykule pod tyt. „The Malediction of a Heresy Hunter" pisał:

„If errors are to be corrected, the regular tribunals of the church provide a remedy".

Urząd inkwizytora w kościele nie jest do pozazdroszczenia, ale zawsze godzien poszanowania, bo przez władzę kościelną jest ustanowiony. Lecz urząd tak zwanego „heresy hunter" jest samozwańczy, uzurpatorski, równa się szpiegostwu i zawsze jest podły i nikczemny.

W moim artykule o Dziewicy Orleańskiej Joannie d'Arc, wspomniałem także o tych „heresy hunters". Uderzyłem w stół i zaraz ozwały się nożyce. Odezwał się „Dziennik Milwaucki" i odpowiedział mi, że „występując przeciw heresy hunters występuję temsamem przeciw Kościołowi katolickiemu". Masz teraz.

Wówczas jeszcze Dziewica Orleańska nie była ogłoszona świętą. Wówczas jeszcze wielu katolików nie wierzyło w to, żeby mogła być ogłoszona świętą. Bo przecie biskup katolicki ogłosił ją swego czasu heretyczką! Jakżeż więc może być świętą?

I „Dziennikowi Milwauckiemu" podówczas w głowie się pomieścić nie mogło, jak spalona heretyczka może być ogłoszona świętą. Więc na mój artykuł o Dziewicy Orleańskiej taką mi dał odpowiedź:

Pisze ks. Wacław Kruszka, że „Papież Pius IX kazał rozpocząć badania, by spaloną heretyczkę uznać za błogosławioną. Tutaj więc autor artykułu stawia papieża przeciw biskupowi, więc podaje we wątpliwość dogmat o nieomylności papieża'. Masz babo placek!

Pisząc te słowa, „Dziennik Milwaucki" nie był wcale odosobniony w swym sądzie. Takich „katolików" było i jest więcej,

zany jest pod grzechem śmiertelnym wysłuchać w niedzielę Mszy świętej, czy mu ten ksiądz się podoba czy nie.

Ks. Zieliński, posłuszny biskupowi, ogłosił w niedzielę z ambony, że na wyraźne życzenie biskupa przyjadę w ten a ten dzień wysłuchać spowiedzi wszystkich bez wyjątku. Kiedym przyjechał, ks. Zieliński przyjął mnie grzecznie ale bardzo chłodno i z widocznem niezadowoleniem, żem się takiej misji podjął. Na to mu śmiało w oczy spojrzałem i dałem mu do poznania, że nie on ze mnie, ale ja z niego powinienem być niezadowolony. Ks. Zieliński jakby z bólu syknął i przez zęby wycedził te wyrazy:

— Księże Kruszka, nie spodziewałem się po tobie, że z takimi łotrami trzymasz.

— Księże Zieliński, ja trzymam z jeszcze większym łotrem niż ci ludzie.

Tą niespodzianą odpowiedzią jakby obuchem w łeb uderzony i odurzony, zawołał:

— Ależ tych ludzi rozgrzeszać i błogosławić nie możesz, jeśli jesteś kapłanem Bożym.

— Czemu nie? Byle pokutę czynili! Nie zdrowym potrzeba lekarza, ale chorym.

— Od innego tych słów bym nie przyjął, ale tobie, księże Kruszko, sprzeciwić się nie mogę. Ciebie nikt nie przekona i nie pokona.

Ks. Zieliński lubiał ludzi otwartych i odważnych. Tchórzów za drzwi wyrzucał. Pomimo to jednak byłbym u niego stracił wszelką łaskę, gdyby każdy penitent, rozgrzeszony czy nie rozgrzeszony, był nic nie mówiąc w milczeniu odszedł spokojnie do domu. Wtedy bowiem byłby ks. Zieliński myślał, że ja każdemu nawet niepoprawnemu grzesznikowi dałem rozgrzeszenie. Atoli z tych stu kilkudziesięciu, których wyspowiadałem, dwóch czy trzech wyszło i przed kościołem zaczęli na mnie wygadywać tak głośno, że ks. Zieliński przez otwarte okno w plebanji słyszał te ich słowa:

— Na co on tu z Ripon przyjechał, jeśli nam rozgrzeszenia nie chce dać? Biskup przecie obiecał nam przysłać takiego księdza, który rozgrzeszy nas wszystkich bez wyjątku.

Te ich słowa jak słodka muzyka dźwięczały w uszach ks. Zielińskiego. Gdym powrócił z konfesjonału do plebanji, zdziwiłem się niemało, że ks. Zieliński otwartymi ramionami mnie przyjmuje i mówi:

Ostatni list jaki mam z XIX stulecia był od p. Ludwika Marasse, który z Durea, Pa., pisał mi 26 grudnia 1899 roku między innymi: „Od dłuższego już czasu śledziłem literacką działalność Szan. Księdza, wczytując się z prawdziwem zajęciem w artykuły Jego; a obecnie jestem świeżo pod wrażeniem książki o Neapolu i nie mogę się powstrzymać od przesłania kilku słów uznania... Ksiądz katolicki, który prócz wykształcenia posiada i tak głębokie poczucie piękna, taką poetyczną duszę i gorący patrjotyzm... musi też być i wyższy umysłem ponad byznesowe pojęcia tutejsze... Poznałem także starokrajskich biskupów Kozłowskiego i Kamińskiego, ale panowie ci wprost nieinteligentni, żadną myślą przewodnią ani ideą ożywieni, wzbudzili we mnie wprost wstręt...“

Zbliżał się wreszcie koniec roku 1899, a z nim, wprawdzie jeszcze nie koniec świata, ale koniec wieku, koniec stulecia dziewiętnastego po Chrystusie. Zbliżał się Nowy Rok 1900 i zarazem Nowy Wiek XX, bo kto dożył lat 19, ten jest już w dwudziestym roku; a kto doczekał się 1900 lat po Chrystusie, ten żyje już w dwudziestym wieku. Aliści jak w koniec świata nie wszyscy zaraz uwierzą, tak i w koniec wieku dziewiętnastego nie wszyscy zaraz uwierzyli. Byli niedowiarkowie, którzy przez cały rok 1900 nie wierzyli, że wiek XIX już się skończył, że żyją już w XX wieku po Chrystusie. Raczej twierdzili stanowczo, że Nowy Wiek XX nie rozpoczął się z Nowym Rokiem 1900, lecz zacznie się dopiero z Nowym Rokiem 1901.

Ci niedowiarkowie, rachując lata od narodzenia Chrystusa, rozumowali nie bez słuszności w taki sposób:

Lata na kalendarzu to są jakby lata na gazecie. Gazeta przez całe pierwsze dwanaście miesięcy swojego istnienia wypisuje na tytułowej stronicy Rok I. Pierwszego zaraz dnia, w którym pierwszy jej numer wychodzi, już widnieje na gazecie Rok I. Ten pierwszy więc dzień jej istnienia jest zarazem jej Nowym Rokiem I. Po dwunastu zaś miesiącach czyli po roku istnienia swego, gazeta nosi na sobie już Rok II. Wypisany na gazecie Rok II, nie znaczy, że gazeta już skończyła drugi rok istnienia. Otóż tak samo należy rozumieć lata wypisane na kalendarzu. Lata od narodzenia Chrystusa należy liczyć tak samo jak lata od pierwszego numeru wyjścia gazety. Kiedy na kalendarzu widzimy rok 1900, to tak jakbyśmy na gazecie widzieli rok 19. Jak gazeta, która wypisuje rok 19, nie skończyła lecz zaczęła dopiero dziewiętnasty rok: tak kalendarz, pokazujący nam rok 1900 od narodzenia Chrystusa, świad-

czy tylko, że rok 1900 po Chrystusie dopiero się zaczął, ale bynajmniej jeszcze się nie skończył. Czyli, że dziewiętnaście set lat po Chrystusie skończy się dopiero z 31 grudnia 1900. A dopóki dziewiętnaście set lat czyli dziewiętnaście wieków się nie skończy, dopóty dwudziesty wiek zaczynać się nie może. Zatem XX wiek zacząć się może dopiero z Nowym Rokiem 1901.

Tak wnioskowali jedni uczeni. Lecz drudzy, nie mniej uczeni, całkiem inaczej twierdzili. Mówili, że to porównanie kalendarza z gazetą kulawieje. Inaczej bowiem liczy się roczniki gazet a inaczej rocznice urodzin. Pierwsze urodziny człowieka przypadają wprawdzie w dniu jego urodzin, ale nie pierwsza **rocznica** urodzin. Pierwsza rocznica urodzin przypada dopiero po skończonym pierwszym roku życia. Kto będzie obchodzić pięćdziesiątą rocznicę urodzin, ten z pewnością skończył już całe 50 lat życia. Otóż rok, wydrukowany na kalendarzu, oznacza właśnie **rocznicę** narodzenia Chrystusa, **a nie rocznik** wydawnictwa kalendarzowego.

I tak po całym świecie wówczas uczeni się spierali. We wszystkich dziennikach, tygodnikach, miesięcznikach i magazynach ukazywały się sążniste artykuły pod tytułem „Kiedy zaczyna się wiek XX", albo też „Kiedy kończy się wiek XX". My zwyczajni śmiertelnicy, czytając te uczone artykuły pro i contra, przez cały rok 1900 nie wiedzieliśmy właściwie, czy żyjemy jeszcze w dziewiętnastym czy też już w dwudziestym wieku. Mądry papież Leon XIII pozwolił nam na odprawienie Mszy św. o północy tak w Nowy Rok 1900 jak i w Nowy Rok 1901, na koniec starego i na początek nowego wieku. Papież widocznie stanął w pośrodku obydwu powyższych zdań i uważał cały rok 1900 za rok przejściowy, za rok przejścia z jednego wieku w drugi, za próg między dwoma wiekami, za granicę dzielącą wiek dziewiętnasty od dwudziestego. Na tej neutralnej granicy czyli na tym progu staliśmy tak długo, jak długo trwał rok 1900.

Mając w Ripon o północy odprawić Mszę św. na rozpoczęcie dwudziestego stulecia, przygotowałem sobie krótką przemowę, podobnie jak na Pasterkę. Taka przemowa o północy w kościele nie trwała zwykle dłużej jak trzy minuty. Wybiła godzina dwunasta w nocy w ów pamiętny Nowy Rok i Nowy Wiek zarazem. Wyszedłem ze Mszą św. Przy śpiewaniu „Gloria" nagle zabłysła mi taka myśl nowa: „To trzeci wiek jak Polska w grobie i jak Chrystus trzeciego dnia, tak Polska trzeciego wieku zmartwychwstanie". Ta myśl powstała jak błyskawica i zagrzmiała też słowem

podczas mojej przemowy w kościele. Już o tem, com przygotował, nie mówiłem; tylko tę nową myśl wypowiedziałem. A wypowiedziałem ją prędzej niż w trzech minutach ale głośno i dobitnie tak:

„Najmilsi! Z wybiciem godziny dwunastej tą Ofiarą Mszy świętej rozpoczęliśmy nietylko nowy rok, ale i nowy wiek — wiek dwudziesty. Wieki w życiu narodu są tem, czem są dni w życiu człowieka. Oto już wiek trzeci jak Polska leży w grobie. Jak Bóg-Człowiek Jezus Chrystus trzeciego dnia zmartwychwstał, tak Polska tego trzeciego wieku z grobu powstać musi. I jak Chrystus zaraz na początku dnia trzeciego zmartwychwstał, tak miejmy niezachwianą nadzieję, że i Polska już w pierwszych początkach tego dwudziestego stulecia zmartwychpowstanie w chwale i triumfie. Amen.“

18. Na progu XX wieku różowe widoki na przyszłość Polski. — Fantazja p. t. Ostatni Yankee w Ameryce.

Roku 1900, na progu dwudziestego stulecia, różni różne horoskopy stawiali na przyszłość. Co nam przyniesie ten nowy wiek? pytanie było powszechne, tak jak w Nowy Rok każdy się pyta: co nam przyniesie ten nowy rok? Do biskupa Mc Faul w Trenton, N. J., przyszedł Yankee czyli Amerykanin angielskiego pochodzenia i taką mu przepowiednię zrobił:

— Nasi potomkowie, jeśli nie w pierwszem, to w drugiem lub trzeciem pokoleniu będą mieli krwawą rozprawę z negrami południowymi, którzy rosną w liczbę i potęgę.

— A ile ty dzieci masz? — zapytał biskup.

— Jedno.

— To nie bój się o twoich potomków. Będą oni dawno jak perki w ziemi gnić. Tę zagrażającą krwawą rozprawę z negrami pozostaw spokojnie potomkom Polaków i innych słowian: oni to uporają się z negrami.

Jechałem właśnie koleją z Milwaukee do Manitowoc na odpust. W pociągu czytałem gazetę angielską, gdy wtem usiadł przy mnie jakiś młodzieniec może ze 20 lat mający. Ponieważ zaglądał ciekawie do mojej gazety, więc po jakimś czasie dałem mu ją do czytania. Wtedy ten młodzieniec ni stąd ni zowąd odezwał się w te słowa:

— In this new Country everything will become Polish in America — w tym nowym wieku wszystko stanie się polskiem w Ameryce.

— Czemu tak sądzisz? — zapytałem.

— Bo wszędzie spotykam coraz więcej Polaków.

— Skąd jesteś, czy z Miłwaukee?

— Nie, ja jestem z Waukesha.

— Czy tam dużo Polaków?

— I jeszcze jak dużo.

— No, i nie mają kościoła?

— A bo to nie są katolicy. My jesteśmy lutrzy Polacy.

— Rozumiem, Mazurzy z Prus Wschodnich.

— Nie wiem, skąd tam ojcowie nasi przyszli, bo ja już tu w Ameryce się urodziłem.

— I umiesz mówić po polsku? — zagadnąłem go teraz po polsku, bo dotychczas po angielsku mówiliśmy.

— Umiem. My wszyscy w domu mówimy po polsku.

— Czytacie też jakie gazety polskie?

— Nie. Bo ani ja ani rodzice nie umieją czytać. Ale mogą mówić po polsku! I mnie nauczyli i ja mówię po polsku.

Po tej rozmowie mocno zawstydzony pomyślałem sobie: To luterski Polak Mazur ma taką wiarę w przyszłość Polski w Ameryce, że wierzy, iż z czasem wszystko tu się spolszczy: a my katolicy Polacy tak małej wiary jesteśmy, że sądzimy, iż wszystko tu zangielszczeje? To Polak tu urodzony, który nie umie czytać ni pisać po polsku, tak różowo w przyszłość patrzy się: a my uczeni w piśmie i kierownicy szkół polskich nie mamy wierzyć w przyszłość Polski w Ameryce?

Natchniony powyższemi rozmowami i opowiadaniami, siadłem, wziąłem pióro do ręki i zacząłem pisać następującą fantazję pod tytułem „Ostatni Yankee", której atoli nie wykończyłem i dlatego drukiem nie ogłosiłem. Ale com napisał, to tu po pierwszy raz publikuję:

Ostatni Yankee w Ameryce.

Fragment z pamiętników Czachelba, księcia Kruszwicy i admirała napowietrznej żeglugi polskiej. Wydane roku 2065 przez Ikslakusa. Kilka uwag wstępnych Laroga, bibljotekarza Jego Królewskiej Mości Barszcza IV, z woli narodu króla ziem polskich, autora księgi p. t. „Podbicie Yankesów w Ameryce".

Zdumiewające odkrycia Czachelba z Kruszwicy rzuciły nowe światło na życie domowe sławnego niegdyś a przedwcześnie wygasłego szczepu Yankesów w Ameryce. Czachelb w swej skrom-

ności może sam się nie domyślał, jaką przysługę odda historji i jaki entuzjazm jego odkrycia wzbudzą w całem państwie polskiem od Odry do Wołgi, od Bałtyku do Czarnego Morza. Niema dziś archeologa w Polsce, któryby się temi odkryciami żywo nie interesował.

Każdy badacz starożytności jest obznajmiony z historją wygasłego szczepu Yankesów — ogólnikowo. Lecz nie każdy może zna szczegóły życia prywatnego i domowego Yankesów starożytnych.

Był to dziwny naród, z którego życiem i urządzeniami warto się bliżej zapoznać. Ciekawych odsyłam przedewszystkiem do Królewskiego Muzeum w Warszawie, założonego jeszcze przez króla Barszcza I, gdzie znajdą najrozmaitsze zabytki starożytne z życia Yankesów w Ameryce. A potem radzę czytać takie dzieła jak słynnego Niegłupskiego „Cośmy znaleźli na ziemi Ameryki", oraz Niewciemiębitego trzytomową „Historję Dawnych Amerykanów". Ostatnie to dzieło jest źródłowo opisaną historją starożytnych Yankesów, począwszy od założenia Junackich Stejtów pod Żorżem Waszyngtonem aż do ich upadku roku 1970. Dodać atoli należy, że historyk Niewciemiębity bardzo niejasno przedstawił okres dziejów o polonizacji Ameryki, okres przypadający na lata 1917—1940; tudzież w niejasnem świetle przedstawił panowanie dynastji Mekkinleja i detronizację Brajena II.

Bogactwo, zbytek i nagły upadek narodu Yankesów w Ameryce; nagłe zmiany klimatyczne i niesłychane huragany, zamiatające powierzchnię Ameryki; nagłe zniknięcie morza anglo-saskiego, a zalanie Ameryki przez morze polskie, w którem bez śladu zatonęły wraz z językiem angielskim nawet nazwy dawnych Yankesów; nagłe wyludnienie szczepu ongi tak ludnego; zadziwiająco szybki wzrost i niemniej zadziwiająco szybki upadek miast niegdyś kwitnących, a powstanie nowych miast o nazwach polskich — wszystko to opisane jest przez Niewciemiębitego z niezrównaną jasnością, siłą i zwięzłością.

Głębokie badania historyczne Niewciemiębitego wykazały również jasno jak na dłoni, że polski Mazur Jan z Kolna pierwszy odkrył Amerykę 1479 r., i że Kolumb, który po nim tam wyjechał, był także Polakiem i nazywał się Gołąb. O nowej ziemi Gołąb, Wielkopolanin, dowiedział się od Jana z Kolna; a że z Gdańska statków nie dostał, pojechał do Włoch, potem do Hiszpanji, gdzie Gołąba naszego przezwano Kolumbem. Doradził mu tam jechać

Jan z Kolna, jako że podróż morska na południu cieplejsza i pewniejsza niż na burzliwej północy. A że Polacy odkryli tę nową część świata, więc też nadano jej nazwę czysto polską: Ameryka! Od świętego Ameryka, który był siostrzeńcem króla Bolesława Chrobrego, w Polsce żył i umarł, a który i po łacinie nazwany jest wyraźnie Sanctus Americus. Yankesi przekręcili jego nazwisko na „Emeric", żeby w ten sposób zatrzeć polskie pochodzenie nazwy Ameryka. Tyle Laróg.

Gdy to wszystko wyszło na jaw, że Polacy odkryli nowy świat i ochrzcili go polskim świętym, Ameryka zwłaszcza od roku 1940 na gwałt zaczęła się polszczyć, przyjmując język i nazwy polskie. Ciekawe szczegóły z tej dziejowej metamorfozy amerykańskiej podaje właśnie Czachelb w swoich „Notatkach", które tu podajemy do publicznej wiadomości.

Notatki z podróży balonem w roku Pańskim 2011.

8 maja.

Nasz balon pędzi z szybkością 40 mil na minutę, w zachodnim kierunku. Po wzniesieniu się balonu siedmiomiljonowa Warszawa zmalała nam do tego stopnia, że stolica Polski wyglądała nie większa jak kretowisko. Niebawem minęliśmy granicę państwa polskiego, to jest rzekę Odrę.

Wznieśliśmy się tak wysoko, że ziemia wygląda jak piłka nożna. Na rozbujałym wysoko balonie siedzimy na kolebaczach i czytamy. Niegłupski zatopiony w czytaniu książki p. t. „Ameryka w Polsce", której autor historyk Mołdun, spolszczony Ajrysz, opisuje, jak Amerykanie tłumnie najeżdżali Polskę i polszczyli się w niej. Niewciemiębity zaś czyta dzieło p. t. „Polska w Ameryce", w którem historyk Mścisz opisuje, jak w Ameryce najpierw wyginęły szczepy indjańskie, potem znikło plemię Yankesów, następnie wymierało plemię ajryskie. Ja czytam pilnie „Klucz do starożytnych nazw amerykańskich", sporządzony przez filologa Korczyka. Ten „Klucz" otwiera mi całą historję Ameryki, która już od samego początku była polską. Gołąbowi w podróży odkrywczej towarzyszył jeden Polak Jakób Gara; reszta majtków byli to Hiszpanie. Gdy Gołąb zbliżył się do pierwszej wielkiej wyspy i chciał pierwszy wysiąść z okrętu na ląd, wtem Jakób Gara wyrwał się i przed Gołąbem pierwszy wyskoczył na nowo odkrytą ziemię. Wtedy Gołąb zły, że go Jakób Gara wyprzedził, zawołał nań gniewnie: **Kuba!** Hiszpanie, nie rozumiejąc po polsku, myśleli, że

Gołąb taką nazwą obdarza nową ziemię i odtąd tę wyspę stale nazywali Kubą. Później Gołąb, dotarłszy do stałego lądu Ameryki, zatknął na nim krzyż i zawołał: „Teraz ta ziemia już swego **Pana ma!**“ Hiszpanie pochwycili te ostatnie dwa wyrazy i nazwali nowy kraj „Panama“.

9 maja roku 2011.

Bujamy nad Atlantykiem. Popołudniu zniżyliśmy balon; sunął kilka łokci nad wodą. Zarzuciliśmy sieci i łowili ryby. Różański, kucharz z pra-pradziada, usmażył je doskonale. Gdyśmy je spożyli, balon szybował 30,000 stóp ponad powierzchnią morza.

10 Maja r. 2011.

Oto znowu ziemia przed nami! Ziemia polskiego świętego Ameryka! Niech żyje nasz Ameryk i ziemia Ameryka!

Dałem znać sternikowi balonu, by pęd balonu zwolnił i kierunek biegu zmienił na ukośny. Majtkom rozkazałem kotwice mieć w pogotowiu. W miarę jak się zniżamy, zarysy lądu stają się wyraźniejsze. Spuściliśmy się na ziemię. Pusto i głucho naokoło. Piaski wszędzie, gdzieniegdzie mogiły porosłe trawą jakby kępy, a przy nich jakieś głazy sterczą. Niegłupski powiada, że tu dawniej było miejsce nadbrzeżne, miejsce kąpielowe zwane „Atlantyk Syty“, bo codzień kogoś pożerał. Atoli mylił się. Bo oto Niewciemiębity, idąc w piasku, potknął się o kamień i mało się nie wywrócił. Obejrzał kamień i zauważył, że to ułamek z nagrobku, na którym jeszcze widniały te urwane wyrazy:

Hic jacet... Card... Gib... Ep... Balt...

Na innych kamieniach, jakie znaleźliśmy, różne „Patryki“ i „Fitzpatryki“ wyryte spostrzegłem. Stąd wniosek, że znajdujemy się na starodawnem cmentarzysku ajryskiem. Ale ten ułamany wyraz „Card...“ musi oznaczać jakiegoś kardynała. Jakiegoby to kardynała grób tu był? Gib? ktoby to był?

Niewciemiębity na podstawie Mścisza historji p. t. „Polska w Ameryce“ zawyrokował, że to niezawodnie są ułamki z pomnika kardynała **Gibąsa,** za którego plemię ajryszów doszło do szczytu potęgi w Kościele. Z hierarchji kościelnej w Ameryce zrobił on istną ajryską wieżę Babel. Skutek był ten, że wielu nawet Polaków odpadło od Kościoła. Ale Bóg wnet tę pychę ajryską ukarał. Ajryszom pomieszał szyki i języki. Część bowiem Ajryszów z nienawiści ku Anglji porzuciła język angielski, nauczyła się po ajrysku i wróciła do wolnej Irlandji. Druga część germanofilska zniem-

czyła się i przystąpiła do kościołów niemieckich, które już także są na wymarciu. Reszta zaś Ajryszów spolszczyła się. W ten sposób spełniła się przepowiednia ich własnego proroka Malachjasza, i za rządów papieża nacechowanego hasłem „religio depopulata", religja wyludniona, kościoły ajryskie w Ameryce zaczęły się wyludniać. Ale choć ciało ludności odpadło, istniał jeszcze długo szkielet hierarchji ajryskiej z wyszczerzonymi do Polaków zębami. Dopiero gdy nadszedł przepowiedziany przez Malachiasza „pastor et nauta", **pasterz i żeglarz,** gdy zasiadł na stolicy Piotrowej nasz rodak **papież Kazimierz I,** runął i ten szkielet do grobu. Papież Kazimierz I osobiście udał się do Ameryki, biskupom ajryskim powyznaczał tytularne biskupstwa in partibus infidelium, a stolice biskupie w Ameryce poobsadzał odpowiednio do narodowości.

11 maja 2011 r.

Oglądamy miasto **Bałtykmorze.** „Klucz" Korczyka podaje, że kiedyś nazywało się Baltimore. Lecz nazwa ta ustała, gdy znikło morze anglosaskiej ludności w Ameryce. Wtedy nastało Bałtykmorze, czyli polskie morze, kiedy morze polskiej ludności rozlało się po Ameryce. Na stolicy biskupiej zasiada tu kardynał Dworzak jako prymas Polski w Ameryce.

12 maja 2011 r.

Dziś bawimy w stolicy Ameryki, we Waszągtonie. W Białym Domu zasiada nasz dzielny wiarus Żychliński jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej w Ameryce. **Waszągton,** jako siedziba rządu, jest nazwą symboliczną. „Wasząg" w staropolskim języku oznacza prosty ale mocny wóz farmerski; a dodatek „ton" znaczy, że ten wóz dźwiga olbrzymie, bo tonowe ciężary rządów. Waszągton jest to nazwa pierwotna jeszcze z czasów Kościuszki. Yankesom później spodobało się z Waszągtonu zrobić Washington, co oznacza miejsce prania czyli pralnię brudów politycznych.

15 maja 2011 r.

Ujechawszy tysiąc mil na zachód w głąb lądu amerykańskiego, spuściliśmy dziś nasz balon blisko miejsca zapadłego miasta. Trzymamy się blisko balonu, z obawy, by ziemia pod nami się nie zapadła. To wielkie a zapadłe miasto w różnych czasach różnie wymawiano: Czykago, Czekago, Szukago, Sikago — wszystko polskie nazwy, chociaż Korczyk w swoim „Kluczu" podaje pisownię tak dziwaczną jak „Chicago". To olbrzymie miasto nawiedziła

katastrofa niesłychana. Co prawda, było ono zbudowane na bagniskach i trzęsawiskach. Pomimo to — jak piszą stare kroniki — „dopóki Chicago było mokre, to pływało; ale skoro zostało suchem, zatonęło we wodzie". Jest to paradoks na pozór niedorzeczny. A jednak stare kroniki tak piszą, i musi być prawda w tem.

Otóż „Klucz" Korczyka tak ten paradoks objaśnia: Dopóki Chicago zalewało się wódką, to opływało w dostatki i trzymało się jako tako na grzęskiej powierzchni; ale skoro po skasowaniu wódki, wodą się zalało, zaczęło grząść, zapadać się i tonąć. Dopóki Chicago piło wódkę, to wprawdzie mieszkańcy upadali, ale mieszkania prosto stały. Skoro zaś Chicago zabrało się do wody, mieszkańcy prosto stali, ale mieszkania ich zapadały się w rozmokłem bagnie. Wódka bądźcobądź dawała **pochop**; lecz woda sprowadziła **potop** czyli ogólne rozwodnienie kapitałów, w którym utonęło to kwitnące niegdyś miasto. Z wysokiego Masonic Temple jeszcze czub z wody wystaje. W tym potopie ocalały jednak dzielnice polskie, mocno ufundowane na barze i baryłkach przez braci Barzyńskich. Katastrofa powyższa nastąpiła za panowania woziwody Brajena I, który właściwie pisał i nazywał się Bryjan, od wyrazu bryja, bo on to nagotował krajowi tej bryi i za niego to handel i przemysł wpadł w taką bryję. Pod stutonowym ciężarem olbrzymich wozów z dużymi jak balony beczkami, w jakich wodę dowożono miljonowemu miastu, najpierw zaczęły się ulice uginać i zapadać, a potem i kamienie. Przez to rządy Yankesów stały się nienawistne. Bryjana usunięto od steru rządów.

20 maja 2011.

Unosimy się nad miastem **Zając Syty** tak zwanem, bo w niem pełno głów kapuścianych, jakimi zające się sycą. Przed laty pisało się Zion City, kiedy je założył niejaki Eljasz II prorok przepowiadający bliski koniec świata anglo-saskiego w Ameryce.

21 maja 2011 r.

Miłe wrażenie zrobiło na nas miasto **Miłewołki**, przy którem jakieś **Cudaki** przyrządzają wyborną wołowinę. Wszystko tu polskie.

23 maja 2011 r.

Mijamy długi łańcuch jezior. Nad jednem w prześlicznem położeniu leży miasto **Ekonom Małek.** Skąd taka nazwa miasta? Chciano zapewne uczynić i utrwalić pamięć Małka, znanego z hi-

storji mistrza śpiewu polskiego, który krzewieniem pieśni polskiej położył podwaliny Polski w Ameryce. Dlaczego jednak temu Małkowi dano przydomek Ekonom? „Klucz“ Korczyka tłumaczy, że uczyniono to jedynie z fonetycznych względów; albowiem to miasto pierwotnie się nazywało **„Oconomowoc“.** A że ta pierwotna nazwa indjańska dziwacznie wyglądała i jeszcze dziwaczniej brzmiała, więc spolszczono ją poprostu na Ekonom Małek.

30 maja 2011 r.

Bujamy nad rozległą krainą, która się nazywa **Nieboraczka.** Stara tu siedziba Bryjanów. Obecnie tu żyjący Żorż Bryjan to ostatni Yankee w Ameryce, który jeszcze się nie wynarodowił ale trwa przy tradycji i języku ojców swoich. Żonę atoli ma Polkę, która też i dzieci po polsku wyuczyła. Gdy ta Polka wyszła za znienawidzonego Bryjana, wszystkie Polki w Ameryce litowały się nad nią i mówiły o niej nie inaczej jeno „Nieboraczka“. Stąd tę nazwę rozciągniono na całą tę krainę Bryjana, która przedtem nazywała się właśnie Nebraska.

. . . . . .

Tu „Fantazję“ moją urwałem, ale przypieczętowałem ją tym „Aktem Wiary“ naszego wieszcza Kornela Ujejskiego:

Wierzymy, Panie, że synowie pychy (autokraci)
Silni są złością, ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze upniesz na łańcuchu,
Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,
Wierzymy, Panie!

Wierzymy, Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morze oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą jak na słońce,
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy, Panie!

Byłem marzycielem, kiedy to pisałem, a nie historykiem. Ale i Józef egipski, był marzycielem, kiedy śnił, że „słońce, księżyc i jedenaście gwiazd kłaniały mu się aż do ziemi“. Cały naród nasz był marzycielem; i jeśli patrzał w przeszłość, to na to, albowiem przeszłość jest zwierciadłem przyszłości.

19. Początki telefonu w Ripon. — Bicyklista czyli pierwszy jeździec. — Pierwsi automobiliści ks. Szukalski w Milwaukee i ks. Woźny w Princeton.

Moje pierwsze papiery obywatelskie wyciągnąłem w mieście Milwaukee dnia 22 lipca 1895 r., a drugie w mieście Ripon dnia 4 marca 1899 r., w trzy miesiące po ukończonych pięciu latach pobytu mego w Ameryce. Wyrzekłem się więc kajzera i wszelkich spraw jego i wszelkiej pychy jego i stałem się pleno titulo obywatelem Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki jeszcze w dziewiętnastem stuleciu. Ceremonje wówczas były krótkie a koszta jednego dolara.

Z wynalazków dziewiętnastego wieku parowce, parowozy czyli koleje żelazne, telegrafy, welocypedy o jednem dużem i jednem małem kole i bicykle o dwóch równych kołach były już rozpowszechnione przy końcu dziewiętnastego stulecia. Telefony, automobile i aeroplany czyli przyrządy do latania w powietrzu były jeszcze w powijakach. Telefon w Galicji znałem tylko ze słychu. Dopiero gdym przybył do Ameryki pod koniec r. 1893, pierwszy raz z bliska poznałem się z telefonem w redakcji brata mego Michała. Roku 1896, gdy z Milwaukee przeniosłem się do Ripon, na plebanjach jeszcze telefonu nie było. Jeden na drugiego się oglądał i mówił: Ja zaprowadzę telefon, skoro drudzy go zaprowadzą. Bo jeśli drudzy nie zaprowadzą, do kogo telefonować będę? Drudzy zaś uważali jeszcze telefon za rzecz zbytkowną, potrzebną chyba w redakcjach gazet, w wielkich składach, hotelach i pałacach.

W Ripon zaprowadzono stację telefoniczną przy końcu dziewiętnastego wieku. Ale była to stacja bez rozgałęzienia w mieście. Stacja telefoniczna istniała tak jak istniała stacja telegraficzna. Telefonował do mnie ktoś z Milwaukee, osobny posłaniec na bicyklu przyjeżdżał do mego domu i wołał mię do telefonu na stację. Ja wtedy siadałem również na mój bicykl i pędziłem co tchu do telefonu na stację. Nareszcie z wielkim trudem i mozołem zaczęto telefon zaprowadzać po składach i domach. Przyszedł agent i do mnie i zaczął mnie błagać i namawiać. Zaprowadzenie, mówił mi, nic nie kosztuje, a renta na cały miesiąc wynosi tylko dolara. Dobrze — odpowiedziałem. — Ale ilu w Ripon ma telefon? — Dotychczas jedenastu. — To mi nie wielki pożytek z telefonu. Ale czy będę mógł wprost z domu swego telefonować do Milwaukee? i czy

z Milwaukee wprost do mego domu będą mogli telefonować? Gdy na te ostatnie pytania otrzymałem potwierdzającą odpowiedź, natychmiast kazałem telefon zaprowadzić do swojej plebanji. Bo mi się już znudziło chodzić ciągle aż na stację, by odpowiadać na wołania do telefonu. Z początku dwudziestego wieku mój telefon w Ripon służył wyłącznie do rozmowy z kimś z Milwaukee, bo w Ripon nie miałem z kim rozmawiać przez telefon.

Przez ostatnie pięć lat dziewiętnastego wieku jazda na bicyklach była bardzo popularną i rozpowszechnioną. Stary i młody, młoda i stara panna, ksiądz i redaktor, reporter i doktór, adwokat i profesor — wszyscy jeździli na bicyklu. Najpoważniejsi kapłani, jak ksiądz Szukalski, proboszcz parafji śś. Cyryla i Metodego, i ksiądz Decker, sędziwy już proboszcz parafji św. Antoniego w Milwaukee, w środku ulicy deptali pedały bicyklu, aż im poły fraka z wiatrem igrały. To deptanie pedałów u jadących na bicyklu wygląda zabawnie z tego względu, że jadący zdaje się chodzić pieszo a jednak jedzie. Dlatego udała się raz winońskiemu „Wiarusowi“ taka definicja bicyklu:

Bicyklus jest to wozikus sine konikus, na którym jadący piechotare videtur. Bicykl jest to dwukołowy wozik bez konia, na którym jadący zdaje się iść piechotą.

A to piechoture na bicyklu, zwłaszcza pod górkę, było daleko cięższem niż proste chodzenie na nogach. Szczególnie człowiek wagę i powagę mający, człowiek tej miary co ksiądz Szukalski, na dwukołowcu zmachał się, nasapał się i napocił niemało. Ale to nic. Człowiek każdy, nawet prohibicjonisty nie wyłączając, lubi się czemś upajać. Bicyklista upaja się szybkością jazdy. A tę szybkość jazdy bicyklowej, która dziś na nikim wrażenia nie robi, na owe czasy pod koniec dziewiętnastego wieku uważano za coś niebywałego i wprost szalonego, za coś niebezpiecznego i zagrażającego życiu ludzi, koni, cielaków, kur, psów i kotów. Mądrzy prawodawcy uchwalali coraz to ostrzejsze prawa przeciw bicyklistom. Policja za zbyt prędkie deptanie pedałów zaraz aresztowała zmachanego bicyklistę. Żeby nie zabić konia i nie rozbić tramwaju, bicyklista pod surową karą obowiązany był jechać li tylko po prawej stronie ulicy i drogi farmerskiej. Konie strachały się, ujrzawszy pędzącego bicyklistę. Więc legislatury uchwaliły prawo, żeby każdy bicykl miał dzwonek. Wóz jechał, bicyklista musiał dzwonić na znak zbliżającego się wielkiego niebezpieczeństwa. Wieczorami zapaloną musiał mieć latarnię, która atoli nie oświetlała mu drogi.

Raz w Milwaukee jadąc z Kazimierzowa do Cyrylowa, na Windlake Ave. przy domu poprawczym wjechałem na kupę drobnych kamieni i wraz z bicyklem rymnąłem jak długi.

Człowiek, upoiwszy się szybką jazdą na bicyklu, zapragnął z czasem jeszcze większej szybkości. Po bicyklu nastały automobile. Bicykl był jakby przesłańcem zwiastującym przyjście automobilu. Bicykl przygotował drogę automobilowi. Przy schyłku dziewiętnastego wieku automobil albo samochód (lepiej samojazd) znałem tylko ze słychu. Na progu XX wieku ks. Jan Szukalski, proboszcz parafji śś. Cyryla i Metodego, był na czele klubu automobilistów, który w całem mieście liczył mniejwięcej tuzin członków. Ks. Szukalski pierwszy z kapłanów w Milwaukee zamienił bicykl na automobil. Był to prymitywny jeszcze i jednocylindrowy automobil. Pierwszą swoją podróż z Cyrylowa na Jackowo, trzy bloki, odbył ks. Szukalski szczęśliwie, bo szło z górki i sam jechał. Lecz z powrotem na Cyrylowo, nieco pod górkę, wziął ze sobą księży Gulskiego i Prądzyńskiego. Ks. Gulski przeżegnał się i odmówił najpierw Intinarium, zanim wsiadł na ten dziwny wóz bez dyszli i koni. Pierwsze dwa bloki do Lincoln ulicy po American Avenue wśród tłumu ciekawych widzów szło jeszcze jako tako, bez wypadku; nikogo nie przejechali ani za zbytnią szybkość nie byli aresztowani. Ale od Lincoln ulicy szło nieco pod górkę i wtedy automobil zaczął dyszeć ciężko, stękać i zwalniać biegu. Nareszcie, zawoławszy trzy razy Rach-ciach-ciach, stanął i stał. Ks. Szukalski potem korbą długo kręcił, ale w niespełna pół godziny zajechali jednak na Grzybowo.

W moich stronach, w okolicach Ripon, pierwszym, który miał automobil był ks. Zygmunt Woźny, proboszcz parafji św. Jana Chrzciciela w sąsiedniem miasteczku Princeton, Wis. Ks. Woźny był pierwszym automobilistą nie tylko pomiędzy kapłanami ale i pomiędzy świeckimi. Ani w Princeton ani w Berlinie ani w dalszych okolicach długi czas nikt nie miał automobilu tylko jedyny ks. Woźny. Ludziom w Ripon widać nawet nazwa „automobilu" jeszcze nie była znana. Bo kiedy ks. Woźny pierwszy raz przyjechał do mnie automobilem, a nie zastał mnie w domu, ludzie mi potem mówili, że ks. Woźny do Ripon przyjechał „parowcem". Konie, jeśli już bicyklu się bały, to teraz na widok automobilu poprostu drżały i szalały ze strachu, przez rowy i płoty uciekając od tej piekielnej maszyny. Raz farmera zabiły. Odtąd każdy farmer, widząc nadjeżdżający automobil ks. Woźnego, już z daleka

wyskakiwał z wozu i trzymając konie za uzdy czekał cierpliwie aż ks. Woźny przejedzie. A ks. Woźny trąbił na alarm, że konie aż dęba stawały. Pierwszy automobil księdza Woźnego swoim kształtem i rozmiarem nie wiele się różnił od zwykłego wozu grosernika. Gdy z nim jechałem, trzymałem się oburącz poręczy, żeby nie wypaść z podskakującego automobilu, i więcej strachu się najadłem niż jazdy zażyłem. Ks. Woźny był nie tylko woźnicą ale i maszynistą i inżynierem swego automobilu. Gdy się co zepsuło, a psuło się często, ks. Woźny, zakasawszy rękawy, rozbierał cały automobil i naprawiał. Garażu wówczas ani z nazwy nie znano. Kiedy ks. Woźny sam sobie rady nie mógł dać, przywoził koleją zepsute kawałki automobilowe do Ripon, gdzie mu kował p. Schaefer w kuźni dopomagał jak mógł i co było skrzywione prostował. Ręce ks. Woźnego, choć starannie umyte, wyglądały czarne.

W owym też czasie roku 1900 po zmarłym Yankesie w Ripon kupiłem na aukcji za 10 centów starą książkę, drukowaną we Filadelfji 1831 r., a opisującą początek kolei żelaznej. Nadzwyczaj ciekawa ta książka nosi tytuł: „Report to the Directors of the Liverpool and Manchester Railway on the Comparative Merits of Locomotive and Fixed Engines as a moving power by James Walker civil engineer". Z tej książki widać, jak małe i trudne były początki kolei żelaznej; jak niepokaźną była pierwsza lokomotywa; jak ludzie, od których wyszedł pierwszy pomysł lokomotywy, nie marzyli o większej jej szybkości, niż 10 mil amerykańskich na godzinę. Przy 30 milach szybkości sądzili, że pociąg wywołałby taką burzę w powietrzu, jak huragan albo cyklon, i obalałby domy przy torach kolejowych.

Przeszłość jest zwierciadłem przyszłości. W tej przeszłości lokomotywy jak w zwierciadle widziałem przyszłość automobilu.

20. Kwestja piekąca, zawsze stara i zawsze nowa, jest ta: Dlaczego Kościół kazał nam modlić się za carów i kajzerów? — Odpowiedź dana r. 1899.

U schyłku dziewiętnastego wieku w gazetach polskich pisano dużo o „skandalicznem" zachowaniu się Stolicy świętej wobec zaborców naszych, zwłaszcza wobec rządu pruskiego i rosyjskiego. Czyniono zarzuty Ojcu świętemu, że nie ojcem, lecz ojczymem jest dla uciemiężonej i pokrzywdzonej Polski, że zamiast ciągle głośno protestować przeciw rozbiorowi Polski, Papież każe nam Polakom modlić się za cara i kajzera.

Te zarzuty, czynione Kościołowi, są zawsze stare i zawsze nowe. Zawsze bowiem mają pewien pozór słuszności za sobą, zawsze więc są aktualne, o ile że zawsze ludźmi jesteśmy i jako ludzie pozorami łudzić się lubimy.

Chcąc te zarzuty zgłębić do dna i odpowiedzieć na nie, napisałem w marcu r. 1899 do „Kurjera Polskiego“ szereg artykułów pod tytułem: „Kościół wobec uzurpatorów“ czyli zaborców naszych, również szereg artykułów „o insurekcji i rewolucji“. Wtedy w tymże „Kurjerze“ ukazał się następujący artykuł wstępny:

KOŚCIÓŁ WOBEC UZURPATORÓW.

Artykuły o insurekcji i rewolucji, drukowane w „Kurjerze“ niedawno temu, znalazły ogólne zainteresowanie. Zgadzano się po większej części na wszystkie argumenty autora. Jednakże jednemu z czytelników naszych, obywatelowi z Milwaukee, wydawała się jedna kwestja dziwną, a co najmniej niejasną, więc wystosował do autora tych artykułów list (do publikowania), który poniżej podajemy, a zarazem wyczerpującą odpowiedź nań:

ZAPYTANIE.

Milwaukee, 28 marca 1899.

Uwielbiam autora artykułów o „Insurekcji i Uzurpatorach“, które w „Kurjerze Polskim“ były ogłaszane. Aż serce rosło z radości nad czytaniem pierwszych artykułów. Lecz żadną miarą nie chce mi się wierzyć w to, że Kościół nie jest obojętnym dla uzurpatorów. Pisze wielebny autor, że choć Kościół wchodzi w układy z uzurpatorami, to tylko mniej więcej powierzchownie to czyni, a w duchu nie uznaje ich legalnymi władcami. Lecz dlaczegoż nakazuje modlić się w kościołach za monarchów, carów, cesarzy, królów i cały dom ich? Ja rozumiem, że jeżeli się za kogoś modli, który był naszym nieprzyjacielem, to znaczy: trzeba mu wszystko ze serca odpuścić i przebaczyć, przeszłość zapomnieć i nic od niego nie żądać. Tak tedy żądanie naszej Polski jest bezpodstawne, bo naszym nieprzyjaciołom z góry przebaczamy i odpuszczamy, a to na rozkaz Kościoła.

Mojem zdaniem jest, że choć Kościół do tego jest zmuszony przez różne okoliczności z uzurpatorami w układy wchodzić, to jednak swoją drogą powinien zawsze protestować, że temu a temu narodowi krzywda jest wyrządzona, kiedy nosi miano, że jest stróżem sprawiedliwości i moralności. Tedy by można w opiekę Ko-

ścioła osobliwie nad Polską w sprawach politycznych wierzyć. Albo czyby Kościół kazał tylko powierzchownie modlić się? a w duchu nie? Nie chce mi się wierzyć. Zatem proszę wielebnego autora o wytłumaczenie mi tej rzeczy, bo mnie się w głowie pomieścić nie może.

Jeden z wielbicieli autora.

ODPOWIEDŹ.

Ripon, Wis., 4 kwietnia 1899.

Przyznaję, że Kościół istotnie każe modlić się za uzurpatorów, nie tylko powierzchownie, ale w duchu i prawdzie. Lecz cóż z tego? Czy Kościół nie każe się modlić także za heretyków, a nawet za żydów? a czyż z tego wynika, że Kościół uznaje i uświęca religję heretyków, schizmatyków lub żydów? Bynajmniej. Tak samo z tego faktu, że Kościół każe się modlić za uzurpatorów, bynajmniej nie wynika, że Kościół uświęca ich grabieże i uzurpatorstwa.

I w tem Kościół katolicki idzie tylko za przykładem Chrystusa, który każe nietylko modlić się za nieprzyjaciół, ale i dobrze czynić tym, którzy nas prześladują. Sam za zabójców swoich modlił się: „Ojcze, odpuść im“; co więcej wymawia ich przed Ojcem niebieskim, że „nie wiedzą co czynią“. Jakżeż mógł ich wymawiać? Mógł bez obłudy ich wymawiać, bo oni rzeczywiście nie poznali, że Pan Jezus jest Bogiem, bo, jak mówi św. Paweł: „gdyby byli poznali, nigdyby byli Pana chwały nie ukrzyżowali“ (1 Kor. 2, 8). To też i św. Piotr po zesłaniu Ducha św., mówiąc do Żydów, że zabili sprawcę żywota, dodaje: „wiem, żeście z niewiadomości uczynili, jako i przełożeni wasi“ (Dzieje Ap. 3, 17). Lecz czyż Chrystus przez to, że modlił się za zabójców i nawet wymawiał ich, czyż przez to uświęcił ich zbrodnię? Czyż więc Żydzi nie byli winni śmierci Chrystusa? Nie winni Faryzeusze? Nie winien Piłat?

Byłby to wcale nielogiczny wniosek.

Winni są Żydzi, bo ta ich niewiadomość sama w sobie była zawiniona i grzeszna. „Niewiedzieli“ bo nie chcieli wiedzieć, nie chcieli poznać Pana Jezusa; gdyby byli mieli dobrą wolę, byliby Pana Jezusa poznali; ale zaślepiała ich złość i pycha. Winien Piłat, bo nędznie uległ Żydom, choć sam uznał Pana Jezusa niewinnym. Gdyby byli niewinni, nie byliby potrzebowali odpuszczenia,

nie byłby Chrystus się modlił: „Ojcze, odpuść im". To też Pan Jezus nie ogłasza ich niewinnymi, lecz mówiąc „odpuść im", już tem samem uznaje ich winę, bez której Ojciec niebieski nie miałby co „odpuszczać". Czyż więc ich grzech zabójstwa przestał być grzechem, dlatego, że Chrystus modlił się do Ojca niebieskiego, by im ten grzech odpuścił? Czyż dlatego, że Chrystus za nich się modlił, ci zabójcy w oczach Boga i ludzi przestali być tem, czem byli, to jest zabójcami Boga-Człowieka? Czyż przestali być odpowiedzialnymi za ten swój czyn okrutny?

Otóż Kościół, każąc nam się modlić za uzurpatorów, prześladowców Ojczyzny naszej, każąc odpuszczać im i przebaczać, niczego więcej od nas nie żąda, jak tylko czego Chrystus od nas żąda. Kościół przestałby być Kościołem Chrystusa, gdyby od nas nie żądał miłości nieprzyjaciół. Każe się modlić za wrogów i odpuszczać im — lecz czyż przez to chce Kościół powiedzieć, że my Polacy nie mamy od naszych wrogów nic do żądania? Że oni nam nic nie są winni? Ależ, cobyśmy w takim razie mieli im „odpuszczać", gdyby nam nie byli nic winni? Albo czyż przez to, że my im odpuszczamy krzywdy, za przykładem Chrystusa, czyż przez to ich zbrodnia polityczna przestaje być zbrodnią? Czyż przez to uwalniamy rządy zaborcze od odpowiedzialności za ich grabieże? Czyż przez to, że my czynimy heroiczny akt miłości chrześcijańskiej, podły czyn wroga staje się szlachetnym, prawnym i sprawiedliwym?

Nie — tak samo nie, jak zbrodnicze czyny zabójców Chrystusowych nie stały się świętymi i sprawiedliwymi przez modlitwę i miłość Chrystusową. Nie uprawnił i nie uświęcił ich zbrodni Chrystus, modląc się za nich, owszem tem samem postępkiem tem bardziej uwydatnił ich podłość i nikczemność. Nic też na tem nie ucierpiała sprawa Chrystusowa.

I sprawa Polski nic a nic zgoła na tem nie ucierpi, jeżeli idąc w ślady Chrystusa, na rozkaz Kościoła będziemy się modlić za politycznych wrogów naszych. Owszem, sprawa Polski na tem zyska, bo „tak czyniąc — mówi św. Paweł — (to jest modląc się za nieprzyjaciół i przebaczając im) węgle ogniste gromadzimy na głowę wroga" (Rzymian, 12, 20), węgle ogniste gniewu Bożego i pomsty Bożej. „Nie mszcząc się sami, najmilsi... Albowiem napisano jest: Mnie pomstę (zostawcie): ja oddam, mówi Pan" (tamże). Prywatnej zemsty zakazuje św. Paweł. To do niczego dobrego nie doprowadzi. „Mnie pomstę, ja oddam, mówi Pan".

A kiedy to Pan się mści? Kiedy wzbudza cały naród z letargu, kiedy cały naród powstaje jako jeden mąż — wtedy Pan się mści. A taka zemsta Pańska, to straszna. Dla nas jeszcze ta godzina powstania na zegarze dziejowym nie wybiła. Naród śpi; śni mu się o tem i owem, o wojnach i bitwach. Nikt narodu całego obudzić nie zdoła, tylko Pan, bo tylko Pan nakręca wielki zegar dziejowy. Ale wybije godzina, gdy na głos Pański powstanie cały naród: „i zagrzmi Pan z nieba, a Najwyższy swój głos wypuści: grad i węgle ogniste. I wypuści strzały swe, rozmnoży błyskawice i strwoży je“ — wtedy wrogowie struchleją od fukania twego, Panie, od tchnienia ducha gniewu twego“ (Ps. 17, 14). I wtedy naród zawoła z Psalmistą (tamże 18): „Wyrwał mię od nieprzyjaciół moich bardzo mocnych, i od tych, którzy mię w nienawiści mieli: albowiem zmocnili się nade mną. Uprzedzili mię w dzień utrapienia mego i Pan stał się obrońcą moim. I wywiódł mię na przestrzeństwo (z miejsca ciasnego na przestronne); zbawił mię iż mię chciał (ukochał). I oddał mi Pan według sprawiedliwości mojej, według czystości rąk moich odda mi... Bo ty, Panie, lud uniżony zbawiasz: a oczy pysznych poniżysz“.

X. Wacław Kruszka.

21. Brak dobrych dróg w Ameryce. — Czy nasi niezależni są schizmatykami czy heretykami? — Nadużywanie nazwy „ksiądz“ i „kanonik“. — Używanie księdza do ogłaszania patentowanych medycyn.

Na bicyklu, pod koniec XIX wieku, jeździli prawie wszyscy. I doktór i ksiądz do chorego jechał na bicyklu. Tak dalece rozpowszechniony był bicykl, iż mówiono, że gdyby tylko drogi były lepsze, poważną konkurencję uczyniłby kolejom żelaznym. Niestety, drogi na farmach i ulice po miastach były jeszcze w opłakanym stanie. A dla bicyklów nie myślano ich ulepszać. Dopiero gdy się pojawił automobil, ten wielki następca bicyklu, wtenczas zaczęto myśleć o ulepszeniu dróg i ulic. Jak więc bicykl był zwiastunem automobilu, tak automobil był zwiastunem lepszych dróg i ulic.

Jak wielkie wówczas miałem wyobrażenie o moim bicyklu, świadczy następująca korespondencja moja, ogłoszona w „Kurjerze Polskim“ i opisująca moją podróż po piaszczystych farmach Wisconsinu:

„Jeżeli, otoczony tumanem kurzu, miałem w owej chwili jakąś wizję poetycką, to nie inną tylko tę, że unosząc się na skrzydłach

wyobraźni, doznawałem złudzenia, jakobym już na piaskach afrykańskiej Sahary lub arabskiej puszczy się znajdował. Tem bardziej, że lesiste wzgórza, widniejące w dali, przedstawiające się jako zielone oazy, potęgowały jeszcze to złudzenie.

„Poznałem też teraz, iż rozsądnie uczyniłem, że nie zabrałem ze sobą swego skrzydlatego dwunogiego konia, zwanego wulgo bicyklem, gdyż utonąłby mi on w tem morzu piasku. A miałem pierwotnie ten zamiar, wyprawiając się w podróż, zabrać ze sobą tego nieodstępnego kiedyindziej towarzysza. Żeby to drogi we Wisconsinie były tak bite, tak równe i gładkie jak pruskie szosy lub cesarskie drogi w Austrji, toby bez wahania na tym skrzydłonogim koniu, co nie potrzebuje obroku, można się puścić w taką podróż, a nawet w dalszą. Ale nasze drogi amerykańskie, ze swoimi wybojami, wklęsłościami i wypukłościami, raz piasczyste, drugi raz kłodziste t. j. na poprzek leżącymi kłodami formalnie zabarykadowane, nietylko uniemożliwiają jazdę na bicyklu, ale nawet na wozie w wysokim stopniu utrudniają. W istocie nasze drogi po farmach, nietylko tu ale wszędzie indziej, znajdują się w nadzwyczaj opłakanym stanie. Co rok, widzę, wychodzą w grubych księgach drukowane kosztem rządu „rozprawy“ o rolnictwie i farmach; wydaje się na te druki bajeczne sumy — czasby już był, żeby zamiast tylko na drukowane „rozprawy“, także na ich „uprawy“, a zwłaszcza na uprawy dróg, tak potrzebnych dla rozwoju farmerstwa, jakąś sumę rząd wyznaczył.

„Ale ta kwestja ulepszenia dróg, jak każdy medal, ma swoje dwie strony. Przypuśćmy, że drogi by zostały ulepszone, to ta odwrotna strona medalu przedstawiłaby się bardzo niekorzystnie dla kompanji kolejowych. Toć one w takim razie zbankrutowałyby z kretesem. Same bicykle robiłyby kolejom ogromną konkurencję, i co najmniej pociągi pasażerskie musiałyby kompanje skasować jako niepopłatne, wagony ich do wozowni wstawić, lub dać w najlepszym razie jakiś okaz do przechowania w muzeum jako zabytek starożytności.

„Te i tym podobne dalsze myśli, przypuszczenia i marzenia, wraz z jednostajnym ruchem powoziku, ukołysały mię w połowie drogi prawie do snu. Wtem koło zgrzytnęło o kamień, powozik podskoczył, i silnem wstrząśnięciem przerwał mi drzemkę. Przetarłszy oczy, zauważyłem, że jedziemy środkiem lasu. Czuć było spaleniznę w powietrzu, więc rozpatrując się, rzeczywiście dostrzegłem w oddali chmurę dymu wznoszącą się ponad lasem, czę-

ścią opadającą na drzewa. „To pożar lasu“ — rzekłem do woźnicy. „Tak jest, już wczoraj tam ogień widziałem“.

„Nad drogą, którąśmy jechali, już ów rozszalały żywioł był przeszedł, zostawiając na pamiątkę swego przejścia zewsząd osmolone u dołu pnie drzew. Płomienie pełzały tu widać po ziemi tylko, i nasyciwszy się chróstem rozmaitym, pod drzewami grubą warstwą leżącym, poszły dalej, nie sięgając do konarów drzew.

„Z lasu wyjechaliśmy znowu na otwarte pole, zieleniejące się już w nizinach, ale na wyżynach świecące jeszcze golizną łysego człowieka. Powierzchnia ziemi w powiecie Waushara nie jest równą ale falistą, na kształt powierzchni rozkołysanego wiatrem morza. Podczas gdy wklęsłe miejsca są żyzne i urodzajne, to wypukłe miejsca, czyli pagórki, są to poprostu wydmy piasczyste, które daremno farmerzy obsiewają, gdyż wiatr silny wszystko nasienie im wydmie. Takie świecące golizną wydmy piasczyste widywałem tam po drodze bardzo często. Naiwny ten farmer, który takie wydmy drobnem ziarnem obsiewa“.

Suchsze od wydm piasczystych kwestje społeczne i religijne powstawały w owym przełomowym roku 1900. Między innymi, powstała w prasie polskiej ta kwestja: Czy nasi niezależni są schizmatykami czy heretykami? Miesięcznik „American Ecclesiastical Review“ nazwał ich schizmatykami. To się nie podobało naszym arcykatolikom, którzy w naszych niezależnych koniecznie chcieli widzieć heretyków. Mój człowiek, nigdy nabożeństwa do arcykatolików nie mając, a zawsze będąc wojowniczej natury, napisał był następujący artykuł, który się ukazał w „Kurjerze Polskim“:

„Są pisma polskie, które chcą być bardziej katolickie niż pismo jezuickie; które redagowane przez niedouczonych laików chcą lepiej znać teologję niż księża i wytrwali teolodzy, jakimi są Ojcowie Jezuici. Do takich „arcykatolików“ należy milwaucki „Dziennik“ i chicagoski „Telegraf“. Jeden z nich nie zna nawet różnicy między doktorem medycyny a szarlatanem, a jednak rości sobie pretensje, że lepiej zna różnicę między prawowiernym schizmatykiem a heretykiem, niżeli pismo jezuickie. Sutor, ne ultra crepidam — to nie twoje pole. Jeżeli już na polu medycyny trudno ci się zorjentować, to na polu teologji pewnikiem błądzisz.

„Bajesz o „święceniach heretyckich“, co jest nonsensem, bo w tem jest „contradictio in terminis“ (sprzeczność w wyrazach). Święcenia albo są ważne albo nieważne; jeżeli są nieważne, to są

żadne i o nich mówić nie można; jeżeli zaś są ważne, to o tyle, o ile ich początek sięga Apostołów, a wtedy od Apostołów pochodzą, nie od heretyków. Heretyckie więc święcenia nie istnieją wcale. Święcenia mają swoją moc i wartość niezależnie od ręki, która je piastuje i ich udziela; tak jak ziarno pszenicy ma swoją moc niezależnie od ręki, która je sieje: ta ręka może być brudna albo czysta, to nie zmienia natury ziarna. Ani też z nauką (prawowierną czy heretycką) święcenia nie mają nic wspólnego: tak jak razem z dyplomem doktora medycyny niekoniecznie się pobiera naukę medycyny. Nauka może się zmienić, z heretyckiej na schizmatycką, z katolickiej na heretycką, albo odwrotnie, ale święcenia pozostają niezmienne i niezatarte, na wieki wieków. Jeżeli tedy jezuicki miesięcznik, wiedząc dobrze że niezależny prowodyr odebrał święcenia z rąk heretyckich, pomimo to nie nazwał go heretykiem lecz prawowiernym (rozumie się schyzmatykiem), to wiedział dobrze co mówił: a ty redaktorze „arcykatolicki", chcąc być lepszym teologiem od jezuitów, palnąłeś głupstwo, twierdząc, że odbierając święcenia z rąk heretyckich ów prowodyr już tem samem stał się heretykiem. Nie zapędzaj się więc na pole teologji, bo to „terra incognita" dla ciebie, lepiej w domu siedź nad kopytem. Najpierw miej jasno w głowie, a potem pisz. O czem zaś nie masz jasnego pojęcia, ani mglistego wyobrażenia nawet, o tem milcz, jeżeli nie chcesz ciemnoty wśród ludu szerzyć.

„Tę samą radę daję twemu druhowi od „Telegrafu", którego „mądre" słowa cytujesz. Pisze mianowicie „Telegraf": „Jezuicki miesięcznik inny zapewne sąd wydałby o prawowierności niezależnych, gdyby wiedział o tem, że ze Stolicy św. nic sobie nie robią; szydzą z Rzymu i jego hierarchji w swoich organach". Czyż „Telegraf" myśli, że jezuicki miesięcznik nic o tem nie wie, że niezależni „nic sobie nie robią ze Stolicy św. i szydzą z niej?" A przecież ich nazywa schizmatykami — ta nazwa zawiera właśnie to, „że nic sobie nie robią ze Stolicy św." Oderwali się, odstrychnęli, odszczepili się. Ale pojęcie schizmy nie wyklucza jeszcze pojęcia prawowierności, choć, co prawda, od schyzmy do herezji krok nie trudny. Lecz dopóki tego kroku nie uczynią, dopóki formalnie nie oświadczą, że nie uznają prymatu, dopóki formalnie nie odrzucą dogmatu o nieomylności papieskiej, lub innego jakiego dogmatu, jak to uczynili Starokatolicy i Janseniści — dopóty nie mamy prawa nazywać ich heretykami i odmawiać im prawowierności, którą jezuicki miesięcznik im przyznaje. Poco ich bardziej czernić

i na samo dno piekła spychać, kiedy oni tylko po wierzchu smoły pływają? To że oni „szydzą z Stolicy św. i hierarchji kościelnej“ nie dowodzi jeszcze, że oni nie uznają dogmatu o nieomylności papieskiej. Taki wniosek byłby nielogiczny.

„Wszak jest wielu ludzi, którzy uznają istnienie Boga, a jednak bluźnią Bogu, szydzą z Niego i Jego przykazań — czyż dlatego już są ateuszami, to jest niewierzącymi w Boga? I my wszyscy grzesznicy, ilekroć przestępujemy przykazania Boże, okazujemy się krnąbrni i nieposłuszni władzy Boskiej i znieważamy Boga, lecz czyż dlatego jesteśmy już ateuszami? Nie! Ateuszami jesteśmy dopiero wtedy, gdy zaprzeczamy wprost istnieniu Boga, a ten grzech (ateuszostwa) jest odrębny od innych i najcięższy ze wszystkich. Otóż więc, jak nie każdy, kto szydzi z Boga i Jego przykazań, staje się już tem samem „ateuszem“ (ateuszem staje się dopiero gdy formalnie zaprzecza istnieniu Boga); tak też nie każdy, kto szydzi z władzy kościelnej i nic sobie nie robi, staje się temsamem „heretykiem“ — heretykiem staje się dopiero gdy formalnie odrzuci istnienie dogmatu. A tego nie uczynili dotychczas nasi niezależni: owszem, o ile nam wiadomo, zaakceptowali i wcielili do swojej „konstytucji“ nie tylko Tridentium ale i orzeczenia koncyljum watykańskiego. I z tego powodu jezuicki miesięcznik nazwał ich słusznie prawowiernymi schyzmatykami, a nie heretykami.

„Naiwnym albo złośliwym byłby ten, ktoby z tego powodu posądzał jezuicki miesięcznik albo nas o sprzyjanie niezależnym. Nie o obronę niezależnych tu chodzi, ale o obronę prawdy, o wyświetlenie stanowiska, jakie nasi obałamuceni bracia po krwi zajmują względem Kościoła katolickiego. Jeżeli obcym, ajrysko-katolickim pismom o to wyświetlenie chodzi, dlaczego by nas to nie miało interesować? A nie mówmy, że mamy już o tem wyrobione zdanie — może „wyrobione“, ale niekoniecznie zgodne z prawdą, bo zbyt stronnicze, zbyt w czambuł wszystko potępiające. Gdy widzimy, że ktoś nie jest aniołem, już go zaraz nazwiemy djabłem. Porywczość sądu jest jedną z naszych wad narodowych“.

Nadużywanie tytułu „ksiądz“.

Ripon, Wis., 20 grudnia 1900 r. — W praktyce, zdaje się, nikomu tu w Ameryce o tytuł nie chodzi. Bardziej niż gdzieindziej w tym byznesowym kraju trzymają się tej zasady: „cóż po tytule,

kiedy próżno w szkatule?“ Jesteśmy, przyznać trzeba, hojnymi w szafowaniu tytułami. Nawet „Dziennik Chicagoski“, który zresztą zbytnią hojnością nie grzeszy ilekroć pisał o mnie z „maleńkiego Ripna“, tytułował mnie „pełnym“ tytułem: Wielebny ksiądz Proboszcz, tak jak tytułuje swego proboszcza od św. Stanisława z Chicago. Lecz niema obawy, żeby mnie to w pychę wbiło. Ten sam tytuł nadaje się dziś i schyzmatyckim duchownym, którzy przecie w Kościele katolickim równają się zdegradowanym oficerom armji. „Ksiądz“ jest tytuł honorowy — jeżeli zdegradowany oficer ma tych samych honorów zażywać, co prawdziwy, to dziękuję za takie honory, że niezależni przywłaszczają sobie ten tytuł, to jeszcze nie dowodzi, że im się słusznie należy. Przywłaszczają sobie przecie i tytuł „katolicki“ co znaczy „powszechny“, chociaż ani pod względem czasu ani pod względem rozciągłości miejsca tej powszechności nie mają. Przez nadużycie noszą tytuł „księży“, tak jak przez nadużycie noszą mitry i pastorał.

Słusznie zauważa „Dziennik Narodowy“, że tytuł „ksiądz“ nie znaczy to samo co „kapłan“. Lecz dlatego właśnie nasi niezależni duchowni, zerwawszy formalnie z Kościołem powszechnym, choć nie przestali być kapłanami, to jednak przestali być „księżmi“. Mianem kapłana oznaczamy przewodnika duchownego jakiejkolwiek sekty religijnej: I schyzmatycy mają swoich kapłanów i Mahometanie mają kapłanów i Bramini są kapłanami i Żydzi w Starym Zakonie mieli prawdziwych kapłanów, a jednak nie byłoby nic bardziej obcego duchowi języka naszego jak nazywanie ich mianem „księży“ dlatego jedynie — jak chce „Dziennik Narodowy“ — że byli i są po dziś dzień przewodnikami duchownymi ludu swojego. I w Polsce byli za czasów Bolesława Wielkiego (kiedy ten tytuł „ksiądz“ wprowadzono) obok kapłanów rzymsko-katolickich, także kapłani pogańscy, którzy wówczas jeszcze do tego byli jedynymi czysto narodowymi, polskimi kapłanami (bo ówczesne rzymsko-katolickie duchowieństwo rekrutowało się jeszcze z cudzoziemców), a jednak tym kapłanom, choć polskim, nie dawano tytułu „ksiądz“, lecz tylko katolickim nadano, choć byli cudzoziemcami. Nie nadawano też tego tytułu żadnemu odstępczemu, schizmatyckiemu kapłanowi: schizmatycy uzyskali nazwę „pop“, heretycy „pastor“ albo „minister“. Nawet ich świątynie nie nazywano „kościołami“ i nie nazywa się dotychczas w Polsce inaczej jak „cerkiew“ lub „zbory“.

Nazwa „ksiądz“ jest nazwą specyficzną, bynajmniej nie równoznaczną z nazwą „kapłan“, nazwą ogólną, obejmującą przewodników duchownych jakiejkolwiek religji. Tej nazwy ogólnej naszym niezależnym duchownym się nie odmawia, ale odmówić im stanowczo należy tej specjalnej nazwy „ksiądz“, która po wszystkie wieki w Polsce oznaczała tylko kapłana pozostającego w zależności od Głowy Kościoła katolickiego. Nasi niezależni, założywszy nową sektę religijną, specyficznie odrębną, powinni mieć na tyle pomysłowości i rozumu, żeby wynaleźć dla swoich duchownych specyficznie odrębną nazwę. Tak czynił Luter, Kalwin i każdy założyciel nowej sekty.

Stroić się w cudze piórka, podszywać się pod cudze nazwy i tytuły, jest co najmniej nieszlachetnem. Ze strony zaś prasy, przyznawanie niezależnym tytułu „ksiądz“, jest nadużyciem.

X. Wacław Kruszka.

Trzy niewłaściwości.

Ripon, Wis., 19 grudnia 1900 r.

Niewłaściwością nazywa się to, co dobre wprawdzie samo w sobie, złem się staje przez to, iż użyte w „nie własnem“ miejscu, w „nie własnym“ czasie do „nie własnej“ osoby. Tak nazwa, czcigodna sama w sobie, do „nie własnej“ osoby użyta, staje się „niewłaściwą“. Wyraz „doktor“ naprzykład, jest zaszczytnym tytułem. Lecz zawołaj na szewca „doktorze!“ to szewc, jeśli ma punkt honoru (a zwykle go ma), obrazi się i kopytem na cię wymierzy, bo przypuszcza, i słusznie, że kpiny sobie z niego robisz, oddając mu tytuł, który mu się nie należy, który nie jest jego własny, a zatem „niewłaściwy“. Biret i komża, użyte w swoim czasie i w swojem miejscu, są ozdobą kapłana, lecz włóż te ozdoby np. na mayora miasta Milwaukee, żeby w nich paradował po ulicy, a natychmiast staną się wysoce niewłaściwe.

W młodem naszem społeczeństwie amerykańsko-polskiem, ile że młodem właśnie, dzieje się dużo niewłaściwości. Zwrócę tu uwagę tylko na trzy.

Pierwszą niewłaściwą, pojawiającą się dość często, jest „kanonizowanie“ naszych konsultorów biskupich, to jest, nazywanie ich a raczej przezywanie ich kanonikami, którymi oni nie są i do którego to tytułu oni sami wcale a wcale żadnej sobie nie roszczą

pretensji. Mamy w Stanach Zjednoczonych kilku polskich konsultorów czyli radców diecezjalnych, są nimi: ks. Gramlewicz w Scrantońskiej diecezji, ks. Ignasiak w diecezji Erie, ks. Lange w Chicagoskiej archidiecezji, ks. Czarnowski w Green Bay'skiej diecezji, ks. Gulski w Milwauckej archidiecezji i może jeszcze tu jednego opuściłem. Nie ujmuje się zasług tym zacnym kapłanom, owszem, jeśli się ich zasługi zważy, to niejeden z nich zasłużył sobie być nie już kanonikiem, ale biskupem — tymczasem jednak faktycznie nie są oni ani jednem ani drugiem, nie są nawet ani kanonikami. I myliłby się, ktoby sądził, że uwłacza powyższym kapłanom przez to, iż odmawia im tytułu „kanoników". Gdyby tak miało być, i ja bym tu nie śmiał zwracać uwagi publicznej na te „niewłaściwości". Przeciwnie, dlatego właśnie zwracam uwagę na to, że znam wielu z nich i wiem, że im się to tytułowanie „kanonikiem" ogromnie nie podoba. Oburzają się i słusznie oburzają się na to gniewem świętym, nie jedynie przez skromność, lecz przez zamiłowanie prawdy a wstręt do wielkiej przesady. Jeżeli ktoś naiwnie sądzi, że przez przesadne, niewłaściwe tytułowanie oddaje komplement, to niechaj wie, że taki komplement dla osób zacnych jest bardzo niesmacznym i zakrawa na kpiny. Można przez kpiny podłe indywiduum nazwać nawet „wicepapieżem", ale z poważnych osób i ze stanu duchownego kpić nie wolno.

Drugą niewłaściwością jest coraz bardziej rozpowszechniające się używanie nazwiska księżego, a nawet podobizny księdza do ogłoszenia patentowanych medycyn. Co tobie pomogło, niekoniecznie drugiemu pomóc musi; owszem, jedna i ta sama medycyna, dobra dla jednego, drugiego... i dziewiątego, może być wprost szkodliwą i zabójczą dla dziesiątego pacjenta. Czy to ksiądz chce brać na swoje sumienie? Nie, niech to doktor bierze na swoje sumienie, on jedynie kompetentny sędzia medycyny, on przez samego Boga do tego ustanowiony, jak świadczy Pismo św.: „Czcij lekarza dla potrzeby: albowiem go Najwyższy stworzył". (Eccl. 38, 1). Postać choćby najbardziej szanownego i szanowanego księdza, figurująca atoli w ogłoszeniach medycynowych, wygląda tak dziwacznie i komicznie, że przypomina odrazu Sowizdrzała. Charakterystycznem jest to, że wyjąwszy jednego ks. dr. Skulika (który jako „doktor" zdaje się ma poniekąd prawo decydowania o medycynach), zresztą samych księży Zmartwychwstańców spotyka się w tego rodzaju ogłoszeniach.

Trzecią wreszcie niewłaściwością, na którą chciałem zwrócić uwagę, jest niewłaściwy sposób, w jaki niektóre nasze organizacje obierają sobie radców duchownych. Mianowicie, na radcę duchownego głosują tak jak na sekretarza finansowego lub innego urzędnika, poczem szumnie ogłaszają rezultat głosowania, że ks. N. N. dostał 10 głosów, a ks. N. N. 18, ks. N. N. 7, wreszcie ks. N. N. 1 tylko głos. Czy to właściwe? pytam. Czy to „własna“ rzecz świeckich, obierać duchownych? i to w sposób tak kompromitujący dla stanu duchownego? U metodystów, kongregacjonistów i innych heretyków, mających tylko pryczerów a nie kapłanów, byłoby to zupełnie na miejscu, ale nie u katolików. W Kościele katolickim tak było, jest i będzie, że na duchowny urząd, choćby to był tylko urząd radcy duchownego, nie wybierają księdza przez balotowanie. Urząd „radcy duchownego“ albo jest świeckiej natury, albo duchownej, albo mieszanej. Jeżeli ten urząd jest duchownej natury, przekracza kompetencje władzy świeckich ludzi, którzy na żaden urząd duchowny nikogo prawnie naznaczać nie mogą; jeżeli zaś ten urząd tak zwanego „radcy duchownego“ jest świeckiej lub mieszanej natury, konsekwentnie niech nazywa się „radcą świeckim“ lub „radcą mieszanym“.

X. Wacław Kruszka.

22. Czynna obrona Polski w świetle etyki chrześcijańskiej.

Pan Stanisław Osada ogłosił był w „Kurjerze“ artykuł o „Czynnej Obronie Polski“ w odpowiedzi na słowa „Dz. Chicagoskiego“, który twierdził, iż czynnej obrony popierać nie będzie, jeżeli ta nie zgadza się z etyką chrześcijańską. Wtedy pan Osada, wskutek niedość jasnego wypowiedzenia swej myśli, wyrządził mimowoli krzywdę etyce chrześcijańskiej i zmusił mnie do napisania następujących uwag w „Kurjerze“:

Ripon, Wis., 23 marca 1899.

Władca, który sobie podstępem lub przemocą przywłaszczył władzę polityczną nad jakimś narodem, wbrew woli tego narodu, nazywa się uzurpatorem (przywłaszczycielem). Uzurpator popełnia zbrodnię, nietylko w samym akcie uzurpacji, lecz i w dalszym ciągu czasu, tak długo, jak długo tę przywłaszczoną władzę sobie zatrzymuje. Żadne tak zwane prawo przedawnienia jego uzurpacji usprawiedliwić nie może. Wprawdzie wobec brutalnej etyki pogańskiej polityki dzisiejszej usprawiedliwia go ta osławiona zasada

„Siła przed prawem", ale wobec etyki chrześcijańskiej jest i pozostaje na zawsze uzurpatorem, jest i pozostaje, acz w faktycznem, lecz w nieprawnem posiadaniu władzy. Usprawiedliwić go i uprawnić mogłoby jedynie to, że naród w przeciągu czasu, sam dobrowolnie, t. j. wolną a nieprzymuszoną wolą zrzekłby się swej władzy i oddałby mu ją dobrowolnie. Lecz dopóki to nie nastąpi, jest nieprawnym posiadaczem władzy i obowiązany jest do restytucji, tak jak złodziej obowiązany jest do oddania rzeczy skradzionej.

Takiej, a nie innej etyki uczono mię w Rzymie, w samem sercu chrześcijaństwa. Bo oto są słowa, jakie nam profesor etyki, ojciec August Ferretti, jezuita, dyktował z katedry na Uniwersytecie Gregorjańskim: „Patet usurpatorem gravissime peccare, sive quando potestatis supremae possessionem sibi primo per vim et fraudem vindicat, sive quum postea usurpatam hanc potestatem sibi retinet. Similii mode ille, qui alium inique in carcerem compingit, non solum peccat ab initio, sed etiam jugiter postea, quum hanc alterius calamitatem continuat... et proinde (usurpator) ad restituendum tenetur". To znaczy po polsku: „Oczywistą jest, że uzurpator bardzo ciężko grzeszy, czy to w chwili, gdy najpierw najwyższej władzy posiadanie przemocą i oszukaństwem sobie przywłaszcza, czy też wreszcie później, gdy przywłaszczoną tę władzę sobie zatrzymuje. Podobnie jak ten, który drugiego niesprawiedliwie do więzienia wtrąca, nietylko grzeszy od samego początku (w chwili gdy go wtrąca), ale także grzeszy ciągle potem jak długo to jego uwięzienie przeciąga"... Te wykłady naszego profesora wyszły później drukiem, p. t. „Institutiones Philosophiae Moralis", w 3-ch tomach, i kto chce, może powyższe słowa sprawdzić, w tomie III, strona 387.

Jasną więc jest rzeczą, że uzurpatorzy, co bądź przemocą bądź podstępem i oszustwem przywłaszczyli sobie władzę nad Polską, nie są prawowitymi jej władcami i nimi nie będą jak długo Polak „wolnością żyje i do wolności wzdycha". A zatem, że zbrojne powstanie naszego narodu nie byłoby karygodnym buntem, rokoszem, rewolucją przeciwko prawowitej władzy, lecz chwalebnem powstaniem (insurekcją) z upadku, starganiem kajdan niewoli i zrzuceniem jarzma, nałożonego przez „tyranów uzurpacji".

Atoli, jeżeli tak jest, dlaczego Kościół zdaje się obojętnie patrzeć na takich uzurpatorów, dlaczego nawet wchodzi w układy

z nimi, ba nawet jeszcze z nimi stosunki zawiera? czyż przez to nie uprawnia niejako zbrodni dokonanej na naszym narodzie?

Odpowiem z kolei na te zarzuty stawione Kościołowi z powodu stosunków jego z uzurpatorami najwyższej władzy politycznej, to jest z tymi, których dawna teologja nazywała „tyranami uzurpacji“ (tyrannus usurpationis), którzy nieprawnie przywłaszczyli sobie władzę monarchiczną, arystokratyczną lub demokratyczną, z krzywdą poprzednich tej władzy piastunów prawnie ustanowionych.

Otóż Kościół katolicki wcale obojętny nie jest na takich przywłaszczycieli, jest on bowiem stróżem praw publicznego sumienia i sprawiedliwości społecznej niemniej, jak zasad sumienia osobistego i sprawiedliwości prywatnej. A przeto nie omieszkuje on protestować przeciw takim zbrodniczym intruzom, ile razy pożytecznie i skutecznie uczynić to może; liczne i świetne tego dowody daje nam historja. Ale, jak to zauważył Papież Pius VI w liście z dnia 22-go września roku 1790 do stojącego wówczas nad przepaścią króla francuskiego Ludwika XVI, „na to, aby następca św. Piotra mógł objawić odnośne swe zdanie, musi być pewny, że słuchający jego słowa nie uchylą się od jego nauki“. Jeżeli bowiem słowa Papieża miałyby być grochem o ścianę rzucanym, albo nawet pogorszyć położenie narodu, to lepiej i roztropniej w takim razie milczeć. Powaga Papieża ma zawsze moralny tylko wpływ, a na co się przyda morały prawić wilkowi lub niedźwiedziowi, kiedy te brutale tylko przed siłą brutalną respekt mają? Uzurpatorowi, w jego zapędzie zaborczym, stawiać przed oczy kodeks moralny, miałoby niemal ten sam skutek, co ukazanie czerwonej chusty rozszalałemu bykowi. Dopóki rządy zaborcze nie staną się prawdziwie chrześcijańskimi, to jest dopóki nie uznają siły praw i moralności chrześcijańskiej, dopóty przeciw ich sile brutalnej tylko nawzajem siłą brutalną coś wskórać można. To też Kościół, nie mający tej siły miecza, w tym razie nawet, kiedy niema żadnej wątpliwości co do nieprawnego stanowiska rządu zaborczego, może, a często nawet powinien zachować milczenie, aby nie drażnić brutala i nie powiększyć nieszczęść już i bez tego bardzo znacznych. Nie trzeba zatem od Kościoła wymagać, aby się zawsze mieszał do kwestji i trudności tego rodzaju. Tembardziej, że zdarzyć się może, iż dobro publiczne już i tak uciemiężonego narodu bardziej jeszcze narażone byłoby przez nieroztropne jakieś usiłowania zwrócone przeciw uzurpatorom, tak dalece, że prawo przyrodzone

nawet, które nie dozwala bardziej jeszcze rujnować jednostki i ludy, w pewnych okolicznościach zabrania gwałtownie zmieniać zaprowadzony stan anormalny.

Jaką powinna być czynna obrona Polski.

Tłumaczy następny certyfikat:

Ripon, 21 marca 1899.

Roztropność, sprawiedliwość, męstwo i umiarkowanie — te cztery kardynalne cnoty powinny być nieodstępnymi towarzyszkami każdego patrjotycznego czynu. To znaczy innemi słowy: Nie dosyć jest mieć dobry zamiar i chwalebne przedsięwzięcie (jakiem jest odbudowanie Polski), ale nadto, we wyborze środków do wykonania tego dobrego przedsięwzięcia, trzeba być mądrym i roztropnym, również jak w użyciu tych środków trzeba zachowywać należytą miarę, być umiarkowanym; nigdy przytem sprawiedliwość nie powinna być obrażoną, ani też żadna powinność na korzyść innej zaniedbywaną; wreszcie w dążeniu do celu zamierzonego trzeba być mężnym, wytrwałym, nieustraszonym.

Roztropność patrjoty polega na tem, że do dobrego celu, jaki sobie wytknął (podtrzymanie polskości — bliższy cel; odbudowanie Polski — dalszy cel), że do dobrego celu wybiera najlepsze i najwłaściwsze środki, a nietylko wybiera, ale i używa takowych najskuteczniej. Lecz gdyby w użyciu tych środków przekroczył miarę należytą, zbłądziłby: dlatego potrzebnem mu jest umiarkowanie, druga cnota kardynalna. Bo nawet dobrem może się zdarzać jednostronna, a tem samem błędna dążność. Kto przesadza w patrjotyźmie czyli w miłości ku Ojczyźnie tak dalece, że miłość Boga za nic sobie ma i z tego powodu zaniedbuje powinności religijne, taki zasługuje na naganę; jak na naganę zasługuje i ten, kto przesadza w modlitwie do tego stopnia że z tego powodu zaniedbuje swoje obowiązki rodzinne i patrjotyczne. In medio virtus — cnota unika przesady, pośredniej drogi się trzyma. Czas wielki, abyśmy weszli na tę drogę pośrednią, złotą drogę, którą cnota kroczy: bo wszyscy tu grzeszymy przeważnie brakiem tej kardynalnej cnoty umiarkowania, jedni przesadnym pietyzmem czynimy wielkie usiłowania, robimy wielkie kroki, ale — we fałszywym kierunku, nie po drodze wiodącej nas do wspólnego celu, nie po drodze cnoty. Są to — jak je św. Bernard nazywa — „magni passus extra viam“, wielkie kroki poza drogą, wskutek czego, zamiast

zbitą falangą zbliżać się do celu, rozpraszamy się i gubimy po manowcach. Na męstwie, tej trzeciej cnocie kardynalnej, może tyle nam nie zbywa, co na tej przez starożytnych Rzymian nazwanej „aurea mediocritas", złotej cnocie umiarkowania. Sprawiedliwość wreszcie bynajmniej nie jest ostatnią w tym orszaku cnót, jakie niedostępnie towarzyszyć powinny prawdziwemu patrjotyzmowi. Każe ona oddawać każdemu co się należy: komu cześć, temu cześć; komu hańba temu hańba. Czołem druhowi, szponem wrogowi. Lecz sprawiedliwość potępia zarazem tę niecną zasadę, że „cel uświęca środki". Chociażby cel był najlepszy, ale środek do dopięcia tego celu jest niedozwolony i niesprawiedliwy, nie godzi go się używać.

Jest tedy, dla naszego narodu, zbrojne powstanie godziwym, dozwolonym i sprawiedliwym środkiem do osiągnięcia niepodległości ojczyzny.

Do powyższych artykułów moich redakcja „Kurjera" dodała od siebie następującą charakterystyczną uwagę:

„Myli się „Dziennik Chicagoski" twierdząc, że ks. W. Kruszka nie wie kim jest „Esto". Nie rozumiemy też dlaczego „Dziennik" to przypuszcza? czy dlatego, że ks. K. tłumacząc etykę chrześcijańską nie czepia się osoby piszącego, jak to czynią „pobożne katolicko-demokratyczne" „Dzienniki"? — Wyzwiskami i osobistymi docinkami nikogo się nie przekona; jedynie poważnem traktowaniem sprawy logicznymi argumentami — czego zresztą rezultat artykułu ks. K. najlepiej dowodzi. Gdyby „pobożne i praktyczno-katolickie" dzienniki i tygodniki przyszły nareszcie do tego przekonania, że taktyką dawniejszego „Kropidła" tworzy się najwięcej niechętnych, zaś powagą i godną a logiczną dyskusją nawet najoporniejszych się zjednywa, nie byłoby ani organów ani kościołów niezależnych".

A p. Stanisław Osada we własnej obronie przed osobistymi napaściami „Dziennika Chicagoskiego" taką od siebie w tymże „Kurjerze" umieścił uwagę:

„Nawet „Dziennik Chicagoski" powtarza obecnie artykuł ks. Wacława „O czynnej obronie Polski w świetle etyki chrześcijańskiej". Bardzo to pięknie z jego strony, a może być, że redaktorzy tego pisma zechcą także do siebie przystosować niektóre z uwag ks. Wacława".

23. Mowa arcybiskupa Irelanda w seminarjum polskiem. — Co nas wynarodowi? — Ajryski a polski obrzęd ślubny.

Przeciw amerykanizacji jako takiej my nic nie mamy. Ale przeciw amerykanizacji jako anglizacji zawsze występujemy i występować będziemy. Bo jeżeli ktoś przez amerykanizację rozumie li tylko anglizację i odpolszczenie, ten nie jest zdrowym na umyśle amerykanizatorem lecz zagorzałym anglizatorem i powinien czemprędzej wynosić się do Anglji.

Jak niegdyś w starej Polsce mówiono: Disce puer latine et faciam te mościpanie, to jest, naucz się chłopcze po łacinie a zrobię cię szlachcicem! Tak arcybiskup Ireland miał do studentów w polskim seminarjum w Detroit powiedzieć: Zamerykanizujcie nam Polaków to zrobimy was biskupami. Krzyk i hałas powstał ogromny wśród Polonji amerykańskiej. W tej mowie arcybiskupiej upatrywano zamach na polskość kościołów w Ameryce. Długo ukrywane dążenie amerykanizacyjne z Kościoła wylazło na wierzch jak szydło z worka. Tak wołano i pisano. Nie będąc zwolennikiem systemu episkopalnego w Kościele, do tej mowy biskupiej mało wówczas wagi przywiązywałem i napisałem do „Kurjera“ artykulik pod tytułem:

Co nas wynarodowi?

Ripon, Wis. 19 grudnia 1899.

Takich mów jak ta biskupa Irelanda w Detroit, choćby tysiąc nie wynarodowi ludu polskiego w Ameryce. Najśmieszniejszem jest to, że z ust jednego prałata sądzi się cały episkopat, cały Kościół katolicki. Ireland chce zamerykanizować Polaków więc Kościół chce. Jest to najdziwaczniejsza w świecie logika, ale niestety bardzo dziś rozpowszechniona. Arcybiskup Ireland nie jest wyrazem opinji ani nawet większości episkopatu amerykańskiego, a cóż dopiero Kościoła katolickiego. A już najmniej jest on wyrazem opinji i tendencji polsko-amerykańskiego duchowieństwa. Jaką więc podstawę ma ten zarzut, że Kościół jest tym, który nas chce wynarodowić?

Ale choć w zasadzie Kościół nie przyznaje się do tego, że chce nas wynarodowić, to jednak może w praktyce choć pomału, ale stale dąży do tego? Gdzie? w czem? Czy w tem, że nie tylko pozwala, ale i każe polskie szkoły zakładać? i polskie kazania co niedzielę ludowi prawić? polskie bibljoteki zakładać?

Nie, Kościół ani w zasadzie ani w praktyce nie dąży do wynarodowienia ani Polaków, ani Niemców, ani innych narodowości. Owszem, jeżeli co, to Kościół ze swoimi instytucjami jest właśnie najsilniejszą tamą przeciw wynarodowieniu. Wynarodowienie nie leży też wcale w interesie Kościoła, owszem byłoby ze szkodą jego interesów. Jedność języka? Ależ Kościół już od wieków posiada swój jeden urzędowy język łaciński, a angielski nigdy urzędowym językiem Kościoła nie będzie. Odrębne zwyczaje i obyczaje narodowe? Te zazwyczaj u ludów tak zrosły się z wiarą religijną, że ich usuwanie działoby się z uszczerbkiem wiary św. To Kościół dobrze wie, bo ma w tem wiekowe doświadczenie, i dlatego stałą, zasadniczą dążnością Kościoła jest: nie absolutna, szablonowa jedność zwyczajów i języków, lecz jedność w rozmaitości, a rozmaitość w jedności — jedność ducha prawdy i moralności w rozmaitości języków i zwyczajów narodowych. Mają przecie i w Rzymie, w centrum katolicyzmu, także swoje zwyczaje narodowe, liczniejsze niż gdzieindziej i żaden papież ich nie znosi, owszem popiera i pielęgnuje dobre zwyczaje, a gani tylko złe, to jest, wady narodowe.

I arcybiskup Ireland, o ile mogłem zrozumieć tę jego mowę do studentów w Detroit, wcale nie miał na myśli zlania się narodowości polskiej z amerykańską. Być może, że się mylę, ale ton jego mowy, wzięty w całości a nie urywkowo, zdaje się był ten: z jednej strony nie obrażać uczuć narodowych, nie zrywać z tradycją narodową, ale także z drugiej strony znowu nie zasklepiać się tak w skorupie narodowej, żeby aż odstrychnąć się od Kościoła i rozrywać jedność religijną. Ale chociażby inaczej był powiedział, to pewna, że Kościołowi dotychczas zarzutu robić nie możemy, żeby nas wynaradawiał. Jeżeli się wynaradawiamy, to z własnej winy, bądź że dzieci do polskich szkół nie posyłamy, na kazania i obchody nie chodzimy, bądź że małżeństwa mieszane zawieramy i t. p. Mojem zdaniem, niema innej deski ratunkowej dla naszej narodowości na tem morzu anglo-amerykańskiem, tylko Kościół. Napatrzyłem się po różnych osadach dosyć takim Polakom, którzy do kościoła polskiego nie chodzą: wynaradawiają się, a u ich dzieci nie znajdziesz ani śladu z polskości. Wstydząc się religji naszej, wstydzą się i narodowości, zostają tchórzami pod obu względami. Lecz wiara święta i zapał religijny wzmacnia, podnosi, potęguje ducha i czyni nas lwami. Nie upadnie Polska i tu w Ameryce, dopóki duch wiary nie upadnie.

Jak długo święta wiara
Ożywia polską krew,
Stać będzie Polska stara
Bo każdy Polak lew.

Ale tylko wtedy „lew“ dopóki go ożywia ta wiara święta.

X. Wacław Kruszka.

Po ks. Goeblu, moim sąsiedzie w Ripon, był ks. Allen, konwertyta, który z anglikańskiego pastora stał się katolickim księdzem. Zacny to był staruszek i poczciwy z duszą i ciałem. Sam nie pił i nie palił; a jednak prohibicjonistą nie był, gdyż nie zabraniał innym pić i palić. Raz dawał ślub polskiemu chłopakowi z ajryską panną. Nietylko panna, ale i młodzieniec przyniósł swój pierścień do ołtarza, bo u nas Polaków istnieje ten piękny zwyczaj, że nietylko żona, ale i małżonek otrzymuje i nosi ślubny pierścień jako symbol wiary małżeńskiej. Nietylko żona ale i małżonek również obowiązany jest dochować wiary małżeńskiej. U Anglików atoli, których król wolał odpaść od Kościoła, aniżeli dochować wiary małżeńskiej, pojęcie o wzajemności obowiązków małżeńskich jest jeszcze bardzo zacofane, więc też tylko panna młoda przynosi pierścień do ołtarza. Taki sam zacofany zwyczaj panuje u ajryszów i ludów romańskich, skąd się nawet dostał do rubryki kościelnej.

Otóż mój poczciwy sąsiad ks. Allen widząc zapewne po pierwszy raz w życiu aż dwa pierścienie na tacy, odrzucił pierścień pana młodego jako niepotrzebny i dodał:

— To niegodne z rubryką kościelną. Kościół przepisuje tylko jeden pierścień dla panny młodej.

Na to pan młody mu odparł:

— Ależ ks. Kruszka zawsze poświęci dwa pierścienie.

— Widocznie polscy księża nie znają rubryk kościelnych.

Po ślubie, jeszcze tego samego dnia, dobroduszny ks. Allen przyszedł do mojej plebanji i zaraz zapytał mnie, ile ja pierścieni poświęcam przy ślubie. Odpowiedziałem mu:

— Polakom zawsze dwa, a ajryszom jeden, jeśli ich nie stać na dwa.

— Ależ rubryka kościelna wyraźnie wspomina tylko o jednym pierścieniu.

— Bo od biedy jeden wystarczy.

— Dwa pierścienie nie zgadzają się z rubryką.

— Owszem, zgadzają się najzupełniej. Rubryka nigdzie nie wspomina o tem, że wolno poświęcać wyłącznie jeden tylko pierścień, a nigdy dwóch. Czytaj pilnie rubrykę a znajdziesz tam w dalszym ciągu te słowa: juxta receptam uniuscajusque provinciae ritum" — „podług przyjętego w każdym kraju obrzędu".

— Nie znam przyjętego w Polsce obrzędu.

— Dlatego Polakowi nigdy ślubu nie dawaj, tylko go do mnie przyślij.

Następnie wytłumaczyłem księdzu Allenowi znaczenie dwóch pierścieni i wyższość polskiego obrzędu ponad inne zwyczaje. Dalej wykazałem mu, że polska formułka ślubna jest o wiele doskonalszą od ajryskiej. Ajryskie „to have and to hold... till death do us part" — od biedy wystarczy ale nie zawiera w sobie właściwie żadnego ślubu ani wiary, ani miłości, ani uczciwości małżeńskiej, ani wreszcie posłuszeństwa małżeńskiego. Ajryska formułka ślubna jest to wór pusty.

Ks. Allen, wysłuchawszy tych moich wywodów, przyznał mi bez ogródki, że polskie zwyczaje są o wiele rozumniejsze i powinny być przyjęte we wszystkich kościołach.

24. Odkąd arcybiskup nazwał mię wysokosięgającym człowiekiem — ein hochfahrender Mensch — odtąd konfratrzy nazywali mię nienaruszalnym proboszczem w Ripon.

Celem zaopatrywania misyj w Springvale i Eldorado, dla których musiałem opuścić Oshkosh i Kenoshę, kupiłem w roku 1898 powozik, sanie, konia i wszystkie rzeczy, które jego są. Stajni własnej nie miałem. Więc żeby mi ulżyć w kosztach utrzymania konia, wreszcie na wiosnę roku 1900, parafja św. Wacława w Ripon wybudowała mi za 160 dolarów stajnię, która do dziś dnia tam stoi.

Aliści skoro ta oddawna potrzebna stajnia stanęła, okazało się właśnie, że jest niepotrzebna. Albowiem dnia 19 maja 1900 r. arcybiskup Katzer taki niespodziany list mi nadesłał:

„Wielebny Księże! Ponieważ misje w Springvale i Eldorado oddane Ci były jedynie dlatego, że ks. Allen żadnych misyj zaopatrywać nie może, a ks. Allen teraz z Ripon idzie precz: przeto będę zmuszony przynajmniej Springvale znowu połączyć ze św. Patrykiem i, podczas gdy składam Ci podziękowanie za Twoje usługi, upraszam Cię, abyś niezbędne do tego uczynił przygotowania. Twój oddany F. X. Katzer, arcybiskup milwaucki".

Bezzwłocznie odpisałem arcybiskupowi, że odbierając mi Springvale ze 40 familjami, temsamem odbiera mi także Eldorado ze 16 familjami, gdyż dla samego Eldorado nie mogę utrzymywać ekwipażu. Odbierając mi zaś obydwie te misje, arcybiskup zmniejsza moją dotychczasową parafję o połowę; więc ma widać zamiar odebrać mi także Ripon a dać mi promocję na większą parafję albo przynajmniej na równą dotychczasowej. Bo wobec tego, że arcybiskup wyraźnie „składa mi podziękowanie za moje usługi" nie mogę przypuszczać degradacji czyli zmniejszenia mojej parafji o połowę, gdyż w takim razie musiałbym przypuszczać, że podziękowanie, jakie mi składa, jest ironją. Zatem, stosując się do końcowego ustępu listu arcybiskupiego, uczynię „niezbędne przygotowana" do opuszczenia nietylko Springvale i Eldorado ale i samegoż Ripon.

Na to arcybiskup listem z Fond du Lac 25 maja 1900 tak mi odpowiedział:

„Wielebny Księże! Wiesz dosyć dobrze, że Springvale i Eldorado mogłem Tobie tylko tymczasowo dać, ponieważ byłem zmuszony do Ripon posłać takiego angielskiego księdza, który żadnymi misjami opiekować się nie mógł, chociaż św. Patryk nie jest dość mocny, by bez misji mógł egzystować.

„Jeśli więc teraz Springvale ze św. Patrykiem znowu połączam, to nie jest to dla Ciebie ani promocją ani degradacją.

„Jeśli jednak dlatego chcesz rezygnować, to możesz czynić co uważasz za niezbędne. Biskup ma jeszcze inne troski aniżeli tylko promować. Twój oddany F. X. Katzer, arcybiskup milwaucki".

Że arcybiskup mógł mi Springvale i Eldorado „tylko tymczasowo dać", a nie na wieki, o tem wiedziałem dosyć dobrze. Ale że mi dał te misje jedynie dlatego, że „był zmuszony do Ripon posłać takiego angielskiego księdza, który żadnymi misjami opiekować się nie mógł", o tem dowiedziałem się dopiero teraz. O tem arcybiskup dawnej mnie nie powiadomił.

Wiedziałem ja już wówczas o tem, że „pokorne ciele dwie matki ssie" i że milczeniem i niewolniczą uległością prędzej pozyskam większą parafję aniżeli domaganiem się sprawiedliwości. Ale ja łaknąłem i pragnąłem sprawiedliwości bardziej aniżeli promocji. Przez odebranie mi misji czułem się pokrzywdzony na mieniu i imieniu. Nie była to już kwestja promocji; była to kwestja degradacji.

Miałem znowu przed sobą te dwie drogi: drogę garbatej pokory czyli upodlenie się i drogę prawdziwego upokorzenia się. Obierając pierwszą drogę, to jest, płaszcząc się przed arcybiskupem i pochlebiając mu, że on słusznie mi odbiera te misje, albo milczeniem przyzwalając na to, co on ze mną czyni, tą drogą niezawodnie byłbym prędzej i łatwiej doszedł do większego probostwa. Ale — kto się płaszczy i pochlebia, by coś zyskać, ten jest podłym a nie pokornym. Bez wahania więc porzuciłem tę pierwszą drogę a obrałem drugą, to jest, drogę prawdziwego upokorzenia się, która jest drogą prawdy i prawdomówności. Powiedziałem arcybiskupowi, że gdyby on był z góry mi powiedział, iż daje mi te misje li tylko tymczasowo, to byłbym albo ich nie przyjmował albo, przyjąwszy je, nie byłbym konia, sani, powozu kupował ani też teraz stajni stawiał. Faktem niezaprzeczonym jest, że mi arcybiskup dał te misje do obsługiwania i że ja mu je obsługiwałem przez parę lat tak wiernie, iż nawet arcybiskup uważał za stosowne złożyć mi „podziękowanie za moje usługi". Nie chcąc przecie tego arcybiskupiego podziękowania uważać za ironję i za proste kpiny ze mnie, całkiem słusznie spodziewam się, że arcybiskup odbierając mi Springvale i Eldorado, odbierze mi i Ripon a da mi lepsze miejsce albo przynajmniej równe poprzedniemu. Ta tymczasowość, o jakiej arcybiskup wspomina, odnosi się tak dobrze do Ripon jak i do Springvale i Eldorado, które dał mi tymczasowo a Ripon aż do samej śmierci! Stosując się tedy do rozporządzenia arcybiskupiego, „czynię niezbędne przygotowania" do opuszczenia nie tylko Springvale i Eldorado ale także i Ripon.

W odpowiedzi na to moje przedłożenie sprawy arcybiskup Katzer nadesłał mi z Argyle, Wis., dnia 12-go czerwca 1900 r. taki sążnisty list:

„Wielebny Księże! Twierdzisz absolutnie, że Ci żadnej wzmianki o tem nie uczyniono, żeby Springvale i Eldorado dane Ci były tylko tymczasowo. Jeśli rzeczywiście tak jest, to było to błędem. Ale każdemu, który zna i znał stosunki, od początku musiało to być jasnem, że to musiało być tymczasowością (provisorium) i swoją przyczynę miało jedynie tylko w osobie księdza Allen, który, jak mi mówił, żadnej misji zaopatrywać nie mógł, a któremu przecie także jakieś miejsce dać musiałem, i tak dalej.

„Ja tego nie widzę, jak to może być degradacją albo żeby ktokolwiek mógł to uważać za takową. Każdy wie, dlaczego Ci te misje dałem, każdy wie, dlaczego Ci te misje znowu odbieram —

nietylko dlatego, że ks. Allen otrzyma następcę, ale także dlatego, że stara parafja św. Patryka bez misyj egzystować nie może.

„Że Cię systematycznie uciskam, jest to poprostu Twojem własnem wyobrażeniem.

„Ponieważ jednak to sobie wyobrażasz i swoją rezygnację podajesz, więc myślę, że lepiej będzie, jeżeli ją przyjmę.

„Tylko chciejmy się porozumieć: Przez Twoje usiłowanie o rezygnację rozumiem, że wraz z Ripon także diecezję opuścić i do innej się przyłączyć zechcesz.

„Przyznaję, że gdyby Ci na to zwrócono było uwagę (jeśli Ci jej nie zwrócono), to byłbyś był nie sprawiał sobie żadnego pojazdu z zaprzęgiem. Niestety, i biskup nie wszystko przewiduje i biskup nie zawsze może pomóc. Zresztą szkoda nie będzie tak wielką i otrzymałeś swoją pensję i konie się poniekąd wysłużyły i możesz pojazd z zaprzęgiem przecie znowu odprzedać. A więc spróbuj, jeśli w Ripon nie chcesz pozostać, z innym biskupem lepszego powodzenia. Twój oddany F. X. Katzer, arcybiskup milwaucki".

Już nie pamiętam dobrze, co na ten list arcybiskupowi odpowiedziałem. Arcybiskup zdawał mi się postępować ze mną podług tej osławionej zasady niemieckiej. „Der Moor hat seins getan, der Moor kann gehen". Teraz dopiero przekonałem się jasno, co arcybiskup rozumiał gdy mi pisał te słowa: „składam Ci podziękowanie za Twoje usługi". Były to kpiny dodane do krzywdy, insult added to injury. Za twoje usługi, oddane ubogim misjom w Springvale i Eldorado od swego arcybiskupa dostałeś gołosłowne podziękowanie; po rzeczywiste zaś podziękowanie masz udać się do innych biskupów. Nie potrzebuję. Mój arcybiskup dał mi te misje do obsługiwania, a nie inni biskupi. Od mojego więc arcybiskupa oczekuję szczerego i rzeczywistego podziękowania.

Ten list mój jako miecz ostry i obosieczny przeniknął nawskroś duszę arcybiskupa, skoro z Milwaukee dnia 21 czerwca r. 1900 tak mi odpisał listem jeszcze bardziej sążnistym niż poprzedni:

„Wielebny Księże! Nie czuję się powołanym przepuścić płazem zuchwałości i bezczelności wysokosięgającego człowieka (eines hochfahrenden Menschen), młodego kapłana, którego ja jako przywędrowanego studenta z dobroci do diecezji przyjąłem i za którego dokończenie studjów ja zapłaciłem. Ty nie jesteś ani moim niewolnikiem ani moim sługą, ale jesteś sługą Chrystusa w duszpaster-

stwie; nie moim sługą, ale też nie moim przełożonym, ja zaś jestem Twoim przełożonym i jako kapłan prawie 30 lat starszym, a jednak bym się wstydził i grzechu obawiał taką pospolitą, zuchwałą mową młodszemu kapłanowi przeciwstawić. Dlatego też Twój list z 14 czerwca jest ostatni, który czytać będę i ten mój list jest ostatni, który do Ciebie pisać będę, chyba czysto krótkie i węzłowate urzędowe listy. Z Riponem i misjami uczynię, co przed Bogiem za słuszne uważam i przytem Twoje czysto rzeczowe uwagi wezmę pod rozwagę. Wprawdzie posłałem Cię do Ripon, aby spróbować tam założyć samodzielną polską parafję, lecz kiedy do decyzji przyjść miało, czy tam polski kościół ma być budowany czy nie, wtedy zawołałem Ciebie i ks. Goebla, aby od was obydwóch zasięgnąć opinji, zanim stanowczy krok uczyniony będzie.

„Nie ja Tobie pierwszy wyraziłem życzenie, żebyś diecezję opuścił ale Ty mi pisałeś, że w razie gdyby misje miały Ci być odebrane także z Ripona rezygnujesz. Ja tylko Ci powiedziałem, w jakim sensie Twoją rezygnację przyjmuję.

„Każdy człowiek robi błędy, także biskup, lecz ja bardzo wielki błąd zrobiłem, kiedy Cię do diecezji przyjąłem. Może gdybym o Twojem usposobieniu jezuitów był wypytał, nie byłbym był tego błędu popełnił.

„Nie staraj się na ten tu list mi znowu odpowiadać, gdyż ja każdy nie czysto urzędowy list odeślę albo nieczytany poprostu do kosza wrzucę. Co ja robię, jest Tobie wszystko jedno. Czy taką jest mowa pięcioletniego kapłana do swego biskupa? Teraz co do Springvale i Eldorado. Po dojrzałej rozwadze czuję się zobowiązanym dać parafji św. Patryka jeszcze raz sposobność do dostarczenia dowodu, że jest zdolną do egzystowania. Ksiądz Cosprove obejmie tę parafję i misję, bo ty samego Eldorado nie chcesz. Tobie z biegiem czasu, w razie gdy diecezji opuścić nie zechcesz i Twój wysokosięgający charakter (hochfahrenden Charakter) zmienisz, dam może inne miejsce. Twój oddany Fr. X. Katzer, arcybiskup milwaucki".

Całym tym listem, ale zwłaszcza tem zdaniem o „wyświęceniu z dobroci i nie wypytaniu jezuitów", arcybiskup ubliżał sobie bardziej aniżeli mnie. Czuł on instynktownie i dlatego wyrzekł się dalszych listów.

I tak mój człowiek, czyli mój „hochfahrender Mensch", który dwa lata przedtem posiadał i Oshkosh i Kenoshę i Springvale

i Eldorado, zjechał teraz na dół do samiuteńkiego Ripon. A stało się to opatrznościowo w tym dwojakim celu. Najpierw, żeby mój „hochfahrender Mensch" miał tem więcej czasu do pisania „Historji Polskiej w Ameryce", do której też teraz zabrał się ze zdwojoną i potrojoną ochotą i energją. Powtóre, żeby za utracone misje w Springvale i Eldorado na drugi rok przyjąć na siebie daleko ważniejszą misję w Rzymie.

Chociaż sprawiedliwości na razie nie uzyskałem i uzyskać jej nie miałem za życia arcybiskupa Katzera, to jednak zawsze szczęśliwy byłem tem niewypowiedzianem szczęściem, jakie człowiekowi daje już samo łaknienie i pragnienie sprawiedliwości. Bo nie darmo powiedział Chrystus, że błogosławieni czyli szczęśliwi są już ci, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, a nie ci tylko, co otrzymują sprawiedliwość.

Odtąd moi konfratrzy nazywali mnie „rector inamovibilis in Ripon", nienaruszalnym proboszczem w Ripon; i nawet listy do mnie adresowali: „to the irremovable Rector in Ripon". Konia zmuszony byłem sprzedać ajryszowi a sanie i powozik księdzu Polaczykowi. Z nowej stajni zrobiłem drewnik, kurnik i gołębnik. W plebanji gromada materjału do „Historji Polskiej w Ameryce" zwiększała się z dniem każdym.

25. Jedność wiary a rozmaitość narodów. — Leon XIII potępia tak zwany Amerykanizm w kościele. — Biskup obsadza parafję, a nie komitet ani księża.

W tych samych miesiącach maja i czerwca przełomowego roku 1900, kiedy to prowadziłem powyższą korespondencję z moim arcybiskupem, równocześnie omawiałem w gazetach ważniejsze sprawy bieżące, kościelne i narodowe. Warto tu przytoczyć niektóre moje artykuły, ogłoszone w „Kurjerze Polskim" i rzucające światło na ówczesny ruch umysłowy w społeczeństwie amerykańsko-polskiem:

Kościół jeden, ale w skutkach mnogi.

Ripon, Wis., w czerwcu, 1900. — Przytaczając słowa papieża Leona XIII do biskupów amerykańskich, wypowiedziane: „Niema żadnych kościołów włoskich, amerykańskich, francuskich, jest jeden tylko — powszechny" — niektóre gazety polsko-amerykańskie wysnuwają wniosek, że więc „Kościół nic wspólnego z narodowością mieć nie może"... że zatem, „w naszych dążeniach na-

rodowościowych na Kościół oglądać się nie możemy i nie powinniśmy".

Wniosek ten jest sofistyczny, to jest, na pozór tylko prawdziwy, a w rzeczy samej fałszywy. Papież tylko za św. Pawłem powtórzył tę wielką prawdę, że jest „jeden chrzest, jeden Chrystus, jeden Bóg, jedna wiara i jeden Kościół, i że wobec tego nie masz różnicy między „Żydem a Grekiem" — ale czy z tej prawdy, że nie masz Boga niemieckiego, włoskiego, amerykańskiego i t. d., lecz jest jeden Bóg dla wszystkich, wynikałoby, że Bóg jest obojętny dla pojedyńczych narodów i że narody w swoich dążnościach na Boga oglądać się nie mogą? Nie masz słońca niemieckiego, włoskiego, amerykańskiego i t. d., lecz jest jedno słońce, które oświeca wszystkie krainy i ziemię całą od końca do końca — a czyż z tej prawdy wynikałoby, że słońce nie ma nic wspólnego z krajami ziemi i dlatego poszczególne krainy nic dobrego od słońca spodziewać się nie mają?

Sztucznych świateł i słońc fajerwerkowych możemy mieć wiele, ale prawdziwe słońce jest tylko jedno. Tak samo prawdziwy Kościół Chrystusowy może być tylko jeden dla wszystkich mieszkańców tej kuli ziemskiej. I ten prawdziwy Kościół Chrystusowy, Kościół rzymsko-katolicki, dla ludzkości w ogóle i dla pojedyńczych narodów w szczególności, był i jest tem w sferze moralnej i cywilizacyjnej, czem to słońce na niebie jest dla ziemi i pojedyńczych krain w sferze fizycznej. Jak słońce daje ziemi i światło i ciepło, tak Kościół katolicki wraz z pochodnią wiary niesie ludom i światło nauk i ciepło miłości chrześcijańskiej. Nie inny to Kościół, tylko Kościół rzymsko-katolicki, z mroku dziejów wydobył i ożywczem ciepłem swej nauki do wzrostu i potęgi doprowadził narody: Francji, Anglji, Hiszpanji, Polski, Niemiec itd. Choć był jeden, wszystkie opromienił oświatą i ogrzał miłością. Jeden jest, w jednem skupiony ognisku; lecz zbawczym swym wpływem, na kształt słońca, promienieje na wszystkie strony.

Z biegiem czasu wielu ludziom to słońce spowszedniało — zachciało im się sztucznych słońc, kosztownych fajerwerków. W innych narodach mogą sobie pozwolić na te kosztowne fajerwerki, nas nie stać na takie zbytki — dlatego zadawalniajmy się tem powszedniem, ale zdrowem światłem i ciepłem naturalnem. W narodach tak politycznie silnych, jak Anglja, mogą sobie różni ludzie pozwalać na takie, że tak rzeknę, wybryki, jak tworzenie nowych religij, zakładanie nowych kościołów, nowych sekt; — my Polacy

w zanadto opłakania godnym stanie się znajdujemy, ażeby na tym podobne wybryki czy zbytki sobie pozwalać. Tak biedni, religijnymi rozdwojeniami zbiednielibyśmy jeszcze bardziej. Nam trzeba siły, a siły da nam tylko jedność wiary — różność wiary raczej nam ujmie siły narodowej, niż doda.

Mówić, że Kościół „nie może mieć nic wspólnego z narodowością, i że dlatego w dążeniach narodowościowych nie trzeba się na Kościół oglądać" — znaczy, mówić nieprawdę, zgubną i szkodliwą w następstwach. Popatrzmy choćby na naszą narodowość tu w Ameryce. Czy rzeczywiście na nią Kościół tu żadnego zbawczego nie wywiera wpływu? Jeżeli prawda (a prawdą jest) co pisze p. A. Małłek w swojem „Ziarnie", że podstawą polskości w Ameryce jest mowa polska i śpiew polski, to pytam: któż tu właśnie w Ameryce więcej od Kościoła stara się o mowę polską i śpiew polski? Któż?... Proszę mi powiedzeć, a wtedy schylę głowę i uznam, że Kościół „niema nic wspólnego z narodowością i dlatego na Kościół w dążnościach narodowościowych oglądać się nie powinniśmy".

A może przez te „dążności narodowościowe" należy zupełnie co innego rozumieć, aniżeli utrzymanie podstaw polskości, mowy polskiej i śpiewu polskiego? W takim razie radbym usłyszeć, jakie to te inne „dążności" są? Bo jeżeli mamy „dążyć", to dążmy już do jasno wytkniętego celu", a nie na oślep, sami nie wiedząc dokąd.

Ojciec św. potępia tak zw. „amerykanizm" w kościele.

Niektóre pisma polskie znowu na Ojca św. wygadują, że w ostatnim liście swym do kardynała Gibbons każe kościoły anglizować i amerykanizować. Tymczasem list Ojca św. jest skierowany właśnie przeciw wszelkim anglizatorom i amerykanizatorom kościoła. Żeby się o tem przekonać, wystarczy przejrzeć angielskie pisma katolickie z jednej strony, a z drugiej niemiecko-katolickie, i zobaczyć, jakie wrażenie wywarł na nich ten list papieski. Obóz angielsko-katolicki (amerykański) czuje się tym listem boleśnie dotknięty, upokorzony, pobity, podczas gdy nie-angielscy katolicy triumfują i zwycięstwo głoszą. I słusznie. Bo Ojciec św. w tym swoim liście potępia właśnie zasady głoszone przez ś. p. Ojca Heckera, byłego przywódcę „amerykańskiego" obozu, do którego należy Biskup Ireland (obecny przywódca) i inni prałaci i księża o tendencjach amerykanizacyjnych, — obozu, którego myślą przewodnią (a raczej pium desiderium, pobożnem życzeniem) było, żeby

anglo-saska rasa dzierżyła ster rządów kościelnych w Ameryce. Obóz ten rzeczywiście rósł w potęgę, podnosił głowę coraz bardziej, patrzał z pogardą na kościoły „narodowościowe", wyrzucił nawet profesora Schroedera z katolickiego Uniwersytetu, dlatego, że był Niemcem, a nie Amerykaninem — wreszcie chełpił się, że po swojej stronie ma Ojca św. Walka partyjna zaostrzała się, aż Ojciec św. był zmuszony odezwać się: „Dzieci, uciszcie się!" Chcąc przekonać się, po czyjej stronie słuszność, by bezstronny wydać wyrok, Ojciec św. nietylko wysłuchał skarg niemiecko-katolickich (narodowościowej) partji, ale i tendencje przeciwnej partji „amerykańskiej" bliżej rozpatrzył, tak jak są wyłożone w „Żywocie Ojca Heckera" i pismach jego. I otóż na podstawie tych pism wydał wyrok następujący, potępiający tendencje „amerykanizmu"

Kim był ten Ojciec Hecker i jakie to jego zasady potępił Ojciec św.? Mam żywot jego (Life of Father Hecker, by Rev. W. Elliot) i pisma jego pod ręką. Urodzony z rodziców niemieckich i protestanckich w Nowym Yorku r. 1819, był „Amerykaninem" i duszą i ciałem. Nawrócił się i został kapłanem katolickim w zgromadzeniu OO. Redemptorystów. Pracował jakiś czas z nimi wspólnie, ale że ci Ojcowie nietylko byli katolikami lecz przytem także dobrymi patrjotami t. j. twardymi Niemcami, a on, Hecker, jako już na ziemi amerykańskiej urodzony, przesiąkły amerykanizmem, nie cierpiał żadnej cudzoziemszczyzny; przeto odłączył się od niemieckiego zgromadzenia Redemptorystów, wraz z pięciu innymi kapłanami, również czystej krwi amerykanami, i założył na własną rękę nowe czysto „amerykańskie" zgromadzenie zakonu tak zwanych „Paulistów". Z natury swej skłonny do marzycielstwa, Hecker w swej bujnej fantazji wymarzył sobie, że jeśli tylko to jego nowe zgromadzenie owiane będzie „szerokim duchem amerykańskim" — (broad American spirit), a nie ciasnym patrjotyzmem starokrajskim, to wkrótce nawróci całą Amerykę na katolicyzm. Gorliwości i dobrych chęci i wysiłków temu kapłanowi odmówić nie można. Jego prace misjonarskie nie są bez zasługi. Ale nieszczęście chciało, że wdał się w doktrynerstwo i pisał o teologji, sam nie będąc tęgim teologiem — bo do studjów głębszych, jak sam przyznaje, miał wstręt nieprzezwyciężony. I to było jego „piętą Achillesową", w którą ugodził teraz grot listu papieskiego.

I tak uczył, że cnoty chrześcijańskie jedne są „bierne" a drugie „czynne" — co jest nonsensem, bo każda cnota, jeśli ma być cnotą, jest i musi być z natury swej „czynną", — że w dawniej-

szych czasach chrześcijanie praktykowali tylko cnoty bierne (!), ale dziś, tu w Ameryce, trzeba czynnych cnót. Dalej, że główny nacisk kłaść trzeba na cnoty naturalne, a nie nadnaturalne, że zakony są w Ameryce niepotrzebne, że śluby zakonne krępują wolność osobistą, — trudno tu dla braku miejsca wyliczyć wszystkie jego idee i poglądy, zawarte tak w jego „żywocie“ jak i w jego pismach pod tytułem „Aspirations of Nature“. Tu tylko zaznaczyć pragnę, że uczył tego wszystkiego w najlepszej intencji, bo miał szczerą i niekłamaną gorliwość w rozszerzaniu katolicyzmu w Ameryce; i Ojciec św. też żadnej nagany dla jego osoby niema. Ojciec Hecker chciał całą Amerykę odrazu nawrócić na katolicyzm. Ale żeby to uskutecznić, chciał w swej naiwności naukę Kościoła powszechnego, tak jak suknię, przykroić i przypasować do Amerykanów, chciał żeby Kościół zwolnił z swej dawnej surowości i zastosował się do „ducha czasu“ — które to opinje wyraził w swojem dziełku „The Church and the Age“ (Kościół i Wiek) — jednem słowem chciał, żeby Kościół katolicki, Kościół powszechny, obejmujący narody całej kuli ziemskiej, porobił ustępstwa i wyjątki na rzecz Amerykanów, tak, żeby Kościół w Ameryce był czemś odrębnem od reszty świata katolickiego.

Ten błąd zasadniczy potępia Ojciec św. i twierdzi słusznie, że nauka Chrystusa, jedna, nieodmienna jest dana dla wszystkich narodów i dla wszystkich czasów, i że Kościół, który tę naukę nieskazitelnie przechowuje, nie może się zastosować do ludzi, ale przeciwnie, ludzie się muszą zastosować do nauki Kościoła, jeśli chcą być katolikami. To prosty rozum dyktuje. „Lecz — dodaje zarazem Papież — że wy, Amerykanie, macie tam swoje narodowe obyczaje i zwyczaje, swoje wam tylko właściwe prawa i urządzenia polityczne, tak jak każdy inny naród ma znowu swoje właściwe odrębności (w zakresie politycznym): przeciwko temu ja nic nie mam, i pod tym względem „amerykanizmu“ waszego nie potępiam. Żyjcie, bawcie się, kształćcie się, rządźcie się po swojemu, po demokracku czy po republikańsku, byle tylko zawsze w duchu prawdziwie Chrystusowym, w duchu katolickim“.

Oto mniej więcej treść owego Listu Papieskiego. I gdzie tu zamach na polszczyznę, niemczyznę lub inne narodowości? Czyż przeciwnie przez ten List nie doznała właśnie porażki ta partja katolików, której ś. p. ojciec Hecker a obecnie biskup Ireland przewodzi, a która właśnie do wytępienia narodowości a zamerykani-

zowania Kościoła dążyła? Nie sądźmy płocho, zwłaszcza Ojca św., bo to nierozum i — grzech.

X. Wacław Kruszka.

W owym czasie „Dziennik Milwaucki“ ogłosił, jakoby ks. Wacław Kruszka z Ripon starał się o wakujące od dłuższego czasu probostwo w Beaver Dam, i jakoby w tym celu prośbę wniósł do komitetu parafjalnego w Beaver Dam i do księży w Milwaukee.

Na to „Kurjer Polski“ dał „Dziennikowi Milwauckiemu“ taką odpowiedź:

Zapytaliśmy się ks. Kruszki w Ripon, i oto co nam odpowiedział:

„Wiadomość ta jest z palca wyssaną. Nie prosiłem ani komitetu w Beaver Dam, ani księży w Milwaukee, żeby się dla mnie starali o parafję Beaver Damską. Parafji nie obsadzają, a przynajmniej obsadzać nie powinni, ani komitety ani księża, lecz tylko biskup. Jestem każdego czasu na rozkazy Arcybiskupa. Jeżeli Arcybiskup rozkaże, to pójdę do Breaver Dam — inaczej nie. Starać się o parafję przez lud lub księży — jak to proboszczowie dwóch najstarszych parafij w mieście uczynili — to znaczy wchodzić do kościoła przez okna, zamiast drzwiami. Żal mi polskiego ludu w Beaver Dam, że tak jest opuszczony, bo to dobry lud, i mnie by zapewne dobrze między nimi było, ale już co do dochodów, z pewnością lepiej niż tu w Ripon. Ale ani życzliwość ludzi, ani dochody nie decydują w tym względzie, a przynajmniej decydować nie powinny u dobrego pasterza — lecz biskup decyduje! Dobry pasterz drzwiami wchodzi do parafji — oknami wchodzą tylko złodzieje, którzy chcą owieczki obłupić, zamiast je paść“.

Znowu z Lorain, Ohio, dnia 6 lipca r. 1900 pisał mi komitet parafjalny S. Selwa, Fr. Wiciński, P. Labucki, L. Podgórski: „Drogi Ojcze! Założylim drugą Polsko-Rzymską Parafję w Lorain, Ohio. Ale nie mamy duszpasterza. Jest nas przeszło 200 familij oprócz samotnych i chcielibyśmy Wiel. Księdza za swego Pasterza jeżeli możebne. Wszyscy parafjanie się za Wiel. Księdzem oświadczają. Prosimy nam dać odpowiedź, na którą będziemy z niecierpliwością oczekiwać“.

Takich próśb z Ohio, Pensylwanji, New-Yorku, a nawet z Kalifornji, przedtem i potem było bez liku. Na takie listy stale odpowiadałem tak: Obejmę waszą parafję, jeśli mój arcybiskup i wasz biskup na to się zgodzą. To zaraz rzecz załatwiło definitywnie.

26. Gromadzenie materjału do Historji Polskiej w Ameryce przez odezwy, listy, podróże i próbne wydawanie Historji w gazetach. — Ma i Historja swoją historję.

Między rękopisami w swej tece znajduję pierwszą moją odezwę do rodaków w sprawie „Historji Polskiej w Ameryce". Z tej odezwy widać, że pierwotnym zamiarem moim było dać tej historji tytuł „Polska za morzem". Odezwa bowiem tak brzmi:

„Polska za morzem".

„Pod powyższym tytułem przygotowuje się do druku olbrzymie dzieło, mające objąć dzieje wychodźtwa polskiego tak północnej jak i południowej Ameryki. Niema poprzestać na ogólnym poglądzie dziejowym, lecz ma opowiedzieć także szczegółowe dzieje każdej poszczególnej osady polskiej, jej początek i rozwój historyczny pod względem religijnym, patrjotycznym i ekonomicznym. Chodzi bowiem o skreślenie jak najdokładniejszego obrazu życia pierwszych pokoleń wychodźtwa polskiego.

A te pierwsze pokolenia już wymierają albo bliskie są grobu. Mamyż pozwolić, aby razem z tymi pierwszymi osadnikami i początkowe dzieje naszego wychodźtwa zstąpiły do grobu? Nie! Trzeba spisać to co się od nich słyszy póki żyją, z jakim oni to trudem walczyli o byt na tej nowej ziemi, jak i kiedy i na jakich zasadach zakładali parafje, towarzystwa, związki, bractwa, spółki rolnicze. Ojcowie rodzin, nie dajcie zamierać tym wspomnieniom z pierwszych lat waszego na obczyźnie pobytu, które to wspomnienia dla was jeszcze są świeże i bliskie, ale dla dzieci waszych oddalają się, zacierają i nikną — i jeżeli wczas spisane nie zostaną, znikną i utoną w niepamięci zupełnie.

Ale inny jeszcze wzgląd pobudza mię do spisania tych dziejów naszej nowej Polski. Powiadają, i tu i w starym kraju, że my się wynarodowimy, że w przyszłych pokoleniach utoniemy w morzu anglicyzmu, tak, że nie pozostanie po nas jako Polakach ani śladu. Nie daj Boże, aby się to stało. Ale żeby to się nie stało, ku temu służy właśnie historja. Ona słusznie zwaną jest mistrzynią życia. Przyszłe pokolenia nie tak prędko się wynarodowią, jeśli dzieje swoich ojców i praojców — nie dalekich tylko — ale tych bliskich, co tu już żyli na ziemi amerykańskiej, jeżeli, mówię, te dzieje pod ręką mieć będą i ciągle na pamięć przywodzić sobie będą: jak to oni o kościoły i szkoły polskie dbali, jak się organizowali i wzajem wspomagali, żeby zachować wiarę i narodowość.

Owe dzieje ojczyste starego kraju, jako zbyt dalekie, nie tak ich interesować będą, ile te dzieje na tej samej ziemi, na której oni się urodzili. Jeżeli te bliskie zginą im z pamięci, to i o tamtych dalekich pamiętać nie będą.

„Te i inne względy, jako i zachęty ze strony wielu rodaków tak tutejszych jak i starokrajskich, skłoniły mię do spisania dziejów „Polski za morzem".

„Jest to bezwątpienia przedsięwzięcie trudne i — niejeden powie — niemożliwe. Ale „trudności" nie powinny nikogo zrażać, owszem zachęcać powinny do dobrego dzieła. A jeśli Pan Bóg pobłogosławi i dobrzy ludzie pomogą, możliwem się stanie i dzieło do skutku przyjdzie, choć nie zaraz, nie w jednym roku, to w przeciągu lat kilku.

„Rodacy na obczyźnie! Nie dajmy zamierać wspomnieniom naszych ojców, pionierów i pierwszych osadników w tej przybranej ojczyźnie; wspomnieniom, które do was przeszły ustną tradycją a dla dzieci waszych oddalają się i nikną; budźmy zapał w pokoleniu, które na wiele ideałów, a nawet na ideał ojczyzny, ostyga.

„Materjału historycznego, a nawet rycin budowli i osób polskich, mam już sporo pod ręką. Ale to nie wystarcza. Dzieło to musi być wyczerpujące, musi objąć całe wychodźtwo polskie na tej półkuli ziemskiej w ogóle i w szczególe każdą z osobna osadę polską.

„Dlatego niniejszem wzywam wszystkich szan. konfratrów, prezydentów zjednoczeń, związków, unij, lig i t. p., dalej prezydentów miejscowych towarzystw bractw lub spółek rolniczych, ażeby każdy o swojej osadzie, parafji, o swoim związku, zjednoczeniu lub bractwie jak najdokładniejsze wiadomości mi przysłał. Tudzież upraszam redaktorów pism, byłych i obecnych, nauczycieli i przełożonych sióstr zakonnych, architektów, doktorów, polityków itd. itd.

„Ażeby szan. rodakom ułatwić to zadanie, proszę mianowicie odpowiedzieć mi na następujące pytania pod względem 1) religijnym 2) patrjotycznym, 3) politycznym, 4) zawodowym, 5) ekonomicznym: kto, kiedy i gdzie pierwszy osiadł? ile rodzin? ile dusz? z pod którego zaboru?...".

Na powyższą odezwę nadchodziły zewsząd liczne odpowiedzi, skąpe i obfite. Poczta ripońska była bardzo wygodną dla mnie. Do Ripon nadchodzą pociągi kolejowe z pięciu stron świata. Listonoszów naówczas ieszcze nie było. Ale miałem własną skrzynkę

na poczcie. Więc piętnaście minut po nadejściu każdego pociągu, pięć razy na dzień, dostawałem swoje listy i papiery. Listy z Galicji, jeśli były greckiemi literami adresowane do Greków w Ameryce, przychodziły często także do Ripon, chociaż w Ripon żadnego Greka nie było. A dlaczego? Oto dlatego, że poczta, nie znając liter greckich, widziała w adresie wyraz „Kyrion", to znaczy „Pan" ten i ten. A że „Kyrion" po grecku pisany wyglądał bardzo podobnie do wyrazu „Ripon", gdyż **r** po grecku pisze się jak **p**, więc poczta sądziła, że list miał iść do Ripon. Ale do kogo w Ripon? Pocztmistrz ripoński takie listy dawał mnie, a ja mu wtedy tłumaczyłem, że list ma iść do „pana" tego i tego w mieście tem a tem w stanie Alamba lub Mississippi. To mimochodem.

Listy, odnoszące się do mojej projektowanej „Historji Polskiej w Ameryce", były ciekawe. Były albo zachęcające, albo zniechęcające. Obojętnych wcale nie było. Między innemi znamienny jest list następujący. Napisał go ksiądz doktor Tomasz Stabenau, mój dawny (z roku 1891) kolega z Rzymu, który mię tak swego czasu namawiał do Ameryki", mówiąc, że ja „stworzony jestem dla Ameryki". Otóż ten ks. dr. T. Stabenau, doktor filozofji, w liście z Salamanca, N. Y., dnia 2 lipca r. 1900, tak mi pisał:

„Mój drogi Ks. Wacławie! Widzę z Twego listu, że zabrałeś się do wielkiej wagi dzieła „Historji Polskiej w Ameryce". Takie dzieło przyniosłoby wielką korzyść tutejszej Polonji a Tobie wielką zasługę i chwałę. Rozważyłeś sobie, drogi Wacławie, jak trudne i prawdopodobnie **niewdzięczne** (co przyszłość okaże) pole obrałeś dla Swego płodnego pióra?

„Przecież nie napiszesz tylko chronologji statystycznej, jak z Twych pytań się okazuje, ale o ile mogłem Cię zrozumieć, chcesz skreślić fakta dziejowe największego odłamu Emigracji Polskiej w Ameryce. Z jakich źródeł będziesz czerpał Twe wiadomości? Nasza Emigracja jest tak młoda, że obecnie możesz czerpać jedynie ze źródeł **żywych**, i dlatego właśnie dla historyka bardzo niebezpiecznych.

„Zapytasz księży i osoby świeckie nietylko o fakta (natury chronologicznej), ale o **zdania** w różnych kwestjach, tworzących właściwie tło historyczne (w przyczynach i skutkach) naszego rozwoju. Będziesz mógł polegać na szczerości i bezstronności tych zdań? Potrafisz sam z tych przeróżnych zdań i opinij utworzyć bezstronną i sumienną opinję własną? Muszę Ci wyznać, drogi Ks. Wacławie, że w tych paru latach życia kapłańskiego napotka-

łem tyle hypokryzji, fałszu, blichtru i zdań tak ograniczonych egoizmem w sprawach ogólnych (t. j. dobra ogółu), że przyszedłem do przekonania tego, aby nie spuszczać się na tak zwane (per ironiam) „źródła poważne i wiarogodne", ale sam o wszystkiem się przekonać, sam wszystko zbadać, co dla piszącego historję jest niemożebnem. Jak więc z tego szczególniejszego chaosu utworzyć klejącą się a objektywnie prawdziwą całość historyczną, tego nie wiem, a czy Ty to zdołasz utworzyć, przyszłość okaże.

„Kochany Ks. Wacławie! Czy przez parę powyższych słów masz się zniechęcić? Boże broń! Jeżeli P. Bóg dał Ci dar pisania, toć Twym obowiązkiem tym talentem obracać, aby sowity procent przyniósł. Powyższych parę słów ma to na celu, abyś ostrożnie, powoli, ale gruntownie (festina lente), sumiennie i bezstronnie o nas pisał — o ile można sam wszystko badał, przepisywał, przekreślał, naprawiał (chociaż sto razy, bo to warta) tak długo, aż mógłbyś sumiennie powiedzieć, już inaczej, lepiej i bezstronniej pisać nie mogę. Na cóż ta historja ma się ukazać jeszcze tego roku, napisana pobieżnie i prędko (po amerykańsku), gdy mogłaby wyjść i rok później jako dziełko poważne i gruntowne. Non multa sed multum.

„W każdym razie, Ks. Wacławie, widząc trudność Twego przedsięwzięcia i zadania, chętnie Ci dopomóc jestem gotów, i dlatego możesz na mnie liczyć. Może prędzej, może później przyślę Ci te wiadomości, które już posiadam i które jeszcze od swych przyjaciół, tak duchownych jak i świeckich, zbiorę. Napiszę tak, że będę mógł powiedzieć (szkoda że Piłat tak powiedział): „Quod scripsi, scripsi".

„Tymczasem niechaj Opatrzność Boska, która kieruje losami naszej Polonji Amerykańskiej, kieruje zarazem Twą wolą, rozumem, roztropnością i piórem, aby dziełko Twe pisane odpowiadało dziełu w rzeczy samej. Tego Ci życzę, całuję Cię serdecznie, pozdrawiam i pozostaję życzliwym Ci w Chrystusie, X. Stabenau."

Chcąc „sam wszystko badać", byłem i u ks. Stabenau w Salamanca, N. Y. Jesienią r. 1900 podróżowałem także po Pennsylwanji, gdzie między innymi stary ks. Gramlewicz w Nauticke, znający napamięć dzieje wszystkich parafij w diecezji Scrantońskiej, opowiadał mi je, a ja spisywałem. Gdy opowiadał o biskupie, a widział, że ja to wszystko piszę, zawołał gromkim głosem: „Nie pisz tego! To ci mówię tylko na ucho, a nie do historji!" — Zacny a zabawny i gościnny był ten ksiądz Gramlewicz. Starzy osadnicy świeccy także dużo mi opowiadali. Dalej ks. Zychowicz i ks. Kło-

nowicz. A ks. M. Fr. Kopytkiewicz obiecał mi nadesłać piśmienny materjał historyczny i obietnicy dotrzymał, jak świadczy następujący list jego z Shamokin, Pa., 11 grudnia r. 1900:

„Wiel. X. Proboszczu! Słowo to nie wiatr. Co się powiedziało i co się przyrzekło, to się spełnić powinno! Przysyłam szkic krótki wszystkich parafij polskich w mieście Philadelphji i w okolicy. O ile mogłem, o ile pamięć mnie nie myli, byłem ścisłym co do dat poszczególnych. Skreśliłem nadto dosyć wiernie rozwój obcych tam parafij. Wkrótce będę się starał przesłać krótką historję rozwoju parafji w Baltimore, najprzód jednak zasięgnąć mi wypadnie pewnych dat od miejscowych księży baltimorskich. Z głębokim szacunkiem X. M. Fr. Kopytkiewicz."

Ale było też dużo takich świeckich i duchownych, których „słowo było wiatrem", których obiecanki były cacanki. Byli to obojętni lub ospali lub niewierni Tomasze, którzy wprost wierzyć nie chcieli w moją „Historję" dopóki jej w druku nie ujrzą na własne oczy. Boć wielu już przede mną gromadziło materjały do historji, a z niej potem były nici. Do takich nadaremno listy pisywałem, lub nawet gotowy już opis osady posyłałem im tylko do przejrzenia i poprawy. Nie odpowiadali mi nic.

Żeby takich niewiernych Tomaszów namacalnie przekonać, zabrałem się do dzieła na serjo; i żeby ospałych i niedbalców obudzić ze snu, postanowiłem moją „Historję Polską w Ameryce" bez dalszej zwłoki drukiem ogłaszać najpierw w gazecie, zanim ją wydam we formie książki. I to miałem na myśli, kiedy pisałem do ks. dr. Stabenau, że „ta historja ma się ukazać jeszcze tego roku" (1900), a on, nie wiedząc o tem, że mam na myśli tylko próbne wydanie w gazecie, ganił mój pośpiech. To próbne wydanie historji w gazetach (w „Kurjerze" codziennym i tygodniowym i w „Gaz. Wisconsinskiej"), opracowane miejscami naumyślnie sposobem **zadzierżystym,** rzeczywiście poskutkowało nadspodziewanie. W niejedną ospałą osadę jakby kijem w ul uderzyłem, osadniki jak pszczoły mnie obsiadły i gryzły za to, że ich osadę źle opisałem albo pobieżnie albo całkiem milczeniem pominąłem. „Jak on nas tam opisał? O innych więcej napisał niż o nas. Co on tam o nas popisał? To przecie tak nie było! A o naszej osadzie to wcale nic nie pisał." W ten sposób zadrasnąłem niedbalców, ukłułem i ubodłem ospałych, a z niektórymi zadarłem na dobre. I właśnie z tych miejsc, z których dotąd skąpe miałem wiadomości, teraz całe worki materjału historycznego napływały do plebanji w Ripon.

Tego właśnie chciałem. Ogłoszenie Historji najpierw w gazecie to właśnie miało na celu. I w miarę, jak się Historja ukazywała w gazetach (od 1 września 1901 do grudnia 1904), z dniem każdym zmniejszała się moja troska o nagromadzenie materjału historycznego a rósł tylko kłopot o uporządkowanie nagromadzonego materjału.

Ma i Historja swoją historję.

27. Tworzenie nowej ogólnej organizacji. — Nie przez Federację wytworzymy zgodę, lecz przez zgodę wytworzymy Federację.

Ogólna organizacja, jeśli ma być w narodzie czy ludzkości, niech będzie naturalną, a nie sztuczną i powierzchowną. Zawsze czułem i czuję wstręt do sztucznych organizacyj, lig i federacyj. Liga Narodów, jeśli ma być, niech będzie naturalną i istotną, a nie sztuczną i powierzchowną.

Czego brak narodom? czego potrzebuje ludzkość cała? Ligi Narodów? formy zewnętrznej? Nie formy zewnętrznej, lecz ducha jedności wiary potrzebuje ludzkość cała.

Katolicyzm przez usta św. Pawła oddawna już mówił i mówi do wszystkich narodów: „Jednoście ciało i duch jeden!“ Tej prostej a wielkiej prawdy krócej wypowiedzieć nie można. **Naród** jest tem w ludzkości, czem **narząd** (organ) w ciele. Rodziny i jednostki są tem w narodzie, czem tkanki i komórki są w narządach. A te komórki, tkanki i narządy, jedną ożywione duszą, tworzą jedno harmonijne ciało. Tak te jednostki, rody i narody, jeśli jednym ożywione duchem, tworzyłyby jedną harmonijną ludzkość, wolną od zatargów wojennych. Jednoście ciało i duch jeden! Dopóki tej prostej a wielkiej prawdy zrozumieć nie chcemy; dopóki tą prostą a wielką prawdą nawskroś się nie przejmiemy; dopóki tej prostej a wielkiej prawdy w życie nie wprowadzimy: — dopóty nie marzmy i nie mówmy o Lidze Narodów, bo chociażby do skutku przyszła, będzie ona li tylko sztuczną i powierzchowną, a nie naturalną. Nie przez Ligę Narodów wytworzymy zgodę narodów, ale przeciwnie przez zgodę i jedność ducha wytworzymy dopiero prawdziwą Ligę Narodów. Wtedy Liga Narodów będzie naturalną i istotną, a nie sztuczną i powierzchowną, kiedy będzie naturalnym wynikiem ducha jednego. O tę jedność ducha **najpierw** starać się trzeba, a nie o formę.

Tę prostą a wielką prawdę przypomniałem roku 1900 tym naszym działaczom społecznym, którzy po poronionej Lidze z roku

1894 chcieli amerykańsko-polskiemu społeczeństwu narzucić nową ogólną organizację i przyodziać je nową zewnętrzną szatą tak zwanej Federacji. W „Kurjerze Polskim“ ukazały się dwa następujące artykuły:

Czego nam niedostaje?

Czego brak polsko-katolickiemu obozowi w Ameryce? Nie formy zewnętrznej, lecz ducha i treści nam niedostaje! Form zewnętrznych, to jest organizacyj, jak Unij, Zjednoczeń, Stowarzyszeń i t. p., mamy już poddostatkiem. Niektórym jeszcze ich nie dosyć, więc tworzą nowe, jak świeżo w Connecticut. „Naród Poski“ tem się gorszy. Nie ma się znowu tak bardzo z czego gorszyć. Głowy organizacyj tych, każda z osobna, chce nosić swój kapelusz, to jest naturalne; a dziwacznemby było, chcieć wszystkie te głowy różnych organizacyj — jednym pokryć kapeluszem! Jakby to wyglądało?

A jednak marzą niektórzy o uformowaniu takiego potwornego kapelusza. Ba, już go uformowali — w kształcie federacji wszystkich organizacyj polsko-katolickich“! Z wsadzeniem tylko na głowy tej olbrzymiej „federatki“ jest pewna trudność. Głowy pod ten jeden kapelusz kryć się nie chcą.

I o cóż chodzi zwolennikom „federacji“? Chodzi — mówią — o wytworzenie silnego stronnictwa katolickiego. — Czyż to możliwe bez zgody i jedności? Niemożliwe — odpowiadają — właśnie dlatego chcemy „federacji“, zespolenia w jednę organizację wszystkich istniejących organizacyj. — Czyż tak wiele na tem zależy, na tej zewnętrznej formie federacji? A oczywiście, bo bez tego między nami nie będzie jedności i zgody — powiadają.

Lecz w tem się mylą i łudzą. Jeżeli w naszych Zjednoczeniach, Unjach i t. d. niema zgody, miłości i jednomyślnej działalności, teraz, kiedy każda mieszka pod swoim dachem i z osobna samodzielnie się rządzi, to nie będzie tej jedności i wtedy, kiedy wspólnie pod jednym dachem gmachu federacyjnego radzić, sejmować i rządzić się będą.

W federacji jeszcze gorzej będzie. Czy kto kiedy dwa złe i niezgodne z sobą psy starał się pogodzić w ten sposób, żeby je do jednej budy zamknął? Czyż przez to nie poczęłyby się tem bardziej gryźć?

Nie o zamknięcie wszystkich poszczególnych organizacyj w jedną zewnętrzną organizację nam chodzić powinno. Taka formalność

to rzecz mniejszej wagi. Głównie nam chodzić powinno o „zestrzelenie myśli w jedno ognisko. I w jedno ognisko duchy.“ Najpierw treść musi być, zanim o formie mowa być może. Gdy między nami duch będzie jeden i jedna myśl, — to o resztę już fraszka. Jeden duch, jedna myśl — mimowoli jedno przyoblecze ciało organizacyjne. A zatem chodzić nam powinno przedewszystkiem o wewnętrzną pracę ducha, pracę nad udoskonaleniem siebie, o energiczną walkę — nie z innymi — lecz z samym sobą, ze swojemi złemi nałogami, z wadami narodowemi, jako to: żeby usunąć chwiejność zdań a zastąpić ją stałością przekonań, żeby się pozbyć tchórzliwej nieśmiałości a zastąpić ją, gdy potrzeba, odważną i prawdomówną szczerością; żeby usunąć od steru czynów niepewne uczucie i kapryśną fantazję a postawić w ich miejsce — zasady pewne i niewzruszone. Jednem słowem, chodzić nam powinno o wytworzenie — nie „stronnictwa“ katolickiego, ponieważ nie mamy tu życia parlamentarnego — ale silnego zastępu rzetelnych katolików, szczerze miłujących Boga i Ojczyznę. Tylko tą drogą duchowej pracy nad sobą, wyrobimy w sobie ducha zgody, wyżłobimy jedno koryto, którem połączone usiłowania nasze ku zamierzonemu celowi popłyną z siłą dotąd niewidzianą, z pędem przezwyciężającym wszelkie zapory i przeszkody. Gdy ta moc ducha będzie, moc zgodnych dążeń i myśli, skierowanych ku jednemu celowi, — mniejsza wtedy o stronnictwa, organizacje, stowarzyszenia, unje i tym podobne zewnętrzne formy.

Ale jak połączyć usiłowania, nie tworząc stronnictw? — zapyta niejeden.

Otóż w tem tkwi błąd zasadniczy u nas Polaków w Ameryce, że przywiązujemy zbyt wielką wagę tym właśnie zewnętrznym formom organizacyjnym tak czczym i bezpłodnym samym w sobie. Jak w polityce amerykańskiej czcią niemal bałwochwalczą przywykliśmy otaczać formy to demokratyczne to republikańskie, tak w sprawach naszych ojczystych i religijnych oddajemu tu ślepą cześć, jedni formie Związkowej, drudzy Zjednoczeniowej, trzeci Unijnej i t. d. Są to formy, nic więcej. Bo czemże więcej są? Jeżeli się głębiej zastanowimy, to poznamy, że wszelkie stronnictwo, wszelka organizacja społeczna, jest tylko ramą, jest formą, ułatwiającą działanie; siłę zaś i znaczenie stronnictwa, stowarzyszenia, grupy, stanowi jedynie stopień przejęcia się jego członków duchem, który je do życia powołał, myślą, której ono jest wyrazem.

Czczą i bezpłodną jest organizacja społeczna, gdy duch jest słaby; niepotrzebną, a przynajmniej nie niezbędną jest ona tam, gdzie stopień sharmonizowania myśli i dążeń jest wysoki. Kiedy wśród społeczeństwa myśl pewna ogarnie wiele umysłów, uczucie zapali wiele serc, wtedy wytwarza się prąd, który nie potrzebuje formy zewnętrznej, by promienieć, rosnąć, potężnieć. Z jednego dążenia rodzą się wówczas jedne środki działania i ujednostajnienie usiłowań staje się ich połączeniem, organizacją, federacją.

X. Wacław Kruszka.

Czego mamy za wiele?

„Mężowie zaufania“ — z Chicago oczywiście bo w której inej osadzie mężów tego pokroju znaleść możesz? — zamiast na pytanie: „Czego nam niedostaje“, żądają odpowiedzi na to: „Czego mają za wiele?“ Otóż z pewnością nie rozumu politycznego, lecz za wiele — naiwności dziecinnej. Mamy za wiele starych dzieciaków, tak zwanych przez starożytnych „pueros centum annorum“, zestarzałych wiekiem ale umysłów zdziecinniałych. Plastyczny przykład takich „stuletnich chłopiąt“ mamy w redaktorach „Dziennika Chicagoskiego“. Poznać po słowie, co się dzieje w głowie, — i tak też po ich odpowiedzi na mój artykuł, zachęcający do zgody, nie formalnej i pozornej, lecz istotnej i rzeczywistej, poznać się daje ich zdziecinniały umysł.

Pewien dziki Indjanin po raz pierwszy w życiu swojem spotkał się z lustrem. W miarę jak się poruszał i zbliżał do lustra, zbliżała się i jego podobizna w lustrze ku niemu. Myśląc naiwnie, że ktoś przeciwko niemu idzie, jego ruchy naśladuje i przedrzeźnia, Indjanin we własnej swojej podobiźnie ujrzał przeciwnika i — zaatakował lustro.

Kubek w kubek to samo, co ten naiwny Indjanin z lustrem, uczynili „mężowie zaufania“ z Chicago z tym artykułem „Czego nam nie dostaje“. Zamiast widzieć w tym artykule, a zwłaszcza w tem porównaniu z niezgodnymi psami i budą, swoją własną ilustrację, ujrzeli podejrzanego przeciwnika i — zaczepili artykuł.

„Ależ ten artykuł nie odzwierciadlał naszej podobizny, bo między nami panuje przykładna zgoda, a to porównanie pokazywało niezgodę organizacji“. — Temci lepiej, lecz po co się wtedy gniewać i uważać je za swoją podobiznę? Czy kto widział obcą fotografję uważać za swoją, kiedy ta nie ma nic a nic do niego po-

dobnego? Dałby Pan Bóg, żeby i ów artykuł nie odzwierciadlał bynajmniej naszych stosunków! Lecz czyż tak jest?

Mężowie zaufania odpowiadają, że tak jest, że panuje zgoda między polsko-katolickimi organizacjami. „Dziennik Chicagoski" powiada, że „do tej pory nic nam nie wiadomo" żeby panowała niezgoda. A „Gazeta Katolicka" zarzuca mi, że „wyszedłem z fałszywego założenia", suponując niezgodę między naszymi organizacjami. Uwierzyłbym, gdyby te oświadczenia były czemś więcej niż gołosłownem twierdzeniem. Doświadczenie bowiem — a contra experimentum nullum argumentum — i fakta przekonają nas nie o zgodzie, lecz o czemś wręcz przeciwnem. Alboż to nie jest faktem, że organizacje nasze coraz bardziej się rozdrabniają. Czyż temu kto zaprzeczy? A jeżeli się rozdrabniają, to stawiam logiczne to drugie pytanie: czemu ten objaw przypisać, czy zbytniej miłości i zgodzie, czy też — niezgodzie? każdy nieuprzedzony musi odpowiedzieć, że nie przykładna zgoda odłączyła Unję i Stowarzyszenie od Zjednoczenia, lecz właśnie niezgoda.

Wiem atoli dobrze i wierzę w to mocno, że jak niezgoda nasze organizacje rozłącza, tak znowu zgoda je połączyć i pojednać może. Choć co prawda, mówi nasze przysłowie, że „pojednana przyjaźń nie dłużej trwa jak marcowy lód" — to jednak pochwały godną jest ta dążność do pojednania i zgody. Bo o tę właśnie zgodę i o to pojednanie rozchodzić się powinno na pierwszem miejscu. Zgoda przedewszystkiem, a drugorzędną kwestją jest Federacja, która już zresztą będzie naturalnym jej wynikiem. Nie przez federację zgoda do skutku przyjdzie, lecz przez zgodę — federacja. Nie „przez wytworzenie głowy zbiorowej, reprezentowanej przez mężów zaufania" — jak „Dziennik Chicagoski" chce — zapanuje jednomyślna zgoda między organizacjami (bo któż je przymusi do posłuchu tej „zbiorowej głowie" mężów zaufania?) — lecz przeciwnie przez jednomyślną zgodę dojdziemy do wytworzenia takiej zbiorowej głowy i najwyższego trybunału opinji publicznej, że też to tego punktu, który sądziłem już dostatecznie wyjaśniłem w owym artykule „Czego nam niedostaje", nasi „mężowie zaufania" jeszcze nie rozumieją, czy rozumieć nie chcą.

Wyobraźmy tedy sobie, że ktoś przychodzi na plac budowy. Widzi murarzy i widzi kupy cegły, ale nie widzi nigdzie cementu. Pomimo to, mularze zabierają się do roboty stawiania muru, kładąc gołe cegły jednę na drugiej, bez spajania ich cementem. Pyta ich: „Co robicie"? — „Chcemy wszystkie cegły połączyć ze sobą, by

wystawić gmach". — „I bez cementu?" — Cegły same, skoro je tylko ułożymy i połączymy ze sobą w jeden gmach, wytworzą spójnię silną jak cement".

Co byśmy odpowiedzieli takim murarzom? — Oszaleli!

Lecz zupełnie to samo odpowiedzieć musimy tym, którzy sądzą, że przez federację wytworzą zgodę, a nie przeciwnie. By cegły i cegiełki naszych organizacyj i towarzystw i grup spoić w jedną wielką całość, w jeden społeczny gmach federacyjny, niezbędnym jest do tego celu środkiem cement miłości i zgody. Bez tego cementu wszelka robota federacyjna daremna. A tego nam brak. Czego natomiast „mamy za wiele?" to tych pięknobrzmiących frazesów i nazw, oznaczających zgodę i miłość! Mamy za wiele takich nazw jak „Zjednoczenie", „Unja", „Zgoda", „Stowarzyszenie" itd. itd. i jeszcze „Federacja" — takich i tym podobnych nazw bez rzeczy mamy za wiele, a lepiejby było żebyśmy więcej rzeczy bez nazw mieli, więcej w rzeczy samej jedności, miłości i zgody. Tego cementu, tej spójni, tego nerwu rzeczypospolitej nam brak. A nie nabędziemy go przez pogardliwe spoglądanie z wyżyn chicagoskich na niziny riposkie. Miłość miłością wymiłować trzeba. Sztucznie wytworzyć się nie da.

Rybom woda,
Ludziom zgoda.
Bez niej nic!

X. Wacław Kruszka.

28. Odsłonięcie obrazów w kościele Niep. Poczęcia w South Chicago. — Geneza broszurki „The Unbeliever" i czek od Lorda Ripon z Anglji.

Przedwcześnie zgasły ś. p. ks. Franciszek Nowacki, urodzony właśnie w Ripon, zastępował mnie w Ripon w sierpniu r. 1900. Na zaproszenie ks. Wojtalewicza wyjechałem do Chicago, gdzie w niedzielę 19-go sierpnia 1900 r. w kościele M. B. Nieustającej Pomocy na Bryczporcie powiedziałem kazanie na sumie a wieczorem w South Chicago miałem odczyt przy odsłonięciu wielkich i wspaniałych obrazów ściennych w sanktuarjum kościoła Niepokalanego Poczęcia. Takie obrazy są ważnym czynnikiem w uświętobliwianiu dusz ludzkich. Są otwartymi książkami do nabożeństwa, większymi niż Dunina. Są to dobre obrazy, a nie bohomazy. Często obraz świętego bywa „obrazą" świętego: nie wyobraża go, lecz obraża.

Jak istota człowieka składa się z duszy i ciała, tak do istoty obrazu należą te dwie części składowe: zewnętrzna malatura i idea poza nią ukryta. Malatura stanowi formę a idea treść obrazu. Żeby obraz był doskonałym, musi mieć i formę kształtną i ideę piękną. Musi w nim forma z ideą harmonijnie się zlewać.

W obrazie religijnym szukamy nie samej piękności przyrodzonej lecz i nadprzyrodzonej. Musi więc być idea przedstawiająca prawdę nadprzyrodzoną. A czy fakta historyczne są prawdami nadprzyrodzonymi? Czy te dwa obrazy, przedstawiające dramat historyczny z dziejów narodu naszego, mają cechę religijną? Jeżeli na te obrazy patrzymy li tylko okiem ciała, okiem poganina, to cóż widzimy? Widzimy na pierwszym obrazie wielką śmiałość biskupa Stanisława, który odważył się karcić króla Bolesława za jego występki; a w następstwie tego widzimy na drugim obrazie, jak biskup tę swoją śmiałość przypłacił życiem: widzimy tu triumf i zwycięstwo siły brutalnej, siły pięści i miecza.

Ale inaczej przedstawia nam się ten wypadek historyczny, jeśli nań patrzymy okiem chrześcijanina ze stanowiska nadprzyrodzonego, ze stanowiska wiary świętej. Wtedy w tym biskupie św. Stanisławie, stawającym z nieustraszoną odwagą przed strasznym, potężnym a śmiałym królem; w tym biskupie karcącym i wyklinającym króla za jego rozwiązłość, widzimy żywe uosobienie tej idei chrześcijańskiej, tej prawdy nadprzyrodzonej, zawartej w tych słowach Chrystusowych: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało a duszy zabić nie mogą: ale raczej bójcie się Tego, który i duszę i ciało może zatracić do piekła“ (Mat. 10, 28). Oto prawda ewangeliczna, tak graficznie i po mistrzowsku uplastyczniona w pierwszym obrazie.

A drugi obraz, będący następstwem pierwszego, przedstawiający nam śmierć męczeńską św. Stanisława z rąk wyklętego króla, unaocznia nam tę drugą prawdę nadprzyrodzoną, mieszczącą się w tych słowach Chrystusa: „Ktoby chciał zachować życie swe, straci je; a ktoby stracił życie swe dla mnie, znajdzie je“ (Mat. 16, 25). Król Bolesław chciał zachować życie swe rozwiozłe, chciał w sprosnościach żyć dalej; i dlatego usunął biskupa, bo mu zawadzał; ale „stracił je“, stracił i tron i jak Kain stał się tułaczem i zbiegiem. Św. Stanisław zaś z ręki Bolesława stracił swe życie doczesne, ale zyskał wieczne, zyskał i na tej ziemi nieśmiertelną sławę w całym Kościele.

Oto idee, uwidocznione na ścianach tego kościoła (Niepokalanego Poczęcia w South Chicago), które z historycznych obrazów czynią je zarazem religijnymi. Św. Stanisław przedstawia się tu jako typ polskiego kapłana, który potrafi ponieść największą ofiarę, nawet ofiarę życia, dla sprawy Chrystusowej. Bolesław zaś przedstawia się jako typ chłopa o pogańskiej jeszcze duszy, który nie cofnie się przed wstrętną zbrodnią, byle zemścić się na księdzu znienawidzonym.

W lecie tego roku 1900 przyjeżdżał do mnie często młody pastor luterski z pobliskiego Rosendale. Dawałem mu swoje książki i zeszyty do oprawiania, gdyż miał on przy sobie ojca swego, który był introligatorem. Młody ten pastor uskarżał mi się, że wielu z jego parafjan, skoro tylko do rozumu i oświaty dojdą, odpada od wiary i stają się zupełnymi niedowiarkami albo materjalistami. I zapytał:

— Dlaczego się to dzieje?

— Bo nie umieją pogodzić wiary z rozumem — odpowiedziałem. — Trzeba albo we wszystko wierzyć co Bóg objawił, albo w nic. Wiara musi być albo katolicką albo żadną.

— A czy można wogóle wiarę pogodzić z rozumem?

— Nie fałszywą wiarę czyli nie waszą luterską wiarę. Tej nie można pogodzić z rozumem. I dlatego wasz Luter sam uważał rozum ludzki za największego wroga wiary waszej.

— A czy można wogóle wiarę pogodzić z rozumem?

— Nietylko można, ale i trzeba, bo Bóg wymaga od nas nie ślepej lecz rozumnej wiary.

— My lutrzy zawsze sądziliśmy, że Kościół katolicki uczy ślepej wiary.

— Wy tak sądzicie, bo wam nauki katolickiej w seminarjach nie wykładali; a jeśli wykładali, to nie ze źródeł katolickich.

— A czy w katolickich seminarjach zaznajamiają was z nauką Lutra?

— Owszem, i jeszcze jak gruntownie! I nietylko to, co Luter uczynił, musi każdy katolicki student wiedzieć. On musi znać naukę każdego heretyka, począwszy od I wieku aż do naszych czasów. Bo wiedza, to potęga. I ten jest najmędrszy, kto zna najwięcej głupstw a najmniej ich popełnia.

— I nie boją się wasi studenci, żeby zlutrzeli i sheretyczeli?

— Nauka katolicka nie boi się żadnej herezji, lecz każdej śmiało w oczy spogląda. Czy i wy nauce katolickiej śmiało w oczy

spoglądacie? czy ją znacie tak jak my waszą luterską znamy? Nie znacie jej, bo się jej boicie. Fałsz zawsze boi się prawdy; ale prawda nigdy fałszu się nie boi.

— Co prawda, tego dotychczas nie wiedziałem, żeby Kościół katolicki rozumnej wiary uczył.

— O herezji „fideizmem" tak zwanej nic nie słyszałeś w luterskiem seminarjum?

— Co to jest fideizm?

— Fideizm, od łacińskiego „fides", wiara, oznacza taką błędną naukę, która uczy, że powinniśmy się kierować li tylko wiarą w objawienie Boże a nigdy rozumem. Wy lutrzy wszyscy jesteście fideistami; i musicie nimi być, jeśli chcecie pozostać lutrami. Bo skoro tylko przestajecie być fideistami, skoro tylko prócz wiary rozumu używacie, odrazu musicie porzucić waszą luterską wiarę jako niezgodną z rozumem. Wiedział o tem Luter i dlatego rozum uważał za największego wroga wiary (luterskiej) i wołał: Precz z tym największym osłem, który się nazywa rozumem!

— Ale czy można rozumem ludzkim dojść do wiary w Boga, w nieśmiertelność duszy, w święty Kościół powszechny, i tak dalej? Pytał mnie coraz bardziej zaciekawiony pastor, a ja mu jasno jak na dłoni wykładałem tak zwane preambuły wiary prawdziwej, wiary świętej. Wysłuchawszy moich dowodów i wywodów, młody pastor w uniesieniu ducha zawołał:

— Na miłość Boga proszę cię, spisz mi to wszystko w osobnej książeczce. To nawróci niejednego niedowiarka i wielu od niedowiarstwa ustrzeże.

Siadłem i spisałem, choć nie wszystko. I oto geneza mojej broszurki pod tytułem: „The Unbeliever before the Tribunal of Reason", wydanej drukiem czcionkami drukarni ripońskiej 28 września 1900 r. Czytali ją chciwie tak katolicy jak protestanci, wierni i niedowiarkowie. Protestancka gazeta „The Ripon Commonwealth" tak pisała o tem dziełku:

„A new book entitled „The Unbeliever before the Tribunal of Reason" by Rev. W. Kruszka as just been issued... Have I to believe in a life beyond the grave? will my soul perish when this life is past?... It is the question of questions, and no honest truthescker, no man who loves his own nature, can be indifferent to it. We know what varions religions answer to that quesion. But the above book proposes to answer that question from the standpoint of human reason, without erference to religions proof. The author

cites the unbeliever before the tribunal — not of any relignon — but of Reason, which has to pass sentence upon the unbeliever. The author of this book has neither the desire nor intention of entering into controversy. Controversy — in the opinion of the author — is sometimes very fruitless, and not rarely an undignifited method of ascertaining the truth, and instead of entering upon his inquiry in a controversal spirit, the author endeavors to state simply and impartially just what is true and what untrue. The book is interesting to all and recommends itself to every thinking man of any religion and of no religion at all — to every honest truth seeker. The book is for sale at Chittenden's and Burnside's book stores".

Pastorzy, profesorzy i studenci Riponskiego Kollegjum nie mało się interesowali tą broszurką. Nawet z dalekiej Nebraski pewien ksiądz ajryski zamówił tuzin egzemplarzy. A ksiądz J. A. Kronk z Detroit, Mich. pisał mi: „I read the Unbeliever carefully and must say that its reading is interesting as well as convincing. I let an infidel read it who holds out thatit is the very best little book he ever read on the subject".

Za namową księdza Jana Machnikowskiego posłałem tę broszurkę sławnemu konwertycie lordowi Ripon w Anglji. W odpowiedzi odebrałem list i czek na trzy funty szterlingów z własnoręcznym podpisem lorda Ripon. List trzymam w tece, a z czeku mam tylko fotografję, gdyż spieniężyłem go na usilną prośbę prezesa First National Banku w Ripon, który koniecznie chciał mieć na pamiątkę ten własnoręczny czek sławnego Lorda Ripon.

Z Polaków szczególnie ks. Fr. Gawłowicz z Warszawy, North Dakota, zainteresował się tą broszurką i chciał ją widzieć przetłumaczoną na język polski, bo i wśród Polaków nie brak niedowiarków. W późniejszych latach moje artykuły p. t. „Wiara Nieustraszona", ogłoszone w „Dzienniku Związkowym", były dalekim odgłosem tej angielskiej broszurki.

29. Za wiele gospodarzy w parafji. — Złote słowa „Kurjera". — Rozporządzenie językowe biskupów Eisa i Messmera. — Kwestja końca wieków.

Podróżując po osadach polskich w celu zgromadzenia materjałów historycznych, zwłaszcza na Wschodzie zauważyłem tu i ówdzie po parafjach wszechwładne jeszcze panowanie komitetów i podkomitetów, opiekujących się kasą parafjalną. Nie jestem bynajmniej za tem, żeby ksiądz w sprawach czysto finansowych

miał być absolutnym panem. Ale znowu z drugiej strony, żeby zamiast **dwu,** aż **dwunastu** „komitetowych i tyluż podkomitetowych“ ze strony ludu zarządzało sprawami finansowymi parafji, to nonsens, to zamiast rozwijać parafję, tamuje jej rozwój. Zdarzyło mi się zwiedzić parafję, w której pomimo zimy węgli na opał nie było, nie iżby pieniędzy w kasie nie było, ale że liczni ci „komitetowi i podkomitetowi“ nie mogli się ugodzić co do tego, od kogo, skąd i za jaką cenę węgli zakupić; a tymczasem proboszcz marzł w plebanji. Tak to zwykle bywa tam, gdzie zbyt wielu rządzi. Dlatego mówi nasze polskie przysłowie: gdzie kucharzy sześć, tam niema co jeść!

Niezależni z Hodurem na czele szerzyli wówczas to hasło: „Precz z Rzymem! Dla zbawienia Polski trzeba nam się oderwać od Rzymu!“ „Kurjer Polski“ wtedy okazał zdrowy rozum, gdy od siebie w długim artykule redakcyjnym p. t. „Naród Polski a Kościół Rzymsko-Katolicki“ 7 lipca 1900 r. takie zdanie wypowiedział:

Oderwać się od Rzymu? A co po tem? Czy to by nas uratowało? Nie! Otóż spowodowałoby rozdwojenie, rozćwiartowanie. Polacy w starym kraju, podzieleni na sekty, żarliby się tak jak się tutejsi „niezależni“ z „praktycznymi“ żrą — i wtenczas nie potrzebaby ani wyjątkowych praw pruskich, ani knuta rosyjskiego. Samibyśmy się zniszczyli...

„Wiara niech będzie dla nas jedna — rzymsko-katolicka wiara ojców naszych, bo zjednani duchem będziemy zawsze silniejsi — i gdy przyjdzie czas, będziemy mogli jednomyślnie zdziałać coś więcej dla naszej Ojczyzny“.

Złote zdanie.

Rozporządzenia językowe biskupów Eisa i Messmera narobiły ogromnej wrzawy. Mierzono siły według zamiarów, a raczej zakusów. Biskupi ci mieli zamiar, więc mieli i siłę po temu. Tak wnioskowano. Strach paniczny ogarnął Polaków. Jak gdyby w mocy tych biskupów było jednem pociągnięciem pióra skasować język polski w szkołach i kościołach! Nawet papież takiej mocy nie posiada. A biskupom taką moc przypisywać, to już istny zabobon. Ogłosiłem tedy w „Kurjerze Poskim“ następujący artykuł, który wobec zakusów arcybiskupa Mundeleina jest i dzisiaj na czasie i dlatego go tu przytaczam:

Gdy się niebo obali.

Gdy się niebo obali — to co? to nas wszystkich przywali!... Ale niema obawy...

Gdy „niebo polskie“ (przez które tu rozumiem mowę, śpiew, obyczaje, zwyczaje poskie i wszelkie ideały polskie), gdy całe to niebo narodowe upadnie, runie i zwali się — to co się z nami jako Polakami stanie? Jako Polacy zginiemy z kretesem i rozproszymy się w wszechświatowym pyle! Lecz niema o to obawy, kościoły i szkoły polskie, stoją silne i niewzruszone! A powtarzam to, nie jak za panią matką pacierz, za innymi, lecz mówię tak i twierdzę z własnego doświadczenia i głębokiego przeświadczenia. Wy, panowie z Chicago, Milwaukee i innych silnych ognisk polskości, gdzie was rodaków całe tysiące w kupie mieszka, gdzie wam kościoły i szkoły polskie, mając ich poddostatkiem, już spowszedniały jak chleb powszedni i niejako przejadły się, i dlatego szukacie innych łakoci — nie rozumiecie może całej wagi i doniosłości powyższego mojego twierdzenia. Ale idźcie do tych licznych, na setki liczących się osad polskich, rozsianych po całym obszarze Stanów Zjednoczonych, gdzie nasi rodacy w małych tylko kupkach mieszkają, bez szkoły polskiej albo nawet i bez kościoła polskiego — a przekonacie się namacalnie o słuszności tego twierdzenia, że jedynemi jeszcze twierdzami polskości na obczyźnie są właśnie kościoły i szkoły polskie. Tego faktu nie zbiją żadne dowody, bo „contra factum nullum argumentum“, a tem mniej płytkie wywody go zabiją.

Słyszy się np. ze strony niektórych „patrjotów“ takie wywody: „A czy to Kościół i tylko duchowieństwo musi zakładać i mieć pod kontrolą szkoły polskie? czyby to świeccy tak samo albo i lepiej nie potrafili? czyby to Związek Narodowy nie zajął się szkołami polskiemi, gdyby go Kościół nie wyprzedził?“ Takie i tym podobne wywody przypominają mimowoli jaje Kolumba i odkrycie Ameryki. Każdy mógł odkryć Amerykę, ale Kolumb odkrył! Każdy potrafi założyć szkołę polską, ale Kościół założył! To fakt! a jeden taki fakt jednej szkoły mówi i świadczy wymowniej o patrjotyźmie duchowieństwa, aniżeli tysiąc gołosłownych frazesów o miłości mowy polskiej. Zresztą pole do popisu w tym względzie otwarte jest wszędzie, gdzie niema jeszcze kościołów i szkół parafjalnych, pomimo, że wielu jest Polaków. Naprzykład w Kenosha, Racine i Sheboygan więcej daleko Polaków niż tu w Ripon —

czemu Związek Narodowy nie zorganizuje tam szkółek polskich? albo w Milwaukee, gdzie przeszło 1000 dzieci polskich ma uczęszczać do szkół publicznych, czemu nie zajmie się kto z świeckich organizowaniem szkoły polskiej dla nich, skoro duchowieństwo o zbłąkane owieczki nie dba? Ale łatwa to rzecz mówić i pisać ładnie na temat patrjotyzmu, ale czynić i uczyć dzieci po polsku, słowem czynnie podtrzymywać szkołę polską — to nie łatwa rzecz, to rzecz zmudna i trudna. Nie każdemu się chce zebrać grono dzieci i uczyć ich czytać po polsku, zaczynając od abecadła, zwłaszcza bezpłatnie.

Wygłosić mowę patrjotyczną albo odczyt na obchodach i zbierać oklaski publiczności, to rzecz łatwa; ale uczyć dzień w dzień dziatwy czytać i sylabizować z elementarza, o której to mrówczej a cichej pracy nikt nie pisze w gazetach i poklasków nie daje, do tego potrzeba trochę więcej patrjotyzmu i poświęcenia się. A kto to czyni w naszem społeczeństwie? Kościół, duchowieństwo, siostry. A we wielu to parafjach, w braku funduszów, ksiądz sam musi odgrywać rolę nauczyciela abecadła polskiego! Czy obowiązany? Absolutnie, mówiąc, nie obowiązany, bo nie ma przepisu uczyć czytać i pisać. Uczy więc z poświęcenia się dla sprawy narodowej, chcąc żeby dzieci nie zapomniały języka ojczystego. A mylą się panowie w Chicago i Milwaukee, jeżeli myślą, że mało jest takich księży, którzy sami abecadła i pacierza historji ojczystej uczyli. Takich księży poza „ogniskami polskości“ jest wielu. Nietylko młodych, ale i starych. Znam np. starego i zasłużonego kapłana (jest księdzem przeszło 30 lat), ks. Kw. Zielińskiego, który zbiera dziatwę i nie waha się jej uczyć sam abecadła polskiego. Toż czynią setki innych starszych i młodszych.

Można sobie więc wyobrazić, jak dotyka zarzut czyniony przez głośnych patrjotów, że „duchowieństwo i Kościół dąży do wynarodowienia Polaków“.

„Ależ bo poco też księża stawają w obronie rozporządzenia biskupa Eisa?“ odpowiedzą ci patrjoci. Lecz cóż znaczy to rozporządzenie? czyż oni się dobrze zastanowili nad tem?... To rozporządzenie dla nas Polaków, dopóki jeszcze Polakami jesteśmy, ma to samo znaczenie, co wystrzał armatami, skierowany ku niebu! Dziurę w powietrzu uczyni, huku i hałasu też uczyni (już uczyniło), ale szkody żadnej nam wyrządzić nie może — tak jak wystrzał armatni, naszego „narodowego nieba“ żadną miarą dosięgnąć nie może, a tem mniej zawalić.

Ktoby znał stosunki w diecezji Marquette, tenby się nie dziwił podobnemu rozporządzeniu, a tem mniej by je potępił. Bywa, że do jednego i tego samego kościoła chodzą i Włosi i Czesi i Niemcy i Polacy i ajrysze, a na ambonę wejdzie stary Francuz i prawi po francusku, chociaż Francuzów stosunkowo do innych bardzo mało w kościele, a i ci co są, już sami po francusku mało rozumieją. Wobec tego co pozostaje? To też nie słyszymy, żeby Polacy w diecezji Marquette na to rozporządzenie się oburzali, bo ich to nie tyczy. Tylko my się oburzamy, sami nie wiedząc o co.

Zarzucać Kościołowi „dążności amerykanizowania" jest rzeczą tak dziecinną, że może to uczynić tylko ten, kto nie zna i nie pojął nigdy ducha Kościoła. Kościół nie zna dążności amerykanizowania, ani polonizowania kogoś — żadnej takiej dążności Kościół nie ma. Ma tę jedyną tylko dążność: nauczać Ewangelji! „Idąc nauczajce wszystkie narody!" Żeby zaś dopiąć tego celu, wytkniętego mu przez Chrystusa, Kościół od Apostołów począwszy zawsze i wszędzie, stale i niezmiennie trzyma się tej jedynie racjonalnej zasady: przemawiać do ludu w tym języku, w którym rozumie! Jak długo więc po polsku rozumieć będziemy, bądźmy pewni, że po polsku Kościół nam głosić będzie Ewangelję, bo Kościół swej zasady nie zmieni. Lecz jeżeliby miał nadejść czas taki, że po polsku więcej rozumieć nie będziemy, lecz po angielsku, to wtedy Kościół, trzymając się zawsze jednej i tej samej zasady: „przemawiać do ludu w tym języku, w którym rozumie" — każe nam po angielsku Ewangelję głosić. Wszystko więc od nas zależy, czy zmienimy język czy nie. — Kościół swej zasady względem nas nie zmieni.

Gdy się niebo obali, wszystkich nas przywali. Ale niema obawy o to, — dopóki filary i słupy niebieskie, kościoły i szkoły polskie stoją silne, niewzruszone, nasze narodowe niebios sklepienie nie runie i nie zarwie się!

X. Wacław Kruszka.

Ripon, Wis., *22* grudnia 1900.

Kończył się sławny rok 1900, a ludzie nie wiedzieli, czy żyją już w dwudziestym wieku, czy też jeszcze w dziewiętnastym. Pytany o swoje zdanie w kwestji końca wieków, napisałem taki artykuł, umieszczony w „Kurjerze" 15 grudnia 1900:

KIEDY ZACZYNA SIĘ WIEK XX?

Ta kwestja już od roku zaprząta wiele umysłów. Jedni dowodzą, że wiek dwudziesty już rozpoczął się z dniem 1-ym stycz-

nia Nowego Roku 1900, drudzy zaś utrzymują, że dopiero rozpocznie się 1 stycznia tego Nowego Roku 1901. Kto ma rację? Obydwie strony mają rację, a najmniej racji ma ten, kto w tym względzie gwałtem upiera się przy swojem zdaniu a przeciwnikowi swemu nie chce żadnej racji przyznać. Kwestja o początku wieku jest kwestją sporną, sporną od kilku wieków i nierozstrzygniętą — tego nikt nie zaprzeczy, na to muszą się obie strony zgodzić. Już zaś w kwestji spornej po obu stronach muszą być racje, czyli innemi słowy, po żadnej stronie nie może być absolutnej, apodyktycznej pewności, bo gdyby ta niezachwiana pewność nastąpiła, kwestja sporna przestałaby być sporną, przestałaby być kwestją, a stałaby się — pewnikiem.

Przypatrzmy się tej kwestji najpierw z historycznego punktu widzenia. Nasza rachuba czasu, czyli po uczonemu, nasza chronologja, bierze za punkt wyjścia narodzenie się Chrystusa Pana. Sam ten punkt wyjścia niepewny i stąd cała rachuba niepewna i sporna. Faktycznie bowiem już trzy lata temu, albo, jak niektórzy sądzą, nawet cztery lata temu, upłynęło już 19 wieków od czasu, którego Chrystus Pan się narodził. Faktycznie więc jesteśmy już na dobre w 20 wieku ery chrześcijańskiej. Ale nie tak, chronologicznie. Chronologja nasza, choć kuleje, raz przyjęta, bez wielkich niedogodności zmienić się nie da. Musimy pozostać przy tej rachubie czasu, jaką mamy. Przypuściwszy tedy, że ta rachuba czasu, jaką mamy, jest prawdziwą i zgodną z historycznym faktem narodzenia Chrystusa Pana, — ile lat upłynęło dotychczas, dajmy na to do połowy grudnia tego roku 1900, czy upłynęło lat 1899, i jedenaście i pół miesiąca, czy też lat 1900 i jedenaście i pół miesiąca? To wiedzieć, w tem właśnie sęk. To stanowi właśnie ów węzeł, trudny do rozwiązania — przeciąć da się łatwo, ale nie rozwiązać. Żeby to wiedzieć, trzebaby wpierw wiedzieć, jak zaczęli liczyć ci, którzy obecną chronologję zaprowadzili. Ale i tego nie wiemy: bo jedni mniemają, że czas po Chrystusie zaraz od początku trzeba mierzyć latami, a nie dniami, że dzień urodzenia Chrystusa był nietylko pierwszym dniem, ale i pierwszym rokiem po Chrystusie — podług tych zdania oczywiście mielibyśmy dziś dopiero 1899 lat, 11 i pół miesiąca po Chrystusie, zatem wiek 20-ty zacząłby się dopiero z tym Nowym Rokiem 1901. Drudzy atoli utrzymują, i nie bez słuszności, że ery chrześcijańskiej nie można było zaraz odrazu mierzyć ani wiekami, ani latami, ani miesiącami, ani nawet tygodniami, bo w pierwszych dniach Chrystusa nie potrzeba było jesz-

cze tak wysoką skalą mierzyć; były najpierw sekundy, minuty, godziny, po upływie 24 godzin był dzień, po upływie 7 dni był tydzień po Chrystusie, dalej był miesiąc po Chr., a dopiero po upływie 12 miesięcy był rok pierwszy po Chr. — podług tych zdania oczywiście mielibyśmy dziś już 1900 lat i 11 i pół miesiąca po Chr. zatem wiek 20-ty zacząłby się był już 1 stycznia 1900.

A na poparcie tego ostatniego zdania mają gotowe dość silne historyczne dowody, mianowicie mają wykazać historycznie, jak się zapatrywali na to ci, którzy tę obecną naszą rachubę czasu zaprowadzili — od tych bowiem ostatecznie rozwiązanie kwestji zależy. Dopiero przeszło 500 lat po Chr. mnich Djonizy Mały naszą chronologję zaprowadził, i minęło jeszcze drugie 500 lat, zanim ją zaprowadzono po całej Europie. O Djonizym wprawdzie nie wiadomo, jak się na to zapatrywał; lecz za to wiadomo o Karolu Wielkim, że początek wieku 9-go zainaugurował uroczyście na początku roku 800, a nie 801. Snać opierał się na tradycji, o tyle pewniejszej od dzisiejszej, o ile bliższej swego źródła, bliższej twórcy naszej chronologji, Djonizego Małego. Zgodnie z tą tradycją papież Bonifacy VIII otwierał nowy wiek Rokiem Jubileuszowym, nie na początku r. 1301, lecz okrągłą cyfrą 1300. I tak samo później papieże aż do dzisiejszego. Jak Nowy Rok jest wstępem do roku, tak Rok Jubileuszowy wstępem do stulecia. Później każde pół wieku, a nawet ćwierć wieku otwierano Rokiem Jubileuszowym, ale zawsze okrągłą cyfrą, 50 lub 25 i 75, ale nigdy 51 lub 26 i 76. To zapatrywanie unaocznia równocześnie zmianę cyfr: nie ze zmianą cyfry jednostek zmienia się wiek, lecz ze zmianą cyfry setek — cyfrowy rząd setek (trzecia cyfra ztyłu wskazuje zmianę stulecia, tak właśnie, jak ostatni rząd jednostek wskazuje zmianę pojedyńczych lat, a druga ztyłu — dziesiątek. Wreszcie zdania ludu pospolitego bynajmniej lekceważyć nie należy, a lud powszechnie, gdy na kalendarzu ujrzy zmianę cyfry setnej, uważa to za zmianę stulecia.

Do innego atoli wniosku przychodzą ci, którzy się na to zapatrują z punktu widzenia li tylko matematycznego. Ci dowodzą, że rok pierwszy po Chrystusie rozpoczął się już w dzień narodzenia Chrystusa, a w 12 miesięcy po Chrystusie był już rok drugi — w ten sposób oczywiście wiek drugi rozpoczął się w r. 101, a wiek dwudziesty rozpocznie się dopiero z rokiem 1901. To zapatrywanie swoje uzasadniają tem, że liczby „pierwszy“ (rok), „drugi“, trzeci, setny, dziewięćsetny i t. d., są liczebnikami porządkowemi (ordinales numeri) i jako takie „porządkowe“ nie oznaczają zaokrąglenia

i ukończenia jakiegoś okresu, lecz raczej początek i rozciągłość okresu, n. p. roku. I tak, kiedy mamy na kalendarzu rok 1900, to cyfra ta podług nich oznaczać będzie tylko, że jesteśmy albo na początku, albo w ciągu tego roku, ale nie, że już 1900 lat upłynęło. Są to głęboko uczone uwagi. Lecz przeciwnicy im na to odpowiadają tak: Jeżeli rok „pierwszy“ nie ma oznaczać skończonego roku, to i godzina „pierwsza“ nie powinna oznaczać na zegarze pełnej, skończonej godziny, lecz tylko początek pierwszej. Analogja zupełna, bo i lata i godziny są miarą czasu. Czem są godziny na cyferblacie zegarka, tem są cyfry na zegarze dziejowym w stuleciu. Kiedy zaczynamy nowy dzień? Czy czekamy, aż godzina pierwsza po północy wybije? Nie, ale z wybiciem 12-tej. Tak więc, jak widzimy, w tej kwestji „kiedy zaczyna się wiek 20?“ jest wiele zdań sprzecznych. Każdy może utrzymywać, co mu się podoba, bo „in dubis libertas“ — w rzeczach wątpliwych wolność zdań dozwolona. Upierać się w takim razie tylko przy swojem zdaniu, byłoby oznaką płytkiego umysłu. Najlepiej przyznać rację choćby przeciwnikowi, gdy się upiera przy swojem, bo wtedy uniemożliwi się kłótnię, której unikać trzeba. Właśnie niedawno spotkałem dwóch kłócących się o początek wieku. Każdy stał twardo przy swojem. Chcieli mię mieć sędzią rozjemczym. Pierwszy, po wyliczeniu dowodów na poparcie swojego zdania, zapytał mię, czy nie ma racji? Odpowiedziałem: „Przyjacielu, masz zupełną rację“. Na to ten drugi tem wymowniej zaczął dowodzić słuszności swojego zdania i zapytał, czy on nie ma racji? Przyznałem i temu drugiemu, że ma zupełną rację. Na to jakiś trzeci, opodal stojący a przysłuchujący się temu sądowi rozjemczemu, zbliżył się i zagadnął mię: „Ależ, księże, jakżeż obydwaj mogą mieć rację, kiedy ten co innego i ten co innego trzyma?“ I ty, przyjacielu, masz zupełną rację, że obydwaj zarówno nie mogą mieć racji“ — odpowiedziałem trzeciemu. I w miejsce kłótni, która wobec tego, że każdemu przyznałem rację, była niemożliwą, nastąpiła teraz wesołość towarzyska.

Zresztą czemże jest jeden rok w wieku? Jest czemś mniej niż minuta w godzinie. A jak nie wiele na tem zależy, czy godzina np. dziesiąta kończy się minutę prędzej czy później, tak też na zegarze dziejowym nie wiele na tem zależy, czy wiek dziewiętnasty kończy się rok prędzej czy później. Najlepiej postąpi ten, kto zeszłego roku początek nowego wieku obchodził razem z tymi, co 1 stycznia 1900 uważają za początek 20-go wieku, a teraz znowu

także z tymi drugimi, którzy 1-go stycznia 1901 celebrują początek 20-go wieku. Cieszcie się z cieszącymi. Jeżeli zeszłego Nowego Roku 1900 wiek dwudziesty jeszcze się nie zaczął, to tego Nowego Roku 1901 pewnikiem się zacznie.

X. Wacław Kruszka.

30. Żywe i martwe pomniki. — Jedna szkoła polska w Ameryce jest lepszym pomnikiem niż sto martwych pomników Kościuszki. — W sprawie bazyliki św. Józafata kiedy stróż spał, pies musiał szczekać.

Od samego początku mego pobytu w Ripon starałem się o założenie szkoły polskiej. Byłem kilka razy osobiście u kapelana i przełożonej Sióstr Notre Damek w Milwaukee, udawałem się potem do Sióstr Nazaretanek w Chicago, do Franciszkanek w St. Francis; nigdzie jednak nauczycielek dostać nie mogłem. Ale główną przyczyną braku szkoły polskiej w Ripon był brak funduszów. Gdyby się były znalazły fundusze, to i siły nauczycielskie byłyby niezawodnie się znalazły. Pieniądz to nerw rzeczy.

Wiedząc, że w takiem położeniu, jak moje, znajdują się także inni proboszczowie małych parafij, ogłosiłem w „Kurjerze Polskim“ następujący artykuł:

Ripon, Wis., 4 marca roku 1901. Jutro parafja polska św. Wacława w Ripon, Wis., obchodzi piątą rocznicę swojego istnienia. Polacy Ripońscy, w liczbie 45, w przeciągu tych pięciu lat wybudowali kościół i plebanję, ale nie stać ich było na utrzymanie szkoły polskiej. A bez szkoły polskiej, amerykanizacja młodego pokolenia postępuje niepowstrzymanym pędem naprzód, chociaż nasz arcypasterz ks. biskup Katzer żadnych jeszcze „rozporządzeń językowych“ nie wydał. Amerykanizacja jest jako rzeka — tej nie potrzeba pchać „rozporządzeniami“, bo ona sama płynie!

Po szkole publicznej, o godzinie 4-ej po południu, dzieci zmęczone już i znużone przychodzą do mnie (prawie co dzień) na prywatną naukę języka polskiego i katechizmu. Pomimo nadzwyczajnych, herkulesowych iście wysiłków, zaledwie sylabizować i jako tako czytać po polsku nauczyć się mogą. A tu koniecznie trzeba im wpoić zasady wiary świętej, nauczyć ich katechizmu gruntownie, bo to pierwszym każdego bez względu na narodowość kapłana obowiązkiem jest, podać im słowo Boże, zwłaszcza tu, gdzie otoczeni są zewsząd atmosferą niedowiarstwa, ich wiara święta na tysiączne jest narażona niebezpieczeństwa. Lecz żeby

im wpoić głęboko zasady wiary świętej, czyż nie trzeba przemawiać do nich w języku łatwo dla nich zrozumiałym? A jakiż to język — dla takich dzieci bez szkoły polskiej — jest łatwo zrozumiałym? Dziecko polskie, obracając się cały dzień w szkole publicznej, i łatwo czyta i łatwo rozumie po angielsku. A po polsku? I trudno mu czytać i trudno rozumieć. Przy nadludzkich prawie wysiłkach udało mi się, nauczywszy ich wpierw czytać, przejść cały polski katechizm (biskupa Likowskiego) z tymi dziećmi, które regularnie na prywatną naukę do mnie uczęszczały. Te nawet z historji biblijnej i historji polskiej coś liznęły. Ale takich, coby regularnie uczęszczały, prawie na palcach policzyć można. Większa część na tę „prywatną" naukę nieregularnie uczęszcza. Czy z własnej winy? Czasem i z własnej, ale najczęściej i nie z własnej winy. Jednych nauczycielka w szkole publicznej dłużej przytrzymuje; drudzy mają po kilka mil do mnie, więc przy słocie i niepogodzie już nie przyjdą; a wszyscy bez wyjątku, jacy przyjdą, są już do najwyższego stopnia znużeni i zmęczeni całodziennem ślęczeniem nad książką w szkole publicznej, skutkiem czego zdradzają zniechęcenie do wszelkiej dalszej nauki. Nie dziwić się wątłym istotom!

Co z tym fantem robić? Czy wypędzić tę młodość, tak jak panowie wielkomiejscy radzą, z polskiego kościoła do angielskiego? Ależ te dzieci to są dzieci fundatorów polskiego kościoła i one mają pierwsze prawo do opieki kapłana! Więc żeby tę rzekę amerykanizacji, która sama z siebie płynie, choć nie pchana „rozporządzeniami" biskupimi, w jej pędzie powstrzymać, jaką tamę trzeba położyć? Trzeba założyć szkołę polską! Ale to słowo „szkołę założyć" łatwem jest do wypowiedzenia, ale nie tak łatwem do wykonania, na takich misjach jak Ripon (a takich rozsianych jest bez liku po całym obszarze Stanów Zjednoczonych). Tę garstkę Polaków poprostu nie stać na utrzymanie szkoły polskiej. Samo już utrzymanie księdza polskiego ich dziesięć razy więcej kosztuje, aniżeli was kosztuje utrzymanie i księdza i tuzin nauczycieli po bogatych parafjach! Więc takie misyjki (liczne zresztą) same sobie pomóc nie mogą.

Wasze zaś wielkomiejskie protesty, panowie, przeciwko „rozporządzeniom językowym" biskupów nic a nic nie pomogą. Oni na misyjkach śmieją się z waszych gołosłownych protestów i z rozporządzeń. Ich to ani ziębi ani grzeje.

„Rozporządzenia" owe im szkodzić nie mogą, bo wiedzą, że i tak czy owak ich młodzież sama dąży do wynarodowienia a prze-

cie chcą dla niej przynajmniej jeszcze posługi duchownej — czy w tym czy w owym języku (tonący i brzytwy się chwyta). Wasze zaś głośne protesty przeciw amerykanizacji, dopóki się tylko słowem i krzykiem objawiają, także im pomóc nie mogą jak rozporządzenia biskupie im zaszkodzić nie mogą.

Jeżeli, czy to dobrowolnie czy też przymusowo wskutek nieprzyjaznych okoliczności, język nasz ojczysty zaniedbujemy i utracamy go w młodem naszem pokoleniu, to biskupi nasi mają nietylko prawo, ale i obowiązek wydać rozporządzenie, aby młodzieży podawano słowo Boże w języku jej zrozumiałym angielskim, a nie innym, skoro tego innego nieumie i nie rozumie.

Panowie zaś protestowicze z wielkich miast i bogatych parafij, jeśli chcą, żeby ich protest coś znaczył i skutkował, niechaj protestują czynem, a nie gołem słowem! Panowie, ze samych tych okruszyn, jakie spadają ze stołu bogatych parafij, możnaby dziesiątki, ba setki szkółek polskich po naszych misjach utrzymywać! Czemuż tedy nie dozwalacie nam zbierać, kolektować tych okruszyn? Wszak nawet Duńczykom i Niemcom pozwalacie kolektować a zabraniacie tych okruszyn własnym braciom? Kto bowiem zabrania kolektować? Nie biskupi! Dwakroć otrzymałem pozwolenie od mojego arcybiskupa kolektowania po bogatszych parafjach polskich w diecezji milwauckiej — ale kto zabronił? Bogatsi nasi proboszczowie! Nawet tych okruszyn zazdroszczą, które spadają z ich stołu bogatego...

Niech mi pozwolą choć po 2 większych parafjach w Milwaukee n. p. kolektować, a ręczę każdemu, że po 2 tygodniach tyle uzbieram okruszyn, że te głodne nauki polskiej dzieci w Ripon w przeciągu 3 miesięcy będą miały szkołę i nauczycielki polskie! Z jednego takiego żywego pomnika, jakimby była erekcja szkoły polskiej w Ripon i temsamem zachowanie kopy dzieci tutejszych od wynarodowienia, nasz Kościuszko w niebie weseliłby się bardziej (bądźcie pewni), aniżeli z tysiąca martwych pomników z kamienia lub bronzu, postawionych mu choćby w każdym parku Stanów Zjednoczonych. Więc do dzieła, pozwólcie kolektować i okażcie czynnie, że wam chodzi naprawdę o zachowanie zagrożonej narodowości polskiej w Ameryce!

X. Wacław Kruszka.

W tymże czasie, na wiosnę 1901 roku, budowa wielkiej bazyliki św. Józafata w Milwaukee miała się ku końcowi. Na nie-

porządek finansowy w tej parafji zwróciłem uwagę Arcybiskupa już pięć lat temu, żeby potem snać nie winił Polaków i nie wygadywał „polnische Wirtschaft". Wyraz biskup czyli po grecku „episcopos" znaczy „dozorca", mający mieć dozór nad parafjami i proboszczami. Jeśli gospodarka w parafji jest zła, to główna wina spada na dozorcę czyli biskupa. Dopóki Polacy nie mają swoich własnych dozorców czyli biskupów, dopóty nie można winić Polaków o złą gospodarkę, chociaż często się tak dzieje. Biskup jest dozorcą i stróżem diecezji; ale kiedy stróż śpi, pies musi szczekać. Bo nie darmo mówi Pismo święte do nas kapłanów: „Nie bądźcie psami niemymi, nie umiejącymi szczekać" (księga Izajasza). Więc moim obowiązkiem było zwrócić biskupowi uwagę na złą gospodarkę w parafji św. Józafata. Uczyniłem to nie tylko 1896 r., ale i teraz na wiosnę 1901 r. z następującej okazji:

Otóż wyczytałem w milwauckim Sentinclu wywiad reportera z monsignorem Zeiningerem, wikarym generalnym archidiecezji milwauckiej. W tym wywiadzie monsignor Zeininger, wychwalając piękność kościoła św. Józafata pod rozmaitymi względami, dodał nareszcie z emfazą: „Ale największą ozdobą tego kościoła jest to, że niema na nim ani centa długu".

Pomyślałem sobie: Czy kpiny czy złudzenie? I począłem szczekać na stróża, choć znowu nadaremno. Napisałem tedy list do samego delegata apostolskiego, X. kardynała Martinelli'ego w Washingtonie. Zaznaczyłem w tym liście wyraźnie, że w bazylice św. Józafata „każdy kamień woła do Pana swego" — unusquisque lapis clamat ad dominum suum. Przewidywałem to, że delegat apostolski, polegając na zdaniu arcybiskupa bardziej niż na mojem, nazwie tę moją przestrogę po prostu „gęsiem gęganiem". Więc napisałem delegatowi te słowa:

„Czy Eminencja nie wie, że i gęsie gęganie kiedyś, ocaliło Rzym?"...

Spełniłem w ten sposób swój arcyniemiły obowiązek, przeszedłem nad całą tą sprawą do porządku dziennego. Za złą gospodarkę niech przynajmniej nie winują nas Polaków!

31. Nie liczba jednostek luźnych, lecz liczba zorganizowanych jednostek stanowi o naszej potędze w Kościele!

Fakt faktem jest, że my Polacy jako katolicy byliśmy i jesteśmy jeszcze dzisiaj najgorliwszymi pod względem gorącości **uczucia** katolickiego, ale nie pod względem zimnych cyfr finan-

sowych i parafjalnych. Pod tym ostatnim względem my Polacy stoimy daleko wstecz za katolikami innych narodowości, wyjąwszy może tylko Czechów i Włochów. Dawniej myślałem, że wina za zbyt wielkie parafje po wielkich miastach spada tylko na proboszczów. Lecz dziś i od lat dziesięciu, się przekonałem, że to wina samych parafjan, a nie proboszczów. Bo kiedym blisko dziesięć lat temu, zamiast powiększenia szkoły ośmioklasowej, na mityngu parafjalnym sam zaproponował podział mojej parafji, wszyscy parafjanie jednomyślnie oświadczyli się przeciw tworzeniu nowej parafji, bo — to za wiele kosztuje! Nasi ludzie polscy, jak w starym kraju tak i tu, wolą stać nawet w gankach zbici w jedną masę jak owce w owczarni, aniżeli siedzieć porządnie w ławkach, jak to ajryscy i angielscy i niemieccy katolicy czynią. Bo to taniej! Nawet straż ogniowa i policjanci rozpędzali ich z mojego kościoła. To nic. Oni się cisną masą zbitą do jednego kościoła! Owczym pędem!

Ten owczy pęd o tyle jest dobrym o ile jest posłusznym pasterzowi. Ale jeżeli jest nieposłusznym, jest nagannym, bo szkodliwym dla samychże owieczek. Łakomy dwa razy traci! — mówi przysłowie. Ale zbite w masy parafje nietylko dwa razy, lecz sto razy tracą. To właśnie miałem na myśli, kiedy w „Kurjerze Polskim“ ogłosiłem następujący artykuł pod tytułem:

„Prawo was wyswobodzi“.

(Św. Jan 8, 31).

Ripon, Wis., 5 lutego 1901.

Autor wczorajszego artykułu „Polacy najgorliwszymi katolikami w Ameryce“ nie wiele przesadził, twierdząc, że Polacy są „gorliwymi katolikami“ i w Ameryce. Ale pomylił się, i grubo się pomylił, gdy cyframi tę gorliwość chciał udowodnić. Bo kościołów katolickich wogóle w Stanach Zjednoczonych jest nie tysiąc, — jak to autor mylnie podaje — lecz przeszło dziesięć tysięcy nie licząc w to kaplic na przeszło dziesięć miljonów ogólnej katolickiej ludności. Proszę uważnie przeczytać statystykę kościelną. A zatem (i to ważny wniosek!) na jeden kościół przeciętnie przypada — nie dziesięć tysięcy dusz — lecz tylko na tysiąc dusz katolickich!

To są cyfry prawdziwe!

Wobec tego zobaczymy, jak się przedstawia ta „w cyfry ujęta“ gorliwość naszych polskich katolików? Otóż podczas gdy in-

nonarodowi katolicy mają na każdy tysiąc dusz jeden kościół, to u Polaków tylko jeden kościół przypada na każde pięć tysięcy dusz! Na półtora miljona Polaków katolików mamy zaledwie 300 kościołów, podczas gdy, proporcjonalnie do liczby innych katolików, powinniśmy mieć 1,500 kościołów i tyleż kapłanów!

Więc cyframi mierząc gorliwość naszą, musimy przyjść do wniosku, że te cyfry dają nam wymowne świadectwo ubóstwa!

I w tem też leży przyczyna, dlaczego my Polacy katolicy w Ameryce mamy tak małe znaczenie u wyższych władz kościelnych, u Stolicy świętej. Co bowiem znaczy w Rzymie choćby 10 tysięcy dusz, jeżeli te dziesięć tysięcy nie ma swej głowy, swego przedstawiciela, reprezentanta — swojego proboszcza? jeżeli te 10 tysięcy (jak to w Chicago ma miejsce) tworzą tylko część parafji, a nie całość, nie jednostkę zbiorową? Wchodzą w skład olbrzymiej parafji, to prawda; ale co do znaczenia i wpływu u władz kościelnych, nie tworząc odrębnej całości, są poprostu zerem. Cóż że w Milwaukee np. mamy poważną cyfrę 40,000 Polaków katolików? Ile znaczenia mają te 40,000 u wyższych władz kościelnych? Mają tyle znaczenia, ile mają proboszczów czyli głów, ile tworzą jednostek zbiorowych. A ile w Milwaukee jest takich jednostek zbiorowych, ile takich głów? Jest na 40,000 dusz tylko siedm! Podczas gdy u innonarodowych katolików na 40,000 dusz przypada przeciętnie około czterdzieści reprezentantów czyli proboszczów! Czterdzieści — taki zastęp ma inną powagę, inne znaczenie w kościelnych sferach miarodajnych, aniżeli siedm! — Ba — powie kto — ale za naszym jednym proboszczem stoi więcej ludu, nasze parafje są większe, ogromniejsze. — I cóż z tego?... Czy człowiek gruby, tłusty i otyły, który dwa albo trzy razy tyle waży niż inny chudy, już dlatego jest więcej niż jednym człowiekiem, więcej niż jednym osobnikiem? Bynajmniej! tak na tłustym jak na chudym kadłubie tylko jedna głowa! I nie podług wielkości lub małości kadłuba mierzymy wartość i znaczenie człowieka, lecz podług głowy, która na tym kadłubie czy cienkim czy grubym spoczywa. My mamy w Ameryce polskie parafje o bardzo dużych kadłubach, które, gdyby je wziąć na uwagę, ważyłyby pięć razy tyle co kadłuby innych katolickich parafij — ale pamiętajmy! kadłub nie zaważy na szali sfer miarodajnych w Rzymie, lecz co zaważy, to liczba głów, liczba reprezentantów czyli proboszczów! Im większa będzie liczba jednostek zbiorowych, liczba parafij, im większy będzie zastęp proboszczów polskich, tem więcej głosu

i znaczenia będziemy mieć u władz kościelnych tak tu jak i w Rzymie. Niech kadłuby będą cieńsze i chudsze, a głowy liczniejsze i tęższe! Niech nasze parafje polskie, — zwłaszcza po wielkich miastach, będą mniejsze, nie zbytnio grube i ociężałe; niech kościoły będą mniejsze i tańsze, a za to liczniejsze, tak jak to bywa u innych katolików; niech, jak Delegat Papieski sobie życzy, parafje nie liczą więcej jak po 500 familij a skoro tę liczbę, która przekroczy, — niech następuje podział i tworzy się nowa parafja. Takie dzielenie parafji nie jest wprawdzie w interesie proboszcza, bo ten traci przez to dochody akcydensowe — ale jest bezwarunkowo w interesie ogółu i dobra publicznego.

Gdy w macierzystym ulu pszczół za wiele, to następuje rój... Tak też z ula nie jednej polskiej parafji powinno się wysypać już kilka rojów. Ludzie sami, skoro się czują na siłach do wylotu, powinni swój zamiar swemu Biskupowi przedłożyć. Zamiast jednej ogromnej parafji, podobnej do ociężałego słonia, tworzmy kilka mniejszych ale ładnie i składnie zorganizowanych parafij, na wzór innonarodowych katolików: na koniach dalej zajedziemy niż na słoniach! Wtedy zamiast — tak jak dziś — na każde 5,000 dusz mieć tylko jednego reprezentanta u wyższych władz, będziemy, tak jak inni katolicy, mieć na każde 1,000 swojego reprezentanta. A żywa cyfra znaczy więcej niż martwa cyfra budowli! Skąd w Rzymie mają wiedzieć ile tu dusz polskich jest? Tego w statystyce kościelnej nie znajdą, bo niema w katalogu tutejszym osobnej rubryki dla polskich dusz. Ale jest za to każda parafja polska jako „Polish" naznaczona. A tych niestety jest zaledwie 300, zamiast żeby miało być proporcjonalnie do reszty ludności katolickiej, 1,500 parafij polskich! Cóż znaczy 300 parafij polskich wobec przeszło 10,000 innonarodowych parafij?... Więc nie liczbą dusz zaimponujemy światu katolickiemu, lecz **liczbą zorganizowanych jednostek,** to jest liczbą parafij! Jedynie tą liczbą utworzymy potęgę i zdobędziemy sobie wpływ, wagę i znaczenie u wyższych władz kościelnych.

X. Wacław Kruszka.

32. Wszystko złe pochodzi od kleru. — Ale skąd się bierze zły kler jeśli nie z ludu? — Moja zapłata za pracę w Wyższej Szkole św. Józafata.

W roku 1901 pewien bezimienny ksiądz, widząc szerzące się kościoły niezależne, napisał był artykuł pod tytułem „Omne malum

a Clero" — (wszystko złe od kleru), w którym całą winę zwalał na kler. Pod adresem kapłanów, napisał on następujące trafne uwagi:

„Uznajmy więc błąd nasz, uznajmy i siebie winnymi dzisiejszej przewrotności naszego ludu Polskiego w Stanach Zjednoczonych, a zamiast wyrzekać na ducha czasu, na apostołów bezbożności, których nie zwalczymy słowami, pochylmy korne czoła do ziemi i powiedzmy z boleścią: peccavi Domine!

„Ale mylę się, twierdząc, że my nic nie przeciwstawiamy skażeniu naszych czasów. Owszem, radzimy choremu i nie żałujemy mu leków, lecz nie takich niestety, do którychby można zastosować znane nasze przysłowie: „ale z tego, co mię boli!" Leczyć zło moralne świata tem, „co nas boli", t. j. przeciwstawiać mu ducha umartwienia, zaparcia się siebie, pokory i ubóstwa, słowem, ducha ewangelicznego, który wymaga nie jednej ciężkiej ofiary, uważamy za rzecz niemiłą i twardą; to też wynaleźliśmy środek lekarski, który nas nic nie kosztuje, a obok tego daje nam jeszcze w zysku pozory gorliwości! Tym nowowynalezionym lekiem na duchowe niemoce świata, jest rozmnożenie form na polu religijnym, któremi chcemy pokryć bankructwo ducha naszego... Popęd ten do podnoszenia religji za pomocą sztucznych sposobów rozwinął się szczególnie w naszym wieku i przybrał ogromne rozmiary. Hasło do niego podała Francja, lubiąca we wszystkiem ostentację, sztukę, pozory, i znalazła wszędzie wiernych naśladowców.

„Czegóż to już nie zrobiono w tym kierunku? Jakich nie zaprowadzono nowych nabożeństw, praktyk, towarzystw, kółek i wystaw zewnętrznych? Jakich nie puszczono w obieg książeczek, listów i innych pomysłów, z których każdy ma zawierać cudowne arkana na leczenie świata? Nie możemy wchodzić w szczegóły tego drażliwego przedmiotu, ale notujemy tylko fakt, że w dzisiejszych czasach kierunek ten przeważnie się rozwinął i wystąpił jako surrogat wygasłego ducha. Zamiast oddziaływać na świat potęgą moralną, my go zarzucamy formami, bawimy nowością, drażnimy sensacją, słowem brak wyższego ewangelicznego ducha chcemy zastąpić mechaniką, pomysłem, receptą!...

„Wszakże nie należy stąd wnosić, że naganiam te środki dla podniesienia wiary i ducha pobożności użyte. Owszem, wszystko to jest dobre i święte — ale samo, ale bez poparcia czynem, możeż dać spodziewany rezultat?

Gdybyśmy obok nich szli przez świat potężni duchem, gdybyśmy siłą wyższej świętości elektryzowali stygłe i zimnem moralnem zlodowaciałe serca, gdyby w nas ludzie widzieli wierny, majestatyczny, a razem słodko pociągający obraz Chrystusowy, wówczas miałyby one swoją wysoką wartość, ale bez tej podpory ducha, daremnie liczyć na ich lekarską skuteczność!

„Zrozumiejmy, że brak ducha nie da się zastąpić sztuką, że zresztą w walce Apostolskiej sprawdza się zawsze widzenie Konstantego: in hoc signo vinces! t. j. że tylko mocą krzyża, tylko duchem krzyża można pokonywać potęgi ciemności. W tym duchu stańmy na arenie Kapłaństwa jako żywe świeczniki świata, przejawmy tego ducha w każdym czynie i ruchu i odcieniu życia naszego, przejawmy go tak wiernie, byśmy śmiało mogli wołać do wszystkich: imitatores mei estate, sicut ego Christi (I ad Cor. IV, 16) — a wówczas niezawodnie odnowimy ziemi oblicze. O, wierzcie, Wielebni Bracia, że jak za czasów Themisoklesa Ateny mogły się ocalić tylko w szańcach drewnianych (Wyrocz. Delf.), tak i my dzisiaj możemy dźwignąć Kościół tylko duchem krzyżowego drzewa".

Do tych słusznych uwag dodałem w „Kurjerze Polskim" następujący przypisek:

Przypisek.

Powyższy artykuł napisał prawdziwy rzymsko-katolicki ksiądz, którego nazwisko znamy, ale który tu ukrył się pod pseudonimem „Rev. Const. B. Nowina". Niewiedzieć czy ze skromności czy z braku cywilnej odwagi nie wystąpił z otwartą przyłbicą. Jego artykuł zawiera prawdę, ale jednostronnie pojętą. Albowiem „omne malum a clero" bezpośrednio, lecz pośrednio także od ludu. Skąd bowiem kapłani się biorą, jeśli nie z ludu? Kto im pierwsze daje wychowanie pod ich przyszłe kapłaństwo, jeśli nie ich rodzice lub krewni? Jeśli tedy z domu już nie wyniesie ducha chrześcijańskiego, ducha poświęcenia się i zaparcia się siebie, lecz przeciwnie, jeśli rodzice oddający syna do seminarjum, marzą tylko o jego przyszłych dochodach i zyskach materjalnych — to nawet seminarjum nie przerobi takiego lewity na gorliwego kapłana. Taki lewita, jeszcze w seminarjum będąc, będzie marzył tylko o bogatych probostwach po wielkich miastach, a do ubogich misyj po farmach nie okaże najmniejszej ochoty. Taki, zostawszy księdzem, powie, że woli iść do klasztoru albo do Chin (żeby w ten sposób

wywołać współczucie u ludu), aniżeli pracować w ubogiej parafji polskiej na farmach. Kto go zrobił tak nieużytym do pracy na ubożgich parafjach? Nie kler, nie biskup, nie seminarjum, bo tam w seminarjum wpajano w niego właśnie zamiłowanie do pracy na uboższych parafjach, lecz takim go wypieścił lud, bliscy i dalecy krewni jego, którzy pragną ciągnąć z niego zyski materjalne.

Że tedy „wszystko zło od kleru“ pochodzi, to prawda; lecz skąd się bierze zły kler? na to pytanie autor nie odpowiada. Ale Pismo święte na to nam odpowiada w księgach Izajasza (24, 2) i Ozeasza (4, 9), gdzie tak mówi wyraźnie: „Et erit sicut populus, sic sacerdos“ — „I będzie jako lud, tak i kapłan“. To znaczy, jak dodaje komentarz Menochjusza w tem miejscu: „Naród jest i będzie do kapłana podobnym, a kapłan do ludu (podobnym): jaki kapłan, taki lud, i nawzajem, jaki lud taki kapłan“. I proszę się tylko rozejrzeć po naszych osadach w Ameryce, którzy to są ci źli księża? Nie sąż to wybrańcy ludu? Nie sąż to ci, którzy wbrew woli swego biskupa, jedynie życzeniom ludu ulegając, pozostają na probostwach? Kimże jest Kozłowski, Kamiński, Hodur itd.? Nie sąż to wybrańcy ludu? Czemże by oni byli bez ludu?... Dawno by może pokutę byli czynili i dobrymi stali się księżmi, gdyby ich lud właśnie nie pieścił i nie niańczył jako dzieci swoje... A to złe, to jest to pieszczenie, narowienie i psucie księży przez lud właśnie, istnieje nietylko między niezależnymi, ale wciska się już także do naszego prawdziwego Kościoła Chrystusa. Bywa przecie już to, że nasze komitety parafjalne wprost dyktują biskupowi, mówiąc: „My tego chcemy na proboszcza, a jeśli biskup nam innego przyśle, to go nie wpuścimy!“ I sprawdza się w takich razach to słowo Pisma św.: „I będzie jako lud, tak i kapłan“. Jako lud krnąbrnie się stawił władzy, tak i ten wybrany przez ludzi kapłan krnąbrnie się stawi ludowi i da mu się wnet we znaki. W czem kto zgrzeszył, w tem też będzie ukarany. Lecz czyż wtedy lud słusznie może się skarżyć na złych księży? Czyż on sam ich nie psuje? Czyż nie musi rozprządz się karność kościelna, jeśli władza, zamiast z góry, idzie z dołu? Jeśli zamiast władzy duchownej, probostwa będą obsadzać różne familje, rody i krewności? Zarzucają niektórzy OO. Zmartwychwstańcom, że ci, tworząc familję zakonną, interesa swoje familijne (zakonne) mają na oku przy obsadzaniu probostw. Zarzut ten słuszny czy nie słuszny, w każdym razie OO. Zmartwychwstańcy, jeśli roszczą sobie pretensje do obsadzania probostw, to, jako familja zakonna, a zatem duchowna, nie wtrącają

się tem samem jeszcze do nieswoich rzeczy. Stokroć gorzej dzieje się tam, gdzie familja świecka obsadza probostwa podług własnego widzimisię. Wobec takich „wpływów familijnych“, wpływy familijne Zmartwychwstańców są niewinne zupełnie. „A lud nierozumiejący tego karan będze“. (Ozeasz 4, 14.)

X. Wacław Kruszka.

Ripon, Wis., 23 grudnia 1901.

Na polu piśmiennictwa polskiego w Ameryce pojawiły się nowe książki. Nadsyłano mi je do łaskawej krytyki i oceny. Łaskawie też skrytykowałem między innymi dziełko księdza Gawłowicza z Warsaw, N. D., „O prawdziwej religji“; nowy katechizm księdza Ładonia C. R. z Chicago; elementarze polskie wydawnictwa p. Smulskiego i Spółki wydawniczej „Dziennika Chicagoskiego“.

Brak szkoły polskiej w Ripon zawsze odczuwałem głęboko. Parafja była uboga, a funduszów osobistych nie posiadałem. Za moją pracę we Wyższej Szkole św. Józafata należała mi się słusznie jakaś zapłata. Więc upomniałem się o nią u ks. Grutzy, mówiąc: Pomagałem ja twojej Wyższej Szkole, pomóż ty i mnie założyć szkołę w Ripon. Nadaremnie. Upominałem się następnie przez arcybiskupa, lecz ten mi oświadczył: Pobierałeś pensję asystenta, a oprócz tego przecie dostawałeś intencje mszalne.

Gdy ks. Grutza umarł 20 sierpnia 1901 r., mieli się wszyscy zgłosić, którzy mieli jakieś pretensje do spadku ks. Grutzy. Zgłosiłem się i ja. Słysząc, że ks. Grutza pozostawił tysiące, cieszyłem się już w duszy, że na rozpoczęcie szkoły w Ripon przynajmniej coś uzyskam. Pojechałem do sądu powiatowego w Milwaukee. Ale wybrałem się z piką na raki. Sąd mi nic nie przyznał. A w dodatku „Dziennik Milwaucki“ na mnie psy wieszał, tak, że we własnej obronie czułem się zmuszony ogłosić w „Kurjerze Polskim“, co następuje:

„Zatrzymanie zapłaty robotnikom, — to grzech o pomstę do nieba wołający!“

„Dziennik Milwaucki“ umieszczał o mnie długie bezimienne korespondencje, pełne fałszów i wyzwisk takich, jak „poganin, heretyk“ i t. p. (po czyjej stronie wyzwiska, po tej stronie prawdy być nie może!); — do kłamstwa jednego, że mnie z diecezji wyrzucono, dodał drugie, że mnie z zakładu Jezuitów wyrzucono, i tak dalej, i tak dalej. Czytając te fałsze „Dziennika Milwauckiego“, pomyślałem: albo myli się albo kłamie — jedno z dwojga! I żeby

się przekonać, które z dwojga, posłałem sprostowanie do redakcji „Dzien. Milw.“. Atoli „Dzien. Milw.“ sprostowania nie umieścił. Przyszedłem tedy do przekonania, że nie omyłka (omylić się jest ludzką rzeczą), lecz wprost duch kłamstwa zagnieździł się w redakcji „Dziennika Milwauckiego“. A gdzie duch kłamstwa, tam niema ducha Bożego, niema ducha katolickiego; tam tylko może być duch „protestancki“ z ową zasadą Lutra: „Tylko śmiało kłamać, zawsze ktoś uwierzy!“

Tą zasadą Lutra przejęty „Dziennik Milwaucki“, pisze znowu o moim procesie „z parafją św. Józafata“!? Że sąd moją pretensję do spadku ś. p. ks. Grutzy odrzucił, to fakt, i wolno każdemu o tem pisać i „Dziennikowi Milwauckiemu. I głupstwem by było z mojej strony, obrażać się o to.

Ale poco przekręcać fakta i pisać (jak to „Dziennik Milw.“ czyni) takie zdanie: „Sąd wychodząc z tego założenia, iż obowiązkiem asystentów jest także nauczanie w szkole (mowa tu o wyższej szkole), pretensję ks. Wacława Kruszki do osobnego wynagrodzenia uznał za nieuzasadnioną i sprawę odrzucił“. Otóż „Dziennik Milwaucki“ pisząc to, albo był fałszywie poinformowany, albo znowu skłamał.

Sędzia, odrzucając pretensję ks. Kruszki, wyszedł z całkiem innego „założenia“, aniżeli to, które podaje „Dziennik Milwaucki“. Śmiesznem doprawdy byłoby to założenie, że asystent obowiązany jest sześć godzin dziennie uczyć, jak to ks. Kruszka czynił, nietylko religji, ale i literatury i gramatyki polskiej w Wyższej Szkole! Byłby to smutny precedens dla innych asystentów! Sędzia (pan Carpenter) też z tego założenia nie wyszedł. Słyszeliśmy, czem uzasadnił swój wyrok. Oto tem:

„Odrzucam pretensję ks. W. Kruszki do spadku ks. Grutzy, ponieważ nie mam pozytywnych dowodów, czy Wyższa Szkoła św. Józafata była prywatnem przedsiębiorstwem ks. Grutzy czy też parafjalną własnością. Wyższa ta szkoła mogła być przedsiębiorstwem parafji, a wtedy ks. Kruszce nic przyznać nie mogę ze spadku ks. Grutzy, gdyż w tym razie ks. Kruszka pracował nie dla osobistej korzyści ks. Grutzy, lecz dla dobra parafji“.

Oto z takiego „założenia“ sędzia Carpenter wyszedł, odrzucając pretensję ks. Kruszki. Sędzia nie powiedział, że ks. Kruszce nie należy się osobne wynagrodzenie za naukę we wyższej szkole, tylko powiedział, że ze spadku ks. Grutzy nie może mi nic przy-

znać, gdyż pracowałem nie dla ks. Grutzy, lecz dla parafji, więc parafja powinna zapłacić. Parafja zaś słusznie mi powiedzieć może: My ciebie nie najęli, żądaj od tych, którzy cię najęli do tej pracy.

Salomonowy więc wyrok sędziego Carpentera równa się temu: Proboszcz jakiś najmie Pawła do roboty. Paweł wykonuje robotę przez sześć miesięcy i żąda zapłaty. Proboszcz nie chce zapłacić. Paweł idzie do sądu. Na krześle sędziowskiem zasiada pan Carpenter i po wysłuchaniu stron wydaje taki Salomonowy wyrok: Pawle, ciebie proboszcz najął do roboty, i tyś robił; ale wiesz ty, dla kogoś robił? nie dla proboszcza, tylko dla kogo innego — idź więc do tego kogo innego po zapłatę!

Atoli panu Carpenterowi chwali się to, że z protestantyzmu przeszedł na katolicyzm i że jest w wielkich łaskach u J. Eksc. ks. Arcybiskupa, który nawet w liście arcypasterskim zalecił księżom p. Carpentera jako najlepszego prawnika.

Bóg mi świadkiem, że upominając się o te pieniądze, które mi jak najsłuszniej się należą, za trudną i mozolną pracę moją w Wyższej Szkole św. Józafata, bynajmniej nie miałem osobistej korzyści na oku. Pieniądze te byłbym obrócił na założenie szkoły polskiej w Ripon, jak to już dawniej jeszcze nieboszczykowi oświadczyłem. „Pracowałem dla twojej szkoły — mówiłem mu — wspomóż i ty moją szkołę w biednej parafji ripońskiej!“...

Pomimo fałszów, kłamstw, oszczerstw i obelg, rzucanych na moją osobę w bezimiennych korespondencjach „Dziennika Milw.“, faktem to jest i faktem pozostanie, żem w parafji św. Józafata pracował nietylko na ambonie, w konfesjonale i w szkole parafjalnej, jak każdy inny asystent, ale nadto ciężko pracowałem osobno sześć godzin dziennie w „Wyższej Szkole“ na wyraźne życzenie ś. p. ks. Grutzy. Świadkiem mojej pracy jest cała parafja św. Józafata, i żaden „protest“ tego faktu nie zbije. I choć miałem wyjątkową pracę, jakiej żaden inny asystent nie robił, to jednak wyjątkowej zapłaty nie pobierałem — chyba że szykany, kłamstwa, obelgi i niewdzięczność, wyjątkową zapłatą nazwać się godzi.

X. Wacław Kruszka.

38. Protestancki student w Ripon jako obrońca katolicyzmu. — Dysputa z pastorem o hierarchji kościelnej.

Jeśli się nie mylę, to zacny i szeroko znany pan Danisch, któremu i ślub dawałem w kościele św. Trójcy w Chicago, po-

prosił mnie 1901 roku o artykulik do swojej nowozałożonej „Gazety Chicagoskiej". Miałem wtedy właśnie dwie dysputy w Ripon, jedną ze studentem protestanckim a drugą z pastorem; i te mu opisałem pod tytułem: „Hierarchja kościelna" w następujący sposób:

„Czy protestantyzm uczynił więcej dla cywilizacji niż katolicyzm?" — nad tem pytaniem mieli niedawno „debatę" (dysputę) studenci tutejszego kolegjum metodyjskiego w Ripon College. Student, któremu przyszło bronić stronę katolicyzmu, to jest, że katolicyzm więcej zdziałał dla cywilizacji niż protestantyzm, znalazł się w niemałych tarapatach. Sam bowiem był protestantem, a tu przypadła na niego rola obrońcy katolicyzmu! Przyszedł więc do mnie po argumenta.

— Pan mi przyznasz — rzekłem mu po wysłuchaniu jego prośby — i przeciwnik pana to także przyznać musi, że chrystjanizm ucywilizował narody.

— Z pewnością, że przyzna.

— I musi to przyznać — ciągnąłem dalej — bo inaczej cała ta wasza debata (dysputa) o protestantyzmie i katolicyzmie nie miałaby sensu. Ale skoro to przyzna, w takim razie pytanie owo, „czy protestantyzm więcej uczynił dla cywilizacji czy katolicyzm?" praktycznie wyjdzie na to samo, co pytać: „czy protestantyzm więcej się przyczynił do rozszerzenia chrześcijaństwa, czy katolicyzm?"

— Niezawodnie, że na toż samo wyjdzie. Ale jak mu udowodnić, że katolicyzm przyczynił się więcej do rozszerzenia chrześcijaństwa niż protestantyzm?

— Jak udowodnić? Czy masz pan jakikolwiek podręcznik Historji Powszechnej — History of the World?

— Mam.

— To weź pan gołe fakta historyczne i obsyp swego przeciwnika takimi pytaniami: Kto zaprowadził i rozpowszechnił chrześcijaństwo we Francji? czy protestanci? Kto w Anglji? kto w Szkocji? kto w Irlandji? czy protestanci zaprowadzili tam chrześcijaństwo? Kto w Hiszpanji? kto w Portugalji? we Włoszech? w Polsce? w Szwecji, Danji i Norwegji? Kto wreszcie pierwszy zatknął krzyż chrześcijański i na tej tu ziemi amerykańskiej? czy nie katolik Krzysztof Kolumb?...

Kiedy tak w zapędzie krasomówczym podawałem jasne jak słońce argumenta owemu otudentowi metodyjskiemu, Opatrzność zrządziła, że ni stąd ni zowąd wpadł do mojego mieszkania mój sąsiad z pobliskiej farmy, mój „Amtsbruder", jak się sam chętnie nazywa — pastor luterski Wilhem S.... Puściłem więc studenta, któremu zresztą już w głowie się oświetliło jak gdyby mu kto jasną lampę do mózgu wsadził: a przyjąłem do rozmowy przybyłego pastora. Powtórzyłem pastorowi to, com przed chwilą do studenta mówił, i dysputa potoczyła się dalej w tym samym kierunku.

Pastor bowiem przyznał mi wprawdzie owe fakta, że katolicyzm przyczynił się więcej do rozszerzenia chrześcijaństwa niż protestantyzm. Ale dodał zarazem, że to dlatego, iż protestantów wówczas jeszcze nie było. Bo gdyby protestanci byli, byliby niezawodnie tak samo rozprzestrzenili chrześcijaństwo po świecie, jak katolicy; i jeszcze lepiej, niż katolicy. Na to przypomniałem mojemu pastorowi historję o jajku Kolumba. Wreszcie zagadnąłem:

— A czemu to dziś i od 300 lat, jak długo istniejecie, nie nawróciliście ani jednego narodu z pogaństwa na chrystjanizm? Albo powiedz mi, w którym to narodzie pogańskim zaprowadziliście wy chrześcijaństwo? gdzie i kiedy? Gdzie wasz protestantyzm powstał i rozmnożył się? Oto tam, gdzie już istniał katolicyzm! Tak jak pasożyty wyrośliście i rozmnożyliście się na ciele Kościoła katolickiego. I dziwicie się, że was Kościół katolicki wytępia i potępia, skoro wy ssiecie krew jego?

Mój „Amtsbruder" zagryzł wargi i milczał. A gdym mu powtórzył owo natrętne pytanie: gdzie i kiedy i który naród nawrócili protestanci z pogaństwa na chrześcijaństwo? Nareszcie odparł, że gdzieś na wyspach Oceanu Spokojnego istnieje cały naród, nawrócony jedynie przez protestantów. Ale co za naród? jaka jego nazwa? na razie zapomniał. Więc ja mu przypomniałem, że to może tam, gdzie niedawno niemieckiego miljonera dzicy zjedli...

— Tak, zdaje się — rzekł.

— No, toście ich nawrócili z pieca na łeb...

W dalszym jednak ciągu nasza dysputa wzięła całkiem poważny obrót. Toczyła się mianowicie, jak około swej osi, około tej wielkiej kwestji:

Co właściwie stanowi tę siłę niespożytą, tę siłę **expansywną** Kościoła katolickiego?

Bo że ona jest w Kościele katolickim, to fakt w oczy bijący w całej historji aż po dziś dzień. I tego też mój pastor nie zaprze-

czał. Chodziło nam o to tylko, żeby wykazać, na czem polegała i polega ta siła expansywna Kościoła katolickiego? Czy na tem, że katolicy mają znakomitszych ludzi, uczeńszych, świętszych albo bogatszych? Nie! stokroć nie!

— Więc na czemże? — pytał ciekawie pastor.

— Na władzy posłanniczej — odpowiedziałem; na tej „władzy świętej", bo od samego Boga-Człowieka Chrystusa pochodzącej i dlatego z grecka nazwanej „hierarchją" (hiera, święta; archia, władza). Misjonarze katoliccy, opowiadający ludom Ewangelję, to są prawdziwi „missionarii", to z łacińska znaczy **posłannicy,** czyli z grecka „apostoli", apostołowie, bo posłani są rzeczywiście przez Chrystusa Pana. A cała ich siła i potęga tkwi w tem właśnie **posłannictwie,** w tej władzy posłanniczej, władzy świętej czyli hierarchji.

Tej hierarchji protestantyzm niema i mieć nie może, bo nie może wykazać swego posłannictwa od Chrystusa. Jeśli ja dziś stoję przed ludem i głoszę słowo Boże, to skuteczność mojego kazania nie zawisła od osobistej mojej uczoności i świętości, owszem, niczem jest moja siła naukowa wobec ogromu tej siły, tej władzy, tej powagi zawartej w tem zdaniu: „Jako posłaniec Chrystusa przychodzę do was i z rozkazu Jego ogłaszam wam te prawdy".

— Ależ i my — odparł pastor — występujemy jako posłańcy Chrystusa.

— Niestety, ale jako fałszywi posłańcy. Bo czemże udowodnicie wasze posłannictwo?

— Tem, że Duch Boży mówi przez nas.

— A skąd wiecie, że to Duch Boży mówi przez was?

— Z wewnętrznego przeświadczenia.

— Dziękuję za takie świadectwo. Panie pastorze, czyż Mormoni nie głoszą wielożeństwa; inne sekty nie uczą obrzydłych doktryn, które wy Lutrzy sami potępiacie; a czy ci wszyscy sekciarze nie twierdzą tak samo, że Duch Boży mówi przez nich? że czują się powołani i posłani przez Boga? A czyż są?

— No, nie — odrzekł mój pastor, który bądź co bądź do Mormonów nieprzezwyciężony wstręt czuje. Ale — dodał — skąd my możemy dziś wiedzieć, kogo Chrystus posyła a kogo nie posyła. Wszak Chrystusa niema na ziemi?

— Kogo Chrystus posyła, możemy dziś wiedzieć od tych, których Chrystus posłał; od tych, którzy w nieprzerwanem następstwie od Chrystusa i Jego Apostołów swe poselstwo wykazać mo-

gą. Ja mogę się wylegitymować, że posłany jestem od arcybiskupa Katzera; arcybiskup zaś Katzer, że posłany przez papieża; papież znowu, że jest bezpośrednim następcą i spadkobiercą władzy po swoim poprzedniku, i tak dalej wstecz aż do pierwszego papieża, Piotra. Ta sukcesja, ta władza posłannicza, była w Kościele katolickim po wszystkie wieki skrupulatnie przechowywaną. I jeśli ktoś, z biskupów lub kapłanów, nie miał tego posłannictwa od następcy Piotra św., wiedział zaraz o tem świat katolicki.

I dziś, panie pastorze, gdybym ja zerwał łączność z moim biskupem, bądź pewien, każdy mój parafjanin jutro o tem będzie wiedział. I już mnie więcej nie będzie słuchał, choćbym tak samo mądrze gadał. A wiesz czemu? Bo zrywając z moim biskupem, nie miałbym więcej posłannictwa. Albowiem mówi św. Paweł: „A jakoż będą przepowiadać, jeśli nie byli posłani?“ (Do Rzymian 10, 15). Na takich to, na was protestantów, którzy zerwaliście z hierarchją Kościoła, skarży się Pan Bóg przez usta Jeremjasza proroka: „Nie posyłałem proroków, a oni biegali; nie mówiłem do nich, a oni prorokowali... Owom ja na proroki, mówi Pan, którzy kradną słowa moje...“ (Jer. 23, 21). Albo ż was protestantów Chrystus kiedy posyłał?

— Tej objektywnej historycznej pewności, jaką wy katolicy macie, my nie mamy; ale za to na subjektywnej pewności nasze posłannictwo opieramy.

— Na tej samej, na której i Mormoni swoje posłannictwo opierają. Taka subjektywna pewność — to halucynacja, urojenie, złudzenie.

— Ale i w takiej objektywnej pewności — ciągnął mój „Amtsbruder“ dalej — leży pewne niebezpieczeństwo. Otóż może się bowiem łatwo zdarzyć, że ktoś posłany przez biskupa lub papieża, jakiś ksiądz może ludowi głosić fałszywą naukę i w ten sposób, pod pretekstem posłannictwa Chrystusowego, szerzyć antichrystusowe doktryny.

— O to, panie pastorze, w Kościele katolickim niema najmniejszej obawy. I temu niebezpieczeństwu zapobiega znowu właśnie ta czujna i sprężysta „władza święta“ czyli „hierarchja w Kościele. Wszak wiesz, że wasz Marcin Luter był kiedyś kapłanem katolickim. Miał więc jako taki posłannictwo od Chrystusa. Ale skoro się temu posłannictwu sprzeniewierzył, skoro zaczął, zamiast prawdy, fałsze głosić: wiesz co się z nim stało. Władza święta, hierarchja, natychmiast mu to posłannictwo odebrała. Z Ko-

ścioła go wykluczyła i Luter nie mógł tem posłannictwem już więcej się zasłaniać i oszukiwać ludzi — chyba tych, którzy koniecznie oszukani być chcieli. A tymi byli i są protestanci.

Na tem urwała się dysputa. I pastor tego dnia odszedł zadumany, wziąwszy ode mnie Jansena trzytomową „Geschichte des Deutschen Volkes" do czytania. Niech ją trawi; a niech mu na zdrowie wyjdzie.

Ripon, Wis., 22 czerwca 1901 r.

34. Arcybiskup chciał mi dać lepszą parafję, ale ludzie mnie nie chcieli. — Próbne wydawanie „Historji Polskiej w Ameryce" — dlaczego taki tytuł. — Odrębny typ Polaka amerykańskiego.

Dnia 16 marca r. 1901 rano, o godz. 9-ej minut 40 w sobotę odebrałem depeszę kablową o śmierci mojej rodzonej siostry Anny, wyszłej za mąż pięć lat przedtem za p. Pieniążkiewicza, brata ks. Pieniążkiewicza. Umarła po trzeciem dziecku. Uroczyste nabożeństwo żałobne ze mszą, wigiljami i katafalkiem odprawiłem w poniedziałek 18 marca 1901 r. W dwa lata potem kazałem ogrodzić jej grób i krzyż żelazny wystawić na cmentarzu w Szubinie.

Dnia 21 maja 1901 ni stąd ni zowąd odebrałem od arcybiskupa Katzera list tej treści:

„Wielebny Księże! Kiedy dzisiaj u mnie było trzech Polaków z parafji św. Jadwigi w sprawie następcy ś. p. ks. Rogozińskiego a ja między innymi także Twoje nazwisko wymieniłem, odpowiedź była taka: Dla Boga, nie przysyłaj nam tego, arcybiskupie! Co mają przeciwko Tobie, nie wiem; przyczyny zdają się być poza Twoją osobą. Twój oddany F. X. Katzer, Abp. Milw.".

W ten sposób arcybiskup chciał się usprawiedliwić, dlaczego mnie na inną parafję posunąć nie może. Bo ludzie mnie nie chcą. Chciałem ci dać lepszą parafję, ale ludzie za nic w świecie ciebie mieć nie chcieli. Przyjąłem to do wiadomości z wdzięcznością za dobre chęci arcybiskupa.

Gromadząc materjał do Historji, natrafiłem na te słowa biskupa Spaldinga, wypowiedziane przy poświęceniu kościoła polskiego w La Salle, Ill.:

„Nie jestem prorokiem, ale to mogę wam przepowiedzieć, że Polacy odegrają piękną rolę w Kościele katolickim w Ameryce. Emigracja innych narodów się zmniejsza... Nastała epoka emigracji słowiańskiej. Ponieważ zaś Polacy w przeważnej są tu większości,

czeka ich tu piękna przyszłość... i zaręczam wam, że tu w Ameryce zacznie się druga **historja polska**".

Te ostatnie słowa biskupa Spaldinga były dla mnie ostatecznym i dostatecznym powodem, dla którego mojej Historji nadałem tytuł nie inny tylko taki: „Historja Polska w Ameryce". Umieściłem też powyższe słowa na samem czele Historji. Biskup Spalding z Peoria, Ill., zawsze był Polakom przychylny. Jak to w dalszym ciągu zobaczymy, był on jednym z tych nielicznych biskupów amerykańskich, który całym swoim wpływem w Rzymie popierał nasze starania o biskupów polskich. Cześć mu! W dowód niezgasłej pamięci pozostawiłem jego słowa i w książkowem wydaniu Historji Polskiej w Ameryce. Biskup Spalding był amerykaninem pochodzenia angielskiego, a nie ajryskiego.

Dla uzyskania dokładnej statystyki w Historji, rozesłałem listy do seminarjów, kolegjów i zakonów tak męskich jak i żeńskich, żeby się dowiedzieć, ile jest polskich księży zakonnych, polskich sióstr zakonnych i braciszków, oraz ilu studentów polskich w każdym zakładzie obconarodowym. Odpowiedzi od rektorów, przechowane w mojej tece, są liczne i zadawalniające. A rektor jedynego seminarjum polskiego w Detroit, Mich., rzutki i przedsiębiorczy ks. Dąbrowski, dnia 18 czerwca 1901 r. przesyłając mi własnoręczny opis otwarcia i rozwoju swego seminarjum, z dziecięcą zaiste prostotą cechującą jego istotną wielkość, takie dodał słowa:

„Notatkę do Historji Polaków w Ameryce odnośnie do Seminarjum Polskiego przesyłam. Przepraszam że brzydko napisane, bo ładniej nie umiem. Myślę, że Dobrodziej przeczyta".

Jakoż nareszcie 1 września 1901 r. zaczęło się próbne wydanie „Historji Polskiej w Ameryce" w tych trzech gazetach: w codziennym „Kurjerze Polskim", w „Kurjerze Tygodniowym" i w farmerskim tygodniku „Gazecie Wisconsinskiej". W miarę jak „Historja" w gazetach się ukazywała, krytyk, protestów, uwag i sprostowań, bądź publicznie w gazetach, bądź prywatnie w listach do mnie, posypało się co niemiara, tak, że z nich dałaby się ułożyć druga trzynastotomowa historja.

Zaraz pierwszy rozdział, omawiający „odrębny typ Polaka w Ameryce", został ostro skrytykowany za to, że w nim większy nacisk kładłem na wewnętrzne aniżeli zewnętrzne cechy Polaka. W tym rozdziale powiedziałem mniejwięcej tak: Polak w Ameryce zamienił już i zamieni jeszcze wiele zewnętrznych cech swojej narodowości, ale wewnętrznej i istotnej natury Polaka nie zmienił

i nie zmieni tak łatwo. Co znaczą zewnętrzne cechy bez wewnętrznej wartości? Co mi to za Polak, który nosi polskie nazwisko i po polsku mówi, ale nie ma poczucia potrzeby bronienia interesów narodowych? który nazwą i pyskiem jest Polakiem, ale czynem i postępowaniem przynosi tylko wstyd i hańbę Polakom?

Powyższe uwagi były drukowane w gazetach w pierwszych dniach września 1901 roku, zanim jeszcze Czołgosz dał się poznać światu przez zamordowanie Mc Kinlego dnia 7 września 1901.

Co nam z tego przyszło, że taki Czołgosz nosił imię polskie i mówił po polsku? że więc posiadał zewnętrzne cechy Polaka?

Ale taki mój pogląd na narodowość nie spodobał się „Dziennikowi Chicagoskiemu". W długim artykule ostro mnie skrytykował, dowodząc, że „mowy ojczystej za zewnętrzną cechę uważać nie można". Jest ona wewnętrzną cechą narodowości, gdyż Karol Libelt powiedział, iż bez języka narodowego nie masz narodu, iż język jest tem w narodzie czem krew w człowieku. Ks. Kruszka zapowiada, że przyszłość wyłoni z siebie **odrębny typ Polaka amerykańskiego,** który łączyć się będzie z rodakami w Europie ideą polską, ideą narodową. Ta idea, to grunt; niczem język... Widmo takiego odrębnego typu Polaka w Ameryce, jakiem ks. Kruszka nasz przestrasza, jest fikcją daleko mniej prawdopodobną niż teorja Flammariona o ludziach na Marsie. Wielka szkoda, że Wiel. ks. W. Kruszka z okazji swojej historji zerwał wątek swoich myśli z naszym myślicielem i patrjotą Karolem Libeltem, ażeby być postawionym obok Flammariona, nie jako astronoma, lecz jako marzyciela.

Na to „Dziennikowi Chicagoskiemu" odpowiedział ktoś w „Kurjerze Polskim" tak:

„Wywody ks. W. Kruszki, zamieszczone we wstępie do jego „Historji Polskiej w Ameryce" o typie Polaka w wolnej ziemi Waszyngtona, spodobało się nazwać komuś przedwczesnemi, a twierdzenie ks. W. Kruszki słuszne, — że cechę narodową stanowią, oprócz języka, inne czynniki, które zacierają się w kraju obcym, u generacji tamże wychowanych, ustępując częściowo miejsca cechom właściwym nowej ziemi, — spodobało się — temuż komuś — wprost naciągnąć i podsunąć w swych wnioskach, ks. Kruszce twierdzenie, — którego w jego wstępie do Historji polskiej nie ma, — że Polacy choć język stracą w Ameryce, Polakami być nie przestaną. Możeby opatentować ten wynalazek „Dziennika

Chicagoskiego", żeby nie przepadł, bo kto bez „okularów" wstęp Hist. ks. Kruszki przeczyta, czegoś podobnego tam nie znajdzie.

Owszem wywody ks. Kruszki, poparte faktami, wskazują poglądowo, jakie typy Polaków miała Ameryka w czasach dawniejszych, gdy tu przybywali Polacy wychowani na „ziemi naszej", a jakie typy znajdujemy już dzisiaj między Polakami wychowanymi wśród warunków amerykańskiej ziemi właściwych.

Sienkiewicz unieśmiertelnił typ Polaka starej daty, — spotkanego w roku 1878 w San-Francisco, Cal., — w postaci swego Zagłoby, ale pewnie w nowej generacji polskiej, w Ameryce wychowanej, typów staropolskich szukać nie będzie, bo by znalazł materjał do studjów etnograficznych, na temat, jak otoczenie zmienia niektóre cechy narodowe w ludziach.

Zdumienie ogarnia na widok, jak szybko przyswajają sobie przybysze cechy amerykańskie już w najbliższej generacji.

Wszak my tu inaczej wyglądamy po 30 latach imigracji, aniżeli nasi ziomkowie w Europie, gdzie od 100 lat z górą pracują rządy systematycznie nad ograbieniem Polaków z ich cech narodowych. Tam reakcja podtrzymuje stare tradycje, a tu z każdym rokiem wyraźniej znać na nas amerykański szablon. Takież będą typy zamerykanizowanych Polaków, jeśli tak szybko dalej pójdziemy, a raczej pójść pozwolimy.

Niebezpieczeństwo leży w strasznej antytezie. W Polsce nietylko głoszono, ale i wyznawano pierwsze i najważniejsze przykazanie: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca swego, i ze wszystkiej myśli swej, i wtóre „a bliźniego twego jak siebie samego".

W Ameryce głosi się przybyszom, tonącym codziennie w morzu „większości" — będziesz miłował z całego serca i z całej duszy dolara i byznes. Nic dziwnego, że przy takiej pierwszej, najważniejszej zasadzie, spotykamy się w praktyce z faryzejskiem pytaniem: „a któż jest ten mój bliźni?", że tracimy z dnia na dzień łączność, która jest wielką dźwignią w zachowywaniu cech narodowych na obcej ziemi.

Materjalizm przenika w Ameryce, niegdyś poczciwie idealne polskie natury, które swemi czynami dla dobra publicznego wprawiały świat w zdumienie, i zatraca swe typy, a tworzy kosmopolityczne typy, goniące za wyłącznie swoim dobrobytem.

Duchowna strona na bok przed byznesem, oto hasło owych typów już za dni naszych.

Anarchistów w kościele masońsko-liberalnych, niezależnych, nie potępiaj, ale kiedy zamordowanie głowy państwa przez anarchistę — zamerykanizowanego Polaka — zagroziło zepsuciem doczesnego byznesu, wyparli się publicznie nawet socjaliści polscy swego socjalizmu.

Czyż to nie nowe typy?

A jakie ciekawe?!

I jeśli tak dalej pójdzie, co będzie z dziećmi tego polskiego chłopa, który miał niebo zapełnić? Typ przyszłego Polaka w Ameryce, któremu odbiorą polot wyższy pierwej, aniżeli mu mogą dać coś lepszego, będzie takim, o jakim się ks. Kruszce nie śniło, gdy pisał swój wstęp do Historji Polskiej w Ameryce.

Czołgosz przeszedł wszelkie oczekiwania amerykanizatorów, i śmiało możemy ich zapytać: coście wy zrobili z Czołgoszem? Wasze bezwyznaniowe wychowanie przygotowało go na przyjęcie anarchizmu. Fortece, wznoszone przez przybyłych do Ameryki Polaków, celem ochrony skarbów przywiezionych ze starego kraju, — katolickiej wiary i języka — świadczą, że anarchji fabrykować nie zamierzamy. Z waszej winy owe fortece się rysują, wy czynicie w nich wyłomy, a my naprawiamy szkody, wznosimy nowe, — aby się wzmocnić przeciw ciężkim próbom, jakie ustawicznie na nas przychodzą, i wyjść z nich zwycięsko.

Sobie zaś powiedzmy: „principiis obsta, początkom się opierajmy. Jeszcze się złe nie zagnieździło tak dalece między nami, aby wzięło górę. To też szeregujmy się, póki czas, w katolickie stowarzyszenia, kształćmy młode pokolenia w katolickich szkołach, a nie utracimy ani języka ani cech narodowych.

Misja polska w Ameryce leży w krzewieniu katolicyzmu, i stara generacja odpowiedziała celowi.

Bezwyznaniowców przewodników jest dosyć między innemi narodowościami, — ci polskich wtyle zostawią, i sami zagarną owoce, nam zaś zostawią hańbę po wynarodowionych Polakach. Idea katolicka była w Europie typem Polaka przez szereg stuleci, i stworzyła typy nieśmiertelne, niechże „nowa ziemia“ będzie nową rolą w kierunku przekazanym od przodków naszych, niech nam fakta otwierają oczy, gdzie zbawienie narodu, a gdzie wynarodowienie i zagłada narodu.

Naturalny.

Uwagi godnem jest to, że prasa amerykańska zawsze i wszędzie imię osławionego Czołgosza podawała poprawnie i bez błędu. Ani jednego „z“ z jego nazwiska nigdy nie opuszczała. Skrupulatność charakterystyczna! Inne imiona sławnych mężów polskich prasa angielska zazwyczaj przekręca nie do poznania. Nawet z imienia Kościuszki często literę **z** wypuszcza. Ale nie z Czołgosza! Ten musi mieć imię **poprawnie** polskie!

35. „Historja“ wywołuje burzę w Milwaukee.

Co za wrzawę wywołała moja „Historja“ w parafji św. Józafata w Milwaukee! Ile mityngów indagacyjnych tam się odbyło! Ile piorunujących mów na nich wygłoszono! Ile szpalt w gazetach zapełniono gorącemi protestami przeciw historykowi z Ripon! Ktoby to policzył? Wszystkie gazety w Ameryce o tem pisały i bezpłatną reklamę dawały nowonarodzonej Historji Polskiej w Ameryce.

A to wszystko dlatego, że te dwie z przodu bazyliki św. Józafata wystające wieżyce czy dzwonnice spodobało mi się w „Historji“ nazwać „oślemi uszami“. Bazylika św. Józafata w Milwaukee w myśl ks. Grutzy miała być podobną do bazyliki św. Piotra w Rzymie. I byłaby podobną, gdyby architekt Niemiec Brielmeyer nie był przyczepił do jej czoła tych wystających dzwonnic. Te przesłoniły i zeszpeciły wygląd wspaniałej zresztą kopuły tej bazyliki. Była to więc krytyka architekta i architektury, a nie kościoła świętego. Wszak gdy architekt Bernini podobne dzwonnice chciał przyczepić do frontu rzymskiej bazyliki św. Piotra, nazwano je także „oślemi uszami“; a nikt się tem nie zgorszył.

Lecz milwaucki komitet parafjalny, zgorszony moją krytyką „kościoła poświęconego“, uchwalił ostre protesty przeciw mnie i rozesłał je do wszystkich gazet z prośbą o umieszczenie. Niezła to była reklama dla mojej „Historji“. „Dziennik Milwaucki“ skwapliwie umieścił te protesty z olbrzymiemi nagłówkami. Inne atoli gazety brały mnie w obronę. I tak „Kurjer Ohioski“ pisał: „Potępienie ks. Kruszki i rzucanie błotem na kapłana, oddającego ogromne usługi społeczeństwu, odbije się tylko na tych, którzy zamiast uczciwie i z zachowaniem zimnego rozsądku poczynić starania ku naprawie złego, wpadają w gorączkę i zupełnie tracą zmysły“.

A nawet „Dziennik Chicagoski“ taką dał tym „protestantom“ odprawę:

„Obecny proboszcz kościoła św. Józafata, Wiel. ks. Prądzyński, w odpowiedzi ks. Kruszce, zwołał mityng parafjalny, na którym uchwalono szereg rezolucyj... Powiedziano w proteście: „Uchwalamy potępić wszelkie wzmianki o naszym kościele jako fałszywe i niczem nieuzasadnione i na żadną uwagę nie zasługujące". Należało było przeto zbić fałsze, uzasadnić własne twierdzenia i przekonać publiczność, że protest równoważy oskarżenia autora „Historji Polskiej w Ameryce". O tem wszystkiem w proteście niema mowy.

„Natomiast piętnuje protest postępowanie autora „Historji" jako „nietylko **niekatolickie**, ale i **niekapłańskie**". Tak mówi podpisany pod protestem ks. A. Prądzyński o ks. Wacławie Kruszce. Żąda nadto, ażeby pisma polskie i katolickie umieściły cały protest w dosłownem brzmieniu w swych szpaltach.

„Co do nas, mocno żałujemy, że solidaryzować się z gazetami polsko-katolickiemi, gotowemi do zastosowania się do życzeń Wiel. ks. Prądzyńskiego, nie możemy. Nie posiadamy kompetencji do odsądzania Wiel. ks. Kruszki od miana katolika i kapłana, jak to czyni jego milwaucki konfrater i tego rodzaju „katolickie" pismo jak „Dziennik Milwaucki"...

„Jakie stosunki pociąga tego rodzaju protest między milwaucką Polonją, widzimy z „Odezwy" jakiegoś młodzieniaszka ze szkoły św. Józafata, którą to odezwę umieścił „Dziennik Milwaucki" zaraz po proteście. Gołowąsy uczeń czy eks-uczeń z tej szkoły nazywa siebie „patrjotą", a Wiel. ks. Kruszkę nazywa „pierwszym lepszym pismakiem". Nauka z góry nie poszła w las."

Tyle „Dziennik Chicagoski".

Ale ta burza w Milwaukee była burzą w szklance wody w porównaniu do szalonej burzy, wywołanej przez „Historję" w dalekiem Texas, przez zadraśnięcie pewnego kapłana Niemca, który tam zawiadywał parafją polską. Ten poruszył i sądy świeckie i biskupa w San Antonio, Texas, i do angielskich dzienników w Milwaukee pisywał gwałtownie filipiki przeciw „Historji Polskiej w Ameryce", której przez to mimowoli dawał pożądany rozgłos wśród Amerykanów. Ale o tem potem.

Obok „Historji" w owym czasie równie żywo zajmował mnie Drugi Polsko-Katolicki Kongres, zwołany do Buffalo na początek jesieni 1901 roku, do którego prace przygotowawcze rozpoczęły się już z wiosną tegoż roku.

36. Czego naszym wiecom, zjazdom i kongresom było najbardziej potrzeba? Otóż władzy wykonawczej!

Pierwszy kongres polsko-katolicki odbył się w Buffalo roku 1896. Nie wydał owoców pożądanych, bo nie ustanowił władzy wykonawczej. Zjechano się, uchwalono piękne rzeczy, rozjechano się, i na tem koniec.

Po pięciu latach, to jest roku 1901, zwołano drugi polsko-katolicki kongres do Buffalo. Żeby snać i na tym drugim kongresie nie zapomniano o władzy wykonawczej, więc na wieść o zwołaniu drugiego kongresu zaraz ogłosiłem w „Kurjerze Polskim" następujący artykuł, wcale nie przeczuwając, a tem mniej przewidując, że mnie to właśnie na tym kongresie poruczą główną uchwałę do wykonania:

O WŁADZY WYKONAWCZEJ JAKO NAJWIĘKSZEJ POTRZEBIE.

„Le leggi son, ma chi pon mano ad esse?"
„Prawa są, lecz któż przyłoży rękę do ich wykonania?"
(Dante, w Czyśćcu XII, 97.)

Mam przed sobą „Szkic programu prac kongresowych", nadesłany mi przez ks. Jana Pitassa z Buffalo. „Szkic programu jest bez zarzutu. Kongres, mający się odbyć tego roku w Buffalo (sądzę, że nie gdzieindziej), ma — mojem zdaniem — najlepsze szanse powodzenia. Dlaczego? Bo sprawa ta kongresu weszła tego roku na właściwe tory. Początek dobry. A kto dobrze zaczął, ten jakby już połowy czynu dokonał. „Dimidium facti, qui bene coepit, habet" (Horacy). Pięć lat temu sprawa kongresu, przez niedopuszczenie wszystkich Polaków i katolików, od samego początku na niewłaściwe weszła tory, i dlatego wkońcu się wykoleiła. Tego roku projektodawcy kongresu nie pytają się, czyś Zjednoczeniowiec, czy Związkowiec, lecz: czyś Polak i katolik? Jeśliś Polak i katolik, to jedź na kongres polsko-katolicki i obraduj nad dobrem ogółu. Jeśliś grzyb, to leź w kosz!

Dotychczas my Polacy w Ameryce istniejemy li tylko jako jednostki luzem idące, a nie jako społeczeństwo. Mówimy wprawdzie często o „społeczeństwie polsko-amerykańskiem", ale takie społeczeństwo w rzeczywistości nie istnieje. Że nie chcielibyśmy się zlać z żywiołem obconarodowym i rozpłynąć się w niem, lecz że przeciwnie chcielibyśmy tu istnieć jako społeczeństwo odrębne, tego już niejednokrotnie daliśmy dowody niezbite. Że „chcielibyś-

my“ — powiadam; bo nie daliśmy jeszcze dowodu, że chcemy! A między „chcielibyśmy“ a „chcemy“ jest przecie taka ogromna różnica, jak między piekłem a niebem.

Otóż czy chcemy, czy prawdziwie, rzeczywiście i skutecznie pragniemy tu istnieć jako społeczeństwo — to jest ta wielka kwestja, którą ten kongres w Buffalo ma rozstrzygnąć. Czy chcemy tu istnieć jako społeczeństwo polskie czy nie? To be or not to be?

Każdemu społeczeństwu, jeżeli ma istnieć jako takie, niezbędnie potrzebne są te trzy władze: 1) prawodawcza, 2) sądownicza i 3) wykonawcza — tak jak każdemu pojedyńczemu człowiekowi potrzebne są te trzy władze: pamięci, rozumu i woli. Jak bez pamięci, rozumu i woli nie można sobie wyobrazić człowieka, tak też bez władzy prawodawczej, sądowniczej i wykonawczej, nie można sobie wyobrazić społeczeństwa czyli zbiorowego człowieka.

Jeżeli więc chcemy zadokumentować nasze istnienie jako społeczeństwa, musimy, zebrani na kongresie, czyli zjeździe, koniecznie stworzyć te trzy władze.

Musimy ustanowić najpierw władzę prawodawczą. Zdawałoby się, że o tę najmniej kłopotu, bo będzie nią sam kongres, on będzie ustanawiał prawa. Lecz tu spojrzyjmy wprost w oczy jednemu, a tak często powtarzanemu zarzutowi, mianowicie: czy kongres ma władzę prawodawczą? czy ma moc obowiązującą każdego Polaka? Na ten zarzut należy odpowiedzieć: Bracie, czy chcesz, żebyśmy tworzyli społeczeństwo, czy nie chcesz? jeżeli nie chcesz, to pozostań jednostką luzem idącą poza społeczeństwem; a jeżeli pragniesz być członkiem społeczeństwa polskiego w Ameryce, to z konieczności musisz uznać jakąś władzę prawodawczą, bez której społeczeństwo staje się niemożliwem, musisz, w braku innej, uznać władzę tę, która jest, którą kongres stanowi, bo lepsza jest władza ta, która jest, aniżeli żadna władza — lepszy rydz niż nic. Tym sposobem zawiązywało się każde społeczeństwo, że ludzie pragnący żyć życiem społecznem, stworzyli przedewszystkiem władzę prawodawczą, której moc obowiązującą uznać musiał każdy, kto chciał należeć do społeczeństwa, a nie chciał być jego wyrzutkiem. I chociaż bywało w historji, że taka pierwotna władza prawodawcza niekoniecznie już była odrazu doskonałą, jednak ludzie społecznie dojrzali zawsze uznawali taką choć prymitywną i niedoskonałą władzę, dopóki innej, lepszej stworzyć nikt nie umiał. Czy my, Polacy w Ameryce, dojrzeli społecznie? Tę kwestję rozstrzygnie kongres: jeżeli większość Polonji amerykańskiej nie uzna władzy prawodaw-

czej i powie, że uchwały takiego kongresu jej nie obowiązują, to Polonja amerykańska wyda sama sobie świadectwo niedojrzałości społecznej i do nazwy społeczeństwa rościć sobie pretensji nie może.

Lecz przypuszczam, że my już szczerze chcemy, prawdziwie „chcemy", a nie „chcielibyśmy" tylko, tworzyć osobne społeczeństwo, żeby się nie wynarodowić i nie zlać z obcemi narodami; że więc, co za tem idzie, uznamy też władzę prawodawczą tego przyszłego kongresu. Czyż na tem koniec? Nie, bo dobrze urządzone społeczeństwo potrzebuje jeszcze koniecznie władzy sądowniczej — i wykonawczej. O sędziów, o wyroki sądowe, zwłaszcza potępiające — u nas nie trudno, sypią się jak z rogu obfitości. Bieda jedynie, że o te wyroki i uchwały sędziów i prawodawców nikt nie dba. Że na kongresie uchwały piękne i pożyteczne zapadną, i to nawet jednozgodne; że kongres ustanowi sędziów, którzy potem podług ustaw kongresowych sądzić będą każdego z powagą i mądrością Salomona, jednych skazując na potępienie, a drugich uwalniając od winy — o to, zdaje się niema najmniejszej obawy. Lecz o co nam się najbardziej obawiać potrzeba, to o brak sprężystej władzy wykonawczej! Głów i rozumów Salomonowych nie brak w naszem amerykańsko-polskiem społeczeństwie, brak tylko rąk i jeszcze raz rąk, brak ramion silnych, brak żelaznej dłoni Bismarcka. Brak i Herkulesa, któryby oczyścił naszą stajnię Augiaszową! Cóż pomoże, że władza prawodawcza uchwali, a sędzia rozkaże, jeżeli na ospałych lub czasem krnąbrnych i opornych nie znajdzie się żelazna a sprężysta ręka władzy wykonawczej? Dlatego wszyscy, którzy będziemy na kongresie, wszystkie siły umysłu wytężyć powinniśmy w tym kierunku, żeby wybrać ludzi energicznych i stworzyć jak najliczniejszą władzę wykonawczą, któraby wiernie, mężnie a roztropnie wykonywała uchwały na kongresie zapadłe. W skład tej władzy niech wchodzą ludzie pełni zapału, siły, energji a nieugiętej woli, tacy, o jakich Pismo św. mówi w Psalmie 2, wierszu 9: „Reges eos in virga ferrea" — „Będziesz je rządził laską żelazną". Jeśli się znajdzie jaki polski Bismarck, postawmy go bez wahania na czele władzy wykonawczej. Potrzebujemy człowieka nieustraszonego męstwa, który nie zrazi się żadną trudnością, nie da się nastraszyć żadną groźbą, nie ulegnie żadnej pokusie, nie cofnie się przed żadnem niebezpieczeństwem, lecz stale i wytrwale kroczyć będzie naprzód drogą uchwał powziętych ku celowi przez kongres wytkniętemu. Ramię tej wykonawczej władzy powinno dosięgnąć każdego zakątka naszych osad polskich.

wszędzie, czy w szkolnictwie czy w przemyśle, handlu i polityce, przeprowadzając w czyn uchwały przez kongres powzięte. Potrzebujemy władzy wykonawczej, któraby umiejętnie, roztropnie a praktycznie brała się do rzeczy. Naprzykład, pragniemy „równouprawnienia kleru polskiego z katolickim klerem innych narodowości" i kongres niezawodnie uchwali ten wniosek. Musimy wiedzieć, że Stolica św. w tym względzie nie będzie się porozumiewała z biskupami np. galicyjskimi, lecz tutejszych naszych amerykańskich radzić się będzie. Że zaś nasi amerykańscy biskupi nie skorzy są do ustępstw na naszą korzyść, to po większej części my sami sobie winni, bo albo ulegamy im zbytnio, albo sprzeciwiamy się im zbytnio; albo płaszcząc się po rękach ich liżemy, albo stawiając się krnąbrnie, zrywamy z nimi zupełnie. Złotego środka nie znamy. Istnieje droga pośrednia, legalna, którą postępując, już dawno bylibyśmy uzyskali, jeżeli nie biskupa polskiego przy każdem biskupstwie, to przynajmniej pod którym jest więcej Polaków. Gdybyśmy naprzykład, ilekroć biskup nam przyśle List Pasterski albo rozporządzenie jakieś do przeczytania w polskim kościele, wzbronili się takowy List przeczytać, jeśli biskup nie nadeśle autentycznego tłumaczenia takiego Listu na język polski. Tak jak do dziś bywało, każdy proboszcz tłumaczył po swojemu taki List Pasterski, tak że często można powiedzieć, nie list biskupa, lecz swój ludowi czytał. Bo też nie każdy proboszcz posiada dar tłumaczenia wiernego obcych języków. Czyżbyśmy nie byli usprawiedliwieni w tem wzbranianiu się odczytywania Listów Pasterskich, jeśli w obcym dla Polaków języku są pisane? Takich i podobnych uprawnionych środków, dążących do uzyskania reprezentacji we wyższych urzędach hierarchji kościelnej, posiadamy wiele. Chodzi tylko o to, abyśmy zawsze i wszędzie jednomyślnie działali, razem zwartą falangą, a nie wyrywali się pojedyńczo. Do takiego zaś jednomyślnego postępowania w pewnych wypadkach dojść możemy dopiero przy jednej naczelnej władzy wykonawczej, któraby zgóry wskazywała sposób wspólnego działania w celu pozyskania przynależnych nam praw i przywilejów.

Bez silnej, roztropnej jak wąż a sprężystej władzy wykonawczej, wszelkie choćby najdonioślejsze uchwały kongresu spełzną na niczem. Razem z Dantem powiemy po kongresie znowu jak r. 1896:

„Prawa są, lecz któż przyłoży rękę do ich wykonania?"

Ripon, Wis., 27 kwietnia 1901 r.

X. Wacław Kruszka.

37. Kiedy i jak powstała we mnie myśl o potrzebie biskupa polskiego w Ameryce?

Było to cywilne święto ogłoszenia niepodległości amerykańskiej, był to dzień 4 lipca roku Pańskiego 1901, dzień „świętego Dżulaja", w gwarze amerykańsko-polskiej tak zwany. Upał był straszny, gorąco nieznośne, strumienie potu lały się po całem ciele mojem. Po obiedzie wyszedłem na werandę, na „porcz", za dziesięć dolarów przybudowany do mojej plebanji ripońskiej, a ocieniony dzikiem winem. Tu czytałem buffaloskiego „Polaka w Ameryce", redagowanego przez p. Stanisława Ślisza, „Dziennika Chicagoskiego" i inne gazety; a w nich przeważnie artykuły omawiające sprawę biskupa polskiego dla Ameryki.

Nie podobały mi się te artykuły. Dlaczego? Bo omawiały tę sprawę z punktu czysto narodowego.

Rozumowałem tak: biskupa polskiego nam dać może tylko Rzym. A co Rzym dba i może dbać o narodowość? Chyba o tyle może dbać, o ile narodowość przyczynia się do zachowania wiary świętej. Bo władza papieska, to nie jest władza narodowa, to jest władza katolicka, czyli powszechna, dla wszystkich narodów dana. Papież, choćby chciał z urzędu swego powszechnego, nie może dbać o narodowość, chyba tyle, o ile mu się jasno jak na dłoni wykaże, że narodowość przyczyni się do utrzymania wiary świętej. Inaczej papież sprzeniewierzyłby się urzędowemu, przez Chrystusa nadanemu, posłannictwu swemu do wszystkich narodów. Przekonajcie najpierw papieża niezbitemi dowodami, że narodowość polska w Ameryce jest koniecznie potrzebna do utrzymania wiary świętej wśród Polaków w Ameryce, a wtedy papież bez wahania, nietylko może dać, ale istotnie da wam biskupów polskich w Ameryce.

Tego dowodu zaś nie dostarczyły powyższe artykuły, jakie czytałem. Więc rzuciłem gazety polskie w kąt, a zacząłem czytać Pismo św. Mam w swoim notesie rozdzielone Pismo św. na każdy dzień w roku. Według tego podziału, na każdy dzień w roku przypadają dwa, trzy lub najwięcej cztery rozdziały. W ten sposób całe Pismo św., od początku do końca, przeczytałem w przeciągu jednego roku!

Właśnie w ów dzień ogłoszenia niepodległości amerykańskiej — w dzień 4 lipca r. 1901, przypadło mi czytać rozdział czternasty Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntjan. Proszę sobie przeczytać ten rozdział uważnie. Ten rozdział najzupełniej ze sta-

nowiska, nie narodowego lecz katolickiego, uzasadnia potrzebę biskupów polskich w Ameryce.

To też przeczytawszy ten rozdział Pisma św., choć cały spocony upałem, nie myślałem już więcej o drzemce poobiedniej; lecz wstałem i ołówkiem skreśliłem najpierw odpowiedź „Dziennikowi Chicagoskiemu", który wówczas sceptycznie zapatrywał się na sprawę biskupa polskiego w Ameryce. Ale skreśliwszy odpowiedź „Dziennikowi Chicagoskiemu", pomyślałem: Co pomoże w polskiej gazecie? Wszak i irlandzcy biskupi powinni o tem wiedzieć, że nam się należą biskupi polscy w Ameryce! I że należą nam się nietylko ze stanowiska narodowego, lecz i katolickiego! Więc jeszcze tegoż dnia napisałem ołówkiem angielski artykuł pod tytułem: „Polyglot Bishops for Polyglot Dioceses".

Obydwa te artykuły następnego dnia przepisałem atramentem na czysto. Pierwszy ogłosiłem w „Kurjerze Polskim", a drugi posłałem do „American Ecclesiastical Review" w Filadelfji.

Pierwszy polski artykuł brzmiał tak:

„A JEŚLI KTO O SWYCH PIECZY NIE MA, ZAPRZAŁ SIĘ WIARY."

„Dziennik Chicagoski" w numerze z dnia 2 lipca między innemi pisze: „Staramy się o uzyskanie polskich biskupów, ażeby przy ich pomocy utworzyć w Stanach Zjednoczonych państwo w państwie — Polskę w Ameryce". Ma to być coś zdrożnego i bezbożnego. Lecz pytam: czy nie lepiej, że chcemy utworzyć Polskę „przy pomocy biskupów" aniżeli przy pomocy masonów? Czyż sam „Dziennik Chicagoski" nie nauczał nas ustawicznie, że przez Rzym wiedzie droga do Polski, a nie przez Raperswyl? Dlaczegoż nam teraz za złe bierze, że „przy pomocy polskich biskupów" chcemy odzyskać Polskę?

Niezawodnie, że polski biskup przyczyniłby się wielce do utrzymania polskiej narodowości w Ameryce, i to jest jeden z powodów, dla których polskiego biskupa sobie życzymy. Czyż to zły powód, niegodziwa pobudka, że życzymy sobie biskupa polskiego dla utrzymania narodowości? Bynajmniej! Tej pobudki nie potrzebujemy się wstydzić i możemy ją wyznać otwarcie przed biskupami amerykańskimi, że „chcemy polskiego biskupa tak dla zachowania wiary św. jak i narodowości". Albowiem cóż w tem zdrożnego? Czyż narodowość religię nie wspomaga? Dlaczegożby więc na-

wzajem religja narodowości wspomagać nie miała? Przecie ręka rękę myje — i polskość utrzymuje w nas wiarę praojców a wiara praojców nawzajem utrzymuje w nas polskość.

Wiara i narodowość nietylko mogą, ale nawet powinny wzajemnie się wspomagać. Każdy biskup amerykański, jeśli tylko nie jest szowinistą, przyzna nam tę powinność. Miłość bowiem i piecza o cały Kościół katolicki nie wyklucza bynajmniej miłości i pieczy o naród swój, o swoich bliskich, swoich rodaków. Owszem powinnością każdego katolika jest starać się o swoich rodaków najpierw — bo cóż mi to za wiara w takim Polaku, który będzie dbał wprawdzie o kościół irlandzki, niemiecki, francuski itd., ale o swój domowy, ojczysty, polski kościół starać się nie będzie? Cóż za wiara w takim Polaku? Otóż według św. Pawła — żadna; on zaparł się wiary, zaparłszy się bliskich, domowników, rodaków swoich. Bo oto co mówi św. Paweł: „A jeśli kto o swych, a najwięcej o domowych pieczy nie ma, zaprzał się wiary, i jest gorszy niżeli niewierny“ (1 Tim. 5, 8).

Rozumieją tę powinność inne narodowości w Kościele katolickim, i nikt im tego za złe nie bierze, że mają pieczę przedewszystkiem „o swoich“. Rozumieją to Włosi, i starają się wszędzie wsadzić włoskich biskupów; rozumieją to włoscy kardynałowie, którzy, będąc Włochami, włoskiego także chcieli zawsze mieć papieża; rozumie to sam Ojciec św., który, będąc Włochem, ma pieczę „o swych“ przedewszystkiem, o Włochów, których najwięcej wynosi na godności kościelne. Rozumieją tę swoją powinność Niemcy, którzy tu w Ameryce wszędzie, gdzie tylko mogą, wypierają Irlandczyków a o biskupa swojej narodowości się starają, i nawzajem Irlandczycy poruszają wszelkie sprężyny, by irlandzkich biskupów mieć jak najwięcej.

A my Polacy czy rozumiemy tę swoją powinność, żeby dbać przedewszystkiem „o swoich“, o swój polski kościół? A czyż polski kościół może być bez polskiego biskupa? więc bez polskiego nauczyciela? Bo jak nas uczy katechizm rzymski, to właściwym „Pasterzem i Nauczycielem“ w Kościele jest dopiero biskup, a księża są tylko „pomocnikami“ biskupa. Gdzież tedy my Polacy w Ameryce mamy tu „Pasterza i Nauczyciela“? Jakże biskupi amerykańscy mogą nas uczyć, kiedy oni do nas mówić nie mogą? Jakże mogą być przewodnikami i pasterzami polskiego ludu, kiedy lud polski ich głosu nie rozumie? Gdzie kiedy w historji Kościoła panowały tak anormalne stosunki? Wszędzie i zawsze biskupi ka-

toliccy uczyli się języka ludu im podwładnego, aby lud ich rozumiał a oni lud rozumieli. Boć „fides ex auditu“ — „wiara ludu ze słuchania“, „a jakoż usłyszą bez przepowiadającego“ w zrozumiałym dla nich języku? (Rzym. X. 15). Dlatego wszędzie, nawet między dzikiemi narodami, biskup był albo z tego narodu, albo, jeśli był obcy, to uczył się języka tego narodu, nad którym go biskupem postanowiono. Nie lud miał się uczyć języka biskupa, lecz biskup musiał się uczyć języka ludu, nad którym go przełożonym uczyniono. Tak było dawniej, od czasów Apostołów począwszy, tak być powinno i dziś.

Zrozumiejmy raz tę naszą powinność, że jeżeli dbamy o Kościół, to o polski kościół dbać powinniśmy na pierwszem miejscu, a jeżeli dbamy o polski kościół w Ameryce, to starać się powinniśmy o polskiego biskupa, czyli o polskiego „Pasterza i Nauczyciela“, któryby w zrozumiałym dla naszego ludu języku przemawiał i uczył wiary, która „ze słuchania“ pochodzi, jak święty Paweł powiada. Jeśli już wkońcu rodaka naszego biskupem mieć nie możemy, to starajmy się o to i nalegajmy usilnie, ażeby amerykańscy biskupi nie samym tylko angielskim językiem władali. Wszak biskupi są następcami Apostołów, a o Apostołach co powiada Pismo św.: „i mówili różnemi językami — et loquebantur variis linguis“ — a nie jeden tylko. Domagać się cudu od Ducha św. dziś nie potrzeba, bo każdy kandydat na biskupa ma dość czasu i sposobności nauczyć się obcych języków. Znamy przecież rodowitego Niemca, ks. Józefa Rainera, który prócz innych języków nauczył się i po polsku mówić. Może to ten, dlaczegoż nie mogliby tego i inni, czy Niemcy czy Irlandczycy? tak, że kiedy do naszych polskich kościołów przyjdą bierzmować, będziemy mogli to powiedzieć, co pierwsi chrześcijanie (zobacz Dzieje Apost. rozdział 2, wiersz 11), że „słyszeliśmy je mówiące języki naszemi i wielmożne sprawy Boże“. A jeśli nie mają „daru języków“, jeśli nie mogą się nauczyć mówić inaczej jak po angielsku, to niech nie przyjmują urzędu biskupa. Wielka odpowiedzialność przed Bogiem czeka każdego, który tu w Ameryce, bez znajomości potrzebnych mu języków, przyjmuje na swe barki ciężkie skądinąd już obowiązki biskupa. Grzech śmiertelny popełnia każdy kandydat na biskupa, który tu bez odpowiedniej znajomości języków przyjmuje lekkomyślnie urząd biskupa.

Pytam więc jeszcze, czy rozumiemy tę swoją powinność, że my Polacy w Ameryce starać się powinniśmy o biskupów polskich,

albo przynajmniej o biskupów po polsku mówiących? Nie bójmy się zarzutu szowinizmu narodowego. Nie jest to szowinizm narodowy, jest to całkiem słuszna i sprawiedliwa, ba nawet konieczna rzecz, żebyśmy „mówiących“ a nie „niemych“ biskupów mieli. I rozum prosty i wiara św. to potwierdza. Nie mówmy tak niemądrze, jak pewien dygnitarz polski z Wisconsinu 10 lat temu mówił, kiedy to także o biskupa polskiego już się starano; powiedział on wtenczas: „Że biskup polski zachodzące nieporozumienia w polskich parafjan mógłby prędzej załatwić — jest absolutnym fałszem. Tylko kapłani sami są w stanie takim nieporozumieniom zapobiec“ (zobacz „Roczniki Gazety Katolickiej“ z roku 1891). Otóż jak „kapłani sami“ — bez biskupa polskiego — „byli w stanie takim nieporozumieniom zapobiec“, pokazały to niebawem lata 1894—98, brzemienne w schizmy i apostazje w polskim kościele. Czemuż to zawsze jeszcze niektórym ten biskup polski w Ameryce byłby nie na rękę?... Może dlatego, że, jak to mówią, myszy swobodniej biegają, kiedy kota w domu nie mają.

Ripon Wis., 5 lipca 1901.

X. Wacław Kruszka.

38. Artykuł „Polyglot Bishops for Polyglot Dioceses“, uzasadniający potrzebę biskupów polskich w Ameryce, nie został ogłoszony przez „American Ecclesiastical Review“.

Drugi artykuł, uzasadniający potrzebę biskupów polskich w Ameryce ze stanowiska wiary świętej, ułożony i ołówkiem skreślony tegoż dnia 4 lipca 1901 roku, następnego dnia przepisany na czysto posłałem do miesięcznika „American Ecclesiastical Review“, wychodzącego w Filadelfji. Do artykułu dołączyłem prośbę, ażeby redakcja tego pisma albo umieściła mój artykuł w całości, albo mi rękopis zwróciła. Nie ma skreślać ani jednego zdania. Nie ma zmieniać toku myśli i rozumowania. Jeśli na treść mego artykułu w całej jego rozciągłości zgodzić się nie może, niech mi go łaskawie napowrót odeśle. Przewidywałem bowiem, że mi jednego ustępu dosłownie umieścić nie zechce. Był to ustęp z ostrzem prawdy, którem każda prawda w oczy kole. Było to żądło, które miało ukłuć; był to bodziec, który miał ubóść; był to grot, który miał ugodzić w tych, których ten artykuł dotyczył. Bez takiego ostrza żaden artykuł, mający na celu przekonanie i pokonanie przeciwnika,

nie wrazi się w jego umysł i nie utkwi w nim stale i trwale. Przelotne tylko wywrze wrażenie. Czytelnik przeczyta taki „zajmujący“ artykuł, pochwali nawet autora i powie: „Bardzo pięknie napisał!“ I to też wszystko. Mnie zaś chodziło o coś więcej niż o taką czczą pochwałę, mnie chodziło o coś więcej niż o proste zainteresowanie episkopatu amerykańskiego. W artykule interesującym, ale bez ostrza prawdy, biskupi ajryscy widzieliby siebie jak w lustrze, ale potem prędkoby zapomnieli, jak wyglądają. Mnie zaś chodziło o to, żeby tą ostrą prawdą braku biskupów polskich dotknąć biskupów ajryskich do żywego, tak żeby ich aż zabolało!

Dlatego żądałem umieszczenia mego artykułu ze wszystkiem, co w nim było, gładkiem i ostrem, w całej jego rozciągłości. A artykuł ten cały, zatytułowany „Polyglot Bishops for Polyglot Dioceses“, w tłumaczeniu polskiem tak dosłownie opiewał:

Wielojęzyczni biskupi dla wielojęzycznych diecezyj.

Jedność w rozmaitości — oto prawo, panujące w całym wszechświecie. Nawet w Stwórcy wszechrzeczy mamy jedność istoty w rozmaitości Osób. A toż samo prawo panuje także w Jego Kościele na ziemi.

Katolicka jedność nie jest bezwzględną jednostajnością, lecz jest jednością urozmaiconą, jednością wiary w rozmaitości zwyczajów, obyczajów i języków. I jedynie w takiej jedności (urozmaiconej) leży siła, bo jedynie w takiej jedności jest żywotność. Sztywna jednostajność (niby ciasny uniform) pęka łatwo, rozrywa się w kawałki. Stąd ta okoliczność, że w Kościele katolickim znajdują się rozmaite narodowości, nie jest pożałowania godną, lecz przeciwnie dla nas katolików być powinna przyczyną radości i wesela; bo różnice narodowe nie osłabiają, lecz raczej wzmacniają jedność Kościoła. Odejmij rozmaitość, a odjąłeś siłę i żywotność od jedności, a natomiast zatrzymujesz tylko słabą, sztywną i martwą jednostajność (jednokształtność) — uniformy.

Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych jest w minjaturze (w zmniejszeniu) zaprawdę obrazem całego Kościoła katolickiego, rozpostartego po reszcie kuli ziemskiej, o ile że obejmuje tu wszelkie owe narodowości Europy, Azji a nawet Afryki. Różne te narodowości mają zczasem same stać się jednolitym narodem o jednym języku, jeśli już nie o jednych i tych samych obyczajach. Atoli, jestże to dobrem postępowaniem Kościoła uczynić je przemocą o jednym (angielskim) języku? Niektórzy myślą, że tak, bo myślą, że

przez zaprowadzenie narodowej jednostajności wzmocnią temsamem jedność Kościoła.

Lecz to jest wielkiem złudzeniem niektórych z naszych po angielsku mówiących katolików. Narodowości i języki nie są początku ludzkiego, a Kościół nie ma od Boga upoważnienia zmieniania lub niszczenia tychże: więc „trudno tobie przeciw ościeniowi wierzgać“ (Ap. 26, 14). Różne języki, jak wiemy z Objawienia, są karą nałożoną przez Boga na ród ludzki, za pychę. Kto tedy usiłuje wprowadzić jeden jedyny język, ten, rzekłbyś, usiłuje odbudować na nowo wieżę Babel. A to daremna praca. Jeśli to wolą Boga jest, żeby przynajmniej tu w Stanach Zjednoczonych znikła rozmaitość języków, to zniknie ona z biegiem czasu sama przez się. Ale na razie języki rozmaite tu istnieją, i istnieć jeszcze długo będą, choćby tylko dlatego, że co rok przybywa nam świeża emigracja. Czyżby fakt ten miał zagrażać Kościołowi katolickiemu w Ameryce? Czyżby taka rozmaitość narodowości miała osłabiać jedność naszego Kościoła w tym kraju? Bynajmniej, lecz przeciwnie wzmacnia jedność wiary.

Prawda, że dla naszych jednojęzycznych prałatów amerykańskich niedogodną to rzeczą jest rządzić i zarządzać i panować wśród tak mieszanej ludności.

Bo ani biskup nie może rozumieć nie-angielskiego ludu swej diecezji, ani lud nie może rozumieć swojego biskupa; stąd naturalnie powstają nieporozumienia, w nie-angielskich parafjach. To jest wielką prawdą. Ale czyż możemy winić lud za to, że nie umie mówić po angielsku? Czy lud, pod względem języka, winien się zastosować do biskupa, czy odwrotnie, biskup winien się zastosować do ludu. Oto pytanie wielkiej doniosłości: czy diecezja jest dla biskupa, czy też biskup jest dla diecezji? Odpowiedź jest jasną, biskup jest ustanowiony dla diecezji, a nie odwrotnie, a zatem, jeśli diecezja jest wielojęzyczną, to biskup także winien być wielojęzycznym.

Czy jednakże słuszna rzecz żądać od naszych amerykańskich biskupów, żeby mówili oprócz angielskiego także po francusku, niemiecku, a może po polsku i czesku? Owszem, jeśli biskup ma w swej diecezji znaczny procent każdej z tych narodowości (powiedzmy: jedną piątą część), słuszna to rzecz, żeby mówił temi językami, inaczej nie może wypełnić swoich obowiązków jako biskup. Czyż nasi amerykańscy biskupi nie są następcami Aposto-

łów? A co powiedziano o Apostołach? Czyż oni nie mówili rozmaitemi językami" (Dzieje II, 4). Tak — powiesz — lecz to był cud, a dziś cuda niepotrzebne. Odpowiadam distinguendo (rozróżniając): cuda nie są potrzebne — concendo (zgadzam się na to); lecz żeby „dar rozmaitych języków" dziś w Ameryce był niepotrzebny — nego simpliciter (przeczę temu najzupełniej)! Z pewnością, dziś spodziewać się od Boga „daru języków" za pomocą cudu, a nie za pomocą nauki, byłoby doprawdy kuszeniem Boga! Każdy bowiem kandydat na kapłana lub biskupa, ma dziś dosyć czasu i sposobności nabyć owych „rozmaitych języków" za pomocą własnego studjum. Znam niemieckich księży, jak Przew. ks. Józefa Rainera, rektora seminarjum w St. Francis, Wis., który oprócz angielskiego i niemieckiego, zna także język polski, włoski, francuski i inne żyjące języki. Mógł ten, czemużby inni nie mogli? Polscy księża, z reguły, są polyglotami także i jeszcze większymi niż Niemcy. Przeszło połowa naszych polskich księży w Stanach Zjednoczonych rodziła się lub wychowała tu w Ameryce, i mówią po angielsku tak dobrze jak każdy inny rodowity Amerykanin, lecz oprócz angielskiego i polskiego, znają zwykle także niemiecki, czeski, francuski język, i inne, pomni łacińskiego przysłowia: „Tyle razy jestem człowiekiem, ile języków umiem".

Nie myślę ja twierdzić, że dar języków sam już czyni kogoś zdatnym na następcę Apostołów; mówię tylko, że obok innych kwalifikacyj, znajomość różnych języków w diecezji wielojęzycznej jest biskupowi nieodzowną; albowiem rozważ to dobrze: Jeśli Bóg uczynił cud nawet, aby Apostołowie mogli mówić „rozmaitemi językami", — już z tego samego faktu możesz zrozumieć, jak wielkiej doniosłości w ekonomji zbawienia musi być znajomość rozmaitych języków! W owych czasach z pewnością języki łaciński i grecki były niemniej rozpowszechnione jak język angielski w dzisiejszych czasach — a jednak Pan Bóg nie wahał się uczynić cudu w tym celu, ażeby każdy naród usłyszał ewangelję we własnym swoim języku: „słyszeliśmy je mówiące językami naszemi wielkie sprawy Boże" (Dzieje II, 11). Czemu to? Gdyż nie obcy (choćby nam był znany), lecz język rodzinny, język ojczysty, „nasz" język dopiero daje nam pełne zrozumienie prawdy, prawdy zwłaszcza religijnej. Lud innych narodowości naprzykład, nauczy się po angielsku tak, iż nawet interesa załatwiać może w tym języku prawie tak samo jak w swoim; lecz nie będzie on się modlił ani spowiadał po angielsku; może nawet słuchać i rozumieć zwy-

czajną mowę angielską, lecz nie zrozumie słowa Bożego opowiadanego w angielskim języku, już dla tej prostej racji, że język angielski ma specjalną a bardzo trudną terminologję na wyrażenie religijnych prawd i myśli.

O! gdyby dziś w tym kraju, ilekroć biskupi przychodzą bierzmować w naszych parafjach, lud nasz mógł także powiedzieć i zawołać radośnie: „słyszeliśmy je mówiące języki naszemi wielmożne sprawy Boże"! Coby to była za radość dla ludu naszego, i co za istotne bierzmowanie (utwierdzenie) we wierze, która tu narażoną jest na tysiące niebezpieczeństw! Albowiem i w naszych czasach wiara nie inaczej jak „ze słuchania" (Rzym. 10, 17) pochodzi. „A jako usłyszą bez przepowiadającego" (4) w ich własnym języku? Wiem, że nasi najprzewielebniejsi biskupi mają rozmaitych księży dla rozmaitych narodowości w swoich diecezjach. Atoli abstrachując od tego faktu, że n. p. polscy katolicy nie są opatrzeni dostateczną liczbą kapłanów polskich (na półtora miljona polskich katolików jest zaledwie 400 księży polskich w Stanach Zjednoczonych), pytam, czy ksiądz posiada w nauczaniu siłę i powagę biskupa? czy prosty ksiądz jest właściwym nauczycielem i kaznodzieją, właściwym Pasterzem w Kościele? Bynajmniej; bo nie księży, lecz was, Biskupów, Duch św. postanowił, abyście „rządzili Kościół Boży" (Dzieje 20, 28). „Abyście rządzili", to znaczy, nietylko przenosili księży z parafji do parafji, lecz znaczy to na pierwszem miejscu, abyście nauczali i kazali. „Przepowiadaj słowo" — na pierwszem miejscu św. Paweł kładzie to upomnienie biskupowi Tymoteuszowi (II. Tim. 4, 2). Ksiądz jest tylko pomocnikiem biskupa, i jest to wielka różnica dla prostego ludu słyszeć księdza a słyszeć i rozumieć także biskupa. Biskup jest właściwym pasterzem trzody wiernych, „a owce idą za nim" — czemu? — „bowiem znają głos jego. A za cudzym nie idą, ale uciekają od niego, bo nie znają głosu obcych" (Jan 10, 4, 5). I jak wielu to w Stanach Zjednoczonych odpadło od prawdziwej wiary, dlatego jedynie, że nigdy nie słyszeli, nie znali i nie rozumieli głosu właściwego swego pasterza — biskupa? Tak, zrozumieli głos swojego księdza i poszli też dlatego za swoim księdzem, lecz czyż nie zeszli na manowce właśnie dlatego, że szli jedynie za księdzem?... A iluż to w przyszłości odpadnie z tejże samej przyczyny, że nie mają właściwego pasterza (biskupa), którego „głos by znali" i rozumieli? Wiara tedy ze słuchania... lecz jako usłyszą bez przepowiadającego?"

Dlatego to — salva reverentia wszystkich obecnych najprzewielebniejszych biskupów, którzy swój urząd objęli, kiedy rzeczy inaczej się przedstawiały — ja śmiem twierdzić z pewnością, uzyskaną bądź a priori bądź a posteriori z doświadczenia pomiędzy nie-angielskimi katolikami, że po dziś dzień w Stanach Zjednoczonych, ktokolwiek (kandydat) śmie przyjąć na siebie obowiązki biskupa w diecezji polyglotycznej (wielojęzycznej), sam nie będąc polyglotem, ten przyjmuje na barki obowiązki, o których wie, że nie może ich wypełnić, a przez to popełnia grzech śmiertelny. Powinien albo się nauczyć „mówić różnemi językami" (gdyż cudu od Boga się nie godzi oczekiwać w tym wypadku), albo powinien wzbronić się przyjąć odpowiedzialne obowiązki biskupa w takiej diecezji. Nie może wymawiać się tem, że Stolica św. go zmusza do przyjęcia biskupstwa w takiej (polyglotycznej) diecezji, jestem bowiem pewien, że Stolica św., jeśli będzie tylko należycie poinformowana, nigdy zmuszać go do tego nie będzie.

W ostatnich latach zaszły ogromne zmiany. Części składowe Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych, w ostatniej ćwierci wieku XIX, zmieniły się zupełnie. Kościół nie składa się tu już więcej wyłącznie z angielskiego i niemieckiego żywiołu, jak to miało miejsce przed rokiem 1870. Od tego czasu słowiańska imigracja, jak Polaków, Litwinów, Czechów, Słowaków itd. (między którymi panującym żywiołem są Polacy) urosła niezmiernie, tak że dziś stanowi około trzecią część całej katolickiej ludności Stanów Zjednoczonych. Podług cenzusu, zrobionego 1900 r. przez autora (drukującej się) „Historji Polskiej w Ameryce" jest naprzykład 69,300 Polaków katolików w diecezji Buffalo, czyli prawie połowa całej ludności katolickiej w tej diecezji; jest 57,200 w diecezji Pitsburg, czyli jedna piąta; jest 48,500 w diecezji Scranton, czyli jedna trzecia; 48,200 w diec. Cleveland, czyli prawie jedna piąta; 32,200 w diec. Ft. Wayne, czyli jedna trzecia; 13,750 w diec. Marquette, czyli jedna piąta; 44,100 w diec. Grand Rapids, czyli przeszło jedna trzecia; 47,900 w diec. Detroit, czyli jedna czwarta; 172,600 w archidiecezji Chicago, czyli jedna piąta; 16,600 w diec. Omaha, czyli jedna czwarta; 16,400 w diec. Duluth, czyli przeszło połowa; 23,800 w diec. St. Cloud, czyli przeszło połowa; 31,210 w diec. Green Bay, czyli jedna czwarta; 46,080 w archidiec. Milwaukee, czyli jedna piąta. Oprócz tego jeszcze w 31 diecezjach (w angielskim tekście wymienionych powyżej) znajduje się w każdej po 20 lub mniej Polaków na każde 100 katolików. Zwracamy atoli uwagę, że nie

braliśmy tu w rachubę Litwinów, Czechów, Słowaków i innych słowiańskich narodów.

To też Najprzew. ks. Biskup Spalding z Peoria, Ill., już w r. 1892, przemawiając z okazji poświęcenia kościoła w La Sale, Ill., bardzo trafnie określił ówczesną i późniejszą liczebną siłę Polaków w Kościele katolickim Stanów Zjednoczonych następującemi słowami: „Nie jestem prorokiem, lecz to wam mogę przepowiedzieć, że Polacy odegrają świetną rolę w Kościele katolickim w Ameryce. Imigracja innych narodowości się zmniejsza, lecz imigracja Polaków, Litwinów, Czechów, Słowaków się zwiększa z dniem każdym. A ponieważ Polacy między nimi stanowią większość, więc odegrają świetną rolę w Kościele katolickim w Ameryce — i to wam powiadam, że tu w Ameryce rozpocznie się druga historja polska."

Z tem wszystkiem, od innego znowu prałata amerykańskiego słyszeliśmy, że nigdy w Stanach Zjednoczonych nie będzie biskupa polskiej narodowości. Czemużby nie? Czemużby Polacy mieli być ignorowani i nieuwzględnieni w hierarchji Kościoła w Ameryce? Czemużby tylko narody mówiące po angielsku i niemiecku miały mieć ten przywilej wyłączny posiadania biskupów swojej narodowości? Czemuż? Czyż dlatego, że większość narodów tych, Anglików i Niemców, odpadła od Kościoła, podczas gdy polski naród, jako całość, zawsze pozostawał wiernym Kościołowi — „Polonia semper fidelis", jak się wyraził papież Pius IX? Albo czyż dlatego, że Anglja wydała takiego Henryka VIII, a Niemcy spłodziły takiego Lutra, którzy zrujnowali chrześcijaństwo w swoich odnośnych krajach, podczas gdy Polska zrodziła nam takiego Jan III Sobieskiego, króla, który pod Wiedniem roku 1683 obronił całe zachodnie chrześcijaństwo od najazdu Turków i od powodzi mahometanizmu?... Lecz nie oglądając się na zasługi starej Polski, my Polacy w Ameryce nie prosimy o żadne szczególne przywileje, my prosimy jedynie o sprawiedliwe i równe traktowanie nas, o równouprawnienie w hierarchji kościelnej.

X. Wacław Kruszka

pr. par. św. Wacława w Ripon, Wis.

Oto (w przekładzie polskim) artykuł, który posłałem do „American Ecclesiastical Review", a którego ten miesięcznik umieścić nie chciał właśnie dla wyżej wspomnianego ostrza, jakiem prawda w oczy kole. Dla którego zdania nie chciał „Ame-

rican Ecclesiastical Review“ umieścić powyższego artykułu, zobaczymy to w następnym rozdziale.

Tu nadmienię tylko, że przez ten właśnie artykuł mój człowiek odtąd wstąpił w nierozerwalny związek ze sprawą biskupów polskich dla Ameryki.

39. Jak ks. Heuser się wytłumaczył. — „New York Freeman's Journal“ ogłosił artykuł „Polyglot Bishops“ w całej rozciągłości.

Owym „kamieniem obrażenia“, dla którego „American Ecclesiastical Review“ nie chciał mego artykułu „Polyglot Bishops for Polyglot Dioceses“ w całości umieścić, było głównie następujące zdanie:

„Po dziś dzień w Stanach Zjednoczonych ktokolwiek (kandydat) śmie przyjąć na siebie obowiązki biskupa w diecezji polyglotycznej, sam nie będąc polyglotą, ten przyjmuje na swe barki obowiązki, o których wie, że nie może ich wypełnić, a przeto popełnia grzech śmiertelny.“

Ksiądz H. J. Heuser, redaktor miesięcznika „Am. Eccl. Review“, odsyłając mi nieprzyjęty do druku manuskrypt (który przechowuję w swojej tece), taką mi dał odpowiedź:

„American Ecclesiastical Review“, Editorial Rom, Overbrook, Pa. U. S. A., July 12th, 1901.

The Rev. W. Kruszka,
Reverend Dear Sir,

„I have your letter and Communication regarding the desirability of having the needs of polyglot communities in the U. St. properly provided for by the selection of Diocesans who understand the different languages of theirs subjects. I fully comprehend the importance of the subject and am sure that it would meet with proper consideration if presented in a way that will not give offence by seeming to charge the existing ecclesiastical authorities with the fault. One phrase alone in which you affirm „with certainty“ that a bishop accepting the charge of a polyglot diocese „is guilty of mortal sin“ would be sufficient to defeat your proposition, for it ignores the fact that some bishops so constituted by the Holy See have no choice of retusing or accepting the charge, and the same charge may be easily misinter preted in other respects. Hance I feel it woald not help the cause which you justly defend, to publish your paper **in its present form.**

„If you will put it in form of a... letter or communication addressed to the Review, stating facts and numbers (authenticated) and making a dignified representation as a deduction from these facts, but without ang aggressive or polemic purpose, and as **brief** as possible, I should gladly publish it; and I am sure it will find a heaving if the tone be moderate and impartial.

„I return the M. S. as you may with to publish it anyhow, though it would not suit the methods and tendency of the Review.

„Believe me Rev. Dear Sir.

faithfully in Xro.

H. J. Heuser."

Kiedy ten list ks. Heusera, wraz z zwróconym manuskryptem moim, nadszedł do mojej plebanji w Ripon, wybierałem się właśnie w podróż do Fancher, Wis., zaproszony z kazaniem na odpust Matki Boskiej Szkaplerznej, 16-go lipca, 1901. Wziąłem więc ze sobą ten list z manuskryptem, żeby go w drodze przeczytać. Po drodze do Fancher wypadało mi wstąpić do Oshkosh, gdzie proboszczem założonej przeze mnie parafji był wówczas światły kapłan ks. Jan Machnikowski, który także był zaproszony na odpust do Fancher. List ks. Heusera i mój manuskrypt dałem ks. Machnikowskiemu do przeczytania. Odczytał je głośno i z właściwą sobie emfazą, a potem zawołał:

— Wyborny twój artykuł. Poślij go do „New York Freeman's Journal". Ten ci go zaraz umieści w całości i bez żadnej zmiany. Tym artykułem biskupi mogą i powinni się czuć boleśnie dotknięci, gdyż zawiera szczerą prawdę, a prawda w oczy kole. Ale nie powinni się czuć obrażonymi, gdyż ten artykuł istniejących biskupów nie obraża. Mógłby obrazić chyba kandydatów na biskupa. Stąd zarzut ks. Heusera upada. Również bezpodstawnem jest twierdzenie ks. Heusera, jakoby Stolica święta kogoś **zmuszała** do przyjęcia biskupstwa. Ks. Heuser, tłumacząc przyczyny odrzucenia artykułu w obecnej formie, widocznie wykręca się sianem. Nie chce tej prawdy umieścić dlatego, że jest bardzo bolesną. To cała rzecz. Ostrą prawdę chciałby zastąpić gładką wzmianką o całej tej ważnej sprawie. Poco tę tak ważną rzecz owijać w bawełnę? Poślij cały ten artykuł, tak jak jest, do „New York Freeman's Journal". Ten prawdomówny katolicki tygodnik ma cywilną odwagę i umieści twój artykuł w całej rozciągłości.

Gdyśmy potem zajechali do Fancher, tam znowu odczytano powyższy mój artykuł „Polyglot Bishops“ wobec kilkunastu księży z rozmaitych stron zebranych. Wszyscy, z Przew. ks. Peścińskim konsultorem diecezjalnym na czele, zgadzali się na całą treść tego artykułu w obecnej jego formie.

Posłałem ów wyżej przytoczony artykuł „Wielojęzyczni biskupi dla wielojęzycznych diecezyj!“ do katolickiego tygodnika „New York Freeman's Journal“, który go też dosłownie umieścił w numerze z dnia 3-go sierpnia, roku 1901.

Pierwszą wieść o ogłoszeniu mego artykułu we „Freeman's Journal“ otrzymałem od księdza przybyłego ze St. Francis właśnie gdym jadł kolację w plebanji ks. J. Szukalskiego w Milwaukee. Ów ksiądz, nie pamiętam już kto, opowiadał, że i rektorowi seminarjum ks. Rainerowi bardzo się podoba mój artykuł, tylko to jedno zdanie o „grzechu śmiertelnym“ jest za ostre. Ówczesny wikary generalny a późniejszy biskup Schinner wychwalał logikę tego artykułu i zaczął na serjo uczyć się po polsku.

Za „Freeman's Journal“ powtórzyły i inne angielskie gazety powyższy artykuł; a polskie dzienniki i tygodniki w tłumaczeniu polskiem go ogłaszały.

Że udało mi się powyższym artykułem poruszyć opinję i trafić do przekonania ogółu kleru katolickiego w Stanach Zjednoczonych, dowodzą tego nader liczne kongratulacyjne listy, nadesłane mi przez księży najrozmaitszych narodowości, nie wyjmując irlandskiej, ze wszystkich stron Ameryki. I tak ks. I. C. z Baltimore, Md., Włoch z pochodzenia, lecz urodzony już tu w Ameryce, pisał mi między innemi:

„Rev. and Dear Sir: — Permit me, an entire stranger, to congratulate you on your able and just article „Polyglot Bishops for the Polyglot Dioceses“. It is quite timely, and I only regret that it is published alone in the N. Y. Freeman's Journal, as far as I know. Could you not arrange to have it appear in other Catholic papers here in the East? I believe it would do an amount of good if published in the Catholic Mirror (Baltimore), in the Philadelphia Catholic Standard and N. Y. Catholic News. I have read and called the attention of a number of Catholics here and each one has admitted the justness of your complaint, but that is not the only matter to be, for. I wish to call your attention to another occurrence of a narrower sort. The Bohemian colony of this city have a church located about two miles from their set tlement and recently they

decided to purchase a site nearer their settlement and locate a church thereon. Now the pastors of the two English churches adjoining the site are protesting against its location there, claiming what is not the truth that it will interfere with the attenance of their churches. One of these pastors is an Irishman by birth but who came to this country a young man, and was educated by the diacese, he really does not show much of Catholic spirit. The other is an American likewise educated at the expense off the diocese. I should also like to call your atention to another fact existing in this archdiocese and city. The majority of the Catholic clergy in charge of the best Catholic churches, too, are Irish born priests, while the young men born and raised and mostly educated by their own means and patrimonyl are sent to the poorer parishes and subordinate positions. I see by the papers that His Eminence, Cardinal Gibbons, is reported to have said in an interview in Paris that there was no such thing as Americanism which may or may not be quite true, but had he said there is such o thing as Irishism, he would have been nearer of the trath. Look at the names of the prominent parish priests all over the country. Iirsh. The bishops Irish and the arch bishops Irish. You are right, Rev. and dear sir, in your complaints and claims. Not only the Poles but the Italian people, too, should have at last two bishops in hierarchy. I think the Italian citizens of New York may call the attention of Mgr. Scalabrini, bishop of Placencia, to your timely article...“

Tak pisał rodowity Amerykanin, pochodzenia włoskiego, który słusznie zauważa, że nie „amerykanizm“, nie amerykański nacjonalizm, lecz „ajryszyzm“, czyli ajryski nacjonalizm rozpościera się w Kościele katolickim w Stanach Zjednoczonych. Zjednoczonych tak dobrze, jak ajrysz, nic to nawet, że urodziłeś się w Ameryce, że znasz nietylko język angielski ale i obyczaje i zwyczaje amerykańskie, tak dobrze jak ajrysz, — jeżeli nie jesteś ajryszem (Irlandczykiem) z pochodzenia, nie przyznają ci równych praw!

Inny list kongratulacyjny, jaki otrzymałem z powodu artykułu „Polyglot Bishops“... jest daleko większej wagi, o ile że pisany przez Anglika czy Irlandczyka i do tego wsławionego w całej Ameryce autora dzieła sześciotomowego p. t. „Studies in Church History“, ks. doktora Reuben Parsona z Yonkers, N. Y. Ten uczony mąż, powaga w sprawach kościelnych, z wielkiem uznaniem się wyraża o powyższym moim artykule, uznając słuszność żądań na-

szych i starań o polskiego biskupa. Pisał, między innemi następujące pochlebne wyrazy:

„Dear Father Kruszka: — Allow me to express my pleasure concerning your letter to the Freeman's Journal... If every Polish priest, and every other pries of the Slavic race, now in this country, were to evice the same acumen (and print his ideas), there would be a cause for congratulation. As a friend of the persecuted Poles, and as one who knows their history well, I ask you to use your pen more frequently...“

Pisał też z Wisconsinu pewien ksiądz: „Wiel. ks. — Nie znamy się osobiście, to prawda — lecz poznaliśmy się przez korespondencję, którąś ks. napisał do Freeman's Journal of New York (artykuł „Polyglot Bishops...“). Niech Ci, Wiel. Wacławku będzie cześć, a Bóg niech Ci da zdrowie. Oby więcej takich było kapłanów. Broń Bracie polskości i prawdy a praw naszych upominaj się przez piękne i potężne pióro swoje. Niech Ci Bóg da siłę do dalszej polemiki, gdyby Cię atakowano...“

Atakował mię pewien biskup, który w liście do mnie pisał, że jeśli biskupi nasi w Ameryce obowiązani są pod sumieniem znać rozmaite języki swoich diecezjan jak to udowadniam w artykule „Polyglot Bishops...“, to i papież, jako władca całego świata katolickiego, powinien by znać wszystkie języki... Każdy widzi, że porównanie to, biskupów z papieżem, bardzo kulawieje. W artykule moim nie ma mowy o papieżach jako takich, ale tylko o biskupach diecezjalnych. A i papież, uważany jako biskup diecezjalny czyli jako biskup swej diecezji Rzymskiej, z pewnością, że musi władać językiem swoich diecezjan włoskich. Daliby mu Włosi, gdyby papież był Niemcem, Francuzem lub Polakiem nieumiejącym po włosku! Nawet umiejącego po włosku innonarodowca do biskupstwa rzymskiego przypuścić nie chcą!

W następnym rozdziale umieszczę list, jaki z powodu owego artykułu „Polyglot Bishops...“ napisał Najprzew. ks. biskup J. Trobec z St. Cloud, Minn.

40. Obconarodowi biskupi w Ameryce są anomalją. Tylko w dzikim świeżo z pogaństwa nawróconym kraju, obconarodowi biskupi mogliby mieć rację bytu. — List biskupa Trobec. — Clevelandzki Catholic Uniwerse i jego zapędy szowinistyczne.

Odpowiadając mi listownie na artykuł „Polyglot Bishops“, biskup J. Trobec z St. Cloud, Minn., najpierw zwrócił mi trafną uwa-

gę, w jaki sposób należy liczyć familje i dusze. Mianowicie podaje taką rachubę:

„I take the numb er obfapitsms and multiply it by 3½ (three and a half), I have the number of families; multiplying this by 5 (five) I have the number of souls". I podług tej rachuby mniej jest Polaków w diecezji St. Cloud niż podałem w artykule. Co do sprawy wielojęzycznych biskupów, biskup Trobec tak mi pisał 12 sierpnia 1901:

„If the remark, made in the said Article, that Bishops who take charge of Dioceses and cannot understand the language of all the people in their charge, are guilty of **mortal sin** — be true — then woc to the. Holy Father whoo has charge o the whole world; woe to all the bishops in missionary countries especially in America, for there is not one who understands the language o all his subjects. Here in the Northwest, the Bishops would have to be a Mezzofanti. I understand a little Polish, but my Vicar General speaks in flucatly, though a Bohemian, who has labored in a polish congregation fro 16 years. The good polish people are attended to as well as possible.

„Dear Faher, do not think that I criticize your Article; no, by no means, I only wish to state the real facts...

„Withing you God's blessing and succes I am

Yours sincerely

James Trobec."

Kiedym na ten list biskupowi Trobecowi odpowiedział grzecznie ale stanowczo, snaviter sed fortiter, że w moim artykule nie było wcale mowy o papieżu jako takim, ani o misjonarzach w dzikich krajach (chyba, że on Stany Zjednoczone zalicza jeszcze do dzikich krajów), że zatem jego rozumowanie i wnioskowanie jest płytkie, nielogiczne i niekonsekwentne — wtedy biskup Trobec okazał swoją prawdziwą i niekłamaną wielkość przez to, że w następnym liście przyznał mi się otwarcie, iż mój artykuł „Polyglot Bishops" przeczytał był tylko pobieżnie i bez należytego zastanowienia się. Mianowicie odpisał mi w taki sposób, znamionujący jego wielki i szlachetny charakter:

„Saint Cloud, Minnesota, 16 sierpnia 1901.

„Wiel. ks. W. Kruszka, Ripon, Wis.

„Rev. Dear Father!

„In reply to your favor I thank you or havng corrected the last statement o my letter. **I did not read the article careffuly and had it not before me wren I penned the remarks.**

„You should not state in any article that **I speak Polish,** for it is, unfortunately, not to; I understand it a little, my language being a slavic dialect. I love the polish language, but, alas. I am too old to learn it sufficiently, to be able to preach. Polish is the most difficult of all slavic languages, to speak and write it correctly. The good polish people here are not neglected, they have more polish priests, than they can support, and almost all correspondence with individual, who make complaints, is carried on in Polish — with the help of my Vicar General who assists me in this. Wishing you succes in all your undertakings I am.

Yours sincerely

James Trobec."

Wobec tej na pokorze opartej prawdziwej wielkości, jak małą, „na paluszkach chodzącą", jest ta pozorna, bo pychą nadęta, wielkość takiego naprzykład redaktora tygodnika „The Catholic Universe", diecezjalnego organu biskupa Horstmanna z Cleveland, Ohio. Ten „Catholic Universe" z dnia 23-go sierpnia 1901. w artykule redakcyjnym, zatytułowanym „Poles want a Bishop" tak pisał:

„Writing to the Freeman's Journal Father Wenceslaus Kruszka of Ripon, Wis., pleads for Polish representation in the hierarchy of the United States, on he score of numerical strenght of the Poles and the linguistic ability of their clergy." Czy tylko na tej podstawie? I ten widać nie czytał mego artykułu uważnie. Gorszy się potem, że liczbę Polaków diecezji Clevelandzkiej podałem na 48 tysięcy dusz. Ależ Mr. Tom. L. Johnson, major miasta Cleveland, w swojem przypieczętowanem zeznaniu podał liczbę Polaków w samem mieście Cleveland na 30,000 dusz. Pisze dalej:

„The claim for episcopal appointments on the plea that a Bishop muust be able to address all his people and that the Polish clergy are exceptionally qualified as linguiss, if it proves anything, prooves too much. It would prove that instead of a Polish Bishop ew ought to have all Polish Bishops". Jeśli co, to takie właśnie dowodzenie jest naciągane, „prooves too much."

„The Germans could make a similar plea for German Bishops; the Bohemians for Bohemian Bishops; te Italians for Italian Bishops; the Irish for Irish Bishops (jak gdyby ich nie mieli! To już szczyt pychy i obłudy!); the Lithuanians for Lithuanian Bishops; the Hungarians for Hungarian Bishops; and then, of course, the Magyers would want Magyar Bishops; the Greeks would want Greek Bi-

shops; (co to za okropne nieszczęście by było dla Kościoła **Powszechnego!!?** Zamiast niemiecko-ajryskiej, jego hierarchja miałaby wtedy istotnie cechę **powszechną** czyli katolicką, a nie **narodową,** jak to dotychczas ma miejsce! Ale wtedy bardzo mało stolic biskupich pozostałoby dla ajryszów!) while the great American population (która to jest? czy ma choć jedną parafję?) daily increasing its ranks from all these different nationalities and comprising the great bulk of the population (które to, nie już diecezje, ale przynajmniej parafje tworzy ten „great bulk" **czysto amerykańskiej** ludności? Prosimy nadaremno o statystyczne daty! Kiedym raz publicznie w milwauckim „Catholic Citizen" prosił o wskazanie mi choć jednej „amerykańskiej" parafji, któraby nie była albo ajryską, albo niemiecką, albo polską itd., lecz kat' exochen amerykańską, w odpowiedzi na to pytanie ktoś zaledwie jedną „amerykańską" parafję mi wskazał gdzieś w zapadłym kącie Stanu Kansas! Gdzie więc ten „great bulk of American population", o którym „ The Catholic Universe" w dalszym ciągu pisze, że:

„Might be pardoned if they put in a plea for a **Catholic** hierarchy (o taką katolicką hierarchję, obejmującą wszystkie narodowości, a nie samą **ajryską,** właśnie **nam** Polakom się rozchodzi!) which, while it guards with the solicitude of episcopal real all the flock of whatever nationality believes there is something more important in this great republic, with its limitless possibilities, than fostering national differences — and hat is by unifying al through the slow but certain process if time into one Catholic body (więc dziś te „different nationalities" nie tworzą jeszcze „one Catholic bondy"; utworzą je dopiero, gdy się zleją w jedną amerykańską narodowość!) with a thoroughly Catholic and American priesthiod and a hierchy that knows no race differences."

Gdy więc w Ameryce ze wszystkich narodowości stanie się jedna narodowość, wtedy dopiero będzie „one Catholic body"! O stupida simplicitas! o simplex stupiditas! Dokądże te zapędy szowinistów amerykańskich nadużywać będą naszej cierpliwości?

„The Catholic Uniwerse" w swoich kosmopolitycznych dążeniach przypomina mi niezmiernie błogie marzenia pewnego uczonego, który wielką zagadkę bytu w następujący rozważał sposób: „Gdyby — mawiał on — ze wszystkich ludzi, którzy są na świecie, zrobił się jeden człowiek, a wszystkie wody zlały się w jedną wodę; a wszystkie drzewa połączyły się w jedno drzewo i ze wszystkich siekier stała się jedna siekiera; i gdyby następnie ten

wielki człowiek ściął tą wielką siekierą to wielkie drzewo i spuścił je na tę wielką wodę: — cóżby to był za plusk!“

Gdyby więc, podług clevelandzkiego „Catholic Universe (już sam tytuł tej gazety brzmi jak „masło maślane“) ze wszystkich katolickich narodów, zamieszkujących Amerykę, zrobił się jeden naród, a wszystkie językowe dźwięki zlały się w jeden dźwięk, cóżby to była — za okrutna nuda!

41. Dzielne Polki. — Związek N. P. nie chciał brać udziału w kongresie polsko-katolickim.

Właśnie w owym czasie, kiedy my słowem upominaliśmy się o równouprawnienie w Kościele, grono Polek czynem odrazu uzyskało swoje uprawnienie. Bo Polki są bardziej rezolutne od Polaków.

„Niewiastę mężną któż znajdzie?“ — woła Pismo święte. Ale Polka mężna się znalazła. Była nią Siostra Felicja, która wówczas wraz z innemi Polkami należała do niemieckiego zgromadzenia zakonnego. Katolicyzm to nie kosmopolityzm. Kosmopolityzm dąży do zatarcia różnic narodowych, ale nie prawdziwy katolicyzm. Tylko obłudny katolicyzm może mieć dążności kosmopolityczne. W owem zgromadzeniu mówiono i modlono się po niemiecku tak wówczas jak i dziś jeszcze. Ale gdy raz nasze Polki między sobą rozmawiały po polsku, przełożona zawołała:

— Stop that horse language!

To naszym rezolutnym Polkom wystarczyło. Odrazu gromadnie opuściły klasztor niemiecki i założyły czysto polskie zgromadzenie Sióstr Szkolnych pod opieką św. Józefa z domem macierzystym w Stevens Point, Wis. A co najważniejsze, że do tego kroku umiały pozyskać upoważnienie wyższych władz kościelnych. Oto przykład Polek, godny naśladowania przez nas Polaków. My Polacy dużo myślimy, rezonujemy, gadamy i piszemy; podczas gdy nasze Polki rezolutnie działają. W słowach chęć widać, lecz w **czynie** potęgę!...

Zbliżał się drugi kongres polsko-katolicki, na który, jak to już zaznaczyłem, tym razem zwołani byli wszyscy Polacy katolicy bez wyjątku i wszystkie organizacje polskie nie wykluczone ze społeczności katolickiej. Atoli Związek Narodowy Polski nie chciał brać udziału w kongresie na tej podstawie, że jest on bezwyznaniowy. To mnie nietylko bolało, lecz i oburzało. Zwłaszcza, że

na tym kongresie miała być omawiana sprawa tak ważna nietylko dla religji, lecz i dla polskości, jaką nieodzownie jest sprawa równouprawnienia kleru polskiego. Ogłosiłem więc w chicagoskiej „Gazecie Katolickiej“ następujący artykuł:

UROŚLI — LECZ NIE DOJRZELI.

Kto? — Związkowcy nasi urośli znacznie w ostatnich latach, lecz jeszcze nie dojrzeli politycznie. Przy ostatnim egzaminie dojrzałości wobec społeczeństwa polskiego — znowu przepadli. Wprawdzie niektóre związkowe gazety, jak „Dziennik Milwaucki“ (który zaleca ślepe posłuszeństwo Zarządowi Głównemu, takie, jakiego nawet w zakonach katolickich nie wymagają), za ten niepolityczny krok względem mającego się odbyć kongresu winują jedynie Zarząd Główny Związku Narodowego Polskiego, podczas gdy ogół związkowców ma się znać trochę lepiej na polityce i dyplomacji, od swego Zarządu. Lecz czyż Zarząd Główny nie jest głową Związku? Po czemże wreszcie mamy osądzić człowieka czy pojedyńczego czy zbiorowego (organizację), jeśli nie po głowie? Mówić: cały kadłub jest rozumny, tylko głowa nierozumna — czyż to nie śmieszna wymówka? A choćby cały kadłub był człowieczym, o członkach ludzkich, to jeśli jednak na kadłubie wspiera się głowa ośla lub bawoła — czemże taki dziwoląg będzie? czy nie osłem lub bawołem raczej niż człowiekiem?

Niedojrzałość polityczna Związku N. P. ujawnia się w owej źle pojętej a jeszcze gorzej zastosowanej zasadzie o czysto bezwyznaniowym patrjotyźmie, czyli inaczej, o równouprawnieniu wyznań. Równouprawnienie to posunięto do najskrajniejszej ostateczności. Z ostatniej odpowiedzi, jaką dał Zarząd Główny Zw. Nar. Pol. komitetowi przedkongresowemu, wynika, że gdyby pan Ślisz (sekretarz) był zaprosił na kongres wszystkich Polaków i katolików i niezależnych i baptystów, a wyłączyłby był jedynie praktycznych Mormonów (choćby tych między Polakami nie było), to i w takim razie Związek byłby dał odmowną odpowiedź, w imię równouprawnienia wyznań (czytaj i porównaj odnośną odpowiedź w „Zgodzie“). No, doprawdy, nawet najliberalniejszy rząd Stanów Zjednoczonych, choć w zasadzie uznaje także równouprawnienie wyznań, tak daleko jednak się nie posuwa, bo wiemy, że niedawno praktycznego Mormona nie przyjął do kongresu.

Przekonujemy się tedy dziś nanowo o tem, o czem już pisaliśmy sześć lat temu (w artykułach „Utopje Związkowców“ i tym

podobnych), mianowicie, że ta idea związkowa o bezwyznaniowym patrjotyźmie do niczego nie prowadzi, jest halucynacją, utopją, chimerą, jest mrzonką, która z rzeczywistością życia stoi w rażącej sprzeczności. Związkowa mrzonka o wyznaniowem równouprawnieniu jest tak samo niewykonalną w życiu jak mrzonka socjalistyczna czy komunistyczna o równym podziale majątków.

Każde państwo na świecie opiera się na jakiemś wyznaniu, na religji, jako na fundamencie swoim. Już starożytny filozof grecki, Plutarch, wyrzekł te pamiętne słowa: znajdziesz miasta i państwa bez nauk, bez sztuk, bez literatury, ale bez religji żadnego na świecie państwa nie znajdziesz. Pod tym względem w całej historji świata nie było wyjątku i niema go dziś. I dziś jeszcze wszędzie jedno jakieś, panujące w narodzie wyznanie, jest kamieniem węgielnym każdego państwa. Wśród rozmaitych wyznań wszędzie jedno jest panującem, mianowicie wyznanie większości narodu, a to zawsze jest podporą, podstawą, podwaliną państwa.

Państwa, opartego na zasadzie równouprawnienia wyznaniowego, faktycznie niemasz żadnego.

Weźmijmy naprzykład najsilniejsze rządy, najpotężniejsze dziś mocarstwa na świecie, mianowicie Anglję, Niemcy i Stany Zjednoczone. Czyż angielski rząd, choć w zasadzie uznaje równouprawnienie wyznań, nie wyszczególnia wszakże swojego, panującego wyznania? wyznania większości narodu? czyż nie każe królowi przysięgi składać na to wyznanie, choć to przysięga ubliżająca dla innych wyznań? A choć nawet w ostatnim czasie rotę tej przysięgi zmodyfikowano, to zawsze ona przecież nosi jeszcze cechę wyznania angielskiego (np. oświadcza się przeciw transsubstancjacji itp.). Dlaczego to rząd angielski czyni, ten rząd zresztą tak liberalny? Bo wie, że tę religję, wyznaje większość narodu, zatem czuje to instynktownie, że chcąc być silnym rządem, musi się liczyć z tem panującem w narodzie wyznaniem.

A Rosja, czyż nie liczy się ze swojem wyznaniem panującem, wyznaniem schizmatyckiem? Czyż można sobie wyobrazić potęgę Rosji bez tej religji? Coby się działo z jej potęgą, gdyby zamiast schizmatycką większość narodu, uwzględniała katolicką mniejszość? Samozachowawczym wiedziona instynktem, czuje ona to dobrze, że na panującem w tym narodzie wyznaniu trzeba oprzeć siłę państwa, i tak też czyni. A Niemcy, któż je uczynił potężne, czyż nie Bismarck? W jaki zaś sposób? Czyż nie w ten, że trzymał z większością luterskiego wyznania, podczas gdy mniejszości

katolickiej, choć znacznej, tył podał? Nie byłby Bismarck stworzył tak potężnego mocarstwa, gdyby na podobę naszych Związkowców oglądał się na jakieś tam pokątne wyznanie, zamiast na panujące.

Weźmijmy wreszcie Stany Zjednoczone — czyż i tu rząd nie opiera się na wyznaniu większości? A jakie to jest to wyznanie panujące w Stanach Zjednoczonych? Jest niem bezwyznaniowość. I ta jest wyznaniem. Na 76 miljonów, 25 miljonów zaledwie wyznaje Boga chrześcijańskiego, reszta, t. j. 50 miljonów, nie wyznaje, jak statystyka wykazuje, żadnej religji chrześcijańskiej, jest więc, jak mówimy, bezwyznaniową. I dlatego to rząd tutejszy opiera się na tej większości bezwyznaniowej. Nazywamy tę bezwyznaniowość także wyznaniem religijnem, bo choć ta bezwyznaniowa większość nie wyznaje Boga chrześcijańskiego czyli prawdziwego, to jednak wyznaje zato wiele bogów fałszywych, tych samych, co greccy i rzymscy poganie, i tak: wierzy w Peutona czyli bożka bogactw (Almighty Dollar), wierzy w Marsa, bożka wojny, wierzy w Bachusa, bożka pijaństwa, wierzy w Merkurego, bożka złodziei, wierzy w Wenerę, boginię rozpusty — słowem, ta olbrzymia większość w Stanach Zjednoczonych, nie wyznając religji chrześcijańskiej, wyznaje przecie dawną religię pogańską. Świątynie swoje (Masonic Temple i t. p.) ma także, a jakże — i obrzędy. I to wyznanie w Stanach Zjednoczonych nazywa się panującem, ponieważ większość tego narodu (50 miljonów) jest tego wyznania. A rozum polityczny Yankesów pokazuje się właśnie w tem, że w polityce i ustawach państwowych nie ogląda się na wyznania mniejszości (katolików, metodystów, baptystów i t. d.) — o tych wcale wiedzieć nie chce, ignoruje je — lecz patrzy na wyznanie większości, na wyznanie panujące, które tu jest pogańskiem, a które to z chrześcijańskiego punktu widzenia podobało nam się nazwać grzeczniej „bezwyznaniowością".

Otóż pytam się teraz, gdzie jest u naszych Związkowców (którzy chcą być przedstawicielami narodu polskiego) ów rozum polityczny, który zawsze i wszędzie w każdem państwie każe się liczyć z wyznaniem większości, z wyznaniem panującem? Czyż wyznanie katolickie nie jest panującem w polskim narodzie? czyż więc nie powinni liczyć się z niem, choćby z lekceważeniem innych wyznań, tak jak Anglja liczy się z anglikańskiem, Rosja z schizmatyckiem, Niemcy z luterskiem, Stany Zjednoczone z wyznaniem „bezwyznaniowem" czyli pogańskiem? Być może, że

w Związku N. P. panującem wyznaniem jest bezwyznaniowość, czyli nowoczesne pogaństwo. Ale Związek N. P. nie jest naród polski, jak to niektórzy Związkowcy w swej halucynacji sobie wyobrażają. Naród polski we większości swojej wyznaje religię katolicką, ta zatem jest panującą — a od czegoż ją nazwano w konstytucji „panującą", czy ot tak tylko od parady? Hę... Na tej więc panującej, a nie na innej jakiejś pokątnej, należy budować polityczny gmach Polski, — chyba, żeby (czego nie daj, Boże!) większość narodu miała się stać niezależną albo bezwyznaniową, wtedy, ale tylko wtedy, ze stanowiska politycznego dałoby się usprawiedliwić takie lekceważące postępowanie Związku z obozem katolickim. Tak, jak dziś rzeczy stoją, ktokolwiek panujące w narodzie wyznanie (katolickie) stawia na równi z innemi pokątnemi, pokazuje przez to wielki nierozum, wystawia sobie świadectwo niedojrzałości politycznej, zdradza nietylko brak zmysłu dyplomatycznego, ale i brak prostego chłopskiego rozumu politycznego. Zasłyszeli coś nasi panowie o teorji państwa bezwyznaniowego, o równouprawnieniu wyznań, — które faktycznie nigdzie nie istnieje — i te teorje chcieliby w życie wprowadzić. Otóż wiedzieć powinni raz i przekonać się, że teorja to nie praktyka, że równouprawnienie wyznań w praktyce jest tak samo mrzonką niewykonalną, jak niewykonalną jest mrzonka socjalistyczna o równym podziale majątków. W praktyce każdy rząd, jeśli chce istnieć, musi się opierać na jakiemś wyznaniu panującem — większości narodu.

Patrzmy się trzeźwo na rzeczy i rzeczywistość a nie bawmy się w teorje i mrzonki, jak dzieci w bańki mydlane.

Ripon, Wis., 22 lipca 1901 r.

X. Wacław Kruszka.

42. Bezwyznaniowość a wyznaniowość. — I bezwyznaniowość jest wyznaniem w niektórych narodach. — Odpowiedzi na zarzuty. — Czy przez usunięcie się Związku kongres utracił cechę ogólno-polską? — O wykluczeniu niezależnych.

Ripon, Wis., 12 sierpnia 1901 r.

Kto ma sam i szerzy między innymi jasne i dokładne pojęcia o rzeczach, ten ma i szerzy między innymi oświatę. Kto zaś ma niejasne, ciemne i zawiłe pojęcie o rzeczach, ten jest nieoświe-

cony, jest ciemny jak tabaka w rogu; a jeśli w dodatku swoje ciemne pojęcia zaszczepia w innych, to rozszerza ciemnotę wśród społeczeństwa.

Najwięcej ciemnoty szerzą zazwyczaj pisma te, które najwięcej chełpią się z oświaty. Nic dziwnego. Chełpliwość taka już sama w sobie jest ciemnotą. Wiedza każdego człowieka jest ograniczoną. Lecz nie ta ograniczoność czyni go ciemnym, ile raczej to, że on nie zna tych granic swojej wiedzy, przekracza je i wchodzi na teren sobie obcy i nieznany, pisząc i rozprawiając o rzeczach, o których pojęcia nie ma, a jeśli je ma, to ciemne i zawiłe. Wkracza naprzykład w dziedzinę teologji i pedagogiki, pisze o wyklinaniu i klątwie kościelnej, określa kto jest chrześcijaninem a kto nie, rozprawia o religji, czy i ile i jakby jej uczyć trzeba w szkołach, co jest celem nauki elementarnej — choć wszystkie te kwestje wchodzą w zakres nauk, których nie studjował. Taki człowiek pisze, rzekłbyś, o krainach mu nieznanych i obcych, skutkiem czego szerzy w społeczeństwie pojęcia niejasne, ciemne i zawiłe. Przykładów szerzenia w ten sposób ciemnoty niedaleko szukać trzeba. Przytoczymy tu kilka z ostatniego tygodnia.

I tak, ciemne i zawiłe pojęcia szerzył niedawno pewien „oświeciciel“ o wyklinaniu i klątwie kościelnej. Pisał bowiem: „nie przyjąć kogoś (niezależnych) a wyklinać to wielka różnica“. Odpowiadamy, że tylko w ciemnej pod względem religijnym głowie może istnieć owa „wielka różnica“. W rzeczywistości zaś, między „wyklinaniem“ a „nieprzyjęciem“ do społeczności katolickiej, niema żadnej różnicy. Ów oświeciciel powinien to wiedzieć, że starożytne wyrazy polskie „klątwa“, wyklęcie, wyklinania“, w kościelnym używane języku, oznaczają tyle, co „wykluczyć, wyłączyć“ (z łacińskiego „excommunicare“), nie przyjąć kogoś do towarzystwa. Innego też znaczenia „klątwa kościelna“ nie ma. Kościół, „rzucając klątwę“ na kogoś, nie złorzeczy mu ani go też na potępienie nie skazuje. Wyklucza go ze zgromadzenia wiernych — i tyle. Czyżby nie miał prawa? Wszak każde towarzystwo ma prawo wyrzucić członka ze swego grona. Kościół przez to „wyklinanie“ (wykluczenie) nikogo jeszcze nie potępia. Nikogo bowiem nie można potępiać za życia — tak jak nikogo nie można kanonizować (ogłaszać świętym) za życia. Albowiem, największy grzesznik, póki żyje, może jeszcze powstać z grzechów i umrzeć świętym; podczas gdy największy święty może znowu upaść w grzech i umrzeć grzesznikiem. Kościół więc, wyklinając kogoś,

potępia jedynie grzechy i błędy, przy których wyklęta osoba uporczywie obstaje; osoby zaś nie potępia, lecz wyklucza („wyklina") ją ze społeczeństwa kościelnego i nie przyjmuje jej tak długo, jak długo w swych błędach trwa.

Taka jest treść i zakres pojęcia o wyklinaniu i klątwie kościelnej. Kto nie zna szczegółów, treści i zakresu tego pojęcia, tego pojęcie o „wyklinaniu" jest ciemne, a szerząc takie ciemne pojęcie, szerzy (świadomie lub nieświadomie) ciemnotę w społeczeństwie. Wyklinać kogoś, nie znaczy lżyć albo złorzeczyć komuś: tego znaczenia żaden oświecony człowiek temu wyrazowi nie przypisze. Tylko ciemni i nieoświeceni pod względem religijnym, mogą dlatego za złe brać komitetowi przedkongresowemu, że tenże z góry „wyklął" (wykluczył) niezależnych i zapowiedział „wyklęcie" (wykluczenie) na kongresie. Tylko ciemni i nieoświeceni w katolickiej religji mogli marzyć o ich przyjęciu do katolickiego kongresu.

Związku Narodowego Polskiego nikt nie „wyklinał". On sam się wyklął. I jeżeli dotychczas ktoś nie wiedział, jaką cechę religijną nosi Związek Narodowy Polski jako taki (nie poszczególni jego członkowie), czy cechę katolicką czy niezależną, to teraz może to poznać łatwo po tem, do jakiej kompanji Związek sam dobrowolnie się przyłączył. Bo jak mówi przysłowie: kto się nie da poznać sam z siebie, czem jest, da się poznać z kompanji, w jakiej się chętniej obraca — czyli po łacinie: „Noscitur ex sociis, qui non cognoscitur ex se".

Napróżno też, moim zdaniem, chcę Związek Nar. Pol. wmawiać w ogół polski, że ponieważ on (Związek) się usunął od udziału w kongresie, więc ten kongres straci cechę ogólno-polskiego kongresu. „Ogół" wszędzie i zawsze oznacza „większość" społeczeństwa. — Ani Związek ani wszystkie nasze organizacje razem wziąwszy, nie stanowią jeszcze ogółu, bo ani jednej części społeczeństwa amerykańsko-polskiego nie obejmują. Nie dla nich też głównie zwołano kongres — bo one już tak mają swoje zjazdy co roku lub dwa — lecz kongres zwołano głównie dla ogółu, to jest, dla tej olbrzymiej większości stojącej poza obrębem naszych organizacyj. Organizacje zaś swoją drogą biorąc udział w takim kongresie ogółu, udowodnią, że ich nietylko ich własne, lecz i sprawa ogółu żywo obchodzi; a te, które nie wezmą udziału, udowodnią tylko, że się zasklepili w kółku interesów swojej partji, że przenoszą dobro swojej partji nad dobro ogółu. Cechy ogólno-polskiej,

przez usunięcie się, kongresowi nie odejmą, tylko swojej organizacji ją odejmą, o ile ta może rościła sobie pretensję do ogólnopolskiej. Ani też dla tej racji, że na kongres powołano tylko Polaków katolików, nie można kongresowi odmawiać cechy ogólnopolskiej. Bo Polacy katolicy tworzą większość społeczeństwa, a większość to ogół. Ogółu polskiego nie można sobie wyobrazić bez cechy katolickiej.

Zresztą choć Związek N. P. jako taki nie będzie reprezentowany na kongresie, to jednak (twierdzę to nie bez podstawy) wielu, bardzo wielu Związkowców, którym nie sama związkowa, lecz także sprawa ogółu leży na sercu, niewątpliwie pojadą na kongres. Nikt żadnego Związkowca nie „wyklina" ani wyklinać (wykluczać) nie będzie od kongresu, chyba że się sam „wyklnie" i przyłączy się do sekty niezależnych lub bezwyznaniowców.

A propos tych „bezwyznaniowców" czyli nowoczesnych pogan (nie wyznających Boga chrześcijańskiego, lecz za to wielu bogów fałszywych), to twierdzi pewna gazeta polska, że takich w „Ameryce de facto jest mniej" jak w którymkolwiek kraju pod słońcem"... „że tu nawet wcale bezwyznaniowców niema". To zależy, jak się kto na to zapatruje, czy prawdziwie czy fałszywie, czy ma jasne i dokładne pojęcie o chrystjanizmie, czy też ciemne i zawiłe. Jasne zaś i dokładne o tem pojęcie może mieć tylko ten, kto je zaczerpnął z nauki samegoż Chrystusa Pana, kto pod tym względem tak sądzi, jak Chrystus Pan sądził, kto tego tylko za chrześcijanina uważa, którego Chrystus Pan uważać kazał. Kto inaczej uważa i sądzi, myli się. Otóż kogo mamy za poganina uważać, a nie za chrześcijanina, to nam Chrystus Pan jasno, dobitnie i nie dwuznacznie powiedział w tych słowach: „A jeśli Kościoła nie słucha, niech ci będzie jako celnik i poganin". To przecie jasne! A iluż to jest w Stanach Zjednoczonych takich, którzy Kościoła słuchają?... Jakżeż więc tę ogromną większość mam nazwać? Ty, panie gazeciarzu, każesz mi ich nazywać chrześcijanami, lecz Chrystus każe mi ich nazywać poganami — wybacz, że przychylę się do zdania Chrystusa.

A jednak, pomimo, że tak ciemne pojęcia o religji katolickiej panują w głowach naszych redaktorów od „oświaty", narzekają przecie, że za wiele religji się uczy w szkołach, więcej niż w państwie par excellence katolickiem w Austrji". Tak, więcej i dobrze, że więcej, bo tu nie kraj katolicki. Właśnie dlatego, że tu nie kraj katolicki, że tu nasza młodzież otoczona zewsząd atmosferą pogań-

ską, potrzeba więcej i gruntowniejszej nauki religji. Jeżeli to prawda, co pewien pan pisze, że „człowiek rozwinięty umysłowo może nauczyć się całego katechizmu na pamięć w trzy godziny i zrozumieć go lepiej niżeli dziecko“ — to czemuż panie, zdradzasz w każdym twoim wierszu brak nauki katechizmowej? czemu sam nie znasz kardynalnych zasad religji katolickiej? Dziecko z najniższej klasy zawstydziłby cię mogło znajomością prawd katechizmowych. My wiemy o tem, że nasze szkoły mają braki i niedoskonałości i czynimy wszystko, co w mocy naszej, aby je udoskonalić. Twierdząc, że „dokładną znajomość zasad religji można nabyć w czasie poszkolnym“, pan zdajesz się nie wiedzieć o celu nauki, o zadaniu szkoły, słowem zdradzasz brak najelementarniejszych zasad pedagogiki. Cel nauki określają rozmaici pedagogowie w rozmaity co do formy, ale podobny co do treści sposób. Nasz Piramowicz w „Powinnościach nauczyciela“ tak go określa: „Nauczyciel ma głęboko w umyśle swoim utkwić tę prawdę, że gdyby nauki nie miały prowadzić wiejskich i miejskich dzieci do dobrego sprawowania się względem obowiązków ku Bogu i bliźnim, to nie tylko te nauki byłyby nie pożyteczne, na nic nie zdatne, wcale niepotrzebne, ale owszem szkodęby przyniosły młodzieży i towarzystwu ludzkiemu“. (Część IV, rozdz. 1.) A nie tylko nasi pedagogowie cel nauki w ten sposób określają, lecz i obconarodowi. Schwarz pisze: „Podobieństwo Boga jest celem zarówno wychowania jak nauki“. Denzel zaś pisze: „Cała nauka elementarna ma jeden tylko cel, mianowicie usposobić dziecko do tego, ażeby w przyszłości mogło żyć zgodnie ze swem religijno-moralnem przeznaczeniem. Wszystkie wiadomości i zręczności muszą służyć bezpośrednio albo pośrednio moralności.“ Tak określają cel nauki zgodnie wszyscy najsławniejsi pedagogowie, a nie nasi tylko proboszczowie: a pan inaczej się zapatrujesz na cel nauki, pokazujesz, że masz ciemne i zawiłe pojęcie o pedagogice, a ogłaszając twoje zapatrywania, szerzysz tylko ciemnotę wśród społeczeństwa.

Nie wiedzieć co jest dobrem a co złem, co godziwem a co nie godziwem, co jest cnotą a występkiem — jest ciemnotą i to gorszą i grubszą od ciemnoty takiego chłopka, co to ani pisać ani czytać nie umie. Pod tym względem w niektórych naszych pismach, chełpiących się „oświatą“, panują ciemności iście egipskie. Aby się o tem przekonać, dość przeglądnąć niezależne piśmidła, jak „Reformę“ i „Straż“, które dziś pierwsze skrzypce grają w tak zwanem „oświeconem“ towarzystwie emigracji naszej, a którym

do boku nieźle basuje wiele innych. Naprzykład. Uczyć się roztropności i rozumu politycznego nawet od wroga swego, każdy prawdziwie oświecony przyznać to musi, że nie jest grzechem, nie jest zbrodnią żadną ani występkiem, ale owszem jest zaletą i cnotą człowieka. A choćby ten wróg nasz był zresztą najnieuczciwszy w świecie, jeśli jednak ma w sobie coś dobrego i naśladowania godnego, jak roztropność i rozum polityczny, to ze strony naszej nietylko się godzi, ale nawet (jeśli sami tej roztropności i tego rozumu nie posiadamy) powinno się wroga naśladować w tym względzie. Któż dobrze umiłował, co dobre, a brzydził się złem, od Chrystusa Pana? a czy Ten nie kazał się uczyć roztropności właśnie, od nieuczciwego włodarza? „Albowiem synowie tego świata“ — t. j. mocarze jak Moskale i Prusacy — „roztropniejsi są w rodzaju swoim (w polityce) nad syny światłości.“ Jeśliby to więc było grzechem uczyć się rozumu politycznego od wrogów naszych, od zaborczych rządów Prus i Moskwy, to i grzechemby było uczyć się roztropności od owego nieuczciwego włodarza ewangelicznego, a jednak roztropność tego włodarza, choć oszusta i złodzieja, Chrystus Pan stawia nam na wzór do naśladowania! Chcemyż my lepiej wiedzieć od Chrystusa, co złe a co dobre?... Tylko człowiek pychą, ową ślepotą duchową rażony, uważa sobie za ubliżenie, za rzecz niegodziwą, uczyć się od wroga swego rozumu. Tylko ludzie pychą zaślepieni, a więc ciemni, wołają: My od innych, a tem mniej od wrogów naszych, rozumu politycznego uczyć się nie potrzebujemy; my sami i tylko my, mamy „oczy otwarte na te drogi, którymi idzie obecnie ludzkość“. Tak, macie „oczy otwarte“, a jednak „widząc nie widzicie,“ którymi drogami kroczy ludzkość... Tak! Uczyć się od Moskala i Prusaka rozumu politycznego, złem to nazywacie; ale naśladować Moskala w schyzmie, naśladować Bismarcka w nienawiści Kościoła — tego złem nie nazywacie!... „Biada, którzy nazywacie złe dobrem, a dobre złem: pokładając ciemność za światłość, a światłość za ciemność“ (Izajasz 5, 20)!

Jeszcze jednemu redaktorowi trzeba wsadzić jasną lampę do mózgu, by rozproszyć ciemności w jego głowie panujące. Zwłaszcza, że sam mię o to najwyraźniej prosić się zdaje. Dla braku atoli czasu i miejsca uczynię to krótko i węzłowato, bo i redaktor ów zresztą tylko o „małą lekcję“ prosi.

„Chcielibyśmy otrzymać małą lekcję w logice od wielebnego autora — pisze p. redaktor „Echa,“ — który nam może zechce wy-

tłumaczyć, jak coś co nie jest, może być czemś, lub jak wyznanie, które nie jest, może być panującem? Bezwyznaniowość jest brakiem wyznania, czyli wyznaniem, którego niema" — jakże więc bezwyznaniowość może być panującą w Stanach Zjednoczonych? Otóż to się w głowie redaktora „Echa" pomieścić nie może, jak może brak religji być czemś, i to czemś panującem w jakiemś państwie! Wytłumaczę to zaraz p. redaktorowi — proszę posłuchać.

Ciemność jest brakiem światła — nieprawda? alboż jest czem innem? A pomimo, że jest brakiem czyli „czemś, czego niema", ciemność jednak jest panującą, i jak jeszcze panującą na niektórych ulicach w Buffalo, jest panującą nawet w głowach niektórych redaktorów. Podobnie bezreligijność, czyli brak religji, choć jest „czemś, czego niema", jest jednak panującą w niektórych państwach, jak w Stanach Zjednoczonych. Albo, — dla lepszego wytłumaczenia tej zagadki, jak może coś, czego niema, być panującem, — weź pan głupotę ludzką. Czem jest głupota? Jest brakiem rozumu, jest więc „czemś, czego niema". A jednak ta głupota, to „coś, co nie jest," jest panującą i to wszechwładnie panującą w głowach niektórych redaktorów i ich gazetach. Czy nie tak?

Chcieliście mieć „małą lekcję" — oto ją macie.

Ripon, Wis., 16 sierpnia 1901.

X. Wacław Kruszka.

43. Dlaczego polscy kapłani nie mogą być biskupami? Bo nie są uczonymi i świętymi Amerykanami. — The Review z St. Louis zabiera głos. — Jedność języka jest mądrością tego świata, ale głupstwem u Boga.

Niechętni nam i nieżyczliwi ajrysze zawsze znajdowali gotową wymówkę, dlaczego my w Ameryce polskich biskupów mieć nie powinniśmy. Bo polski biskup byłby przedstawicielem Polaków w Kościele; a to w dziecinnym umyśle ajryskim jest niesłychaną zbrodnią, ba, niegodziwym zamachem na całość i powszechność Kościoła. Zdziecinniały bowiem umysł ajryski różnic narodowościowych w Kościele nie uznaje. Ale najśmieszniejszą wymówką, dlaczego nie mamy polskich biskupów w Ameryce, jest ta, że nie mamy dość uczonych kapłanów polskich. Nie mieliśmy ich dwadzieścia lat temu, i dzisiaj jeszcze ich nie mamy. Bo gdybyśmy ich mieli, niewątpliwie zasiadaliby już na stolicach biskupich. Tak rozumował ajryski tygodnik „Michigan Catholic", który dnia 16

stycznia 1902 w artykule redakcyjnym wypowiedział następujące zdanie:

„When the time comes that there are Polish-American Bishops they will be chosen, not because they represent a single race extraction, but **because of theit learning,** their piety and their true Americanism".

Oto, dlaczego zawsze tylko przeważnie ajrysze mogą być biskupami w Ameryce! Bo przeważnie oni tylko są uczonymi i świętymi Amerykanami!!!... Kiedy taką śmieszną argumentacją popisywali się ajrysze w swoich pismach „katolickich", wtedy właśnie pewien wybitny kapłan z Chicago nadesłał mi jako dowód ajryskiej uczoności, już nie biskupiej tylko ale arcybiskupiej, następujący list chicagoskiego arcybiskupa:

Archidioecesis Chicagiensis,
Cancellaria,
311 Superior St.
Revd'o Clero Archidioecesis Chicagiensis:
Adm. Rev. et Rev. Patres;

Revd'o Clero notum facimus, Nos de fide, charitate, prudentia et integritate Ill'mi et Rev' mi P. J. Muldoon, D. D., Auxiliarii Episcopi Chicagiensis, plene confidentes, sperantesque quod ea quae ipsi dexerimus committenda, sollicite fideliterque gerere curabit; idcirco ipsum ex nostra scientia liberaque et spontanea voluntate, Vicarium Nostrum Generalem constituisse, cum facultatibus isto officio necessariis.

Datum Chicagiae, die I. Augusti 1901.

† *Patritius A. Feehan,*
Archiepiscopus Chicagiensis.
F. J. Barry, Cancelliarus.

Tak wygląda „uczoność" już nie tylko biskupa ale arcybiskupa ajryskiego w Ameryce! Czy i „świętość" podobnie wygląda? Gdyby wśród kleru polskiego w Ameryce znaleźli się tak wysoko „uczeni" kapłani, toby — podług rozumowania „Michigan Catholic" — już dziś, roku 1920, niewątpliwie zasiadali na stolicach nietylko biskupich ale i arcybiskupich. Niestety, przeważnie tylko wśród ajryskiego kleru znajdują się tacy „uczeni".

Dewizą ajryskich lub zajryszonych Amerykanów jest: One country, one language, one flag! Jeden język! Kto prócz angiel-

skiego umie jeszcze innym językiem mówić, ten nie jest uczonym. Taka ciasnota umysłowa, w powszechnym Kościele rej wodząca, podobała się bardzo masonom i świeckim szowinistom amerykańskim. Naprzykład „The Chicago Daily Tribune" w jesieni roku 1901 w artykule redakcyjnym pod tytułem zakrawającym na ironję „Why not learn English" pisała między innymi co następuje:

„Two Polish Catholic priests will sail for Rome next January on a mission which has for its object the appointment of American Bishops who shall understand Polish... There is no Catholic Bishop in America who cannot speak English. Therefore, if the Poles will learn to speak English they will not be able to say that their Bishops cannot talk with them".

To tak samo, jakby „Chicago Tribune" chciała dowodzić, że nos jest dla tabakiery, a nie tabakiera dla nosa. Takimi to płaskimi dowcipami masoni basowali ajryszom. W tym samym artykule „The Chicago Daily Tribune" gani biskupa Wiggera za jego wielojęzyczność a chwali ajryskiego biskupa O'Connor za jego jednojęzyczność: „This (one language) is the position taken by Bishop O'Connor of Newark, in reversing the policy of Bishop Wigger (his predecessor), who had favored the establishment of congregations speaking different foreign languages". Stojąc na stanowisku jednojęzyczności, w jakiej kompanji znajdują się ajryscy biskupi w Ameryce? Nie w kompanji większości katolików nieajryskich, lecz w kompanji wolnomyślnych szowinistów amerykańskich! Noscitur ex socies qui non cognoscitur ex se.

Z wyjątkiem ajryszów, zresztą katolicy wszelkich narodowości pochwalali nasze stanowisko, zajęte w sprawie równouprawnienia kleru w hierarchji kościelnej. Między innymi, nieajryskie ale katolickie czasopismo wychodzące w St. Louis, Mo., pod tytułem „The Review" dnia 5 sierpnia 1901 taki umieściło artykuł:

„The Freeman Journal (Aug. 3rd) gives two and a half columns of space to an appeal, by Rev. W. Kruszka of Ripon, Wis., for polyglot bishops for polyglot dioceses. Als thesis is that for a bishop in a polyglot diocese the gift of diverse languages is — ceteris paribus — a quite necessary and indispensable attribute. Incidentally pleads for representation of the Poles in the American hierarchy.

„We Poles in America" — he concludes — „do not ask any special privilege, we only ask just and equal treatment in the ecclesiastical hierarchy".

Father Kruszka's position is practically identical with that of the **The Review,** which has for seven years incessantly battled for equal rights for the Catholics of all nationalities and tongues in this big melting caldron of races. We are glad he has succeeded in getting his article printed in the **Freeman's Journal,** which, though it has never taken a square stand on this question, belongs, we believe, to the „Americanizing" section of the Catholic press.

Let us all be Catholics, holding not like the **Independent** (No. 2749), that „Those who speak our tongue are our brothers; those who speak another tongue, are trangers, barbarians, enemies"; but that we are all children of the same Father and should love one another like brethven, regardless of tongue or race or color or caste". (Arthur Preuss, editor.)

Jak ten „Review" ze St. Louis, Mo., tak wszystkie niemieckie, francuskie, włoskie, czeskie, rusińskie i litewskie pisma katolickie wołały: Dilatentur spatia charitatis! Niech się na oścież otworzą podwoje godności biskupich dla wszystkich narodowości w Ameryce! Tylko ajryskie umysły, ciasne i ograniczone jak ich wyspa Irlandja, nie mogły tego wołania zrozumieć. Ajryski „Michigan Catholic" równouprawnienie kleru w hierarchji nazwał wprost „a nonsensical proposition". Na to ktoś mu odpowiedział również dowcipnie tak:

„Get the nonsense habit!
Nonsense is a fine art.

Nonsense is a great antidode to the Tower of Babel, which is the great symbol of man's devitalizing seriousness". Wieża Babel jest symbolem owej zesztywniałej powagi, zwanej pychą, która odpycha ludzi od siebie i przez to tamuje rozwój Kościoła. Na tę zesztywniałą powagę jedynem lekarstwem jest „nonsens", proponowany przez nieajryskich katolików, jest ta „nonsensowa" propozycja biskupów polskich dla Polaków. Taki bowiem nonsens jest głupstwem zbawiennem pokory i miłości. Do takiego nonsensu zachęca nas św. Paweł, gdy pisze do Koryntjan: „Niech się żaden nie zwodzi. Jeśli kto zda się być mądrym między wami na tym świecie, **niech się stanie głupim, aby był mądrym.** Albowiem mądrość świata tego, głupstwem jest u Boga". (I. Kor. 3, 18. 19.)

A taką mądrością świata tego, która głupstwem jest u Boga, jest proponowana przez Ajryszów i szowinistów amerykańskich jedność językowa. Nie jedności języka, lecz jedności wiary chce

Bóg i Kościół Jego. A świat, przewrotny jak zawsze, przewraca ten porządek Boży do góry nogami i chce jedności języka, a o jedności wiary nic nie chce słyszeć. I wy, ajrysze, kierujecie się w tym duchu świata tego, a nie Duchem Bożym, Irish Bishop of America, get the nonsense habit! Apen the safety valoe of nonsense and let each nationality have its representatives in the hierarchy of the Church of America! Be sure, the times when „terra erat labii unius" are past and will return never again, the „terra americana" not excepted.

Kiedyś ludność cała była jednym narodem i mówiła jednym językiem. Atoli ta jedność języka, zamiast do jedności wiary i chwały Bożej, doprowadziła ludzi do własnej chwały i wbiła ich w pychę. Jako symbol tej pychy postawili oni wieżę Babel. Wtedy to P. Bóg jako lekarstwo na tę pychę wprowadził rozmaitość języków. Lekarstwo to, ma się rozumieć, jest bardzo gorzkie i nie podoba się pysze ludzkiej. Rozmaitość języków jest arcyniewygodną dla ludzi. Chcieliby się jej pozbyć i powrócić do pierwotnej jedności językowej. Rozmaitość języków ludzie światowi, nie bez pewnej racji, uważają za głupstwo, które usunąć trzeba ze świata; a jedność języka uważają za mądrość, do której nam dążyć trzeba. Jednakowoż ta „mądrość świata tego, głupstwem jest u Boga". Bo Bóg wyroku swego, danego przy wieży Babel, nigdy nie odmieni. Na nic zabiegi amerykanizacyjne.

Chciałaby dusza raju,
Ale jej grzechy nie dają!

Tak jak raj utraciła ludzkość raz na zawsze, tak i jedność języka utraciła raz na zawsze i nigdy do niej nie powróci. Jedności językowej nie zaprowadzi nawet ani „wszechpotężny" episkopat ajryski w Ameryce, choćby się na głowę postawił. Bo „nie masz rady przeciw Panu".

Jedność wiary w rozmaitości języków — oto jedyne prawdziwie mądre hasło! Jedność języka doprowadziłaby ludzkość do drugiej wieży Babel, a nie do Boga. Z woli Stwórcy ma być wiele narodów, tak jak jest wiele drzew. Chcieć, żeby był jeden język i jeden naród, jest tak nierozumne, jak chcieć, żeby ze wszystkich drzew stało się jedno wielkie drzewo niebotyczne!...

To też o słuszności sprawy naszej byłem głęboko przekonany i z takiem przekonaniem jechałem do Buffalo na drugi polsko-katolicki kongres, trwający od 24 do 27 września 1901 r., gdzie zna-

lazłem konfratrów i laików również głęboko przekonanych o potrzebie biskupów polskich w Ameryce.

44. Drugi Polsko-katolicki Kongres w Buffalo 24, 25 i 26 września 1901. — Pierwsze dwa dni pracy kongresowej. — Nazwiska tych, co pracowali w różnych komisjach.

Drugi polsko-katolicki kongres w Buffalo, N. Y., odbywał się parę tygodni potem, kiedy sławetny Czołgosz zastrzelił prezydenta Mc Kinley'a na wystawie wszechamerykańskiej w Buffalo. Wystawa ta jeszcze podczas kongresu naszego trwała w dalszym ciągu i mój człowiek oglądał pyszne gmachy wystawowe, cudowne ogrody, sztuczne jeziora i wodotryski, a między innymi i „Świątynię Muzyki", miejsce zbrodni Czołgosza. Ta świeża zbrodnia wpłynęła znacznie na poważny nastrój drugiego polsko-katolickiego kongresu w Buffalo. Jedną z uchwał kongresu była też następująca:

„Jako lojalni obywatele amerykańscy nie powinniśmy zapomnieć, że przybrana ojczyzna nasza okryła się niedawno ciężką żałobą z powodu zamordowania prezydenta Williama Mc Kinley. Ubolewamy wszyscy nad strasznym ciosem, który z dopuszczenia Bożego nawiedził wspaniałą rzeczpospolitą amerykańską; lecz równocześnie ubolewamy także z całego serca nad powodami i nieszczęsnem zaślepieniem, które anarchistę zbrodniarza popchnęły do spełnienia tego szkaradnego czynu. W łączności z tem ubolewaniem jak najdosadniej potępiamy propagandę anarchistyczną, która w tym kraju wolności absolutnej miejsca mieć nie powinna".

Wieść o postrzeleniu prezydenta rozeszła się po kraju lotem błyskawicy. Dnia 6 września 1901 o drugiej po południu postrzelono prezydenta w Buffalo, N. Y., a już o pół do czwartej w takiem małem miasteczku jak Ripon, Wis., kiedy właśnie szedłem przez rynek do poczty, rozdawali chłopcy drukowaną „extra" kartę z wiadomością, że prezydenta „wystrzałem z rewolweru raniono śmiertelnie w brzuch". Czatowałem potem na gazety z Milwaukee nadchodzące. Te głosiły najpierw, że morderca nazywa się „Neumann". No, Bogu dzięki, że to nie polskie nazwisko — pomyślałem. Niestety, wkrótce potem wyszło na jaw polskie nazwisko. Atoli Czołgosz nie urodził się w Polsce, lecz w Ameryce. Amerykańska encyklopedja „The Americana" nazywa Czołgosza wyraźnie „amerykańskim" mordercą i słusznie tak pisze: „Czołgosz Leon, American assassin: born Detroit, Mich., 1873; died Auburn, N. Y.,

29 Oct. 1901. He was of Polish-German ancestry; worked at various trades in the United States and become affiliated with anarchists trough the teachings of Emma Goldman". Ojciec Leona pochodził z Cerekwicy pod Żninem, ale matka była Niemką. Czołgosza stracono; a główną sprawczynię tego morderstwa, polską żydówkę Emmę Goldman, tolerowano w Stanach Zjednoczonych aż do r. 1920, kiedy ją nareszcie wywieziono do bolszewickiej Rosji, jako królowę czy maciorę bolszewików.

Na kongres do Buffalo każdy ksiądz i każdy cywilny przyjechał z kilkoma mandatami. Każdy reprezentował nietylko swoją parafję albo swoje towarzystwo, ale i kilka innych parafji albo towarzystw. I tak, mój człowiek na Kongresie reprezentował nietylko swoją parafję św. Wacława w Ripon, ale i parafję św. Kazimierza w Milwaukee, Wis.; parafję św. Michała w Berlinie, Wis.; parafję św. Jacka w Antigo, Wis.,; parafję w Eaton, Wis.; parafję św. Edwarda i św. Izydora w Flintville, Wis.; tudzież grupę Związku N. P. w Antigo, Wis., i towarzystwo św. Michała w Berlinie, Wis. Miałem więc ośm mandatów.

Kongres trwał trzy dni. We wtorek 24 września 1901 po sprawdzeniu mandatów przystąpiono zaraz do pracy kongresowej. Nawał pracy tego rodzaju kongresów bywa zazwyczaj wielki. Dlatego trzeba podzielić tę pracę między rozmaite komisje. Przystąpiono tedy do nominacji poszczególnych komisyj, a mianowicie:

1. **Komisja szkolnictwa,** w skład której weszli: Walenty Jacolik, Klemens Smogór, ks. Szymonawski, ks. Andrzej Zychowicz, Dr. Karol Laskowski, ks. Gramlewicz, ks. Ł. Peściński, T. Bałuczyński, ks. dr. Ćwiąkała, Leon Wazeter, Konrad Sas, A. Stachowicz, dr. Alex. Grytza, ks. Fr. Byrgier, ks. Andrzej Smełsz, Gut, F. Przybyliński, Wład. Przybyliński, S. Maćkowiak, Michał Kubiak, Mich. Lewandowski, Marcin Kasprzak, P. Kamiński, Józef Firkus, Wojc. Kowal, Andrzej Jarzębowski, Andrzej Giełczyński, Józ. Wiśniewski, Ludwik Budny, Jan Michalski, St. Bronowski, Bartł. Suliński, Tom. Szymański, Józef Balbierz, Ignacy Kowalski, ks. Kubacki, Wład. Nowak, Stan. Przygodziński.

2. **Komisja rezolucji,** którą stanowili: ks. Andrzej Ignasiak, ks. Bol. Dembiński, ks. Wacław Kruszka, ks. Józef Dereszewski, ks. Karol Wotypka, ks. Tomasz Morys, Jan Jóźwiak, Antoni Małek, Walenty Truszkowski, Fr. Piotrowski, Roch Lewański, Antoni Kuśmierski, Fr. Chmielewski, Wawrzyn Tollmer, Antoni Stabenau, Tomasz Kamiński.

3. **Komisja nawiązania bliższych stosunków z krajem ojczystym:** ks. dr. M. Barabasz, Fr. Kamiński, ks. Wł. Mścisz, ks. Teofil Szadziński, Fran. Czerwiński, ks. Dutkiewicz, F. Gąsiorowski, Józef Wyruchowski, Marjan Brzezicki, ks. Smełsz, ks. B. Puchalski, Fr. Zieliński, Jan Brzozowski, Piotr Twardowicz.

4. **Komisja Wydziału Wykonawczego:** ks. Antoni Górski, Wal. Domański, ks. Bójnowski, Bol. Michalski, Kaz. Wolfman, ks. dr. Dworzak, ks. Sztuczko, Ant. Wodyga, W. Celner, Wal. Snikowski, Józef Iwański.

5. **Komisja Handlu i Przemysłu:** Wład. Różycki, Walenty Korpal, Józef Ślisz, Ignacy Górski, Bernard Pitass, Antoni Kluczewski, Teofil Kajtanowski, Jan Blaszak, Jan Trałka, Tomasz Polański, Michał Stelmaszak, Jan Jóźwiak, Józef Knaszak, Michał Nowak, Michał Świątkowski, Józef Milewczyk, Waw. Ptaszyński, Leon Smyczyński, ks. Nowak, ks. Chałupka.

6. **Komisja równouprawnienia kleru,** w skład której weszło duchowieństwo.

7. **Komisja funduszu kongresowego:** ks. Kaz. Truszyński, ks. Ben. Rosiński, ks. Suplicki, Fr. Kowalski, Wład. Dajnowski, Jakób Dardas, Feliks Chlebowski, Stan. Murawski, Jan Goryca, Jakób F. Walczak, Józef Saskowski, Mich. Szczepański, Stan. Dekański, Józef Preis, Paweł Łukaszewicz, Józef Węgrowski, Jan Klepadło, Andrzej Zalewski, Jan Pawlik, Fr. Czachowski, Wiktor Szewczyk, Konst. Bentkowski, Mikołaj Zommer.

Powyższe komisje były zajęte poszczególnemi pracami cały drugi dzień kongresu, to jest w środę 25 września 1901.

Komitet szkolnictwa uchwalił: aby referat Ignacego Kowalskiego przedstawić Kongresowi; polecić Kongresowi, aby zajął się w sposób odpowiedni nadzorem szkół: aby wybrał komisję dla opracowania jednolitego planu szkół polskich; aby wysłać prośbę do wszystkich księży o dokładną statystykę dzieci szkolnych; aby młodzież polską popierać w innonarodowych wyższych szkołach przez stypendja i przez to jak najwięcej wytworzyć inteligencji polskiej; aby rodziców zachęcać do posyłania dzieci do wyższych szkół; aby utworzyć komisję stałą do opracowania i przejrzenia podręczników oraz ułożenia jednolitego planu naukowego.

Wydział „Nawiązania stosunków ze Starym Krajem“ uważa za konieczne ustanowienie przez Kongres komisji, któraby stała na straży dobrego imienia Polonji amerykańskiej, o której Bracia Rodacy za Oceanem mylnie informowani, mylne i krzywdzące otrzy-

mują i rozgłaszają wieści. W tym celu komisja prosi Kongres o zaopatrzenie jej w pisma zagraniczne polskie; aby delegaci nadsyłali jej wyczytane niepochlebne a często mylne wiadomości, dotyczące Polonji amerykańskiej; aby Kongres za pomocą prasy europejsko-polskiej zechciał powiadomić Rodaków w Polsce, pragnących nawiązania stosunków przemysłowo-handlowych z krajem tutejszym, iż istnieje tu wyznaczona w tym celu przez Kongres komisja, gotowa służyć wskazówkami.

Ale samo przyjęcie uchwał, choćby najlepszych, nic nie znaczy, jeśli nie nastąpi wykonanie uchwał. W tym celu ustanowiliśmy stały i trwały „Wydział Wykonawczy Kongresu", który był figurą, prototypem, pierwowzorem przyszłego Wydziału Narodowego Polskiego w Ameryce. Wydział Wykonawczy Kongresu składał się, po pierwsze, z prezesa, wiceprezesa, dwóch sekretarzy i skarbnika; po drugie, z reprezentantów diecezjalnych po jednym z każdej diecezji, jako też z reprezentantów organizacyj polsko-katolickich; po trzecie z protektorów Kongresu, jakimi byli proboszczowie i redaktorzy pism katolickich. Taki Wydział Wykonawczy Kongresu miał uzupełniać działalność Kongresu; połączyć wszystkich Polaków w Ameryce; reprezentować ich; bronić ich spraw katolickich i narodowych; informować ogół polski o swojej działalności; zwołać przyszły Kongres i przygotować prace do niego; na przyszły Kongres zwołać wszystkich polskich, litewskich i rusińskich księży, i po jednym lub więcej delegatów parafij polskich, litewskich i rusińskich.

Wydział Wykonawczy miał uchwały Kongresu w życie wprowadzić, urzeczywistnić. Lecz jak je urzeczywistnić bez tego nerwu rzeczy, jakim jest pieniądz? Więc Komisja Funduszu Kongresowego uchwaliła, ażeby każda parafja skolektowała od każdego parafjanina 10 centów rocznie i odesłała takowe do Wydziału Wykonawczego. Takie były wówczas, roku 1901, skromne wymogi. Gdyby był wówczas ktoś zaproponował miljonową kampanję, jak to dziś bywa na porządku dziennym, byłby go Drugi Kongres polsko-katolicki w Buffalo uchwałą większości kazał zamknąć do domu warjatów. Nałożenie podatku dziesięciocentowego na rok jeszcze się niektórym delegatom wydawało zbyt wygórowanem.

Powyższe uchwały, powzięte w środę przez poszczególne komisje, zostały przez Kongres zatwierdzone w czwartek. Co się działo w czwartek, trzeci dzień Kongresu, zaraz opowiem o delegacji do Rzymu.

45. Trzeci dzień Kongresu. — Uchwała o równouprawnieniu duchowieństwa polskiego. — Fałszywa doktryna o jednojęzyczności jest główną przeszkodą do uzyskania biskupów polskich w Ameryce.

Po partykularnych posiedzeniach komisyj nastąpiło plenarne posiedzenie w trzeci dzień Kongresu, w czwartek 26 września 1901. Na tem plenarnem posiedzeniu rozmaite wyżej wspomniane komisje przedłożyły swoje uchwały, które Izba przedyskutowała i przyjęła. Nad jedną atoli uchwałą Izba nie dyskutowała wcale, tylko ją bez dyskusji przyjęła jednogłośnie.

Była to uchwała równouprawnienia duchowieństwa polskiego.

Delegatów świeckich na Kongresie było trzy razy tyle co księży. Ale delegaci świeccy, z wężową roztropnością a prostotą gołębią, całą tę sprawę równouprawnienia kleru pozostawili księżom do zbadania i przedyskutowania. Nie znaczyło to jednak, że ich ta sprawa nic albo mało co obchodzi. Owszem, delegaci świeccy na Kongresie interesowali się sprawą równouprawnienia najbardziej i najżywiej. Uważali ją za pierwszorzędną. To też na plenarnem posiedzeniu, któremu jako prezes przewodniczył świecki obywatel Stefan Czaplewski z Milwaukee, zaraz na początku obrad poruszono tę kwestję i pytano się ciekawie, co też księża uchwalili. Czytamy bowiem w protokóle co następuje:

Trzeci dzień Kongresu.

„We czwartek 26 września o godzinie 9 minut 45 prezes obywatel Czaplewski zagaił posiedzenie. Po modlitwie, którą odmówił ks. Swiniarski, sekretarz ob. Szopiński odczytał sprawozdanie z ostatniego posiedzenia. Sprawozdanie to zostało jednogłośnie przyjęte. Następnie przystąpiono do sprawozdań rozlicznych dnia poprzedniego ustanowionych komisyj. Prezydent ob. Czaplewski pyta Wiel. księży obecnych na posiedzeniu, czy nie mają do zakomunikowania Izbie czego ze swych **obrad dotyczących równouprawnienia duchowieństwa polskiego.** Odpowiadają mu Wielebni księża Dworzak i Swiniarski, zapewniając delegatów świeckich, że kler polski, zebrany na Kongresie, pracuje szczerze dla dobra ogółu polskiego, że powziął już pewne uchwały, tyczące się kwestji reprezentacji duchowieństwa polskiego w hierarchji kościelnej, ale że na razie nie ma jeszcze nic do zakomunikowania Szan. delegatom świeckim. Powyższe oświadczenie Izba przyjęła z uznaniem.“ (Wyjęte z protokółu.)

Powyższe oświadczenie Izba przyjęła z uznaniem, ale nie z zadowoleniem. Taka ogólnikowa odpowiedź nie zadowoliła delegatów świeckich. Chcieli wiedzieć uchwałę konkretną, mianowicie wybór delegacji do Rzymu. Dlatego było potrzebne drugie oświadczenie, które też dano tego dnia po obiedzie, jak to poniżej zaznaczę.

Tu przytoczę mały epizod z dyskusji, jaka między nami księżmi toczyła się nad kwestją reprezentacji duchowieństwa polskiego w hierarchji kościelnej w Ameryce. Czy ze stanowiska wiary św. tu w tym kraju, gdzie urzędowym językiem jest angielski, my Polacy mamy prawo żądać biskupów polskich? Księża wogóle zgadzali się na to, że mamy do tego nietylko prawo, ale i obowiązek. Całą tę sprawę równouprawnienia uważali za pewnik, a nie za kwestję. Jedynym szkopułem, o jaki ta sprawa mogłaby się rozbić, jest jedność językowa. Jeśliby ajrysze mieli rację żądać jedności językowej w tym kraju, to mybyśmy nie mieli racji żądać tu biskupów polskich. Ale nie mają racji ani jako katolicy ani jako Amerykanie. Chyba jedynie jako szowiniści! Tylko w oczach szowinisty jedność językowa jest mądrością. Dlatego śmiało postawiono taką tezę:

Jedność językowa jest mądrością tego świata, ale głupstwem u Boga.

Na udowodnienie tej tezy, między innemi, przytoczyłem Czternasty Rozdział Listu św. Pawła do Koryntjan, czyli mieszkańców miasta Koryntu. Korynt był miastem w Grecji i rdzennie greckiem, w którem atoli napływowa ludność mówiła rozmaitemi językami. Jednakowoż grecki język był tam niewątpliwie językiem krajowym. Czy więc św. Paweł nie powinien był dać Koryntjanom takiego przykazania: Nauczcie się języka kraju, w którym mieszkacie, języka Grecji!

Gdzie tam! Święty Paweł do Koryntjan pisze tak:

„Mówić językami nie zabraniajcie!“ — „A chcę, abyście wy wszyscy mówili językami!“

Taki rozkaz wydał św. Paweł. A nie powiedział: Uczcie się wszyscy języka krajowego — learn the language of the country — jak to ajryscy biskupi w Ameryce rozkazują. I ten swój rozkaz św. Paweł nazywa zarazem „rozkazaniem Pańskiem“, bo pisze tamże:

„Jeśli kto zda się być prorokiem, albo duchownym, niech pozna, iż co wam piszę, są **Pańskie rozkazania“.**

I zaraz potem dodaje: Si quis ignorant ignorabitur — jeśli kto ten rozkaz ignoruje, ma być nawzajem ignorowany. Jeśli kto nie wie o tem, że nie wolno zabraniać mówić językami, to nawzajem i o nim wiedzieć nie będą. I powiada św. Paweł, że jeśliby nie znał czyjegoś języka, to „będę temu, któremu mówię, barbarzynem: a który mówi, mnie barbarzynem". I dodaje: „Dziękuję Bogu mojemu, iż językiem was wszystkich mówię". Nawet modlitwy publiczne św. Paweł chce mówić w języku zrozumiałym dla ludu:

„Bo jeślibym się modlił językiem (obcym), duch się mój modli, lecz zrozumienie moje bez pożytku zostaje (nikt z ludzi mnie nie rozumie). Cóż tedy jest? Modlić się będę duchem, modlić się będę i rozumieniem. Będę śpiewał duchem (sam sobie), będę śpiewał i rozumieniem (językiem zrozumiałym dla ludu). Lecz jeślibyś błogosławił duchem (nie językiem zrozumiałym dla ludu): który jest na miejscu nieuka, jakoż rzecze, **Amen,** na twe błogosławienie? bo nie wie co mówisz. Albowiem acz ty dobrze się modlisz: ale się drugi nie buduje." „Kto mówi językiem obcym, nie ludziom mówi, ale Bogu: bo żaden nie słucha. Lecz duchem (sam sobie) mówi tajemnice... samego siebie buduje, a nie Kościół Boży buduje."

Święty Paweł nie był tak naiwny, żeby tak rozumować: „Modlitwa jest to rozmowa z Bogiem, więc można i w obcym języku rozmawiać z Bogiem czyli modlić się, gdyż modlimy się nie do ludzi, lecz do Boga, który rozumie wszystkie języki". — Takiej dziecinnej logiki św. Paweł nie używał. Przeciwnie napominał: gdy mówisz modlitwy głośno, **„mów ludziom ku zbudowaniu i napomnieniu i pocieszeniu!"** Bo kto językiem obcym mówi modlitwy, ten samego siebie buduje, ale nie Kościół Boży, nie zgromadzenie wiernych.

Więc święty Paweł jako prawdziwy Apostół Narodów, nietylko kazania, ale i modlitwy publiczne chciał mieć w języku zrozumiałym dla ludu. Chciał, nie żebyśmy wszyscy mówili jednym językiem; ale wyraźnie pisał: „A chcę abyście wy wszyscy mówili językami". Oto katolicki duch powszechnej wielojęzyczności.

One country, one language — oto hasło ciasnoty umysłowej szowinistów jednojęzycznych, the slogan of single track mindednes.

Otóż podczas powyższej dyskusji na Kongresie znalazł się wśród księży jeden niewierny Tomasz, który nie chciał wierzyć, żeby św. Paweł w kwestji języków był tak liberalnych poglądów. Tym niewiernym Tomaszem był konsultor diecezjalny Przewiele-

bny ksiądz Andrzej Ignasiak z Erie, Pa. Wręcz mi oświadczył, że nie wierzy w znaczenie, jakie powyżej nadałem słowom świętego Pawła, dopóki sam naocznie się nie przekona z Komentarza Korneljusza a Lapide. A ponieważ tego sławnego tłumacza Pisma św., Korneljusza a Lapide, na Kongresie nie było, więc ks. Ignasiak obiecał mi przestudjować go gruntownie w domu, a potem mnie powiadomić o wyniku tych studjów. Jakoż dotrzymał słowa. Bo oto dnia 14 listopada roku 1901 ks. Ignasiak z Erie, Pa., napisał mi taki list:

„Wielebny Księże Dobrodzieju! Dopiero wczoraj wieczorem zajrzałem do Cornelii a Lapide Commentariusza in I. Cor. 14, chcąc wiedzieć coś o owych „językach". I przekonałem się, że Ksiądz Dobrodziej miał rację pod każdym względem. Więc można z pewnością zrobić użytek na korzyść biskupa mówiącego po polsku. Jakżeż tam z wyjazdem do Rzymu? Tylko nie zaniedbywać! Cieszę się, że Wydział Wykonawczy pracuje. Czy to Ksiądz Dobrodziej opracował ów rozdział o „wyższych zakładach" do referatu o szkolnictwie? Z pozdrowieniem

Ks. A. Ignasiak."

A więc jednojęzyczność jest głupstwem, choć na pozór wygląda jak mądrość. Wielojęzyczność zaś jest mądrością, choć na pozór wygląda jak głupstwo. Stąd jak dla mądrego śmieszne jest głupstwo, tak dla głupiego mądrość. Wszelaka dążność amerykanizacyjna, ażeby Kościół w Ameryce był jednojęzycznym, ut americana terra sit labii unius, w świetle nauki św. Pawła i z punktu widzenia katolickiego, wobec wiary i rozumu jest istotnie śmieszną i niedorzeczną, choć szowiniści ajryscy usiłują jej nadać pozory mądrości. One country, one language — tego hasła nie znajdziesz nigdzie ani w Piśmie św. ani w nauce Kościoła Powszechnego. Jeden Bóg i jedna wiara — oto prawdziwie mądre hasło. Ale nie: Jeden język!

46. Drugi Kongres Polsko-Katolicki w Buffalo wybiera delegację do Rzymu w sprawie równouprawnienia kleru polskiego. — Proboszcz w Ripon ma najmniejszą parafję i mniejszej już dostać nie może.

Jak już wyżej wspomniałem, delegaci świeccy na Kongresie w Buffalo nie byli zadowoleni z ogólnikowego oświadczenia księży, że „kler polski powziął już **pewne uchwały** tyczące się kwestji

reprezentacji duchowieństwa polskiego w hierarchji kościelnej". Pewne uchwały. Ale jakie? Czy wybrał delegację do Rzymu? Tego delegaci świeccy koniecznie żądali. Bo rozumowali oni tak:

Muru łbem nie przebijesz. Biskupi ajryscy murem stanęli przeciwko nam Polakom. A teraz muru głową, to jest rozumowaniem i przekonywaniem ich, żadną miarą nie przebijemy. Biskupi ajryscy stoją twardo i uparcie przy tem zdaniu swojem, że Kościół w Ameryce powinien być jednojęzyczny, że Polacy w Ameryce powinni zaprowadzić język angielski w swoich kościołach i szkołach, i to wyłącznie angielski. One country, one language. Na taki upór niema lekarstwa. Żeby ten ich upór przełamać, trzeba koniecznie apelować do Rzymu. Dopiero najwyższa władza w Rzymie da się przekonać, że wielojęzyczność jest cechą katolicyzmu a jednojęzyczność jest cechą szowinizmu.

Tak rozumowali delegaci świeccy, a księża nie mogli im odmówić słuszności.

To też zaraz po obiedzie, w trzeci dzień Kongresu 26 września 1901, w plebanji księdza Jana Pitassa kler polski przystąpił do wyboru delegacji do Rzymu. W skład tej delegacji miało wchodzić dwóch księży i jeden świecki. Pierwszym delegatem wybrano jednogłośnie Przewielebnego ks. dziekana Jana Pitassa. Na drugiego delegata najpierw ktoś zaproponował ks. dr. Barabasza z Baltimore, Md. Lecz ks. dr. Barabasz wstał i oświadczył, że żadną miarą przyjąć nie może na siebie roli delegata do Rzymu. Dlaczego? Dlatego, że on stoi na dobrej stopie ze swoim biskupem, Jego Eminencją Kardynałem Gibbons. A gdyby przyjął taką delegaturę, już tem samem naraziłby się swojemu biskupowi. Podobnie inni się wymawiali. Wtedy któryś z księży, już nie pamiętam który, wstał i powiedział:

— Na delegata do Rzymu ja proponuję ks. Wacława Kruszkę z Ripon, Wis. On przez swój artykuł „Polyglot Bishops for Polyglot Dioceses", umieszczony w „New York Freeman's Journal", dał dowód, że sprawę równouprawnienia kleru przestudjował gruntownie i zrozumiał wszechstronnie. To raz. A powtóre, on ma najmniejszą parafję w całych Stanach Zjednoczonych, więc choćby się naraził swemu biskupowi, to już mniejszej parafji dostać nie może.

Na to ktoś krzyknął:

— Popieram!

I wszyscy księża jednogłośnie obrali mnie delegatem do Rzymu. Wybór ten istotnie spadł na mnie jak piorun z pogodnego nieba. Nigdy się czegoś podobnego nie spodziewałem. Będąc sześć lat kapłanem, czułem się za młody i niedoświadczony. Ale co mnie do żywego ubodło i do przyjęcia owej delegatury do Rzymu skłoniło, to była właśnie ta myśl wyrażona temi słowami:

— On ma najmniejszą parafję i mniejszej już dostać nie może.

Wstałem i powiedziałem:

— To prawda, że mam najmniejszą parafję i mniejszej już dostać nie mogę. Ale właśnie dlatego mogę dostać większą. A przyjmując taką delegaturę do Rzymu, zagrodzę sobie drogę do większej parafji. Nie dbam atoli o promocję na większe probostwo, byle tylko ktoś z kleru polskiego był promowany do godności biskupiej. I dlatego przyjmuję ten urząd delegata do Rzymu.

Po tem oświadczeniu przyszło mi na myśl, że dziesięć lat temu już byłem raz w Rzymie w sprawie osobistej. I wygrałem ją. Ale za ten śmiały krok potem, wróciwszy do Polski, miałem dużo do cierpienia. Historja powtarza się. Czy i teraz się powtórzy? Niezawodnie. Lecz mniejsza o to. Jadę teraz do Rzymu w sprawie Polonji Amerykańskiej. A za taką sprawę warto cierpieć jeszcze więcej, niż za własną.

Tak tedy mnie i ks. Jana Pitassa wybrano na delegatów do Rzymu w sprawie równouprawnienia duchowieństwa polskiego w Ameryce. Nam dwom pozostawiono wybór trzeciego delegata świeckiego.

Więc na poobiedniem plenarnem posiedzeniu Kongresu w hali św. Stanisława w Buffalo, w czwartek 26 września 1901, wysunięto mnie do ogłoszenia Izbie powziętych uchwał kleru w sprawie równouprawnienia. I oto co protokół podaje:

„Raport z posiedzenia Wiel. Duchowieństwa przedłożył w imieniu swych konfratrów Wiel. ks. Wacław Kruszka. W kilku słowach przedstawił Izbie, że Wielebni Księża na wspólnych naradach przedyskutowawszy należycie rozmaite dane, tyczące się kwestji równouprawnienia duchowieństwa polskiego, powzięli kilka ważnych uchwał i ustanowili komisję ze trzech, której zadaniem będzie pracować energicznie w celu przeprowadzenia powziętych uchwał i że ta komisja w razie potrzeby **ma zapukać nawet do podwoi Stolicy Apostolskiej w Rzymie.** Sprawozdanie Wiel. księdza Kruszki przyjęto gromkiemi oklaskami.“

Tak opiewa protokół Drugiego Kongresu w Buffalo. A dlaczego przyjęto to sprawozdanie „gromkiemi oklaskami"? Dlatego, że oświadczono konkretnie wybór delegacji, która „w razie potrzeby ma zapukać nawet do podwoi Stolicy Apostolskiej w Rzymie". Tego właśnie delegaci świeccy chcieli. I dlatego przyjęli to oświadczenie „gromkiemi oklaskami".

„Następnie — powiada protokół — Wiel. ks. dr. Barabasz przeczytał swój referat tyczący się dobrze znanych rozporządzeń językowych biskupa Eiss z Marquette i biskupa Messmera z Green Bay. Ci biskupi chcieli zaprowadzić język angielski we wszystkich kościołach swoich diecezyj. Wśród Polonji Amerykańskiej powstało wielkie oburzenie z tego powodu. Ks. dr. Barabasz gromił to „rozporządzenie językowe" w nielitościwy sposób. To też jego odczytu — jak powiada protokół — „wysłuchano z wielką uwagą i wynagrodzono hucznemi oklaskami."

Zawsze ta sprawa „językowa", to crux, to probierz Polonji Amerykańskiej. Albo się zrzeknijmy języka polskiego i przez to dogódźmy istniejącej hierarchji kościelnej, albo nie. Jeśli się zrzekniemy, przestaniemy być Polakami. Jeśli się nie zrzekniemy, to narazimy się na szykany i prześladowania obecnej hierarchji kościelnej w Ameryce. Mamy wóz i przewóz. Obierajmy jedno albo drugie. Bądźmy zdecydowanymi politykami. Bo niezdecydowana polityka nie popłaca. Byli i są jeszcze dziś księża „polscy", którzy trzymają z polityką biskupów Eissa i Messmera. Ci konsekwentnie niechaj oświadczą, że tu w Ameryce język polski nie ma prawa bytu, i niech zaprowadzą język angielski w swoich kościołach. My Polacy będziemy wtedy wiedzieli, z kim mamy do czynienia. Tak rozumowali świeccy delegaci na Drugim Kongresie Polsko-Katolickim w Buffalo, i mieli zupełną słuszność.

Na koniec Kongresu przystąpiono do wyboru stałego Wydziału Wykonawczego. Prezesem jednogłośnie wybrany został Wiel. ks. Kazimierz Truszyński z Peru, Ill.; wiceprezesem ob. Stefan Czaplewski z Milwaukee, Wis.; sekretarzem pierwszym ksiądz K. Sztuczko z Chicago, drugim ob. Leon Szopiński z Chicago; skarbnikiem ob. Stanisław Lipowicz z Buffalo, N. Y.

Wyczerpawszy program spraw, dla załatwienia których Kongres został zwołany, postanowiono tenże zakończyć. Mowę pożegnalną dla delegatów wygłosił ks. Bojnowski, po której cała Izba powstawszy, pod dyrekcją ks. Fr. Byrgiera śpiewając „Boże coś Polskę", zakończyła Drugi Polsko-Katol. Kongres w Ameryce.

47. List do biskupa Fischera w Przemyślu. — Butna odpowiedź biskupa Quigley. — Nacjonalizm czyli samolubstwo narodowe u ajrysza tak wielkie jak belka.

Na drugi Polsko-Katolicki Kongres w Buffalo miejscowy biskup Quigley, choć zaproszony, nie przybył. Zato mieliśmy list od Najprzewielebniejszego Biskupa Karola Fischera z Przemyśla. Na ten list księża zebrani na Kongresie kazali mi odpowiedzieć. Napisałem więc następującą odpowiedź:

„Do Najprzewielebniejszego Księdza Biskupa Karola Fischera w Przemyślu.

„Najprzewielebniejszy Księże Biskupie!

„Na ostatnim Polsko-Katolickim Kongresie, odbytym tej jesieni w mieście Buffalo, w stanie New York, na który zjechało się przeszło 200 delegatów (w tem 72 księży polskich), reprezentujących parafje i organizacje polskie ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych, — na osobnem zebraniu księży odczytany został list prywatny sekretarza Waszej Biskupiej Mości, adresowany do Dr. Fronczaka. Z treści tego listu dowiedzieliśmy się ku niemałej dusz naszych pociesze, że Wasza Biskupia Mość z przyszłą wiosną może — provisis providendis — chce nasze kolonje polskie w Stanach Zjednoczonych odwiedzić.

„Wskutek tego księża polscy rzymsko-katoliccy, zebrani na wyżej wspomnianym Kongresie, uchwalili jednogłośnie wybrać specjalny komitet, któryby się zajął zaproszeniem i przyjęciem Waszej Biskupiej Mości. W skład tego komitetu, wybranego na Kongresie, wchodzimy my niżej podpisani.

„Przeto my niżej podpisani, wywięzując się ze zadania, włożonego na nas przez Kongres Polsko-Katolicki w Buffalo, niniejszem jak najuprzejmiej zapraszamy Waszą Biskupią Mość, byś raczył w czasie dla Siebie najdogodniejszym z przyszłą wiosną przybyć do naszych kolonij, rozpatrzeć się w nich i poznać nasze stosunki, a zarazem — co najważniejsza — pokrzepić nas i naszych parafjan żywem słowem Bożem, kórego tu z ust biskupich nigdy nasz lud nie usłyszał w zrozumiałym ojczystym języku.

„Jak stare nasze wychodźtwo ludowe — a jego początek sięga roku 1854 — nigdy jeszcze tu polskiego biskupa nie widziało ani mowy jego nie słyszało. To też możesz sobie wyobrazić, Najprzewielebniejszy Ks. Biskupie, z jakiem upragnieniem i z jaką radością

lud polski w Ameryce przywita Ciebie. Ucieszyło nas tem bardziej to, że chcesz dawać po parafjach jakby rodzaj misyj.

„Biskupi tutejsi za wszelką cenę chcą tu zaprowadzić jedność języka, nawet kosztem jedności wiary. Jednakość biorą za jedność — ac si uniformitas idem esset ac unitas. I z tego powodu sprzeciwiają się ustanowieniu biskupów polskich. Co za rezultat?

„Jak lud izraelski na puszczy, kiedy Mojżesza długo nie widział, popadł w bałwochwalstwo i utworzył sobie złotego cielca; tak niektóry lud polski tu na tułactwie, nie widząc tak długo prawdziwego biskupa polskiego, potworzył sobie fałszywych biskupów i im cześć biskupią oddaje.

„Otóż gdy tu przybędziesz, Najprzewielebniejszy Księże Biskupie, to tak jak Mojżesz na widok złotego cielca zapłoniesz i Ty niezawodnie gniewem świętym na widok tych fałszywych biskupów, których lud nasz w ślepocie swej, ale i zarazem w opuszczeniu swojem, był sobie potworzył. I słowem Bożem, potężnem a ognistem, zdruzgocesz te bożyszcze, a i ten zbałamucony chwilowo ludek nasz do prawdziwej zaprowadzisz wiary.

„Nie z ciekawości tedy ani z grzeczności li tylko, zapraszamy Ciebie do Ameryki, ale z rzeczywistej potrzeby. Lud nasz, jak kania deszczu, pragnie tu mieć biskupów **swoich.** Wprawdzie ma on tu biskupów prawdziwych, ale nie swoich. Bo prawdziwych biskupów, jacy tu są, nie rozumiejąc całkiem ich języka, uważa nie za swoich lecz za obcych sobie czyli za barbarzyńców. Czy słusznie? Według św. Pawła, zupełnie słusznie. Albowiem św. Paweł wyraźnie powiada: „Jeślibym nie wiedział co znaczy głos (mowa czyjaś), będę tem, któremu mówię, barbarzynem; a który mówi, mnie barbarzynem". (I. Kor. 14.) I dlatego dodaje: „Dziękuję Bogu, iż językiem was wszystkich mówię". A tego nasi amerykańscy, choć prawdziwi biskupi, o sobie powiedzieć nie mogą i dlatego lud nasz uważają za barbarzyńców, a nawzajem lud nasz także ich uważa za barbarzyńców czyli za obcych, a nie za swoich.

„To też gdy lud polski w Ameryce ujrzy w osobie Twojej, Biskupie, nie tylko prawdziwego, ale i **swojego,** to radość jego będzie niezmierna. Prawdziwego biskupa polskiego lud nasz już od dawna pragnął, a pragnął tak gorąco, iż niektórzy rodacy, nie mogąc się doczekać prawdziwych, sprawili sobie fałszywych biskupów, byle tylko mieć swoich, a nie obcych. Podobnie jak ci, którzy nie mając prawdziwych oczu, wprawiają sobie fałszywe, szklane".

Nie wiem, jak ten list biskup Fiszer przyjął. W każdym razie nie przyjechał do Ameryki i nie mieliśmy przyjemności przyjmować go w Ameryce. Ale za to mój człowiek, w dwa lata potem, był przyjmowanym bardzo gościnnie przez biskupa Fiszera w Przemyślu, jak to później opiszę. Znałem biskupa Fischera, autora Kazań, osobiście, bo odwiedziłem go roku 1892 jako proboszcza w Dobrzechowie, o czem już poprzednio pisałem w Czwartem Siedmioleciu.

Kiedy Drugi Polsko-Katolicki Kongres w Buffalo obrał mnie delegatem do Rzymu w sprawie równouprawnienia kleru, wtedy przedewszystkiem zasięgnąłem rady wpływowych księży Gutowskiego i Muellera z Detroit, Mich., którzy z ramienia Pierwszego Polsko-Katolickiego Kongresu w Buffalo roku 1896 byli już w Rzymie w tej samej sprawie, ale nic nie wskórali. Stąd zniechęcenie między klerem było widoczne, tak, iż prawie nikt z księży wpływowych nie chciał się powtórnie tej misji do Rzymu podjąć. Otóż zacni ci księża Gutowski i Mueller radzili mi tak:

— Jadąc do Rzymu, weź ze sobą przedewszystkiem dokładną i szczegółową statystykę osad polskich w Ameryce. Bo oni tam w Rzymie domagali się tego od nas, a myśmy takiej szczegółowej statystyki nie mieli ze sobą, i dlatego nasza misja się nie powiodła. Oni tam w Rzymie w kołach miarodajnych nie mają najmniejszego wyobrażenia o liczbie Polaków w Ameryce. Nawet nasz rodak, kardynał Ledóchowski, obecny Prefekt Propagandy, od którego mianowanie biskupów w Ameryce głównie zależy, nie miał najmniejszego pojęcia o rozmiarach emigracji polskiej w Ameryce. Bo kiedyśmy powiedzieli mu, że naprzykład w Detroit jest 40,000 Polaków, wstał, chwycił się za głowę i zawołał:

— Co? w samem mieście Detroit jest aż tyle Polaków? A ja myślałem, że w całej Ameryce ich więcej nie ma! Musicie więc czarnem na białem wykazać dokładnie i szczegółowo, ile Polaków jest w Ameryce, jeśli chcecie, żeby Propaganda tą sprawą równouprawnienia kleru na serjo się zajęła.

Ta informacja księży Gutowskiego i Muellera posłużyła mi nie mało. O szczegółową i dokładną statystykę osad polskich w Ameryce nie trudno mi było. Raczej już miałem ją gotową, gdyż pisząc „Historję Polską w Ameryce“, od paru lat już sporządzałem taką statystykę.

Wracając z Kongresu w Buffalo do Ripon, zaraz po drodze wstąpiłem do Milwaukee i powiadomiłem mojego arcybiskupa Katzera o mojej delegacji do Rzymu. Zapytałem go, czy się zgodzi na

wyjazd mój do Rzymu w sprawie równouprawnienia kleru? Odpowiedział mi, że zgoła nic nie ma przeciwko temu. To samo miał uczynić mój towarzysz, pierwszy delegat ks. Jan Pitass u swojego biskupa Quigley'a w Buffalo. Słysząc jednak, że on sam tego za nic w świecie nie uczyni, wyręczyłem go poniekąd, powiadamiając biskupa Quigley'a listem z dnia 14 października 1901 r., jako że Drugi Kongres Polsko-Katolicki w Buffalo wybrał mnie i ks. Jana Pitassa na delegatów do Rzymu w sprawie równouprawnienia kleru, jeśli tej sprawy nie da się załatwić z biskupami w Ameryce. Na to biskup Quigley swojem zamaszystem piórem skreślił mi taką butną odpowiedź:

Buffalo, N. Y., Oct. 18th 1901.

Rev. W. Kruszka,

Ripon, Wis.

Rev. Sir.

I most respectfully decline to become a party to the controversies following in the wake of the „Polish Congress" recently held in Buffalo.

This in answer to yours of 14th inst.

Yours truly in Xt,

J. E. Quigley.

Innej też odpowiedzi nie spodziewałem się. Wyrażenie to „Polish Congress" bardzo dobrze zrozumiałem. Nadaje ono naszemu Kongresowi cechę li tylko narodową. Nie śmie jednak wyraźnie odmawiać mu cechy katolickiej. Rzecz dziwna: nasze starania o biskupów polskich ajrysze zawsze piętnowali i piętnują jako „nacjonalizm", podczas gdy swoje starania o biskupów ajryskich na każdą stolicę nazywają „katolicyzmem". Tę dziwną logikę można tylko tem wytłumaczyć, że ajrysze przez katolicyzm czyli „powszechność" rozumieją, iż oni tylko sami „po wszech" stolicach swoich biskupów mieć powinni. Narodowe bowiem ajryskie hasło „Sinn Fein", to znaczy „My sami", nie ograniczają tylko do Irlandji, ale rozciągają nawet na Amerykę. „My sami" tylko biskupami być możemy w Ameryce. Oto wierutny nacjonalizm czyli samolubstwo narodowe, dla którego P. Bóg nie może błogosławić Irlandji. Oto nacjonalizm ajryski jest wielkim jak belka, wobec którego nacjonalizm polski jest małym, jak źdźbło. A jednak tej belki nacjonalizmu

ajrysz nie widzi w swem oku, tylko widzi źdźbło nacjonalizmu w oku Polaka.

Od licznych księży, nawet niepolskich, otrzymywałem listy zachęcające do wyjazdu do Rzymu po sprawiedliwość dla Polonji Amerykańskiej. Jeden pisał 15 list. 1901:

„Rev. Father Kruszka: I hope the report in the Milwaukee „Catholic Citizen" is true of your visit to Rome. A good cause. Salvation of a too long ignored people. God will certainly bless. Why this open beitlement of the Polish cleargy even to the Papal House Prelacy dignity?"...

48. Ajryszyzm przywdziewa raz maskę katolicyzmu, drugi raz maskę amerykanizmu. — Jak pan Pokrzywa zdarł ajryszom obydwie te maski. — Ajrysze, mając dar mowy angielskiej, mają Anglików nawracać; ale niestety, naśladują Jonasza, swego protoplastę.

Nacjonalizm ajryszów czyli ich samolubstwo narodowe, tak zwany ajryszyzm najbardziej się dawał we znaki Polakom we wszystkich Stanach. Chytry ten ajryszyzm przedziergiwał się to w katolicyzm to znowu w amerykanizm. Chytry ten ajryszyzm Kościołowi mówił:

— „My sami" (Sinn Fein) musimy być biskupami nad Polakami, bo inaczej oni zginą dla Kościoła, gdyż polskich pasterzy nie mają, a jeśli mają, to ladajakich.

Tak ajryszyzm mówił Kościołowi. Ameryce zaś mówił:

— „My sami" musimy być biskupami nad Polakami, żeby ich zrobić Amerykanami.

Ale nie pod płaszczykiem amerykanizmu ani pod płaszczykiem katolicyzmu ajryszyzm nie dał się ukryć. Szydło ajryszyzmu i tu i tam wyłaziło z worka i kłuło Polaków. Wszędzie znaleźli się dzielni Polacy, którzy nie dali sobie zamydlić oczu. Gdy ich ajryszyzm ubódł do żywego, otwarcie w oczy powiedzieli ajryszom prawdę:

— Wy nas chcecie złączyć w jeden Kościół i w jeden naród zlać? Jeśli ten cel chcecie osiągnąć, to musicie z nami sprawiedliwie postępować. A tymczasem wy nas traktujecie przez nogę i w Kościele i w polityce! Wy samolubnie postępujecie!

Naprzykład ze stanu Connecticut we wrześniu 1901 dostaję The New Britain „Sunday Herald" i czytam pół cala dużemi czcionkami wydrukowany tytuł:

TROUBLE WITH CATHOLIC CHURCH.

New Britain and Berlin Poles object to attending Irish Catholic churches and being shut out from their own language. Letter from an educated Pole.

Pod takim sążnistym nagłówkiem czytam: „The Poles of New Britain and that vicinity seem to be having trouble with the Catholic church. The Poles are Catholics, but they do not care for the Irish Catholic church". Potem przytacza długi list ajryskiego księdza Sullivan'a z Kensington, Conn., 29 lipca, 1901 przeciw Polakom pisany, w których między innymi są te słowa:

„The Poles should learn that the spirit, the friend of **church legislation** desires **to favor the progress of English-speaking congregations** as rapidly as it is practicable. **The Catholic church is taking a noble share in the attainment of our national vesting, the moulding of the various races into one great American people with a common language,** with the same national aspirations and love of country".

W tych słowach, jak chytrze znowu ajryszyzm ukrywa się pod maską amerykanizmu i katolicyzmu! Ale zdarł mu tę maskę pewien „high ly educated Pole", którego list The New Britain Sunday Herald następnie przytacza. Tym „highly educated Pole" jest pan Stanisław Pokrzywa, który z Berlina, Conn., 24 sierpnia 1901 daje księdzu Sullivan'owi taką ciętą odprawę:

„The fiftth injustice and wrong done by Father Sullivan to the Poles is his denunciation that the people of this country who learn English and their native tongue cannot be patriotic citizens and cannot have the „same national aspirations and love of country" as the rest of Americans, unless they renounce their own congregations and mould into the Irish „English-speaking congregations as rapidly as is practicable," according to the „spirit, the tread of church legislation." This assertion we consider contrary to the spirit of this country and to the true teaching of the Church. If it would do anything it would prove that Father Sullivan is more American then the majority of Americans themselves, and more Catholic than the Pope himself, or that he is nieth er American nor Catholic.

„Pope Leo XIII, the infallible guardian of true Catholic doctrine, which always respects the languages of various races, has deservly condemned the Irish Americanism and repeatedly restored the rights to different Catholic nationalities of this country.

„Let the Irish Americanizators bear in mind that love of truth and of fairness and respect for freedom and true Catholic teaching, are important elements in the progress of the Catholic Church. **Let them enlage „English-speaking congregations"** by their Apostolic zeal and spontaneus **conversions of English speaking non-Catholics,** but let them leave other Catholics alone with their language, churches and pastors. The Irish church Americanizators should learn that the aim of the Catholic Church is to canctify the people, make them children of God and citizens of Heaven, no matter in what language this is done. The Poles then will respect religions authority and forego Independent churches."

Oto jak zdemaskował ajryszyzm pan Stanisław Pokrzywa. Jeśli ajrysze chcą powiększyć swoje „po angielsku mówiące" parafje, to niech je powiększają całkiem naturalnie przez nawracanie tej ogromnej w Ameryce rzeszy angielskich niekatolików. Przecie na polu właśnie angielsko-amerykańskiem „żniwo jest bardzo wielkie", i to żniwo wyłącznie dla robotników dobrze władających językiem angielskim, jakim się szczycą ajrysze. Język jest kluczem do duszy narodu. Każdemu narodowi P. Bóg dał szczególny dar. Wam, o ajrysze, dał P. Bóg dar mowy angielskiej; więc Anglików nawracajcie. Nie zakopujcie tego talentu swojego. Polaków chcecie nawracać? Na co? Nie na katolicyzm; chyba jedynie na ajryszyzm.

Ajrysze, podobnie jak Jonasz, ich protoplasta, chcą koniecznie minąć się z posłannictwem swojem, ale nadaremno. Jak Jonasza posłał Bóg do Niniwy; tak ajryszów, dając im dar mowy, angielskiej, przeznaczył widocznie do nawracania Anglików. Ale jak Jonasz od Niniwy uciekał za morze, tak ajrysze od Anglji uciekają za morze. Jak Jonasz stał się przyczyną burzy morskiej, tak ajrysze stali się przyczyną zaburzeń niezależnych w Kościele amerykańskim. Jak burza ustała, skoro Jonasza wyrzucono z okrętu: tak gdy ajryszów zrzucą ze stolic biskupich, ustaną zaburzenia parafjalne i nastąpi pokój niezależnych z Kościołem. Jak Jonasza połknął wieloryb, tak ajryszów ocali Liga Narodów i zbliży ich do Anglji. Jak na głos Jonasza Niniwici się nawrócili, tak na wezwanie ajryszów nawrócą się Anglicy do pokuty i wiary prawdziwej. I wtedy to ajrysze spełnią swoje posłannictwo dziejowe, jakie im Opatrzność wyznaczyła najwidoczniej przez udzielenie im daru mowy angielskiej. Gdy do Polaków się zwracają, mijają się z posłannictwem swojem.

49. Delegacja do Rzymu nie była wyprawą po złote runo. — Różne drogowskazy. — Biskupi, jak manna, nie spadną nam z nieba. — O nich, jak o chleb, ciągle starać się trzeba. — Ks. Pitass i pan Ślisz, jego sekretarz.

Urząd delegata do Rzymu nie był podówczas, roku 1901, tak zaszczytnym, jakby to dziś, roku 1920, nam z daleka patrzącym na pozór wydawać się mogło. A już popłatnym wcale nie był. Groził bowiem utratą łask biskupich i, co za tem idzie, utratą większego probostwa. Promocji zaś nie obiecywał żadnej. Między księżmi podówczas uchodziło to za pewnik, że kto do Rzymu pojedzie w sprawie równouprawnienia kleru, ten pożałowania a nie pozazdroszczenia godzien. Ten bowiem biskupem na pewno nie zostanie! A oby tylko proboszczem został a nie przestał być! Jedynie gdzieś w ciemnej głowie socjalisty wylęgła się ta myśl, że „delegaci Pitass i Kruszka jadą do Rzymu po to, żeby biskupami zostać".

Jak to widzieliśmy powyżej, o urząd delegata do Rzymu nikt się nie ubiegał. A ci, których chciano wsadzić na ten urząd, wymawiali się jak mogli, bo nie chcieli się narażać swoim biskupom. To też gdy Kongres wsadził mnie i ks. Pitassa na siodło delegacji rzymskiej, wszyscy bez zazdrości dawali nam „krzyżyk na drogę" i życzyli nam „szczęśliwej podróży". Drogi delegacji do Rzymu nie uważano za drogę usłaną różami. Zdaniem powszechnem była to droga ciernista, pełna trudności i niebezpieczeństw. Zdaniem wielu była to droga obsadzona zaczajonymi zbójami włoskimi, którzy czyhać będą na naszą zgubę. Jazdę tedy delegacji do Rzymu uważano za niebezpieczną i karkołomną. Nie było więc czego zazdrościć delegatom do Rzymu.

Zazdrość też wtedy nie miała wcale miejsca. Żmija zazdrości podniosła swój jadowity łeb dopiero później, kiedy nasza misja do Rzymu zaczynała mieć szanse powodzenia. Wtedy ta sina zazdrość pomawiała nas, a zwłaszcza ks. Pitassa, o ambicję. Tak jest, ks. Jan Pitass był istotnie ambitnym. Ks. Jan Pitass istotnie miał tę szlachetną ambicję, żeby raz złamać berło panowania ajryskiego nad Polakami i otworzyć także Polakom drogę do biskupstw w Ameryce. Ale żeby ks. Jan Pitass uważał delegację do Rzymu za szczebel do własnego wyniesienia na biskupstwo, to chyba tylko półgłówek mógł myśleć. Trzeba było być chyba z rozumu obranym, żeby przez przyjęcie delegatury do Rzymu spodziewać się biskupstwa dla siebie. Jedynie małostkowa zazdrość konfratra albo głupia

złość socjalisty mogła mówić: Jadą do Rzymu, żeby biskupami zostać.

Rozmaitych „drogowskazów" do Rzymu nie brakło. Jakiś naprzykład bezimienny ksiądz w gazetach zaproponował, żeby delegacja wyjechała „z pokaźnym darem" nietylko dla Ojca św., ale i dla tych, co „znają drzwi i wrota, drzwiczki i otwory" do Watykanu. Albowiem jadąc naoślep, obładowanym złotem najłatwiej zdobyć fortecę.

Inny znowu radził zagrozić oderwaniem się od Rzymu.

Jedna i druga propozycja była śmieszną. Pierwsza pachniała świętokupstwem a druga schizmą. Pierwszą drogą poszedł Szymon czarnoksiężnik a drugą poszedł Hodur. Nie tędy droga dla Polaków zawsze wiernych. Jako „Polonia semper fidelis", Polonja Amerykańska ani się płaszczy, ani też grozi, bo nie prosi o łaskę, lecz o sprawiedliwość, żeby Rzym jej przyznał to, co jej słusznie się należy. Idzie do papieża jako do bezstronnego sędziego po sprawiedliwość; a do bezstronnego sędziego ani z darami ani z groźbą się nie idzie, ale z przekonywującemi dowodami i z jasnem przedstawieniem sprawy.

Byli i tacy, co mówili, że papieża dowodami z wiary i rozumu przekonywać nie potrzeba; ani objaśniać go nie potrzeba, ile dusz polskich jest w Ameryce; gdyż papież o tem wszystkiem bardzo dobrze wie, bo go Duch św. oświeca. Ci radzili ułożyć tylko „pokorną prośbę" do Ojca św., bez żadnych dokumentów i argumentów przekonywujących. Oczywiście ci byli w błędzie nie mniejszym od tamtych. Albowiem Pan Bóg dopomaga tym, którzy sobie dopomagają. Pan Bóg nie może dopomagać leniwcom. Bóg Duch św. nie będzie papieża oświecał w tem, w czem my sami papieża oświecić możemy i powinniśmy, ale za leniwi lub niedbali jesteśmy, żeby go oświecić, n. p. w podaniu dokładnej statystyki osad polskich w Ameryce. Pan Bóg może sprawić, że papież będzie wiedział ilu nas tu jest, choćbyśmy go o tem nie poinformowali. Może, czemu nie. Tak jest, P. Bóg może sprawić, żeby żyto rosło, choćbyśmy go nie siali.

Ale Pan Bóg chce, żebyśmy je siali.

Podobnie Pan Bóg chce, żebyśmy papieża informowali, gdzie i ilu nas jest i czego nam brak. W tym celu nawet powinniśmy własnym kosztem utrzymywać własnego stałego agenta w Rzymie, jak to czynią inne narodowości. Pan Bóg pewne skutki przywiązał do pewnych środków i bez potrzeby cudów nie uczyni. Na-

szego niedbalstwa czy skąpstwa P. Bóg z pewnością nie uwieńczy pomyślnym skutkiem. Ziemia ma moc rodzenia; ale bez ciągłych starań rolnika nie wyda pożądanego plonu. Stolica św. ma moc ustanawiania biskupów, ale bez ciągłych starań z naszej strony nie da nam pożądanej liczby biskupów polskich. Jednorazowe staranie nie wystarczy... Trzeba ciągłych starań. Bez ciągłych a usilnych starań czekać na zmiłowanie Rzymu, aż nam da potrzebnych jak chleb powszedni biskupów polskich: to tak jakby rolnik z założonemi rękami stał i czekał na zmiłowanie Boże, aż mu chleb z nieba spadnie. Bez pracy niema kołaczy. Ani biskupów. Nie kuśmy Pana Boga, to jest, nie pobudzajmy go do ukarania naszego lenistwa. Zakaszmy rękawy i zabierzmy się do pracy. A kiedy z naszej strony uczynimy wszystko, co w naszej mocy, wtedy, i tylko wtedy, możemy liczyć także na moc i pomoc Bożą!

Oto takim duchem owiani, przygotowaliśmy naszą wyprawę do Rzymu. Zewsząd naglono nas do wyjazdu. Już w jesieni roku 1901, zaraz po Kongresie, ks. Jan Pitass myślał o podróży do Rzymu, jak to świadczy następujący list, pisany do mnie 12 października 1901 r. z Buffalo, N. Y.:

„Wielebny Księże Dobrodzieju! Czekam na przyobiecany artykuł o Kongresie. Dzisiaj, ku największemu zdziwieniu, przyjechał niespodzianie Ks. Biskup Eiss i stanął kwaterą u ks. Pitassa. Zabawi tutaj kilka dni. Zdaje mi się, że w tem coś się święci. Ponieważ ks. Pitass jest dzisiaj w Chicago, więc zawiadomiłem go telefonicznie, radząc, aby zaraz przyjechał. Ks. Pitass już teraz zaczyna myśleć o podróży do Rzymu. Oczekując łaskawej odpowiedzi, załączam wyrazy szacunku i prawdziwego poważania, życzliwy sługa

Stanisław Ślisz.“

Pan Stanisław Ślisz był redaktorem dziennika p. t. „Polak w Ameryce“, którego ks. Jan Pitass był wydawcą. Pan Ślisz był zarazem prywatnym sekretarzem ks. Pitassa, który do mnie nigdy własną ręką listów nie pisał. Ale i ten sekretarz, będąc niewidomym, miał znowu swojego sekretarza, któremu listy dyktował. Pan Ślisz, choć ociemniały, miał umysł bystry i przenikliwy a pamięć olbrzymią. Ks. Jan Pitass, dziekan i najstarszy proboszcz polski w Buffalo, był to iście staropolski typ Ślązaka, jakby z epoki Piastowskiej żywcem przeniesiony do naszych czasów. Polak duszą i sercem, choć znał inne języki, polską jednak mowę kochał nade-

wszystko. Biada temu, nawet kapłanowi, który w jego obecności mówił innym językiem, a nie polskim. Miał on lat 57, a ja miałem lat 33; był więc starszy ode mnie o 24 lata. On miał najtłustsze probostwo, a ja najchudsze. Takich to dwóch nierównych wiekiem i stanem rumaków zaprzągnął Kongres do jednego rydwanu Delegacji Rzymskiej. Lecz ks. Pitass, choć stary ale jary, od samego początku z wyjazdem do Rzymu pośpieszał się bardziej ode mnie. Powstrzymał go atoli najpierw Wydział Wykonawczy Kongresu, dla przyczyn, które niebawem wyłuszczę.

50. Nie publikowany Memorjał do biskupów amerykańskich w sprawie uwzględnienia kleru polskiego we wyższej hierarchji. — Nadzieja, że episkopat amerykański coś zrobi, wstrzymała wyjazd delegacji do Rzymu.

Ks. Pitass, pouczony długoletniem doświadczeniem, poprostu nie wierzył w to, żeby coś wskórać można u biskupów amerykańskich. Dlatego chciał się udać wprost do Rzymu. Słowa, skierowane do episkopatu amerykańskiego, uważał za groch rzucany o ścianę. I ostatecznie dalsze wypadki udowodniły, że miał rację. Ale Wydział Wykonawczy Kongresu, któremu ks. Pitass bynajmniej się nie sprzeciwiał, żywił wówczas jeszcze różne nadzieje, że coś wskórać można u biskupów amerykańskich. Wtedy ksiądz Pitass powiedział Wydziałowi:

— Jeśli w to wierzycie, to spróbujcie. Ja nie będę próbował, bo w to nie wierzę.

I Wydział Wykonawczy spróbował. A przyznać trzeba, że w tem choćby dla formy, bardzo mądrze i roztropnie postąpił. Przez to bowiem ułatwił Delegacji Rzymskiej dostęp do Stolicy św., która później nie mogła już nam zarzucić, żeśmy pominęli episkopat amerykański w tej tak ważnej sprawie równouprawnienia kleru. Wskutek tego Stolica św. nie mogła już nas odsyłać do biskupów amerykańskich, ale odrazu przystąpiła do załatwienia tej sprawy.

„Odnośny protokół urzędowy Wydziału Wykonawczego tak opiewa:

„Pierwsza ze spraw programowych uwagę Wydziału Wykonawczego na siebie zwróciła sprawa równouprawnienia kleru polskiego. Do zajęcia się nią Wydział Wykonawczy nakłoniła ta okoliczność, że głos publiczny domagał się stanowczo, aby ta sprawa tak ważna, zanim Delegacja Rzymska przedłoży ją papieżowi, zo-

stała przedstawiona naprzód Episkopatowi Katolickiemu w Ameryce, a do tego właśnie Delegacja Rzymska nie okazywała żadnej chęci. Więc Wydział Wykonawczy czuł się zmuszonym tą sprawą się zająć.

„Jakoż pod naciskiem „konieczności" został wystosowany w języku angielskim memorjał do arcybiskupów amerykańskich, zebranych na wspólnych naradach w Washingtonie, D. C., w listopadzie 1901."

Ale oto ów nieznany dotąd ogółowi a ciekawy memorjał, jaki Wydział Wykonawczy 10 listopada 1901 roku rozesłał, a jakiego z pewnych przyczyn nie ogłaszał był w gazetach:

Office of The Executive Committee of the Polish Catholic Congress, Rev. C. Sztuczko, Secy, 540 Noble St., Chicago, Ill.

To Their Graces, the Most Reverend Archbishops of the Roman Catholic Church in the United States of America Gathered at Their Convention in Washington, D. C., November 21, 1901.

Most Reverend Archbishops:

In the name of the Polish Roman Catholic clergy an laity assembled in Congress, at Bufallo, N. Y., on the 24, 25 and 26 days of September 1901., we the undersigned Executive Committee most humbly beg leave to present to Your Graces the following address:

Of all the faithful children of the Church committed to your Graces' spiritual care, we Poles are the most distressed and unhappy. The causes that account for it, are many and great, but what expresses us the most, is the fact that many of our brethren, lead by some unworthy and fallen priests, have started in our midst a schism running in open revolt against the Roman Catholic Church.

This so called **Independent Movement** is most detrimental to our people. It engenders in numerable strifes and contentions in our families, congregations and settlements; it causes many scandalous broils and lawsuits; it degrades our community and inflicts upon it irreparable religious, moral, social and economical ruin. Indeed, there is no end to theevils, which the revolutionary movement of the Independent Poles brings about.

Not satisfied with their own apostasy, they have set themselves to the task of perverting the rest of the Polish Catholics of this country and drawing them away from the Church. To attain

this base end, they are making extraordinary efforts and use countless traps, strategems and tactics that have been well known to all heretics and schismatics.

Te most venomous of the darfs, which they are constantly flinging at our good but simple-minded people, are the comments upon the Hierarchy of the Church which they make, while trying to justify their own rebellion. Arguing their point, they repeatedly declare, **that the Roman Catholic Archbishops and Bishops of America have no use whatever for the poor and ignorant Poles; that they are bent upon wiping out the Polish Nationality in this country; that they show neither charity nor justice in their dealings with the Poles; that they have not the spirit of our Lord Jesus Christ and that therefore no one is obliged to obey them etc. etc.**

To corroborate theabove statements they usually adduce a great many facts illustrative of the unjust and arbitrary spirit of the Hierarchy. In fact, their own independent movement they attribute chiefly to it. Moreover, they denounce our good and loyal priests as contemtible traitors of the Polish Nationality, ignoble slaves of the foreign born Hierarchy, contemptible hypocrits, who for a lucrative parish are ready any moment to sell the Polish people as Judas betrayed his Master, etc. etc.

„Why is it" — they would ask us — „that you good Roman Catholic Poles, though you number in this land more than a million souls, that you don not find any recognition in the Hierarchy? Why is it that you are not allowed to have at least one bishop of your own nationality to represent you in the Church? Why is it that the Holy Ghost never deigns to come down on any of your good and zealous? Why? Because the Irish and the German Bishops object to it, because they consider the Poles unfit for such a dignity.'

Our zealous clergy and more intelligent laity are making the greatest possible efforts to explode the falsehood of this malicious talk of the Independents and do all they can to convince the people that our Archbishops and Bishops treat our Nationality with paternal kindness and apostolic zeal, that they take as much interest in our immortal souls as in those of the more influential nationalities. But whatever endeavors they make to check the spread of that independent plague, we must confess, they do not meet with success. They are offer balked by our own mutual distrust, jealousy, fick-

leness, pusillanimity and contentions. We are not unanimous in our struggle for the defense of our Holy Faith.

It cannot be denied that some extra ordinary means out to be taken to counteract the pernicious influence of the Independents: the salvation of thousands of souls demand if as the inroads of independent catholicism have alredy worked such havoc among the Polish Catholics. It is said that fully 50,000 have apostatized.

Whe, of the Buffalo Congres, are earnestly resolved to do whatever is in our power to that end. Namely: we propose to appeal o the conviction of our brethren to show the Church's solicitude for their welfare, — to develope the efficiency of our parachial schools, to awaken their interest in higher education and by uniting them in societies and federations to band them together for more efficient action agains the threatening dangers of the schism. But even this we doem insufficient if not seconded by the Hierarchy of the Church in the United States.

The schismatics have the popular side of the affair: they have so called Palish bishops, whereas they accuse the Polish Roman Catholic clergy of treason to their nation when holding allegiance to Irish and German Bishops, as they say. We, therefore, after exhaustive considerations, came to the logical conclusion, that in order to wage successfull war against their popularity, we must disarm them of their argument. That the argument is popular and convincing to the masses at large is plain to all who know the disposition and temperament of our people.

We are far from suggesting a national bishop for all the Poles of this country, or exclusively for them anywhere, but there are sees in which the Polish language could be effectually employed by their incumbents.

Furthermore, the appointment of men, speaking Polish, to various auxiliaries would be very salutary. The advantages from such appointments would be numerous and grand.

We are convinced that Auxiliary Bishops, located troughout the country wherever there are larges colonies of Poles, would work wonders towards forestalling the movement of „Away from Rome". They woul keep the Church acquainted with the needs and condition of their people. The elevate the tone of both the clergy and laity, by establishing unanimity and uniformity where hitherto

differences and discords prevail, in short, they would be the connecting link between the Poles and our Holy Mother the Church.

We might expaciate at great length upon their salutary usefulnes, but we are satisfield that Your Graces, having the salvation of our souls at heart, will be able Yourselves to appreciate our deplorable condition and to relieve our distress in whatever way may seen to Your Graces mos appropriate.

It is agonizing to withess the defections of the race, that in ages gone by, earned for itself the title of „Bulwark of Christianity". Would that as in the past, soi uthe future, it were true wha Pope Pius IX. of he happy memory, has so characteristocally said: Polonia semper fidelis.

Hoping that Your Graces will see in the foregoing communication, another evidence of the warmth of Polish hearths for the Catholic Church, we have the honor to remain Your Graces most willing and devoted servants in Christ.

Executive Committee of the Polish Catholic Congress,

Rev. Casimir Truszyński pres.,
Stephen Czaplewski, vice-pres.,
Rev. Casimir Sztuczko, C. S. C., I. Secretary,
Leon Szopiński, II. Secretary,
Stanislaus Lipowicz, Treasurer.

Given at Chicago, Ill., No. 10th, 1901.

P. S. — The above communication is sent to His Excellency Archbishop Sebastiano Martinelli, Apostolic Delegate; to His Eminence James Cardinal Gibbons; to all the Most Reverend Archbishops; and to all the Rt. Rev. Bishops of the Catholic Church in the United States, and is strictly witheld from the public press.

Oto memorjał i przekonywujący i wzruszający. A episkopat amerykański co na to? Zobaczymy.

51. Amerykańscy arcybiskupi odsyłali Wydział Wykonawczy od Annasza do Kaifasza. — Jeden tylko dał odpowiedź i to odmowną. — Obiecanki arcybiskupa Katzera były przyczyną dalszej zwłoki wyjazdu delegacji do Rzymu.

Arcybiskupi amerykańscy, przez swojego sekretarza, arcybiskupa John J. Keane, dali Wydziałowi Wykonawczemu taką mądrą odpowiedź:

Dubuque, Dec. 16th, 1901.

Rev. C. Sztuczko, C. S. C.
Secr. Et. Com. Polish Cath. Congr.

Dear Rev. Father:

The memorial of the Executive Committee of the Polish Catholic Congress was duly considered at the recent annual meeting of the Archbishops. The importance of the matter therein treated was fully recognized, as also the wisdom of the suggestions made and the truly Catholic spirit in which they were offered. But as the Archbishops have no authority in the selection of Assistant Bishops, — a matter which belongs exclusively to such Diocese or Province as it may concern, — it was not in their power to take any action in regard to it.

Yours in Christ,

John J. Keane, Abp. of Dubuque,
Secretary.

A więc memorjał Wydziału Wykonawczego, jak to sami arcybiskupi przez swojego sekretarza otwarcie przyznają, był mądrze, gładko i pięknie po katolicku napisany. Powinien więc być skuteczny — czy nie? A jednak nie był skuteczny. Czemu nie? Właśnie dlatego, że jako gładko i pięknie napisany, pogłaskał ich tylko a nie ubódł ich. Prawda każda ma swoją gładkość, ale ma i swoje ostrze, którem bodzie i kłuje; ma swoją gładkość, ale ma i swoją ostrą stronę, podobnie jak miecz. Otóż tego ostrza prawdy nie należy w bawełnę owijać, jeśli się chce, żeby prawda była skuteczną. Prawda w oczy kole; i musi kłuć, jeśli chce być skuteczną. Inaczej podoba się tylko, jako piękna i gładka; ale nie skutkuje. W owym memorjale, jak w gładkiem zwierciedle, arcybiskupi przyjrzeli się „obliczu narodzenia swego“, obliczu samolubnego nacjonalizmu swego. Ale „się obejrzeli, i odeszli, i wnet zapomnieli, jakimi byli“.

Memorjał poszedł do kosza, bo pokazał im tylko gładką jak lustro stronę prawdy, a nie ugodził i nie utkwił w nich jak grot samym ostrym końcem prawdy, tak, żeby aż zasyczeli z bólu.

To też nic dziwnego, że arcybiskupi w tym memorjale widzieli, i chcieli widzieć, ostrze prawdy skierowane ku komu innemu a nie ku sobie. Mianowicie ku biskupom poszczególnych diecezyj

lub prowincyj, w których wielki procent Polaków się znajduje. W tych uderzajcie, a nie w nas; ich to dotyczy, a nie nas.

Taka była jedyna wersja, dlaczego memorjał Wydziału Wykonawczego nie był skutecznym. Druga, rozumniejsza wersja była ta, że ostrze prawdy w memorjale było wyraźnie skierowane i celnie wymierzone w samo centrum episkopatu amerykańskiego; a że go nie trafiło, to dlatego, że episkopat zręcznem pochyleniem głowy uniknął pocisku, dając Wydziałowi wymijającą odpowiedź. Bo przypatrzmy się bliżej tej odpowiedzi. Składa się ona z przesłanki i z wniosku. Przesłanka jest przyznająca, a wniosek odmowny.

W przesłance swej arybiskupi przyznają, że „memorjał Wydziału Wykonawczego należycie rozważyli; i że uznali nietylko ważność sprawy w nim poruszonej, ale także mądrość planów w nim podanych, oraz ducha prawdziwie katolickiego, w jakim podane zostały". Po takiej szumnej „zapowiedzi" w przesłance, należałoby się spodziewać przychylnej „odpowiedzi" we wniosku. Tymczasem wniosek ten jest całkiem odmowny. Arcybiskupi „nie mogą" nic dla nas Polaków uczynić. Czemu? Skąd ta nagła „niemoc" tak „wielmożnego" episkopatu? Na to odpowiadają arcybiskupi, że dlatego nie mogą dla nas nic uczynić, bo „nie mają władzy wybierania biskupów pomocniczych". A zapominają zupełnie, że przed chwilą „uznawali mądrość planów podanych" w memorjale — „the wisdom of suggestions made"; i że the first suggestion, pierwszy plan podany w memorjale był o biskupach diecezjalnych, a nie pomocniczych. „There are sees in which the Polish language would be effectually employed by their incumbents. Przecież więc i ten plan wyraźnie uznali jako mądry. Dlaczego tedy ten pierwszy i główny plan zupełnie milczeniem pomijają, a wspominają tylko o biskupach pomocniczych. Bo wspominając o biskupach diecezjalnych, nie mogliby już nas odsyłać do „biskupów poszczególnych diecezyj"; ale, uznając i w tem swoją niemoc, musieliby nas odesłać wprost do Stolicy świętej. A tej ewentualności chcieli uniknąć za wszelką cenę. Nie chcieli bowiem za nic w świecie, żebyśmy tę skandaliczną sprawę wywlekli przed forum stolicy świata chrześcijańskiego. Czuli to instynktownie, że toby ich na wielki wstyd naraziło. Więc żeby nas nie potrzebowali odsyłać do Rzymu, wspomnieli tylko o biskupach pomocniczych, Assistent Bishops. Czemu? Czy w sprawie biskupów pomocniczych Rzym nic nie ma do mówienia?

Otóż zdaniem arcybiskupów amerykańskich Rzym nie ma nic do mówienia w wybieraniu takich biskupów pomocniczych. Wybierają ich sobie wyłącznie tylko sami biskupi amerykańscy. Bo oto, co sekretarz arcybiskup John J. Keane w imieniu wszystkich arcybiskupów amerykańskich powyżej wyraźnie powiedział: The selection of Assistant Bishopus is a matter which belongs exclusively to such Diocese or Province as it may concern — wybór biskupów pomocniczych jest sprawą, która należy wyłącznie do odnośnej diecezji lub provincji. Jeśli „wyłącznie", to aż nadto widocznie nikt inny, ani Rzym, nie ma nic do mówienia w sprawie wyboru biskupów pomocniczych. Rzym tylko ma potwierdzić tego, którego biskup amerykański sobie wybrał na biskupa pomocniczego. Czyż wobec takiego orzeczenia arcybiskupów amerykańskich można się dziwić temu zarzutowi, jaki się niestety często tu w Ameryce słyszy, że biskupi amerykańscy używają Rzymu jako „rubber stamp", jako gumowej pieczątki, li tylko do przypieczętowania swoich wyborów i spraw rozmaitych? że zasłaniają się Rzymem nawet w swoich amerykanizacyjnych zapędach? i że Rzym jest całkiem bezwładny wobec episkopatu amerykańskiego?

„As the Archbishops have no authority in the selection of Assistant Bishops, — a matter which belongs exclusively o such Diocese or Province as it may concern, — it was not in their power to take any action in regard to it." Taką odpowiedź otrzymał Wydział Wykonawczy od arcybiskupów amerykańskich. Odesłany został do poszczególnych biskupów. Wydział Wykonawczy, posłuszny temu posłannictwu, udał się do każdego biskupa amerykańskiego z osobna. I jaki był rezultat tych licznych zabiegów i korowodów? Niech Wydział Wykonawczy sam opowie. W swojem urzędowem „Sprawozdaniu" Wydział Wykonawczy tak pisze:

„Otrzymawszy od arcybiskupa Jana J. Keane, sekretarza posiedzenia arcybiskupów, w odpowiedzi oświadczenie, że w kwestji mianowania polskich księży biskupami zebranie arcybiskupów nie ma głosu, że to zależy od poszczególnych diecezyj lub prowincyj kościelnych, wystosowaliśmy następnie inny memorjał do arcybiskupów i biskupów tych diecezyj, w których pokaźna znajduje się liczba Polaków-katolików. Zatem wysłaliśmy ją do arcybiskupów Corrigana w Nowym Yorku, Feehana w Chicago, Irelanda w St. Paul, Ryana we Filadelfji, tudzież do biskupów Foley w Detroit, Hobana w Scranton, Horstmana w Cleveland, Messmera w Green Bay, Phelana w Pittsburgu, Quiglea w Buffalo i Richtera

w Grand Rapids. Odpowiedź otrzymaliśmy li tylko od arcybiskupa Corrigana. Rozumie się, odmowną. Do arcybiskupa Katzera (w Milwaukee) memorjał nie został wysłany: natomiast udał się do niego osobiście komitet z prośbą, aby jednego z księży polskich raczył mianować swoim koadjutorem. Arcybiskup Katzer dużo obiecał zrobić dla sprawy"...

Tak opiewa odnośny ustęp „Sprawozdania Wydziału Wykonawczego". Ponieważ arcybiskup Katzer „dużo obiecał zrobić dla sprawy", więc Wydział Wykonawczy polecił nam, Delegacji Rzymskiej, wstrzymać się z wyjazdem do Rzymu. Więc wstrzymaliśmy się i czekaliśmy cierpliwie przez cały rok następny, co też arcybiskup Katzer, ta ostatnia deska ratunku, dla sprawy naszej zrobi. Wielu wskutek tego myślało, że Delegacja Rzymska całkiem popuściła tę sprawę. A ks. Jan Pitass, mocno niezadowolony z tej zwłoki, spowodowanej biecankami arcybiskupa Katzera, marszczył swe potężne brwi, ciągle pomrukiwał złowrogo i powtarzał:

— Obiecanki cacanki, a głupiemu radość.

52. Genjalny pomysł arcybiskupa Katzera, aby ubić sprawę biskupów polskich. — Dlaczego Polakom dużo obiecał zrobić?

Są ludzie i ludziska na tym świecie. Jedni chcą dobrze czynić, a nie mogą. Drudzy mogą, ale nie chcą. Trzeci i chcą i mogą. Ci ostatni, jeśli mają wolę skuteczną, są najlepsi; ale jeśli okazują tylko połowiczną wolę, czyli „dobre chęci", to są najgorsi. Takiemi bowiem dobremi chęciami, jak mówi przysłowie, całe dno piekła jest wybrukowane.

Arcybiskupi na rocznem zebraniu swojem w Waszyngtonie roku 1901 nie śmieli otwarcie powiedzieć Wydziałowi Wykonawczemu, że **nie chcą** nic zrobić dla Polaków, bo by to nieładnie wyglądało. Woleli więc swoje dobre chęci zasłonić tą wymówką, że **nie mogą** nic uczynić. Ale — mówili — udajcie się do poszczególnych biskupów i arcybiskupów. Oni mogą coś uczynić, gdyż do nich wyłącznie należy wybór biskupów pomocniczych.

Wydział tedy zwrócił się do poszczególnych biskupów i arcybiskupów. Z tej licznej rzeszy jeden jedyny tylko arcybiskup Corrigan miał tę cywilną odwagę dać odpowiedź, ma się rozumieć, odmowną. Inni nie dali żadnej odpowiedzi. Bo nie mogli już odpowiedzieć, że nie mogą nic zrobić; nie chcieli zaś odpowiedzieć, że nie chcą. Więc woleli milczeć. Ale to ich milczenie bardzo dobrze zrozumiała Polonja Amerykańska.

Wielką zagadką podówczas był jedynie arcybiskup Katzer, ów istny sfinks, czyli symbol tajemniczości, w sprawie biskupów polskich. Urzędowe „Sprawozdanie Wydziału Wykonawczego“ z r. 1904 powiada tak:

„Arcybiskup Katzer dużo obiecał zrobić dla sprawy i dużo **zdaje się** dla niej starał się zrobić. Jeździł nawet do Rzymu przeważnie pono w tej sprawie. Jego zabiegi wszelako nie odniosły pożądanego skutku.“

Już te dwa wyrazy „zdaje się“ i „pono“ świadczą o zagadkowości i tajemniczości ówczesnej. Pod koniec jesieni roku 1901, kiedy to arcybiskup Katzer „dużo obiecał zrobić dla sprawy“, bardzo wielu wierzyło w szczerość tej obietnicy. I dlatego Delegacji Rzymskiej nie wypadało wyjeżdżać do Rzymu przed arcybiskupem Katzerem. On **mógł** więcej zrobić, niż my delegaci, jeśliby tylko **chciał** wolą skuteczną i całkowitą, a nie połowiczną.

Otóż arcybiskup Katzer osobiście jako człowiek mógł sprzyjać naszej sprawie. Ale jako Niemiec i arcybiskup musiał się oglądać także na tylne koła, na następstwa tego swego sprzyjania. Ktoby po nim nastąpił na stolicy arcybiskupiej w Milwaukee, jeśliby on się postarał o koadjutora polskiego? Polak? Do takiej ewentualności dopuścić nie mogli nietylko otaczający go Niemcy, ale i ajrysze, którzy jako starsi osadnicy, dzierżyli palmę pierwszeństwa przed Polakami. Od tych niemieckich i ajryskich wpływów arcybiskup Katzer nie był i nie mógł być wolnym. A jednak Polakom „dużo obiecał zrobić“. Dlaczego? Dla tych trzech przyczyn, mówili niedowierzający:

Najpierw taka obietnica nic go nie kosztuje a łatwowiernych Polaków na razie zadowoli.

Powtóre, taka obietnica nie pozwoli Polakom kuć żelazo póki gorące. Odłoży sprawę biskupstwa polskiego z dnia na dzień na dalszy ciąg czasu. A czas to najlepszy lekarz. Czas może zupełnie wyleczy Polaków z tej ich „gorączki biskupiej“, a przynajmniej ostudzi ich zapał i to ich gorące pragnienie biskupa polskiego oziębi.

Po trzecie, taka obietnica odwlecze a może i udaremni wyjazd delegacji do Rzymu. Tego wyjazdu polskiej delegacji do Rzymu w głębi duszy nie życzył sobie żaden z biskupów amerykańskich. Jak w rodzinie brat starszy nie życzy sobie, by brat młodszy szedł ze słuszną skargą na niego do ojca: tak biskupi amerykańscy niechętnem okiem patrzyli na tych księży polskich, którzy ze słuszną skargą na nich wybierali się do Ojca świętego. Stąd też wielu księ-

ży wcale nie chciało przyjmować na siebie tej nienawistnej roli delegata rzymskiego. Ale ks. Pitassa i moją rezolutną wolę znał arcybiskup Katzer bardzo dobrze. Wiedział on, że nikt nas ani groźbą ani prośbą nie odstraszy od raz powziętego zamiaru. Łatwiejby było powstrzymać rzekę w pędzie, aniżeli naszą zdecydowaną wolę jechania do Rzymu. Wpadł tedy na ten iście genjalny pomysł:

Powiem Polakom, że ja sam w ich sprawie poczynię starania w Rzymie. A jeśli ja, arcybiskup, nic nie sprawię w Rzymie, to polscy delegaci na pewno się przekonają, że oni także nic nie zrobią i że nie mają po co jechać do Rzymu. A jeśliby jeszcze wtedy chcieli jechać, to ich Polonja Amerykańska nie poprze, tylko powie im: Wy głupcy! Po co wy jedziecie do Rzymu? To sam arcybiskup tam nic nie mógł zrobić, a wy chcecie czegoś dokazać? Was tam wcale nie przyjmą, a Ojciec św. wyrzuci was za drzwi!

Jak ten genjalny plan rzeczywiście wykonany został, i z jakim pożądanym skutkiem, opiszę to później, aby nie wyprzedzać wypadków.

Bo zanim arcybiskup Katzer wpadł na ten wyżej wspomniany genjalny pomysł, zaszło jeszcze co następuje:

Wiedząc, że memorjał Wydziału Wykonawczego do arcybiskupów jest grochem o ścianę rzuconym, i chcąc być gotowym do wczesnego wyjazdu do Rzymu, opracowałem był memorjał do Ojca św., ma się rozumieć, w języku łacińskim. Memorjał ten z całą otwartością i szczerością przedłożyłem arcybiskupowi Katzerowi, idąc w tem drogą utartą w Kościele katolickim, żeby w sprawach ważniejszych bez wiedzy biskupa nic nie poczynać. W memorjale tym sprawa biskupów polskich dla Ameryki była, i musiała być, gruntownie uzasadniona, nie groźbą odszczepieństw przeszłych albo przyszłych, ale przedewszystkiem jasnymi i niezbitymi dowodami z Pisma św. i tradycji kościelnej, z wiary i rozumu. Więc w memorjale moim do Ojca św. główną odgrywała rolę **sprawa językowa**, jako ten kamień probierczy, czy biskupi polscy w Ameryce słusznie nam się należą czy nie. Bo to rzecz jasna, jak słońce, że biskupi amerykańscy sprzeciwiają się sprawie biskupów polskich głównie dlatego, że sprzeciwiają się zachowaniu, utrwaleniu i uwiecznieniu języka polskiego w kościołach i szkołach naszych w Ameryce. Oni chcieli i chcą jedność języka angielskiego zaprowadzić za wszelką cenę, choćby kosztem jedności wiary. My zaś, aczkolwek chętnie się zgadzamy na używanie języka angielskiego

jako krajowego, to jednak języka polskiego w kościołach i szkołach naszych się nie wyrzekamy i za nic w świecie wyrzec się nie chcemy. To powinniśmy biskupom amerykańskim zawsze otwarcie powiedzieć, a nie bawić się z nimi w ciuciu babkę. I o to, jak o szkopuł, rozbijają się nasze starania u episkopatu amerykańskiego; ale nie rozbiją się, i nie mogą się rozbić u Ojca świętego, któremu, jako Głowie Kościoła Powszechnego, jedność wiary leży na sercu, a nie jedność języka. Z tą sprawą językową sprawa biskupów polskich w Ameryce tak ściśle i nieodłącznie jest związana, że z nią razem albo stoi albo upada. Dlatego z konieczności rzeczy, bo dla rzeczowego uzasadnienia naszych żądań, w memorjale do Ojca św. musiałem jasno i dobitnie i szeroko się rozwodzić nad tą właśnie sprawą języków, gdyż z niej, jako logiczny wniosek z przesłanki, wynikała potrzeba biskupów polskich w Ameryce. Na gadania dziecinne, że „Ojca świętego nie trzeba pouczać, bo go Duch święty oświeca", nie zważałem wcale, gdyż żądanie cudu bez potrzeby zawsze uważałem za kuszenie P. Boga, jak to już powyżej zaznaczyłem.

Atoli poruszenie tej właśnie sprawy językowej jako fundamentalnej i zasadniczej w całej tej sprawie biskupów polskich w memorjale do Ojca świętego, ogromnie się nie podobało arcybiskupowi Katzerowi. Odrazu, jednem cięciem pióra, chciał całej tej sprawie językowej łeb uciąć, aby przez to ubić sprawę biskupów polskich. Odpisał mi, że memorjał czyli „Suplikację" do Ojca św. powinienem był ułożyć taką samą, jaką Wydział Wykonawczy przedłożył arcybiskupom amerykańskim (a jaka nie osiągnęła pożądanego skutku!). Rozprawa o językach w mojej Suplikacji do Ojca św. nie podoba mu się najpierw dlatego, że poucza Ojca świętego; a powtóre, z tak przedstawionej sprawy językowej wynikałoby, że dla Polaków w Ameryce powinni być biskupi polscy, dla Niemców niemieccy, dla ajryszów ajryscy, dla Litwinów litewscy itd., a to sprzeciwia się urządzeniu kościelnemu. Na koniec dodał, że on sam lepszą suplikację do Ojca św. napisze. Odnośny list arcybiskupa Katzera, na pozór bardzo życzliwy naszej sprawie, przytoczę w dosłownem tłumaczeniu z niemieckiego na polskie w następnym rozdziale.

53. Moja Suplikacja do Papieża nie podobała się arcybiskupowi Katzerowi i dlatego sam ofiarował się napisać list własny do Papieża.

Jak już powyżej wspomniałem, moją Suplikację w sprawie biskupów polskich dla Ameryki, napisaną po łacinie i adresowaną

do Leona XIII papieża, z całą szczerością i otwartością przedłożyłem najpierw mojemu biskupowi do przejrzenia i ocenienia. Mogłoby się zdawać, że takiem postępowaniem okazałem wprawdzie gołębią prostotę, ale bez wężowej roztropności. Bo przecie ta Suplikacja była nie tylko prośbą do Ojca św., ale zarazem i skargą na biskupów amerykańskich, a więc i na arcybiskupa Katzera. Dziś łatwo tak sądzić. Ale podówczas w opinji publicznej arcybiskup Katzer stanowił chwalebny wyjątek. I co mnie skłoniło do pokazania mu moich kart otwartych, było właśnie to powszechne wówczas przeświadczenie, że arcybiskup Katzer jeden jedyny z biskupów amerykańskich wyjątkowo sprzyja naszej sprawie. Roztropność tedy kazała wykorzystać tę przychylność arcybiskupią, gdyż w sprawach kościelnych powaga biskupia ma największą wagę. A kiedy już arcybiskup wręcz mi oświadczył, że on sam w naszej sprawie napisze list własny do Ojca św., wtedy właśnie roztropność kazała mi zgodzić się na taką propozycję najzupełniej, bo przecie taki list miałby za sobą powagę arcybiskupią, której moja Suplikacja, choćby najlepsza, nie miała.

Suplikacja, przeze mnie opracowana, składała się z dwóch głównych i istotnych części, mianowicie ze sprawy językowej i ze statystyki osad polskich w Ameryce. Przeciw pierwszej, najważniejszej i najistotniejszej części Suplikacji, wystąpił arcybiskup z tymi dwoma zarzutami: po pierwsze, że naukę daje papieżowi; po drugie, że dowodzi za wiele, bo dowodzi potrzeby biskupów polskich dla Polaków, (przecie nie dla ajryszów!), a „to sprzeciwia się urządzeniu kościelnemu". Z pewnością, że się sprzeciwia. Obecne bowiem urządzenie kościelne jest takie, że jedna narodowość rządzi wszystkiemi narodowościami. Niezadowoleni z takiego urządzenia kościelnego, my właśnie do papieża się udajemy z prośbą o zmianę takiego urządzenia na lepsze urządzenie kościelne. Czy papieżowi nie wolno zmienić takiego urządzenia kościelnego? Albo czy nam nie wolno prosić o taką zmianę na lepsze? A jeśli prosimy o **biskupów polskich,** to przecie nie dla Niemców ani ajryszów, ale dla **Polaków!**

Bądź co bądź, ta sprawa językowa w pierwszej części mojej Suplikacji do papieża była solą w oku arcybiskupa Katzera. Nie podobała mu się wcale; i dlatego ofiarował mi sam zająć się tą sprawą naszą w Rzymie, jakby chciał ciężar włożony na mnie przez Kongres wziąć na swoje własne barki. Nie miałem wtedy zgoła

nic przeciwko temu; owszem poczułem ulgę, jak gdyby mi kto ciężkie brzemię zdjął z serca.

Trzeba jednak przytoczyć tu ciekawy ten ustęp z Suplikacji, który się stał tak wielkim kamieniem obrażenia dla arcybiskupa Katzera. Pisany po łacinie, w polskim przekładzie brzmi tak:

54. Oto sprawa językowa, która się stała kamieniem obrażenia dla arcybiskupa Katzera.

„Jedność w rozmaitości — oto prawo powszechne w całym wszechświecie. Nawet w Stwórcy wszechrzeczy jest jedność Istoty w rozmaitości Osób.

„I w Kościele Bożym jest jedność w rozmaitości.

„Ta powszechna czyli katolicka **jedność** nie jest to tyle co **jednakowość** (jednostajność, jednokształtność, uniformitas), sztywna, skrzepła i nieżywotna. Jedność katolicka jest to organiczna czyli żywotna jedność, podobnie jak w ciele tak i w Kościele. Podobnie jak w ciele naszem jest jedność życia w rozmaitości członków, tak w Kościele, tem mistycznem ciele Chrystusa, jest jedność wiary w rozmaitości narodów, języków czyli obrzędów. I tylko w takiej urozmaiconej jedności jest siła, gdyż tylko w takiej jedności jest żywotność. Sztywna, martwa i szkieletowa jednakowość łatwo rozlatuje się w kawałki. Stąd ta okoliczność, że w Kościele katolickim są rozmaite narodowości, nie jest pożałowania godną, lecz przeciwnie dla nas katolików powinna być przyczyną i triumfem; albowiem różnice narodowe nie osłabiają, lecz raczej wzmacniają jedność Kościoła. Odejmiej rozmaitość, a odjąłeś siłę i żywotność od jedności; a natomiast otrzymałeś tylko słabą, sztywną i szkieletną jednakowość i jednokształtność.

„Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki jest niejako w zmniejszeniu obrazem całego Kościoła katolickiego, o ile że obejmuje tu wszystkie narodowości Europy, Azji i Afryki. Stany Zjednoczone nie są jednolitym narodem, ale są raczej państwem poliglotycznym, w którem język urzędowy jest wprawdzie jeden angielski, lecz ludność między sobą najrozmaitszymi mówi językami. Dążeniem tak zwanych amerykanizatorów jest wyrugować wszystkie inne języki a zaprowadzić tylko jeden wyłącznie język angielski. Rząd jednak nie zmusza nikogo do porzucenia innych języków, owszem nawet płaci za urzędowe ogłoszenia w obcych językach. Wobec tego, pytam się, byłożby to dobrą taktyką, gdyby Kościół wziął na siebie to zadanie wyrugowania obcych ję-

zyków a zaprowadzenie jednego wyłącznie angielskiego języka? Niektórzy li tylko po angielsku mówiący katolicy, tak zwani amerykanizatorzy, sądzą, że jest to obowiązkiem Kościoła wymazać wszystkie narodowości w Ameryce i zangliczyć je, gdyż myślą, że przez zaprowadzenie jedności języka wzmocnią tem samem jedność wiary.

„Jest to jednak wielką iluzją. Języki i zwyczaje ojczyste są tak głęboko wkorzenione w naturze ludów, że nikt bezkarnie wyrwać ich nie może. Języki i zwyczaje ojczyste są to najświętsze skarby w porządku natury; i kto te ludom odebrać usiłuje, ten ich odstręcza od siebie zamiast przyciągać do siebie. Dlatego też misjonarze katoliccy nigdzie nie narzucają swojego języka nawet barbarzyńskim ludom, lecz raczej uczą się ich języka i przyswajają sobie ich zwyczaje narodowe. Dlatego św. Paweł mówi: „Dziękuję Bogu, że językiem was wszystkich mówię". „Tak wiele naprzykład jest rozmaitych języków na świecie: a nie masz nic bez głosu. Jeślibym tedy nie wiedział co znaczy głos, będę temu któremu mówię barbarzynem: a który mówi, mnie będzie barbarzynem". (I. Kor. 14.)

„Łudzą się tedy amerykanizatorzy, jeśli myślą, że zaprowadzając jedność języka, wzmocnią przez to jedność Kościoła w Stanach Zjednoczonych. „A tak, bracia, żądajcie prorokować: **a mówić językami nie zabraniajcie!**". (I. Kor. 14. 39.) Czemu? Bo narody i języki nie są wytworem ludzkim, a Kościół nie ma od Boga upoważnienia do zmienienia lub niszczenia tychże: więc „trudno tobie przeciw ościeniowi wierzgać". (Dzieje Ap., 26. 14.) Różne języki, jak wiemy z Objawienia, są karą przez Boga nałożoną za pychę ludzką. Kusić się o zaprowadzenie utraconej jedności języka, znaczyłoby tyle, co kusić się o zaprowadzenie utraconego raju na ziemi. Trud to nadzwyczajny. Jak raj raz utracony, tak i jedność języka, raz utracona, nigdy nam się nie wróci.

„Tu w Stanach Zjedn. fakt faktem jest, że rozmaite języki istnieją i istnieć jeszcze będą, choćby dlatego, że co rok przypływa nam świeża emigracja. Czyż fakt ten wiarę katolicką w Ameryce naraża na niebezpieczeństwo? Czyż taka rozmaitość narodowości osłabi jedność Kościoła w tym kraju? Bynajmniej, lecz przeciwnie, przy stosownem i odpowiedniem urządzeniu kościelnem, raczej wzmocni i spotęguje jedność wiary świętej.

„Prawdą to jest, że przy obecnem urządzeniu kościelnem dla naszych **jednojęzycznych** prałatów, jakimi przeważnie są biskupi

w Ameryce, bardzo niewygodną to jest rzeczą rządzić i zarządzać, kierować i kontrolować ludność tak mieszaną. Oni sami to przyznają, że wskutek nieznajomości języków, mają bardzo dużo kłopotów z parafjami polskiemi, litewskiemi, rusińskiemi i czeskiemi. Biskup bowiem, nie umiejący inaczej jak tylko po angielsku, nie może rozumieć nieangielskiego ludu swej diecezji, ani lud nie może rozumieć dobrze swojego biskupa. Wikarjusze generalni i sekretarze przy biskupach bywają także tylko jednojęzyczni. W chicagoskiej archidiecezji na przykład jest trzech biskupów i kilku wikarjuszów generalnych i sekretarzy biskupich, ale wszyscy ci urzędnicy umieją tylko po angielsku, chociaż Polaków katolików w tej jednej diecezji jest przeszło 170,000. Z tego zaś, że ani biskup ludzi ani ludzie biskupa **nie rozumieją,** całkiem naturalnie powstają i muszą powstać **nieporozumienia** w polskich parafjach. Przyznają to sami owi biskupi i bardzo wymownie świadczą o tem te już obecnie tak licznie powstałe kościoły niezależne w Chicago, Buffalo, Cleveland, Scranton i t. d.

„Wielką tedy jest prawdą to, że **nierozumienie** języka swojego biskupa prowadzi lud do **nieporozumienia** z biskupem. Czyż jednak możemy lud potępiać za to, że nie rozumie dobrze po angielsku? Czy lud w sprawie języka musi się stosować do biskupa, czy też przeciwnie biskup powinien się stosować do ludu? Oto pytanie bardzo wielkiej wagi: czy lud jest dla biskupa, czy też biskup dla ludu? Odpowiedź na to jest jasna. Biskup ustanowiony jest dla ludu, a nie odwrotnie.

„Czy to jednak słuszna rzecz jest, wymagać od biskupów amerykańskich, ażeby mówili językami wszystkich narodowości? Owszem słuszne, bo mówi św. Paweł: „A chcę, abyście wy wszyscy mówili językami“ (I. Cor. 14, 15). Czyż i amerykańscy biskupi nie są następcami Apostołów? A co powiedziane jest o Apostołach? Czyż oni nie „mówili rozmaitemi językami“? (Dzieje Ap. 2, 4). Tak jest — powie kto — lecz to było cudem, a dziś taki cud jest niepotrzebnym. Z pewnością, że dziś taki cud tu w Ameryce jest niepotrzebnym, bo dziś w każdej narodowości można znaleźć dosyć księży odpowiednich na biskupów. Ale **dar języków** odpowiednich poszczególnym narodowościom w Ameryce jest dziś w następcach Apostołów tak samo koniecznie potrzebnym, jak za czasów apostolskich był koniecznie potrzebnym. Żądać zaś, żeby Pan Bóg obecnych biskupów amerykańskich obdarzył cudownie

darem języków rozmaitych, potrzebnych tu w Ameryce, byłoby dziś istotnie kuszeniem P. Boga.

Dalecy jesteśmy od twierdzenia, jakoby sam tylko dar języków rozmaitych dla rozmaitych narodowości czynił kogokolwiek zdatnym na następcę Apostołów. Twierdzimy tylko, że dla biskupów w Ameryce dzisiaj jeszcze dar języków odpowiednich poszczególnym narodowościom jest ceteris paribus koniecznie potrzebnym i niezbędnym przymiotem. Albowiem jeśli P. Bóg uczynił nawet cud, aby Apostołowie mogli „mówić rozmaitemi językami", to już z samego tego faktu można wywnioskować, jak wielkiej doniosłości w ekonomji zbawienia musi być u biskupów znajomość języków rozmaitych dla rozmaitych narodowości! Z pewnością w owych czasach język łaciński albo grecki nie mniej był rozpowszechniony jak angielski w naszych czasach. A pomimo to Pan Bóg nie wahał się uczynić cudu jedynie w tym celu, ażeby **każdy naród** słyszał ewangelję opowiadaną **w swoim własnym języku.** „Słyszeliśmy je mówiące **językami naszemi** wielmożne sprawy" (Dzieje Ap. 2, 11).

„Czemu to? Albowiem nie język obcy, choćby nam znany, lecz tylko język rodzinny, język ojczysty, „nasz własny język" ułatwia nam dopiero zupełne i całkowite zrozumienie prawd, zwłaszcza prawd tak głębokich jak prawdy religijne. I tak ludzie, których język rodzinny jest polski, nauczą się po angielsku i mogą załatwiać różne interesa prawie równie łatwo w tym języku, jak we własnym; ale nie będą się modlili ani spowiadali ani śpiewali Gorzkich Żali po angielsku. Mogą słuchać i nawet rozumieć zwykłe rozmowy, prowadzone w języku angielskim, lecz nie zrozumieją dobrze słowa Bożego, głoszonego im w obcym języku angielskim, już z tej prostej przyczyny, że język angielski ma specjalną i bardzo trudną terminologję, różną od potocznej mowy, do wyrażania religijnych prawd, uczuć i myśli.

„Dlatego też o obecnych biskupach amerykańskich, mówiących kazania do ludu plskiego, sprawdzają się co do joty te słowa św. Pawła: „Kto mówi językiem (obcym), nie ludziom mówi, ale Bogu: bo żaden nie słucha. Lecz **duchem mówi** tajemnice" (których lud nie rozumie) (I. Kor. 14, 2). „Lecz jeślibyś błogosławił **ducha** (to jest, jeślibyś chwalił Boga w języku obcym), który jest na miejscu nieuka, jakoż rzecze, Amen, na twe błogosławienie? **bo nie wie co mówisz.** Albowiem acz ty dobrze dziękujesz: ale się drugi nie buduje" (I. Kor. 14, 17). I stąd to pochodzi ta anomalja

w Ameryce, że biskup dlatego, iż nie rozumie ludu polskiego, nazywa go obcym i barbarzyńskim (foreigner), i nawzajem lud polski, dlatego, że nie rozumie dobrze biskupa, nazywa go także obcym i barbarzynem. A to, aby się sprawdziły te słowa Apostoła Narodów: „Jeślibym tedy nie wiedział, co znaczy głos, **będę temu, któremu mówię, barbarzynem: a który mówi, mnie barbarzynem**“ (I. Kor. 14, 11). Z tej przyczyny lud, nie rozumiejąc głosu biskupów amerykańskich, odstrychnął się od nich jako od obcych i „barbarzynów“. Zszedł na manowce i obrał sobie pseudo-biskupów, których, choć fałszywych, słucha, bo ich głos polski rozumie. Około 60,000 Polaków odłączyło się od biskupów amerykańskich, tworząc tak zwany niezależny kościół, głównie dlatego, że biskupi amerykańscy, nie znający ich języka, wydali się im — wedle słów św. Pawła — „barbarzynami“.

„O! gdyby dziś w Ameryce, ilekroć biskupi przychodzą na wizytację i bierzmowanie do polskich parafij, nasi ludzie mogli także z radością powiedzieć i nazwać z owymi w Jerozolimie: „Słyszeliśmy je mówiące **językami naszemi** wielmożne sprawy Boże!“ Coby to była za radość i zbudowanie dla ludu polskiego w Ameryce, i co za istotne **bierzmowanie** czyli utwierdzenie we wierze, która w Ameryce, otoczona zewsząd pogaństwem i sekciarstwem, na tysiączne narażoną jest niebezpieczeństwa. Albowiem i w naszych czasach wiara nie inaczej jak „ze słuchania“ pochodzi (Rzym. 10, 17). „A jakoż usłyszą bez przepowiadającego?“ (tamże, 14). A jak przepowiadać będą, jeśli nie w zrozumiałym dla ludu języku? Bo mówi tenże św. Paweł: „Jeślibyście językiem nie dali mowy znacznej (zrozumiałej): jakoż będzie rozumiane to co się mówi? **bo będziecie na wiatr mówiącymi**“ (I. Kor. 14, 4). I dodaje św. Paweł: „W Kościele wolę pięć słów rozumieniem mojem mówić, abym i **drugich nauczał:** aniżeli dziesięć tysięcy językiem obcym“ (tamże 19).

„Wiemy, że biskupi amerykańscy mają w swoich diecezjach różnych księży dla różnych narodowości. Atoli — abstrachując już od tego faktu, że np. polscy katolicy nie są zaopatrzeni w dostateczną liczbę polskich kapłanów, bo na półtora miljona polskich katolików w Stanach Zjednoczonych jest zaledwie 400 księży polskich — zapytuję się, czy **ksiądz** posiada w nauczaniu władzę i **powagę biskupa?** czy zwykły ksiądz jest właściwym nauczycielem i pasterzem w Kościele? Nie; bo nie księży, lecz „was biskupów Duch św. postanowił, abyście rządzili Kościół Boży“ (Dz. Ap.

20, 28). Urząd nauczycielski jest nieodłącznym od urzędu biskupa. Nie ceremonja, lecz **nauczanie ludu** jest pierwszym obowiązkiem biskupa. — „Przepowiadaj słowo“ — na pierwszem miejscu święty Paweł kładzie ten rozkaz biskupowi Tymoteuszowi (II. Tym. 4, 2). Tymczasem biskupi w Ameryce do półtora miljona Polaków po polsku przemówić nie mogą; ani, czy księża polscy dobre mówią kazania, wiedzieć nie mogą. W najtrudniejszym obowiązku biskupim, w nauczaniu ludu, wyręczają się nami, prostymi księżmi, nawet przy Bierzmowaniu; rezerwując sobie skrzętnie łatwą ceremonję Bierzmowania. Ale prosty ksiądz nigdy biskupa w urzędzie nauczycielskim ani wyręczyć ani zastąpić nie może; prędzej by mógł w ceremonji Bierzmowania. Bo ksiądz jest tylko pomocnikiem biskupa; i choć dobrze mówi, to jednak nigdy nauczycielskiej powagi biskupa zastąpić nie może. Zawsze to wielka różnica dla prostego ludu, słyszeć księdza a słyszeć biskupa! Biskup dopiero jest w Kościele prawdziwym **pasterzem** trzody wiernych, „a owce idą za nim“ — czemu? „bowiem **znają głos jego“.** A za cudzym nie idą, ale uciekają od niego, **bo nie znają głosu obcych“** (św. Jan 10, 4, 5).

„I jak wielu to Polaków w Stanach Zjednoczonych odpadło od prawdziwej wiary dlatego, że nie słyszeli swego po polsku mówiącego biskupa, lecz obcym językiem mówiącego a zatem w oczach ich „barbarzyna“? że nigdy nie słyszeli, nie znali i nie rozumieli głosu właściwego swego pasterza-biskupa? Tak jest, rozumieli oni głos swego księdza i szli dlatego też za swym księdzem. Lecz czy nie zeszli na manowce właśnie dlatego, że szli jedynie za księdzem, którego głos rozumieli, a odwrócili się od biskupów, których głosu nie rozumieli? „Wiara tedy ze słuchania, lecz jako usłyszą bez przepowiadającego“ w ich własnym języku?

„Z powyższych przyczyn jasno się okazuje potrzeba biskupów polskich w pewnych częściach Ameryki. Jeszcze jaśniej się ta potrzeba okaże, gdy się zważy siłę liczebną Polaków w Ameryce“... (Tu następują daty statystyczne.)

55. Jak arcybiskup Katzer zgorszył się tem, że żądam biskupów polskich dla Polaków.

Taką była pierwsza część Suplikacji do papieża. Otóż arcybiskup Katzer, przeczytawszy powyższą część Suplikacji, zawołał:

— Jeśli taka Suplikacja ma się dostać do rąk Ojca św., to już lepiej, że ja sam napiszę własny list do papieża i zajmę się tą sprawą w Rzymie.

Więc odpisał mi co następuje:

Milwaukee, 1 grudnia 1901.

Ks. W. Kruszka, proboszcz — Ripon, Wis.

Wielebny Księże!

Nie mogę Twojej Suplikacji w tej formie moim podpisem poprzeć, a to z dwóch powodów.

Po pierwsze, nadmiernie długa rozprawa „o języku" brzmi jakby nauka dla Ojca św., a po drugie, domaga się ona czegoś, co sprzeciwia się urządzeniu Kościoła, to jest, kilku biskupów na tem samem terytorjum — imperia in imperiis — w tej samej prowincji jednego biskupa dla Polaków i kilku innych dla reszty katolików.

Jeśli Polacy wogóle chcą coś uzyskać, to musi petycja ograniczyć się na tem, co Cyrkularz do Arcybiskupów powiada.

Miałbym jednak Twoją Suplikację źle zrozumieć i sądziłbyś, że n. p. w Prowincji Milwauckiej Arcybiskup lub Biskup w Green Bay lub w La Crosse lub w Marquette miałby być Polakiem, albo że jeden z tych Biskupów miałby Polaka mieć jako biskupa pomocniczego — to w takim razie musisz się jaśniej wyrazić.

Jeżeli chcesz, żebym, o ile się to nie sprzeciwia urządzeniu kościelnemu, ruch ten poparł, to uczynię to we własnym liście.

Oddany Twój

F. X. Katzer.

Arcybiskup Milwaucki.

Ma się rozumieć, nie wypadało mi „nie chcieć" tego, żeby arcybiskup sam „we własnym liście" poparł naszą sprawę. Najzupełniej zgodziłem się na jego propozycję. Za moją Suplikację i poruszoną w niej „sprawę językową" dostałem od arcybiskupa po łbie, więc schowałem ją do biurka. Czułem się pobitym. Ale wolałem i wolę zawsze być pobitym w sprawie, która kiedyś ma triumfować, aniżeli na razie triumfować w sprawie, która kiedyś ma być ubitą. Sprawa językowa, i złączona z nią ściśle sprawa biskupów polskich w Ameryce, już zatriumfowała w Rzymie i w Ameryce kiedyś zupełny triumf odniesie. Ta sprawa językowa to sprawa Boża. The mills of God grind slowly, but surely.

W miesiąc po tym liście arcybiskupim, pisanym 1 grudnia 1901, arcybiskup Katzer przyjął wysłany przez Wydział Wykonawczy komitet, któremu też „dużo obiecał zrobić dla sprawy naszej", jak opiewa sprawozdanie. Obietnic więc nie brakło. Takie zamianowanie biskupa polskiego, nie dla Polaków lecz dla wszystkich narodowości, uważałem wówczas i uważam jeszcze dzisiaj za ubicie samejże sprawy na krótkiem toporzysku. Dla ucieszenia i zarazem uciszenia nas, dla uśpienia naszej czujności, zrobią jednego lub drugiego Polaka biskupem, i na tem cała parada będzie skończona. Zamianowany polski biskup będzie triumfował, ale sprawa sama będzie ubita. **Jeśli biskupstwo polskie ma być instytucją trwałą w Ameryce, biskupi polscy muszą być dla Polaków.**

Gromy spadły na mnie za to, że w Suplikacji dowiodłem potrzeby biskupów polskich **dla Polaków.** Ależ, na miłość Boską, komuż to potrzeba biskupów polskich, jeśli nie Polakom? Przecie nie Niemcom ani ajryszom! Ja tej potrzeby musiałem dowodzić. I dowiodłem jej. Arcybiskup Katzer nie zbił moich dowodów. Zbył je tylko. A zbył je tym zarzutem, że domagając się biskupów polskich dla Polaków, „domagam się czegoś, co się sprzeciwia urządzeniu Kościoła". Bardzo dobrze. Ale od kogo się domagam? Czy nie od papieża? A czy papieżowi nie wolno zmienić obecnego urządzenia Kościoła w Ameryce? „Byłoby kilku biskupów na tem samem terytorjum a przez to powstałyby imperia in imperiis czyli państwa w państwach". Otóż taki zarzut byłby na miejscu, gdyby istotnie Kościół katolicki nie był niczem innem, jak tylko zwykłem światowem państwem terytorjalnem, a poszczególne jego diecezje zwykłemi światowemi księstwami terytorjalnemi. Ale Kościół katolicki tem nie jest. A więc zarzut powyższy jest nie na miejscu. Organizm Kościoła o całe niebo się różni od organizmu państwowego, żeby koniecznie li tylko granicami terytorjalnemi miał się krępować. Kościół jest ciałem mistycznem Chrystusa. **Narody** w nim to jakby **narządy** w skład ciała wchodzące, ściśle złączone i powikłane a jednak odrębne i samorządne.

Ale „wtedy diecezje musiałyby być narodowe". A czy parafje w Ameryce nie są narodowe? Jeżeli amerykańscy biskupi, choć niechętnie, przystali na zakładanie parafij narodowych, to teraz, **choć niechętnie, ale konsekwentnie i nieubłaganą logiką faktu przystać muszą także na diecezje narodowe.** „Kto mówił A, musi mówić B." Inaczej biskupi amerykańscy wciąż wikłają w sprzeczności i tamują prawidłowy rozwój Kościoła w Ameryce.

Jaki skład parafji, taki skład diecezji. Jak fundamentem parafji są domy i rodziny pojedyńcze, tak podstawą diecezji są kościoły i parafje pojedyńcze.

Ależ „diecezje narodowe to nonsens“. Na to znowu odpowiadam: Get the nonsense habit! Nonsense is a fine art. Nonsense is a great antidote to the Tower of Babel, which is the great symbol of man's devitalizing seriousness. Wieża Babel jest symbolem owej zesztywniałej światowej powagi, zwanej pychą, która odpycha ludzi od siebie a przez to tamuje rozwój Kościoła. Na tę zesztywniałą światową powagę jedynem lekarstwem jest ta „nonsensowa“ propozycja biskupów odpowiednich i stosownych do każdej narodowości, biskupów polskich dla Polaków. „Jeśli kto zda się mądrym między wami na tym świecie, niech się stanie głupim, aby był mądrym. Albowiem mądrość świata tego, głupstwem jest u Boga (I. Kor. 3, 19). Takiem „głupstwem u Boga“, jak widzieliśmy, jest jeden język dla wszystkich narodowości. Atoli jak jeden język, tak i jeden biskup dla wszystkich narodowości jest „mądrością świata tego, ale głupstwem u Boga“. Biskup bowiem to nie papież. Tylko papież jest i powinien być jeden dla wszystkich narodowości. A i papież jako **biskup** diecezji rzymskiej, był prawie zawsze, a od czterystu lat już stale i ciągle jest Włochem, ponieważ diecezja jego jest włoska. Więc nawet w Głowie Kościoła, o ile ona zarazem jest biskupem diecezjalnym, przestrzegana jest skrupulatnie ta zasada narodowościowa, żeby biskup był zawsze odpowiedni i stosowny do narodowości.

56. Narodowość jest twardą i trwałą jak skała Gibraltaru. — Odpadki nie dowodzą upadku Polonji amerykańskiej.

Na prośbę o polskich biskupów asystentów biskupi amerykańscy nie odpowiedzieli dlatego, że wiedzieli, do czego to zdąża. Skoro przystaną na polskich biskupów asystentów dla Polaków, to z czasem przystać muszą na polskich biskupów ordynarjuszów dla Polaków. Na polskich biskupów asystentów byliby może chętnie się zgodzili, gdyby byli wiedzieli, że Polacy na tem poprzestaną i czegoś więcej nie zażądają. Ale z dawnego doświadczenia wiedzieli raczej to, że „podaj Polakom mały palec, a oni sięgną po całą rękę“. Bo kiedy Polacy do Ameryki przybyli, dano im zrazu polskich księży asystentów przy kościele ajryskim lub niemieckim, w nadziei, że tym sposobem utrzyma ich się przy kościele ajryskim lub niemieckim. Atoli z tych polskich księży asystentów wnet

stali się polscy proboszczowie, którzy, oderwawszy Polaków od ajryszów lub Niemców, założyli czysto polskie parafje.

Historja się powtarza, i ta sama historja mogłaby się łatwo powtórzyć teraz jeszcze na większą skalę. Tą samą logiką dziejową, jaką powstały parafje polskie, powstałyby niebawem diecezje czysto polskie, gdyby Polakom dali polskich biskupów asystentów. Bo czemże jest diecezja, jeśli nie dalszym ciągiem i rozwojem parafij? Parafja jest diecezją, której właściwym proboszczem jest biskup, a księża są jego pomocnikami.

Ksiądz nie jest pełnym i zupełnym kapłanem. Jest nim dopiero biskup. Polskie zatem parafje, naturalnym pędem i żywiołową siłą prawidłowego rozwoju, zdążają do wytworzenia polskiej diecezji z polskim biskupem na czele, podobnie jak polskie rodziny zdążały do tworzenia polskich parafij z polskim proboszczem na czele. **Jeśli polskie parafje nie mają skarłowacieć, jeśli mają rozwinąć się w całej pełni, to muszą mieć i polskich kapłanów w całej pełni, to jest, biskupów,** bo ci dopiero — według nauki Kościoła — posiadają pełnię kapłaństwa. Bez biskupów własnych polskie parafje są właściwie bez proboszczów własnych, bez własnych duszpasterzy.

Otóż siłę tej logiki dziejowej rozumieli amerykańscy biskupi bardzo dobrze, kiedy chcieli sprawę biskupów polskich ubić już w samym zarodku.

Zaraz bowiem z początku, kiedy Polacy przybyli do Ameryki, biskupi nie chcieli zezwolić na polskie parafje głównie dlatego, że widzieli w nich zarodki przyszłych diecezyj. I zdawało się, że Polacy, nie mając ani kościołów ani szkół polskich, wnet się wynarodowią. Zdawało się to nawet generałowi Zmartwychwstańców, księdzu Kajsiewiczowi, który w listach swych z roku 1865 i 1871 wyraźnie pisze, że za ćwierć wieku nie pozostanie tu ani śladu z narodowości polskiej. Potem, dalszą egzystencję Polonji amerykańskiej chciano wytłumaczyć jedynie tem, że zasilała ją co rok świeża emigracja. Atoli już teraz siódmy rok, jak emigracja ustała; a pomimo to Polonja amerykańska rośnie jak na drożdżach. Co rok, to prorok. A tym **prorokiem,** to **dziennik polski.** Co rok nowy dziennik powstaje. Dwadzieścia lat temu były zaledwie cztery dzienniki polskie; a dziś ich 24, a dwudziesty piąty powstaje. To chyba nie świadczy o zamieraniu Polonji amerykańskiej. Podług ludzkiej rachuby powinniśmy byli utonąć w morzu anglosaksońskiem. Wszelako język narodowy i życie narodowe, to nie

moc ludzka, to moc Boska. Raz to zrozumiejmy. Czasy, kiedy „ziemia była jednego języka“ (Księga Rodzaju 11, 1) minęły bezpowrotnie; nadaremno amerykanizatorzy usiłują zaprowadzić jeden wyłącznie język angielski. Prawda, że wielu Polaków odpada i wpada w nadstawioną paszczękę ajryszyzmu lub germanizmu.

Byli i są niestety tacy Polacy, co nie mogą czy nie chcą trafić do polskiej organizacji ani do polskiego kościoła, tylko wpadają do obconarodowego kościoła i do obconarodowej organizacji, podobnie jak te pszczoły pewnego farmera w Colorado, które, nie mogąc trafić do ula, wpadły w otwarte paszczęki sprytnych ropuch. Ów farmer miał w ogrodzie ładną pasiekę. Obserwując nieraz pszczoły, zauważył, że kiedy te skrzętne pracownice wracały, ciężko obładowane miodem, to nieraz nie trafiały odrazu w otwór ula. Spostrzegł jednak, że przy jednym z ulów pszczoły, które spadały na ziemię, przepadały gdzieś bezpowrotnie i już nie wracały do ula. Zaciekawiony tem, postanowił zbadać przyczynę tego przepadania pszczół. Podszedł tedy ku owemu ulowi i znalazł obok niego cztery dobrze odżywione ropuchy. Siedziały one tam przez cały dzień, czatując na zdobycz. Jak tylko jaka pszczoła nie trafiła do otworu w ulu, odbiła się od ściany i spadła: ropuchy otwierały paszczęki i pożerały ją wraz z jej słodkim ciężarem. Nie dziwota, że przy takiem wygodnem życiu ropuchy spasły się porządnie.

Podobnie: ile to parafij i organzacyj obconarodowych tuczyło się i tuczy odpadłymi Polakami w Ameryce! Ale pamiętajmy, że **takie odpadki nie dowodzą wcale upadku Polonji amerykańskiej.** Żadna instytucja nie miała i nie ma tyle i tak licznych odpadków, jak Kościół katolicki: a czy te dowodzą jego upadku? Pamiętajmy, że jak Kościół katolicki jest instytucją Boską w porządku nadprzyrodzonym, tak narodowość jest instytucją Boską w porządku przyrodzonym. Jedną i drugą podtrzymuje moc Boska, a nie ludzka tylko.

Ale chociażby narodowość, tak jak pojedyńczy człowiek, z woli Opatrzności skazaną była na wymarcie tu w Ameryce: to rzecz jasna i oczywista, że i wtedy byłoby to zbrodnią, czyhać na jej życie i życzyć jej rychłej śmierci; podobnie jak jest zbrodnią skracać życie pojedyńczego człowieka, choć wiemy, że on raz musi umrzeć. Już zaś takiej zbrodni chcą się dopuścić ci szaleńcy, szowiniści, nasi amerykanizatorzy. Aliści narodowość nie tak łatwo

zabić jak pojedyńczego człowieka. A już naszą polską narodowość wcale nie tak łatwo zabić, bo:

Jak długo święta wiara
Ożywia polską krew:
Stać będzie Polska stara,
Bo każdy Polak lew!

Lew, a nie wróbel, którego sidłem ułowić można.

W roku 1901 na ułowienie Polaków ajryscy biskupi nowe sidła zastawili, jak to zaraz opowiem w następnym rozdziale.

Granice terytorjalne są sztuczne, zmienne i niestałe, bo dowolnie przez ludzi wytknięte. **Granice** zaś **narodowe** czyli nacjonalne są racjonalne czyli rozumne, są naturalne, czyli przyrodzone, zatem są stałe i niezmienne, bo przez Boga samego wytknięte. Granic narodowych bezkarnie nie można zastąpić terytorjalnemi. Stąd tam, gdzie granice narodowe zastąpiono terytorjalnemi, powstawały ciągle tarcia, zatargi i zamieszania. Sztuczne granice terytorjalne są na miejscu tam, gdzie brak materjalnych granic narodowych, to jest gdzie ludność jest jednolitą. Nawet w urządzeniach państwowych ludzie nareszcie przyszli do przekonania, że granice narodowe są rozumniejsze od terytorjalnych. Tem bardziej w Kościele, który nie jest królestwem ziemskiem czyli terytorjalnem, ale niebieskiem czyli duchowem.

Atoli właśnie dla zatarcia granic narodowych najpierw między organizacjami wymyślono r. 1901 tak zwaną „Amerykańską Federację Katolickich Towarzystw", za pomocą której chciano następnie zatrzeć granice narodowe między parafjanami. Lecz i to „sidło się potargało, a myśmy wybawieni zostali" (Psalm 123, 7).

57. Biskupi ignorowali nas w naszej sprawie, ale nie ignorowali nas w swojej sprawie amerykanizacyjnej. — Założyli Amerykańską Federację, do której Polacy nie chcieli się przyłączyć. — Dlaczego?

Jak widzimy, na list błagalny, rozesłany przez Wydział Wykonawczy do poszczególnych biskupów, jeden tylko arcybiskup Corrigan dał odpowiedź, ma się rozumieć, odmowną. Inni całkiem nas ignorowali w naszej sprawie biskupów polskich. Ale wcale nas nie ignorowali w swojej sprawie innego rodzaju, mianowicie w sprawie amerykanizacyjnej, która miała na celu zlanie wszystkich narodowości w jeden „wielki naród" przez zaprowadzenie jednego wyłącznie „wielkiego języka": ut terra sit labii unius, aby

„ziemia była jednego języka“, tak jak przed wieżą Babel była. Ażeby tego wielkiego celu dopiąć, zanim jeszcze Polacy biskupów swoich dostaną, założyli „Amerykańską Federację Katolickich Towarzystw“ i do niej Polaków bardzo łaskawie zaprosili. Ale Polacy nie chcieli do tej Federacji się przyłączyć.

Czy źle postąpili? „Dziennik Chicagoski“ twierdził, że źle. Na to posłałem „Dziennikowi Chicagoskiemu“ następującą odpowiedź, którą też tenże umieścił z uwagami, jak poniżej:

W sprawie amerykańskiej Federacji Katolickich Towarzystw odpowiedź Ks. Wacława Kruszki.

Przyrzekaliśmy naszym Czytelnikom podać in extenso odpowiedź Wiel. ks. Wacława Kruszki na nasze argumenta w sprawie amer. Fed. Kat. Tow.: wywiązujemy się niniejszem z tego przyrzeczenia i pozwalamy sobie w odsyłaczach dodać nasze uwagi. (1.) Odpowiedź ta ma tytuł następujący:

„Si quis ignorat, ignorabitur“ (I. Cor. 14, 38).

Zawiązała się tak zwana „Amerykańska Federacja Katolickich Towarzystw“ — „American Federation of Catholic Societies“ — jak donosi dzisiejszy numer katolickiego pisma „New York Freeman's Journal“. Do tej Federacji — jak podaje wczorajszy numer „Dziennika Chicagoskiego“ — odrazu się przyłączyły organizacje różnych narodowości. Lecz Polacy się nie przyłączyli. Czy źle sobie postąpili? Żadne pismo polskie im tego nie przygania. Tylko „Dziennik Chic.“ bierze nam to za złe, że się „na uboczu“ trzymamy, i pyta: dlaczego?

Otóż, zdaniem mojem, złożyły się na tę obojętność przyczyny i psychologiczne (uczuciowe) i logiczne (rozumowe).

Główną przyczyną psychologiczną, dla której Polacy dziś nie chcą mieć nic wspólnego z taką „Amerykańską Federacją“, możnaby wyrazić temi słowami św. Pawła: „Si quis ignorat, ignorabitur“ (I. Cor. 14, 38). Oni nas ignorują, i my ich ignorować będziemy. (2.) Nie naciągamy tu bynajmniej znaczenia powyższych słów świętego Pawła, gdyż ten Apostół narodów powyższe zdanie wypowiedział właśnie w obronie języków obcych, a zatem w kwestji narodowościowej. Że nas Polaków szczególniej, tworzących tak znaczny procent katolików w Stanach Zjednoczonych, katolicy innych narodowości, nie od dziś, ale oddawna ignorują — to fakt, nie dający się zaprzeczyć. Dlaczegoż więc i my byśmy ich nie mieli ignorować?...

Jednakże oprócz tego, są przyczyny najzupełniej logiczne, czyli rozumowe, dla których my Polacy nie okazujemy żadnej ochoty do zlania się w jedną taką „Amerykańską Federację", jak ją angielscy katolicy nazywają (patrz „Freeman's Journal" 14 grudnia b. r.). My Polacy bez takiej międzynarodowej Federacji katolikami jesteśmy i dobrymi katolikami pozostać możemy. Tak — powie kto — ale czy zorganizowanymi katolikami będziemy? I owszem, zorganizowanymi pozostaniemy, i to organizacją lepszą od takiej przez ludzi li tylko wymyślonej organizacji, bo organizacją Kościoła, którą nie człowiek, lecz Bóg ustanowił. Ale czyż w łonie tej Boskiej organizacji Kościoła, nie mogą i nie powinny się tworzyć ściślejsze kółka i organizacje ludzkie? I owszem, mogą i powinny. Nie odmawiam im bynajmniej racji bytu. Zwracam atoli uwagę na jedną rzecz: Takie ściślejsze organizacje, jak ta „Federacja", wymagają już nie tej tylko powszechnej miłości wzajemnej, jaką my wszyscy, zwłaszcza katolicy, miłować się powinniśmy — lecz domagają się ściślejszych węzłów przyjaźni, i rzekłbym nawet, poufałości. (3.) A czy my Polacy, przy dzisiejszych kościelnych stosunkach amerykańskich, możemy się przyjaźnić i poufalić, że tak rzekę, z innonarodowymi katolikami? Stanowczo nie! Czemu nie? Zdrowy rozum to wskazuje. Amicitia potest esse tantum inter pares — przyjaźń poufała może być tylko między równymi. Miłość i szacunek może być i między nierównymi, sługa lub dziecko może kochać i szanować swego pana lub ojca, ale przyjaźnić się nie może. Amicitio aut invenit aut facit pares. Lecz pytam się, czy istnieje ta równość, będąca podstawą przyjaźni, między nami a innonarodowymi katolikami tu w Ameryce? czy istnieje równouprawnienie? Nie — dopóki innonarodowi katolicy zgóry na nas patrzeć będą, dopóki pretensje do rządzenia Kościołem sobie wyłącznie rościć będą, dopóki nas w hierarchji kościelnej nie uwzględnią, słowem dopóki nas traktować nie będą na równi z innymi, na równi ze sobą — my nie możemy, absolutnie nie możemy, wejść w ściślejsze stosunki przyjaźni z nimi. (4.)

Zresztą ta „Amerykańska Federacja" dla nas Polaków nie przyniosłaby żadnej korzyści. I w tem przyznać trzeba słuszność „Narodowi Polskiemu". Jeżeli przyjdzie do walki z wrogiem, wspólnym nam wszystkim katolikom, z apaistami, to i Polacy stawią się do apelu, tak jak stawili się już nieraz (przeciw bezecnemu prawu Benett'a) razem z innymi katolikami. (5.) „Dziennik Chicagoski" powiada, że to bronienie interesów katolickich przeciw apai-

stom i innym wrogom Kościoła jest głównem zadaniem Federacji. Lecz „Freeman's Journal" podaje inny główny cel. Głównym celem tej „Federacji" ma być pomagać w szerzeniu prasy katolickiej i krzewieniu literatury katolickiej. Oto odnośne słowa „Journal": „Its purpose (of the Federation) is to advance benevolent, social and Christian work, and especially to assist the Catholic press and disseminate Catholic literature". Otóż czy „Dziennik Chic." myśli, że ta Federacja poprze polską prasę katolicką? (6.) A co nam po angielskiej dla naszego ludu?

Wprawdzie dla katolików angielskich i niemieckich czas wielki, żeby się związali w „federację", kiedy katolickie, nie licząc mnogich tygodniówek. Lecz niech mi kto pokaże choć jedno pismo angielskie, codzienne, ściśle katolickie? Pomimo wielkich wysiłków, pomimo wpływu tylu dygnitarzy kościelnych, stojących na ich usługi, katolicy angielscy nie potrafili dotychczas zdobyć się ani jeden dziennik katolicki! Nasz lud, na który oni tak z góry patrzą, przecie — przyznać trzeba — ma większe zamiłowanie w lekturze pism katolickich od nich! Więc dla nich zawiązanie owej „Federacji" z takim głównym celem (założenia dziennika katolickiego i popierania pism katolickich) ma rację bytu. Dla nas to rzecz zbyteczna, — bo mamy, jeżeli już nie więcej, to przynajmniej jeden ściśle katolicki „Dziennik Chicagoski". A angielscy katolicy ani tyle nie mają.

Dla tych tedy powodów chyba uprzedzony do nas katolik innonarodowy może nam to za złe brać, że się nie przyłączamy do „Federacji", która zresztą ledwie z jajka się wykluła i niewiadomo co z niej w przyszłości będzie. A już wprost nie prawdziwy katolik byłby ten, ktoby nas Polaków z tego powodu podejrzywał, jak pisze „Dziennik Chic." jakoby na nas wywarły wpływ machinacje Kozłowskich, Kamińskich i Hodurów!... Tak podejrzywać może nas tylko „katolik" nie zachowujący ósmego przykazania. (7.)

Ripon, Wis., 14 grudnia 1901.

X. Wacław Kruszka.

Uwagi Redakcji.

1) Podając nasze uwagi o tej federacji, ku końcowi zreasumowaliśmy wszystkie nasze refleksje, łącząc je w szereg zapytań. Ci, którzy na uwagi nasze odpowiedzieli, nie uważali za stosowne na pytania te odpowiedzieć. Tylko na ostatnie z tych pytań mieści się pewna odpowiedź w powyższej odpowiedzi.

2) Kto oni? Twórcy federacji? Ależ oni rozesłali zaproszenia do polskich organizacyj, więc nas nie ignorowali. Wogóle Amerykanie? Część tychże, tworzącej federację, nie mamy prawa identyfikować z ogółem Amerykanów, dopóki nie udowodnią, że podzielają zapatrywania tego ogółu.

3) Niekoniecznie. Może ich łączyć poprostu interes, jak to zwykle nawet się dzieje. A interesem tym tu byłoby wspólnemi siłami walczyć przeciw antikatolickiej działalności w tym kraju, której ogół Polaków może nie dostrzega, może nie pojmuje należycie, bo zajęty jest wyłącznie swojemi narodowościowemi, co prawda, ważnemi sprawami.

4) W całej tej argumentacji dostrzegamy ustawicznie branie pars pro toto; identyfikowanie jednostek tworzących federację z ogółem Amerykanów lub amerykanizatorów; a przecież chyba możnaby przypuszczać, że inicjatorzy federacji są ludźmi o pojęciach szerszych, sprawiedliwszych, bardziej ogólnoludzkich, aniżeli — amerykanizatorzy.

5) Do „apelu" w danym razie Polacy nie będą mogli się stawić, gdy taka systematyczna praca rozpocznie się w Federacji, do której należeć nie będą.

6) Poniekąd myśli tak „Dz. Chic." o tyle o ile Polacy mieliby głos w Federacji.

7) Że „podejrzywanie" takie (które jeszcze nie jest „mówieniem fałszywego świadectwa") ze strony obcych, wobec których występujemy nieprzyjaźnie i z nieufnością, jest możliwe, przyzna i sam szan. autor.

58. Druk Historji w gazetach. — Co sława przyniosła człowiekowi? — Prośby, protesty, pochwały i nagany.

O delegacji rzymskiej trzeba było myśleć, ale i o „Historji Polskiej w Ameryce" nie można było zapominać. Druk Historji w codziennej gazecie, i w dwóch tygodnikach, dopędzał mnie. Wydawnictwo Historji w formie książki poruczyłem Wydawnictwu „Kurjera Polskiego" w Milwaukee, Wis., dla braku funduszów osobistych. Widocznie pierwotnym planem „Kurjera" było wydać Historję w dwóch tomach, jak to świadczy następujące ogłoszenie:

„Historja wydrukowana będzie prawdopodobnie w dwóch tomach większego rozmiaru. Każdy tom zawierać będzie około 800 dużych stronic i oprawiony będzie ładnie. Nakład kosztować nas będzie kilka tysięcy dolarów. Zaś cena tomu Historji wyniesie może

tylko dol. 1.50, a cena ta nie pokryje kosztów nakładu. Ale chodzi o to, aby cenna ta książka znajdowała się w każdym domu. Zebranie wszystkich szczegółów kosztowało ks. W. Kruszkę dużo trudu, zabiegów i pracy, poświęcenia i — nieprzyjemności. Że przytem informacje jemu nadesłane lub opowiedziane nie były czasami dokładne, to się przy pisaniu takiego olbrzymiego dzieła uniknąć nie dało, albowiem dotąd żadnej historji Polaków w Ameryce nie było, więc autor musiał się często spuszczać na słowo innych. Dlatego to „Historja“ drukuje się najpierw w gazecie, ażeby ogół czytał ją naprzód, i jeśli kto jakąś niedokładność zauważy, aby ją autorowi wykazał. Wszelkie krytyki (choć one często niesprawiedliwe) pożądane są, bo autorowi i wydawcom Historji Polskiej chodzi o to, aby ona była jak najdokładniejsza. To też przy drukowaniu Historji we formie książki uwzględnione zostaną wszystkie sprawiedliwe krytyki i uzasadnione sprawozdania.

„Dzieło to powinno zawierać fotografje kościołów polskich, szkół, hal i innych wybitniejszych gmachów; fotografje organizacyj wojskowych i rycerskich, zmarłych księży i pierwszych immigrantów, żyjących księży, dziennikarzy, doktorów, adwokatów, nauczycieli, polityków i byznesistów wybitniejszych. Ponieważ nakład takiej książki będzie ogromnie kosztowny, a ceny wysokiej na nią nałożyć nie można, bo nasze stosunki polskie na to nie pozwalają, więc portretów żyjących osób bezpłatnie umieścić nie możemy. W tym celu ustanowiliśmy następujące ceny na portrety i fotografje prywatnych budynków: Obrazek na ćwierć stronicy 5 dol.; na pół stronicy 10 dol.; na całą stronicę 15 dol.

„Wszelkie sprostowania należy przesyłać do autora, Wiel. Ks. W. Kruszki w Ripon, Wis. Zaś fotografje, opisy tychże, opłatę za obrazki i t. p. przysyłać pod adresem: „Publishers of Historja Polska w Ameryce“, Box 68, Milwaukee, Wis.

Takie ogłoszenie dał „Kurjer Polski“. Historja ta wnet rozsławiła imię moje po świecie. A nie ma to, jak być sławnym! Wtedy już za życia masz sąd powszechny, judicium universale. Kto chce być sławnym, niech napisze historję emigracji; a wnet się nasyci i przesyci sławą. Ludzie myśleli, że skoro jestem historykiem i delegatem do Rzymu, to muszę być wielkim i bogatym proboszczem, a co najmniej kanonikiem. Tak, naprzykład, z dalekiej Galicji od całkiem mi nieznanego pana Klemensa D. z Bączali Górnej, Skołyszyn, otrzymałem list zaadresowany po polsku: „Wielebny Ks. Kanonik Wacław Kruszka“. A chociaż w adresie nie był podany Stan

Wisconsin, w jakim mieszkam, list jednak do mnie trafił. W liście tym prosiły mnie dwie córki w imieniu ojca, jedna dwunasto, druga piętnastoletnia, żebym się raczył nimi „jako kuzynkami“ zaopiekować, „bo takie dziewczęta jak my bez opieki istniećby nie mogły, tylko pod opieką czcigodnej osoby księdza Kanonika istnieć możemy“.

Znowu od księdza M. D., redaktora „Nowego Dzwonka“ z Krakowa 13 sierpnia 1902 odebrałem taki list:

„Wielebny Księże Proboszczu Dobrodzieju! Wyczytałem w jednej gazecie polsko-amerykańskiej, że Ks. Proboszcz Dobr. przystępuje do wydania „Historji Polskiej w Ameryce“. Otóż ja gotów jestem w moich dwóch pismach, t. j. w „Nowym Dzwonku“ i „Nowem Ziarnie“ umieścić ogłoszenie o tem dziele, jeżeli Ksiądz Prob. Dobrodziej zrobi mi za to inną przysługę. Potrzebuję **dużo intencji mszalnych,** bo i dla siebie i dla niektórych życzliwych mi księży, którzy mi odprawiają intencje na fundusz i poparcie mych wydawnictw“...

Niestety, ja proboszcz w Ripon wówczas sam intencyj mszalnych potrzebowałem. Bo probostwo w Ripon było, jak to mówią Ślązacy, „chudą farą, gdzie sam fararz na Mszę dzwonił“. Istotnie, nie mając kościelnego, sam musiałem dzwonić na Mszę i na Anioł Pański.

Z rozmaitych listów sypały się pochwały jak z rogu obfitości. Mój człowek byłby mógł się w pychę wbić, czytając naprzykład co pan Józef Pawlicki z Calumet, Mich., pisał 16-go stycznia 1901:

„Życzę Wiel. Księdzu w tej tak mozolnej pracy dla podniesienia naszego Polskiego narodu jak najlepszego rozwoju. Czytam nieraz artykuły podane do gazet przez Wiel. Ks. Kruszkę, i przyznać muszę, żeby wszyscy Polacy Księża nieraz od czasu do czasu takie artykuły do gazet podawali jak Wiel. Ks. Kruszka, toby nasz Polski lud uszlachetnił się, umoralnił i uczyniłby się użyteczny w gronie społeczeństw. Cześć i uznanie Ci się Wielebny Ojcze należy, że nietylko słowem głosisz prawdę, ale także za pomocą pióra prowadzisz nasz Polski lud do Boga. Bóg ci to kiedyś sowicie wynagrodzi za twą gorliwą pracę we wieczności. Takich nam Księży potrzeba w Ameryce, toby nie było tyle kościołów niezależnych, jakie obecnie są“...

Te i tym podobne pochwały byłyby mię w pychę wbiły, gdyby nie takie listy jak ten z dnia 30 maja 1902:

„Kochany Księże Wacławie! Swoją drogą napisałeś niepotrzebne głupstwa w swej Historji o ś. p. Grutzy — bo przecież znana Ci jest zasada „de mortuis aut nihil aut bene".

Ale cóż z Tobą, kochany Wacku począć? Już jesteś za stary by Cię zmienić, a więc nawet o tem nie myślę. Szkoda mi cię jednak, bo masz w sobie dużo dobrego i wiele mógłbyś polskiej sprawie dopomóc, gdybyś pisał tylko „historję", ale Ty piszesz głupstwa, które ogółowi nic nie dadzą, a Tobie wiele i bardzo wiele zaszkodzą... Zacny ks. Idzi (Tarasiewicz) i ja w mej osobie pozdrawiamy Cię serdecznie. Ks. Jan Machnikowski".

Te i tym podobne nagany byłyby mię do upadku ducha doprowadziły, gdyby nie takie znowu listy jak ten:

„Poniatowski, Marathon Co., Wis., 27 lutego 1902.

„Łaskawy Księże Proboszczu! Czytałem Jego cenne dzieje Polonji w Ameryce... Winszuję świetnych rezultatów mozolnego szperania i trudu podjętego. Jestto to, czego brak był dotychczas w literaturze nowoczesnej tutejszej i europejskiej.

„Nasi bracia w kraju dopiero teraz będą mogli wyjść z błędnego koła, w jakiem się obracali co do zapatrywań na tutejsze stosunki.

„Jest to pomost, łączący Amerykę z Polską, jest to taran burzący i walący mury uprzedzeń i pogardliwego patrzenia opinji naszej starokrajskiej na swych współbraci w Ameryce.

„Exegisti Tibi monumentum aere perennius... Winszując najpomyślniejszych rezultatów w ognisku chrześcijaństwa, zostaję najpoddańszym w Panu. Ks. Józef Biela."

Ale znowu, kiedy djablik zecerski spłatał mi figla i wydrukował „Krzywynos" zamiast „Krzywonos", Wiel. ksiądz Wacław Krzywonos z Manitowoc, Wis., dnia 28 lutego 1903 wyrżnął mi taką filipikę:

„Wielebny Dobrodzieju! Chciałbym bardzo wiedzieć, dlaczego Dobrodziej w swojej „Historji Polskiego Kościoła" mnie przezywa. Jam Dobrodziejowi nic nie winien. Nie godzi się starego kapłana wyzywać. Jeżeli Ksiądz Dobrodziej nie wierzy, ja Mu pokażę metrykę, że się nazywam **„Krzywonos"** a nie jak Dobrodziej mnie nazywa **„Krzywynos"**. Gdyby Dobrodziej chciał — no ale nie muszę — pokażę swoje dokumenta rodzinne i... herbarze. Więc proszę poprzestać wyzwysk. Ja nie piszę Gruszka, ale Kruszka,

więc proszę i mnie nazywać Krzywonos a nie Krzywynos. Sługa W. Krzywonos.“

A kiedym za dobrze o kimś pisał w „Historji“, to także dostałem lanie, jak np. z Green Bay, Wis., 7 sierpnia 1902:

„Wielebny Księże Proboszczu! Prosiłbym bardzo, aby Wiel. Ks. Proboszcz był łaskaw donieść mi, kto Wiel. Księdzu podał wskazówki do „Historji“ o Hofa Parku i Pułaskim, tem wyrządzi mi Wiel. Ksiądz przysługę. Z „Historji trzeba koniecznie wykreślić: **„Przewielebny“** (O. Stanisław Jeka), **„Prowincjał OO. Franciszkanów“.** Tak samo: O. Stan. Jeka, jako „głowa OO. Franciszkanów“. Wielebny O. Stanisław Jeka nigdy nie był i nie jest prowincjałem, zatem też nie jest ani „Przewielebnym“ ani „głową“. W angielskiej „Historji“ ten sam błąd, albo raczej fałsz! Wielebnego Księdza w błąd wprowadzono i zdaje się z rozmysłem. Proszę niniejszem te wyrazy całkiem wykreślić. Z winnym szacunkiem Hieronim Schneider, O. F. M.“

Takich i tym podobnych sprostowań, protestów, pochwał i nagan dostawałem bez liku.

Pan Louis E. Van Norman, autor dzieła p. t. „Poland The Knight Among Nations“, wydanego r. 1907, pisał był do mnie 16-go września 1901 z Nowego Yorku, Editorial Rooms of the Literary Digest:

„Rev. W. Kruszka, My Dear Sir, I take the liberty of asking your assistance in the preparation of an article on „Poles in America“ for a book which I am writing, to be entitled „The Country of Sienkiewicz“. I want to know a little about the present number and condition of the Polish people in this country, what they are doing and how they are becoming American citizens. But I am especially desirous of getting data as to the prominent Poles who have lived here or visited here and have conctributed to our civilization and progress... I. belive that any book will be especially timely, showing as it will, that American should judge the Poles by such examples as Kościuszko and Pułaski and not by such miserable specimens as Czolgosz.

„Any facts which you could give me would be very welcome. Would it be possible for me to see a copy of your history of Poles in America, which, I understand, has just been published? I should be glad to mention having received help from it. My book is a labor of admiration for the Polish people whom I learned to respect in my 8 months sojourn among them last year.

„I thank you in advance for any courtesy you may extend, and, meanvhile, my dear Sir, I remain, Yours very truly, Louis E. Van Norman.“

Znowu Niemiec pewien z Texas, nazwiskiem ksiądz F. C. Neisens, strasznie się oburzył na moją „Historję“, a to z następującego powodu:

59. Irlandzcy lub niemieccy księża gospodarzyli w polskich parafjach. — Chryja z ks. Neisensem w Texas dała rozgłos „Historji Polskiej w Ameryce“.

Jeszcze 2 września 1901 pisał mi pewien kapłan polski z Texas: „Co do Twego artykułu o potrzebie biskupów wielojęzycznych mogę tylko powiedzieć ze szczerego, przyjacielskiego serca: Bravissimo! You have hit them hard. Święta racja, i wielki już czas, aby nas nie miano za zdolnych tylko do objęcia parafji gdzieś tam po kątach. (Przepraszam — nie mówię o sobie...) Tutaj w Texas nawet tak jest, że i księży jednojęzycznych posyłają biskupi na parafje przeważnie polskie, lecz ja tutaj trochę zrobiłem „halt“. Otóż gdy taki jegomość, ksiądz obconarodowy, poprosi mnie, abym dojechał do niego i Polaków mu wysłuchał spowiedzi, odpowiadam, że **nie** i zarazem dodaję, że biskup powinien tam księdza polskiego „wpakować“, a on (ksiądz Irlandczyk lub Niemiec) powinien zrezygnować, boć przecież potrzebom swoich owieczek nie zdolny jest zadosyć uczynić. Taki wypadek miałem tylko dwa tygodnie temu, kiedy mnie pewien jegomość z diecezji Dallas do siebie zaprosił, aby Polakom usługi czynić. Odmówiłem i nadto innym księżom o tem dałem znać, tak że teraz pomimo usilnych próśb owego księdza dobrodzieja, żaden z kapłanów polskich nie chce mu owej przysługi wyrządzić. Niech się biskup Dunne postara o księdza Polaka!“

Podobne stosunki panowały także w diecezji San Antonio, Texas. Tam niejaki ksiądz F. C. Neisens, Niemiec, był długie lata proboszczem polskiej parafji w Bandera, Texas. Otóż w „Historji“ opisując kolonję w Bandera podałem, że ks. Neisens, Niemiec, zarządzając parafją polską, okazał się polakożercą, gdyż wyrzucił z kościoła obraz św. Stanisława Biskupa i M. i nie chciał siostry polskiej dopuścić do szkoły parafjalnej. Na to ks. Neisens zaryczał jak śmiertelnie grotem rażony tur. Ryk jego było słychać nietylko w Texas, ale i w Wisconsinie, gdzie „Milwaukee Sentinel“ roz-

pisywał się o tym wypadku jako o „case of wide interest“ w artykułach z dużemi nagłówkami. Rykiem swym poruszył opinję publiczną, pisząc listy do gazet angielskich, do biskupa i do mnie sążniste jeremjady z pogróżkami. Pierwszy groźny list, pełen ironji, pisany z Seguin, Guadalupe Co., Texas, 4 lipca 1902, brzmiał tak:

„The Rev. Kruszka Ripon, Wis. Rev. Dear Sir: I herewith desire to „ex toto corde“ thank your Reverence for the **beautiful Article** your publish about my administration in Bandera, in the „Kurjer Polski“ of March 8, this year. Our Rt. Rev. Bishop too wishes to send his Compliments upon this and other Articles concerning Priests and Parishes of his Diocese!!! I simply wish to inform your Reverence that the statements made in the „Kurjer Polski“ March 8th 1902. relating to my administration at Bandera, are absolutely false please to remember false. And unless you publicly retract such slander I will proceed legally against you and said paper. In the meantime I have placed the case in the hands of my attorneys. Awaiting an immediate reply I. remain Yours in Xto. Francis Neisens.

„P. S. I shall give just 10 (ten) days to act. If in that time you will fail to comply with my demands, I will occupy every means possible to punish you. I know who your informant is; he will be justly dealt with.“

Sprawiedliwość wymaga, aby oddać każdemu, co się należy, nawet Niemcowi. Ale z powyższego listu nie byłem mądry, co mam odwołać. „The statements made... are absolutely fales.“ Ale kto to są te „false statements“, tego mi list ów nie powiedział. Czy do tych „false statements“ zaliczyć mam i to, że ks. Neisens, Niemiec, był proboszczem polskiej parafji w Bandera? że był Niemcem, a nie Polakiem? że polską parafją zarządzał jako Niemiec a nie jako Polak? Takie pytania postawiłem ks. Neisensowi w moim liście z dnia 9 lipca 1902. Ks. Neisens był aktorem, zanim księdzem został; stąd ten jego dramatyczny występ na widownię publiczną, obliczony na efekt sceniczny. Ale tym razem odgrywał on istną tragikomedję. Bo powyższy list jego, choć pełen pogróżek, był pozbawiony sensu i stawiał żądania zupełnie niedorzeczne. Żądał bowiem odwołania czegoś, a nie podał, co mam odwołać — w przeciągu 10 dni! Jeżeli w „Historji“ podałem „fakta zupełnie fałszywe“, to zamiast do pogróżek, powinien był przystąpić do rze-

czy i powiedzieć, które to są te fakta fałszywe, ażebym wiedział, co odwołać.

Wtedy dopiero 13 lipca 1902 ks. Neisens odpowiedział mi do rzeczy. Te fakta „fałszywe" miały być: pierwszy, że wyrzucił z kościoła obraz św. Stanisława B. i M., a drugi, że nie dopuścił siostry polskiej do szkoły parafjalnej. Ale chociaż te fakta nazwał „zupełnie fałszywemi", to jednak nie mógł im zupełnie zaprzeczyć. Owszem, musiał sam przyznać się do tych faktów; a tylko po swojemu je wytłumaczył. Obraz św. Stanisława B. i M. — pisał mi — z kościoła wyrzucił dlatego jedynie, żeby go zastąpić nowym, sprowadzonym z Francji; bo stary był za brzydki. Siostry zaś polskiej nie dopuścił do szkoły jedynie dlatego, że nie mógł jej znikąd dostać.

To jego tłumaczenie owych „faktów zupełnie fałszywych" ogłosiłem 19 lipca 1902 w gazecie, ażeby Niemiec znał polską bezstronność. To jednak go nie uspokoiło i 25 lipca 1902 pisał mi: Your proferred satisfaction is not accepted, as it is in no way in proportion to the offence and thegreat harm the article of March 8th has already done me. Though I had sent you some corrections, this was not done to make corrections, but to make you aware of the grat harm done to me"... I ciągle chodził do swego biskupa ze skargą na mnie i na księży texaskich, którzy mnie informowali. Nietylko ks. Niedbalski, którego on najbardziej u biskupa oskarżał, ale i inni księża, jak ks. Matysiak, ks. Kwoka, ks. Bronisław Walter, jawnie świadczyli o antypolskiej działalności ks. Neisensa w Banderze. Nie był ks. Neisens bynajmniej wrogiem jako ludzi: owszem, jako ludzi pokochał on Polaków miłością gorącą i potrafił im się przymilić tak bardzo, że zjednał sobie u nich ogólną sympatję. Nie był on tedy ludożercą; nikt go też tak nie nazwał. Ja go w „Historji" nazwałem tylko polakożercą, bo był wrogiem polskości wogóle a języka polskiego w szczególe. Sprowadził dwie siostry angielskie i jednę niemiecką; ta ostatnia miała uczyć dzieci po niemiecku, choć tam były tylko trzy familje niemieckie. Polskiej siostry „nie mógł" dostać. Otóż biskup z San Antonio, do którego ks. Neisens pukał ciągle, nadesłał mi w obronie ks. Neisensa następujący list:

San Antonio, Tex., Sept. 16.

Rev. Wenceslaus Kruszka.

Rev. and dear Father.

Please, publish in your journal the few lines, here enclosed, in defence of Rv. F. C. Neisens. In doing so, you will

oblige me very much, and will save trouble to some of my priests.

Respectfully yours in X.

J. R. Forest,

Bishop of San Antonio.

San Antonio, Tex., Sept. 16. 1902.

To whom it may Concern:

Reverend F. C. Neisens is well known to me for the last six years. He is one of my priests, a priest in good standing in the diocese of San Antonio, Texas, a zealous priest, a good organizer, a hard working priest, esteemend and loved by his parishioners and especialy by the Polanders of Bandera, his first mission.

When father Neisens went to Bandera, he found a small mission, about thirty five families, without school, without priest house, having a small and very poor church. He understood at once the temporal and spiritual need of his mission, and his first work was to organize a parochial school, which has done and is doing yet a great good for the mission of Bandera, this being done all his attention work and care was given to the church. He had it repaired, ornamented with the Stations of the Cross, with a beautiful painting of St. Stanislaus, the patron of this church, and furnished with church vestements. All this was done in a short time, through his own generosity and with the help of this faithfull and generous Polanders.

After having providaded his parishioners with a parochial school, taught by Sisters, and with a church well ornamented. Reverend F. C. Neisens erected a substantial rock buliding for the residence of the priest, but he could not finish it. He was removed to a larger parish, at the greath Sorrow of his parishioners. He left carrying with him the esteem and the affection of his good people of St. Stanislaus mission. Even now, when he has few days of rest, he spends them with his first parishioners at Bandera, and they are always glad to see him.

Such is the record of Reverend F. C. Neisens at Bandera, to my best knowledge and to the testimony of the Polanders and few Americans of this mission — why then should be called a tyrant, a hater of the Poles? What is the couse of this calumny? Malice, jealousy, ignorance are the cause of it. All the charges brought againts him are false, untre and unjust. I hate to see one of my

priests persecuted and calumniated. I am ready to defend his priestely character as far as possible. I hope dear father, by publishing these few lines, Reverend F. C. Neisens will be sufficiently justified, and his calumniators will stop their false and unjust reports.

J. A. Forest,
Bishop of San Antonio.

Zwracam uwagę na (nieżyczliwie) użyty w powyższym liście wyraz „Polanders"...

Obydwa te listy biskupie ogłosiłem w „Kurjerze Polskim" z następującym dodatkiem:

„Ze strony Najprzew. ks. Biskupa Forest, jest to czyn bardzo piękny i szlachetny, że się ujmuje o cześć kapłana, podług Jego mniemania, spotwarzonego. Ks. Neisens powinien być swemu biskupowi wdzięczny za to, uspokoić i pocieszyć się przynajmniej tem, że go nie nazwano ludożercą, lecz tylko „polakożercą", to znaczy, wrogiem — nie ludzi i ludzkości wogóle — lecz tylko języka polskiego w szczególe, czego, podług relacji prawie wszystkich księży polskich, dał dowody niezbite. Ks. Neisens jako były aktor, może umie niejedną rolę odegrać znakomicie, lecz to powinien wreszcie raz zrozumieć, że roli PATRJOTY POLSKIEGO grać nie umie. Więc niech lepiej da spokój i w tej roli więcej nie występuje na scenie amerykańsko-polskiego świata."

Na tem się ta cała chryja z ks. Neisensem zakończyła.

60. Dzienniki Chicagoski i Milwaucki groziły „Historji" zagładą i klątwą. — Strachy na Lachy. — Historja to nie panegiryk, a historyk to nie panegirysta.

„Dziennik Chicagoski" dnia 15-go lipca 1902 wystąpił z krytyką drukującej się „Historji Polskiej w Ameryce" w taki dosadny sposób:

W swojej „Historji Polskiej w Ameryce" drukowanej w „Kurjerze Polskim", nim się pojawi w formie książkowej, autor tejże, Wiel. ks. Wacław Kruszka, rozpisuje się w rozdziałach obecnie drukowanych o polskich parafjach w Chicago i oczywiście rozpoczął od parafji św. Stanisława Kostki.

„Historję tej parafji uważał za stosowne poprzedzić swoim poglądem na dzieje założenia zgromadzenia OO. Zmartwychwstań-

ców i anegdotycznem niejako zestawieniem w oczy bijących ustępów z pamiętnika założyciela tego Zgromadzenia.

„Obecnie rozpisuje się o ś. p. O. Wincentym Barzyńskim.

* * *

„Zauważyliśmy wprawdzie kiedyś, że ocenę dzieła ks. Wacława Kruszki podamy dopiero wtedy, gdy całość mieć będziemy przed sobą. Niepodobna jednakowoż nie wspomnieć o niektórych więcej na siebie zwracających uwagę rozdziałach wtedy, gdy się pojawiają, a zwłaszcza, kiedy stają się tak drastycznemi, jak to było n. p. przy opisywaniu parafji św. Józafata w Milwaukee, które wywołało ożywioną i rozdrażnioną polemikę, a nawet i rodzaj burzy.

„Podobną zupełnie polemikę mogłyby wywołać także rozdziały o OO. Zmartwychwstańcach i o parafji św. Stanisława K.

„Nie jest na razie naszym zamiarem jej wywoływać i szczegółowo wykazywać, jakie nowe... złośliwości i niesmaczne u poważnego autora poważnej historji dowcipy zawierają te nowe rozdziały; ale nie możemy się powstrzymać od zaznaczenia, jakie wrażenie na czytającym robić musi dzieło ks. W. Kruszki w tych rozdziałach, w których występować lubi w roli psychologa i filozofa historji.

* * *

„Efekta, jakie autor stara się wywołać u czytającego, by go więcej zainteresować, polegają na tem, ażeby przedewszystkiem osobę, którą zamierza scharakteryzować, lub przedmioty i dzieje, jakie chce opisać, najprzód opalić bengalskiem światłem nadzwyczajnych słów pochwały i uznania, a potem, zainteresowawszy tym wstępem czytelnika, zestawiać nie fakta, któreby owe pochwały usprawiedliwiały, tylko dowody na to, iż „słońce ma swoje plamy“ i tyle tych plam przytaczać, do takich powiększać je rozmiarów, by wkońcu czytelnik przyszedł do przekonania, że właściwie zapowiedziane „słońce“ jest jedynie zbiorem plam, że blask, bijący od niego, wcale nie jest jego blaskiem, tylko przypadkowo skądsiś za jego pośrednictwem bijącym, — i że tak on, czytelnik, jak i autor „Historji“ dziękować Bogu powinni, iż takiem fałszywem słońcem, pełnem plam, nie byli i być nie mogą...

„Uderza ten sposób postępowania autora „Historji“ tak przy czytaniu rozdziałów o ś. p. Wilhelmie Grutzy i jego parafji, jak przy czytaniu rozdziałów, poświęconych Zgromadzeniu OO. Zmar-

twychwstańców, jak wreszcie przy czytaniu rozdziału o parafji św. Stanisława K. w Chicago i jej najzasłużeńszym proboszczu, ś. p. ks. Wincentym Barzyńskim.

„Jako przykład podamy tu szczegół ostatni.

* * *

„Kiedy ks. Kruszka zaczyna opowiadać o ś. p. ks. Wincentym Barzyńskim tak się o nim wyraża:

„Po nim tedy (po ks. Zwiardowskim), jako czwarty z rzędu proboszcz na Stanisławowie, przybył w roku 1874 sławny ks. Wincenty Barzyński, ze Zgromadzenia Zmartwychwstańców, mąż o sile wieku, podówczas 30 lat liczący, człowiek genjalnych pomysłów, wielkiej energji i niepospolitej cnoty, zahartowanej długoletnią pracą misyjną (od roku 1866) w Texas. I odtąd przez całe ćwierć wieku (od 1874 do 1898 r.) w ręku tego męża spoczywały rządy i losy tej do olbrzymich rozmiarów rozrosłej parafji św. Stanisława w Chicago. Ten kapłan był wielkim. Był na swojem miejscu, the rigth man on the right place.

„Kto to przeczyta, ten naturalnie zainteresuje się owym „człowiekiem wielkiej energji i niepospolitej cnoty", który przytem, obejmując parafję, był „the right man on the right place", — i każdy czytelnik spodziewa się, że w dalszym ciągu autor poda dowody na to, że mówił prawdę, tak wielbiąc i pod niebiosa wynosząc męża, o którym chce pisać.

„Ale grubo się omylił czytelnik.

„W dalszym ciągu autor zaznaczając, jakoby „ks. Wincenty Barzyński był wyższym ponad te zwykłe śmiertelników zalety, jak miara, roztropność, rozsądek (?), jakoby był genjalnym, a jeśli błądził, to nawet i jego błędy były genjalne (!!)" — zaczyna wykazywać te błędy w równie „dowcipny sposób, jak dowcipnym" był zwrot właśnie przytoczony.

* * *

„Niezawodnie mało kto może się mierzyć z autorem „Historji" pod względem „dowcipu" w jego takiem postępowaniu przy pisaniu „Historji"; jest on tak ciętym, tak dobrodusznym i obrotnym, że cały szereg jego sofizmatów snadnie w oczach mniej doświadczonego czytelnika za logiczny szereg rozumowań może uchodzić, a niesłychanie zgrabnie przytoczone fakta niezaprzeczone, złączone lub rozdzielone kilku zręcznemi frazesami autora, przedsawić się mogą jako dowody niezaprzeczone.

* * *

„Tym tedy sposobem autor umie nietylko ludzi ogromnych zasług, zalet i cnót odzierać prawie ze czci i sławy, a nawet jako rodzaj potworów moralnych przedstawiać, nietylko dowcipkowaniem bawić czytającego, a zyskiwać uznanie i u nieprzyjaciół, mężów lub parafij lub wogóle przedmiotów opisywanych i u ludzi zupełnie obojętnych — ale także równocześnie niejako wytrącać broń z ręki obrońców owych spotwarzonych mężów i parafij, bo na zarzut, że ich poniżał, może odpowiedzieć śmiało, iż przecież najwyższe oddawał im pochwały, a na zarzut, że potwarze pisał, odpowiadać, iż przecież tylko autentyczne fakta, tylko faktycznie wygłoszone zdania przytaczał. Trzeba niepospolitej zręczności do takiego pisania historji, a tę ks. Wacław Kruszka widocznie posiada.

* * *

„Okazuje się, że Wolter był głupcem, kiedy radził tylko — oczerniać. Nie na tem sztuka polega. Ażeby poniżać i hańbić, należy nie kłamać, nie — oczerniać, nie — spotwarzać, ale pisać prawdę i gromadzić fakta: lecz fakta o ile możności takie tylko, które plamki tworzą, a których, przy dobrych chęciach, zawsze nagromadzić sporo można, a gdy się nie może pominąć faktów blaskiem promieniejących, rzucać na nie sztuczne światło dowcipu lub satyry, albo zestawiać je z plamkami w taki sposób, by zupełnie inaczej wyglądały, aniżeli przedstawiać się powinny.

„Ksiądz Kruszka prosi Wiel. księży i pp. redaktorów o krytykę każdego rozdziału „Historji“. Niestety na to ani czasu ani miejsca nie mamy na razie: powyższych kilka uwag niech starczy tedy za tymczasową ocenę rozdziałów ostatnich, które przeczytaliśmy, — o ś. p. ks. Grutzy i jego parafji, o OO. Zmartwychwstańcach i o ś. p. ks. Wincentym Barzyńskim...“

Niczem te gromy „Dziennika Chicagoskiego“. Usiłowano nawet pioruny klątwy kościelnej ściągnąć na „Historję Polską w Ameryce“. Bo oto co „Dziennik Milwaucki“ z dnia 12 sierpnia 1902 w uwagach redakcyjnych pisał:

„Podobno wielu księży i zarządów parafjalnych stara się o to, aby drukująca się obecnie w „Kurjerze Polskim“ — „Historja Polska w Ameryce“ nie ukazała się w wydaniu książkowem. Dotknięci głęboko bezwzględnem piórem autora, starają się o pozyskanie zakazu druku u władz kościelnych, wychodząc z tego założenia, że książka, zawierająca opisy awantur, hańbę tylko przynieść może naszemu wychodźtwu.“

I znowu 14 sierpnia 1902 tenże „Dziennik Milwaucki“ taką notatkę ogłosił:

„Z autentycznego źródła dowiadujemy się, że gorliwi księża polscy zamierzają postarać się u odnośnej władzy duchownej o powstrzymanie wydania rzekomej Historji polskiej, drukowanej w tutejszym „Kurjerze Polskim“. Zdaniem tych kapłanów, historja ta stanowiłaby dowód na przyszłe wieki, że Polacy amerykańscy byli warchołami, burzycielami spokoju, potwarcami itp. Dlatego też właśnie usiłują oni nie dopuścić do ukazania się tych kalumnij w formie broszury.“

A „Dziennik Chicagoski“ dodał od siebie taką uwagę:

„Wobec tego rodzaju oświadczeń i protestów, filozoficzno-historyczne dzieło Wielebnego autora z Ripon spotyka nowa — „Panama“.

Wtedy mi dosyć tych docinków było. Wziąłem pióro do ręki i napisałem do „Kurjera Polskiego“ następującą:

Odpowiedź Dziennikom Chicagoskiemu i Milwauckiemu.

Panowie!

„Podjąłem się tej kilkoletniej a mozolnej pracy nad „Historją Polską w Ameryce“ dla dobra ogółu polskiego. Podjąłem się pisania historji, której hasłem jest i powinno być: amicus Plato, amicus Cicero, sed magis amica veritas. Nie podjąłem się pisania panegiryku czyli mowy pochwalnej na cześć Polonji amerykańskiej — panegiryk a historja, to dwie różne rzeczy.

Ależ — powiecie — dzieło to napotyka na trudności. Straszą „nową Panamą“, grożą klątwą, urządzają protesty itd. itd. Otóż nic w tem dziwnego. Owszem dziwnem by było, gdyby nie było takich trudności. Znaczyłoby to tyle, że dzieło Historji, o którą chodzi, nie jest wielkiej wagi, kiedy bez trudności można je było wydać i puścić w świat.

Tchórz tylko boi się trudności — dla mężnego zaś trudności są nowym bodźcem do dalszego działania. Nie ma wstrętniejszego widoku nad ten, jak łatwo w naszem społeczeństwie ludzie niby to cywilnej odwagi, mężowie zaufania Wydziałów, Kongresów itd., dają się zbić z toru dla piętrzących się trudności! Zapał jest i odwaga jest i są porywy chwilowe, ale prawdziwe męstwo (połączone zawsze z wytrwałością) rzadko znaleźć! Dopókiż będziemy tchórzem podszyci? Dopókiż będziemy tak małodusznymi, tak słabymi, że lada trudność zniechęci nas do pracy dla ogółu?... Zwa-

lamy zazwyczaj winę na tych, którzy trudności stawiają — nie prawda! Nie tyle ci winni, którzy trudności stawiają, ile ci, którzy trudności pokonać nie umieją, bo nie chcą, bo im brak, jak to starzy mawiali, animuszu! Tchórzyliśmy, zwłaszcza w życiu publicznem! Rzecz zacząć — potrafimy; lecz rzecz zaczętą do końca przeprowadzić — rzadko kiedy potrafimy! A na usprawiedliwienie nasze zwykle mawiamy, że trudności nam przeszkodziły. Nieprawda! to nie trudności są przyczyną niepowodzeń, tylko brak męstwa i wytrwałości z naszej strony!

Ktoś powiedział: Multa non audemus, non quia difficilia sunt; sed difficilia sunt, quia non audemus. I dobrze tak powiedział. Bo rzeczywiście, wielu rzeczy boimy się podjąć, nie dlatego, żeby były trudne, lecz dlatego właśnie są trudne, że boimy ich się podjąć, żeśmy tchórze, że nie mamy odwagi. A ta bojaźliwość nasza, ten strach ma wielkie oczy i na każdą trudność patrzy się przez powiększające szkło — i mówi (jak dosadnie charakteryzuje takiego tchórza Pismo św.): „Mówi leniwiec: Lew jest na dworze, w pośród ulic zabit będę“ (Przypow. 22, 13), to jest, nie wyjdę na dwór, na arenę publiczną, nie będę pracował piórem dla ogółu, ale wolę w domu siedzieć, bo „lew jest na dworze“, to jest, wielkie są niebezpieczeństwa w życiu publicznem, których równie jak i lwa się boję, od którego mógłbym być pożartym — mogliby mi zagrozić klątwą, straszyć „nową Panamą“, mogliby skrytykować, gromadne protesty urządzić i tysiączne inne nieprzyjemności, na które nie chcę się narażać, wolę w domu siedzieć, bo „lew jest na dworze!“ Tak mówi tchórz i leniwiec.

Precz z tem tchórzostwem i lenistwem społecznem! Inaczej społeczeństwo już tak nadgniłe, do reszty zgnije. Jeśli widzisz prawdę, to nie pozwól jej w kącie stać i płakać, podczas gdy fałsz i obłuda publicznie triumfują. Wystaw prawdę na widok publiczny, niech ona triumfuje, a fałsz i obłuda niech ze wstydem w kąt się schowają. Fałsz i obłuda za to prześladować cię będą? nie bój się — prawda cię wyswobodzi!

„Dziennik Chicagoski“ straszy mię „nową Panamą“, a „Dziennik Milwaucki“ klątwą. Wdzięczny im jestem za te strachy, bo one stanowią dla mnie nowy bodziec do dalszej pracy. O prawdę mi się rozchodziło i rozchodzi. Pisałem historję, a nie panegiryk. Jeśli zaś mimowoli minąłem się z prawdą, to prosiłem zawsze i proszę jeszcze dziś, wskażcie mi, gdzie i jak i w czem fałsze popisałem, a usunę je z historji. Szczerze bowiem pragnę, żeby prawda

w Historji triumfowała a nie fałsz, że ta intencja moja szczerą była i jest, dowodzi niezbicie już sam ten fakt, że pisanie moje ogłaszam najpierw w gazetach, zanim się ukaże w formie książki. Cóż więcej uczynić mogłem, aby prawdę wykryć, a fałsze ominąć? Dałem wam najlepszą sposobność do wykazania fałszów historycznych w mojem dziele. A jeśli fałszów mi wykazać nie chcecie, czy nie możecie, to dlaczego tę Historję w czambuł potępiacie, dlaczego jej klątwą lub zagładą grozicie? Chyba dlatego, że zazdrość albo nienawiść was zaślepiła, jak owych Żydów, którym Chrystus Pan musiał to samo dylema postawić: „Jeślim źle rzekł, daj świadectwo o złem, a jeśli dobrze, czemu mię bijesz?“ (Jan, 18. 23). Jeślim źle rzekł w Historji o kimś lub o czemś, to proszę, dajcie świadectwo o złem, powiedzcie, co jest fałszem; — a jeśli dobrze, czemu mię zaczepiacie?

Zresztą po „Dzienniku Chicagoskim“, jako więcej bezstronnym, spodziewam się, że jak w środowym numerze przytoczył z nieutajonem zadowoleniem obronę amerykanizującego nas Niemca, Neisensa, tak też przytoczy i mój artykuł p. t. „Zły znak“ z środowego „Kurjera Polskiego“ — i że zamiast „nową Panamą“ mię straszyć, niezawodnie „nowym Grunwaldem“ mię pocieszyć raczy.

Rozchodzi się o rzecz wielką, bo o to, żeby cześć należytą oddać prawdzie, żeby nie stała więcej w kącie i płakała, podczas gdy fałsz publicznie triumfuje. Skoro ten cel będzie osiągnięty — jestem zadowolony; o osobistą pochwałę, równie jak i naganę nie dbam. Pochwała mię nie olśni, jak i nagana mię nie zrazi od poszukiwania prawdy. Jak nie uciekam przed naganą, tak też nie gonię za sławą jak dziecko za błyskotką. Człowiek nie idzie do sławy, tylko sława do człowieka. Sława przed tym, który za nią goni, ucieka, a który od niej ucieka, za tym ona goni. Wiem o tem, i dlatego nigdy za nią nie gonię. Jeśli ma przyjść, to sama przyjdzie do mnie, a choćby ją stu zazdrośników kijem odganiało ode mnie. „Fame — powiedział amerykański poeta Longfellow — comes only when deserved, and then it is as inevitable as destiny, for it is destiny“ — sława przychodzi wtedy, gdy zasłużona, a wtedy ona jest nieuniknioną jak przeznaczenie, bo jest przeznaczeniem.

Zatem nie opłaci się „Dziennikowi Milw.“ psuć sławę historyka autorowi z Ripon, bo albo ją ma mieć, albo jej nie ma mieć: jeśli ją ma mieć, to będzie ją miał, choćby „Dzien. Milw.“ na głowę się postawił — a jeśli jej nie ma mieć, to jej i tak nie będzie. W każdym razie nadaremny to trud, chcieć komuś psuć sławę. Za

to opłaci się rozumna i sprawiedliwa krytyka, wytykająca fałsz a pokazująca prawdę. O krytykę też zawsze prosiłem i proszę.

Ripon, Wis., 14 sierpnia 1902.

X. Wacław Kruszka.

61. Boski i ludzki pierwiastek Kościoła musi uwzględniać historja. — O publicznych grzechach papieży, biskupów i księży historja milczeć nie powinna.

Historyk nie zawsze może trzymać się tej zasady: O umarłych albo nic albo dobrze pisać należy. Słusznie kardynał Manning roku 1883 mówił do Leona XIII o bojaźliwości niektórych historyków te słowa:

„Jeśli Ewangeliści nie ukrywali grzechów Piotra ani upadku Judasza, to i my nie powinniśmy ukrywać grzechów biskupów i innych osobistości. Są tacy, którzyby takie rzeczy chcieli opuścić w Ewangelji, bo nie są „ku zbudowaniu". Jak gdyby prawdziwie duchowe życie mogło być zbudowane na fałszu, zamiast na prawdzie Bożej!"

A drugi angielski kardynał Newman tak pisze: „Mam na myśli ów ciągły chorobliwy niepokój jaki nas ogarnia w sprawie dawania zgorszenia. Fakta się opuszcza we wszystkich historjach, albo piękną barwę nadaje się pamiętnym czynom, dlatego, że się sądzi, iż one nie są budujące; gdy tymczasem ze wszystkich zgorszeń największymi są właśnie takie opuszczenia, takie upiększenia" (Historical Sketches, II, str. 231). Kiedy dziejopisarz bojaźliwy i zapominający, że ludzka natura jest wszędzie i zawsze jedna i ta sama, ukrywa albo upiększa złe czyny, wtedy on podaje taki sam wykrzywiony obraz prawdy jak najzaciętszy wróg Kościoła, który z lubością grzebie li tylko w brudach i błędach katolików i przedstawia je jako treść całej historji. Kto usuwa prawdę, ten nasuwa fałsz; i złe skutki muszą wyniknąć z takiego braku prawdomówności.

Jest to fatalny błąd, przedstawiać światu li tylko Boski pierwiastek Kościoła jako jedyny. Kościół ma także ludzką stronę — i to bardzo ludzką stronę — którą zupełnie trzeba brać w rachubę. Prawdziwe pojęcie o Kościele, to jest, o Kościele jakim on rzeczywiście jest, można uzyskać dopiero przez całkowite poznanie obydwóch jego stron, Boskiej i ludzkiej. Ukrywanie jednej strony zasłania nam widok drugiej. Przyjdzie czas, kiedy prawda wyjdzie

na jaw; może ją na wierzch nam wydobędzie nieprzyjaciel, zamiast przyjaciel. A wtedy czyż nie doznamy przerażenia, kiedy się przekonamy, że rzeczy nie były takimi jakimi się być zdawały, i że zostaliśmy w błąd wprowadzeni przez tych, którym zaufaliśmy jako przewodnikom i nauczycielom prawdy? A wtedy już nie ludzki, ale Boski pierwiastek Kościoła ucierpi najwięcej.

Rozumiał to dobrze nawet „Dziennik Chicagoski", ilekroć w mojej Historji księżom świeckim łatkę przypinałem. Nie rozumiał tego, czy nie chciał rozumieć tylko wtenczas, gdy księżom Zmartwychwstańcom błędy wytykałem. Bo kiedym naprzykład w Historji napisał, że niektórzy księża świeccy wcale sobie biskupa polskiego nie życzą, że ks. Jacek Gulski z Milwaukee swego czasu wyraźnie i publicznie w gazetach powiedział, iż biskupi polscy w Ameryce są niepotrzebni; wtedy „Dziennik Chicagoski" nie tylko nagany mi nie dał, ale z widocznem zadowoleniem i uznaniem tak pisał:

„Wiel. ks. Wacław Kruszka zaznacza w swej „Historji polskiej w Ameryce", mówiąc o kwestji polskiego biskupstwa:

„Jednak ten „biskup polski" jest dla niektórych kapłanów wcale nie na rękę. Myszy swobodniej biegają, jak kota w domu nie mają"... W zeschyzmatyczałych gminach nie wiele da się zrobić, bo niemi nie tyle Klawitry, Kozłowscy i Rademachery wyklęci rządzą, ile inni falsi Confratres, ile Lupi w owczej sutannie, i to na bogatszych parafjach osiedli". Te słowa pisał do mnie, w grudniu roku 1895 O. Sebastjański, T. J., długoletni misjonarz i gruntowny znawca tutejszych stosunków kościelnych".

Zwracamy uwagę Wiel. autora „Historji", że fakt przez niego przytoczony jest równie dobrze znany w pałacu arcybiskupa chicagoskiego, jak i w Watykanie. Więcej na razie nic powiemy".

Ostatnie te słowa „Dziennika Chicagoskiego" dawały wiele do myślenia, dlaczego kler świecki jest źle zapisany u władz kościelnych. Chcąc jednak księży Zmartwychwstańców w Historji przedstawić w jak najlepszem, to znaczy, jak najprawdziwszem świetle, napisałem do „Kurjera" następujący artykuł pod adresem „Dzien. Chicagoskiego":

Pod adresem „Dziennika Chicagoskiego".

Charakterystyczną cechą niektórych krytyków jest brak zmysłu krytycznego. Krytyka jest to porównanie rozumowe tego, co jest, z tem co być powinno. Więc jeżeli „Dziennik Chic." chce

krytykować moje pisanie o ś. p. ks. Barzyńskim, to niech nie bałamuci swoich czytelników przytaczaniem li tylko kilku wyrwanych z kontekstu Historji zdań i ustępów. Niech się nie kontentuje mglistymi ogólnikami, niech raczej powie i wskaże szczegółowo, co jest źle napisane; a to powiedziawszy, niech doda, co na tem miejscu napisane być powinno. Wytknąć błąd i powiedzieć: to źle napisane" — na to nie potrzeba krytyka, to lada kto potrafi. Prawdziwy krytyk taką ujemną krytyką się nie zadawalnia, lecz podawszy wiernie, co jest napisane, wskaże i to, co napisane być powinno. Napisałem o ś. p. ks. Barzyńskim to i to — „Dziennikowi Chic." to się nie podoba. Dobrze — na to ukazuje się ta „Historja" najpierw w gazecie (zanim w książce wyjdzie), żeby każdy krytykował — ale niech ją krytykuje, to jest, niech mi powie, także, co (zamiast tego com napisał) powinienem był napisać o ks. Barzyńskim?

Wydawać już teraz, kiedy „Historja" ustępami się ukazuje, sąd ogólnikowy o niej, jak to „Dz. Chic." czyni, jest co najmniej przedwczesnem. Będzie na to czas, gdy się całość w książce ukaże. Teraz zaś szczegółowy sąd o szczegółach tylko wydawać można i trzeba. Gmach dopiero się buduje, kładzie się cegły i cegiełki — jak całość wypadnie, jeszcze sądzić nie można. Zresztą ogólnikowa krytyka „Dzien. Chic." nikomu korzyści przynieść nie może, ani mnie, ani czytelnikom. Czytelników bałamuci, a autorowi „Historji" nie wskazuje, co i gdzie i jak ma poprawić, którą cegiełkę ma wyrzucić a jaką ją zastąpić, gdzie ma lepszego cementu miłości użyć i t. p.

Zasady, jakich się trzymałem przy pisaniu „Historji", „Dzien. Chic." już zna a przynajmniej powinien je znać z „Przedmowy" mojej do Historji. Zasady te są dla historyka tak niezmienne, jak np. prawa ciężkości i równowagi dla budowniczego. Które to są te prawa i zasady historyka? Żeby je przypomnieć „Dziennikowi Chic.", wypisuje je tu z mojej „Przedmowy" do Historji:

Historji zadaniem — pisałem w owej „Przedmowie" — jest, opowiadać ważne fakta i czyny ludzkie czy złe czy dobre, byle prawdziwe: dobre, żeby były przykładami pociągającemi, złe zaś, żeby były przykładami odstraszającemi, dla potomności. Historja, będąc pochodnią prawdy, unika fałszu a podaje prawdę, czy przykrą czy przyjemną, na to względu mieć nie powinna. „Któż nie wie — powiada już starożytny Cycero, że pierwszem historji prawem jest, żeby żadnego fałszu pisać nie śmiała, a drugiem, żeby

znowu żadnej prawdy zataić nie śmiała“ (de oratore II. c. 15)... Ponieważ w wypadkach ważnych i pamiętnych każdy chce wiedzieć najpierw o zamiarze, potem o czynie, a wreszcie o następstwach czynu, przeto fakta historyczne domagają się również, aby dziejopisarz zaznaczył, co sądzi najpierw o zamiarach, będących sprężyną pewnych czynów ludzkich, potem o dokonanym czynie niech opowie nietylko, co się stało, ale jak się to stało; nareszcie co z tego wynikło, — a gdy mówi o wyniku czyli następstwach faktów dziejowych, niech poda wszelkie ich przyczyny, czy z przypadku, czy z umysłu, czy z mądrości, czy z lekkomyślności ludzkiej powstały; samych zaś osób, odgrywających rolę w historji, nie tylko czyny, ale, gdy sławą i imieniem się odznaczają, także żywot i charakter niech skreśli“. (Cicero de or. II. c. 9.)

Otóż tych odwiecznych praw i zasad historyka trzymaliśmy się i przy pisaniu historji o ś. p. ks. Barzyńskim, a przynajmniej trzymać się usiłowaliśmy. Jeżeliśmy od powyższych zasad zboczyli, niech nam Dz. Chic. wykaże, w czem, a chętnie sprostujemy — boć ta jedyna racja skłoniła nas przecie do tego (wielce nam nieprzyjemnego) ogłaszania „Historji“ w gazecie pierwej, zanim we formie książki wyjdzie. Historja — to sąd; lecz zanim ten sąd wyda na kogoś ostateczny swój wyrok potępiający, daje najpierw podsądnemu lub jego adwokatom sposobność do obrony. Czyż to nie sprawiedliwie postępujemy?

Pisałem o wielkich (genjalnych) błędach ks. Barzyńskiego. Czy to mu ubliża? Czy Napoleon Wielki nie miał błędów, owszem, czy cała jego karjera życia nie była błędną? A czyż dlatego Napoleon przestaje być wielkim i genjuszem? Tylko człowiek wielki może popełnić błędy wielkie, genjalne. Wielki człowiek wielki cień za sobą rzuca, zwłaszcza gdy nie u zenitu swojej potęgi lecz przy jej zachodzie już stoi. I historja (pamiętać to trzeba) tylko wielkich, wybitnych ludzi błędy zapisuje — o błędach zaś małych ludzi wcale nie wspomina. Alboż inaczej się dzieje? Bezwzględnej czci i chwały żadnemu, choćby największemu człowiekowi oddawać nie wolno, bo popełnia się bałwochwalstwo, bo tylko Bogu samemu bezwzględna cześć i chwała się należy. Nie bądźmy bałwochwalcami, czcząc wielkich ludzi bezwzględnie!

Ale być może, że wyliczając — wielkie, genjalne błędy ks. Barzyńskiego, zapomniałem wyliczyć jego wielkich i genjalnych czynów dodatnich. Jeśli zapomniałem, to mówię szczerze, że zapomniałem. Z umysłu bowiem żadnego czynu dodatniego z życia ks.

Barzyńskiego nie opuściłem. Proszę zatem, i bardzo proszę, zwrócić mi uwagę na te rzeczy dobre, których o ks. Barzyńskim nie podałem. Również proszę mi wskazać, jeśli jakie błędy może niesłusznie ks. Barzyńskiemu przypisałem, jeśli jakie złe zamiary jego czynom podsunąłem, jeśli sameż te czyny jego może źle i w fałszywem świetle przedstawiłem (które? proszę mi pokazać), jeśli o następstwach jego czynów przesadzałem lub przesądzałem, jeśli skutek za przyczynę wziąłem, lub odwrotnie, przyczynę za skutek podałem, jeśli co z przypadku lub lekkomyślności ludzkiej się stało, a ja to w „Historji“ jako z umysłu uczynione podałem i t. d. to wszystko łatwo „Dziennikowi Chicagoskiemu“ przy dobrej woli wykazać i powiedzieć mi: „to napisane być powinno, a nie tamto! bo to jest prawdą, a tamto fałszem!“ A wtedy z takiej, prawdziwej krytyki autor „Historji“ będzie mądry, bo będzie wiedział, co mu „Dziennik Chic.“ zarzuca, co poprawić, sprostować lub opuścić powinien w swojej „Historji“.

Krytyka bowiem jest to porównanie rozumowe tego, co jest, z tem co być powinno.

Ripon, 22 lipca r. 1902.

X. Wacław Kruszka.

Atoli „Dziennik Chicagoski“ nie dostarczył mi żadnych faktów historycznych. Musiałem przeto sam w rok później szukać i szperać w rzymskiem archiwum księży Zmartwychwstańców.

62. Szkic do konstytucji Stowarzyszenia Księży Świeckich. — Jak powstał plan wyjazdu do Rzymu razem z arcybiskupem Katzerem.

Tak więc ciągłe kłopoty miał mój człowiek jako historyk. Ale równocześnie jako delegat do Rzymu miał do przezwyciężenia daleko większe trudności. Cofnijmy się wstecz do końca roku 1901, kiedy to arcybiskup Katzer „dużo obiecał zrobić dla Polaków“. Najpierw księża uczuli wtedy potrzebę zorganizowania się w „Stowarzyszenie Świeckich Księży Polskich“, wyraźnie „świeckich“ księży, z wyłączeniem zwłaszcza księży Zmartwychwstańców. Mnie poruczyli opracowanie szkicu do konstytucji. Kiedy ma być organizacja, pomyślałem, to niech będzie organizacja silna i sprężysta. Szkic mój, przyjęty do druku, był następujący:

Na czele całego Stowarzyszenia będzie Senjor. Na czele prowincji kościelnej Arbiter. Na czele diecezji Wigil. Senjorowi bez-

pośrednio podporządkowani są Arbitrowie. Arbitrowi — Wigilowie. Wigilowi księża danej diecezji. Tak, że każdy z urzędników, czy w zawiadomieniach czy w poborze opłat, będzie miał do czynienia z kilkoma tylko osobami. Senjor bezpośrednio będzie miał do czynienia tylko z Arbitrami; Arbiter bezpośrednio tylko z Wigilami; Wigilowie ze swymi konfratrami. Ułatwi to niesłychanie bądź rozsyłanie informacyj lub rozkazów bądź pobieranie opłat.

Senjor jakiekolwiek wiadomości lub zlecenia, ogół kleru obchodzące, wysyła tylko do Arbitrów; ci obowiązani są też zlecenia lub wiadomości przesyłać bez zwłoki do podwładnych sobie Wigilów; ci ostatni zaś również obowiązani są zakomunikować je swoim konfratrom w diecezji. O każdej ważniejszej sprawie, obchodzącej ogół polski, każdy ksiądz powinien być jak najprędzej i najdokładniej poinformowany. A nadto, jeżeli w tej sprawie okaże się potrzeba przedsięwziąć jakie kroki. Wigilowie powinni zwołać natychmiast sejmiki diecezjalne, radzić nad tą sprawą i o rezultacie obrad uwiadomić swego Arbitra, który znowu powiadomi Senjora o rezultatach wszystkich obrad swej prowincji.

Senjor i Arbitrowie tworzą reprezentację Stowarzyszenia **nazewnątrz.** Aby ich działania były zawsze jednomyślne, większość głosów decyduje. A jeżeli Senjor położy **veto,** to dwie trzecie Arbitrów decyduje. Dotyczy to spraw nagłych i doraźnych.

Wigil obierany będzie co rok przez kapłanów swojej diecezji. Arbiter co dwa lata przez Wigilów swojej prowincji. Senjor co trzy lata przez wszystkich Arbitrów i Wigilów razem zebranych. W ten sposób zapobiegnie się potrzebie zjazdu wszystkich księży, który i zbyt kosztownym jest i prawie niemożliwym na tych ogromnych przestrzeniach Ameryki.

Władza wykonawcza spoczywa w ręku Senjora, Arbitrów i Wigilów, ale ostatecznie koncentruje się w ręku Senjora. Senjor jest głową, Arbitrowie są jego ramionami, a Wigilowie kończynami tych ramion albo nogami jednej i tej samej głowy. W sprawach **wewnętrznych** Stowarzyszenia, dotyczących działu informacyjnego itp., Senjor ma władzę nieograniczoną, to jest Arbitrowie i Wigilowie Senjorowi poddać się muszą. Lecz **nazewnątrz** Senjor działać tylko może za poprzedniem porozumieniem się z Arbitrami i t. p.

Władzę prawodawczą stanowią Arbitrowie, jako Izba Wyższa, i Wigilowie, jako Izba Niższa. Żeby jednak jakaś uchwała stała się prawem, musi uzyskać aprobatę Senjora; bez uzyskania aprobaty trzeba dwie trzecie głosów.

Każdy ksiądz niech płaci 5.00 dol. rocznie. Poborem opłat zajmują się Wigilowie, ci posyłają na ręce swego Arbitra, a ten do Senjora. Senjor sam sobie dobiera sekretarza i skarbnika, i sam też odpowiedzialny za kasę, stawia bond itd.

Powyższy szkic księża na zjeździe w Toledo, O., dnia 4 lutego 1902 r. mieli poprawić, uzupełnić lub całkiem innym zastąpić. Jakoż zjechało się 36 księży, którzy oświadczyli, że reprezentują drugich 78. Z powyższego szkicu przyjęli tylko pięciodolarową opłatę i „głowę", czyli po staremu jeden „zarząd główny", a ramiona, ręce i nogi odrzucili. A przecie, jak człowiek pojedyńczy tak i zbiorowy człowiek, czyli organizacja, prócz głowy powinna mieć i ręce i nogi, jeśli niema być tworem prymitywnym i drobnoustrojem. W skład jedynego „zarządu głównego" weszli: ks. Stan. Nawrocki, prezes; ks. Pacholski, wiceprezes; ks. J. Szukalski, sekretarz; ks. K. Gronkowski, wicesekretarz; ks. Wojtalewicz, kasjer. Tak zorganizowane Stowarzyszenie Świeckich Księży czyniło wszystko, co mogło, dla sprawy równouprawnienia kleru. Dla delegacji rzymskiej było często pomocą, a tylko rzadko niemocą.

Notabene, mój łaciński memorjał do Ojca św. posłałem był nietylko ks. J. Pitassowi, memu współdelegatowi, ale i innym księżom, zawiadamiając ich o tem także, że go przedłożyłem arcybiskupowi Katzerowi. Nikt nie protestował, tylko ks. J. F. Kubacki z East Chicago, Ind., miał widać nadzwyczaj dobry węch, bo 8 grudnia 1901 tak mi na mój memorjał odpisał.

„Wielebny Księże Dobrodzieju: — Czy ślicznie, to osądzić nie jestem w stanie, ale dobrze Ks. Dobrodziej napisał. Piszę się na wszystko!!! Wątpię, czy — a nawet pewny jestem, że — nieroztropnem było pokazanie tego memorjału jeszcze wcale nie ukończonego, i tak wcześnie, ks. arcybiskupowi. Należało się o tem poradzić swoich współreferentów. Byłbym temu wręcz przeciwny. Jeszcze zawcześnie! **Zdradzą nas.** Nie każdy, co nam przyjaźń okazuje, czyni to **szczerze.** Nie trzeba zawcześnie proch palić.

„Radziłbym dodać w Memorjale, że biskupi nietylko nas zaniedbują, ale owszem **zaczepnie** nas prześladują narzucaniem języka angielskiego i przez to właśnie ludzi od Kościoła odstręczają. Liczby Polaków przesadzone. Rady o ustanowienie biskupów w wymienionych prowincjach zbyt proste, dyktatorskie. Podać nam należy tylko fakta, okoliczności, braki, krzywdy. A Rzym niech zaradza, jak mu duch apostolski podyktuje.

„Nam płakać i **narzekać należy na obecne anormalne stosunki,** a Rzym niech zaradza, niech o dzieci swoje ma opiekę. Albowiem trzeba rzecz przedmiotowo, czyli objektywnie przedstawić, jako dotyczącą się wszystkich narodowości, a nie subjektywnie, jako dotyczącą się tylko Polaków. Możnaby nas podejrzywać o osobiste cele i zachcianki. Tego trzeba się zawczasu ustrzec.

„Tyle spostrzegłem przez pobieżne czytanie. Teraz jeszcze gruntowniej to zbadam i jak najprędzej odeślę! My tu nie śpimy; sprawa idzie naprzód.

„Wyrażając uznanie i wdzięczność za tę pracę pro bono publico, kreślę się

Z uszanowaniem
Sługa i brat w Chrystusie
J. Kubacki."

Ale prócz ks. Kubackiego nikt wówczas nie wierzył w nieszczerość arcybiskupa Katzera, a przynajmniej swej wiary jawnie nie wyznawał. Nawet ks. Jan Pitass, choć wzruszał ramionami, powątpiewał i pokpiewał z obiecanek arcybiskupa, to jednak otwarcie zarzutu nieszczerości czynić mu nie śmiał. Owszem, zbyt wielką wagę do powagi arcybiskupiej przywiązywał, ażeby ją w naszej sprawie miał lekceważyć. My potrzebujemy arcybiskupa. Ale i arcybiskup nas delegatów potrzebuje w naszej sprawie, jeśli chce w Rzymie dużo zrobić dla Polaków wogóle, a nietylko dla Polaków swojej archidiecezji. To też ks. Pitass, gdy wyczytał w gazetach, że arcybiskup Katzer z wiosną r. 1902 wybiera się do Rzymu, zaraz polecił mi zapytać się arcybiskupa, czy my delegaci nie moglibyśmy razem z nim jechać do Rzymu. Bo gdyby czasem arcybiskup, zajechawszy do Rzymu, miał tam zapomnieć o naszej sprawie, to wtedy, jadąc z nim, my mu ją przypomnimy i przypilnujemy, żeby „dużo zrobił dla Polaków", jak to był przyobiecał.

Więc też zapytałem się arcybiskupa i — nadspodziewanie pomyślną od niego otrzymałem odpowiedź.

63. Wyjazd delegacji do Rzymu odkładany z dnia na dzień. — Arcybiskup Katzer oświadcza głośno na piśmie bez zastrzeżeń, że z całą przyjemnością pojedzie razem z delegacją do Rzymu. — Wtedy delegacja postanowiła wyjechać razem z arcybiskupem do Rzymu.

O wyjazd delegacji do Rzymu dopytywali się zewsząd tak księża jak świeccy. Jedni naglili nasz wyjazd, żeby kuć żelazo,

póki gorące. Niema co odkładać. Episkopat amerykański, na zgromadzeniu arcybiskupów w Waszyngtonie, dał nam wyraźną odpowiedź, że od niego nie mamy się niczego spodziewać. Drudzy znowu chcieli z nami delegatami jechać jako pielgrzymi do wiecznego miasta, do progów Apostolskich. Więc coraz to częściej otrzymywałem listy z zapytaniami, kiedy nareszcie delegacja wyjedzie do Rzymu. Niektórzy pisali wprost, że zwlekaniem „zaprzepaścimy“ sprawę. Na wschodzie wszyscy byli za natychmiastowym wyjazdem delegacji. Tylko na zachodzie mała garstka księży radziła powstrzymać się z wyjazdem, aż „sprawa z tutejszymi biskupami załatwioną zostanie przez Wydział Wykonawczy“. Na to jednak inni odpowiadali, że Wydział Wykonawczy miał już dosyć czasu do „załatwienia sprawy z tutejszymi biskupami“. Atoli znowu arcybiskup Katzer „dużo obiecał zrobić dla Polaków“...

Wobec tego delegacja słusznie zwlekała z wyjazdem. Ale zarazem mówiła, że co się odwlecze, to nie uciecze. Wyjazd do Rzymu jest pewny, tylko czas wyjazdu jest jeszcze niepewny. Chcąc wysondować opinję mego współdelegata ks. Jana Pitassa w Buffalo, N. P., napisałem list do jego sekretarza p. Stanisława Ślisza, redaktora „Polaka w Ameryce“. Ks. Jan Pitass miał taki zwyczaj, że nigdy sam listów ani nie otwierał, ani nie czytał ani nie pisał; lecz czynił to wszystko przez swojego sekretarza pana Ślisza, a ten znowu czynił to wszystko przez swojego wicesekretarza. Tylko bardzo ważne listy, jak np. od arcybiskupa Katzera, ks. Jan Pitass sam pilnie czytał a przeczytawszy chował je do swojej ogniotrwałej szafy. Atóż na mój list do p. Stanisława Ślisza, co ks. Pitass myśli o wyjeździe do Rzymu, otrzymałem taką odpowiedź:

„The Polish Daily „Polak w Ameryce“. Office: 227 Lovejoy Str., cor. Wilson, Stan. Ślisz, Editor in Chief.

„Buffalo, N. Y., 4 stycznia 1902.

„Wiel. Księże Dobrodzieju!

„Nie mam zwyczaju zwlekać na listy, a jednak na ostatni list Ks. Dobrodzieja nie odpowiedziałem, chociaż mi to było przykro. A czy wie Ks. Dobrodziej, dlaczego nie dałem odpowiedzi? Poprostu dlatego, że nie wiedziałem co odpowiedzieć, bo nie miałem żadnych danych, a pleść ni to ni owo nie chciałem. Pojmuję ja aż nadto dobrze całą doniosłość misji do Rzymu, dlatego też dokładam z mej strony wszelkich starań, aby ta przyszła do skutku.

„Wiem bardzo dobrze, jakieby powstało oburzenie, gdyby ks. Dziekan (Jan Pitass) do Rzymu nie pojechał i jakaby to była straszna kompromitacja. Niezawodnie i jabym także oberwał potężnie, chociaż zupełnie niewinnie. Już od dłuższego czasu nalegam na ks. Dziekana, aby dzień wyjazdu oznaczył, ale zawsze stoi mu coś ważnego na przeszkodzie.

„Ile razy rozmawiałem z nim o podróży do Rzymu, to zaręcza mi zawsze, że pojedzie z największą pewnością, skoro tylko swe interesa załatwi i przygotuje się dostatecznie. Ostatni raz mówiłem z nim w tej sprawie dzisiaj i otrzymałem od niego odpowiedź, że przed wyjazdem do Rzymu musi się jeszcze z Ks. Dobrodziejem widzieć, uporządkować dokumenta i obmyśleć cały plan postępowania, i polecił mi także prosić Ks. Dobrodzieja, aby raczył do niego przyjechać w jak najkrótszym czasie.

„Nawiasowo dodaję, że koszta podróży z Ripon do Buffalo tam i napowrót pokryje ks. Pitass.

„Im Ks. Dobrodziej prędzej przyjedzie, tem będzie lepiej, bo prędzej będziecie mogli wyjechać do Rzymu, co, zdaje się, jednak nie nastąpi przed początkiem lutego. Jedyną wielką trudność ks. Dziekan będzie miał przy wyjeździe do Rzymu, a tą trudnością jest brak księży.

„Ks. Piotr Pitass organizuje parafję w Niagara Falls, a zatem (ks. Jan Pitass) musiałby swą parafję pozostawić na opiece jednego ks. Letochy, co jest prawie niepodobieństwem.

„Ks. Biskup Quigley obecnie zastępcy mu nie da, bo go nie ma; a przytem i niechętnem okiem patrzy na podróż do Rzymu.

„Zdaje mi się jednak, że tę trudność można będzie usunąć i ściągnąć jednego lub dwóch księży do pomocy z innych diecezyj. Jeżeli Ks. Dobrodziej zechce wybrać się do Buffalo, to proszę mnie o tem zawiadomić telegraficznie. W Buffalo Ks. Dobrodziej zabawiłby jeden lub dwa dni i powrócił do Ripon, gdzie rozpocząłby przygotowania do podróży.

„O wiadome dokumenta co do założenia miast Buffalo i Batavia (przez Polaka) postaram się w tych dniach, bo do dziś dnia nie miałem czasu.

„Oczekując łaskawej odpowiedzi, przesyłam noworoczne życzenia i pozostaję z wyrazami prawdziwego szacunku i poważania życzliwy sługa

Stanisław Ślisz.“

Postanowiliśmy z ks. Pitassem dać Wydziałowi Wykonawczemu jeszcze jakie dwa miesiące czasu do „załatwienia sprawy z tutejszymi biskupami", od których zresztą niczego się nie spodziewaliśmy. Jedyną zagadką był dla nas zawsze arcybiskup Katzer, który „dużo obiecał zrobić dla Polaków".

Na zjeździe księży w Toledo, Ohio, dnia 4 lutego 1902, kiedy to, jak powyżej zaznaczyłem, zorganizowano „Stowarzyszenie Księży Świeckich", był obecny i ks. Jan Pitass, a mój człowiek był obrany sekretarzem. Na plenarnem posiedzeniu tego Zjazdu jeden z najstarszych i najpoważniejszych kapłanów ks. Paweł Gutowski, konsultor diecezjalny z Detroit, Mich., dawał nam delegatom bardzo cenne wskazówki. Mówił między innemi:

„Łączenie księży jest koniecznością. Poparcia od obcych nie mamy. Jeżeli my sobie ręki nie podamy, zawsze strata dla nas. Na pierwszym Kongresie (roku 1896) byłem wydelegowany do Rzymu. Ksiądz Kardynał Ledóchowski zagadnął nas lekceważąco:

— Nacc Polacy pojechali do Ameryki?

Potem wszedł lokaj i oznajmił:

— Hrabianka N. N. chce widzieć Eminencję.

Wtedy kardynał do nas:

— Nie mam czasu dla was!

I na tem skończyła się audjencja nasza u kardynała Ledóchowskiego. Kardynał Steinhuber przyjął nas bardzo mile. Powiedział:

— Ja w Propagandzie czytam referaty złe o Polakach w Ameryce, ale ja nie wiedziałem, że was taka liczba. My źle poinformowani. Zbierzcie statystykę z każdej diecezji i parafji; ile dzieci w szkole; przyślijcie na moje ręce. Jeżeli Ledóchowski nic nie zrobi, to ja sam do Ojca św. pójdę a On wszystko zrobi.

Niech ci, co do Rzymu jadą — kończył ks. Gutowski — wezmą ze sobą statystykę."

I postawił wniosek, żeby delegaci do Rzymu od wszystkich księży dostali statystykę. Wniosek poparty przeszedł.

W statystykę tę my delegaci już byliśmy zaopatrzeni. Zresztą na zjeździe księży w Toledo, Ohio, nie było wcale mowy o tem, żebyśmy się wstrzymali z wyjazdem do Rzymu. My też delegaci wcale jeszcze nie byliśmy zdecydowani co do czasu, kiedy pojedziemy. I tak jeszcze długo bylibyśmy niezdecydowani, gdyby nie była zaszła następująca okoliczność:

Coś w połowie lutego 1902 r. gazety ogłosiły, że arcybiskup Katzer z wiosną tego roku wyjedzie do Rzymu. Nam ani bezpośrednio przed nim ani po nim nie wypadało by tam jechać. Najlepiej z nim razem jedźmy. Na taką myśl wpadł także ks. Jan Pitass. Czy arcybiskup na to się zgodzi, to inna rzecz. W każdym razie nic nie zaszkodzi go się o to zapytać.

Zapytałem tedy arcybiskupa Katzera w mojem i ks. Pitassa imieniu, czy się zgodzi na to, żeby delegaci w sprawie równouprawnienia kleru, to jest, ks. Jan Pitass z Buffalo, N. Y. i ja, razem z nim jechali do Rzymu? A jeśli się zgodzi, żeby był łaskaw powiedzieć już teraz, w który dzień wyjedzie, gdyż z nami wybiera się pielgrzymka polska do Rzymu.

Na to arcybiskup Katzer odpowiedział mi listownie, krótko ale jasno, w taki sposób:

„Sie sind mir ganz willkommen. Ich werde absegeln wahrscheinlich am 12. April.“ To znaczy po polsku: Z całą przyjemnością pojadę razem z wami. Odpłynę prawdopodobnie 12 kwietnia.

Ten własnoręczny list arcybiskupa Katzera posłałem ks. Janowi Pitassowi do Buffalo w oryginale, czego nie zwykłem był czynić. Ale tym razem uczyniłem to, i nie chciałem posyłać li tylko kopji listu arcybiskupiego, ponieważ wiedziałem, że w tej rzeczy stary ks. Pitass chce być dokumentnie upewniony i przekonany, że arcybiskup nic nie będzie miał przeciwko temu, żebyśmy razem z nim jechali. Bo stary nie lubiał się narażać na tego rodzaju nieprzyjemności.

Ten list arcybiskupi ostatecznie zadecydował, kiedy wyjedziemy do Rzymu: że wyjedziemy wtedy, kiedy arcybiskup wyjedzie, to jest, „prawdopodobnie“ 12 kwietnia b. r. Albowiem ks. Jan Pitass, otrzymawszy ode mnie ten własnoręczny list arcybiskupa, natychmiast mnie uwiadomił, żebym dzień wyjazdu arcybiskupa Katzera uważał za dzień wyjazdu naszego i ogłosił to w gazetach ze względu na pielgrzymkę, która razem z nami się wybiera. I ks. Pitass to ogłosił i ja to ogłosiłem, że wyjedziemy do Rzymu z arcybiskupem, wyraźnie za **zgodą jego;** żeby nas nikt nie posądzał, że wyjeżdżamy razem z nim, **jemu na przekór.** Przez ten swój list, jasny i wyraźny, arcybiskup zapalił świecę, której pod korcem się nie ukrywa, ale stawia się na świeczniku, aby świeciła wszystkim. Ukryć jej zresztą nie było można, gdyż tak czy owak niebawem byliby się dowiedzieli wszyscy, że pojedziemy razem z arcybiskupem. Arcybiskup mógł był nam nie napisać ta-

kiego listu; ale skoro urzędowo zapytany, napisał czarne na białem i upewnił nas piśmiennie, że „z całą przyjemnością pojedzie razem z nami“, to widocznie jasne jak słońce, że nie chciał przecie z tego robić jakiejś tajemnicy. A jeśli chciał, to powinien był pocichu sobie to zastrzec, czyli powinien był pocichu w sekrecie nam to powiedzieć, a nie głośno na piśmie bez zastrzeżeń. A jednak później, jak to zobaczymy, w **całem** tem zajściu szukał „dziury w całem“, zarzucając nam, że mu kłopot sprawiliśmy przez ogłoszenie tej wiadomości. Być może, że mu przez to kłopot sprawiliśmy; ale to już nie nasza była wina, że jego głos miał odgłos.

64. Plagą Polaków amerykańskich jest zły kler; na to zaś, aby go zrobić lepszym, nie pomoże i 20 biskupów. — Takiemi słowy warszawski „Przegląd Katolicki“ poparł nasze starania o biskupów polskich.

Po ogłoszeniu wiadomości, że wyjeżdżamy z arcybiskupem, upłynęła druga połowa lutego r. 1902 i sprawa wyjazdu delegacji razem z arcybiskupem znajdowała się na dobrej drodze. Każdy bezstronny człowiek był tego zdania, że delegacja, wybierając się razem z arcybiskupem do Rzymu, trafiła na dobrą sposobność. Jeszcze 20 lutego 1902 z Buffalo pisał mi pan Ślisz, że „ks. Pitass zgadza się na wszystko“ i że „teraz nie będzie już żadnego zawodu“. Ale zarazem w tymże liście z 20 lutego 1902 przypomniał mi, żebym „już teraz ogłosił przypuszczalny dzień odjazdu delegacji do Rzymu, a to w tym celu, aby i mający chęć do pielgrzymki mogli się przyłączyć do takowej“. Memorjał do Ojca św. wraz z niezbędną statystyką był gotowy.

W owych dniach lutego 1902 roku nadesłano mi z Krakowa „Nową Reformę“ z prośbą o informację w sprawie biskupów polskich dla Ameryki. Prenumeratorem „Nowej Reformy“ nie byłem. Nie czytałem jej przedtem. Znałem ją chyba ze słychu. Ale z nadesłanego numeru widziałem, że pisała już i chce jeszcze pisać o dodatniej stronie Polonji amerykańskiej, o naszym Kongresie i o naszych staraniach o biskupów polskich. Zwyczajnie gazety starokrajskie pisały tylko o ujemnej stronie naszej. Naprzykład w jezuickim „Przeglądzie Powszechnym“, który prenumerowałem, wyczytałem wówczas właśnie długi artykuł o niezależnych hodurczykach w Ameryce; ale o naszym Kongresie polsko-katolickim nie było ani wzmianki. Posłałem tedy, nie gdzieindziej, tylko do „Nowej Reformy“ następującą korespondencję:

„Ripon, Stan Wisconsin, Północna Ameryka, 22 lutego 1902.

Donieśliście w Waszem piśmie o amerykańsko-polskiej delegacji, która ma się udać do Rzymu i zwrócić uwagę papieża na życzenie tutejszych polskich katolików, by zamianowano polskiego biskupa koadjutora dla każdej archidiecezji, obfitującej w znaczną liczbę Polaków. Postanowiłem tedy, jako członek owej delegacji, przesłać „Nowej Reformie“ kilka w tym względzie wiadomości dla poinformowania ogółu polskiego w „starym kraju“.

Deputacja, w skład której wchodzi ks. Jan Pitass z Bufallo, oraz niżej podpisany, jeszcze nie opuściła Ameryki. Wyjedzie dopiero w połowie kwietnia b. r., wraz z ks. arcybiskupem Katzerem z Milwaukee, (Wisconsin), który to dostojnik kościelny, chociaż Niemiec, popiera nasze starania o polskich biskupów, jak również wielu innych biskupów i prałatów amerykańskich. Kto wybrał tę deputację, udającą się do Rzymu? Wybrał ją drugi polsko-katolicki kongres, odbyty w Buffalo, Stanie New York, w dniach 24, 25 i 26 września 1901 roku. Na ten kongres zjechało się 74 kapłanów polskich, z których każdy reprezentował przeciętnie 4 innych, nieobecnych, oraz 162 delegatów świeckich. reprezentujących parafje, organizacje i osady polskie z całych Stanów Zjednoczonych. Otóż w imieniu Polaków amerykańskich, których liczba (podług statystyki r. 1900 sporządzonej przez autora dzieła p. t. „Historja Polska w Ameryce“) wynosi 1.654,400 dusz, prosić będziemy pokornie Propagandę, a względnie papieża, aby raczył ustanowić biskupów polskich w Ameryce, po jednym przynajmniej w następujących siedmiu prowincjach kościelnych: w prowincji Chicagoskiej, obejmującej cały stan Illinois, w której mieszka 201,000 Polaków; w prowincji Nowoyorskiej, obejmującej Stany New York i New Jersey, w której mieszka 195,000 Polaków, a w której sama diecezja buffaloska składa się w połowie z Polaków; dalej w prowincii Filadelfijskiej, obejmującej cały Stan Pennsylwania, w której żyje 176,000 Polaków; w prowincji Cincinnati, obejmującej Stany Ohio, Michigan i Indiana, gdzie mieszka 186,300 Polaków; w prowincji Milwaukee, obejmującej Stan Wisconsin i Górny Michigan, gdzie mieszka 142,460 Polaków; w prowincji St. Paul, obejmującej Stan Minnesotę i obie Dakoty, gdzie mieszka 80,000 Polaków; w prowincji Boston, obejmującej tak zwaną Nową Anglję (t. j. Stany Massachusetts, Connecticut i Rhode Island), w której mieszka 76,000 Polaków. Powyższe cyfry wyjęte są z dzieła p. t, „Historja Polska w Ameryce“. (Dzieło to drukuje się obecnie, od

września r. 1901, w „Kurjerze Polskim“ z Milwaukee, a wyjdzie w formie książki z ilustracjami pod koniec bieżącego roku).

Do wysłania owej deputacji do Rzymu, nie przyszło tak odrazu, bez precedensów i pewnych premis. Sprawa potrzeby biskupów polskich w Ameryce była najpierw długi czas poruszana przez Polaków w tutejszej prasie katolickiej, nietylko polskiej, ale, co ważniejsza, w angielskiej była przedmiotem gruntownych roztrząsań, celem wykazania istotnej potrzeby polskich biskupów w Stanach Zjednoczonych. A wykazano tę potrzebę tak jasno, jak na dłoni, nietylko z punktu widzenia narodowego, ale, co ważniejsza, ze stanowiska katolickiego. I w teorji nasi „amerykanizatorzy“ (właściwie ajrysze czyli Irlandczycy) zostali na głowę pobici, jak to sami przyznają w swoich gazetach; teraz delegacja do Rzymu jedzie, żeby ich w praktyce pobić.

Taki artykuł „Polyglot Bishops for Polyglot Dicoses (Wielojęzyczni biskupi dla wielojęzycznych diecezji), jaki się pojawił w katolickiem „New York Freemans Journal“ zeszłego roku, poruszył do głębi umysły angielskich katolików, rozbrzmiewał głośno w całej ich prasie od oceanu do oceanu, a nawet poza oceanem, w Anglji, echem się odbił. Artykuł ten niezbitemi dowodami wykazał, że gdzie polska ludność katolicka stanowi jedną czwartą lub trzecią część, albo nawet połowę diecezji (jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych), tam, według wszelkich praw ludzkich i boskich, na czele takiej diecezji powinien stać biskup, jeśli nie Polak z rodu, to przynajmniej po polsku mówiący. I angielska prasa (katolicka), tu i w Europie, z małemi wyjątkami, przyznała słuszność naszym żądaniom.

Wasz krakowski „Przegląd Powszechny“ niedawno szeroko i głęboko rozpisywał się o jakiejś polskiej „sekcie scrantońskiej“. Takiej sekty, pod taką nazwą, wcale tu w Ameryce nie znamy. Istnieje w miasteczku Scranton, Pa., mała garstka „niezależnych“, którą ks. St. Kobyłecki T. J. w poważnym swoim „Przeglądzie Powszechnym“ do niebywale olbrzymich wydął rozmiarów, wskutek czego niezależny pryczer w Scranton z radości ręce zacierał z bezpłatnej reklamy, jakiej udzielił mu poważny, katolicki organ krajowy „Przegląd Powszechny“. Czemu ks. Kobyłecki o pokątnym jakimś ruchu „niezależnym“ tak szeroko się rozpisywał, a o powszechnym ruchu katolickim wśród Polonji amerykańskiej ani słówkiem nie wspomniał!

Do widzenia w starym kraju, do którego wstąpię po załatwieniu sprawy w Rzymie?

Ks. Wacław Kruszka.

Ten mój list krakowska „Nowa Reforma“ umieściła, a za nią powtórzyły go inne gazety. Otóż tym listem niezmiernie się zgorszył znany ogólnie w Polsce ks. J. Gnatowski. Zgorszył się, że taką „liberalną i bezwyznaniową „Nową Reformę“ spółpracownictwem zaszczycam“. Moje zapytanie „Przeglądu“, dlaczego tylko o ruchu niezależnym a nie o ruchu katolickim Polonji amerykańskiej pisze, ks. Gnatowski raczył nazwać „masońskim przekąsem“. Zamiast poprzeć nasze starania o biskupów polskich, ks. J. Gnatowski napisał:

„Plagą Polaków amerykańskich jest zły kler, na to zaś, aby go zrobić lepszym, nie pomoże i 20 biskupów we wszystkich ogniskach **amerykańskiego polonizmu“.**

Ten artykuł ks. J. Gnatowskiego z wielu względów bardzo ciekawy i charakterystyczny, przytoczę tu dosłownie tak jak się ukazał w warszawskim „Przeglądzie Katolickim“, organie najwyższych sfer duchowieństwa w Królestwie Polskiem. — Ks. J. Gnatowski pisał tak:

W krakowskiej „N. Reformie“ pojawił się list powtórzony przez inne pisma, jednego z księży polskich w Ameryce Północnej o stosunkach kościelnych polskich w Stanach Zjednoczonych. W liście tym autor jego rozpisuje się o uchwałach, odbytego w r. z. kongresu polskiego w Buffalo, o potrzebie ustanowienia 6 lub 8 biskupów polskich, o podróży ks. arcybiskupa Katzera w Milwaukee, w towarzystwie piszącego, do Rzymu, dla poparcia tej sprawy. Równocześnie w zjadliwych słowach zwraca się ów kapłan przeciw „jezuickiemu“ „Przeglądowi Powszechnemu“, zarzucając mu błędne informacje o amerykańskich stosunkach polskich na polu kościelnem.

Jakkolwiek o sprawie tej pisaliśmy już nieraz, dla zapobieżenia bałamuceniu opinji przez niepowołanych informatorów, uważamy za obowiązek nasz wyświetlić ją raz jeszcze.

Czy i dla czego arcybiskup Katzer jedzie do Rzymu, nie jest nam wiadome. To wiemy, że brać na siebie popieranie tak daleko idących żadań ani on, ani żaden pojedyńczy biskup wziąć nie może. Biskup katolicki jedzie do Rzymu dla zdania spraw z własnej diecezji i popierania własnych spraw tej ostatniej: sprawy,

mające charakter ogólny, należą do zakresu władzy specjalnie w tym celu ustanowionej przez Stolicę św. — delegatury apostolskiej w Waszyngtonie.

Jeśli ks. Katzer pragnie mieć sam sufragana Polaka, o tem oczywiście może konferować w Rzymskiej Propagandzie; reprezentantem zbiorowych żądań polskich, o ile nam wiadomo, byćby nie mógł.

Wogóle zresztą o żądaniach wobec Stolicy św. nie może być mowy, tembardziej o żądaniach tak praktycznie trudnych do przeprowadzenia i zdradzających raczej osobiste ambicje, niż zrozumienie istotnych potrzeb polskiego Kościoła. Bo bądźmy szczerzy: o co chodzi? O reformę stosunków w polskich parafjach? Tu jest potrzebna zgoda, ale trzeba ją zacząć od stworzenia lepszych księży, niż ci, co są obecnie. Plagą Polaków amerykańskich jest zły kler, na to zaś, aby go zrobić lepszym, nie pomoże i 20 biskupów we wszystkich ogniskach amerykańskiego polonizmu. Zapewne — gdyby można było wszystkich Polaków w Stanach Zjednoczonych poddać pod władzę jednego biskupa — byłoby to punktem wyjścia dla załatwienia trudności, ale to nie jest możliwe, bo sprzeciwia się tradycji i charakterowi powszechności Kościoła. A bez takiej centralnej władzy biskup sufragan polski w Milwaukee, drugi w Chicago, trzeci w Detroit, czwarty w New Yorku, jaką przyniosą korzyść? Chyba tę, że dla próżności tak między Polonją amerykańską wielkiej, otworzy się pole do wyścigów o fiolety.

Więc czy nic niema do zrobienia?

Owszem, jest i jest wiele. Przedewszystkiem wewnętrznie. Gdyby lepsze żywioły wśród polskiego kleru zespoliły się w celu podniesienia życia wewnętrznego i prawdziwie kapłańskiego, gdyby zrozumiały, że królestwo Boże buduje się nie pałaszem, reklamą, ale samą tylko miłością, zgodą, pracą cichą i modlitwą, gdyby w tym kierunku oddziaływały na świeckich, a starały się o wsparcie własnej pracy przez doświadczone i duchem przodujące zakony, przedewszystkiem przez polskich Jezuitów, wówczas naprawa rozpoczęłaby się z dołu, a taka najlepsza i najpewniejsza. A równocześnie można i trzeba starać się o środki zaradcze z góry.

Środków tych jest kilka, ale wszystkie zawarte są w jednym i od jednego zależą. Środkiem zaś tym byłoby zamianowanie przez Stolicę św. osobnego audytora przy delegacji w Waszyngtonie dla spraw polskich. W Rzymie przy Propagandzie jest już dwóch kon-

sultorów Polaków: O. generał Smolikowski, doskonały znawca amerykańskich stosunków, i ks. prałat Skirmunt. Tych atrybucje i ingerencje możnaby rozszerzyć o tyle, że we wszystkich sprawach amerykańskich, o ile Polaków się tyczą, możnaby im dać głos doradczy. Zaś audytor w Waszyngtonie powinienby mieć powierzony sobie nadzór nad wszystkiemi sprawami polskiemi, nad stanem moralnym kleru i parafji, nad wychowaniem młodego kleru. Nie krępując władzy biskupów, pośredniczyłby z ramienia i pod kontrolą wprost delegata w tak częstych zatargach między biskupami a gminami i księżmi polskimi, i donosiłby o wszystkiem wprost Rzymowi. Taki audytor mógłby czuwać nad tem, aby ustała wreszcie plaga polskich parafij, emigracja księży ze „starego" kraju, zwłaszcza... wyrzutków społeczeństwa, a przynajmniej, aby raz położono tamę przyjmowaniu ich do diecezji dla braku polskich księży, „boć lepszy brak księży, niż zły ksiądz". Mógłby też czuwać nad tem, aby przedstawiani Propagandzie kandydaci na biskupów do diecezji, liczących więcej Polaków, władali polskim językiem. Rzecz to łatwiejsza do osiągnięcia, niż żądanie polskich biskupów, których Stolica św. nie chce wyznaczać, choć mianuje w Stanach Zjednoczonych biskupami Francuzów, Niemców i nawet Słoweńców, a nie chce dlatego, że niema zaufania do miejscowego polskiego kleru. Gdyby w wyższych zakładach teologicznych dla Amerykanów, jak w Waszyngtonie, w seminarjum sulpicjańskiem w Baltimore, w kolegjach amerykańskich w Louvain i w Rzymie zaprowadzono naukę polskiego języka, oddałoby to w przyszłości wielkie usługi.

To — droga jedyna do uregulowania stosunków polskich kościelnych w Ameryce. Droga możliwa, bo wprawdzie taki audytor dla jednej narodowości byłby inowacją, ale w zakresie dyplomatycznym i zewnętrznym Kurja rzymska nie cofa się nigdy przed nowościami, które tylko w świetle zewnętrznych stosunków hierarchji i dyplomacji są jej wstrętne. Nie zadowolniłaby ona osobistych ambicyj i wyrachowań, bo audytor taki, choć Polak, **nie mógłby być amerykańskim Polakiem.** Rozwiązałby zaś zwolna wszystkie problematy, jakie obecnie położenie naszego Kościoła w Stanach Zjednoczonych nastręcza. Wszelkie artykuły polemiki dziennikarskiej, wszelkie podniecenia opinji i wrażliwości ogółu do rozwiązania tego nie doprowadzą, owszem oddalają je. Na Stolicę św. dziennikami, wiecami, a tem mniej presją jakąkolwiek, nie działa się: wywiera to wszystko skutek przeciwny. I nie może być ina-

czej. Jakiemże bowiem zaufaniem napełnić mogą najwyższą władzę w Kościele, kapłani, którzy postulaty swe formułują tak jak przeciętne zgromadzenie, którzy z masońskim przekąsem mówią o najzasłużeńszem w Kościele zgromadzeniu, a współpracownictwem zaszczycają nie — katolicko-narodowy „Głos Narodu“ lub zachowawczy „Czas“, ale liberalną bezwyznaniową „Nową Reformę“?

X. J. G.

Taki to artykuł o „amerykańskim poloniźmie“ napisał ks. J. Gnatowski do warszawskiego „Przeglądu Katolickiego“. Myśmy sądzili, że niejeden kapłan polski w Ameryce, który tu wśród najcięższych warunków zorganizował parafje i szkoły polskie a przez to więcej zdziałał dla Kościoła niż dziesięciu prałatów w starym kraju, mógłby tu zostać biskupem. Tymczasem ks. Gnatowski sądził, że nie tylko biskupem, ale nawet „audytorem takim“ nie mógłby być amerykański Polak, tylko europejski; bo przecie europejski Polak tylko dobrze zna stosunki amerykańskie i wie, że „plagą Polaków amerykańskich jest zły kler“; a amerykański Polak zgoła nic nie wie.

65. Delegacja gotowa do wyjazdu z arcybiskupem. — Nagle Wydział Wykonawczy prosił, aby delegacja nie jechała razem z arcybiskupem. — Bo ktoś inny chciał z nim jechać. — To był ukryty motyw.

Minął luty i zaczął się marzec roku 1902, a naszemu wyjazdowi razem z acybiskupem Katzerem do Rzymu nie stawało nic na przeszkodzie. Droga do Rzymu wyglądała równa i gładka. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnego zawalidrogi ani zbója. Niebo było także czyste i pogodne. Mój współdelegat ks. Jan Pitass w Bufallo, N. Y., robił był wielkie przygotowania do podróży, jak to świadczy następujący list pisany do mnie na początku marca.

Buffalo, N. Y., 4 marca 1902.

Wielebny Ks. Dobrodzieju!

Co się tyczy podróży do Rzymu, do tej ks. Pitass przygotowuje się na serjo, i uzyskał już od ks. biskupa kilkumiesięczny urlop.

Z powodu wyjazdu ks. Pitassa do Rzymu, 40-godzinne nabożeństwo, które zwykle odbywało się w maju, rozpocznie się dnia 16 marca b. r.

Świecki delegat dotychczas nie jest jeszcze wybrany, lecz już przeprowadzam w tej sprawie korespondencję, zresztą o tego delegata mniejsza, może go zastąpić pierwszy lepszy świecki obywatel, który uda się z Wami do Rzymu. Skoro tylko będę miał coś pewnego, dotyczącego układów z świeckim delegatem, zaraz doniosę Wiel. Ks. Dobrodziejowi.

Ile jest w tem prawdy, że ks. Gulski jedzie także do Rzymu?

W bardzo pochlebnych kolorach musiał ktoś Ks. Dobrodziejowi przedstawić Dr. Fronczaka, kiedy mu Ks. Dobrodziej poświęcił tyle miejsca i czasu w swej „polsko-amerykańskiej historji"...

Ale nic mi to nie szkodzi, że Dr. Fronczak wyrósł na jakiegoś „epokowego człowieka" w dziejach amerykańskiej polonji; nie chcę psuć Ks. Dobrodziejowi tego dobrego wyobrażenia, jakie ma o nim, o jego zdolnościach i publicznej działalności.

Na mój list oczekuję prędkiej odpowiedzi, a załączając wyrazy szacunku i wyobrażenia, pozostaję

życzliwym rodakiem i sługą

Stanisław Ślisz.

Ta okoliczność, że wybieramy się do Rzymu razem z arcybiskupem, była bardzo ważną dla sprawy, ale nie dla nas delegatów osobiście. O tej prawdzie, jasnej jak na dłoni, byliśmy zawsze przekonani i uważaliśmy ją za pewnik. Dlatego obojętną nam rzeczą było, czy pojedzie także z arcybiskupem ks. Gulski lub inni. Bo i oni muszą paść ofiarą. Albowiem jak we wojnie ci, którzy idą na pierwszy ogień, nie zostają miljonerami, ale giną zazwyczaj, a miljonerami zostają ci, którzy w domu siedzą: tak ci, którzy do Rzymu idą walczyć o równouprawnienie kleru, nie zostają biskupami, tylko inni, którzy w domu cicho siedzą. I ani nam na myśl nie przyszło, żeby mógł ktoś zazdrościć nam tego, że jedziemy razem z arcybiskupem. A jednak był ktoś, co nam tego pozazdrościł. Dlaczego? Dlatego, że zazdrość, jak każda namiętność, jest ślepa i głupia.

Do marca 1902 r. wszyscy zdawali się być zadowoleni z tego, że delegacji rzymskiej nadarzyła się tak dobra sposobność je-

chania do Rzymu razem z arcybiskupem. Ani ustnie ani listownie ani w gazetach nikt nie protestował przeciw takiemu naszemu wyjazdowi. Przyjaciele byli nam życzliwi, a wrogowie cicho siedzieli.

Ale ta ich cisza była ciszą przed burzą.

Pierwszą chmurką, jaka ukazała się na pogodnym dotychczas widnokręgu, była następująca krótka wzmianka w drukowanym okólniku, rozesłanym do nas księży 1 marca 1902 r. przez zarząd nowopowstałego „Stowarzyszenia świeckich księży":

„Co do delegacji do Rzymu, upraszamy tymczasowo w tej sprawie nic nie robić, dopóki sprawa z tutejszymi biskupami załatwioną nie zostanie, a którą to pracę wziął na swe barki Wydział Wykonawczy Kongresu".

Przeczytawszy powyższą wzmiankę, której się wcale nie spodziewałem od „Stowarzyszenia Świeckich Księży", pomyślałem zaraz: Ta czarna chmurka zwiastuje nadciągającą burzę. Przecież Wydział Wykonawczy miał dosyć czasu do „załatwienia sprawy z tutejszymi biskupami. **Coś musi się ukrywać poza tem.** Natychmiast napisałem list do ks. K. Sztuczki, sekretarza Wydziału Wykonawczego, z zapytaniem, co znaczy ta niespodziana wzmianka o delegacji w okólniku „Stowarzyszenia Księży Świeckich". Odebrałem taką odpowiedź:

Chicago, Ill., 3 marca 1902.

Wiel. Ks. W. Kruszka

w Ripon, Wis.

Wiel. Księże Dobrodzieju!

W odpowiedzi na list Jego, tyczący się zjazdu księży polskich odbytego w Chicago, tylko tyle mogę powiedzieć, że nie był to właściwie mówiąc Zjazd Księży, ale tylko posiedzenie zarządu nowopowstałego Stowarzyszenia Księży z ks. Nawrockim jako prezesem na czele. O czem właściwe na tem posiedzeniu radzono, tego powiedzieć nie mogę, bo nie wiem. Wiem jednak, że cały zarząd Stowarzyszenia był i jest za tem, aby delegacja, do której Ks. Dobrodziej należy, wyjazd swój do Rzymu odłożyła do czasu aż Wydział Wykonawczy zrobi wszystko, co w Ameryce da się zrobić dla równouprawnienia kleru polskiego. Jego sługa w Chrystusie

Ks. K. Sztuczko.

Po tym liście z Chicago otrzymałem z Buffalo jeszcze ciekawszy list, jaki tenże sekretarz Wydziału Wyk. napisał był do mojego współdelegata ks. Jana Pitassa jeszcze dnia 1-go marca:

Chicago, Ill., 1 marca 1902.

Przewiel. Ks. Jan Pitass

w Buffalo, N. Y.

Przewielebny Księże Dobrodzieju!

Przed kilku dniami Wiel. Ks. W. Kruszka ogłosił w tutejszych gazetach polskich, że wyjazd do Rzymu Delegacji polskiej, na której czele stoi Przew. Dobrodziej, ma stanowczo nastąpić 12 kwietnia r. r.

Mamy rację przypuszczać, że powyższą wiadomość Wiel. Ks. Kruszka opublikował bez wiedzy i zezwolenia Przew. Ks. Dobrodzieja. Jednak w razie gdybyśmy się pod tym względem mylili, gdyby dla przyczyn nam nieznanych, Przew. Ks. Dobrodziej z Wiel. Ks. Kruszką istotnie godził się co do daty wyjazdu przez niego ogłoszonej, w takim razie i we własnem imieniu i w imieniu nowopowstałego Stowarzyszenia Księży Polskich, bardzobyśmy Przew. Ks. Dobrodzieja prosili, aby wyjazd delegacji do Rzymu odłożony został do czasu, aż Wydział Wykonawczy zdoła zrobić wszystko, co w Ameryce dla równouprawnienia kleru polskiego da się zrobić.

W nadziei, że Przew. Ks. Dobrodziej niniejszą prośbę przychylnie przyjąć i o swych pod tym względem zamiarach bez zwłoki powiadomić nas raczy, kreślimy się

z wysokim szacunkiem

Wydział Wykonawczy

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.,

sekretarz.

Na to ks. Jan Pitass odpowiedział i kopję swej odpowiedzi mnie przesłał do Ripon:

Buffalo, N. Y. 5 marca 1902.

Wiel. Ks. K. Sztuczko,

Sekretarz Wydziału Wykonaw.

Wielebny Księże Dobrodzieju!

Na uprzejmy list Waszej Wielebności z dnia 1 marca b. r. daję następującą odpowiedź:

Gdy dowiedziałem się, że Najprz. Ks. Arcybiskup Katzer wybiera się do Rzymu i że chętnie zgodziłby się na towarzyszenie mu naszej delegacji, napisałem list do ks. Kruszki, aby dzień odjazdu

Ks. Arcybiskupa Katzera uważał za dzień i naszego odjazdu. Ks. Kruszka mając taki list, mógł ogłosić, że delegacja odjeżdża 12 kwietnia do Rzymu. Żałuję bardzo, że dnia odjazdu do Rzymu nie możemy odłożyć na później na żaden sposób, a to z tej przyczyny, że z końcem miesiąca maja i w połowie czerwca rozpoczynają się wakacje w Rzymie i kto tylko może, wyjeżdża na świeże powietrze. W czasie wakacyjnym nie moglibyśmy nic zrobić i musielibyśmy naszą podróż odłożyć aż do jesieni, a tak długa zwłoka dla naszej sprawy może być bardzo niekorzystną.

Zresztą co postanowiono, nie może się już odstać.

Podobnie jak Szan. Wydziałowi Kongresowemu, tak i nam delegatom Kongres dał pełnomocnictwo; i nie możemy zawieść tego zaufania. Proszę zatem Szanowny Wydział Kongresowy, aby swe prace dotyczące równouprawnienia polskiego kleru z wyższymi duchownymi władzami w Ameryce postarał się ułożyć tak, abyśmy jeszcze przed odjazdem mieli jakąś pewność o jej wyniku.

Zapewniając Ks. Dobrodzieja o prawdziwym szacunku i poważaniu, pozostaję

Sługą w Chrystusie

Ks. Jan Pitass.

Do listu ks. Pitassa, sekretarz p. Stanisław Ślisz dołączył mi swój list, który brzmi jak następuje:

Buffalo, N. Y., 7 marca 1902.

Wielebny Księże Dobrodzieju!

Teraz nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że w tym dniu, w którym ks. arcybiskup Katzer będzie wsiadał na okręt, uda się i nasza delegacja do Rzymu. Przewielebny ks. Pitass nie zastosował się nawet do życzenia Wydziału Kongresowego, który go usilnie prosił o zwłokę z odjazdem do Rzymu. W załączeniu przesyłam odpis listu ks. Sztuczko, sekretarza Wydziału Wyk. i odpowiedź jaką da ks. Pitass.

Zdaje się, że intryga odgrywa tu jakąś rolę i, że w niej biorą udział pewni księża, którym Wydział Kongresowy jest powolny. Wydział, o którym mowa, nie bardzo jest przychylny ks. Dobrodziejowi, o czem miałem sposobność przekonać się osobiście.

Ks. Truszyński (prezes Wydziału Wyk.), w czasie swego pobytu w Buffalo, przedstawił ks. Pitassowi memorjał, opracowany przez siebie i ks. Sztuczkę do spółki; ale ks. Pitass uznał memorjał

ks. Dobrodzieja za lepszy, dosadniejszy i z większą znajomością rzeczy opracowany.

Kiedy teraz wszystkie trudności zostały usunięte, to nie pozostaje ks. Dobrodziejowi nic innego, jak przygotować się do podróży do Rzymu i oznaczyć dzień, w którym przybędzie do Buffalo, aby wraz z ks. Pitassem w towarzystwie ks. arcybiskupa Katzera udać się do Nowego Yorku.

Miło mi przy tej sposobności załączyć wyraz szacunku i poważania, które proszę przyjąć od swego

życzliwego sługi
Stan. Ślisz.

Niestety, kiedy p. Ślisz dyktował powyższe słowa, wtedy ja już miałem list od arcybiskupa Katzera, powiadamiający mnie, że delegacja razem z nim do Rzymu jechać nie może. Wtedy ta intryga, o której p. Ślisz powyżej wspominał, już święciła triumfy. Ale o tem w następnym rozdziale.

66. Jak i dlaczego arcybiskup odwołał swe życzenie, aby delegacja jechała razem z nim do Rzymu. — Jakieś zgromadzenie księży chciało zaprotestować w Rzymie przeciw delegacji. — Tak powiedział arcybiskup. — Delegacja więc zaniechała podróży do Rzymu.

Co znaczy intryga? Intryga jest to wyraz z francuskiego języka wzięty i znaczy tyle co: skryty podstęp, praktyki tajemne, kręte drogi do dopięcia swego. Jest to knowanie chytre, podejście, zawikłanie. Słownik Lindego powiada, że intryga jest to „chytrość fortelna, praktyka, sztuka podstępna, podstęp, **dołek**“. Więc intrygant to taki, co pod kimś dołki kopie. Intrygować zaś, intrygi czyli podstępy robić, to znaczy po prostu: dołki kopać, sieci stawiać, sidła kłaść. Intrygi robić to znaczy waśnić, różnić, poduszczać, wprawiać w kłopot, dawać do myślenia, zaciekawiać, skrycie i podstępnie działać, główną i prawdziwą pobudkę działania ukrywać. Gdyby nam delegatom było się wyjawiło główną i prawdziwą pobudkę, dla której nie życzono sobie naszego wyjazdu do Rzymu: nie byłoby intrygi, ale byłoby to jawne i otwarte postępowanie z nami. Gdyby nam delegatom było się powiedziało prosto z mostu: Nie chcemy, żebyście jechali razem z arcybiskupem, bo ktoś inny chce z nim jechać, a ten ktoś inny nie życzy sobie waszego towarzystwa — natenczas byłoby się szło prostą drogą do celu czyli do powstrzymania wyjazdu delegacji.

Nie trzeba winić tyle ks. Jacka Gulskiego, ile raczej tych, co go na pierwszy ogień wysunęli, a przez to na największe niebezpieczeństwo go wystawili i sprawili, że musiał paść ofiarą, tak jak Urjasz, postawiony „na czele wojny, gdzie najtęższa bitwa", musiał zabity zginąć (Księga II. Kr. 11, 15). Bo ks. Gulski sam był na tyle ostrożnym, oględnym i roztropnym, że od obydwóch Kongresów, upominających się o biskupów polskich, zawsze zdala się trzymał, nie biorąc w nich żadnego udziału. Co więcej, on raz publicznie w gazetach niemieckich i polskich oświadczył, że biskupów polskich nie potrzeba w Ameryce, że ci, co są, zupełnie nam wystarczają. I przez to właśnie ks. Gulski był na najlepszej drodze do biskupstwa. Ale skoro się dał posłać do Rzymu i wysunąć na front, „na czoło wojny, gdzie najtęższa bitwa", — przepadł. Winić tu trzeba przedewszystkiem tych, co go na ten pierwszy ogień wysunęli. Mieli oni w tem własne wyrachowanie? i własną pieczeń chcieli przytem upiec? Bardzo wątpię. Oni szczerze, a tylko nieroztropnie, popierali i wysuwali naprzód ks. Gulskiego.

Nieroztropnie, bo kierowali się nie rozumem, ale zazdrością. Kiedy arcybiskup Katzer „dużo obiecał zrobić dla Polaków", wszystkich oczy mimowoli zwróciły się na ks. Gulskiego jako na kandydata biskupiego. Tymczasem arcybiskup Katzer wręcz na piśmie oświadczył delegacji, to jest ks. Pitassowi i ks. Kruszce, że „z całą przyjemnością pojedzie razem z nimi do Rzymu". Co to miało znaczyć? Rozum prosty i nieuprzedzony mówił każdemu, kto go słuchał, że to wcale nie znaczy, jakoby ci, co jadą z arcybiskupem do Rzymu, mieli już zostać biskupami; i że ks. Gulski, by zostać biskupem, wcale nie potrzebuje jechać do Rzymu. Jeżeli arcybiskup rzeczywiście chce go zrobić biskupem, to bez tego nim zostanie. Atoli zazdrość, ciemna i głupia, jak zawsze, całkiem inaczej myślała; jechanie do Rzymu z arcybiskupem uważała za to samo, co zostanie biskupem. Z tego mylnego założenia raz wyszedłszy, ślepa zazdrość musiała iść krętymi drogami dalej, aby powstrzymać wyjazd delegacji z arcybiskupem do Rzymu. Tymi krętymi drogami były te dwa przekręcone fakta: ogłoszenie listu arcybiskupiego i uchwała Stowarzyszenia Księży. Temi krętemi drogami, aby dopiąć swojego celu, zazdrość znalazła przystęp do arcybiskupa i rzekła:

— Jakto, arcybiskupie, ty jedziesz z nimi, z ks. Pitassem i ks. Kruszką? Ty ich zaszczycasz swojem towarzystwem? Czy nie wiesz, że oni twojemu towarzystwu przez głoszenie twego listu

przypisali urzędowy charakter? Dalej, czy nie wiesz, że na pewnem zgromadzeniu polskich księży przyjęto uchwałę przeciw wyjazdowi ks. Pitassa i ks. Kruszki? czy nie wiesz, że jeśli pomimo to oni z tobą pojadą, to księża ci zaprotestują u Propagandy w Rzymie?

Tymi krętymi drogami poszła zazdrość do arcybiskupa, i nie tylko przystęp, ale i posłuch łatwy znalazła u arcybiskupa. Arcybiskup Katzer łatwo uwierzył w to wszystko, co mu zazdrość szeptała do ucha, bo mu to zupełnie było na rękę, że w tej tak ważnej sprawie równouprawnienia kleru Polacy przeciw Polakom powstają. Siadł tedy i napisał następujący list do mnie:

Fond du Lac, 6 marca 1902.

Wiel. Ks. W. Kruszka, Rektor,
Ripon, Wis.

Wielebny Księże!

Na zapytanie Twoje pisałem Ci swego czasu, że Ty i ks. Pitass będziecie dla mnie pożądanymi towarzyszami podróży. Wy jednakże zdawaliście się tej mojej odpowiedzi przypisywać charakter urzędowy, ogłaszając moje zezwolenie w polskich pismach.

Przez to wprawiliście mnie w wielki kłopot, zdaje się, jakoby tłumaczono to sobie w ten sposób, że Wy ze mną, a ja z Wami jadę do Rzymu w sprawie polskiej...; doniesiono mi, że na pewnem zgromadzeniu polskich księży przyjęto uchwałę, aby Tobie i ks. Pitassowi oznajmić, że są oni przeciwni podróży Twojej i ks. Pitassa i że gdybyście pomimo to pojechali, księża ci zaprotestują u Propagandy. Wśród tych okoliczności nie może być pozoru, ani tu, ani też w Rzymie, że jedziemy do Rzymu razem w tym samym interesie — toby sprawie tylko zaszkodziło.

Zresztą nie wiem teraz jeszcze, czy w czasie, jaki wyznaczyłem, będę mógł wyjechać.

Jeżelibyś więc jednak wbrew życzeniu zgromadzonych polskich księży miał jechać, i znalazł zastępstwo dla Ripon, to muszę Cię upraszać, abyś na mnie nie liczył.

Okoliczności zniewalają mnie zawiadomić Cię o tem i zarazem upraszam Ciebie i ks. Pitassa nie uważać tego za obrazę, gdyż myśl taka jest mi zupełnie daleką.

Oddany Twój
F. X. Katzer,
Arcybiskup Milwaucki.

Popierwsze, gdzie, kiedy i jaki urzędowy charakter nadaliśmy owej odpowiedzi arcybiskupa: „Z całą przyjemnością pojadę razem z Wami?“ A powtóre, gdzie, kiedy i jakie zgromadzenie polskich księży chce przeciw naszemu wyjazdowi zaprotestować? To były pytania, na które odpowiedzi szukać zacząłem po przeczytaniu powyższego listu arcybiskupa. Czy może ks. Pitass przypisał kiedy charakter urzędowy owej odpowiedzi arcybiskupa? Czy może ks. Pitass wie, co to za księża zeszli się w gromadę przeciwko nam i zagrozili nam protestem u Propagandy?

Odpis powyższego listu arcybiskupa natychmiast przez special delivery posłałem ks. Pitassowi do Buffalo, skąd w parę dni potem od p. Ślisza nadeszła taka odpowiedź:

Buffalo, N. Y., 10 marca 1902.

Wielebny Księże Dobrodzieju!

Wczoraj wieczorem i dzisiaj przed południem konferowałem z ks. Dziekanem Pitassem i ku niemałemu memu zdziwieniu, przekonałem się, że im większe są trudności, tem na większą zdobywa się energję i teraz już nic nie powstrzyma go od podróży do Rzymu. — Powiedział mi, że na intrygi był przygotowany, i że go wcale nie zdziwił list ks. arcybiskupa Katzera, i prosił mnie, abym ks. Dobrodzieja uspokoił i prosił o zachowanie zimnej krwi. Polecił mi ks. Dziekan napisać ks. Dobrodziejowi, aby **zdrady** niektórych swych konfratrów nie brał do serca, bo takie rzeczy zdarzały się już często pośród polsko-amerykańskiego kleru. Podróż postanowiona na 12 kwietnia r. b. do Rzymu, i ks. Dziekan życzy sobie koniecznie, aby delegacja wsiadła w tym dniu na okręt w Nowym Yorku, bez względu na to, czy na nim będzie się znajdował ks. arcybiskup Katzer lub też nie.

Proszę mi donieść, którzy księża i świeckie osoby wybierają się wraz z delegacją do Rzymu. Jeżeli ks. Dobrodziej porówna list ks. Sztuczko, pisany do ks. Dziekana Pitassa, z listem ks. arc. Katzera, pisanym do ks. Dobrodzieja, to musi przyznać, że pomiędzy nimi jest pewna łączność. Tu tkwi intryga, do której i niektórzy księża z Milwaukee przyłożyli swą rękę. Takie jest moje zdanie...

Jak już na korespondentce doniosłem, to niezmiernie dziwię się, że mój list, zawierający życiorys ks. Pitassa i historję parafji św. Stanisława nie doszedł do ks. Dobrodzieja, bo był on pisany przed dwoma tygodniami.

Ks. Leopold Moczygęba objął parafję w Parisville, Mich., nie po ks. Dominiku Kolasińskim, lecz po ks. Konstantym Domagalskim. Proszę to sprostować w Historji.

Prosząc uprzejmie o rychłą odpowiedź, załączam wyrazy prawdziwego szacunku i poważania, życzliwy sługa

Stanisław Ślisz.

Atoli po dwóch tygodniach ks. Pitass, namyśliwszy się dobrze, powoli spuścił z tonu całkiem słusznie i naturalnie, jak to się pokazuje z następujących lisów:

Buffalo, N. Y., 18 marca 1902.

Wielebny Księże Dobrodzieju!

Na ks. R., jako towarzysza podróży, nie ma co liczyć, bo chciałby jechać cudzym kosztem. Pisał ks. Pitassowi, aby mu pożyczył 200 dolarów na podróż, bo chociaż ma pieniądze w banku, to nie chciałby ich naruszać, aby nie tracić procentów.

Takich, którzyby na cudze koszta jechali do Rzymu, możnaby nazbierać w drabiniaste wozy.

Wydział Kongresowy, jako wprost przeciwny podróży do Rzymu, nie przyczyni się ani groszem do pokrycia kosztów.

Delegacja będzie musiała liczyć sama na siebie.

Ks. Truszyński (prezes Wydziału) pisał mi, że księża na zachodzie bardzo źle są usposobieni dla delegacji i jej podróży do Rzymu. Ile w tem prawdy, nie wiem.

Co się tyczy memorjału, to najlepiej będzie zabrać go tak jak jest; a gdy okaże się potrzeba, można go w Rzymie dać wydrukować.

Ile wynoszą koszta podróży do Rzymu, to dowiem się dziś lub jutro i doniosę ks. Dobrodziejowi.

Kiedy ks. Dobrodziej ma przybyć do Buffalo, to zawiadomię Go również.

Historję założenia miasta Buffalo i Batavia załączam w wycinku.

Stan. Ślisz.

Następny list z Buffalo, N. Y. 25 marca 1902 tak brzmiał:

Wielebny Księże Dobrodzieju!

Jestem tak wzburzony i rozdrażniony, że słowa tylko w największym nieładzie i bez związku cisną mi się pod pióro. Jakże tu nie być rozdrażnionym i popaść w pewien stan rozpaczy, gdy

się widzi, że najlepsze i szlachetne sprawy biorą w łeb wskutek podłej i zawistnej intrygi. Chcąc być zwięzłym i bez długich omówień, przesyłam wieść Hiobową, że z podróży do Rzymu delegacji, wybranej na Kongresie nic nie będzie.

Intrygi nowo utworzone świeckich księży i Wydziału Kongresowego napiętrzyły tyle trudności, że gdyby ks. J. Pitass i ks. Dobrodziej wybralibyście się do Rzymu, to przyjęto by was tam jako intruzów i samozwańców. Do tego przyszło że nawet nie miałby wam kto podpisać świadectw jako delegatom, bo Wydział Kongresowy stanowczo oświadczał, że nie chce nic wiedzieć o delegacji i nie uznaje takowej. Dowody intrygi mamy wszystkie w ręku. Ktoby się spodziewał, że ten Wydział Kongresowy, w którym pokładaliśmy tyle nadziei, zdradzi całą sprawę (wyda ją w obce ręce). Może być, że na tej intrydze zyska pewna „jednostka" z Milwaukee, lecz niepowetowaną stratę poniesie cała amerykańska Polonja.

Ks. dziekan J. Pitass był przygotowany do podróży, postarał się o księży na zastępstwo, a teraz nie chce się narażać na poniżenie i upokorzenie, musi się zrzec delegacji i zaniechać podróży do Rzymu. Chciał parę tysięcy dolarów poświęcić dla dobrej sprawy, a tu jego ofiarę odepchnięto ze wzgardą. Nie dziw więc, że go to boli mocno. Ale intryga musi odnieść zasłużoną karę, to też myślę w krótkim czasie przedstawić całą sprawę ogółowi do rozstrzygnięcia. Niech się cały świat dowie o niegodziwych czynach. Proszę mi donieść, co ks. Dobrodziej sądzi o tem. Ks. Dziekan Pitass polecił mi donieść ks. Dobrodziejowi, że gdyby pomimo tego wszystkiego, co zaszło, zechciał sam lub w towarzystwie innego księdza udać do Rzymu, to byłby gotów pewną sumką przyczynić się do opędzenia kosztów podróży. Sam jednak pod żadnym warunkiem nie wybierze się do Rzymu, bo go dotknięto i obrażono zbyt boleśnie. Bardzo mi jest przykro, że muszę zakomunikować to ks. Dobrodziejowi, co zaszło, ale proszę wierzyć, że sam cierpię mocno.

Załączając wyrazy szacunku i prawdziwego poważania, pozostaję życzliwym sługą

Stan. Ślisz.

W takich okolicznościach sam nie byłbym wyjechał do Rzymu, choćby mi ks. Pitass był ofiarował niewiedzieć jaką „sumkę". Niech arcybiskup Katzer bez nas jedzie, kiedy tak chce! Zobaczymy, jak „dużo zrobi dla Polaków".

Natomiast zaciekawiło mnie wówczas to „pewne zgromadzenie księży polskich“, o którem arcybiskup w liście wspomniał, że głównie się przyczyniło do tego, iż on teraz nie chce razem z delegacją jechać, tak jak to pierwotnie zamierzał. Gdzie i kiedy takie „zgromadzenie księży“ się odbyło? i czy wogóle się odbyło? Jeśli tak, to którzy to księża weszli w gromadę przeciwko mnie i ks. Pitassowi? i czy rzeczywiście „uchwalili zaprotestować u Propagandy“, gdybyśmy wyjechali? Nad rozwikłaniem tej zawikłanej intrygi pracowałem teraz energicznie.

67. W Chicago nikt nie wiedział ani nie słyszał o tem, żeby jakie zgromadzenie księży uchwaliło zaprotestować u Propagandy, gdyby delegacja wyjechała do Rzymu. A jednak arcybiskup Katzer tak twierdził.

Arcybiskupa Katzera swego czasu zapytaliśmy, nie jako księża Pitass i Kruszka, ale jako delegaci; nie prywatnie, ale urzędowo; nie w sprawie osobistej i sekretnej, ale w sprawie publicznej, dotyczącej całej Polonji amerykańskiej: czy możemy razem z nim jechać do Rzymu? A jeśli tak, to w którym czasie wyjedzie? gdyż pielgrzymka chce się do nas przyłączyć. Arcybiskup więc bardzo dobrze wiedział, że jego odpowiedź na takie zapytanie nie będzie i nie może być w tajemnicy trzymaną. A pomimo tego odpowiedział nam bez żadnych zastrzeżeń, że z całą przyjemnością pojedzie razem z nami i oznaczył prawdopodobny dzień swojego wyjazdu.

Nie wiedząc jeszcze napewne, w który dzień arcybiskup wyjedzie, ogłosiliśmy goły fakt, że dzień wyjazdu arcybiskupa będzie zarazem dniem wyjazdu delegacji, gdyż za wyraźną zgodą arcybiskupa pojedziemy razem z nim do Rzymu. W tem ogłoszeniu nie dodaliśmy ani najdrobniejszej wzmianki, jakoby arcybiskup z nami jechał do Rzymu „w naszej polskiej sprawie“. Ani nam się nie śniło coś podobnego ogłaszać. A jednak arcybiskupowi ktoś fałszywie doniósł, że w naszem ogłoszeniu „jego odpowiedzi zdawaliśmy się przypisywać charakter urzędowy“, „jakoby on z nami jechał do Rzymu w sprawie polskiej“.

Po co zresztą mieliśmy coś podobnego ogłaszać? Wszak to wówczas już publiczną było tajemnicą, że arcybiskup zajmuje się staraniami Polaków. Bo gdy gazety pisały, że „arcybiskup Katzer, jadąc do Rzymu, nie myśli nadal zajmować się staraniami Polaków“, sam arcybiskup Katzer z wielkiem oburzeniem zaprzeczył temu i kazał ogłosić w gazetach swój list do ks. Gulskiego, w któ-

rym wyraźnie powiedział, że to nieprawda, jakoby on nie chciał z polską sprawą nic mieć do czynienia. „Com już uczynił i jeszcze czynić zamierzam w Rzymie, dowodzi wręcz przeciwnie. Zresztą przekonasz się sam w Rzymie, Wiel. Księże Gulski, co dla Polaków uczyniłem już w miesiącu styczniu".

Więc choćbyśmy byli wyraźnie ogłosili, że arcybiskup z nami jedzie do Rzymu **w sprawie polskiej**, to tem samem jeszcze nie moglibyśmy go „wprawić w tak wielki kłopot", o jakim on pisał w swoim liście z dnia 6 marca 1902. Nawet takie ogłoszenie, samo przez się, nie mogło go wprawić w żaden kłopot, bo on się z tem wcale nie taił, że sprzyja sprawie polskiej i że jedzie w sprawie polskiej do Rzymu. Co go tedy w tak wielki kłopot wprawiło? Oto nie co innego, tylko to, że przeciwko delegacji, z którą on z całą przyjemnością chciał jechać do Rzymu, sami księża polscy chcieli zaprotestować u Propagandy! Najważniejszy bowiem ustęp w jego liście brzmi tak:

„Przez to wprawiliście mnie w wielki kłopot, zdaje się, jakoby tłumaczono to sobie w ten sposób, że Wy ze mną, a ja z Wami jadę do Rzymu w sprawie polskiej, — (tu nie koniec zdania, tu tylko przecinek i myślnik; roztropny czytelniku, czytaj co następuje:) doniesiono mi, że na pewnem zgromadzeniu polskich księży przyjęto uchwałę, aby Tobie i ks. Pitassowi oznajmić, że są oni przeciwni podróży Twojej i ks. Pitassa i że gdybyście pomimo to pojechali, księża ci zaprotestują u Propagandy. W takich okolicznościach nie może być pozoru, ani tu ani też w Rzymie, że jedziemy do Rzymu w tym samym interesie — toby sprawie tylko zaszkodziło."

Pewnie. Bo wtedy Propaganda mogłaby arcybiskupowi powiedzieć: W sprawie polskiej wziąłeś ze sobą delegację, przeciwko której doszły nas protesty od samychże księży polskich z Ameryki.

A zatem to „pewne zgromadzenie polskich księży, grożące protestem u Propagandy", było tą właściwą bombą, która arcybiskupa Katzera tak bardzo przestraszyła i w tak wielki kłopot wprawiła, że cofnął swe zaproszenie, aby delegacja jechała razem z nim do Rzymu.

Natenczas mimowoli nasuwało się to pytanie: które to zgromadzenie polskich księży, gdzie i kiedy taką uchwałę powzięło? Pierwsze podejrzenie padło naturalnie na nowo powstałe „Stowarzyszenie Świeckich Księży Polskich", a właściwie na zarząd te-

goż, mający siedzibę swą w Chicago, Ill. Tyle bowiem dowiedziałem się od arcybiskupa Katzera, że owe zgromadzenie księży, protestujące przeciw delegacji, miało mieć miejsce nie gdzie indziej, tylko właśnie w Chicago. Zresztą wiedziałem już oddawna o tem, że niektórzy członkowie rzeczonego zarządu radzili delegacji powstrzymać się z wyjazdem do Rzymu, wychodząc z tego mylnego założenia, że wyjazd delegacji przeszkodziłby kandydaturze księdza Gulskiego. Zato ogromna większość księży, zwłaszcza na wschodzie, przynaglała wyjazd delegacji, każąc kuć żelazo póki gorące. Ale i ci niektórzy księża, co „radzili“ nam powstrzymać się z wyjazdem, bynajmniej nie zakazywali nam wyjeżdżać, a tem mniej grozili nam protestem u Propagandy, gdybyśmy wyjechali. O takiej „bombie“, o jakiej list arcybiskupa wspominał, nikt nigdy nie słyszał.

Pojechałem więc do Chicago na wywiad z tymi właśnie członkami zarządu Stowarzyszenia Świeckich Księży, którzy radzili delegacji powstrzymać się z wyjazdem. Przedłożyłem im list arcybiskupa. Wybuchnęli homerycznym śmiechem i powiedzieli mi:

— Żadnego zgromadzenia księży polskich tu nie było, i nikt go też nie zwoływał. A o proteście u Propagandy nikomu się ani nie śniło. To arcybiskup albo sam sobie wyssał z palca albo się dał komuś wywieść w pole. A może — zgromadzenie księży Zmartwychwstańców taki protest uchwaliło. Kto wie?

Chcąc tedy po nitce dojść do kłębka i znaleźć prawdę, bo prawdą tylko można dojść do celu, napisałem list do przełożonego księży Zmartwychwstańców w Chicago. Ani mowy o proteście u Propagandy! Owszem, przełożony księży Zmartwychwstańców „zarekomendował mnie“ u swego generała w Rzymie, jak to świadczy poniższa odpowiedź:

Chicago, Ill., 12 marca 1902.

Mój drogi ks. Dobrodzieju!

Dziękuję za liścik i za wiadomości w nim zawarte. Dziękuję Panu Bogu, że nigdy nie należałem i nie należę do kliki księży. Roboty, może nieraz i mozolnej owej kliki, nikt rozumny nie pochwali, a najmniej dobry kapłan. Jak się zdaje, Zmartwychwstańcy są solą w oku dla niektórych, ale my sobie z tego nic nie robimy, owszem ta niechęć lub nienawiść ku nam dodaje nam otuchy do pracy w kościele i w szkole jak też i na polu narodowem. Niech niektórzy bawią się z ogniem, dopóki rąk nie poparzą. Kto rozumny

pochwali uchwałę kapłanów przeciwko kapłanom? Pracy dla kapłanów w Ameryce jest dużo, i my to dobrze wiemy, że gdyby nas jeszcze raz tyle było, toby nam pracy nie brakło. Dosyć!

Duch św. czuwa nad Głową Kościoła, która nie da się oszukać klice, chociażby na jej czele nie smok ale cały legjon smoków stał. Chwała Bogu, że obecnie tych brudów nie wyjawiają przed maluczkimi, którzyby się mogli z tego skandalizować.

Pochwalam zasadę ks. Dobrodzieja; bo prawdą tylko możemy dojść do celu. Rzucanie się kliki jak ryba na piasku do niczego dobrego nas nie doprowadzi. — Zarekomendowałem ks. Dobrodzieja naszemu Najprzew. Ojcu Jenerałowi w Rzymie i sądzę, że ks. Dobrodziej będzie jak w domu.

Z pozdrowieniem braterskiem pozostaję sługą w Chr. Jezusie

Ks. Jan Kasprzycki, C. R.

Ale jeśli nie zgromadzenie Księży Świeckch ani Zgromadzenie Księży Zmartwychwstańców, to może zgromadzenie Księży Krzyżaków w Chicago uchwaliło zaprotestować u Propagandy, gdyby delegacja wyjechała do Rzymu, względnie Wydział Wykonawczy Kongresu, którego prezesem i sekretarzem byli księża ze zgromadzenia Krzyża św. Udałem się więc listownie do księdza Kazimierza Sztuczki, C. S. C., sekretarza Wydziału Kongresowego; a ten mi tak odpowiedział:

Chicago, Ill., 28 marca 1902.

Wiel. Ks. Dobrodzieju!

Być może, że Ks. Dobrodziej ma słuszność gniewać się na nowo upieczone Stowarzyszenie Księży Polskich, atoli gniew Jego na Wydział Wykonawczy uważam za zupełnie bezpodstawny. Bo i czemże, proszę, Wydział Wykonawczy zawinił wobec delegacji?

Ks. Dobrodziej zarzuca mu, że 1-o chce delegacji łeb urwać; że 2-o protestował przeciw wyjazdowi delegacji do Rzymu; że 3-o nowo upieczone Stowarzyszenie trzęsie nim według swego widzimisię na niekorzyść delegacji. Niech mi ks. Dobrodziej pozwoli sobie powiedzieć, że te wszystkie zarzuty są bezpodstawne. Są to poprostu potwarze i nic więcej. Jedyną winą, jeżeliby to można nazwać winą, Wydziału Wykonawczego było to, że usiłował powstrzymać wyjazd wasz do Rzymu aż do chwili, kiedy się okaże, że już nic więcej nad to, co się zrobiło, nie da się w Ameryce zrobić dla sprawy równouprawnienia kleru polskiego. Niech więc Ks. Dobrodziej da się udobruchać, niech więc i nadal, jak do-

tąd, pozostanie życzliwym Wydziałowi Wykonawczemu. Na tem i Ks. Dobrodziej i Wydział Wykonawczy i wspólnie nam powierzona sprawa dobrze wyjdzie.

Sługa w Chrystusie

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.

Zgadnij, Jezu, kto Cię bije?!...

Więc ani zgromadzenie księży świeckich, ani zgromadzenie księży Zmartwychwstańców, ani Wydział Wykonawczy nie uchwalił zaprotestować u Propagandy, gdyby delegacja wyjechała. O żadnem innem zgromadzeniu księży polskich, odbytem w Chicago, nikt nie słyszał. Chyba odbyło się zgromadzenie polskich księży niezależnych, ale tych już nie pytałem, tylko siadłem i napisałem list do arcybiskupa Katzera z prośbą o wyjaśnienie tej sytuacji.

68. Arcybiskup rozkazał mi zwrócić mu ten list, w którym on pisał, że jakieś zgromadzenie księży uchwaliło protestować u Propagandy. — Ks. Pitass jednak nie chciał tego listu oddać arcybiskupowi, lecz schował go jako dowód krzyżackiej intrygi.

Kiedy nikt z księży nie wiedział ani nie słyszał o tem, żeby jakieś zgromadzenie polskich księży uchwaliło zaprotestować u Propagandy w razie gdyby delegacja miała wyjechać do Rzymu, wtedy, w sprawie publicznej idąc prostą publiczną drogą, grzecznie, ale stanowczo poprosiłem arcybiskupa o odkrycie prawdy w tej mierze. Przypomniałem mu, co mi pisał w liście z dnia 6-go marca 1902, mianowicie, że doniesiono mu, iż na pewnem zgromadzeniu polskich księży przyjęto uchwałę, aby mnie i ks. Pitassowi oznajmić, że gdybyśmy do Rzymu pojechali, księża ci zaprotestują u Propagandy. Tak arcybiskup mi pisał. Pomimo, że arcybiskup tak pisał, po pierwsze, ani mnie ani ks. Pitassowi dotychczas nikt tego nie oznajmił, że przyjęto taką uchwałę. A po drugie, nietylko nikt nam tego nie oznajmił, ale przeciwnie, nikt z księży w Chicago, gdzie to zgromadzenie miało się odbyć, nawet nie słyszał o tem, żeby jakieś zgromadzenie polskich księży miało się odbyć i powziąć taką uchwałę. Owszem, księża chicagoscy uważają to za potwarz, niesłusznie na nich rzuconą przez Jego Excelencję. I stąd wyciągają ten dwojaki wniosek, że arcybiskup albo się dał przez kogoś fałszywie poinformować albo sam ten powód wymyślił, żeby nie jechać z delegacją do Rzymu. Żeby tego rodzaju posądzeniom raz koniec położyć, prosiłem usilnie arcybiskupa, żeby

wyjawił całą prawdę i powiedział, kto mu taką rzecz doniósł. Albo, jeśli tego uczynić nie może lub nie chce, żeby przynajmniej zmusił tę osobę do odwołania tego kłamstwa, że „jakieś zgromadzenie polskich księży przyjęło taką uchwałę, aby przeciw wyjazdowi delegacji zaprotestować u Propagandy". — Tak napisałem arcybiskupowi.

Skoro tylko arcybiskup Katzer ten list mój otrzymał, zaraz odwrotną pocztą nadesłał mi odpowiedź, która się zaczyna od tych pamiętnych słów:

„Milwaukee, Wis., 4 kwietnia 1902.

„Kraft priesterlichen Gehorsams", to znaczy: „Mocą posłuszeństwa kapłańskiego rozkazuję Tobie, Księże Kruszka, abyś ów list mój z dnia 6 marca 1902, w którym Ci pisałem, że zgromadzenie polskich księży uchwaliło przeciw wam delegatom wnieść protest u Propagandy, natychmiast mi odesłał i zwrócił jak najprędzej."

F. X. Katzer, Abp. Milw.

Gdym taki nagły rozkaz arcybiskupi otrzymał, pomyślałem sobie: ów list jest moją własnością, nie potrzebuję go zwracać. Ale z pewnością arcybiskup potrzebuje tego swego listu, skoro mi rozkazuje go zwrócić. Więc mu go zwrócę. Atoli najpierw poślę go mojemu współdelegatowi ks. Janowi Pitassowi w Buffalo, aby ten mógł przesłaną mu dawniej kopję z oryginałem porównać i przekonać się dokumentnie, że arcybiskup tak a nie inaczej pisał w sprawie odwołania wyjazdu z nami. Bo skorobym ten oryginalny list arcybiskupi zwrócił arcybiskupowi, nie miałbym później żadnego dowodu w ręku.

Tak też uczyniłem. Najpierw ów własnoręczny list arcybiskupi z dnia 6 marca 1902, razem z obecnym listem, zaczynającym się od słów — „Kraft priesterlichen Gehorsams", włożyłem do koperty i posłałem przez special delivery ks. Pitassowi, z prośbą, żeby go sobie przeczytał a potem odesłał do arcybiskupa, gdyż arcybiskup żąda zwrotu tego swego listu „mocą posłuszeństwa kapłańskiego". Następnie dopiero odpowiedziałem arcybiskupowi, że ów list, którego zwrotu on ode mnie zażądał, posłałem był ks. Pitassowi do Buffalo, ale że już ks. Pitassa poprosłem, ażeby go napowrót odesłał Waszej Ekscelencji.

W ten sposób był wilk syty i koza cała!

Tymczasem ks. Pitass, dostawszy raz do rąk swoich ów oryginalny list arcybiskupi wraz z dołączonym rozkazem zwrotu, uparł się i za nic w świecie potem nie chciał go zwrócić arcybiskupowi Katzerowi. Tylko schował go do swojej ogniotrwałej szafy żelaznej, żeby ani złodziej go nie ukradł ani ogień nie spalił. I mówił:

— Ten list pozostanie tu zawsze u mnie jako dowód krzyżackiej intrygi i obłudy.

I pozostał u niego. Arcybiskup nigdy go nie dostał zpowrotem. Ani ja go nie mogłem od ks. Pitassa wydostać.

Potem arcybiskup Katzer publicznie w gazetach upomniał się o zwrot tego swego listu, mówiąc, że go żądał jedynie w tym celu, żeby go ogłosić w gazetach. Lecz dowcipny ks. Pitass na to odpowiedział:

— Jeżeli arcybiskupowi się rozchodzi jedynie o ogłoszenie tego swego listu, to Jego Ekscelencja nie potrzebuje się tem fatygować. Ja go sam ogłoszę!

I wtedy dopiero kazał ks. Pitass ów list arcybiskupi ogłosić w „Polaku w Ameryce". Ale oryginału arcybiskupowi nie zwrócił.

Dosłowne to ogłoszenie własnoręcznego listu arcybiskupa było zresztą zupełnie na czasie. Nietylko bowiem wyjaśniło ogółowi, dlaczego właściwie delegaci nie jadą do Rzymu, ale nadto udowodniło dokumentnie, że ponowne to odłożenie wyjazdu nie nastąpiło z winy delegacji. Ogół się niecierpliwił już i sarkał na delegację, że ciągle odkłada z dnia na dzień swój wyjazd do Rzymu. Tak naprzykład „Wielkopolanin", organ księży ze Zgromadzenia Ducha św. w Pittsburgu, Pa., brał za złe delegacji, że odłożyła swój wyjazd aż do wyjazdu arcybiskupa Katzera i pisał o nas między innemi w taki uszczypliwy sposób:

„Kongres wyznaczył delegację do Rzymu: Ks. Jana Pitassa z Buffalo i ks. Wacława Kruszkę z Ripon, Wis. Ci jechać mieli do Rzymu jeszcze w zimie, ale dla niewytłumaczonych dotąd przyczyn odłożyli oni wyjazd swój aż do dnia wyjazdu arcybiskupa Katzera, — tak nieprzymierzając i nie ubliżając, — jak gdyby nie umieli tam sami trafić." (W kwietniu r. 1902.)

Więc już to nam za złe brano, że „aż do dnia wyjazdu arcybiskupa" odkładaliśmy nasz wyjazd. A tu Wydział Wykonawczy radził nam jeszcze dłużej zwlekać, rzekomo z tej przyczyny, że trzeba „załatwić sprawę najpierw z tutejszymi biskupami". Tę niby przyczynę podał Wydział Wykonawczy jeszcze wtedy, kiedy

nam się nadarzyła sposobność właśnie z jednym „z tutejszych arcybiskupów sprawę załatwić" w Rzymie. Zresztą już pół roku od Kongresu upłynęło i do „załatwienia sprawy z tutejszymi biskupami" było dosyć czasu. Takiej tedy przyczyny zwłoki ogół nie mógł zrozumieć, bo nie była to rzeczywista przyczyna, lecz tylko pozorna. Rzeczywista przyczyna, dla której delegacja nie miała z arcybiskupem jechać, była ta, że ktoś inny chciał z nim jechać. Ale tę rzeczywistą przyczynę dotychczas ukrywano przed oczami ogółu i, ażeby ją nadal ukryć, wyszukiwano rozmaite pretekstu, dla których delegacji nie wypadało jechać z arcybiskupem.

69. List arcybiskupa do ks. Gulskiego.

Istotna wszakże prawda, jak oliwa, wnet na wierzch wypłynąć musiała. Dnia 28 marca 1902, jak to w rozdziale 66 nadmieniłem, ks. Pitass ostatecznie postanowił nie jechać do Rzymu. Ażeby go ogół znowu nie winił, że ciągle odkłada swój wyjazd do Rzymu, pan Ślisz, jego sekretarz, już wtedy zapowiedział, że „intryga musi odnieść zasłużoną karę", i że wkrótce „przedstawi całą sprawę ogółowi do rozstrzygnięcia". I zaczął ją przedstawiać zaraz na drugi dzień 29 marca 1902, rozpoczynając w „Polaku w Ameryce" szereg artykułów pod tytułem „Czytajcie i sądźcie". Pan Ślisz swojem ciętem piórem rąbał niemiłosiernie Wydział Kongresowy i zarząd Stowarzyszenia Świeckich Księży, powołując się na list arcybiskupa Katzera z 6 marca, którego atoli jeszcze dosłownie nie był ogłosił. „Polak w Ameryce" tak tłumaczył powód, dla którego ks. Pitass nie jedzie do Rzymu:

„Wszystko było przygotowane do podróży, gdy wtem Przew. ks. J. Pitass otrzymał od Wydziału Kongresowego pismo, aby podróż swą odłożył na później... Ks. Pitass odpowiedział, że dnia wyjazdu odłożyć się nie da... Zanim na ten list odpowiedział Wydział Kongresowy, nadszedł odpis listu Najprzew. ks. arcybiskupa Katzera, wystylizowany do Ks. Kruszki, w którym go zawiadamia, że pewni polscy księża odbyli zgromadzenie, na którem uchwalono, aby zaprotestować w Rzymie przeciw delegacji i uznać ją za niekompetentną, jeżeliby ta wybrała się do Rzymu.

„Ten protest miał być posłany zaraz za delegacją.

„Ks. arcybiskup, ubolewając nad tą niezgodą, jaka panuje pośród księży polskich, dał w swym liście do zrozumienia, że wobec takich warunków Polacy do niczego nie przyjdą, a równocześnie

wyraźnie dodał, że nie myśli nadal zajmować się staraniami Polaków i odwołuje swe zaproszenie, aby w jego towarzystwie polska delegacja jechała do Rzymu.

„Kto byli owi księża, którzy takie pismo wystosowali do ks. arcybiskupa Katzera i nakłonili go do tego, aby nam odmówił swej życzliwości i poparcia, nie wiedzieliśmy na razie, ale dalsze fakta pouczyły nas, że winnych potrzeba szukać w zarządzie nowo utworzonego towarzystwa polskich księży i w samym Wydziale kongresowym.

„Pomimo takich przeszkód delegacja nie upadła na duchu i czyniła dalsze przygotowania do wyjazdu, ale to, co się później stało, pouczyło ją, że wyjazd ten jest niemożebnym i wobec stanowiska, jakie zajął tak zarząd nowo utworzonego towarzystwa księży polskich, jak i Wydział kongresowy, nie miałaby w Rzymie wstępu, nie uważanoby ją za przedstawicielkę amerykańskiej Polonji, owszem nazwanoby ją samozwańczą.

„Intryga odegrała tutaj główną rolę i spaczyła na długie lata prace obydwóch Kongresów".

Za „Polakiem w Ameryce" poszły inne gazety, jak „Dziennik Milwaucki", „Kurjer Polski", „Dziennik Chicagoski". Największe oburzenie było na wschodzie. Pittsburski „Wielkopolanin" pisał:

„W zeszłym, Wielkim Tygodniu, słyszeliśmy w kościele, że gdy Chrystus Pan fundował i zakładał Kościół katolicki, faryzeusze intrygowali przeciw Niemu, przyprawili Go o śmierć i wołali: „Krew jego na nas i na dzieci nasze!"

„Dziś, gdy nam prawo i dobro polskiego Kościoła katolickiego w Ameryce ukrzyżowali intryganci i zamordowali, — z ust każdego poczciwego Polaka wyrwać się musi przekleństwo: Krew Jego niech spadnie na was, intryganci, i na zamiary i ambicje wasze! Bodajeście marnie zczezli!"

Z takiego tłumaczenia powodu, dla którego delegacja odłożyła swój wyjazd do Rzymu, oczywiście nie był zadowolony zarząd Stowarzyszenia Świeckich Księży w Chicago, na którego niesłusznie zwalano całą winę. Bo zarząd ten wcale nie odgrywał roli denuncjanta u arcybiskupa Katzera. Stwierdził to i udowodnił mi ówczesny kanclerz arcybiskupi, ks. A. F. Schinner, który w liście dnia 5 kwietnia 1902, pisanym do mnie, wyraźnie zaznaczył, co następuje:

„Co się tyczy tego protestu u Propagandy, to powiedział mi tę rzecz pewien polski ksiądz, który mi doniósł i o tem innem (zgromadzeniu księży, odbytem w Chicago), a którego nazwiska ja nie czuję się upoważnionym Ci wymienić.“

Zarząd przeto zapytał tego „pewnego polskiego księdza“:

— Coś ty tam powiedział arcybiskupowi? że my uchwalili protestować u Propagandy?

Znowu ów „polski ksiądz “ nie pamiętał już, co doniósł arcybiskupowi. Więc zapytał arcybiskupa.

— Coś Ekscelencja napisał księdzu Kruszce, gdyś mu oznajmił, że nie może z Ekscelencją jechać do Rzymu?

Lecz arcybiskup Katzer także dokładnie nie pamiętał, co napisał ks. Kruszce. W dodatku, tego samego dnia 4 kwietnia z listu ks. Kruszki dowiaduje się arcybiskup, że chicagoscy księża posądzają go, jakoby on albo sam zmyślił ów „protest u Propagandy“, albo dał się komuś wziąć na kawał. Więc natychmiast posłał ks. Kruszce ów rozkaz, zaczynający się od słów: „Kraft priesterlichen Gehorsams“, ażeby mu zwrócił list z dnia 6 marca, w którym zrobił wzmiankę o „proteście u Propagandy“. A owemu „księdzu polskiemu“ jeszcze tego samego 4-go kwietnia, na jego zapytanie odpowiedział tyle, ile pamiętał, mianowicie, że „ogólnym celem i treścią“ owego listu z dnia 6 marca było, żeby „ks. Kruszka z nim nie jechał do Rzymu“. Bo już kto inny chciał z nim jechać. Ale tego nie napisał; tylko zamiast tego napisał: „bo słyszałem, jakoby w Chicago **na jakiemś zebraniu** postanowiono ks. Kruszkę i ks. Pitassa wstrzymać od wyjazdu do Rzymu, a w razie przeciwnym chciano zaprotestować“. Poprostu „na jakiemś zebraniu chciano zaprotestować“ — tyle on ks. Kruszce napisał. Czy to „zebranie“ było zebraniem księży, i czy chciano zaprotestować aż w Rzymie u Propagandy, tego on nie pamiętał, żeby napisał ks. Kruszce. I dlatego zażądał zwrotu swego listu. On, arcybiskup, nie chciał mieć nic do czynienia z ks. Kruszką i ks. Pitassem jako delegatami w sprawie polskiej. Ale to, podług rozumowania Jego Ekscelencji, bynajmniej nie znaczyło, jakoby on nic nie chciał mieć do czynienia ze sprawą polską, jak to artykuły gazeciarskie mylnie z jego listu do ks. Kruszki wnioskowały. Owszem — temi słowy zakończył arcybiskup swój list do owego „księdza polskiego“ — „przekonasz się sam w Rzymie, Wielebny Księże, co dla Polaków uczy-

niłem już w miesiącu styczniu. Czego się tam dowiesz, będzie dowodem, co o artykułach gazeciarskich sądzić można".

Takie wyjaśnienie dał arcybiskup, a zarząd Stowarzyszenia Świeckich Księży ogłosił je w gazetach. Po ogłoszeniu tego wyjaśnienia dopiero ks. Pitass podał do gazet dosłowne brzmienie owego listu arcybiskupiego z dnia 6 marca, w którym arcybiskup wyraźnie pisał, że to było zebranie księży, i że to zebranie księży chciało zaprotestować u Propagandy w Rzymie, i że on dlatego nie chce mieć nic do czynienia z delegacją w sprawie polskiej. Czy z tego gazety podówczas mylnie wnioskowały, że on wogóle nie chciał mieć nic do czynienia ze sprawą polską, to dalsze wypadki miały nieomylnie udowodnić, a nie gołosłowne zapewnienia arcybiskupa. Words' are cheap, but it cost money to buy whisky.

Ale oto wyjaśnienie arcybiskupa, tak jak je zarząd Stowarzyszenia Świeckich Księży Polskich do gazet podał:

Wyjaśnienie Zarządu Stowarzyszenia Księży Polskich w Ameryce w sprawie delegacji.

(Z „Gazety Katolickiej".)

„Polak w Ameryce", w dniu 28-ym marca r. b. między innemi pisze: „Ks. Arcybiskup Katzer... nie myśli nadal zajmować się staraniami Polaków". Nie wierzono zgóry, znając życzliwość ks. Arcybiskupa względem Polaków, ażeby on miał się w podobny sposób wyrazić. List ks. Arcybiskupa, którego w tej sprawie poprosiliśmy o wyjaśnienie, najzupełniej to potwierdza. Oto co ks. Arcybiskup pisze:

Milwaukee, dnia 4 kwietnia 1902.

Przewielebny Ks. J. Gulski

w Milwaukee.

Wielebny i Kochany Księże!

Jeszcze nigdy nic w mojem życiu nie oburzyło mnie tak, jak tłumaczenie mego listu z dnia 5 czy 6-go marca br., którego ogólnym celem i treścią było, na ks. Kruszkę wpłynąć, aby ze mną do Rzymu nie jechał. Dzisiaj pisałem do ks. Kruszki, aby mi ten list zwrócił. Jeżeli go jeszcze ma i mnie go wyda, wtenczas ogłoszenie tegoż dowiedzie, co o artykułach umieszczonych w polskich gazetach sądzić można. Jeżeli go zaś nie wyda, to niechaj służy do publicznej wiadomości co następuje:

Zaprzeczam stanowczo i bez zastrzeżeń, że do niego pisałem, albo do kogokolwiek mówiłem albo nawet pomyślałem, jakobym nie chciał z wiadomą sprawą nic więcej mieć do czynienia. Com już uczynił i jeszcze czynić zamierzam, dowodzi wręcz przeciwnie.

Nie miałem żadnego powodu o jedności lub niejedności Polaków mówić. Nie mogę też sobie wcale przypomnieć, że o tem kiedykolwiek wspomniałem. Jeżeliby jednakowoż w moim liście jakakolwiek o tem wzmianka była, mogłoby się to najwyżej odnosić do tego, że jedni są za delegacją, drudzy przeciw, ale żadną miarą nie odnosi się do tego, jakobym ja polskiej sprawy nadal nie chciał popierać.

Pisałem wprawdzie do ks. Kruszki początkowo, że ich towarzystwo t. j. ks. Pitassa i ks. Kruszki byłoby dla mnie przyjemne; wiadomość tę ks. Kruszka ogłosił, które to ogłoszenie wiele nieprzyjemności mi sprawiło, zwłaszcza dlatego, że przez ogłaszanie tejże naszej wspólnej podróży — takową niektórzy za urzędową uważali — coby sprawie mogło zaszkodzić. Nadto słyszałem, jakoby w Chicago na jakiemś zebraniu postanowiono ks. Kruszkę i ks. Pitassa wstrzymać od wyjazdu do Rzymu, a w razie przeciwnym chciano zaprotestować.

Prosiłem wtedy ks. Kruszkę, aby ze mną nie jechał, lecz aby tego nie brał mi za złe, gdyż go obrazić nie chciałem. Nie pojmuję wcale, w jaki sposób można było list mój rozumieć tak, jak podług Twego tłumaczenia, polskie gazety podały, Życzyłbym sobie, aby ten list odnaleźć i opublikować.

Zresztą przekonasz się sam w Rzymie, Wieleb. Księże, co dla Polaków uczyniłem już w miesiącu styczniu. Czego się tam dowiesz, będzie dowodem, co o artykułach gazeciarskich sądzić można.

Oddany

† *F. X. Katzer*, Arcyb. Milwaukee.

List powyższy jest dosyć wyraźny i komentarzy nie potrzebuje. Od siebie dodamy chyba tylko to, że nam jako Zarządowi Stowarzyszenia Świeckich Księży — o intrygach — przeciw delegacji do Rzymu wcale się nie śniło i nie pojmujemy wcale, jakiem prawem i jakim sposobem „Polak w Ameryce“ śmiał nas o jakieś intrygi posądzać. Owszem zaznaczamy, iż uważając wyjazd delegacji za przedwczesny i to dla powodów, danych w sprawozdaniu Wydziału Kongresowego, mieliśmy sobie za obowiązek, zwrócić uwa-

gę w naszej odezwie, aby księża polscy zastosowali się do życzeń tegoż Wydziału Wykonawczego.

Na wszelkie inne niczem nie usprawiedliwione wycieczki „Polaka w Ameryce“ i jego wspólników szczegółowo odpowiadać uważamy za niepotrzebne.

Ks. St. Nawrocki, prezes.
Ks. J. Pacholski, wice-prez.
Ks. J. Szukalski, I-szy sekr.
Ks. K. Gronkowski, II-gi sekr.
Ks. F. Wojtalewicz, kasjer.

70. Nadzieje, pokładane w arcybiskupie Katzerze, były cudne i piękne jak bańki mydlane. — Szyderstwa z delegacji. — Ks. Pitass nie dał się fałszywie informować. — Hejże na Soplicę!

Tak więc nadszedł zapowiadany dzień 12 kwietnia 1902 r. i arcybiskup Katzer „z całą przyjemnością“ pojechał do Rzymu, wprawdzie nie z delegacją przez kongres nasz wybraną, ale razem ze swoim serdecznym przyjacielem przewielebnym ks. Jackiem Gulskim, konsultorem archidiecezji milwauckiej. Teraz po wyjeździe arcybiskupa dopiero się zaczęły prawdziwe harce odbywać na polu gazeciarskiem. Obok starych, nowi rycerze pióra wystąpili na widownię i zaczęli się ćwiczyć w szermierce pisarskiej. Większość księży, zwłaszcza na wschodzie, dość sceptycznie i pesymistycznie zapatrywała się na tę „nową delegację“, jadącą do Rzymu w sprawie Polonji amerykańskiej, choć nie posłaną przez Polonję amerykańską. Za to na zachodzie ci wszyscy, którzy ks. Gulskiego wysunęli na front, dziwnem wykalkulowaniem miewali nadzwyczaj różowe nadzieje. A takimi optymistami bywały najwyższe powagi w kościele, powagi tak wysokie jak niebotyczne góry, jak naprzykład ks. B. E. Góral, ówczesny profesor niemieckiego seminarjum w St. Francis, Wis. Te i tym podobne góry powag profesorskich i nieprofesorskich kazały nam się spodziewać tak wielkich rzeczy, że mimowoli obawą napełniały, żeby czasem nie spełniły się te słowa rzymskiego poety Horacjusza:

Parturiunt montes, — nascetur ridiculus mus.
(Stękają góry, — narodzi się śmieszna mysz.)

Ks. B. E. Góral, podówczas nowy harcownik występujący odrazu w pełnym rynsztunku na arenę publiczną, po tej „nowej delegacji“ obiecywał sobie złote góry i w sążnistym artykule pod

tytułem „Nasze Nieporozumienia“ w chicagoskiej „Gazecie Katolickiej“ 17 kwietnia 1902 r. tak wyrokował i prorokował:

„Twierdzę z całą stanowczością, a mam na to niezbite dowody, że nasz arcypasterz (tak nazwał arcybiskupa Katzera) żywi dla nas jaknajserdeczniejsze uczucia, **co też niedaleka przyszłość jasno wykaże“.**

W tymże artykule ks. B. E. Góral przypomina czytelnikom, że „już przed nieomal trzema miesiącami“ ogłosił był artykuł p. t. „Festinemus lente“ (Spieszmy się powoli), w którym także prorokował i delegacji naszej, już i tak żółwim krokiem wlokącej się do Rzymu, dawał mądre rady, żeby się zbytnio nie spieszyła. Nieprzymierzając, zupełnie tak jak gdyby wołał:

— Żółwiu, nie spiesz się!

Zaś ks. St. Nawrocki, prezes Stowarzyszenia Świeckich Księży, w artykule „Jeszcze w sprawie delegacji“ 17 kwietnia 1902 publicznie szydził z naszej delegacji, stawiając jej bezczelnie takie pytanie:

„Czemuż nie jedzie (do Rzymu), tylko śpiewa o wymarzonych intrygach i protestach? A propos protestu — **tego nigdy i nigdzie nie było,** — bez względu na to, co ks. Kruszka pisze w „Kurjerze Polskim“ i bez względu na to, na jakich źródłach to swoje pisanie opiera. Kto zaś podobne fałszywe informacje ks. arcybiskupa podał i czy podał, nie moja sprawa badać“.

Nie ks. Nawrockiego, ale to była delegacji sprawa badać! Zwłaszcza to wiele znaczące **„czy podał“.**

Wiadomo, że arcybiskup Katzer rozkazał mi „mocą posłuszeństwa“ zwrócić sobie ów list, w którym pisał do mnie o **proteście księży.** Otóż wielu mniemało, że ja, posłuszny takiemu rozkazowi, zwróciłem już arcybiskupowi ów list i że nie posiadam już więcej żadnych autentycznych dowodów o tym proteście. Z tego niektórzy chcieli skrzętnie skorzystać i klin wbić w samąż delegację, żeby mnie i ks. Pitassa rozdwoić. Dla udobruchania ks. Pitassa, a właściwie dla poróżnienia go ze mną, dwie chicagoskie gazety „Naród Polski“ i „Gazeta Katolicka“, mniemając, że ja ks. Pitassowi posłałem tylko kopję listu arcybiskupiego a nie własnoręczny oryginał, — ten, myślały, znajduje się już w rękach arcybiskupa — **koniecznie wmawiały w ks. Pitassa,** że on się dał fałszywie poinformować przez ks. Kruszkę. Ks. Kruszka sfałszował listy arcybiskupie, on tym wszystkim nieporozumieniom jest winien! Hejże na Soplicę!

Ale stary ks. Pitass, podobnie jak stary Maciek w Panu Tadeuszu, taką dał tym krzykaczom odprawę w „Polaku w Ameryce“ 20 kwietnia 1902 r. w naczelnym artykule pod tytułem: „W imię sprawiedliwości“.

„Nietylko polsko-amerykańskie, ale nawet i staro-krajowe gazety rzucają kamieniem potępienia na ks. Kruszkę z Ripon, Wis., i posądzają go, że nikt inny jak tylko on jest winien nieporozumieniom, jakie powstawały pomiędzy Wydziałem kongresowym i Zarządem nowego towarzystwa księży polskich z jednej, a delegacją, mającą udać się do Rzymu, z drugiej strony.

„Wszystkiemu temu złemu ma być winno ogłoszenie listu Najprzew. ks. arcybiskupa Katzera z Milwaukee, w którym tenże oświadczył, że towarzystwo delegacji, w podróży do Rzymu, będzie mu bardzo miłem. Za ogłoszenie tego listu potępiają ks. Kruszkę i przypisują mu wszystkie późniejsze złe następstwa.

„Czyż, przez ogłaszanie takiej wiadomości popełnił ks. Kruszka zbrodnię i zasłużył sobie na to, aby poniewierano nim i złorzeczono mu w prawdziwie brutalny sposób? Wcale nie, bo ks. Kruszka ogłosił tylko to, co ks. arcybiskup Katzer dał mu na piśmie i co mogło zainteresować amerykańską Polonję.

„Gdyby nawet ks. Kruszka do listu ks. arcybiskupa był dodał jakąś drobną wzmiankę, że ks. arcybiskup chce się w Rzymie zająć sprawą amerykańskiej Polonji, to jeszcze i tak nie popełniłby nic złego, bo uczyniłby to na zasadzie listu pisanego do niego przez ks. arcyb. Katzera jeszcze zeszłej jesieni.

„W liście tym jest pomiędzy innemi takie zdanie: „Weunschen Sie, dass ich Ihre Sache befuerworte, so werde ich dass in eigenem Briefe thun“. (Życzy sobie ksiądz, abym waszą sprawę popierał, to uczynię to w osobnym liście.)

„Tak pisał ks. arcybiskup po przeczytaniu memorjału.

„Czyż zatem, ks. Kruszka nie mógł się spodziewać, że ks. arcybiskup uczyni to samo w Rzymie ustnie, co przyobiecał uczynić piśmiennie?

„Pomimo tego ks. Kruszka nie opierał się na przypuszczeniach, ale ogłosił tylko to, na co miał dane w ręku.

„Zresztą niesłusznie tak gazety jak i wielu księży potępia samego ks. Kruszkę, bo we wszystkiem znosił się z swym starszym konfratrem ks. Pitassem z Buffalo i dopiero po wzajemnem porozumieniu się, czyniono dalsze przygotowania i kroki w poruczonej sobie misji. Dlaczego więc na samego ks. Kruszkę rzucacie gromy

potępienia, kiedy zawsze zasięgał rady swego konfratra i czynił to słusznie.

„Nie sam ks. Kruszka więc jest odpowiedzialny za to, ale jest odpowiedzialna cała delegacja i ta tę odpowiedzialność bierze na siebie i jest gotowa w każdej chwili dowieść, że postępowała sobie jak nakazywały jej sumienie i obowiązek.

„Nie szła drogą wykrętnej, obłudnej i pogańskiej dyplomacji, ale postępowała szczerze i otwarcie, a to jej tylko przynosi zaszczyt.

„Jeżeli zatem w przyszłości będzie miał ktoś zamiar zbeszcześcić lub sponiewierać ks. Kruszkę i to za niepopełnione winy, to niech że już raczej czepia się delegacji, bo ks. Kruszka nic nie przedsiębrał na własną rękę.

„To każe nam przyznać słuszność i sprawiedliwość, a możemy to uczynić z ręką na sercu, bo byliśmy poinformowani o najdrobniejszych szczegółach dotyczących polsko amerykańskiej delegacji do Rzymu.

„Wypadałoby jeszcze rozprawić się tutaj z artykułem Wiel. ks. Nawrockiego z Chicago, zamieszczonego w ostatnim numerze „Gazety Katolickiej", w którym to artykule autor chce dowieść, że delegacja nie miała prawa wyjeżdżać do Rzymu, nie otrzymawszy na to pozwolenia od Zarządu nowego towarzystwa księży polskich.

„Zdaje się, że szanowny autor zapomniał o tem, iż delegację do Rzymu wybrał Kongres, a nowe towarzystwo księży polskich nie miało z tem nic do czynienia, bo utworzone zostało dopiero w cztery miesiące po Kongresie.

„Na inne ustępy artykułu nie można odpowiadać, nie mają one żadnej bowiem treści, nie odznaczają się logiką, a jeżeli daje się w nich coś zauważyć, to chyba grubjaństwo, brak wykształcenia i wychowania.

„Wdzięczni jesteśmy „Narodowi Polskiemu" za okazywanie nam zawsze życzliwości, ale za twierdzenie, jakoby „Polak w Ameryce" padł ofiarą fałszywych informacji i doniesień ze strony ks. Kruszki, nie jesteśmy mu wcale zobowiązani. Ks. Kruszka nigdy nas fałszywie nie informował, a jeżeli nam donosił o czem, to na wszystko przytaczał niezbite dowody.

„Polak w Ameryce" nie padł więc ofiarą fałszywych doniesień, bo wszystkie jego artykuły, pisane o intrygach przeciw delegacji do Rzymu, były oparte na pewnych faktach.

„Na ostatek winniśmy tu jeszcze nadmienić, że tak Wydział kongresowy jak i Zarząd towarzystwa księży polskich tylko pośrednio winne są temu, że fałszywie poinformowano ks. arcybiskupa Katzera w Milwaukee o zgromadzeniu księży polskich, którzy w danym razie mieli zaprotestować u Propagandy przeciw delegacji mającej się udać do Rzymu.

„Teraz wychodzi na jaw, że owe zgromadzenie księży polskich i ów protest były tylko fikcją, były fałszywą wiadomością puszczoną w kurs przez pewnego ambitnego księdza, który przy sprawie obchodzącej cały polsko-amerykański ogół, chce upiec i własną pieczeń.

„Wydział kongresowy i Zarząd nowego stowarzyszenia księży polskich były winne, że zbyt zaufały księdzu, który następnie z ich wiedzą lub może bezwiednie nadużył ich zaufania.

„Sprawa zaszła jednak tak daleko, że trudno było wyrzec się wspólnictwa bez ściągnięcia na siebie kompromitacji".

Taką odprawę dał ks. Pitass tym, którzy sądzili, że ks. Pitass dał się źle poinformować przezemnie, tak samo, jak arcybiskup Katzer dał się źle poinformować przez innego księdza. Alleż ks. Pitass nie był wcale tak łatwowiernym. On żądał autentycznych piśmiennych dowodów, a na prostę „doniesienie" nie rozpoczynał działania.

U arcybiskupa zaś dostateczną podstawą do działania bywało to, że mu „tak doniesiono", że on „tak słyszał". Ile razy w „Kurjerze Polskim" ukazał się jakiś pieprzny lub zadzierżysty artykuł, który się nie spodobał pewnemu księdzu, zaraz arcybiskup gromił mnie, mówiąc, że ja ten artykuł napisałem. Więc go raz tak zagadnąłem:

— Skąd Excelencja Wasza tak o mnie sądzi?

— Ja tak słyszałem; tak mi doniesiono.

— Excelencjo! Ja słyszałem, że jakiś rozzuchwalony artysz po bierzmowaniu na osobności wymierzył policzek Waszej Excelencji. Bo istotnie tak słyszałem. Ja wszakże nie wierzę temu. Ale jeśli Wasza Excelencja nadal sądzić mnie będzie ze słyszenia to i ja Waszą Excelencję tak sądzić będę i wierzyć będę wszystkim plotkom, jakie o Waszej Excelencji usłyszę.

Arcybiskup nic mi na to nie odpowiedział.

Gdyby arcybiskup Katzer, zanim napisał do mnie te słowa: „doniesiono mi, że jakieś zebranie księży uchwaliło protest u Propagandy", — był zażądał piśmiennego dowodu od tej osoby,

która go tak poinformowała, byłby uniknął wiele kłopotów i nieporozumień. Niestety, miał on zauszników, którym wszystko wierzył na gołe słowo. I proste „doniesiono mi" lub „tak słyszałem" wystarczało mu do rozpoczęcia akcji lub powzięcia ważnej decyzji. Ma się rozumieć, tak łatwowiernym był on tylko wtedy, kiedy mu to „doniesienie" było na rękę, kiedy już skądinąd sam chciał kogoś uderzyć.

71. Byli tacy, co nie Rzym ale episkopat amerykański uważali za Skałę Piotrową. — We walce o biskupów polskich jedynie w Skale Piotrowej mamy silny grunt pod nogami.

Nie darmo mówi polskie przysłowie, że nadzieja jest matką głupich. To jest, jeśli nadzieja pokładana jest w ludziach jako kreaturach. W sprawie biskupów polskich nadzieja, pokładana w biskupach niemieckich i ajryskich, a nie w Rzymie, z natury rzeczy musiała być iluzją czyli złudzeniem. Bo biskupi, to słudzy Rzymu. Na takich ludziach, ani na ich obietnicach, jako na zbyt kruchej podstawie, żaden rozsądny człowiek nie będzie opierał swych nadziei. Rzym ustanawia biskupów. Więc na skale Piotrowej w Rzymie, czyli na obietnicy Chrystusowej, należało nam opierać swoje nadzieje w sprawie biskupów polskich.

Niestety, mieliśmy zawsze takich krótkowidzących polityków, którzy nietylko w roku 1902, ale i po roku 1904, kiedy to już Papież sam w sprawie biskupów polskich dał wyrok przychylny, jeszcze ciągle pokładali swoje nadzieje nie w Rzymie, tylko w tutejszych biskupach amerykańskich, wierząc łatwo ich obiecankom i mniemając naiwnie, że przymilaniem się i płaszczeniem uzyskają biskupów dla Polaków. To był kardynalny błąd, z którego oby się raz poprawili. Bądźmy pokorni wobec przełożonych, ale nie bądźmy nigdy podłymi. Kto się płaszczy i pochlebia, by coś zyskać, ten jest podłym, a nie pokornym. Bądźmy głęboko przekonani, że w sprawie biskupów polskich tutejsi biskupi amerykańscy żadnych ustępstw nam nie uczynią dobrowolnie. Uczynią nam je dopiero wtenczas, kiedy będą zmuszeni przez Rzym.

Z takiego założenia wychodził mój współdelegat ks. Jan Pitass i dlatego nie wierzył w to, żeby tutejsi biskupi coś dla Polaków zrobili. Atoli wierzyli w to księża i jeden cywilny z Wydziału kongresowego. Więc ks. Pitass, dla zachowania formy, powiedział im:

— Jeśli wierzycie w to, to spróbujcie. Ja nie będę próbował, bo w to nie wierzę.

I spróbowali. Lecz episkopat amerykański, reprezentowany przez arcybiskupów zebranych na konferencji w Washingtonie, w listopadzie 1901, dał im jasną i niedwuznaczną odpowiedź — odmowną! Ta odpowiedź najzupełniej nam wystarczyła dla zachowania formy czy też dla wysondowania opinji tutejszego episkopatu. Głowa episkopatu dała nam odmowną odpowiedź; po co nam było się jeszcze łudzić, że poszczególne członki tego episkopatu coś dla nas zrobią przeciwko tej głowie?

Przez arcybiskupów, zebranych w Washingtonie, przecie głowa całego episkopatu amerykańskiego przemówiła, i rzecz była już temsamem załatwiona z poszczególnemi członkami episkopatu. Lecz księża z Wydziału kongresowego ciągle jeszcze powstrzymywali wyjazd delegacji do Rzymu, bo mówili, że muszą jeszcze od tej głowy apelować do poszczególnych członków, to jest, muszą jeszcze jeden memorjał wysłać do poszczególnych biskupów.

I na to także delegacja dała im jeszcze kilka miesięcy czasu. Ale Wydział Wykonawczy z przesłaniem swego memorjału do niższej części episkopatu zwlekał coś cztery miesięce. A tymczasem świeccy obywatele i księża coraz głośniej sarkali na delegację, że nie wyjeżdża do Rzymu. I pytali, czemu. Gazety już publicznie zarzucały delegacji, iż „zadrwiła sobie z uchwały Kongresu i ani nie myśli o wywiązaniu się z przyjętego na siebie obowiązku". Dlaczego wówczas Wydział Wykonawczy, który powstrzymał delegację, nie wystąpił w jej obronie i nie oświadczył publicznie, że to zwlekanie z wyjazdem dzieje się wskutek jego wyraźnego życzenia?

Cały ten czas, począwszy od grudnia 1901 aż do kwietnia 1902, Wydział Wykonawczy poświęcił jedynie na zbieranie różnych obiecanek od arcybiskupa Katzera, jak to w urzędowem sprawozdaniu z dnia 19 maja 1902 opisuje:

„W sprawie sufraganów polskich udaliśmy się jedynie do Najprzew. X. F. Katzera, arcybiskupa w Milwaukee, Wis., jako najwięcej sprzyjającemu sprawie naszej. Podówczas (w grudniu 1901) o rezultacie zaniesionej do niego petycji tyle mogliśmy powiedzieć, że przyjętą została najprzychylniej. Do powyższych wiadomości dziś (w maju 1902) dodać możemy, że Jego Excelencja

ks. arcybiskup Katzer wkrótce po otrzymaniu naszej petycji oświadczył nam piśmiennie, że pracuje nad listem w sprawie naszej do Propagandy, oraz że zażądał od nas w przekładzie łacińskim dokumentów tyczących się kwestji polskich biskupów, jako też spisu najwybitniejszych księży polskich w Ameryce. Wszystko to jeszcze w miesiącu styczniu jemu przesłanem zostało.

„Zrobiwszy dość pomyślny początek w Milwaukee, udaliśmy się następnie listownie do innych przez Polaków licznie zamieszkałych diecezji".

Ten drugi memorjał do poszczególnych biskupów rozesłany został dopiero w połowie kwietnia 1902 r. Prócz jednego, który dał odmowną odpowiedź, zresztą żaden inny biskup na ten memorjał Wydziału Wyk. nie odpowiedział ani półsłówkiem. W urzędowem sprawozdaniu Wydziału kongresowego czytamy tak dalej:

„Kiedyśmy krzątali się około wyżej wspomnianego memorjału, dowiedzieliśmy się z gazet, że delegacja, w której rolę nader czynną odgrywa ks. W. Kruszka, niebawem wyjeżdża do Rzymu. Nie było to nam na rękę, zwłaszcza, że w gazetach angielskich wyjazd delegacji szumnie ogłoszonym został. Stanęliśmy wobec zagadnienia: albo powstrzymać wyjazd delegacji do Rzymu albo zaniechać wysłania memorjału do arcybiskupów i biskupów tutejszych. Obraliśmy alternatywę pierwszą. Stąd powstały rzekome tak głośno reklamowane nieporozumienia między delegacją a Wydziałem Wykonawczym".

Taka alternatywa, o jakiej powyżej mowa, wcale nie była potrzebna. Albowiem delegacja już w połowie lutego ogłosiła, że wyjedzie do Rzymu razem z arcybiskupem prawdopodobnie 12 kwietnia. Zatem były prawie dwa miesiące czasu do rozesłania memorjału do poszczególnych biskupów, jeśli go się już koniecznie rozesłać chciało, zanim delegacja wyjedzie. Ale za tym kamuflażem ukrywała się inna przyczyna, dla której się powstrzymywało wyjazd delegacji: Delegat samozwańczy chciał jechać do Rzymu.

W owym czasie, na początku kwietnia 1902, „Polak w Ameryce", a za nim „Dziennik Chicagoski" i inne gazety pod tytułem „W sprawie polskiego biskupstwa w Ameryce" ogłosiły co następuje:

„Przed niejakim czasem otrzymaliśmy list od pewnego poważnego obconarodowca księdza, zajmującego się szczerze polsko-

amerykańskimi stosunkami, w którym to liście autor twierdzi, że Polacy w hierarchji katolickiego Kościoła w Ameryce nie zajmą nigdy przynależnego im stanowiska.

„Poprosiliśmy go listownie o bliższe szczegóły i dane owego twierdzenia, na co otrzymaliśmy mniej więcej następującą odpowiedź:

„U was Polaków wyrobiło się przekonanie, że amerykańscy księża biskupi i innonarodowi księża dla was nieżyczliwie usposobieni, dlatego też przeszkadzają wam w waszych zamiarach, a mianowicie, aby na amerykańskich stolicach biskupich zasiadali także i polscy księża, a przytem piastowali i inne godności duchowne.

„Wasze mniemanie jest tylko po części usprawiedliwione.

„Gdybyście mieli tylko z uprzedzeniem amerykańskich ks. biskupów i innonarodowego kleru do czynienia, to już dawno uporalibyście się z trudnościami, bo wasza sprawa jest tak słuszna i jasna, że Rzym byłby uwzględnił was i wasze potrzeby.

„Macie jednak nieprzyjaciół waszej sprawy pośród siebie i ci wam przeszkadzają w waszych staraniach i zabiegach.

„Wierzajcie mi, bo mówię to z doświadczenia, że znaczna część waszych księży nie życzy sobie, aby na amerykańskich stolicach biskupich zasiadali polscy księża i kontrolowali ich czynności, co byłoby im bardzo niedogodnem.

„Ci polscy księża krzyżują wasze plany i zabiegi, bo im z tem jest lepiej, że nie mają nad sobą zwierzchnika znającego dokładnie polskie stosunki, lepiej im z tem, że nie ma nikogo takiego, któryby rozumiał potrzeby polskiego ludu i w razie możliwych nadużyć, wcześnie zapobiegł tymże na przyszłość.

„Szukajcie więc nieprzyjaciół u siebie, a nie gdzieindziej!“

„Ostre to są i upokarzające słowa, ale niestety aż nadto prawdziwe“.

Tak, to prawda, co mówił ów obconarodowy ksiądz o pewnych księżach polskich. Ale i to prawda, że takich księży polskich by nie było, gdyby biskup niemiecki lub ajryski nie grał roli zwodziciela przez fałszywe obietnice, dawane niektórym księżom polskim, albo przez otaczanie się faworytami polskimi.

72. Delegacja we własnej obronie. — List do Prefekta Propagandy. — Odpowiedzi na zaczepki ks. Górala, ks. St. Nawrockiego i p. I. Kowalskiego.

Nawet robak, gdy go kto nadepnie, wije się i broni. Tembardziej człowiek. W każdym człowieku gdzieś głęboko na dnie duszy siedzi mocny Broniś i śpi, gdy mu pokój dają; ale gdy go napadają, powstaje ze snu i broni się rękami i nogami. Taki Broniś obudził się i we mnie, gdy mnie napadano publicznie, nie tyle osobiście, ile raczej jako delegata, obranego przez kongres, w najważniejszej sprawie Polonji amerykańskiej. Mój współdelegat ks. Jan Pitass był bliskim rozpaczy. Zniechęcił się do wszystkiego, zrzekał się już delegacji i mówił tak:

— Żeby przynajmniej arcybiskup Katzer zrobił ks. Gulskiego sufraganem. Ale on tego nie zrobi. On może to zrobić; ale ja wiem, że on tego nie zrobi. Żaden biskup amerykański tego dobrowolnie nie zrobi. On co najwyżej powie tam w Rzymie to, co tu powiedział: że w sprawie biskupów polskich wprawdzie Polacy wybrali delegację, ale ta boi się wyjechać do Rzymu, bo jej księża polscy zagrozili protestem u Propagandy. A wtedy my tam w Rzymie już nie możemy się co pokazywać.

Na to we mnie powstał Broniś. Kiedy arcybiskup nam pisał, że miał być protest u Propagandy, to niech będzie protest u Propagandy. I do prefekta Propagandy, kardynała Ledóchowskiego, napisałem list, posyłając mu wycinki gazet o tem, jak arcybiskup zgodził się na wyjazd z nami; i o tem, jak się nie zgodził na wyjazd z nami; i o tem, jak napisał, że księża polscy uchwalili przeciw nam zaprotestować u Propagandy; i o tem, jak księża polscy pisali, że nikomu z nich się nie śniło o podobnym proteście; i wreszcie arcybiskupa list do ks. Gulskiego pisany, jaki kazał ogłosić w gazetach. Oto, co powstrzymało wyjazd delegacji do Rzymu. List ten registrowany wysłałem 12 kwietnia 1902.

Kiedy wojna, to wojna. Kiedy delegacji wojnę wypowiedziano i ciągle ją dalej prowadzono, to delegacja, acz niechętnie na wojnę zaczepną musiała odpowiedzieć wojną odporną.

Intryga, czyli skryte działanie, jak każda tajemnica ma to do siebie, że zaciekawia ludzi i daje im wiele do myślenia i do pisania. Gazety rozpisywały się dużo na temat; „Czemu delegaci nie jadą do Rzymu?“ Kto to był, i czy był kto, co doniósł arcybiskupowi o proteście u Propagandy? Wywiadów było bez liku

Trudno się było opędzić natrętnym reporterom. Jednym z wywiadów, jakie podówczas gazety głosiły, był następujący;

Zapytany przez reportera naszego ks. Wacław Kruszka co ma do powiedzenia w sprawie delegacji do Rzymu, oświadczył co następuje:

„W liście do ks. Gulskiego arcybiskup pisze, jakoby tylko z moją osobą nie chciał mieć nic wspólnego; a z listu jego pisanego do mnie przecie jasno wynika, że dla tego nie chce jechać ze mną, żeby to nie miało pozoru, że on ma coś wspólnego z naszą sprawą „es darf nicht den Anschein haben... dass wir gemeinschaftlich in derselben Angelegenheit... etc.“ Proszę to jasno zaznaczyć...

— —

Ks. arcybiskup był zapytany, nie prywatnie, lecz urzędowo, przez delegację, czy mu przyjemnie będzie, jeśli delegacja polska z Nim wspólnie podróż odbędzie. I na to urzędowe zapytanie delegacja odebrała odpowiedź: „Sie sind mir ganz willkommen“. Wtedy delegacja uchwaliła „dzień wyjazdu arcybiskupa uważać za dzień wyjazdu swojego“ — i ogłosiła tę uchwałę, albowiem zewsząd dopytywano się już od dawna o dniu, w którym delegacja wyjedzie. Wobec tego, że ks. arcybiskup nie podał nam na pewno, kiedy, w którym dniu wyjedzie, delegacja zmuszona była ogłosić, że „dzień wyjazdu arcybiskupa“ będzie i dniem wyjazdu delegacji; żeby to ogłoszenie miało arcybiskupa wprawić w jakiś kłopot, to delegacji ani na myśl nie przyszło, bo przecie podróżowanie wspólne z arcybiskupem na jednym okręcie jeszcze wcale nie dowodzi wspólności interesów; zresztą chociażby to dało niejednemu do myślenia, to delegacji ani na myśl nie przyszło, że ks. arcybiskup nie chce, żeby kto wiedział, że jedziemy we wspólnej sprawie do Rzymu, albowiem często i głośno przyznawał się i przyznaje się jeszcze z chełpliwością i publicznie, że „naszą polską sprawę chce popierać“. Gdyby to, że arcybiskup naszą sprawę popiera, miało zostać tajemnicą przed innymi biskupami amerykańskimi, to by przecie nie ogłaszał tego sam publicznie, co już „w Rzymie zrobił dla Polaków jeszcze w styczniu“...

— —

Gdy się zapytaliśmy ks. Kruszki, czy były jakie intrygi ze strony księży polskich, ks. Kruszka odpowiedział co następuje: „Kiedy mi ks. arcybiskup Katzer nadesłał tę wiadomość, iż mu doniesiono, że na pewnem zgromadzeniu polskich księży (Ver-

sammlung poln. Priester) przyjęto uchwałę, aby księdzu (Kruszce) i ks. Pittasowi donieść, że są oni przeciwni podróży księdza i ks. Pitassa, i że gdybyście pomimo to pojechali, księża ci zaprotestują u Propagandy" — i „unter diesen Umstaenden" nie możemy z nim (arcybiskupem) jechać — wtedy natychmiast udałem się listownie do ks. Sztuczki, sekretarza Wydziału Wykonawczego, i cytując mu powyższe słowa biskupie, zapytałem go: co by to była za „Versammlung Prystrów" protestujących przeciwko delegacji? Na to ks. Sztuczko odpowiedział listem z dnia 10 marca b. r.: „Wiel. ks. Dobr.! W odpowiedzi na list Jego tyczący się zjazdu księży polskich odbytego w Chicago tylko tyle mogę powiedzieć, że nie był to właściwie mówiąc zjazd księży, ale tylko posiedzenie Zarządu nowo powstałego Stowarzyszenia księży z ks. Nawrockim jako prezesem na czele". Ks. Sztuczko „tylko tyle" mógł mi powiedzieć, ale ja też o nic więcej go nie pytałem, tylko o to, co to byli za „versammelte Prystry", o których ks. arcybiskup donosi, że grożą nam protestem u Propagandy.

W „taki sposób" i „takiem prawem" posądzono Zarząd Stowarzyszenia Świeckich Księży o owe intrygi czyli pokątne protesty, (boć przecie jeżeli chciano protestować przeciw wyjazdowi delegacji do Rzymu, to można to było już wreszcie uczynić na ogólnym Zjeździe księży w Toledo) — i jeżeli Zarząd ów lepszego „wyjaśnienia" nie da nad to, jakie dał w „Gazecie Katol.", to tak prasa jak i ogół księży polskich nadal posądzać go będzie o wszczęcie owych intryg czyli pokątnych protestów. Gołosłowne zaprzeczenie nie wystarcza.

Jeśli w starym kraju, jak to wynika z listu ks. Gnatowskiego; dotychczas nie widzą tej potrzeby biskupa polskiego w Ameryce, to i w Rzymie z pewnością jej także nie widzą. Ażeby o tem przekonać koła miarodajne w Rzymie, na to potrzeba gruntownie opracowanego memorjału. Komunały, a la tych ks. S. Nawrockiego w ostatnim jego artykule, nie trafią w Rzymie do przekonania.

„Przekonania tego, że nam potrzeba biskupa polskiego w Ameryce, może drugim tylko ten udzielić, kto sam o tem głęboko jest przekonany. Ks. Gulski, nietylko, że o tem nie jest przekonany, ale nadto, do niedawna, wręcz przeciwnego był przekonania, mianowicie, że wcale a wcale nie potrzeba biskupa polskiego w Ameryce. Oto jego (ks. Gulskiego) własne słowa drukowane tak w niemieckich jak i polskich gazetach:

„Polscy katolicy w Stanach Zjednoczonych są wiernymi zwolennikami katolickiego Kościoła i otrzymują dlatego w diecezjach, do których należą, bez różnicy narodowości biskupa, najzupełniejszą ochronę. Zamianowanie polskiego biskupa jest więc dlatego wcale niepotrzebne i zaledwie możliwe. W Rzymie dokładnie o tutejszych stosunkach są poinformowani, i dlatego petycja niema najmniejszej wartości. Że biskup polski zachodzące nieporozumienia w polskich parafjach mógłby prędzej załatwić — jest absolutnym fałszem. Tylko kapłani sami są „w stanie takim nieporozumieniom zapobiec".

To są własne słowa ks. Gulskiego. Zobacz, kto chcesz, roczniki gazet z ostatniego dziesięciolecia. Dopiero gdy się dowiedział, że pewna klika chce jego (ks. Gulskiego) na biskupa, dopiero wtedy ks. Gulski nagle nabrał przekonania, że biskup polski w Ameryce jest potrzebny. To też chyba faryzeusz może się tylko gorszyć z tego, że „Polak w Ameryce" całe postępowanie ks. Gulskiego nazywa szukaniem prywaty.

„Powtarzam, jeżeli chcemy uzyskać coś w Rzymie, musimy liczyć na gruntownie opracowany memorjał, wykazujący jasno, dowodami ze stanowiska wiary (a nie narodowości tylko) niezbitymi, że nam Polakom w Ameryce istotnie potrzeba biskupa polskiego — a nie powinniśmy liczyć, jak to owa klika czyni, li tylko na łaski pańskie (biskupie), bo łaska pańska, jak mówi przysłowie, na pstrym koniu jedzie!"

A „Polak w Ameryce" tak pisał:

„Paru emisarjuszów Stowarzyszenia Świeckich Księży rozjechało się po różnych polskich parafjach i zbierają podpisy księży pod petycję zaadresowaną do arcybiskupa Katzera, bawiącego obecnie w Rzymie, aby zamianował ks. Gulskiego sufraganem. Jeden z takich emisarjuszów, ks. Wojtalewicz z South Chicago, bawi w Buffalo i zbiera podpisy księży.

„Jedno w tej sprawie jest zagadkowe a mianowicie, po co emisarjusze zbierają podpisy pod petycję do arcybiskupa Katzera celem nakłonienia go do mianowania ks. Gulskiego biskupem sufraganem? Po co te podpisy? pytamy jeszcze raz, kiedy życzenia i przedstawienia ks. arcybiskupa Katzera byłyby dostateczne do ustanowienia ks. Gulskiego sufraganem dla milwauckiej archidiecezji.

„Nieprawdopodobną a jednak prawdziwą jest ta okoliczność, że ks. Gulski, który nietylko nie brał udziału w polsko-katolickim

kongresach, ale nadto był przeciwnikiem tychże kongresów, chce teraz zbierać ich owoce.

„Zaręczamy, że ks. G. nikt nie zazdrości fioletów. Ale jasnem jest jak na dłoni, że dla wywyższenia i wyniesienia jednostki, poświęcono sprawę obchodzącą cały polsko-amerykański ogół, poświęcono interes Polonji i pozostawiono ją w tem samem przykrem położeniu, w jakiem znajduje się do tego czasu.

„Dlatego, aby ksiądz Gulski został biskupem sufraganem, nie pozwolono delegacji jechać do Rzymu i zagrożono nawet protestem, gdyby ta delegacja wbrew życzeniom kliki wyjechała do Rzymu, a przez to zniweczono nadzieje, jakie pokładano w delegacji i przywiązywano do jej podróży do Wiecznego miasta.

„Polacy, zamieszkali w różnych diecezjach rządzonych przez ks. biskupów amerykanizatorów, będą musieli i w przyszłości tułać się po obcych kościołach i pozostawać w zależności od innonarodowców, nie będzie im wolno organizować własnych polskich parafij i budować kościołów, bo to sprzeciwia się amerykańskiemu szowinizmowi.

„W Rzymie nie będzie nic wiadomem o położeniu Polaków w Ameryce, bo i któż je przedstawi u właściwej władzy, jeżeli delegacji zabroniono jechać do Rzymu?

„Prywata znów triumfuje nad dobrem ogółu".

74. Delegacja nie zrzekła się swojej misji. — W nadzieję przeciw nadziei uwierzyła. — Ks. Gulski powrócił z niczem. — Polonja amerykańska nie będzie zorganizowana, dopóki nie stanie biskup rodak na jej czele!

Ks. Pitass, mój współdelegat, po tem wszystkiem, co zaszło, już tracił ducha i opuszczał ręce. Więc dla dodania otuchy posłałem mu płomienny list, z którego wyjątki „Polak w Ameryce" ogłosił pod następującym tytułem:

Nie upadajmy na duchu.

Od jednego z polskich kapłanów otrzymaliśmy list, w którym oprócz innych rzeczy zawarte są uwagi odnoszące się do sprawy uwzględnienia polskiego kleru w wyższej hierarchji katolickiego Kościoła w Ameryce.

Z tego listu przytaczamy parę następnych uwag:

„Pukajcie a otworzą wam!" Pukajmy do bram Watykanu, a otworzą nam drzwi godności biskupich! Biada nam, jeżelibyśmy

już nadzieję utracili w skuteczność naszego pukania! Wprawdzie mówi przysłowie: „nadzieja matką głupich", ale też mamy drugie przysłowie: „nadzieja jest najpiękniejszym darem niebios".

Między nami, którzy tak łatwo upadamy na duchu, często słychać ten aforyzm: „Błogosławieni, którzy się niczego nie spodziewają, albowiem oni nigdy nie będą rozczarowani!"

Czyj to aforyzm? Między ośmiu Błogosławieństwami Chrystusa Pana tego nie znajdujemy. Czyje to przysłowie?

Otóż to przysłowie szatańskie! Szatan niczego się nie spodziewa, bo nie może się spodziewać nieba — i szatan nie doznaje rozczarowań!

My dopóki żyjemy, nigdy nadziei tracić nie powinniśmy — bo skoro nadzieję stracimy, upadniemy, i zgubieni jesteśmy! A choć byśmy i rozczarowań doznali — to ludzka rzecz! Rozczarowania nie doznać — to szatańska rzecz!

Co uczyniło Abrahama wielkim wobec Boga i ludzi? To, że „przeciw nadziei w nadzieję uwierzył, że miał zostać ojcem wielu narodów". (Reg. 418). Nadzieja silna, mocna, niezachwiana, jest także warunkiem naszego powodzenia.

Wierzę w powodzenie takie i dlatego, że nie chodzi tu o sprawę osobistą, lecz o sprawę ogółu, ważną, sprawę bardzo wielkiej doniosłości! Ale warunkiem powodzenia — powtarzam — wiara nadzieja! Tracić nadzieję, upadać na duchu — to pokusa szatańska!

O dobrą sprawę, walczymy, o sprawę Bożą, o sprawę od której zawisło zbawienie nie jednej, ale miljonów dusz!

Więc w końcu — czy prędzej czy później — wygrana nasza!

Tylko odwagi, a wszystko będzie dobrze".

Obowiązek, włożony na nas przez Kongres, musimy wypełnić bez względu na to, czy nasze starania w Rzymie będą uwieńczone pomyślnym skutkiem, czy nie. Tym wszystkim, którzy to ciągłe zwlekanie naszej podróży do Rzymu uważali za popuszczenie sprawy, odpowiadałem:

— Co się odwlecze, to nie ucieczę. Tyle mamy mądrości, ile mamy cierpliwości.

I „Polak w Ameryce", przyboczny organ ks. Pitassa, ogłosił co następuje:

„Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, że delegaci do Rzymu, tak ks. J. Pitass jak i ks. Kruszka, nie zrzekli się swego charakteru delegatów, jakimi wybrani zostali na odbytym ubiegłej jesieni polsko-katolickim Kongresie.

„Pomimo przeszkód i różnych intryg udadzą się w podróż do Rzymu, ale dopiero wówczas, gdy uznają to za stosowne, gdy wyjaśniona zostanie cała sprawa, dotycząca intryg i machinacyj. W każdym razie tej podróży nie odbędą przed jesienią, albowiem w lecie w czasie wakacyjnym nie mogliby załatwić interesów, a to z tego powodu, że prawie wszystkie wpływowe osobistości mogące poprzeć naszą sprawę, wyjeżdżają na wakacje, bądź to do miejsc kąpielowych, bądź to do wiejskich ustroni. Wobec tego, każdy ten, ktoby się udał do Rzymu i tam chciał przedstawić się jako delegat amerykańskiej Polonji, będzie uważany za samozwańca, bez względu na to, czy pojedzie bez upoważnienia lub też z upoważnieniem jakiejś kliki nie sprzyjającej uchwałom Kongresu lub też wyłamującej się z pod takowych.

„Co postanowił polsko-katolicki Kongres, tego nie może znieść żadna klika, która do tego działa w ukryciu, jakby wstydziła się dziennego światła".

Następnie „Polak w Ameryce" rozpoczął bardzo długi szereg artykułów pod tytułem „Na naszem czele!" w których dowodził i jakby proroczym duchem przepowiadał, że Polonja amerykańska nie będzie zorganizowana i skupiona dopóty, dopóki na jej czele nie stanie „biskup rodak", zasiadający na jednej z amerykańskich stolic biskupich. Oto niektóre trafne uwagi p. Stanisława Ślisza:

„Niezawodnie znajdą się tacy, którzy powiedzą, że należałoby wpierw przystąpić do zorganizowania amerykańskiej Polonji, a gdy będzie już tak silną i dobrze zorganizowaną, to wówczas będzie nam łatwiej wykołatać równouprawnienie dla polskiego kleru i uzyskać biskupów polskiego pochodzenia.

„Głos zorganizowanej amerykańskiej Polonji odniósłby prędzej pożądany skutek, aniżeli starania i zabiegi pewnych stronnictw i ich odłamów. To wszystko prawda, ale nie mniej jest prawdą i to, że amerykańska Polonja tak długo nie będzie tworzyła społeczeństwa dobrze zorganizowanego i świadomego swej siły i znaczenia, jak długo na jej czele nie stanie zwierzchnik, uposażony w odpowiednią władzę. Takim zwierzchnikiem, jak już raz powiedzieliśmy, może być tylko biskup Polak na jednej z amerykańskich stolic biskupich i nikt inny nie może go zastąpić...

„Podobnie jak i my świeccy tak i księża są nieodrodnymi Polakami i żyje w nich zawsze polska krnąbrność, która ciągle pcha nam na usta pytanie, co to za jeden ten, kto nam rozkazuje i stoi na naszym czele?

„Jeżeli jest nam równy, to z pewnością nie będziemy go słuchali, zamiast poddać się pod jego rozkazy, będziemy ciągle wichrzyli i stawiali takie przeszkody i trudności, że wkońcu zbrzydną mu jego urząd i władza.

„Było i jest brak nam karności w narodowych sprawach, a pod tym względem księża nie stanowią wyjątku, boć i oni są przecież krew z krwi, kość z kości naszych...

„Ale taki biskup Polak, mając za sobą dostojność i powagę, moralnie niejako zmuszałby nas do uznania siebie. Byłby to nasz naturalny i rzeczywisty przewodnik. Amerykańska Polonja, mając go na swym czele, stanęłaby na silnych nogach. Jeżeli mamy zorganizować się i zajść tak daleko, jak zaszli innonarodowcy, to musimy koniecznie starać się o to, aby władza nad nami spoczęła w rękach takich naturalnych przewodników...

„Sprawa, o której piszemy, nie jest wcale nową, bo już od dwudziestu lat zajmuje umysły amerykańskiej Polonji i niejednokrotnie już zastanawiano się nad nią i zabierano do jej przeprowadzenia...

„Od dwudziestu lat amerykańska Polonja objawia głośno swe życzenia, zamianowania któregoś z polskich księży na jedno z amerykańskich biskupstw, lecz życzenia te pozostały tylko życzeniami, bo do tego czasu nie zrobiono nic, aby je zamienić w rzeczywistość.

„Projektów i narad nad tą sprawą było co niemiara, ale gdy przyszło do praktycznych starań, to wtenczas najgorętszych zwolenników opuszczały dobre chęci i opadały im skrzydła.

„Gdy przyszło na prawdę zabrać się do robienia zabiegów około mianowania polskiego księdza biskupem, natrafialiśmy na tyle rzeczywistych i urojonych przeszkód, że odstępowaliśmy od zamiarów. Jeżeli nie było takich przeszkód, to robiliśmy je sami, lub upatrywali tam, gdzie ich nie było i gromadziliśmy trudności i to jedynie w tym zamiarze, abyśmy mogli usprawiedliwić własne lenistwo, którem odznaczamy się wówczas, gdy idzie o przeprowadzenie ważnych spraw i projektów, ogólnego znaczenia.

„Jesteśmy w takich razach za leniwi, a że wstydzimy się tego lenistwa, więc lada pozory, lada przeciwności przedstawiamy jako nieprzełamane przeszkody, bo to nam dopomagą do usprawiedliwienia się z nieczynności.

„Czy mianowanie polskiego księdza biskupem w Stanach Zjednoczonych jest czemś tak nadzwyczajnem, że nie można się

nawet pokusić o to, aby się stało rzeczywistością? Bynajmniej, bo gdyby tak było, to musielibyśmy przypuścić, że Rzym z góry usunął Polaków od wszelkich godności i dostojeństw w Kościele i że te dostępne dla innych, dla nas są nie do osiągnięcia. Takie przypuszczenie musi być z góry wykluczone, bo podobne postępowanie byłoby niesprawiedliwem, a niesprawiedliwością nie rządził się i nie rządzi katolicki Kościół.

„Jesteśmy wprawdzie pomijani przy obsadzaniu wyższych stanowisk i duchownych urzędów, lecz w tem niema tyle winy Rzymu, ile jest winy naszej, bo nie umiemy, czy też nie chcemy upomnieć się i przypomnieć, że nietylko należymy do ogromnej katolickiej rodziny, rozpowszechnionej po całym świecie, ale nadto, że położyliśmy dla katolicyzmu pewne niezaprzeczone zasługi.

„Twierdzimy, że gdybyśmy się tylko zabrali praktycznie do starań, to i skutek byłby niewątpliwy.

„Wykołatanie w Rzymie mianowania Polaka biskupem na jedną z tutejszych stolic nie jest zbyt trudnem, albowiem Rzym sam uznał potrzebę uwzględnienia różnych narodowości przy obsadzaniu biskupów w Stanach Zjednoczonych.

„Mamy tu żal do Zgromadzenia Wiel. OO. Zmartwychwstańców, którzy tę nader ważną dla nas sprawę mogli załatwić pomyślnie, a jednak nie uczynili tego i to z niezrozumiałych przyczyn. Nie wyzyskali sprzyjających okoliczności i wpływu, jaki posiadali, dla Polaków, ale dla innych. Zaraz to udowodnimy.

„Niedawno zmarły ś. p. ks. kardynał Ledóchowski, prefekt św. Propagandy, był nader przychylnie i życzliwie usposobiony dla Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców i nie taił się z tą życzliwością.

„Ks. arcybiskup Zaleski jest wychowańcem polskiego kolegjum w Rzymie, zostającego pod kierownictwem OO. Zmartwychwstańców i zachował przyjaźń dla swych dawnych wychowawców.

„Ks. arcybiskup Zaleski był w ostatnich czasach sekretarzem i radcą w św. Propagandzie. Ks. mgr. Skirmunt i ks. mgr. Meszczyński są także wychowańcami polskiego kolegjum w Rzymie i również piastowali ważne urzędy w św. Propagandzie i byli jej radcami. Przewiel. O. Smolikowski, jenerał OO. Zmartwychwstańców, był także radcą św. Propagandy. Wszyscy wymienieni dostojnicy i kapłani cieszyli się wielkimi względami ks. kar-

dynała Ledóchowskiego i mieli poważny głos w Propagandzie, od której głównie zależy mianowanie biskupów dla Stanów Zjednoczonych.

„Gdyby OO. Zmartwychwstańcy chcieli byli użyć swego wpływu, to z pewnością poparcia nie byliby im odmówili ani ks. arcybiskup Zaleski, ani ks. mgr. Skirmunt i Meszczyński i dokazaliby tego, że ś. p. ks. kardynał Ledóchowski byłby któregoś z polskich księży zamianował biskupem w Stanach Zjednoczonych.

„Tych wpływów, jakie posiadali, powinni byli użyć na korzyść Polaków, chociażby z tego względu, że mają pod swym kierownictwem kolegjum polskie, a tem samem mają obowiązek dla amerykańskiej Polonji, dla której kształcą kapłanów i która to Polonja, w znacznej części przyczynia się do utrzymania tegoż Zgromadzenia.

„Wszystkie inne kolegja czynią coś dla tych narodowości, dla których kształcą kapłanów, tylko kolegjum polskie stanowi wyjątek pod tym względem.

„Wspominamy tu o tem nie w tym celu, aby Zgromadzeniu OO. Zmartwychwstańców czynić jakieś zarzuty, jedynie chcielibyśmy zwrócić uwagę na to, że nie umiemy zużytkować nawet sprzyjających okoliczności".

Tak pisał „Polak w Ameryce" roku 1902. Mówili, że niesłusznie on winił OO. Zmartwychwstańców i innych Polaków w Rzymie. Ci bowiem zawsze robili co mogli.

Polacy nie dostają, co im się należy, poprostu dlatego, że **Rzym boi się ajryszów!** To wszystko. Relata refero.

„Polak w Ameryce" pisał tak dalej:

„Zauważyliśmy powyżej, że już od dwudziestu lat amerykańska Polonja żywo zajmuje się sprawą mianowania polskiego księdza biskupem na jedną ze stolic biskupich w Stanach Zjednoczonych, że pod tym względem czyniono nawet pewne zabiegi i starania.

„Na czemże jednak ograniczały się te wszystkie zabiegi i starania? Jedynie na tem, że zbierało się kilkunastu polskich księży, i ci, omówiwszy całą sprawę, uchwalili rozpoczęcie działania w tym kierunku. Dwa razy postąpiono nawet dalej, t. j. na pierwszym i na drugim polsko-katolickim Kongresie, na których zebrani delegaci, tak księża, jak i świeccy, postanowili rozpocząć energiczne starania, a na drugim Kongresie wybrano nawet delegację, mającą

się udać do Rzymu, celem poczynienia odpowiednich przedstawień u właściwej władzy.

„Wiele, bardzo wiele narozprawialiśmy się o konieczności uwzględnienia polsko-amerykańskiego kleru, ale nikt nie znalazł się taki, któryby tę potrzebę przedstawił i udowodnił należycie wobec duchownych władz w Rzymie. Tu znów, jak szydło z worka, wychodzi na jaw nasza natura polska, bardzo skora do uniesień i zapału, ale prędko ostygająca i gnuśna. Może być, że tę rzecz posunięto by dalej naprzód, gdyby w naszem polsko-katolickiem stronnictwie panowała jedność i zgoda, gdyby sami polsko-amerykańscy księża nie dzielili się na różne odłamy i odłamki i gdyby wielu z nich publicznego dobra nie podporządkowywało różnym osobistym i stronniczym zachciankom i prywacie.

„Zwykle działo się tak, że gdy jedni księża postanowili coś robić dla równouprawnienia polskiego kleru w Ameryce, to inni przeszkadzali im w tej robocie i najniesłuszniej posądzali ich o jakieś uboczne cele, krótko powiedziawszy, tak długo nie spoczęto, aż zniechęcili pierwszych i sparaliżowali ich dobre zamiary. Tak było i po drugim polsko-katolickim Kongresie, na którym wybrano delegację, mającą poczynić w Rzymie odpowiednie kroki, celem pozyskania dla polskiego kleru tych samych praw, jakiemi cieszy się kler innych narodowości...

„Zaledwie zaczęła delegacja krzątać się około wyjazdu do Rzymu, odezwały się głosy: „nie pozwalam!“ i tego „veto“ nie podniósł nikt inny, jak tylko sami księża polscy, pomiędzy którymi byli i tacy, którzy na Kongresie najgoręcej przemawiali za wysłaniem delegacji do Rzymu. Co najciekawsze, to ta smutna okoliczność, że nawet Wydział kongresowy, mający ułatwić delegacji spełnienie poselstwa i zadania, przyłączył się do protestujących i również zawołał: „nie pozwalam“!...

„Stronniczość odniosła znów zwycięstwo nad wolą ogółu, podobnie jak to się działo w polskich czasach, kiedy zwolennik jakiegoś niezadowolonego magnata mógł przez jedno słowo „veto“ zrywać uchwały sejmu.

„Także Zarząd Towarzystwa Księży Polskich i Wydział kongresowy tylko dlatego wystąpiły ze swym „nie pozwalam!“, bo szło im o wywyższenie jednej upatrzonej osobistości...

„Zarząd Towarzystwa Księży Polskich i Wydział kongresowy, jakkolwiek nie pozwoliły delegacji — pod groźbą protestu — udać się do Rzymu, to jednak nie porzuciły myśli starania się o miano-

wanie księdza polskiego biskupem, ale obrały ku temu zamiast prostej, legalnej, drogę poboczną. Delegacja miała zanieść prośby i poczynić w Rzymie przedstawienia, tak w św. Propagandzie, jak i Watykanie, w imieniu i z upoważnienia całej amerykańskiej Polonji i to na mocy mandatu, otrzymanego od drugiego polsko-katolickiego Kongresu. Delegacja miała przemawiać w Rzymie, nie w imieniu pewnej części, ale całej amerykańskiej Polonji, liczącej około dwóch miljonów dusz, a więc w imieniu tak znacznej liczby katolików polskiej narodowości, że jej głos musiałby wywrzeć pewne wrażenie i uzyskać przychylne załatwienie sprawy.

„Wysłani przez amerykańską Polonję delegaci mogli wszędzie przemawiać śmiało i stanowczo, bo nie przemawialiby za sobą, ale za dwoma miljonami Polaków, inaczej się to mówi i inne wywiera wrażenie, gdy się mówi za sobą samym, a inaczej, gdy się przemawia na korzyść ogółu. Otóż Zarząd Towarzystwa Księży Polskich i Wydział kongresowy nie dopuściły do tego, aby delegacja w Rzymie wypowiedziała to, czego pragnie cała amerykańska Polonja, i obrały drogę zupełnie inną. Kierownicy tak Zarządu jak i Wydziału upatrzyli pewnego księdza z Milwaukee i orzekli, że ten będzie dobrym biskupem, a że na razie nie było opróżnionej żadnej diecezji, zamieszkałej licznie przez Polaków, więc postanowili wykierować go na biskupa-sufragana — archidiecezji Milwauckiej.

„Ułożywszy z nim całą rzecz, wyprawili go do Rzymu, w tym celu, aby sam dla siebie starał się o godność biskupa-sufragana...

„Ów ksiądz, kandydat na biskupa-sufragana, nic nie zrobiwszy, powrócił z Rzymu i pewnie teraz żałuje, że podjął się uciążliwej i kosztownej podróży; że cała sprawa byłaby inny przybrała obrót, gdyby nie upatrzony kandydat, ale wybrana na drugim polsko-katolickim Kongresie delegacja udała się była do Rzymu, to nie ulega żadnej wątpliwości. Tak więc dzisiaj jesteśmy znów w tem samem miejscu, gdzie byliśmy przed dwudziestu laty, to jest, że nic nie zrobiliśmy dla mianowania polskich księży na amerykańskie biskupstwa. Czego jednak nie zrobiliśmy dotychczas, to zrobić możemy teraz, jeżeli tylko otrząśniemy się z gnuśności i zaprzestaniemy intryg i pobocznych knowań. Delegacja, wybrana na ostatnim polsko-katolickim Kongresie, nie utraciła dotychczas swego mandatu i może udać się do Rzymu, jeżeli tylko będzie pewną poparcia tak ze strony polsko-amerykańskiego kleru, jak i ze strony amerykańskiej Polonji, jeżeli będzie pewną, że znów

intrygi i kręte roboty nie staną jej na przeszkodzie i nie utrudnią wywiązania się z zadania".

75. Arcybiskup Katzer tłumaczy się, dlaczego nic nie zrobił w Rzymie. — Bo Polakom nie rozchodzi się tyle o infułę dla któregoś z księży, ile o reprezentanta swej narodowości. — Kto ubił Cahenslyizm? Nie Rzym, lecz episkopat ajryski!

Ks. Gulski w sierpniu 1902 z Rzymu powrócił, zostawiwszy arcybiskupa Katzera w Europie. Zanim jeszcze arcybiskup Katzer powrócił do Ameryki, Wydział Wykonawczy, dowiedziawszy się, że arcybiskup nic nie zrobił w Rzymie, dnia 17 września 1902 r. zgodził się ostatecznie na wyjazd delegacji do Rzymu. Urzędowe „Sprawozdanie Wydziału Wykonawczego Drugiego Polsko-Katolickiego Kongresu w Ameryce" opisuje to w krótkich ale jasnych słowach:

„Arcybiskup Katzer dużo obiecał zrobić dla sprawy i dużo **zdaje się** dla niej starał się zrobić. Jeździł nawet do Rzymu przeważnie **pono** w tej sprawie. Jego zabiegi wszelako nie odniosły pożądanego skutku. Przyszedłszy do przekonania, że sprawa równouprawnienia kleru polskiego nie zostanie załatwioną przez hierarchję amerykańską, Wydział Wykonawczy zeprzestał dalszych pod tym względem zabiegów i zgodził się ostatecznie na wyjazd delegacji do Rzymu".

W pierwszych dniach października 1902 r. powrócił arcybiskup Katzer do Milwaukee i w „Milwaukee Free Press" podał następujące przyczyny nieudania się jego starań:

W sprawie polskiego biskupa śmierć kardynała Ledóchowskiego odwlekła sprawę. — Arcybiskup Katzer podaje przyczyny nieudania się starań. — Starania nie są zaniechane. Sprawa przyjdzie przed kardynała Gotti następcę kardynała Ledóchowskiego.

„Arcybiskup F. ks. Katzer, który w środę ubiegłą wrócił do Milwaukee po 6 miesięcznym pobycie w Europie, tak się miał wyrazić, stosownie do dziennika „Free Press", o poczynionych staraniach w celu zyskania polskiego Prałata dla Stanów Zjednoczonych.

„Śmierć kardynała Ledóchowskiego, prefekta Propagandy, spowodowała zaprzestanie na razie wszelkich starań w celu zyskania nominacji polskiego reprezentanta Kościoła katolickiego w Ameryce.

„W sprawie starań o nominację Polaka głoszono wiele fałszywych wieści. Polscy obywatele niekoniecznie starali się o nominację Polaka na biskupa. Chodziło im przedewszystkiem o zyskanie

nominacji dla Polaka jako reprezentanta Kościoła ich narodowości w tym kraju, gdzie tysiące i tysiące Polaków jest porozrzucanych po całych Stanach Zjednoczonych.

„Chociaż głównie udałem się do Europy dla poratowania zdrowia, przyłączyłem się do starań w tym względzie i po przybyciu do Rzymu, starałem się o audjencję u kardynała Ledóchowskiego, który w owym czasie żył jeszcze. Był on jednakże tak chorym, że było niepodobieństwem uzyskanie audjencji, pomimo tego, że czekałem przez kilka tygodni na usilne prośby osób otaczających kardynała, które miały nadzieję, że stan zdrowia jego poprawi się odpowiednio i umożebni choremu stosownie do jego życzenia udzielenie mi audjencji. Zmuszony byłem jednakże opuścić Rzym, a kardynał zmarł wkrótce potem.

„Starania o uzyskanie polskiego reprezentanta będą bezwątpienia prowadzone dalej i sprawa ta wkrótce podjętą zostanie przez kardynała Gotti. Prośba z pewnością wystosowaną zostanie z tego kraju, a pewni z urzędników niezawodnie przypomną tę sprawę nowemu kardynałowi. Chociaż jestem zainteresowany w tej sprawie, jest to sprawa, o której nie chcę rozmawiać szerzej. Jak powiedziałem, wyjechałem do Europy tylko dla mego zdrowia".

Na pytanie, czy arcybiskup zajmie się sprawą, gdy takowa ponownie zostanie poruszoną, arcybiskup odpowiedział:

„Sprawą tą zajmie się z pewnością którybądź z prałatów Kościoła z diecezji mającej wielką ludność polską. Przypuszczam, że ponieważ obeznany jestem ze wszelkiemi szczegółami tej sprawy, wezwany zostanę do pomocy w celu uzyskanania polskiego reprezentanta, gdy kwestja ta przyjdzie przed kardynała Gotti'ego. Nie myślę, bym w tej sprawie zmuszony był jechać poraz drugi dla Rzymu". (Milw. Free Press).

Tyle „Milwaukee Free Press". A „Dziennik Milwaucki", wcale nam nie przychylny, tak ten wywiad komentował:

„Reporter tutejszego porannego dziennika angielskiego „Free Press", chciał się koniecznie dowiedzieć od arcybiskupa Katzera jak też stoi sprawa ze staraniami Polaków Amerykańskich o polskiego biskupa dla Ameryki, ale mu się to nie bardzo udało.

„Zachodził arcybiskupa z różnych stron, ale zawsze dostawał odpowiedzi wymijające.

W każdym razie wydobył reporter nieco materjału, który dla nas ma pewne znaczenie.

„Że dotychczasowe starania Polaków w Rzymie nie odniosły rezultatu, głównie przypisać należy śmierci kardynała Ledóchowskiego. Wyjaśnił przytem reporterowi, że Polakom nie rozchodzi się tyle o infułę dla któregoś z polskich księży, ile o reprezentanta swej narodowości w hierarchji kościelnej w Ameryce.

„Reporter chciał się jednak koniecznie dowiedzieć, jaką rolę w tych staraniach odgrywał arcybiskup Katzer, ale pod tym względem nie miał szczęścia.

„Kiedy arcybiskup przybył do Rzymu, z kardynałem Ledóchowskim widzieć się już nie mógł dla jego choroby, starał się o to i czekał polepszenia, ale z Rzymu wyjechać musiał nic nie uzyskawszy; kardynał umarł wkrótce po jego wyjeździe.

„Starania Polaków zostaną bez wątpienia wznowione u następcy Ledóchowskiego, kardynała Gotti . . .

„Na zapytanie czy i on, arcybiskup, zechce coś w tej mierze uczynić, odpowiedział, że nie chce w tej materji nic mówić i że w Europie był jedynie w celu poratowania swojego zdrowia. Arcybiskup przypuszcza, że reprezentanci Polaków będą go prosić o pomoc przy wznowionych staraniach u kardynała Gotti, i ma nadzieję, że sprawa się uda, nawet bez wysyłania specjalnej delegacji do Rzymu".

Tyle wywiad z arcybiskupem Katzerem, który bądź co bądź bardzo ważną wiadomość z Rzymu nam przywiózł, oto arcybiskup „wyjaśnił reporterowi, że **Polakom nie rozchodzi się tyle o infułę dla któregoś z polskich księży, ile o reprezentanta swej narodowości w hierarchji kościelnej w Ameryce. „To mu w Rzymie powiedziano. Wiem, bom sam takie pytanie słyszał:**

— Co Polakom pomoże sufragan albo nawet biskup polski zasiadający na jednej ze stolic amerykańskich? Taki biskup zadowoliłby co najwyżej Polaków w obrębie swej diecezji; ale co on zrobi dla reszty Polaków, nad którymi juryzdykcji żadnej nie ma? Dlatego jedyna solucja tej kwestji biskupów polskich jest ta, żeby ustanowić biskupów polskich dla Polaków podobnie jak proboszczów polskich w Ameryce ustanowiono dla Polaków.

Arcybiskup Katzer wprawdzie swego czasu pisał mi, że „to się sprzeciwia urządzeniu kościelnemu;" ale w głębi duszy on sam był przekonany, że to jest jedyna solucja tej kwestji i że obecne „urządzenie kościelne" Rzym może i chce, bo powinien zmienić na lepsze. I że jedyna w tym trudność jest, nie ze strony Rzymu, lecz **ze strony biskupów amerykańskich!** „Difficultas est ex parte

americanorum episcoporum" — jak się wyraził później sam Papież Pius X.

Mieli bowiem Niemcy w Ameryce już półwiekowe doświadczenie z obecnem „urządzeniem kościelnem", według którego jeden biskup jest postawiony dla wszystkich narodowości. Mieli Niemcy już od pięćdziesięciu lat swoich biskupów niemieckich, zasiadających na tak zwanych „amerykańskich" stolicach w Milwaukee, Green ay, La Crosse, Columbus i indziej. A jednak przekonali się, że takie urządzenie jest wadliwe, bo nienaturalne i chaotyczne. Nie oparte o porządek przyrodzony, żadnej narodowości zadowolić nie może. Nadprzyrodzony ustrój Kościoła koniecznie supponuje porządek przyrodzony. Gdzie porządek przyrodzony nie jest zachowany, tam o nadprzyrodzonym porządku mowy być nie może, tam chaos i zamieszanie jest w stosunkach kościelnych, Niemcy więc, pod koniec dziewiętnastego wieku, całkiem słusznie i naturalnie rozpoczęli ruch „Cahenslyizmem" zwany, The Cahensly Movement, celem ustanowienia narodowościowych biskupów, to jest, osobnych biskupów dla każdej odrębnej narodowości. Ruch ten był nazwany Cahenslyizmem, bo na czele stanął pan Cahensly, założyciel Towarzystwa Emigracyjnego św. Rafała; ale z ruchem tym sympatyzował tak dobrze arcybiskup Katzer i Mgr. Abbela, jak i inni Niemcy. Był to ruch zupełnie zdrowy i normalny w rozwoju Kościoła katolickiego w Ameryce. A jeśli się nie udał, to nie dlatego, że Rzym mu się sprzeciwiał, lecz dlatego jedynie, że „wszechmogący episkopat ajryski" stanął w poprzek i powiedział swoje: „Nie pozwalam". Episkopat ajryski sam ubiwszy Cahenslyizm, roztrąbił potem po świecie, że to Rzym go ubił.

Że Rzym ubił Cahenslyizm, jest to **największe kłamstwo historyczne**, jakie kiedykolwiek puszczono w obieg na świecie. Ajrysze tem kłamstwem świat przeszli; ale niem nie wrócą.

„Nie Rzym bowiem, ale episkopat ajryski nie chciał się zgodzić na to, aby każda narodowość w Ameryce miała swoich biskupów, tak jak ma swoich proboszczów. Rzym tylko ustąpił episkopatowi do czasu. Czas, najlepszy lekarz, wyleczy ajryszów z ich mrzonek jednojęzycznych. Rzym ustępuje, bo mówi przysłowie: Mądry głupiemu ustąpi.

Ustąpi dlatego, żeby głupi sam się przekonał, że jest głupim. Przecież nie było i niemasz głupszej dążności na świecie, jak dążyć do zaprowadzenia jednego wyłącznie języka. A jednak episkopat ajryski do tego dążył. To swe głupstwo posunął aż do szaleństwa

i chciał mieć jedność języka za wszelką cenę, choćby kosztem jedności wiary. Jezuitom nie pozwolił mieć prowincji ani kolegjów niemieckich czy polskich, żeby tem prędzej tu dojść do wymarzonej jedności języka!

Rzym, mając wiekowe doświadczenie — bo i on kiedyś marzył o jednym języku (łacińskim) w Europie — uśmiechał i uśmiecha się dobrotliwie, patrząc na te dziecinne zapędy „amerykanizacyjne" episkopatu ajryskiego w Ameryce. Rzym jest powolny i cierpliwy bo jest wieczny, i czeka, aż ajrysze w swych dziecinnych wyskokach przebiorą miarkę. Wtedy im rzeknie: Dosyć tej zabawki amerykanizacyjnej!

I zaprowadzi porządek, najpierw przyrodzony, potem nadprzyrodzony; to jest, najpierw dla każdej narodowości, co się jej należy, a potem dopiero może zapanować duch zgody i miłości w Kościele. Porządek bowiem nadprzyrodzony **supponuje** przyrodzony, a nie wywraca go. Porządek jest duszą rzeczy. Porządek, tak przyrodzony, jak nadprzyrodzony, jest duszą Kościoła. Kto wywraca przyrodzony porządek narodowości, ten tem samem wywraca porządek nadprzyrodzony czyli duchowy w Kościele, bo zakłóca spokój i jedność Kościoła. Równe prawa dla każdej narodowości, a specjalnych przywilejów dla żadnej! Equal rights to all nationalities, special favors to none! Na tym przyrodzonym fundamencie sprawiedliwości opierają się wszelkie rządy, tem bardziej rządy kościelne.

76. Wydział Kongresowy zgodził się ostatecznie na wyjazd delegacji do Rzymu. — Mój artykuł „Polish Bishop Subject not dropped".

Kiedy arcybiskup Katzer z Rzymu z niczem powrócił, u ajryszów zapanowała radość, u Polaków zaś smutek i przygnębienie. Ajrysze się cieszyli, że jak dziesięć lat przedtem Cahenslyizm ubili, tak teraz roku 1902 sprawę biskupów polskich pogrzebali raz na zawsze. A owym przedsiębiorcą pogrzebowym uważali samegoż arcybiskupa Katzera.

Polacy się smucili i na duchu upadli. Bo co teraz delegacja w Rzymie zrobi, kiedy sam arcybiskup nic tam uczynić nie zdołał? Czy nie lepiej całkiem tę sprawę popuścić?

Ale nie wszyscy na duchu upadli. Przewielebny ks. Andrzej Ignasiak z Erle, Pa., 21-go sierpnia 1902 tak mi pisał:

„Wielebny Ks. Dobrodzieju!

„Czyby mi Ksiądz Dobrodziej nie zechciał przysłać tego, co się odnosi do mej parafji w „Historji". Ponieważ byłem tu od początku, mógłbym niejedno sprawdzić, zwłaszcza z rzeczy, które Ks. Dobr. czerpał skądinąd, a nie z mej broszury. Proszę.

„Wielkie łajdactwo zrobiło się z wyjazdem do Rzymu, jak teraz jest rzeczą widoczną. Czemu się nie zabierzecie jeszcze teraz? Owszem, teraz po śmierci Ledóchowskiego będą nas tam pewno chętniej przyjmować.

Z uszanowaniem

Ks. A. Ignasiak."

Zanim arcybiskup Katzer powrócił, Wydział Wykonawczy, dowiedziawszy się od ks. Gulskiego, że arcybiskup w Rzymie nic nie zrobił dla Polaków, już w środę 17 września 1902 odbył w Chicago posiedzenie i całą sprawę biskupów polskich polecił teraz oddać w ręce delegacji. O czem ówczesna prasa tak pisała:

„Czy delegacja wyjedzie teraz do Rzymu?

„Potrzebna tutaj jest pewność, że ci, którzy niedawno stawiali jej różne przeszkody, teraz nietylko zaprzestaną tej roboty, ale nadto ułatwią jej możność wypełnienia poselstwa. Jest też wszelka nadzieja, że nie powtórzy się to obecnie, co zaszło jeszcze przed sześciu miesiącami, a dobry przykład pod tym względem zaczyna dawać Wydział Kongresowy, który jakby zbudzony ze snu, daje nietylko znaki życia, ale i rozpoczyna zabierać się energicznie do pracy.

„W ubiegłą środę, dnia 17-go września odbyło się w Chicago posiedzenie tegoż Wydziału, na które przybyło także kilku członków różnych komisyj, wybranych na polsko-katolickim Kongresie.

„Pomiędzy innemi sprawami poruszono także sprawę równouprawnienia polskiego kleru w Ameryce. Ks. Truszyński, prezes Wydziału Kongresowego, oznajmił zebranym, że Wydział nie mógł nic zrobić dla równouprawnienia polsko-amerykańskiego kleru i polecił oddać tę sprawę do załatwienia delegacji. Ks. Sztuczko poparł ten wniosek, który przyjęto jednogłośnie i zgodzono się popierać delegację w jej staraniach, a nadto wydać jej wszelkie dokumenta potrzebne do Rzymu, jakie Wydział Kongresowy posiada w swym ręku i jakie jeszcze uda mu się zebrać. Wydział Kongresowy wystawi nadto delegacji mandat, że jest tą samą delegacją,

którą wybrano na Kongresie i upoważniono do zastępowania interesów amerykańskiej Polonji w Rzymie.

„Czy i jak delegacja wywiąże się z przyjętych na siebie obowiązków, to zależeć będzie od tego, jakie poparcie znajdzie u tych, którzy ją wysyłają w tak ważnej misji. Miejmy jednak nadzieję, że sprawa przybierze jak najlepszy obrót, jeżeli tylko delegaci, tak niesłusznie zaczepiani i podejrzywani, dadzą się namówić do podróży do Rzymu.

„Sądzimy, że wzgląd na ogólne dobro, doda im bodźca do podjęcia się na nowo tego żmudnego zadania i zapomnienia doznanych uraz. Dałby Bóg, aby podróż delegatów, jeżeli przyjdzie do skutku, wydała jak najlepsze owoce, bo w przeciwnym razie położenie amerykańskiej Polonji, jak dotychczas jest przykre i smutne, w przyszłości może stać się jeszcze przykrzejsze i smutniejsze. Jeżeli nie będziemy mieli żadnego zwierzchnika, któryby stanął na czele i swą powagą zmusił nas do uszanowania swej władzy, jeżeli nie będziemy mieli biskupa Polaka, około którego będziemy mogli skupiać się i gromadzić, to będziemy żyli w rozprzężeniu i niezgodzie, a co za tem idzie, nietylko nie dojdziemy do żadnego znaczenia i stanowiska, ale nadto, działając małemi gromadkami, łatwo możemy dać się pochłonąć tak olbrzymiemu molochowi, jakim jest amerykanizm. Wytężmy wszystkie siły, aby nie dopuścić do tej smutnej ostateczności!“

Ajrysze, po powrocie arcybiskupa Katzera z Rzymu, odprawiali już żałobne egzekwje nad sprawą biskupów polskich, śpiewali requiem i pisali jej w gazetach wspomnienia pośmiertne. To mnie spowodowało do napisania i ogłoszenia następującego artykułu w nowojorskim „Freeman's Journal“, milwauckim „Catholic Citizen“ i innych:

Polish Bishop Subject not dropped.

Editor Freeman's Journal:

The idea of a Polish Bishop is not dropped, as some papers related it last week. Althogh the Most Rev. Archbishop Katzer of Milwaukee did not succeed in Rome at present in getting a Polish Bishop, nevertheless the Polish Bishop's cause looks very promising. The movement finds every day more friends, even among the American prelates. Not only Archbishop Katzer, but also Bishops Muldoon of Chicago, Spalding of Peoria, and many others, are sympathizing with our movement.

It is not from merely national motives that we Poles want a Polishspeaking Bishop, but it is chiefly from truly Catholic principles. Both reason and faith demand a Polish-speaking Bishop for Polish-speaking people. If we do not know ner understand one another's language, we are certainly strangers or „barbarians" one to another. Hence it happened that American prelates called the Polish people a barbarian people (foreigners); and vice versa, the Polish people or strangers. And this happened quite naturally — and quite in accordance with what St. Paul says:

„If, then, I know not the power of the voice, I shall be to him, to whom I speak, a barbarian, and he that speaketh a barbarian to me" (I. Cor. 14, 11).

Accordingly a Bishop not knowing the Polish language is to the Polish speaking congregation not their own Bishop, but a stranger, a foreigner, a barbarian, and vice versa.

That such „strange" relations between the Bishop and the people cannot bring good results for the faith, that they are not edifying but ruining the Church, is self-evident. This is proved also abudantly by the socalled Independent movement and other misunderstandings between the American prelates and the Polish-speaking Catholics. Thus, our Polish-Bishop movement is based upon truly Catholic principles. Both reason and faith demand Polish representatives in the hierarchy of the church.

On the other side, the opponents of the Polish Bishop's cause are led, in opposing our cause, merely by national principles, viz: they like to see all Catholics in the United States speak one English language; they like to „Americanize" both Poles and Frenchmen, etc., as soon as possible, and for this reason they oppose the movement for Polish-speaking Bishops. Or is there any other reason why they oppose our movement? There is not! They take the purely national standpoint, claiming that all those who are in the United States should learn the one English language; them there will be no necessary „polyglot" Bishops (Cfr. the Catholic papers of Cleveland and Detroit). But this is precisely a pure national standpoint. This is not the broad Catholic standpoint, for this was not the standpoint of St. Paul, the Apostole of Nations. The Apostole did not say: „All ye who are under the Roman Empire must learn quickly the Latin language, for I speak that language; for this is the official language of the country" (as Latin was at that day). As our American apostoles say: „All who come to the United

States must quickly learn English, for we speak that language, for this is the language of the country". But what said St. Paul? He said in a true Catholic spirit:

„I thank my God I speak with all your tongues. Else if thou shalt bless with the Spirit (but in a strange language), how shall he that holdeth the place of the unlearned say Amen to thy blessing? because he knoweth not what thou sayest. For thou indeed givest thanks well, but the other is not edified." (I. Cor. 14; 16-18.)

All American prelates, indeed, „bless well' and they „give thanks well", but the Polish-speaking people „are not edified".

For this and other reasons we are thankful to Archibishop Katzer, to Dr. Reuben Parsons and many other prelates who are sympathizing with the Polish-Bishop movement, for they are promoting a good and just cause. And shame upon those Catholic Americans who are opposing that movement, for they are bearing the national standard higher than the Catholic standard!

Ripon, Wis., Oct. 12th, 1902.

Rev. Wenceslaus Kruszka, Delegate.

Powyższy artykulik przedrukowały nietylko religijne, ale i świeckie gazety angielskie. Tem bardziej polskie. „Dziennik Chicagoski" podał go w następującem tłumaczeniu:

Sprawa polskiego biskupa nie porzucona.

Pod powyższym tytułem znajdujemy w czasopiśmie, wydawanem w New Yorku p. t. „New York Freeman's Journal and Catholic Register" artykuł, który podajemy w dosłownem, o ile można, tłumaczeniu:

Do Wydawcy „Freeman's Journal":

Zamiar starania się o biskupa polskiego nie został porzucony, jak o tem donosiły niektóre czasopisma w ostatnim tygodniu. Jakkolwiek Najprzew. ks. Arcybiskupowi Katzerowi w Milwaukee nie powiodło się w Rzymie otrzymać obecnie polskiego biskupa, to przecież sprawa pozyskania biskupa polskiego przedstawia się wielce obiecująco. Starania w tym kierunku zyskują z każdym dniem więcej zwolenników nawet pomiędzy prałatami angielskimi. Nietylko ks. arcybiskup Katzer, ale także biskup Muldoon w Chicago, Spaling w Peoria i wielu innych, sympatyzują z naszemi staraniami.

Nietylko bowiem motywa narodowe skłaniają nas Polaków do pragnienia pozyskania biskupa mówiącego po polsku, ale i to

głównie, szczerze katolickie nasze przekonania. I rozum i wiara domagają się biskupa mówiącego po polsku. Jeżeli dwie strony nie znają lub nie rozumieją wzajemnie swojego języka, to są dla siebie wzajemnie „barbarzyńcami". Stąd to pochodziło, że prałaci amerykańscy nazywali naród polski narodem barbarzyńskim (cudzoziemcami), i odwrotnie, polski naród nazywał prałatów amerykańskich barbarzyńcami lub obcymi. A było to rzeczą zupełnie naturalną — zupełnie zgodną z tem, co powiada św. Paweł:

„Jeślibyś tedy nie wiedział, co znaczy głos, będę temu któremu mówię barbarzynem, a który mówi mnie barbarzynem" (I. Kor. 14, 11).

A zatem biskup nieznający języka polskiego jest dla polskiej parafji nie jej własnym biskupem, tylko obcym, cudzoziemcem, barbarzyńcą, — i odwrotnie.

Że takie „obce" stosunki pomiędzy biskupem a narodem nie mogą przynieść dobrych wyników dla wiary, że nie przyczyniają się do budowania, lecz raczej do burzenia w Kościele, rzeczą jest oczywistą. Dowodzi tego również dosadnie ruch tak zwany niezależny i inne nieporozumienia pomiędzy prałatami amerykańskimi a katolikami mówiącymi po polsku. Dlatego nasze starania o polskiego biskupa opierają się na zasadach szczerze katolickich. Tak rozum i wiara wymagają przedstawicieli polskich w hierarchji Kościoła.

Z drugiej strony przeciwnicy sprawy polskiego biskupa, sprzeciwiając się naszym staraniom, kierują się wyłącznie narodowemi względami, t. j. pragną, ażeby wszyscy katolicy w Stanach Zjednoczonych mówili jednym tylko językiem angielskim; życzą sobie „zamerykanizować" Polaków, Francuzów i t. p. jak najprędzej, i z tej przyczyny sprzeciwiają się staraniom o biskupów mówiących po polsku. Lub czy znajdzie się inny jaki powód ich sprzeciwiania się? Bynajmniej! Stają na stanowisku czysto narodowem, utrzymując, że wszyscy, którzy mieszkają w Stanach Zjednoczonych, powinni nauczyć się po angielsku, i że wtedy nie będzie potrzeba „wielojęzycznych" biskupów (ob. katolickie czasopisma w Cleveland i Detroit). Ale jest to stanowisko czysto narodowe. Nie jest to szerokie stanowisko katolickie, bo nie było to stanowisko św. Pawła, Apostoła narodów. Apostół nie powiedział: „Wy wszyscy, którzy należycie do cesarstwa rzymskiego, musicie prędko nauczyć się po łacinie, bo ja mówię tym językiem, bo ja jestem urzędowy język tego kraju" (jakim była wówczas łacina).

Nasi amerykańscy apostołowie powiadają: „Wszyscy, którzy przybywają do Stanów Zjednoczonych, muszą szybko nauczyć się angielskiego języka, bo jest to język tego kraju", a co powiedział św. Paweł? Powiedział on w duchu katolickim:

„Dziękuję Bogu mojemu, iż językiem was wszystkich mówię. Lecz jeślibyś błogosławił duchem (tylko w obcym języku): który jest na miejscu nieuka, jakoż rzecze, Amen, na twe błogosławienie? bo nie wie co mówisz. Albowiem acz ty dobrze dziękujesz: ale się drugi nie buduje". (Kor. 14: 16—18.)

Wszyscy amerykańscy prałaci zaiste „błogosławią dobrze" i „dziękują dobrze", ale naród po polsku mówiący" nie buduje się".

Z tych to i innych powodów wdzięczni jesteśmy ks. arcybiskupowi Katzerowi, d-rowi Reuben Parsons i wielu innym prałatom, którzy sympatyzują ze staraniami o polskiego biskupa, gdyż popierają sprawę dobrą i sprawiedliwą. A wstyd tym katolikom amerykańskim, którzy się sprzeciwiają tym staraniom, gdyż wznoszą wyżej sztandar narodowy, aniżeli sztandar katolicki!

Ripon, Wis., 12 października 1902.

Ks. Wacław Kruszka, Delegat.

77. „Gazeta Opolska" chce autora Historji mieć biskupem. — Co na to „Dziennik Chicagoski?" — Listy księży Kasprzyckiego, Gary, Ćwiąkały. — Chcieli mnie mieć proboszczem w Beaver Dam.

Nagana wywołuje pochwałę, a pochwała wywołuje naganę. Ganił moją „Historję" Dziennik Chicagoski. Za to pochwaliła ją „Gazeta Opolska" na Górnym Śląsku; a pochwaliła tak komplementarnie, że napisała, iż autora „Historji" chętnieby widziała biskupem. Ten komplement znowu w „Dzienniku Chicagoskim" wywołał nietylko głębokie zdziwienie ale i oburzenie. Temu zdziwieniu i oburzeniu swojemu umiał „Dziennik Chicagoski" dać wyraz klasyczny w następującym artykule:

„Komitet Wykonawczy ostatniego Kongresu polsko-katolickiego, nasze wszystkie gazety i katolickie i niekatolickie, nasi rozmaici kapłani, nasze organizacje, nasi patrjoci dbający o dobro ogółu polskiego w Ameryce — wogóle wszyscy, którzy w Ameryce zajmują się omawianiem i załatwianiem spraw publicznych dla Polaków najważniejszych, — wdzięczni powinni być „Kurjerowi Polskiemu" za zwrócenie ich uwagi na następującą niezmiernej

doniosłości wiadomość, która ich oczy, dotychczas widocznie zaślepione, otworzy:

„Czytamy w „Gazecie Opolskiej“, piśmie politycznem dla ludu polsko-katolickiego na Śląsku wychodzącem, w numerze 63 z dnia 8-go sierpnia r. 1902, co następuje:

„Ksiądz Wacław Kruszka w Ameryce, rodak z Księstwa Poznańskiego, wielce świątobliwy i światły kapłan, wydaje obecnie „Historję Polski w Ameryce“. Jestto nader ważne dzieło, które bardzo umiejętnie i starannie opracowane, daje pogląd na stosunki Polaków. Jeżeliby kiedyś Stolica Apostolska do próśb Polaków, celem nadania im własnego biskupa, przychylić się miała, toby wybór ks. Wacława Kruszki zapewne na to zaszczytne stanowisko był najtrafniejszym, gdyż właśnie nikt tak dokładnie nie zna stosunków Polaków w Ameryce, jak ten zacny i wszechstronnie wykształcony kapłan. Niech się Polacy w Ameryce nad tem dobrze zastanowią, a z pewnością po głębszym namyśle przyjdą do tego przekonania, że rządy Kościoła polsko-katolickiego w Ameryce mogą tylko być złożone w ręce bogobojnego, wielce światłego, czynnego i energicznego przewodnika. A wszystkie te przymioty zdobią w całej pełni tego ze wszechmiar zacnego kapłana“.

Z usprawiedliwionym triumfem woła „Kurjer Polski“:

„Oto co pisze „Gazeta Opolska“: Jak wobec tego wyglądają ci, którzy tutaj autora „Historji Polskiej w Ameryce“ tak bezwzględnie krytykują?“

Ha no cóż — czują się zmiażdżeni przeświadczeniem, że w Opolu znajdują się krytycy od nich lepsi, dokładniej znający stosunki tutejsze, zdolniejsi do osądzenia, co w „Historji“ jest szczerozłotą prawdą i trafnem stawianiem dziejów tej lub owej polskiej osady, — i że aż w Opolu na Śląsku odkryto najstosowniejszego kandydata na biskupa pomiędzy polskimi kapłanami w Ameryce, podczas gdy rzecz ta prosta, jak obręcz, dotychczas uszła uwagi tutejszych kierowników opinji publicznej!“

Takim to trafnym komentarzem opatrzył „Dziennik Chicagoski“ kompliment „Gazety Opolskiej“. Widać, że obydwom tym gazetom nie zbrakło dowcipu.

Ks. Jan Kasprzycki C. R., późniejszy Generał a ówczesny proboszcz największej parafji św. Stanisława Kostki w Chicago, pisał mi 18 września 1902 r. co następuje:

„Pospieszam z dotrzymaniem obietnicy. Z listy chrztów dawanych rok rocznie Najprzew. Ks. Arcybiskupowi pokazuje się

liczba chrztów od roku 1869 aż do roku 1901, jak załączony wykaz oznacza (największa liczba 2,260 chrztów przypadła na rok 1893; potem już stale opadała).

„Niech drogi Ojciec z tych liczb jak najdokładniej wykalkuluje wzrost Polaków w naszej parafji.

„Sądzę, że praca drogiego Ojca teraz i w przyszłości będzie miała wielką wartość dla najobszerniejszej historji naszej w Ameryce.

„Niech drogi Ojciec każdą uwagę, zrobioną przez gazety, kompetentnie uwzględni w swej cennej pracy.

„Spodziewam się, że w krótkim czasie będziemy mogli całe dziełko Drogiego Ojca czytać z przyjemnością o naszej Polonji w Ameryce.

„Niech Pan Bóg Drogiemu Ojcu błogosławi.

„Z pozdrowieniem braterskiem

Ks. Jan Kasprzycki, C. R."

P. S. Ojciec Jelinek przyjedzie!"

Z Independence, Wis., 31 października 1902 pisał ks. Andrzej Gara:

„Wielebny Księże Kruszka! Ażeby w „Historji" księża polscy w diecezji La Crosse nie pozostali ogołoceni z wszelkiej wyższej godności duchownej, proszę o zamieszczenie w swej Historji, że ja mam zaszczyt być konsultorem. Jest to pierwsza godność, jakiej Polak mógł dostąpić w naszej diecezji.

Sługa w Chrystusie

Ks. A. W. Gara".

Nieodżałowanej pamięci ks. Paweł Ćwiękała z Berea, Ohio, 17 października 1902 r. doniósł mi, że „stosownie do polecenia Szan Ks. Dobrodzieja prosiłem ks. Rosińskiego o przesłanie statystyki chrztów z parafji św. Stanisława".

Z Beaver Dam., Wis., 3 listopada 1902 pisał mi p. Jan L. Jarka, ówczesny Deputy Sheriff powiatu Dodge:

„Wielebny Księże Kruszka! Posłaliśmy prośbę do Najprzew. Ks. Arcybiskupa Katzera, aby Księdza mianował naszym proboszczem. Nadto ks. Antoni Wiśniewski, Franciszkanin z Green Bay, był u nas w niedzielę i zobaczy się z arcybiskupem razem z ks. Szukalskim i wniesie tę samą prośbę. W razie byś został mianowa-

nym, daj nam znać, żebym wyszedł na Twoje spotkanie. Twój Jan L. Jarka".

W tej samej sprawie od ks. Bernarda Traudta, sekretarza arcybiskupiego, z Milwaukee 4 listopada 1902 dostałem następujący list:

„Wiel. Księże! Pan Jargar i pan Zemla piszą z Beaver Dam, że Ksiądz ma pono iść do Beaver Dam i zaopatrywać tamtejszą parafję. Jeśli tak jest, to proszę pisać i uwiadomić Przewiel. ks. A. F. Schinnera".

Na to Przew. ks. Schinnerowi 5 listopada 1902 tak odpisałem:

„Czy mam wolę iść do Beaver Dam? Czemu miałbym mieć wolę? Moja wola przecie tak czy tak nigdy uwzględnioną nie została, a więc nie dziw, że jestem tego usposobienia, żeby niczego nie chcieć i na wszystko być obojętnym. Wszystko, co panom Jazgarowi i Zemli powiedziałem, było to: „Jestem do rozkazów J. E. Arcybiskupa. Jeśli On mi rozkaże iść do Beaver Dam, to pójdę z posłuszeństwa — inaczej nie".

Taką dałem odpowiedź, kiedy arcybiskup po powrocie z Rzymu chciał mi dać promocję. Albowiem mając przed sobą ważną misję delegata i ewentualny wyjazd do Rzymu, nie było mi to wcale na rękę przyjmować nową i większą parafję. Objąwszy większe probostwo, mógłbym łatwo stracić ochotę do zajmowania się sprawą biskupów polskich w Ameryce.

78. Staramy się o biskupów polskich nie tyle dla wybawienia majątków kościelnych ile dla zbawienia dusz. — Odpowiedź na faryzejskie zgorszenie z wiersza Marji Konopnickiej.

Obywatel W. Brodzic z Winnony, Minn., 3 listopada 1902 pisał mi:

„Wiel. Księże! Bardzo pięknie poruszyliście sprawę polskiego biskupa, bo czy nasi polscy księża nie są zdatni na biskupów tak jak ajrysze i niemcy?

„Ale mnie się zdaje, że i w Rzymie nam Polakom niesprawiedliwą miarą mierzą, a po drugie, prawdę mówiąc, my tu w Ameryce nie mamy polskich kościołów, choć za nasze pieniądze są pobudowane, tylko są ajryskie i niemieckie" itd.

Na ten list ogłosiłem w gazetach następującą odpowiedź:

Piszesz Pan: ...„Prawdę mówiąc, toć my Polacy tu w Ameryce nie mamy polskich kościołów, choć za nasze polskie pieniądze

są pobudowane, tylko są ajryskie i niemieckie, bo biskupi mają zapisane, to z pewnością zapisów by oddać nie chcieli, to choćby i polski biskup przybył, to Irisz albo Niemiecby mu kościół zamknął i ustawił policmanów i do kościoła go nie wpuścił. Najprzód trzeba się starać, aby ajryszom i niemcom odebrać te zapasy, a wtedy by można w Rzymie zakołatać i powiedzieć: „tyle a tyle jest polskich kościołów“ — więc i biskup polski jest potrzebny“...

Ponieważ tak, jak Pan, sądzi wielu, ale błędnie sądzi, więc publicznie odpowiadam, aby ich wyprowadzić z błędu. Otóż biskup, jako osoba ta i ta, nie był nigdy, nie jest i nie będzie nigdy właścicielem polskiego kościoła w Ameryce, zatem nie mógł, nie może i nie będzie mógł rozporządzać dobrami kościoła polskiego dla celów osobistych. Biskup, czy ajrysz, czy niemiec, jest tylko z urzędu, jaki piastuje, stróżem własności kościelnej — właścicielem zrobili go dopiero niezależni, aby lud zbałamucić. Gdyby na osobę biskupa kościoły polskie były zapisane, toby on mógł polskie dobra kościelne zapisać swoim krewnym lub którymkolwiek przyjaciołom swoim. Lecz tego żaden biskup amerykański uczynić nie może, bo mu tego nie pozwalało nigdy, nie pozwala i pozwalać nie będzie żadne prawo, ani kościelne ani stanowe (państwowe). Gdy biskup umiera lub diecezję opuszcza, majątek diecezjalny, którego był stróżem, nie przechodzi na jego krewnych itd., lecz na innego stróża czyli opiekuna, to jest, na następcę jego w urzędzie biskupim. Jeżeli więc tym następcą zostanie biskup Polak, to biskup Polak będzie stróżem czyli opiekunem dóbr kościelnych w diecezji. Nie potrzeba więc starać się o to, aby biskupom ajryskim i niemieckim „odebrać te zapisy“ — bo oni ich wcale nie posiadają. Przyczyna też, dla której staramy się o biskupów polskich, nie leży, że tak powiem, na powierzchni tych ziemskich dóbr kościelnych, lecz należy jej szukać głębiej — w ukrytym skarbie wiary świętej, dla której podtrzymania koniecznie potrzeba, aby i biskupi w zrozumiałym dla ludu języku przemawiali, gdyż właściwą powagę nauczycielską i pasterską w Kościele stanowią dopiero biskupi, a nie zwykli księża. Księża prości pomagać mogą i pomagają biskupowi w Jego urzędzie nauczycielskim, lecz zastąpić tej Jego powagi nauczycielskiej w żaden sposób nie mogą. Tak nas uczy Kościół św.

Więc biskupów polskich potrzeba nam — nie dla wybawienia majątków kościelnych z rąk ajryszów lub Niemców, lecz dla podtrzymania wiary św., czyli dla zbawienia dusz polskich!

Żleby nasze stanowisko zrozumiał, ktoby sądził, że my, starając się o biskupów polskich, mamy li tylko te ziemskie dobra kościelne na oku! To mieli i mają na oku niezależne „biskopy“ — ale nie my Polacy katolicy!

Ripon, Wis., 4 listopada 1902 r.

X. Wacław Kruszka.

Że dla nas Polaków, zawsze wiernych, Ojciec św. nie ma tyle względów co dla Niemców niewiernych, to jest fakt. Dlatego Marja Konopnicka gdzieś tam pono błogosławi odstępstwo Lutra i wiarołomstwo Henryka VIII. W owym czasie, pod jesień 1902, ktoś arcypobożny wskutek tego zgorszył się bardzo. Ukazał się tedy w „Kurjerze Polskim“ następujący artykuł pod tytułem:

Faryzejskie zgorszenie.

Ripon, Wis., 21 listopada 1902.

Ktokolwiek z wiersza Marji Konopnickiej, niedawno ogłoszonego w „Kurjerze“, zgorszył się dlatego, że ów wiersz zawiera ustępy, w których szan. autorka błogosławi niejako odstępstwo Lutra i wiarołomstwo Henryka VIII, — ten zgorszył się zgorszeniem faryzejskiem, albo w najlepszym razie, dziecinnem — scandalo pusillorum. Albowiem każdy, umiejący czytać ten wiersz bez uprzedzenia, wie dobrze, że autorka nie pochwala ani Lutrowej ani Henrykowej zbrodni samej w sobie, lecz tylko o tyle te zbrodnie sławi i błogosławi, o ile one wyszły na dobre narodom tym, niemieckiemu i angielskiemu. Nie masz przecie złego takiego, któreby na dobre nie wyszło. I czyż to się nie godzi błogosławić złego, dla tego, że ono na dobre wyszło? A owszem, godzi się, bo i Kościół św. sam to czyni. Czyż bowiem Kościół nie błogosławi grzechu Adamowego? czy nie śpiewa we Wielką Sobotę: „O necessarium Adae peccatum — o felix culpa, quae talem ac tantum meruit habere Redemptorem“! Czyż Kościół chwali grzech Adamowy sam w sobie? Bynajmniej, lecz błogosławi go o tyle, o ile ten grzech sprowadził nam Zbawiciela świata.

Fakt faktem, jest i to faktem psychologicznie łatwo zrozumiałym, że Polska, ta „Polonia semper fidelis“, dlatego właśnie, że zawsze wierną była i jest, mniej też czułą bywa otaczana opieką przez Stolicę św.

Ojciec św. mniej o nas dba, niż o inne narody — zgoda na to! Nie zaprzeczajmy tego faktu! Ale nie gorszmy się też z niego —

bo to rzecz całkiem naturalna, i logicznie i psychologicznie zrozumiała, że Ojciec św. dba o narody niewierne więcej, niż o nasz naród, który Mu zawsze wiernym był. Ojciec św. postępuje jak ów ojciec w Ewangelji, który dla marnotrawnego syna kazał „przywieść utuczonego cielca“ — a synowi dobremu, zawsze mu wiernemu, „nigdy nie dał koźlęcia“. Nasza zaś „Polonja zawsze wierna“ często tak sobie postępuje, jak ów syn wierny w Ewangelji, który usłyszawszy, że ojciec kazał dla marnotrawnego zabić cielca utuczonego, „rozgniewał się i nie chciał wnijść do domu“, i odpowiedział ojcu: „Oto tak wiele lat służę tobie, i nigdym nie przestąpił rozkazania twego, a nigdyś mi nie dał kozlęcia, żebym używał z przyjaciółmi moimi Ale gdy ten syn twój, który strwonił majętność twą z nierządnicami, przyszedł, zabiłeś mu utuczonego cielca“.

Tak i my Polacy nieraz się skarżymy na Ojca św., że inne narody niewierne większą otacza pieczołowitością niż nasz naród „zawsze mu wierny“. A Ojciec św. co na to? Zdaje się nam odpowiadać to samo, co ów ojciec ewangeliczny: „Synu mój, tyś zawsze jest ze mną, i wszystko, co moje, twoje jest. Lecz trzeba było używać i weselić się, iż ten brat twój był umarły, a ożył; zginął był, a znalezion jest“.

My Polacy byliśmy zawsze narodem wiernym Stolicy św., nie opuszczaliśmy nigdy domu ojcowskiego (Kościoła) — i za to też nigdy nie dostaliśmy ani „utuczonego cielca“, ani „obuwia na nogi“, ani „pierścienia na rękę“, ani „najpiękniejszej szaty“ — lecz, w porównaniu do innych narodów, niejako boso i w podartych łachmanach chodzimy, ale zawsze za to w domu ojca jesteśmy. Gdyby Polska była się stała „marnotrawnym synem“ Kościoła, byłaby niezawodnie doznała większych faworów i względów u Ojca św. (to jest myśl Konopnickiej!) Lecz nie zazdrośćmy owym „marnotrawnym synom“ Kościoła ani tuczonego cielca, ani pierścienia... i nie dziwmy się Ojcu św., że nam tego nie daje, co tym innym narodom. My zawsze w domu, a choć wszędzie dobrze, w domu jednak najlepiej!

X. Wacław Kruszka.

79. W Watykanie panowało przekonanie, jakoby rząd waszyngtoński sprzeciwiał się mianowaniu biskupów polskich w Ameryce. — Polonja Amerykańska to piękna Estera. — Mardocheusz i Aman.

W urzędowem Sprawozdaniu Wydziału Wykonawczego II Polsko-Katolickiego Kongresu w Ameryce i jego trzechletniej działalności czytamy co następuje:

„Arcybiskup Katzer dużo obiecał zrobić dla sprawy i dużo zdaje się dla niej starał się zrobić. Jeździł nawet do Rzymu przeważnie pono w tej sprawie. Jego zabiegi wszelako nie odniosły pożądanego skutku.

„Przyszedłszy do przekonania, że sprawa równouprawnienia kleru polskiego nie zostanie załatwioną przez hierarchję amerykańską, Wydział Wykonawczy zaprzestał dalszych pod tym względem zabiegów i zgodził się ostatecznie na wyjazd delegacji do Rzymu".

Tak brzmi urzędowe sprawozdanie Wydziału Wykonawczego.

Ale chociaż Wydział Wykonawczy zgodził się ostatecznie na wyjazd delegacji do Rzymu, to teraz znowu mój współdelegat Przewiel. Dziekan ks. Jan Pitass nie mógł się wcale a wcale ostatecznie zgodzić na czas wyjazdu do Rzymu. Na wyjazd godził się zawsze stanowczo; tylko na czas wyjazdu nie mógł się zdecydować. Przez następne dziesięć miesięcy do Rzymu zawsze się wybierał, a nigdy się nie wybrał. Raz spłoszony zdradzieckiem postępowaniem, stawał się podejrzliwym i nawet Wydziałowi Wykonawczemu nie dowierzał. Obawiał się ciągle jakiejś ukrytej zasadzki.

To jeden powód ciągłego odkładania podróży. Ale był jeszcze inny powód, a mianowicie ten:

Kongres, wybrawszy nas dwu delegatów, trzeciego świeckiego delegata pozostawił nam dwom do wyboru. Dotychczas wybór ten zdawał nam się bardzo łatwym: nie będzie pan Smulski z Chicago, to będzie p. Nowak z Buffalo lub p. Czerwiński z Milwaukee. O Polaku tylko zawsze myśleliśmy, a nie o obconarodowym delegacie. I gdyby nam był wówczas kto powiedział: Wybierzcie Amerykanina albo ajrysza na delegata, to bylibyśmy go zapytali:

— Czyś ty oszalał?

Tak nam się zdawało, dopóki arcybiskup Katzer z Rzymu nie powrócił, nic nie zrobiwszy. Ale kiedy arcybiskup Katzer powrócił, a właściwie już kiedy ks. Gulski powrócił (dwa miesiące wcześniej od arcybiskupa), wtedy dopiero przekonaliśmy się, że wybór delegata świeckiego nie będzie nam tak łatwy, jak to nam dotychczas się zdawało. Albowiem dopiero od arcybiskupa Katzera, a właściwie przed tem już od ks. Gulskiego dowiedzieliśmy się, że w Wa-

tykanie, i wogóle między kardynałami w Rzymie, zakorzenił się głęboko ten przesąd czyli zabobon, jakoby rząd waszyngtoński był przeciwny mianowaniu biskupów mówiących innym językiem prócz angielskiego. A jeśli wyraźnie nie jest przeciwny, bo mu konstytucja zabrania mieszać się do kościelnych spraw, to przynajmniej bardzo niechętnem okiem patrzy na biskupów niemieckich, francuskich i t. p., a bardzo łaskawem okiem spogląda na biskupów ajryskich, dlatego że ci, prócz angielskiego, innym językiem mówić nie umieją.

Oto sęk, a w sęku dziura!

Kto takiego kąkolu nasiał w Rzymie? Jużci ajrysze.

Już 8 września 1901 r. pewien niemiecko-katolicki kapłan z Darboy, Wis. pisał mi ołówkiem, bo pióra nie miał:

„Rev. Father Kruszka, Please allow me to address mysel to you in this manner, for I am alone and can't find a pen in a back woods parish. I have quite a while thought over your article in the „Catholic Citizen" and came to the conclusion it would have taken up the sympathy of our **German** newspapers more than the Irish. The Irish are too proud of being at the lead and too jealous to let any other nationality come to the front in the United States. They want to be the only marturs (champions) of the faith and the leaders here in America. Only some time ago a Reverend said:

— In official circles they regret to have chosen a German bishop (viz. bishop Eis), but the mistake will not occur again. From now on Rome will not create again a German bishop in the U. S.

You have seen how Irish papers frown upon a Polish Bishop. Yet the ball is rolling and it will strike the goal like the Italian question. Only keep it on rolling. Begin in Wisconsin. A Polish bishop is needed right here in Wisconsin. Strike whilst the iron is hot. Many German priests sympathize with your idea".

Ajrysze jedynie dlatego, że prócz angielskiego, innego języka nie umieją, chyba prawem kaduka uważają się tu za rdzennych Amerykanów. I rząd waszyngtoński już wówczas znał się na tych farbowanych lisach, jakimi byli i są ajrysze, pod pokrywką języka angielskiego uprawiający patrjotyzm czysto irlandzki, a nie amerykański.

Rząd waszyngtoński, czyli Wuj Sam, ma krzywem okiem patrzeć na mianowanie polskich biskupów, bo uważa tylko tych za

lojalnych Amerykanów, którzy wyłącznie językiem angielskim władają!? Myśmy mogli się tylko śmiać z takiego przesądu. Ale równocześnie zdawaliśmy sobie jasno sprawę z tego, że najtrudniej właśnie wykorzenić tego rodzaju przesądy, jeśli już w kołach watykańskich się rozkrzewiły.

My Polacy amerykańscy bardzo dobrze rozumiemy nasz wzajemny stosunek do Wuja Sama, i Wuj Sam do nas. Wuj Sama żąda od nas Polaków, zarówno jak i od wszystkich innych narodowości, przedewszystkiem szczerej a nieobłudnej lojalności czyli wierności dla siebie. Nasz Wuj Sam jest w takim stosunku do rozmaitych narodowości w tym kraju, w jakim był małżonek Salomon w Starym Testamencie do rozmaitych swoich żon, jakie mu wolno było poślubić. Żądał on od swoich żon przedewszystkiem wierności małżeńskiej, no i żeby się mogły też z nim rozmówić jego własnym językiem; ale tego nie żądał tak bardzo, jak żądał przedewszystkiem, żeby mu były wierne. Nie zabraniał im zresztą ich mowy rodzinnej, nie zabraniał im też wstawiać się u niego za własnym narodem. Podobnie Wuj Sam.

Jeszcze szczęśliwszym jest szczególny stosunek Polonji amerykańskiej do Wuja Sama. Jest to bowiem stosunek pięknej Estery do perskiego króla Aswera. Kler polski, to Mardocheusz. Germanofilski ajryszyzm, to Aman. (Porównaj Księgi Estery rozdziały 6—9.) Ajryszyzm ten, dzięki szczególnej znajomości języka angielskiego, zajął najwyższe stanowisko w kraju Wuja Sama, podobnie jak Aman w państwie Aswera. Kościelni słudzy wszystkich narodowości w Kościele amerykańskim uginali kolana przed Amanem ajryszyzmu i oddawali mu prawie Boską cześć. Tylko Mardocheusz, czyli kler polski, nie czynił tego. Gdy to Aman obaczył, rozgniewał się bardzo. I dla Mardocheusza wystawił szubienicę 50 łokci wysoką, z kłamstw i oszczerstw zbudowaną. W Washingtonie ten niemiecko-ajryski Aman głosił, że Mardocheusz, czyli kler polski, opiekujący się Esterą czyli Polonją amerykańską, jest dla Wuja Sama nielojalnym, bo chce tu pozostać polskim. W Rzymie zaś głosił, że dla tego Wuj Sam chce Mardocheusza, czyli kler polski, widzieć wywyższonego na szubienicy, a nie w hierarchji kościelnej. Ta szubienica była nie tylko wysoką, ale i tak głośną, że o niej nawet w Rzymie słyszano.

I w Rzymie miano naprawdę uwierzyć, że to Wuj Sam, a nie kto inny, wystawił tę wysoką szubienicę dla Mardocheusza polskiego w Ameryce.

To nam delegatom do Rzymu, ks. Pitassowi i mnie, dawało dużo do myślenia i do planowania w drugiej połowie roku 1902.

80. Moje wakacje w Buffalo. — Konferencje w ogrodzie ks. Pitassa. — Moja wizyta u biskupa Quigley w Buffalo.

Mój współdelegat ks. Jan Pitass, raz doznawszy zawodu, był lękliwy i niezdecydowany. Duży mu też klin w głowę wbiła ta wiadomość z Rzymu przywieziona przez arcybiskupa Katzera, jakoby rząd waszyngtoński miał się sprzeciwiać mianowaniu biskupów polskich w Ameryce. Ciągle więc do Rzymu się wybierał a nigdy się nie wybrał.

Jeszcze 15 lipca 1902 r. pisał pan Stan. Ślisz:

„Ks. Pitass podróży do Rzymu nie myśli zaniechać ani też zrzec się delegacji i chce tylko odczekać powrotu ks. Gulskiego do Milwaukee. Wówczas będzie można stanowczo powiedzieć, że tak ks. arcybiskup Katzer jak i ks. Gulski grali we fałszywe karty z nami i że nadszedł na delegację czas do działania. Nie raz mówiłem o tem z ks. Pitassem".

Dnia 24 lipca 1902 r. p. Ślisz donosił:

„Do poprzedniego listu nie mam nic więcej do dodania nad to, że ks. Pitass zgadza się na odbycie podróży do Rzymu i to w końcu października lub z początkiem listopada. Wpierw w drogę wyruszyć nie pozwalają różne interesy, jak naprzykład malowanie kościoła. Dobrze byłoby tę sprawę poruszyć w gazetach i nakłonić Wydział kongresowy, aby zajął się nią poważnie. Kto pierwszy ma poruszyć, to proszę mi donieść. — A teraz jeszcze jedno. — Ks. Dobrodziej już tyle lat pracuje w Ripon i dotychczas nie miał prawie żadnych wakacyj; dobrze byłoby więc, aby Ks. Dobrodziej postarał się w tym roku przynajmniej o miesięczne wakacje i przybył do Buffalo. Ks. Pitass zaręczył mi, że nietylko przyjmie gościnnie Ks. Dobrodzieja, ale nadto da Mu pensję, jaką pobierają asystenci, oraz da na cały czas missalia. Proszę tę rzecz rozważyć dokładnie. Gdyby Ks. Dobrodziej był w Buffalo, omówiłoby się niejedno, wydrukowałoby się memorjał, ułożyło plan i sposób postępowania w Rzymie. Na tem zyskałby wielce projekt, z jakim delegacja wybiera się do Rzymu".

Wybrałem się do Buffalo. Ks. A. F. Schinner, który w czasie nieobecności arcybiskupa Katzera był administratorem archidiecezji milwauckiej, dał mi następujący urlop:

Milwaukee, Aug. 25. 1902.

The Rev. W. Kruszka,

Ripon, Wis.

Rev. dear Father,

You have permission to be absent for three weeks, as requested in your letter of the 23 inst.

Very sincerely yours

A. F. Schinner, Admin.

W Ripon przez te trzy tygodnie zastępował mnie ks. Franciszek Nowacki, który tu w Ripon roku 1876 po raz pierwszy światło dzienne ujrzał. Był on roku 1902 asystentem ks. St. Nawrockiego w Chicago.

Do Buffalo jechałem rzemiennym dyszlem, wstępując tu i tam po drodze i zbierając materjały do Historji. W Detroit między innymi odwiedziłem założyciela seminarjum polskiego, ks. Dąbrowskiego. Bardzo był rad, i kiedym już był na okręcie, by jeziorem Erie jechać do Buffalo, ks. Dąbrowski z miasta przybiegł na statek, żeby jeszcze raz pożegnać się ze mną. Było to też ostatnie pożegnanie, gdyż wkrótce potem umarł. W Buffalo u ks. Pitassa miałem prawdziwe wakacje. Gdym przyjechał, zastałem starego ale jarego ks. dziekana pracującego w swojej winnicy przy plebanji. Z winnicy ks. Pitass poprowadził mnie do swego sadu, gdzie w cieniu rozłożystej jabłoni czy gruszy zasiedliśmy przy stole. Tu zaraz kazał zawołać swego niewidomego sekretarza p. Stanisława Ślisza, i tak w trójkę zaczęliśmy omawiać sprawy publiczne. Nikt jeszcze podówczas ani z nazwy nie znał prohibicji, więc też gościnny gospodarz wnet kazał przynieść butelkę wina. Ani piwa ani wódki ks. Pitass nie pijał. Wódkę nazywał pogardliwie „śmierdziuchą". Przy piciu ks. Pitass żartobliwie zwrócił moją uwagę na pana Ślisza, wyciągającego powoli swoją drżącą rękę po kieliszek.

— Patrz — mówił mi. On nic nie widzi. A jednak ślepym instynktem wiedziony, swoją ręką powoli ale zawsze prosto do kieliszka trafia.

Czasem, gdy ręka p. Śliszа zbliżała się już do kieliszka, ks. Pitass porwał mu kieliszek. Wtedy pan Ślisz, długo macając po stole a nie mogąc się niczego domacać, żachnął się i rzekł:

— Niech ks. dziekan nie kpi z mojej ślepoty, bo z cudzej biedy śmiechy, to najcięższe grzechy.

— No masz, Staśku, niech ci wyjdzie na zdrowie.

Potem toczyły się poważne rozmowy o sprawach publicznych. Pan Ślisz z nadzwyczajną bystrością umysłu rozwijał swoje obszerne poglądy na całość sprawy z olbrzymią pamięcią szczegółów. Ks. dziekan zaś dorzucał swoje krótkie i urywane, ale cięte i trafne uwagi. W ogrodzie, w cieniu drzew, niemal codzień odbywały się takie konferencje.

Z ks. dr. Tomaszem Stabenau, dawnym moim kolegą w Rzymie, po raz pierwszy zwiedziłem gruntownie słynny wodospad Niagary, tudzież nowo-założoną parafję polską w mieście Niagara Falls, oraz potężne turbiny wodne, dostarczające siły elektrycznej całemu Buffalo i okolicy. Słowem były to wakacje prawdziwe. Nie pisałem Historji, ale zebrałem cenne materjały do Historji. Byłem u proboszczów polskich w Buffalo i okolicy.

Raz się też spotkałem w aptece polskiej z pewnym wpływowym ajryszem, który zdaje mi się był urzędnikiem miejskim w Buffalo, a który mi w dłuższej rozmowie oświadczył, że biskup James Quigley radby mnie widział. Złożyłem tedy wizytę temu biskupowi w Buffalo, a późniejszemu arcybiskupowi w Chicago. Bardzo mnie uprzejmie przyjął i rozmawiał ze mną prawie całą godzinę. Wypytywał mnie ciekawie o Ripon, znane mu już jako „centrum świata“, i o moją „największą“ parafję. Ale około sprawy biskupów polskich tak ostrożnie chodził, jak kot około gorącej kaszy. Robił na mnie wrażenie, że byłbym mu all right, gdybym tą sprawą, nienawistną episkopatowi, przestał się zajmować; że gotówby był nawet mnie samego zrobić biskupem, pod warunkiem, że tej sprawie łeb ukręcę. Ja zaś dawałem mu do zrozumienia, że być i zostać delegatem do Rzymu w sprawie biskupów polskich, jest to dla każdego daleko większym zaszczytem aniżeli zostać nawet biskupem, ale w celu ubicia tej tak żywotnej dla Kościoła sprawy. Bo co mi z tego, że ja chwilowo bym zatriumfował, a sprawa raz na zawsze zostałaby ubitą? Wolę sam być pobitym w sprawie, która kiedyś ma triumfować, aniżeli triumfować w sprawie, która kiedyś ma być ubitą.

Ale kiedy wyjedziemy do Rzymu? Tego od ks. Pitassa na pewno dowiedzieć się nie mogłem przez cały czas mego pobytu w Buffalo.

Od powrotu mego z Buffalo mijały miesiące, jeden za drugim. Na listowne zapytanie moje, kiedy ks. Pitass wyjedzie do Rzymu? Pan Ślisz 6 listopada 1902 odpisał mi:

„W odpowiedzi na łaskawy list ks. Dobrodzieja donoszę, że ks. Dziekan Pitass **trwa w postanowieniu wyjazdu do Rzymu**. A co się tyczy bliższych szczegółów, to o tych pomówię z nim przy najbliższem widzeniu i zawiadomię Drogiego księdza. Na moje pytanie. czy ks. Dobrodziej byłby gotów udać się na kolektę do tych księży, którzy chcą pewne kwoty ofiarować na pokrycie kosztów podróży do Rzymu, nie otrzymałem odpowiedzi — a zatem stawiam je ponownie. Co się tyczy ks. Lechowskiego, po otrzymaniu od ks. Dobrodzieja odpowiedzi przesłane zostanie do ks. biskupa Beaven".

Ks. dziekan tak „trwał w postanowieniu wyjazdu do Rzymu", że aż utknął w niem.

81. Odkładanie podróży z miesiąca na miesiąc. — Koszta podróży delegacji zwiększyły się ze względu na delegata świeckiego, którym musiał być ktoś z kół rządowych. — Ofiary od księży na podróż delegacji.

Po powrocie arcybiskupa Katzera z Rzymu sprawa wyjazdu delegatów do Rzymu nie napotykała na żaden opór, nawet ze strony dotychczasowych przeciwników. Owszem, ci sami, którzy pół roku temu sprzeciwiali się wyjazdowi delegacji, domagali się teraz od nas natychmiastowej podróży do Rzymu. Więc przypuściłem szturm do ks. Pitassa. Na moje ustawiczne nalegania odpowiedział p. Ślisz dnia 3 grudnia 1902 r.:

„Wielebny księże Dobrodzieju! Nie odpowiadałem na listy dlatego, że nie wiedziałem co mam odpowiedzieć. Odpowiedź moja miała być stanowczą, to też musiałem ją oprzeć na pewności a nie na przypuszczeniach.

„Sprawa stoi tak:

„W ostatnich dniach kilka razy a także wczoraj mówiłem z ks. dziekanem Pitassem o podróży do Rzymu. Zawsze odpowiadał mi jedno i to samo, że pojedzie z największą pewnością po Nowym Roku, i to pomiędzy 15 a 30 stycznia, i polecił mi o tem uwiadomić księdza Dobrodzieja. Od siebie nie dodaję tutaj nic, tylko powtarzam co mi mówił ksiądz Dziekan. Co do samego dnia wyjazdu zapewnił mnie, że oznaczy go około Nowego Roku.

„Polecił mi również poprosić ks. Dobrodzieja, aby się zapytał Wydziału Wykonawczego, czy z pieniędzy będących w jego ręku przeznaczy coś dla delegacji. Dobrze będzie, jeżeli ks. Dobr. rozpisze listy do księży skłonnych do ofiar o zasilenie delegacji

pewną sumką na opędzenie kosztów podróży a w razie potrzeby skolektuje ofiary osobiście. Skoro mi ks. Dobr. prześle listę tych księży, do których powysyłał listy, to prześlę odwrotnie nazwiska tych kapłanów, którzy według naszego zdania byliby skłonni do pewnych ofiar na koszta podróży do Rzymu.

„Ksiądz Dziekan będzie miał także własne pieniądze na podróż do Rzymu, ale dobrze będzie, gdy do pokrycia kosztów przyłączą się i inni. Nie ma na tyle, aby mógł rzucać tysiącami; a jadąc do Rzymu i opędzając znaczną część podróży delegacji, poniesie wielką ofiarę".

Tak pisał p. Ślisz. Wspominając o kolekcie na koszta podróży, o co tu chodziło ks. Pitassowi? Chodziło mu o to, żebym ja przynajmniej miał swoją podróż opłaconą, gdyż wiedział, że osobistych funduszów nie posiadam. Pomimo to jeszcze ks. Pitass „opędzając znaczną część podróży delgacji, poniesie wielką ofiarę". Dlaczego? Dlatego, że będzie miał nietylko swoją podróż, ale i podróż trzeciego delegata świeckiego do zapłacenia. A ten koszt będzie największy. Albowiem przyszliśmy do tego przekonania, że tym delegatem świeckim nie może być lada kto. Bo skoro arcybiskup Katzer przywiózł z Rzymu — czy zawiózł do Rzymu — taką wiadomość, mianowicie, że rząd waszyngtoński sprzeciwia się naszej sprawie biskupów polskich: natenczas tym delegatem świeckim musi być znaczna i wpływowa osoba z kół rządowych, ktoś z przyjaciół samego prezydenta Roosevelta. A taki najęty delegat będzie kosztował ks. Pitassa tysiące. Ale i na tę ofiarę ks. Pitass był gotów, byle tylko zbić ten fałszywy zarzut, w kołach watykańskich rozpowszechniony, że Washington nie chciałby widzieć biskupów polskich w Ameryce. Byli niektórzy, co mówili, że takim delegatem mógł był być, jeśli już nie Polak, to przynajmniej katolik. Ale kto wtedy, jeśli nie ajrysz? A czy ajrysz katolik świadczyłby przeciw ajryskim biskupom? Tu chodziło jedynie o bezstronnego świadka tej prawdy, że rząd waszyngtoński niema nic przeciwko temu, żeby w amerykańskiej hierarchji kościelnej zasiadali także biskupi polskiej narodowości. To jest prawda tak jasna, jak słońce. A jednak tej oczywistej prawdzie w Rzymie kłam zadano. A co najważniejsza, to to, że temu bezczelnemu kłamstwu uwierzyli kardynałowie, jak to zobaczymy w szóstem Siedmioleciu.

To też na samą tę myśl, że w Rzymie w kołach miarodajnych takie bezczelne kłamstwo się przyjęło, w starym ks. Pitassie aż krew się burzyła tak, że gotów był wybuchnąć niepohamowaną

złością przeciwko kardynałowi, któryby mu taki zarzut postawił. Dlatego, żeby uniknąć jakiejś awantury z kardynałami, wolał wyrzucić tysiące na delegata świeckiego, kompetentnego.

Sprawa zapomogi dla delegacji, względnie dla mnie, znalazła ogólne poparcie. Pierwszą przychylną odpowiedź otrzymałem od samego Wydziału Wykonawczego, którego sekretarz 10 grudnia 1902 r. tak mi odpisał:

Wielebny Księże Dobrodzieju!

W sprawie zapomogi dla Delegacji do Rzymu konferowałem z ks. Truszyńskim (prezesem Wydziału). Sądzę, że możecie spodziewać się zapomóżki. Urzędową odpowiedź prześlę Ks. Dobr. po następnem posiedzeniu Wydziału Wykonawczego.

Z wysokim szacunkiem

Ks. K. Sztuczko, C. S. C."

Z Buffalo 18 grudnia 1902 roku p. Ślisz mi pisał:

„Na list z dnia 16 b. m. odpowiadam co następuje: Ks. Sedlaczek może otrzymać miejsce w naszej diecezji... Co do podróży do Rzymu, to o niej mówiłem właśnie przed godziną z ks. Dziekanem. Polecił mi stanowczo zapewnić Ks. Dobr., że pojedzie niewątpliwie do Rzymu pomiędzy 15 a ostatnim stycznia roku przyszłego, lecz dnia oznaczyć nie może, a to z powodu nawału pracy, jaką ma do załatwienia przed podróżą. Pracuje pilnie i robi przygotowania do podróży. Sądzę, że postanowienie ks. Dziekana jest nieodwołalne; a jeżeli Ks. Dobr. twardo stoi przy tym zamiarze, więc z końcem stycznia p. r. pojedziecie do Rzymu.

„Co drogi Ks. Dobrodziej sądzi o nominacji ks. biskupa Quigley'a na chicagoskie arcybiskupstwo?

Radzę Ks. Dobrodziejowi, aby również czynił przygotowania do podróży i zawczasu postarał się o zastępcę.

„Lista księży, do których można się udać o datki na pokrycie kosztów podróży". (Tu p. Ślisz podaje długą listę księży skłonnych do ofiar.)

Listem z następnego dnia 19 grudnia 1902 r. p. Ślisz znowu mię zapewniał:

„Od wczoraj do dziś nie zaszło nic nowego. A to, że ks. Dziekan trwa stanowczo przy zamiarze wyjazdu do Rzymu, nie jest już ani dla mnie ani dla Ks. Dobrodzieja nowością. Przesyłam dalszy ciąg listy księży, skłonnych do ofiar"...

Do poczty w Ripon zaczęły napływać zbliska i zdaleka listy brzemienne w czeki i przekazy pieniężne. Listonosza jeszcze nie było, więc sam je ze swojej skrzynki wybierałem cztery razy na dzień. Pierwszy był konsultor diecezji La Crosse, Przew. ks. Gara, który z Independence, Wis., 25 grudnia 1902 roku pisał:

„Wielebny Ks. Dobrodzieju! W załączeniu przesyłam wprawdzie małą ofiarę, bo zaledwie dol. 15, ale je przesyłam z serca i proszę je przyjąć na swe własne wydatki podróży do Rzymu. Proszę Pana Boga, ażeby starania i poświęcenia się Wasze w sprawie nas wszystkich tak bardzo obchodzącej przyniosły upragniony skutek."

Ponieważ biskup Qugiley opuszczał Buffalo, więc sam prezes Wydziału Wykonawczego, ks. Kazimierz Truszyński, z Peru, Ill., 27 grudnia 1902 r. taki list mi napisał:

„Kochany Księże Wacławie!

„Wobec faktu, że biskupstwo buffalowskie ma wkrótce zawakować, należałoby wyjazd delegacji przyśpieszyć. Zapukajmy do drzwi Propagandy i Watykanu, zanim sprawa obsadzenia biskupstwa w Buffalo będzie tam rozpatrywana.

„W Milwaukee — **nic**; w Chicago, wobec tego, że Quigley przychodzi — **nic**; w Buffalo **jest nadzieja.** Niechby tym biskupem był czy to Jan, czy Piotr, czy Tomasz, czy Jacek — mniejsza o to, byle był Polak. O fundusz na podróż całkowitą od Wydziału spodziewać się nie można; lecz idź po kolekcie od księdza do księdza, a dostaniesz.

„Jeśliby ks. Pitass nie chciał jechać, niech zrezygnuje, a drugi musi być wybrany. Polecając tę sprawę troskliwości Twej, życzę Ci zdrowia i błogosławieństwa przy nowym roku, pytając Cię, co myślisz o tem, ściskam Cię.

Twój w Chr.

Ks. K. Truszyński."

Treść tego listu zakomunikowałem natychmiast ks. Pitassowi, w nadziei, że go tem pobudzę do przyśpieszenia wyjazdu. I już dnia 31 grudnia 1902 r. pan Ślisz dał mi taką odpowiedź:

„Takiej samej treści jak Ks. Dobrodziej także i ja otrzymałem list od ks. Truszyńskiego z Peru, Ill. Oprócz tego zapytuje się mnie, czyby nie dobrze było, gdyby Wydział Wykonawczy wysłał odezwę do księży biskupów nowojorskiej prowincji i księży elektorów buffalowskiej diecezji w sprawie postawienia i Polaka na liście kan-

dydatów na biskupa. Co mu odpowiedziałem jeszcze przed nadejściem listu od Ks. Dobrodzieja, to objaśni załączony tutaj bruljon."

Z tego długiego bruljonu przytoczę tu ważniejsze ustępy:

„Projekt Ks. Dobrodzieja (Truszyńskiego) jest nietylko bardzo dobry, ale i na czasie... Odezwa (do biskupów i elektorów musi być napisana śmiało z naciskiem i powinna zaznaczyć przedewszystkiem to, że wskutek pomijania Polaków przy obsadzaniu amerykańskich biskupstw budzi się pomiędzy Polakami niechęć i rozgoryczenie, co umożliwia agitację niezależnym... Jeżeli tylko na listę kandydatów na biskupa w Buffalo uda się wsunąć także i polskiego księdza, to można mieć nadzieję, że go Rzym uwzględni, chociażby tylko miał stopień „dignus". W buffaloskiej diecezji jest 80,000 Polaków.

„W kwietniu wyjeżdża z Galicji, z Poznańskiego i ze Śląska polska pielgrzymka do Rzymu, na której czele stanął ks. arcybiskup Bilczewski ze Lwowa, ks. biskup Wałęga z Tarnowa i ks. biskup Likowski z Poznania. Możeby to było korzystne dla wiadomej sprawy, gdyby Wydział Wykonawczy odniósł się do tych biskupów i poprosił ich o poparcie w Rzymie. Nasza delegacja, chociaż wyjeżdża z końcem stycznia lub początkiem lutego do Rzymu, to prawdopodobnie spotka się z nimi w wiecznem mieście i poprosi także osobiście o poparcie.

„Do ks. arcybiskupa Bilczewskiego pisałem już list, przedstawiając mu położenie amerykańskiej Polonji; a do ks. biskupa Wałęgi napiszę tem śmielej, że jest on moim kolegą szkolnym z gimnazjum w Jaśle."

Tyle z owego bruljonu. W liście z 31 grudnia 1902 p. Ślisz w dalszym ciągu pisał.

„Ks. dziekan Pitass na moje natarczywe nalegania, aby wyznaczył dzień odjazdu do Rzymu, ciągle mi odpowiada jedno i to samo, że porządkuje na gwałt swoje interesy i chce się urządzić tak, aby w końcu stycznia był gotów do podróży. Zaręcza, że jego postanowienie jest nieodwołalne, chociażby miał ponieść nawet i największe ofiary. Mówi mi też ciągle, aby poprosić Księdza Dobrodzieja również o przygotowanie się do podróży i zebranie na ten cel możliwie największych funduszów, jeżeli się tylko da.

„Sądzę, że na przyszły tydzień będę w stanie donieść Księdzu Dobrodziejowi, w którym dniu stanowczo wyjedzie do Rzymu. To mogę tylko powiedzieć, że ks. Pitass pracuje po całych dniach, aby tylko załatwić wszystkie sprawy. Czy nie dobrze byłoby, aby Ks.

Dobrodziej odniósł się do zarządu Zjednoczenia w Chicago o wyasygnowanie pewnej kwoty na pokrycie kosztów podróży do Rzymu?...“

82. Zbieranie funduszów na podróż delegacji. — Ofiary od księży, od Zjednoczenia P. R. K. i od Wydziału Kongresowego.

Napisałem więc i do zarządu Zjednoczenia P. R. K. list z prośbą o zapomogę pieniężną. Pieniądz jest nerwem rzeczy. Nie jest duszą rzeczy, ale nerwem. Jak nerw jest łącznikiem duszy z ciałem, tak pieniądz jest łącznikiem idei z jej urzeczywistnieniem. Opłakany to stan człowieka, u którego dusza wprawdzie jest dobra, ale nerwy słabe. Nerwem w życiu społecznem jest pieniądz. Napływały też zbliska i zdaleka od księży listy z datkami i obfitemi życzeniami lub obietnicami.

I tak ze Scranton, Pa., 31 grudnia 1902 r. ks. A. Żychowicz obiecał i później słowa dotrzymał — w następującym liście: „W tej chwili nie mogę Wam posłać monety, bo nadspodziewanie wielkie wydatki w tym miesiącu wypędziły mi gotówkę z kieszeni. Później, jeśli będzie potrzeba, poślę Wam, co będę mógł. Nadmieniam przytem, że w Rzymie bawić będzie podczas jubileuszu papieskiego także i biskup Hoban z naszej diecezji. Łatwo go tam odnajdziecie, i myślę, że Wam pomoże swoją radą i wpływem. Zna on także dobre i złe strony Polaków tutejszych może lepiej niż którykolwiek inny biskup amerykański. Życzę Wam szczęśliwej drogi i powodzenia Waszej misji.“

Ks. Dr. J. Dworzak z Williamsbridge, N. P., 2 stycznia 1903:

„W odpowiedzi na Jego uprzejmy list donoszę, że chętnie ofiaruję załączone dol. 5.00 na cele komitetu, mającego udać się do Rzymu. Jest to niekorzystny czas do prośby w stosunku do mnie, gdyż niedawno temu wróciłem z Europy po sześciomiesięcznych wakacjach. Niech P. Bóg błogosławi Waszej dobrej sprawie, bo do niedobrych spraw ani ludzkiego nie życzyłbym Wam błogosławieństwa. Estote prudentes suicut serpentes, et simplices sicut columbae.“

A ks. Gawłowicz z Warszawy, North Dakota, 3 stycznia 1903:

„Kochany Księże Proboszczu! Czemu to nie jesteśmy tak bogaci, jak inni, przy naszem sercu. Żałuję, że jestem jeszcze wtyle daleko. Wstyd mię, że zaledwie 10 dolarów na tak wzniosły cel dać mogę. Ale niechby każdy dał. Proszę mi wierzyć, że sprawy pu-

bliczne mnie jeszcze w Galicji zubożyły. Proszę się nie gniewać. Wesołego N. R. 1902 i weselszej podróży.“

Ks. S. Musiał z New Haven, Connecticut, 5 stycznia 1903:

„Na wezwanie z przeszłego miesiąca zasyłam 15 dol., by się choć małą ofiarą przyczynić do tem skuteczniejszego kołatania o polskiego biskupa. Życzę wszelkiej pomyślności.“

Ks. Teofil Wojak z Marathon City, Wis., 5 stycznia 1903 pisał na razie: „Przyczyniłbym się jak najchętniej do życzeń Wiel. Ks., gdyby okoliczności, w których się znajduję, pozwalały mi na to. Życzę zatem Wiel. Ks. Dobrodziejowi we wszelki możliwy sposób najlepszego powodzenia w przedsięwziętej sprawie.“

Ks. T. Szadziński z Rochester, N. Y., 5 stycznia 1903: „Do sprawy nas Polaków wszystkich obchodzącej i ja się przyłączam. Przychylając się do życzenia ofiaruję 10 dol. niniejszem w liście z gorącem życzeniem, aby sprawa przedsiębrana pomyślny w tym N. R. wzięła obrót i godne przyniosła owoce. Szczęścia więc i pomyślności w N. R.“

Ks. Dr. P. Ćwiękała z Berea, Ohio, 2 stycznia 1903: „Całem sercem popieram Wasze słuszne żądania i chętnie chciałbym coś ofiarować dla tej sprawy, ale ja również jestem na wyjeździe. W lecie opuszczam Amerykę na pewne (opuścił dopiero r. 1907) i przenoszę się do Lwowa, dlatego każdy cent dla mnie jest drogim, tem więcej, że jak kochany Ksiądz, nie miałem szczęścia w Ameryce mieć „tłustych parafij“, — gdzieby można coś oszczędzić. Czekam na odpowiedź konsystorza lwowskiego, skoro ją otrzymam, wnoszę rezygnację z Berei. To są kpiny, żebym ja wycierał kąty po najgorszych parafjach w diecezji, a młodsi ode mnie lepsze zabierali miejsca. Przekonałem się, że tu nie można nic zrobić, bo niema jedności pomiędzy polskiem duchowieństwem a wiele pychy i zazdrości. Może się zobaczymy w Europie.“

Ks. J. M. Korczyk z Dodge, Wis., 7 stycznia 1903: „Załączam 10 dol. na osobiste wydatki Wiel. Ks. w czasie podróży. Mało mam, mało daję.“

Ks. M. Matkowski z Grand Rapids, Mich., 20 stycznia 1903: „Przesyłam draft na 20 dolarów, t. j. na ten ekspens z powodu podróży do Rzymu. Z najszczerszemi życzeniami.“

Ks. T. A. Klonowski z Wilkes Barre, Pa., 15 stycznia 1903: „Wiel. Ks. Kruszka! Dobrze, że nareszcie i niechętni przyznali, że postanowienia Kongresu trzeba w czyn wprowadzić, a nie jakichś nowych środków szukać, aby swego dopiąć. Lecz z powodu bez-

robocia (strajku) tylko małą sumką 15 dol. mogę się dla dobrej sprawy przyczynić. Życzę szczęśliwej podróży i dobrego rezultatu."

Ks. Antoni Górski z Amsterdam, N. Y., 14 stycznia 1903, zamiast pieniędzy, na razie przysłał mi obrok duchowny: „Szanowny Księże! Wobec tendencji pism, frakcyj różnych a często przeciwnych sprawie biskupa polskiego w Ameryce, narazicie się na śmieszność i może upomnienie tylko w Rzymie, a nie na pomyślność sprawy. Rzym w Propagandzie zapatruje się inaczej na tę ważną a wielką sprawę, kieruje się motywami wznioślejszemi w nominacji i obsadzaniu stolic biskupami, aniżeli wielu w Ameryce. Przeczytać tylko listy św. Pawła do Tytusa i Tymoteusza, na których z pewnością opiera się Rzym w powyższej sprawie, wyszukuje ludzi według wskazówek i naznacza. Rzym przytem kieruje się też samowolnie, nie zważając na żadne wpływy, delegacje itd., a papież obecny, iście ręką Boską naznacza ludzi, trafnie wybierając. Wobec zatem tego wszystkiego misja Wasza, wątpię, aby odniosła pożądany skutek, i dlatego też datku na nią nie posyłam. Tem bardziej, że ks. Pitass miał się nie oglądać na żadne wsparcia, ale jechać kosztem własnym. Wkońcu, prawdę mówiąc, luźnego grosza teraz nie mam, gdyż posłałem kilkadziesiąt dolarów na Dom nowy Emigracyjny, a także na utrzymanie i kształcenie chłopca w Detroit, którego wysłałem jako jednego z najzdolniejszych na własny koszt. Przykro mi, że muszę odmówić Ks. Dobr. w Jego prośbie, ale zarazem dufam sobie, że Ks. Szanowny, poważniej a głębiej zastanowiwszy się, przyzna mi rację."

Ks. Ant. Górski miał rację o tyle, że ks. Pitass istotnie zobowiązał się jechać własnym kosztem. A nawet koszta mojej podróży był gotów opłacić. Ale tego ks. Pitass nie mógł przewidzieć, że na delegata świeckiego trzeba będzie wybrać kogoś z kół rządowych; co za sobą pociągnęło nadzwyczajne koszta, tak że ks. Pitassowi zabrakło już nawet na własną podróż.

Za to szanowny pan Leon Szopiński z Chicago, w imieniu Zjednoczenia i Wydziału, dzielnie się spisał 27 stycznia 1903: „Wb. Ks. Dobrodzieju! Donoszę uprzejmie, że Zarząd Zjednoczenia uchwalił 250 dolarów na koszta podróży delegacji polskiej do Rzymu, a Wydział Wykonawczy postanowił na ten sam cel wyasygnować z swych szczupłych dochodów 100 dol. Nadto rozmawiałem niedawno z ks. Ignasiakiem, który także dorzuci setkę. Niezawodnie i Stowarzyszenie Księży zasiłek taki da. Ale wszyscy żądamy, to jest i Wydział i Zarząd Zjednoczenia: ażeby warunki przyjęte na

Kongresie były wypełnione, a mianowicie, że delegacja nie może jechać bez osiągnięcia podpisów. Niechże więc Ks. Dobrodziej urzędownie zgłosi się do ks. Sztuczki z prośbą, ażeby te podpisy za pośrednictwem W. W. otrzymane być mogły. Najlepiej sprawa ta mogłaby być omówiona ustnie. Zwołaćby można ks. Nawrockiego jako prezesa Stowarzyszenia Księży do pomocy. Jeżeli więc Ks. Dobrodziej ma trochę czasu, to najlepiejby było przyjechać do Chicago. Ustnie prędzej załatwimy sprawy. Prosiłbym o zdanie Ks. Dobrodzieja i o jak najrychlejszy odpis oraz o poinformowanie w tej sprawie ks. prob. Pitassa. Sądzę, że za jakie trzy tygodnie moglibyście wyjechać. Z głębokim szacunkiem sługa Leon Szopiński." Zjednoczenie Polskie Rzymsko Katolickie w Ameryce. Tomasz Królik, sekretarz generalny.

Co do owych „podpisów" sekretarz Wydziału Wykonawczego z Chicago 7 lutego 1903 objaśnił mię tak:

„Wiel. Ks. Dobr.! Sprawę równouprawnienia kleru polskiego przekazał W. W. całkowicie Szanownej Delegacji do Rzymu. Dlatego też życzeniem członków W. W. jest, żeby Sz. Delegacja sama zajęła się zbieraniem podpisów księży. Życząc Szan. Delegacji powodzenia w jej pracy, kreślę się z wysokim szacunkiem

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.
Sekr. W. W."

Tak więc powyższe fundusze wystarczyły mi na podróż, pobyt i powrót z Rzymu, na błyskawiczne Cezarowe „Veni, Vidi, Vici", to jest, jeśli przyjechawszy do Rzymu, zobaczę zaraz papieża i wygram sprawę odrazu. Ale na dłuższy pobyt i na przeciągłą walkę nie wystarczyłyby. Wszelako — przyjdzie czas, będzie rada. Jakoż i była rada, jak to zobaczymy w Szóstem siedmioleciu.

83. Wydział W. uważa sprawę biskupów polskich za trudną i niewdzięczną. — Wątpi, czy Delegacja coś zrobi. — Moja odpowiedź na to powątpiewanie.

Prawdziwa praca społeczna, dla dobra ogółu, jest to jakby pchanie taczek lub ciągnienie wozu pod górę. Idzie z trudem i oporem. Jest niewdzięczna, Dlatego łatwo dozna zawodu i upadnie na duchu ten, kto od ludzi spodziewa się nagrody a nie działa z wyższych, nadprzyrodzonych pobudek. Doświadczył tego wielki poeta Goethe, który rzekł:

Wer dem Publikum dient, ist ein armes Tier;
Er quält sich selbst ab und bekommt nichts dafür.

Doświadczyła tego delegacja, doświadczył i Wydział Wykonawczy, który w swojem „Sprawozdaniu za ostatnie półrocze" dnia 7 stycznia 1903 r. ogłosił między innymi:

„Przed sześciu miesiącami prasa polska prawie jednogłośnie występowała ostro przeciw Wydziałowi Wykonawczemu II Polsko-Katolickiego Kongresu, czyniąc mu nader niemiły zarzut bezczynności. Zarzut ten, mówiąc szczerą prawdę, nie był słuszny; wszelako powód tegoż mógł dać sam W. W. a to przez swoją bezskuteczną działalność, skierowaną wyłącznie prawie ku załatwieniu sprawy równouprawnienia kleru polskiego, sprawy zarazem i nader trudnej i wielce niewdzięcznej.

„Zważywszy, że źle wychodzi na zajmowaniu się jedną wyłącznie sprawą, W. W. zmienił bezzwłocznie swoją taktykę... i przyszedł do przekonania, że wszelkie jego możebne usiłowania około przeprowadzenia spraw tyczących się ogółu amerykańsko-polskiego dopóty muszą pozostać bezskuteczne, dopóki ten ogół pozostawać będzie w stanie chaotycznym... Przeto organizowanie Polaków w Ameryce w jedną całość, to sprawa pierwsza i niejako fundamentalna, którą W. W., chcący przemawiać i działać w imieniu tegoż ogółu, skutecznie załatwić musi i powinien.

„Atoli utworzenie aktualnej wogóle i szczegółach zorganizowanej jednostki z pierwiastków tak ze sobą niezgodnych, jak są Polacy, to dzieło niezmiernie trudne, prawie nadludzkie. Zrozumieli to dobrze członkowie W. W... udali się do prasy z prośbą, by ta raczyła wskazać im, co mają robić dalej. Atoli, zamiast uprzejmych rad i wskazówek, otrzymali ostrą naganę za niekompetencję....

„Pod gradem tych kul papierowych W. W. zwołał do Chicago we wrześniu 1902 na walne posiedzenie reprezentantów diecezjalnych ustanowionych przez Kongres. Zebranie to jednogłośnie przyjęło uchwałę nakazującą W. W., aby tenże, na nic nie zważając, czemprędzej zajął się utworzeniem Federacji celem zorganizowania Polonji Amerykańskiej, i umożebnienia wspólnej pracy dla dobra ogółu...

„Sprawą równouprawnieuia kleru polskiego w ostatnich kilku miesiącach W. W. nie zajmował się wcale; zrobiwszy wszystko co mógł dla niej w Ameryce zrobić, **przekazał ją całkiem Delegacji**

Rzymskiej ustanowionej i wybranej ad hoc przez zebranych na Kongresie księży. Dałby Bóg, aby zabiegi tej Delegacji przyniosły pomyślniejsze rezultaty, o czem jednak wątpić należy wobec braku solidarności ze strony naszego ogóln...

W imieniu Wydziału Wykonawczego

Chicago, dnia 7 stycznia 1903.

Ks K. Sztuczko, C. S. C.
Sekretarz.

Pod wpływem powyższych słów Wydziału W., a zwłaszcza ostatniego zdania, prowadzącego do zwątpienia, napisałem i ogłosiłem w gazetach następujący artykuł pod tytułem:

„Confortamini et estote robusti" (Jozue 10. 25).
(Umacniajcie się a bądźcie mężni!)

Wydział Wykonawczy ogłosił znowu sprawozdanie swojej działalności z ostatniego półrocza. Widać, że robił co mógł. Cześć mu za to i uznanie się należy. Lecz na czytelnikach to sprawozdanie mimowoli przygnębiające wywiera wrażenie.

Widząc Syzyfową iście pracę Wydziału Wykonawczego, mimowoli każdy interesujący się sprawami publicznemi zapyta sam siebie: Co to będzie z nami? czy my Polacy na polu społecznem pracować nie umiemy, nie możemy czy nie chcemy? Czy utrzymamy się jako społeczeństwo, czy też zginiemy? To be or not to be? Oto wielkie pytanie, jakie każdemu mimowoli się nasuwa.

I po ludzku mówiąc — jako społeczeństwo skazani jesteśmy na zagładę. Po ludzku mówiąc, po tylu próbach i wysiłkach daremnych, by zorganizować wychodźtwo polskie w jedną społeczną całość, po daremnych wysiłkach (od 30 lat wstecz) i Zjednoczenia i Związku i Ligi i Kongresów — po ludzku mówiąc albo nie umiemy albo nie możemy tu istnieć jako społeczeństwo polskie. Więc co? utoniemy albo raczej rozpłyniemy się w morzu społeczności anglo-amerykańskiej. Po ludzku mówiąc — tak! Ludzkiem okiem innego wyjścia nie widzimy! Straszny to wniosek — zagłada społecznego istnienia dwumiljonowego odłamu Polski — lecz podług ludzkiego rozumowania nieunikniony to wniosek! Nie łudźmy się tą głupią nadzieją, tem przysłowiem „jakoś to będzie", ale patrzmy trzeźwo w oczy tej strasznej a nieuniknionej konsekwencji — a może wtedy na serjo trwogą się przejmiemy.

A ta trwoga przed zagładą społeczną, to bojaźń, żeby nie zginąć jako społeczeństwo, będzie doprawdy i zanikiem i początkiem naszej mądrości społecznej: — podczas gdy ta głupia nadzieja, przysłowiowa już u nas — „Jakoś to będzie", i „Polska nierządem stoi" — jak przyczyniła się w Europie do naszego upadku politycznego, tak tu w Ameryce pozbawi nas nawet bytu społecznego. Nie łudźmy się nadzieją w odporność naszego ludu, nadzieją w niewyczerpane zasoby jego ducha narodowego itp., bo taka nadzieja jest doprawdy matką głupich i zawiedzie nas. Nie napełniajmy się więc tą nadzieją, lecz raczej trwogą się przejmijmy na wskroś, trwogą i bojaźnią o nasz byt społeczny tu w Ameryce. Trwoga będzie zbawienną dla nas, a nadzieja — zgubną! Bo i po tylu daremnych próbach i wysiłkach na polu społecznem jeszcze się dalej łudzić nadzieją — byłoby lekkomyślnością. Do pracy społecznej albo jesteśmy niezdolni albo niechętni — jedno z dwojga: powiedzmy to sobie otwarcie, i przed tą straszną prawdą zatrwóżmy się aż do głębi ducha.

A ta trwoga zbliży nas do Boga; każe nam ufać nie własnym siłom, nie siłom odporności ludu naszego — bo to zwodnicze są nadzieje, — lecz wszechmocnej sile ramienia Pańskiego, t. j. Stwórcy, który jak dał prawo bytu i posłannictwo każdemu narodowi właściwe, tak też da moc i siłę do spełnienia tego posłannictwa, nawet na wychodźtwie, byleśmy ufność naszą pokładali w Nim, który jest zawsze, a nie w nas samych, którzy dziś jesteśmy a jutro nas niema. Bójmy się naszej nieudolności w pracy społecznej, i nauczeni smutnem doświadczeniem, nie ufajmy zbytnio naszym własnym siłom organizacyjnym, bo właśnie tej zbytniej ufności, która jest pychą, przypisać należy nasze niepowodzenie na tem polu: „aby się nie chwalił przeciw mnie Izrael i rzekł: Mocą moją jestem wybawiony" (Ks. Sędziów 7, 2). Zrażać się dotychczasowemi niepowodzeniami naszemi nie powinniśmy, ani rozpaczać ani wątpić ani na duchu upadać — to by bowiem właśnie było dowodem pychy naszej, dowodem, żeśmy własnym siłom ufali, a gdy te nas zawiodły, opuściliśmy ręce. Niech nas pycha dłużej już nie zaślepia, lecz wyznajmy otwarcie wobec Boga i ludzi naszą nieudolność do rządzenia sobą, nasz brak zmysłu organizacyjnego, a takie pokorne wyznanie będzie pierwszym krokiem do naszej poprawy społecznej.

Nie ufając więc sobie, z tem większą ufnością w Bogu zabierajmy się do dalszej pracy na polu społecznem, a nie zrażajmy

się ani na chwilę dotychczasowemi niepowodzeniami. Kto ma prawdziwą ufność w Bogu, a nie w sobie tylko, tego nie złamią żadne przeciwieństwa ani trudności: owszem trudności, jakie napotyka, są dla niego bodźcem do tem energiczniejszej pracy. „Umacniajcie się a bądźcie mężnymi!"

Po ludzku mówiąc, jako społeczeństwo jesteśmy skazani na zagładę, bądź dla braku solidarności bądź dla braku zmysłu organizacyjnego. Lecz kto po Bożemu myśli i ma wiarę w Boga, ten ani na chwilę nie wątpi o naszej przyszłości i wbrew nadziei ludzkiej — Boskiej uwierzy: ten z Abrahamem „przeciw nadziei w nadzieję uwierzy, że ma zostać ojcem wielu narodów" (Rzym. 4, 18). Niech takich wierzących Bogu, a nie sobie, będzie choć trzystu wśród naszej emigracji, a nie zginie Polska w Ameryce!

Utyskujemy nieraz na brak poparcia jakiejś sprawy, czy to Federacji czy równouprawnienia kleru. Lecz kto po Bożemu, a nie po ludzku tylko myśli, kto więcej liczy na poparcie Boskie niż ludzkie, ten powie: Za wiele jest ludzi, którzy tę sprawę popierają — i dlatego P. Bóg jej nie popiera, żebyśmy potem nie chełpili się i mówili: naszą własną mocą to wskóraliśmy. Zaiste nie na brak, lecz na zbytek poparcia ze strony ludzi uskarżać się powinniśmy, bo stąd pochodzi brak poparcia ze strony Boga. Objaśnię to przykładem. Kiedy Duch Pański wstąpił w Gedeona, wezwał on Izraelitów do broni. I powiada Pismo św., że zgromadziło się do niego 32,000 mężów. Lecz Pan rzekł do Gedeona: „Za wiele masz mężów, dlatego nie dam Madjanitów (nieprzyjaciół) w ich (Izraelitów) ręce. Izraelici bowiem mogliby się chełpić i mówić: „Naszą własną mocą jesteśmy ocaleni. Każ zatem obwołać w wojsku: Kto jest bojaźliwy i lękliwy, niech się wróci!" I wróciło się 22,000 żydów a 10,000 tylko pozostało. I znów Pan rzekł do Gedeona: „Jeszcze za wiele masz ludzi. Prowadź ich nad wodę. Którzy ją językiem łeptać będą, tych postaw osobno, i tych postaw osobno, którzy klęcząc pić będą, osobno". I znalazło się tylko 300 mężów, którzy nie chąc tracić czasu, nie kładli się, ale stojąc ręką nabierali wodę i pili; reszta piła wygodnie, spuściwszy się na kolana. I rzekł Pan: Przez tych 300 mężów wybawię was; reszta niech powróci do domu!" I stało się, że Gedeon, choć miał tylko 300 mężów, pobił na głowę 135,000 wojska nieprzyjacielskiego — bo P. Bóg go poparł. (Ks. Sędziów 6. 7.)

Dla naszego przykładu to napisane jest w Piśmie św. Sprawy, które naszą amerykańską polonję obchodzą, mianowicie sprawa

Federacji i równouprawnienia kleru, dobre są i sprawiedliwe i P. Bóg z pewnością je poprze, jeśli tylko w Nim całkowitą naszą ufność położymy, a nie w ludziach. Nie za mało ludzi te sprawy popiera, lecz owszem za wielu. — „Jeszcze za wielu masz ludzi“ i dlatego jeszcze P. Bóg swego poparcia odmawia.

Confortamini et estote robusti — bądźcie silni duchem wiary w Boga, a nie w ludzi.

Ripon, Wis., 13 stycznia 1903.

X. Wacław Kruszka,

84. Postarałem się o zastępstwo dla Ripon i byłem gotów do wyjazdu, lecz ks. Pitassowi wiecznie coś stało na zawadzie. — Jak ks. Pitass świetnie grał rolę kunktatora. — Klasyczne listy p. Ślisza.

Już na początek lutego 1903 ks. Pitass kazał mi być gotowym do wyjazdu i postarać się o zastępcę dla mojej parafji w Ripon. Od arcybiskupa zastępcy dostać nie mogłem. Owszem, arcybiskup Katzer poruczył mi jeszcze sąsiednią polską parafję w Beaver Dam do zaopatrywania. Dojeżdżałem tam do chorych i czasem ze Mszą w powszednie dni, ale w niedzielę ze Mszą dojeżdżać nie mogłem. Ostatnim proboszczem w Beaver Dam był ks. Antoni Lex, przybysz z obcej diecezji. Ale i ten poprostu uciekł z Beaver Dam, jak to świadczy załączony poniżej list arcybiskupa, i przeniósł się do umierającego podówczas ks. Idziego Tarasiewicza w Milwaukee. Tam bowiem miał lepiej i lepsze widoki na przyszłość. Arcybiskup więc nie miał dla Beaver Dam księdza, a skąd miał wziąć dla mnie zastępcę? Arcybiskup Katzer tak swoje kłopoty mi opisał w następującym liście:

Milwaukee, 29 grudnia 1902.

Wiel. Ks. Kruszka, proboszcz

Ripon, Wis.

Wiel. Księże! Ksiądz wie tak samo jak ja, że poprostu nie jestem w stanie posłać polskiego księdza do Beaver Dam, gdyż żadnego nie mam.

Józafat ma tylko jednego asystenta, Jacek ma tylko jednego asystenta, a ten zaopatruje Kenoshę; bo ks. Zarenczny szuka sobie parafji; Kazimierz nie jest dostatecznie zaopatrzony, Stanisław nie ma żadnego asystenta i t. d., a jakiegoś nieznanego mi księdza nie chciałbym przyjmować. Byłem pod tem wrażeniem, że Ojcowie Franciszkanie regularnie do Beaver Dam dojeżdżają.

Czy Ksiądz byłby gotów zaopatrywać Beaver Dam, dopóki sobie pomocy nie znajdę? **Księdza Lexa ja nie odwołałem, on sam poszedł,** a ludzie pewno nie byli bez winy.

F. X. Katzer, Abp. Milw.

Udałem się tedy do OO. Franciszkanów w Green Bay, Wis., skąd Ojciec Antoni Wiśniewski 5 stycznia 1903 r. tak mi odpisał:

„Wiel. Księże! Niech W. Ks. Dobrodziej napisze do St. Nazianz, Wis., aby byli ci Ojcowie łaskawi zastępować W. Ks. tylko do Wielkiejnocy, a my obejmiemy zastępstwo po Wielkiejnocy, a nawet może w którą niedzielę już przed, gdyż obecnie jest nam bardzo trudno. O. Stanisław już od Bożego Narodzenia zastępuje ks. Czarnowskiego, O. Hieronim obecnie na kilka dni wyjechał do Hatley, tak że ja sam jestem w domu; ale po Wielkiejnocy to już napewno przyrzekam. Gdyby było do chorego, to można telegrafować, ja natychmiast przyjadę, albo kto z nas. Sądzę, że w St. Nazianz przystaną. Spowiedź i Komunję wielkanocną możemy w jaki dzień lub dwa urządzić przed Wielkanocą, jeden z nas przyjedzie także napewno. Niech W. Ks. nie gniewa się na nas, ale inaczej postąpić nie możemy. Ad impossibile nemo tenetur. Co można, chętnie zawsze dla W. Ks. uczynimy. Z szacunkiem Antoni."

Tak więc zamówiłem sobie Ojca z St. Nazianz do Wielkanocy, a od Wielkanocy OO. Franciszkanów na zastępstwo w Ripon.

Był więc mój człowiek gotów do wyjazdu. A ks. Pitass? On także już oddawna był gotów do podróży, ale zawsze go coś wstrzymywało od wyjazdu. Był on istny kunktator, zwlekający i ociągający się rozmyślnie, powolny w działaniu, namyślający się. Zabawną tę historję ks. Pitassa jako kunktatora opowie nam jego własny sekretarz, p. Stanisław Ślisz, w następujących listach:

Dnia 14 stycznia 1903. „Ks. Sedlaczek już trzy razy telegrafował, że przyjedzie, ale dotychczas niema go w Buffalo; i przez jego niesłowność ks. dziekan Pitass nie mógł dotychczas oznaczyć dnia wyjazdu. Ponieważ ks. Letocha otrzymał Tonawandę, przeto pozostaje tylko asystent ks. Piotr (Pitass), a przy nim samym nie można pozostawić parafji. Ks. Dziekan stara się nagwałt o jakiegoś księdza. Jutro lub pojutrze ma przyjechać ks. Sedlaczek a w takim razie w sobotę 17 stycznia br., wyślę list zawiadamiający Ks. Dobrodzieja o dniu wyjazdu. Zdaje się, że Ks. Dobrodziej pojedzie do Buffalo rzemiennym dyszlem, kolektując po drodze. Jak tam napływają ofiary?... Zastrzegam się, że treść tego listu nie pochodzi

ode mnie, ale od księdza Dziekana. Co do mnie, to jestem już znużony tą całą zwłoką, tem ustawicznem naleganiem na ks. Dziekana o wyznaczenie dnia wyjazdu. Zaiste, ciężką mam pracę."

Dnia 17 stycznia 1903: „Nareszcie dzisiaj mogę Księdzu Dobr. coć stanowczego donieść o podróży do Rzymu. Ksiądz dziekan Pitass zapowiedział mi, że podróż nastąpi nieodwołalnie przed 20 lutego i że nie cofnie się za nic w świecie od zamiaru. Ks. Sedlaczek przybył przedwczoraj, został przyjęty do diecezji; ale wyjechał jeszcze na 8 do 10 dni, aby załatwić swe interesa w Chicago i Michigan City. Tego czasu, t. j. do powrotu ks. Sedlaczka, użyje ks. Dziekan na ostateczne uporządkowanie interesów, a potem dalej w drogę do Rzymu. Ks. Pitass prosił mnie, abym napisał do Ks. Dobrodzieja i poprosił go do zapakowania manatków i do prędkiego wybierania się w podróż. Według zdania ks. Pitassa, to niema wiele czasu do stracenia i Ks. Dobrodziej powinien zaraz wyruszyć ku Buffalo... W Buffalo ułożenie planów działania w Rzymie zajmie parę dni, a gdyby jeszcze pozostało z kilka dni do wyjazdu, to mógłby je Ks. Dobrodziej obrócić na kolektę w okolicy Buffalo. Ks. Pitass nie może łożyć na wszystkie wydatki w Rzymie. Jadąc do Buffalo, niechajże Ks. Dobrodziej nie zapomni zabrać z sobą potrzebnych dokumentów, statystycznych dat i zaopatrzy się w upoważnienie dla delegacji od Wydziału Wykonawczego. Takie jest polecenie ks. dziekana Pitassa. Co do moich osobistych spostrzeżeń, to sądzę, że ks. Pitass skoro wyruszy w drogę, to nie będzie szczędził wydatków i zabiegów na przeprowadzenie sprawy. Powtarzam, że to moje osobiste zdanie i proszę je uważać jako takie. Teraz ja zrobiłem już swoje i zaiste z ciężkiej wywiązałem się pracy. Proszę mi zatem donieść odwrotną pocztą, kiedy Ks. Dobr. opuszcza Ripon i kiedy mniej więcej mamy się Go spodziewać w Buffalo. Powtarzam jeszcze raz, że wyjazd nastąpi przed 20-tym lutego a może nawet i 15 lutego."

Atoli w cztery dni potem, 21 stycznia 1903, już całkiem inaczej zaśpiewał: „Proszę mi wierzyć, że ta cała historja z wyjazdem do Rzymu wielce mnie nuży i niecierpliwi, bo potrzeba mieć anielską cierpliwość i żelazną wytrwałość, aby dojść do jakiegoś ładu i składu. Ostatni list Ks. Dobrodzieja dałem do odczytania ks. dziekanowi Pitassowi i zażądałem, aby już raz oznaczył dzień wyjazdu do Rzymu; tudzież orzekł, kiedy Ks. Dobrodziej ma się wybrać w przygotowawczą podróż i w Buffalo stanąć około 15 lutego lub przed 15. Dnia wyjazdu oznaczać ani też zamawiać

okrętu ks. Pitass nie widzi potrzeby, albowiem okręty z Nowego Yorku odchodzące tak do Francji jak i Włoch, mają mało pasażerów w kajutach i jest dość miejsca dla setek pasażerów. Skoro Ks. Dobrodziej będzie w Buffalo, to wybierzecie się pierwszego lepszego dnia do Nowego Jorku, wsiądziecie na okręt i dalej w drogę do Rzymu. Gdym ks. Pitassowi przedstawił, że lepiej byłoby oznaczyć dzień, zamówić okręt, to sfukał mnie jeszcze i powiedział, że tak ja jak i Ks. Dobrodziej nie dowierzamy mu, że pojedzie do Rzymu; ale on ma stanowczy zamiar i nie odstąpi od niego, chociażby mu przyszło jechać nawet samemu. Tak stoi cała sprawa. Teraz niech Ks. Dobrodziej postąpi sobie tak, jak uważa za stosowne. Ja z mej strony radzę jednak wybierać się zaraz w podróż rzemiennym dyszlem. Po przybyciu do Buffalo potrzeba będzie jeszcze niejedno załatwić, co zajmie parę dni czasu."

Ks. Pitassowi wiecznie coś stawało na przeszkodzie. Teraz znowu sprawa obsadzenia biskupstwa buffaloskiego stanęła mu na przeszkodzie, jak to następny list poświadcza:

Dnia 27 stycznia 1903: „Wiadomości, że Ks. Dobrodziej 15 lub przed 15 lutego będzie już w Buffalo w podróży do Rzymu, udzieliłem ks. Dziekanowi i jest z niej zadowolony. Radbym jednak wiedzieć, kiedy Ksiądz opuszcza Ripon, bo podróż rzemiennym dyszlem zajmie sporo czasu. Jeśliby ks. Sedlaczek był jeszcze w Milwaukee, proszę go natychmiast wyprawić do Buffalo, bo tu jest potrzebny.

„P. S. Gdy już list miałem wysłać, dowiedziałem się od księdza dziekana Pitassa, że musi koniecznie jako parochus inamovibilis (proboszcz nienaruszalny) być obecny przy stawianiu kandydatów na buffaloskie biskupstwo. Niewiadomo atoli, w którym dniu odbędzie się głosowanie. Zaraz po głosowaniu dam znać Księdzu Dobrodziejowi o dniu wyjazdu. Tymczasem zaś proszę robić przygotowania."

To ostatnie Post Scriptum dało mi do zrozumienia, że na moją podróż do Buffalo, nawet „rzemiennym dyszlem" jeszcze dosyć czasu. Siedziałem więc w domu w myśl zasady „Festina lente — Spiesz się powoli"! I pisałem „Historję".

Pan Ślisz odezwał się dopiero 12 lutego 1903: „Na ostatni list Ks. Dobrodzieja nie odpowiedziałem zaraz, bo nie wiedziałem co odpowiedzieć. W Buffalo też układają się sprawy, że jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż na liście kandydatów na biskupa znajdzie się także i Polak. Z tej to przyczyny ks. Dziekan musi być koniecznie

przy stawianiu kandydatów i nie może wpierw ruszyć się z Buffalo. Kiedy kapituła zbierze się na posiedzenie, to jeszcze nie wiadomo; ale prawdopodobnie nastąpi to w drugiej połowie bieżącego miesiąca lutego. Od tego dnia zależnem jest i oznaczenie dnia wyjazdu do Rzymu. Ks. Sedlaczek był w Buffalo, pojechał i dotąd go niema. Proszę więc zdobyć się na cierpliwość, bo innej rady niema.

Kapituła się odbyła. Ale znowu ks. Pitassowi aż dwa wypadki stanęły na zawadzie.

Oto list z dnia 25 lutego 1903: „Oczekiwana kapituła odbyła się 23 lutego b. r., i to z tym rezultatem, że **trzech ajryszów** postawiono jako kandydatów na biskupa buffaloskiej diecezji. Inaczej też być nie mogło. Bo tam, gdzie na czternastu głosujących 9 głosami rozporządzają ajrysze, z pewnością nie dopuszczą na kandydata księdza innej narodowości. Teraz podróży do Rzymu nic nie powinno stać na zawadzie; a jednak są dwa wypadki, które ją odwleką jeszcze na kilkanaście dni. Najpierw, ks. dziekan Pitass sromotnie zawiódł się na ks. Sedlaczku, który został do tutejszej diecezji przyjęty i miał pracować w parafji św. Stanisława (u ks. Pitassa). Pojechał tylko po rzeczy; ale jak pojechał, tak i nie wrócił więcej, chociaż swój przyjazd zapowiedział listownie i telegraficznie. Na pogrzebie ks. Dąbrowskiego spotkał się z ks. Pitassem w Detroit i miał z nim razem jechać do Buffalo; ale gdy przyszła chwila wyjazdu, gdzieś się tak zawieruszył, że go trudno było i ze świecą odszukać. Teraz ks. Pitass musi się starać nagwałt o innego księdza, bo wyjeżdżając do Rzymu, nie można zostawić parafji bez dostatecznej obsługi duchownej.

„Powtóre, są wszelkie dane po temu, że obecny ksiądz biskup Quigley, jak długo jeszcze urzęduje, nie dałby urlopu ks. Pitassowi; ale to uczyni niezawodnie administrator. Ks. biskup Quigley 8 marca wyjedzie z Buffalo, bo w tym dniu zarząd diecezji obejmie administrator. Jest to przykra zwłoka i samemu ks. Pitassowi nieprzyjemna. Ks. Pitass zaręczył mi, że o podróży do Rzymu myśli na serjo i za nic w świecie nie porzuci tego zamiaru. Powtarzam tu tylko to, do czego mię ks. Pitass upoważnił. Od siebie zaś nic nie dodaję ani też nie ujmuję.

Gdym ten klasyczny opis rejterady ks. Pitassa przeczytał, nic nie mówiłem; tylko w duszy pomyślałem sobie: Czekaj tatka latka, aż ci rosa oczy wyje. Bądź co bądź, ta rejterada ks. Pitassa była świetna. To jego powolne wycofywanie się, dla strategicznych powodów, było wprost mistrzowskie i genjalne!

85. Przyjmowanie obcych a pomijanie swoich księży. — Prosiłem arcybiskupa, żeby nie uważał Milwaukee za prochownię a mnie za iskrę. — Ostatnie słowa arcybiskupa do mnie. — Koniec Piątego Siedmiolecia.

W owym czasie, bo dnia 18 stycznia 1903 r. jeden z moich przyjaciół, miły i sympatyczny ks. Idzi Tarasiewicz, proboszcz parafji św. Kazimierza w Milwaukee, Wis., zeszedł był z tego świata. Mając tak zwany free pass na Wisconsin, jeździłem często do Milwaukee i stawałem kwaterą najczęściej u ks. Idziego, dopomagając mu w odprawianiu Mszy śś. lub słuchania spowiedzi. Teraz, kiedy ks. Idzi umarł, bawił u niego właśnie ks. Antoni Lex, także mój przyjaciel, znany mi od roku 1896, jeszcze z Dunkirku, N. Y. Ks. Lex telefonicznie uwiadomił mnie o śmierci ks. Idziego i poprosił, żebym natychmiast przybył mu do pomocy. Wiedziałem, że arcybiskup Katzer lubi ks. Lexa, bo pisząc listy do niego, nazywał go „mein lieber Anton"; ale nie wiedziałem dotychczas, że skromny ks. Antoni Lex z tego tytułu będzie rościł sobie pretensje do parafji św. Kazimierza. Był bowiem świeżym przybyszem z obcej diecezji; a gdy mu arcybiskup dał parafję w Beaver Dam, uciekł z niej, jak to sam arcybiskup w liście do mnie naznaczył: „.księdza Lexa ja nie odwołałem, on sam poszedł". Wobec ewentualnego wyjazdu do Rzymu byłem na razie obojętny, kto tę parafję po ś. p. księdzu Idzim dostanie. Przypuszczałem nawet prawie na pewno, że ks. Lex ją dostanie, bo przecie był faworytem arcybiskupa. I gdyby była nominacja księdza Lexa nastąpiła li tylko „z własnego popędu" arcybiskupa, byłbym ze stoiczną rezygnacją pogodził się z tym losem. Ale nieszczęście chciało, że ks. Lex, skoro tylko przyjechałem do niego, zaraz sam z własnego popędu wystąpił z pretensjami do tej parafji, i tak do mnie przemówił, poczęstowawszy mnie słodkiem winem:

— Widzisz, kochany Wacławie, chciałem ci to poufnie oznajmić, że ja jestem oddawna serdecznym przyjacielem ks. arcybiskupa Katzera i dlatego mnie się ta parafja dostanie.

Ta pretensjonalność w skromnym ks. Lexu oburzyła mnie do najwyższego stopnia. Wina już nie wypiłem. Bezzwłocznie opuściłem plebanję św. Kazimierza i przeniosłem się do ks. Szukalskiego na Cyrylowie, tam czekając na pogrzeb ks. Idziego. Arcybiskup miał ks. Lexa ogłosić proboszczem już na pogrzebie ks. Idziego. Gruchnęła wtedy pogłoska, że gdy to arcybiskup uczyni, ja publicznie zaprotestuję w kościele. Arcybiskup jednak

nie uczynił tego i sprawę zamianowania następcy ks. Idziego pozostawił w zawieszeniu.

Oburzenie było ogólne, zwłaszcza między księżmi milwauckimi, że nie pierwszy raz daje najlepsze parafje przybłędom i uciekinierom. Ponieważ mnie arcybiskup już rozmaite parafje ofiarował, ale do Milwaukee dopuścić nie chciał, więc dnia 31 stycznia 1903 napisałem Arcybiskupowi, że on niesłusznie uważa Milwaukee za rodzaj prochowni a mnie za iskrę. Ani ja nie jestem niebezpieczną iskrą ani Milwaukee nie jest prochownią. O tem może być pewnym. Na to mi arcybiskup odpowiedział:

Milwaukee, 6 lutego 1903.

Wiel. Ks. Wacław Kruszka, prob.
Ripon, Wis.

Wielebny Księże!

Dane mi w liście z dnia 31 stycznia zapewnienie księdza przyjmuję jako zupełnie poważne i szczerze pomyślane i nie zapomnę o niem, gdy okoliczności mi pozwolą parafję (św. Kazimierza) definitywnie obsadzić. Zanim to się stanie, napiszę do księdza (Ehe das geschieht, werden Sie von mir hoeren).

Oddany Twój
F. X. Katzer, Abp. Milw.

Niestety, nie napisał już do mnie, bo wyjechałem do Rzymu, a on, arcybiskup, niebawem umarł. Były to jego ostatnie słowa, pisane do mnie. Zanim obsadził Kazimierzowo, „usłyszałem" o jego śmierci.

Także ks. Jacek Gulski, konsultor archidiecezji, napisał dnia 15 lutego 1903 r. do mnie list następujący:

Berlin, Wis., 15 lutego 1903.

Wielebny Księże Dobrodzieju!

Jesteśmy z ks. Prądzyńskim w Berlinie od piątku, by pomóc ks. Czarnowskiemu wysłuchać ludzi kwartalnej spowiedzi. Korzystam z tej sposobności, by z najbliższego sąsiedztwa kilka słów do Wiel. Ks. Dobrodzieja napisać. Mówiłem też z ks. Schinnerem jak i z arcybiskupem w sprawie obsadzenia Kazimierzowa. Ks. Schinner mi powiedział, że się to nie da wstrzymywać ks. Dobrodzieja z dala od Milwaukee dłużej, i w ten sposób zdaje się wyrażać nadzieję dla ks. Dobrodzieja. Ks. arcybiskup zaś powiedział, że obsadzi Kazimierzowo, ale dopiero za kilka mie-

sięcy. Te są nowiny z Milwaukee. Cierpliwości tylko, a spodziewam się, że wszystko wyjdzie na dobre.

Z serdecznem pozdrowieniem
Ks. H. Gulski.

I później, już podczas pobytu mego w Rzymie, dnia 25 września 1903 roku wszyscy diecezjalni księża polscy dali swój wyraz oburzenia na to przyjmowanie obcych a pomijanie swoich księży, następującym pismem zbiorowem, zaadresowanem do Administratora Archidjecezji Milwauckiej:

Rt. Rev. A. Schinner, Administrotor
Archidiocese of Milwaukee.

We, the undersigned, diocesan Polish clergy, hereby respectfully remonstrate against the practice in this Diocesse of placing important Polish congregations in charge of priests who prior to getting such congregations were not members of the Archdiocese of Milwaukee.

The practice was inaugurated in 1895, when a hackney outsider, the Rev. Paul Szulerecki, over the heads of diocesan priests, was placed in charge of the St. Stanislaus Congregation. A second case in point is that of the Rev. A. Lex, a rank outsider, getting charge of the St. Casimir's Congregation, again, in preference to diocesan candidates.

It is disheartening, galling aid humiliating for the diocesan priests to know that, whenever a desirable Polish congregation is to be disposed of, in the light of past experience, they must expect that, also in the future, an outsider will be preferred while they must be satisfied with places which outsiders refuse.

We make bold to suggest that this praetice is detrimental to zealous work on the part of the diocesan priests — it places an unmistakable premium on the art of diocese jumping, and enceurages journeymen divines of the Smietana type to foment trouble for selfish purposes.

We are persuadet that merely calling attention to the evil will be sufficient to insure a permanent remedy.

We gladly give credence to the report that the Rev. A. Lex is only temporarily in charge, and hope that, when the proper time comes, the St. Casimir's congregation will be intrusted to a diocesan priest.

We ask You respectfully to take note of this communication as Administrotor of the Diocese and in due time to submit it to the Archbishop of Milwaukee.

Yours in Christ.

(Podpisy księży).

Nie wiele to pomogło. Nawet za następnego arcybiskupa Messmera, przez całe następne siedmiolecie „unser Lieber Anton" najlepsze parafje zajmował w diecezji.

Dnia 2 marca 1903 r. skończyłem piąte siedmiolecie życia mojego. Według powyższych słów ks. Gulskiego z dnia 15 lutego 1903 była wtedy nadzieja, że szóste siedmiolecie rozpocznę jako proboszcz w Milwaukee. Ale ta nadzieja okazała się matką głupich. Jak całe piąte siedmiolecie spędziłem w Ripon, tak jeszcze i następne szóste siedmiolecie szczęśliwie przeżyłem jako proboszcz w Ripon. Jednak koniec piątego, a początek szóstego siedmiolecia stanowił przełomową chwilę w życiu mego człowieka.

SZÓSTE SIEDMIOLECIE.

(Wiek Męstwa od 1903—1910.)

Część I.

1. Ks. Pitass zgadza się na zastępcę, ale nikt go zastąpić nie chce. — Po nieudałej próbie ks. Gulskiego i arcybiskupa Katzera delegacja w Rzymie miała liche widoki powodzenia. — Dalszy ciąg druku Historji Polskiej w Ameryce.

Dnia 2 marca 1903 skończył mój człowiek 35 lat życia. Było to samo południe życia. Była to punkt dwunasta godzina w południe na zegarze dziejowym życia pojedyńczego człowieka. Bo sławny poeta włoski Dante, autor Boskiej Komedji, rok 35 życia nazywa „szczytem łuku" — colmo dell'arco, kiedy słońce życia dobiega zenitu czyli najwyższego stopnia wzniesienia się. Mnie potrzeba sprawować sprawy tego, który mię posłał, dopóki dzień jest: nadchodzi noc, kiedy żaden nie będzie mógł sprawować.

Z rokiem 35 wstąpiłem w nowy okres życia, w szóste siedmiolecie, które było wiekiem męstwa, dzielności i działalności. Zaraz na początku tego szóstego siedmiolecia „jako olbrzym na bieżenie w drogę" wyruszyłem w drogę do Rzymu jako delegat czyli wysłannik Polonji Amerykańskiej w sprawie dla Kościoła najżywotniejszej, w sprawie biskupów polskich.

Mój współdelegat, ks. Jan Pitass, chociaż ciągle jeszcze do Rzymu się wybierał, to jednak na stanowczy wyjazd nigdy zdobyć się nie mógł. Zawsze mu stawało coś na przeszkodzie. Napisałem mu wreszcie, żeby zrezygnował i zgodził się na zastępcę. Na tę propozycję p. Ślisz, sekretarz ks. Pitassa, dnia 1 kwietnia 1903 r. tak mi odpowiedział:

„Zachowuję milczenie i na listy nie odpowiadam dla tej prostej przyczyny, że nie wiem sam co odpowiedzieć i wstydzę się za to zwlekanie z załatwieniem sprawy. Wstydzę się, bo

wiem dobrze, że podróż powinna dawno przyjść do skutku; a tu ciągle powstają jakieś przeszkody. Niema w tem ani cienia mej winy; i gdyby to podróż już dawno byłaby przyszła do skutku; ale niestety zależy to od innych. W mych listach, pisanych do księdza Dobr. zaznaczałem zawsze, że piszę tylko to, co mi ks. Dziekan Pitass polecił; i w tym liście czynię podobnie. Ks. Pitass ma silny zamiar udania się do Rzymu, ale obecnie nie może opuszczać parafji pod żadnym warunkiem. Ks. Sedlaczek nie dotrzymał słowa i nie przybył do Buffalo. Ks. Letocha objął parafję w Tonawanda, i w parafji św. Stanisława jest tylko dwóch księży, to jest ks. Dziekan i ks. Piotr (Pitass). Starania o jakiegoś księdza spełzły na niczem, a więc jest wprost niemożebnem opuszczenie tak wielkiej parafji i pozostawienie jej tylko jednemu księdzu. Jeżeli zatem podróż do Rzymu nie da się odłożyć jeszcze na jakiś czas, przynajmniej na tak długo, dopóki ks. Pitass nie dostanie pomocy: to w takim razie zgadza się na zastępcę delegata i to takiego, jakiego upatrzy sobie ks. Dobrodziej po porozumieniu się z Wydziałem Wykonawczym. Tak ma się sprawa, jak ją przedstawiłem w tym liście.

„Co ks. Dobr. myśli o liście ks. Smolikowskiego (Generała Zmartwychwstańców), ogłoszonym w „Polaku w Ameryce?“ Mam tu dokumenty z Rzymu, dowodzące, że OO. Zmartwychwstańcy już od kilku miesięcy nie mają nad sobą legalnej władzy, bo wypowiedzieli posłuszeństwo nietylko samemu Generałowi ale nie słuchali i napomnień Stolicy Apostolskiej. Podobny rokosz podnieśli Ojcowie Zmartwychwstańcy w Paryżu (Chicago), Bułgarji. Nader to przykra i bolesna sprawa; i szczęście, że mało kto wie o buncie Zmartwychwstańców w Chicago, bo byłoby nowe i to ogromne zgorszenie“.

O tym „buncie“ zwłaszcza O. Szymon Kobrzyński C. R. naopowiadał mi dużo, skoro tylko przybyłem do Rzymu, jak to zobaczymy w dalszym ciągu. Mnie „bunt“ nic nie obchodził. Ale niema złego, któreby na dobre nie wyszło. Ten „bunt“ wyszedł na dobre „Historji Polskiej w Ameryce“. Bo gdyby nie ten „bunt“, pewno nie danoby mi przystępu do Archiwum Księży Zmartwychwstańców w Rzymie. To mimochodem.

Otrzymawszy od ks. Pitassa powyższą zezwalającą odpowiedź, w porozumieniu z Wydziałem W., zacząłem się oglądać za innym delegatem, któryby w zastępstwie ks. Pitassa chciał jechać do Rzymu. Ale nikt nie miał ochoty. Naprzykład ks. Jna

Kubacki z East Chicago, Ind., 9 kwietnia 1903 r. taką miał wymówkę:

„Na zaproszenie ks. Dobrodzieja muszę dać odmowną odpowiedź. Prawdopodobnie jadę tego lata do Europy, ale nie odważyłbym się przyjąć na się odpowiedzialności delegata. Na to potrzeba człowieka, któryby mógł coś zdziałać. Ja nie czuję się na siłach po temu. Z uszanowaniem sługa w Chr. Jan Kubacki".

Po prostu, powtórzył się obecnie w r. 1903, ten sam proces co na Kongresie 1901 r. Nikt nie chciał brać tego ciężaru na siebie. Niewdzięczny to urząd. Arcybiskup Katzer nic w Rzymie nie mógł wykołatać, a co taki prosty delegat wykołata? W Rzymie jeszcze go za drzwi wyrzucą. Potem, te ogromne koszta, nietylko własne, ale i delegata świeckiego — ktoby taki ciężar brał na siebie? Każdy interesował się tą sprawą, życzył jej sukcesu, gotów był poprzeć tę sprawę materjalnie i moralnie, bo widział niezbędną potrzebę biskupów polskich w Ameryce: — wolał wszakże być widzem aniżeli aktorem w tej sprawie. Każdy chciał tę zaciętą walkę o biskupów polskich widzieć wygraną, ale nikt nie chciał iść na front; zwłaszcza, że po daremnych usiłowaniach arcybiskupa Katzera, ogólnem mniemaniem były bardzo małe szanse wygrania. Pamiętam, jak nawet ks. Paweł Rhode, późniejszy pierwszy biskup polski w Ameryce, drwił i szydził z mojej podróży do Rzymu, mówiąc:

— Papież wyrzuci księdza za drzwi.

— Jak mię wyrzuci jednymi drzwiami, to wejdę do niego drugimi.

W owym czasie, dotychczasowy prezes Wydziału Wykonawczego, ks. Kazimierz Truszyński, z powodu ciężkiej choroby, zrezygnował ze swego urzędu. Na jego miejsce prezesem został ks. Fr. M. Wojtalewicz, który mi 20 maja 1903 r. napisał, że Wydział Wyk. nie ma nic „przeciw podróży księdza Dobrodzieja do Rzymu".

Tymczasem ks. Pitass zaczął się ruszać, tak, że się zdawało, iż nareszcie wyruszy do Rzymu. Doniósł mi bowiem p. Ślisz 25 kwietnia 1903:

„Dziwi mnie wielce, że na mój ostatni list nie otrzymałem od księdza Dobr. odpowiedzi; ale to przypisuję niechęci i złemu humorowi z powodu odwłóczenia wyjazdu do Rzymu. Obecnie sprawa przedstawia się tak. Administrator buffalowskiej diecezji przyobiecał dać ks. Pitassowi około 1 maja dwóch księży asy-

stentów; a gdy to nastąpi, natychmiast oznaczy ks. Dziekan dzień wyjazdu do Rzymu, co prawdopodobnie będzie miało miejsce w pierwszej połowie maja. Ksiądz Dobrodziej raczy się więc tak urządzić, aby zaraz po otrzymaniu listu mógł wybrać się w podróż i po drodze do Buffalo załatwić interesy w Chicago i innych miejscowościach".

W owym czasie powstał bunt przeciw ks. Krzywonosowi w Manitowoc Wis., arcybiskup Katzer napisał ks. Krzywonosowi, żeby swoją parafję odstąpił proboszczowi z Ripon, a ten już da sobie radę z ludźmi, czyli, jak się dosłownie w liście wyraził — „der wird schon den Leuten die Stange bieten". Arcybiskup leżał chory w szpitalu św. Agnieszki we Fond du Lac, Wis. Przesiadając się z pociągu na pociąg, na dworcu we Fond du Lac, spotkałem się z księdzem Schinnerem, kanclerzem arcybiskupim, który mię pytał, czybym nie chciał wziąć parafji w Manitowoc. Odpowiedziałem, że nie mogę teraz przyjąć, gdyż niebawem wyjeżdżam do Rzymu.

Pisanie „Historji Polskiej w Ameryce" z grubsza ukończyłem już przed wyjazdem do Rzymu. Atoli druk Historji w gazetach ciągnął się dalej i podczas mego pobytu w Rzymie i po powrocie z Rzymu jeszcze aż do grudnia 1904. Przez cały ten czas do Ripon nadchodziły sprostowania, uzupełnienia, a często i protesty, ks. T. B. Hewelt z Bronson, Mich., oburzył się, że w Historji napisałem o nim to zdanie: „Ks. T. B. Hewelt, Niemiec z urodzenia a Polak z przekonania". Nadesłał mi 20 lutego 1903 z tego powodu trzyarkuszowy list, w którym pisał między innymi: „I was born w Brzezinie near Putzig w diecezji Chełmińskiej, my parents still live in Detroit. My grand father was Cheweltowski, but whem servingh in the army they called him Chewelt or Hewelt, and so it remained. Because I gave polish lesson to polish children. I had to run away from the old country". Jest więc Polakiem nietylko z przekonania, ale i z urodzenia. Brawo!

Poczciwy ks. A. Śmietana obraził się o to, że w Historji przytoczyłem te słowa ks. Gulskiego wypowiedziane o nim na pogrzebie ks. W. Lewandowskiego: „Arcybiskup dał ks. Lewandowskiemu asystenta do pomocy, ale ta pomoc stała mu się niemocą". Znowu do Ripon przyleciały trzy wielkie arkusze, w których ks. A. Śmietana między innemi takie słuszne a dowcipne postawił mi pytanie:

— Czy Ksiądz uważa ks. Gulskiego za Ojca Kościoła, lub za nieomylnego, że jego słowa przytacza w Historji? Sam Ksiądz pracuje dla dobra Kościoła, a mnichy tylko pracę tę u arcybiskupa w lichem przedstawiają świetle.

Ks. Łukasz Peściński, konsultor diecezjalny i proboszcz parafji św. Piotra w Stevens Point, Wis., myślał, że już wyjechałem do Rzymu. Ale dowiedziawszy się, że siedzę jeszcze w Ripon, sądził, że chyba już wcale nie wyjadę, bo dnia 20 kwietnia 1903 tak mi pisał:

„Najprzód proszę o przebaczenie, żem mojej powinności 10 dol. za Msze śś. prędzej nie przesłał, bo sądziłem, że ks. Dobrodziej już wybrał się w podróż do Rzymu. Uroczystość poświęcenia klasztoru Sióstr Polskich i Akademji św. Józefa w Stevens Poin, Wis., odbędzie się 30 czerwca 1903, we wtorek o 10 godzinie rano, i niniejszem proszę ks. Dobrodzieja, aby raczył przybyć na tę uroczystość. Możeby ks. Dobr. zechciał przybyć już przedtem w maju albo na początku czerwca, aby sam spisał potrzebne fakta i szczegóły o tymże klasztorze i w swoim czasie umieścił to w swej „Historji Polaków w Ameryce“, Wiem, że ks. Dobrodziej szczerze pracuje dla dobra Polonji Amerykańskiej, i mam nadzieję, że i w tej sprawie pomocy swej nie odmówi“.

Niestety na tę uroczystość przybyć nie mogłem, gdyż w drugiej połowie czerwca już znajdowałem się we wiecznem mieście.

2. Ks. Pitass robił przygotowania do podróży na wielką skalę. — Co mi pod największym sekretem donosił. — Jak dnia 18 maja 1903 wystarałem się o mandat od Wydziału Wykonawczego.

Brak księży, podeszły już wiek (58 lat) i ogromne wydatki na świeckiego delegata, do reszty zdaje się uniemożliwiły wyjazd ks. Pitassa do Rzymu. Do ostatka jednak rozwijał coraz to szerszą działalność i nowe podejmował prace przygotowawcze zawsze w tym celu, ażeby nasza misja w Rzymie się udała. Do ostatka też sam okazywał niezłomną wolę podróżowania do Rzymu. A chociaż mu ostatecznie zabrało sił i energji do wyjazdu, to jednak przynajmniej tę jego dobrą wolę pochwalić trzeba. Czyli jak starożytny poeta Owidjusz się wyraził: Ut desint vires, tamen est laudanda voluntas.

Bo tej dobrej woli ks. Pitassowi do ostatniej chwili nie zabrakło, jak to się przekonamy z następujących listów jego sekretarza p. Ślisza, pisanych do proboszcza w Ripon:

Dnia 15 maia 1903: „Wiem, że ks. Dobrodziej niecierpliwi się, nie mając odemnie listu, a i mnie samemu jest przykro, że nie mogłem Mu donieść nic nowego i stanowczego. Ks. Dziekan Pitass chce na gwałt jechać do Rzymu, ale pomimo wszystkich starań nie może dostać księży do swej parafji. Polecił mi więc prosić gorąco ks. Dobrodzieja, aby mu się koniecznie o dwóch księży postarał; a gdy ci przybędą do Buffalo zaraz bez zwłoki uda się z ks. Dobrodziejem w podróż do Rzymu. My, co prawda, w Buffalo siedzieliśmy cicho, ale to nam nie przeszkadzało do robienia przygotowań na wielką skalę. Dzisiaj sprawa biskupa rodaka stoi lepiej, jak kiedykolwiek. To co napiszę jest największym sekretem i zobowiązuje ks. Dobrodzieja do zatrzymania tego w tajemnicy. Zrobiliśmy bardzo wiele. Przez różne wpływy udało nam się otrzymać list od Prezydenta Roosevelta do Ojca św. Leona XIII, a drugi od Kardynała Gibbonsa do Propagandy. Obydwaj gorąco polecają naszą sprawę. Nie koniec na tem, bo jako wysłannik z tymi listami pojedzie do Rzymu adwokat i kongresman Rowland B. Mahany i tam przy pomocy amerykańskiej ambasady poruszy wszelkie możliwe sprężyny, aby załatwić pomyślnie naszą sprawę (obalić w Rzymie ten przesąd, jakoby rząd waszyngtoński się sprzeciwiał ustanowieniu biskupów, polskich w Ameryce). Ponieważ czas nagli, więc pan Mahany już 23 maja udaje się do Rzymu i tam, czyniąc wstępne przygotowania, oczekiwać będzie na delegację t. j. na ks. Pitassa i ks. Dobrodzieja. A co? czy to nie wielka niespodzianka i radosna wieść? W tych dniach otrzymałem telegram od ks. Smolikowskiego z Rzymu, zaprzeczający temu, jakoby ks. Colton był mianowany biskupem dla Buffalo. Zaraz po otrzymaniu tego listu niech ks. Dobrodziej uda się do Chicago i tam u Wydziału Wykonawczego wyrobi poświadczenie, że pan Rowland B. Mahany jest doradcą prawnym delegacji. To poświadczenie proszę przysłać natychmiast. Przy tej sposobności niech ks. Dobrodziej wyrobi mandat dla ks. Pitassa i dla siebie jako delegatów do Rzymu. Rachunek za koszta podróży do Chicago pokryje ks. Pitass. Listy za księżmi rozpisaliśmy na wszystkie strony i mamy nadzieję, że się jacyś zgłoszą; a może i ks. Dobrodziejowi uda się złowić choć jednego. Teraz ks. Dobrodziej widzi, że podróż do Rzymu nie jest żartem i że nastąpi prawdopodobnie jeszcze w tym miesiącu. Jeżeli ks. Dobrodziejowi w Ripon jest tak duszno, to radzę porzucić to niewdzięczne pole i przenieść się gdzieindziej. U nas w Buffalo

jest dosyć miejsca i chleba. Proszę z odpowiedzią i z przesłaniem poświadczenia nie zwlekać, bo czas nagli".

Pojechałem tedy „na koszt ks. Pitassa" ale za moje pieniądze do Chicago; lecz stanąłem wpierw w South Chicago, gdzie była głowa Wydziału Wykonawczego Drugiego Kongresu Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce. Tą głową czyli prezesem Wydziału, u którego miałem się wystarać o pełnomocnictwo czyli mandat dla delegacji, był poważny i poważany ks. Franciszek M. Wojtalewicz, proboszcz parafji Niepokalanego Poczęcia N. M. P. w South Chicago. Zastałem go właśnie po obiedzie przy bilardzie. Nie zwlekając długo, ks. Wojtalewicz wziął zwyczajną ćwiartkę urzędowego papieru listowego z drukowanym nagłówkiem Zarządu Wydziału Wykonawczego i na niej własną ręką po łacinie wypisał nam mandat, podpisał go jako prezes i opatrzył pieczęcią Wydziału. Z tym mandatem udałem się potem do Chicago, gdzie go ks. Kazimierz Sztuczko jako sekretarz I. i p. Leon Szopiński jako sekretarz II. własnoręcznie podpisali. Następnie w Milwaukee odszukałem pana Stefana Czaplewskiego, który jako wiceprezes własnoręcznie się podpisał. Tak opatrzony mandat wysłałem ks. Pitassowi do Buffalo, gdzie p. Stanisław Lipowicz jako skarbnik własną ręką się podpisał. A wtedy „mandat", czyli „do rąk dane" poświadczenie było gotowe i tak brzmiało:

Chicago, die 18 Maji 1903.

Quorum interest:

Nos infrascripte hisce praesentibus testimonium perhibemus, quod Reverendissimus Dnus Joannes Pitass, Rektor Ecclesia Sti Stanislai in Buffalo, N. Y., et Rdus Dnus Venceslaus Kruszka, Rector Ecclesiae Sti Venceslai in Ripon, Wis., electi sunt a Secundo Congressu Polono Romano Catholico in Buffalo, N. Y. delegati in re de Episcopis Polonis pro Statibus Foederatis Americae Septen. obtinendis; et quod ab hisce duobus selectus est tertius, Dnus Rowland B. Mahany e Statu Neo-Eboracensi, tanquam auxililiarius.

In quorum fidem haec sigillo nostro munimus manibusque propriis subscribimus.

Rev. Franciscus M. Wojtalewicz, Pres.
Rev. Casimirus Sztuczko, Secr.
(Pieczęć Wydziału.) Leo Szopiński, Secr. II.
Stefan Czaplewski.
Stanisław Lipowicz.

Po polsku:

„Chicago, dnia 18 maja 1903.

„Tym, których to dotyczy:

„My niżej podpisani niniejszem poświadczamy, że Przewielebny Ks. Jan Pitass, proboszcz kościoła św. Stanisława w Buffalo, N. Y., i Wiel. ks. Wacław Kruszka, proboszcz kościoła św. Wacława w Ripon, Wis., zostali wybrani przez Drugi Kongres Polski Rzymsko-Katolicki w Buffalo, N. Y., delegatami w sprawie uzyskania biskupów polskich dla Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki; i że przez tych dwóch wybrany został trzeci, pan Rowland B. Mahany ze Stanu New York, jako pomocnik.

„W dowód czego stwierdzamy to pieczęcią naszą i własnoręcznie podpisujemy."

Otóż był mandat. Ta niepokaźna ćwiartka papieru, na której powyższy mandat był wypisany, dla mnie we Watykanie posiadała większą wartość, niż cała moja „Historja Polska w Ameryce". Posiadała ona taką moc, że jak Samson oślą szczęką pobił Filistynów, tak ja u Sekretarza Stanu we Watykanie skutecznie nią odparłem raz na zawsze ataki całego episkopatu amerykańskiego, jak to później szczegółowo opowiem.

Postarawszy się o mandat, zacząłem teraz szukać księży asystentów czyli pomocników dla parafji ks. Pitassa, ażeby ks. dziekanowi raz przecie umożliwić wyjazd do Rzymu. I znalazłem niektórych chętnych. Ale sęk był w tem, że im się zdawało, jakoby ks. Pitass dawał tylko intencje mszalne a nie płacił pensji swoim asystentom. Tak np. ks. Ig. Kruszyński ze Stevens Point, Wis., 18 maja 1903 roku oświadczył mi:

„Wny Księże! Właśnie dowiedziałem się od ks. Pęścińskiego, iż ks. Pitass potrzebuje pomocy według zapewnień Wielebnego Księdza. Otóż jabym mógł mu pomóc, ale chciałbym wiedzieć, ileby mi ks. Pitass mógł zapłacić na miesiąc? Gdyż jechać tak na niepewne ryby i tak daleko, toby mi się nie opłaciło. Intencyj, Bogu dzięki, mam dosyć i tutaj nadto mam pewne dochody. Dlatego też, jeśli mam jechać aż do Buffalo, no, tobym chciał zato coś dostać. Proszę więc o łaskawą odpowiedź, to jest, czy dostałbym prócz intencyj pensję lub nie?"

Tu rzeka, tu skakaj, jeśli możesz taką rzekę przeskoczyć! Natychmiast uwiadomiłem ks. Pitassa o warunkach księży zgłaszających się do pomocy, i odebrałem następujący list, pełen rozmaitych niespodzianek i różnych nadziei.

3. Pan Mahany od stóp do głowy uzbrojny w listy rekomendacyjne. — 290 dolarów zebrałem na podróż do Rzymu.

Dnia 22 maja 1903 pisał mi p. Ślisz: „Dzisiaj ks. Pitass wysłał telegram do Ks. Dobrodzieja, że ks. Sedlaczka nie chce, a to z tej przyczyny, że zwodził go tak długo. Przynajmniej ks. Pitass pod tym względem ma słuszność. Na list „special", który dzisiaj otrzymałem od Ks. Dobrodzieja, odpowiadam w imieniu ks. Pitassa co następuje: Jeżeli ks. M. jest tym samym starym księdzem, co ongi był w Minnesocie i wałęsał się prawie po całych Stanach Zjednoczonych, a przytem lubi zaglądać do kieliszka, to tego ks. Pitass nie chce jako asystenta mieć u siebie; jeżeli zaś inny, to proszę napisać, co za jeden. Co do ks. Kruszyńskiego, to tego ks. Pitass chętnie przyjmie, ale chciałby mieć wpierw co do jego osoby bliższe szczegóły. Ks. Dobrodziej raczy więc napisać: ile lat liczy? skąd pochodzi? gdzie przebywał i pracował? czy ma papiery? Od odpowiedzi Ks. Dobrodzieja zależy jego przyjęcie. Ks. Wałaszkiewicz, asystent ks. Furmana w Chicago, przybędzie jutro lub pojutrze do Buffalo i będzie asystentem ks. Pitassa. A teraz co do podróży do Rzymu. Piszę to od siebie. W głowie mi się kręci od zgryzoty i zmartwienia, bo obawiam się, aby cały plan tak pięknie, misternie i subtelnie ułożony, nie przepadł, a to dzięki naszej nieporadności. Pan Mahany w przeszłą sobotę t. j. 16-go wyjechał do Washingtonu, gdzie mu prezydent Roosevelt nadeśle list do Ojca św. Leona XIII, a przy tej sposobności weźmie list od kardynała Gibbonsa z Baltimore. Dzisiaj przysłał mi list od ministra spraw zagranicznych pana Hay do ambasadora amerykańskiego w Rzymie, w którym prosi go, by dla naszej sprawy zrobił wszystko, co tylko jest w jego mocy. Delegat Ap. Mgr. Falconio jest usposobiony jak najlepiej dla nas i przyrzekł dać przychylną opinję Rzymowi. Będą także listy polecające od dwóch arcybiskupów, a znany w całej Ameryce ks. Cronin, osobisty przyjaciel kardynała Satolli, ma także list do niego przygotowany i wręczy go delegacji. Widzi ks. Dobrodziej, jak znakomicie wszystko jest przygotowane; i potrzeba tylko jechać, a plan uda się niezawodnie. Te przygotowania kosztowały grubo, ale są one chyba nie przepłacone. Ksiądz Pitass pieniądze na to dawał, a ja wraz z panem Mahanym układałem i przeprowadzałem wszystko. Przy takiej protekcji, jaką ma delegacja, można wszystko w Rzymie uzyskać. Potrzeba jednak jechać, ale jechać koniecznie. Tu jednak sęk, jak ks. Dziekana ruszyć z Buffalo. Chętny jest na wszystko, pieniądze daje; ale gdy

przyjdzie do oznaczenia dnia wyjazdu, zawsze się znajdzie jakaś przeszkoda. To mnie doprowadza do rozpaczy. Pan Mahany, skoro tylko powróci z Washingtonu, jedzie natychmiast do Rzymu, a za nim w kilka dni ma ruszyć delegacja. Ale czy znów nie zajdzie przeszkoda, to pytanie. Byłby jutro już jechał do Rzymu, ale musiał zaczekać na list prezydenta Roosevelta w Washingtonie. Moja więc rada, ale pochodzi ona tylko ode mnie, jest taka: niech Ksiądz Dobrodziej zaraz spakuje swoje manatki i przybędzie do Buffalo, załatwiwszy po drodze sprawy pieniężne w Chicago ze Zjednoczeniem i Wydziałem Wykonawczym oraz innymi księżmi, którzy przyrzekli ofiarować coś na podróż do Rzymu. Tutaj przybywszy, obydwaj napadniemy na ks. Pitassa i może połączoną siłą uda się nam go przekonać i do natychmiastowej podróży nakłonić. Trzeba użyć gwałtu, bo dobro sprawy wymaga tego. Jeżeli to już nie pomoże, to w takim razie Ks. Dobrodziej sam z panem Mahanym lub za p. Mahanym uda się w podróż do Rzymu. Innej rady nad tę, jaką daję, nie widzę i nie mam. Ks. Kruszyński, według mego osobistego zdania, dobrze zrobi, jeżeli bezzwłocznie przyjedzie do Buffalo, a przyjętym zostanie na pewno. Ks. Pitass, jeżeli będzie miał księży, nie będzie się mógł tak łatwo wymówić od podróży do Rzymu. Radzę więc jeszcze raz brać urlop i natychmiast ruszać w drogę do Buffalo, a następnie z Buffalo do Rzymu, bo czas nagli. Proszę odróżnić w tym liście treść, pisaną z polecenia ks. Pitassa od treści mojej własnej. Proszę mi odpisać natychmiast. Potrzeba raz rzucić kości i przejść Rubikon. Znam stosunki i położenie dobrze i według tego daję rady. Z prawdziwem poważaniem życzliwy sługa St. Ślisz."

Dnia 29 maja 1903 pan Ślisz wysłał do mnie jeszcze następujący list, który atoli już mnie nie zastał w Ripon.

„Na mój telegram, dotyczący przyjazdu ks. Kruszyńskiego do Buffalo, nie mam odpowiedzi, a więc zdaje się, że ks. Dobrodziej nie załatwił tej sprawy. Pan Mahany we środę dnia 10 czerwca wsiada na okręt, a za parę dni po nim uda się w drogę delegacja, a względnie sam Ks. Dobrodziej. Proszę się postarać o zebranie jak największej sumy pieniędzy, gdyż ks. Pitass, pokrywając z własnej kieszeni koszta podróży pana Mahany, będzie miał i tak wielkie wydatki. Już dotychczas ta sprawa kosztuje grubo, bo trzeba było jeździć kilka razy do Washingtonu i Baltimore. Listy rekomendacyjne dla delegacji mam już u siebie wszystkie, t. j. od ministra spraw zewnętrznych pana Hay, dwa listy od kardynała Gibbonsa,

listy od dwóch arcybiskupów i od księdza Cronina do kardynała Satolli; a pan Mahany jedzie jako nadzwyczajny poseł z listem prezydenta Roosevelta. Wszystko przygotowane doskonale. Spodziewam się, że Ks. Dobrodziej w sobotę dnia 6 czerwca będzie już w Buffalo, skąd bezzwłocznie delegacja uda się do Rzymu. Ks. Wałaszkiewicz z Chicago nie przyjechał na asystenta do Buffalo, bo go nie puścił ks. arcybiskup Quigley. Jeżeli wystarczy czasu Ks. Dobrodziejowi, to proszę zawiadomić ks. Kruszyńskiego, aby zaraz przyjeżdżał do Buffalo. Trzeba już raz załatwić tę sprawę podróży do Rzymu, aby się nie narazić na pośmiewisko. Załączając wyrazy szacunku, wyrażam nadzieję, że za kilka dni pomówię osobiście z Ks. Dobrodziejem. Życzliwy sługa Stan. Ślisz."

Ten list nie zastał mnie już w Ripon, albowiem Ripon opuściłem już zaraz po Zielonych Świątkach, a raczej w sam Poniedziałek Świąteczny 1-go czerwca 1903 r. rychło rano. Z Ripon do Buffalo jechałem rzemiennym dyszlem, wstępując do drodze do Milwaukee, Chicago, Detroit, Toledo, Cleveland, Erie i do Pittsburga. A wstępowałem do tych miast dlatego, ażeby od burmistrzów tychże uzyskać na piśmie urzędowe poświadczenie liczby Polaków, zamieszkujących te miasta. Przytem zebrałem także nieco pieniędzy na podróż, i tak w Milwaukee, Wis., od ks. M. Dorszyńskiego 5 dol.; od dr. Karola Wagnera 10 dol.; od ks. J. Kempy 10 dol.; od ks. B. Celichowskiego 5 dol. W Chicago od ks. Stan. Nawrockiego 25 dol.; od Zjednoczenia i od Wydziału Wykonawczego obiecane pieniądze dostałem dopiero później w Rzymie. W Detroit, Mich., od ks. Muellera 10 dol. W Toledo, Ohio, od ks. Ludwika Redmera 10 dol.; od ks. Doppkego 5 dol.; od ks. Suplickiego 10 dol. W Erie, Pa., od ks. Ignasiaka 25 dol. W Buffalo od ks. Semelki 25 dol. W Now. Jorku od ks. Strzeleckiego 25 dol. Poprzednio jeszcze oprócz tych, których wymieniłem w 82 rozdziale Piątego Siedmiolecia, nadesłali mi listownie następujący: ks. Ł. Bójnowski z New Brittain, Conn., 10 dol.; ks. A. Smełsz z Plymouth, Pa., 20 dol.; ks. S. E. Niedbalski z Panna Maria, Tex., 5 dol.; ks. Stan. Nowak z Florida, N. Y. 5 dol.; ks. Walenty Świniarski z Doyle, Erie Co., N. Y. 25 dol.; ks. St. Przyborowski z Częstochowy, Texas, 5 dol.; ks. St. Elbert z Plover, Wis., 5 dol.; pewna osoba z Beaver Dam, Wis., 10 dol.; ks. Łuk. Peściński z Stevens Point, Wis., 10 dol.; ks. Kwiryn Zieliński z Antigo, Wis., 25 dol. Razem więc wszystkich pieniędzy aż do chwili, kiedy opuszczałem Nowy York, zebrałem 290 dolarów. To mi na podróż do Rzymu i na kilka tygodni pobytu w Rzymie

najzupełniej wystarczało. Myślałem przecie, że w trzech miesiącach będę napowrót w Ripon. Od arcybiskupa mego nie wziąłem urlopu na dłużej, jak wyraźnie tylko **na trzy miesiące.** Ktoby był myślał, że prawie cały rok upłynie, zanim powrócę do Ripon? Myślałem na serjo, że najwyżej sześć tygodni potrzeba będzie do załatwienia sprawy w Rzymie. Funduszów mi nie zabraknie! „Tego poganie pilnie szukają. Szukajcie najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta wam dodaną będzie.“

I rzeczywiście ta „reszta dodaną“ mi była, gdy zaszła potrzeba dłuższego pobytu w Rzymie.

4. Wyjazd z Ripon do Rzymu. — W pałacu arcybiskupim. — U burmistrza w Milwaukee.

Najlepszym jest opis, dokonany pod świeżem wrażeniem chwili. Otóż dnia 9 czerwca 1903, w dzień przed odpłynięciem okrętu, w korespondencji ogłoszonej w „Kurjerze Polskim“ i powtórzonej przez inne gazety, podówczas tak opisywałem swój wyjazd z Ripon do Rzymu:

Nowy York, 9 czerwca. — W imię Boże, w poniedziałek świąteczny 1 czerwca 1903, odśpiewawszy o 6 godzinie rano Mszę św. i udzieliwszy moim parafjanom błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, wybrałem się z Ripon, Wis., w daleką podróż do Rzymu. Cel tej podróży wszystkim jest wiadomy. Nietylko godziwą, ale słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą prosić Stolicę św. o to, aby dwumiljonowa ludność amerykańsko-polska była reprezentowaną w hierarchji Kościoła katolickiego w Ameryce. Osobiście nie tylko jestem głęboko przekonany o słuszności i sprawiedliwości tej sprawy (gdybym tego przekonania nie miał, nie byłbym podjął się tej trudnej misji), lecz nawet wierzę mocno i niezachwianie w jej powodzenie. Trudności nie zmniejszają, lecz owszem potęgują we mnie tę wiarę. Każda dobra, wielka sprawa zwykła napotykać na wielkie trudności — złyby to był znak, gdyby nie napotykała. Przedsięwziąłem tę podróż także z poczucia obowiązku. Obowiązek, jakkolwiek twardy, jaki wziąłem na siebie na ostatnim Kongresie, muszę spełnić, niech to kosztuje co chce. Ażeby zaś ten obowiązek należycie wypełnić, nie szczędziłem żadnych trudów, a zwłaszcza Przew. ks. Jan Pitass z Buffalo, N. Y., nie szczędził żadnych starań i kosztów celem dopięcia zamierzonego celu. Starania poczynione przez ks. J. Pitassa w tej sprawie obchodzącej całą Polonję

amerykańską, na razie ocenić się nie dadzą, ale niewątpliwie nadejdzie kiedyś czas, kiedy należycie ocenione będą.

Prace przygotowawcze do podróży były dalsze i bliższe. Do dalszych należą między innemi: opracowanie memorjału, sporządzenie spisu ludności polskiej w Ameryce, uzyskanie dla sprawy poparcia materjalnego i moralnego od osób wpływowych, wysondowanie ich opinji i poglądów różnych na tę sprawę, wybranie trzeciego delegata i t. p. Kosztowało to dużo czasu i atłasu. Nie wystarczał tu li tylko zapał dla sprawy, potrzeba było nadto mieć wiele wytrwałości.

Zapału trzeba, by pierwsze przełamać lody;
Wytrwałości, by wszystkie zwyciężyć przeszkody.

Wreszcie podróż została postanowioną i rozpoczęto bliższe do niej przygotowania, jako to: wyrobienie mandatu od Wydziału Wykonawczego, zebranie od majorów większych miast piśmiennych poświadczeń liczby Polaków zamieszkałych w większych osadach itp. Jednem słowem, delegacja przygotowała wszystko, co tylko było w jej mocy, aby przedsięwzięta podróż nie była bez skutku. Za materjalne poparcie należą się dzięki tak Wydziałowi Wykonawczemu jak i pojedyńczym księżom ze wschodnich i zachodnich Stanów, jako to księżom: Andrzej i Jakób Gara, J. M. Korczyk, M. Dorszyński, J. Kempa, B. Celichowski, Ł. Pęściński, M. Wenta, Stan. Elbert, Dr. K. Wagner z Milwaukee, ks. Ł. Bójnowski z New Britain, Conn., ks. A. Smełsz z Plymouth, Pa., ks. S. E. Niedbalski z Panna Marja, Tex., ks. St. J. Nowak z Florida, N. Y., ks. dr. J. Dworzak z New Yorku; ks. Fr. Gawłowicz z Warszawy, N. Dak.; ks. St. Musiał z New. Haven, Conn.; ks. T. Szadziński z Rochester, N. Y.; ks. Walenty Świniarski z Doyle, N. Y.; ks. St. Przyborowski z Częstochowy, Tex.; ks. T. A. Klonowski z Wilkes Barre, Pa.; ks. dziekan Matkowski z Grand Rapids, Mich.; ks. St. Nawrocki z Chicago; ks. Suplicki, ks. Doppke i ks. Redmer z Toledo, O.; ks. Fr. Mueller z Detroit, Mich.; ks. Ignasiak z Erie, Pa.; ks. Semelka z Buffalo; Wydawnictwo „Kurjera Polskiego“ za wydrukowanie paru set egzemplarzy Statystyki poszczególnych osad polskich w Ameryce; ks. Jan H. Strzelecki z New Yorku i wielu innym zawdzięcza delegacja materjalne bądź moralne poparcie. Jeśli bowiem kto w materjalnem poparciu okazał się skąpym, to w moralnem poparciu był tem hojniejszym, czy to przez zachętę czy też przez stawianie trudności. Bo nietylko zachęta, ale i stawianie

trudności częstokroć jest moralnem poparciem sprawy. Dla mnie trudności mają to do siebie, że nietylko mnie nie odstraszają, ale owszem zachęcają mię do tem energiczniejszej pracy w danym kierunku. Zatem wszystkim dziękuję serdecznie, tak tym co pomagali, jak i tym, co przeszkadzali. Wiem, że wielu, bardzo wielu byłoby dało zapomóżkę, gdybym ich tylko był odwiedził albo przynajmniej listownie uwiadomił o nieodwołalnym wyjeździe delegacji. Ale i teraz jeszcze, ktoby chciał, może posłać zapomóżkę, adresując wprost do Rzymu: Rev. W. Kruszka, Roma, Italia. Poste restante.

Podróż moja z Ripon do Nowego Yorku odbywała się, jak to mówią, rzemiennym dyszlem, z tego głównie powodu, że chciałem po drodze odwiedzić majorów miast (burmistrzów) we większych osadach polskich, jako to w Milwaukee, Chicago, Detroit, Toledo, Cleveland, Erie, Pittsburg i Buffalo. Miałem wprawdzie już drukowany spis blisko tysiąca osad polskich, rozsianych po Stanach Zjednoczonych, z podaniem liczby Polaków przy każdej osadzie; lecz chodziło mi o potwierdzenie, choćby półurzędowe, przynajmniej w większych osadach, że liczby Polaków nie są bynajmniej przesadzone. Zatrzymałem się więc najpierw w Milwaukee.

Tu przedewszystkiem wystarałem się o papiery potrzebne od Władzy kościelnej. Ponieważ arcybiskup ks. Fr. X. Katzer był podówczas chory i leżał w szpitalu we Fond du Lac, Wis., więc ówczesny Wikary Generalny (a późniejszy biskup) ks. A. F. Schinner w imieniu Arcybiskupa Katzera dał mi następujące pismo do ręki:

Fridericus Xawerus Dei et Apostolicae Sedis Gratia Archiepiscopus Milwaukiensis.

Praesentibus hisce litteris testamur Revmum D. D. hujas Archidioeceseos Archiepiscopum Revo Domino Wenceslao Kruszka, ad Sti Wenceslai in urbe Ripon, Wis., Rectori, veniam dedisse Romam proficiscendi et per tres circiter menses munere vacandi. Insuper fidem facimus Revum quem diximus Dominum nullis in quantum scimus censuris esse innodatum, optimus vero moribus praeditum. Quapropter eum omnibus Revmis Ordinariis necnon Presbyteris Catholicis enixe in Domino commendamus et ad Sacra admittatar rogamus.

Datum Milwaukiae die primo mensis Junii A. D. 1903.

A. F. Schinner, V. G.,
speciali utens facultate.

W powyższem piśmie szczególnie ważne są te słowa, na pierwszem miejscu umieszczone: „veniam dedisse Roman proficiscendi et munere vacandi", to jest, że mój arcybiskup „dał mi pozwolenie jechania do Rzymu dla załatwienia sprawy". Na mniejwięcej trzy miesiące dał mi tylko pozwolenie, gdyż na dłuższy czas nie prosiłem. Byłem bowiem święcie przekonany, że w przeciągu trzech miesięcy i załatwię sprawę w Rzymie i będę z powrotem w Ripon. Nawet brewjarz wziąłem na porę letnią — „Pars Aestiva". Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Załatwiwszy powyższą sprawę w pałacu arcybiskupim, tegoż dnia 1 czerwca 1903 udałem się do ratusza miasta Milwaukee po świadectwo od burmistrza co do liczby Polaków w Milwaukee zamieszkałych. Burmistrzem czyli majorem miasta był Dawid Rose.

Do ofisu majora Rose wprowadził mię jego sekretarz a nasz rodak, zacny p. Antoni Szczerbiński, którego pośrednictwu najwięcej zawdzięczam bezzwłoczne załatwienie tej sprawy. Towarzyszył mi i ks. Mścisz, którego przypadkowo spotkałem w drodze do ratusza. Pan major Rose przyjął nas bardzo grzecznie. Z największą chęcią przychylił się do mojej prośby i własnoręcznie wypisał i podpisał następujące oświadczenie:

Mayor's Office David S. Rose, Mayor; Anthony Szczerbiński, Jr., Secr.

Milwaukee, June 1., 1903.

I, David S. Rose, Mayor of the City of Milwaukee in the State of Wisconsin, United States of America, do hereby certify that, to the best of my knowledge, information and belief, there are now resident in said City Sixty Five Thousand inhabitants of Polish nativity or origin.

Witness my hand and the seal of said City of Milwaukee this 1st day of June A. D. 1903.

Dawid S. Rose, Mayor.

(Pieczęć miasta Milwaukee.)

Attest: *Edwin Hinkel*,
Deputy City Clerk.

Zdobywszy te dwa ważne papiery, jeden cywilny, drugi kościelny, z Milwaukee wybrałem się w dalszą podróż do Chicago.

W drodze do Chicago przypomniało mi się, żem zapomniał swego „permitu" na koleje wschodnie. Z ratusza udałem się więc do Monadnock Building, a stamtąd do Tribune Bldg., aby się wy-

starać o inny permit, lecz nadaremno. Ale i w tem małem nieszczęściu byłem później szczęśliwy. Nadszedł czas, przyszła rada.

5. W drodze do Rzymu. — U rzecznika miejskiego p. Smulskiego w Chicago. — U burmistrzów w Detroit i Toledo.

We wtorek, 2 czerwca, rano po godzinie 10 wśród deszczu i błota, zdążałem do ratusza w Chicago. Majora p. Harrison nie zastałem w domu — pojechał na ryby i dopiero w przyszły poniedziałek miał powrócić. Odszukałem więc rzecznika miejskiego, czcigodnego naszego p. J. F. Smulskiego. Jest to typowa postać urzędnika: wśród wiru tysiącznych zajęć i interesów zachowuje on zupełny spokój ducha i pogodę umysłu, i pomimo że urzędowy chłód wieje od niego, jest przytem nadzwyczaj uprzejmy i usłużny. Zanotował sobie moją prośbę do p. Harrisona na kartce i przyobiecał wystarać się o żądaną deklarację, skoro tylko major do domu powróci. Zdaniem p. Smulskiego jest w Chicago Polaków z górą 200,000. Odnośne poświadczenie majora p. Harrison kazałem sobie przesłać wprost do Rzymu. Jest to arcyważny dokument i spodziewam się, że p. Smulski nie zapomni mi go przesłać bezzwłocznie do Rzymu. P. Smulski przez to wyświadczy naszej sprawie wielką przysługę i zaskarbi sobie wdzięczność całej Polonji amerykańskiej.

Jakoż za pośrednictwem p. Jana F. Smulskiego otrzymałem w Rzymie następujące poświadczenie od burmistrza miasta Chicago:

John F. Smulski, City Attorney.
City of Chicago.

I, Carter H. Harrison, Mayor of the City of Chicago, Country of Cook and the State of Illinois. U. S. A., DO HERE BY CERT'IFY that to the best of my knowledge, information and belief, there are now resident in said City of Chicago two hundred and fifty thousand (250,000) inhabitaus of Polish nativity or origin.

Witness my hand and the seal of said City of Chicago, this Fifteenth (15th) day of July, A. D. 1903.

Carter H. Harrison, Mayor.
Fred. C. Bender, City Clerk.

(Pieczęć miasta Chicago)

Po obiedzie udałem się do sekretarza Wydziału Wykonawczego ks. Kazimierza Sztuczki na Noble ul., gdzie właśnie natrafiłem na Bierzmowanie, udzielane przez J. E. ks. arcybiskupa Quigley,

w kościele św. Trójcy. Zebrało się na tę uroczystość przeszło tuzin księży polskich — z najbliższych atoli sąsiadów nie widziałem tam ani jednego. Ks. arcybiskup, po Bierzmowaniu, zabawił w plebanji ks. Sztuczki przez 3 godziny.

Wśród księży zebranych w plebanji św. Trójcy nie brakło sceptyków, którzy głośno powątpiewali, czy coś wskóram w Rzymie i czy wogóle mnie papież przyjmie.

— Lepiejbyś się przejechał do Kalifornji, niż do Rzymu — mówili mi.

Jednym z najgłośniejszych sceptyków, jak już wspomniałem, był wtedy ks. Paweł Rhode, późniejszy pierwszy biskup polski w Ameryce. Po kolacji, spożytej razem z ks. arcybiskupem, odwiedziłem OO. Zmartwychwstańców na Stanisławowie; lecz że O. Kasprzycki leżał podówczas chory i spał, więc wizyta była krótka, pożegnałem się tylko z innymi Ojcami, biorąc ze sobą pozdrowienie dla ich braci w Rzymie. Potem wraz z ks. St. Nawrockim wybrałem się do „Bridgeportu", a stamtąd o godzinie 10 udałem się na dworzec, aby o godzinie 11 wyjechać do Detroit, Mich.

Minął już kwadrans po 11, a pociąg jak stał, tak stał. Pewien gentleman, z którym właśnie w wagonie sypialnym się poznałem, a który mi się przedstawił jako tajny detektyw, wytłumaczył mi to opóźnienie pociągu. „Z pewnością — powiedział — żona superintendenta kolei na czas przybyć nie zdążyła, i dlatego pociąg musi czekać. Nieraz już się to zdarzyło. Dla żony lub przyjaciela superintendenta kolejowego pociąg nieraz czekał całą godzinę. Będzie to tak zawsze, dopóki koleje znajdować się będą w prywatnych rękach". I tak więc z owym detektywem rozmowa zeszła na temat upaństwowienia kolei. Znużony wreszcie położyłem się do łóżka i spałem smacznie całą noc. Dopiero nazajutrz, w środę, 3 czerwca, obudziłem się na głos murzyna wołającego: „Gentlemen, za pół godziny Detroit".

Przybywszy do Detroit, udałem się wprost do ks. Gutowskiego, jako najstarszego w tem mieście kapłana polskiego i konsultora biskupiego. Zastałem u niego ks. Wałajtysa z Parisville, ks. Suplickiego z Toledo i ks. Redmera z Toledo. Ks. Gutowski przyjął mię bardzo gościnnie, i w godzinę później raczył towarzyszyć mi, wraz z ks. Suplickim, do majora miasta Detroit, p. Williama C. Maybury. Pan major miasta Detroit jest średniego wzrostu, krępy, gruby, siadły a nadzwyczaj grzeczny, usłużny i uprzejmy. Dał mi nietylko poświadczenie (na wzór tego, co p. Rose), że w Detroit, podług jego

przekonania, jest ponad 50,000 Polaków, co wraz z klerkiem miejskim własnoręcznie podpisał, ale nadto i złotą pieczęć na to przyłożył.

Oto dosłowne brzmienie tego dokumentu:

Executive Office.
Detroit, Mich.

William C. Maybury, Mayor,
Clarence A. Cotton, Secretary.

I, William C. Maybury, Mayor of the City of Detroit, Michigan, United States of America, do hereby certifity that to the best of my knowlodge, information and belief, there are now resident in said city and immediate suburbs upwards of Fifty Thousand (50,000) inhabitauts of Polish nativity or origin.

Witness my hand and seal this third day of June, A. D. 1903.

William C. Maybury,
Mayor.

(Złota pieczęć miasta Detroit.)

Attest: *J. Milton Ookman,*
Deputy City Clerk.

Po obiedzie u ks. Gutowskiego, złożyłem także krótką wizytę ks. Muellerowi, proboszczowi św. Wojciecha, krótką — dla braku czasu, bo gdyby czas mi był pozwolił, byłbym u księdza Muellera zabawił kilka dni, bo u niego gościnne dni płyną tak prędko jak godziny. Spóźniwszy się o pół minuty na pociąg, musieliśmy wraz z ks. Redmerem (który mi z Detroit do Toledo towarzyszył), zaczekać w Detroit jeszcze dwie godziny. W tym czasie spotkaliśmy w mieście ks. Kolkiewicza, ks. Herr'a, proboszcza polskiego z Jackson, Mich., ks. Conusa, polskiego asystenta ks. Gutowskiego. ks. Janeczka, Czecha, i kilku innych. W drodze z Detroit do Toledo, po odmówieniu brewjarza, miałem dysputę z pewnym presbyterjaninem. „Największą zbrodnią — mówiłem mu między innemi — jest schyzma; schyzma, czyli wytworzenie niezgody w łonie chrystjanizmu, jest gorszą niż sto zbrodni, bo pociąga za sobą niezliczone zbrodnie. Nadużycia były, są i będą w ludzkim pierwiastku Kościoła, lecz żadne, choćby największe nadużycia, nie usprawiedliwiały i nieusprawiedliwiają nikogo do wszczynania schyzmy czyli odszczepieństwa od Kościoła, bo odszczepieństwo jest większem złem

niż inne zła". Rozmawiając jeszcze o predestynacji Kalwina, stanęliśmy w Toledo.

Ks. Redmer, młody i sympatyczny kapłan, który mi towarzyszył (a z którym, nawiasowo mówiąc, zamieniłem mój ciężki brewjarz na jego lekki), był mi przewodnikiem do ks. Doppke'go, proboszcza parafji św. Jadwigi w Toledo. Ks. Doppke przyjął mię otwartymi ramionami, ugościł mię i uraczył czem mógł w postny dzień (Suchedni były w środę), przespałem się w jego plebanji, a nazajutrz po odprawieniu Mszy św., zawiózł mię w swoim własnym powoziku do majora miasta Toledo, pana Jones. Pan Jones jest to szczupły, ale wysoki mężczyzna, o błyszczących oczach, ruchliwy i ożywiony w rozmowie, pełen werwy i energji. Kiedym mu wspomniał o Polakach w Toledo, w te pędy zaczął rozwijać przede mną swoje szerokie poglądy na ludzkość. Był socjalistą podobno. Na moje pytanie, ilu jest Polaków w mieście Toledo, odpowiedział mi tak:

— Ja nie znam ani Polaków, ani Niemców, ani Irlandczyków, ani nawet Walijczyków, chociaż sam Walijczykiem jestem. **Ja znam tylko Amerykanów!**

— Panie majorze, a ja nie znam nawet Amerykanów. **Ja znam tylko ludzi!!** — odparłem mu, idąc o krok dalej jego własnym torem myśli i rozumowania. I, know not even Americans, I know only men.

Na to p. Jones jakby osłupiał. Oczy wlepił we mnie i nic nie odpowiedział.

Tą niespodziewaną odpowiedzią moją panu majorowi Jones wsadziłem jakby jasną lampę do mózgu. Odrazu zaświtało mu w głowie i widział, że inaczej wygląda ludzkość w abstrakcji, a inaczej w konkretnej formie. Stał jeszcze chwilkę jakby wryty, niemy i zadumany — jakby szukał czegoś...

Lecz p. major Jones, pomimo górnolotnych, idealnych poglądów swoich na ludzkość, jest — jak to się zaraz pokazało — człowiekiem — bardzo praktycznym. Wiedział, o co go proszę, i tej prośbie zaraz zadość uczynił. Nie chciał jednak w podaniu liczby Polaków spuszczać się na swój własny sąd, lecz zasięgnął telefonicznie informacji od innych obywateli toledoskich, pomiędzy innymi od ks. Suplickiego i od p. Paryskiego, swego przyjaciela (którego atoli telefon nie zastał w domu) — i wreszcie dał mi poświadczenie z własnym podpisem i złotą pieczątką miejską, że w Toledo mieszka przeszło 14,000 Polaków.

Executive Department
Of The City of Toledo, O.
Samuel M. Jones, Mayor.

I, Samuel M. Jones, Mayor of the City of Toledo, Ohio, United States of America, do hereby certifity to the best of my knowledge, information and belief, there are now resident in said city and the immediate suburbs upwards of fourteen thousand (14,000) inhabitants of Polish natiovity or origin.

Witness my hand and seal this fourth day of June, A. D. 1903.

S. M. Jones,
Mayor.

(Złota pieczęć miasta Toledo.)

T. J. Heningshan,
Deputy City Clerk.

Pan Jones jest idealny major ale i zarazem bardzo praktyczny i dlatego bardzo popularny. Ratusza (City Hall) własnego miasto Toledo dotychczas nie ma. Wynajęty lokal dla p. majora, zwłaszcza dla majora tej miary co p. Jones, jest stanowczo za mały i za szczupły. Toledo powinno się postarać o osobny gmach ratuszowy.

Zostawiwszy w mieście ks. Doppkego (który obecnie z budową nowego gmachu szkolnego ma pełne ręce roboty), pojechałem na obiad do ks. Suplickiego, redaktora „Kurjera Ohioskiego", który mię nadzwyczaj gościnnie przyjął. Ks. Suplicki, rozmowny i towarzyski, odznacza się wyższym polotem myśli, oraz zdrowymi poglądami na sprawy amerykańsko-polskie. Jest to typ kapłana-Polaka amerykańskiego, a nie europejskiego.

6. W drodze do Rzymu. — U burmistrzów w Cleveland, Pittsburgu i Buffalo. — Ks. Pitass nareszcie zdecydował się nie jechać do Rzymu.

O godzinie 3-ej po południu wyjechałem z Toledo do Cleveland, gdzie o 7 godzinie wieczorem u ks. Rosińskiego gościnnie przyjęty zostałem. Nazajutrz, w piątek, 5 czerwca, rano odśpiewawszy Mszę św. udałem się z ks. Kuzyuszem do majora miasta Cleveland, do p. Johnson, zwanego popularnie „Mayor Tom". Cleveland nie ma także osobnego jeszcze gmachu ratuszowego, ale już go buduje. Jak słyszałem, ratusz i poczta mają być w jednym gmachu. Major Tom, mąż nietylko wielkiej powagi, ale i wagi, bo gruby i otyły,

o gęstej minie, bardzo uprzejmie przyjął prośbę naszą, podpisał własnoręcznie i pieczęcią złotą zatwierdził deklarację, że podług jego przekonania mieszka w Cleveland więcej niż 30,000 Polaków.

The City of Cleveland
Mayor's Office.

Tom L. Johnson, Mayor.
W. B. Gongwer, Secretary.

I, Tom L. Johnson, Mayor of the City of Cleveland, Ohio, United State of America, do hereby certify that to the best of my knowledge, information and belief, there are now resident in said city and the immediate suburbs upwards of Thirty Thousand (30,000) inhabitants of Polish nativy or origin.

Witness my hand and seal. This fifth day of June, A. D. 1903.

Tom L. Johnson, Mayor.

(Złota pieczęć miasta Cleveland.)
Edward H. Miller.

Po załatwieniu tej sprawy u majora, zwiedziliśmy pyszną galerję „Arcadę" (skład wszechrzeczy, rodzaj sukiennic) i inne wspaniałe gmachy w Cleveland. Następnie puściliśmy się razem z przezacnym ks. Kuzyuszem, do ks. Łazińskiego, ale — ku wielkiemu żalowi mojemu — nie zastaliśmy go w domu. Po drodze widziałem katedrę i pałac biskupa Horstmanna. Katedra clevelandzka nieszczególna, to zwykłych rozmiarów kościół parafjalny z czerwonej cegły — a biskup nie ma osobnego pałacu, lecz mieszka pod jednym dachem z proboszczem. U ks. Rosińskiego zastałem trzech księży pomocników: wspomnianego ks. Kuzyusza, który jest prawą ręką proboszcza, tudzież ks. Jana Stan. Żyburę i ks. Wojciecha Migdalskiego, niedawno ze Śląska przybyłego.

O godz. 4-ej po południu w piątek opuściłem Cleveland, miasto okopcone dymem kominów miljonera naftowego Rockefellera. Podróż do Erie, Pa., stolicy Przew. ks. Ignasiaka, radcy biskupiego, spędziłem na rozmowie z jakimś księdzem ajryskim z Ashtabuli. O godzinie 7-ej wstąpiłem w progi plebanji ks. Ignasiaka, i pokrzepiwszy się „suchodniową" kolacyjką, już o 7,40 stałem na ambonie w jego kościele, prawiąc kazanie do ludu licznie zgromadzonego na nabożeństwo Serca Jezusowego. Cały następnie wieczór rozmowa toczyła się o różnych sprawach publicznych, aż do blisko 1-ej godziny w nocy, poczem udałem się na dworzec kolejowy, by

o godzinie 2-ej w nocy wyjechać do Pittsburga. Siedząc na ławce w sali poczekalnej, usnąłem snem sprawiedliwego, zanim pociąg nadszedł; gdyby nie tubalny głos urzędnika kolejowego, byłbym nad ranem obudził się na miejscu w Erie, zamiast w Pittsburgu.

Ruch pociągu wnet mię w wagonie sypialnym ukołysał do snu, tak że w czasie podróży do Pittsburga, do 7 z rana w sobotę, ani jednej chwilki na bezsenności nie straciłem. Stanąwszy na dworcu, ujrzałem przed sobą z jednej strony żółte, mętne fale rzeki Monongaheli, a z drugiej strony skaliste urwiska góry Washington, na którą pną się tak zwane „incline'y" czyli linowe koleje spadziste. O godzinie 8,30 już znajdowałem się na plebanji ks. Cezarego Tomaszewskiego, C. S. Sp., w którego kościele odprawiłem niebawem długą tego dnia (Suchedni) Mszę św. Dowiedziałem się później, że znany dobrze w Milwaukee i indziej ks. Jan Machnikowski, bawił dzień przed mojem przybyciem w Pittsburgu, lecz nie mogąc się mnie doczekać, powrócił do Ford City, Pa., gdzie jest proboszczem. Żałuję, żem nie mógł się z nim widzieć. Zato uraczyłem się rozmową z jego bratem, p. Leonem, redaktorem „Wielkopolanina". Po Mszy i śniadaniu wybrałem się do majora miasta Pittsburga, mając za przewodnika ks. Ino Williams, C. S. Sp., zawiadowcy i redaktora pism niemiecko-katolickich. Mayor W. B. Hays, chociaż wyboru swego na majora nie zawdzięcza bynajmniej Polakom, najchętniej przecie przychylił się do prośby naszej i bez dłuższej zwłoki dał piśmienne zaświadczenie, z podpisem własnym i klerka i pieczęcią złotą, że w Pittsburgu i przedmieściach podług jego przekonania mieszka zgórą 50,000 Polaków.

Mayor's Office
Pittsburgh, Pa.

W. B. Hays, Mayor.

I, William B. Hays, Mayor of the City of Pittsburgh, Pennsylvania, United State of America, do certify to the best of my knowledge, information and belief there are now residing in the City of Pittsburgh and immediate suburbs upwards of fifty thousand (50,000) inhabitants of Polish nativity or origin.

Witness my hand and seal this Sixth day of June, 1903.

W. B. Hays, Mayor.

(Złota pieczęć m. Pittsburgh.)

Attest: Wiliam Black, Secr.

Uporawszy się z tą sprawą, zwiedziłem pod przewodnictwem zacnego i poczciwego ks. Williams'a niektóre najbardziej widzenia godne osobliwości miasta Pittsburga. A nikt tak Pittsburga nie zna, ani nikogo w Pittsburgu tak dobrze nie znają, jak właśnie tego ks. Williams'a. Światły ten, uczony i doświadczony kapłan już od lat 25 pracuje w Pittsburgu. Jego grzeczność i usłużność dla gościa nie zna granic. Oprowadzał mię po dolnym i górnym Pittsburgu. Pokazał mi gmach (courthouse), na którego froncie widnieją wyryte z kamienia wielkiemi literami słowa łacińskie: „Post Vetus Conflagratum Hoc Aedificium Justitiae Sacrum A. D. 1884 coeptum" (po spaleniu starego, ten przybytek Sprawiedliwości poświęcony R. P. 1884 rozpoczęty). Tuż naprzeciw gmachu sądowego wznosi się olbrzymi, rzec można, niebotyczny (skyscraper) gmach miljonera Frick'a, cały wewnątrz białym marmurem karraryjskim wykładany. Liczy tylko 22 piętr. Wnętrze jego zdobią między innemi prześliczne malowidła i obrazy, jak obraz Matki Boskiej p. t. „Consolatrix afflictorium", Pocieszycielki strapionych. Z góry Washington widok jest przepyszny, wprost niezrównany, jeśli go tylko kłęby dymu fabrycznego nie przesłaniają. Ale i wtedy, gdy fabryki ogień zieją i dymem buchają niby smoki, widok jest również straszliwy jak wzniosły, również przerażający jak wspaniały. Pittsburg wieczorem widziany porównują do „piekła odkrytego" (hell uncovered), czyli jak mój „cicerone" się wyraził, „wie die Hoelle mit dem Deckelweg". Na górę Washington, na tem miejscu jakie 800 stóp stromo się wznoszącą, wjechaliśmy spadzistą koleją zwaną „incline'm", ciągnioną linami ze stalowych drutów uplecionemi. Nietylko ludzi, ale obok większe koleje spadziste cały wóz ładowany wraz z końmi wciągają do góry lub na dół spuszczają. Ze szczytu góry, z ulicy Grandview ave., widzisz czarne od dymu miasto, jasnemi wstęgami rzek przepasane: tu w Pittsburgu złotawa Monongahela i błękitny Allegheny River, we wzajemne sobie objęcia wpadają, łączą się ze sobą i od wieków rodzą nową rzekę, Ohio zwaną. Góra Washington, na której stoisz, ciągnie się hen w dal jak okiem sięgnąć wzdłuż rzeki Monongaheli. W mglistej dali widzisz u stóp góry dwie wieże kościelne ponad inne się wznoszące, to polski kościół św. Wojciecha, przy którym proboszczem jest ks. prałat Miśkiewicz (chwilowo nieobecny), a na stokach góry i na jej szczycie rozsiane są licznie domy, w zieleń drzew przytulone, to domy Polaków. Polacy w Pittsburgu, choć niegdyś na dole miasta zamieszkali, sprzedawszy swoje loty korzystnie, po większej części na góry się

powynosili. Pewien miljoner, jak słyszałem, kupił katedrę i pałac biskupi za bajeczną cenę 1,325,000 dol., burzy je, by na ich miejscu wystawić gmach byznesowy — nową zaś katedrę stawiają już przy Shenley Parku.

W sobotę 6 czerwca wieczorem o godzinie 9,30 żegnałem to „dyablo piękne" miasto Pittsburg. Towarzyszył mi aż na dworzec w Allegheny młody i sympatyczny, towarzyski i rozmowny pan Jan Horodyski, ze szlacheckiego rodu, były uczeń konwiktu jezuickiego w Chyrowie, w Galicji. Przespawszy całą noc w wagonie sypialnym tak smacznie jak nigdy, na drugi dzień rano o 7,30 w niedzielę Trójcy Przenajświętszej stanąłem w Buffalo, a w godzinę później powitałem się już z Przew. ks. dziekanem J. Pitassem. W górnym kościele św. Stanisława o 10 godzinie odśpiewałem sumę i wygłosiłem kazanie, a o 3 po południu odprawiłem nieszpory, poczem dwie godziny spędziłem na miłej, jak zwykle, pogawędce z p. Stanisławem Śliszem, znanym redaktorem „Polaka w Ameryce". Na obiedzie u ks. dziekana był obecny p. Rowland B. Mahany, którego delegacja, upoważniona przez Kongres do wybrania sobie trzeciego delegata, dobrała sobie jako rzecznika czyli doradcę prawnego (attorney czyli legal adviser). W sprawie tak ważnej i doniosłej, jak nasza, taki doradca, biegły w prawie, polityce i dyplomacji, jest niezbędnie potrzebny. Pan Mahany, gentleman w całem tego słowa znaczeniu, biegły prawnik, polityk i dyplomata, były kongresman i ambasador w Equadorze, posiada najlepsze pod tym względem kwalifikacje. Wybór nie mógł być trafniejszym. P. Bóg tym dopomaga i błogosławi, którzy sami sobie dopomagają, czynią co w ich mocy, używają wszelkich godziwych środków ludzkich. Tym, którzy z nieba pomocy wyglądają, bez własnego współpracownictwa, bez używania środków, jakie mają pod ręką, Pan Bóg błogosławić nie może. Czyńmy, co możemy, starajmy się, krzątajmy, jednem słowem czyńmy co z nas jest — a resztę, to jest skutek naszych zabiegów, pozostawmy spokojnie i z ufnością opiece Boskiej — Pan Bóg już swoje uczyni, byleśmy my tylko swoje uczynili.

O wyborze p. Mahany'ego uwiadomiliśmy Wydział Wykonawczy II Kongresu Pol. Kat. To też mandat, od Wydziału W. uzyskany, brzmi, z łacińskiego przetłumaczony, jak następuje:

„Wszystkim, do których to należy: My niżej podpisani poświadczamy, że Przew. ks. Jan Pitass, proboszcz parafji św. Stanisława w Buffalo, N. Y., i Wiel. ks. Wacław Kruszka, proboszcz

parafji św. Wacława w Ripon, Wis.. wybrani zostali przez drugi Kongres Polsko-Rzymsko-Katolicki w Buffalo, N. Y., delegatami w sprawie uzyskania biskupów polskich dla Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki; nadto, że przez tych dwóch obrany został trzeci p. Rowland B. Mahany ze Stanu New York, jako pomocnik. W dowód tego pieczęć naszą tu przykładamy i własnoręcznie się podpisujemy.“ Tu następuje pieczęć własna Wydziału Wykonawczego oraz podpisy własnoręczne: ks. Franciszek M. Wojtalewicz, prez.; ks. Kazimierz Sztuczko, sekr.; Leon Szopiński, sekr. II; Stefan Czaplewski, Stanisław Lipowicz.

Przybywszy do Buffalo, zastałem cały plan podróży i akcji przez ks. dziekana jak najstaranniej przygotowany. Przew. ks. Pitass nie szczędził ni trudów ni kosztów, i to kosztów olbrzymich, by misja nasza się udała, by podróż nasza nadaremną nie była. Cześć i uznanie mu się za to należy od całej Polonji amerykańskiej. Lecz wyjechać do Rzymu, pomimo najlepszych chęci Przew. ks. Pitass nie mógł. Dlatego dał mi następujące pismo, własnoręcznie podpisane i pieczęcią parafjalną stwierdzone (przekład z łacińskiego):

Ks. W. Kruszka upoważniony przemawiać w imieniu ks. J. Pitassa.

„Niniejszem ja, Jan Pitass, wybrany na II. Polsko-Katolickim Kongresie, mianym dnia 25 września 1901 r. w Buffalo, delegatem do Rzymu, celem przedstawienia potrzeb amerykańskiej Polonji najwyższej władzy duchownej, wybór przyjąłem. Obecnie zaszły jednak okoliczności, że podróży do Rzymu podjąć nie mogę, a zatem swe prawa pierwszego delegata zlewam na drugiego delegata, Wiel. ks. Wacława Kruszkę, co własnoręcznym podpisem i pieczęcią parafjalną stwiedzam. Dan w Buffalo, N. Y., dnia 8-go czerwca 1903 roku.

Jan Pitass,

proboszcz kościoła św. Stanisława B. i M.“

W ten sposób w jednej mojej osobie było dwóch delegatów, którzy już zawsze w zgodzie żyli i nigdy się nie kłócili.

W Buffalo, przy pomocy p. Bernolaka, redaktora „Polaka w Ameryce“, wystarałem się jeszcze wczoraj, w poniedziałek 8-go czerwca, o piśmienne poświadczenie liczby Polaków, zamieszkałych w Buffalo, od majora p. E. C. Knight. Podług zdania majora miasta w Buffalo mieszka około 70,000 Polaków. Podpisał ją i złotą pieczęcią miejską zatwierdził:

City of Buffalo, Mayor's Office.
Erastus C. Knight, Mayor,
Frank M. Hinkley, Secretary.

I, Erastus C. Knight, Major of the City of Buffalo, County of Erie, State of New York, United states of America, do hereby certify, to the best of my knowledge, information and belief there are now resident, in the said City and the immedate suburbs about seventy thousand (70,000) persons of Polish nativity and origin.

Witness my hand and seal of the said City of Buffalo this 8th day of June, 1903.

(Pieczęć złota) *Erastus C. Knight*, Mayor.

Miałem zwiedzić jeszcze Filadelfję, Washington i Baltimore, lecz dla braku czasu uczynić tego nie mogłem. W załatwieniu spraw we Washington, D. C., wyręczył mię mój współtowarzysz podróży do Rzymu, p. Mahany.

Opuściłem wczoraj (poniedziałek) wieczór o 9,30 Buffalo, i po spędzonej w wagonie sypialnym nocy stanąłem dziś w New Yorku. Odwiedziłem ks. Jana H. Strzeleckiego, proboszcza tutejszej parafji św. Stanisława, i poznałem się zarazem z ks. Józefem Zaniewiczem, jego asystentem, przybyłym z Królestwa przed 2 laty. Nowy kościół i plebanja św. Stanisława w New Yorku przedstawiają się tak pięknie, starannie i wzorowo urządzone, jak rzadko gdzie, czegoś podobnego nie spodziewałem się zobaczyć w osławionym Nowym Jorku. Kościół staraniem ks. Strzeleckiego pobudowany, to prawdziwe cacko estetyczne, tak zewnątrz jak i wewnątrz.

Jutro więc, w środę 10-go czerwca, o punkt 12-tej w południe, wyruszamy z p. Mahany'm z portu nowojorskiego okrętem „Teutonic" via Queenstown (Irlandja) do Liverpool w Anglji, a stamtąd przez Londyn do Rzymu. Przed 20-ym czerwca musimy być we Wiecznem Mieście, i dlatego, zamiast przez Gibraltar (jak pierwotnie zamierzałem) obraliśmy krótszą drogę przez Liverpool. Jedziemy pierwszą klasą (jeden tykiet kosztuje 125 dol.).

Była to bowiem urzędowa podróż. W prywatnych podróżach zwykłem jechać drugą klasą. Ale wtedy jechałem jako delegat i miałem poczucie swej godności. Choć, co prawda, często mi na myśl przychodziła ta zwroka:

„Cóż ci po tytule,
Kiedy próżno w szkatule."

7. W drodze do Rzymu. — Na oceanie.

Na pokładzie okrętu, środa 10-go czerwca 1903 r. We wczorajszym liście opisałem moją zygzakowatą podróż z Ripon na Milwaukee, Chicago, Detroit, Toledo, Cleveland, Erie, Pittsburgh, Buffalo, do Nowego Yorku; podróż, która odbyta ściśle podług amerykańskiej zasady „business before pleasure", więcej mię nużyła niż bawiła, że nietylko wiele jeździłem, ale i wiele chodziłem, dowód choćby w tem, że nowe trzewiki, które bezpośrednio przed wyjazdem kupiłem, już mi się zdarły. Teraz za to na okręcie odpoczywam i odpoczywać będę conajmniej przez siedm dni, aż do przyszłej środy, bo tak długo potrwa podróż morska do Liverpool w Anglji.

W Nowym Yorku wczoraj jeszcze odwiedziłem nasz Polski Dom Emigracyjny pod opieką niebieską św. Józefa, a ziemską ks. J. H. Strzeleckiego i Sióstr Felicjanek. Dom ten, 117 Broad ul., niedawno na własność zakupiony, jest zbudowany z czerwonej cegły, liczy 4 piętra, i leży w dość dogodnem miejscu, bo niedaleko Castle Garden, tam, gdzie wszystkie inne domy emigracyjne się znajdują. Wszedłszy do wnętrza tego nowego Domu Emigracyjnego, nie zastałem tam nikogo prócz gromadki polskich emigrantów, między nimi jednego kleryka, przybyłego z Królestwa. Sprzęty, sienniki i inne rzeczy leżały w nieładzie porozrzucane; całe wnętrze Domu wyglądało jak owidjuszowa „rudis indigestaque moles", nic uporządkowane, czemu dziwić się nie można, gdyż dom dopiero co zakupiono. Lecz pod sprężystemi rządami nowego kapelana, ks. J. H. Strzeleckiego, którego zamiłowanie do porządku znane już jest czytelnikom z poprzedniego listu, nowy nasz Dom Emigracyjny w Nowym Yorku niezawodnie wkrótce dojdzie do jak najwzorowszego ładu i porządku.

Miasto New York szczegółowo zwiedziłem przed 10 laty, kiedy w niem bawiłem przez 5 dni. Wówczas Nowy York liczył niespełna dwa miljony mieszkańców, bo też ówczesny właściwy New York obejmował tylko wyspę Menhattan (odciętą od głównego lądu rzeczką Harlc). Po przyłączeniu zaś r. 1897 następujących czterech dzielnic (raczej miast): Brooklin, The Bronx, Queen i Richmond (czyli Staten Island), New York stał się większym New Yorkiem, „Greater New York", i jako taki dziś liczy blisko cztery miljony mieszkańców, jest największem i najbogatszem miastem Nowego Świata; i na całym świecie, tak co do ludności, jak co do przemysłu i finansowej potęgi jedynie Londynowi ustępuje. Długość tego miasta

wynosi 35 mil, czyli jak długość z Milwaukee do Kenosha, szerokość zaś 19 mil, Nowy York bez kwestji jest czyściej utrzymany niż Chicago. Wogóle ze zwiedzanych dotychczas większych miast odniosłem to wrażenie, że pod względem schludności, ładu i porządku palmę pierwszeństwa oddać trzeba miastu Detroit, potem Buffalo, potem Milwaukee, następnie New York, potem Toledo, Cleveland, a na ostatku Chicago.

Dziś rano odprawiwszy w „Leo Haus", bo polski Dom Emigracyjny jeszcze nieuporządkowany, Mszę św. do św. Małgorzaty, królowej szkockiej (której dzień dziś przypada, a do której niegdyś krajów właśnie żegluję) udałem się bezzwłocznie na pokład mojego okrętu „Teutonic" i rozlokowałem się w mojej kajucie (Sirst Class Cabin, State Room. 13, Main Deck), blisko środka okrętu. Kompanja okrętowa, do której nasz parowiec „Teutonic" należy, nazywa się „White Star Line" (Linja Białej Gwiazdy). Płyniemy więc nie pod ciemną, lecz pod jasną gwiazdą. Niezła wróżba!... Nasz „Teutonic", który obecnie, gdy to piszę, płynie już na pełnym oceanie, zbudowany ze stali r. 1889, w Belfast w Irlandji, liczy 124 pierwszorzędnych kajut (staterooms, pokoi pańskich) i 321 łóżek pierwszorzędnych; a prawo pozwala mu zabierać 1521 pasażerów, nie licząc w to służby okrętowej (której liczba dochodzi 200), mianowicie: 322 w pierwszej klasie, 199 w drugiej i 1,000 w międzypokładowej. Obecnie w mojej pierwszej klasie, o ile z drukowanej listy osób wnosić mogę, znajduje się 251 pasażerów. Łodzi ratunkowych ma nasz „Teutonic" 26 — ale cóż to na przeszło tysiąc ludzi. Wiszą też te łodzie chyba tylko dla dodania odwagi podróżnym! Przepyszne są sale w pierwszej klasie, jako to: jadalnia, sala dla palących i czytelnia (Library), w której to ostatniej znajduje się wielki księgozbiór i biurka dla piszących listy, korespondencje itp.

Przy jednym z biurek siedzę i piszę niniejszą korespondencję tak wygodnie, jak gdybym siedział przy swym biurku w Ripon. Na okręcie nie doznaje się (przy spokojnem morzu) takich wstrząśnień, jak na kolei żelaznej. Ma się rozumieć, gdy morze spokojne i nie gniewa się, bo jak się rozhuka, to wszystko, co nie przymocowane, do góry nogami przewraca. Dziś, choć powierzchnia morza nie wygląda tak gładką jak zwierciadło, ale lekko pomarszczona drobnemi falami, można pisać i chodzić i jeść i spać wygodnie i spokojnie.

Chociaż nie rzadka, to jednak zawsze rzewna jest chwila wyjazdu okrętu z portu. Gdy dziś nasz „Teutonic" punkt o 12 w po-

ludnie, przeciągłym rykiem swoim oznajmił chwilę odjazdu, chwilę rozstania i pożegnania, a tłum stojących na brzegu to powiewaniem chustek, to kiwaniem rąk żegnał odjeżdżających, widać było niejedną osobę rozpłakaną i chustką łzy ocierającą. Choć tam w tym tłumie nie było nikogo, ktoby za mną płakał, to jednak ta chwila rozstania wzruszyła mnie i rozrzewniła do pewnego stopnia. Odbijam od stałego lądu, od tego lądu, na którym Milwaukee i Ripon wraz z moimi braćmi i przyjaciółmi, parafjanami i długoletnimi znajomymi się znajdują — odbijam od tego lądu i płynę w dal na morze bezbrzeżne. Ale za to tam, po tej drugiej stronie morza czeka mnie coś droższego jeszcze, zobaczę ten kraj, który jest właściwą Ojczyzną moją, zobaczę Polskę drogą, zobaczę i moje gniazdo rodzinne i matkę moją, która mię jako księdza jeszcze nie widziała... Takie i tym podobne, równoważące się nawzajem uczucia, nurtowały duszę moją, gdy port nowojorski opuszczałem.

„Teutonic" płynął powoli naprzód ujściem rzeki Hudson, zostawiając za sobą po lewej stronie New York z piętrzącemi się, rzekłbyś, niebo bodzącemi (sky scrapers) gmachami, a po prawej Jersey City. Minęliśmy wyspę Bedloe z olbrzymią jej, 300 stóp wysoko wznoszącą się statuą Wolności. Z lewego boku okrętu widać było we mgle niewyraźne rysy starego portu, baraku i muzeum wojskowego na „Governor's Island", a dalej Brooklyn. Następnie zbliżywszy się do brzegów „Staten Island", wyspy, jak się patrzy, górzystej i lesistej, poczem cieśniną „The Narrows" zwaną, wypłynęliśmy z „Wyższej Zatoki" (Upper Bay) do „Niższej" (Lower Bay). Tu zaraz na wstępie do „Lower Bay", prawie naprzeciw słynnej wyspy „Coney Island", słynnej z zabaw i wycieczek, nasz okręt stanął, zarzucił kotwicę i przez całe dwie godziny następne nie ruszył z miejsca. Powodem tego niezwykłego przystanku nie była bliskość „Coney Island", lecz gęsta mgła. Wiadomo, że w zatoce nowojorskiej podczas mgły, jazda jest niebezpieczną. Gdy po dwóch godzinach burza, połączona z grzmotem i błyskawicami, mgłę rozpędziła i wyjaśniło się, okręt ruszył dalej i wypłynął teraz na pełne morze, na którem już pomimo mgły całą siłą pary płynąć może względnie bezpiecznie. W ciągu mgły nietylko gwizdaniem, lecz biciem w dzwon, ciągle dawano sygnały.

Jak ze starego kraju jadąc do Ameryki, zyska się na czasie, tak odwrotnie z Ameryki płynąc do Europy traci się codzień około trzy kwadranse czasu. Straciłem do tej chwili (środa wieczór) już półtorej godziny czasu; bo podczas, gdy wy tam w Wisconsinie

w tej chwili, gdy to piszę, macie dopiero godzinę piątą, to my tu już mamy pół do siódmej. Co dzień trzeba na zegarze wskazówkę o pół godziny naprzód posunąć.

Po kolacji zawarłem znajomość z jadącymi ze mną księżmi irlandzkimi, z ks. Ward z Pittsburga i z ks. Prunty z Nowego Yorku. Oni noszą kołnierzyki rzymskie, i ja noszę, to odrazu zbliżyło nas do siebie. Ks. Prunty bardzo młody jeszcze, przed trzema laty przybył z Irlandji, a przed 2 laty w Nowym Yorku wyświęcony, jedzie teraz do swojej ojczyzny, Irlandji, z wizytą do matki — która powiada — jeszcze go księdzem nie widziała. Do p. Mahany'ego, jak wiadomo, nieodstępnego towarzysza mojej podróży, przyłączyło się znowu 2 innych Irlandczyków cywilnych, p. Devine i słynny p. J. Devlin, irlandzki poseł do parlamentu angielskiego. W ten sposób zaraz pierwszego dnia utworzyliśmy kółko towarzyskie, składające się z posła, adwokata, kongresmana i nas księży. Cały wieczór, aż do późnej nocy, w dobranem tem towarzystwie spędziliśmy na wesołej i pouczającej zarazem rozmowie, okraszonej dowcipami siedząc częścią na pokładzie, częścią w sali dla palących i od czasu do czasu suche gardła zwilżając irlandzką i szkocką rosą „Mountain Dew" przezwaną. Rozmowa toczyła się głównie o wpływie religji na politykę i polityki na religję. Pan Devlin, poseł w parlamencie angielskim młody, przystojny a wymowny, opowiadał swoje wrażenia i doświadczenia z angielskiego parlamentu, zaś p. Mahany z amerykańskiego kongresu itd. itd.

Była już godzina kwadrans przed 12 w nocy (tu na morzu — tam u was kwadrans do dziesiątej) i światła już pogasły, kiedyśmy do swoich pokoi spać poszli.

Czwartek, 11 czerwca 1903, drugi dzień na morzu.

Wstałem o pół do ósmej (szósta u was). Pierwsza myśl poranna była, że to dziś Boże Ciało. Jakbym chętnie chciał odprawić Mszę św. Nie można! Chciałem prosić w Nowym Yorku o pozwolenie, ale wobec tego, że sam miałem podróżować, nie uzyskałbym go. Władza kościelna w pewnych warunkach daje i dziś pozwolenie odprawiania Mszy św. na okręcie, ale musi jechać przynajmniej dwóch księży razem, tak, żeby jeden drugiemu mógł asystować przy Mszy św.

Mamy dziś jeszcze ciągle mgłę, choć nie tak gęstą, jak wczoraj w Zatoce Nowojorskiej. „Teutonic" regularnie co minutę, lub częściej, świstem, a raczej rykiem, ciągle daje sygnały. Kierownicy

okrętu czujny wzrok zapuszczają wdal, obok kapitana dwóch na poprzecznym moście, dwóch w koszach na przednim maszcie, jeden w połowie masztu, drugi prawie u szczytu jego w koszu stojąc, a oprócz tych jeden czuwa na froncie pokładu, przy samym dzióbie okrętu. Jest nadzieja, że mgła zrzednieje. Morze zresztą spokojne, z lekka wiatrem muskane.

Płyniemy wciąż prosto ku wschodowi wzdłuż 40 stopnia szerokości geograficznej, a dopiero ominąwszy mieliznę przy Nowej Fundlandji, zwrócimy się nieco ku północno-wschodowi, gdyż Liverpool, do którego zmierzamy, leży na 54 stopniu szerokości geograficznej. Niezadługo spotkać się mamy z prądem polarnym, który z podbiegunowych okolic o tej porze roku góry lodowe ze sobą przynosi.

Dziś po południu mgła znikła, więc i nadzwyczajni strażnicy opuścili swoje posterunki, i oprócz kapitana nie widać ani na maszcie ani na pomostach tej czujnej straży, co rano podczas mgły, ani nie słychać żadnych sygnałów. Okręt odważnie pruje fale morza i pełną siłą pary pędzi naprzód. Morze spokojne — jego powierzchnia tylko pofałdowana lekkim powiewem wiatru. Naokoło, jak tylko okiem sięgnąć, równina wodna ciągnie się w nieskończoność. Przyznam się, że chociaż drugi raz jadę przez Ocean Atlantycki, pierwszy raz go widzę w takim spokoju. Gdym dziesięć lat temu, w listopadzie płynął do Ameryki, morze było szalonym wichrem tak rozkołysane, że pieniące się bałwany, wznosząc się ku niebu, wyglądały, jak śnieżne góry ruchome, a opadając, przedstawiały przepaściste doliny, straszniejsze od krateru Wezuwjusza. Teraz suniemy gładko, jak sankami po śnieżnej równinie. Między pasażerami gdzie niegdzie widać blade twarze, słychać skargi na brak apetytu; lecz nie widziałem jeszcze, żeby kto Neptunowi ofiary składał. Ja bo — jak dotychczas, czuję się zdrowym i wesołym, jem, piję i śpię wybornie. Daj Boże tak całą podróż odbyć! Mylnie niektórzy sądzą, że morze samo wywołuje tę mdłość w żołądku, którą „chorobą morską“ zowiemy. Nie woda ani morze jako takie, tylko falisty ruch jego, spowodowany wielkim wiatrem i co za tem idzie, huśtanie i kołysanie się okrętu, sprawia najpierw zawrót głowy, a potem przewrót w żołądku, czyli rewolucję w Niderlandach, która się wybuchem czyli womitowaniem kończy.

Na każdym kroku widać, że jadę okrętem angielskim, a nie niemieckim. Dźwięków mowy niemieckiej, ani żadnej innej, dotychczas nie słyszałem. Na drukowanej liście pasażerów pierwszej kla-

sy widzę same angielskie i irlandzkie nazwiska. Polskich, prócz mojego, nie widać. Daremnie też wytężałem słuch, żeby od pasażerów między pokładem lub drugiej klasy uchem ułowić dźwięki mowy innej niż angielskiej. Na linji Hamburskiej (niemieckiej) orkiestra grała i tańce się odbywały wieczorami — tu go niema — wszystko w poważnym nastroju — pasażerowie albo odpoczywają wygodnie na krzesłach rozciągnionych na pokładzie, albo przechadzają się; jedni zajęci czytaniem, drudzy pisaniem, trzeci rozmową spokojną, a nie hałaśliwą. Inni na białym dniu śpią. W smoking parlorze spora liczba mężczyzn pali, pije wina (szampan), piwo lub wódkę, gra w karty, warcaby itp. Na pokładzie grają w tak zwany „koński bilard" (Horse Billiard), rzucają pierścienie i t. p.

Nasz okręt, z korytarzami i szerokimi gankami na pokładzie, jest podobny do miasteczka. Ludność jego wynosi przeszło tysiąc osób, czyli tyle, co takie miasteczka koło Ripon, jak Princeton, Dartford, Brandon lub Waupun.

Po obiedzie było w powietrzu parno i duszno, a nad wieczorem spadł rzęsisty deszcz, któregoby potrzebowały wschodnie Stany Ameryki, gdyż tam w chwili mojego wyjazdu ogromna susza panowała.

Po deszczu, czy raczej z nim, nadszedł dość silny, ciepły wiatr, który równą dotychczas powierzchnię morza zamienił w falistą. Wiatr dmie coraz silniej, a okręt znacznie się kołysze. Wielu wskutek tego doznaje już zawrotu w głowie, a niektórzy przewrotu w żołądku i, co zatem idzie, wybuchu rewolucji żołądkowej. Ja, Bogu dzięki, nie doznawam żadnej słabości i o pół do jedenastej (u was 9) kładę się spać.

Piątek, 12-go czerwca 1903, trzeci dzień na morzu.

Dziś piątek. Wskutek silnego podmuchu wiatru, który dziś chłodnym się stał (zdaje się z powodu bliskości prądu polarnego), okręt całą noc się kołysał, a trzeszczał, jak stare pudło, które wnet w kawałki rozpaść się ma. Sen mój tej nocy często przerywany był to trzeszczeniem wiązań okrętu to znowu biciem fali morskiej o okienko mojej kajuty. Rano na pokładzie zobaczyłem wielu na krzesłach złożonych chorobą morską. Także mój towarzysz p. Mahany, pojechał do Rygi. Chwała Bogu prawdziwemu za to, że ode mnie dotychczas ten bożek morski, Neptun, żadnej jeszcze ofiary nie zażądał. Wprawdzie przechadzając się po pokładzie rozkołysanego okrętu, poczułem przez chwilę lekki zawrót w głowie.

Lecz zaradziłem temu natychmiast; mianowicie: poszedłem do bibljoteki, siadłem przy biurku i zacząłem pisać. Zawrót głowy znikł w jednej chwili.

Na dole w międzypokładzie. widzę również wiele osób, zwłaszcza kobiet, chorobą morską złożonych, lica ich blade a członki ciała bezwładnie rozciągnione. Posępny to obraz. Dwie atoli angielki, jakby dla kontrastu, rozbrykały się i tańczą jedna z drugą — może widząc, że okręt, miotany falami, ciągle tańczy, spowodowane zazdrością, także tańczą. W naszej zaś pierwszej klasie odzywa się słowiczy głos jakiejś śpiewaczki, przy akompanjamencie fortepianu oraz dzikiego szumu fal morskich. To także kontrast.

Od wczorajszego do dzisiejszego południa upłynęliśmy 417 mil, mniej niż się spodziewaliśmy. Przeciwny wiatr wstrzymuje bieg okrętu, „Teutonic", jak widać z ostatniego jego rekordu, robi przeciętnie 480 mil na dobę, czyli 20 mil na godzinę. Dziś w południe byliśmy więc 775 mil oddaleni od Nowego Yorku. Zatem jeszcze 2,000 mil do Queenstown w Irlandji, a 2,700 mil do Liverpoolu. Jedziemy zawsze jeszcze w kierunku wschodnim wzdłuż 40 stopnia szerokości geograficznej. Mieliznę Nowej Fundlandji ominiemy dopiero jutro nad ranem, i wtedy „Teutonic" nasz popłynie w kierunku północno-wschodnim, ku Irlandji.

Wiatr chłodny, powiew nawet zimny. Musimy być już w regjonach prądu polarnego. Może ukażą się nawet góry lodowe, a na nich (kto wie?) białe niedźwiedzie!? Byle nas te góry z daleka, a nie z bliska witały!

Okręt kiwa się ciągle, jak pijany, to naprzód, to w tył, to w bok. A i ludzie na nim się kiwają i chodzą, jak pijani, zataczając się to w tę to w ową stronę. Najzabawniejszem jest widzieć, jak młodzi i starzy Anglicy, młode i stare Angielki miarowym krokiem maszerują na pokładzie w koło okrętu, rzekłbyś, że kogo szukają lub za kimś gonią; a oni zataczając koło, tylko się przechadzają po okręcie, idą na spacer. Najtrudniejsze jest przejście z frontu okrętu, bo tam wiatr ledwie nie zdmuchnie człowieka.

Wieczorem w pokoju dla palących odbywały się, jak zwykle, zgadywania i zakłady o to, ile mil nasz okręt upłynie od jutrzejszego południa. Ponieważ morze, ciągle jeszcze przeciwnym wiatrem smagane, jest szorstkie, jak się wyrażają Anglicy (a rough sea), więc zakłady nie szły wyżej jak o 435 mil. Gdyby zburzone bałwany morskie, nie tamowały biegu, „Teutonic" zrobiłby daleko więcej niż 435 mil na dobę.

Zimno takie, że wieczorem na pokładzie mało kogo widziałem, a ci, co wyszli na świeże powietrze, w grube palta zimowe się przyodziali. Ja zimowego palta ze sobą nie wziąłem, więc w salonie dla palących i w bibljotece wieczór spędzałem.

8. W drodze do Rzymu. — Purytańska Niedziela czyli Blue Sunday na okręcie.

Niedziela, 14 czerwca, piąty dzień na morzu.

W mojem życiu kapłańskiem, pierwsza to niedziela, w którą nie miałem ani Mszy św., ani kazania. Jakaś to dziwna i nieswojska niedziela. Choć ciałem znajduję się na pełnym oceanie, około półtrzecia tysiąca mil oddalony od mojej parafji, to jednak myślą i duszą dziś przebywam w kościele św. Wacława w Ripon. Tam dziś procesja Bożego Ciała się odbywa, czy naokoło kościoła, czy w kościele; kto mnie tam dziś zastępuje, czy nie Ojciec Jeka... Widzę twarze moich parafjan, słyszę śpiew chóru, ale wszystko to w duchu, dla którego nie masz odległości.

My tu na Oceanie Atlantyckim, w połowie drogi między Ameryką a Europą, dziś odprawiliśmy także nabożeństwo. Już od rana wielu pasażerów tak z naszej klasy jak i z międzypokładu wypytywało się mnie: „Father, will there be church today"... Wspólnie zgromadzeni — jakie 120 osób — odmówiliśmy klęcząco Różaniec i pieśń „Witaj Królowo" — poczem ks. Ward wygłosił kazanie panegiryczne, oczywiście o św. Patryku. Mówił z werwą i gorącością ducha, i widziałem niejednego ajrysza, niejedną ajryszkę ze łzą w oku. Dziwnie podniośle nastraja człowieka nabożeństwo na morzu.

W jadalni odprawiło się „urzędowe" nabożeństwo angielskie. Urzędowe, bo przewodniczącym tego „Divine service" był lekarz okrętu. Odczytał ustępy ze Starego i Nowego Testamentu z „Holy Bible", odmówił modlitwę z „Common Prayer Book", a potem całe zgromadzenie przy akompanjamencie organu odśpiewało parę hymnów angielskich. Biblji, modlitewników i śpiewników angielskich dostarcza kompanja okrętowa. Ma ich całe setki na składzie. Siedziałem właśnie w sali bibljotecznej, gdy dwóch „stewardów" (lokajów okrętowych) zaczęło wnosić pełne naręcza czarnych książek ze złotymi tytulikami. Wnosili raz, drugi, trzeci — całymi stosami — i kładąc rzędem na sofach, trzy siedzenia napełnili tymi książkami, na jednem kładąc biblję, na drugiem modlitewniki, na

trzeciem śpiewniki. Pasażerowie mogli brać te książki, czytać, modlić się i śpiewać. I pod tym względem więc wygoda. Ale książki te leżały nietknięte — snać jako „świętych“ nikt tych książek tknąć nie śmiał! — i po południu księgarz schował je znowu do szafy, gdzie spokojnie leżeć będą do następnej niedzieli. Episkopalny pastor podczas „nabożeństwa“ leżał w sieni na sofie, nie poszedł na „Divine service“: nie miał też po co, bo go dobrze zastąpił nasz lekarz okrętowy. Anglik, mój sąsiad przy stole, z całej duszy nienawidzi Episkopalnych, bo twórcą ich kościoła, powiada — jest Henryk VIII, jeden z najgorszych ludzi, jakich świat widział.

Dziś około południa, po raz pierwszy w naszej podróży morskiej słońce zaświeciło. Mieliśmy tedy „Sunday“, dzień słoneczny.

Zabytek purytanizmu na angielskim okręcie. W niedzielę zabawić się nie wolno nawet w tak niewinną grę, jak warcaby, domino lub „koński bilard“. Kilku partnerów, w mojej obecności, zażądało od lokaja talji kart, bo chcieli czemś czas zabić, a biblji protestanckich, rzędem stojących na sofie, do rąk brać nie chcieli. Lokaj odpowiedział, że dziś niedziela, a w niedzielę nie wolno mu dawać nikomu kart do grania. Dotąd ujdzie. Lecz dodał, że tylko publicznie w salonie grać nie wolno, a w kajucie wolno; jeśli tam grać chcą, mogą karty dostać. To już hipokryzja, na którą nasi karciarze się nie zgodzili. W niedzielę więc, publicznie nie wolno się zabawiać żadną grą. Masz wystawione na widok publiczny Biblje, modlitewniki i śpiewniki protestanckie; bierz i czytaj protestancką biblję, módl się z angielskich modlitewników, i śpiewaj z ich śpiewników — wara ci od gry w domino, szachy, lub w karty; — jeśli ci się to nie podoba, to nudź się, leż do góry brzuchem, pluj i łapaj. Tych biblij, spokojnie spoczywających na miękkiej sofie, nikt zresztą nawet z Anglików do rąk nie brał — były one wystawione na widok publiczny, jedynie chyba na to, żeby niedziela miała wygląd niedzieli. Każdy siedział i ziewał z nudów, lub spał, albo rozkraczony po okręcie w kółko chodził, patrząc na jednostajną powierzchnię morza.

Japończyk pytał mnie dziś, co jest papież, jaka jego władza i skąd ona pochodzi? Odpowiedziałem mu na te pytania, o ile mogłem, jak najprzystępniej. Japończyk buddyzm wyznaje, ale się do buddyzmu nie przyznaje. Zapytał mnie także, co obywatel japoński ma robić, gdy papież co innego, a cesarz Japonji co innego rozkazuje? W rzeczach politycznych ma słuchać cesarza, a w rzeczach religijnych papieża. Władza duchowna i świecka są tem

w narodzie, czem władza umysłowa i fizyczna w człowieku: nie stoją ze sobą w konflikcie, lecz wspomagają się i uzupełniają nawzajem. Nastąpiły objaśnienia na konkretnych przykładach.

Środa, 17 czerwca, ósmy dzień na morzu.

Oto przed nami leży Europa — ta stara Macierz, z której łona i my wyszliśmy, która zaludniła i ucywilizowała puste stepy Ameryki.

Pierwsze wybrzeże Europy, a raczej jej wysp, ujrzeliśmy dziś o godzinie 2-ej po południu. Co za radość dla oka, znużonego ciągłem patrzeniem na jednostajne wód przestrzenie, zobaczyć po tygodniu raz przecie ląd stały. Co za spokój i zadowolenie dla wzroku, że nie biegnie już więcej w modrą dal bez końca, bez wytchnienia, lecz przecie raz znajduje jakiś punkt oparcia, na którym spocząć może.

W mglistej dali ukazał się nam najpierw przylądek Zielonej Wyspy, Irlandji, zwany „Cape Clear Island", tudzież „Mizen Head". Coraz to wyraźniej zarysowywały się skaliste wybrzeża Irlandji. Urwiste skały czasem nagie, czasem karłowatem drzewem porosłe, skały strome, spadziste, o dzikich i fantastycznych kształtach, to jakby olbrzyma z głową ku niebu wzniesioną, to znowu jakby starego zamczyska o basztach i wieżach — dziwnie uroczy i malowniczy widok nadają wybrzeżom Irlandji. Gdzie niegdzie w dolinach i na stokach gór zieleniły się pola uprawne, a wśród nich samotnie stały tu i owdzie domki pobielone. Czasem u stóp skały, nad brzegiem morza, lub wyżej na szczycie góry, widać było całą gromadę domów — to zapewne wioski lub miasteczka Irlandji. Na dwóch miejscach, nad krawędzią urwistej i przepaścistej opoki sterczały wysokie wieże z otworami na kształt okien — czy to są zwaliska starego zamku czy też dziś jeszcze mają jakieś przeznaczenie, nie udało mi się dowiedzieć. Opodal przylądka „Cape Clear Island" okręt nasz płynął tuż blisko maleńkiej wysepki skalistej „Fastnet Rock" zwanej, na której stoi wieża z latarnią morską.

Za zbliżeniem się do brzegów Irlandji, wielkie gromady białego ptactwa morskiego, jakby na przywitanie, wyleciały ku nam i okrążając nasz okręt, stały się odtąd nieodstępnymi towarzyszami naszej podróży.

Południowe wybrzeże Irlandji, — wzdłuż którego płynęliśmy, ciągnie się wężykowatą linją; to występuje naprzód i spiczastą skałą wrzyna się w morze, tworząc przylądek; to znowu cofa się i tworzy zatoki, w których widać było mnóstwo, istną flotę mniejszych i większych łodzi rybackich.

Wśród takich widoków jechaliśmy wzdłuż wybrzeża Irlandzkiego 60 mil. Wreszcie o 6-ej godzinie wieczorem „Teutonic“ stanął naprzeciwko portu Queenstown, w przyzwoitym oddaleniu, bo jakie dwie mile od portu. Tymczasem irlandzki parowczyk, zwany „America“, czatujący oddawna na nas, przybliżył się do „Teutonica“, by ulżyć nam ciężaru, to jest zabrać nam wszystkich Irlandczyków i ich pakunki. Istną górę kufrów ułożono na pokładzie parowczyka; a gdy nadto przesiadło się około 200 Irlandczyków, biedny parowczyk „America“ pod tym podwójnym ciężarem o kilka stóp głębiej pod wodę się zanurzył — odsapnął jednak, świsnął i odpłynął ze swoim ładunkiem do portu Queenstown. Na pokładzie parowczyka, wśród gromadki synów i córek Zielonej Wyspy, którzy wyjechali naprzeciw przywitać gości z Ameryki, widziałem i księdza w rzymskim kołnierzyku, a gdy on także mój rzymski kołnierzyk spostrzegł, ukłonił mi się, i ja mu nawzajem. Z naszego kółka towarzyskiego ubyło nam wielu w Queenstown: ks. Ward, ks. Prunty, ks. O'Reilly, p. Devlin z Belfast, poseł do parlamentu (prosił mię, bym powracał na Londyn i zwiedził parlament angielski) i wielu innych. Księża Ward i Prunty koniecznie nalegali na mnie, bym zwiedził wnętrze Irlandji, bo tam krajobrazy prześliczne i istny raj. Zobaczę — może z powrotem. Na pożegnanie, ja wzniosłem toast na cześć Irlandji, a pan poseł Devlin wzniósł toast na cześć Polski, by odwaliła kamień niewoli i zmartwychwstała!... Daj Boże.

Opłynąwszy południowe wybrzeże Irlandji (Irish Sea), zawiniemy rano do portu w Liverpool — do kresu naszej żeglugi.

Czy nie miałem racji, twierdząc, że w okręcie na pełnym oceanie człowiek siedzi zamknięty jak we więzieniu, najzupełniej odcięty od reszty świata? Nawet do więzienia przedostają się nowiny ze szerokiego świata — a do okrętu na pełnem morzu żadna zgoła nowina nie dotrze. Pierwszych dni — tak mi mówili — oglądasz się za chłopcem, roznoszącym gazety — ale go nie zobaczysz; gazety ze świeżymi nowinami, do których przywykłeś jak do świeżych bułek na śniadanie, na okręcie nie dostaniesz. Niebo nad tobą, a morze pod tobą, oto całe nowiny. I tak cały świat wiedział już od tygodnia o zamordowaniu króla i królowej Serbji, a my na „Teutonicu“ dopiero dziś, stojąc pod portem Queenstown, o tym tragicznym wypadku po raz pierwszy usłyszeliśmy. Ale mniejsza o nowiny z wielkiego świata — ileż to nowin chciałby człowiek się dowiedzieć ze stron ojczystych albo z osad polskich w Ameryce — a tu ani rusz, nawet za nikla ha

ani za kwodra nie sprzedadzą ci na oceanie gazety świeżej. Oby Marconi swój markonigram jaknajprędzej udoskonalił. Wtedy i na środku oceanu będzie można nowiny z powietrza chwytać.

Czwartek, 18 czerwca. — O ósmej godzinie, dziś rano, zawinęliśmy do portu, po prawej ręce stoi miniaturowa wieża Eiffel, zmniejszona podobizna paryskiej; zdobi ona tutejsze miejsce kąpielowe New Brighton.

Jedziemy stąd pospiesznym pociągiem do Londynu. (Z Liverpool do Londynu 220 mil.)

9. W drodze do Rzymu. — Liverpool-Londyn — Paryż — Marsylja — Monte Carlo — Genua.

Londyn 19 czerwca, 1903. Pospiesznym pociągiem kolei „London and Northwestern" wyjechaliśmy z Liverpoolu wczoraj przed południem o 10-tej godzinie, a o 2-giej po południu stanęliśmy w Londynie. Z Liverpoolu do Londynu jest 210 mil, pierwszą klasą, 29 szelągów angielskich, to jest 7 dolarów i 25 centów. Jakie to małe, w porównaniu do amerykańskich, powiedziałbym, liliputowe są te wagony i lokomotywy europejskie: wagony frachtowe nie większe od zwyczajnych wozów ładownych. Wagony pasażerskie krótkie, niskie i wąskie, ale za to wygodne dla przedziałów, jakie mają. Przyznać atoli trzeba, że wagony europejskie, dla swej lekkości, bardziej się trzęsą i kołyszą to w tę to w ową stronę niżeli amerykańskie. Wagony jadalne, wysokie fotele, a nie proste krzesła, jak amerykańskie.

W drodze z Liverpoolu do Londynu piękne krajobrazy, jak w kalejdoskopie, snuły się przed oczami naszymi. Pociąg pędził przez okolice, raz równe, jak stół, poprzerzynane rzekami i sztucznymi kanałami, to znowu pagórkowate, a nawet górzyste w których liczne znajdują się tunele. Po obu stronach toru kolejowego zieleni się starannie utrzymywany żywopłot, jak w okolicy Ripon, ale niski tak, że nie przesłania pasażerom widoku. Nigdzie kolej nie przerzyna dróg polnych — wszelkie drogi idą mostem ponad lub popod torem kolejowym. Pola starannie i umiejętnie uprawiane, wszędzie widać poprzerzynane żywopłotem, co z daleka daje im wygląd jednej wielkiej szachownicy. Wśród zielonych w tej porze pól wiją się wężykowato kręte i wąskie, ale bite, jak szosy, drogi polne, z mostami wszędzie z kamienia lub cegły. Domy, tak po miastach i miasteczkach, jak i po wioskach i pojedyńczych farmach, budowane są przeważnie z czerwonej

cegły, a pokryte są również czerwonymi dachówkami, także gontem lub łupkiem — w niektórych wioskach widziałem i słomiane dachy, do których oko Amerykanina nieprzyzwyczajone.

W Anglji obecnie mają tak obfite deszcze, jakich od wielu lat nie mieli. Rzeki i strumyki z brzegów wylały, łąki i niziny wszędzie wodą zalane. A deszcz nie ustaje; i dziś znowu leje jak z wiadra.

Wjechaliśmy nareszcie w granice siedmiomiljonowego miasta Londynu, najludniejszego i najbogatszego miasta na całym świecie. Wysiedliśmy na stacji Euston. W całym olbrzymim Londynie niema ani jednej elektrycznej lub kablowej kolei ulicznej, i ze względów praktycznych nie będzie jej zapewne nigdy. Kursują tylko ogromne omnibusy, dalej powozy czterokołowe i dwu kołowe powoziki — te ostatnie zwane „Two Wheeled Hackney Carriage" albo pospolicie „Cab", są bardzo tanie i praktyczne, Uwijają się nadto po ulicach liczne automobile elektryczne. Przyznać trzeba, że pomimo wielkiego natłoku powozów, wozów i powozików, jazda ulicami Londynu postępuje bardzo szybko, nie doznając tyle obstrukcji co nap. w Chicago. Ulice są dobrze brukowane i schludnie utrzymywane.

Kazaliśmy się zawieść na „Trafalgar Square" do hotelu Morley'a, w którym i 10 lat temu jadąc do Ameryki, przemieszkiwałem. Atoli hotel ten był przepełniony. Zajechaliśmy do drugiego, trzeciego itd. — wszystkie zapełnione. Co się stało? Oto w Londynie mają się odbyć w tych dniach wyścigi automobilów, co spowodowało niezwykły napływ gości nietylko z Europy, ale i z Ameryki. Pokoje w hotelach albo już zajęte albo kilka tygodni naprzód przez kogoś zamówione. Po długiem jeżdżeniu i szukaniu udało nam się wreszcie znaleść w hotelu „Derwent" jeden nie zajęty pokój. W nim też odrazu ulokowaliśmy się.

Nad wieczorem zjawił się pan Sheridan, mąż kuzynki p. Mahany'ego i zaprosił nas na obiad o 7-ej godzinie w hotelu „Belgravia", tuż przy nowej katolickiej katedrze. Pani Helena Sheridan, piękna, rozmowna i nadzwyczaj inteligentna dama, obracająca się w wysokich kołach towarzyskich Londynu (brała udział w koronacji króla Edwarda), jest katoliczką i w ciągu rozmowy przy obiedzie zwróciła właśnie moją uwagę na widną z okien hotelu wysoką wieżę nowo budującej się katedry, której dotychczas nie widziałem i nie zauważyłem wcale. Nazajutrz zwiedziłem tę katedrę szczegółowo — jej opis atoli odkładam na później, jak

również opis starej, niegdyś katolickiej a od czasów Henryka VIII episkopalnej „Westminster Cathedral", którą także zwiedziłem razem z przytykającem starem opactwem „Westminster Abbey" dziś zamienionem na parlament angielski.

Dziś, w piątek, 19 czerwca, rano, w rocznicę moich prymicji, odprawiłem pierwszą moją tu w Europie mszę św. w kościele przy ulicy Maiden Lane. Obiad i to postny spożywaliśmy w samem „House of Commons" (Izba Posłów), zaproszeni przez posła Mac Donald, reprezentanta irlandzkiej partji w parlamencie angielskim. Przy stole, za pośrednictwem p. Mahany'ego poznałem się z p. Russel, jednym z najwybitniejszych członków parlamentu i z innymi posłami. Oprócz „House of Commons" byliśmy także obecni na sesji w Izbie Lordów.

Wieczorem wyjechaliśmy o 9-ej godzinie z Londynu do Dover, a stamtąd okrętem do Calais we Francji.

Paryż, dnia 21 czerwca 1903.

Wśród zimna, rzęsistego deszczu i szalonego wichru, w piątek, 19 czerwca, wieczorem o godzinie 9-tej opuściliśmy Londyn, a za dwie godziny o 11-ej w nocy, stanęliśmy przy porcie Dover, gdzie stał w pogotowiu parowiec, mający nas przewieść przez kanał La Manche do brzegów Francji, mianowicie do Calais. Przejechaliśmy Atlantyk cały, ale takiej szalonej burzy nie doznaliśmy, jak na kanale La Manche. Półtorej godziny płynęliśmy przez kanał (22 mil), ale mnie się ten czas dłuższy wydawał od tygodniowej jazdy na oceanie. Podobno kanał La Manche zawsze tak bryka.

W Calais, zawsze jeszcze wśród deszczu, wsiedliśmy na pociąg, który ruszył z miejsca o godzinie 2-giej w nocy a o 6-ej rano przybył do Paryża. Urządzenie łóżek we wagonach francuskich jest bardzo proste i praktyczne. Ale kołdry ani nakrycia żadnego nie masz — w tem sęk. Oglądaliśmy się za nakryciem — nigdzie nie masz. Za chwilę zjawiła się Francuzka, i przyniosła nam dwie kołdry, ale za każdą trzeba dopłacić franka (20 centów). Tak wszędzie we Francji bywa: na dworcach kolejowych obwożą kołdry i poduszki i pożyczają je pasażerom za pieniądze.

W Paryżu stanęliśmy w hotelu Henry'ego, blisko placu Vendome. Poszedłem do najbliższego kościoła — św. Magdaleny — i odprawiłem Mszę św. Kościół ten w około piękną kolumną otoczony. Zwiedziłem tutejszą ambasadę amerykańską, potem wspa-

niały pałac Inwalidów, gdzie zwłoki Napoleona Wielkiego spoczywają, następnie udaliśmy się na wieżę Eiffel. Nie było czasu zwiedzić cały Paryż, dlatego postanowiliśmy ze szczytu wieży Eiffel objąć wzrokiem to kilkomiljonowe miasto wzdłuż i wszerz. Istotnie, ze szczytu wieży Eiffel, z wysokości 1,200 stóp, przecudna panorama roztacza się przed tobą. Cały Paryż, ze swoimi pałacami i kościołami, leży jak na dłoni przed tobą. Widzisz nietylko miasto, ale i dalsze okolice, jak Wersal itd.

W ambasadzie amerykańskiej w Paryżu postarałem się o paszport, w którym jestem tak opisany: Age 35 years; Stature 5 feet 7 inches; Forehead high; Eyes blue grey; Nose medium; Mouth medium — no moustache. Chin square; Hair browngrey; Compelexion olive; Face round. Cały ten paszport brzmi krótko tak: I, the undersigned Ambassador Extraordinary and Plenipotentiary of the U. S. of America hereby request all whom it may concern to permit Wenceslaus Kruszka a Citizen of the U. S. travelling abroad — Russia, safely and freely to pass and in case of need to give him all lacoful Aid and Protection. Given under my hand and the Seal of the Embassy of the U. S. at Paris, France, the 20 day of June in the year of our Lord 1903. and of the Independence of the U. S. the 127 Stover Porter.

Good only for two years from date. Nr. 1609.

Z ambasadorem, jako ze znajomym pana Mahany'ego, rozmawialiśmy długo.

Odwiedziłem także dom OO. Zmartwychwstańców w Paryżu, na ulicy św. Honorata. Ojciec Orpiszewski jest jedynym księdzem polskim w tym domu. Spodziewał się właśnie przybycia drugiego Ojca z Ameryki. Ks. Orpiszewski bawi już w Paryżu od dawna i jego to energji zawdzięczać należy, że domu paryskiego dotychczas nie zwinięto.

Dziś, w niedzielę rano, o 7-ej godzinie odprawiłem Mszę św. w kościele św. Rocha.

Idąc do kościoła, przechodziłem przez plac Vendome, w środku którego wznosi się olbrzymia kolumna, ze statuą Napoleona W. u szczytu, cała ulana z armat zdobytych przez Napoleona we wojnie z Niemcami, jak to następujący napis świadczy: „Neapolio Imp. Aug. Monumentum Belli Germanici Anno 1805. Trimestri Spatio Ductu Suo Profligati Ex Aere Capto Gloria Exercitus Maximi". Śliczne płaskorzeźby owijają tasiemkowato całą tę przepyszną kolumnę. — O 9:20 przed południem opuszczamy Paryż.

Marsylja, Francja, 22 czerwca 1903. — Z Paryża do Marsylji jechaliśmy pospiesznym pociągiem, wczoraj, w niedzielę, od godziny 9:20 rano do godz. 10:21 wieczór, zatem 13 godzin około 700 mil. Bilet niespełna 20 dolarów. Punktualność pociągów europejskich jest zadziwiająca, tak tu jak i w Anglji. Na tak daleką przestrzeń, jak z Paryża do Marsylji, pociąg ani na minutę się nie spóźnił — podczas gdy w Ameryce, ilekroć jechałem z Chicago do Buffalo (jechałem z 10 razy, różnemi linjami) pociągi, nie już o minutę, ale o 2 do 4 godzin zawsze się spóźniały. Ale kołysanie się wagonów europejskich (z powodu ich lekkości) jest nieznośne.

Pociąg nasz pędził najpierw wzdłuż brzegów Sekwany, potem przez liczne tunele, wykute w górach „de la Cote d'Or" do miasta Dijon; a od miasta Chalon, wzdłuż rzeki Saone, o której Cezar w swojem „De bello gallico" wspomina, że prąd tej rzeki jest tak spokojny i nieznaczny, że nie wiadomo, w którym kierunku płynie — co i dziś zauważyć można.

W Anglji pieniądze liczą nie inaczej jak na funty — widać, że ich mają dużo. Jeden funt szterlingów równa się 5 dolarom amerykańskim czyli 25 frankom, czyli 20 markom. Pytałem się Anglika, co znaczy „sterling". Odpowiedział mi, że znaczy tyle, co „pieniądz angielski". Tu we Francji, jak i we Włoszech zaś jednostka monetarna jest stosunkowo bardzo drobna. Jeden frank, równający się jednemu lirowi włoskiemu, wynosi tyle co 20 centów amerykańskich. Człowiek na razie, wobec tej nagłej zmiany jednostki monetarnej nie może się zorjentować w wartości pieniężnej. Przekonałem się jednak, że niemałej iluzji podlegają ci, którzy mniemają, że za jeden frank we Francji (lub 1 lir we Włoszech) mogą sobie kupić tyle żywności lub towaru, co za jeden dolar w Ameryce. Jest to iluzja — i we Francji 1 frank nie więcej znaczy, co 20 centów w Ameryce.

W okolicach Paryża, jadąc wzdłuż brzegów rzeki Sekwany (jechaliśmy w niedzielę), widziałem ludzi pracujących w niedzielę: tu rolnik nakładał siano na furę, tam kobieta z sierpem w ręku, ówdzie robotnik kamienie tłukł na szosie. Smutny to widok. I to katolicka Francja! Podczas gdy w protestanckiej Anglji zachowują niedzielę tak skrupulatnie, że nawet w szachy lub warcaby grać nie pozwalają w miejscach publicznych, to tu w „arcykatolickiej" Francji bezczeszczą publicznie niedzielę służebną robotą na polu i drogach publicznych.

Około miasta Lyon rzeka Saone zlewa się z rzeką Rhone, która wpada do morza śródziemnego.

Począwszy od Lyonu, jechaliśmy wciąż wzdłuż brzegów rzeki Rhone, wprost ku południowi, wśród żyznych dolin, mając po obu bokach wysokie góry i malownicze krajobrazy. Na stokach gór często widać poprzegradzane murami winnice. Ponieważ jechaliśmy blisko okolic, w których szampan rośnie, więc kazaliśmy sobie podać jedną butelkę tego na fantazję działającego trunku. Był wyborny — kiedy musował, wyglądał biały, jak mleko, a kiedy się ustatkował, był przezroczysty, jak kryształ, a co najważniejsza, po wypiciu, głowa nie stała się ociężałą, jak to po fabrykowanym szampanie się dzieje.

W dalszym biegu pociągu pasma gór, z jednej i drugiej strony rzeki Rhone, pomału rozstępowały się, tworząc coraz to szerszą dolinę nadbrzeżną, aż wreszcie z widnokręgu całkiem znikły. Widać było na żyznej dolinie tylko wioski, sioła i miasteczka w zieleń drzew utulone. Wśród takich krajobrazów dojechaliśmy do miasta Avignon (Awinjon), niegdyś stolicy papieskiej. Znajduje się tam jeszcze ten sam pałac, w którym papieże przez jakiś czas mieszkali, z ogromnym, tuż przy pałacu papieskim stojącym krucyfiksem.

Wreszcie o godzinie 10:21 wieczorem dotarliśmy do południowych kończyn Francji — do Marsylji. W nocy podróżować nie opłaci się tu w Europie. Wagony sypialne są zbyt kosztowne. Stanęliśmy w Marsylji tuż przy dworcu, w hotelu Terminus. Nazajutrz, w poniedziałek o 6-ej rano wstałem, a o 7-ej miałem Mszę św. w pięknym, niedawno zbudowanym kościele św. Wincentego a Paulo. Przecudne jest położenie Marsylji — tego miasta, w którem po raz pierwszy rozbrzmiały dźwięki tej pieśni „Allons enfants de la patrie", zwanej odtąd „Marsyljanką". Śliczny widok z miasta na port, i z portu na miasto, którego wspaniałe domy i pałace i kościoły na pagórkowatem wybrzeżu piętrzą się coraz wyżej.

Genua, we Włoszech, 23 czerwca 1903. Z Marsylji mieliśmy jechać wprost do Rzymu. Musieliśmy jednak zatrzymać się w Genui dlatego, że na granicy między Francją a Włochami, we Vintimiglia, zatrzymano nam kufer. Gdyśmy jechali z Anglji do Francji, nie rewidowano nam rzeczy na granicy, w Calais, lecz dopiero w Paryżu. Sądziliśmy, że to samo zrobią i tu, tem bardziej, że w Marsylji zapewniono nas, iż kufer bez przeszkody zajedzie do Genui. Tu w Genui atoli przekonaliśmy się, że kufer został na granicy, we Vintimiglia. Pan Mahany posłał tam coś trzy telegramy, żeby

kufer natychmiast przysłali, bo — powiada — za nic w świecie nie chciałbym stracić tego kufra, a raczej jego zawartości.

Z Marsylji wyjechaliśmy wczoraj rano o 10-ej godzinie. Dotychczas, w ciągu całej naszej podróży, na morzu jak i na lądzie, mieliśmy dni chłodne, słotne i dżdyste; a dopiero od Marsylji zawitał nam dzień pogodny, słoneczny — o niebie już prawdziwie włoskim, to jest lazurowym. Była też to jedna z najprzyjemniejszych i najpiękniejszych podróży, jaką mieliśmy. Droga z Marsylji do Genui, ciągnąca się wzdłuż wybrzeża morskiego, tak zwana „Riviera di Ponente“ (Wybrzeże Zachodnie) jest jednem pasmem przecudnych krajobrazów, których widokiem oko nasycić się nie może.

Przejechaliśmy przez forteczne miasto Toulon, gdzie Napoleon W. ongi wsławił się pierwszą bitwą; następnie wjechaliśmy w granice najmniejszego na świecie księstewka Monaco. Tuż za stolicą tego księstewka, to jest, za miastem Monaco, przystanęliśmy w Monte Carlo, słynnej na cały świat stolicy szulerów. Wysiedliśmy z pociągu, by naokoło obejrzeć sobie pałac, tylko o kilkanaście kroków od dworca odległy, pałac szulerów. Pałac ten, w którym tylu graczy zgrywało się i rok rocznie zgrywa, budowany jest w przecudnym stylu renesansowym i ma wygląd istnej świątyni albo kościoła, gdyż jego front zdobią dwie pozłacane wieże. A jeszcze piękniejsze jest otoczenie tej świątyni szulerów. U góry wiszą dzikie, nagie skały, wysokie, rzekłbyś niebo bodzące góry, pomiędzy któremi lesiste wąwozy, przepaściste parowy i doliny zielone. Samą świątynię szulerów otaczają przepyszne ogrody; na tarasach z balustrady mienią się od rozmaitych barw klomby kwieciste. U stóp „świątyni“ szumiące morze Śródziemne. Trudno sobie wyobrazić idealniejszego kącika dla graczy. Dla iluż to jednak osób to czarowne miejsce stało się „djabelnie pięknem“, stało się ruiną fortuny niejednej, życia niejednego.

Obywatele księstewka Monaco nie płacą żadnych podatków, a mimo to i drogi i mosty i gmachy publiczne wszędzie mają wspaniałe. Bo płacą za nich szulerzy, których tu rok rocznie tysiące zjeżdżają się z różnych stron świata.

Do Genui przybyliśmy wczoraj, 22 czerwca wieczorem o godzinie 11:30. Mieliśmy już bilety do Rzymu, ale, kufer zatrzymano nam na granicy, musieliśmy tu przenocować, w hotelu Savoie, zaraz przy dworcu, tuż koło placu Acquaverde, na którym wznosi się wspaniały pomnik z białego marmuru, pomnik Krzysztofa Kolumba, odkrywcy Ameryki. Ze wzniesionem obliczem i ze zapatrzonym

w dal wzrokiem stoi Kolumb, lewą ręką oparty o kotwicę, a prawą wskazując na nadobną, u stóp jego siedzącą dziewicę, która jest symbolem Ameryki, odkrytej przez Kolumba. W ręku symbolicznej dziewicy, Ameryki, tkwi godło chrześcijańskie — krzyż.

Mszę św. dziś rano odprawiłem w kościele św. Karola. Potem zwiedziliśmy kościół „di San Siro", biskupa Genueńskiego. Tu pan Mahany, przed obrazem Madonny, postawił i własną ręką zapalił trzy ogromne woskowe świece, które był kupił poprzednio w składzie, podczas przechadzki po krętych uliczkach Genui. Choć nie katolik, nadzwyczaj uczuciowy pan Mahany miał swoje chwile pobożnych wybuchów.

Zwiedziliśmy także port Genueński, jeden z najwspanialszych w Europie. Z portu prześlicznie się przedstawia Genua „La Superba" (Pyszna) zwana — miasto okalające port i amfiteatralnie się wznoszące. Ostatni raz byłem tu w jesieni roku 1891, jak to opisałem w Czwartem Siedmioleciu.

10. W Rzymie. — Ostatni publiczny występ Leona XIII.

Rzym, dnia 24 czerwca 1903. — Ten list piszę już z Wiecznego Miasta, to jest z Rzymu, tej stolicy świata chrześcijańskiego. Przybyliśmy tu z Genui dziś do południa o godzinie 10, w sam dzień św. Jana Chrzciciela, które to święto lud rzymski bardzo uroczyście obchodzi.

W Genui było kosztów i kłopotów niemało z wydostaniem kufra z rąk celników. Pan Mahany twierdzi, że popamięta sobie na całe życie, co to znaczy włoska „doggana" czyli cło. Wydostawszy kufer, ruszyliśmy bez zwłoki w dalszą drogę, o pół do dwunastej w nocy — do Rzymu. W drodze z Genui do Pizy (miasta sławnego z krzywej wieży), pociąg jedzie przez przeszło 80 tunelów wzdłuż „Riviera di Levante" t. j. „Wybrzeża Wschodniego" (tak się nazywa skaliste wybrzeże morskie na wschód od Genui położone). Wskutek tych licznych tunelów nie stanowiło to dla nas różnicy, czy w nocy czy we dnie odbywaliśmy tę podróż. Dosyć już tej przecudnej „Riviery" widzieliśmy na zachód od Genui, gdzie się nazywa „Riviera di Ponente" (Wybrzeże Zachodnie).

Wsiadłszy do wagonu o północy zasnęliśmy odrazu. Atoli pan Mahany spał tylko — jak to mówią na jedno oko, jak zając. Bo — mówił — chcę po drodze choć zdaleka Pizę widzieć z jej pochyłą wieżą. Wprawdzie tłumaczyłem mu, że z dworca krzywej wieży

nie ujrzy, bo przemyślni obywatele Pizy tak już dworzec urządzili, żeby, broń Boże, nikt w przejeździe krzywej wieży nie zobaczył. Gdyby bowiem w przejeździe ją zobaczył, nie wstępowałby już do miasta, i — co zatem idzie — nie zostawiłby lirów w ich mieście. Pomimo to pan Mahany czuwał, i gdy o godzinie 4-ej nad ranem stanęliśmy w Pizie, obudził mię ze snu swym gromkim głosem: „Father Kruszka, this is Pisa". Przetarłem oczy, wyszedłem z wagonu, ale krzywej wieży z dworca widzieć nie mogliśmy. Musieliśmy się kontentować widokiem Włocha, sprzedawającego malowane i rzeźbione podobizny wieży Pizańskiej. Ja tej wieży nie byłem ciekaw, bo ją widziałem już dwanaście lat temu. Ale p. Mahany ogromnie wzdychał i żałował, że jej nie ujrzał.

Gdyśmy wyjechali z Pizy, dnieć już zaczęło na dobre, więc obserwowaliśmy krajobrazy ziemi włoskiej, to pagórki lesiste, to doliny i pola białem już zbożem porosłe, to znowu ruiny zamczysk i starożytne mury wśród winnic na kształt wężów się ciągnące.

Wzdłuż naszego toru kolejowego biegła bita droga czyli szosa (gościniec), „via Aurelia" zwana, starożytna, jeszcze przez cezarów rzymskich zbudowana. Pociąg nasz pędził tuż nad brzegiem Morza Tyrreńskiego, przez okolice pagórkowate, lesiste, miejscami uprawne, miejscami bagniste. Okolice te nadbrzeżne, od miasteczka Cecina aż do miasta Orbetello, noszą nazwę „Maremma Toscana". W mglistej dali, wśród modrej toni Morza Tyrreńskiego, widzieliśmy górzystą wyspę Elbę, sławną z chwilowego pobytu na niej Napoleona Wielkiego.

Od Orbetello wjechaliśmy w drugą „Maremmę" czyli okolicę nadmorską, nazwaną „Maremma Romana" — w granice dawnego państwa kościelnego. Zbliżaliśmy się do Rzymu. Minęliśmy starożytne miasto portowe „Civitavecchia", przez Saracenów swego czasu plądrowane — potem od brzegów morza zwróciliśmy się w głąb lądu, przerzynając wzdłuż Tybru Kampanję Rzymską — w mglistej dali widać było już góry Albańskie i Sabińskie — wreszcie ukazały nam się stare omszałe, zielskiem porosłe mury Wieczystego miasta — Rzymu. Wzdłuż tych murów potężnych, pociąg, przekroczywszy mętny Tyber, biegł, okrążając miasto, przez cały kwadrans jeszcze. Rzeka Tyber, jak przez starożytnego poetę Horacjusza nazwana została „flavus Tiberis" (mętny żółtawy Tyber), tak i dziś wodę ma mętną, żółtawą. W przejeździe widzieliśmy po prawej stronie bazylikę św. Pawła, poza murami miasta, potem z lewej strony, już w murach miasta, bazylikę Lateraneńską. Na-

stępnie przejechawszy przez olbrzymie, jeszcze przez cezarów zbudowane „Akwadukty“ (wodociągi), ominąwszy z daleka bazylikę św. Wawrzyńca, pociąg nasz, przebijając starożytne mury miasta, wjechał do środka Rzymu na „nowożytną“ stację kolejową, „Stazione delle Ferrovie“, która wśród tego starożytnego otoczenia zdaje się być czemś niezwykłem, anormalnem i jakby profanującą świętość tego odwiecznego miasta.

W mieście wszystko miało wygląd świąteczny. Dzień to bowiem św. Jana Chrzciciela, którego najcenniejsza relikwja, głowa, spoczywa w tutejszej Bazylice Lateraneńskiej. Składy, biura i banki pozamykane — tylko osterje (winiarnie) otwarte, a przed osterjami porozstawiane krzesła i stoliki pod namiotami. Namioty te w zieleń przystrojone i — wieczorem — lampjonami oświetlone.

Zwiedziliśmy kościół św. Jana Chrzciciela, jako w dzień Jego święta, kościół zwany „Bazyliką Lateraneńską“. Tuż za kościołem tym znajduje się w murze miejskim brama. Bramie tej mój towarzysz p. Mahany przypatrywał się z wielką ciekawością, jak i grubym murom z blankami i wieżami zębem czasu już nadgryzionemi. Ku niemałemu rozczarowaniu naszemu dowiedzieliśmy się, że ta wspaniała brama, zowiąca się dziś „Bramą św. Jana“ nosiła za starożytnych czasów bardzo prozaiczną nazwę „Porta Asinaria“ (Ośla Brama).

Lecz od bramy tej mieliśmy wspaniały widok na front czyli czoło albo fasadę Bazyliki św. Jana Chrzciciela, 180 stóp szeroką, z rzędem potężnych filarów i przepysznych figur, stojących u szczytu. Wnętrze Bazyliki obecnie jeszcze odnawiają — główna jej nawa, tuż przy wielkim ołtarzu, zawalona jest ogromnemi rusztowaniami. Poprzeczna zaś nawa, jak i absyda i całe tylne ramię nawy podłużnej jest już prześlicznie odnowione, staraniem papieża Leona XIII.

Bazylika św. Jana Chrzciciela nosi nazwę „Lateraneńskiej“ bazyliki od starożytnej familji rzymskiej, zowiącej się „Laterani“, której to właśnie pałac na tem miejscu stojący, podarował cesarz Konstantyn Wielki papieżowi. Dzisiejszy, przytykający tuż do Bazyliki pałac Lateraneński, mieszczący w sobie muzeum sztuk pięknych, cieszy się na mocy prawa gwarancyjnego z roku 1871, przywilejem eksterytorjalności, to znaczy, rząd włoski „raczy“ nie rościć sobie żadnych pretensji do tego pałacu, lecz zostawia go „łaskawie“ do dyspozycji Papieża.

Ledwie przybyliśmy do Rzymu, dowiedzieliśmy się, że na drugi dzień jest publiczny Konsystorz, na którym mamy sposobność zobaczyć Papieża. Znużony podróżą, nie chciałem iść na ten Konsystorz, tłumacząc p. Mahany'emu, że papieża nie raz zobaczymy. Ale p. Mahany koniecznie nalegał, żeby iść i zobaczyć Leona XIII już teraz, jakby przeczuwając, że to była ostatnia sposobność widzenia Leona XIII żywego.

Dzień drugi w Rzymie — 25 czerwca 1903. Być w Rzymie a nie widzieć papieża — to zdanie weszło już nawet w przysłowie niepochlebne. Nas to przysłowie nie dotyczy. Wczoraj o 10 godzinie przed południem przybyliśmy do Rzymu, a dziś o 11-ej godzinie przed południem widzieliśmy już papieża — i to papieża-jubilata, Jego Świątobliwość Leona XIII, tego czcigodnego i szanowanego przez wszystkich starca, 93 lat z górą liczącego, którego, widząc przed 12 laty, nigdy więcej na oczy moje widzieć się nie spodziewałem. To też dziś widząc, w oddaleniu trzech tylko kroków, jego postać sędziwą, jego głowę, jak gołąb siwą, jego czoło wyniosłe, błyszczące inteligencją, jego oczy bystre i przenikliwe, jego nos orli, jego uśmiech około ust igrający, jego prawicę na wszystkie strony lud błogosławiącą — nie mogłem się powstrzymać od głębokiego duszy wzruszenia. Co za majestat królewski bije z tej postali, słabej i wątłej fizycznie, lecz silnej i potężnej moralnie. Mocarz to, choć jest bez armji, najpotężniejszy w całym świecie. Wszystko — czy katolickie, czy nie katolickie — zgina się przed tym starcem czcigodnym, przed tym wielkim papieżem Leonem XIII. Skoro tylko jego postać niebiańska — przepraszam za wyrażenie, ale postać tego watykańskiego starca przedstawia się jako nadludzka, nadziemska, iście niebiańska — skoro ta postać niebiańska ukazała się w „Sala Ducale — w sali książęcej — jeden gromki przeciągły okrzyk wyrwał się z piersi nas wszystkich obecnych: „Viva il Papa Re" — niech żyje papież król". A on, niesiony na „Sedia Gestatoria" — na krześle przenośnem, wśród dwóch wachlarzy strusich, wznosił drżącą prawicę na obie strony i błogosławił nas wszystkich obecnych. Co za chwila uroczysta i rozrzewniająca, do łez nawet rozczulająca. Czyje pióro tę chwilę opisać zdoła?... Zwolna, poprzedzany szeregiem kardynałów, posuwał się Leon XIII naprzód. Okrzyki na jego cześć wzmagały się coraz bardziej. On, wzruszony tymi gromkimi okrzykami, podniósł się na swojem krześle przenośnem, wzniesioną prawicą zlewając błogosławieństwo Boże — wtedy, gdy się podniósł ów czcigodny starzec z krzesła, do

okrzyków przyłączył się silny grzmot oklasków — a tym oklaskom i okrzykom nie było końca, dopóki papież nie przeszedł drugiej sali, sali Królewskiej, „Sale Regia“ i nie zniknął z oczu obecnych w kaplicy Sykstyńskiej, gdzie na nowo burza oklasków i okrzyków trwała aż do rozpoczęcia ceremonji wkładania kapeluszów nowym kardynałom.

Był to bowiem dziś tak zwany Konsystorz Publiczny, na którem papież siedmiu nowym kardynałom, na Konsystorzu Tajnym nominowanym, wkładał kapelusze kardynalskie i odbierał od nich przysięgę wierności. Rektor Kolegjum polskiego, przew. ks. Czorba, C. R., był tak łaskaw dla mnie i dla mojego towarzysza wystarać się o bilet wstępu do sali Książęcej. W ten sposób zaraz na drugi dzień naszego pobytu w Rzymie, mieliśmy sposobność przypatrzeć się z bliska Jego Majestatowi Leonowi XIII. Mój towarzysz, pan Mahany, był do głębi wzruszony tak, że odchodził prawie od zmysłów; nic już w sali nie widział, na nic uwagi nie zwracał, ani na purpurowe szaty kardynałów, ani na barwne stroje gwardji papieskiej — wzrok swój wlepił tylko w papieża i w niego się wpatrzył, jak w słońce. „Tę chwilę — rzekł — poczytuję sobie za najuroczystszą i najszczęśliwszą w całem mojem życiu. Nigdy się nie spodziewałem widzieć na własne moje oczy Leona XIII. Co za imponująca postać!“

Z Watykanu przeszliśmy do Bazyliki św. Piotra, i tu przy grobie św. Piotra, klęcząc, modliliśmy się jakiś czas. Potem obejrzeliśmy ten największy i najwspanialszy w całym świecie kościół tak wewnątrz jak i zewnątrz. Wrażeń moich tu opisywać nie będę. Opisałem już kościół św. Piotra w moim „Rzymie“.

Zresztą obecny mój pobyt w Rzymie ma całkiem inny cel, niż zwiedzanie i opisywanie kościołów, pałaców i muzeów rzymskich. Ponad wszystkimi wrażeniami i myślami, jakie mi obecny pobyt w Rzymie nasuwa, góruje we mnie ta jedna, wielka myśl: nasza Polonja Amerykańska, ta Polonja, która tyle świątyń wspaniałych krwawym potem swoim wzniosła, ta Polonja tak dotychczas upośledzona, oby ona odtąd była wywyższona i uzyskała przedstawicieli swoich w hierarchji kościelnej. Ta myśl ciągle mój umysł zaprząta — gdziekolwiek moje kroki skieruję, czy Ojca św. widzę, czy bazyliki rzymskie zwiedzam — ta myśl o Polonji Amerykańskiej całą moją uwagę pochłania i nie daje mi spokoju we dnie, a nawet i w nocy. Modląc się, o misji mojej myślę i gorąco sprawę amery-

kańskiej Polonji Bogu polecam; wstając rano, o misji powierzonej mi przez Kongres myślę; kładę się do snu, o misji mojej myślę; chodząc po ulicach Rzymu, nieraz patrząc, nic nie widzę, prócz tej jednej myśli w głowie mojej: katolicka Polonja w Ameryce upośledzona — Panie, zmiłuj się i wywyższ ją i postaw na równi z innymi narodami! Niech się obrócą wstecz i zawstydzą się, którzy nam mówią: Ehej, Ehej.

Na tych wzdychaniach jednak i modlitwach bynajmniej poprzestawać nam nie wolno. Trzeba działać. Gdy my, ludzie, swoje uczynimy, to Pan Bóg już swoje uczyni. Byle nie próżnować, ale działać. Bo tym, którzy próżnują, P. Bóg nie pomaga. Pan Bóg tym pomaga, którzy sobie pomagają. Więc rękawy zakasawszy, do pracy!

Plan pracy i akcji w Rzymie miałem już z góry ułożony. Teraz pozostało mi tylko, wiernie go wykonać. Chcącemu nic nie trudno. Jak z jednej strony powinniśmy mieć zupełną ufność w Opatrzność Bożą, że Bóg dobrą i słuszną sprawę naszą poprze — o czem ani na chwilę wątpić nie powinniśmy, tak znowu z drugiej strony powinniśmy my sami wszystko czynić, co tylko w naszej mocy jest, aby się sprawa udała, i tak usilnie się starać, jak gdyby wszystko od naszych starań zależało. Tej złotej zasady św. Ignacego Lojoli nigdy nie zapomnę.

Działaj, i działaj całym sobą i włóż całą duszę w to, co czynisz. „Age quod agis.“ Przeszkody stają ci na drodze — do celu? Całą energją sił swoich usunąć ich nie możesz, obejdź je — byle iść naprzód, dalej, a nie stawać na pół drogi. Przy tem wszystkiem nie spuszczaj z oka nigdy celu twego, do którego zmierzasz, bo inaczej — pomimo energji twojej, zbłądzisz. „Quidquid agis, prudenter agas, et respice finem.“

Od razu Krakowa nie zbudowano. Nie łudzę się też nadzieją, żeby starania i zabiegi nasze od razu pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem. Nie pracujemy dla chwili obecnej — pracujemy dla przyszłości Polonji amerykańskiej. Ani dziś, ani jutro Polonja amerykańska nie zaginie, choćby naszych próśb nie wysłuchano — jeszcze jako tako pociągnie, ale chodzi o dalszą jej przyszłość, w której niechybnie zaginie, jeśli jej się nie zaradzi zawczasu. Czy możliwą jest rzeczą uzyskać to, o co prosimy? Tylko ludzie małej wiary mogą takie pytania stawiać. Co bowiem jest konieczne, to jest i możliwe. Bylebyśmy na duchu nie upadali, nadziei nie tracili, ale z Abrahamem „w nadzieję przeciw nadziei uwierzyli“.

11. Wdrożenie sprawy zaraz w pierwszych dniach pobytu w Rzymie. — Mgr. Antonucci, nasz manuduktor. — Poprawka i druk Memorjału do Ojca św.

Przybywszy do Rzymu, stanąłem na razie w hotelu d'Allemagne razem z p. Mahanym. Hotel ten jest niedaleko domu Ojców Zmartwychwstańców. Otóż na drugi czy trzeci dzień przybyło tu do mnie dwóch Ojców. Jeden z nich, w osobie poczciwego zresztą Ojca Szymona, jako kusiciel przybliżył się do mnie i rzekł:

— Ojcowie chicagoscy, swoim otwartym buntem przeciw władzy najwyższej w Rzymie, publiczne zgorszenie dają w Ameryce. Ksiądz Dobrodziej, jako delegat z Ameryki, niech idzie do Kongregacji Rzymskiej i poprosi, by ta im porządną naganę dała.

Na to odpowiedziałem:

Napisane jest w moim mandacie poselskim, że jestem delegatem Polonji amerykańskiej w sprawie biskupów polskich, a nie w sprawie zatargu ojców chicagoskich. Ten zatarg mnie nic nie obchodzi. Owszem, ubliżyłbym swej godności delegata, a co gorsza, osłabiłbym swoje stanowisko delegata, gdybym podobną sprawą domową zajmował się w Rzymie. Co najwyżej, mógłbym pisać do swoich konfratrów w Ameryce, by ci ojcom chicagoskim dali braterskie napomnienie. Ale do Kongregacji Rzymskiej z taką sprawą iść nie mogę. Tak samo, jak ze sprawą osobistą przeciw mojemu arcybiskupowi tu teraz występować nie mogę. Bo w Rzymie gotowiby pomyśleć, że ja tu przyjechałem jedynie ze skargami na ojców chicagoskich albo na swojego arcybiskupa. A mnie, jako delegatowi, rozchodzi się przedewszystkiem o to, żeby każdy w Rzymie był przekonany, że ja tak daleką podróż odbyłem jedynie i wyłącznie w sprawie biskupów polskich dla Ameryki. Wtedy tylko moje stanowisko jako delegata może być silne i niezachwiane, i wtedy tylko moje posłannictwo może być pomyślnym skutkiem uwieńczone.

Z hotelu przeniosłem się do Kolegjum Polskiego. Na jak długo? Aż do wakacyi. Bo skoro wakacje się zaczną, Ojcowie zamykają Kolegjum; a wtedy powrócę znowu do hotelu.

Dziwnie mądre są rządy Opatrzności Boskiej i na wieki je wysławiać będę. Powróciwszy dziś z Watykanu do Kolegjum Polskiego na obiad, zastałem tam pewnego kanonika, przybyłego z Polski, który niebawem wielką miał mi oddać przysługę. Po obiedzie złożyliśmy razem wizytę Monsignorowi D. Giuseppe Antonucci'-

emu, „Sostituto della Sacra Congregaziono degli Studi“, mieszkającemu na Via dell Anima 45. Mgr. Antonucci przyjął nas otwartemi ramionami, serdecznie, gościnnie, prawdziwie po polsku. Jeszcze nieboszczyk zacny ks. Idzi Tarasiewicz radził mi udać się do tego Monsignora, i przekonałem się obecnie, że dobrą była jego rada. Gdym Mgr. Antonucci'emu pokazał własnoręczny list ks. Idziego i gdym dodał, że ten ks. Idzi już nie żyje — Mgr. Antonucci rozpłakał się, jak bóbr. Pokazywał mi listy ś. p. ks. Idziego, dalej listy innych księży polskich, bądź ze starego kraju, bądź z Ameryki, jak ks. Gulskiego, ks. Biel, ks. Matuszewskiego, ks. Gary, ks. Siedlaczka, tudzież ks. Abbelema — i jak najsympatyczniej wyraził się o nas Polakach. Wspominał bardzo pochlebnie o ks. Janie Pitassie.

Wdrożyłem już dziś naszą sprawę. Sprawa jest w drodze do Propagandy i to jak najlepszej drodze. Mgr. Antonucci jest człowiekiem doświadczonym i biegłym w załatwianiu spraw najrozmaitszych. Jest kanonikiem i sekretarzem świętej Kongregacji Studjów, która to Kongregacja ma dozór nad katolickimi uniwersytetami w całym świecie, nie wyłączając katolickiego uniwersytetu w Washingtonie. Liczy lat 59, a pomimo to jest pełen młodzieńczej siły i energji i wygląda jak gdyby miał 30 lat. Wyłożywszy mu ustnie sprawę, o którą nam chodzi, wręczyłem mu moje mandaty, statystykę osad polskich w Ameryce, poświadczenia burmistrzów amerykańskich i inne dokumenta. Z papierów przedłożonych był bardzo zadowolony. Nie kwestjonował też „zbiorowego ciała“ delegacji, dlatego, że jeden delegat pozostał w Ameryce. I jedna osoba może reprezentować zbiorowe (nie fizycznie, lecz moralnie zbiorowe) ciało delegacji. Przew. ks. J. Pitassa uważa się przez fikcję prawną za obecnego w Rzymie.

Opracowany przeze mnie długi memorjał łaciński, zatytułowany „Suplicatio ad Suam Sanctitatem Leonem Papam XIII pro Episcopus Polonis in Statibus Foederatis Americae Septentrionalis obtinendis“ — Mgr. Antonucci w tych dniach przejrzy dokładnie. Przyrzekł to uczynić jak najdokładniej. Pożegnaliśmy się jak najserdeczniej.

Rzym, 27 czerwca 1903. — Mieszkam w Kolegjum Polskiem, którego rektorem jest ks. Konstantyn Czorba, C. R. asystent O. Generała Smolikowskiego, a ojcem duchownym ks. Jan Giecewicz, C. R. Przew. ks. Rektor cichy i spokojny, a bardzo łaskawy i uprzejmy. Kolegjum Polskie w Rzymie liczy obecnie 18 studentów czyli alumnów, pomiędzy którymi wielu już jest księżmi lub djako-

nami. Czterech jest z Królestwa Polskiego, a reszta z Galicji. Z Poznańskiego niema tu ani jednego alumna. Pomiędzy alumnami tutejszymi panuje jak najlepszy duch. Nie próżnują — pracują twardo, ucząc się, a nawet w wolnych chwilach próbując swoich sił literackich.

Przewiel. O. Smolikowskiego, generała OO. Zmartwychwstańców, niema już od przeszło miesiąca w Rzymie. Wyjechał był na wizytę do swoich domów zakonnych w Bułgarji, Austrji i indziej. Obecnie ma bawić w Galicji, ale nie wiadomo czy w Krakowie czy we Lwowie. Spodziewają się tu jego powrotu do Rzymu na początku lipca b. r.

Wczoraj miałem Mszę św. w kościele śś. Wincentego i Anastazego, przy placu „Fontana di Trevi", w którym to kościele chowają wnętrzności papieża.

Dziś o 6:30 raniutko miałem, za osobnem pozwoleniem papieża, Mszę św. w Bazylice św. Piotra i to w samejże „konfesji" czyli podziemnej krypcie, tuż przy sarkofagu, w którym spoczywają zwłoki św. Piotra, księcia Apostołów. Pan Rowland Mahany był obecny na dole w krypcie i podczas całej mojej Mszy św. klęczał na kamiennej posadzce.

Dziś wieczorem przybył do mnie, do Kolegjum Polskiego, ks. kanonik Antonucci z przejrzanym Memorjałem. Cała treść i osnowa tego Memorjału podoba mu się niezmiernie. Nazwał ten Memorjał „monumentum artis bene loquendi". Jeźli tak, to musi mieć siłę przekonywającą, i niezawodnie wywrze zbawienny skutek w decydujących kołach Watykanu. Daj Boże, byśmy wykołatali raz wreszcie uwzględnienie kleru polskiego w kościelnej hierarchji amerykańskiej! Memorjał w przyszły wtorek — bo jutro niedziela, a w poniedziałek święto Apostołów Piotra i Pawła — pójdzie bezzwłocznie do druku. Trzy najozdobniejsze egzemplarze — tak chce ks. Antonucci — mamy wręczyć Ojcu św. na osobnej prywatnej audjencji. Nadto, każdemu kardynałowi 1 egzemplarz Memorjału posłać trzeba. Przed audjencją u papieża mamy mieć posłuchanie u Propagandy, której oprócz drukowanego Memorjału, wręczę piśmienne, oryginalne dokumenty. Również życzeniem ks. kanonika Antonucci'ego jest, by razem z Memorjałem dać wydrukować: 1) — mandaty nasze, t. j. mandat od Wydziału Wykonawczego i mój mandat od Przew. ks. Jana Pitassa, 2) — poszczególną statystykę osad polskich w Ameryce ale po łacinie, i 3) — poświadczenie burmistrzów miast amerykańskich. Idąc za

wskazówką ks. kanonika Antonucci'ego, postanowiliśmy wszystkie te dokumenta wraz z Memorjałem w jednym zeszycie dać wydrukować w tysiącu egzemplarzach, z których pięć ma być bardzo ozdobnych. Oprócz kardynałów w Rzymie, biskupów polskich w starym kraju i biskupów amerykańskich, każdy kapłan polski w Ameryce dostaną po egzemplarzu.

Rzym, 29 czerwca 1903. — Z ks. kanonikiem Lasockim odprawiliśmy wczoraj Mszę św. przed cudownym obrazem Matki Boskiej od Nieustającej Pomocy, w kościele OO. Redemptorystów, na Via Merulana. Potem zwiedziliśmy bazylikę św. Wawrzyńca po za murami miasta, tudzież przyległy cmentarz.

Ks. kanonik Antonucci przyniósł dzisiaj nowiny. Był u sekretarza Prefekta Propagandy, kardynała Gotti'ego. W ogólności w kołach Propagandy dobrze są usposobieni dla naszej sprawy. Wiedzieli tam już o przybyciu naszej delegacji do Rzymu. Spodziewali się lada dzień, że przedłożymy naszą sprawę w Propagandzie. Ks. kan. Antonucci wytłumaczył im, dlaczego jeszcze w Propagandzie nie byliśmy, żeśmy sprawę do wdrożenia nie oddali, i że jeszcze nie zostały ukończone. Skoro wszystko będzie przygotowane, delegacja stawi się w Propagandzie.

Właśnie dziś z okazji tej wizyty ks. kan. Antonucci'ego, przekonałem się namacalnie i chciałbym, żeby każdy w Ameryce o tem się przekonał, jak — nietylko już godziwą, ale słuszną, mądrą i roztropną było rzeczą wybrać pana Mahany'ego, byłego kongresmana, człowieka, który się obracał w rządowych kołach Waszyngtońskich. Otóż to, com słyszał już rok temu, istotnie jest prawdą, mianowicie: tu w Rzymie są przekonani, że rządowi waszyngtońskiemu nie podoba się cały ten ruch nasz o biskupa polskiego... żeby zbić ten bezpodstawny zarzut, potrzeba nam było takiego właśnie p. Mahany'ego, który im udowodni czarnem na białem, że rząd waszyngtoński nietylko nie sprzeciwia się, ale owszem, o ile to może bez mieszania się w sprawy kościelne, nawet popiera nasze starania o uzyskanie biskupów polskich w Ameryce. Kto rozpuścił po Rzymie tę pogłoskę, jakoby rząd waszyngtoński sprzeciwiał się naszemu ruchowi? Trudno to odgadnąć. Ale trudno byłoby nam wykazać bezpodstawność tej pogłoski — bez takiego Mahany'ego.

Rzym, 30 czerwca 1903. — Dziś rano ks. kan. Antonucci przysłał do mnie osobnego posła z listem, w którym mię prosił, bym przybył do niego o 4-tej godzinie po południu dla omówienia

sprawy. Jakoż o czwartej stawiłem się w jego mieszkaniu. Poprawialiśmy jeszcze nieco Memorjał. Niektóre zdania i wyrazy powypuszczaliśmy, znowu na innem miejscu dodaliśmy coś nowego. Napomknął mi, czyby nie było dobrze, umieścić w Memorjale, że jeśli nie inaczej, to przynajmniej o wikarjuszów generalnych prosimy. Odpowiedziałem mu, że wikarjusze generalni na nic, albo prawie tyle co nic przydaliby się Polonji amerykańskiej. Jeśli delegacja tak daleką i kosztowną podróż odbyła, to chce już prosić o biskupów — jeśli już nie o biskupów własnych, wyłącznie nad Polakami jurysdykcję mających, to przynajmniej o biskupów sufraganów. Wikarjusze generalni nie uczyniliby zadość potrzebom Polonji amerykańskiej. Zresztą, jeśli Stolica św. da nam wikarjuszów generalnych Polaków, przyjmiemy ich z wdzięcznością, ale to nie jest jeszcze to, o co prosimy. My prosimy o biskupów.

Ks. kan. Antonucci uznał tę rację. Potem przedłożył mi cały plan dalszej akcji. Po wydrukowaniu Memorjału i wszystkich dokumentów, on (ks. Antonucci) odwiedzi prywatnie każdego kardynała z osobna, od kardynała Gotti'ego, Prefekta Propagandy, począwszy, wręczy im drukowane dokumenta i poinformuje ich o całej sprawie — co potrwa kilka dni — a dopiero potem my oficjalnie odwiedzimy najpierw Prefekta Propagandy, potem innych kardynałów, wręczymy im urzędowo drukowane dokumenta, omawiając ustnie naszą sprawę, odpowiadając na pytania, rozwiązując trudności, zbijając zarzuty itp. Po odwiedzinach kardynałów nastąpi prywatna audjencja u Papieża, wręczenie Mu trzech ozdobnych egzemplarzy „Memorjału". Plan ten podobał mi się i zaakceptowałem go.

Po tej, dwie i pół godziny trwającej pisaninie i rozmowie, udaliśmy się z ks. kan. Antonuccim do drukarni „Tipografia Sociale Polizzi e Valentini' na ulicy Governo Vecchio, 39. Drukowanie Memorjału, wraz z dokumentami ma kosztować około 300 franków za tysiąc egzemplarzy, włączając w to cenę pięciu bardzo ozdobnych egzemplarzy, trzech dla Ojca św., a dwóch dla innych dostojników. Oj! przydały by mi się teraz te 250 dolarów, uchwalone przez Zarząd Zjednoczenia P. R. K.! Mam mocną nadzieję, że jeszcze je dostanę, jak również, że inni konfratrzy i rodacy moi wesprą mię pieniężnie.

Czyż kochani moi rodacy w Ameryce pozwolą na to, żebym, prócz trudów, znojów i pracy w pocie czoła, miał jeszcze dokładać

z własnej kieszeni — dla dobra całego ogółu Polonji amerykańskiej?... Znając ogół Polonji amerykańskiej, sądzę, że tak wielkich ofiar ode mnie żądać nie będą, zwłaszcza, iż wiedzą, że mając dotychczas małą tylko parafijkę, wielkich funduszów prywatnych mieć nie mogę!

Powiem tu szczerze i otwarcie, jaką wyprawę dano mi na podróż i pobyt w Rzymie. Wydział Wykonawczy dał mi 100 dolarów, a od księży (i jednego doktora) zebrałem 365 dolarów — razem więc 465 dolarów. To wszystko. Wszystko, co ja ze sobą wziąłem! (Pana Mahany'ego zaopatrzył Przew. ks. J. Pitass). Każdy to rozumie, że wydatki są ogromne.

Drukarze rzymscy nie tak prędko drukują jak amerykańscy. Drukowanie wszystkich naszych dokumentów potrwa 12 dni — tak nam dziś zapowiedział drukarz! Miła perspektywa! Siedzieć tu i wśród skwaru, upału i gorąca ślęczyć nad korektami! Miałem już ochotę zrobić tymczasem wycieczkę do Galicji lub Poznania, ale trudno — trzeba przypilnować korekty, a potem, sprawa stoi na najlepszej drodze, trzeba być tu obecnym i ciągle popychać ją naprzód! Pobyt w Rzymie kosztuje dużo, ale niech kosztuje co chce — byle sprawa Polonji amerykańskiej się udała! Jeśli dopniemy swego celu, wtedy powiem sobie z Symeonem: „Teraz puszczaj sługę Twego, Panie, w pokoju, bo widziały oczy moje zbawienie ludu" polskiego w Ameryce! I chętnie będę siedział na mojej parafijce w Ripon aż do śmierci, bylem ujrzał Polaka na którejś ze stolic biskupich w Ameryce...

12. U OO. Zmartwychwstańców i Sióstr Nazaretanek w Rzymie. — Jak się pierwszy raz zetknąłem z arcybiskupem Symonem, który miał być pierwszym polskim biskupem, zwiedzającym Amerykę.

Rzym, 1 lipca 1903. — Dziś złożyłem wizytę Siostrom Nazaretankom na Via Macchiavelli, 18. Jest to dom macierzysty Sióstr Nazaretanek, które, jak to w „Historji Polskiej w Ameryce" zaznaczyłem, bardzo błogą rozwijają działalność na polu szkolnictwa polskiego w Ameryce. Wszedłszy do tego Domu zakonnego, przy którym przed 12 laty bawiąc w Rzymie, przez cztery z górą miesiące mieszkałem, nie spotkałem dziś żadnej twarzy znajomej. Inne dziś przełożone, inne Siostry. Dom ten nawet wydawał mi się dziś obcym i pustym, a pustym dlatego, że nie widziałem w nim jednej zwłaszcza postaci, mianowicie tej pełnej ducha Bożego matrony,

Matki Założycielki tego Zgromadzenia Nazaretanek, z domu Siedleckiej.

Tylko jej obraz dziś ujrzałem wiszący na ścianie w parlorze. Nie zastałem także następczyni Matki Siedleckiej, obecnej znanej mi dobrze Matki Przełożonej Generalnej Laurty, gdyż wyjechała na wizytę swoich domów zakonnych do Londynu i indziej. Za to Matka Przełożona domu rzymskiego, choć mi nieznana, przyjęła mię bardzo grzecznie i uprzejmie. W ciągu całogodzinnej rozmowy wypowiedziała, między innemi, to trafne zdanie (które tu notuję na pochwałę amerykańskich Sióstr Nazaretanek), że Siostry amerykańskie są praktyczniejsze i energiczniejsze od europejskich Polek. Przy domie Sióstr Nazaretanek stale rezyduje J. E. ks. biskup Symon, oraz dwóch innych księży przygodnych, z których jeden ze Sandomierskiej diecezji, sąsiad znanego mi ks. Antoniego Rudzkiego, z którym przed 12 laty studjowałem w Rzymie. Zapytałem go, czy zna także ks. Stefana Kasperskiego? „A przecież znam go — odpowiedział — gdzie on jest? jak mu się powodzi? słyszałem, że chce powrócić do kraju?...

Następnie odwiedziłem w towarzystwie Rektora Kolegjum Polskiego, Przew. O. Czorby, dom zakonny OO. Zmartwychwstańców na S. Sebastianello 11. Tu w gronie Ojców, Przew. O. Władysława Marszałkiewicza, C. R., Prokuratora Generalnego Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, tudzież Wiel. O. Karola Szymona Kobrzyńskiego, C. R., Misjonarza Apostolskiego i dwóch innych Ojców — spędziłem godzinę na rozmowie o sprawach Polonji amerykańskiej. Przew. O. Szymon Kobrzyński, choć siwobrody starzec, ma rzeźki, czerstwy i zdrowy wygląd twarzy, z ognistych oczu jego tryska zapał i żarliwość apostolska. Dla Polonji amerykańskiej nie jest obojętnym, interesuje go każdy szczegół o sprawach naszych. Bardzo miłe i sympatyczne wrażenie zrobił O. Szymon na mnie.

Dom na S. Sebastianello jest przepełniony młodzieżą zakonną, tak liczną obecnie, jak nigdy. To też mieszkania tam znaleźć nie mogłem, ale z największą chęcią ofiarowano mi stół.

Alumni Kolegjum Polskiego, wraz z Ojcami, wyjechali dziś do Albano Laziale (starożytnego Alba Longa) na wakacje. Przeniosłem się do hotelu d'Allemagne, kwatery mojego towarzysza, na Via Condotti, tuż przy placu di Spagna, i bardzo blisko domu OO. Zmartwychwstańców. Z balkonu, wystającego przed moim pokojem, przedstawia się oczom piękny widok na wspaniały wodo-

trysk i jeszcze wspanialsze schody, prowadzące do położonego na górze kościoła S. Trinita dei Monti, którego dwie imponujące wieże górują nad całem Wiecznem Miastem.

Przy sposobności dzisiejszej wizyty, pan Mahany przedłożył ks. kanonikowi Antonucci'emu wszystkie swoje papiery, jakie ma od najwpływowszych osób, a które wszystkie popierają sprawę naszą. Gdy ks. Antonucci przeczytał je, zdumiał, i zrozumiał, że nie przybyliśmy do Rzymu tylko jako próżni żebracy, lecz jako posłowie, pokorni wprawdzie, lecz mający najwyższe powagi tak cywilne jak kościelne po naszej stronie, to jest, po stronie Polonji Amerykańskiej. Wziął i te papiery, by wraz z drukowanymi dokumentami przedłożyć je Propagandzie. Odjechał bardzo zadowolony. Jesteśmy najlepszych nadziei — choć oczekujemy jeszcze trudności, ale te nas z toru nie zbiją, lecz owszem spotęgują jeszcze naszą działalność.

Rzym, 4 lipca 1903. — Dziś odprawiłem Mszę św. w kaplicy domowej, a raczej w Oratorjum polskich Sióstr Nazaretanek na Via Macchiavelli 18, gdyż Matka Przełożona była tak łaskawa zaprosić mię ze Mszą św. Po Mszy św. Matka Przełożona przedstawiła mię J. E. ks. arcybiskupowi Symonowi, o którym i Polonja amerykańska wiele swego czasu słyszała. J. E. ks. Arcybiskup — osobistość to sympatyczna i imponująca zarazem. Obok złotego serca, posiada bystry i przenikliwy rozum, oraz rzutkość i energję woli. Sprawą Polonji amerykańskiej bardzo się interesuje. Polak duszą i ciałem. Osady polskie w Ameryce chciałby koniecznie odwiedzić. Oświadczyłem mu, że Polonja amerykańska przyjęłaby go otwartemi ramionami. Pracuje obecnie we Watykanie, jest tu osobą wpływową, i wpływu swego użyje do poparcia sprawy Polonji amerykańskiej, skoro tylko drukowany Memorjał mu wręczymy — co uczynię w przyszły czwartek. Wręczyłem mu tymczasem drukowaną po polsku statystykę osad polskich, jaką miałem pod ręką, i niezmiernie się ucieszył i zadziwił zarazem, że tyle osad polskich jest w Ameryce. Jest stanowczo tego zdania i przekonania, że Polonja amerykańska powinna mieć reprezentanta swego w hierarchji kościelnej. Dzielny to biskup, w sile wieku, ogień i życie tryska z oczu jego. Daj mu, Boże, zdrowie i życie w jak najdłuższe lata, oraz powodzenie w jego przedsięwzięciach!

Po przeszło półgodzinnem omówieniu sprawy naszej z J. E. Arcybiskupem, rozmawiałem jeszcze z bawiącym tu ks. Skowroń-

skim z Warszawy, oraz z Matką Przełożoną o Siostrach Nazaretankach w Ameryce, o szkołach parafjalnych i innych sprawach Polonji amerykańskiej. Doprawdy, nie uwierzycie tam w Ameryce, jak tu wszyscy życzą sobie z duszy i serca, by nasza sprawa udała się i pomyślnym została uwieńczona skutkiem. Choć nie wszyscy równo wierzą w powodzenie naszej sprawy, to jednak wszyscy, nie wyłączając OO. Zmartwychwstańców, widzą potrzebę równouprawnienia kleru polskiego w Ameryce i serdecznie życzą nam sukcesu.

Mój towarzysz zwiedził więzienie Mamertyńskie, ciemne i straszne. Ja zwiedziłem je już 12 lat temu. Jest to bodaj najstarsza budowla w Rzymie. Słynne to okropnością więzienie, zwane „Carcer Mamertinus", wybudował już r. 640 przed narodzeniem Jezusa Chrystusa, czwarty król rzymski Ancus Martius. Ma dwa piętra, każde o jednej izdebce. Wyższe piętro nazywa się „Mamertinum" a niższe „Tulium". Najstraszniejsze to niższe. Przez otwór okrągły, a ciasny, spuszczano tu więźnia. Ciemno tu, zimno i wilgotno. To też, gdy Jugurtę, króla Numidji, wrzucono tutaj (r. 104 przed Chrystusem), zawołał: „O śmierci, jak zimną jest twoja kąpiel". Tu Apostołowie śś. Piotr i Paweł przesiedzieli blisko dziewięć miesięcy i nawrócili dwóch dozorców, późniejszych świętych Procesa i Martynjana, oraz 47 towarzyszy więziennych. Nie mając wody do chrztu, św. Piotr uderzył w skalistą ścianę więzienia i wyprowadził cudowne źródło, które do dziś dnia tryska.

Zwiedziliśmy „Pantheon", wybudowany r. 27 przed Chrystusem, przez Marka Agryppę, na cześć Jowisza Mściciela (Jupiter Ultor). Umieszczono tu i posągi innych bogów, stąd nazwa „Pantheon", to znaczy wszechbożnica, którą później papieże przechrzcili na kościół Wszystkich Świętych.

Cała ta budowa „Panteonu" pokryta jest jedną olbrzymią kopułą, nie ma okien, oświetlona jest tylko olbrzymim okrągłym otworem (bez szkła), umieszczonym w szczycie kopuły. Woda deszczowa przez ten otwór najspokojniej spada na posadzkę kościoła, wyłożoną marmurem, spływając przez otworki do rur podziemnych. Do kopuły tego „Panteonu" właśnie architekt Bernini, za papieża Urbana VIII, dobudował dwie wieże, które Rzymianie nazwali „oślemi uszami", wskutek czego później je, jako szpecące budowę, usunięto. W Panteonie, między innymi, spoczywają zwłoki sławnego malarza Rafaela — oraz w nowszych czasach złożono tu

ciała królów Wiktora Emanuela i Humberta. Front Panteonu zdobi 16 przepysznych granitowych kolumn z kapitolami korynckiemi.

Mój towarzysz p. Mahany odznacza się szczególnem miłosierdziem do niewidomych i ślepych. Ilekroć spotyka niewidomego na ulicy, daje mu jałmużnę do ręki. Powiada, że to zawsze czynił w życiu swojem. Wprost niemożliwą dla niego rzeczą, minąć ślepego, a nie dać mu jałmużny. Dziś jadąc ulicą, spotkaliśmy kilka niewidomych dziewcząt, które z zakładu niewidomych Siostra właśnie wyprowadzała na przechadzkę. Pan Mahany w przejeździe odrazu spostrzegł te niewidome dziewczyny, kazał fiakrowi przystanąć, zeskoczył z powozu i pobiegł do nich, każdej niewidomej wręczając hojną ofiarę. Nie miałbym spokojnego sumienia — mówił pan Mahany — gdybym minął niewidomych a nie obdarzył ich.

13. Pierwsza wieść o zasłabnięciu Leona XIII. — Druga alarmująca wieść o Jego chorobie śmiertelnej przestrasza mię.

Takie to zwodnicze są ludzkie rachuby. Myślałem, że w czterech tygodniach załatwię całą sprawę w Rzymie i, zwiedziwszy swoje rodzinne strony w Poznańskiem, z końcem sierpnia roku 1903 będę zpowrotem w Ripon, Wis. Tymczasem zaszło coś nieprzewidzianego. Mianowicie zasłabł papież Leon XIII, potem ciężko zachorował i nareszcie umarł. Ta okoliczność zmieniła całą moją rachubę. Cały mój rachunek czasu pobytu w Rzymie, od góry do dołu, przekreślony został ręką Opatrzności Boskiej. Tak to:

Człowiek myśli,
Pan Bóg kreśli!

Ale oto jak ostatnie chwile życia i śmierci sławnego papieża Leona XIII z dnia na dzień opisywałem w swoich listach z Rzymu do Ameryki wysyłanych:

Rzym, 5 lipca 1903. W tym tygodniu papież Leon XIII czuł się słabym, i wskutek tego audjencje, które się miały odbyć w tym tygodniu, odłożono na przyszły tydzień. Źle to dla nas, bo nasza audjencja prywatna, która miała mieć miejsce w przyszły tydzień, odłożoną zostanie na później. Dobrze, żeśmy Leona XIII widzieli 25 czerwca na Konsystorzu Publicznym, bo gdyby — czego nie daj Boże — miał umrzeć teraz, bylibyśmy w Rzymie, a nie widzielibyśmy tego Starca Watykańskiego, sławnego na cały świat, wielkiego Leona XIII! Jeszcze teraz żywo mi stoi przed oczyma ta

postać nadziemska Leona XIII, jak się podniósł na krześle przenośnem, jak, z uśmiechem na ustach, błogosławił rzesze wiernych! Nie zapomnę tej uroczystej chwili do śmierci.

Po południu zwiedziliśmy także bazylikę św. Piotra w Okowach, to jest kościół, w którego „konfesji“ (czyli zagłębieniu pod wielkim ołtarzem) w pięknym bronzowym złoconym relikwjarzu znajdują się dwa łańcuchy, ze sobą złączone, Herodowy i Neronowy, jakiemi św. Piotr we więzieniu był skrępowany w Jerozolimie za Heroda i w Rzymie za Nerona cesarza. Oglądaliśmy dziś z czcią głęboką te szorstkie łańcuchy zbliska. Imitacją tych łańcuchów są owe dziś rozpowszechnione łańcuszki do zegarka z przewróconym krzyżem św. Piotra. W tymże kościele widzieliśmy także ów sławny posąg Mojżesza, dłuta Michała Anioła. Postać ta Mojżesza, z brodą rozwianą, z oczami iskrzącemi od gniewu — choć ją tyle razy widziałem — zawsze wspaniałe i imponujące robi wrażenie. Z białego marmuru dłutem mistrzowskiem wykuty Mojżesz wygląda jakby żywy. To też sam mistrz, Michał Anioł, ukończywszy tego „Mojżesza“ — powiadają — stanął przed nim, a zachwycony swą pracą, uderzył go młotkiem w kolano (ślady tego uderzenia widać na kolanie) i zawołał: „Czemu nie mówisz, Mojżeszu?“

Wielką osobliwością miasta Rzymu, a zarazem dla niego dobrodziejstwem, są nader liczne, obfite i z wielkim kosztem wykonane fontanny czyli wodotryski, niemal wszystkie staraniem papieży założone. Pan Mahany zachwyca się temi fontannami i powiada, że nigdzie w świecie w żadnem mieście tak licznych, tak obfitych i artystycznie wykonanych wodotrysków nie widział. Najwspanialszą bodaj w całym świecie i najobfitszą jest „Fontana di Trevi“, której budowę rozpoczęto r. 1735 a wykończono r. 1762: w środkowej niszy (framudze) stoi kolosalna statua Neptuna, a po bokach symboliczne statuy Zdrowia i Urodzajności, wznoszące się na dzikich, bezładnie rozrzuconych skałach i urwiskach, z pośród których, jakby ze źródeł, tryskają obfite wody, zlewające się w jedną wielką sadzawkę. Olbrzymia to fontanna, i choć jej źródła są sztuczne, wyglądają jednak tak naturalnie, że doznajesz złudzenia, jakobyś, nie w mieście, lecz w dzikich górach patrzał na tryskające źródła jakiej rzeki. Przepyszną jest także na Placu Tartaruga bijąca żywą wodą „Fontana delle Tartarughe“ zwana, to znaczy, fontanna żółwiowa. Następnie Plac Navona czyli „Circo Agonale“ zdobią trzy wielkie wodotryski: jeden ze statuą Neptuna, walczą-

cego z jakimś potworem morskim; najwspanialszy atoli środkowy z allegorycznemi figurami czterech największych rzek starego świata, to jest Dunaju, Gangesu, Nilu i Rio della Plata, nad któremi wznosi się obelisk z cyrku Maksencjusza. Na placu zaś Barberini'ego tryska „Fontana del Tritone", dalej „Fontana dell' Acqua Felice", z wodą z gór Albańskich, itd. — nie policzyłbyś wszystkich a tem mniej opisał.

Chodzę codzień na pocztę po ów obiecany dokument od pana Harrisona, majora miasta Chicago. Nie nadszedł dotychczas. Myślę, że albo p. Smulski zapomniał o tem, albo p. Harrison nie chciał dać odnośnego poświadczenia. A szkoda. Dokument bardzoby nam się przydał i sprawę naszą poparł. Ale jak go niema, to i bez niego obejść się musimy, i czem innem tę lukę wypełnić.

Rzym, 6 lipca 1903. Wczoraj aż do wieczora, alarmujące wieści o chorobie papieża, ba nawet o jego śmierci, krążyły ciągle po ulicach Wiecznego Miasta i niepokoiły ludność rzymską. Niepewność trapiła umysły mieszkańców Rzymu. Wszędzie, po hotelach i na ulicy, widziałeś to rozchwytujących „extra" edycje gazet i czytających biuletyny o zdrowiu papieża, to znowu słyszałeś niespokojne pytania i niepewne odpowiedzi na nie. Powszechnie mniemano, że papież już wczoraj w południe umarł, ale że tego zaraz nie rozgłoszono, by zbyt nagłą wieścią ludność rzymska się nie przeraziła. Wieczorem — mówiono — dowiemy się prawdy. Pomimo, że to wczoraj była niedziela, każdy z kilkunastu tutejszych dzienników rzymskich, od liberalnych aż do katolickich, od „Avanti", „Popolo Romano", „Messaero" aż do kościelnych „Osservatore Romano", „La Vera Roma" itd., niemal co godzinę „extra" edycje wydawały. Wreszcie wieczorem wszystkie dzienniki jednogłośnie zaprzeczyły stanowczo tej pogłosce, jakoby papież umarł. Jego Świątobliwość Leon XIII jest wprawdzie poważną złożony chorobą, którą doktorzy Lapponi i Mazzoni nazywają „epatizzione polmonare senile", chorobą starości, — lecz żyje jeszcze. Rzym odetchnął swobodniej. Po kościołach rzymskich modlitwa nakazana za chorego — oratio imperata pro infirmo. Dziś rano papież miał przyjąć wjatyk.

Około południa dowiedziałem się, że papież ma się lepiej. Wstał z łóżka, siedzi w krześle i rozmawia z otaczającymi go. Ucieszyło mnie to, gdyż wielu, bardzo wielu, tak z Milwaukee jak i z innych stron, prosiło mię, bym się postarał dla nich o obrazy z apostolskiem błogosławieństwem. Otóż chcąc, żeby to błogosła-

wieństwo, o jakie prosili, otrzymali jeszcze od Jego Świątobliwości Leona XIII, zakupiłem dziś natychmiast 45 obrazów, wypisałem każdego proszącego imię i nazwisko, i udałem się bez zwłoki do Pałacu Watykańskiego, do „Uffizio dei Benedizioni" — gdzie obrazy te zarekordowano i przyrzeczono mi, że do jutra błogosławieństwa te będą wyrobione i udzielone przez Ojca św. Zakupiłem także zaraz niezmierną ilość krzyżyków, statuetek, różańców, medalików, szkaplerzy — po większej części zamówionych — by to wszystko błogosławił jeszcze żyjący nam wielki papież Leon XIII. Wypisałem na obrazach nazwiska osób pojedyńczych, proszących o błogosławieństwo apostolskie i odpust zupełny w godzinę śmierci, oraz nazwiska czterech proboszczów, proszących o błogosławieństwo apostolskie dla siebie i swoich parafjan (dla parafji św. Wincentego w Milwaukee, dla parafji św. Michała w Berlinie, dla parafji św. Józefata w Oshkosh i dla parafji św. Wacława w Ripon — oraz dla grupy Katolickich Rycerzy, Nr. 58, w Ripon.

Jak ja wówczas gorąco się modliłem, żeby Leon XIII zdrowie odzyskał! żebyśmy mogli Mu przedłożyć nasz Memorjał! Memorjał ten był ważny pod adresem Leona XIII, już był gotowy i wydrukowany!... Żeby Pan Bóg dał Leonowi XIII zdrowie i życie dłuższe, w tym celu postanowiłem odbyć pielgrzymkę do siedmiu tak zwanych Bazylik Większych w Rzymie.

14. Zwiedzam siedm bazylik większych w Rzymie, modląc się za zdrowie Leona XIII, rozpoczynając od Mszy św. pod kopułą św. Piotra.

Rzym, 6 lipca 1903. — Dzisiejszego dnia odwiedziłem siedm tak zwanych odpustowych bazylik (św. Piotra, św. Pawła, Najśw. Marji P. Większej, św. Wawrzyńca, św. Krzyża Jerozolimskiego, św. Jana Laterańskiego i św. Sebastjana), modląc się w każdej na intencję Ojca św. Wizytę tych bazylik rozpocząłem rano o 7-ej godzinie Mszą św. w bazylice św. Piotra. W zakrystji św. Piotra pytałem się o zdrowie Jego Świątobliwości — odpowiedziano mi, że jest „bardzo słaby". Miałem zamiar odprawić Mszę św. przy ołtarzu św. Wacława, Króla i Męczennika, który to patron Czech i patron mojej parafji ma osobny ołtarz w poprzecznej nawie Bazyliki św. Piotra, niedaleko wielkiego ołtarza. Małego chłopca, którego mi dano do służenia, zapytałem: „A poznasz ty ołtarz św. Wacława " — „Si, Signore — odpowiedział — św. Wacław

ma królewską koronę na głowie, znam go!“ Jednak przy tym ołtarzu Mszy św. nie odprawiłem. Dziś bowiem oktawa uroczystości śś. Piotra i Pawła, a przez tę oktawę ustawiają w samym środku bazyliki, tuż pod samą kopułą, a przed ołtarzem wielkim, osobny tak zwany ołtarz św. Piotra. Gdy wyszedłem ze zakrystji, widziałem, że ołtarz ten był niezajęty, więc korzystając z tej rzadkiej sposobności (jutro ten ołtarz już zwiną), odprawiłem przy nim Mszę św., odkładając Mszę św. przy ołtarzu św. Wacława na inny dzień. Poczytuję to sobie za wielkie szczęście, że miałem sposobność odprawić Mszę św. w samym środku bazyliki św. Piotra, tą „tjarą świata“, jak ją nasz Mickiewicz nazwał. Kilku Anglików, turystów, zwiedzało właśnie bazylikę, ale zamiast się modlić, przypatrywało mi się przez lornetki, jak rarogowi. Bo „Baedeker“ (podręcznik podróżnych), którego każdy z tych turystów, zamiast książki do nabożeństwa, trzymał w ręku, pisze, że w środku bazyliki św. Piotra, przy wielkim ołtarzu, tylko papież odprawia Mszę św., a oni widocznie, nie umiejąc odróżnić wielkiego ołtarza od tymczasowego (tylko przez oktawę śś. Piotra i Pawła ustawionego), zdziwili się niezmiernie, że ksiądz odprawia Mszę św. w samym środku bazyliki i nie chcąc gołym oczom wierzyć, przybrali lornetki do pomocy, czyniąc między sobą półgłosem jakieś komentarze — przypuszczam — o stopniu godności księdza, odprawiającego przy tym wielkim ołtarzu Mszę św..

Wracając do Watykanu, po drodze wstąpiliśmy do wnętrza Zamku św. Anioła, który opisałem już w moim „Rzymie“. Co to za ogrom, ten Zamek św. Anioła, będący pierwotnie grobowcem Adrjana cesarza (około r. 130 po Chr.). Z zewnątrz nie wygląda tak wielki, ale gdy się wejdzie do jego wnętrza i widzi się te labiryntowe krużganki, korytarze, lochy podziemne, ciemnice, cele więzienne, dziedzińce, mieszkania, sale sądowe, jadalnie i sypialnie ongi papieskie, forty i baszty obronne — to dopiero można mieć wyobrażenie o kolosalnych rozmiarach tego zamku. Na dole, gdzie ongi znajdował się grobowiec Adrjana, dalej w strasznych owych celach więziennych panują ciemności egipskie, chłód i wilgoć. Byliśmy w celi więziennej sławnej Beatricy Cenci i jej matki, Giordano Bruno itd., dalej po spiralnych, wężykowatych schodach weszliśmy do sali sądowej, ozdobionej ślicznemi freskami, do jadalni i sypialni, ozdobionych staraniem papieża Pawła V, nareszcie ze szczytu tego zamku, przy bronzowym posągu św. Michała, chowającego miecz do pochwy, przedstawił się oczom naszym przecudny

widok na bazylikę św. Piotra i cały Pałac Watykański, na rzekę Tyber i całe Wieczne Miasto. Bazylika św. Piotra bezsprzecznie najśliczniej przedstawia się tu ze szczytu Zamku św. Anioła.

Około 4-ej po południu wybrałem się w odwiedziny innych sześciu bazylik odpustowych. Najpierw odwiedziłem bazylikę Najśw. Marji Panny Większej na górze Eskwilinie (S. Maria Maggiore), zwanej „Większej" dlatego, że ze wszystkich kościołów Matki B. w Rzymie ten jest najznakomitszy. W tym kościele znajduje się grób św. Hieronima, oraz żłóbek, w którym Dzieciątko Jezus w stajence betlejemskiej spoczywało. Żłóbek składa się z pięciu małych, cienkich, poczerniałych deseczek, razem złączonych, a umieszczonych w bardzo kosztownym szklanym relikwjarzu.

Z kościoła Panny Marji pojechałem do bazyliki św. Wawrzyńca, Męczennika, która znajduje się poza murami miasta Rzymu. Tu złożono ciało św. Wawrzyńca, djakona, po jego strasznem męczeństwie na rozpalonej ogniem kracie, dokonanem w r. 259. Krata żelazna, na której był pieczony św. Wawrzyniec, znajduje się w kościele San Lorenzo in Lucina. Pisałem już poprzednio o tej bazylice i o przyległym do niej wspaniałym „Campo Santo" (cmentarzu). Następnie kazałem się zawieść do Bazyliki św. Krzyża Jerozolimskiego (w murach miasta), w której się przechowują trzy wielkie kawałki drzewa krzyża świętego, jeden gwóźdź, którym był przybity Zbawiciel do krzyża, dwa ciernie z korony cierniowej, napis, jaki był umieszczony na krzyżu, oraz palec, który św. Tomasz kładł do otwartego boku Chrystusa. Stąd blisko do bazyliki św. Jana Laterańskiego, o której już pisałem. W niej znajdują się drogie relikwje, a zwłaszcza głowy śś. Apostołów Piotra i Pawła (w baldachimie ponad wielkim ołtarzem) — a w poprzecznej nawie, nad bocznemi drzwiami, wisi u sufitu chorągiew turecka, przysłana tu przez Jana III Sobieskiego, gdy pobił Turków pod Wiedniem.

Nareszcie udałem się do dwóch innych bazylik odpustowych, poza murami miasta położonych: św. Sebastjana i św. Pawła. Do bazyliki św. Sebastjana jechałem wśród winnic, wysokiemi murami otoczonych, starożytną drogą bitą czyli szosą, zwaną „Via Appia" Antica — dobre pół godziny poza murami miasta. Po drodze minąłem katakumby św. Kaliksta, które już 12 lat temu zwiedziłem. Stanąwszy przy bazylice św. Sebastjana, ujrzałem z daleka, przy tejże drodze „Via Appia" pomnik grobowy Cecylji Metelli, żony

Krassusa, który 12 lat temu zbliska widziałem. Jest to ogromna okrągła wieża, którą lud rzymski nazywa „capo di bove", głową wołową, gdyż ozdobiona jest marmurowemi czaszkami wołowemi, których rogi ubrane w zawieszone wstęgi liści i kwiatów.

W bazylice św. Sebastjana, męczennika, przeszytego strzałami, gdzie się także pomodliłem na intencję Ojca św., przechowuje się — oprócz ciała św. Sebastjana, jednę ze strzał, wyjętych z jego ciała i kolumny, do której ten Święty był w czasie męczeństwa przywiązany — także stopa Pana Jezusa, odciśnięta na kamieniu na drodze „Via Appia" w tem miejscu, gdzie dziś jest kościółek pod nazwą: „Domine, quo vadis?" (Panie, dokąd idziesz?), a na którem miejscu św. Piotr uciekając z Rzymu przed prześladowaniem, miał spotkać P. Jezusa, idącego ku Rzymowi i zapytał Go: „Domine, quo vadis?" (Panie, dokąd idziesz?), na co mu odrzekł Zbawiciel: „Vado iterum crucifigi" (Idę, aby ponownie być ukrzyżowanym), co miało tak zawstydzić św. Apostoła, że powrócił do Rzymu i umarł śmiercią męczeńską. Po drodze wstąpiłem i do kościoła „Quo vadis" — opodal (przy tejże „Via Appia") stoi właśnie to miejsce, na którem P. Jezus ukazał się św. Piotrowi, i od której aż do kościoła „Quo vadis" szli razem.

Nie potrzebuję tutaj nadmieniać, że tytuł sławnej powieści Sienkiewiczowskiej (o której tu w Rzymie z wielkiem wspominają uwielbieniem), wzięty jest właśnie od tego miejsca. Atoli z bólem przyznać muszę, że w Rzymie widziałem także sprofanowane te święte słowa, bo na jednym automobilu widziałem umieszczone „Quo vadis"... Jest to już nadużycie tych świętych słów!

Rzym, 7 lipca 1903. — Każdy tu za cud uważa to, że Ojciec Święty jeszcze żyje. Wczoraj wieczorem o 8-ej godzinie lekarze Lapponi i Mazzoni wydali następujący biuletyn: „Tego wieczoru widać objawy ogólnego upadku sił. Oddychanie coraz to cięższe i powierzchowne. Puls słaby, a czasami znikający. Temperatura (ciepłota) zawsze poniżej normalnej. Władze umysłowe zupełne."

Ta noc była straszną. Plac św. Piotra tłumy ludu oblegały w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego. Nikt w całym pałacu Watykańskim ani oka nie zmrużył tej nocy. Wczoraj o godzinie 10,40 Monsignor Bisleti udzielił Ojcu św. Sakramentu Ostatniego Olejem świętym Namaszczenia. Umysł Leona XIII najprzytomniejszy. Gdy odmawiano „Confiteor", na słowa „mea culpa" (moja wina), prawą ręką bił się w piersi. Do kardynała Ferraty (Protektora Kolegjum

Polskiego, o którym pisałem) rzekł Ojciec św.: „Wybieramy się do wieczności!“ Na co kardynał Ferrata: „Odwagi, Ojcze św.!“...

Dzisiejsze tak poranne jak wieczorne dzienniki rzymskie (a każdy z nich wychodził dziś w kilka „ekstra edycjach“), mają całe szpalty przepełnione wiadomościami o „ostatnich“ chwilach Leona XIII. Wszystkie jednozgodnie piszą, że życie Ojca św. gaśnie powoli, jak płomyk w lampce oliwnej. Niema żadnej nadziei. Dzisiejszy poobiedni biuletyn lekarzy także wcale nie pocieszający. Wszyscy w Rzymie, bez wyjątku i bez względu, do jakiego obozu należą, wyrażają głęboki żal z powodu bliskiej śmierci Leona XIII. Nawet parlament włoski, wskutek śmiertelnej słabości papieża, na znak smutku, odroczył dziś swoje posiedzenie.

Mnie od bólu serce się ściska i palce drętwieją. Nie mam ochoty do pisania. Zawsze jednak na dnie serca mego tli jeszcze nadzieja, że Leon XIII przejdzie i ten kryzys szczęśliwie, wyzdrowieje i powróci do sił. Oby ta nadzieja nie zawiodła!

15. Leon XIII pomiędzy życiem a śmiercią. — Nasza sprawa nie uciecze, ale się odwlecze. — Ks. Azbiewicz.

Rzym, 5 lipca 1903. — Jadąc do kościoła św. Piotra w Okowach, słyszeliśmy niepokojące wieści o zdrowiu papieża Leona XIII. Po ulicach rozdawali „extra“ wydania gazet, które wszędzie chciwie rozchwytywano, by się dowiedzieć o stanie zdrowia Jego Świątobliwości. Ba — po przybyciu do hotelu, właściciel pan Silenzi powiedział mi, iż słyszał, że papież już umarł dziś o 12-ej w południe. Ile w tem prawdy, nie wie. Z wieczornych gazet dowiemy się prawdy... Straszne to wieści!...

Nasza sprawa nie uciecze, ale się odwlecze, gdyby papież umarł! Nie daj tego, Boże!... Powietrze w Rzymie w tych dniach gorące, skwarne, duszne. Dla młodych i silnych jest nie do wytrzymania, a cóż dopiero dla zgrzybiałego Starca, jakim jest Leon XIII. Czyby miały się sprawdzić te złowrogie wieści?....

Promotor naszej sprawy, ks. kan. Antonucci, został w tych dniach promowany na wyższe stanowisko, mianowicie został wikarjuszem generalnym diecezji di S. Serafino w pobliżu Rzymu, że ten, w którego ręce my powierzyli sprawę naszą, zostaje równocześnie posunięty wyżej, — można to nazwać zbiegiem okoliczności, ale my to lepiej nazwijmy zrządzeniem Opatrzności Boskiej. Nikt nam teraz zarzucić nie może, żeśmy w złe ręce oddali sprawę

naszą. A on, ks. Antonucci, szczerze naszej sprawie jest oddany. Gdyśmy go odwiedzili, siedział nad Memorjałem, przeglądał jeszcze raz dokumenta, porządkował je — słowem, tak pracuje w naszej sprawie, jak gdyby od jej powodzenia zależało zbawienie jego własnej duszy.

Rzym, 8 lipca 1903. — Dzisiejszy poranny biuletyn, wydany o 4-ej godzinie rano, opiewa bardzo pomyślnie: „Ojciec św. względnie spokojnie przepędził tę noc, spoczywając godzinę. Wiadomość o polepszeniu się zdrowia Jego Świątobliwości, wywołała głębokie, a błogie wrażenie. Wszyscy podziwiają u Dostojnego pacjenta ową niezmiernie silną łącznię duszy z ciałem — duszy pogodnej i heroicznej z ciałem na pozór mdłem i wątłem, ale posiadającem wielką siłę odporności i wytrzymałości". Nawet liberalne gazety Jego dłuższe życie istnym cudem nazywają. Po kościołach, bazylikach i kaplicach rzymskich modlą się wszędzie o przedłużenie życia Jego Świątobliwości, przy wystawionym na ten cel Najświętszym Sakramencie. Kapłani we Mszy odmawiają „modlitwę za chorego".

Dzisiejsze wydania południowe dzienników rzymskich donoszą, że życie papieża jeszcze ciągle znajduje się w niebezpieczeństwie. Może jutra nie doczekać...

A jak stoi sprawa nasza, sprawa Polonji Amerykańskiej? Choć się mało o niej w tych listach pisze (nie można bowiem wszystkiego o przebiegu tej sprawy pisać), jednak ciągle się nad nią energicznie pracuje. Drukarze dniem i nocą się uwijają — korekty staranne się robi — dziś, jutro, Memorjał wraz z dokumentami wyjdzie, mam nadzieję, gotowy z pod prasy. Gdyby Leon XIII umarł — czego nie daj Boże — mamy plan gotowy i na tę ewentualność. Nic bez zrządzenia Bożego. A niema tego złego na świecie, któreby na dobre nie wyszło, zwłaszcza temu, który chwałę i miłość Bożą i zbawienie bliźnich ma jedynie na oku. Miłującym Boga — powiedział Apostoł narodów — wszystko na dobre się obraca. Sprawa dobra musi przejść przez ogień i wodę, musi być wypróbowaną i — jeśli dobra — to pomimo prób i trudności nie upadnie, lecz wyjdzie z nich zwycięsko i tem większy na końcu triumf odniesie, im większe trudności miała do zwalczenia. Byle nie upadać na duchu, ale mężnie sobie poczynać... A z męstwem musi koniecznie łączyć się wytrwałość, ta „długomyślność", bo bez wytrwałości nie ostoi się prawdziwe męstwo.

Z jednej rzeczy jestem już dziś zadowolony, że udało mi się od Ojca św. Leona XIII uzyskać Błogosławieństwo Apostolskie dla

tych osób, które mię o to prosiły, oraz poświęcenie różańców, krzyżyków itp.

Do Watykanu nie wpuszczają nikogo od czasu jak Leon XIII wczorajszej nocy tak bardzo zasłabł i Ostatnie Olejem św. Namaszczenie przyjął. Niezmiernie również szczęśliwym się czuję, żem widział jeszcze tego czcigodnego watykańskiego Starca, Leona XIII, na Konsystorzu publicznym, przed dwoma tygodniami, dnia 25 czerwca b. r. Był to ostatni jego publiczny występ.

Alumni Kolegjum Polskiego 1 lipca wyjechali na wakacje do willi w Albano Laziale. Kolegjum opróżniało i ja tam dłużej mieszkać nie mogłem. Musiałem zamieszkać w hotelu, bo dom OO. Zmartwychwstańców na Sebastianello także jest przepełniony.

Nieprawdą jest, że Kongregacje Rzymskie już z początkiem lipca rozpoczynają wakacje. Wakacje Kongregacyj Rzymskich rozpoczynają się dopiero 19 września, a trwają do 5 listopada — jak mi powiedział ks. Antonucci. Mamy więc dosyć czasu.

Nasz hotel d'Allemagne znajduje się blisko gmachu Propagandy. Tuż za Propagandą stoi kościół „S. Andrea delle Fratte" z cudowną Madonną, przed którą żyd Ratisbonne roku 1842 się nawrócił. Przed tym cudownym obrazem miałem dziś Mszę św. W zakrystji spotkałem lubianego powszechnie rodaka naszego ks. Azbiewicza, oprowadzającego właśnie jakiegoś pątnika z Warszawy. Typowa to postać, patrjarcha duchowieństwa polskiego w Rzymie. Kochany ks. Azbiewicz od 25 lat pełni dobrowolnie i bezinteresownie obowiązki przewodnika ludu polskiego, przybywającego do Rzymu. Prawdziwy to Mojżesz pielgrzymów polskich.

Idąc ulicami Rzymu, człowiek mimowoli baczniejszą uwagę zwraca na to, co starodawne, choć brzydkie, niż na to co nowożytne, choćby najpiękniejsze. Bo piękne i wspaniałe gmachy można wszędzie na świecie widzieć; ale rzeczy tak starożytnych, jak w Rzymie, nie znajdziesz wszędzie. Ze starych świątyń pogańskich przechowało się tu do dziś coś 20. Ze starożytnych bram albo łuków triumfalnych przechowało się ośm, a między tymi „Łuk Tytusa" na ulicy „Via Sacra", pomiędzy Forum Romanum a Koloseum. Wystawił go r. 70 po Chr. senat rzymski Tytusowi po zdobyciu Jerozolimy i Judei. To też Żydzi przez tę bramę Tytusa nigdy przechodzić nie chcieli. Wyrobili sobie nawet pozwolenie zrobienia przechodu obok tej bramy. A i dziś żaden Żyd nie przejdzie przez ten Łuk Tytusa, lecz omija go z daleka, nie bez splunięcia.

16. Audjencja u Prefekta Propagandy Kardynała Gotti.

Rzym, poniedziałek, 13 lipca 1903. — Dzień dzisiejszy, dzień dwudziesty od naszego przyjazdu do Rzymu, jest epokowym z czasu pobytu naszego w Rzymie. Sprawa nasza, sprawa Polonji amerykańskiej, została dziś już urzędowo i formalnie wdrożona: została dziś już przedłożona Stolicy Apostolskiej w osobie „Czerwonego Papieża", Jego Eminencji kardynała Gotti'ego, Prefekta Propagandy, pod którego bezpośrednią juryzdykcją Kościół w Stanach Zj. dotychczas się znajduje. Propagandą — nazywa się krótko Kongregacja Rozkrzewiania Wiary.

Otóż — żeby jaśniej się wyrazić — dziś, o godzinie dziesiątej przed południem, ja i pan Mahany przez rzeczonego Prefekta Propagandy zostaliśmy bardzo serdecznie, grzecznie i — powiem — przyjaźnie przyjęci. Listy, uwierzytelniające naszą misję, zostały Prefektowi Propagandy doręczone już wczoraj. O naznaczonej godzinie dziesiątej stawiliśmy się dziś w sali recepcyjnej w gmachu Propagandy (tuż blisko naszego hotelu). Nie czekaliśmy ani minuty. Po ukłonach Jego Eminencja ks. kardynał Gotti kazał nam zająć krzesła tuż blisko siebie. Wręczyłem mu dwa ozdobne egzemplarze naszych „Supplices Preces" („Pokornej Prośby"), mówiąc:

— Eminencjo, racz przyjąć tę Pokorną Prośbę naszą i spraw to, by Polonja amerykańska reprezentowaną była w hierarchji kościelnej.

Poczem — dalej po łacinie mówiąc — wyłuszczyłem sprawę, o którą nam chodzi. Kardynał Gotti, stawiał pytania, na które dawałem mu odpowiedzi. Następnie tłumaczyłem mu zdania angielskie pana Mahany'ego. Prefekt Propagandy Gotti wysłuchał wszystko z największą uwagą. Nakoniec rzekł:

— Causa vestra est justissima, sed etiama gravissima. Sprawa wasza jest bardzo słuszna, ale i bardzo ważna. I dlatego będzie wszechstronnie rozważona na następnem posiedzeniu Kongregacji Kardynałów, a ostatecznie zostanie Ojcu św. przedłożoną do decyzji.

Audjencja ta u Prefekta Propagandy, J. E. kardynała Gotti'ego, trwała 25 minut. Potem również u sekretarza (biskupa) Prefekta Propagandy mieliśmy półgodzinne posłuchanie. Słyszeliśmy od wiarygodnej osoby, że audjencje te wywarły tak na Prefekcie Propagandy, jak i Jego sekretarzu, jak najlepsze wrażenie. Tyle tymczasem powiedzieć mogę.

I tyle jeszcze powiem — co nasz rzymski doradca nam powiedział — że choć sprawa nasza dobrze rozpoczęta i „dimidium facti qui bene coepit habet“ — to jednak trzeba nam jeszcze dłuższy czas w Rzymie pobyć, żeby sprawę dobrze rozpoczętą, dobrze także do końca doprowadzić. Zwłaszcza wobec niepewności życia Leona XIII dłużej nam trzeba będzie zaczekać. Dla mnie to nie miła perspektywa — bo wśród skwaru letniego nieprzyjemnie tu w Rzymie siedzieć — ale cóż robić? Dla dobra publicznego trzeba się poświęcić. Niema na to rady. W Rzymie wszystko powoli idzie. To znana rzecz.

Mój towarzysz, pan Mahany, bardzo zadowolony z dzisiejszej audjencji. I ja także.

W środę, 8 lipca, cały dzień i do północy pracowaliśmy z ks. Antonuccim nad ostateczną poprawką Memorjału, któremu ostatecznie nadaliśmy taki tytuł:

„Supplices Preces Suae Sanctitati Leoni Papae XIII. Ad Episcopos Polonos in Rebuspublicis Foederatis Americae Septentrionalis Pro Gente Polona Obtinendis“ (Pokorna Prośba do Jego Świątobliwości Papieża Leona XIII o uzyskanie Biskupów Polskich dla Narodu Polskiego w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki).

W czwartek, 9 lipca całe popołudnie znowu przesiedziałem w rzymskiej drukarni i przeglądałem pilnie cały drukowany Memorjał wraz z dokumentami, żeby wypędzić z niego wszystkie „djabliki“ zecerskie. Cała ta „Pokorna Prośba“ wraz z dokumentami zajmuje 50 drukowanych stronic rzymskiego formatu. Poświadczenia majorów amerykańskich są podane w oryginale i obok w tłumaczeniu łacińskiem.

Wracając z drukarni, zapoznałem się z panem Croke, znanym korespondentem milwauckiego „Catholic Citizen“.

W piątek wieczór 10 lipca wreszcie przysłano mi sto egzemplarzy gotowych, oprawnych, do hotelu mojego. Trzy ozdobne, w czerwonej oprawie, dla Prefekta Propagandy kardynała Gotti'ego, tak zwanego „Czerwonego Papieża“.

Tę naszą audjencję gazeciarski kabel roztrąbił po całej Ameryce.

O audjencji u Prefekta Propagandy uwiadomiłem także listownie Wydział Wykonawczy w Chicago. Skutkiem tego Wydział

Wykonawczy rozesłał do wszystkich księży następujący list okólny.

Chicago, 28 lipca 1903.

Wielebny Księże Dobrodzieju!

Wiadomem Mu jest zapewne, że delegacja w sprawie biskupów polskich dla Ameryki wybrana przez II Polsko-katolicki Kongres znajduje się w Rzymie i że tam robi energiczne starania około przeprowadzenia powierzonej sobie sprawy.

Co się tyczy rezultatu owych starań, to jak się dowiadujemy z przesłanego przez Wiel. ks. Kruszkę i p. Mahanego pisma, Delegacja miała audjencję u Prefekta Propagandy, wręczyła mu swój memorjał i otrzymała od niego przyrzeczenie, że sprawa cała zostanie przedstawiona Kongregacji Propagandy na plenarnem zebraniu w miesiącu sierpniu b. r., zaś ostatecznie załatwioną zostanie na następnem zebraniu plenarnem Kongregacji, mająca się odbyć w miesiącu listopadzie.

Postawiwszy sprawę na dobrej drodze, nasza Delegacja Rzymska uważa swój pobyt w Rzymie aż do ostatecznego jej załatwienia za koniecznie potrzebny. Tego wymagać ma, zdaje się, sama Propaganda. Przyjemność ta atoli wymagać będzie co najmniej 2,000 dolarów. O taką przynajmniej zapomóżkę Delegacja Rzymska Wydział Wykonawczy błaga.

Chcąc koniecznie Delegacji dopomóc, bo tego wymaga ważność sprawy i godność nasza narodowa, udajemy się do Was, Wiel. Ojcowie, z usilną prośbą o udzielenie choć małej zapomóżki dla reprezentantów naszej tak ważnej sprawy w Rzymie.

Sądzimy, że bez długich komentarzy i wywodów z naszej strony Wasze szlachetne i ofiarne serca kapłańskie zrozumieją potrzebę ofiarności w celu powyżej wytkniętym, i że każdy z Was nietylko złoży swój datek na ręce nasze bezzwłocznie, ale nadto pobudzi do ofiarności na ten cel swych parafjan.

Takie żywiąc nadzieje, kreślimy się

z wysokim szacunkiem

Ks. F. M. Wojtalewicz, prezes.
St. Czaplewski, wiceprezes.
Ks. K. Sztuczko, C. S. C., sekr I.
Leon Szopiński, sekr. II.
Stanisław Lipowicz, skarbnik.

17. Audjencja u kardynała Rampolli i u innych kardynałów. — Leon XIII coraz słabszy.

Rzym, 14 lipca 1903.

Wczoraj wieczorem słabość Leona XIII była tak wielką, że sekretarz stanu kardynał Rampolla zawiesił swoje zwykłe audjencje i pospieszył do łoża chorego papieża. Między czekającymi w przedpokojach kardynała Rampolli, w tak zwanem jego „tabularium", bezpośrednio ponad pokojami, w których mieszka Leon XIII, byliśmy wczoraj wieczór i my, był ambasador hiszpański, był prymas zakonu Benedyktynów i opat klasztoru św. Anzelma w Rzymie, D. Ildebrando de Hemptinne, z którym zamieniliśmy kartki wizytowe i rozmawialiśmy przez czas czekania. Lecz kardynał Rampolla nikomu z nas audiencji nie udzielił, gdyż musiał pozostać przy boku coraz bardziej słabnącego papieża.

Trudno tu opisać to uczucie, jakie ogarniało nas w tych komnatach kardynała Rampolli. Bo oto tuż pod nami, tylko przez sufit, o jedno piętro niżej, leży ów Dostojny, przez cały świat uwielbiany Starzec watykański, Leon XIII, którego życie obecnie walczy ze śmiercią...

Podano nam księgę, do której obecnie imiona swe wpisują wszyscy, którzy życzą Leonowi XIII zdrowia i dłuższego życia. Wziął pióro prymas Benedyktynów i wpisał swe nazwisko. Potem pan Mahany obok swego nazwiska dopisał: „ad centum annos et ultra!", to znaczy, sto lat i dłużej niech żyje Leon XIII! Toż samo i ja uczyniłem.

Rzym, 15 lipca 1903. — Dziś wizytowaliśmy ośmiu kardynałów, w skład Kongregacji de Propaganda Fide wchodzących, wręczając każdemu nasze „Supplices Preces". Zaczęliśmy od kardynała Martinelli'ego, mieszkającego we wspaniałym pałacu Borghese na Via Condotti, tej samej ulicy co nasz hotel.

Jutro odwiedzimy resztę kardynałów Kongregacji Propagandy. W skład Kongregacji Propagandy wchodzi 16 kardynałów i to: Gotti; Agliardi, Palazzo della Cancelliaria; Oreglia, via Nazionale 149; Vannutelli Serafino, via Monte Giordano 34; Vannutelli Vincenzo, via Giulia 147; Rampolla; Satolli, in Laterano; Cretoni, via del Sudario 14; Martinelli, Palazzo Borghese; Steinhuber, via die S. Nicola da Tolentino 8; Segna, via di Ripetta 102; Pierotti, via Pie di Matino 6; Vives y Tuto, via Boncopagni 160; Della Volpe, via Monserrato 43; Cassetta, piazza di S. Maria Maggiore 17; Mathieu, mieszkający w willi Wołkońskiego.

Dotychczasowe wrażenia ustaliły mię tylko jeszcze w tem mojem mocnem skądinąd przekonaniu, że sprawa Polonji amerykańskiej prędzej czy później zostanie uwieńczona sukcesem.

O 7-ej wieczorem manuduktor naszej sprawy ks. Antonucci, przybywszy do hotelu, oznajmił nam, że jeszcze dziś wieczór mamy mieć posłuchanie u J. E. kardynała Rampolli we watykańskim pałacu. Udaliśmy się tam bez zwłoki.

Z dziedzińca św. Damazego, tym samym, co przedwczoraj elewatorem (ascensore zwanym po włosku) watykańskim wznieśliśmy się na najwyższe piętro pałacu papieskiego, na którem sekretarz stanu kardynał Rampolla ma swoje „tabularium", sale do przyjęć i t. d. W jednym z przedpokoi spotkaliśmy się z prywatnym sekretarzem kardynała (późniejszym papieżem Benedyktem XV), który nam powiedział, że Jego Eminencja kardynał Rampolla jeszcze bawi przy boku chorego papieża, lecz że wnet przyjdzie.

Tymczasem ów zacny ksiądz sekretarz (obecnie papież Benedykt XV) był tak łaskaw oprowadzić nas po wszystkich pokojach i salach kardynała Rampolli. Widzieliśmy więc nietylko zwykłą salę przyjęć (w której niebawem mieliśmy mieć posłuchanie), lecz nadto ofis czyli biuro kardynała Rampolli, dalej salę do przyjęcia królów i cesarzy. Tu w tej sali Królewskiej (gdzie 15 kwietnia 1904 r. dał mi ostatnie posłuchanie papież Pius X) znajduje się prześliczna rzeźba, przedstawiająca Chrystusa w łódce z Apostołami, jak podniesionemi rękami uspokaja morze wzburzone. Widzieliśmy wreszcie i salę jadalną, w której się daje uczty książętom, królom i cesarzom. Doprawdy, było co widzieć.

Nareszcie o 9-ej godzinie wieczorem nadszedł ks. kardynał Rampolla. I w chwilę potem przypuszczeni zostaliśmy przed jego oblicze. Mężczyzna to wysoki, silnie zbudowany, o czarnych włosach i wyrazistych rysach twarzy. W krótkich i treściwych słowach, jak zwykle po łacinie, przedstawiłem mu sprawę, o którą nam chodzi. Kardynał Rampolla stawiał pytania, na które mu dawałem odpowiedzi. Widać było, że interesował się naszą sprawą bardzo. Wkońcu przyznał, że sprawa to bardzo ważna i dlatego nie da się odrazu załatwić; lecz miejmy tylko cierpliwość — cierpliwością zdobywa się wszystko.

Przy pożegnaniu kardynał Rampolla uścisnął rękę pana Mahany'ego tak silnie i serdecznie, że — powiada p. Mahany — „długo popamięta ten uścisk".

Po naszem wyjściu, manuduktor nasz ks. Antonucci (jak zwykle) miał poufną rozmowę z kardynałem o naszej sprawie. Mamy mieć u kard. Rampolli jeszcze jedno posłuchanie, dla obszerniejszego omówienia sprawy. Papież coraz słabszy. Rampollę wołano znowu do łoża chorego Leona XIII.

Zadowoleni byliśmy z tej audjencji. Rzadka to rzecz, teraz podczas choroby papieża, uzyskać posłuchanie u kardynała Rampolli, który, jako sekretarz stanu, jest prawą ręką papieża. Zadowoleni więc z tej audjencji, oraz z zaproszenia na drugą, powróciliśmy krótko przed 10 godziną wieczór do hotelu, gdzie razem z ks. Antonuccim i panem Croke, spożyliśmy późny tego dnia obiad.

Słyszałem, że jeden z kardynałów, i to „papabilis" (taki, który może papieżem zostać), wyraził się, że choć sprawa nasza w praktyce trudna jest do przeprowadzenia, to jednak koniecznie trzeba coś zrobić dla Polonji amerykańskiej.

18. Jednego dnia 20 lipca 1903 umarł papież i umarł arcybiskup mój. — Ale sprawa nasza nie umarła. — Czas, aby Polakom w Ameryce sprawiedliwość się stała, rzekł kardynał.

Rzym, 20 lipca 1903. — Leon XIII nie żyje!... Umarł dziś o godzinie 4-ej po południu. A tego samego dnia, w cztery godziny potem zmarł mój arcybiskup, Fryderyk Katzer, jak mi to nazajutrz nadesłany z Milwaukee kablogram zwiastował.

Rzym, 21 lipca 1903. — I arcybiskup Katzer umarł!... Grom za gromem... Smutne wieści.

„Sen mara — Bóg wiara", mówi przysłowie. W sny nie wierzę ani nie lubię o nich opowiadać. Atoli sen, jaki wczorajszej nocy miałem, był tak żywy, ciekawy i interesujący, że nie mogę nie opowiedzieć go. Oto widziałem we śnie ś. p. ks. Idziego Tarasiewicza, leżącego w trumnie. Trumna stała w jakiejś zakrystji, tuż blisko okna. Nagle nieboszczyk podnosi się z trumny, otwiera własną ręką okno, potem siedząc w trumnie, tak jak to często zwykł czynić w swem łóżku, przyłożył palec do ust i rzekł: „Teraz będziemy mieli świeższe powietrze, będzie nam lżej oddychać". Po tym śnie natychmiast przebudziłem się. Po chwili znowu zasnąłem i po raz drugi ten sam sen miałem. Po tym drugim śnie obudziłem się na nowo i już więcej tej nocy spać nie mogłem. Zachodziłem w głowę, coby miał znaczyć ten dziwny, po dwakroć powtarzający się sen? że nieboszczyk z trumny podniósł się, otworzył okno (które

z trumny mógł dosięgnąć, gdyż blisko było) i powiedział: „Teraz będziemy mieli świeższe powietrze, będzie nam lżej oddychać".

Najpierw tłumaczyłem sobie ten sen w ten sposób, że może dusza nieboszczyka właśnie w tej chwili wyzwoloną została z czyśćca, tego dusznego miejsca, i weszła do nieba, miejsca ochłody i świeżego powietrza. Lecz niebawem inaczej jeszcze wytłumaczyłem sobie ten dziwny sen: Polonja amerykańska, nie mając uznania w hierarchji kościelnej, dotychczas jakoby w dusznej znajdowała się atmosferze, a ś. p. ksiądz Idzi otworzył jej okno i teraz lżej oddychać będzie świeżem, zdrowem powietrzem. Istotnie bowiem, jeżeli sprawa nasza, sprawa równouprawnienia kleru, tu w Rzymie dotychczas szczęśliwy miała przebieg i jeszcze szczęśliwszy zapowiada rezultat: to szczerze to wyznaję, sobie w tym względzie nic nie przypisując, główną zasługę w tem ma nieboszczyk ksiądz Idzi, bo on to podał mi adres do ks. Antonucci'ego (krewny kardynała Serafina Vanutelli'ego), który rzeczywiście okazał się dzielnym i zręcznym manuduktorem sprawy naszej, dotychczas dobrze ją prowadził — i miejmy nadzieję — szczęśliwie ją do końca doprowadzi.

Rzym, 22 lipca. Rocznica śmierci kardynała Ledóchowskiego. Dzień św. Marji Magdaleny, miałem więc Mszę św. w jej kościele, blisko Panteonu. O północy Monsignorowie Marzoline i Angeli przewieźli sekretnie urnę z wnętrznościami Leona XIII z Watykanu do kościoła śś. Wincentego i Anastazego, przy Fontannie di Trevi. Na urnie tej — jak dodaje watykański organ „Voce della Verita" — umieszczono następujący napis:

„Praecordia S. Mem. Leonis Papae XIII. Obiit die XX: mense Julii, Anno MCMIII. — Pont. XXV."

Dzwony kościołów rzymskich nie robią wiele hałasu — nie huczą przeciągłym głosem, lecz dźwięczą urywanem biciem serca, — nie dzwonią we wszystkie dzwony razem, lecz uderzają w każdy dzwon z osobna, na kształt bicia zegaru.

Poszliśmy do bazyliki św. Piotra. Bazylika — wczoraj wieczór jeszcze otwarta — dziś była zamknięta. Przed wnijściem do bazyliki postawiono barjerę. Całe pułki wojska włoskiego otaczały plac św. Piotra, bazylikę i Watykan.

Rzym, 23 lipca. — Wstaliśmy rano i o godz. 6-tej byliśmy już na placu św. Piotra. Tłum ludzi. Niezliczone wojsko żołnierzy z ka-

rabinami stało rzędem i przestrzegało porządku przy wnijściu do bazyliki. Wpuszczano pojedyńczo. Natłok i ścisk ogromny przy barjerach. Dotarliśmy wreszcie do kaplicy Najśw. Sakramentu, odgrodzonej kratami od reszty bazyliki. Tuż za kratami widzieliśmy zbliska ciało Leona XIII, złożone na wspaniałym katafalku, wśród jarzących świec, otoczone strażą gwardji szlacheckiej i szwajcarskiej. Ciało, ubrane w białą jedwabną sutannę, w czerwony ornat ze złotą mitrą (nie tjarą) na głowie, spoczywa na karmazynowym aksamicie ze złotemi frendzlami, a leży nie poziomo lecz pochyło, tak że twarz zmarłego papieża doskonale widzieć można. Szlachetne rysy twarzy te same co za życia, lecz śmierć wycisnęła na dostojnem obliczu już swe piętno. Nie tak wyglądało to oblicze papieskie, gdy — właśnie cztery tygodnie temu — widzieliśmy je na publicznym Konsystorzu. Nogi z za krat nie są wysunięte do całowania dla gromadzących się tłumnie wiernych — jak to mylnie niektórzy mi opowiadali — są kilka stóp poza kratami, tak że nawet ręką niktby ich nie dosięgnął. W rękach zmarłego tkwi krzyż i różaniec.

Po obejrzeniu zwłok Leona XIII odprawiłem zaraz Mszę św. w tejże bazylice św. Piotra, przy ołtarzu św. Wacława, niedaleko kaplicy, w której leży ciało papieża. Myśleliśmy (było nas kilku księży), że odprawimy Mszę w czarnym kolorze, lecz powiedziano nam, że dziś „festu mduplex", więc trzeba się trzymać koloru dnia, t. j. koloru czerwonego (dziś Apolinarego, męczennika). Wogóle zauważyłem to, że w Rzymie tak często Mszy w czarnym kolorze nie odprawiają, jak to się dzieje u nas: tylko w „festum simplex" i „semiduplex" pozwalają używać czarnego koloru — a w inne dni robią wyjątek jedynie dla kapłana, który ciało zmarłego wyprowadza. Nawet frazes „praesente cadavere" nie ma tu tego znaczenia, jakie gdzie indziej (i u nas) mu przypisują. Mylnie też nasz lud sądzi, że Msza za zmarłego musi już koniecznie być w czarnym ornacie. Msza za dusze zmarłych może się odprawiać i w czerwonym, białym, fioletowym lub zielonym, stosownie do tego, jaki kolor ornatu tego dnia Kościół przepisuje. Owszem dusza, za przyczyną tego świętego (jak dziś św. Apolinarego), o którym przepisaną przez Kościół Mszę świętą się odprawia, prędzej (sądzę) z czyśćca wybawioną zostanie, niż bez przyczyny tego świętego. Czyż pomijanie tych Mszy — Świętych Pańskich przez Kościół w pewne dni przepisanych, nie jest lekceważeniem tej ich przyczyny i wstawiennictwa u Boga?...

Zdawało mi się z początku, że podczas „bezkrólewia“ aż do wyboru nowego papieża, będziemy musieli siedzieć zupełnie bezczynnie. Nie lubię bezczynności. Sama ta myśl, że sprawa nasza dwa do trzech tygodni pozostanie w zawieszeniu, że w tym czasie nic dla niej nie będę mógł uczynić, przerażała mię niezmiernie. Na szczęście, nawet podczas tego „interregnum“ bezczynnie tu siedzieć nie potrzebujemy. Oto dziś w południe wpadł znienacka do naszego hotelu zacny nasz manuduktor, oznajmiając nam, że stante pede mamy mieć posłuchanie u kardynała Wincentego Vanutelli'ego, a potem u kardynała Segna. Już to po raz wtóry. W kilka minut byliśmy gotowi. Posłuchanie u każdego z tych kardynałów trwało po pół godziny. Zapoznali się już z naszą sprawą i są przekonani o jej słuszności. Coś dla Polaków w Ameryce koniecznie uczynić trzeba. Rzym, sprawiedliwie postąpi; jeżeli, zanim decyzję wyda, odniesie się do przeciwników naszej sprawy w Ameryce, to jedynie dlatego, „ut etiam audiatur altera pars, sed non ut obediatur“. Rzym „proprio motu“ zadecyduje, nie oglądając się na krzyki przeciwników. Celem załatwienia naszej sprawy nie myśli nas odsyłać do biskupów amerykańskich — byłoby to bowiem „circulus vitiosus“, czyli „petitio principii“. Jeden z kardynałów myślał, że mamy już w Ameryce jednego biskupa polskiego i że nam chodzi tylko o więcej biskupów. Gdyśmy oświadczyli, że dwumiljonowa Polonja w Ameryce nietylko nie ma ani jednego biskupa, ale ani jednego wikarjusza generalnego, ani jednego prałata, nawet ani jednego monsignora — otworzył szeroko usta ze zdziwienia i zawołał: „Ach, to okropne, to niesprawiedliwe — czas już, żeby Polakom w Ameryce sprawiedliwość się stała!“ Wyszliśmy z tych audjencyj bardzo zadowoleni.

A więc ze śmiercią papieża sprawa Polonji amerykańskiej bynajmniej nie umarła, ani też pogrzebaną nie zostanie. A nietylko nie umarła, ale nawet w tym czasie „bezkrólewia“ nie śpi, żyje i żywo interesuje kardynałów.

Każdy prawie kardynał sądził dotychczas, że rząd waszyngtoński jest przeciwny naszemu ruchowi o biskupa polskiego. Każdemu dzielnie i wymownie pan Mahany wykazał jasno jak na dłoni, że rząd nietylko nie sprzeciwia się, lecz nawet chętnieby widział to, żeby ta dwumiljonowa ludność polska w Stanach Zjednoczonych miała swego reprezentanta, miała swoją głowę, z którą w razie potrzeby (jak np. w czasie strajków lub innych rozruchów) mógłby pertraktować; a taką głową — ponieważ ludność polska jest ka-

tolicką — może być tylko biskup, znający język i charakter i potrzeby tej ludności itd. itd.

W ten i podobny sposób omawiając sprawę z każdym z poszczególna kardynałem, wyrabia się pomału i nieznacznie to głębokie przekonanie, że nietylko jest słuszną ale i potrzebną rzeczą, żeby Polacy w Ameryce mieli biskupa polskiego. „Gutta cavat lapidem, non vi, ser saepe cadendo“ — kropla wydrąży nawet skałę, gdy często na nią spada. Często też jeszcze z niejednym kardynałem omawiać sprawę naszą będziemy.

19. Audjencje u kardynałów Agliardi, Martinelli, Serafino Vanutelli, Steinhubera i u Mgr. Mery del Val. — Byłem na pogrzebie Leona XIII-go. — Kardynał Puzyna obojętny dla sprawy naszej.

Rzym, 25 lipca 1903. — Dziś mieliśmy znowu posłuchanie u dwóch kardynałów: Agliardi'ego (w pałacu Kancelarji) i Martinelli'ego (w pałacu Borghese). Posłuchanie u kard. Agliardi'ego trwało dziś przeszło pół godziny. Spamiętał sobie doskonale nasze nazwiska, bo skorośmy weszli do sali recepcyjnej, przywitał nas uprzejmie słowami: „Salve Reverende Domine Kruszka — salve Domine Mahany!“ Poczem kazał nam siadać i sam o naszej sprawie rozpoczął rozmowę, z której odrazu było widać, że gruntownie zapoznał się ze sprawą Polonji amerykańskiej. Przeczytał nasze „Supplices Preces“ i sądzi, że nasza sprawa doczeka się sukcesu, gdyż wymagania nasze nie są wygórowane, lecz bardzo umiarkowane i mają podstawę rozumną. „Petitio vestra est valde moderata, et habet fundamentum rationale; ideoque — spero — successum habebit“... Te słowa powtarzał kilka razy w toku półgodzinnej rozmowy z nami.

Nakoniec kardynał Agliardi zagadnął nas:

— A byliście już u biskupów w Polsce?

— Nie jeszcze.

— Koniecznie musicie ich odwiedzić i uzyskać ich poparcie. Biskupi amerykańscy są wam przeciwni. Otóż, żeby zrównoważyć a raczej przeważyć ten sprzeciw amerykańskich biskupów, sprawa wasza wymaga silnego poparcia biskupów polskich.

Audjencja z kardynałem Martinellim trwała także około pół godziny. Sprawę Polonji amerykańskiej uważa za sprawiedliwą i bynajmniej przeciwnym jej nie jest, owszem jest dla niej przychylnie usposobiony. Jeśli jaka trudność zachodzi, to zachodzi w przeprowadzeniu naszej sprawy — sprawa bowiem sama w so-

bie (nie wątpi o tem) słuszną jest. Podobnie jak z kardynałem Sattolim, omówiliśmy z kardynałem Martinellim całą sprawę bardzo szczegółowo i starannie, gdyż zdanie tych dwóch kardynałów na plenarnem posiedzeniu Kongregacji kardynałów de Propaganda Fide będzie miało najwięcej wagi. Obydwaj, uznając w zasadzie i słuszność i ważność naszej sprawy, znajdą niezawodnie i sposób, w jakiby usunąć trudności w przeprowadzeniu tej sprawy. Na wszystko bowiem jest sposób, byle chęci nie zbrakło. Chcącemu nic nie trudno. Wrażenie z audjencji u kardynała Martinelli'ego wynieśliśmy lepsze, niżeśmy się spodziewali.

Do naszego hotelu d'Allemagne przybył z Ameryki ks. Cleary z Reading, Pa., sąsiad ks. Małuseckiego. Razem z nim dziś wieczór pojechaliśmy do bazyliki św. Piotra na pogrzeb papieża Leona XIII-go. Zwłoki Leona XIII były wystawione przez trzy dni w kaplicy N. Sakramentu, a dziś wieczór o godzinie 9:30, po długiem nabożeństwie i ceremonjach przy współudziale kardynałów, umieszczone w potrójnej trumnie ciało Leona XIII wstawiono we framugę nad drzwiami w bazylice, prowadzącemi do szatni śpiewaków papieskich, tuż na prawo od kaplicy Chórowej. Tu trumnę w oczach naszych zaraz zamurowano (około 20 mularzy w czapkach i z kielniami było przy tem czynnych). Cały ten pogrzeb papieża był bardzo prozaiczny. Zwłoki Leona XIII będą tu spoczywały tak długo, dopóki nie będzie ukończony dla nieboszczyka grób w bazylice Lateraneńskiej (tam bowiem Leon XIII jeszcze za życia swego obrał sobie miejsce wiecznego spoczynku).

Na pogrzeb Leona XIII do bazyliki św. Piotra wpuszczano tylko za biletami. Mój bilet nosił numer 1816 i tak brzmiał:

Sede Vacante.

Permesso d'ingresso nella Basilica Vaticana per assistere alla Tumulazione della Salma del Sommo Pontefice LEONE XIII. Sabato 25. Luglio alle ore 7. pom.

Dal Vaticano, 24 Luglio 1903.

(Pieczęć Watykanu) Il Maggiordomo dei SS. P. P. A. A.
O. Cagiano de Azevedo.

Tu w bazylice św. Piotra, przy końcu obrzędów pogrzebowych, podczas aktu zamurowywania trumny papieskiej, spostrzegłem wśród tłumu dwie znajome mi dobrze twarze, mianowicie ks. Weihera i ks. Ruhmana, obydwóch z archidiecezji Milwauckiej.

Nie słyszeli jeszcze nic o śmierci arcybiskupa swego, dopiero ode mnie się dowiedzieli.

Rzym, 26 lipca 1903. — Dziś w dzień św. Anny, w ósmą niedzielę po moim wyjeździe z Ripon, punkt o 12-ej godzinie w poł. odprawiałem Mszę św. w Panteonie, wybudowanym roku 27 przed Chrystusem przez Marka Agryppę na cześć Jowisza Mściciela, a poświęconym roku 610 po Chrystusie przez papieża Bonifacego IV-go na kościół N. Marji P. Królowej Męczenników. Mszę św. miałem przy ołtarzu, na którym stoi posąg N. Marji P. zwanej „Madonna del Sasso", tuż blisko grobu sławnego malarza Rafaela.

O kardynale Gibbons piszą gazety, że stara się, by przyszły papież mianował więcej amerykańskich i innych narodowości kardynałów, a nie samych Włochów. Wykazuje on nieproporcjonalność w reprezentacji „Powszechnego" (t. j. katolickiego) Kościoła: 38 kardynałów jest włoskiej narodowości, a tylko 24 wszystkich innych narodowości. Doskonały to argument dla naszej sprawy równouprawnienia kleru polskiego w Ameryce... Skorzystamy z tego argumentu...

Kardynał Puzyna z Krakowa przyjechał przedwczoraj do Rzymu na konklawe. Kardynał Agliardi pytał mię wczoraj, podczas audjencji, czy już odwiedziłem kardynała Puzynę? Odpowiedziałem, że jeszcze nie, bo nie uważałem ten czas za stosowny, lecz że to przy najbliższej sposobności uczynię. Kardynał Agliardi radził mi to bardzo, wyrażając nietylko nadzieję, lecz prawie pewność, że J. E. kardynał Puzyna wiele dla sprawy Polaków uczynić może i też uczyni, bo ma serce szerokie, o czem nigdy nie wątpiłem i nie wątpię. Czekam tylko pory stosownej. J. E. kardynał Puzyna zamieszkał wraz ze świtą swoją w Kolegjum polskiem.

Wieczorem byliśmy w pałacu watykańskim i mieliśmy długą, trzy kwadranse trwającą audjencję u nowo kreowanego sekretarza konklawe, Msg. Mery del Val, który jest prawą ręką kardynała kamerlinga Oreglia i po wyborze nowego papieża niezawodnie zostanie kardynałem. Urodził się w Londynie z ojca posła hiszpańskiego i matki Angielki. Mówi płynnie po angielsku, więc też w angielskim języku przedstawiliśmy mu całą sprawę naszą „in extenso", którą też bardzo się interesował. Pan Mahany z werwą i namaszczeniem oratorskiem w żywych barwach przedstawił mu położenie Polaków w Stanach Zjednoczonych. Mgr. Mery del Val jestto bardzo sympatyczna osobistość. Przy pożegnaniu odezwał się do mnie słowem polskiem „Dobranoc" i powiedział mi zarazem

następujące zdarzenie: — „Kiedym raz przejeżdżał przez Kanadę, spotkałem na dworcu gromadę Polaków. Znając kilka wyrazów polskich, odezwałem się do nich słowami: Dzień dobry! O jakże ci Polacy ucieszyli się, gdy usłyszeli ode mnie słowo polskie!“ Korzystając z chwili, rzekłem mu zaraz: „Monsignore, a jakże dopiero cieszyliby się Polacy w Ameryce, gdyby z ust biskupa usłyszeli słowo Boże w polskim języku!“ I to był ostatni argument. Żegnając nas, przyrzekł uczynić, co tylko w jego mocy, dla naszej sprawy. Prosił, byśmy mu przysłali kopję naszych „Supplices Preces“. Bardzo serdecznie nas przyjął Mgr. Mery del Val, bardzo się naszą sprawą interesuje i bardzo życzliwie dla niej jest usposobionym.

Rzym, 27 lipca 1903. — Dziś rano o godzinie 8:45 mieliśmy audjencję, której bardzo pragnęliśmy, mianowicie audjencję u J. E. kardynała Serafina Vannutelli'ego. Słyszeliśmy już poprzednio, że kardynał Serafino Vannutelli bardzo sprzyja naszej sprawie; pomimo to, nigdy nie spodziewaliśmy się tak żywego zainteresowania się sprawą naszą, tak przychylnego dla niej usposobienia, tak szczerego, uprzejmego i powiem, serdecznego przyjęcia, jakiego rzeczywiście doznaliśmy. Witając nas, zaraz na wstępie odezwał się do mnie w te słowa: „Tu scripsisti hunc supplicem libellum, has Supplices Preces? Ah! bene scripsisti. Perlegi totum. Delectat me tuus libellus. Optime, excelentissime causam Poloniae proposuisti. Congratulor tibi!... (Tyś pisał tę dobrze ułożoną prośbę? Ah! dobrze pisałeś! Przeczytałem wszystko. Podoba mi się twój styl. Bardzo dobrze, świetnie przedstawiłeś sprawę Polski. Winszuję ci.)

Wziął mię za rękę, posadził na krzesło i siadłszy tuż blisko mnie, zaczął z nami omawiać sprawę Polonji Amerykańskiej żywo i obszernie, przytem życzliwie i przychylnie, a z tak gruntowną znajomością rzeczy, jak gdyby ją całą extra przestudjował. Rozmowa — to ze mną, to z p. Mahany'em — trwała 35 minut, „Petitio vestra est satis moderata, non petitis multum“, mówił między innemi. A na końcu, przy pożegnaniu: „Nolite dubitare — rzekł — aliquit faciendum est pro Polonis in America et fiet. Ego faciam pro vobis, quidquid in mea potestate est“. (Nie powątpiewajcie, że co tylko może być zrobionem dla Polaków w Ameryce, zostanie zrobione. Będę pracował dla was, ile będę mógł.)

Od kardynała Serafina Vanutelli'ego pojechaliśmy do pałacu watykańskiego, by Msg'owi Mery del Val (jak to mu wczoraj przyobiecaliśmy) wręczyć kopję naszych „Supplices Preces“. Mularze we Watykanie wciąż pracują nad zamurowaniem korytarza i kruż-

ganków, stolarze robią przegródki: wewnątrz Watykanu widzisz tu kupy cegły, piasku i wapna, tam belki i deski, ówdzie malarze zamalowują szyby w oknach, żeby przez nie nic nie było widać — słowem, praca to przygotowawcza dla mającego się odbyć wkrótce konklawe. Na dziedzińcu św. Damazego widzieliśmy zajeżdżające karety z kardynałami. Kardynałowie zbierają się na konferencję. Te konferencje kardynałów, od śmierci papieża aż do konklawe, odbywają się teraz codzień rano od godziny 10-ej do 12-ej (czasem dłużej).

Dziś po południu od 5-ej do 6:30 mieliśmy przez całą godzinę posłuchanie u J. E. kardynała Steinhubera, roztrząsając z nim całą sprawę bardzo obszernie, szczegółowo i gruntownie. Stawiał bardzo wiele pytań, między innymi także i to pytanie, kogobym uważał za najodpowiedniejszego na biskupa w Ameryce. Kardynał Steinhuber, już nieco zgarbiony staruszek, miał na sobie swoją jezuicką suknię zakonną i tylko czerwona piuska na głowie oznaczała jego godność kardynalską. Życząc mu, by ta czerwona piuska zamieniła się w białą, zakończyliśmy tę długą audjencję, bardzo z niej zadowoleni.

Wieczorem od 7:30 do 8:25 omawialiśmy sprawę Polonji amerykańskiej z J. Em. kardynałem Vives y Tuto, Hiszpanem, kapucynem. Z panem Mahanym rozmawiał po hiszpańsku, przypominali sobie obaj rzeczpospolitą Ecuador (czynił to dziś rano i kardynał Serafino Vannutelli, który także bawił jakiś czas w Ecuadorze). Po krótkiej tej dygresji, wracając do rzeczy, powiedział, że z naszych „Supplices Preces" widzi, że sprawa Polonji amerykańskiej jest bardzo ważną i poważną i musi być wszechstronnie zbadana na plenarnem posiedzeniu kardynałów. On swoją powinność uczyni. Zażądał od nas wyjaśnienia niektórych szczegółów statystycznych, ruchu niezależnego itp. itp.

Oprócz powyższych, odwiedziliśmy dziś także czterech innych kardynałów, nie wchodzących w skład kongregacji de Propaganda Fide, mianowicie: kardynała Puzynę, kardynała Svampę, kardynała di Pietro i kardynała Gibbons (zamieszkałego we francuskiem Kollegjum św. Sulpicjusza), u każdego zostawiając nasze „Supplices Preces" z kartkami wizytowymi.

Kardynałów Gibbonsa i Puzyny nie było dla nas w domu. Kardynał Puzyna wcale nic nie chciał słyszeć o naszej sprawie, mówiąc:

— Co mię tam Polacy w Ameryce obchodzą! Mam swoją diecezję krakowską i tą się zajmuję.

Ówczesny sekretarz kardynała Puzyny, ks. Bandurski, bardzo grzecznie z nami rozmawiał i ubolewał nad tem, że kardynał Puzyna tak ważną dla Polonji sprawą nie chce się zajmować.

20. Audjencja u kardynała Pierotti. — Wycieczka w okolice Rzymu. — Pomoc pieniężna od Wydziału i Stowarzyszenia Księży.

Rzym, 28 lipca 1903. — Rano o godzinie 8:30 uzyskaliśmy audjencję u J. E. kardynała Pierotti, Dominikanina. Doznaliśmy bardzo grzecznego przyjęcia. Oświadczył, że choć sam jeden nie może wszystkiego uczynić, jednak na plenarnem posiedzeniu kardynałów uczyni dla sprawy Polonji amerykańskiej, co tylko będzie w jego mocy.

Na tem zamknęliśmy dziś wizyty kardynałów. Zbliżające się konklawe nie pozwoli nam przez jakiś czas na dalsze wizyty kardynałów, lecz pomimo to i w tym czasie nie będziemy tu siedzieć bezczynnie. Odwiedzimy Generałów zgromadzeń zakonnych (z Generałem Karmelitów już mieliśmy rozmowę), Prokuratorów Generalnych, Rektorów i inne wpływowe osobistości. „Nulla dies sine linea“ — każdego dnia coś trzeba zrobić.

Z czternastu kardynałów, tworzących Kongregację de Propaganda Fide, dotychczas w dłuższej audjencji wyczerpująco omówiliśmy sprawę Polonji amerykańskiej z tymi 11 kardynałami: Gotti, Rampolla, Vincenzo Vannutelli, Agliardi, Serafino Vannutelli, Satolli, Martinelli, Steinhuber, Segna, Pierotti, Vives y Tuto. Jak na ten czas przed konklawe, to dość. Pozostaje jeszcze trzech kardynałów: Oreglia, Cretoni i della Volpe, u których po konklawe audjencje mieć będziemy — oraz u kardynała Rampolli (na własne jego życzenie) drugą audjencję.

Dotychczas sprawa jak najlepiej stoi. Ks. Antonucci ani nie wątpi o pomyślnym jej wyniku.

Rzym, 29 lipca 1903. — Wczoraj, po ostatniej przed konklawe audjencji z kardynałami, postanowiliśmy dla rozrywki zrobić wycieczkę w okolice Rzymu. Koleją jechaliśmy do Albano Laziale (starożytnej Alba Longa), gdzie we willi Polskiego Kolegjum podejmował nas bardzo gościnnie Przew. Ks. Rektor Czorba, C. R.

Około 6 wieczór z Albano L. wyruszyliśmy na osiołkach do Frascati, czyli starożytnego Tusculum, gdzie Cycero miał ongi

swoją willę. Jechaliśmy przez Castel Gandolfo, gdzie zwiedziliśmy przepyszną willę Kolegjum amerykańskiego. Dalej przez Marino i Grotta Ferrata przybyliśmy nareszcie o 9:30 wieczorem do Frascati. Jechaliśmy we trzech: p. Mahany, ks. Cleary z Reading, Pa. i ja. Mój osiołek był bardzo uparty i często mi stawał w drodze. Poganiacz musiał go ciągle batem popędzać. Ale i wtedy uparty osioł, zamiast iść prosto naprzód, szedł raz ku lewemu, drugi raz ku prawemu rowowi drogi.

Gdyśmy minęli Marino, ciemno się zrobiło zupełnie, tem ciemniej, że jechaliśmy przez gęsty las. Strach nas opadł przed zbójami włoskimi. Atoli otuchy nam dodali żandarmi, to piesi, to konni, których niemal co dziesięć minut po drodze napotykaliśmy. Bezpieczeństwo publiczne we Włoszech dziś większe niż dawniej.

Przenocowawszy we Frascati, w hotelu de Londres, dziś raniutko o 6-ej godzinie ruszyliśmy pod górę na miejsce starożytnego Tusculum i zwiedziliśmy ruiny amfiteatru i willi Cycerona. Po drodze zatrzymaliśmy się w Mondragone, niegdyś pałacu Borghesów (Pawła V) a dziś Kolegjum jezuickiem.

Z Frascati o 10:30 przed południem wyjechaliśmy powozem do Tivoli, starożytnego Tibur, gdzie poeta Horacy miał swoją willę. Tivoli widać było z Tusculum i zdawało się być blisko. Myśleliśmy, że w godzinie tam zajedziemy. Była to atoli iluzja optyczna, tak zwyczajna w górskich okolicach. Podróż ta, przez góry Albańskie i przez równą jak stół kampanję rzymską, trwała pięć godzin. Wróciliśmy wieczorem koleją do Rzymu. Tomy możnaby pisać o tej wycieczce.

Spotkałem się z ks. Nawrockim z Brooklynu, który od kilku dni bawi w Rzymie. Ks. Wagner, polski kapłan katecheta z Charkowa, odwiedził nas w hotelu z O. Kobrzyńskim.

Rzym, 30 lipca 1903. — Wieczorem zakończenie żałobnego nabożeństwa za zmarłego Leona XIII.

Był u nas pan Croke, korespondent gazet w Irlandji i milwauckiego „Catholic Citizen“. Dziś z ks. Antonuccim układaliśmy adres czyli krótki memorjał do nowego Papieża. Adres ten będzie wydrukowany zaraz po wyborze nowego Papieża i dołączony do „Supplices Preces“.

Dnia 28 lipca 1903 pisał mi ks. K. Sztuczko z Chicago w imieniu Wydziału Wykonawczego co następuje:

Wiel. Ks. W. Kruszka

w Rzymie.

Wiel. Księże Dobrodzieju!

Listy Jego otrzymałem. Z mojej strony będę robił wszystko co jest możliwem, aby funduszów Wam przysporzyć. W tej chwili miałem krótką konferencję z p. Szopińskim. On też poczuwa się do obowiązku udzielenia Wam swojej pomocy. Dziś wieczorem będzie miał posiedzenie z urzędnikami Zjednoczenia. Pieniądze, które przyrzekli Wam wypłacić na podróż do Rzymu, zdaje mi się, zostaną przesłane do rąk Waszych bezzwłocznie. Telefonowaliśmy do ks. Nawrockiego, prezesa Stowarzyszenia Księży Świeckich. Przyrzekł zaszczycić nas swoją obecnością dziś po południu. W tej chwili rozpoczynam odezwę do księży z prośbą o łaskawą pomoc dla Was. Życząc Wam powodzenia, kreślę się

z wysokim szacunkiem

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.

21. Konklawe. — Cmentarz Kapucynów. — Historyczny dym przy wyborze nowego papieża. — Entuzjazm tłumów na placu św. Piotra. — Pierwsze błogosławieństwo nowego papieża Piusa X.

Rzym, 31 lipca 1903. — Rozpoczyna się konklawe. Kardynałowie zamknięci — nie wyjdą z Watykanu, dopóki nie obiorą nowego papieża.

Dziś, w dniu św. Ignacego Lojoli, byliśmy na uroczystej Sumie w kościele jezuickim „Gesu", gdzie ciało tego świętego spoczywa. Podwójny chór, na dwóch przeciwległych balkonach, prześliczne kantaty wykonał.

Rzym, 1 sierpnia 1903. — W kościele św. Piotra w Okowach, gdzie dziś Mszę odprawiłem, spotkałem się z zacnym polskim kapłanem, ks. Volkmer z Warszawy.

Pierwsze głosowanie na papieża odbyło się dziś, w sobotę, rano o 10-tej godzinie. Staliśmy na placu św. Piotra, czekając na rezultat. O godzinie 11:15 przed południem (u was była godzina 3:15 rano) dym, wychodzący z owej historycznej rury, sterczącej na dachu kaplicy Sykstyńskiej, wskazał nam, że przy pierwszem głosowaniu nie obrano papieża.

Po południu o godzinie 5-ej odbyło się drugie głosowanie, a o godzinie 6:10 wieczór, zamiast nowego papieża, ujrzeliśmy tylko znowu dym z rury wychodzący. Ogromna masa ludu na placu św. Piotra, a każdy wpatrywał się w ową rurę, rychłoli nie ujrzy dymu z niej wychodzącego. Niejeden przybył tu zdaleka, odbył podróż tysiące mil, jedynie po to, żeby ów historyczny dym zobaczyć! Oczy widzów uzbrojone lornetkami; ale i bez lornetek doskonale dym widzieć można — przez kilkanaście minut.

Rzym, 2 sierpnia 1903. — Dziś niedziela. Miałem Mszę św. w kościele Kapucynów. Zwiedziłem ów sławny „cmentarz kapucyński", tuż pod tym kościołem się znajdujący. Po długich schodach zszedłem na dół do korytarza, przegrodzonego na cztery przedziały, jakby izby, całe przybrane w kości ludzkie. Tu ściany wyłożone samemi trupiemi głowami, tam wiszą piszczele z rąk, nóg itp. Sklepienie nawet pokryte szkieletami. Ołtarze, lichtarze, żyrandole i inne ozdoby są zrobione z kości ludzkich. Wśród tych stosów kości, we framugach są umieszczone całe szkielety kapucyńskie w habitach zakonnych. Te szkielety w habitach kapucyńskich, to leżące, to stojące, z wyszczerzonemi zębami, straszliwie wyglądają. Zwiedziłem ten cmentarz sam jeden. Otoczony temi szkieletami i trupiemi głowami, doznawałem uczucia, jakie opisać się nie da. Myślałem, że braciszek kapucyński pójdzie ze mną; atoli on, otworzywszy drzwi, wpuścił mnie i zostawił tam samego. Przyznam się, że musiałem sobie dodawać odwagi przy zwiedzaniu tego straszliwego „cmentarza kapucyńskiego". Chciałem tu odprawić Mszę św. na ołtarzu, zrobionym z kości ludzkich, lecz zakrystjan powiedział, bym przyszedł w powszedni dzień, gdyż dziś w niedzielę Mszy „na cmentarzu" się nie odprawia.

Miałem dziś dłuższą rozmowę z O. Meyer'em (znanym z Milwaukee), asystentem generała Jezuitów. Zacna to dusza, ten O. Meyer, poznał mię odrazu, wypytywał się o Milwaukee itd. O śmierci arcybiskupa Katzera nic jeszcze do dziś dnia nie wiedział i zdziwił się, gdym mu tę smutną nowinę powiedział. Co do sprawy naszej — o której obszernie z nim rozmawiałem — to oświadczył, że wszystko, com mu powiedział o sprawie Polonji amerykańskiej, zakomunikuje O. generałowi Marin'owi, oraz wręczy mu drukowaną naszą „Pokorną Prośbę" (Supplices Preces). „I aczkolwiek — dodał — my Jezuici nie mieszamy się bynajmniej w kościelną politykę, jak to mylnie o nas sądzą: to jednak dla Polaków w Ameryce uczynimy, co w naszej

mocy będzie.“ Ojciec Meyer, jako „Generalis Assistens“, jest prawą ręką generała jezuickiego.

Dziś — w niedzielę, kardynałowie, zamknięci w Pałacu Watykańskim, odbyli znowu dwa głosowania na papieża (rano o 10-ej i po południu o godz. 5-ej), które atoli obydwa znowu poszły z dymem. Wieczorem, kiedy bazylika rzuca długi cień na cały plac św. Piotra, niezliczone tłumy ludu zaległy cały ten plac, w oczekiwaniu nowego papieża. Dym z rury długo się nie pokazywał, więc myślano, że wybór papieża już nastąpił. Ruszyło do bram bazyliki już nawet wojsko — którego tysiące otaczają Watykan, a drugi tysiąc żołnierzy stoi szeregami na placu św. Piotra. Wtem z pamiętnej owej rury, na którą każdy ciągle oczy zwracał, buchnęły nagle gęste kłęby dymu, na znak, że papież jeszcze nie obrany, i wśród tego stutysiącznego tłumu rozległo się tylko jedno przeciągłe „aaa...“ jako okrzyk rozczarowania. Każdy odszedł niekontent z tej „sfumaty“.

Rzym, 3 sierpnia 1903. — Odprawiwszy Mszę św. u Ojców Zmartwychwstańców, poszedłem z O. Kobrzyńskim do Kolegjum polskiego, by tam złożyć wizytę Najprzew. ks. Szembekowi, biskupowi Płockiemu. Nie zastawszy go w domu, zostawiliśmy nasze kartki, oraz kopję naszych „Supplices Preces“. Następnie pojechaliśmy na Via delle Finanze, gdzie odwiedziliśmy naszego rodaka ks. prałata Zygmunta Skirmunta, który od wielu lat pracuje w kilku Kongregacjach Rzymskich. Wręczyłem mu „Supplices Preces“. Powiedział bez ogródki, że czas już dojrzał, a raczej, że sprawa nasza już dojrzała, i że zatem zdaniem, nietylko jego, ale powszechnem, jest, że już coś dla Polonji amerykańskiej koniecznie uczynić trzeba, że tak dalej bez opieki pasterza polskiego zostawić jej nie można. Bardzo miłe wrażenie zrobił na mnie ks. prałat Zygmunt Skirmunt.

Dziś znowu, wraz z niezliczonym tłumem, staliśmy, tak przed południem jak po południu, na placu św. Piotra, oczekując nowego papieża. Ale znowu rura na dachu kaplicy Sykstyńskiej zakopciła, to szósta „sfumata“.

Rzym, 4 sierpnia 1903. — „Nareszcie mamy papieża — habemus Pontificem!“ „Niech żyje Pius X, papież i król!“ — taki okrzyk rozlegał się dziś w bazylice i na placu św. Piotra.

Po odprawieniu Mszy św. w kościele św. Karola przy ulicy Corso, pośpieszyłem i dziś (jak zwykle w tych dniach odbywają-

cego się konklawe) na plac św. Piotra. Tłumy ludu kryły się w cieniach kolumnady, okalającej plac św. Piotra. Spodziewałem się i dziś „sfumaty". Rzeczywiście o godzinie 11:25 przed południem z owej rury wyszedł dym, ale bardzo lekki i mały, tak, iż znikł natychmiast. Trzeba wiedzieć, że baloty, czyli kartki do głosowania, zawsze się pali w piecyku kaplicy Sykstyńskiej, czy papieża obiorą czy nie, że więc zawsze dym z rury uchodzi Lecz kiedy papieża nie obiorą, to oprócz kartek, czyli balotów, kładą do piecyka jeszcze inne papiery, a nawet słomę, tak że całe kłęby dymu wychodzą z rury i obwieszczają wszem wobec, że papieża jeszcze nie obrano. Kiedy zaś wybór nowego papieża rzeczywiście nastąpił, kładą tylko same baloty do piecyka i palą je same, bez domieszki innego materjału palnego — a ze spalenia kartek samych ukazuje się dym lekkuchny i prędko znikający. Taki dymek, zwany „sfumatą papieską", to niechybny znak wyboru.

W pierwszej chwili, gdy się ukaże, wywołuje rozczarowanie, każdy bowiem myśli, że za tym lekkim dymkiem ukaże się więcej gęstego dymu. Tak i dziś było! W pierwszej chwili, gdy ujrzano pierwszy dymek, nastąpiło rozczarowanie i w tłumie rozległy się już głosy: „sfumata!" Wszelako, gdy spostrzeżono, że dymek ów, ledwie się ukazał, już znikł — rozczarowanie zmieniło się w oczekiwanie. Wzrok wszystkich zwrócony ku rurze; nie dymi więcej. Minęła minuta, dwie, trzy — dymu więcej nie wychodzi, jak to poprzednich dni miało miejsce. — Więc oczekiwanie zmieniło się stopniowo w nadzieję, że może papieża obrano; następnie — po pięciu i dziesięciu minutach — miejsce nadziei zabrała już pewność, że papieża obrano. Tłum poruszał się ku bazylice. Kto jest tym nowym papieżem? Na to pytanie z początku „e, chi lo sa" odpowiadano sobie w tłumie, lecz pomału w otoczeniu mojem nazwisko „Sarto" zaczęto powtarzać. Ktoś z okna Watykanu dał rękami znak nożyc strzyżących! To znaczyło, że jest wybrany „Krawiec", czyli „Sarto"! Ruch gorączkowy w tłumie. Radość rozpiera piersi każdego, że przecież mamy papieża nowego.

Wreszcie o godzinie 11:50 nad główną bramą bazyliki otworzono okno loży i balkon przyozdobiono dywanem. Oklaski i krzyki „Viva il nuovo Papa!" (niech żyje nowy papież!) nie miały końca — chociaż właściwie jeszcze nie wiedziano, kto nim jest. Z balkonu loży, tam gdzie wywieszono dywan, miał teraz kardynał diakon ogłosić Urbi et Orbi (miastu i światu) nazwisko

nowego papieża. Minęło pięć minut. Włoskie słońce dopieka bardzo, lecz nikt dziś nie zważał na skwar słoneczny. Tłum najróżnorodniejszy — ze wszystkich stron świata. Koło mnie, prócz księży i biskupów z Polski, Węgier i Ameryki, stały właśnie dwie damy — — aż z Minnesoty! Wreszcie o godzinie 11:55 w samo południe, na przystrojonym w dywan balkonie, ukazał się najpierw złocisty krzyż, niesiony przez krucyferarza, potem czerwony biret kardynalski — był to kardynał djakon Macchi. Na jego widok tłum, dotychczas gwarzący i krzyczący, nagle umilkł — zrobiła się cisza, jakby makiem posiał. Kardynał Macchi, wyciągnąwszy ramiona ku tłumowi, rzekł powoli, dobitnym i donośnym głosem te słowa (za każdem słowem robiąc małą pauzę):

„Annuncio — vobis — gaudium magnum — habemus — Papam — Eminentissimum — et Reverendissimum — Dominum — Josephum — Sarto...“ (Ogłaszam wam radość wielką, mamy Papieża, J. Em. Józefa Sarto.)

Tu wśród tłumu wybuchł taki grzmot oklasków, i okrzyków „Viva il Papa nuovo!“ (niech żyje nowy Papież!), że kardynał djakon musiał na chwilę przerwać dalszy ciąg ogłoszenia i dopiero gdy skinieniem ręki uciszył radosne okrzyki tłumu, rzekł dalej następujące słowa:

„...qui — sibi — nomen — imposuit — Pius Decimus“ (który przybrał sobie imię Piusa Dziesiątego).

Na placu św. Piotra, całym jak długi i szeroki, rozległ się jeden przeciągły okrzyk: „Niech żyje Pius Dziesiąty!“... Następnie, zdaje się, za inicjatywą włoskich rządowców, odzywały się krzyki: „Benedizione fuori!“ (błogosławieństwo zewnątrz!), to jest, żeby nowy papież udzielił błogosławieństwa zewnątrz bazyliki, jak za dawnych czasów przed zaborem Rzymu. Słudzy papiescy na balkonie dawali jakieś znaki, które zrozumiano z początku w ten sposób, że papież udzieli błogosławieństwa zewnątrz bazyliki. Wszystko, co było już w bazylice, wyruszyło teraz co tchu na plac przed bazylikę. Atoli po chwili dano z loży znak, że nowy papież udzieli błogosławieństwa wewnątrz bazyliki. Trzeba wtedy było widzieć te ludzkie fale, płynące przez cztery olbrzymie bramy do wnętrza bazyliki św. Piotra. Ścisk i natłok nie do opisania. Odzywały się krzyki „piano“ (powoli) — wojsko włoskie chciało powstrzymać płynące fale ludzkie, ale tłum nakształt rozszalałej w pędzie rzeki, rozrywał wszelkie tamy i zapory. Że nie było przypadku, to chyba

dzięki temu, że bazylika ogromna i bramy do niej wiodące są bardzo obszerne.

Zazwyczaj między ogłoszeniem nowego papieża a błogosławieństwem, jakiego pierwszy raz udziela, upływały za poprzednich papieży dwie godziny czasu. To też i teraz, wszedłszy do bazyliki, myśleliśmy, że długo będziemy musieli czekać na to błogosławieństwo papieskie. Atoli nowy papież, Pius X, jako pierwszy „ignis ardens", nie dał na siebie długo czekać. Zaledwie pięć minut upłynęło, o godzinie 12:4, ukazała się w oknie loży, ze strony wewnętrznej bazyliki, postać nowego papieża. Na ten pierwszy widok nowego papieża Piusa X, tłum w bazylice zgromadzony, rzekłbyś, oszalał z nadmiernej radości: klaskał, powiewał chustkami i kapeluszami i krzyczał na całe gardło: „Viva Pio X!", aż cała bazylika zdawała się drżeć w posadach. Niebawem ucichło. Nowy papież, Pius X, wzniósł ręce, by udzielić pierwszego błogosławieństwa papieskiego. Silnym i dźwięcznym głosem, pięknym barytonem, zaintonował: „Sit nomen Domini benedictum" (Niech będzie imię Pańskie błogosławione). Tłum mu chórem odpowiedział: „Ex hoc nunc et usque in saeculum" (Teraz i na wieki). Dalej papież śpiewał: „Adjutorium nostrum in nomine Domini" (Wspomożenie nasze w imieniu Pana). Chórem odpowiedzieliśmy: „Qui fecit coelum et terram" (który stworzył niebo i ziemię). Wreszcie papież, wznosząc błogosławiącą prawicę, zaśpiewał: „Benedicat vos omnipotens Deus: Pater, Filius et Spiritus Sanctus" (Niech was błogosławi Wszechmogący Bóg: Ojciec, Syn i Duch święty). W tej chwili tłum zgiął kolana i żegnał się, czując się szczęśliwym, że odbiera pierwsze błogosławieństwo nowego papieża. Poczem wśród nowych oklasków, krzyków i wiwatów postać papieża znikła.

My z panem Mahanym podwójnie szczęśliwymi się czujemy. Mieliśmy bowiem, bawiąc w Rzymie, to szczęście odebrać ostatnie błogosławieństwo publiczne zmarłego papieża, na ostatnim publicznym Konsystorzu 25 czerwca b. r., oraz dziś pierwsze błogosławieństwo apostolskie nowego papieża Piusa X.

Wieczorem domy i kościoły iluminowane, a szczególnie w dzielnicy Borgo. Zaraz po ogłoszeniu wyboru nowego papieża, dzwony we wszystkich kościołach rzymskich dzwoniły od godziny 12-ej do 2-ej po południu, ogłaszając miastu i okolicy: habemus novum Pontificem — mamy nowego papieża! A gdzie dźwięk dzwonów nie doszedł, tam iskra elektryczna rozniosła wesołą tę nowinę aż do ostatnich krańców ziemi.

22. Pierwsze dwie audjencje u kardynała Svampy, który swym wpływem u nowego papieża najwięcej zdziałał dla naszej sprawy. Wizyta u generała Smolikowskiego.

Rzym, 5 sierpnia 1903. — Dziś święto Matki Boskiej, tak zwanej „Śnieżnej", na której cześć zbudowano tu w Rzymie bazylikę Santa Maria Maggiore, jednę z największych bazylik rzymskich. Nazwa „Śnieżnej" (ad Nives) poszła stąd, że na tem miejscu, na którem ta bazylika miała stanąć, spadł cudownie śnieg w dniu 5 sierpnia, kiedy tu największe upały panują. Śnieg ten pokrył płaszczyznę tylko tak wielką, jak wielką miała być bazylika. Odprawiłem dziś w tej bazylice Mszę św.

Stare, wiekami uświęcone przysłowie, opiewa: „Kto do konklawe wchodzi papieżem, ten z konklawe wychodzi kardynałem". Przysłowie to sprawdziło się znowu przy wczorajszym wyborze papieża. Kardynałowie Rampolla, Gotti i Serafin Vannutelli weszli do konklawe papieżami, to znaczy, opinja publiczna widziała w nich przyszłych papieży, gdyż każdy z nich, po ludzku mówiąc, najwięcej miał szans na papieża; wszelako wyszli z konklawe tem, czem byli, to jest kardynałami. Tymczasem ten, o którym mało myślano i mówiono, że zostanie papieżem, ten, który więc do konklawe wszedł kardynałem, z konklawe wyszedł papieżem. Patrjarcha wenecki kardynał Sarto, obecnie Pius X, przy pierwszem głosowaniu w sobotę 1 sierpnia, otrzymał tylko pięć głosów, podczas gdy kardynał Rampolla uzyskał odrazu 24 głosy, a Gotti 17. Przy drugiem atoli głosowaniu kardynał Sarto otrzymał już 12 głosów, więc o 7 więcej, podczas gdy kardynał Rampolla postąpił tylko 2 głosy naprzód, do 26 głosów. Na drugi dzień, w niedzielę, dzięki zwłaszcza staraniom kardynałów Cavagnes i Satolli'ego, gwiazda kardynała Sarto wznosiła się coraz wyżej, rano do 21 głosów, a wieczorem do 25 głosów. Równocześnie i głosy za Rampollą tego dnia podniosły się wyżej, aż do cyfry 29 (najwyższej jaką osięgnął), a podniosły się dzięki tej okoliczności, że kardynał Gruscha(?) wystąpił z „veto" cesarza austrjackiego, co tak kardynałów oburzyło, że tem uporczywiej i liczniej za Rampollą głosowali. Atoli zwycięstwo kardynała Sarto w poniedziałek było już pewne. Kardynał Rampolla więcej jak 29 kardynałów nie mógł na swoją stronę pociągnąć, gdy reszta kardynałów, w liczbie 33 była stanowczo przeciwną wyborowi Rampolli, chciała bowiem na stolicy Piotrowej mieć papieża o charakterze więcej religijnym niż politycznym. Nieszczęsna polityka z Francją zaszkodziła Rampolli najbardziej. Tak

więc już w poniedziałek 3 sierpnia szala zwycięstwa byłaby się niechybnie przechyliła na stronę kardynała Sarto, gdyby nie to, że kardynał Sarto energicznie wzbraniał się przyjąć urzędu papieża i pokryjomu namawiał kardynałów, by za nim nie głosowali, gdyż nie godzien zostać papieżem. Pomimo to gwiazda Sarty wznosiła się pomału, lecz stale coraz wyżej; w poniedziałek rano Sarto miał 27 głosów a Rampolla 24, Gotti znowu 6. Sarto był więc górą i widząc to, wystąpił otwarcie z dłuższą i gorącą mową, w której prosił, błagał i zaklinał na miłość Bożą kardynałów, żeby nie głosowali za nim, gdyż nie jest godzien być Namiestnikiem Chrystusowym. Lecz mowa ta wręcz przeciwny wywarła skutek. Sarto 3 sierpnia wieczorem z 27 postąpił na 35 głosów, podczas gdy Rampolla miał 16, Gotti 7. Jasną więc już było rzeczą tego wieczora, 3 sierpnia, że nazajutrz Sarto będzie obrany. Bo kiedy Rampolli, Gotti'ego i innych głosy chwiały się ciągle, to wznosząc się to opadając na przemiany; jednego Sarty głosy od samego początku, od pierwszego głosowania aż do ostatniego, zawsze stale i niezachwianie się zwiększały. I rzeczywiście, we wtorek, 4-go sierpnia rano, kardynał Sarto uzyskał 50 głosów (8 więcej, niż było potrzeba do wybrania go papieżem), Rampolla zaś tylko 10, a Gotti dwa. Tak więc kardynał Sarto z 5 głosów postąpił na 50, i został obrany papieżem.

Po skończonem konklawe podjęliśmy zawieszony wątek propagandy sprawy Polonji amerykańskiej i dziś wieczorem mieliśmy półgodzinne posłuchanie u J. Em. kardynała Svampy. Kardynał Svampa z początku nie miał wielkiej ochoty zajmować się naszą sprawą. Jako arcybiskup Bolonji, nie mieszka on w Rzymie i nie należy do Kongregacji Propagandy. Ale jest kolegą szkolnym ks. Antonucci'ego, manuduktora naszej sprawy; i co ważniejsza, jest serdecznym przyjacielem nowego papieża Piusa X. Z tych względów udaliśmy się do niego. I dobrze zrobiliśmy, gdyż kardynał Svampa, acz zrazu niechętny, stał się potem przychylnym i swoim potężnym osobistym wpływem u nowego papieża zdziałał najwięcej dla naszej sprawy. Mężczyzna to barczysty, silnie zbudowany, głowę ma dużą a głos gruby, prawie grobowy. Mówi powoli a dobitnie. Charakter to prosty, szczery, otwarty. Myśli swoich w bawełnę nie owija; mówi, co myśli on i co papież myśli. Z początku chciał nas się pozbyć tą słuszną wymówką, że nasza sprawa należy do Propagandy, a on do Propagandy nie należy i w Propagandzie głosu nie ma. Ale gdy widział, że my tem jego

rozumowaniem nie dali się zbić z tropu, wtedy nareszcie przyrzekł nam zająć się naszą sprawą u papieża. I słowa swego rzetelnie dotrzymał.

Gdyśmy dziś stanęli przed nim, nasamprzód nam oświadczył, że już przeczytał naszą „Pokorną Prośbę", którąśmy wręczyli mu na kilka dni przed konklawe. Potem przez 10 minut bardzo przychylnie rozwodził się nad nią, uważając wszelkie uwagi w naszej „Prośbie" zawarte za słuszne i sprawiedliwe. Nareszcie wyraził nadzieję, że Propaganda naszym słusznym prośbom zadosyćuczyni. I mniemając widocznie, że gdy nas wkońcu ładnie pochwali, my z zadowoleniem go opuścimy, zwrócił się do mnie i takie pochlebne wyrzekł słowa:

— Placuit mihi valde tuus supplex libellus. Eloquenter scripsiti, veluti Cicero pro domo sua. Sed tamen nescio, utrum ego possin quid facere pro vestra justa causa; non enim sum judex in Congregatione de Propaganda Fide. To znaczy: „Podobał mi się bardzo Twój błagalny memorjał... Wymownie napisałeś, jakby Cycero w sprawie swojej. Jednakże nie wiem, czy ja mogę coś zdziałać w waszej słusznej sprawie. Nie jestem bowiem sędzią w Kongregacji Propagandy."

Na to zaraz odpowiedziałem kardynałowi Svampa tak:

— Eminentissime, si non potes esce judex, tunc sis, quaeso, advocatus nostrae causae! To znaczy: „Eminencjo, jeśli nie możesz być sędzią, to bądź adwokatem naszej sprawy!"

Ten niespodziewany zwrot mój spodobał się bardzo kardynałowi Svampie. Spodobał się i moim obok siedzącym towarzyszom, ks. Antonucci'emu i panu Mahany'emu, bo mi obydwaj głośno przyklasnęli. A kardynał Svampa długo i serdecznie się śmiał z tego mojego zwrotu; poczem, chcąc się jednak wywinąć, tak rzekł:

— Oh, optimus advocatus est vester supplex libellus, cum intelligentia scriptus. To znaczy: „Ach, najlepszym adwokatem jest wasz błagalny memorjał, tak inteligentnie napisany".

Na co znowu pan Mahany tak mu odparł:

— Cum intelligentia, sed non cum potestae et auctoritate. To znaczy: „Może być nasza Prośba dobrze i inteligentnie napisana, lecz nie ma jednak tego wpływu i tej powagi, jaką Ty, Eminencjo, u papieża posiadasz".

Wtedy kardynał Svampa widząc, że się nam nie wywinie, rzekł głosem poważnym i stanowczym:

— Bene; potestate et auctoritate, quam ego habeo, utar pro vestra causa! To znaczy: „Dobrze. Wpływu i powagi, jaką mam, użyję dla waszej sprawy!“

I przyrzekł nam uroczyście, że jutro lub pojutrze, kiedy odwiedzi nowego papieża Piusa X, pomówi z nim obszernie nietylko o naszej sprawie, ale i za naszą sprawą. Mamy więc, zanim wyjedzie z Rzymu do Bolonji, jeszcze raz przyjść do niego; a wtedy powie nam, co nowy papież myśli o naszej sprawie.

Rzym, 6 sierpnia 1903. — Powróciwszy z bazyliki Lateraneńskiej, gdzie miałem Mszę św., zastałem w hotelu O. Kobrzyńskiego, który mi wesołą przyniósł nowinę, mianowicie, że O. generał Smolikowski powrócił do Rzymu. Zaraz też udałem się do Przew. Ojca Generała i miałem z nim w sprawie Polonji amerykańskiej półgodzinną audjencję. O. generał Smolikowski, pomimo ascetycznego wyglądu twarzy, jest bardzo miłą, rozmowną i sympatyczną osobistością, pełną powagi i wdzięku zarazem — dwa przymioty, które rzadko w jednej osobie znaleźć. Dla naszej sprawy jest jak najprzychylniej usposobiony. Popiera ją całą duszą i sercem, i co tylko w jego mocy, uczyni dla niej. Zawsze, już oddawna, był tego przekonania, że Polacy w Ameryce powinni mieć biskupa swojej narodowości, i że nim powinien być jeden z księży amerykańsko-polskich. Że Polacy w Ameryce biskupa dotychczas nie uzyskali, to głównie stąd poszło, iż skoro tylko jaki kandydat na biskupa wypłynął, zaraz inni na niego z krzykiem: „hejże na Soplicę!“ Niezgoda i zazdrość wzajemna rujnowała najszlachetniejsze plany i zamiary, jakie miał kardynał Ledóchowski dla naszej Polonji w Ameryce...

Petycję do nowego papieża, Piusa X, już mamy gotową. Już wyszła z pod prasy.

Rzym, 7 sierpnia 1903. — Przew. O. generał Smolikowski, C. R., złożył nam rewizytę. Bardzo łaskawy i przychylnie usposobiony dla sprawy Polonji amerykańskiej.

Rzym, 8 sierpnia 1903. — Wieczorem mieliśmy znowu (już drugą) półgodzinną audjencję u kardynała Svampy. Na poprzedniej audjencji kardynał Svampa, jak to pisałem, przyobiecał był nam pomówić w sprawie naszej z nowym papieżem Piusem X, którego jest najserdeczniejszym przyjacielem; oraz kazał nam dziś przyjść do siebie, by nam zakomunikować, co z papieżem mówił. Stąd ta druga audjencja u kardynała Svampy. Kardynał Svampa powiedział nam, że wczoraj właśnie z papieżem Piusem X rozmawiał

nietylko o nas i o naszej sprawie, ale i za naszą sprawą przemawiał. Sprawa wasza — powiada — gdy mu ją przedłożył, dobre wrażenie (bonam imperssionem) na papieżu zrobiła, „ita, ut forsan aliquis e sacerdotibus Polonis in America ad dignitatem episcopalem elevetur". Papież — powiada — rad widzieć delegację i wysłuchać jej prośby, także waszą drukowaną „Pokorną Prośbę" (Supplices Preces) chce mieć i przeczytać i sprawę przestudjować. Oto kwintesencja dzisiejszej naszej rozmowy z kardynałem Svampą.

Jakoż dla nowego Papieża, Piusa X, przygotowaliśmy nietylko nowy adres, ale i trzy nowe, bardzo ozdobne wydania naszych „Supplices Preces" ze złoconemi brzegami.

23. Koronacja papieża. — Znowu u kardynała Rampolli. — W ogrodzie watykańskim. — Kardynał Della Volpe wziął mnie za księdza dr. Bernarda.

Rzym, 9 sierpnia 1903. — Dziś odbyła się uroczysta koronacja papieża Piusa X w bazylice św. Piotra Uroczystości trwały pięć godzin, od 8:30 rano aż do 1:30 z południa. Wstęp był za biletami. Ogromna bazylika była cała przepełniona ludźmi. Natłok i ścisk nie do opisania — w tych ogromnych nawet przestrzeniach bazyliki gorąco i duszno dziś się zrobiło. Wiele osób zemdlało — dla nich w samejże bazylice przygotowane widziałeś „sanitarja" z pomocą lekarską. Byłem obecny w bazylice podczas dzisiejszych obrzędów koronacyjnych. Ponieważ niewysokiej postawy jestem, kupiłem sobie składane krzesełko i, jak Zaheusz, stanąwszy na niem, widziałem ponad morzem głów ludzkich i papieża na tronie przenośnym i przy ołtarzu, i ową srebrną laskę z pękiem włosów, palących się przed obliczem papieża. Widziałem (po Mszy papieskiej) i sam akt koronacyjny, ową uroczystą i pamiętną chwilę, w której skronie Piusa X uwieńczono tjarą czyli potrójną koroną. Aktu tego dokonano w samym środku bazyliki (dawniej, przed rokiem 1870, koronacja papieża odbywała się na loży bazyliki, gdzie łatwo ją każdy mógł widzieć). Pomimo, że papież w bazylice zakazał klaskać i przy każdym filarze ze wszystkich stron zawieszone były tabliczki z napisami: „Sono vietate, le acclamazion" (okrzyki są zakazane), to jednak, gdy skronie nowego papieża uwieńczyła tjara, w tej chwili powstała taka burza oklasków i wiwatów na cześć Piusa X, iż rzekłbyś, że rozentuzjazmowany, blisko stutysięczny tłum ludzi wysadzi całą bazylikę w powietrze.

Papież Pius X pomimo wieku ma twarz piękną i pełną młodzieńczej urody, podobną, jak to mówią, do Piusa IX, kiedy ten był młody. Obok mnie stojące Włoszki powtarzały z zachwytem słowa: „che bello — bello Papa!“ (jak piękny — piękny papież!).

Podczas dzisiejszego nabożeństwa w bazylice św. Piotra organy i stugłowy chór śpiewał fortissimo — ale te wszystkie dźwięki i głosy w ogromnych przestworzach bazyliki — słyszałeś tylko jakby echo dalekiej muzyki. Podszas Mszy papieskiej, w chwili Podniesienia, u góry we wnętrzu kopuły stanęli trębacze i zagrali na trąbach srebrnych: zdawało się, że słyszysz jakiś hejnał niebiański...

Do nowego adresu do papieża Piusa X dodaliśmy dziś jeszcze jeden punkt, ad praeoccupandum difficultatem, dla zapobieżenia tej trudności, jakoby inne narodowości w Stanach Zjednoczonych mogły zażądać tego samego uwzględnienia w hierarchji kościelnej, co my Polacy.

Rzym, 10 sierpnia 1903. — Dziś mieliśmy 25-minutową audjencję u kardynała Cavagnis, który nie jest wprawdzie członkiem Kongregacji de Propaganda Fide, który atoli, wraz z kardynałem Satolli, najbardziej agitował w ostatniem konklawe za wyborem obecnego papieża. Oświadczył nam, że zawsze był i jest przyjacielem Polaków, że nie będąc członkiem Propagandy, nie wiele będzie mógł dla naszej sprawy uczynić, ale co będzie mógł, to uczyni. Pytał się o wiele szczegółów, dotyczących Polonji amerykańskiej, przyczem najwidoczniej sprawę naszą mieszał ze sprawą Rusinów, nie odróżniając jej dokładnie.

Kardynał, który na ostatniem konklawe w imieniu cesarza austrjackiego zaprotestował przeciwko kandydaturze kardynała Rampolli, skompromitował się wobec całego kolegjum kardynałów, oburzył na siebie nietylko zwolenników, ale i przeciwników Rampolli. Tym protestującym nie był kardynał Gruscha — jak to mylnie z początku powiadano. Zdawało się, że w imieniu cesarza austrjackiego, jeżeli już kto zaprotestował, to zaprotestował jakiś austrjacki, to jest, niemiecki kardynał. Wszelako na nieszczęście nasze, żaden niemiecki kardynał nie spełnił tej usługi cesarzowi swemu; uczynił to kto inny — kardynał Puzyna!

Rzym, 11 sierpnia 1903. — Po raz wtóry mieliśmy dziś posłuchanie u J. Em. kardynała Rampolli, który już nie mieszka więcej w pałacu watykańskim, lecz po drugiej stronie bazyliki świętego Piotra, w pałacyku przy placu św. Marty. Przestał być sekreta-

rzem stanu i tyle już dla naszej sprawy uczynić nie może, ile zamierzał. Pan Mahany atoli wtrącił słuszną uwagę: semel Caesar, semper Caesar — że kto raz cesarzem, zawsze cesarzem i cesarskiej zażywa powagi. Podobała mu się ta uwaga, aczkolwiek grzecznie wzbraniał się przyjąć ten komplement. Kto, jak my, widział zbliska kardynała Rampollę trzy tygodnie temu, i znowu dziś, ten zauważył w jego obliczu małą zmianę, wyczytał w rysach twarzy jego pewne przygnębienie. Kardynał Rampolla bynajmniej nie smuci się ani nie boleje z tego powodu, że mając połowę głosów za sobą, nie został papieżem, bo tego wcale nie pragnął, lecz — sądzę — musi go boleć niezmiernie to, że go publicznie na konklawe insultowano tym niefortunnym protestem cesarza austrjackiego. To jest moje tylko zdanie, gdyż kardynał Rampolla nie dał niczem znać swego bólu. Wszyscy tu — tak z obozu zwolenników jak i przeciwników Rampolli — są oburzeni na protest.

Przy kardynale Rampolli był jego sekretarz, mały i niepozorny ksiądz Jakób Della Chiesa, przyszły papież Benedykt XV.

Po audjencji z kardynałem Rampollą udaliśmy się do Pałacu Watykańskiego w celu złożenia wizyty sekretarzowi papieskiemu. Nowy papież mieszka obecnie jeszcze w pokojach sekretarza stanu, tam, gdzie kardynał Rampolla mieszkał.

Rzym, 12 sierpnia 1903. — Nie mogąc i dziś zobaczyć się z sekretarzem papieskim w Watykanie, zwiedziliśmy za osobnem pozwoleniem „majordoma“ cały ogród papieski wzdłuż i wszerz. Ogrodnik papieski dał mi nasiona kwiatów, rosnących w ogrodzie watykańskim, które zabiorę ze sobą do Ripon — może się przyjmą, jeśli nie na dworze, to w doniczkach. Oto nazwiska kwiatów, których nasiona dostałem: „Cinus-glossus“, „Sgabbiosa“, „Gailardia“, „Veronica“, „Gonfrena“, „Cosmoss“ i „Egipcjanka“.

Widzieliśmy dziś także cały szereg wspaniałych karet papieskich, któremi jeździli: Leon XIII, Pius IX, Leon XII i poprzedni papieże.

W ogrodzie watykańskim widzieliśmy stare „kasyno“ Piusa IV-go, nową willę Leona XIII, skromną altanę, w której Leon XIII lubiał przesiadywać i pisać, zwierzyńce z gromadą jeleni, dalej strusi, pelikanów itd., winnice, uprawiane staraniem Leona XIII, etc.

Rzym, 13 sierpnia 1903. — Rano od godziny 10-ej do 10:35 mieliśmy posłuchanie u kardynała Della Volpe, który ma lisa (volpe) w swoim herbie z napisem: „Simul astu et dentibus utor“. Z tym kardynałem zaszło tu ciekawe „qui pro quo“. Wziął mię za inną

osobę, mianowicie myślał, że ja jestem „księdzem doktorem z Illinois", wskutek czego nie chciał z początku nic słyszeć ani o mnie, ani o sprawie, którą przedstawiam.

— Dlaczego Eminencja tak do niego uprzedzona? — zapytał go nasz manuduktor.

— A bo to ten, który nam ciągle swoje włoskie broszurki nasyła, który nam ciągle swoje fotografje przysyła, żebyśmy go zrobili biskupem — to ten, co w Spoletto studjował!

— Gdzie tam, Eminencjo, ks. Kruszka nigdy w Spoleto nie był, po włosku broszurek nie pisał ani fotografji swojej żadnemu kardynałowi nigdy nie przysyłał!

— A jak mu imię?

— Wenceslao.

— Aa... Wenceslao! To wtedy nie ten; bo tamtemu inaczej na imię. Tamtemu imię Bernardo...

I dopiero po tym wstępnym boju, po usunięciu uprzedzenia i po identyfikacji mojej osoby za pomocą papierów od mojego arcybiskupa, za pomocą mandatów od Wydziału Wykonawczego i ks. Pitassa — nastąpiła zmiana frontu. Kardynał della Volpe zrozumiał, że tu zaszło małe „qui pro quo", że ja nie jestem tym, który mu swoje fotografje przysyłał; zrozumiał dalej, że tu nie rozchodzi się o osobistą ambicję jakiegoś księdza z Ameryki, lecz chodzi o sprawę ogółu Polonji amerykańskiej — i skoro to zrozumiał, odrazu łaskawem uchem począł słuchać całej sprawy naszej. I o ile przedtem był uprzedzonym do mnie, a temsamem i do sprawy, którą przedstawiam, o tyle teraz łaskawym i przychylniejszym okazał się dla sprawy Polonji amerykańskiej. Przyjął mię bardzo grzecznie i uprzejmie słowami: „Tu vocaris Wenceslaus Kruszka..." — „Tak, a nie inaczej, Eminentissime Princeps" — „A bene" — i sprawę naszą, o której z początku nie chciał ani słyszeć, zaczął teraz badać wszechstronnie, zadawając to pytania, to trudności, na które żądał wyjaśnienia itd. itd. Pan Mahany mówił po angielsku (gdyż kardynał della Volpe rozumie po angielsku) i ze swojego punktu widzenia w wymownych słowach wyłuszczył powody, dla których Polacy w Ameryce raz wreszcie uwzględnieni być powinni w hierarchji kościelnej. Rzekł nareszcie kardynał:

— Video necessitatem episcoporum Polonorum in America, sed quis cos sustentabit? Poloni sunt pauperes. — (Widzę potrzebę

polskich biskupów w Ameryce, ale kto będzie płacił na ich utrzymanie? Polacy są ubodzy.

Na ten zarzut kardynałowi Della Volpe tak odpowiedziałem:

— Nequaquam, Eminentissime Princeps; venerunt quidem pauperes in Americam, sed ibi facti sunt divites, imo nonnulli sunt divitissimi; et non solum unum, sed decem, imo viginti episcopos propris sumptibus libentissime sustentabunt, dummodo eos obtinuerit!... (Nie, Eminencjo! Są wprawdzie ubodzy w Ameryce, ale są też bogaci i nawet bardzo bogaci; i nietylko jednego, ale dziesięciu, a nawet dwudziestu biskupów mogliby własnym funduszem utrzymać, gdyby ich tylko dostali.)

I tak ta audjencja z kardynałem della Volpe, która — z powodu tragiczno-komicznego „qui pro quo" — groziła z początku fiaskiem, zakończyła się bardzo pomyślnie i odniosła pożądany skutek, gdyż uprzedzonego skądinąd kardynała usposobiła jak najprzychylniej dla sprawy Polonji amerykańskiej.

24. Kardynał Oreglia pytał: Czemu Propagandzie nie przedstawiają nigdy polskich księży na biskupów? — Jakie wrażenie wywarły audjencje u kardynałów Propagandy?

Następnie udaliśmy się do pałacu watykańskiego i — już po raz trzeci — przypuściliśmy szturm do sekretarza papieskiego (by przez niego doręczyć ozdobny Memorjał papieżowi i upewnić się o dniu audjencji u papieża). Lecz i tym razem daremnie. W chwili bowiem, gdyśmy stanęli w przedpokojach papieża, nadjechał w złocistej karecie ambasador austrjacko-węgierski, p. Szecsen, i udaremnił nam przystęp do sekretarza papieskiego.

Wróciliśmy więc do miasta i od godziny 12:10 do 12:40 w południe mieliśmy audjencję u byłego kamerlinga kard. Oregli'ego, jedynego kardynała kreowanego jeszcze przez ś. p. Piusa IX. Kardynał Oreglia, stary, ale jary, z taką młodzieńczą fantazją, z taką bystrością i rzutkością umysłu stawiał nam to pytania, to zarzuty dotyczące Polonji amerykańskiej, iż zdawało nam się, że mamy przed sobą kardynała o 30 lat młodszego, a nie 76 lat liczącego starca. Badawczym wzrokiem umysłu wnikał w jak najdrobniejsze szczegóły naszej sprawy, przewracał ją na wszystkie strony i przetrząsał, pytając n. p., czemu Propagandzie nigdy nie przedstawiają

polskich księży na biskupów (na co odrazu usłyszał trafną odpowiedź) itd. Ale nawet wtedy, kiedy stawiał nam zarzuty i zadawał trudności, z całego toku jego mowy przebijał się ton życzliwy i przychylny dla naszej sprawy. Stawiał zarzuty — widać było — nie w tym celu, by nam wykazać niemożliwość urzeczywistnienia naszych zamiarów, lecz jedynie w tym celu, by się ze sprawą naszą jak najgruntowniej zaznajomić — podobnie jak się w szkole stawia zarzuty przeciw nieśmiertelności duszy, istnieniu Boga i t. p. Zakończył swoją rozmowę z nami zapewnieniem, że w Kongregacji Propagandy uczyni dla naszej sprawy, co tylko będzie w jego mocy.

Do sali kardynała Oreglii łatwo było wejść. Ale nie tak łatwo było wyjść z niej. Kardynał Oreglia, jak to zresztą i inni kardynałowie czynili, po audjencji odprowadził nas aż do progu swej sali. Tu w drzwiach żegnając nas przystanął i patrzał na nas oddalających się. A my oddalali się od niego, idąc, jak raki, tó jest, cofając się wstecz ciągle twarzą zwróceni ku kardynałowi tak długo, aż mu z oczu zniknęliśmy. Wtedy dopiero ostatni ukłon oddaliśmy kardynałowi, a kardynał po raz ostatni nam się odkłonił. Przed tym ostatnim ukłonem wychodzić tyłem obracając się do kardynała, byłoby grzechem ciężkim przeciw etykiecie. Otóż kardynał Oreglia przed swoją salą posłuchania miał ogromnie długi szereg przedpokoi w prostej linji się ciągnących. Trzeba więc nam było przez wszystkie te przedpokoje wycofywać się tyłem, z twarzą zwróconą ku kardynałowi, bo stary kardynał Oreglia stał ciągle na progu swej sali i miał oczy utkwione w nas dopóty, dopókiśmy ostatniego przedpokoju nie opuścili.

Tym sposobem zamknęliśmy cykl audjencyj u kardynałów, w skład Kongregacji de Propaganda Fide wchodzących, do których głównie — jedynie prawie i wyłącznie — będzie zależało rozstrzygnięcie sprawy naszej. Papież bowiem zazwyczaj przychyla się do zdania Kongregacji. Ze wszystkimi kardynałami, należącymi do Propagandy, omówiliśmy sprawę z osobna, na prywatnej audjencji — u niektórych, jak u kardynała Rampolli, po dwa razy mieliśmy konferencję. Prócz tego mieliśmy posłuchanie u dwóch innych, nie należących do Propagandy, ale wpływowych kardynałów: Cavagnis i — dwa razy — u Svampy. Każdego kardynała odwiedziliśmy co najmniej dwa razy: pierwszy raz dla doręczenia tylko Memorjału i kartek wizytowych, a w kilka dni potem — drugi raz dla uzyskania osobistego posłuchania czyli właściwej audjencji.

Tak, że kiedy przyszło do właściwej audjencji, każdy kardynał był już z drukowanego Memorjału, mniej lub więcej o naszej sprawie poinformowany. A każdy, jak się to przekonaliśmy z toku rozmowy, czytał ów Memorjał. Żaden z kardynałów nie podniósł najmniejszego zarzutu przeciw temu Memorjałowi, owszem, wielu chwaliło go niezmiernie. Lecz jeszcze bezpośrednio przed każdą z audjencyj nasz manuduktor ustnie informował każdego kardynała tak o nas jak o naszej sprawie, przedkładając nasze papiery uwierzytelniające i t. p., a dopiero po tej introdukcji następowało osobiste posłuchanie, podczas którego zazwyczaj, wpadając in medias res, odrazu przystępowaliśmy do omawiania samejże sprawy, bez żadnych wstępnych ceregieli. Audjencje te właściwie wymagały takiego natężenia umysłu, że jedna taka audjencja u kardynała zazwyczaj bardziej mię zmęczyła, niż śpiewanie sumy i wypowiedzenie trzech kazań.

Jak więc sprawa nasza stoi? jakie ogólne wrażenie odniosłem z dotychczasowych audjencyj? Muszę powiedzieć otwarcie, że wrażenie odniosłem jak najlepsze — takie, o jakiem, wybierając się do Rzymu, wcale nie marzyłem. Nietylko przyjęto nas tu w Rzymie wszędzie bardzo grzecznie, uprzejmie i życzliwie, ale nadto naszą sprawą zajęto się bardzo żywo, uznano jej ważność, i — co najgłówniejsza — uznano w zasadzie jej słuszność i sprawiedliwość. Rozchodzi się tylko o sposób, w jakiby ją do skutku przyprowadzić. Czy znajdzie się sposób? Jeśli na wszystko jest sposób, to niezawodnie i na przeprowadzenie słusznej sprawy musi się znaleść sposób. Tylko cierpliwości, odwagi i wytrwałości! Zbliżamy się do celu i dojdziemy do niego z pewnością, jeśli w wytkniętym kierunku wytrwale naprzód kroczyć będziemy. Lecz z drugiej strony nie łudźmy się, że już blisko celu jesteśmy, że już jutro lub pojutrze biskupa dostaniemy. Nie — bo jeszcze do celu droga daleka, jeszcze nie jedną górę trzeba będzie przebyć, jeszcze nad niejednym dołem wiadukt, nad niejedną rzeką most trzeba będzie zbudować, by utorowaną w ten sposób drogą dojść ostatecznie do celu zamierzonego. A na to wszystko trzeba czasu. Bo — powtarzam — nie od razu Kraków zbudowano! Byle tylko nie ustawać w pracy, w ofiarach i modlitwach, byle tylko nie stawać na wpół drogi, lecz iść stale i wytrwale naprzód — a choćby na drodze do celu stanęła nam na poprzek trudność tak wielka, jak góra nieprzebyta: nic to — tunel w górze wybijemy, a do celu dojść musimy. Na wszystko jest sposób.

25. U sekretarza papieskiego. — Dwaj biskupi amerykańscy w Rzymie zaprosili nas i my ich nawzajem zaprosiliśmy na ucztę. — Artysta Bardzki o ks. Antonim Kozłowskim z Chicago. — Febra.

Rzym, 15 sierpnia 1903. — Byliśmy dziś znowu w Watykanie, by się rozmówić z sekretarzem papieskim. Nadaremnie! Jeszcze ciągle ambasadorzy, ministrowie, legaci i inni dygnitarze, urzędowe składają wizyty nowemu Papieżowi.

Zaproszeni zostaliśmy i byliśmy obecni dziś na konsekracji arcybiskupa Harty (ze St. Louis, Mo.), przeznaczonego do Manili. Konsekracja odbyła się dziś rano od 7—9 godziny w nowym kościele św. Antoniego, blisko Lateranu. Konsekracji dokonał kardynał Satolli.

Wieczorem, ku czci Matki Boskiej Wniebowziętej, ulice Rzymu były iluminowane.

Rzym, 16 sierpnia 1903. — Dziś zaprosił nas nowo konsekrowany arcybiskup Harty do swojej rezydencji przy placu św. Sylwestra. Przy tej sposobności poznaliśmy także jego przyszłego koadjutora, biskupa-elekta Hendrick'a (z Rochester, N. Y.), przeznaczonego także do Manili. Konsekracji biskupa-elekta Hendrick'a dokona w przyszłą niedzielę kardynał Satolli, w kościele św. Praksedy. Biskup-elekt osobiście raczył nas zaprosić na tę swoją uroczystość.

Rzym, 17 sierpnia 1903. — Dziś nareszcie, po tylu szturmach, zdobyliśmy fortecę i dotarliśmy do sekretarza papieskiego Mgr. Bressan. Przyjął nas nadzwyczaj grzecznie. Poinformowaliśmy go o całej naszej sprawie, wręczając mu 1 egzemplarz naszego Memorjału, oraz dwa bardzo ozdobne egzemplarze (podwójne — więc raczej cztery) ze złoconymi tytulikami, ażeby je wręczył papieżowi. Zanim bowiem uzyskamy u papieża audjencję, papież musi być dokładnie poinformowany o nas i o całej naszej sprawie. Nasze dokumenta, mandaty od Wydz. Wyk. etc. oddaliśmy także sekretarzowi, by je przedłożył papieżowi. Audjencja u papieża zapewniona. Przy końcu audjencji u sekretarza papieskiego, pokazałem różne fotografje nowego papieża, jakie zakupiliśmy i pytałem sekretarza, czy to są „verae effigies" — wierne wizerunki papieża?... Nie — odrzekł — wcale nie podobne". — „To prosilibyśmy o prawdziwe, gdyż my Polacy w Ameryce pragnęlibyśmy mieć „veram effigiem novi Pontificis" — prawdziwy obraz Ojca św. Piusa X." — To ucieszyło sekretarza i rzekł: „Dobrze, postaram się, że dostaniecie

fotografję od samego Ojca św. z jego własnoręcznym podpisem!“... Tegośmy chcieli.

Rzym, 18 sierpnia 1903. — Nadaremnie szukałem ks. kanonika Leona Iwińskiego w Rzymie. Miał mieszkać na Campo dei Fiori. Niema go tam. Spotkałem polskiego artystę, w Rzymie od 20 przeszło lat zamieszkałego, p. Bardzkiego. Ten mi powiedział, że ostatni raz widział ks. Iwińskiego kilka lat temu, lecz, że dawno już nie słyszał nic o nim. Natomiast p. Bardzki wypytywał mnie szczegółowo o „księdza Antoniego Kozłowskiego“, który — powiada — był bardzo pobożny, miewał nawet „widzenia“ Matki B. etc. etc., a potem wyemigrował do Ameryki i przepadł tam bez wieści. Pan Bardzki nie wie, gdzie „ojczulek Antoni“ się obraca, jak mu się powodzi. Struchlał, gdym mu powiedział, co się z tym „pobożnym ojczulkiem“ w Ameryce stało... „To ta Ameryka go zepsuła!“ — rzekł. „Nie Ameryka temu winna — odparłem — tylko ci „pobożni“, jakich do Ameryki przysyłacie, nic nie warci!“

Rzym, 19 sierpnia 1903. — Nic dziwnego, że kardynałowie tu byli tego zdania, jakoby rząd waszyngtoński był przeciwny naszemu ruchowi. Kardynał Oreglia, gdyśmy mieli zeszłego tygodnia posłuchanie u niego, podniósł ten sam zarzut. „Niema w tej pogłosce ani odrobiny prawdy — odrzekłem. owszem, tam gdzie potrzeba, mamy nawet urzędowe ogłoszenia w polskim języku, za które magistrat płaci. Zresztą — rzekłem, wskazując na mojego towarzysza — oto tu świadek, który długie lata obracał się w rządowych kołach washingtońskich, niech on powie, czy to prawda, że rząd naszym staraniom jest przeciwny!“ I pan Mahany wywiązał się ze swego zadania znakomicie.

Lecz nic dziwnego — powtarzam — że ta pogłoska krążyła po Rzymie. Bo oto dwaj biskupi amerykańscy, bawiący tu w Rzymie, tę samą pogłoskę powtarzali, jak się dowiedziałem dziś od wiarogodnego świadka. Uważają oni (biskupi) naszą sprawę za słuszną, lecz — zasłaniają się rządem! Oto wykręt, który atoli obecnie już nic nie pomaga. Jezuita ks. Meyer, asystent generała jezuickiego, powiedział im bez ogródki, że twierdzenie, jakoby rząd amerykański miał się sprzeciwiać naszemu ruchowi, jest po prostu wymysłem i — głupstwem!

Ale i głupstwo, jeśli tylko ma urzędowy patent na sobie — ma wolny obieg po świecie!...

Rzym, 20 sierpnia 1903. — Dziś raczył nam w hotelu naszym złożyć wizytę nowy arcybiskup Manili, Najprzew. ks. Harty, wraz

ze swoim sekretarzem. Wizyta trwała pół godziny. Przy pożegnaniu arcybiskup Harty, który w ciągu rozmowy okazywał wielką życzliwość, rzekł mi te pochlebne słowa: „We feel kinship with you", (poczuwamy się do pokrewieństwa z tobą). Jeśli ze mną — to i z moją sprawą.

Rzym, 22 sierpnia 1903. — Wczoraj, 21 sierpnia, byłem chory, tak że myślałem, iż ostatnia godzina wybiła dla mnie. Jakiś napad malarji rzymskiej. Dziś atoli wstałem znowu zdrów jak ryba.

Czekamy na audjencję papieską cierpliwie. Im później tę audjencję mieć będziemy, tem lepiej dla sprawy. Teraz jeszcze papież ma za wiele wizyt ambasadorskich etc.

Odebrałem piśmienne zaproszenie na konsekrację biskupa-elekta Hendricka.

Rzym, 23 sierpnia 1903. — Byliśmy obecni na konsekracji biskupa Hendricka, przeznaczonego (razem z arcybiskupem Harty) do Manili. Konsekracji udzielił kardynał Satolli, równocześnie dwom nowym biskupom, wspomnianemu Hendrick'owi i zarazem Włochowi Cavarallo. Ceremonja ta miała miejsce w kaplicy Franciszkanek Misjonarek, na Via Giusti nr. 12, tuż blisko macierzystego domu Sióstr Nazaretanek, u których też dziś odprawiłem Mszę św. Tak zwane „Misjonarki Franciszkańskie" są nowem zgromadzeniem, bo dopiero 25 lat temu założonem, lecz już po całym świecie rozpowszechnionem. Mają już swoje męczenniczki, w Indjach za wiarę św. zabite. W swoich białych jak śnieg habitach czyli sukniach te „Misjonarki" wyglądają jak Anioły.

Raczył mi złożyć wizytę prokurator generalny OO. Zmartwychwstańców, Przew. ks. Marszałkiewicz, C. R. Omawialiśmy sprawy publiczne przez półtorej godziny.

Dnia 24 sierpnia podejmowaliśmy wystawnie zacnych i dostojnych gości. Zaproszeni na obiad do hotelu naszego punkt o 7:30 wieczorem stawili się: Jego Ekscelencja ks. arcybiskup Jeremiah James Harty, arcybiskup Manili, Najprzew. ks. biskup Thomas Augustin Hendrick, biskup diecezji Cebu na Filipinach (o trzy dni drogi od Manili), tudzież jego brat ksiądz, którego tu dziś zrobiono Monsignorem; dalej manuduktor naszej sprawy ks. Antonucci, oraz pan Croke. Arcybiskup zaraz na wstępie wyraził mi swoją życzliwość dla delegacji polskiej. Wzniósł toast najpierw p. Mahany na cześć dostojnych gości, potem ks. Antonucci bardzo entuzjastycznie na cześć Polonji amerykańskiej, by się doczekała równo-

uprawnienia kleru swego w hierachji kościelnej; nakoniec ja wzniosłem toast „Kochajmy się“ — Amemus nos invicem — Let us love one another — tłumacząc gościom, że taki jest nasz staropolski zwyczaj. Podobało się to bardzo obydwom naszym biskupom amerykańskim. Do tego atoli „kochajmy się“, nasz manuduktor dodał zaraz następującą uwagę praktyczną: „Tak, kochajmy się, lecz miłość opiera się na sprawiedliwości. Gdy pojedziecie, Najprzewielebniejsi Biskupi, do Ameryki, nie zapomnijcie to powiedzieć Waszym konfratrom biskupom amerykańskim, że Polacy w Ameryce dotychczas są upośledzeni, że dzieje im się krzywda i niesprawiedliwość, że powinni raz przecie być uwzględnieni w hierarchji kościelnej! Sprawcie to swoim przemożnym wpływem, by Polakom w Ameryce stała się słuszność i sprawiedliwość!“ Na to odrzekł arcybiskup Harty: „Stanie się, przyjdzie do tego; Polacy w Ameryce są pobożni i pracowici i zaiste zasługują na wielkie uznanie i uwzględnienie w Kościele.“ Biskup Hendrick również wychwalał Polaków, których miał 30 familij w swojej parafji. Rozmowa toczyła się w dalszym ciągu o Polakach w Ameryce.

O godzinie kwadrans przed dziesiątą dostojni goście opuścili nasz hotel, bardzo dobrze dla naszej sprawy usposobieni. Obydwaj ci biskupi amerykańscy wracają do Stanów Zjednoczonych, a stamtąd pojadą na Filipiny.

Rzym, 2 września 1903. — Ostatnie dni przeleżałem w łóżku, poważną złożony chorobą. Noce są tu chłodne; śpiąc pod bardzo lekkiem pokryciem, zaziębiłem się i następnie dostałem febry, która mię temi dniami znacznie wycieńczyła. Misericordiae Domini, quod non sum consumptus — miłosierdzie Pańskie, żem nie zniszczony. Przez cały dziesięcioletni pobyt mój w Ameryce nigdy ciężko nie chorowałem. Amerykańskie powietrze lepiej mi służy, niż europejskie, a zwłaszcza rzymskie, złe (malaria, mala aria), morowe powietrze.

Na tę febrę dawano mi różne proszki i pigułki; ale te nic nie pomagały. Nareszcie sam właściciel naszego hotelu, pan Silenzi, przygotował mi na poty ogromną szklankę silnego groku. Wypiłem. Pot ze mnie lał się strumieniami. Zasnąłem. A gdy się obudziłem, zrzuciłem mokrą od potu pościel i bieliznę i nową, suchą się przyodziałem. Poczem znowu zasnąłem a na drugi dzień rano czułem się zdrów i jakby odrodzonym na siłach. Febra odrazu znikła.

Bogu dziękuję, że w czasie tej choroby nie przypadła audjencja nasza u papieża. Mgr. Bressan, sekretarz papieski, przez którego (dla ważnych racyj) chcemy być wprowadzeni do papieża, jeszcze nie powrócił z Wenecji, dokąd był wyjechał przed dwoma tygodniami dla załatwienia spraw papieża, jako dawnego patrjarchy weneckiego. Mogliśmy byli dawno już uzyskać audjencję u papieża przez „Maestro di Camera", ale audjencja audjencji nie równa. Zresztą z Mgr. Bressan zawiązaliśmy stosunki, jego się też trzymać chcemy.

W hotelu naszym bawił od zeszłego tygodnia p. Stanisław Barcewicz z Warszawy, sławny artysta-skrzypek. Dawał tu w hotelu bezpłatny koncert, na który stawiło się wielu Polaków z Rzymu.

Towarzystwo tutejsze p. t. „Czytelnia Polska w Rzymie" ofiarowało p. Barcewiczowi wspaniały bukiet.

Przed dwoma tygodniami odwiedził mię ks. J. Azbiewicz. Rozmawialiśmy o sprawach publicznych przez dwie godziny.

26. Korespondenci gazet polskich i angielskich. — Listy z Ameryki.

Po chorobie radzono mi wyjechać ze skwarnego i dusznego Rzymu na świeże powietrze. Pan Mahany miał na wyspie Capri znajomego z Ameryki artystę malarza, którego koniecznie chciał odwiedzić. Pojechałem więc z p. Mahanym na dwa dni na prześliczną wyspę Capri, słynną z groty błękitnej, której wnętrze także zwiedziliśmy.

„Supplices Preces" rozesłałem wszystkim polskim księżom w Ameryce, wszystkim biskupom w Ameryce, Anglji, Irlandji i Polsce. Gazety w Anglji, Irlandji i Polsce przetłumaczyły i wydrukowały „Supplices Preces". Stale w Rzymie mieszkającym korespondentem gazet w Irlandji i Ameryce był wyżej wspomniany pan Croke, który niemal codzień nas odwiedzał. Korespondenci, rozsyłający telegramy Stowarzyszonej Prasy, także często o nowiny dopytywali. Korespondentem gazet w Polsce był p. Adam Darowski, stary, poczciwy wiarus, ostry weredyk i trochę pesymista. Odwiedził nas w hotelu i korespondent petersburskiego „Kraju"; zastawszy mnie i p. Mahany'ego przy stoliku siedzących, zdjął z nas fotografję dla swego czasopisma. Z jego fotografji później poznał nas pewien pan, gdyśmy podróżowali po Polsce.

Urlop z mej diecezji milwauckiej wziąłem tylko na trzy miesiące. Musiałem poprosić o przedłużenie go na dalsze trzy miesiące. Temi dniami otrzymałem od ks. A. F. Schinnera, administratora diecezji milwauckiej, następujące pozwolenie dłuższego pobytu w Rzymie:

Praesentibus hisce litteris Revo Domino Wenceslao Kruszka veniam ad tres vel quatuor menses continuamus ut munere vacare possit.

Datum Milwaukiae die 24. Augusti A. D. 1903.

A. F. Schinner,
Administrator Sede Vacante.

Na 3 do 4 miesięcy, to najzupełniej wystarczy!

W Rzymie nie wystarczy mieć papiery od swojego biskupa, żeby Mszę św. odprawiać. Trzeba nadto wystarać się o „fakultatę" wikarjusza generalnego tutejszej diecezji rzymskiej. Wikarjuszem tym jest kardynał Respighi, „Sanctissimi Domini Nostri Papae Vicarius Generalis". Do niego co miesiąc idę po odnowienie pozwolenia odprawiania Mszy św.

Z Ameryki otrzymałem od „Buffalo Clipping Bureau" liczne wycinki z gazet omawiających naszą sprawę. Widzę, że Wydział Wykonawczy, względnie jego sekretarz, dzielny ksiądz Kazimierz Sztuczko, zbiera dla nas delegatów ofiary. Dzięki mu! Dotychczas otrzymałem dwa przekazy, jeden na 200, drugi na 100 dolarów.

Listy z Ameryki z rozmaitemi sprawami nadchodziły liczne. I tak z Pittsburga 31 lipca 1903 pisał mi kleryk Ignacy Ostaszewski, żeby mu się wystarać u Propagandy o papiery potrzebne do wyświęcenia. W sześć tygodni potem, dnia 10 września 1903 z Beatty, Pa., pisał mi drugi kleryk, Władysław Odziemczewski:

Ufając wspaniałomyślności Przew. Księdza Dobrodzieja i znając Jego poświęcenie się sprawie polskiej w Ameryce, Jego prace i zabiegi około tejże, postanowiłem skorzystać z Jego dobroci i prosić Waszej Przewielebności o zajęcie się moją małą sprawą w św. Kongregacji de Propaganda Fide. Do tego śmiałego kroku, aby zadawać Waszej Przewielebności ten trud, spowodowała mię odpowiedź kl. Ostaszewskiemu, otrzymana wczoraj przezeń, z której dowiedzieliśmy się, jak wspaniałomyślnie Wasza Przewielebność zajął się jego sprawą. On papiery otrzymał. Przeto i ja upraszam serdecznie Przewielebnego Księdza Dobrodzieja o łaskawe

zaopiekowanie się i moją sprawą, abym mógł jak najprędzej uzyskać pozwolenie, a wdzięczność moja względem tak łaskawego Dobroczyńcy nie będzie miała granic."

Inni znowu prosili o relikwje różne lub błogosławieństwo papieskie. Ale ks. A. Ignasiak z Erie, Pa., w liście z dnia 28 lipca 1903 r. załączył mi czek na 25 dol. i tak pisał do mnie:

„Wiel. Księże Dobrodzieju! Nikt z polskich księży do tej tak ważnej sprawy nie jest zdatniejszym od Jegomości. Przed miesiącem rozmawiałem z jednym jegomością z okolic Chicago, który wieszając na Was psy, przyznał się, że w Rzymie już wszystko o Kruszce wiedzą, więc tylko fiasco będzie rezultatem. Nie potrzeba chyba nadmieniać, żem Was bronił. Powiedział także, że **choćbyśmy tu stąd Anioła posłali, to zanim do Rzymu zajedzie, djabłem zostanie** wskutek machinacji oponentów: taka to już nasza niezgoda! Piszę Wam o tem, bo dobrze wiedzieć, co Was może spotkać! dlatego nie tak na swym dowcipie, jak raczej na pomocy Bożej polegać wypada Jegomości. Myślę, że znajdzie się więcej księży, którzy Wam chętnie dopomogą. W każdym razie nie pozwólcie, by sprawa przepadła wskutek braku pieniędzy. Obecnie wyjątkowe tam czasy są u Was w Rzymie po śmierci papieża, i to jednego z najlepszych. A teraz jeszcze konklawe. Wszystko to pewno Wam Waszą pracę utrudnia, i pytanie, czy nie opóźnia. Przysłali mi „Roczniki" z Kolegjum Polskiego: bardzo interesujące tam są rzeczy i proszę im podziękować i niech mi nadal przysyłają. Zapłacę, gdy mi przyślą rachunek, co się należy. Jeżeli tam co po łacinie drukują w rodzaju miesięczników, odnoszące się do starożytności, proszę mi przysłać. Proszę mi przywieźć jakie relikwje, z autentykami, kilku bardziej znanych Świętych. Za mnie proszę się pomodlić u grobu św. Piotra a także u grobu Leona XIII i Piusa IX."

Pan Stanisław Ślisz z Buffalo, 9 września 1903 donosił:

Wiel. i Drogi Księże!

Z naszej polsko-amerykańskiej niwy mam niewesołą wiadomość do zakomunikowania. „Dziennik Chicagoski" od samego początku nieprzychylny delegacji, staje się coraz zuchwalszym, a do niego przyłączył się teraz „Dziennik Milwaucki" i kilka innych pism. Zarzucają delegacji niejedno, a Księdzu Dobrodziejowi szczególnie to, że dla podniesienia „Kurjera" niepotrzebnie zdradza tajemnice, opisując szczegółowo o całym przebiegu sprawy. Zyskuje

na tem „Kurjer“, ale traci sprawa, a przeciwnicy, mając odkryte szczegóły, mogą pokrzyżować czynione zabiegi i starania. Ja sam jestem tego zdania, że należało być dyskretniejszym; ale tego nie mówię ani nie piszę. Licho nadało, że Wydział Wykonawczy ogłosił obronę księdza doktora Skulika, dodając sam od siebie, że Ks. Dobrodziej rzucił na niego podejrzenie. Odparłem ten zarzut, jak wogóle odpieram wszystkie inne, które przeciwnicy robią delegacji. Pana Mahany'ego proszę zapewnić, że wdzięczni mu jesteśmy za jego zabiegi około naszej sprawy. Będziemy tu umieli ocenić przy nadarzonej sposobności. Ksiądz Dobrodziej raczy równie przyjąć zapewnienie, że wszyscy ludzie dobrej woli z podziwem i uwielbieniem mówią o Jego pracy i poświęceniu.“

A pan Leon Szopiński z Chicago 10 września 1903 pisał:

Kochany Księże Dobrodzieju!

Sejm nasz odbędzie się w Detroit u ks. Rzadkowskiego od 6 do 10 października. Cieszylibyśmy się bardzo, gdyby Ks. Dobr. mógł dla delegatów, ich rodzin i wszystkich członków Zjednoczenia wyżebrać błogosławieństwo papieskie. Byłaby to dla nas wielka niespodzianka, za którą poczuwalibyśmy się do wdzięczności. Sądzę, że to błogosławieństwo trzebaby telegraficznie nadesłać na ręce ks. biskupa Foley w Detroit.

Pod opaską wysyłam kilka gazet dla informacji. Ks. Skulik strasznie się rozgniewał, a w części słusznie, bo „Polak w Ameryce“ bądź co bądź przeholował i księdza Skulika zanadto czarno osmarował. W części przynajmniej zrehabilitowaliśmy ks. Skulika, albowiem groził nam przetłumaczeniem wszystkich korespondencyj, które Ksiądz Dobrodziej do „Kurjera“ napisał, a po przetłumaczeniu na język włoski chciał takowe rozesłać do wszystkich kardynałów w Rzymie, przez co by sprawę naszą tylko popsuł. Dziś znowu atakuje „Polak w Ameryce“ ks. Skulika. Zupełnie to niepotrzebnie.

Życzę jak najlepszego powodzenia i szczęśliwego powrotu.

Szczerze oddany

Leon Szopiński.

Kardynał Della Volpe przynajmniej mnie już więcej nie uważał za ks. Skulika, spamiętał nawet sobie moje nazwisko i umiał mię doskonale odróżnić od ks. Skulika. Pewnego dnia ks. Antonucci, pan Mahany i ja szliśmy w pałacu watykańskim, gdy wtem na

korytarzu z przeciwka szedł kardynał Della Volpe i, spojrzawszy na mnie, zawołał głośno:

— Iste terribilis Kruszka hic adest!

Com pisał do „Kurjera“, tom jawnie mówił w Rzymie. I wszyscy wiedzieli, com pisał. Prawdy pisać nie potrzeba się obawiać. Prawdą i otwartością najdalej się zajdzie. Zabiegi nasze w Rzymie nie były przecie grą w karty albo szulerką, żeby się z czemś taić i ukrywać trzeba. Wszelka tajna dyplomacja djabła warta. Bo rodzi tylko niedowierzanie i nieufność. Gdybym o całym przebiegu sprawy szczegółowo nie był pisał, toby mi nikt nie wierzył, że miałem przystęp do kardynałów; i co za tem idzie, nikt nie byłby mi przysłał ani złamanego szeląga na przedłużony mój pobyt w Rzymie. Każdy myślałby, że tam w Rzymie siedzę a nic nie robię dla sprawy. Sprawę publiczną publicznie traktować trzeba. Tajna dyplomacja djabła warta i, zmiast ludzkich, djable stosunki na świecie zaprowadza.

Ks. Stanisław Nawrocki, prezes Stowarzyszenia Księży, przesyłając mi z Chicago 1 września 1903 trzydzieści intencyj mszalnych, z właściwą sobie werwą te słowa skreślił:

Kochany Księże Wacławie!

Obecnie bardzo mało intencyj mamy. Pytałem się kilku księży, ale jakoś nikt nie daje. Nareszcie ks. Lange dał mi dwudziestkę za swoje grzechy, no i ja za swoje daję dziesiątkę — tylko się módl gwałtownie, żeby jaki dobry skutek, no i pożytek z tego wypłynął. Narób tam z pół tuzina biskupów — należy nam się co najmniej czterech, stosownie do liczby księży. — Kłaniam się Rzymowi —

Twój

X. L. Nawrocki.

Tymczasem Buffalo Clipping Bureau nadesłało nam do Rzymu całą garść wycinków z gazet amerykańskich, wycinków, z których wiał duch kłamstwa. Ajrysze w Ameryce wściekli się ze złości. Z początku byli pewni, że Rzym nas w naszej sprawie ani wysłuchać nie raczy. A tu tymczasem Rzym łaskawie zajmuje się naszą sprawą. To też w miarę jak powodzenie nasze rosło, żmija zazdrości podnosiła swój łeb coraz wyżej i na delegację bryzgała jadem nienawiści i oszczerstwa. Atoli nie dosięgła nas, a tem mniej ukąsiła.

27. Posypały się iskry z kuźni czartowskiej, czyli fałszywe telegramy o nas i o naszej sprawie. — Wieczna kwestja granic terytorjalnych czy narodowościowych. — Terytorjalne są idealne, a narodowościowe są faktyczne i realne.

O sprawie naszej wysyłano z Rzymu, jak się niebawem przekonałem, telegramy i kablogramy najrozmaitszej treści, prawdziwej i fałszywej, przychylnej i nieprzychylnej. Agenci prasy stowarzyszonej często nas nawiedzali i wiadomości ze samego źródła czerpali. Ale często i gdzie indziej się poinformowali. Najczęściej widzianym i spotykanym przez nas, pamiętam, był pan Salvatore Cortesi, który na danej mi kartce biletowej nosił taki tytuł: „Chief of the Italian Bureau of the Associated Press of the United States". Mieszkał w Galleria Sciarra, Rome. Ale oprócz agentów prasy stowarzyszonej, było w Rzymie niemało korespondentów, przeważnie ajryszów. Niemal każdy biskup z Ameryki miał dla swojego czasopisma diecezjalnego własnego korespondenta w Rzymie. Pisząc korespondencje z Rzymie, podpisywali się pseudonimem; i dlatego trudno ich było odnaleźć. Jeden, podpisujący się pseudonimem „Vor Urbis" w swej korespondencji do „New York Freman's Journal" strasznie mię osmarował, przedstawiając mnie jako drugiego Lutra, buntującego się przeciw całemu episkopatowi amerykańskiemu. Długo nie wiedziałem, ktoby „Vor Urbis" mógł być. Aż mnie pan Croke objaśnił. Pan Croke był sam korespondentem różnych ajryskich pism w Ameryce, ale sam nigdy nie był w Ameryce; był czystym Irlandczykiem, szczerym i otwartym, bez żadnego podstępu. Częstym był gościem u mnie, więc i ja nawzajem bywałem u niego prawie co tydzień. Od niego dowiedziałem się, kto pod jakim pseudonimem się ukrywał. Ale o tem później powiem więcej.

We Włoszech o naszej sprawie bardzo pochlebnie rozpisywał się dr. Vercesi Ernesti we wpływowym i bardzo rozpowszechnionym swoim „Osservatore Cattolico", wychodzącym w Medjolanie. Zapoznałem się z nim przez pana Adama Darowskiego, korespondenta pism warszawskich, poznańskich i krakowskich.

Rzym, 10 września 1903. — Duch kłamstwa nie śpi. Ten książę ciemności ma także swoje godziny ofisowe, w których daje audjencje swoim agentom. Odebraliśmy właśnie dziś całe stosy wycinków z gazet amerykańskich, z których widać, że ten duch kłamstwa, duch ciemności, poświęcił jedną godzinę sprawie naszej,

sprawie Polonji amerykańskiej, rozsyłając kłamliwe telegramy po całej Ameryce i przedstawiając całą sprawę naszą w jak najfałszywszem świetle. A no, i duch kłamstwa musi mieć swoją godzinę, a ta godzina jego — zbiegiem okoliczności — przypadła właśnie na czas mojej obłożnej choroby. Telegramy owe, wysłane niby z Rzymu, mogły znaleźć wiarę tam, w Ameryce, ale nie tu w Rzymie. Każdy tu wie, jak łaskawie i serdecznie zostaliśmy przyjęci przez Propagandę. Każdy tu wie, że audjencję u papieża mamy zapewnioną; jest tylko kwestją czasu, kiedy ją mieć mamy. Każdy tu wie, o co prosimy, że nie prosimy koniecznie o biskupów dla Polaków wyłącznie, lecz — jak to w „Supplices Preces" wyraźnie zaznaczone — „petimus scilicet ut nos Poloni in America iisdem ac aliae gentes juribus frui possimus in ecclesiastici hierarchia" (str. 23), to jest, prosimy o równouprawnienie kleru polskiego w hierarchji kościelnej. Czy taka prośba sprzeciwia się duchowi Kościoła, albo Koncyljum Baltimorskiemu? To też każdy tu się śmieje z owego kłamliwego telegramu, i pyta się, czy rzeczywiście Koncyljum Baltimorskie uchwaliło prawo wyjątkowe dla kleru polskiego, prawo wykluczające księży polskich z hierarchji kościelnej? czy rzeczywiście sprzeciwia się to Koncyljum Baltimorskiemu, żeby jakiś ksiądz polski w Ameryce był dopuszczony do godności biskupiej? Coby to za drakońskie prawa ukuto w tem Baltimore?... Takie i tym podobne pytania wywołał ów telegram z 26 sierpnia.

Inny telegram, rozesłany przez ducha ciemności, opiewał: że przyszłym arcybiskupem w Milwaukee może być tylko Amerykanin, a nie Polak, albo Niemiec itp. I ten telegram (nadesłany mi z Ameryki) wywołał tu naiwne pytania, jak np.: Co to znaczy „Amerykanin"? Jeśli Polak albo Niemiec itp. w Ameryce urodzony albo naturalizowany, Amerykaninem nie jest, to kto nim jest? Indjanin? Ależ Indjanina nie chcą przecie na stolicę milwaucką... Czyż Pułaski i Kościuszko nie byli dobrymi, w prawdziwem tego słowa znaczeniu, Amerykanami, dlatego, że Polakami być nie przestali?...

To znowu takie pytanie: Jakie granice mają parafje w Ameryce? terytorjalne czy narodowościowe? — Narodowościowe. A diecezje? Terytorjalne. Więc fundament budowy i organizacji Kościoła w Ameryce jest narodowościowy? Parafje zorganizowano i podzielono na zasadzie narodowościowej? Czy oprócz polskich, irlandzkich, niemieckich, francuskich itd. parafij istnieją tam jeszcze

jakieś odrębne „amerykańskie“ parafje katolickie? — Chyba tylko indjańskie. Wszystkie inne parafje katolickie są albo polskie, albo irlandzkie, albo niemieckie, francuskie, czeskie itd. Miano „amerykański“ nie jest mianem właściwem (nomen proprium) żadnej poszczególnej parafji katolickiej, jest raczej mianem wspólnem (nomen commune) wszystkich parafij.

Dalej owa iskra z kuźni czartowskiej rozniosła po drucie telegraficznym wiadomość, jakoby kardynał Gotti i nowy papież chcieli zatrzeć wszelkie granice narodowościowe w Kościele amerykańskim. Skoroby zatarli granice narodowościowe, czyżby tem samem nie znieśli granic między parafjami, które właśnie na zasadzie narodowościowej są zorganizowane? czyżby to nie było zdezorganizowaniem i podaniem w rozsypkę, skazaniem na zagładę poszczególnych parafij, tworzących podwalinę Kościoła w Ameryce? czyżby, znosząc różnice narodowościowe, nie podkopano przez to samegoż fundamentu, na którym cała organizacja Kościoła w Ameryce się opiera?... Videant consules, ne respublica christiana detrimentum patatiur! Parafje tworzą podwalinę diecezyj, a parafje w Ameryce — powtarzam — powstały i istnieją na zasadzie narodowościowej, określone są granicami nie innemi jak właśnie narodowościowemi. Usuńcie, zatrzyjcie te granice narodowościowe — a powstanie chaos i zamęt, bo runie, pozbawiony swej podstawy, cały gmach Kościoła amerykańskiego. Będą „Amerykanie“ — tak, ale nie będzie katolików więcej! Kto ojców swych (czyli narodowości) się zaparł, zaprze się także wiary ojców!...

Takie i tym podobne dyskusje wywołały owe kłamliwe telegramy, umieszczone w gazetach amerykańskich.

A po obiedzie, dziś nad wieczorem, pospieszyliśmy z ks. Antonuccim do Watykanu, by dowiedzieć się bliższych szczegółów co do naszej audjencji u papieża. Po chwili oczekiwania sekretarz papieski oświadczył nam, że możemy mieć jutro audjencję między 5 a 6 godziną po południu. I dodał, że „Sarto“ (wyraźnie powiedział Sarto, a nie Pius X — widocznie sekretarz, Wenecjanin, jeszcze się nie przyzwyczaił do nowego nazwiska papieskiego), Sarto — powiada — dobrze z waszą kwestją jest obznajomiony, chciałby dla was zrobić, ale — zrozumiecie to — że na początku pantyfikatu swego trudno mu odrazu wydać ostateczną decyzję w tak ważnej i doniosłej sprawie, jaką wasza jest. Dlatego nie spodziewajcie się jeszcze jutro żadnej od niego decyzji. Na to odpowiedzieliśmy,

że bynajmniej nie domagamy się od Jego Świątobliwości natychmiastowej decyzji w sprawie naszej, my chcemy tylko osobiście Ojcu św. przedłożyć prośbę Polonji amerykańskiej — to wszystko, co na razie chcemy.

28. Pierwsze posłuchanie delegacji u papieża Piusa X. Wyjazd z Rzymu do Polski.

Rzym, 11 września 1903. — I dziś też, o czasie wyznaczonym wczoraj, przypuszczeni zostaliśmy przed oblicze Jego Świątobliwości Piusa X, to jest my trzej: ks. Antonucci, pan Mahany i ja, w osobnym pokoju, w jednym z pokoi sekretarza stanu Rampolli, gdyż obecny papież jeszcze się nie wprowadził do właściwych apartamentów papieskich. Po trzykrotnem przyklęknięciu na lewe kolano, papież dał nam do pocałowania najpierw prawy swój złocisty, karmazynowy trzewik, a potem i pierścień Rybitwy u prawej swojej ręki, następnie kazał nam powstać (gdyż właściwie podług regulaminu watykańskiego rozmawia się klęcząco z papieżem), więc stojąco przemawiałem do papieża, wręczając mu bardzo ozdobny podwójny egzemplarz naszych „Supplices Preces", tym razem z dodatkiem poświadczenia co do liczby Polaków mieszkających w mieście Chicago. Słowa papieskie, odnoszące się wprost do naszej sprawy, były następujące: „Rem vestram bene cognovi, totum vestrum supplicem libellum jam perlegi. Nunc, uti pater, res vestra est in consideratione apud Congregationem de Prapaganda Fide. Sed ego libenter aliquid faciam pro vobis." To znaczy: „Sprawę waszą dobrze poznałem, całą waszą książeczkę „Pokorną Prośbę", już przeczytałem. Teraz, ma się rozumieć, sprawa wasza jest pod rozwagą w Kongregacji Rozkrzewiania Wiary. Lecz ja chętnie coś uczynię dla was." Dziękując za życzliwość, prosiłem Ojca św. o błogosławieństwo dla Polaków w Ameryce, dla poszczególnych organizacyj, dla parafji św. Wacława w Ripon, dla mojej matki, braci, sióstr, krewnych, znajomych... „Błogosławię tych wszystkich — odrzekł Ojciec św. i pobłogosław w Mojem imieniu nietylko tych, których teraz masz na myśli, ale wszystkich tych, którzy później przyjdą ci na myśl, żeś chciał dla nich Mojego błogosławieństwa." Następnie Pius X dał nam szczególny dowód łaskawości swojej. Wziął pióro do ręki i na podanych mu trzech dużych fotografjach swoich w naszej obecności podpisał się: „Pio PP. X", poczem każdemu z nas trzech wręczył jednę z tych fotografij z włas-

noręcznym podpisem. Nakoniec pobłogosławił nasze różańce, krzyżyki i medaliki. Pana Mahany'ego różańce nietylko pobłogosławił, ale pochwycił je i w ręce swojej zatrzymał — co pana Mahany'ego nadzwyczaj ucieszyło.

Papież wiedział o tem, że p. Mahany nie jest katolikiem; ale też wiedział bardzo dobrze, dla czegośmy jego, choć nie katolik, wzięli ze sobą. Otóż p. Mahany dla swoich przyjaciół, których między katolikami ma dużo, zakupił był wiele medalików i różańcy. Wyciągnął je z kieszeni i Ojciec św. mu je pobłogosławił. Lecz kiedy już po skończonej audjencji wychodziliśmy, nagle panu Mahany'emu przypomniało się, że jeszcze w jednej kieszeni ma różańce, których Ojcu św. zapomniał dać do pobłogosławienia. Więc wyciągając z zanadrza nową garść różańcy, zwrócił się znowu do Ojca św. i prosił go, by i te mu pobłogosławił. Na to Pius X serdecznie się uśmiechnął, chwycił ten pęk różańcy, pobłogosławił i rzekł:

— Jeśli jeszcze masz jakie różańce w kieszeni ukryte, a zapomniałeś o nich, to i te ci pobłogosławię.

Z powodu tej dobroci Ojca św. pan Mahany nie posiadał się z radości.

Niech teraz wrogowie nasi w Ameryce puszczają w świat fałszywe pogłoski, jakoby Ojciec św. nie chciał przyjąć delegacji polskiej z Ameryki, jakoby nic nie chciał słyszeć o sprawie Polonji amerykańskiej. Fakt faktem pozostanie, że dziś, 11 września R. P. 1903 Pius X przyjął łaskawie delegację polską z Ameryki i że dla jej sprawy okazał się — nie chłodnym ani zimnym — ale życzliwym i przyjaznym.

Atoli, aczkolwiek wysoko sobie cenimy dzisiejszą audjencję, nie przeceniamy jej bynajmniej. Wiemy i zdajemy sobie sprawę z tego, że ostatecznym triumfem i zwycięstwem dla sprawy naszej ta audjencja jeszcze nie jest! Wiemy dobrze, gdzie i na którem polu walna bitwa w sprawie naszej się rozgrywa; wiemy, że w Propagandzie.

Rzym, 13 września, 1903. — Jedną z najoryginalniejszych bazylik rzymskich jest bazylika św. Klemensa, jednego z pierwszych papieży męczenników, którego ciało tu pochowano. W tej bazylice znajduje się boczna kaplica śś. Cyryla i Metodego, Apostołów słowiańskich. Odprawiwszy dziś w tej kaplicy Mszę św. zstąpiłem do starej, podziemnej bazyliki, zbudowanej jeszcze w IV wieku. Na ścianach widać tam mocno nadpsute freski

czyli malowidła ścienne, przedstawiające obrazy z życia św. Klemensa. Dwa atoli malowidła ścienne jeszcze prawie przechowały się w całości, mianowicie: podobizna św. Klemensa i św. Klemens odprawiający Mszę św. Kupiłem fotografje tych dwu malowideł i zabrałem je ze sobą na pamiątkę. W tej podziemnej bazylice św. Klemensa znajduje się także grób św. Cyryla, apostoła Słowian. Zakrystjanin zapalił stoczek (gdyż ciemno w tej podziemnej bazylice) i zaprowadził mię do tego grobu. Grób, z cegieł murowany, jest rozwarty i próżny. Gdzie się ciało św. Cyryla podziało? nikt nie wie. Kiedy r. 1861 podziemną bazylikę odkopano i grób św. Cyryla otworzono, nie znaleziono w grobie nic prócz ziemi. Czy są jakie relikwje św. Cyryla? Na to zakrystjan mi odpowiedział, że w bazylice św. Klemensa mają małą (pokazał na pół paznogcia) relikwję św. Cyryla, ale z tej nikomu żadnej cząsteczki nie udzielają. Pokazał mi jedno z malowideł ściennych, z 9 lub 10 wieku, które przedstawia pogrzeb św. Cyryla. Zabrałem fotografję tego malowidła.

Pan Adam Darowski, rzymski korespondent pism krajowych z pod wszystkich trzech zaborów, oraz badacz historyczny archiwum watykańskiego, złożył nam wizytę w hotelu. Dowiedział się o naszym w Rzymie pobycie z pism krajowych, które — powiada — żywo się zajmują tą naszą sprawą. Przysłał swego fotografa, i ten nas siedzących przy stoliku w hotelu w okamgnieniu odfotografował. Także ks. dr. Vercesi Ernesto, korespondent czy redaktor włoskiego dziennika „Osservatore Catholico“, wychodzącego w Medjolanie, odwiedził nas i spożył obiad z nami, przy miłej a pouczającej pogawędce o sprawach Polonji amerykańskiej. Powiedział, że sprawie naszej całą pierwszą stronnicę dziennika poświęci, i często później do niej będzie wracał, gdyż uważa ją za całkiem słuszną i sprawiedliwą. Medjolański „Osservatore“ jest jednym z najwpływowszych dzienników w całych Włoszech, rozpowszechniony w Rzymie zwłaszcza w kołach watykańskich.

Rzym, 14 września, 1903. — Chcemy jutro Rzym opuścić. Dziś mieliśmy jeszcze osobistą rozmowę z trzema wpływowemi osobistościami z najbliższego otoczenia Ojca św., mianowicie, z prywatnym sekretarzem papieskim msgr. Bressan, z „Maestro di Camera“ czyli „Mistrzem Komory“ Mgr. Bisletti, oraz ponownie z Mgr. Mery del Val, który choć nie de nomine — to jednak de facto jest tymczasowym sekretarzem stanu, następcą kardy-

nała Rampolli. Mgr. Mery del Val zauważył trafnie, że skoro nasza sprawa jest słuszną, to i sposób do przeprowadzenia jej musi się znaleźć. Z Mgr. Bisletti trwała audjencja przeszło pół godziny, chciał z naszą sprawą dokładniej się zapoznać, gdyż dotychczas nie miał sposobności do tego. Od Mgr. Bressan chcieliśmy zwrotu naszych papierów, mandatów, dokumentów, mojego „Celebret" itd. Mgr. Bressan atoli oświadczył, że Ojciec św. na naszych mandatach, dokumentach i świadectwach napisał Swoje dla Propagandy uwagi, i dlatego już nam zwrócone być nie mogą. Ale jakżeż ja bez „Celebret" pojadę do Polski? Zaradzi się temu — jutro mam przyjść.

Rzym, 15 września, 1903. — Byliśmy w Propagandzie i doręczyliśmy tak Prefektowi Propagandy jak i jego sekretarzowi świeżo nadesłany dokument czyli poświadczenie p. Harrison, majora miasta Chicago o ćwierćmiljonowej ludności polskiej w tem mieście. Kopje tego dokumentu rozdane będą wszystkim kardynałom Propagandy.

Kardynałowie wyjeżdżają teraz na wakacje, z których powrócą dopiero „post aquas", jak tu mówią, to jest po deszczach, gdy pora deszczowa się skończy. Teraz pora deszczów się rozpoczyna — wczoraj w nocy po raz pierwszy od trzech miesięcy spadł tu deszcz, padało i wczoraj po południu, pada i dziś z przestankami. Przez całe lato, przez te 12 tygodni naszego pobytu w Rzymie, nie pamiętam czy choć raz deszcz spadł. Raz tylko pioruny biły i grzmiało.

Opuszczamy mury Wiecznego Miasta z tem błogiem uczuciem, żeśmy spełnili swój obowiązek, i z tem mocnem przekonaniem, że starania i zabiegi nasze pomyślnym zostaną uwieńczone skutkiem. Przedłożyliśmy prośbę, poinformowaliśmy Rzym, poruszyliśmy wszelkie możliwe sprężyny w decydujących kołach Watykanu, wykazaliśmy nietylko pożytek ale i potrzebę biskupów polskich w Ameryce — jednem słowem, spełniliśmy naszą powinność. Co teraz, jak i kiedy Rzym uczyni dla Polonji Amerykańskiej — to już rzecz Rzymu a nie nasza. Uczyniliśmy swoje. Mamy nietylko nadzieję, ale pewność, że Rzym obowiązek względem nas spełni, że nie pozostawi nas sierotami, że nie będziemy dalej trzodą bez pasterza własnego. Przypilnować atoli sprawy koniecznie potrzeba. Oko pańskie konia tuczy. Trzeba tu wrócić — post aquas, po sezonie deszczo-

wym, na początku listopada, kiedy to sprawa nasza przez Propagandę podjętą zostanie.

Tymczasem spieszę do Polski, ojczyzny mojej, by na jej łonie nietylko odpocząć ale i przy jej piersi zagrzać się, zasilić do dalszej walki, oraz by tam pomoc i sprzymierzeńców znaleźć.

29. U biskupa Wałęgi w Tarnowie i u arcybiskupa Bilczewskiego we Lwowie.

Z Rzymu jadąc do Polski, fundusze miałem bardzo szczupłe. Z tego to powodu nigdzie w Polsce długo się nie zatrzymywałem, ani w Krakowie, ani we Lwowie, ani w Warszawie, ani w Poznaniu. Uzyskawszy audjencję u jednego biskupa i omówiwszy z nim sprawę, jechałem zaraz dalej do drugiego biskupa, żeby jak najtańszym kosztem wszystkich objechać. Wydział Wykonawczy w Chicago zbierał ofiary na delegację, ale przed wyjazdem moim do Polski nie nadeszły jeszcze pieniądze. Wydział Wykonawczy podówczas był zajęty równocześnie dwoma kolektami: jedną na nas delegatów, a drugą na powodzian w Polsce. Właśnie we wrześniu roku 1903, kiedy objeżdżałem biskupów w Polsce, Wydział Wykonawczy dnia 24 września, przesłał do starego kraju przesyłkę z zebranych na powodzian pieniędzy. Ogółem wysłano dol. 1,800, a sumę tę podzielono pomiędzy nawiedzonych klęską powodzi, jak następuje:

Dla powodzian w Kongresówce: na ręce Najprzew. ks. biskupa Zwierowicza w Sandomierzu, dol. 500; dla powodzian galicyjskich: na ręce Najprzew. ks. biskupa Nowaka, sufragana krakowskiego dol. 500; na ręce O. Gliwy, przeora OO. Paulinów w Krakowie dol. 100; dla powodzian śląskich: na ręce pana Koraszewskiego, redaktora „Gazety Opolskiej“ dol. 200; na ręce ks. Londzina w Cieszynie dol. 100; dla powodzian w Poznańskiem: na ręce Najprz. ks. biskupa Likowskiego, sufragana gnieźnieńsko-poznańskiego dol. 300; dla powodzian w Prusach zachodnich: na ręce ks. Pobłockiego w Chełmnie dol. 100.

Pan Mahany osobno do Polski jechał rzemiennym dyszlem, po drodze wstępując do Wenecji i do Wiednia. We Wiedniu wystarał mi się u konsula rosyjskiego o wizę mego paszportu. Z Wiednia jadąc do Krakowa, pan Mahany w pociągu szczęśliwym trafem spotkał się z panną Jadwigą Sienkiewicz, córką sławnego powieściopisarza Henryka Sienkiewicza, powracającą z guwernantką z Francji do Polski. Według ułożonego planu

ja, nigdzie po drodze nie wstępując, naprzód przed p. Mahanym zajechałem do Krakowa, odwiedziłem w Tarnowie, Przemyślu i Lwowie biskupów małopolskich, a potem w Krakowie połączyłem się z p. Mahanym, żeby z nim wspólnie objechać biskupów w Kongresówce i Poznańskiem.

Kraków, 17 września, 1903. — We wtorek, 15 września o godz. 11:15 w nocy pociąg pospieszny wyruszył z Rzymu. Opuściwszy mury Wiecznego Miasta, jechałem na Florencję, Bolonję, Padwę, Wenecję, Treviso — (gdzie w pobliżu jest wioska Riese, gniazdo rodzinne obecnego papieża), dalej ponieważ linja przez Pontebbę z powodu deszczów przerwana — na Cormons, Gorycję, Gratz do Wiednia. Był to pociąg z Tryestu do Wiednia, na który musieliśmy przesiadać z powodu rozerwanych mostów. Wagony były tak przepełnione, że choć miałem łóżko zakupione we wagonie sypialnym, to nawet ani siedzenia nie dostałem, lecz całą noc stać musiałem w korytarzu. Tu cały czas rozmawiałem z księdzem chorwackim. Co za wielcy patrjoci są ci księża chorwaccy! Jak głębokie mają poczucie swej odrębności narodowej! Jak się tem smucą, że są w niewoli u Niemców i Madziarów!

Z Wiednia jechałem zaraz do Krakowa, gdzie stanąłem dziś o godzinie 8:30 wieczorem w hotelu Saskim, staroświeckim, nie mającym jeszcze oświetlenia elektrycznego. Podróż z Rzymu do Krakowa — około 1,600 mil amerykańskich — trwała ze wszystkiem 45 godzin. W restauracji hotelu Saskiego, biorąc do ręki leżącą na stole gazetę „Głos Narodu", wyczytałem bardzo pochlebny artykuł o naszej misji p. t. „Polacy w Ameryce".

Tarnów, 18 września 1903. — Odprawiwszy dziś rano w Krakowie Mszę św. w jezuickim kościele św. Barbary (tuż przy kościele Marjackim), wyruszyłem bezzwłocznie o 8:10 do Tarnowa, gdzie o 10:30 stanąłem w pałacu biskupim. Najprzew. ks. biskup Wałęga znajdował się właśnie w swojem biurze. Po wręczeniu wizytowej kartki, kazał portjerowi zaprowadzić mię do sali przyjęć, dokąd ks. biskup wkrótce przybył i przywitał mię serdecznie jako gościa i rodaka z dalekiej Ameryki. Bynajmniej obojętnym dla Polaków amerykańskich nie jest, żywo się interesuje naszą sprawą, to też wypytywał się o rozmaite szczegóły i stosunki amerykańsko-polskie, wkońcu oświadczył, że chętnie dopomoże nam w naszych staraniach, ale (mądrze i roztropnie tu dodał) w połączeniu z arcy-

biskupem lwowskim. W łączności siła. Bardzo miłe, uprzejme, ojcowskie i szczeropolskie było to przyjęcie.

Odnowiona katedra w Tarnowie przedstawia się tak zewnątrz i jak i wewnątrz bardzo pięknie. Wnętrze artystycznie i gustownie urządzone. Pomniki i grobowce, zwłaszcza grobowiec Ostrowskich, są bardzo artystycznie wykonane.

Lwów, 19 września 1903. — Przenocowawszy tu w hotelu Żorża (George'a), jedynym — jak słyszałem — który ma elektryczne i gazowe oświetlenie — odprawiłem Mszę św. w jezuickim kościele, stojącym przy tak zwanym placu Trybunalskim. O godzinie 10:30 przestąpiłem progi pałacu arcybiskupiego i podawszy portjerowi kartkę wizytową, bez żadnej zwłoki uzyskałem natychmiast przystęp do arcybiskupa. W przedpokoju czekało już kilka osób, które miały niezaprzeczone prawo pierwszeństwa przedemną. Atoli zacny i łaskawy arcybiskup Bilczewski, skoro tylko odebrał moją kartkę wizytową, natychmiast sam osobiście zjawił się w przedpokoju i zaraz mnie pierwszego przed innymi poprosił do sali przyjęć, mówiąc:

— Państwo mi wybaczycie, że tego z dalekich stron, bo aż z Ameryki przybyłego gościa najpierw przyjmę!

Jego Ekscelencja ksiądz arcybiskup Bilczewski przyjął mię otwartemi ramionami i — otwartem również, szerokiem swojem i prawdziwie ojcowskiem sercem. Słyszałem nieraz, że biskupi w Polsce obojętni są dla spraw amerykańsko-polskich, mało dbają o Polaków za morzem, nie interesują się ich losem. Przekonałem się namacalnie, że to nieprawda. Owszem, ich serce żywem i gorącem bije tętnem dla Polaków w Ameryce. Są nam życzliwi i zawsze gotowi są tę swoją życzliwość zadokumentować czynem. Przekonałem się o tem zwłaszcza tu we Lwowie. „Jakżeż się nie mam zająć waszą sprawą — zawołał arcybiskup lwowski — to nasza wspólna sprawa!" I aż serce drgało mi z radości, gdy z toku rozmowy z arcybiskupem poznałem, jak życzliwy nam jest i jak zarazem bystrym, badawczym wzrokiem obejmuje i pojmuje tę naszą sprawę i jej doniosłość. Doprawdy, nie wiedziałem, co w Jego Ekscelencji bardziej podziwiać, czy dobroć jego serca, czy bystrość i przenikliwość jego rozumu — jedno i drugie w nim się znajduje w najwyższym stopniu. Trudno sobie wystawić idealniejszy typ biskupa.

— Ksiądz proboszcz z tak daleka przyjechał i nie pominął mnie — rzekł przy końcu audjencji arcybiskup — proszę na pierw-

szą godzinę przyjść do mnie na obiad, to pomówimy jeszcze więcej o naszych rodakach w Ameryce.

Po wspólnie spożytym obiedzie i bardzo miłej, a pouczającej rozmowie, J. E. ks. Arcybiskup raczył mi ofiarować swoją świeżo z pod prasy wyszłą książeczkę p. tyt. „W Sprawie Społecznej“ z własnoręcznie wypisaną dedykacją: „Przew. X. Proboszczowi W. Kruszce na pamiątkę pobytu we Lwowie — autor“. Wspominam o tem, gdyż — mojem zdaniem — te łaski i zaszczyty były wyświadczone nie tyle mnie osobiście, ile raczej jako delegatowi kongresu amerykańsko-polskiego, czyli raczej samejże całej katolickiej Polonji amerykańskiej.

Arcybiskup Bilczewski spodziewał się, że zabawię we Lwowie parę dni. Ale jakże się zdziwił, gdy mu oświadczyłem, że zaraz po obiedzie jadę dalej — do biskupów Pelczara i Fiszera w Przemyślu. Ten mój pospiech tłumaczyłem brakiem czasu, gdyż o umówionym czasie miałem się spotkać z p. Mahanym w Krakowie. Atoli nie tyle brak czasu, ile brak pieniędzy podówczas był przyczyną mojego pospiechu. Hotele kosztują. A ja, obrachowawszy się ze swoją kieszenią, musiałem się spieszyć, jeśli mój szczupły fundusz miał mi wystarczyć na objazd biskupów w Kongresówce i Poznańskiem.

30. U biskupów Pelczara i Fischera w Przemyślu. — W Chyrowie. — Zabawne spotkanie pod Przemyślem. — U prowincjała Ledóchowskiego i biskupa Nowaka w Krakowie.

W Przemyślu, tegoż dnia 19 kwietnia 1903. — O godzinie 3:30 po południu pociąg pospieszny przewiózł mię w niespełna dwóch godzinach ze Lwowa do Przemyśla, gdzie również łaskawie przyjęty zostałem przez obydwu tutejszych biskupów: Najprzew. ks. biskupa Pelczara i biskupa-sufragana Fischera. Jak najżyczliwiej usposobieni dla naszej sprawy. Biskup Pelczar, przyrzekając nam swoją pomoc, dziwnie mądre i praktyczne podał rady i wskazówki dla Polonji amerykańskiej, o których w swoim czasie i na swojem miejscu wspomnę. Do biskupa Pelczara przemawiałem całą godzinę. Żądał on szczegółowo wyjaśnienia całej naszej sprawy od A do Z. Poszedłem następnie do skromnej rezydencji jego sufragana biskupa Fischera, którego na razie nie było w domu. Lokaj atoli kazał mi siadać i zaczekać. Zaledwie siadłem, wskutek zmęczenia i fatygi krew mi się rzuciła nosem i ciekła przez dwadzie-

ścia minut. Usłużny lokaj biskupi podał mi miednicę z wodą. Na szczęście, zanim biskup Fischer nadszedł, krwotok minął i byłem gotów do ożywionej z nim rozmowy. Miły i towarzyski biskup Fischer, dawszy mi wybornego węgrzyna na wzmocnienie, zaczął mię ciekawie wypytywać, jak tam Polacy w Ameryce żyją i znowu, jak tam w Rzymie na naszą sprawę się zapatrują. Zaczął, mówię, bo pytaniom nie było końca.

Biskup Fischer całą duszą i sercem, sercem wielkiem a gorącem, oddany nam i naszej sprawie. Dawno już myślał o zwiedzeniu Ameryki i zbadaniu naszych tamże stosunków — i jeszcze tej myśli nie zaniechał. Dotychczas wyjazd do Ameryki odwlekał z przyczyn od niego niezależnych. O Polakach w Ameryce nie zapomni — i uczyni dla nich, co tylko będzie w jego mocy. Na pożegnanie podarował mi swoją dopiero co wydrukowaną książeczkę p. t.: „Kazania i Przemowy Pasterskie" — tom III, z własnoręcznie wypisaną dedykacją. Kazania te, nadzwyczaj jasno i jędrnie, a przytem popularnie i przystępnie napisane, powinny się znajdować, jeśli nie w każdym domu, to przynajmniej w każdej plebanji polskiej w Ameryce. Księgarnie polskie w Ameryce powinny księżom ułatwić nabycie tych nader cennych „Kazań" biskupa Fischera, sufragana przemyskiego.

Tak jeden jak i drugi biskup przemyski prosili mnie, bym się zatrzymał dłużej u nich i przenocował; lecz nie chcąc nadużywać dobroci i gościnności tych dostojników, wyjeżdżam dziś wieczorem do Chyrowa — tej wielkiej zwrotnicy na kolei mego życia.

Chyrów, 20 września 1903. — Wyjeżdżając z Rzymu, w tych listach przed kilku dniami pisałem, że spieszę do Polski, ojczyzny mojej, nietylko by na jej łonie odpocząć, ale by i przy jej piersi zagrzać się do nowej walki i znaleźć sprzymierzeńców dla sprawy naszej. Otóż nie omyliłem się dotychczas — i sądzę, że i w innych częściach Polski zawodu nie doznam. Dziś przez niedzielę odpoczywam tu w Chyrowie, w przesławnym konwikcie jezuickim — coś na kształt Notre Dame w Indiana. Jutro wracam przez Przemyśl do Krakowa, gdzie się spotkam z p. Mahanym.

Cała prasa polska rozpisuje się bardzo życzliwie i pochlebnie o sprawie Polonji amerykańskiej. Wczoraj u biskupa Fischera w Przemyślu słyszałem, że i w Sejmie galicyjskim poruszono naszą sprawę.

Dnia 21 września 1903. — Dziś rano pożegnałem się ze starymi znajomymi i wyjechałem z Chyrowa. Arcyzabawnem było moje

spotkanie z pewnym panem dziedzicem z pod Przemyśla. Na stacji, gdzieś w połowie drogi między Chyrowem a Przemyślem, ten pan dziedzic wsiadł do mego couppe, zaczął rozmowę o swoim folwarku, jaki posiada w pobliżu, a który przez okna wagonu widać było.

A wreszcie zapytał i mnie:

— A skąd ksiądz dobrodziej, jeśli wolno zapytać?

— Z dalekich stron.

— Z Krakowa?

— Dalej. Z Ameryki!

— Z Ameryki? To pewno ksiądz dobrodziej zna księdza Kruszkę, który, jak nam gazety opisywały, nie dawno temu miał audjencję u papieża w Rzymie.

— Owszem, znam go bardzo dobrze.

— A czy jeno Kruszka coś wskóra w Rzymie? Co ksiądz sądzi?

— Sądzę, że coś wskóra. Czemuby nie?

— No — ciągnął dalej pan dziedzic — czy wskóra czy nie wskóra; bądź co bądź ten Kruszka mi się podoba, bo widać jest czynny i energiczny działacz społeczny, a nie siedzi jako zjadacz chleba u Pana Boga za piecem.

Na to wreszcie odezwałem się tak:

— Dziękuję panu za komplement!!

— Jak to? — zawołał, powstając z siedzenia — czy mam przed sobą samego księdza Kruszkę, co w Rzymie był u Ojca św.? A!.. moje uszanowanie!!..

Kraków, dnia 23 września 1903. — W sprawie naszej odwiedziłem dziś Prowincjała OO. Jezuitów, Przew. O. Ledóchowskiego. Co do wieku, jest to najmłodszy ze wszystkich Prowincjałów jezuickich, jacy są na świecie, ale nadzwyczaj rozumny, przezorny, roztropny i stateczny. Jak wogóle wszystkiem, co polskie i katolickie, tak i sprawą Polonji amerykańskiej interesuje się bardzo. Z wielką uwagą i ciekawością wysłuchał sprawozdania o stosunkach polskich w Ameryce i przyrzekł uczynić dla nas, co tylko będzie w jego mocy.

Do Jego Em. kardynała Puzyny przybyłem właśnie wtedy, kiedy go nie było w domu. Nasza prośba zresztą już w Rzymie doręczoną mu została. Z kanclerzem kardynała, z ks. prałatem Bandurskim, omawialiśmy sprawę obszernie. Bardzo życzliwie usposobiony. Uwiadomił mię zarazem, że włoski dziennik „Osservatore

Cattolico" z Medjolanu aż w dwu numerach bardzo szeroko, a przychylnie rozpisuje się o naszej sprawie. Jest to dobrą wróżbą dla sprawy, gdyż dziennik ten jest bardzo wpływowym właśnie w kołach kościelnych, in urbe et orbe.

Kraków, 24 września 1903. — Miałem posłuchanie u Najprzew. ks. biskupa Nowaka. Obojętnym dla swoich rodaków w Ameryce bynajmniej nie jest, owszem obchodzą go bardzo nasze sprawy, a zwłaszcza sprawa, którą obecnie przedłożyliśmy Stolicy św. Co tylko będzie mógł, uczyni dla naszej sprawy. Bardzo mile i serdecznie mię przyjął i dziękował, żem go odwiedził i o sprawie całej poinformował.

31. Spotkanie panny Jadwigi Sienkiewicz — i pana Paderewskiego. — U p. Jerzmanowskiego w Pokrocimie. — U biskupa Kulińskiego w Kielcach.

Kraków, 24 września 1903. — Wróciłem do Grand Hotelu, gdzie od poniedziałku tu kwaterą stoję, zastałem już p. Mahany'ego, który mi we Wiedniu o podpis konsula rosyjskiego na paszporcie się wystarał.

Pan Mahany żywo jął mi opowiadać, z kim się spotkał niespodzianie w swej podróży do Krakowa. Wsiadłszy do przepełnionego wagonu, szukał dla siebie próżnego miejsca. Mówiąc li tylko po angielsku, z konduktorem nie mógł się porozumieć. Zrozpaczony, mruknął sam do siebie:

— I wished somebody could speak English here!

Wtem z przedziału kobiecego odezwał się głos angielski:

— We can help you out. What do you want?

— O! how glad. I am to meet American ladies!

— We are no Americans.

— I am going to Poland.

— We are going there, too.

— I want to see thee author of Quo Vadis.

— That's, where we are going.

— My name is Rowland Mahany.

— My name is Jadwiga Sienkiewicz.

— What?... Zawołał pan Mahany i szeroko otworzył usta. Co za zaszczyt. co za szczęście! Milszej niespodzianki w całem życiu nie miał, jak kiedy spotkał córkę autora „Quo Vadis" w towarzystwie panny Abakanowicz, powracającą właśnie z Francji do

Oblęgorka. Pokazałem p. Mahany'emu ważniejsze pamiątki Krakowa, kościół Marjacki, Sukiennice, uniwersytet Jagielloński i bibljotekę, Wawel, Skałkę i t. d. Pana hr. Stanisława Tarnowskiego nie zastaliśmy w domu, więc zostawiliśmy mu nasze „Supplices Preces" i bilety.

Jechaliśmy także przez żydowski Kazimierz. Ulice były pełne rozpuszczonych dzieci żydowskich. Jeden swawolny bachor rzucił czemś twardem i trafił p. Mahany'ego w twarz tuż koło oka.

— O mały włos byłby mi oko wybił — zawołał p. Mahany. — Nie pierwszy raz mnie to spotkało. Ale Opatrzność zawsze czuwała nad mojemi oczami. Zawdzięczam to niezawodnie temu, że ile razy spotkam niewidomego człowieka, zawsze mu jałmużnę daję.

Następnie pojechaliśmy do Pokrocima, przepysznie urządzonego gospodarstwa p. Erazma Jerzmanowskiego. E. J. przyjął nas bardzo gościnnie, uraczył nas, oprowadził po swoim pięknym a rozległym parku i wzorowo urządzonem gospodarstwie. Sprawę naszą zna dokładnie, 15 lat temu sam czynił energiczne starania o biskupów polskich w Ameryce, to też teraz cieszył się, żeśmy go odwiedzili. Co nie udało się wtedy, może się się udać teraz. On zawsze tę sprawę popierał, popiera i popierać będzie. U państwa Jerzmanowskich zabawiliśmy przeszło dwie godziny.

— Nasze starania wówczas nie udały się — mówił p. Jerzmanowski — bo rząd niemiecki pokrzyżował nam plany. Berlin ma potężny wpływ w Watykanie i nie chce, żeby Polacy w Ameryce mieli swoich biskupów. Daj Boże, żebyście coś wskórali, ale wątpię.

Właściciel Grand Hotelu, w którym mieszkamy, ma za żonę Polkę Amerykankę, urodzoną w Bostonie. Jest to pierwszorzędny hotel. Bawi w nim obecnie nasz sławny fortepianista p. Paderewski, z którym po wieczerzy dziś prowadziliśmy dłuższą rozmowę o naszej sprawie i wogóle o Ameryce. Nadzwyczaj to miła i sympatyczna osobistość. Spotkaliśmy się tu także z p. van Norman z Chicago, redaktorem pisma „The Chautauquean", oraz autorem dzieła p. t. „The Country of Sienkiewicz".

Po południu raczył nam w hotelu złożyć rewizytę ks. prałat Bandurski, któremu sprawa Polonji amerykańskiej bardzo leży na sercu.

Kielce, 26 września 1903. — Nie taki djabeł czarny jak go malują. Straszono mię i w Austrji i w Ameryce trudnym wstępem do Rosji. Nie tak łatwo — mówiono mi — dostaniesz się do Królestwa Polskiego. Oprócz paszportu, podpisanego przez konsula rosyj-

skiego, musisz przybrać postać cywilnego, bo jako księdza cię nie wpuszczą. Dałem się ostatecznie namówić, że zamiast koloratki przypiąłem sobie krawatkę i ubrałem się w zarzutkę szarą — zupełnie po kupiecku. Nic to nie pomogło, pomimo przebrania wyglądałem jako ksiądz — i w Królestwie tytułowano mię nie inaczej, jak „Księże Dobrodzieju", zdejmowano czapkę i pochwalano Pana Boga. W Krakowie radzono mi nie brać do kuferka ani sutanny, ani brewjarza, ani różańca — ja statecznie to wszystko zabrałem, a nawet sutannę i brewjarz na sam wierzch w kuferku ułożyłem, i przy rewizji na granicy nic a nic mi się nie stało. Zdaje się dlatego, że pan Mahany pokazał urzędnikowi swoje papiery dyplomatyczne.

W ubraniu świeckiem i krawatce, z cygarem w ustach, przechadzałem się po dworcu kolejowym w Granicy i byłem pewien, że nikt mnie nie będzie uważał za księdza. Wtem nadchodzi chłop jakiś, zdjął przede mną kapelusz, ukłonił mi się aż do nóg i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki — a za kogo wy mnie macie?

— A juści za księdza!

— Czy ja wyglądam jak ksiądz?

— Nie z ubrania, ale z oczu się patrzy, że to ksiądz dobrodziej!

Nasz pociąg nadjechał, wsiadłem do wagonu. Innym oddano paszporty, a mnie nie. Nareszcie z wagonu wywołano mnie i kazano iść do biura w dworcu. Zastałem tam przy stole siedzących kilku urzędników, z których jeden mię zapytał po rosyjsku, na co mu odpowiedziałem po angielsku:

— I speak English.

— Kennen Sie deutsch?

— Etwas.

— Sind Sie ein Italiener?

— Nein, ich bin ein Amerikaner.

— O, ein Amerikaner — wtedy machnął ręką i dał mi mój paszport. Panu Mahany'emu oddano paszport na pociągu; a ja musiałem po swój iść do urzędu. Wzięli mię za Włocha chyba dlatego, że z Włoch jechałem; a może dlatego, że nazwisko moje brzmi z włoska wedle słynnej „Academia delle Crusca" we Florencji?

Wagony rosyjskie, acz obszerniejsze niż inne europejskie, jednak mają tę wadę, że za mało w nich światła. W couppee jedno tylko okienko, a w nocy zapalają tylko — świeczkę. Ciemnota, charakterystyką Rosji.

Z Granicy wyjechaliśmy wczoraj o 4:35 po południu, a do Kielc przybyliśmy o 10:30 wieczorem. Stanęliśmy tu w „Hotelu Polskim". Dziś rano poszedłem do katedry kieleckiej, a chcąc odprawić Mszę św., musiałem się stawić przed biskupem. Ksiądz w zakrystji inaczej nie chciał mi pozwolić odprawiać Mszy św. Zmierzył mnie od stóp do głowy i podejrzliwem okiem patrząc na mój płaszcz kupiecki i na moją krawatkę, rzekł tonem stanowczym:

— O pozwolenie trzeba się udać do biskupa!

— Czy zaraz?

— Można zaraz.

To mnie ogromnie ucieszyło. W to mi graj — pomyślałem. Przecie ja do Kielc głównie po to przyjechałem, żeby biskupa widzieć. Zaraz tedy poszedłem do pałacu biskupiego.

Najprzew. ks. biskup Kuliński bardzo uprzejmie mię przyjął, wręczyłem mu nasze „Supplices Preces" i dość długo rozmawialiśmy o stosunkach amerykańskich, bo przez trzy kwadranse. Wreszcie biskup przypomniał sobie, że ja jeszcze nie po Mszy i nie po śniadaniu. Więc przerwał rozmowę i kazał mi iść odprawić Mszę i zjeść śniadanie, a potem znowu przyjść do niego, gdyż pragnie ze mną dłużej pomówić. Poczem w seminarjum odprawiłem Mszę św. Dał mi śniadanie ks. Teofil Rzepczyński, przyczem w towarzystwie innych księży rozmawialiśmy o sprawach amerykańskich, oraz o niektórych księżach polskich, bawiących w Ameryce.

Wróciłem do hotelu i — tym razem w towarzystwie p. Mahany'ego — złożyłem drugą wizytę biskupowi. Ks. biskup Kuliński rozmawia nieźle po angielsku, to też rozmowa toczyła się dość gładko w tym języku o naszych sprawach amerykańskich. Sędziwy a sympatyczny ks. biskup Kuliński wzruszył do głębi serca nasze swoją dobrocią i gościnnością — chciał nas zatrzymać na obiad — oraz swoją życzliwością dla sprawy Polaków amerykańskich.

32. U Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku. — U arcybiskupa Popiela i biskupa Ruszkiewicza w Warszawie.

Oblęgorek, 26 września 1903. — O naszem przybyciu do Oblęgorka pan Sienkiewicz był już naprzód powiadomiony przez pannę Abakanowicz, przyjaciółkę panny Jadwigi Sienkiewicz. Panna Abakanowicz, którąśmy spotkali w Grand Hotelu w Krakowie, wyjechała wraz z towarzyszką przed nami do Oblęgorka. Z Kielc do Oblęgorka jechaliśmy od 10 rano do 12 w południe, dobre dwie go-

dziny, najpierw ośm wiorst szosą, a potem drogą polną. Na kilka wiorst przed Oblęgorkiem, w wiosce Bugol, właśnie gdyśmy przejeżdżali most blisko młyna wodnego, zastąpił nam drogę jakiś panicz na pięknym koniu. Myślałem z początku, że ów panicz czeka tylko, aż my przejedziemy przez wąski most, by potem nas ominąć i dalej jechać. Aliści młody jeździec zbliża się do naszego powozu i kłaniając się, powiada: „Ja jestem Sienkiewicz!“ Zaskoczony znienacka tem oświadczeniem, zawołałem: „Czy tak? Sienkiewicz?“... Rzekłem to tonem takim, jakbym chciał powiedzieć: przecież nie ów Sienkiewicz autor, bo ten musi przecież starzej wyglądać!? Na co młody pan Henryk, odgadując odrazu myśl moją, odpowiedział bezzwłocznie: „Syn Sienkiewicza!“... Podaliśmy na przywitanie rękę młodemu panu Henrykowi, synowi sławnego powieściopisarza. Poczem rzekł młody pan Henryk: „Mój ojciec oczekuje Was i bardzo rad z Waszego przybycia“. Te słowa powiedział i w angielskim języku (mówi po angielsku płynnie), tak, żeby i mój towarzysz pan Mahany, mógł go zrozumieć.

„Pojadę naprzód do Oblęgorka, uwiadomię ojca o Waszem przybyciu“. To rzekłszy, puścił się galopem i wnet wśród tumanu kurzu znikł w dali z oczu naszych. Niebawem, wyjeżdżając z lasku, ujrzeliśmy przed sobą rozległą dolinę, poza nią na stokach lesistego wzgórza wioskę, pośród której, w zagłębieniu leśnem, w zieleni drzew utulony dworek z czerwonym dachem przedstawia się niby zamek średniowieczny o wieżach, basztach i wieżyczkach. To Oblęgorek — siedziba powieściopisarza wszechświatowej sławy Henryka Sienkiewicza. Przyjęcia u p. Sienkiewicza doznaliśmy bardzo serdecznego i gościnnego, iście staropolskiego. Gość w dom, Bóg w dom — że tej staropolskiej zasady trzyma się pan Sienkiewicz, pokazał nam to na każdym kroku. Złożyliśmy sławnemu autorowi najgłębsze uszanowanie w imieniu Polaków w Ameryce i przedłożyliśmy mu znaną sprawę naszą, w której pan Sienkiewicz nietylko życzył nam powodzenia, ale i ofiarował nam swoją pomoc, ile to w jego mocy będzie. Sprawa ta, jego zdaniem, jest wielkiej wagi i doniosłości, zwłaszcza dla przyszłych pokoleń polskich w Ameryce. Podano nam obiad, a przy obiedzie wyborne wino i miód stary.

Wśród dam, zasiadających do stołu, była i pewna kanoniczka. Jak bowiem są tercjarki, tak są w Polsce i kanoniczki. Otóż pan Sienkiewicz, jako gospodarz domu, prosząc gości do stołu, odezwał się do mnie w te słowa:

— Księże proboszczu, jestem teraz w kłopocie. Nie wiem, kogo na pierwszem miejscu posadzić. Wiem, że kanonik wyższy od proboszcza. Ale jest tu wśród nas kanoniczka...

— Jako kanoniczka — odrzekłem — tem większe ma prawo pierwszeństwa przed prostym proboszczem.

I kanoniczka, chcąc nie chcąc, wśród ogólnej wesołości musiała zająć pierwsze miejsce przy stole; a ja po prawym boku Sienkiewicza.

Po obiedzie podano do palenia papierosy z napisem Sienkiewicza. Na moją prośbę pan Sienkiewicz dał mi tych papierosów całą setkę. Rozdałem je później przyjaciołom i znajomym w Ameryce. Nawet po szesnastu latach niejeden Amerykanin mi mówił, że papieros od Sienkiewicza chowa na pamiątkę do dziś dnia.

Nastąpiła przechadzka po parku i ogrodzie, zwiedziliśmy wioskę i gospodarstwo pana Sienkiewicza, stawy, źródło „Ursus" z bardzo zdrową wodą mineralną, w niczem nie ustępującą włoskiej „Nocery". W przechadzce tej, razem z nami, brali udział: pan Henryk Sienkiewicz, autor; młody pan Henryk, jego syn; panna Jadwiga, jego córka; panna Abakanowicz, jej przyjaciółka; dalej siostra p. Sienkiewicza i dwie inne panie, opiekunki młodych panienek. Matka zmarłej żony p. Sienkiewicza, przezacna matrona, jako staruszka, została w domu. Zwiedzając zabudowania gospodarskie, najdłużej zatrzymaliśmy się przed stajnią, gdzie pan Sienkiewicz pokazywał nam swoje konie arabskie. Pan Mahany, przed wierzgającym koniem znienacka cofając się w tył, nadepnął nogę panny Jadwigi Sienkiewicz; ale ją też zaraz przeprosił tym grzecznym komplementem:

— Excuse me, your majesty!

Nazwałem ją „your majesty" — tłumaczył mi się potem p. Mahany — bo jest nietylko piękną, ale i wspaniałą i wspaniałomyślną.

W ciągu przechadzki p. Mahany rozmawiał z paniami, a ja sam na sam szedłem z panem Sienkiewiczem, rozmawiając przeważnie o różnych osadach polskich w Ameryce. Rozmawiałem długo z autorem o stosunkach polskich w Ameryce, gdyż bardzo go nasze sprawy interesują i sam się o nie wypytywał.

Wróciwszy do dworku, oglądaliśmy bibljotekę, a w niej przekłady dzieł Sienkiewicza na niezliczone języki; tudzież muzeum z nader cennymi zabytkami, którymi p. Mahany szczególnie się delektował. Ja grałem w bilard z młodym p. Henrykiem Sienkiewiczem. Na rozmowie i zabawie spędziliśmy pięć godzin w domu

pp. Sienkiewiczów w Oblęgorku. Miłe stąd wspomnienia wynieśliśmy — wspomnienia nie tyle miejsca, ile osób to miejsce zamieszkujących. Wszystko — tak osoby jak i całe otoczenie — tchnie tam duchem szczerze polskim i katolickim. W domu pana Sienkiewicza tak miło i swojsko się czułem, że doprawdy przykro i bolesno mi było rozstać się z Oblęgórkiem. W ciągu całej mojej podróży do żadnego z miejsc tak się nie przywiązałem.

Warszawa, 27 września 1903. — Wczoraj o godzinie 10:30 wieczorem opuściliśmy Kielce, a dziś o 7:15 rano stanęliśmy w Warszawie, a raczej w Pradze.

Dziś niedziela. Poszedłem do kościoła św. Anny odprawić Mszę św. W zakrystji pokazałem mój Celebret, ale że byłem ubrany po kupiecku, kazano mi czekać, aż proboszcz przyjdzie. A proboszcz poszedł do chorego i nie wracał długo. Więc wysłuchawszy Mszy św. chciałem odchodzić. Wtedy jeden z księży w zakrystji, stojący już w ornacie gotowy do Mszy św., rzekł do mnie:

— Kiedy proboszcza niema, niech Ks. Dobrodziej na moją odpowiedzialność odprawi Mszę św.

Po Mszy zaproszono mię na śniadanie do plebanji proboszcza; ale proboszcz nie wrócił jeszcze i nie widziałem go już wcale.

W kościele św. Anny przy wielkim ołtarzu odprawiłem Mszę św., następnie około godziny 11-ej pojechaliśmy do pałacu arcybiskupiego. J. E. ks. arcybiskup Popiel przyjął nas zaraz nadzwyczaj uprzejmie.

Kiedy arcybiskupowi w treściwych słowach przedstawiłem całą naszą sprawę, słuchał uważnie, a potem nagle ni stąd ni zowąd niemal mnie zawstydził taką „pochlebną“ uwagą:

— Ależ ksiądz dobrodziej wcale pięknie po polsku mówi. Ja myślałem, że wy tam w Ameryce już zapomnieliście polskiego języka.

— Ekscelencjo, mamy już dużo księży polskich w Ameryce urodzonych, i ci również pięknie po polsku mówią. Nie brak między nimi nawet złotoustych kaznodziei polskich.

Arcybiskup Popiel wie już z prasy krajowej o naszej sprawie, całą duszą i sercem jest za tem, by Polacy w Ameryce byli uwzględnieni w hierarchji kościelnej, bo to potrzebne do utrzymania wiary św. w naszym ludzie. Przeczytał już nasze „Supplices Preces“, i w książeczce tej — powiada — sprawa Polonji amery-

kańskiej jest tak jasno i rozumnie i zarazem tak przystępną łaciną przedstawiona, że — sądzi — wywody i dowody i uzasadnienia, w naszym Memorjale zawarte, muszą trafić do przekonania każdego nieuprzedzonego umysłu. Ks. arcybiskup, pomimo podeszłego wieku, jest nadzwyczaj żywy i ruchliwy, umysł ma bystry, jest nadzwyczaj towarzyski, uprzejmy i rozmowny, wypytywał mię o najdrobniejsze szczegóły, dotyczące wychodźtwa polskiego i obecnej sprawy naszej. Że on swoje uczyni, sprawę naszą słuszną poprze — o tem nie potrzebujemy ani wątpić. Przy końcu audjencji J. E. ks. arcybiskup zaprowadził nas do swojej prywatnej kaplicy i tam uklęknąwszy, odmówił ze mną na głos „Zdrowaś Marja" na intencję sprawy Polaków w Ameryce. Tak serdecznie, tak prawdziwie po ojcowsku przyjął nas zacny ks. arcybiskup warszawski, że trudno to w słowach wyrazić i opisać.

Nie mniej życzliwie usposobiony jest dla naszej sprawy ks. biskup Ruszkiewicz, sufragan warszawski, którego zaraz potem odwiedziliśmy.

Po obiedzie, spożytym w hotelu Bristol, zwiedziliśmy Łazienki, zamek królewski, katedrę św. Jana, kościół karmelicki, św. Krzyża, ogród Saski itd.

Pan Mahany zachwycony był widokiem Warszawy. Sądzi, że to najpiękniejsze po Paryżu, miasto na całym świecie. Wiedeń, jego zdaniem, nie może iść w porównanie z Warszawą. I doprawdy, piękną jest ta królowa miast polskich!

Te ciągłe „wizy" paszportów w Rosji nie należą do przyjemności. Aby stanąć w hotelu, musisz nietylko pokazać, ale i oddać swój paszport, który następnie idzie do miejscowej policji i tam jest przejrzany czyli „wizowany". Pełno już urzędowych napisów i pieczątek na naszych paszportach. Bez wizowanego paszportu ani rusz dalej!

We Włocławku władza podobno mię kazała jako polskiego księdza aresztować. Ale dwie godziny za późno. Byłem już za granicą.

33. U regensa we Włocławku. — U arcybiskupa Stablewskiego w Poznaniu. — Z Chociszewskim w Gnieźnie.

Włocławek, 28 września 1903 r. — Dziś odpust w Ripon, Wis., i moje imieniny. Miałem zamiar obchodzić imieniny wśród rodziny

swojej w Poznańskiem, lecz trudno, „business before pleasure". Dziś rano, obudziwszy się w tutejszym „Hotelu pod trzema koronami", powiedziałem sobie: Wacławku, na twoje imieniny, jestem w Włocławku! Odprawiłem Mszę o św. Wacławie w tutejszej katedrze przy ołtarzu św. Krzyża. Nie zastawszy biskupa Zdzitowieckiego w domu (wizytuje parafje w swojej diecezji), przedłożyliśmy nasze „Supplices Preces" konsystorzowi, który je doręczy biskupowi. Zaproszeni, stawiliśmy się na obiad do seminarjum, gdzie z prałatami i profesorami obszernie rozmawialiśmy o stosunkach polskich w Ameryce. Wszyscy tu — jak wszędzie indziej — żywo się zajmują swymi rodakami w Ameryce i ich żywotną sprawą.

We Włocławku regens seminarjum pokazał mi warszawski „Przegląd Katolicki", który drukuje dosłownie nasze „Supplices Preces", z pochlebnym komentarzem. Dobrze — gdyż bardzo wielu prosiło mię o egzemplarz naszego Memorjału, a ja tymczasem już nie mam żadnego pod ręką.

Na stacji w Aleksandrowie, na granicy rosyjsko-pruskiej, jakiś obcy nam zupełnie pan, widząc mnie i p. Mahany'ego, ukłonił się i rzekł do mnie: „Ja ks. dobrodzieja znam!" — „A skąd mię pan zna, z Ameryki?" — „Nie, ale z „Kraju".

— Z Poznańskiego?

— Nie, ale z petersburskiego!

W „Kraju" petersburskim widziałem dziś portrety waszmościów i odrazu was poznałem".

Takie i tym podobne epizody w podróży naszej zdarzają się często. Staniemy gdzie w hotelu i podamy nasze nazwiska — już nas znają i o naszej misji wiedzą. Sprawa nasza w całej Polsce rozgłosu nabrała, chociaż tego rozgłosu wcale nie szukaliśmy. Pomimo, że nam radzono odwiedzać redakcje wybitniejszych pism krakowskich, lwowskich i warszawskich — myśmy ani jednej nie odwiedzili, żeby się afiszować. Pomimo to — sprawa rozgłosu nabrała po całym kraju.

Toruń, 28 września. — Musieliśmy tu czekać na pociąg do Poznania przez dwie godziny. Toruń — to miasto, w którem się urodził nasz sławny astronom Kopernik. Pojechaliśmy poprzez ogromny most nad Wisłą, do miasta, gdzie pokazałem p. Mahany'emu pomnik Kopernika oraz dom, w którym się rodził. Tuż blisko obejrzeliśmy także toruńską krzywą wieżę — bo nie tylko Piza we Włoszech, ale i Toruń w Polsce ma krzywą wieżę.

Zaczęły się przymrozki jesienne. Pociąg nasz, jadący z Torunia do Poznania, nie był ogrzany. Zziębliśmy porządnie. Pan Mahany trząsł się od zimna. Czy można tu gdzie dostać Scotch Whisky na rozgrzanie? Gdzie tam! Ale na stacji w Inowrocławiu dostałem flaszkę „kimlu". Pan Mahany, pijąc kimel pierwszy raz w życiu, nie przypuszczał, że jest tak mocny i że tak grzeje.

— Ależ to mocniejsze od zwykłej wódki. Pewno flaszka kosztuje kilka dolarów?

— Kosztuje markę, czyli naszego kwodra.

— Bajecznie tanio! A lepiej grzeje niż wódka amerykańska!

Poznań, 29 września 1903. — Stanęliśmy w tutejszym hotelu „Bazar". Mszę św. odprawiłem w kościele św. Marcina, poczem bardzo gościnnie mię podejmowali ks. Drwęski i pani Drwęska, jego matka. O 11-ej godzinie udaliśmy się z p. Mahany'em do pałacu arcybiskupiego. J. E. ks. arcybiskup Stablewski jest chory. Kapelan zaniósł wprawdzie nasze bilety wizytowe do Ekscelencji, lecz nie robił nam żadnych nadziei przyjęcia, owszem twierdził, że arcypasterz — z powodu choroby — nie da nam posłuchania, gdyż nikogo nie przyjmuje. Tymczasem, wbrew oczekiwaniom samegoż kapelana arcybiskupiego, zacny arcypasterz, skoro mu tylko doręczono nasze nazwiska, kazał nas przypuścić do siebie i przyjął nas nadzwyczaj mile i uprzejmie. Panu Mahany'emu dziękował, że się zajął sprawą Polonji amerykańskiej, rozmawiał długo, choć z widocznym trudem (z powodu choroby) o naszej sprawie, a nawet podał gotowy plan przeprowadzenia tejże, podobny do planu biskupa Pelczara. Na decydujące koła nacisk swój wywrze.

Po audjencji oglądaliśmy wnętrze pałacu arcybiskupiego. Co za piękne, gustowne i wspaniałe urządzenie i umeblowanie sali przyjęć! Widzieliśmy już wiele pałaców i w Ameryce i w Europie, jak p. Mahany twierdzi, nawet królewskie pałace, które co do wewnętrznego urządzenia, nie mogą iść w porównanie z pałacem arcybiskupa Stablewskiego. Co tu antyków, starożytnych rzeźb, obrazów i dywanów nagromadzonych, a wszystko — i to właśnie świadczy wymownie o zmyśle artystycznym dostojnego gospodarza domu — z jak najlepszym gustem ustawione i z przedziwną harmonją uporządkowane. „Czemu to — zawołał p. Mahany, na pół z zachwytem na pół z oburzeniem — nasi irlandzcy biskupi ani w Irlandji ani w Ameryce nie mają tak gustownie (with such a taste) urządzonych pałaców"...

Pan Mahany tu w Poznaniu pożegnał się ze mną, jadąc przez Berlin i Kolonję do Londynu, a stamtąd do Ameryki. Wywiózł ze sobą jak najmilsze wrażenia z Polski i jak najlepsze wyobrażenie o Polsce.

Biskupa Likowskiego nie zastaliśmy w domu, zostawiliśmy nasze bilety wizytowe. Wrócę jeszcze do Poznania, a i w Gnieźnie odwiedzę biskupa Andrzejewicza.

Zanim jeszcze wyjechaliśmy do Polski, złożyliśmy wizytę kardynałowi Svampie w Bolonji, dziękując mu za nadzwyczajne poparcie naszej sprawy i składając mu w darze wielki srebrny, artystycznie wykonany kałamarz z napisem: „A Polonis in America". Jadąc przez Florencję, widzieliśmy pana Trentanove, który zajęty był właśnie wykończeniem olbrzymiej formy dla pomnika Kościuszki w Milwaukee, Wis. Pierwszy odlew mu się nie udał; i gdyśmy tam byli, robił właśnie nową formę dla konia Kościuszkowskiego.

Zesumuję tu jeszcze pokrótce, na sposób kronikarski, moją działalność od dnia 29 września, to jest od dnia, w którym z panem Mahanym złożyliśmy wizytę J. Eksc. arcybiskupowi Stablewskiemu w Poznaniu. Odwiedziwszy brata i bratanka w Poznaniu, pojechałem na tymczasową rezydencję do brata, księdza Szymona, w Ostrowitem Prymasowskiem (godzina drogi od Trzemeszna), gdzie się z matką swoją spotkałem. Nazajutrz leczyłem sie z zaziębienia, jakiego się nabawiłem podczas podróży w Król. Polskiem.

Tu w Ostrowitem zastałem całą kupę listów. W liście od Wydziału z Chicago znalazłem dwieście dolarów. Dobrze. Bo pędziłem już ostatkami i chciałem od brata pożyczyć pieniędzy. Sekretarz Wydziału ks. Sztuczko pisał mi z Chicago 12 września 1903 r.:

„Wiel. Księże Delegacie! Znowu trochę groszy przysyłam Ks. Dobrodziejowi. Tym razem mój przekaz wynosi 200 dol. Spodziewam się w krótkim czasie zebrać jeszcze odrobinkę więcej. Zdaje się, Stowarzyszenie Księży Świeckich ma u siebie kupkę centów dla Delegacji. W tych dniach spodziewam się otrzymać takowe od ks. Wojtalewicza, chyba, że on sam zechce je wprost Ks. Dobrodziejowi przesłać.

„Niektóre dzisiejsze gazety angielskie zamieściły w swych łamach telegram o posłuchaniu, jakieście mieli u Ojca św. wczoraj.

„Powodzenia i jeszcze raz powodzenia i wytrwałości w pracy życząc Ks. Dobrodziejowi, kreślę się Jego w Chr.

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.“

Między innymi ks. Karol Szymon Kobrzyński, zmartwychwstaniec, z Rzymu 25 września 1903 pisze mi:

„Czcigodny i kochany Ks. Wacławie! W nadchodzący poniedziałek przypada doroczna uroczystość św. Wacława, patrona kochanego Ks. Dobrodzieja. Dziś więc, w nadziei, że niniejszy liścik na czas dojdzie, zbliżam się do Czcigodnego Księdza Dobrodzieja, życząc Mu z serca... obfitości łask i błogosławieństwa dla szczęśliwego przeprowadzenia pomyślnie sprawy, dla której Ksiądz jesteś Delegatem w Rzymie, dla coraz większego rozszerzenia chwały Bożej i coraz większego pożytku dusz... Jako małą pamiąteczkę na wiązankę załączam obrazeczki Najświętszej Dziewicy Loretańskiej z welonikiem... Załączam serdeczne życzenia wszelkich pomyślności w imieniu znajomych Ojców i Braci naszego Zgromadzenia w Rzymie. Przytem od siebie i nas wszystkich załączam serdeczne życzenia i towarzyszowi Czcigodnemu Panu Mahany.“

Dnia 1 października z ks. Szymonem pojechaliśmy do Gniezna, by odwiedzić biskupa Andrzejewicza, w sprawie Polonji amerykańskiej.

Nie zastawszy biskupa w domu, złożyliśmy wizytę ks. oficjałowi, który mi udzielił jurysdykcji do 15 listopada (tymczasem korzystałem z niej tylko do 15 października). U brata Antoniego miałem to szczęście poznać się ze znanym zaszczytnie w kraju i w Ameryce ze swych prac literackich, p. Chociszewskim, autorem rozpowszechnionych i u nas w Ameryce „Dziejów Narodu Polskiego“, oraz innych cennych książek. Sędziwy pan Józef Chociszewski, patrjota w prawdziwem tego słowa znaczeniu, wydał znowu w tym roku kilka nowych popularnych dziełek, jak „Pałka Madeja“, widowisko fantastyczno-alegoryczne, w 5 odsłonach, na tle starożytnych podań ludowych, dalej zeszłego roku (1902) „Gwiazdka i Gwiazdor“, zbiór dramacików, komedyjek, djalogów i widowisk szopkowych na gwiazdkę i kolendę; następnie „Koszyk kwiatów“; tudzież „Czarodziejski stolik i zaczarowane kije w miechu“, igra dla ludu i młodzieży w dwóch odsłonach z dodaniem komedyjki: „Stróż ze Swarzędza w Kostrzynie“. Wspominam tu o tych dziełkach zacnego naszego weterana na niwie literackiej,

gdyż ze wszech miar zasługują one na rozpowszechnienie i w Ameryce.

34. Na odpuście we Witkowie. — W Opalenicy pod wozem. — U biskupa Likowskiego w Poznaniu. — U biskupa Andrzejewicza w Gnieźnie. — Nagły powrót do Rzymu.

W niedzielę, dnia 4 października byliśmy we Witkowie na odpuście u ks. dziekana Nożewnika, kapłana poważnego i szanowanego, jak i niemniej powszechnie lubianego dla jego domorosłego dowcipu. Piętnastu księży, zbliska i zdaleka, między innymi ksiądz Łabędzki z Wrześni, słynny z procesu wrzesińskiego, zjechało się na odpust do gościnnego proboszcza w Witkowie. Tak kościół jak plebanja we Witkowie bardzo pięknie się przedstawiają; poza plebanją ładny ogród i dalej wzorowo urządzone zabudowania gospodarcze.

Ostrowite Prymasowskie (Niemcy przezwali je „Ostrowite Kirchlich“ bo ich razi wszelka wzmianka o prymasie polskim), gdzie u brata na probostwie mieszkałem, leży o godzinę drogi od Witkowa. Okolice tu bardzo miłe i urozmaicone to lasami, to jeziorami i rzekami. Pola dobrze uprawiane, gospodarze światli i pracowici, parafjanie dobrzy, stateczni i spokojni. Kościół w Ostrowitem, otoczony drzewami, i plebanja, otulona dookoła w zieleń bujnych krzewów, znajdują się w ślicznem, sielankowem położeniu na wzgórzu blisko jeziora. Te kilka dni, i szkoda, że tylko kilka dni, bardzo tu miło spędziłem.

Dnia 6 października zrobiłem z Ostrowitego wraz z księdzem Szymonem, wycieczkę do Poznania. Biskupa Likowskiego znowu nie zastałem w domu, więc odwiedziwszy córkę jednego z braci, która się kształci w tutejszym pensjonacie Sióstr, pojechaliśmy do Opalenicy, gdzie jest wikarym bratanek ks. Stefan. W drodze już spotkaliśmy zacnego jego proboszcza, księdza Antoniego Gustowskiego. W Opalenicy budowano właśnie wikarówkę. Wypadło tak, że miała się tu odbyć próba gaszenia ognia za pomocą chemikalij. W tym celu daleko poza miastem na polu zwożono fury słomy, która miała być podpalona, a następnie gaszona. Wyszliśmy w pole z księdzem bratankiem Stefanem, by się przypatrzeć tej próbie gaszenia ognia, tem ciekawszej, że dął wtedy bardzo silny i gwałtowny wiatr. Na otwartem polu chłodny jesienny wiatr nam dokuczał. Szukając ochrony przed wiatrem, stanęliśmy tuż przy ogromnej

furze słomy. Zasłonięci przed wiatrem i plecami obróceni do fury, patrzeliśmy na miasto Opalenicę, które „opalić“ miano teraz słomą. Ksiądz Stefan, stojący obok mnie, podniesioną laską pokazywał mi znaczniejsze budynki Opalenicy. Nagle, dziwnym przeczuciem tknięty, obracam się wstecz i widzę furę zwolna przechylającą się ku nam. Chwytając księdza Stefana za ramię, krzyknąłem:

— Uciekajmy, bo wóz się przewraca!

Zaledwie odbiegliśmy kilka kroków, a wóz, silnym podmuchem wiatru wywrócony, runął ogromnymi drabinami na to miejsce, na którem przed chwilą staliśmy. O mały włos te ciężkie drabiny byłyby nas przygniotły do ziemi. Wtedy powiedziałem sobie, jak to dobrze, że matka nauczyła mnie codzień odmawiać tę modlitewkę:

Aniele, Stróżu mój,
Ty zawsze przy mnie stój!

Próba gaszenia ognia w ten dzień nie odbyła się dla zbyt silnego wiatru. Miała się odbyć nazajutrz.

Nazajutrz byłem zpowrotem w Poznaniu i zastałem Najprzew. ks. biskupa. Przyjął mię bardzo uprzejmie i łaskawie, zaznaczył między innemi, że już dawniej nieraz ś. p. kardynałowi Ledóchowskiemu przedstawiał tę sprawę potrzeby biskupów polskich w Ameryce, i nie może rozumieć, dlaczego dotychczas nic w tym względzie nie uczyniono. Może teraz prędzej da się coś przeprowadzić. Mówiliśmy także o seminarjum i szkołach polskich w Ameryce, przyczem napomknąłem Biskupiej Mości, że jego katechizm jest bardzo rozpowszechniony po szkołach polskich w Ameryce. „Czy większy katechizm, czy mniejszy?“ zapytał; a potem ofiarował mi jeden egzemplarz swojego „większego“ katechizmu, wydanego r. 1901, wypisując własną ręką dedykację dla mnie na pierwszej stronicy. Następnie w Poznaniu widziałem się z Przew. ks. Szambelanem Wawrzyniakiem. Zastałem go przy biurku pracującego, jak zawsze. Rozmawialiśmy to o tem, to o owem, ks. Szambelan zarzucał mię pytaniami o Polonji amerykańskiej, której losy bardzo żywo go interesują; aż nareszcie widząc, że nie wyczerpiemy tematu w jednej godzinie, zaprosił mię do siebie do Mogilna na parę dni, atoli później nagły powrót do Rzymu nie pozwolił mi skorzystać z tych łaskawych zaproszeń. Ks. Prałata Meszczyńskiego nie zastałem w Poznaniu, był u wód.

Z Poznania jechałem do Wągrówca, gdzie u brata i siostry dwa dni spędziłem. Wągrowiec — to ojczyzna sławnego ks. Wujka (żył w 16 wieku), tłumacza Pisma św., oraz ks. St. Nawrockiego z Chicago i ks. Jana Machnikowskiego z Ford City, Pa. Pierwszy dzień Mszę św. odprawiłem we farze, w której dwadzieścia kilka lat temu do pierwszej komunji przystępowałem, a gdzie proboszczem jest obecnie ks. Kopernik; na drugi dzień w „klasztornym" kościele, gdzie proboszczem jest ks. Witek. Obydwaj ci kapłani, bardzo serdecznie i gościnnie mię przyjmowali. Co za radość i rozkosz to sprawia, gdy się po wielu latach znowu zobaczy to samo miasto, w którem się człowiek za młodu kształcił, widzieć gimnazjum, do którego się tu przed 20 laty uczęszczało. Z profesorów, którzy za mojego tu pobytu uczyli, tylko jeden pan Rychlicki pozostał. (Obecnie do gimnazjum we Wągrówcu uczęszcza pół tuzina samych Kruszków. Wogóle, gdym począł liczyć dzieci ze samych braci i sióstr moich, tom ich naliczył wszystkich członków rodziny ni mniej ni więcej tylko 56).

Zwiedzając gimnazjum wągrowieckie, w klasie niższej tercji znalazłem jeszcze most Cezara, wystrugany przeze mnie roku 1882, jak to wspomniałem w Trzeciem Siedmioleciu.

Niemcy żartują sobie z nazw polskich, przekręcając je; ale i mój brat ksiądz Szymon zażartował sobie z Niemców. Gdy na przystanku konduktor czyli „Schaffner", wołał „Janowitz" zamiast Janówiec ksiądz Szymon odpowiedział mu na cały głos:

— Janowitz, Wongrowitz, alles Witz! Ihr Deutschen macht lauter Witz aus unseren polnischen Namen! Das muss einmal ein Ende haben! (Wy, Niemcy, żarty sobie stroicie z nazw polskich, ale to musi raz mieć koniec!)

Wreszcie rozmawiałem 9-go października w sprawie naszej także z Najprzew. ks. biskupem Andrzejewiczem, sufraganem w Gnieźnie. Z oburzeniem powstawał na dążności amerykanizacyjne. Co to za biskupi, którzy pracują nad wynaradawianiem ludu? Czy to Kościoła zadaniem?... Bardzo to światły i gorliwy biskup.

Ostrowite Prymasowskie, 10 paźdz. 1903. — Dzisiaj wieczorem odebrałem z Rzymu wezwanie, abym tamże natychmiast przybył. Ktoś z Ameryki, podobno jeden z duchownych, przysłał Propagandzie wycinki różnych gazet amerykańskich, nieprzychylnych naszej sprawie. Trzeba je będzie więc wytłumaczyć, intrygę wyjaśnić.

Wracam więc natychmiast do Rzymu — zamiast w listopadzie, jak miałem zamiar.

Wróciwszy z Wągrówca do Ostrowitego Prymasowskiego, zaczęliśmy razem z ks. Szymonem plany układać na przyszły tydzień, kogoby z krewnych najpierw odwiedzić (bo jeszcze ani połowy nie odwiedziłem) — aż tu nagle, jak piorun z pogodnego nieba, spada list registrowany z Rzymu, w którym czytam wezwanie: „curre, advola“ — wracaj czemprędzej do Rzymu! Tak to człowiek myśli, a Pan Bóg kreśli — pomyślałem. Jeszczem był nie odwiedził nawet rodzinnego swojego gniazda, Sławomierza, gdziem się urodził, ani Gorzyc, gdziem ochrzcony był — a tu już wracaj! Ale że nabożeństwo w Gorzycach było już zapowiedziane, więc też dnia 12 października, ks. Szymon, ks. Stefan i ja, przy współudziale zacnego miejscowego proboszcza, ks. Walczaka, odprawiliśmy jeszcze przed odjazdem moim solenne nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. ojca. Pomimo deszczu, kościół w Gorzycach był napełniony, choć to się zjechali sami prawie tylko krewni, bliżsi i dalsi, z Poznania, Gniezna, Wągrówca, Szubina, Trzemeszna, z pod Bydgoszczy itd. itd.

Wyjeżdżając z Polski, zabrałem ze sobą — jako drogą pamiątkę — woreczek ziemi polskiej, dla siebie i dla innych rodaków w Ameryce, którzy mię o to prosili, by nam kiedyś tą ziemią posypano trumny, gdy na obczyźnie pomrzemy. — Między innymi p. Franciszek Hieronim Jabłoński o to najbardziej mnie prosił. Po drodze do Bydgoszczy, wstąpiłem do pp. Brzeskich w Krotoszynie i pp. Malczewskich w Młodocinie, bardzo zacnych rodzin; następnie do siostry Heleny, zamężnej Domagała, w Szubinie, i do najmłodszej siostry Jadwigi, zamężnej Śmierzchalska w Krusinie, przejeżdżając przez Rynarzewo, ojczyznę ks. Cezarego Tomaszewskiego, C. S. Sp. Stamtąd na Berlin, Lipsk, Monachjum, Innsbruck, przez Alpy (Brennerpass), Weronę, Bolonję, Florencję — do Rzymu podążyłem. W Berlinie w kościele św. Jadwigi, a w Monachjum we „Frauenkirche“ (katedrze) Mszę św. odprawiłem.

W hotelu w Monachjum na moje zapytanie, gdzie najbliższy kościół katolicki, odpowiedziano mi: Idź prosto, a potem skręć na prawo! Poszedłem we wskazanym mi kierunku i wszedłem do pierwszej po drodze napotkanej świątyni. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy we wnętrzu tej świątyni zobaczyłem w ławkach siedzących samych mężczyzn z cylindrami na głowie! Była to bowiem żydowska bożnica, mająca na zewnątrz wygląd zwykłego kościoła.

35. Katolicyzm w ustach kardynała Gibbonsa jest kosmopolityzmem, gdy chodzi o Polaków; a nacjonalizmem, gdy chodzi o ajryszów. — Pseudonim korespondenta Vox Urbis, a ryk osła w Rzymie zwany także Vox Urbis.

Stanąwszy dnia 18 października 1903 znowu w Rzymie, zastałem rzecznika sprawy naszej, Monsignora Antonucciego, ogromnie zaalarmowanego i przestraszonego.

Co się stało?

Oto opozycja episkopatu amerykańskiego zaczęła podnosić głowę. Wycinki z gazet biskupich, ajryskich, nadesłane z Ameryki, były tego dowodem. Dla mnie ta opozycja nie była żadną niespodzianką. Oto np. wycinek następujący:

„Brooklyn, N. Y., 24 września. — Kardynał Gibbons pytany tu przez reprezentanta prasy w sprawie biskupa polskiego w Stanach Zjednoczonych, o co stara się w Rzymie delegacja polska, odpowiedział co następuje:

„Petycja ich nie odniesie skutku. Nasi polscy katolicy muszą zastosować się do kosmopolitycznego ducha tego kraju. Tu nie może być polska, irlandzka lub niemiecka diecezja z rodakami na czele. Biskupi Kościoła wybierani są przez kapłanów i prowincjonalnych biskupów. Byłoby nierozsądnem inaugurowaniem takich zasad, jak są przedłożone w tym kraju".

Ze słów tych okazuje się, że kardynał zajął przeciwne stanowisko sprawie polskiej. Wyraził się on z naciskiem, że o dzieleniu diecezji w Ameryce, na ustanowienie polskich biskupów nigdy mowy być nie może. A Polacy, starający się o swych biskupów, nigdy takowych nie otrzymają".

Biorę następujący wycinek, który mi tłumaczy, dlaczego kardynał Gibbons się sprzeciwia:

„Nowy York, 21 września. — Agencja stowarzyszenia prasy otrzymała z Rzymu telegram następującej treści:

„Papież Pius X wbrew zwyczajom watykańskim i przyjętemu porządkowi przy udzielaniu posłuchań, przyjął na prywatnem posłuchaniu ks. Wacława Kruszkę z Ripon, Wis., któremu towarzyszył p. Mahany z Buffalo.

Panowie ci bawią od kilku miesięcy w Rzymie z petycją, proszącą o mianowanie polskiego biskupa w amerykańskiej hierarchji kościelnej. Pomimo opozycji trzech kardynałów Gotti'ego, Satolego i Martinellego, którzy twierdzą, że podobna nominacja miałaby

zgubny wpływ na jedność amerykańskiej hierarchji i że wszyscy amerykańscy biskupi sprzeciwiają się temu, papież okazał głębokie zainteresowanie się sprawą; wysłuchał wywodów ks. Kruszki i z gotowością obiecał wziąć tę sprawę pod natychmiastową rozwagę, przyrzekając rychłą decyzję.

W kołach watykańskich w Rzymie panuje ogólne przekonanie, że polski biskup będzie nominowany na Stany Zjednoczone, lecz bez stałej stolicy biskupiej (bishop at large).“

Ten ostatni ustęp powyższego telegramu musiał mocno zaalarmować kardynała Gibbonsa. A jednak o takim narodowym biskupie „at large“ papież Pius X na serjo myślał, a jego następca Benedykt XV dziś myśl tę w czyn wprowadza tylko dla Włochów, a nie dla Polaków! Innej bowiem solucji tej kwestji biskupów polskich w kołach watykańskich nie widziano i do dziś dnia nie widzą. Albowiem katolicyzm i narodowość — te dwa pojęcia nie wykluczają się bynajmniej lecz raczej uzupełniają się nawzajem tak jak dusza i ciało. Przeciwnie, katolicyzm i kosmopolityzm, o którym kardynał Gibbons wspomina w powyższym telegramie, to są dwa pojęcia i wyrazy zupełnie sprzeczne ze sobą, to prawdziwa „contradictio in terminis“. Socjalizm jest kosmopolityzmem, lecz nigdy przenigdy katolicyzm! Katolicyzm a kosmopolityzm różnią się między sobą jak niebo a ziemia. Katolicyzm nie jest międzynarodówką socjalistyczną. Dlatego biskup Andrzejewicz, gdym rozmawiał z nim w Gnieźnie, słusznie z tak wielkiem oburzeniem powstawał przeciw ajryskim biskupom w Ameryce, iż wołał świętym uniesiony gniewem:

— Co to za biskupi, którzy pracują nad wynaradawianiem ludu? Czy to Kościoła zadaniem?...

Ale obłudni ajrysze tę miarę międzynarodówki mają tylko dla innych narodowości, a nie dla swojej! Dla swojej mają to hasło: „Sinn Fein“, to znaczy „My sami“ — „We Ourselves“ shall rule the church in America.

Tak w Rzymie wołałem 18 października 1903 i nie przestawałem wołać w następne dni i miesiące, pamiętając na słowa Izajasza proroka: „Wołaj! nie przestawaj, jako trąba wynoś głos swój!“ (Izajasz, rozdz. 58, 1.)

Między pismami, występującemi przeciw naszej sprawie, był i filadelfijski „American Ecclesiastical Review“ i „New York Freeman's Journal“. Ten ostatni tygodnik miał w Rzymie stałego korespondenta, który się podpisywał pseudonimem „Vox Urbis“ (Głos Miasta). Ten „Vox Urbis“ zaczepiał mnie w straszny sposób

w swoich korespondencjach do pism amerykańskich. Przedstawiał mnie jako nowoczesnego Lutra, który starając się o biskupów narodowych (polskich), wywołuje bunt przeciw całemu episkopatowi amerykańskiemu, a tem samem przeciw Kościołowi powszechnemu. Był to zarzut śmieszny, ale niemniej niebezpieczny. Kim jest ten „Vox Urbis", co ze mnie Lutra robi w pismach amerykańskich? Gdzie on w Rzymie mieszka? Ani Mgr. Antonucci ani OO. Zmartwychwstańcy nie umieli mi na te pytania odpowiedzieć.

Nareszcie przyszedł do mnie wspomniany już poprzednio korespondent pan Croke, ten „prawdziwy Irlandczyk, w którym podstępu ani zdrady niemasz". On co tydzień bywał u mnie, nieraz kilka razy, w swoich korespondencjach do gazet amerykańskich i w Irlandji przedstawiał naszą sprawę w prawdziwem świetle (nasze „Supplices Preces" gazety w Irlandji w całości ogłosiły), nie krył się pod pseudonimem, lecz zawsze podpisywał się własnem nazwiskiem „Croke". Otóż ten zacny i szczery pan Croke na moje pytanie, kim jest „Vox Urbis", zaraz bez ogródki mi powiedział:

— „Vox Urbis" to jest Monsignor ks. Kelly.

— Pan zna go dobrze i wie, gdzie mieszka?

— Tak jest.

— Przyszedłby on do mnie na obiad, gdybym go zaprosił?

— Sądzę, żeby przyszedł.

— Wręcz mu pan mój bilet z zaproszeniem i przyjdźcie obydwaj na obiad do mego hotelu.

Przyszli. Po przywitaniu się siedliśmy do stołu: Monsignor Kelly, inaczej „Vox Urbis", pan Croke i ja. Żeby nie psuć apetytu, ani słówkiem nie zdradziłem się przed Mgr. Kellym ani przed panem Croke, że wiem już, co „Vox Urbis" pisał o mnie w amerykańskich gazetach. Mówiłem o moich wizytach u biskupów polskich i o Polsce, którą niedawno zwiedziłem. O sprawę biskupów polskich w Ameryce z początku tylko zlekka potrąciłem. Dopiero pod koniec obiadu całą naszą sprawę, dla której tu do Rzymu przyjechałem, wyłuszczyłem gruntownie i obszernie, uzasadniając ją wszechstronnie tak ze stanowiska wiary jak i rozumu. Monsignor Kelly wywodom moim przysłuchiwał się uważnie i przytakiwał mi, we wszystkiem przyznając mi słuszność. Widząc, że nadszedł psychologiczny moment, zwróciłem się wprost do Monsignora Kelly'ego, inaczej zwanego „Vox Urbis", z takiem jasnem i wyraźnem zapytaniem:

— Monsignorze, widzę, że mi przyznajesz słuszność we wszystkiem. Jak więc nazwać takiego korespondenta, który w swoich listach do gazet amerykańskich przedstawia mnie tu w Rzymie jako Lutra buntującego się przeciw episkopatowi?

W tejże samej chwili, kiedym to pytanie postawił, zdarzyło się, że tuż pod oknem naszego hotelu zaczął osieł ryczeć na cały głos, jak to w Rzymie często się słyszy. Monsignor Kelly, zmieszany mojem zapytaniem, którem już czuł się osobiście dotknięty, zręcznie skorzystał z tego ryku osła i nie dawał mi żadnej odpowiedzi, udając, że nie dosłyszał mego zapytania. Lecz ja w okamgnieniu również skorzystałem z tego ryku osła, który w Rzymie często nazywają także „vox urbis", czyli „głosem miasta", i wskazując ręką najpierw na osła, który ryczał, a potem na Monsignora, rzekłem z naciskiem te słowa:

— Taki nazywa się „Vox Urbis"!...

Na to p. Croke i Monsignor zrazu głośnym wybuchnęli śmiechem, który atoli zaraz urwali. P. Croke wnet zrozumiał, kogo mam na myśli, i znacząco mrugał powiekami, jakby mi chciał powiedzieć: Ale ci się udało! A Monsignor Kelly dopiero po chwili się zreflektował, że ja chyba znam jego pseudonim „Vox Urbis"; i cała jego twarz oblała się rumieńcem. Wziął cięgi zasłużone.

Monsignora Kelly'ego później jeszcze nieraz spotykałem i zapraszałem na obiad do siebie, ale zawsze mi się grzecznie wymawiał. Nigdy już więcej źle o mnie i mojej misji nie pisał. Owszem, jak to zobaczymy w dalszym ciągu, bardzo długi i pochlebny artykuł napisał do „New York Freeman's Journal", donosząc, że miałem w Rzymie nader trudną misję do spełnienia, a świetnie się z niej wywiązałem.

36. Fałszywy alarm „Dziennika Poznańskiego", który wobec naszej sprawy zajął zacofane stanowisko wrogów naszych.

Wróciwszy do Rzymu, dnia 18 października, mieszkałem jeszcze przez tydzień w hotelu d'Allemagne; a potem, ponieważ alumni polscy wrócili już ze swojej willi Albano Laziale i Kolegjum Polskie, puste podczas wakacyj, znowu się zaludniło, przeniosłem swoją kwaterę znowu do tegoż Kolegjum, w którem od początku mieszkałem, a z którego się wyniosłem tylko na czas wakacyji. Tu w Kolegjum, między swoimi, jakoś mi milej, przyjemniej i jakby we własnym domu. Przezacny ks. rektor, Przew. O. Czorba, C. R., ofiaro-

wał mi biskupi pokój: mieszkam więc w tym samym wspaniałym pokoju, który niedawno podczas konklawe J. Em. kardynał Puzyna zajmował. Ze strony Przew. O. generała Smolikowskiego, Przew. O. prokuratora Marszałkiewicza i innych OO. Zmartwychwstańców doznaję wiele względów, łaskawości i gościnności. Alumnów w Kolegjum jest obecnie 17 — trzech z Ameryki, dwóch także z Księstwa Poznańskiego, reszta z Galicji i z Królestwa.

Pod koniec października obchodziliśmy tu uroczyście prymicje dwóch nowo wyświęconych kapłanów amerykańsko-polskich a mianowicie: ks. Jana M. A. Langego, bratanka ks. Langego z Chicago, i ks. Aleksandra Pitassa, bratanka ks. Jana Pitassa z Buffalo. Ks. Lange pierwszą uroczystą Mszę św. celebrował w kościele OO. Zmartwychwstańców na Via San Sebastianello, a ks. Aleks. Pitass tu w kościele św. Jana Kantego (przy Kolegjum Polskiem), przyczem miałem ten zaszczyt asystować w kapie jako archipresbiter.

Od czasu mego powrotu z Polski składałem wizyty różnym dostojnikom, jako to: J. Em. kardynałowi mery del Val, nowemu sekretarzowi stanu, winszując mu w imieniu Polonji amerykańskiej nowej tej godności i polecając zarazem na nowo sprawę naszą; dalej sekretarzowi Propagandy arcyb. Veccia; J. Em. kard. Serafinowi Vannutelli'emu i t. d. Prócz tego takie mnóstwo korespondencyj miałem do załatwienia w sprawie naszej, tyle odpowiedzi na listy biskupów z Ameryki i z Polski, tłumaczeń, zachodów i t. d., że czasu zbytecznego na prywatne listy mało miałem i jeszcze go skąpo mam.

Dzienniki europejskie i amerykańskie, w czasie mego pobytu w Polsce, ogłosiły telegram z Rzymu donoszący, że „Kongregacja de Propaganda Fide" odmówiła mianowania biskupów polskich dla Ameryki, a zgodziła się tylko na wikarjaty generalne w diecezjach, w których dwie trzecie ludności mówi po polsku. Telegram to fałszywy, wysłany przez tych, którzy sprawie naszej nie sprzyjają i radziby ją ubić. Takich telegramów i artykułów w ostatnim czasie pojawiło się wiele. Przygodni korespondenci w Rzymie z różnych wycinków gazet zrobili formalne orzeczenie Propagandy i rozesłali po gazetach alarmujące wieści. Fałszywy to alarm. Kardynałowie Propagandy mają teraz wakacje i zbiorą się na posiedzenie dopiero w listopadzie — jakżeż mogli wydać już wyrok w naszej sprawie? Owszem, Prefekt Propagandy kardynał Gotti oświadczył, że sprawa nasza nie przyjdzie pod obrady ani w listo-

padzie ani w grudniu, gdyż episkopat amerykański musi być najpierw wysłuchany.

Najzabawniejsze i najciekawsze jest to, że „Dziennik Poznański", jak za panią matką pacierz, powtarza zarzuty nieprzyjaciół naszej sprawy. Szeroko w tej kwestji się rozpisał pod tytułem „O biskupa polskiego". Zanim ten jego artykuł w całości przytoczę, muszę tu nadmienić, że „Dziennik Poznański" jest bardzo logiczny w swoich wywodach; a cała jego wina leży w tem, że wychodzi z mylnego założenia i popełnia błąd podobny zarzutom nieprzyjaciół naszej sprawy. „Dziennik Poznański" powiada, że gdyby Rzym polskim kolonjom w Ameryce dał osobnych biskupów, to takie samo musiałby przyznać kolonjom niemieckim w Poznańskiem lub kolonjom polskim w Paryżu, Londynie i Rzymie. Stosunki amerykańskie mierzy łokciem stosunków europejskich. Nie zastanawia się nad ewolucją społeczną Ameryki, idącą tak odmiennymi drogami niż ewolucja starej Europy. Wprost przestrasza go to, że śmiemy prosić Stolicę św. o osobnych biskupów. Przestrasza go i stąd zniechęca ta nasza siła żywiołowa, która społeczeństwo amerykańsko-polskie pcha we wspaniałą, tytaniczną walkę życiową, siła, która mu jest nie miła, bo zupełnie mu obca. Uprzedzenie jego do Ameryki to nic innego, jeno bunt niemocy wobec żywiołowej potęgi.

„Dziennik Poznański" wychodząc z tego fałszywego założenia, najpierw, że Rzym obecnego urządzenia kościelnego w Ameryce zmienić nie może; a powtóre, że gdyby zmienił, musiałby je zmienić i w Europie, zupełnie fałszywe wyciągnął wnioski i dnia 13-go października 1903 r. taki ogłosił artykuł:

„O polskiego biskupa".

„Z Rzymu nadeszła przykra dla rodaków naszych w Stanach Zjednoczonych, lecz spodziewana wiadomość, że Kongregacja Propagandy odmówiła prośbie o zamianowanie osobnego biskupa dla wszystkich polskich parafij. Petycję w tej sprawie uchwalił ostatni Kongres wszystkich stowarzyszeń polskich, a przywieźli ją do Rzymu jeszcze za życia Leona XIII delegaci owego Kongresu, ks. Wacław Kruszka, proboszcz w mieście Riponie i p. Rowland Mahany, adwokat buffaloski, były reprezentant Unji w Ekwadorze, były deputowany i przypuszczalny w przyszłości prezydent Stanów Zjednoczonych, a wielki nasz przyjaciel. Choroba Leona XIII, potem zgon jego i konklawe przewlekły załatwienie petycji. Papież

Pius X przyjął delegatów nader życzliwe i polecił załatwić ich prośbę jak najrychlej. Oto więc załatwiono — odmownie.

„Jest to bardzo przykry wypadek. Już w Ameryce odzywały się takie polskie głosy, że jeżeli Watykan nie uwzględni prośby, to — być może — „Polacy nie wytrwają niewzruszenie przy starych godłach i formach wiary". Jest to dość prawdopodobne, bo właśnie dlatego, że podlegają oni władzy biskupów niemieckich, albo irlandzkich, już powstały między nimi sekty; były kapłan katolicki ks. Kozłowski założył w Chicago „niezależny" kościół i sam się wyawansował na pierwszego biskupa; ks. Kołakowski w Clevelandzie ogłosił się biskupem (?) starokatolickim, to samo w Pensylwanji zrobił ks. Chodary, (zapewne Dz. Poz. ma na myśli oderwanego ks. Hodura w Scranton R.), a Kamiński w Buffalo stworzył jakąś nową sektę, w której także zajął godność biskupa. Słowem, odszczepieństwo szerzy się między naszą amerykańską emigracją, ale bynajmniej nie z powodów dogmatycznych, ani z łakomstwa na nowinki, jeno dlatego, że nasi nie chcą podlegać biskupom niemieckim i irlandzkim, którzy odznaczają się dążnościami szowinistycznemi. Wedle amerykańskich ustaw, biskupi są zupełnymi panami w swych diecezjach, jaki język ustanowią w swych kościołach, taki być powinien i żadna władza do tego się nie miesza. Otóż z tej swobody korzystają biskupi irlandzcy, zwłaszcza zaś niemieccy na niekorzyść naszych rodaków.

Mają oni tedy słuszność, że się starają o własną zwierzchność kościelną. Ale ma także słuszność Kongregacja Propagandy wiary. Gdyby Polacy zajmowali wyłącznie, albo przeważnie jakiś obszar tak rozległy, że mógłby tworzyć diecezję, to nie byłoby nic łatwiejszego, jak dać im polskiego biskupa. Ale ich jest wszędzie po trochu: w Chicago najwięcej, w Buffalo już mniej, ale jeszcze sporo, od Nowego Yorku do San Francisco, rozsiadły się drobne gromadki. Wyłączyć Polaków z wszystkich już istniejących diecezyj i specjalnie dla nich utworzyć jedną, obejmującą całe Stany, to byłoby to naruszeniem odwiecznych, zatwierdzonych przez synody reguł Kościoła, podług których jeden tylko biskup rządzi wszystkimi wiernymi w swej diecezji.

Ustanawiać biskupów dla odłamów narodowych, a nie dla terytorjów, to byłoby wprowadzić wielką chwiejność w organizację kościelną. Groźbą odszczepienia się niepodobna nakłonić Watykanu do odstępstwa od tradycji, której mądrość wypróbowano przez wie-

ki. Gdyby, unikając sekciarstwa Kościół czynił ustępstwa wszelkim żądaniom, jakie tylko powstają, to samby popadł w sekciarstwo. On trwa nieporuszony, potężny i tylko ze smutkiem patrzy na tych, którzy się odeń odrywają, aby zabłąkać się na manowcach.

„Ale sądzimy, że jest przecie wyjście. Niezaprzeczenie, dwom miljonom amerykańskich Polaków słusznie się należy bodaj jeden biskup, skoro trzymiljonowa ludność niemiecka posiada dwóch arcybiskupów i trzynastu biskupów, a półtora miljona katolickich Irlandczyków ma ich pięciu. Gdy zawakuje stolica np. w Chicago, gdzie Polaków jest przeszło 200 tysięcy, można powołać na nią polskiego kapłana, lecz będzie to zwierzchnik wszystkich katolików w tej diecezji, nigdy zaś wyłącznie polskich. Można także dać niektórym już istniejącym zwierzchnikom diecezjalnym polskich sufraganów. Można wreszcie wystarać się o to, aby Watykan zalecił biskupom niemieckim, czy irlandzkim zaprzestanie narodowej propagandy w kościołach.

Propaganda Wiary odrzuciła petycję amerykańskich Polaków, bo nie mogła zrobić inaczej. Gdyby dla petentów zgodziła się na wyjątek, toby on po pewnym czasie, a przy wciąż rosnących antagonizmach narodowych stał się regułą i w takich np. olbrzymich miastach, jak Londyn, Paryż, albo Nowy-York trzeba byłoby tworzyć stolice biskupie dla każdej tamtejszej grupy narodowej. Cóżby się wtedy stało? A pod względem narodowym nawet my w Polsce odczulibyśmy niewygodę takiego urządzenia. Ale odrzucenie petycji amerykańskich Polaków przez Propagandę Wiary wcale jeszcze nie znaczy, że ona nie uznała za słuszne przyczyn, które wywołały tę petycję. Niewątpliwie Watykan wejrzy w istotnie przykre położenie naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych i postara się naprawić stosunki bądź wskazówkami, które da tamtejszym biskupom, bądź przez osobnego delegata apostolskiego. W każdym razie można mieć pewność, że wysłanie do Watykanu poselstwa od amerykańskiej Polonji i wręczenie petycji nie minie bez dobrego skutku dla naszych rodaków".

Takimi to głębokimi wywodami poparł sprawę naszą „Dziennik Poznański". A cały ten powyższy artykuł podyktowany został przez ów paniczny strach, żeby przypadkiem kolonje niemieckie w Poznańskiem nie upomniały się o te same prawa, o jakie upominają się kolonje polskie w Ameryce. Fałszywy to był alarm, zupełnie jak ten, że „Propaganda odrzuciła petycję amerykańskich Po-

laków". Daremnie „Dziennik Poznański" usiłuje swój zabobonny strach ukryć pod płaszczykiem „zatwierdzonych przez synody reguł Kościoła, podług których jeden tylko biskup rządzi wszystkimi wiernymi w swej diecezji". Jak naprzykład w archidiecezji lwowskiej — czy nie prawda?

„Dziennik Poznański" dał dzielną broń naszym wrogom. Chciał naszą sprawę zniweczyć w samym jej zarodku. Ale daremnie. Myśl bowiem o osobnych biskupach dla Polaków powstała była nie tyle w głowie Polaków amerykańskich, jak to „Dziennik Poznański" mylnie sądził, ile raczej w kołach miarodajnych Watykanu. My Polacy amerykańscy prosiliśmy tylko o równouprawnienie kleru polskiego: „ut nos Poloni in America iisdem ac aliae gentes iuribus frai possimus in ecclesiastica hierarchia" (Suplices Preces), pozostawiając roztropności Stolicy św., w jaki to sposób najlepiej uskutecznić, wyraźnie powiedzieliśmy w naszych „Supplices Preces":

„Placeat Tibi, Beattissime Pater, nobis dare aut Episcops proprios aut auxiliares". (Racz, Ojcze święty, dać nam albo biskupów własnych albo pomocniczych.)

Ale wskutek zaciętego oporu i uporu episkopatu ajrysko-niemieckiego Rzym sam wpadł na pomysł diecezyj narodowych jako na jedyny sposób rozwiązania tej kwestji. Dlatego „Dziennik Poznański" i jego wspólnicy mogli tylko na kilkanaście lat powstrzymać rozwój tej myśli; ale jej ubić w zarodku nie mogli. Truth is stranger than fiction.

37. Inne głosy z Polski i z Ameryki.

Sprawiedliwość każe wyznać, że nie zawsze „Dziennik Poznański" tak czarno się zapatrywał na sprawę naszą. Miesiąc przedtem, bo 14 września 1903, umieścił następującą korespondencję:

Rzym, 14 września 1903.

(Delegacja Polaków amerykańskich w Rzymie: ks. Kruszka i p. Rowland Mahany. — Odwiedziny cesarza Mikołaja II.)

Mamy tutaj od dłuższego czasu dwóch gości z Ameryki: księdza Wacława Kruszkę (rodem z pod Wągrówca w W. Ks. Poznańskiem) i p. Rowlanda Mahany, adwokata z Buffalo, b. deputowanego do parlamentu w Waszyngtonie i przyjaciela Polaków, mającego

obszerne stosunki w sferach rządowych. Ks. Kruszka i pan Mahany przybyli do Rzymu w chwili choroby Leona XIII, kiedy interesa Kościoła, tak jak i w czasie konklawe, były zawieszone. Dlatego dopiero przed tygodniem uzyskali audjencję prywatną u Piusa X, któremu sprawę mianowania biskupów Polaków, w miejscowościach Stanów Zjednoczonych, zamieszkałych w znacznej części przez Polaków, przedłożyli. Byli także u prefekta Propagandy, kardynała H. Gottiego, odwiedzili wszystkich kardynałów, należących do Kongregacji Propagandy, oraz sekretarza stanu Merry del Val.

Wszędzie przyjęcie było życzliwem, uznano słuszność żądań Polaków amerykańskich; Pius X oświadczył na posłuchaniu, iż przeczytał suplikę doręczoną mu za pośrednictwem kapelana mgra. Bressan. Mówił mu także o tem kardynał Svampa, więc papież obiecał, że zrobi, co będzie mógł dla Polaków. Zarówno Gotti, jak i sekretarz jego Mgre Veccia, przyrzekli, iż na pełnem posiedzeniu Propagandy w miesiącu listopadzie, słuszna sprawa, ale też i ważna, będzie rozpatrzona. Wobec tego, trzeba czekać cierpliwie rezultatu zachodów i rozstrzygnięcia żądań przez Stolicę Apostolską, na które obecnie, nie tylko oczy dwóch miljonów Polaków, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, ale i reszty rodaków w trzech dzielnicach europejskich są zwrócone.

Największa trudność jest w tem, że w Stanach Zjednoczonych trzymają ster rządów kościelnych biskupi irlandzkiego pochodzenia, władający tylko językiem angielskim i ci tak łatwo władzy z rąk nie wypuszczą. Stosunki są tam w istocie anormalne i dla religji szkodliwe. Nasz lud nie rozumie biskupów, mówiących językiem niezrozumiałym i ci zapewne dobrze sami czują, ile ten stan jest nieprawidłowym. Anomalja jest tem większą, że w Stanach Północnej Ameryki jest dwa miljony Polaków. W takim np. Chicago mieszka, według danych urzędowych, 250,000 Polaków, w diecezji Buffalo połowa jest polską itd. I wobec tego, na stu biskupów, nie masz ani jednego Polaka!

Zdaje mi się, że w kraju kroczącym na czele cywilizacji, w którym niema narodowych nienawiści, gdzie swoboda kulturalna jest zupełną, powinno by się znaleźć miejsce dla naszych biskupów. Polacy już od lat dziesięciu agitują za tem i w swoim czasie chciano, aby biskup Hryniewiecki, po wydaleniu go z katedry wileńskiej, wysłanym był do Ameryki. Potem była tak samo mowa o biskupie A. Symonie. Ś. p. kardynał Ledóchowski, prefekt Propagandy, nie

był bardzo życzliwie usposobiony dla tej kwestji, ale przecie chciał, aby arcybiskup Władysław Zaleski, obecny delegat apostolski na Indje Wschodnie, wysłanym był w charakterze stałego delegata do Waszyngtonu. Nie zdołał jednak tego przeprowadzić u Leona XIII i też dopiero po śmierci kardynała Ledóchowskiego, Watykan wysłał do Waszyngtonu mgra Falconio, ani Polaka, ani Anglika, ale — Włocha.

Jest jednak precedens w tej kwestji, który powinienby być wskazówką dla Watykanu. Amerykańscy Niemcy także nie mieli ani jednego biskupa, dziś mają ich trzynastu, pomimo oporu Irlandczyków amerykańskich.

Chodzi tu przedewszystkiem o religję. Niewiem, co delegaci przytoczyli za argumenty, oprócz tych, jakie wyłożyli w obszernym, jasno, jędrnie napisanym memorjale, przedłożonym Stolicy świętej. Ale jest jeden argument, nad którym w Watykanie i Propagandzie winni się dobrze zastanowić. W Stanach Zjednoczonych utworzył się już narodowy „Kościół niezależny" z dwoma biskupami odszczepieńcami: Kozłowskim i Kamińskim. Prócz tego, są jeszcze „niezależni" proboszcze, odpadli od Kościoła, jak Kołaszewski (w Cleveland) i Hodur w Pensylvanji (ten ostatni ma pod sobą 20 parafji). Do tego doprowadziły rządy amerykańsko-irlandzkich biskupów... Gdyby nie stało się zadość słusznym — jak zresztą wszyscy przyznają — żądaniom polskich amerykanów, odszczepieństwo zyska niezmiernie na sile i na podstawach.

Rząd waszyngtoński jest wcale życzliwie usposobiony dla nas, jak to zaświadczyć może p. Mahany. Ludność i prasa katolicka Stanów amerykańskich tak samo popierają ten ruch, któremu już dwa Kongresy polsko-amerykańskie dały wyraz, kilku biskupów irlandzkiego pochodzenia oświadczyło się za nami. Więc, byłoby dziwnem, gdyby Propaganda, która decyduje w tej kwestji, nie rozstrzygnęła jej z pewnem zadowoleniem ludności polskiej w Ameryce.

Ksiądz Kruszka i p. Mahany, wybierają się stąd do Galicji, Warszawy i W. Ks. Poznańskiego, poczem ks. Kruszka wraca do Rzymu w listopadzie, aby pilnować sprawy.

O dalszym jej przebiegu, nie omieszkam was powiadomić. Sprawa to o tyle więcej interesująca, że za Polakami stoją oprócz Litwinów, także i Czesi, Ślązacy i Słowacy.

Prasa włoska wyraża się także bardzo przychylnie o żądaniach Polaków. Będzie to, jak ktoś dobrze powiedział, pierwsza

sposobność dla Piusa X okazania pieczołowitości dla naszego narodu, wiernego Stolicy Apostolskiej.

Z powodu zapowiedzianego przybycia do Rzymu cesarza Mikołaja II w końcu października, zjechało tu już kilkunastu tajnych ajentów policji rosyjskiej. Socjaliści z posłami Farsim i Mogarin na czele, uwzięli się, aby wygwizdać cara w chwili, kiedy będzie wjeżdżał przez ulicę Nazionale do miasta. Rząd znajduje się w prawdziwym kłopocie, bo jak tu temu zapobiec?

Nemo.

Od sekretarza Wydziału Wykonawczego z Chicago otrzymałem brzemienny list, który tak brzmiał:

Chicago, dnia 26 września 1903.

Wiel. Ks. W. Kruszka

w Rzymie.

Wiel. Księże Delegacie! — W załączeniu przesyłam Ks. Dobrodziejowi przekaz na 500 dolarów. Suma ta w większej połowie została złożona przez Stowarzyszenie Księży Świeckich.

Niektórzy sądzą, że dzisiejsza przesyłka wraz z tem, cośmy już przedtem wysłali, powinna zupełnie Delegacji wystarczyć. Wydział Wyk. przecież tego zdania nie podziela, lecz kolektuje dalej na rzecz Delegacji. Sądzi atoli, że ani świętopietrzem od Polaków w Ameryce, ani wielkimi prezentami dla dygnitarzy tamtejszych głowy Wiel. Ks. Dobrodziej zaprzątać sobie nie powinien. Niech o to wszystko stara się przyszły biskup polski w Ameryce. Zresztą organizuje się tu polska pielgrzymka do Rzymu. Ma ona wyruszyć na przyszłą wiosnę; więc ona będzie mogła sprawą świętopietrza polskiego się zająć.

Niektórzy z Wydziału Wyk. i Stowarzyszenia Księży mają za złe Ks. Dobrodziejowi, że się ofiarami naszymi dzieli pół na pół z p. Mahanym. Zdaje im się, że przez to dzieje się krzywda ks. Kruszce. Nie znając stosunku finansowego, w jakim wy tam ze sobą zostajecie, Wydział Wykonawczy od siebie nic pod tym względem nie proponuje. Prosimy i nadal taki podział z pieniędzmi od nas przesłanymi robić, jaki Ks. Dobrodziej uważa za właściwy. Tylko o tem prosimy nic nie pisać do gazet, boby się zrobił wielki hałas.

Czytałem wczoraj w „Kurjerze“ sprawozdanie Ks. Dobr. o audjencji, jakąście mieli u papieża. Również widziałem artykuł p. Mahany o Rzymie etc., drukowany w katolickiej gazecie Buffa-

loskiej. Bardzo dobrze robicie, że takie artykuły piszecie. One nas wielce podtrzymują na duchu.

Życząc Wam dalszego powodzenia i błogosławieństwa Bożego, kreślę się z wysokim szacunkiem,

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.,
sekr. Wydz. Wyk.

Pieniędzmi ja czasem z p. Mahanym się dzieliłem, a czasem też p. Mahany ze mną, stosownie do potrzeby. Ale nigdy pół na pół z p. Mahanym się nie dzieliłem, bo nie mogłem. W najgorszem położeniu finansowem znajdowałem się podczas podróży w Polsce. Później nadeszły dostateczne fundusze, o które starał się i p. Ślisz, jak to świadczy jego list z Buffalo, dnia 8 października 1903:

„Wielebny Księże Dobrodzieju! Robię co mogę aby zebrać fundusze, a że Wydział Wykonawczy mógł na ręce Ks. Dobr. wysłać do tego czasu 1,200 dolarów, w tem lwia część moich starań i zabiegów. Ks. dziekan Pitass chociażby i chciał, to nie może więcej dawać, jak dał do tego czasu. Pan Mahany, jadąc do Rzymu, otrzymał 3,000 dolarów; potem posłaliśmy mu 400 dolarów w dniu 12 września b. r.; 200 dolarów w dniu 24 września, do Krakowa 150 dolarów, a teraz znowu do Londynu 150 dol. Ks. Dobrodziej przyzna, że jak na pojedyńczego kapłana, to dosyć, zwłaszcza gdy się policzy i poprzednie wydatki do Waszyngtonu... Do przyrzeczeń i obietnic galicyjskich biskupów nie przywiązuję wielkiej wagi. (Co do tego mylił się pan Ślisz, gdyż biskupi galicyjscy, jak to w dalszym ciągu zobaczymy, osobiście przybyli do Rzymu i poparli naszą sprawę; chociaż, co prawda, mieli oni głównie na oku wysłanie arcybiskupa Webera do Ameryki). Tutejsze katolickie tygodniki (ajryskie) sprawę równouprawnienia polsko-amerykańskiego kleru omawiają żywo i obrabiają ją na wszystkie boki. Panuje ruch niezwykły, a i biskupi wypowiadają swe zapatrywania na tę sprawę. Z tonu gazet widać, że wieje jakiś inny duch, jak przedtem. Kiedy Ks. Dobr. zamyśla powrócić do Rzymu? Zasyłam serdeczne i szczere pozdrowienia tak od siebie jak i ks. Pitassa, życzliwy rodak i sługa,

Stanisław Ślisz.

Tego dnia 10 października 1903 r. sekretarz Wydziału Wykonawczego w swoim okólniku, ogłoszonym w gazetach amerykańsko-polskich, tak pisał:

Od Wydziału Wykonawczego.

Sprawa polskich biskupów dla Ameryki stała się głośną na obu półkulach. Piszą o niej rozmaite gazety tak europejskie jako też i amerykańskie. Z pomiędzy ostatnich, wydawanych w języku angielskim, sprawą naszą zajmują się szczególniej: „Ecclesiastical Review", miesięcznik kościelny, wydawany we Filadelfji; „The Catholic Citizen" z Milwaukee; „The New World" z Chicago; „The Leader" z San Francisco. W krótkim czasie poważny artykuł pióra p. Wacława Perkowskiego, wykazujący, że „ustanowienie polskich biskupów nie szkodziłoby lojalności względem Stanów Zjednoczonych", pojawi się w pierwszorzędnym nowoyorskim tygodniku literackim, mianującym się „The Literary Digest".

Zauważyliśmy, że Irlandczycy i Niemcy, usiłujący uchodzić za bardzo lojalnych Amerykanów, opinję publiczną starają się do nas uprzedzić; natomiast Amerykanie pochodzenia angielskiego, uważani powszechnie za Amerykanów pierwszej klasy, zdają się stawać po stronie naszej. Miejmy nadzieję, że uprzedzenia do nas, jako do Amerykanów pośledniej klasy, się rozwieją i że wreszcie raz kiedyś, my Polacy, jako dobrzy Amerykanie zasłużymy na zaufanie, jakiem się dziś cieszą Irlandczycy i Niemcy!...

Oczekiwując cierpliwie ostatecznego zwycięstwa i nowych pod zwierzchnictwem biskupów polskich dziejów, nie powinniśmy bynajmniej zaniedbywać tego, co narazie sami bez naszych biskupów czynić możemy, nie zaniedbujmy pieczołowitą opieką otaczać niedorosłą młodzież naszą; inaczej zginie ona dla społeczeństwa naszego, dla naszych polskich towarzystw, organizacyj i parafij. Tej straty narodowej nie powetowaliby ani biskupi polscy.

Są pomiędzy nami ludzie, którzy acz żywo zajmują się sprawą polskich biskupów, obojętnie jednak traktują sprawy takie, jak opieka nad wychowaniem narodowem naszej niedorosłej młodzieży, jak tworzenie osad federacyjnych i łączenie narodu naszego w jedną harmonijną całość. Tacy ludzie to istotne samoluby: naród swój kochają li tylko „gębą", zaś sercem wyłącznie swoje własne „ja". Jeżeliby takimi być mieli i przyszli biskupi nasi, to lepiejby, zdaje się, było, abyśmy się ich nie doczekali.

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.,
sekr. Wydz. Wyk.

38. Stowarzyszenie Księży z Ameryki przysłało mi do Rzymu listę dziesięciu kandydatów polskich, z których dwóch zostało biskupami.

Ponieważ kardynałowie Propagandy, a zwłaszcza kardynał Steinhuber, natrętnie dopytywali się mnie o kandydatów, ja zaś nie miałem żadnego prawa wysuwać kogoś jako kandydata na biskupa polskiego w Ameryce, przeto udałem się listownie do prezesa Stowarzyszenia Księży, ks. Stanisława Nawrockiego, z prośbą o postawienie jakichś kandydatów, ale i zarazem o uzyskanie dla nich aprobaty biskupów amerykańskich, jeżeli to rzecz możliwa. I otóż z Chicago, dnia 4 października 1903 wysłano mi list następujący:

Kochany Księże Wacławie!

Kandydatów na biskupów polskich szukamy. Jest ich i za wiele — i za mało. Rozpisaliśmy się do wszystkich księży świeckich o podanie kandydatów. Dziesięciu z największą liczbą głosów Ci nadeślemy na 20 października — mają z nich wybrać, ilu zechcą. Staramy się także o pozyskanie aprobaty biskupów dla naszych kandydatów, lecz nie pójdzie to tak łatwo. Kilku odpisało, że nic przeciwko nam nie mają, ale kandydatów aprobować nie będą. Zobaczymy, co zrobimy. Pozdrów znajomych.

Twój

Ks. St. Nawrocki.

W dwanaście dni potem nadesłano mi list z następującą listą kandydatów. List ten, opatrzony złotą pieczęcią i podpisem zarządu Stowarzyszenia Świeckich Księży Polskich Rzymsko-Katolickich, brzmiał jak następuje:

Chicago, 16 października 1903.

Kochany Księże Wacławie!

Na załączoną odezwę do księży polskich świeckich otrzymaliśmy następujący rezultat: Ks. Jacek Gulski — 56 głosów; ks. Stanisław Nawrocki — 53 głosy; ks. Mieczysław Barabasz — 47 głosów; ks. Franciszek Lange — 48 głosów; ks. Jakób Pacholski — 44 głosy; ks. Edward Kozłowski — 40 głosów; ks. Franciszek Wojtalewicz — 34 głosy; ks. Witold Buchaczkowski 33 głosy; ks. Jan Szukalski — 33 głosy; ks. Paweł Rhode — 31.

Rób z tych nazwisk użytek, jaki zechcesz. Życzymy powodzenia i szczęśliwego powrotu.

X. St. Nawrocki, prezes.

X. J. F. Szukalski, sekr.

Nie potrzebuję uwagi zwracać na to, że ten, co na powyższej liście był na ostatniem miejscu i najmniej dostał głosów, został pierwszym biskupem polskim w Ameryce. Tak to zazwyczaj — ostatni bywają pierwszymi. W tej sprawie także od wice-prezesa Stowarzyszenia Księży, ks. Jakóba Pacholskiego, odebrałem taki list:

Winona, dnia 2 października 1903.

Wiel. Ks. W. Kruszka
w Rzymie.

Wielebny Księże Wacławie!

Na życzenie Waszeci, wyrażone w liście do ks. Mścisza, Zarząd Stowarzyszenia Księży wysłał okólnik do wszystkich księży świeckich, aby podali dziesięciu kandydatów na biskupa polskiego. Wczoraj mieliśmy posiedzenie w Winonie, na którem urzędowe liczenie głosów miało być na porządku dziennym, lecz niestety przez jakieś nieporozumienie ks. Gronkowski (sekretarz II Stowarzyszenia), który niezawodnie największą ilość odpowiedzi księży odebrał, ani się nie stawił, ani też listów nie przesłał. Z tych kilkunastu listów w ręku innych członków Zarządu trudno tymczasem sądzić, kto się na liście ostatecznej znajdować będzie; tyle zdaje się pewnem, że księża biorą sprawę na serjo, więc będziemy mieli kandydatów najpopularniejszych. Zamierzamy także Wam dziesięć imion nadesłać tak, aby mieli w Rzymie z czego wybierać. Z aprobatą biskupów w tym względzie, nie wiemy dotąd, jak będzie. Tutejszy biskup oświadczył, iż on na aprobatę nie odważyłby się, a też mniemam, że i inni biskupi do tego nie będą skorzy. My zaś sądzimy, że na razie powinno wystarczyć ogólne głosowanie księży wszystkich na kandydatów, aby im nadać dostatecznej powagi. Podaliśmy tak wielką liczbę kandydatów, nie zaś jednego lub dwóch, aby nie podawać się w podejrzenie, iż tego lub owego księdza koniecznie mieć biskupem chcemy, i tego wyraźnie żądamy, a nie tylko o niego prosimy. Zapewniano nas, iż w razie potrzeby, niektórzy biskupi zgodziliby się na piśmienną aprobatę całej agitacji naszej; ale o potrzebie takiej aprobaty trzeba wyraźnego orzeczenia Waszego.

Do Rzymu koniecznie trzeba będzie księdzu wrócić. Pieniądze znajdą się. W ostatnich dniach, jak Wam pewnie wiadomo, Wydział Wyk. znów jakąś kwotę wysłał, a bynajmniej się nie obawiamy, żeby to miała być ostatnia wysyłka; więc z tej strony zbytnio się nie troszczcie. — Sprawą biskupa polskiego z każdym dniem

więcej się interesują księża i ogół, zatem trzeba starać się rozpoczętą sprawę do końca energicznie i logicznie prowadzić. Posłuchy nas doszły, jakoby Right Rev. Schinner miał Was wezwać do powrotu. Trudno nam w to uwierzyć, lecz gdyby rzeczywiście tak było, to prosimy tylko Zarząd powiadomić, a my się postaramy o cofnięcie tego nakazu.

Prasa amerykańska ciągle jeszcze, nie wiadomo z jakiego powodu, lecz w każdym razie nam i sprawie nieprzychylnego, odbiera telegramy i głosi światu, że Polacy żądają biskupów wyłącznie dla Polaków, że takie żądanie jest niemożebne, że więc nasze starania są daremne, że biskupi amerykańscy nigdy się na coś podobnego nie zgodzą i t. d. Byłoby więc na czasie i na miejscu podać do Associated Press dłuższego wyjaśnienia szczegółowego sprawy naszej, zatem prosimy postarajcie się o to. Wiadomo Wam bardzo dobrze, że cokolwiek z kraju druty przyniosą, daleko większej jest wagi, aniżeli płody miejscowe, więc prosimy, nie zapominajcie o tem.

Życząc Wam wszelkiej pomyślności, kreśli się szczerym bratem w Chrystusie, w imieniu Zarządu *Ks. J. Pacholski.*

Nigdy ani w „Supplices Preces" ani ustnie nie narzucałem Rzymowi sposobu, w jaki ma załatwić naszą sprawę. Pozostawiałem to całkiem roztropności Stolicy świętej. Atoli głośno już o tem było w Rzymie, że sam Pius X miał się wyrazić, iż naszej sprawy nie da się dobrze inaczej załatwić, powtarzam **dobrze** załatwić, jak przez ustanowienie biskupów wyłącznie dla Polaków. Powyższe więc telegramy swoje ostateczne źródło miały w kołach miarodajnych Rzymu, a nie w Ameryce, jak to mylnie ks. Pacholski sądził. Z mojej tedy strony nieroztropną byłoby rzeczą zaprzeczać takim telegramom, bo to by znaczyło, że my sami nie życzymy sobie takiego załatwienia sprawy naszej. Czyli, że chcemy Rzymowi dyktować, że w ten a nie inny sposób ma załatwić sprawę naszą, którą uznał za słuszną i sprawiedliwą. Że biskupi ajryscy nigdy się nie zgodzą na taki sposób załatwienia sprawy, to cóż z tego? Przecież oni nie chcieli się zgodzić wogóle na biskupa Polaka; a niektórzy z nich woleliby murzyna biskupem, aniżeli Polaka. Więc tak czy owak sprawa nasza na zacięty opór episkopatu ajrysko-niemieckiego napotyka. Więc jak już, to już. Jak już Rzym ma przełamać ten opór, to niech przełamie go dobrze.

Sprawa jest załatwiona dopiero wtedy, kiedy dobrze jest załatwiona. Dobrze zaś załatwić sprawę biskupów polskich, to znaczy

ustanowić biskupów dla Polaków przedewszystkiem, bo Niemcy i ajrysze ich nie potrzebują i też nie chcą. A my też nie chcemy nad Niemcami i ajryszami panować: to oni tylko chcą nad nami panować Suum cuique — każdemu swoje — to zasada sprawiedliwości. Każdej narodowości dać swojego pasterza i biskupa, jeśli go chce i utrzymać może. Jeśli zaś nie chce — to niechcącemu nie dzieje się krzywda.

Rektor Kolegjum Ruskiego w Rzymie złożył mi wizytę. Czytał nasze „Supplices Preces" i wywody w tej „Pokornej Prośbie" bardzo mu się podobają. Wykorzysta je dla sprawy Rusinów w Ameryce. Odtąd często mię odwiedzał.

39. Mój list do biskupów amerykańskich i odpowiedzi biskupów Eldera, Moellera i Spaldinga. — Znakomita odpowiedź biskupa Trobeca.

Atoli w powyższym liście przewielebnego księdza konsultora z Winony, Minnesoty, mocno mnie zastanowiło następujące zdanie:

„Zapewniono nas, iż w razie potrzeby, niektórzy biskupi zgodziliby się na piśmienną aprobatę całej agitacji naszej; ale w potrzebie takiej aprobaty trzeba wyraźnego orzeczenia Waszego".

Przeczytawszy sobie to zdanie uważnie, po długim namyśle siadłem, napisałem i rozesłałem wszystkim biskupom amerykańskim drukowany na maszynce list tej treści w dosłownem angielskiem brzmieniu:

Rome, October 27th, 1903.

Via Maroniti 22 (Collegium Polonum)

Excellentissime Domine!

In spite of contrary rumors abroad, everything indicates here that our Petition for Polish Bishops, Auxiliary or Vicarii, will be gratified. It is generally conceded here, that our Petition is well founded and just; and there s no reason, therefore, wy it should be altogether rejected. Our cause, as I am informed, will be taken up not earlier than on the December (15th) Plenary Session of the Propaganda, or probably in January.

Every good cause has its enemies; our cause has them too — but it nas also infuential friends. Someone said to me that — „I will find friends for this Polish-American cause evrywhere

in te world, but only — not in the Bishops of the United States; and we will not succed just on account of their opposition". Now, this I consider altogether untrue, as long as I am not convinced otherwise. I have already found friends for our cause in some American Bishops; and I believe, I will also find a friend in your Lordship, too.

One word of recommendation from your Lordship, sent to the Prefect of the Propaganda or to the Holy Father, would help our cause immense. I ask you for this favour — in the name of the Polish Catolics of America, who sent me here. — And I ask you particularly to send to Rome some Polish candidate, in order to enable the Propaganda to give to the Polish people a representative. For, as one of the American Bishops, in a letter written to me, wisely animadverts: — „I assure you that I wish as much as you to see the faithful Poles represented in the hierarchy of the United States but — as long as the present mode of electing Bishops for the United States obtains, what can the Propaganda do? It selects Bishops from the candidates proposed by the Archbishops and Bishops of a province. It would be practical to appeal to such Archbishops or Bishops in America, who need coadjutors, to send to Rome Polish candidates to enable the Propaganda to give to the Polish people a representative. The same may be said in regard to Vicar-General, whom the Bishops themselves appoint;" (in a letter written to me by an American Bishop on Oct. 7th).

At theh audiences I had here at Rome, when asked by some Cardinals what Polish priests I would propose for candidates — I answered emphatically — „I am not authorised by te Polish Congress to propose candidates; and if the Polish priests in America will propose any candidates, they will not do it without asking the approval of their Bishops: for, to propose candidates, is, for the present, neither our duty nor right — this belongs exclusively to the respective Bishops in America; and I hope, they will do it".

The same hape expressed the Bishops and Archbishops of Poland, twelve of whom — all supporting enthusiastically our juse cause. — I personally interviewed last month (this I did on the suggestion of some Cardinals of the Propaganda).

Being sure this our hope will not be in vain, I remain, very respecttully,

Yours in Chro.

Waclaw Kruszka,

Delegate of te Polish Roman Catholic Congress of America.

W odpowiedzi na powyższy mój okólnik otrzymałem własnoręczne listy od następujących biskupów amerykańskich:

Cincinatti, O., Nov. 18th, 1903.

Mr. Wenceslaus Kruszka,

Polish College, Via Maroniti, Rome, Italy.

Dear Sir!

Your favor of Oct. 27th is received. I feel deply interested in the religious welfare of our excellent Polish Catholics in our country.

It happens that in this diocese of Cincinnati there are very few Poles and I hawe na Polish Priest who would be capable, nor even disposed, to fulfill the office of Bishop.

The few that I have are very fervent in their religion and I am doing what I can for their welfare.

Your servant in Christ,

William Henry Elder,

Archbp. Cincinnati.

Jego koadjutor tak mi odpisał:

Cincinnati, O., Nov. 19th, 1903.

Rev. Wenceslaus Kruszka,

Via Maroniti 22, Rome, Italy.

Rev. Dear Sir!

As I am only Coadjutor to the Archbishop of Cincinnati I coult not with propriety propose Polish Priests as candidates for Bishops.

If I may make a suggestion I would say this selection should be made by the Bishops in whose Dioceses there are quite a number of Poles. There are comparitively few Poles in Ohio.

Sincerely yours in Xto.

Henry Moeller,

Coadjutor Archbishop of Cincinnati.

Zupełnie trafna uwaga. Niestety, z tych diecezji, w których jest „quite a number of Poles", pokaźna liczba Polaków, ani jeden

biskup się nie odezwał nawet pół słówkiem. Odezwali się tylko ci biskupi, którzy Polaków w diecezji nie mają albo mało ich mają. Nawet biskup Messmer z Green Bay, o którym polscy księża mi pisali, że bardzo sprzyja naszej sprawie, zachowywał grobowe milczenie. Odpowiedziało mi tylko jeszcze dwóch biskupów, którzy w swoich diecezjach mało mieli Polaków. Ich odpowiedzi na jeden z poprzednich moich listów, były następujące:

St. Mary's Cathedral, Peoria, Ill., Oct. 7. 1903.

Rev. Dear Father!

I have written to the Prefect of the Propaganda as you request.

Very truly yours

J. L. Spalding. Bp. of Peoria.

Ta króciutka odpowiedź miała najwięcej znaczenia. Biskup John Lancaster Spalding całym swoim wpływem poparł naszą sprawę. Szkoda, że on nie był biskupem diecezji np. chicagoskiej, gdzie setki tysięcy Polaków się znajduje.

W samo sedno sprawy naszej trafił biskup Trobec z St. Cloud, Minnesoty, powiadając otwarcie, że **biskup polski** powinien być ustanowiony **dla Polaków,** a nie dla wszelkiej narodowości, jak się to dzieje w **obecnem wadliwem** urządzeniu kościelnem. Bo co to pomoże, że biskup polski będzie zasiadał na jednej ze stolic amerykańskich? On, biskup Trobec, Słowieniec, co może zrobić dla Słowieńców poza diecezją swoją?... Oto list biskupa Trobeca:

Stint Cloud, Minn., Oct. 7, 1903.

Rev. Wenceslaus Kruszka,

Rome, Italy.

Rev. and dear Father.

Your favor of the 13th of Sept. is at hand. I assure you that I wish as much as you to see the faithful Poles represented in the hierarchy of the United States, byt I am certain, my interference would not be favorably received at the Propaganda. There are great difficulties in the way **as long as the present mode of electing bishops for the United States obtains.** What can the Propaganda do? It selects bishops from the candidates proprosed by the Archbishop and bishops of a province. It would be practical to appeal to such archbishops or bishops in America who need coadjutors to send to Rome Polish candidates to enable the Propaganda to give to the Polish people a representative. The same can be said in regard to Vicar-

Generals, whom the bishops themselves apoint. **The most practical solution of the present agitation would be to appoint first a Polish priest at the Delegation to attend to difficulties in Polish parishes.** Suppose now, a Polish bishop or coadjutor-bishop should be placed over the Polish people in one diocese, **what could he do for the good Polish people in other dioceses?** There are now tens of thousands of Slovens (from Carniola, Austria) in America, **but what can I do for my own dear countrymen,** having to devote all my time and energy to my own diocese? I read the pamphlet, prepared for Rome, from cover to cover, but regret sincerely that such great errors could have crept in without having been noticed. (Tu skarży się biskup Trobec, że przesadziliśmy liczbę Polaków w St. Could i pobliskiem Sant Rapids. To jedyny zarzut, jaki ma przeciw naszemu Memorjałowi do papieża.) Here the Poles are well provided with priests, I understand them a little, read the Gospel to them and my Vicar-General preaches to them in Polish. Wishing you God's blessing and success I am sincerely

Yours,

James Trobec.

40. Biskupi małopolscy poparli sprawę Polonji amerykańskiej wspólnem pismem, wystosowanem do Prefekta Propagandy. — List Henryka Sienkiewicza. — Odpowiedź księcia Norfolk.

Wielką jest potęga prasy. Prasa ogłosiła w Polsce, że Propaganda wydała już w sprawie naszej wyrok, i to wyrok odmowny. Któżby drukowanemu słowu nie miał uwierzyć? Więc i arcybiskup Bilczewski ze Lwowa taki list mi nadesłał:

Przewielebny Księże Proboszczu!

Z Najprzew. ks. biskupem Pelczarem, który bawił u mnie, doszliśmy do przekonania, że wobec zapadłej już decyzji św. Kongregacji nie wypada nam teraz wystąpić z pismem. Tylko ustnie można takie sprawy popierać, a więc da Pan Bóg, podczas naszego pobytu w Rzymie w roku przyszłym. Oddaję Przewielebnego ks. Proboszcza opiece Bożej i proszę o modlitwę

Lwów, 19 paźdz. 1903.

sługa w Chrystusie

† *Józef Bilczewski.*

P. S. Proszę o wiadomości co do dalszego przebiegu tyle dla nas ważnej sprawy.

Na to odpowiedziałem arcybiskupowi Bilczewskiemu, że w sprawie Polonji amerykańskiej nietylko żadna jeszcze decyzja nie zapadła, ale że nawet sprawa nasza nie przyszła jeszcze pod obrady na plenarnem posiedzeniu kardynałów Propagandy, i że nie przyjdzie jeszcze pod obrady ani w listopadzie ani w grudniu bieżącego roku, gdyż Propaganda musi zasięgnąć informacyj biskupów amerykańskich, zanim może przystąpić do wydania wyroku w tak ważnej sprawie. Już bowiem dnia 6 października 1903 roku, Monsignor Antonucci z Rzymu pisał mi do Polski co następuje: „Eminentissimus Cardinalis Gotti me certiorem fecit Congregationem plenariam de causa Polono-Americana non futuram esse neque mense novembri, neque decembri; se nescire quando certo erit; esse exspectandum". (Kardynał Gotti uwiadomił mnie, że plenarne posiedzenie w sprawie polsko-amerykańskiej nie odbędzie się ani w listopadzie ani w grudniu; że nie wie, kiedy napewno się odbędzie; trzeba odczekać.)

Wtedy dopiero, otrzymawszy ode mnie powyższą wiadomość, biskupi polscy wysłali wspólne pismo do Prefekta Propagandy i bardzo dzielnie poparli sprawę Polonji amerykańskiej w Rzymie. O czem świadczy następujący list:

„Przewielebny Księże Proboszczu!

„Z całego serca pragnę najpomyślniejszego załatwienia Waszej prośby i starań. Wysłałem w tej sprawie przed tygodniem pismo do J. Em. X. Kardynała Gotti'ego, podpisane prócz mnie przez XX. Biskupów Pelczara i Wałęgę.

„Za przesłane intencje dziękuję serdecznie. Niech Was Najświętsze Serce Pana Jezusa i Jego Matki Najśw. ma w Swej opiece.

„Proszę o modlitwę i łączę pozdrowienie

sługa w Chrystusie

Lwów, 9 grudnia 1903. † *J. Bilczewski.*"

Oto jak śmiało i odważnie poparli biskupi małopolscy sprawę Polonji amerykańskiej! Cześć im za to! Niech żyją jak najdłużej i matuzalowych lat doczekają!

Także ks. Ruszkiewicz, biskup-sufragan warszawski, przesłał mi życzenia najlepsze. W tym samym czasie wspaniały list, polecający sprawę Polonji amerykańskiej wymownemi słowy polskiemi i francuskiemi, nadesłał mi z Warszawy sławny powieściopisarz pan Henryk Sienkiewicz. List ten, który dużo pomógł spra-

wie naszej, umieściłem w całości w drugim tomie „Historji Polskiej w Ameryce". Warto go tu powtórzyć:

„Przewielebny Księże Dobrodzieju!

„Przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, ale polowałem przez dni kilka i wczoraj dopiero wróciłem do Warszawy. Kwestja mianowania biskupów polskich w Stanach Zjednoczonych niezmiernie mi leży na sercu. Nie ulega wedle mego zdania żadnej wątpliwości, że biskupi polscy zdołaliby stanowczo zapobiec tworzeniu się „wolnych kościołów" i wszelkim odstępstwom, dokonywanym z największą szkodą religji i narodowej jedności. Rozumiem też, że sprawa spotkać się musi z wieloma trudnościami, istnieje wszelako jedna okoliczność, która w wysokim stopniu umożliwia pomyślne jej przeprowadzenie: Oto wszyscy księża polscy w Stanach Zjednoczonych posiadają język angielski tak jak własny, mogą przeto jako biskupi rozmawiać i rozumieć się z całą ludnością katolicką. Tymczasem niema prawdopodobnie ani jednego biskupa irlandzkiego, któryby posiadał język polski — i stąd właśnie pochodzą wszystkie nieporozumienia i odszczepieństwa, jakie miały miejsce w czasach ostatnich. Ufajmy, że Kościół ze zwykłym sobie rozumem potrafi ocenić tę różnicę i postąpi tak rozumnie i przezornie, jak postępuje zawsze.

„Załączam słowa czci i wysokiego poważania

Henryk Sienkiewicz.

28. XI. 1903. — Ulica Hoża 22, Warszawa.

P. S. Dołączam kopję listu po francusku, na wypadek, gdyby Ksiądz Dobrodziej chciał pokazać prałatom nietylko polskim."

Dnia 28 listopada 1903 wysłałem także do księcia Norfolk na chybił trafił następujący list:

To Tis Grace, The Duke of Norfolk — House of Lords, London, England.

Most Noble Duke!

Recognizing that throughout your whole life made illustrious not only by your lofty rank but also by your exalted character, and realizing that in the picty of your career, you have exemplified in the best sense the high fidelity to the Faith of the great lines of Mowbray and Howard; we the Polish American Roman Catholics of the United States and Canada respectfully invoke your mighty influence in behalf of our desire to be represented in the American

Hierarchy by at least one Polish Bishop, who as such can speak our language and adequately understand our needs. We are persuaded, that a word from you at Rome will materially assist this just cause, recognized to be just by many of the most eminent personages in the Sacred College of Cardinals, and we need not sag, that wether you exercise your vast authority directly or indirectly in our behalf, you will win the ever enduring gratifude of the two million American Poles, whose claims are set forth in the Supplices Preces herewith enclosed to Your Grace.

We are, Most Noble Sir,

Respectfully yours
Wenceslaus Kruszka,
Delegate of the Polish Catholic Congress
of America.

Nadeszła od księcia odpowiedź taka:

Norfolk House.
St. James's Square, S. W., 4th December, 1903.

Rev. and dear Sir!

While fully appreciating the object you and those you represent have at heart, I feel that it would not be possible for me to intervene in such a matter. I think those with whom the decision rests would regard it as in some sense an act of impertinence on my part, and I not feel, therefore, that I can be of service to you in the matter.

Let me thank you most warmly for the very kind and undeserved way in which you speak of myself, and pray believe I am sincerely sorry that I cannot be of use.

I remain

Your very faithful Servant,
Norfolk.

The Rev. Wenceslaus Kruszka.

Odpowiedź ta, na pozór odmowna, nie była jednak bez skutku, jak również „Supplices Preces", rozesłane do kardynała Moran w Australji, do kardynała Richard w Paryżu, do kardynała Gruscha we Wiedniu, do kardynała Koppa we Wrocławiu, do kardynała Fischera w Kolonji, do kardynała Logue w Irlandji, tudzież wszystkim arcybiskupom w Niemczech i Austrji, wszystkim biskupom w Polsce, Irlandji, Anglji, Stanach Zjednoczo-

nych, oraz redakcjom wpływowych gazet w Polsce, Anglji, Irlandji i Ameryce. Całe naręcza listów nieraz zanosiłem na pocztę w Rzymie.

41. Wiadomości z Chicago, Ripon, Milwaukee i Buffalo.

Pan Mahany, wróciwszy do Ameryki już w początkach października r. 1903, widział się z Wydziałem Wykonawczym Kongresu. O tem gazety amerykańskie umieściły następujący komunikat:

Od Wydziału Wykonawczego.

Rzecznik naszej Delegacji rzymskiej, p. Mahany, już powrócił do domu. Widzieliśmy się z nim w zeszły czwartek u Przew. ks. Jana Pitassa w Buffalo. Zrobił na nas wrażenie człowieka nader obrotnego. Jego szczegółowe i detaliczne sprawozdanie z działalności Delegacji w zupełności potwierdza to, co już wiemy z listów ks. W. Kruszki. Nadto dowiedzieliśmy się od niego o wielu faktach, dotąd nam nieznanych, wobec których działalność Delegacji naszej staje się jeszcze ważniejszą a jej rezultat pewniejszy... O jednem p. Mahany zdołał nas przekonać, a mianowicie, że równouprawnienie dotąd upośledzonego kleru polskiego, na podstawie dotychczasowych starań Delegacji naszej, stanie się niezadługo faktem dokonanym. Rzym sprawę naszą w zasadzie już załatwił, rozchodzi mu się teraz jedynie o „modus“ najdogodniejszy do jej urzeczywistnienia.

Decydujące władze rzymskie, zauważył pan Mahany, mają żal do Polaków amerykańskich, że się prędzej nie postarali o przedłożenie im swych słusznych żądań; przedawnienie sprawy uczyniło załatwienie tejże o wiele trudniejsze, nadto, wyrządziło straty niepowetowane samym Polakom. „Niezależnych“ można było nie mieć wcale, gdyby się było wzięło do rzeczy o kilkanaście lat prędzej.

Na uwagę naszą, że przecież już poprzednio były czynione pewne starania około pozyskania biskupów polskich, otrzymaliśmy w odpowiedzi od naszego rzecznika, że ta sprawa nigdy dotąd właściwym instancjom rzymskim urzędownie w imieniu Polaków amerykańskich nie była przedstawiona. Na pisaniny i intrygi osób pojedyńczych nie zważano tam wcale.

Z powyższych uwag wypływa ta niezaprzeczona prawda, że jeżeli powstali wśród nas „niezależni“, i jeżeli nie cieszy się kler nasz równouprawnieniem z klerem niemieckim lub irlandzkim, to

wina nas samych, to wina po części i kleru naszego, który ani solidarnie, ani dosyć energicznie o swe prawa się nie upominał. W tym względzie koniecznie jedność panować powinna. Inaczej do niczego nie doprowadzimy.

Mówiąc o ks. Kruszce, pan Mahany wyrażał się jak najpochlebniej. Mówił, że lepszego delegata nie mogliśmy byli sobie wybrać. Jedno tylko ma mu do zarzucenia, mianowicie, że na małej gospodarując parafiice, przyzwyczaił się robić wydatki nader skromne i że przyzwyczajenia tego chciał koniecznie się trzymać w Rzymie, co przecież nie mogło wypaść na dobro sprawy.

Co się tyczy finansów Delegacji, to dowiedzieliśmy się, że oprócz tych funduszów 1,250.00 dolarów, jakieśmy skolektowali i przesłali ks. W. Kruszce, spotrzebowano jeszcze 230 dol., które to pieniądze przeważnie z kieszeni własnej dostarczył Przew. ks. Pitass. Wydatki nam przedstawione zdawały się być wszystkie zupełnie uzasadnione. Suma powyższa nie wystarczyła bynajmniej na ich pokrycie; przeto Delegacja nasza zapożyczyć się musiała u znajomych. Rzecz widoczna, że zbieranie ofiar na Delegację przedłużyć musimy, tem więcej, że dla dopilnowania sprawy radzi nam p. Mahany zatrzymać ks. Kruszkę w Rzymie nieco dłużej.

Przew. ks. J. Pitassowi za bezinteresowne i tak gorliwe poparcie sprawy naszej należy się publiczne uznanie. Przy tej sposobności zaznaczyć nam tu wypada, że kapłanowi temu nie rozchodzi się o żaden urząd, tylko o dobro Polaków.

Chicago, Ill., 31 października 1903.

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.
Sekr. Wydz. Wyk.

Od swojego kasjera parafjalnego, p. Jakóba Łukaszewskiego z Ripon, dostałem następujące sprawozdanie:

Ripon, Wis., 22 listopada 1903.

„Post kartę odebrałem, która mnie i wszystkich Parachwian zastała przy dobrym zdrowiu i także ja w imieniu całej Parachwii życzymy X. Proboszczowi zdrowia i dobrego powodzenia, aby Proboszcz do nas jak najprędzej powrócił. Teraz w naszej Parachwii to jeszcze idzie jako tako. Bez ten cały czas jak Proboszcz odjechał z Ripon, to tylko bylim 3 Niedziele bez Księdza. My płacimy Księdza za każdą Niedzielę 10,00 dol., dziesięć Dolarów. Procenta na Banku zapłacilim 82.50 dol. i sumy zapłacilim 100.00 dol. Dnia

16 Listopada w kasie mam 25.00 dol. Ks. Cytrynowskiemu zapłacilim 100.00 dol., Ojcom Franciszkanom wypłacilim 100.00 dolarów pensyi.

„Nasze Niemcy ci się trochę burzą, że tak X. Proboszcz długo nazad nie przyjeżdża. A widać, że X. Cosgrove i Iralczyki czyli Ajrysze się niby cieszą, że jak X. Kruszka długo nie przyjedzie, to się Parachwia św. Wacława rozleci. Z naszej Parachwi byli dzieci u pierwszej komunii św. dnia 27 Września, było ich 17; 8 chłopców i 9 dziewcząt. X. Wiśniewski ich przyjął. W 28 Września nie mielim tu żadnego Odpustu.

„Co się tyczy my w naszej Parachwi bez to że Proboszcz jest precz, to my tracimy, bo Latoś tego dochodu nie będziem mieli, co w przeszłym roku. Bardzo mnie ucieszyło, że X. Proboszcz o naszej Parachwi jeszcze nie zapomniał, bo ja sam myślałem już dawno opisać i do X. Proboszcza posłać. My tu tak jak i ja tak wszyscy pragniemy, aby X. Proboszcz do nas jak najprędzej wrócił.

Jakub Łukaszewski."

Ks. Jan Szukalski, proboszcz parafji śś. Cyryla i Metodego, z Milwaukee, Wis., 29 października 1903 roku pisał mi:

„Kochany Wacku!

„Nasza agitacja o polskiego biskupa wywarła tu ciekawy skutek.

Niemcy zrzucili maskę i bez ogródek wypowiadają rozmaite niepochlebne rzeczy o Polakach i polskich księżach. Oprócz licznych bałamutnych telegramów w prasie codziennej stają do szeregu naszych oponentów także pisma jak „Freeman's Journal" i „Amer. Ecclesiastical Review".

Jest to robota, nad którą niewątpliwie w piekle radość panuje.

Dziś jest rzeczą pewną, jeżeli nasze starania spełzną na niczem, to Kościół z czasem poniesie wielkie straty, a niezależność się wzmocni.

Wiadomo tu, że diecezja Green Bay może łatwo dostać się w ręce polskiego biskupa, jeżeli zawakuje. Pewna klika dokłada wszelkich starań, aby Messmera nie dopuścić do Milwaukee. Ta klika jest ipso facto wielce szkodliwa sprawie polskiej. Jeżeli sposobność się nadarzy, niech ta informacja służy jako prywatna wskazówka."

I znowu 13 listopada 1903, tenże ks. Szukalski mi donosił:

„Kochany Wacku! Piszę Ci dziś po powrocie ze Zjazdu Stowarzyszenia Księży w Chicago. Zjazd odbył się poważnie przy współudziale nawet takich, którzy dotąd na uboczu się trzymali. Uchwalono zarekomendować na przyszły rok, może w maju, zwołanie III. Kongresu polsko-katolickiego. Jeden z główniejszych owoców tego Kongresu ma być wysłanie pielgrzymki do Rzymu w imieniu całej Polonji amerykańskiej. Ta pielgrzymka ma się składać z jakich 100 świeckich i duchownych choćby tylko 20.

„Mojem zdaniem powinieneś koniecznie w Rzymie siedzieć, choćby aż do przybycia tej pielgrzymki.

„Słyszałem, że sprawa milwauckiego arcybiskupa przyjdzie na tapet gdzieś w grudniu. Jest tu pewna banda duchowna, która dla samolubnych powodów porusza niebo i ziemię, aby tu nie dopuścić Messmera. Krzyczą w niebogłosy, że tu nie ma wzięcia, jest niepopularny etc. Otóż w imię prawdy trzeba zanotować, że to są obłudne wymysły. Jest tu bardzo a bardzo dużo takich, którzy pragną przyjścia Messmera dla dobra sprawy i Kościoła. Ty sam zresztą znasz Messmera jako człowieka zdolnego i uczciwego, dwa przymioty, które nie zawsze w parze chodzą. Nadto — a to rzecz wcale niepoślednia — jeżeli Messmer opuści Green Bay, to dla polskiego biskupa jest miejsce gotowe. Otóż tobie nie wypada zajmować stanowiska w tej sprawie...“

I nie zajmowałem go też. Z Green Bay było w Rzymie dwóch wysłanników, których zupełnie przypadkiem spotkałem w tramwaju a od których się dowiedziałem, że agitacja jest w biegu za biskupem Fox'em, a nie za polskim biskupem dla Green Bay. Agitacja za przeniesieniem biskupa Messmera z Green Bay do Milwaukee, jest po prostu agitacją za biskupem Fox'em na razie. A chyba na dalszą metę?...

Z Buffalo, N. Y., pan Ślisz dał mi 7 listopada 1903, taką korespondencję:

„Pan Mahany był wielce nieukontentowany, dowiedziawszy się, że Ks. Dobrodziej z hotelu d'Allemagne wyniósł się do Polskiego Kolegjum; a ks. Pitass i ja również jesteśmy tego zdania, że lepiej było mieszkać w hotelu...“

Ja zaś uważałem mieszkanie w Kolegjum za odpowiedniejsze dla księdza — i tańsze, niż w hotelu. Miałem ciągle towarzystwo księży i kleryków polskich. Przebywali w Kolegjum i goście z Polski, jak np. ks. Władysław Górzyński, kanonik honorowy kolegjaty katolickiej i proboszcz ze Zduńskiej Woli. Ten zwykł na mnie

wołać: „Księże Yankesie!!“ I, nawet wróciwszy do Polski, o mnie nie zapomniał, lecz pisał mi z Krakowa 6 grudnia 1903:

„Drogi Kochany Księże Yankesie! Jakże Wasza polsko-amerykańska stoi sprawa? Czy posunęła się naprzód? Czy Wam wolno już fioletów winszować?

Wierzajcie mi, krótko byliśmy razem; ale dni, któreśmy przy jednej misce spędzili, będą mi drogie w życiu. Długo jeszcze, długo po wyjeździe z Rzymu pełen humoru i dowcipu Wasz yankesowski pyszczek prześladował mnie, drogie sercu wywołując wspomnienia.“

Ks. Antoni Lechert, dawny mój rektor z roku 1891, dnia 27-go października zaprosił mię do siebie do Terracing, miasta odległego pięć godzin od Rzymu. Pojechałem tam rano a wróciłem wieczorem, gdyż czasu, jak i pieniędzy nigdy nazbyt nie miałem.

42. Niespecjalne instrukcje Wydziału Wykonawczego przesłane mi do Rzymu.

Wydział Wykonawczy, przeczytawszy co „Dziennik Poznański“ i inne gazety z Polski donosiły, że sprawa nasza przepadła, bośmy żądali diecezyj narodowych; oraz otrzymawszy ode mnie wiadomość, że sprawa nasza w Propagandzie nie przyjdzie pod obrady ani w listopadzie ani w grudniu — nadesłał mi z Chicago 23 października 1903 następujące instrukcje:

Wiel. Ks. W. Kruszka

w Rzymie.

Wiel. Księże Dobrodzieju: List ks. Dobrodzieja otrzymałem wczoraj. Po naradzie z p. Szopińskim chciałem telegrafować do Ks. Dobrodzieja z poleceniem, że ma w Rzymie pozostać nieco dłużej; jednak po dłuższym namyśle przyszedłem do przekonania, że to byłoby zbytecznem. Ks. Dobrodizej będzie wiedział najlepiej co ma pod tym względem zrobić. Funduszów ks. Dobr. narazie chyba nie zabraknie. Wysłaliśmy mu 500 dolarów dnia 28 września b. r. To przecież coś znaczy!

„Instrukcyj specjalnych dla ks. Dobrodzieja żadnych nie mamy, chyba tylko te: 1) Proszę postarać się o jakąbądź odpowiedź urzędową Propagandy dla Wydziału Wyk. 2) Odpowiedzi urzędowej, zwłaszcza odmownej nie ogłaszać urbi et orbi: proszę tę marną robotę zostawić Wydz. Wyk. 3) Przed wyjazdem z Rzymu i Europy ogłosić w gazetach tamtejszych, że Polakom w Ameryce nie roz-

chodzi się **o ustanowienie odrębnych polskich diecezyj,** ale przedewszystkiem o to, aby w hierarchji Kościoła rzymsko-katolickiego w Ameryce Polacy mieli swoich przedstawicieli polskich. Zdaje się, że Ks. Dobrodziej tę całą sprawę w Rzymie źle przedstawił, bo gazety tak europejskie jako też i amerykańskie, pisząc o sprawie naszej, wciąż twierdzą, że Polakom rozchodzi się o utworzenie odrębnych diecezyj polskich. 4) Przy pożegnaniu z Dostojnikami Kościoła proszę unikać wszelkich ekscentrycznych niedorzeczności; przeciwnie, proszę im okazać jak największą uległość i poszanowanie. 5) Dobrzeby było, aby Ks. Dobrodziej sprawę równouprawnienia polskiego powierzył jakiemu zaufania godnemu i wpływowemu księdzu. Niechby on tam wciąż pukał do podwoi Piotrowych, przypominał naszą sprawę dostojnikom Kościoła i nam o wszystkiem donosił. Rzym jest nierychliwy: dużo czasu potrzeba mu do powzięcia decyzji; a my będziemy wytrwałymi!

W drodze do domu proszę myśleć o tem, co i jak w przyszłości dla sprawy równouprawnienia kleru polskiego czynićby należało. Ale dość tych instrukcyj!!

Do widzenia.

Ks. K. Szłuczko, C. S. C.,
sekr. W. W.“

Tak więc sekretarz Wydziału Wyk. „instrukcji specjalnych dla mnie nie miał żadnych chyba tylko te“ — nie specjalne! Co do owych „odrębnych polskich diecezyj“ słyszał, że dzwonią; ale nie wiedział w którym kościele, czy św. Piotra w Rzymie, czy św. Wacława w Ripon? A przecież jasną jest rzeczą, że dzwonu riponskiego nie możnaby słyszeć na całym świecie.

Nie spodobała się także sekretarzowi Wydziału Wyk. sprawa wyboru kandydatów na biskupów, jak to świadczy następujący list z Chicago 3 listopada 1903:

Wiel. Ks. W. Kruszka
w Rzymie.

Wiel. Księże Dobrodzieju:

Sprawa wyboru kandydatów na biskupów polskich narobiła dużo hałasu. Tyle tylko powiem o tych wyborach, że to istny humbug amerykański — czyste fiasco, za które Ks. Dobrodziej będzie prędzej czy później powołany do odpowiedzialności. Ks. Pitass strasznie się gniewa na Ks. Dobrodzieja, że z tą sprawą odniósł się do Stowarzyszenia Księży Świeckich.

Widziałem się z p. Mahanym w Buffalo w zeszły czwartek... Mówił mi, że ks. W. Kruszka jest idealnym delegatem, że lepszego byśmy w całym świecie znaleść nie byli mogli, tylko że zbyt oszczędny! Niniejszem załączam przekaz na 100 dolarów.

Instrukcyj żadnych nad te, które przed kilkunastu dniami Księdzu przesłałem, Wydział Wykonawczy nie ma, tylko chyba tę jedną, że Ks. Dobrodziej ma w Rzymie tak długo pozostać, jak fundusze pozwolą.

W przyszłym tygodniu Stowarzyszenie Księży Świeckich będzie miało swoje zebranie w Chicago. Postaramy się o zapomogę dla Waszej Delegacji. Może się nam uda coś jeszcze tam wyżebrać.

Do widziska!

W drodze z Rzymu do Ripon proszę się zatrzymać w Chicago i podzielić się z nami wrażeniami z Rzymu.

Z wysokim szacunkiem

Ks. K. Sztuczko, C. S. C.,
I sekr. W. W.

A dnia 25 listopada 1903 tenże tak pisał:

U nas od niejakiego czasu spokój zaczyna ogarniać wszystkich. Wszyscy oczekują błogich rezultatów pracy naszego dzielnego Delegata, nie myśląc nawet o tem, że on tam w Rzymie nie może się obejść bez chleba powszedniego, a więc i bez lirów. Ofiarność publiczna na rzecz Delegacji prawie zupełnie uśpiona. Żadnych ofiar na ten cel już nie odbieramy prawie. Ks. Dobrodziej ma u mnie już tylko około 70 dolarów i zdaje się ta suma się nie powiększy na razie chyba, że na nowo do ofiarności publicznej szturm przypuścimy, czego jednak Wydział Wykonawczy sobie nie życzy, sądząc, że już chyba dosyć tej żebraniny.

Intencji mszalnych nie przesyłam Ks. Dobrodziejowi żadnych. Ja takowych za wiele nie mam; zaś Wieleb. Konfratrzy nie raczyli mi żadnych dla Ks. Dobr. udzielić: wolą je sami Ks. Dobr. przesłać.

Dużo hałasu na razie robią księża świeccy o polsko-amerykańskiej pielgrzymce do Rzymu. My im byśmy radzili, aby z tem wstrzymali się aż nasz Wiel. Delegat powróci. Czy mamy rację?

Życząc Wiel. Ks. Dobrodziejowi najlepszego powodzenia, kreślę się Jego sługą w Chrystusie

Ks. K. Sztuczko.

„Ofiarność publiczna na rzecz Delegacji prawie zupełnie uśpiona“ — pisze powyżej ks. Sztuczko. Całkiem naturalnie. Bo i moja działalność w Rzymie ucichła i była „prawie zupełnie uśpiona“. Od półtora miesiąca nie pisałem już nic do gazet amerykańskich, bo nie miałem co pisać. Więc ofiarności publicznej w Ameryce zabrakło tego niezbędnego bodźca publicznego, jakiem jest publiczne sprawozdanie. A dla sprawy naszej w Rzymie nastąpił teraz ten żmudny i nudny okres „of watchful waiting“, okres cierpliwego i czujnego wyczekiwania, co Propaganda, a względnie Stolica św. uczyni. Nie chciałem bowiem z Rzymu wyjeżdżać dopóty, dopóki od Propagandy, a względnie Stolicy św. nie otrzymam jasnej i stanowczej odpowiedzi, czy to przychylnej czy też odmownej. Odpowiedzi takiej, jak już powyżej widzieliśmy, przed Bożem Narodzeniem spodziewać się nie mogłem. A po Bożem Narodzeniu jak długo jeszcze wypada mi na nią czekać? Nikt nie wiedział. Więc trzeba mi było się uzbroić w cierpliwość. Ażeby jednak nie próżnować przez ten czas wyczekiwania — bo próżnowanie jest początkiem wszelkiego złego — wynalazłem sobie robotę bardzo pożyteczną dla Polonji merykańskiej, odkrywszy w Rzymie kopalnię złota dla „Historji Pol. w Ameryce“.

43. Odkrywam w Rzymie kopalnię złota dla Historji Polskiej w Ameryce. — Dzięki chwilowemu zatargowi ojców chicagoskich z ojcami rzymskimi.

Chociaż już 6 października 1903 r. Kardynał Gotti, Prefekt Propagandy, powiedział był Monsignorowi Antonucciemu, że nasza sprawa nie przyjdzie pod obrady ani w listopadzie ani grudniu, a kiedy? nie wie, trzeba odczekać: to jednak w połowie listopada sam osobiście udałem się do Prefekta Propagandy, ażeby coś pewnego się dowiedzieć. I oto dnia 14 listopada 1903 r. kardynał Gotti na prywatnej audjencji powiedział mi, że tak czas jak i sposób załatwienia sprawy naszej nie od niego samego zależy, lecz także od innych kardynałów Propagandy. Przypuszczałem więc szturm do tych innych kardynałów. Lecz ci znowu mówili mi, że to nie od nich, lecz głównie od Prefekta Propagandy zależy.

Przekonałem się tedy, że szturmem Propagandy nie zdobędę. Że trzeba mi tę twierdzę zdobywać oblężeniem, cierpliwem wyczekiwaniem. Co sobie postanowiłem, to kardynałom wręcz oświadczyłem, mianowicie: że do Ameryki nie wrócę dopóty, dopóki albo od Propagandy albo od samego Ojca św. nie otrzymam jasnej i sta-

nowczej odpowiedzi w tej sprawie Polonji amerykańskiej. Wydział Wykonawczy polecił mi zostać w Rzymie tak długo, jak długo fundusze mi starczą. A jak mi funduszów zabraknie a odpowiedzi się nie doczekam? Będę w Rzymie siedział, choćbym tu miał ziemię gryźć i z głodu przymierać! Nie ruszę się stąd, dopóki na tę Pokorną Prośbę o biskupów polskich nie odpowiedzą mi w najwyższej sferze kościelnej: Tak albo Nie!...

Takiem niezłomnem postanowieniem w imię Boże rozpocząłem teraz to nudne i trudne a długie oblężenie twierdzy, Skałą Piotrową zwanej. Ażeby się nie nudzić, poszedłem do O. Pawła Smolikowskiego, Generała Zmartwychwstańców, mieszkającego na ulicy San Sebastianello nr. 11. Przypomniało mi się bowiem, co Ojcowie Zmartwychwstańcy w Chicago jeszcze mi mówili, że w Rzymie znajdę obfity i niewyczerpany materjał do swojej „Historji Polskiej w Ameryce". Powiedziałem tedy O. Generałowi Smolikowskiemu, że przyjdzie mi w Rzymie długo czekać na załatwienie sprawy, że nie chciałbym tu bezczynnie siedzieć. Że od trzech lat zajmowałem się pisaniem historji osad polskich w Ameryce i słyszałem, iż tu w Rzymie obfite znajdują się źródła historyczne. Że jeśli wie o jakich źródłach, niech mi je łaskawie wskaże, bym mógł z nich czerpać materjał dla historji Polskiej z Ameryki, nie tracąc czasu.

Na to O. Generał Smolikowski odpowiedział mi:

— Owszem, są tu takie źródła w naszem własnem archiwum. Są tu bardzo liczne listy z Ameryki, z lat dawnych, pisane przez naszych ojców i nie-ojców. Niech je ksiądz Dobrodziej po kolei przejrzy, może przydadzą się do Historji.

To rzekłszy, Ojciec Generał wprowadził mnie do swojego mieszkania. Jeden pokój skromny, ubogi ale chędogi, w niem prosty stół i zwykłe stołki, oto mieszkanie najwyższego przełożonego w Zgromadzeniu Zmartwychwstania Pańskiego! Ten pokój O. Generała trzeba było przejść, aby stamtąd dopiero wejść bocznymi drzwiami do archiwum czyli miejsca przechowywania ważnych papierów, dokumentów i dowodów piśmiennych. Archiwum Ojców Zmartwychwstańców w Rzymie znalazłem bardzo wzorowo urządzone. Listy z Ameryki, o które mi głównie chodziło, były starannie poukładane w porządku chronologicznym, to jest, według dni, miesięcy i lat, w jakich były pisane. Do roku 1866 szczupły był zbiór tych listów. Dopiero od roku 1866, kiedy to OO. Zmartwychwstańcy objęli misję w Texas, zbiór listów rósł w objętości tak, że każdy rocznik miał swoją osobną tekę z napisem roku na grzbiecie. Ob-

jętość tych zbiorów zwiększała się z każdym następnym rokiem. Niektóre roczniki były bardzo grube i zawierały wielkie mnóstwo listów z Texas, Michigan, Illinois, Wisconsin, Kentucky, Kanady, z najrozmaitszych stron Ameryki. Były tam listy nie tylko Ojców Zmartwychwstańców, ale i księży świeckich i osób cywilnych. Listy te barwnie opisywały różnych ludzi, różne kraje i obyczaje; a o ile dotykały samegoż początku i dalszego rozwoju osad polskich w Ameryce, były wprost nieocenionej wartości historycznej, były istną kopalnią złota dla historyka. Samo odczytywanie tych listów, nieraz kilka arkuszy długich, kosztowało mnie czasu i trudu niemało. Niektóre listy były pisane literami tak drobnymi, jak mak. Naprzykład ksiądz Wieczorek (który umarł w Toledo, Ohio) kreślił swoje listy ręką bardzo piękną i staranną, ale tak drobnem i prawdziwie maczkowem pismem, że wiele ustępów gołem okiem nie podobna było odczytać. Dla łatwiejszego odczytania tych pism drobnych kupiłem sobie wtedy lupę, którą z Rzymu do Ameryki przywiozłem i do dziś dnia jeszcze w kieszeni noszę.

Ale samo odczytywanie tych listów jako nader ważnych dowodów piśmiennych, odnoszących się do założenia i rozwoju osad polskich w Ameryce, nie wieleby mi się przydały do Historji. Trzeba mi było koniecznie notatki robić. To też zaraz od początku, poprosiwszy O. Generała o białe arkusze papieru, pióro i atrament, zacząłem sobie z tych listów rzeczy mniej ważne notować pobieżnie a rzeczy większej wagi kopjować dosłownie. Tę pracę przez pierwsze dni wykonywałem w samemże archiwum, w obecności O. Generała, sądząc, że w stosunkowo krótkim czasie przewertuję te roczniki. Bo nie tylko O. Generał, ale i ja z początku nie myślałem, że tak wiele i tak wielką obfitość materjału historycznego znajdę w tych przygodnych listach z Ameryki. Ale skoro O. Generał się dowiedział, że ja w tych listach znalazłem niewyczerpaną kopalnię złota dla Historji i że moja praca wydobywania materjału historycznego potrwa nie tydzień, nie miesiąc, ale kilka miesięcy czasu: wtedy pozwolił mi cały rocznik, jeden po drugim, brać z sobą do Kolegjum Polskiego, gdzie mieszkałem, i tam sobie notować i kopjować, zamiast w archiwum. Żebym nie potrzebował codzień przychodzić, czasem może nadaremno, gdyż mogłoby się zdarzyć, że O. Generała nie zastanę w domu.

Brałem tedy cały rocznik ze sobą do Kolegjum. A gdy z jednego rocznika wydobyłem cały materjał historyczny przez skrzętne notowanie i kopjowanie, odnosiłem go napowrót do archiwum,

z którego O. Generał wypożyczał mi znowu następny rocznik. I tak ta żmudna praca notowania i kopjowania listów z Ameryki trwała przez drugą połowę jesieni roku 1903, następnie z niektórymi przerwami przez całą zimę aż do następnej wiosny roku 1904. Siedziałem, czytałem i pisałem od rana do wieczora. Po południu, między trzecią a czwartą, odwiedzał mię zazwyczaj któryś z Ojców, albo O. Marszałkiewicz, albo O. Kobrzyński lub inny, we wielkim pokoju biskupim Kolegjum Polskiego na ulicy Maroniti. Zastali mnie zwykle siedzącego przy stole i kopjującego listy z Ameryki. Listy te leżały rozłożone na stole a obok moje notatki i kopje tych listów. Brali je nieraz do ręki i czytali. Sam często im opowiadałem, że z tych listów wynotowałem obok dobrych także wiele rzeczy niepochlebnych dla Ojców chicagoskich.

— A to bardzo dobrze — mówił mi wtedy O. Szymon Kobrzyński — niech te wszystkie sprawki ojców chicagoskich na jaw wyjdą, żeby każdy wiedział, w jaki sposób to przyszło do obecnego otwartego buntu tych ojców przeciw władzy generalnej i kongregacji rzymskiej.

Samemu O. Generałowi Smolikowskiemu powiedziałem, iż z dostarczonych mi listów wynika, że misja Ojców Zmartwychwstańców w Chicago rozpoczęła się niesubordynacją.

— Niesubordynacja — odrzekł — to widać grzech pierworodny ojców chicagoskich, w którym i dzisiaj jeszcze trwają. Ano, nie zaszkodzi, że to wszystko na jaw wyjdzie dla wyjaśnienia obecnego buntu.

Rok 1903 był to czas, kiedy ojcowie chicagoscy stali w otwartym buncie przeciw samemu Generałowi i Kongregacji Rzymskiej z powodu nieprzyjęcia nadanej im nowej konstytucji. Ojcowie rzymscy podjudzali mnie wtedy przeciw ojcom chicagoskim, żebym na ojców chicagoskich zaniósł skargę do Kongregacji Rzymskiej. Ale tego ja uczynić nie chciałem i nie mogłem, jako delegat. Natomiast, co mogłem uczynić, to uczyniłem, mianowicie: żeby nie Kongregacja rzymska, ale Stowarzyszenie Świeckich Księży Polskich w Ameryce dało ojcom chicagoskim braterskie napomnienie. Takie napomnienie wystarczy. Jakoż i wystarczyło. Napisałem do Stowarzyszenia i dnia 10 listopada roku 1903 Stowarzyszenie Świeckich Księży napisało do Przewielebnego O. Prowincjała W. W. Ojców Zmartwychwstańców w Chicago następujące napomnienie:

„Ubolewamy, iż, jak już powszechnie wiadomo, stoicie w otwartym buncie przeciw Waszemu Generałowi i odnośnym wła-

dzom w Rzymie z powodu nieprzyjęcia nadanej tak Wam jak i innym Zmartwychwstańcom nowej Konstytucji. Postępowanie takie nie tylko Wam i nam, ale i sprawie ogólno polskiej szkodzi. Takiego postępowania ani pochwalić ani z niem solidaryzować nie możemy.

Dlatego, pomni na przykazanie miłości braterskiej, mamy sobie za obowiązek Was pod tym względem przestrzec i upomnieć, wzywając Was do przynależnej uległości swej władzy, oraz do wspólnej na równi z klerem świeckim pracy dla dobra sprawy polskiej i Kościoła w tym kraju".

I to braterskie napomnienie świeckich księży najzupełniej wystarczyło. Ojcowie chicagoscy poddali się swej władzy i na równi z klerem świeckim oddali się pracy dla dobra sprawy polskiej i Kościoła. Nawet O. Prowincjał, który nie lubił Generała, odtąd tak bardzo Generała umiłował, że aż sam w Generała się zamienił. Takiego to cudu dokazało braterskie upomnienie.

44. Zima w Rzymie. — Śmierć ks. Sebastjańskiego. — Jak ajrysze chcieli zapobiec potrzebie biskupów polskich. — List ks. Buhaczkowskiego.

Parę listów, które za pozwoleniem O. Generała odłożyłem na bok, żeby je potem dać odfotografować, przez karygodne zapomnienie nie odniosłem do archiwum, lecz przywiozłem ze sobą do Ameryki. Przy najbliższej sposobności je zwrócę. A szkoda, mógłbym był je oddać O. Generałowi Zapale, który niedawno bawił tu w Milwaukee.

Przez całą zimę w Rzymie nie widziałem ani płatka śniegu. Padał tylko deszcz i dni bywały mgliste, ponure i chłodne. Pamiętam w samo święto Niepokalanego Poczęcia N. Marji Panny wody w korycie Tybru wezbrały tak, że niemal dosięgały szczytów w łukach mostów konkretowych. Termometr często spadał do 35 stopni Fahrenheita. Choć więc mrozu nie było, było jednak przenikliwe zimno, a w moim pokoju, jak wogóle w Rzymie pieca nie było. Tylko w oknie mego pokoju był umyślnie zrobiony otwór dla komina małego piecyka, który w zimie przystawiono dla ogrzania pokoju.

Bardzo żałuję, że nie mogłem się widzieć z Ojcem Sebastjańskim, który szeroko znany jest w Ameryce jako misjonarz i jako założyciel parafij polskich w Nebrasce. On mógł i chciał mi powiedzieć wiele rzeczy dotyczących powstania i rozwoju osad polskich

w Ameryce. Gdy się dowiedział, że przybyłem do Rzymu, pisał mi sam z Polski w lipcu 1903 żebym czemprędzej przyjechał do Nowego Sącza, bo ma mi jako historykowi wiele rzeczy do powiedzenia. Niestety, nie mogłem prędzej, jak we wrześniu 1903 przybyć do Polski. A wtedy naumyślnie zboczyłem do Nowego Sącza, ale już zapóźno. O Sebastjański już nie żył.

Listy nadchodzą z Polski pełne najlepszych życzeń. I tak ks. Stanisław Siarkowski, rektor kolegjum w Nowym Sączu, pisze: „Dałby Bóg, byś jak najwięcej wykołatał dla naszych biednych Polaków w Ameryce". A ks. Wiktor Wiecki, redaktor krakowskiego „Przeglądu Powszechnego" dopytuje się: „Jakżeż tam stoi sprawa biskupów polskich? Myśmy się tu dość namartwili wiadomościami dzienników, Bogu dzięki, że były przedwczesne. Jak te gazety jednak rzeczy lekko biorą. Rozpisywały się tu długo, że Rzym nie może pozwolić na biskupa polskiego, któryby był głową całej Polonji amerykańskiej... Przed kilku dniami przysłał nam do redakcji jakiś ks. Pluciński z Pasaic, N. J., ohydną odezwę przeciwko ajryszom i „Łamie w trójkoronie", ile złej woli potrzeba, żeby taki stek obelg i bluźnierstw z siebie wyrzucić".

Z Ameryki zaś, z Neodesha, Wilson County, Kansas, 4 grudnia 1903 pisze mi ks. Jan Dominik Wojciechowski: „Starania Delegacji rzymskiej a właściwie Wiel. Ks. Kruszki poruszyły nietylko całe polskie duchowieństwo ale i Wiel. Kapłanów niepolskiego pochodzenia. Księża niemcy wątpią, by prośby odniosły skutek, są jednak przychylni. Księża ajryscy mocno są przekonani, iż delegacja nic a nic nie wskóra. Miałem często sposobność z nimi rozmawiać a z toku rozmowy przekonałem się najwidoczniej, iż są mizernie poinformowani".

N. Y., 9 listopada 1903 woła do mnie „Pilnujcie, Ojcze, dobrze waszej sprawy, gdyż tu wiele jest nienawiści i różnych fałszywych tłumaczeń. Ale Bóg mocniejszy w sprawie słusznej i wcale nie exaltowanej". A znowu 7 grudnia 1903 ten sam ks. Górski donosi mi: „Polacy w stanach Massachusetts i Connecticut skarżą się ogromnie na brak księży polskich, pomimo wybiedowanych kościołów, które stoją zamknięte, a biskup nie chce przyjmować księży, gdyż podobno ma kilku studentów innej narodowości we Lwowie i Krakowie, uczących się po polsku — na nich więc czeka. Smutna to rzecz bardzo, bo Polacy takich intruzów nie przyjmią, walka się brzydka rozpocznie, a niezależni już teraz kręcą się tam i namawiają do odstępowania. Dobrzy katolicy zwołują ogólne ze-

branie na 15 grudnia, chcą tę sprawę podnieść i wprowadzić legalną drogą na właściwe tory. Naprzód udać się mają do biskupa, potem do Delegata w Washingtonie, a wreszcie i do Rzymu. Zdaje mi się, że sprawa ta zastanie jeszcze księdza w Rzymie. Poparcie koniecznie potrzebne!"

Owi studenci ajrysze „uczący się po polsku w Lwowie i Krakowie" — to zaiste jeden z arcyciekawych skutków naszych starań o biskupów polskich, zwłaszcza po ukazaniu się r. 1901 w „New York Freeman's Journal naszego artykułu p. t. Polyglot Bishops for Polyglot Dicese". Ajrysze myśleli, że nauczywszy się języka polskiego, z łatwością zastąpią księży polskich i biskupów polskich. Atoli grubo się pomylili w swoich rachubach! Gdy taki ajryski ksiądz, nauczony we Lwowie po polsku, objął parafję polską w Nowej Anglji, raz po udzieleniu błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem podczas Wielkiego Postu odwrócił się od ołtarza i chciał swoim polskim parafjanom powiedzieć, żeby teraz zaśpiewali pieśń „Jezu Chryste Panie miły". Ale zamiast tego, tak im powiedział:

— A teraz zaśpiewajcie: „Jezu Chryste Panie **młody**!" Ma się rozumieć, w odpowiedzi na to ludzie w kościele parsknęli śmiechem. A ów proboszcz „polski", nie mogąc się domyśleć, dlaczego ludzie się śmieją, zamiast śpiewać, zgorszony wyszedł czemprędzej z kościoła.

Rektor seminarjum polskiego z Detroit, Mich., dnia 3 grudnia 1903 pisze do mnie co następuje:

„Wielebny Księże Proboszczu i Dobrodzieju!

Korzystam z pobytu W-go Księdza Proboszcza w Rzymie i udaję się do Niego z uprzejmą prośbą, której ziszczenie byłoby dla nas prawdziwem dobrodziejstwem.

Potrzebujemy do naszego Seminarjum księdza profesora, któryby mógł wykładać na teologji.

W-ny Ksiądz Proboszcz sam zrozumie o jakiego człowieka nam chodzi: wykształconego, świętobliwego, prawego charakteru, któryby nie tylko uczył, lecz także cnotami swemi dawał wzór młodzieży sposobiącej się do stanu kapłańskiego.

Wiem, jaka trudność w znalezieniu takiego. Może uda się W-nemu Księdzu Proboszczowi wyszukać takiego w Rzymie wśród polskiego duchowieństwa; ostatecznie może znalazłby się jaki Włoch i ksiądz — przedmioty na teologji wykładamy po łacinie. Ks. kanonik Antonucci zna wielu księży — możeby przez niego

wyszukać kogo. Zresztą Wiel. Ksiądz Proboszcz sam najlepszych dróg dobierze do wyszukania nam profesora.

Dochód miesięczny jest 25 dolarów, wikt i pomieszkanie, mam także nadzieję, że potrafię go zaopatrzyć w intencje mszalne. — Wkładam na Wielebność Waszą nowy i trudny obowiązek, lecz potrzeba naszego Seminarjum wytłumaczy i śmiałość moją i ufność, z jakiemi udaje się do Wielebności Waszej.

Uwieńczenie sprawy pomyślnym skutkiem, byłoby wielką bardzo dla nas przysługą W-go Księdza, a zakład teologiczny polski zaciągnąłby dług wdzięczności względem Wielebności Waszej.

Ponawiając moją uprzejmą prośbę łączę wyrazy prawdziwego i najgłębszego poważania, z któremi pozostaję sługa i brat w Chrystusie

Ks. Witold Buhaczkowski,
Rektor Seminarjum.

45. Ks. Sztuczko ciekawy, jak mi się wywdzięczy pierwszy biskup polski w Ameryce. — Na święta Bożego Narodzenia pojechałem do Poznańskiego.

Sekretarz Wydziału Wykonawczego, ks. Kazimierz Sztuczko, głęboki znawca dusz ludzkich, w jednym ze swoich listów objawił mi szczególniejszego rodzaju ciekawość. Mianowicie, ciekawym był, jak mi się też ten przyszły biskup polski wywdzięczy za te moje starania w Rzymie. Bardzo charakterystyczny ten list z Chicago dnia 22 sierpnia 1903 r. brzmi jak następuje:

Wiel. Ks. W. Kruszka
w Rzymie.

Szan. i Wiel. Delegacie!

Znowu przesyłam Ks. Dobrodziejowi przekaz bankowy tym razem jednak tylko na 150 dolarów. Więcej nie mogliśmy jakoś zebrać. Proboszczowie wielkich parafij nie dają nic: zdaje się, mają strach, aby „symonją" nie zepsuli sobie szansy na biskupstwo. Proboszczowie zaś mali nie wiele dać mogą, bo nie wiele mają. — Wszyscy zachwycają się sprawnością naszej Delegacji rzymskiej i są prawie pewni, że wkrótce jeden z **naszych** zostanie biskupem. Ciekawa rzecz, jak Delegacji naszej oni — ci biskupi polscy **przyszli** podziękują.

Z wysokim szacunkiem
Ks. K. Sztuczko.

Nulla dies sine linae. To znaczy: „ani jeden dzień bez kreski", bez pracy nie powinien minąć. Każdy dzień ma przynosić postęp w pracy. Żeby sprawy nie zaspać, albo, żeby sprawa nasza snać nie ugrzęzła w Kongregacji Propagandy, poruszałem ją od czasu do czasu, unikając zbytniego natręctwa, i popychałem ją naprzód, kiedy tylko nadarzyła się jakaś sposobność. Jak sprawa stoi? pytali mnie często zwłaszcza korespondenci w Rzymie. Odpowiadałem:

— Jak stoi? Żleby było, gdyby stała. Sprawę ciągle naprzód posuwać trzeba; ona stać nie powinna. Dowiedz się Pan, jeśli łaska i możność, czy i kiedy mógłbym kardynała Svampę w Bolonji zastać.

Na to pan Adam Darowski, stały rzymski korespondent pism polskich, po kilku dniach dał mi taką listowną odpowiedź dnia 6-go listopada 1903:

„Łaskawy Ks. Dobrodzieju!

Na wszelki przypadek zawiadamiam, że kardynał Svampa teraz pewno będzie zajętym. Dnia 9 b. m. otwiera on kongres akademików włoskich w Bolonji i będzie prezydował. Kongres potrwa cztery dni. Więc mniejwięcej do 15 b. m. nie będzie miał prawicy wolnej, aby zająć się sprawą biskupów naszych.

Z wysokim szacunkiem

A. Darowski."

Co się odwlecze, to nie uciecze. Na razie należało kardynałowi Svampie tylko przypomnieć, że się o nim pamięta; to i on będzie pamiętał o naszej sprawie. Na Boże Narodzenie zaś, przyjętym zwyczajem, posłałem mu życzenia wesołych świąt. Kardynałowie włoscy bywają bardzo grzeczni i na życzenie odpowiadają również życzeniem. Kardynał Svampa nadto dodał te słowa wiele znaczące:

„Da lungi non trovo maniera per occuparmi con qualche efficacia in pro dei Palacchi Americani. Nel Marzo verro a Roma, ed allora spera di poter interpormii qualiche valido ufficio". To znaczy: „Narazie nie znajduję sposobności zająć się skutecznie sprawą Polaków amerykańskich. W marcu przyjadę do Rzymu, a wtedy spodziewam się wyświadczyć jakąś walną przysługę".

Słowo kardynała Svampy było verbum nobile, słowem szlacheckiem. On słowa danego dotrzymał, jak to zobaczymy później.

Przed Bożem Narodzeniem objechałem wszystkich kardynałów Propagandy i każdemu, przyjętym w Rzymie zwyczajem, wpisałem do księgi życzenia wesołych świąt i szczęśliwego Nowego roku. Tak samo Ojcu św. i sekretarzowi stanu kardynałowi Merry del Val.

Obrabianie przez sześć miesięcy jednej i tej samej tezy nuży umysł człowieka. Umysł ciągle natężony — jak łuk ciągle napięty — słabnie. Trzeba go zwolnić przez wakacje. Na święta Bożego Narodzenia prosił mię usilnie mój brat ksiądz Szymon do siebie, prosiła mnie zwłaszcza moja matka. Pojechałem więc do Poznańskiego na dwa tygodnie. Kupiwszy bilet zwrotny, dobry na dwa miesiące, podróż powrotną odbyłem za jedną trzecią ceny.

Od dnia przed wigilją Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli włącznie, bawiłem u brata, ks. Szymona, proboszcza w Ostrowitem Prymasowskiem, skąd — o ile czas pozwalał — liczne robiliśmy wycieczki to do krewnych, to do znajomych i sąsiadów. Wszędzie miłego i gościnnego doznałem przyjęcia. Prócz tego, w niedziele i święta, prawiąc kazania, słuchając spowiedzi, śpiewając sumy i t. p., przypomniałem sobie życie duszpasterskie. W Rzymie bowiem, zajęty moją misją dyplomatyczną, prócz codziennej Mszy św., żadnych funkcyj duszpasterskich nie sprawowałem. W Ostrowitem zaopatrzyłem i chorego. W samą wigilję Bożego Narodzenia, już po wieczerzy, zawołano z odległej wsi księdza do chorego. Poprosiłem brata ks. Szymona, by mnie pozwolił jechać do tego chorego a siebie nie fatygował. I w ową pamiętną noc wigilijną pierwszy raz w życiu „po starokrajsku" jechałem do chorego, to jest, w sutannie, komży i stule, przy boku mając ministranta z latarką i dzwonkiem.

W Opalenicy, gdzie bratanek mój, ks. Stefan Kruszka, był wikarym, byłem obecny na bardzo pięknem przedstawieniu polskiem, jakie dawało tamtejsze kółko dramatyczne pod kierownictwem ks. Stefana. Aktorzy odgrywali swoje role po mistrzowsku, a aktorki w polskich strojach śpiewały przecudnie pieśni polskie. Po przedstawieniu państwo Władysławowstwo Witajewscy uraczyli nas suta kolacją.

We Wieluniu nad Notecią, w pedagogjum Schwarzbacha, zastałem jeszcze przy życiu mojego dawnego nauczyciela łaciny, profesora Schindlera, który, gdym miał dziewięć lat, pierwszy mię nauczył początków łacińskiego języka, którym w Rzymie obecnie posługiwać się muszę. Bardzo był rad i winem mię poczęstował.

Odwiedzając w Psarskiem dawnego swego kolegę ks. Józefa Pieniążkiewicza, spotkałem się z hr. Hektorem Kwileckim, słynnym z procesu, o którym i amerykańskie gazety szeroko się rozpisywały.

W drodze do Berlina jechałem razem z posłem niemieckim z Górnego Śląska. Śpiewał mi gorzkie żale na politykę nieboszczyka Bismarka, który swojem „ausrotten" niepotrzebnie wywołał wilka z lasu, to jest obudził polskiego ducha narodowego na Górnym Śląsku.

Niebotyczne góry, tak zwane Alpy, widocznie zasłaniają Włochy od mroźnych wiatrów północy i sprawiają, że kraj włoski, choć położony na tej samej szerokości geograficznej co Wisconsin i Illinois, nie ma zimy, nie zna mrozu ni śniegu. Na północnych stokach Alp, w Tyrolu i Bawarji, leżała gruba warstwa śniegu, podczas gdy w Lombardji były zielone drzewa. Wybierając się z Rzymu do Poznańskiego, pamiętałem o tej różnicy klimatu i na podróż zaopatrzyłem się w Rzymie we futro, a raczej futerko, bo ciężkiego futra w całym Rzymie w żadnym składzie nie można było dostać, podobnie jak łyżew do ślizgania się nie można w Rzymie kupić, bo ślizgawek na lodzie tam nie znają. Jedyny kożuch, jaki znalazłem w jednym wielkim składzie, było to lekkie futerko ze syberyjskich skórek wiewiórczych. Dałem za nie 150 lirów czyli niespełna 30 dolarów. Kiedym później to futerko przywiózł z sobą do Ameryki, pasażerowie na kolei z wielką ciekawością je oglądali i ocenili je na 180 dolarów.

46. Listy księży Zielińskiego i Pitassa z Ameryki i księży Gruchalskiego i Cienia z Polski. — Stary ks. Pitass jako tłumacz mowy biskupiej.

Sędziwy ks. Kwiryn Zieliński, mój dawny sąsiad w Princeton, Wis., o którym wspomniałem w piątem Siedmioleciu, pisał mi z Antigo, Wis., 3 sierpnia 1903:

„Czcigodny Księże i nasz dobry Delegacie! Najprzód zasyłam Ci drogi Apostole w tem mieście świętem szczery pocałunek i posyłam żądaną kolektę t. j. z parafji 15 dol., ode mnie 10 — razem 25 dol. Wydział Wykonawczy, od którego odebrałem zawiadomienie, wyasygnował dla Was 2,000 dol., które to w krótkim czasie będą skolektowane i Wam odesłane, albowiem zasługujecie za Waszą pracę i starania się o dobrą rzecz na wielką pochwałę. Lud nasz

bardzo się cieszy, że naszą sprawę dobrze prowadzicie. Prosimy Boga, aby Wam dał zdrowie i siłę wytrwałości, abyście powrócili z dobrą pocieszającą nowiną t. j. iż będziemy mieli naszych biskupów. Nie pochlebiam Ci, drogi Księże; ja mam jakieś widzenie i proszę Boga o to, abyś Ty, dobra duszo, został naszym Biskupem, a wtenczas byłoby ludziom lepiej na sercu i duszy. U nas wszystko idzie dobrze, trochę za zimno na ten miesiąc, prosimy przysłać nam tu rzymskiego ciepła. Już może wiesz, drogi Księże, że arcybiskup Katzer poszedł ad Patres w ten sam dzień co i Ojciec św. Następcą jego ma być Messmer albo Schwebach..."

Jakoż dnia 10 grudnia 1903 ks. Messmer został arcybiskupem w Milwaukee. Z tego powodu ks. Piotr Pitass, bratanek ks. Jana Pitassa, dziekana, pisał mi z Buffalo, N. Y., 8-go grudnia 1903:

„Myślano, że na stolicy biskupiej w Milwaukee zasiądzie Polak, ale gdzież, znowu Niemiec został przeznaczony na tak zaszczytne stanowisko. Może być, że to za wiele dla Polaków na początku. Czegóż więc Polacy mają się spodziewać? Byłby czas, żeby jakiś Polak został biskupem dla podniesienia narodu polskiego".

Powyższe dwa listy, zwłaszcza owo „widzenie" ks. Zielińskiego, przypominają mi tę wielką prawdę, że ludzie żyją złudzeniami. Albo raczej, że każdy człowiek żyje nadzieją, która często bywa złudzeniem. Stąd pesymiści ukuli takie przysłowie: Błogosławieni, którzy się niczego nie spodziewają, albowiem oni nigdy zawodu nie doznają. Powyższe dwa listy przypominają mi jeden ciekawy fakt, który się zdarzył w Rochester, N. Y., a który dowodzi, że biskupi ajryscy żyją także nadzieją zwodniczą swojego rodzaju. Było to około roku 1890, kiedy Polacy w Rochester na początek wybudowali sobie skromny drewniany kościołek. Miejscowy biskup Mc Quaid poświęcił ten kościołek, poczem okolicznościowe kazanie polskie wygłosił dzielny Polus ks. Jan Pitass z Buffalo. Biskup Mc Quaid przemawiał po angielsku do Polaków, ale słusznie się obawiał, iż nie wszyscy Polacy go zrozumieją, więc poprosił ks. Pitassa, jako tłumacza przemowy biskupiej, który wywiązał się z swego zadania po mistrzowsku. Biskupa przemowę, zdanie po zdaniu tłumaczył Polakom jak najwierniej; a pomiędzy innymi przetłumaczył im wiernie i dosłownie następujące zdanie biskupa:

— This your church is only a temporary Polish Church, sey for the next twenty years. For I hope, that in twenty years you and your children will use the language of this country in your church and become a part of English speaking Congregations.

Kiedy przyszło do tłumaczenia tego zdania biskupiego, zakipiała krew polska w żyłach ks. Pitassa. Wiernie i dosłownie tłumacząc zdanie biskupa, tak powiedział:

— Biskup wam mówi, że ten wasz kościół jest tylko tymczasowym polskim kościołem, może na jakie dwadzieścia lat. Biskup ma nadzieję, że za dwadzieścia lat wy i wasze dzieci używać będziecie języka angielskiego w waszym kościele i wejdziecie w skład parafji po angielsku mówiących. To wam biskup jako ajrysz mówi. A ja jako Polak wam powiadam: Uczcie dzieci wasze po polsku, postawcie dla nich szkołę polską! Bo jeśli za dwadzieścia lat z waszej winy wasze dzieci zapomną języka polskiego, to was wszystkich djabli wezmą, a nie tylko ajrysze!...

Takim komentarzem zakończył ks. Pitass tłumaczenie przemowy biskupiej. Od tego czasu ks. Pitass miał wstęp wzbroniony do diecezji Rochester. Biskup Mc Quaid żył jeszcze akurat prawie dwadzieścia lat, jak gdyby chciał się przekonać, czy ziści się jego nadzieja zangielszczenia polskiej parafji w Rochester. Niedoczekanie jego! Żył nadzieją złudną. Polacy w Rochester po piętnastu latach na miejsce drewnianego wystawili wspaniały kościół murowany za sto tysięcy dolarów; wystawili i szkołę, w której blisko tysiąc dzieci uczy się po polsku. Biskup Mc Quaid, to nie pierwszy i nie ostatni biskup, co umarł, nie doczekawszy się zangielszczenia polskich kościołów w Ameryce. Tak to „ludzie żyją złudzeniami!“

Jacy ci ajrysze są niekonsekwentni, ba, wprost zaślepieni! Anglików nienawidzą a jednak są anglomaniakami, chcącymi tu wszystkie narodowości przerobić na kopyto angielskie. Z Ameryki chcą zrobić drugą Anglję. A przecie nawet w Anglji Walijczycy w swoich kościołach posługują się walijskim językiem, a Szkoci szkockim. Tak to zaślepia ajryszów żądza panowania, ta nieszczęsna żądza rządów biskupich nad wszystkimi narodowościami w Ameryce! Niebaczni, tą żądzą zaślepieni, grób kopią sami sobie i swojej ojczyźnie. Ajryskie hasło „Sinn Fein“ znaczy „My sami sobie“ grób kopiemy. Ajrysze, zamiast osłabiać, wzmacniają Anglję i jej światowładne zapędy. Język bowiem jest główną spójnią narodową i — polityczną. Język świadczy o przynależności narodowej, jeśli jest wyłączny. Niegdyś ludność polska, jak historja świadczy, sięgała po Odrę, a nawet po Elbę. Dziś do Niemiec należy wyłącznie ta ludność, która mówi wyłącznie po niemiecku. Zachowała się dla Polski tylko ta ludność, która, choć przyswoiła sobie język niemiecki, o polskim jednak nie zapomniała. Gdyby Polacy, Czesi i inni

w Ameryce przestali używać swojego języka i mówili wyłącznie tylko angielskim językiem, toby Anglicy mogli słusznie uważać ich za swoich, a całą Amerykę za swój kraj, za prowincję angielską. Do czegóż więc dążą zaślepieni ajrysze, jeśli nie do zasilenia narodu angielskiego?

Z Polski pisał mi ks. Stanisław Gruchalski, profesor Seminarjum z Włocławka, jeszcze 9 grudnia 1903:

„Wielce Szanowny Księże Proboszczu Dobr.!

Dla dobra Kościoła potrzebne nam fotografje Czcigodnego Ks. Proboszcza, oraz p. Mahany'ego, gdyż wyjdzie broszurka, omawiająca stan Kościoła w Ameryce, która będzie środkiem informacyjnym dla naszych księży proboszczów i wychodźców. Napisze ją ks. Ignacy Charszewski, znany z dzielności swej publicysta. Raczcie tedy, Czcigodny Księże Proboszczu, przysłać nam swoją fotografję **niezwłocznie.** Adres: Ks. Ignacy Charszewski w Żurominie, Gub. Płocka — Kr. Polskie. Broszurka powyższa będzie rozsypana po całej naszej ziemi, dostanie się do Rzymu w odpowiednie ręce i zapłynie aż do was, aby i tam swoje robiła".

Gdy powyższej prośbie nie uczyniłem zadość z tej prostej przyczyny, że nie miałem swojej fotografji, tenże ks. St. Gruchalski po raz drugi pisał do mnie z Włocławka 20 stycznia 1904:

„Wielce Szanowny Księże Proboszczu!

Po dwóch miesiącach blisko piszę po raz wtóry, prosząc usilnie w imieniu dobra Kościoła, abyście raczyli przysłać nam fotografję swoją własną i p. Mahany'ego. Jeśli się nie będzie pisało tu o Was za oceanem, jeśli tak będziecie u nas, jakobyście nie byli, sprawa przez Was podniesiona tak się obsunie gładko i bez śladu, jako woda po kaczce. Przysyłajcie na miły Bóg — odwrotną pocztą! Przesyłajcie do mnie dla prędszej manipulacji.

Taki sam list wysyłam do Rzymu, gdyż słyszałem od X. Górzyńskiego, że tam dla dobra sprawy sporo czasu zamierzyliście spędzić.

Ślę najserdeczniejszy uścisk dłoni, oraz życzenia, abyście w prowadzeniu rzeczy, rozpoczętej na tak wielką skalę i z tak wielkim nakładem, nie ustawali.

Ks. Stanisław Gruchalski,
profesor Seminarjum."

Znowu z Haliny Wielkiej, poczta Miechów, gubernja kielecka, dnia 10 lutego 1904 r. pisał mi ks. P. Cień:

„Czcigodny i Przezacny Księże Proboszczu! Imię Czcigodnego Ks. Proboszcza, przez podjęcie w Rzymie sprawy obchodzącej cały św. Kościół a w szczególności biedny naród polski, stało się dziś tak popularnem, że postanowiłem do Niego, jako do kapłana wielkiego serca zwrócić się z najpokorniejszą prośbą. W parafji Halina Wielka... podjąłem budowę nowego kościoła... Ośmielam się Przezacnego Ks. Proboszcza prosić o zrobienie na tutejszy kościół kwesty. Czy mógłbym przysłać z parę setek obrazków Matki Boskiej, rodzaj cegiełek...“

47. Wręczenie świecy Ojcu św. w dzień Matki Boskiej Gromnicznej. — Naczelnik powiatu ostrzył zęby na mnie.

Troskliwy sekretarz Wydziału Narodowego w każdym niemal liście dawał mi dowody swojej wielkiej o mnie pieczołowitości. A gdy nie mógł mi nic nadesłać, podał zaraz przyczynę, dlaczego nie mógł. Jako jedną z takich przyczyn w liście z Chicago 11-go stycznia 1904 podał następującą:

„Wiel. Księże Delegacie: Ja z mojej strony robię wszystko, co mogę, aby jak najwięcej centów zebrać dla Ks. Dobrodzieja. Nie idzie mi zbyt sporo właśnie dlatego, że gazety zaczęły pisać o Ks. Dobr. jako o kandydacie na pierwszego polskiego biskupa...“

Oj, te gazety! Prawdziwie niedźwiedzią przysługę wyrządzają czasem biednemu człowiekowi.

Pan Kawaler Profesor G. Trentanove, rzeźbiarz z Florencji 27 stycznia 1904 r. donosi mi, że pomnik Kościuszki (dla Milwaukee, Wis.) już gotowy: „The cast of the work has been very saccesful, and the statue and horse is very beautiful. I would be immenseley pleased if you could come to see it and my wife, and I, we invite you to come to visit us“.

Nadszedł dzień 2 lutego, dzień Matki Boskiej Gromnicznej, kiedy to w Rzymie wręczają papieżowi świece. I mój człowiek, w imieniu Polonji amerykańskiej wręczył papieżowi ogromną świecę w myśl tej zasady: Si Romea fueris, Romano vivito more, to znaczy, w Rzymie żyj po rzymsku! O tej ceremonji jeden z korespondentów rzymskich tak napisał do gazet:

Rzym, 3 lutego. — Wczoraj t. j. 2-go lutego przypadło święto Matki Boskiej Gromnicznej. Panuje tutaj stary zwyczaj, że w tę

uroczystość różne korporacje kościelne Wiecznego Miasta zwykły podarowywać Ojcu św. wspaniałą świecę woskową, ozdobną w malowidła albo przynajmniej w dwa herby: Ojca św. i odnośnej korporacji. Około bramy bronzowej przy wejściu do pałacu watykańskiego gromadzą się około 10 godziny ciekawi widzowie, aby oglądać te różne świece, bo właśnie wtenczas zaczynają tutaj zajeżdżać powozy, z których wysiadają wydelegowane osoby, wiozące takowe do Ojca św. I jest się tutaj czemu przypatrzeć, bo zobaczysz bardzo piękne okazy świec niekiedy ogromnej wielkości. Liczba ich zaś wcale jest pokaźna, bo zapewne dochodzi do 200, trzeba bowiem wiedzieć, że ofiarują takie świece: każdy zakon, każde zgromadzenie męskie, każda kapituła, każde kolegjum, a tych wszystkich razem jest najmniej ze dwieście. Od zakonów niesie ją zwykle prokurator z jakimś socjuszem, od kolegjum rektor z jednym alumnem.

Otóż ks. Kruszka, który żadnej sposobności nie chce opuścić, aby przypominać tutaj swoją sprawę, postanowił wyzyskać tę sposobność i także ofiarował Ojcu św. taką świecę, jako dar od Polonji amerykańskiej. Zamiar ten świetnie się udał i opowiedziawszy się u Mgra Maestro di Camera, postarał się ks. Kruszka o wspaniałą świecę, którą kazał ozdobić malowidłami stosownemi. Po całej świecy były porobione piękne winietki zielone, urozmaicone kwiatuszkami różnego koloru i różami. Wśród tych winietek i kwiatków były pięknie wymalowane trzy herby, a mianowicie: na wierzchu herb Ojca św., w środku sztandar gwiaździsty Stanów Zjednoczonych, następnie zaś herb polski, to jest w środku obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, obok na czerwonem polu orzeł biały z jednej, pogoń litewska z drugiej strony, a na dole św. Michał Arch. Rusi. Nad herbem była korona, a pod herbem, jak gdyby na wstążeczce napis: „A Polonis Americae Septentr.“ Świeca ks. Kruszki była jedną z największych, jakie przyniesiono dla Ojca św. Miała bowiem około 5½ stóp długości, 5 cali w średnicy, a ważyła zapewne około 15 funtów, co odczuł najbardziej socjusz ks. Kruszki, który po licznych schodach watykańskich niósł takową. (Trzeba bowiem wiedzieć, że zwykle dwóch idzie wtenczas ze świecą, którą niesie socjusz.) Że zaś był w niej wosk najlepszy (1 klasy) nie potrzeba tutaj chyba wspominać. Około 9-ej godziny wyruszył Wiel. ks. Kruszka razem z O. Marszałkiewiczem, prokuratorem OO. Zmartwychwstańców w powozie do Watykanu. Tam się zbierali w jednej sali ofarodawcy, bo dopiero o 11 godzinie miało nastąpić

wręczanie świec Ojcu św. Przybyło także dosyć widzów cudzoziemców, którzy przyglądać się mieli tym ceremonjom. Przyjęcie miało być w sali konsystorjalnej. — W głębi był postawiony tron papieski, około którego było kilkunastu dygnitarzy pałacowych. Widzowie byli ustawieni w przegrodach po obu stronach sali. Ojciec św. wnet przybył, usiadł na tronie i teraz nastąpiło wręczenie świec. — Przystąpiono do tronu po dwóch t. j. ofiarodawca i socjusz niosący świecę. Monsignor pewien obok, przedstawia ofiarodawcę Ojcu św., któremu się całuje rękę i stopę na znak homagium. Wiel. ks. Kruszka przystąpił do tronu pośród innych jakichś rektorów kolegjów, i został przedstawiony przez Monsignora, któremu był wręczył swój bilet. Ks. Kruszka, wręczając Ojcu św. świecę, mówił te słowa:

— Beatissime Pater, memento Polonorum in America! (Ojcze święty, pamiętaj o Polakach w Ameryce.)

Ojciec św. z dobrotliwym uśmiechem na twarzy przyjął dar, a dowiedziawszy się, że to jest od Polaków w Ameryce, mówił: bene, bene!

Ks. Kruszka jest zadowolony, iż osięgnął swój cel, bo rozchodziło mu się o to, aby dać znać o sobie, iż jeszcze w Rzymie bawi i czeka na rozstrzygnięcie sprawy, a przy tej okazji udało mu się to dobrze. Trzeba bowiem wiedzieć, że tutaj nie można się tak im narzucać z niecierpliwością, lecz spokojnie, a cierpliwie czekać. Ks. Kruszka jest tego zdania, że tylko w ten sposób można coś wskórać. Pokłada on także nadzieję znowu w kardynale Svampa, którego odwiedził wracając do Rzymu z Poznańskiego. Mianowicie przyrzekł mu kardynał ten, że będzie tu w Rzymie w uroczystość św. Józefa, kiedy to są imieniny Ojca św. i wtenczas poruszy tę sprawę znowu.

Ten kardynał wogóle widocznie bardzo jest przejęty tą rzeczą. W powyższy więc sposób dostała się świeca od Polonji amerykańskiej do Watykanu i przyznać trzeba, iż była jedną z największych, to też gdy ją niesiono, to wszyscy na nią zwracali uwagę.

N.

Znany nam już ks. Władysław Górzyński, dziekan ze Zduńskiej Woli, gubernji kaliskiej, o którym już wyżej wspominałem, że z Rzymu przed Bożem Narodzeniem powrócił był do Polski, zaprosił mnie do siebie, wiedząc, że na święta wyjadę do Poznańskiego. Do Zduńskiej Woli z Poznańskiego nie tak daleko, gdyby nie ten „kordon“ czyli szereg posterunków wojskowych na granicy rosyjskiej. Udało mi się raz bezpiecznie przejechać Królestwo Polskie,

ale drugi raz pewnie by mi się nie udało. Ks. Górzyński oczekiwał mego przybycia, ale z pewnym lękiem i strachem, jak to wynika z jego listu do ks. Czorby, rektora Kolegjum polskiego w Rzymie dnia 4 lutego 1904:

„Do tej amerykańskiej Gruszeczki — pisał o mnie ks. Górzyński — chciałem pisać także, ale nic nie wiem czy ona w Waszej rzymskiej oranżerji siedzi jeszcze, czy też na ripoński grunt już wróciła. Jeżeli to ostatnie się już stało, jakiż tedy skutek jego zabiegów i starań. —

„Jeśli zaś ów Yankee niby moskit amerykański gryzie jeszcze purpury kardynalskie, tedy powiedzcież mu, proszę, że wyczekiwałem go z niecierpliwością na święta Bożego Narodzenia, jak mi to był obiecał. — Z niecierpliwością również i naczelnik powiatu z Włocławka go wyczekiwał, który obiecywał sobie odstawić go na koszt skarbu do Ripon z rocznym pobytem na Kamczatce przez Mandżurję. Biedak, ledwie się wylizał po chorobie, w którą zapadł ze zmartwienia, że mu się nie udało w skórkę amerykańskiej Gruszeczki ząbków zapuścić".

48. Ksiądz ajryski posłany do polskiej szkoły w Krakowie. — O biskupa w Green Bay. — Propaganda długo namyślała się, czy wydać wyrok czy nie.

Żeby Polak nie został biskupem, wysłano ajryskich księży do Polski dla nauki języka polskiego. Tacy spolszczeni ajrysze mieli potem uczyć nasz lud śpiewać „Dzizus Krajst, Panie młody". Pisze mi z Krakowa, 3 lutego 1904 r., ks. Wiktor Wiecki, redaktor „Przeglądu Powszechnego", co następuje:

„Drogi Księże Wacławie! Rozumiem i pojmuję to dobrze, żeś ze mnie nie bardzo zadowolony. W mem milczeniu było trochę lenistwa, ale była też i inna przyczyna. Nasz „Przegląd" dostał teraz debit pocztowy do Rosji, gdzie zacznie wychodzić pod tytułem „Przegląd Uniwersalny"; praca więc podwoiła się, gdyż dużo trzeba robić zmian; na spoczynek udaję się z tego powodu często po dwunastej w nocy. Sprawa, o której ci wspominałem, zainteresowała mnie trochę, ale nie uważałem jej za zbyt ważną. Przyjechał tu do Krakowa jakiś ksiądz angielski z Ameryki, który przez dłuższy czas pełnił jakieś funkcje w Rzymie, a przyjechał po to, aby się nauczyć języka polskiego; mówiono ogólnie, że on to ma zostać biskupem dla Polaków w Ameryce. Był nawet na Wesołej (u OO.

Jezuitów) kiedyś na obiedzie... Ale jakżeż wasza sprawa właściwie stoi, czego się można spodziewać? Gazety nasze milczą, przed kilku tylko dniami ogłosiły telegramy, że niezadługo Polak będzie mianowany biskupem w Ameryce".

Te pogłoski o polskim biskupie w Ameryce, o jakich redaktor „Przeglądu" krakowskiego powyżej wspomina, są echem głośnych starań o biskupa polskiego dla Green Bay, Wis., w tym czasie. Zgodnie z życzeniami księży polskich, biskup Messmer z Green Bay awansował na arcybiskupa w Milwaukee. Księża polscy łudzili się nadzieją, że w ten sposób przez poparcie arcybiskupa Messmera dostaną biskupa polskiego w Green Bay. Niestety, arcybiskup Messmer popierał Monsignora Foxa, swój swego, a nie żadnego polskiego kandydata. Do Rzymu przyjechało dwóch księży z Green Bay, ks. Fitzmaurice i ks. O'Brein, o ile pamiętam. Spotkałem ich przypadkiem w tramwaju w Rzymie. O tych polskich staraniach pisał mi ksiądz Stanisław Nawrocki z Chicago, ks. K. Sztuczko i inni. A ks. Jan Szukalski z Milwaukee 16 lutego 1904 donosił mi tak:

„Kochany Wacku! Abp. Messmer zjechał do Milwaukee 10 lutego. Rozumie się biegał do eskorty kto mógł, ne per refectum peccet. Od dłuższego czasu arcybiskup zachowywał politykę roztropnego ślimaka, do tego stopnia, że nawet Niemcy z Green Bay posądzają go o brak sympatji i dlatego sporządzili odezwę i petycję mającą się wysłać na ręce jakiegoś kardynała z poparciem kandydatury Foxa. Okazy tych dokumentów, jako też naszych odezw, pewnie już Nawrocki ci przysłał. Na petycji Foxowej widziałem podpisy takich Niemców, którzy stanowczo należą do jego opozycji. Powiedziałby amerykański politykier: „They have been whipped into line". Foxowi można śmiało zarzucić brak zdrowia, gdyż całymi tygodniami tłucze się po szpitalach, nadto i dla braku języka polskiego nie nadaje się do Green Bay. Z dokumentów naszych, które ci Nawrocki przysłał, możesz sobie urobić zdanie o naszej robocie. Te dokumenty są: odezwa księży z Green Bay do konsultorów i biskupów, prośba Zarządu Stowarzyszenia Księży do konsultorów posłana wraz z odpowiedniemi objaśnieniami do biskupów i Falconiego. Odpisy tego wszystkiego wysłaliśmy do Ciebie. Od Falconiego mamy przychylną odpowiedź. Pogłoska o chorobie Pacholskiego jest karygodnem kłamstwem; koniecznie musisz dowiedzieć się dokumentnie i nam donieść, kto zdobył się na to łajdactwo.

„Ks. Skulik chwali się tu infułą — toć to kpiny z Kościoła! Jeżeli jego tym infułatem zrobili, to dostojeństwa kościelne na pośmiewisko wystawiają, a o sobie dają rażące świadectwo ubóstwa umysłowego, a może i moralnego.

„Czy Polak jest na liście kandydatów na Green Bay, nie wiemy. Prawdopodobnie nie istnieje tu przekonanie, że obie listy są tak ułożone, aby „per ineptitudinem aliorum candidatorum" zaakcentować i podnieść kandydaturę Foxa.

„Biskupa polskiego musimy mieć, inaczej podupadnie znaczenie polskiego duchowieństwa pomiędzy polskim ludem i Kościół poniesie dotkliwe straty.

„Preuss w swoim „Review" pisze, że Kopernik prawdopodobnie nie był Polakiem a w Bolonji zapisał się jako Niemiec. Jeżeli możebne, postaraj się o źródłowe objaśnienie sprawy.

„Dla Twojej informacji donoszę Ci, że od kilku miesięcy krąży tu pogłoska uporczywie — Góral z wielkiem namaszczeniem ją głosi — że Faterek ma w ręku informacje, którymi każdej chwili potrafi Ciebie zmiażdżyć. Jedynie znana wspaniałomyślność Faterka (risum teneatis) stoi na przeszkodzie. Wyobraź sobie Wacku — wspaniałomyślność i Faterek! Jestem przekonany, że on i jego zauszniki, jako to Góral i Góra etc., na ciebie gadają najgorsze rzeczy.

Twój życzliwy

Szukalski".

Powyższe starania nie mogły być uwzględnione, bo biskupstwo polskie w Ameryce nie było jeszcze w zasadzie rozstrzygnięte. To jest, Rzym jeszcze wogóle się nie zdecydował, czy ma być biskup polski w Ameryce. Mnie o rozstrzygnięcie tej kwestji w zasadzie bardziej chodziło, aniżeli o popieranie tego lub owego kandydata na tę lub ową stolicę biskupią. Po rozstrzygnięciu kwestji zasadniczej dopiero można przystąpić do poszczególnych wypadków. Na rozstrzygnięcie tej kwestji zasadniczej czekam w Rzymie już dziewiąty miesiąc. Nic w tem dziwnego. Żeby tę kwestję rozstrzygnąć sprawiedliwie, Rzym musi wysłuchać obydwie strony: a więc nietylko nas Polaków ale i drugą stronę, to jest, obecny episkopat amerykański. Zasadą bowiem sprawiedliwości jest: Audiatur et altera pars — wysłuchać i drugiej strony, co ona ma do powiedzenia. Audiatur — a nie koniecznie — obediatur! Otóż Propaganda, pod której bezpośrednią juryzdykcją znajdowały się wówczas Stany Zjednoczone jako kraj misyjny, była w pierwszym rzę-

dzie powołana do wydania wyroku w tej naszej kwestji zasadniczej. Ale Propaganda, wysłuchawszy drugiej strony — a te przesłuchy trwały aż do lutego roku 1904 — przyszła teraz w lutym do tego przekonania, że obecni biskupi amerykańscy, z wyjątkiem tylko jednego lub drugiego, są przeciw ustanowieniu biskupów polskich w Ameryce. Nawet arcybiskup Messmer, o którym księża polscy donosili mi do Rzymu, że bardzo sprzyja naszej sprawie, i dlatego forytowali go na arcybiskupstwo Milwaukee, zachował złowrogie milczenie i nie odpowiedział na żaden list, choć registrowany.

Propaganda tedy, widząc tak stanowczy opór episkopatu amerykańskiego, zaczęła tem bardziej i tem głębiej zastanawiać się nad naszą sprawą. I wcale jej nie spieszno było z wydaniem wyroku. Owszem, wolałaby tę sprawę pozostawić w zawieszeniu. Ale ja 25 lutego 1904 dałem do druku drugą prośbę po łacinie i doręczyłem ją kardynałowi w Propagandzie i Watykanie. Odwiedzałem w dalszym ciągu kardynałów Propagandy poraz trzeci i czwarty, poraz piąty, ba niektórych poraz dziesiąty. Tak, że przy wyjeździe z Rzymu wszystkich wizyt, jakie złożyłem samym kardynałom, naliczyłem około 180. Ażeby wiedzieli, że ja w Rzymie będę siedział tak długo, dopóki w sprawie Polonji amerykańskiej nie otrzymam od Stolicy św. stanowczej odpowiedzi, albo przychylnej, albo odmownej. Sprawy w zawieszeniu zostawić nie chciałem, bo nie chciałem się dać powiesić, wracając z niczem do Ameryki.

49. Oszczercy i zdrajcy sprawy narodowej.

Ks. Józef Pieniążkiewicz pisząc z Poznańskiego 22 lutego 1904, pyta mnie:

„Co tam Ojciec św. zrobi z tą ogromną świecą amerykańską, wręczoną Mu w święto Matki Boskiej Gromnicznej? Chyba użyje jej ku oświeceniu umysłów rozmaitych eminencyj i dygnitarzy, a może prędzej przekonają się o konieczności uwzględnienia słusznych żądań amerykańskich Polaków".

Ano, jużci tak a nie inaczej.

Jakób Łukaszewski, kasjer parafji św. Wacława w Ripon, Wis., w styczniu nadesłał mi takie sprawozdanie parafjalne:

„My żadnego Mityngu nie mielim, aż Ks. Proboszcz powróci, bo wszystko dobrze w Parachwi się powodzi. My dochodu mielim w roku 1903 1,306.33 dol., a rozchodu 1,230.56 dol., w kasie pozostaje dol. 75,77, długu wypłacilim panu Field 300.00 dol. z sumy.

Teraz nie mam nic nowego do pisania, bo tu w Ripon nic nowego nie słychać, bo chociaż kto mię na ulicy natrafi z angielskich ludzi, to się pyta, kiedy Rev. W. Kruszka przyjedzie ze Rzymu do Ripon. Tak teraz im odpowiem że w lutym, żeby aby jeno się spełniło. Teraz ja w imieniu wszystkich Parachwian X. Proboszcza mile pozdrawiam i życzymy, aby Pan Bóg przyprowadził Proboszcza szczęśliwie nazad do naszej małej Parachwi, co daj Boże Amen.

Wierny sługa

Jakób Łukaszewski,

kasjer kościoła św. Wacława w Ripon".

A znowu dnia 8 marca 1904 tenże kasjer z Ripon tak pisał: „Mielim dwa pogrzeby w naszym kościele, pierwszy był Łucji Streich, drugi był stary Raszewski. Ks. Cosgrove miał pochowę. Najwięcej do nas dojeżdża X. Stanisław Kostka Lepich z Pułaski, który bardzo wdzięcznie u nas pracuje. Więc teraz my sobie wszyscy życzymy, aby X. Proboszcz do nas jak najprędzej wrócił, bo teraz widzę sam, że bez to podupadamy, że nie mamy stałego księdza, a już się ajrysze cieszą, że ks. Kruszka nie przyjedzie do Ripon. Także i Niemcy się już obawiają, że tu Proboszcz już do Ripon nie przyjedzie".

„Dwa pogrzeby" w Ripon, to nowina nadzwyczajna, bo zwyczajnie pogrzeb bywał raz na rok, inaczej by parafja wymarła.

Ks. L. Redmer z Toledo, O., 27 lutego 1904 powiadamia mię o tem, że „...wkrótce będzie w Rzymie arcybiskup Begin z Quebec, Canada, bardzo przychylny naszej sprawie".

Ks. Stanisław Jastrzębski z Carnegie, Pa., 22 lutego 1904 w długim liście „ma wielką prośbę, a mianowicie bardzo zawikłaną sprawę małżeńską" do przedłożenia Datarji w Rzymie.

Sekretarz Wydziału ks. Sztuczko z Chicago 22 lutego 1904 pisze mi z radością:

„Aż 106 dol. otrzymałem dla Ks. Dobrodzieja od ks. Wojtalewicza i spółki. Cieszy mnie to niezmiernie. Wydatków pono Ks. Dobrodziej miał wiele na początku tego miesiąca — ta gruba świeca musiała kosztować grubo!"

Ks. Wład. Gmerek z Bukownicy w Poznańskiem pisze mi 29 stycznia 1904:

„Mam zamiar udać się na stałe duszpasterstwo do Ameryki. Dlatego udaję się z prośbą do W. X. Proboszcza, ażeby był łaskaw

jak najprędzej mi donieść o stosunkach amerykańskich, a szczególnie w diecezji Milwaukee".

Żeby na wszystkie listy odpowiedzieć, człowiek musiałby mieć dziesięć rąk albo dziesięciu sekretarzom odrazu dyktować odpowiedzi.

Mój brat ksiądz Szymon z Ostrowitego 11 marca 1904 informuje mnie, że „Germania", dziennik katolicki w Berlinie, umieściła artykuł, że Polacy nic tam w Rzymie nie zyskają. Może to prusko-katolickie życzenie!"...

Z Milwaukee, Wis., 1 marca 1904 roku ks. Jan Szukalski donosi:

Kochany Wacku!

Sprawa nasza (obsadzenie biskupstwa w Green Bay) zaczyna jakoś kiepsko wyglądać. Dowiadujemy się, że podobno posypało się mnóstwo oskarżeń (na ręce Messmera) na Pacholskiego. Podobno Messmer powiedział, że wobec tych oskarżeń nie można było myśleć o postawieniu Pacholskiego na listę kandydatów. Czy tak myślał, czy też tylko czepia się taniej wymówki, to on jeden wie. Podobno są dwa oskarżenia z Chicago, a wiele z Pennsylvanji i Wschodu. Nazwisk oszczerców i treści oszczerstw nie można tymczasem się dowiedzieć. Nie mogę nazwać tej nikczemnej podłoty, bo w żadnym mi znanym języku nie ma słowa na taką rzecz. Gadaj tu teraz z takimi zbaraniałymi kpami o jedności, o wspólności pracy dla dobra narodowości!

„Wobec tego łatwo odgadniesz, jaki los spotka projektowaną pielgrzymkę do Rzymu. Prawdopodobnie będą z tego nici...

„Podobno Messmer otrzymał zapytanie, ilu jest Polaków w Green Bayskiej diecezji. Poszła odpowiedź na podstawie rocznego sprawozdania zrobionego **w celu opodatkowania** parafji. Wiadomo, że takie sprawozdanie podaje **możliwie najmniejszą liczbę** dla jasnych przyczyn. Jeżeli Ci przyjdzie o tej sprawie mówić, zwróć uwagę na rzeczy tu podkreślone. W Green Bayskiej diecezji jest najmniej 50,000 Polaków. A to sprawozdanie podaje 3—535 familij, razem 22,977 dusz! Jak Niemcy agitują za Foxem wiesz z dawniejszego listu. Może ci się przyda wiadomość, że Fitzmaurice i O'Brien wyjechali dla poratowania zdrowia. Ratują zaś zdrowie, w Rzymie agitując za Muldoonem na biskupstwo w Green Bay.

„Rozważ sobie to dobrze. Jeżeli nie można nic innego zrobić, możeby wypadało przyłączyć się do stronnictwa Muldoona, pobić Niemca, i tak Muldoona skaptować dla polskiej sprawy w przyszłości.

„Nie zapominaj, że jeżeliby Rainer został biskupem, jako niby mówiący po polsku, to równałoby się wielkiej porażce dla polskiej sprawy — boć taki biskup to ni pies ni wydra. Mamy trudności bez miary od swoich więcej niż się należało spodziewać. Ceterum censeo ubij blagiera Ska.

„Zawsze jest nas kilku, którzy robimy co się da i wcale nie kapitulujemy. Zawsze jeszcze żyjemy nadzieją, że polski biskup będzie. Napisz obszerny referat o dotychczasowym przebiegu sprawy do przeczytania na posiedzeniu administracji Stowarzyszenia Księży.

„Bywaj zdrów i nie daj się zjeść w kaszy.

Twój życzliwy

Szukalski.“

A 15 marca 1904 tenże ks. Szukalski tak pisze:

„Podobno pomiędzy tymi, co na Pacholskiego skargi złożyli u Messmera, znajduje się też jeden z Milwaukee. Sw....! Musisz koniecznie wydobyć nazwiska wszystkich judaszów! Prawdopodobnie pomyliłem się sądząc, że Fritzmaurice i O'Brien wyjechali w interesie Muldoona; zdaje się, że oni tam są w interesie Foxa. Pamiętaj o judaszach. Musisz starać się, aby w przebiegu sprawy **zmusić Messmera do wydania** nazwisk swoich informatorów. Jest ich może siedmiu albo więcej. Przecież takiej roboty nie można łajdakom puścić płazem. Otrzymałem wczoraj Twój nowy dokument do papieża. Idź tą drogą dalej — nie daj o sprawie zapomnąć. Wracam jeszcze do zdrajców, abyś wiedział, jak bardzo nam zależy na ich wykryciu. Podejrzywam z Milwaukee Faterka, Lexa i Górala, albo wspólnie albo osobno“.

Takie nawoływania obijały się o uszy moje w Rzymie. Niestety, mój człowiek roli detektywa odgrywać nie potrafi. Oszczercy z pewnością wielką szkodę sprawie i osobie niejednej wyrządzili i przez to spada na nich ciężka odpowiedzialność wobec Boga i społeczeństwa. Ale pochlebcy byli i są jeszcze gorsi i szkodliwsi od oszczerców. I słusznie powiada biskup Krasiński:

Pochlebca i potwarca za zasługą łażą:
Brzydź się więcej pochlebstwem niżeli potwarzą.
W potwarzy dla dobrego jest zawsze nauka;
Pochlebstwo złych zatwardzi, a dobrych oszuka.

Za każdym zasłużonym człowiekiem łażą ci dwaj: pochlebca i oszczerca, jako nieodstępni towarzysze. Kto z nich gorszy i szkodliwszy? Stanowczo pochlebca! Najgorszy atoli jest zdrajca narodowej sprawy. Właśnie pochlebcy i faworyci biskupi bywali oszczercami księży polskich i zdrajcami sprawy polskiej.

51. Arcybiskup Farley w Rzymie. — „Kurjer Warszawski" ogłasza rozmowę swego reportera z monsignorem o sprawie biskupów polskich w Ameryce.

Na początku Wielkiego Postu przybył do Rzymu arcybiskup Farley z Nowego Yorku. Złożyłem mu wizytę. Przyjął mnie grzecznie, ale chłodno. Sprawa biskupów polskich w Ameryce nic go nie obchodzi. Nie myśli też poruszać jej w Rzymie, chyba że Prefekt Propagandy lub sam Ojciec św. zapyta go w tym względzie. W Ameryce on zna tylko Amerykanów, a jeśli są tam Polacy, to powinni być i nazywać się Amerykanami. Chciałem go się zapytać, czy zna ajryszów w Ameryce, ale ugryzłem się w język. Poco ślepemu mówić o kolorach?

Ale korespondentów rzymskich przybycie arcybiskupa Farley'a zaintrygowało ogromnie. Jego przybycie wiązali z naszą sprawą. Nie mogąc zastać arcybiskupa w rezydencji, wypytywali się rozmaitych monsignorów. Jedną z takich rozmów reportera z monsignorem włoskim mam pod ręką i podaję ten djalog w całej rozciągłości. Mianowicie:

Korespondent z Rzymu pisma warszawskiego „Kurjer Warszawski" umieszcza ciekawy wywiad „W sprawie biskupów polskich w Ameryce". Wywiad ten daje całą masę nowych szczegółów i oświetla całą sprawę. Czytelnik odtworzyć będzie sobie mógł cały obraz olbrzymich trudności i powodów tak długiej zwłoki w usiłowaniach naszej delegacji w Rzymie.

Korespondencja ta brzmi:

Rzym, 14-go marca 1904. Przybył do Rzymu przed tygodniem arcybiskup Nowego Yorku, niedawno mianowany ks. Jan Farley. Arcybiskup, obok innych spraw, przyjechał tutaj z in-

strukcjami od amerykańskich biskupów Stanów Zjednoczonych (irlandzkiego i niemieckiego pochodzenia), w sprawie polskich biskupów dla Ameryki. Miał w tych dniach posłuchanie u Ojca św. Piusa X. Z tego powodu miałem sposobność rozmawiania z jednym z monsignorów włoskich, którzy są obeznani z tą sprawą, tak palącą dla Polaków z za Oceanu, i rozmowę tę tutaj powtarzam, jako dokładnie ilustrującą obecną fazę, w jakiej sprawa się znajduje:

Ja. Proszę monsignora, jakże będzie ze sprawą mianowania biskupów polskich dla Stanów Zjednoczonych, o co Polacy już tyle lat kołaczą?...

Monsignore. Przecież to jest sprawa świeża. Polacy wcale tyle lat nie kołaczą. Podobno za ś. p. kardynała Ledóchowskiego, kiedy był prefektem Propagandy, przyjeżdżało tutaj dwóch delegatów, ale nie mieli ani dat statystycznych co do Polaków, ani sprawy nie popierali należycie... Dopiero przed sześciu miesiącami wzięli się energiczniej do rzeczy, kiedy wysłali ex-członka kongresu waszyngtońskiego, p. Mahany, adwokata z Buffalo i ks. Wacława Kruszkę, i ci przedłożyli t. z. „Supplices preces", t. j. wywód poparty dokumentami żądań Polaków nowemu papieżowi Piusowi X., prosząc o biskupów polskiej narodowości dla katolików polskich.

Ja. No, w ciągu sześciu miesięcy Propaganda mogła coś już zadecydować.

Monsignore. Jest to sprawa bardzo delikatna, drażliwa i najeżona trudnościami. Nie można się z nią spieszyć, ale niech Polacy nie ustawają ze staraniami, a wkońcu uzyskają to, co jest słuszne.

Ja. Dziwi mnie jednak, że w ciągu sześciu miesięcy kardynał prefekt Propagandy, Gotti, żadnej decyzji nie powziął. Przecież czasu na przeprowadzenie korespondencji, czy to z delegatem apostolskim w Waszyngtonie, ks. Falconio, czy to z biskupami było dosyć.

Monsignore. Nie jestem tak dalece wtajemniczony w bieg spraw Propagandy, ale wiem, że biskupi Stanów Zjednoczonych, zarówno irlandzkiego, jak niemieckiego pochodzenia, bardzo silny opór stawiają...

Ja. I ja to już słyszałem. Z pomiędzy siedemdziesięciu kilku biskupów irlandczyków i siedemnastu niemców, tylko ci są życzliwi, którzy Polaków w diecezjach nie mają, albo tak ich mało mają,

że o podziale diecezji nie może być mowy, i którym przeniesienie na inną stolicę nie grozi... Reszta idzie solidarnie, przepowiada podobno rozbicie się Kościoła na kościoły narodowościowe. A cóż na to mówią kardynałowie z Kongregacji Propagandy. Boć oprócz Gotti'ego jest jeszcze jakich dziesięciu innych purpurantów, którzy na sesje przyjeżdżają i głos mają.

Monsignore. Sesje odbywają się w Propagandzie kilka razy na miesiąc, ale te tylko sprawy idą pod obrady, które kardynał prefekt przedłoży. Jeśli tej sprawy nie przedłoży, to jakże mogą radzić i decydować?

Ja. Widzę, że Propaganda boi się tych biskupów amerykańskich, boją się ich separatycznych tendencji, bo już mają tutaj do czynienia z t. zw. amerykanizmem, z postępowym, prącym naprzód katolicyzmem tamtejszym, którego przedstawicielami są ojciec Hecker, protestant nawrócony na katolicyzm, kardynał Gibbons i inni. Zdaje mi się, że tego się obawiają tutaj, aby nie wywołać nieukontentowania i poważnej scysji.

Na to Monsignore mój ostrożnie zamilkł.

Ja. I co to z tego wszystkiego będzie? Widziałem przed dziesięciu dniami ks. Kruszkę, delegata Polaków i pytałem go. Odrzekł mi, że nie stracił nadziei, iż uzyska to, o co Polacy proszą, i że doręczył Ojcu św. przez sekretarza stanu nową prośbę, streszczającą w kilku punktach życzenia Polaków Stanów Zjednoczonych...

Monsignore. Cóż jeszcze mówił?

Ja. Kiedy ks. Kruszka był pierwszy raz na audjencji u Piusa X., wyszedł z niej pełen otuchy. Dobroć, prostota, łaskawość Ojca św. zachwyciły go tak, jak i słowa Papieża: „Chcę coś zrobić dla Polaków Ameryki"... Nawet Papież zanotował sobie na osobnej kartce ową sprawę, aby rozmówić się obszerniej z kardynałem Gottim, który co tydzień ma posłuchanie u Papieża, i aby polecić mu ją.

Monsignore. Tak, bo ta sprawa zależy nie tyle od Papieża, ile od prefekta Propagandy wiary, Stany Zjednoczone są dotychczas w stanie misji, to znaczy, że Propaganda ma władzę nad tamtejszym Kościołem, choć prawdę powiedziawszy...

Ja (widząc, że nie odpowiada). Już wiem, o co chodzi. W tym stanie misji, w jakim są Stany Zjednoczone, biskupi posiadają większą władzę, niż gdzieindziej. Od nich wszystko zależy, oni niemal decydują, a Propaganda tylko potwierdza. Mają

prawo prezenty, a Propaganda może tylko wybrać jednego z trzech kandydatów na biskupa, jakich oni przedstawią.

Monsignore. To mogę powiedzieć, że wielu kardynałów tutejszych jest stanowczo za życzeniami Polaków. Uważają oni tę sprawę za słuszną, świętą, która powinna być rozstrzygnięta na korzyść polskich katolików.

Ja. Ale bo jakże? W Stanach Zjednoczonych zjeżdża do rozmaitych parafij biskup, anglik, dla bierzmowania, wchodzi na ambonę, przemawia po angielsku, mówi pięknie i długo, ale mało kto go rozumie. Tam, gdzie Polacy są w większości, gdzie są skupieni, lud nie uczy się tak dalece angielskiego języka, a potem czuje dobrze, instynktownie, że to nie jego pasterz, lecz człowiek obcy. Tu nie idzie o narodowość, lecz o potrzeby duchowne, o wpływ na masy. Albo np. niemiecki biskup ma pretensję, aby lud polski umiał po niemiecku, aby proboszcze korespondowali z nim po niemiecku — czyż to nie obraża uczuć polskich katolików? Przecież wiedzą, co się dzieje w W. Ks. Poznańskiem!... Tamtejsi biskupi pewno dowodzą, że tu więcej chodzi o narodowość, niż o religię, ale są to zwykłe argumenty, ukute w intencji niezupełnie uczciwej.

Monsignore. Wiem, że tam utworzył się kościół niezależny. Nie można jednakże grozić nim, bo to zrobiłoby najgorsze wrażenie.

Ja. Kiedy o ile wiem, nikt wam nie grozi, ale znowu z drugiej strony wypada ostrzec tutaj. Jestem przekonany, że niezadośćuczynienie życzeniom naszych katolików zrobi najgorsze wrażenie w Stanach Zjednoczonych. W jesieni zbierze się Kongres polski w jednem z miast i sprawa ta będzie przedmiotem obrad. Kto może przewidzieć, jaki będzie ich przebieg? Pewno zerwie się burza, z której skorzystają ci, którzy dzisiaj stoją poza masami przywiązanemi do Stolicy Apostolskiej.

Monsignore. Ja nie wiem, ale Watykan stawi czoło wszelkiej sytuacji. Mogę tylko zachęcać katolików polskich do dalszego wytrwania i do wywalczania słusznych praw.

Ja. Pewno, że słusznych! Jakże? Według spisu ludności, jest katolików polskich w Stanach Zjednoczonych dwa miljony. Stosunkowo powinniby mieć 20 biskupów, a nie mają ani jednego, proszą zaś o dwóch: do Chicago i do Buffalo, t. j. do tych diecezji, gdzie stanowią absolutną większość...

Monsignore. W istocie, jest to niesłychane, aby dotychczas nie mieli biskupa, mówiącego ich własnym językiem!

Ja. Ot, np. teraz utworzył się wakans w Green Bay, gdyż biskupa przeniesiono do innej diecezji. Czyżby to nie była chwila? Wszakże mamy w Stanach godnych, zacnych kapłanów, pewno więcej chrześcijańskiego ducha niż wielu z tych Irlandczyków, czy Niemców...

Monsignore. Jest trudność jeszcze, że jakby katolicy polscy otrzymali biskupów własnej narodowości, to Rusini, Czesi zażądają tego samego.

Ja. A cóżby złego w tem było? Przecież i Rusini i Czesi mogą mieć biskupów, którychby rozumieli. Tylko nie trzeba tego brać jako sprawy narodowości. W Ameryce panuje zupełna swoboda, rząd umywa sobie zupełnie ręce, nie miesza się wcale do spraw religijnych i sprawa narodowości właściwie nie istnieje. Dlatego taki trust biskupów irlandzkich jest zupełnie niezgodny z duchem konstytucji, z warunkami miejscowemi.

Monsignore. Słyszałem, że w końcu kwietnia przyjedzie tutaj sześciu biskupów galicyjskich; oni mogliby jeszcze poprzeć tę sprawę, ze stanowiska duchownego, zarówno u kardynała Gotti'ego, jak i u Piusa X.

Ja. Dobrzeby było, gdyby się tak stało. Może będzie tu jeszcze wtedy ks. Kruszka, bo o ile wiem, nie uzyskawszy decyzji, zamyśla o powrocie do Stanów Zjednoczonych, aby zdać relację...

Monsignore. To jest, decyzji mu tu nie zakomunikowaliby, bo od tego jest delegat apostolski w Waszyngtonie, ale mógłby się ks. Kruszka o niej dowiedzieć prywatnie w Rzymie, w Propagandzie. Gdyby jednak sprawa poszła w dalszą, dłuższą zwłokę, to on właściwie tu nie ma co robić.

Ja. Przyznam się, że się nie spodziewałem, aby prosta, sprawiedliwa sprawa takie napotykała przeszkody. Cała nadzieja w Piusie X., w Jego „Restaurare in Christo", boć On tylko może przełamać ten niegodny opór fałszywych przedstawicieli władzy duchownej w Ameryce. *Rom.*

52. Dwie audjencje u sekretarza stanu kardynała Merry del Val. — Otrzymuję urzędowy list z Watykanu pisany ręką przyszłego papieża Benedykta XV.

Na samym początku Wielkiego Postu, pod koniec lutego 1904, prefekt Propagandy powiedział mi, że decyzja w naszej sprawie

ostatecznie od papieża zależy. Mieliśmy już przecie w tej sprawie audjencję u Piusa X. (dn. 11 września 1903), na której papież oświadczył nam, że chętnie coś uczyni dla Polaków w Ameryce. Udałem się tedy do Watykanu, do sekretarza stanu kardynała Merry del Val. W przedpokojach zastałem już dużo osób, czekających na audjencję, oddałem portjerowi moją kartę wizytową do wręczenia kardynałowi, siadłem i czekałem aż przyjdzie na mnie kolej. Przyglądałem się prześlicznym freskom na ścianach i sklepieniach przedpokoi, tudzież starożytnym zabytkom, pancerzom, szyszakom, między innymi zbroi papieża Juljusza z początku szesnastego stulecia. I już miałem być przypuszczony do sali posłuchania, gdy wtem zjawia się jakiś ambasador i zagradza mi drogę. Bo ambasador ma pierwszeństwo przed innymi. Siedział u kardynała tak długo, że trzygodzinny czas audjencji upłynął i portjer oświadczył, żeby przyjść na drugi dzień.

Na drugi dzień przyszedłem zawczasu, i, będąc między pierwszymi, myślałem, że wnet się dostanę do kardynała. Tymczasem znowu w drogę mi wszedł jakiś biskup. Biskup zawsze ma pierwszeństwo przed innymi; choć ostatni przyjdzie, zawsze pierwszy wejdzie do sali posłuchań. Biskup długą konferencję miał z kardynałem Merry del Val, ale nareszcie wyszedł. Przedemną była jeszcze tylko jedna osoba. Po niej ja. Byłem pewien, że ja. Aliści znowu jakiś arcybiskup rżnie prosto do pokoju kardynała. Musiałem czekać. Ale nadaremnie czekałem, gdyż trzygodzinny czas audjencji tymczasem upłynął, zanim arcybiskup skończył swoją rozmowę z kardynałem. Powiedziano mi, żebym przyszedł na drugi dzień.

Dopiero więc na trzeci dzień nareszcie znalazłem przystęp do sekretarza stanu kardynała Merry del Val. Miałem ja u niego już parę audjencyj, ale to było pół roku temu. Od tego czasu kardynał Merry del Val musiał od kogoś odebrać jakieś wiadomości, kwestjonujące moją misję jako delegata polsko-katolickiego Kongresu w Ameryce. Bo skoro przyszedłem, kardynał kazał mi siadać i tak mię zagadnął:

— Posłuchy mię doszły, że jesteś tu w Rzymie li tylko w prywatnym charakterze, że nie masz żadneyo posłannictwa od Polaków amerykańskich. Czy masz przy sobie jakie papiery uwierzytelniające, że jesteś istotnie posłany przez Polonję amerykańską?

— Nie mam ich przy sobie, Eminencjo. Ale mam je w Kolegjum Polskiem, gdzie stale zamieszkuję na Via Maroniti 22. Nie przyniosłem ich ze sobą, gdyż już raz przedłożyłem je Waszej Eminencji zeszłego sierpnia.

— To już długi czas temu i nie pamiętam dobrze. A wobec tego, że skądinąd otrzymałem informację, jakobyś nie przedstawiał nikogo, tylko siebie: zatem przynieś mi twoje papiery i pokaż mi je zaraz jutro.

Nazajutrz więc szedłem do Watykanu z papierami pod pachą. Przyniosłem i pokazałem papieskiemu sekretarzowi stanu kardynałowi Merry del Val mój autentyczny mandat, opieczętowany i własnoręcznie podpisany przez Wydział Wykonawczy Drugiego Kongresu Polsko-Katolickiego w Ameryce. Kardynał Merry del Val wziął ten po łacinie pisany mandat do ręki, długo pilnie mu się przyglądał, czytając go od góry do dołu, aż nareszcie rzekł do mnie z widocznem zadowoleniem:

— To dobrze. To najzupełniej wystarcza. Poinformowano mnie mylnie. Twoje papiery są w porządku. Ten mandat dokumentnie stwierdza twoje posłannictwo. Ale ta sprawa, w której cię wysłała Polonja amerykańska, w pierwszej instancji należy do Kongregacji Propagandy i tam też powinna być rozstrzygnięta a nie tu w Watykanie.

— Właśnie, Eminencjo, przed kilku dniami prefekt Propagandy powiedział mi, że decyzja w naszej sprawie **ostatecznie** od papieża zależy.

— **Ostatecznie,** to prawda. Ale w pierwszej instancji od Propagandy. Dopiero kiedy Propaganda wyda decyzję nie po waszej myśli, możecie apelować do papieża jako najwyższej instancji.

— Ale, Eminencjo, kiedy prefekt Propagandy dał mi do zrozumienia, że w tej naszej tak bardzo ważnej i doniosłej sprawie nie chciałby wydać żadnej decyzji, ani przychylnej ani odmownej.

— Prefekt Propagandy musi to papieżowi dać do zrozumienia, a nietylko tobie. Otóż ja ci powiem, co zrobię. Odeślę teraz tę waszą sprawę do Propagandy i dam ci o tem formalne piśmienne zawiadomienie. A kiedy Propaganda i wtedy nic nie zrobi, dopiero wtenczas papież zabierze głos w waszej sprawie.

Na tem zakończył się mój wywiad u sekretarza stanu Kardynała Merry del Val. W parę tygodni potem braciszek odźwierny Kolegjum polskiego woła mnie i mówi mi:

— Osobny posłaniec z Watykanu przybył do księdza i chce księdza widzieć.

Przyszedłszy do bramy, zastałem tam młodzieńca, który z Watykanu na bicyklu przyjechał do Kolegjum polskiego na Via Maroniti 22 i doręczył mi następujący list w zalakowanej i opieczętowanej kopercie. Wyczytałem najpierw adres na kopercie:

Illmo Signore

D. Wenceslao Kruszka

Collegio Polaco. Roma.

Via Maroniti 22.

Na odwrotnej stronie koperty (formatu sześć przez cztery i pół cala) jest duża lakowa pieczęć, na której widnieje papieska tjara z kluczami, oraz napis: „Secreteria di Stato". Obejrzawszy w ten sposób kopertę i przekonawszy się naocznie, że to istotnie list z Watykanu przysłany do mnie przez specjalnego posłańca, sięgnąłem do kieszeni i dałem posłańcowi dużą srebrną pięciofrankówkę za fatygę. Młody posłaniec watykański, podziękowawszy i pokłoniwszy mi się grzecznie, siadł na swój bicykl i odjechał. Ja poszedłem do swego pokoju, rozciąłem kopertę i wyjąłem z niej składany na cztery równe części duży arkusz rzymskiego formatu, jedenaście przez ośm cali, o czterech stronicach, na którego pierwszej stronicy w lewym rogu u góry pieczątką wyciśnięte były wyrazy:

„Secreteria di Stato (Sekretarjat Stanu Jego Świątobliwości) di Sua Santita". A ręką wypisane były następujące słowa:

No. 4334.

Reverende Domine!

Redditae sunt Beatissimo Patri litterae superiori mense Februario date nomine coetus catholici Polono-Americani. Cum negotia, de quibus agitur, ad S. Congregationem de Propaganda Fide spectent, Sanctitas Sua eas ad eamdem S. Congregationem remitti iussit.

Haec tibi significans, fausta quaeque adprecor a Domino.

Romae, die XVI. Martii a 1904. Addictissimus R. Dno. Wenceslav Kruszka, Iacobus Della Chiesa Romam. Substitus Secrii Status.

Po polsku to znaczy:

Numer 4334.

Wielebny Księże!

Oddaną została Ojcu św. prośba zeszłego miesiąca lutego przedłożona w imię Kongresu katolickiego polsko-amerykańskiego. Ponieważ sprawa, o którą chodzi, należy do świętej Kongregacji Propagandy Wiary, przeto Jego Świątobliwość do tejże świętej Kongregacji odesłać ją kazała.

Dając Ci znać o tem, wszelką pomyślność wymadlam od Pana.

Najoddańszy Jakób Della Chiesa,
zastępca Sekretarza Stanu.

Rzym, dnia 16 marca r. 1904.

Wiel. Ks. Wacław Kruszka
w Rzymie.

Tak więc to powyższe, numerem 4334 oznaczone, urzędowe zawiadomienie, że papież sprawę naszą odesłał Propagandzie, napisane zostało ręką przyszłego papieża. Bo ów „Jacobus Della Chiesa", ówczesny „Substitutus Secretarii Status", to własnoręczny podpis nie kogo innego, tylko papieża Benedykta XV. Nie jest to prosty traf albo przypadek. Jest to istotne zrządzenie Opatrzności Boskiej, że właśnie ten, który miał zostać następnym papieżem, własnoręcznie podpisał powyższy urzędowy list watykański w sprawie Polonji amerykańskiej. Oby, jak powyżej napisał, dla tej sprawy naprawdę „wszelką pomyślność wymodlił od Pana!"...

Bądź co bądź, ten własnoręczny list Jakóba Della Chiesa, niepokaźnego wówczas księżulka, a potem papieża, chowam do dziś dnia, jako historyczną pamiątkę. Ten list nie zaginął mi nawet podczas pożaru w Ripon (r. 1906), choć wiele innych zginęło.

53. Wywiad u kardynała Svampy. — Mój Rzym leży na stole w Watykanie. — Prośba o prywatną audjencję u papieża. — Mgr. Bisleti.

Tymczasem z Bolonji przyjechał do Rzymu kardynał Svampa na imieniny papieża, Józefa Sarty. Złożyłem mu, wraz z Mgr. Antonuccim, dwie wizyty. Na pierwszej przedstawiłem mu dotychczasowy przebieg naszej sprawy i poprosiłem go, ażeby ją na nowo poruszył i poparł zwłaszcza w Watykanie u Ojca św. Kardy-

nał Svampa uczynił tej prośbie zadość. Rozmawiał z Piusem X o naszej sprawie i przy drugiej wizycie opowiedział mnie i Mgr. Antonucciemu to, co słyszał z ust Ojca św. Mianowicie mówił nam kardynał Svampa:

— Ojciec św., zawsze od samego początku przychylnie usposobiony dla waszej sprawy, zainterepelował był prefekta Propagandy kardynała Gottiego, dlaczego z rozstrzygnięciem tej waszej sprawy tak długo zwleka. Na co kardynał Gotti miał mu odpowiedzieć: Difficultas est ex parte episcoporum americanorum. To znaczy: „Trudność jest ze strony biskupów amerykańskich". To oświadczenie prefekta Propagandy jakby zimną wodą oblało papieża. Lecz ja — tak nam mówił dalej kardynał Svampa — podałem papieżowi argumenta przekonywujące, dla których, pomimo opozycji biskupów amerykańskich, należałoby sprawę załatwić pomyślnie dla Polaków w Ameryce. Gdy mówiłem do papieża, papież wziął ołówek do ręki i notował sobie te argumenta. Widać sprawą waszą się interesuje i wszechstronnie ją rozważa. Dlatego, choć macie wrogów wściekłych i zawziętych, nie upadajcie na duchu, lecz ciągle a gwałtowne szturmy przypuszczajcie do Watykanu. Miejcie niezachwianą ufność w papieżu. Papież wprawdzie opozycją episkopatu amerykańskiego jest przygnębiony, ale wcale nie przestraszony.

Za te słowa zachęty i ponowne poparcie sprawy naszej u papieża serdecznie podziękowałem kardynałowi Svampa i zacząłem się teraz starać o prywatną audjencję u Piusa X., w czem i kardynał Svampa znowu mi dopomagał. W Propagandzie bowiem dano mi niedwuznacznie do zrozumienia, że lepiejby było, gdyby w tej ważnej, lecz delikatnej sprawie naszej, papież sam przemówił i stanowczą dał odpowiedź.

Monsignor Bisleti, dzisiaj kardynał, był wówczas podkomorzym Ojca św. Do tego podkomorzego trzeba mi było się udać o uzyskanie prywatnej audjiencji u papieża. Poszedłem więc z Mgr. Antonuccim do Watykanu, by zobaczyć się z podkomorzym Mgr. Bisletim. W przedpokoju wielkim i przestronnym już spore grono osób czekało przed nami, więc uzbroiwszy się w cierpliwość, zacząłem oglądać najpierw obrazy na ścianach, a potem przeglądałem książki i albumy rozłożone na stole. Opodal leżała książka dużego formatu ze złoconym tytułem na czerwonej oprawie. Patrzę, i oczom własnym nie chcę wierzyć, bo oto złocony tytuł na tej

książeczce brzmi: „Rzym", a autor „X. Wacław Kruszka." Moje zdumienie ogarnęło mego człowieka. Skąd się ten mój „Rzym" tu wziął? publikowany już dziewięć lat temu w Milwaukee, we Wisconsinie? Przecież jeden tylko egzemplarz naówczas posłałem kardynałowi Ledóchowskiemu, a zresztą mnóstwo do Włoch. Skąd więc podkomorzy papieża w Watykanie przyszedł do mego „Rzymu"? Zapytany o to Mgr. Bisleti, odpowiedział mi potem, że oto właśnie po śmierci kardynała Ledóchowskiego dostał się ten mój „Rzym" do Watykanu. Habent sua fata libelli.

Moją prośbę o audjencję papieską podkomorzy Mgr. Bisleti przyjął bardzo przychylnie. Obiecał mi tę moją prośbę przedłożyć Ojcu św., a potem mi dać znać, w którym dniu i o której godzinie Ojciec św. będzie mnie chciał widzieć, jeżeli tak zechce.

Tymczasem dnia 28 marca 1904 r. napisałem po łacinie i w drukarni zwanej „Tipografia Sociale Polizaie Velentini" wydrukować kazałem trzecią Prośbę do papieża. Drugą prośbę drukowaną przeszło miesiąc przedtem, dnia 25 lutego 1904 doręczyłem był Ojcu św. i kardynałom. Ta druga prośba była jasno i wyraźnie sformułowana: 1) o biskupów polskich na opróżnionych stolicach tych diecezyj, w których wielka liczba Polaków się znajduje; a jeśli to niemożliwe, to 2) o polskich wikarjuszów generalnych; i 3) o polskich proboszczów nienaruszalnych z prawem głosowania. Dosłownie ta druga prośba brzmiała tak:

„Petimus, ut Sancta Sedes sacris Antistitibus americanis declarare volit, quam justum, necessarium opportunumque sit: 1. Ut, vacua sede episcopali earum Dioecesium ubi maxima Polono-Americanorum multitudo sit congregata, in candidatorum numerum pro novo Episcopo eligendo referatur quoque Sacerdos aliquis Polono-Americanus; 2. Ut iisdem in Dioecesibus, si minus Episcopi, at Vicarii generales, titulo aliquo decorandi quo maiorem in populo auctoritatem exerceant, non nulli ex Sacerdotibus polono-americanis eligantur (ad mentem Conc. IV. Lateran. can. IX. „pontifex loci catholicum praeselum nationibus illis conformem provida deliberatione constituat sibi vicarium...") 3. Ut Parochi sive Ecclesiarum Rectores polono-americani, ad nutum revocabiles, renuncientur Parochi inamovibiles ad normam Conc. plen. Baltimor. III. — (Tit. III. cap. V.)... nam, cum tantummodo Parochi inamovibiles in Episcopis eligendis ius habeant suffragium ferendi. Parochis polono-america-

nis nunquam licebit in suffragium ire si ad nutum perpetuo permanserint.

Ale i po tej drugiej prośbie Propaganda nie dawała odpowiedzi ani przychylnej ani odmownej, nie chcąc się narazić biskupom amerykańskim, ani Polakom amerykańskim. Owszem, prefekt Propagandy dał mi do zrozumienia, że lepiejby było, gdyby papież sam w tej sprawie naszej stosowną dał odpowiedź.

Wtedy to, poprosiwszy o prywatną audjencję u papieża, kazałem wydrukować jeszcze trzecią Prośbę w formie dużego zeszytu i dnia 28 marca 1904 doręczyłem ją Ojcu św. i kardynałom. Ta trzecia prośba opiewała dosłownie tak:

PIO PP. X P. O. M.

Beatissime Pater!

Valde dolendum nobis est quod ex iis quae, non nostro at Ecclesiae commodo, omnibus precibus et fidentissimo animo nuperrime suplices petivimus, nihil omnino usque adhuc impetravimus.

Eminentissimus enim Card. Praefectus S. Congr. de Prop. Fide, cujus arbitrio tota res a Sanctitate Tua permissa est, quamvis non ignoret quinquaginta milia Polono-Americanorum, ducibus praesertim pseudo-episcopis Polonis, a Vetero-Catholicis, ut aiunt, consecratis, ab Ecclesia Catholica jamdudum defecisse plurimosque alios in summo esse periculo transfugarum partes amplectenti, recusavit quominus quid quam concederet quod ad schisma delendum aut saltem ad perturbatos animos sedantos et reprimendos optime valuisset.

Quis enim dicat quam exitiosum futurum sit, cum, post nostrum reditum, proximo Congressui de nostra misione rationem reddituri, Polono-Americanis laetum nuntium exspectantibus et rogantibus quid Roma concesserit, nihil concessum esse respondebimus?

Profecto, perpensa misserrima rerum conditione, quae nunc est, magnisque motibis in dies ingravescentibus, ii, qui ab Ecclesia defecere, rati Catholicos Polono-Americanos a Santa Sede neglectos esse, in defectionibus sive in schismate confirmabuntur eorumque coryphaei caput audacius extollent; qui vero fracti et dubii nondum aberravere, et ipsi, spe dejecti, aberrabunt.

Quapropter, cum maximum sit periculum in mora, nihil reliqui est, nisi ut ad Te, BEATISSIME PATER, qui omnia sapienter instauras in Cristo, iterum iterumque confugiamus atque hoc Te quam vehementissime oremus et obsecremus, ut nobis a Congresso Po-

lono-Americano rite delegatis, quo nostro munere religiosissime functi simus. Pontificias Litteras, si Tibi videatur, tradere velis quae cum nostram probent apud Congressum missionem, tum declarent Sanitatem Tuam deterrimas defectiones sive schisma detestari; Polono-Americanos nolle orphanos relinquere, quin immo maxima cura et benevolentia Te velle eos semper complecti eorumque causam pro bono et aequo esse compositam.

Non est dubitandum, quin futurum sit, ut per has Tuas augustas Litteras, quae, integra quaestione de Episcopis Polono-Americanis eligendis, ab ipsis sacris Antistitibus americanis nequeant improbari, tot animarum saluti et recuperandae et servandae tempestive tandem aliquando consulatur.

Haec fuerunt nobis non magis pro nostro gravi munere quam pro summa Ecclesiae salute significanda et explicanda.

Ad Sacros Pedes provoluti, Apostolicam imploramus Benedictionem, et quam maximo cultu ac studio nos permanemus

Sanctitatis Tuae

Submississimi filii

A Congresu Catholico-Americano delegati

JOANNES PITTAS, Parochus.

VENCESLAUS KRUSZKA, Parochus.

Romae, die 28 Mense Martio, a. D. 1904.

SUPLEMENTUM.

Testificationibus Praefectorum — („Mayors") urbium, enumeratis in priori Suplici Libello, de numero Polonorum, accedunt Litterae Praefecti Carter H. Harrison de numero Polonorum in urbe Chicago habitantium testificantes:

XI.

City of Chicago.

JOHN F. SMULSKI, City Attorney.

I, Carter H. Harrison, Mayor of the City of Chicago, County of Cook and the State of Illinois, U. S. A. DO HEREBY CERTIFY, that to the best of my knowledge, information and belief, there are now resident in said City of Chicago two hundred and fifty thousand (250,000) inhabitans of Polish nativity or origin.

WITNESS my hand and the seal of said City of Chicago, this Fifteenth (15th) day of July, A. D. 1903.

Carter H. Harrison, Mayor.

Attest: *Fred. C. Bender*, City Cl.

Civitas Chicago
JOANNES F. SMULSKI,
Advocatus Civitatis.

Ego, Carter H. Harrison, Praefectus Civitatis Chicago, in circulo Cook et Statu Illinois, St. Foed. Am., HISCE CERTUM FACIO, quoad optimam meam notitiam, informationem et fidem, residere nunc in dicta Civitate Chicago ducenta quinquaginta millia (250,000) incolarum Polonae nativitas seu originis.

TESTIS mea manus et sigillum dictae Civitatis Chicagiensis, hac decima quinta (15) die Iulii, A. D. 1903.

Carter H. Harrison, Praefectus.
Attestatur: *Fred. C. Bender*,
Civitatis Secretarius.

54. Słyszałem „Sąd ostateczny" w tonach ks. Perosi'ego — a kiedy usłyszę z ust papieża sąd ostateczny o sprawie biskupów polskich dla Ameryki?

Czekając długo i cierpliwie na obiecaną mi audjencję u papieża, w Rzymie dnia 8 kwietnia 1904 miałem to szczęście słyszeć najnowszy utwór muzyczny sławnego genjalnego kompozytora, księdza Lorenzo Perosi'ego. Utwór ten to „Sąd ostateczny" — „il Giudizio Universale". Sąd ostateczny, sąd powszechny przy końcu świata, różni artyści przedstawiali w barwach, jak malarz Michał Anioł na ścianie kaplicy Sykstyńskiej, różni poeci i kaznodzieje przedstawiali grozę Sądu ostatecznego w słowach — ale, zdaje się, pierwszy ksiądz Perosi pokusił się odmalować sąd ostateczny — w tonach! I udało się to genjalnemu mistrzowi tonów. Byłem właśnie obecny na pierwszym jego występie z tym nowym i niezwykłym jego utworem muzycznym, w teatrze Costanzi w Rzymie. Teatr (największy w Rzymie) był szczelnie zapełniony nie tylko świecką publicznością, ale i księżmi i zakonnikami. Na olbrzymiej, amfiteatralnie urządzonej scenie stał chór, złożony z 250 śpiewaczek i śpiewaków, na dole zaś zasiadła orkiestra ze 150 muzykantów — w środku, na podwyższeniu, stał sam ksiądz Perosi, kierujący po mistrzowsku tym olbrzymim chórem i tą orkiestrą razem 400 osobami. Osobami tego wzniosłego i genjalnego poematu muzycznego są właściwie tylko te trzy: Chrystusa przedstawia tenor, Anioła Pokoju sopran i wreszcie Ducha Sprawiedliwości kontralto

cała po tem akcja dzieli się na te trzy chóry: chór anielski, chór błogosławionych i chór potępieńców. Poemat ten muzyczny zaczyna się od „Dies irae“, poczem orkiestra w przedziwnie smutnych tonach przenosi ducha słuchacza na dolinę Józefata, budzi uczucia coraz to bardziej niepokojące, pełne oczekiwania, nareszcie słyszysz wśród przeraźliwych tonów trąbę Archanioła, wzywającą na sąd żywych i umarłych. Tony orkiestry przerażają cię coraz bardziej, to jakby pioruny trzaskające, to znowu jakby grzmoty przeciągłe, zdaje się, że słyszysz jak wieka trumien się otwierają, jak umarli wstają z grobów, jak cały świat w posadach swoich trzeszczy, słupy niebieskie się trzęsą i pęka i wali się sklepienie niebios. Scena pełna zgrozy, a przedstawiona — w tonach orkiestry! Nagle zmieniają się tony, i słyszysz owe prorocze słowa Zbawiciela: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iż przyjdzie godzina, w której wszyscy, którzy w grobach są, usłyszą głos Syna Bożego...“ Poczem słyszysz chór Aniołów, śpiewający ośm błogosławieństw; następnie, jak Chrystus Pan odzywa się do sprawiedliwych: „Pójdźcie do mnie... albowiem łaknąłem i nakarmiliście mnie itd....“ A chór błogosławionych śpiewa: „Panie, kiedyśmy Cię widzieli łaknącego?... A Chrystus: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili...“ Poczem orkiestra w przecudnych tonach wyraża radość i wesele błogosławionych. Prześlicznym jest ów „Hymn Pokoju“, zaczynający się od słów „In te Dolcezza eteram“. Rzekłbyś, to echo muzyki niebieskiej!

Wtem zmienia się scena — uderza cię nagle ton przykry, jak zgrzyt żelaza po szkle. Tony orkiestry, dzikie i zmieszane chaotycznie, stają się coraz to straszniejsze i groźniejsze. Drżysz na całem ciele, gdy wreszcie z ust Chrystusa padają te piorunujące słowa: „Idźcie ode mnie, przeklęci, w ogień wieczny... albowiem łaknąłem, a nie nakarmiliście mnie“... Na to chór potępieńców żałosnym i jakby pełnym wyrzutów rykiem śpiewa: „Panie, kiedyśmy Cię widzieli łaknącego?...“ I znowu Chrystus: „Coście nie uczynili jednemu z tych najmniejszych... idźcie precz: gościem byłem, a nie przyjęliście mnie...“ Słowa Chrystusa stopniowo coraz groźniejsze, nareszcie ostatnie „Idźcie ode mnie, przeklęci“ — jakby gromem spada na potępionych. Następnie orkiestra w czarownych tonach przedstawia wnijście błogosławionych do nieba — poczem z otchłani słyszysz znowu rozpaczliwy głos chóru potępieńców „Nos insensati!“ (o my głupcy!) To „nos insensati!“ po

mistrzowsku oddane. Całość poematu muzycznego „Sąd ostateczny“ kończy się wspaniałym „hymnem sprawiedliwości“.

Poemat ten muzyczny robi wrażenie potężne. Osobne potem przedstawienie dano w Watykanie, wobec papieża i kardynałów. Bądź co bądź oryginalny to, a wzniosły i genjalny utwór muzyczny! Będzie wkrótce przedstawiony także w Warszawie pod osobistą dyrekcją Perosi'ego.

Usłyszałem więc „Sąd ostateczny“ w tonach sławnego kompozytora ks. Perosi'ego. Ale czy i kiedy z ust Namiestnika Chrystusowego usłyszę sąd ostateczny w sprawie biskupów polskich dla Ameryki? I jaki wyrok zapadnie? Wyrok zapewne sprawiedliwy — odpowiadałem sobie w duszy. Rzym nie może wydać niesprawiedliwego wyroku. Atoli jaki ten sprawiedliwy wyrok będzie? Pomyślny czy niepomyślny? Choć pomyślnego wyroku oczekuję, przed sądem ostatecznym nawet sprawiedliwy drży ze strachu.

A może też papież wyroku wcale nie wyda, tylko wypowie takie ogólnikowe zdanie, jak na pierwszej audjencji 11 września 1903 powiedział: Ego libenter aliquid pro vobis faciam — ja chętnie coś dla was uczynię?

A może mi wcale audjencji nie da? Upłynął tydzień jeden, drugi; upływa już trzeci tydzień od czasu, jak mi obiecano audjencję u papieża. A tu nic nie słychać, kiedy i czy wogóle ta audjencja przyjdzie do skutku. Taka niepewność jest wielkiem udręczeniem duszy.

Pewnego dnia, idąc na przechadzkę z prokuratorem generalnym OO. Zmartwychwstańców, księdzem Marszałkiewiczem, skierowaliśmy nasze kroki ku olbrzymiej kolumnadzie, otaczającej wielki plac św. Piotra. A tu wśród kolumn szedł właśnie z Watykanu znany nam podkomorzy papieski Mgr. Bisleti. Przywitaliśmy go i zaczęliśmy z nim rozmowę, w toku której rzuciłem mu to pytanie:

— A kiedy będzie moja audjencja u papieża?

Na to Mgr. Bisleti odpowiedział:

— Pendente causa non possum te admittere ad Suam Sanctitatem. To jest: Dopóki sprawa jest w zawieszeniu, nie mogę cię przypuścić do Jego Świątobliwości. Bo — ciągnął dalej — wprawiłbym papieża w kłopotliwe położenie. Papież bowiem, nie mając jeszcze urobionego zdania o waszej sprawie, nie mógłby ci dać żadnej decydującej odpowiedzi. A przecie Polakom w Ameryce chodzi o jasną i stanowczą decyzję w tej sprawie biskupów pol-

skich, a nie o jakąś mglistą i niepewną odpowiedź. Trzeba więc papieżowi dać czas do namysłu. Dziś znowu zapytam papieża; może już sobie wyrobił zdanie o tej sprawie.

Usłyszawszy takie rozumne wyjaśnienie zwłoki, czułem, jakby mi ciężki kamień spadł ze serca. Doznałem wielkiej ulgi i rzekłem:

— Monsignorze, skoro rzecz tak się ma, to proszę wcale nie nalegać na papieża. Proszę mu zostawić jak najzupełniej swobodny czas do namysłu. — Quod differtur, non aufertur — co się odwlecze, to nie uciecze. Czekałem tak długo, mogę czekać i dłużej. I będę teraz czekał z największym spokojem, skoro już wiem, że papież chce wpierw dobrze się namyślić, zanim da jasną i stanowczą odpowiedź w sprawie biskupów polskich dla Ameryki.

Potem rozeszliśmy się. Mgr. Bisleti był zadowolony z mojej odpowiedzi, a ja z jego jeszcze bardziej byłem zadowolony. A mój towarzysz ksiądz Marszałkiewicz uścisnął mi rękę i rzekł:

— Widzisz ksiądz, kłopotałeś się i mówiłeś, że papież może już całkiem zapomniał o waszej sprawie. I to jest dobry znak.

55. Dnia 15 kwietnia 1904 papież w sprawie biskupów polskich dla Ameryki powiedział mi te pamiętne słowa: Decyzja będzie czemprędzej i to podług waszych życzeń.

Nareszcie, po kilkutygodniowem wyczekiwaniu, Mgr. Bisleti z Watykanu nadesłał mi bilet z oznajmieniem, że papież chce mi dać posłuchanie. Na bilecie białym, obok mojego nazwiska, był naznaczony dzień audjencji 15-go kwietnia 1904 r. i godzina 3 minut 45 po południu w tak zwanej sali tronowej. Odbierając ten bilet, na razie wcale nie zwróciłem uwagi na to, czy ten bilet jest białym, czy czerwonym, żółtym albo zielonym. Dopiero przy wejściu do pokojów papieskich zauważyłem, że inni mają żółte, zielone niebieskie i czerwone bilety i że każdy taki kolor oznacza innego rodzaju ogólną audjencję, a mój biały oznacza prywatną. Na razie nie zwróciłem nawet uwagi na to, że na moim białym bilecie było czarne na białem wypisane, iż moja audjencja ma mieć miejsce w sali tronowej. Spamiętałem sobie tylko, w który dzień i o której godzinie i minucie mam się stawić przed oblicze papieża. Główna moja myśl, swoim ogromem przygniatająca wszystkie inne drobiazgi, była na razie ta: że zbliża się chwila decydująca, w której niebawem z ust Namiestnika Chrystusowego mam usłyszeć sąd ostateczny o sprawie biskupów polskich dla Ameryki.

Nadszedł oznaczony dzień 15 kwietnia 1904 r. i po obiedzie, ubrany jak zwykle w sutannę i fałdzistą togę rzymską, pojechałem do Watykanu w towarzystwie wyżej wspomnianego księdza Marszałkiewicza. U bram Watykanu ks. Marszałkiewicz zatrzymał się, nie mając biletu wstępnego, i życząc mi wszelkiej pomyślności, przyrzekł, że poczeka, aż powrócę od papieża. Przeszedłszy różne sale i korytarze pałacu watykańskiego, zbliżyłem się do drzwi pierwszego przedpokoju, pełnego pielgrzymów oczekujących błogosławieństwa papieskiego. Strzeliła mi myśl do głowy, a nuż mnie tu wepchną w ten tłum pielgrzymów, żeby mi papież dał krzyżyk na drogę do Ameryki i tyle.

— Bilet! — zawołał na mnie jakiś szambelan czy oficer gwardji szwajcarskiej, stojący przy drzwiach pierwszego przedpokoju. Pokazałem mu swój bilet.

— Bianco! to znaczy: biały! — krzyknął i kiwnął na drugiego oficera, stojącego dalej u drzwi następnego przedpokoju. Ten drugi zaraz przybiegł do mnie i poprosił mnie grzecznie, bym szedł z nim. Prowadził mnie przez pierwszy przedpokój, przez drugi i trzeci i czwarty; a wszystkie te ogromne sale przepełnione były ludem rozmaitym. Aż nareszcie wprowadził mnie do sali tronowej, która przytykała tuż do prywatnego pokoju papieża. Tu mi kazał czekać na przyjście Ojca św. Znałem tę salę tronową, bo mi ją pokazał kardynał Rampolla jeszcze kiedy był sekretarzem stanu, jak to opisałem poprzednio. Wiedziałem, że drzwi z tej sali prowadzą wprost do prywatnego biura Ojca św. Czułem się tedy, jakby mi skrzydła do ramion przyrosły, kiedy mnie wpuszczono do tej sali tak blisko tronu papieskiego. Uważałem to za dobrą wróżbę. Atoli jaka będzie odpowiedź papieża w tej sprawie, cały ogół polsko-amerykański obchodzącej, będzie li odmowna czy przychylna? Te pytania ciągle mi w duszy powstawały, kiedym czekał w owej sali tronowej na przybycie papieża. Na wszelki przypadek, gdyby, czego broń Boże, odpowiedź papieska miała być odmowną, przygotowałem już poprzednio długą mowę łacińską, której przekonywujące argumenta teraz sobie w duszy powtarzałem, żeby mi z pamięci nie wypadły. A z głębi duszy szło zawsze to wołanie: Boże, ku wspomożeniu naszemu pospiesz! W Tobiem, Panie, zaufał; nie będę zawstydzon na wieki.

Wtem otworzyły się drzwi biura papieskiego a we drzwiach zjawiła się biała postać Piusa X. Wszedł Ojciec św. do sali tronowej w towarzystwie swego sekretarza i Mgra Bisletiego. Mgr.

Bisleti przedstawił mnie Ojcu św. Uklęknąłem i pocałowałem tak zwany pierścień Rybitwy na serdecznym palcu prawej ręki papieskiej, pierścień zawierający relikwje św. Piotra. Papież odrazu postawił mi takie pytanie:

— Redibis in Americam? — (Czy powrócisz do Ameryki?)

— Redibo, sed quid dicam Polonis in America? Priusquam redibo, veam a Te, Beatissime Pater, audire decisionem in re de Episcopis Polonis pro America. — (Powrócę, lecz cóż powiem Polakom w Ameryce? Wpierw zanim powrócę, chciałbym od Ciebie, Ojcze święty, usłyszeć decyzję w sprawie biskupów polskich dla Ameryki! Dziesięć miesięcy siedzę już w Rzymie, a decyzji jeszcze niema.

Wtedy papież tonem poważnym i uroczystym powiedział mi tak:

— Sed erit quantocius. Hoc dicas Polonis in America: DECISIO ERIT QUANTOCIUS, ET QUIDEM SECUNDUM VESTRA DESIDERIA.

— Ale będzie czemprędzej. To powiedz Polakom w Ameryce: DECYZJA BĘDZIE CZEMPRĘDZEJ I TO PODŁUG WASZYCH ŻYCZEŃ.

Te słowa wyrzekł papież do mnie głosem tak wyraźnym, dobitnym i stanowczym, że mi do dziś dnia jakby w uszach brzmią i nie zapomnę ich aż do grobu i przypomnę je papieżowi na sądzie ostatecznym. A kiedy papież zaczął wymawiać te brzemienne słowa: et quidem secundum vestra desideria — i to podług waszych życzeń — wtedy wskazujący palec prawej ręki swojej podniósł do góry, jak na znak przysięgi i przez cały ten czas, kiedy wymawiał te słowa „i to podług waszych życzeń", ciągle przytakiwał tym swoim palcem wskazującym, największy nacisk na te słowa kładąc i zapewniając, że **podług naszych życzeń** rozstrzygnięta będzie sprawa nasza, i to **czemprędzej.**

Wtedy nawet Mgr. Bisleti szepnął mi do ucha:

— Ecce! quid vis amplius? — Oto! czego chcesz więcej?

Kiedym tak nadspodziewanie pomyślną i przychylną odpowiedź z ust Namiestnika Chrystusowego usłyszał, nie pozostało mi w owej chwili nic innego zrobić, jak chwycić tę przytakującą prawicę Ojca św. i z wdzięcznością całować jego pierścień Rybitwy. Nie wypadało mi wówczas nic innego powiedzieć, jeno te gorące słowa:

— Dziękuję Ci stokrotnie, Ojcze święty!

O całej owej mowie łacińskiej, którą na wypadek odmowy byłem sobie przygotował, teraz całkiem zapomniałem, bo mi już była niepotrzebna. Papież wręcz i bez ogródki, stanowczo i dobitnie oświadczył, że decyzja w sprawie biskupów polskich dla Ameryki nastąpi czemprędzej i to podług naszych życzeń. Po usłyszeniu tych słów papieskich przyszła mi także ta myśl do głowy:

Kto ci w Ameryce będzie chciał wierzyć, że papież ci dał tak pomyślną odpowiedź? Gdyby ci dał odmowną odpowiedź, toby ci każdy uwierzył. Poproś więc papieża, aby ci dał na piśmie to, co ci powiedział, abyś mógł czarne na białem pokazać w Ameryce, że papież istotnie takie słowa ci powiedział.

Lecz od takiej prośby powstrzymała mnie natychmiast ta druga myśl:

Papież mógłby się obrazić, że mu nie dowierzasz; a w dodatku pytanie, czyby ci dał coś na piśmie; a w Ameryce kto nie uwierzy twemu żywemu słowu, ten i martwemu pismu gotów nie uwierzyć, że to pismo papieskie.

Dałem więc spokój prośbie o pismo od papieża.

Roma locuta est, causa finita est — Rzym przemówił, sprawa skończona. Na tem ustnem oświadczeniu Głowy Kościoła i moja misja w Rzymie się skończyła, a skończyła się pomyślnie. Zadaniem mojem, jako delegata, było pukać do wrót Watykanu i uzyskać odpowiedź przychylną w sprawie równouprawnienia kleru polskiego w Ameryce. Dopiąłem tego celu. Papież po długiem ociąganiu się, po długim namyśle, nareszcie stanowczo i niedwuznacznie oświadczył się za naszą sprawą. A słowo papieskie to nie wiatr. Niech niewierni Tomasze mówią: Nie uwierzymy, dopóki nie zobaczymy biskupa polskiego w Ameryce! Ja wierzę i na słowo papieżowi, ja wierzę mocno i niezachwianie, że to słowo papieża „decyzja nastąpi czemprędzej i to podług waszych życzeń" niezadługo ciałem się stanie, że niebawem będziemy w Ameryce mieli prawdziwych biskupów polskich, tak jakeśmy sobie tego życzyli.

56. Wesoły nastrój ducha po audiencji papieskiej. — Uczta i toasty. — Przygotowania do wyjazdu z Rzymu. — Pożegnalne wizyty u kardynałów.

Papież, dawszy mi zadawalającą odpowiedź w sprawie biskupów polskich dla Ameryki, udzielił potem swego błogosławieństwa mnie i krewnym i wszystkim rodakom szczególnie w Ameryce. „Udziel mego błogosławieństwa — mówił do mnie papież — nie

tylko tym, których teraz masz na myśli, ale i wszystkim tym, którzy ci później przyjdą na myśl, że chcieliby mego błogosławieństwa papieskiego.

Następnie papież ze sali tronowej przeszedł do tych innych ogromnych sal, w których, jak wyżej wspomniałem, pełno było rozmaitych przybyszów i pielgrzymów, żądnych widoku i błogosławieństwa papieża. Ja ze sali tronowej musiałem wychodzić za papieżem tą samą drogą, którą przyszedłem, to jest, poprzez wszystkie te przedpokoje, napełnione rozmaitym ludem. Mając serce wezbrane radością, chciałem czemprędzej wyjść z Watykanu, żeby ogłosić urbi et orbi, miastu i światu, tę wesołą nowinę, jaką mi papież oznajmił. A tu teraz powolnym krokiem trzeba mi było iść za papieżem, błogosławiącym niezliczone rzesze ludu. A tu papież szedł przede mną tak powoli, błogosławiąc na prawo i na lewo, przystawając często i rozmawiając to z tym to z owym pielgrzymem. Rwała się wówczas moja dusza do lotu tak bardzo, że radaby była z ciała wylecieć przez okno w dalekie przestworza aż hen poza ocean, by obwieścić rodakom w Ameryce to, co mi papież przed chwilą kazał im powiedzieć, mianowicie, że sprawa ich załatwiona będzie czemprędzej i to podług ich życzeń. A tymczasem papież szedł ciągle powoli naprzód, a ja za Nim również żółwim krokiem postępowałem. Czasami brała mię ochota wyprzedzić papieża i na łeb na szyję po schodach z Watykanu uciekać. Atoli nie wypadało mi wychodzić przed papieżem. Zresztą choćbym chciał, służba papieska, przestrzegająca ściśle ceremonjału watykańskiego, byłaby mię niezawodnie powstrzymała.

Nareszcie papież, przeszedłszy cały szereg pokoi i udzieliwszy wszystkim swego błogosławieństwa, powrócił do swoich apartamentów. Wtedy mój człowiek z ostatniego tłumu pielgrzymów wyleciał jak z procy. Pierwszym rodakiem, z którym podzieliłem się moją radosną nowiną, był ks. Marszałkiewicz, czekający na mnie u wrót Watykanu. Widząc moją twarz rozpromienioną, ks. Marszałkiewicz zawołał:

— A co? czy wesoła nowina?

— O i jeszcze jak wesoła!

— Alleluja!...

— Nie mogąc tu śpiewać, zmówmy dziękczynne Te Deum — Ciebie, Boże, chwalimy!

Potem obstąpili mnie reporterzy gazet zwłaszcza amerykańskich. Tym powiedziałem:

— Bardzo wesołą wieść kazał mi papież ogłosić Polakom w Ameryce. Chciałbym więc na skrzydłach czemprędzej polecieć do Ameryki. Ja tego jednak uczynić nie mogę, ale wy reporterzy to potraficie. Wprawdzie mnie skrzydeł do lotu dać nie możecie, ale możecie przypiąć skrzydła tej wesołej wieści, którą co dopiero z ust papieża usłyszałem w sprawie biskupów polskich dla Ameryki. Z błyskawiczną szybkością iskry telegraficznej donieście Polakom w Ameryce to, co mi papież im powiedzieć kazał.

I już nazajutrz rano i wieczór 16-go kwietnia 1904 na szpaltach gazet angielskich i polskich w Ameryce ukazały się telegramy opatrzone takimi lub tym podobnymi tytułami:

ZWYCIĘSTWO!

Biskup polski w Stanach Zjednoczonych zapewniony.
Misja ks. Wacława Kruszki uwieńczona powodzeniem.

Rzym 15 kwietnia. — Telegram Zjednoczonej prasy:

„Ks. Wacław Kruszka, proboszcz parafji św. Wacława w Ripon, Wis., i delegat polsko-katolickiego Kongresu w Ameryce, został przyjęty dziś na prywatnej audjencji przez papieża. Jego Świątobliwość zapewnił ks. Kruszkę, że nastąpi przychylna decyzja co do pragnienia polskiego ludu i duchowieństwa w Stanach Zjednoczonych zyskania biskupa lub wikarego generalnego ich własnej narodowości.

Ks. Kruszka odpłynie z Neapolu do Stanów Zjednoczonych 22 kwietnia".

Powiedziałem reporterom, że bez zwłoki wyjadę do Ameryki pierwszym zaraz okrętem, jaki odpływa z Neapolu do Nowego Yorku. Moje bowiem posłannictwo w Rzymie już skończone. Poszedłem też niebawem wykupić kartę okrętową. Ale gdym sięgnął do swej kieszeni, przekonałem się, że pieniędzy na kartę okrętową pierwszej klasy zaledwie mi starczy. A jako delegat, jak przyjechałem, tak wracać do Ameryki chciałem koniecznie pierwszą klasą. Natychmiast wysłałem kablogram do sekretarza Wydziału Wykonawczego, ks. Sztuczko w Chicago, z prośbą o trzysta dolarów. Kablogram ten brzmiał:

— Victory! wire three hundred! — (Zwycięstwo! nadeślij kablem trzysta (dolarów).

Ks. Sztuczko nadesłał mi sto. I to dobre.

Wśród kolonji polskiej w Rzymie wieść o pomyślnej odpowiedzi papieża rozeszła się lotem błyskawicy. Wielka tu zapano-

wała radość, która też w całej Polsce wnet echem się odbiła. Dane były obiady w hotelu. Dany był i dla całego Kolegjum polskiego suty obiad, na którym raczyli być obecni arcybiskup Symon i O. Smolikowski, generał Zmartwychwstańców. Na tym obiedzie arcybiskup Symon, wznosząc toast na cześć delegata, długą mowę swoją zakończył wychyleniem kielicha z takiemi dosadnemi słowy:

— Wypijmy zdrowie księdza Kruszki, który **skruszył** nawet samego papieża!

Przed wyjazdem z Rzymu wypadło mi jeszcze pożegnalne wizyty złożyć wszystkim szesnastu kardynałom, w skład świętej Kongregacji Propagandy Wiary wchodzącym. Wypadło zarazem złożyć im hołd za tę ścisłą neutralność, jaką zachowali w sprawie równouprawnienia kleru polskiego w Ameryce, przynajmniej urzędowo, bo osobiście sprzyjali tej sprawie wprost i otwarcie. Na ten triumfalny objazd kardynałów koniecznie mi się napierał i Ojciec Szymon Kobrzyński C. R., żebym go wziął ze sobą. Przedtem, przy moich licznych wizytach kardynałów, stary O. Kobrzyński nigdy nie okazywał tej ochoty towarzyszenia mi do pałaców kardynalskich; ale teraz, kiedy papież dał tak pomyślną odpowiedź, koniecznie chciał ze mną brać udział w odwiedzinach kardynałów. Wziąłem go więc ze sobą i razem objeżdżaliśmy kardynałów jednego po drugim. Kardynałowie wyrażali mi niezmierną swoją radość z powodu tak pomyślnej odpowiedzi papieża. Kardynała Satolliego w pałacu laterańskim nie odrazu można było widzieć; długo trzeba było czekać w przedpokoju, tak długo, że sędziwy O. Kobrzyński zdrzemnął się, zasnął snem sprawiedliwego i zaczął głośno chrapać. To jego głośne chrapanie przyspieszyło naszą audjencję.

Kardynał Steinhuber, w ciągu rozmowy, nagle spojrzawszy na O. Kobrzyńskiego, siedzącego obok mnie, postawił takie pytanie, skierowane pół do mnie, pół do niego:

— A ten Ojciec, zapomniałem jak się nazywa, czy także pochodzi z Ameryki?

— To O. Szymon Kobrzyński ze Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców — odpowiedziałem. On mieszka teraz w Rzymie, ale kiedyś przebywał w Ameryce przez dłuższy czas.

— A w którem miejscu Ojciec w Ameryce pracował?

— W Chicago.

— W Chicago? To Ojciec także dopomagał tam do założenia niezależnego kościoła?!...

— No, no, trudno mi w to uwierzyć.

Kardynał Steinhuber mówił to pół żartobliwie, pół ironicznie. Na szczęście, O. Kobrzyński zdawał się nie rozumieć, co kardynał mówił. Kardynał mówił po niemiecku; a oprócz tego, O. Kobrzyński, mając tępy słuch, nie dosłyszał jego słów. Dlatego wyręczałem O. Kobrzyńskiego w odpowiedziach.

— Co kardynał mówił o mnie? — pytał mnie O. Kobrzyński po audjencji.

— Kardynał pytał się, czy Ojciec dopomagał do założenia niezależnego kościoła w Chicago. Ale on żartował sobie. Kardynał wie, ile Ojciec dobrego zdziałał w Chicago.

— Ja też myślę, że on wie.

57. Mgr. Antonucci pozostał opiekunem naszej sprawy w Rzymie. — Pochlebne świadectwo Dziennika Chicagoskiego. — Bogu cześć i chwała!

Mgr. Antonucci, opiekun naszej sprawy, nie był ze mną na audjencji u Papieża. Nie przypuszczając, że audjencja tak prędko się odbędzie, wyjechał był z Rzymu w sprawach diecezji Oxtium, której był wikarjuszem generalnym. Dowiedziawszy się o mojej audjencji u Papieża zaraz na drugi dzień 16. kwietnia 1904. napisał mi następujący list:

Reverendissime Domine P. Venceslae Kruszka!
Mi Carissime Amice!

Habe, quaeso, me excusatum quod mea profectione ad Dioecesim propter grave negotium, impediebar quominus Te comitarer ad privatam Audientiam heri vesperi admittentem. Maximo cum gaudio audivi Pium PP. X. Tibi haec de re Polono-Americana dixisse: — **„Decisio erit quantocius, quidem secundum vestra desideria"**; tum, ad singularis benevolentiae pignus erga Polono-americanos confirmandum, Apostolicam Benedictionem amplissimo Congressui Polono-americano impertitum esse et per Te ad Eum misisse.

Gaudeamus igitur in Domino, gratiasque Deo Optimo Maximo agamus.

Salutem Tibi dico quamplurimam cunctoque Congressui, ac peramanter me profiteor

Tum addictissimum Amicum

Josephum Antonucci.

Po moim wyjeździe z Rzymu Mgr. Antonucci pozostał nadal opiekunem sprawy naszej, niestety bezpłatnym. Wprawdzie przez powyższe orzeczenie Papieża sprawa biskupów polskich dla Ameryki była w zasadzie wygrana. Ale sprawa w **zasadzie** wygrana to jak młode drzewko, które dobrze **zasadzone**, już się ładnie przyjęło i rośnie. Takie jednak młode drzewko, żeby urosło i przyniosło owoce, potrzebuje dalszej ciągłej i starannej opieki ogrodnika. Podobnie i sprawa nasza potrzebowała opiekuna w Rzymie. Mgr. Antonucci opiekował się też nią o ile mógł bez wynagrodzenia. Prosiłem go o to usilnie, kiedy go żegnałem, **wyjeżdżając z Rzymu.**

Zanim opuściłem Rzym, wziąłem jeszcze pióro do ręki i przelałem na papier uczucia nurtujące podówczas w głębi wzruszonej mojej duszy. List ten, pisany kilka dni przed moim wyjazdem z Rzymu, wysłałem pocztą do Ameryki, gdzie jeszcze przed moim przyjazdem ukazał się w gazetach pod tytułem „Bogu cześć i chwała!"

Rzym, 17 kwietnia 1904.

BOGU CZEŚĆ I CHWAŁA!

...Otóż misja moja spełniona. Powracam nietylko z tem błogiem uczuciem że spełniłem obowiązek, jaki Kongres na mnie włożył, ale nadto z tem niewysłowionem uczuciem szczęścia, że trudy, starania i zabiegi nasze pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem. Bogu w Trójcy św. Jedynemu cześć i chwała **za to!**

Dzień 15 kwietnia, to dzień triumfu i zwycięstwa dla sprawy Polonii amerykańskiej! Przed tym dniem niewiadomo było, czy i kiedy i jaka decyzja nastąpi w sprawie naszej, sprawie równouprawnienia kleru polskiego. W tym zaś dniu 15 kwietnia, o godzinie 4:15 po południu, padły z ust samego Namiestnika Chrystusowego słowa jasne, dobitne i stanowcze; że decyzja w znanej sprawie naszej nastąpi i to jak najprędzej i (a to najważniejsza) **po myśli naszej.**

Klęcząc przed Ojcem św. w sali tronowej, rzekłem pomiędzy innemi te słowa: „Ojcze Święty, dziesięć miesięcy siedzę już w Rzymie, a nic nie zrobiłem, gdyż decyzji w sprawie naszej jeszcze nie ma!" Na to Ojciec św., dobrotliwie się do mnie uśmiechając, powiedział głosem pewnym i stanowczym: „Ale decyzja będzie jak najprędzej i to podług waszych pragnień!"

(„Sed decisio erit quantocius, et quidem secundum vestra desideria“ (i to stosownie do waszych życzeń) tonem uroczystym wypowiedziane usłyszał, przyznam się, żem z nadmiernej radości niemal oniemiał, a tylko te słowa ciągle powtarzałem: „Dzięki Ci, Ojcze św., dzięki stokrotne“, całując przytem ze sześć razy pierścień na ręce papieskiej — Pierścień Rybitwy. Prosząc następnie Ojca św. o błogosławieństwo dla różnych osób, dla parafji mojej, dla Polaków w Ameryce etc., etc., prosiłem także o błogosławieństwo wyraźnie dla Polskiego Kongresu, który tego roku w Chicago Polacy urządzają. I Papież rzekł: „Błogosławię“.

Te kilka wiadomości przesyłam wam listownie, aby w razie gdyby — czego Panie Boże nie daj — okręt ze mną zatonął, nie zatonęłyby przynajmniej te szczęśliwe wieści:

Niech żyje Papież Pius X! Niech żyje długie lata!

Wsiadam na okręt „Prinzess Irene“, odpływający z Neapolu w piątek, 22 kwietnia, a przypływający do Nowego Yorku 4 maja.

Wielu, a nawet i Wydział Wykonawczy, niecierpliwiło się już mojem przedłużeniem pobytu w Rzymie. Trudno i darmo. Nie dla przyjemności, lecz z obowiązku tak długo tu siedziałem. Chodziło mi jedynie o rzetelne spełnienie misji, jaką mi Kongres powierzył. Tę misję, ten obowiązek trzeba mi było spełnić, choćbym był nie miał żadnych widoków powodzenia. A tu — pomimo piętrzących się ciągle trudności — widoki powodzenia jednak były: widziałem, że żelazną wytrzymałością celu się dopnie. Słomiany zapał nic nie wart! Trzeba mieć zapał do sprawy podobny do żaru węglowego, którego wicher przeciwności nie zdmuchnie, ale im bardziej dmie, tem więcej go rozdmuchuje. Zapał zaś, podobny do płomyka świeczki, lada wietrzyk przeciwności zdmuchnie i zagasi. „We are not responsible — dobrze powiedział jakiś uczony Anglik — if we fail to succeed. But we are responsible if we fail to do our duty — if we yield the battle too early, if we neglect to hold the fort until chance or reinforcement or a change in the winds of fortune comes to our relief“. Otóż jedynie tem poczuciem obowiązku wiedzeni „we did not yield the battle... did not neglect to hold the fort until reinforcement comes...“ a „reinforcement“ rzeczywiście nadszedł... „the winds of fortune changed“ — i przy pomocy Bożej doczekaliśmy się sukcesu i zwycięstwa.

Zapału trzeba, by pierwsze przełamać lody,
Wytrwałości, by wszystkie zwyciężyć przeszkody!

Za dzielne, tak moralne jak i materjalne poparcie dziękuję z całego serca wszystkim moim rodakom w Ameryce i Europie, a zwłaszcza Najprzew. ks. Biskupom z Polski, którzy jeszcze tydzień temu (ks. arcybiskup Bilczewski i ks. biskup Wałęga) osobiście stanęli w Watykanie i zapukali energicznie w sprawie naszej. Wyrażam serdeczną podziękę Wydziałowi Wykon., ks. J. Pitassowi, p. Mahany'emu, Stowarzyszeniu Księży Polskich itd. itd. A za wszystko dobre Bogu jedynie cześć i chwała niech będzie, Jemu przedewszystkiem dziękujemy, i wdzięczność naszą dobrem chrześcijańskiem życiem i postępowaniem naszem pokażemy! A na duchu nie upadajmy! W zgodzie pracujmy! W górę serca!

Ks. Wacław Kruszka.

Każdy człowiek ma jakieś posłannictwo do spełnienia na tej ziemi. Nie każdy może mieć powodzenie już tu na tej ziemi. Ale każdy już tu na tej ziemi może i powinien uczynić wszystko, co jest w jego mocy, by spełnić swój obowiązek. To jest powinien modlić się i pracować. Módlmy się tak usilnie, jak gdyby wszystko od Boga zależało; a pracujmy tak usilnie, jak gdyby wszystko od nas samych zależało.

Módl się i pracuj — oto prawidło życia człowieczego. Gdy jedno albo drugie opuszczamy, obowiązku swego nie spełniamy, owszem, grzeszymy lenistwem. Bo modlitwa bez pracy jest kuszeniem Pana Boga; a praca bez modlitwy jest postponowaniem Pana Boga. Modlitwa jest duszą pracy i ożywia ją. Wszystko ostatecznie od pomocy Boskiej zależy; ale Bóg pomaga tylko tym, którzy sobie pomagają, a nie leniwcom. Ludzie jednak, jak cię widzą i jak cię słyszą, tak cię piszą. Opisują, oceniają i wychwalają tylko twoją pracę, bo modlitwy i pomocy Boskiej podobnie jak duszy twej nie widzą. I przez to łatwo cię wprowadzają w ten wielki błąd, że sobie tylko i swojej pracy przypiszesz wszystko to, coś dobrego zrobił, a Bogu i Boskiej pomocy czci należnej nie oddajesz. Stąd pochlebca bywa poniekąd gorszym od potwarcy. Bo:

W potwarzy dla dobrego jest zawsze nauka,
Pochlebstwo złych zatwardzi, a dobrych oszuka.

Otóż „Dziennik Chicagoski", organ OO. Zmartwychwstańców w Chicago, podówczas wcale nam nieprzychylny, w długim swoim artykule o działalności pierwszego i drugiego Kongresu polsko-

katolickiego w Ameryce, takie jednak pochlebne świadectwo wystawił pracy mojej, ks. Sztuczki i ks. Jana Pitassa:

„Jeżeli wspomnieliśmy nazwiska ks. Wacława Kruszki i ks. Kazimierza Sztuczko, jako mężów, których wybór szczególniej (a sam ów Kongres nie spodziewał się z pewnością jak bardzo) był trafnym i szczęśliwym, — to uczyniliśmy to dlatego, aby udowodnić, że rezultaty także tego Kongresu byłyby znikająco małe, gdyby nie energja tych dwóch ludzi czynu, a i pomoc materjalna i moralna przew. ks. Pitassa, o której zapomnieć się nie powinno przy zastanawianiu się nad tą sprawą.

„Faktem niczem nie zaprzeczonym jest, — chociażby niewiadomo w jaki sposób próbowano teraz w innem to świetle przedstawić, — że ks. Wacław Kruszka, mając sobie wraz z ks. Pitassem powierzone zadanie zajęcia się staraniem o uwzględnienie duchowieństwa polskiego w hierarchji katolickiej w Ameryce, zaraz w samym początku, a potem nieprzerwanie prawie aż do chwili wyjazdu swego do Rzymu, natrafiał na takie trudności i przeciwności nietylko ze strony powątpiewających o właściwości tego postąpienia, ale także ze strony samych inicjatorów projektu samych delegatów drugiego Kongresu, samych nawet członków Wydziału Wykonawczego; na takie często szyderstwa i drwiny, na taki brak absolutny poparcia i pomocy, zwłaszcza materjalnej, (oprócz osobistej pomocy ks. Pitassa); znalazł się tak osamotnionym i pozbawionym wszelkiego współdziałania, — że stu innych na jego miejscu byłoby się zniechęciło i porzuciło zamiar przeprowadzenia planu. Powstrzymała go od zniechęcenia się wielka ambicja, w dobrem, jak się okazało, słowa tego znaczeniu; doprowadził go do częściowego, a co daj Boże, może i zupełnego powodzenia, szczególny spryt, znowu w najlepszem słowa tego znaczeniu. Wyjechał sam, gdy nikt z nim jechać nie chciał, (bo towarzyszenie nie-Polaka p. Mahany'ego było więcej przypadkowem, choć znowu było przypadkiem szczęśliwym); wyjechał o szczupłych zasobach, nie wiedząc, czy mu starczy to co miał na parę tygodni pobytu w Rzymie, — ale wyjechał z dobrą fantazją, z ogromnym zapasem energji i silnej woli, z ufnością, jakiej nikt inny, oprócz niego, nie miał, i doprowadził do tego, że i poparcie później otrzymał i do uznania wątpiących przymusił i do znacznego powodzenia swej misji doprowadził...

„Zasługi w tem wszystkiem innej nie miał drugi Kongres żadnej, jak tylko zasługę trafnego wyboru człowieka, bo Kongres

sam nie umiał dać ani wskazówek, jak należy postąpić w tej sprawie, ani środków do zajęcia się nią skutecznego."

Za to aż nazbyt pochlebne świadectwo, ze szczerego jednak serca pochodzące, należą się serdeczne dzięki „Dziennikowi Chicagoskiemu". Ale przedewszystkiem należy składać publiczne dzięki Bogu, bez którego pomocy nic dobrego ani chcieć ani wykonać nie bylibyśmy mogli. Dobrodziejstw Bożych zamilczać się nie godzi, ale je głośno wysławiać trzeba. Bo powtarzam tu zdanie św. Leona Wielkiego, które już na początku tych Siedmiu Siedmioleci jako godło wypisałem:

„Nie skromności, lecz niewdzięczności znakiem jest zamilczeć dobrodziejstwa Boże".

KONIEC TOMU I.

SKRÓCONY SPIS RZECZY

TOM I.

Strona

Preambuły: — Preegzystencja. — Wielkopolska. — Pałuki. — Żnin. — Sławomierz. — Antenaci. — Podział życia na siedmiolecie 1—27

Poranek życia. — Wiosna życia:

Pierwsze Siedmiolecie (1868—1875): — Pierwsze wrażenie wojownicze i duchowne. — W ogniu i we wodzie. — Pierwsze nauki w Sławomierzu i Gorzycach . . . . . 28—42

Drugie Siedmiolecie (1875—1882): — Na łożu boleści i na łonie matki natury. — Do gimnazjum we Wieleniu i we Wągrówcu. — Noteć i Wełna . . . . . 43—64

Trzecie Siedmiolecie (1882—1889): — Pierwsza myśl o Jezuitach. — W Krakowie i Dynowie. — W Starejwsi w swoim żywiole. — Studja klasyczne i krasomówcze. — Katechizacja. — Pożar Starejwsi. — Mniejsze święcenia w Chyrowie. — Telepatja i śmierć ojca. — Na filozofję do Tarnopola. — Zapalenie oczu 65—94

Czwarte Siedmiolecie (1889—1896): — Bidelem i subministrem w Tarnopolu. — W Grzymałowie nad Zbruczem, w Kołtowie, Podhorcach, Podkamieniu i Zbarażu. — Kuracja we Lwowie. — Magistrem w Chyrowie. — Fałszywy donos i dymisja. — U prowincjała we Wiedniu. — U generała w Fiesole. — Studja w Rzymie. — Generał przyjmuje mnie napowrót. — Mój drugi nowicjat w Starejwsi. — Peregrynacja wzdłuż Karpat do Nowego Sącza, Tarnowa i Pilzna. — Na filozofji w Tarnopolu i na teologji w Krakowie. — Nagły wyjazd do Ameryki. — W seminarjum w St. Francis, Wis. — Święcenia kapłańskie. — Wikarym i profesorem wyższej szkoły w Milwauke . . . . . 95—227

Południe życia. — Lato życia:

Piąte Siedmiolecie (1896—1903): — Proboszczem. — Założenie parafji w Ripon, Oshkosh i Kenosha. — Misje irlandzkie w Springvale i Eldorado. — Pisanie artykułów i książek. — Początek

Strona

„Historji Polskiej w Ameryce". — Na progu XX. wieku. — Próbne wydanie „Historji" w gazetach. — Pierwsza myśl o potrzebie biskupów polskich w Ameryce ze stanowiska wiary św. — Artykuł Polyglot Bishops. — Wybrany delegatem do Rzymu. — Wymijające lub odmowne odpowiedzi biskupów amerykańskich. — Obiecanki Arcyb. Katzera. — „Historja" wywołuje burzę. — Dlaczego delegacja nie pojechała z Arcybiskupem do Rzymu. — Nadzieje pokładane w Katzerze zawiodły. — Przygotowuję podróż do Rzymu . . . . . 228—590

Szóste Siedmiolecie (1903—1910) Część I.: — Podróż do Rzymu w sprawie biskupów polskich dla Ameryki. — Memorjał do Leona XIII. — Audjencja u Prefekta Propagandy Gotti i u kard. Rampolli. — Śmierć i pogrzeb Leona XIII. — U innych kardynałów. — Wybór i koronacja Piusa X. — U kardynała Svampy. — Pierwsza audjencja u Piusa X. — Wyjazd do Polski. — U biskupów w Galicji, Kongresówce i Poznańskiem. — U Sienkiewicza w Oblęgorku. — Opozycja. — Vox Urbis a ryk osła w Rzymie. — Archiwum Zmartwychwstańców obfite źródło do „Historji Polskiej w Ameryce". — Propaganda odesłała mnie do Watykanu. — Przychylny wyrok Piusa X. dnia 15 kwietnia 1904 . . . . . 591—815

Date Due

CAT. NO. 23 233 PRINTED IN U.S.A.

U. C. BERKELEY LIBRARIES
C091087818

LIBRARY
ST. HYACINTH COLLEGE AND SEMINARY
GRANBY, MASSACHUSETTS

325.2 13887
K94-v.1
Kruszka
Siedm siedmiolecie...
RETURNED

325.2 13887
K94
v.1